

**JEAN M. AUDEL**

# **Kamienne Sadyby**

**(Przełożył : Maciej Szymański)**

## PODZIĘKOWANIA

Jestem niewymownie wdzięczna wielu fachowcom za to, że pomogli mi poznać pradawny świat ludzi, którzy zamieszkiwali Ziemię w czasach, gdy lodowce sięgały znacznie dalej na południe niż dziś i okrywały jedną czwartą powierzchni planety. Są jednakże w mojej książce liczne szczegóły - związane zwłaszcza z teoriami na temat datowania pewnych znalezisk i wydarzeń - które być może nie zostaną zaakceptowane przez większość specjalistów w tej dziedzinie. Niektóre z nich są wynikiem przeoczenia, lecz wiele znalazło się w tekście z mojej woli. Zazwyczaj nawiązywałam do nich dlatego, że pasowały do mojej subiektywnej pisarskiej wizji. Musiałam więc kierować się w swojej pracy przede wszystkim zrozumieniem dla ludzkiej natury i pamiętać o tym, by wszystkie działania moich bohaterów miały logiczne uzasadnienie.

Pragnę podziękować przede wszystkim doktorowi Jean-Philippe'owi Rigaudowi, którego poznałam podczas mojej pierwszej podróży badawczej do Europy. Prowadził wówczas wykopaliska archeologiczne na stanowisku Flageolet w południowo-zachodniej Francji. Ze wzgórza, na którym niegdyś znajdował się obóz łowiecki, rozciągał się widok na rozległe trawiaste równiny, po których w epoce lodowcowej wędrowały zapewne liczne stada zwierząt. I choć byłam nieznaną jeszcze amerykańską pisarką, doktor Rigaud poświęcił sporo czasu na opowiedzenie mi o swoich odkryciach, a także dopomógł w zorganizowaniu wizyty w jaskini Lascaux. Byłam bliska łez, kiedy zobaczyłam owo sanktuarium prehistorycznej sztuki, pełne malowideł pierwszych współczesnych ludzi - ludzi rasy kromaniońskiej, mieszkańców Europy doby młodszego paleolitu. Są to dzieła tak piękne, że śmiało mogłyby konkurować z dzisiejszymi.

Nieco później, kiedy spotkaliśmy się ponownie w La Micoque - na stanowisku wczesnej kultury neandertalskiej - zaczęłam lepiej wczuwać się w atmosferę tego niezwykłego momentu w naszych dziejach, kiedy w Europie pojawili się pierwsi współcześni - w sensie anatomicznym - ludzie i napotkali neandertalczyków, zamieszkujących te ziemie już długo przed epoką lodowcową. Pragnęłam jak najgłębiej zrozumieć proces poznawania historii naszych dalekich przodków, dlatego wraz z mężem przez krótki czas pracowałam przy nieco późniejszych wykopaliskach doktora Rigauda, na stanowisku Grotte Seize. Doktor udzielił wielu niezwykle wartościowych informacji na temat życia w odkrytej tam osadzie, która dziś znana jest jako Laugerie Haute, a w mojej książce występuje pod nazwą Dziewiątej Jaskini Zelandonii.

Doktor Rigaud pomagał mi podczas pracy nad całą serią, lecz w powstanie niniejszej powieści wniósł wkład szczególny. Nim rozpoczęłam pisanie Kamiennych sadyb, zebrałam wszystkie informacje dotyczące regionu, w którym miała toczyć się akcja mojej opowieści, i stworzyłam całe tło zdarzeń, nadając rzeczywistym obiektom wymyślone nazwy i szczegółowo

opisując krajobraz, tak by w razie potrzeby móc sięgnąć do materiałów pisanych moją ręką. W toku pracy zadałam wielu uczonym i specjalistom z licznych dziedzin nieskończoną liczbę pytań, lecz nikogo nie poprosiłam o recenzję mojej pracy przed jej opublikowaniem. Zawsze brałam pełną odpowiedzialność za wybory, których dokonywałam podczas selekcji szczegółów składających się na treść moich książek, a także za to, w jaki sposób je wykorzystywałam i jaką dawką fantazji były doprawiane - i nadal to robię. Jednakże tym razem, pisząc powieść, której akcja rozgrywa się na terenach dobrze znanych nie tylko archeologom i specjalistom z pokrewnych dziedzin, ale także wielu ludziom, którzy każdego roku zwiedzają ten region, musiałam być pewna, że moje tło jest odtworzone z maksymalną wiernością, dlatego zdecydowałam się na niezwykły dla mnie krok. Poprosiłam mianowicie doktora Rigauda, który znakomicie zna ów region Francji i jest wybornym archeologiem, by przejrzał moje obszerne "materiały źródłowe" i poszukał w nich co bardziej oczywistych błędów. W owym czasie nie w pełni zdawałam sobie sprawę, jak pracochłonne było to zadanie, i dlatego teraz z całego serca dziękuję mu za czas i wysiłek, które włożył w jego wykonanie. Ukończywszy pracę, doktor pochwalił mnie, twierdząc, że materiał jest dość precyzyjny, lecz znalazł i takie fragmenty, które musiałam poprawić i uzupełnić. Za wszelkie błędy, które pozostały w tekście, ponoszę wyłączną odpowiedzialność.

Jestem głęboko wdzięczna także innemu francuskiemu archeologowi, doktorowi Jeanowi Clottes'owi, którego poznałam przez jego kolegę, doktora Rigauda. Podczas konferencji w Montignac, zorganizowanej w ramach uroczystości związanych z pięćdziesiątą rocznicą odkrycia jaskini Lascaux, doktor Clottes był uprzejmy tłumaczyć dla mnie treść wygłaszanych po francusku referatów. Później zaś przez lata wiele razy spotykaliśmy się po obu stronach Atlantyku i doprawdy trudno mi wyrazić, jak bardzo jestem wdzięczna za uprzejmość i hojność, z jaką francuski uczoney zechciał dzielić się ze mną swym czasem i swoją wiedzą. Oprowadził mnie po wielu jaskiniach, których ściany pokryte były wspaniałymi malowidłami i rytami, położonych głównie u stóp Pirenejów. Prócz cudownych jaskiń znajdujących się na terenie posiadłości hrabiego Begouena zafascynowała mnie także Gargas, oferująca zwiedzającym znacznie więcej niż tylko naścienne odciski dłoni, które uczyniły ją słynną. Ogromną radość sprawiła mi też druga wspólna wyprawa w głąbiny jaskini Niaux, trwająca około sześciu godzin. Była tak wspaniałym przeżyciem między innymi dlatego, że wiedziałam znacznie więcej o malowidłach naściennych niż za pierwszym razem. Choć wrażeń z tych miejsc nie zawarłam w niniejszej powieści, za wielce pouczające uważam dyskusje z doktorem Clottes'em na temat rozmaitych teorii, między innymi dotyczących przyczyn, dla których ludzie rasy kromaniońskiej dekorowali swe jaskinie i domostwa.

Pierwszą wizytę na pirenejskim podgórzu, w jaskini Niaux, złożyłam już w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim i wypada, bym podziękowała za nią doktorowi Jean -

Michelowi Belamy'emu. Miejsce to wywarło na mnie kolosalne wrażenie - nie zapomnę motywów zwierzęcych ze ścian Czarnego Salonu, odcisków dziecięcych stóp, przepięknie malowanych wizerunków koni w wielkiej gromadzie za jeziorkiem i wielu, wielu innych cudów. Byłam niezwykle poruszona, kiedy nie tak dawno doktor Belamy podarował mi unikatowe, pierwsze wydanie pierwszej książki o jaskini Niaux.

Jestem też niewymownie wdzięczna hrabiemu Robertowi Begouenowi, który zaangażował się w ocalenie niesamowitych jaskiń znajdujących się na należących do niego ziemiach - L'Enlène, Tuc d'Audoubert i Trois Freres - i założył jedyne w swoim rodzaju muzeum artefaktów, które z wielką starannością wydobyto z okolicznych stanowisk archeologicznych. Wizyta w dwóch jaskiniach była fascynującym przeżyciem, za które wdzięczna jestem hrabiemu oraz doktorowi Clottes'owi, którzy byli moimi przewodnikami.

Składając podziękowania, nie mogę pominąć osoby doktora Davida Lewisa Williamsa, delikatnego człowieka o żelaznych zasadach, którego praca badawcza dotycząca afrykańskich Buszmenów i imponujących malowideł naskalnych tworzonych przez ich przodków stała się kanwą wielu interesujących teorii i książek. W jednej z nich, której współautorem jest doktor Clottes, noszącej tytuł "Szamani prehistorii", pojawił się pogląd, iż pradawni malarze jaskiniowi z terenów dzisiejszej Francji dekorowali swe jaskinie z podobnych powodów jak ich afrykańscy kuzyni.

Winna jestem gorące podziękowania doktorowi Rayowi Larickowi za jego wszechstronną pomoc, a szczególnie za otwarcie ochronnych, metalowych wrót i pokazanie mi uroczej płaskorzeźby przedstawiającej koński łeb, która znajduje się na ścianie niższej jaskini w Commarque.

Jestem wdzięczna także doktorowi Paulowi Bahnowi za to, że swym tłumaczeniem pomógł mi pojąć niektóre wystąpienia podczas konferencji z okazji rocznicy odkrycia Lascaux. Dzięki jego wysiłkom miałam też zaszczyt poznać trzech mężczyzn, którzy jako mali chłopcy odkryli w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku przepiękną jaskinię Lascaux. Białe ściany tego sanktuarium, pokryte niewiarygodnymi, wielobarwnymi malowidłami, wzruszyły mnie do łez. Wyobrażam sobie, jakie wrażenie musiały zrobić na czterech chłopcach, którzy w pogoni za psem zeszli do rozpadliny i zobaczyli je jako pierwsi ludzie od piętnastu tysięcy lat, kiedy to skalne rumowisko zamknęło wejście do pieczary. Doktor Bahn był mi wspaniałym pomocnikiem, zarówno poprzez osobiste dyskusje, jak i swoje książki traktujące o intrygujących, prehistorycznych czasach, które stały się tłem cyklu moich powieści.

Ciepło i z wielką wdzięcznością myślę też o doktorze Janie Jelinku, z którym długo i wyczerpująco dyskutowałam o erze młodszego paleolitu. Jego wiedza na temat ludzi nie

różniących się od nas pod względem anatomicznym, którzy pojawili się i osiedlili w Europie pośród neandertalczyków, była mi wielką pomocą. Pragnę też podziękować mu za współpracę z czeskim wydawcą moich książek przy redagowaniu przekładów.

Książki doktora Alexandra Marshacka - pioniera techniki mikroskopowych badań rytów sprzed tysięcy lat - przeczytałam na długo przed tym, nim spotkałam go osobiście. Wielce sobie cenię wysiłki, które podjął w celu zrozumienia kultur neandertalczyków i ludzi rasy kromanińskiej, a także pisma, które mi przesyła. Wielkie wrażenie wywarły na mnie jego spójne i przemyślane teorie oparte na wnikliwych badaniach. Zawsze chętnie czytam jego prace, pełne głębokich i inteligentnych spostrzeżeń na temat życia ludzi zamieszkujących Ziemię w dobie ostatniego zlodowacenia.

W ciągu trzech miesięcy, kiedy mieszkałam opodal Les Eyzies de Tayac w południowo-zachodniej Francji i prowadziłam prace badawcze, przygotowując się do napisania niniejszej książki, wielokrotnie odwiedzałam jaskinię Font - de Guame. Jestem więc winna szczególnie gorące podziękowania Paulette Daubisse, szefowej grupy przewodników oprowadzających gości po tej przepięknie udekorowanej malowidłami grocie. Jestem wdzięczna za jej uprzejmość, a zwłaszcza za to, że zechciała zabrać mnie na prywatną wycieczkę. Ponieważ Paulette mieszkała przez wiele lat w pobliżu Font de Guame, jaskinia ta stała się dla niej nieomalże drugim domem. Zobaczyłam dzięki niej wiele formacji skalnych i malowideł, których zwykle nie pokazuje się zwiedzającym - ich podziwianie nadmiernie wydłużyłoby program wycieczek - i jestem jej dozgonnie wdzięczna za niezapomniane, głębokie przeżycia podczas tej wyprawy.

Dziękuję również M. Renaudowi Bombardowi z firmy Presse de la Cite - mojego francuskiego wydawcy - za to, że służył mi wszechstronną pomocą, ilekroć przybywałam do Francji w celach badawczych. Czy chodziło o znalezienie miejsca, w którym można skopiować opasły manuskrypt z pomocą osoby mówiącej po angielsku, czy o dobry nocleg po sezonie, kiedy większość hoteli zamyka swoje podwoje, czy o stolik w fantastycznej restauracji nad Loarą, gdzie mogliśmy świętować z przyjaciółmi rocznicę ich ślubu, czy o spóźnioną rezerwację w popularnej miejscowości wypoczynkowej nad Morzem Śródziemnym, gdzie los rzucił mnie w drodze do kolejnej jaskini - M. Bombard zawsze potrafił mi pomóc, za co jestem mu wielce zobowiązana.

Chcąc właściwie przygotować się do napisania niniejszej książki, musiałam sięgnąć po wiedzę wykraczającą poza ramy archeologii i paleoantropologii, a w pracy tej pomogło mi spore grono życzliwych osób. Najszersze podziękowania ślę przeto doktorowi Ronaldowi Naito, interniście z Portland w stanie Oregon i od wielu lat mojemu osobistemu lekarzowi, który poświęcił mi swój wolny czas, by odpowiedzieć na pytania o symptomy i postępy pewnych chorób i obrażeń wewnętrznych. Dziękuję też doktorowi Brettowi Bolhofnerowi, ortopedzie z St.

Petersburga na Florydzie, który udzielił mi informacji na temat urazów kości, a przede wszystkim - poskładał strzaskane biodro i miednicę mojego syna po ciężkim wypadku samochodowym. Na moją wdzięczność zasłużył także Joseph J. Pica, chirurg ortopeda, asystent doktora Bolhofnera, który wyjaśnił mi pewne zawiłości dotyczące obrażeń wewnętrznych i wybornie opiekował się moim synem. Doceniam także wyniki dyskusji z Rickieni Frye'em, wolontariuszem ratownikiem medycznym ze stanu Washington, na temat pierwszej pomocy w nagłych wypadkach.

Dziękuję również doktorowi Johnowi Kallasowi z Portland w stanie Oregon, ekspertowi w dziedzinie naturalnej żywności, który nieustannie eksperymentuje z potrawami z dziko rosnących roślin, za obszerne wyjaśnienia nie tylko na temat jadalnych roślin, ale także małży oraz morskich wodorostów. Nie miałam pojęcia, że istnieje tak wiele jadalnych okazów oceanicznej flory.

Specjalne podziękowania należą się Lenette Stroebel z Prineville w stanie Oregon, która zajmuje się wsteczną hodowlą tarpanów i podsunęła mi pewne niezwykle interesujące informacje. Dzięki niej dowiedziałam się między innymi tego, że kopyta tych zwierząt były tak twarde, iż nie potrzebowały podków nawet na kamienistym gruncie; że ich grzywy były sterczące, a umaszczenie odpowiadało z grubsza temu, które możemy oglądać na naskalnych malowidłach, przedstawiających konie o pięknej, myszatej sierści, ciemnych nogach i ogonach oraz niekiedy pasiastych bokach. Lenette nie tylko pozwoliła mi obejrzeć swoje konie, ale też opowiedziała o nich i przysłała serię cudownych fotografii przedstawiających zrebiącą się klacz. Dzięki nim mogłam opisać chwilę przyjścia na świat potomstwa Whinney.

Jestem wdzięczna Claudine Fisher, profesorowi filologii francuskiej z Uniwersytetu Stanowego w Portland i Honorowemu Konsulowi Francji w Oregonie, za tłumaczenia materiałów badawczych i korespondencji, a także za rady i przemyślenia dotyczące tego i wielu innych rękopisów oraz za wszelką pomoc związaną z językiem francuskim.

Dziękuję moim czytelnikom - Karen Auel-Feuer, Kendallowi Auelowi, Cathy Humble, Deannie Sterett, Claudine Fisher i Rayowi Auelowi - którzy w ekspresowym tempie przebrnęli przez pierwszy szkic niniejszej powieści i przekazali mi konstruktywne uwagi na jego temat.

Jestem także dłużniczką Betty Prashker, mojej mądrej i sprytnej edytorki. Jej sugestie zawsze były mi pomocne, a przemyślenia - bezcenne.

Nie potrafię wyrazić wdzięczności dla mojej agentki, Jean Naggar, która przyleciała do mnie specjalnie po to, by przeczytać pierwszy szkic powieści, i wraz z mężem, Serge'em Naggarem, obmyśliła garść wskazówek do dalszej pracy, choć uznała, że moje dzieło jest niezłe. Jean była ze mną od początku i dokonała cudów, zapewniając powodzenie całej serii książek. Dziękuję też Jennifer Weltz z Agencji Literackiej Jean V. Naggar, która współtworzyła z Jean owe cuda, szczególnie w zakresie sprzedaży praw do wydań zagranicznych.

Żałuję, iż jedynie in memoriam mogę wyrazić wdzięczność Davidowi Abramsowi, profesorowi antropologii i archeologii z Sacramento w Kalifornii. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku David i jego asystentka - przyszła żona - Dianę Kelly, zabrali Raya i mnie na pierwszą wyprawę badawczą do Europy. Odwiedziliśmy Francję, Austrię, Czechosłowację i Ukrainę (wtedy jeszcze Związek Radziecki), przyglądając się miejscom, w których przed trzydziestoma tysiącami lat miała się toczyć akcja książek z cyklu "Dzieci Ziemi". Miałam okazję wczuć się w specyfikę tych okolic, co wielce pomogło mi w pisaniu. Zaprzyjaźniliśmy się z Davidem i Dianą, a w późniejszych latach niejednokrotnie spotykaliśmy się w Stanach i w Europie. Szokiem była dla mnie wiadomość o tym, jak bardzo był chory - zbyt młody, by odchodzić - lecz trzeba przyznać, że z uporem trwał przy życiu dłużej, niż ktokolwiek przewidywał, do końca zachowując cudownie pozytywną postawę. Brakuje mi go.

Muszę podziękować jeszcze jednemu drogiemu przyjacielowi, którego nie ma już wśród nas, a który pomógł mi w pisaniu książek, projektując wygodne wnętrza, w których mieszkam i pracuję. "Oz" był geniuszem kreowania pięknych i praktycznych domów, lecz ważniejsze jest to, że przez lata był dobrym przyjacielem moim i Raya. Wydawało mu się, że w porę podjął walkę z rakiem, i poślubił Paulę w nadziei, że spędzi jeszcze wiele lat z nią i z jej dziećmi, lecz nie było mu to pisane. Ogarnia mnie wielki smutek, kiedy myślę, że nie ma go już wśród żywych.

Jest jeszcze wiele osób, którym zapewne powinnam podziękować za wartościowe przemyślenia i pomoc, lecz i tak nazbyt dużo miejsca poświęciłam już wyrazom wdzięczności, zatem zakończę je hołdem dla tego, kto liczy się najbardziej. Jestem wdzięczna Rayowi za jego miłość, wsparcie i zachętę, za to, że zapewniał mi czas i miejsce do pracy nawet w najdziwniejszych godzinach, oraz za to, że był przy mnie.

## ROZDZIAŁ I

Ludzie gromadzili się stopniowo na wapiennym tarasie, nieufnie przyglądając się przybyszom. Nikt nie witał ich choćby gestem, a niektórzy z zebranych dzierżyli w dłoniach włócznie w pozycji gotowości, jeśli niejawniej groźby. Młoda kobieta nieomalże wyczuwała ich niepewność i lęk. Obserwowała z dołu, z kamienistej ścieżki, jak tłum gęstnieje, i wreszcie dotarło do niej, że grupa jest znacznie liczniejsza, niż się spodziewała. Nieraz już widziała tę niechęć w oczach ludzi, których spotykali podczas Podróży. To nie ich wina, pomyślała, powitania zawsze wyglądają podobnie... A jednak czuła zakłopotanie.

Wysoki mężczyzna zeskoczył z grzbietu młodego ogiera. W jego postawie i ruchach nie było ani zakłopotania, ani niechęci, lecz i on zawahał się na moment, mocno ściskając w garści sznur uździenicy. Odwrócił się i zauważył, że kobieta stara się pozostać w tyle.

- Ayla, możesz przytrzymać Zawodnika? Wygląda na zdenerwowanego. Oni zresztą też - dodał, spoglądając ku górze, w stronę skalnej półki.

Kobieta skinęła głową, przerzuciła nogę nad grzbietem klaczy i zsunęła się na ziemię, by chwycić linkę. Nie tylko widok ciżby obcych ludzi niepokoił smukłego kasztana, ale i bliskość matki. Jej okres godowy wprawdzie już minął, ale z sierści unosił się jeszcze zapach ogiera-przewodnika stada, który krył ją tak niedawno. Ayla trzymała więc uździenicę krótko, tuż przy pysku Zawodnika, klaczy zaś pozwoliła odejść trochę dalej i na wszelki wypadek stanęła między nimi. Zastanawiała się przez chwilę, czy nie puścić przodem Whinney, która nieco lepiej znosiła kontakt z obcymi ludźmi i zwykle przy takich okazjach zachowywała się nadzwyczaj spokojnie, tym razem jednak wyczuła nerwowość zwierzęcia. Taki tłum w każdym mógł wzbudzić obawę.

Kiedy pojawił się wilk, Ayla usłyszała pełne podniecenia, ostrzegawcze okrzyki dobiegające od strony półki skalnej ciągnącej się przed jaskinią - o ile w ogóle można to było nazwać jaskinią. Kobieta nie widziała przedtem niczego podobnego. Wilk otarł się o jej nogę i wysunął się nieznacznie naprzód, podejrzliwy i gotów bronić swej pani. Wyczuwała delikatną wibrację ledwie słyszalnego warkotu, który wydobywał się z jego gardzieli. Drapieżca zachowywał się teraz wobec obcych ze znacznie większą rezerwą niż przed rokiem, gdy rozpoczynali długą podróż, ale wówczas był przecież tylko szczenięciem. Bolesne doświadczenia nauczyły go czujności i rozważności w trudnej misji chronienia Ayli.

Mężczyzna nie okazywał strachu, idąc w stronę licznej grupy wyraźnie zaniepokojonych ludzi, lecz mimo to kobieta cieszyła się, że może zaczekać w bezpiecznej odległości i obserwować spotkanie, zanim sama będzie musiała stanąć twarzą w twarz z gospodarzami. Oczekiwała - i bała



się - tej chwili od ponad roku, a przecież zawsze liczyło się pierwsze wrażenie... i to po obu stronach.

Zgromadzeni wciąż trzymali się z daleka, gdy nagle wybiegła spośród nich młoda kobieta. Jondalar natychmiast rozpoznał siostrę, choć w ciągu tych pięciu lat, które upłynęły od rozstania, rozkwitła wspaniale i z ładnej dziewczyny zmieniła się w piękną niewiastę.

- Jondalarze! Wiedziałam, że to ty! - zawołała, rzucając się bratu na szyję. - Wreszcie wróciłeś do domu!

Wędrowiec przytulił ją mocno, porwał w powietrze i zawirowali w entuzjastycznym uścisku.

- Folaro, tak się cieszę, że cię widzę! - Postawił ją na ziemię i odsunął na odległość ramion. - Aleś ty urosła! Kiedy wyjeżdżałem, byłaś ledwie dziewczynką, teraz wyrosłaś na piękną kobietę... A ja wiedziałem, że tak będzie - dodał, z błyskiem w oku nie tylko braterskiej miłości.

Dziewczyna uśmiechnęła się, spojrzała w niewiarygodnie błękitne oczy brata i od razu poczuła ich magnetyzm. Zarumieniła się - jednak nie z powodu komplementu, jak wydawało się świadkom powitania, ale pod wpływem nagłego pociągu, który poczuła do tego od lat nie widzianego mężczyzny, mimo że była jego siostrą. Słyszała często opowieści o swym przystojnym, wielkim bracie, o jego niezwykłych oczach, którymi potrafił oczarować każdą kobietę, lecz w jej pamięci Jondalar był jedynie wysokim, cudownym towarzyszem zabaw, bez wahania uczestniczącym w każdej grze czy psocie, jaka tylko przyszyła jej do głowy. Teraz zaś, jako młoda kobieta, po raz pierwszy sama miała okazję doświadczyć zdumiewającego oddziaływania jego nieświadomej charyzmy. Mężczyzna dostrzegł jej reakcję - pełne uroku zakłopotanie - i uśmiechnął się ciepło.

Folara spojrzała obok niego, w stronę małej rzeczki, nad którą rozpoczynała się wiodąca ku górze ścieżka.

- Jonde, kim jest ta kobieta? - spytała ciekawie. I skąd się tam wzięły te zwierzęta? Przecież zawsze uciekają przed ludźmi... Dlaczego nie płoszą się na jej widok? Czy ona jest Zelandoni? Wezwała je? - Dziewczyna zmarszczyła brwi. - Gdzie jest Thonolan? - Gwałtownie zachłysnęła się powietrzem, widząc grymas bólu na twarzy Jondalara. Thonolan wędruje już po następnym świecie, Folaro - odparł po chwili. - A i mnie nie byłoby tutaj, gdyby nie ta kobieta.

- Och, Jonde! Co się stało?

To długa historia, a teraz nie pora na jej opowiadanie - odpowiedział surowo, ale nie potrafił powstrzymać uśmiechu na dźwięk imienia, którym zwracała się do niego. Tylko ona używała kiedyś takiego zdrobnienia. - Nikt nie zwracał się do mnie w ten sposób, odkąd

odszedłem. Teraz dopiero wiem, że jestem w domu. Jak się miewa rodzina? Co z matką? Z Willamarem?

- Oboje zdrowi. Matka napędziła nam strachu parę lat temu, ale Zelandoni użyła specjalnej magii i teraz już wszystko w porządku. Chodź, sam zobaczysz - dodała Folarę, chwytając brata za rękę i prowadząc ścieżką pod górę.

Jondalar odwrócił się i pomachał do Ayli, próbując dać jej znak, że za chwilę wróci. Nie chciał zostawiać jej teraz samej ze zwierzętami, ale przede wszystkim musiał spotkać się z matką, na własne oczy zobaczyć, czy nic jej nie dolega. Zaniepokoili go słowa Folarę o "napędzeniu strachu"; zresztą i tak sprawa wprowadzenia zwierząt do obozu wymagała konsultacji z mieszkańcami. Zdążyli już z Aylą zauważyć, jak bardzo dziwnym i przerażającym doświadczeniem jest dla większości ludzi spotkanie z wilkiem czy koźmi, które nie uciekają na ich widok.

A przecież człowiek tak dobrze znał zwierzęta. Wszyscy, których Jondalar i Ayla spotkali podczas swej Podróży, potrafili polować, większość zaś oddawała zwierzynie lub jej duchom religijną cześć. Dziko żyjące istoty od niepamiętnych czasów były przedmiotem uważnej obserwacji. Ludzie zdążyli więc poznać ich zwyczaje i upodobania, szlaki migracyjne i pory letnich wędrówek, wiedzieli, kiedy rozpoczynają się okresy godowe u poszczególnych gatunków i kiedy nadchodzi czas na rodzenie młodych. A jednak nikomu nie przychodziło jakoś do głowy, że można choćby dotknąć żywego zwierzęcia w przyjazny sposób. Nikt nie próbował obwiązywać głowy czworonoga linką i prowadzić go ze sobą. Nikt nie usiłował oswojać dzikiej bestii, ani nawet wyobrażać sobie, że w ogóle jest to możliwe.

Pobratymcy Jondalare cieszyli się z jego powrotu z Podróży - zwłaszcza że niewielu z nich spodziewało się ujrzeć go żywym - lecz oswojone zwierzęta były tak niezrozumiałym fenomenem, że niemal wszyscy zareagowali na ich widok strachem. Stanowiły zjawisko tak dziwaczne i przekraczające zdolność pojmowania, że nie mogło być naturalne. A skoro tak, musiało być nienaturalne, wręcz nadnaturalne. Jedynym powodem, dla którego większość obecnych nie uciekła w popłochu, by szukać schronienia, i nie próbowała zabić budzących lęk stworzeń, był fakt, że Jondalar, którego tak dobrze znali, sam je tu przyprowadził, a teraz szedł z siostrą spokojnie ścieżką znad Leśnej Rzeki, skąpany w ciepłym blasku słońca.

Folarę wykazała się sporą odwagą, występując przed tłumem i biegnąc bratu na spotkanie, lecz była to brawura właściwa tylko młodemu. Dziewczyna tak bardzo tęskniła za ulubionym bratem, że dłużej po prostu nie mogła czekać. A Jondalar nie wyglądał przecież na przerażonego obecnością zwierząt i nigdy nie pozwoliłby, by jego siostra znalazła się w prawdziwym niebezpieczeństwie.

Ayla przyglądała się z dołu, jak ludzie otaczają powracającego, przytulają go, uśmiechają się, całują, poklepując, wymieniając uściski obu rąk i niezrozumiałe z tej odległości słowa. Wypatrzyła wyjątkowo tęgą kobietę, mężczyznę o ciemnych włosach, którego Jondalar serdecznie objął, oraz starszą kobietę, którą powitał ciepło, otaczając ramieniem. To pewnie jego matka, pomyślała, i zaraz zaczęła zastanawiać się, co też pomyśli o niej sędziwa niewiasta.

Była to rodzina Jondalara, jego krewni, przyjaciele, ludzie, z którymi dorastał. Ayla zaś była przybyszem, niepokojącym przybyszem sprowadzającym obłąskawione zwierzęta, a wraz z nimi zapewne także obce zwyczaje i niemożliwe do przyjęcia idee. Czy są w stanie ją zaakceptować? A jeśli nie? Nie było odwrotu. Lud Ayli pozostał zbyt daleko, o rok wędrówki na wschód. Jondalar obiecał jej wprawdzie, że odejdzie wraz z nią, jeśli tylko zechce - lub zostanie zmuszona - opuścić te strony, ale to było przedtem, zanim doszło do tego serdecznego powitania. Co myślał teraz?

Poczuła na plecach lekkie szturchnięcie i sięgnęła ręką za siebie, by pogłodzić mocny kark Whinney. Była wdzięczna za ten gest przyjaźni, który przypomniał jej, że nie jest sama. Gdy mieszkała w dolinie, wkrótce po opuszczeniu Klanu, przez dłuższy czas klacz była jej jedyną towarzyszką. Ayla nie wyczuła, że sznurek służący za wodze zwisa luźno, póki Whinney nie stanęła tuż za nią, na wszelki wypadek dała jednak nieco więcej swobody Zawodnikowi. Klacz i jej potomek zwykle odnosili się do siebie przyjaźnie i wzajemnie dodawali sobie odwagi, lecz okres godowy, który niedawno dobiegł końca, wyraźnie zakłócił ich zwykłą zażyłość.

Coraz więcej ludzi - jakim cudem mogło ich być aż tak wielu? - spoglądało w stronę Ayli. Tymczasem Jondalar, pogrążony w szczerą rozmowę z mężczyzną o ciemnobrązowych włosach, tylko machnął ku niej ręką i uśmiechnął się. Kiedy wreszcie ruszył ścieżką w dół, towarzyszyła mu młoda kobieta, ów nieznajomy i kilkoro innych mieszkańców osady. Ayla wzięła głęboki wdech i zastygła w oczekiwaniu.

Im bliżej podchodziła grupka prowadzona przez Jondalara, tym głośniejszy warkot wydobywał się z zębatej paszczy wilka. Kobieta schyliła się, by przytrzymać zwierzę przy nodze.

- Już dobrze, Wilku. To tylko krewni Jondalara - powiedziała cichym, spokojnym głosem.

Łagodny dotyk jej ręki był dla drapieżnika sygnałem: miał przestać warczeć i przybrać mniej groźny wygląd. Niełatwo było wpoić Wilkowi tę umiejętność, ale opłaciło się, pomyślała. Szczególnie w takiej chwili. Ayla żałowała jedynie, że nie zna takiego dotyku, który uspokoiłby ją samą.

Skromny orszak pod wodzą Jondalara zatrzymał się w bezpiecznej odległości. Zelandonii bardzo starali się nie okazywać lęku i nie przyglądać się zbyt ostentacyjnie zwierzętom, które bez

trwogi stały tam, gdzie im kazano, i otwarcie patrzyły prosto w oczy obcych ludzi. Jondalar wystąpił o krok przed delegację swoich pobratymców.

Wydaje mi się, Joharranie, że powinniśmy zacząć od oficjalnego powitania - powiedział, odwracając się w stronę ciemnowłosego mężczyzny.

Ayla wypuściła z dłoni linki, szykując się do formalnej ceremonii wymagającej użycia obu rąk. Konie cofnęły się o krok, za to wilk nawet nie drgnął. Jasnowłosa kobieta zauważyła błysk strachu w oczach Joharrana - choć, sądząc po jego posturze, wątpiła, by wiele było rzeczy, które wzbudzają w nim obawę - i natychmiast przeniosła wzrok na Jondalara, zastanawiając się, jakiemu celowi ma służyć tak szybko zaaranżowane oficjalne powitanie. Mierząc nieznajomego uważnym spojrzeniem, odkryła nagle, jak bardzo jest podobny do Bruna, przywódcy klanu, w którym dorastała: potężny, dumny, inteligentny i nieustraszony - jeśli nie liczyć kontaktów ze światem duchów.

- Aylo, oto Joharran, przywódca Dziewiątej Jaskini Zelandonii, syn Marthony, byłej przywódczyni Dziewiątej Jaskini, zrodzony przy ognisku Joconana, byłego przywódcy Dziewiątej Jaskini - oznajmił z powagą płowowłosego mężczyzna, po czym wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Nie wspominając już o tym, że to brat Jondalara, Wędrowcy Do Dalekich Ziem.

Krewni uśmiechnęli się przelotnie. Dowcipny komentarz Jondalara rozładował nieco napięcie. Podczas formalnej prezentacji należało w zasadzie wymienić pełną listę imion i więzów rodzinnych, podkreślających pozycję danej osoby, a także tytułów honorowych i osiągnięć. Co więcej, w niektórych przypadkach nie zapominano nawet o ważniejszych krewnych i szczegółowym wyliczeniu ich zasług. W praktyce tak pełnej prezentacji dokonywano jedynie podczas najbardziej uroczystych spotkań; zwykle zaś zadowalano się wymienieniem najważniejszych imion i koneksji. Jednakże nie należało do rzadkości dodawanie żartobliwych uwag do długich i często nudnych recytacji, a tym razem Jondalarowi zależało na tym, by przypomnieć bratu o dawnych dobrych czasach, kiedy na jego barkach nie spoczywał jeszcze ciężar odpowiedzialności za Dziewiątą Jaskinię.

- Joharranie, oto Ayla z Obozu Lwa Mamutoi, córka Ogniska Mamuta, wybrana przez Ducha Lwa Jaskiniowego i chroniona przez Niedźwiedzia Jaskiniowego.

Mąż o ciemnokasztanowych włosach zbliżył się do Ayli i wyciągnął ku niej otwarte, uniesione dłonie, w powszechnie znanym geście powitania i przyjaźni. Żaden z tytułów wymienionych przez Jondalara nie był mu znany, toteż zastanawiał się, który z nich może być najważniejszy.

W imieniu Doni, Wielkiej Matki Ziemi, witam cię, Aylo z Mamutoi, córko Ogniska Mamuta - odezwał się wreszcie.

Ayla uścisnęła jego dłoń.

W imieniu Mut, Wielkiej Matki Wszystkich, pozdrawiam cię, Joharranie, przywódco Dziewiątej Jaskini Zelandonii - odpowiedziała i uśmiechnęła się figlarnie. - Oraz bracie Wędrowca Jondalara - dodała.

Joharran zauważył najpierw, że kobieta dobrze mówi jego językiem, choć z niezwykłym akcentem. Potem dotarło do niego, że ma na sobie dziwne ubranie i w ogóle wygląda tak, jakby przybyła z dalekich stron, lecz kiedy się uśmiechnęła - odpowiedział uśmiechem. Uczynił to nie tylko dlatego, że doceniał jej zrozumienie dla żartu jego brata, ale także dlatego, że dała mu znać, jak bardzo zależy jej na Jondalarze. Przede wszystkim jednak odwzajemnił uśmiech dlatego, że po prostu nie potrafił oprzeć się jej urokowi.

Ayla była bowiem atrakcyjną kobietą wedle wszelkich standardów: wysoką, o krzepkim i kształtnym ciele, długich, ciemnoblonde, lekko falujących włosach, jasnych, niebieskoszarych oczach i urodziwej twarzy o rysach nieznacznie odmiennych od tych, które wyróżniały lud Zelandonii. Kiedy uśmiechnęła się, zdawało się, że to słońce rozświetla ją od wewnątrz - jaśniała tak niespotykaną pięknnością, że Joharran nieświadomie wstrzymał oddech. Jondalar zawsze uważał, że uśmiech jego kobiety jest nadzwyczajny, toteż z rozbawieniem obserwował swego brata, najwyraźniej nieodpornego na czar Ayli.

Joharran zauważył, że ogier drepcze nerwowo w miejscu i macha łbem w stronę Jondalara. Uważnie przyjrzał się wilkowi.

- Mój brat powiada, że trzeba będzie przygotować... hmm... mieszkanie dla tych zwierząt. I to gdzieś blisko, jak sądzę. - Byle nie zbyt blisko, dodał w duchu.

- Koniom wystarczy kawałek łąki w pobliżu wodopoju, ale musimy ostrzec waszych ludzi, żeby nie próbowali podchodzić do nich zbyt blisko, chyba że w towarzystwie Jondalara lub moim. Whinney i Zawodnik będą niespokojni, póki nie przyzwyczają się do nowych twarzy - powiedziała Ayla.

W takim razie nie widzę problemu - rzekł Joharran, kątem oka dostrzegając nerwowe ruchy ogona Whinney. - Mogą zostać tutaj, jeżeli wystarczy im ta mała dolinka.

Wystarczy - zapewnił go Jondalar. - Chociaż moglibyśmy odprowadzić konie nieco dalej w górę rzeki, na ubocze.

Wilk przyzwyczał się do spania blisko mnie - ciągnęła Ayla. Nie umknęło jej uwagi, że Joharran lekko zmarszczył brwi. - Jest bardzo opiekuńczy i może sprawiać kłopoty, jeśli nie pozwolimy mu na to.

Teraz, gdy czoło zmartwionego przywódcy pokryło się zmarszczkami, doskonale widziała jego podobieństwo do brata i z trudem powstrzymała uśmiech. Joharran miał poważny problem; to

nie był odpowiedni moment na żarty, nawet jeśli jego twarz wywoływała tak ciepłe skojarzenia z Jondalarem.

Jondalar także dostrzegł troskę brata.

- Moim zdaniem to najlepsza chwila, by przedstawić Joharrana Wilkowi - rzekł z namysłem.

Strach rozszerzył oczy przywódcy, lecz nim mężczyzna zdążył zaprotestować, Ayla chwyciła jego dłoń i przykucnęła obok mięsożernego przyjaciela. Objęła ramieniem potężny kark wilka, aby uciszyć przybierający na sile warkot. Nawet ona wyczuwała strach Joharrana; nie miała więc wątpliwości, że czuje go także Wilk.

- Najpierw pozwól mu powąchać swoją rękę - powiedziała spokojnie. - Dla Wilka będzie to oficjalna prezentacja. - Drapieżca wiedział już z doświadczenia, że dla Ayli jest rzeczą niezwykle ważną, by do stada ludzi, których akceptował, przyjmował wszystkie przedstawiane mu w ten sposób osoby. Nie podobał mu się zapach strachu, ale pokornie obwąchał dłoń mężczyzny, tym samym zawierając z nim znajomość.

- Dotykałeś kiedyś sierści żywego wilka, Joharranie? - spytała Ayla, spoglądając w górę, prosto w oczy przywódcy. - Zauważ, że jest dość szorstka - kontynuowała, ostrożnie kładąc jego rękę na splecionej sierści porastającej szyję zwierzęcia. - Jeszcze nie skończył linieć i swędzi go skóra, dlatego ostatnio uwielbia, kiedy drapie się go między uszami - dodała, pokazując mężczyźnie, co ma czynić.

Joharran dotknął futra, jednak to nie szorstkość włosa, ale ciepło bijące od skóry uświadomiło mu w pełni, że naprawdę ma przed sobą żywego wilka! Wilka, który, jak się zdawało, nie miał nic przeciwko temu, by go dotykano.

Ayla zauważyła, że dłoń przywódcy nie jest już taka sztywna i że nieśmiało próbuje on masować miejsce, które wskazała.

- Pozwól mu znowu powąchać swoją rękę.

Joharran zbliżył dłoń do nosa Wilka i tym razem jego oczy rozszerzyło jeszcze większe zdumienie.

- Polizał mnie! - zawołał cicho, nie wiedząc do końca, czy fakt ten zapowiada coś dobrego, czy też wręcz przeciwnie. Uspokoił się nieco, gdy zobaczył, że zwierz liże teraz twarz Ayli, wielce zadowolonej z tego dowodu zażyłości.

Tak, Wilku, byłeś grzeczny - powiedziała, uśmiechając się, tuląc czworonoga i mierzwiąc przyjaźnie jego sierść.

Po chwili wstała i lekko klepnęła się dłońmi w barki. Wilk natychmiast stanął na tylnych łapach, przednie opierając dokładnie w tym miejscu, które mu wskazała. Ayla odsoniła gardło, a

drapieżnik polizał je, po czym z wielką delikatnością ujął w zęby cały jej podbródek, warcząc z cicha.

Jondalar zauważył, że Joharran i pozostali na moment znieruchomieli z wrażenia. Zdał sobie sprawę, jak bardzo przerażający musi być ten pokaz wilczej sympatii w oczach ludzi, którzy nie rozumieli jego sensu. Brat spojrział na niego ze zdumieniem zmieszonym z obawą.

- Co on jej robi?

- Jesteś pewien, że nic złego się nie stanie? - spytała niemal równocześnie Folarą.

Nie mogła już ustać w miejscu; pozostali członkowie delegacji także nerwowo przestępowali z nogi na nogę.

Jondalar uśmiechnął się pogodnie.

- Ależ oczywiście. Ayli nic się nie stanie. On ją kocha i nigdy nie zrobiłby jej krzywdy. W taki sposób wilki okazują swoją miłość. Minęło sporo czasu, zanim się do tego przyzwyczyłem, a przecież znam Wilka równie długo jak Ayla - odkąd przyniosła go do obozu jako małe kosmate szczenię.

- Ale on już nie jest szczeniakiem! To dorosły wilk! Największy, jakiego w życiu widziałem! - zawołał Joharran. - Mógłby rozszarpać jej gardło!

To prawda, zrobiłby to z łatwością. Widziałem nawet, jak rozrywał kłami gardło pewnej kobiety... kobiety, która próbowała zabić Aylę - odrzekł Jondalar. - Wilk zawsze broni swojej pani.

Przyglądający się niecodziennej scenie Zelandonii wydali z siebie chóralne westchnienie ulgi, gdy wilk opadł na cztery łapy i posłusznie stanął u boku Ayli, z otwartym pyskiem i zwisającym na bok jęzorem, szczerząc wielkie zęby. Jondalar zwykł był na własny użytek określać ową "minę" mianem "wilczego uśmiechu". I rzeczywiście, zwierz sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie.

- Czy on to robi przy każdej okazji? - spytała niepewnie Folarą. - I... z każdym?

- Nie - odparł Jondalar. - Tylko z Aylą i od czasu do czasu ze mną, ale jedynie wtedy, kiedy jest wyjątkowo szczęśliwy i pozwolimy mu na to. Jest dobrze wychowany, nie robi nikomu krzywdy... chyba że Ayla znajdzie się w niebezpieczeństwie.

- A co z dziećmi? - indagowała Folarą. - Wilki często atakują najstarsze i najmłodsze zwierzęta.

Wzmianka o dzieciach pogłębiła troskę malującą się na twarzach najbliżiej stojących Zelandonii.

- Wilk uwielbia dzieci - odpowiedziała szybko Ayla - i jest wobec nich bardzo opiekuńczy. Szczególnie wobec tych najstarszych i najmłodszych. Wychowywał się razem z dziećmi w Obozie Lwa.

- Był tam pewien bardzo, bardzo słaby i chorowity chłopiec, który należał do Ogniska Lwa  
- dodał Jondalar. - Szkoda, że nie widzieliście, jak się razem bawili. Wilk był przy nim bardzo ostrożny.

- To naprawdę niezwykle zwierzę - odezwał się inny mężczyzna. - Trudno uwierzyć, że wilk może zachowywać się w tak... niewilczy sposób.

- Masz rację, Solabanie - przyznał Jondalar. - Rzeczywiście zachowuje się w sposób, który nam, ludziom, może się wydawać niewilczy, ale gdybyśmy sami byli wilkami, nie myślelibyśmy tak. Nasz przyjaciel wychował się między ludźmi i zdaniem Ayli uważa ludzi za swoją sforę. Traktuje ich tak, jakby byli wilkami.

- Potrafi polować? - zainteresował się mężczyzna, którego Jondalar nazwał Solabanem.

Tak - odrzekła Ayła. - Czasami poluje sam, tylko dla siebie, a kiedy indziej pomaga nam w łowach.

- A skąd wie, na które zwierzęta wolno mu polować, a na które nie? - spytała Folarą. - Nie rzuca się przecież na wasze konie.

Ayła uśmiechnęła się lekko.

- Konie też należą do jego sfory. Zwróć uwagę, że nie boją się go ani trochę... Nie poluje także na ludzi. Ale to jedyne wyjątki - potrafi zabijać wszelkie inne zwierzęta, chyba że mu zabronię.

Kiedy mówisz "nie", zostawia w spokoju inne zwierzęta? - spytał z niedowierzaniem kolejny mężczyzna.

- Zgadza się, Rushemarze - potwierdził Jondalar.

Mężczyzna w zadziwieniu pokręcił głową. Trudno było przyjąć za prawdę twierdzenie, że ktokolwiek mógł do tego stopnia kontrolować poczynania potężnego czworonożnego łowcy.

- Co powiesz, Joharranie? - odezwał się po chwili Jondalar. - Myślisz, że bezpiecznie będzie wprowadzić do osady Ayłę i Wilka?

Przywódca zastanawiał się przez moment, nim skinął głową.

- Jeśli jednak dojdzie do nieprzyjemnych incydentów...

- Nie dojdzie, Joharranie - zapewnił go stanowczo Jondalar, po czym zwrócił się do Ayli: - Moja matka zaprosiła nas do siebie. Folarą nadal z nią mieszka, ale ma swoje pomieszczenie, podobnie jak Marthona z Willamarem, który akurat wybrał się z misją handlową. Matka zaoferowała nam centralną część mieszkalną... Choć oczywiście możemy zatrzymać się przy ognisku gości u Zelandoni, jeśli wolisz.

- Z przyjemnością zamieszkać u twojej matki, Jondalarze - odpowiedziała Ayła.



- Świetnie! Matka sugerowała też, żebyśmy zaczekali z najbardziej oficjalnymi powitaniami do czasu, aż rozgościmy się na dobre. Zresztą nie ma potrzeby przedstawiania mnie komukolwiek, a jeśli chodzi o ciebie, to lepiej chyba będzie poczekać i zaprezentować cię wszystkim mieszkańcom osady jednocześnie niż każdemu z osobna.

- Zamierzamy urządzić dziś wieczorem ucztę powitalną - zdradziła Folarę. - I być może wkrótce potem jeszcze jedną, dla wszystkich Jaskiń z okolicy.

- Doceniam gościnność twojej matki, Jondalarze. Rzeczywiście, łatwiej będzie spotkać się ze wszystkimi naraz, ale wypadałoby, żebyś już teraz przedstawił mnie tej młodej kobiecie - przypomniała Ayła.

Folarę uśmiechnęła się do niej.

- Naturalnie. Właśnie zamierzałem - odparł szybko Jondalar. - Aylo, oto moja siostra Folarę, poświęcona przez Doni, z Dziewiątej Jaskini Zelandonii, córka Marthony, byłej przywódczyni Dziewiątej Jaskini, zrodzona przy ognisku Willamara, Wędrowca i Mistrza Handlu, siostra Joharrana, przywódcy Dziewiątej Jaskini, siostra Jondalara...

- O tobie wie zapewne wszystko, Jondalarze, a ja słyszałam już jej imiona i tytuły - przerwała mu Folarę, zniecierpliwiona formalnościami, po czym wyciągnęła ręce ku Ayli. - W imieniu Doni, Wielkiej Matki Ziemi, witam cię, Aylo z Mamutoi, przyjaciółko koni i wilków.

Ludzie zgromadzeni na skąpanych w słońcu półkach skalnych cofnęli się szybko, gdy ujrzeli, że kobieta i jej wilk ruszają ścieżką ku górze wraz z Jondalarem i skromną grupą witających. Nieliczni odważyli się postąpić o krok naprzód; pozostali tylko wyciągali szyje, próbując dostrzec coś zza ich pleców. Kiedy wspinaczka dobiegła końca i Ayła stanęła na szczycie, spojrzała po raz pierwszy na siedlisko Dziewiątej Jaskini Zelandonii. Widok, który rozpostarł się przed nią, był zaskakujący.

Wprawdzie wiedziała od dawna, że wyraz "Jaskinia" pojawiający się w nazwie osady, z której wywodził się Jondalar, nie odnosił się do samego miejsca, lecz do grupy ludzi, którzy je zamieszkiwali, ale teraz przekonała się, iż miejsce owo w ogóle nie było jaskinią w znanym jej rozumieniu tego słowa. Tradycyjna jaskinia była bowiem ciemnym pomieszczeniem lub serią komór ukrytych w stromym zboczu góry lub pod ziemią. Tymczasem osada Zelandonii powstała pod abri - gigantycznym nawisem skalnym, będącym częścią wapiennego urwiska, zapewniającym mieszkańcom ochronę przed deszczem i śniegiem, a jednocześnie dopuszczającym mnóstwo światła dziennego.

Strome skały w tej okolicy były niegdyś fragmentami podmorskich równin i uskoków. Bogate w wapń szczątki skorupiaków zamieszkujących ów praocean odkładały się stopniowo na dnie i z czasem tworzyły się z nich pokłady wapienia, złożone głównie z węglanu wapnia. Z

rozmaitych powodów zdarzały się takie okresy, w których powstawały grube warstwy skał twardszych, w innych wapień pochodzenia organicznego był bardziej miękki. Kiedy zaś ruchy tektoniczne sprawiły, że dno morskie wypiętrzyło się i utworzyło strome urwiska, proces erozji dotknął przede wszystkim tych mniej odpornych warstw - woda i wiatr wydrążyły w skałach głębokie nisze, oddzielone pokładami twardszego wapienia.

I choć urwiska pełne były normalnych jaskiń, spotykanych powszechnie w pokładach wapiennych, to te niezwykle, olbrzymie półki skalne zapewniały znacznie lepsze schronienie i ukryte w ich cieniu osady powstawały w tej okolicy już od wielu tysięcy lat.

Jondalar poprowadził Aylę ku starszej kobiecie, którą widziała już z daleka, gdy stała jeszcze u początku ścieżki. Wysoka i pełna godności niewiasta czekała cierpliwie na przybyszów. Jej włosy, bardziej szare niż jasnobrązowe, zaplecione w długi warkocz, zostały misternie zwinięte w kok z tyłu głowy. Bystre, szeroko otwarte oczy również błyszczały jasnym odcieniem szarości.

Gdy stanęli przed nią, Jondalar rozpoczął ceremonię formalnego powitania.

- Aylo, oto Marthona, była przywódczyni Dziewiątej Jaskini Zelandonii, córka Jemary, zrodzona przy ognisku Rabanara, poślubiona Willamarowi, Mistrzowi Handlu Dziewiątej Jaskini, matka Joharrana, przywódcy Dziewiątej Jaskini, matka Folary, poświęconej przez Doni, matka...

- Mężczyzna chciał powiedzieć "Thonolana", ale zreflektował się i szybko dokończył: - ... Jondalara, Wędrowca Który Powrócił. - Teraz partner Ayli zwrócił się w stronę swej matki.

- Marthono, oto Ayla z Obozu Lwa Mamutoi, córka Ogniska Mamuta, wybrana przez Ducha Lwa Jaskiniowego, chroniona przez Ducha Niedźwiedzia Jaskiniowego.

Marthona wyciągnęła przed siebie obie ręce.

W imieniu Doni, Wielkiej Matki Ziemi, witam cię, Aylo z Mamutoi.

- W imieniu Mut, Wielkiej Matki Wszystkich, pozdrawiam cię, Marthono z Dziewiątej Jaskini Zelandonii, matko Jondalara - odpowiedziała Ayla, podając jej dłonie.

Słuchając jej słów, była przywódczyni zastanawiała się nad dziwnym akcentem, zauważając jednocześnie, jak dobrze młoda kobieta posługiwała się mową ludu Zelandonii. Wreszcie doszła do wniosku, że musi to być wpływ lekkiej wady wymowy lub posługiwania się przez lata językiem zupełnie odmiennym, używanym gdzieś w dalekich stronach świata. Marthona uśmiechnęła się serdecznie.

- Przebyłaś długą drogę, Aylo, zostawiwszy za sobą wszystkich, których znałaś i kochałaś. Nie wydaje mi się, żeby Jondalar powrócił kiedykolwiek w rodzinne strony, gdybyś tego nie uczyniła. Dlatego jestem ci wdzięczna i mam nadzieję, że wkrótce poczujesz się u nas jak w domu. Zrobię wszystko, żeby pomóc ci w osiągnięciu tego celu.

Ayla wyczuwała szczerą intencję matki Jondalara. Takiej otwartości nie można udawać; kobieta autentycznie radowała się powrotem syna. Ayla poczuła ogromną ulgę i wzruszenie ciepłym powitaniem ze strony Marthony.

- Niecierpliwie oczekiwałam tego spotkania, odkąd Jondalar pierwszy raz wspomniał mi o tobie... ale przyznaję, że trochę się bałam - odpowiedziała z równie rozbijającą szczerością.

- Nie mogę mieć o to pretensji. Sama nie czułabym się najlepiej, będąc teraz na twoim miejscu. Chodźcie, pokażę wam, gdzie możecie położyć swoje rzeczy. Na pewno jesteście zmęczeni i przyda wam się odpoczynek przed wieczorną ucztą powitalną - rzekła Marthona, odwracając się, by poprowadzić gości pod skalny nawis.

W tej samej chwili Wilk zaczął skomleć, szczechnął raz cicho, niczym rozochocony szczeniak, a następnie wyciągnął się na przednich łapach, zadzierając ogon ku górze i wymachując nim zabawnie.

- Co on wyrabia? - spytał niespokojnie Jondalar. Zdziwiona Ayla spojrzała na Wilka, ale on nie zamierzał zmieniać pozycji. Wreszcie uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Zdaje się, że próbuje zwrócić na siebie uwagę Marthony - powiedziała uspokajająco. - Myśli, że go nie zauważyła, a bardzo chciałby ją poznać.

- Ja też chciałabym go poznać - stwierdziła nieoczekiwanie Marthona.

- Nie boisz się go! - zawołała zaskoczona Ayla. - I on to wyczuwa.

- Obserwowałam was i nie widzę powodu, żeby się bać - odrzekła kobieta, wyciągając rękę ku wilkowi.

Ten powąchał dłoń, polizał ją i znowu zaskomlał.

- Chyba chce, żebyś go dotknęła. Uwielbia, kiedy ludzie, których polubił, okazują mu zainteresowanie.

- Lubisz takie pieszczoty, prawda? - spytała cicho Marthona, delikatnie głaszcząc czworonoga. - Wilk? Tak go nazwałaś?

Tak. Wydawało mi się, że to najodpowiedniejsze imię - wyjaśniła Ayla.

- Nigdy dotąd nie widziałem, żeby zaprzyjaźnił się z kimś tak szybko - rzekł Jondalar, spoglądając na matkę z niekłamany podziwem.

- Ja też nie - przyznała po chwili Ayla, obserwując z przyjemnością Marthonę i wilka. - Może po prostu jest szczęśliwy, że wreszcie spotkał kogoś, kto nie czuje przed nim lęku?

Gdy weszli w cień masywnej, wiszącej skały, Ayla poczuła natychmiastowy spadek temperatury. Drgnęła, czując nagły dreszcz strachu, i zadarła głowę ku kamiennemu stropowi, wznoszącemu się ukośnie od skalnej podstawy ku niebu. Zastanawiała się, czy ta niezmiernie duża masa wapienia pewnego dnia nie pogrzebie pod sobą osady. Kiedy jej oczy przyzwyczyły się

wreszcie do nieco przytłumionego światła, rozejrzała się i musiała przyznać w duchu, że nie tylko groźne piękno skalnego nawisu zasługiwało na jej podziw. Przestrzeń, która zawierała się pod nim, była rozległa; znacznie większa niż wydawało się na pierwszy rzut oka.

Ayla widziała już podobne nisze w pobliżu brzegów rzeki, wzdłuż której wędrowali przez krainę Zelandonii - niektóre wyglądały na zamieszkane, ale żadna z nich nawet w przybliżeniu nie dorównywała rozmiarami tej, w której mieszkali pobratymcy Jondalara. Potężna skała i ludna osada, która znalazła pod nią schronienie, były znane w całym regionie. Dziewięta Jaskinia była zdecydowanie najliczniejszą społecznością spośród wszystkich, które określały się mianem Zelandonii.

Przy wschodnim krańcu osłoniętej przed deszczem i śniegiem przestrzeni skupiono wzniesione ludzką ręką budowle, niektóre oparte o skalną ścianę, inne wolno stojące. Wiele z nich miało imponujące rozmiary, a wszystkie wybudowano po części z kamienia i drewnianych ram obciągniętych skórą. Owe skóry ozdobiono przepięknymi rysunkami zwierząt i najrozmaitszych abstrakcyjnych symboli, wypełnionymi czarnym, czerwonym, żółtym i brązowym barwnikiem. Budowle ustawiono w łuk otwarty ku zachodowi, tak że pośrodku niszy utworzyła się rozległa, otwarta przestrzeń, pełna zajętych czymś ludzi i przeróżnych przedmiotów.

Ayla wyteżyła wzrok i to, co przez chwilę wydawało jej się chaotyczną mieszaniną rzeczy i ludzi, zmieniło się powoli w logiczny układ wydzielonych miejsc, w których wykonywano ściśle określone zadania, często rozlokowanych po sąsiedzku, jeśli owe zadania miały ze sobą coś wspólnego. Przelotne wrażenie chaosu wywołał fakt, że tłum ludzi wykonywał tyle czynności jednocześnie.

Ujrzała wyprawiane skóry rozwieszane na ramach i długie drzewce włóczni, które poddawano prostowaniu przez rozłożenie na specjalnej poprzeczce, wspartej o dwa pionowe słupki. Inny kąt wypełniały plecione koszyki w różnych fazach wykończenia, natomiast między kościanymi palikami suszyły się rozciągnięte rzemienie. Kłęby lin zwisały z kołków wbitych w poprzeczne belki ponad nie dokończonymi sieciami, które rozciągnięto na drewnianych rusztowaniach. Skóry, farbowane na wiele kolorów, nie wyłączając licznych odcieni czerwieni, leżały pocięte na stosowne części, obok zaś wisały niemal ukończone ubrania.

Ayla rozpoznała większość rzemiosł, którymi trudnili się mieszkańcy osady, lecz w pobliżu stanowiska, przy którym szyto stroje, jej uwagę przykuło coś, czego nie widziała nigdy przedtem. Na drewnianej ramie rozpięto pionowo mnóstwo cieniutkich linek, a włókna wplatane poziomo w tę osnowę tworzyły już częściowo ukończony wzór. Znachorka chciała podejść bliżej i przyjrzeć się tajemniczej konstrukcji, ale na razie mogła jedynie obiecać sobie, że wróci tu później. Kawałki drewna, kamienia, kości, rogu i mamucich ciosów składowano w innym miejscu, gdzie rzeźbiono z

nich przydatne drobiazgi: chochle, łyżki, miski, szczypce i broń. Większość tych wyrobów zdobiono kunsztownymi żłobieniami, niekiedy wypełniając je barwnikiem. Pewną liczbę kawałków materiału przeznaczono do innych celów: wyrzeźbione z nich figurki z pewnością nie miały być narzędziami; ich przeznaczenie trudno było rozszyfrować.

Ayla zobaczyła też warzywa i zioła rozwieszane na rusztowaniach z licznymi poprzeczkami, bliżej podłóża zaś - suszące się kawałki mięsa. Nieco na uboczu znajdowała się wydzielona część obozowiska usiana ostrymi odłamkami skał. To dla takich jak Jondalar, pomyślała. Dla łupaczy krzemienia, twórców narzędzi, noży i grotów włóczni.

Wszędzie, gdzie spojrzała, widziała ludzi. Społeczność, która zamieszkiwała olbrzymią niszę pod skalnym nawisem, była niezwykle liczna. Ayla dorastała w klanie złożonym z niespełna trzydziestu osób. Na Zgromadzeniu Klanów, zwoływanym raz na siedem lat, na krótki czas zbierało się w jednym miejscu mniej więcej dwustu ludzi - dla Ayli był to ogromny tłum. I choć na Letnim Spotkaniu Mamutoi panował znacznie większy tłok, przytłaczały ją rozmiary społeczności Dziewiętej Jaskini Zelandonii, która w jednym miejscu gromadziła ponad dwieście osób - więcej niż całe Zgromadzenie Klanów!

Ayla nie potrafiła powiedzieć, ilu ludzi zebrało się dokoła i przyglądało przybyszom z zaciekawieniem, ale przypomniała sobie sytuację sprzed lat, kiedy wraz z klanem Bruna wkroczyła na teren Zgromadzenia i czuła wzrok wszystkich skupiony wyłącznie na sobie. Wówczas tłum przynajmniej udawał, że nie okazuje zainteresowania; tym razem, gdy szła z Marthoną, Jondalarem i Wilkiem ku jednej z kamiennych sadyb, nikt nawet nie silił się na podobną uprzejmość. Nikt nie spuszczał wzroku, nikt nie odwracał głowy. Ayla zastanawiała się, czy kiedykolwiek przyzwyczai się do życia w tak wielkim skupisku ludzi. Zastanawiała się też, czy naprawdę tego chce.

## ROZDZIAŁ 2

Otyła kobieta na moment uniosła głowę, kątem oka dostrzegając ruch masywnej skórzanej kotary rozciągniętej u wejścia, lecz niemal natychmiast spuściła wzrok, widząc nieznaną młodą blondynkę wyłaniającą się właśnie z domostwa Marthony. Otyła kobieta siedziała tam, gdzie zawsze: na podwyższeniu wykutym z jednej bryły wapienia, twardym i wystarczająco mocnym, by utrzymać jej niebywale obfite ciało. Wyłożone skórą kamienne siedzisko przyniesiono tu specjalnie dla niej i ustawiono dokładnie tak, jak sobie tego życzyła: przodem ku najgłębszej części niszy pod skalnym nawisem, by miała w zasięgu wzroku niemal całą przestrzeń zajmowaną pospołu przez wszystkich mieszkańców.

Wydawać się mogło, że kobieta medytuje, lecz w istocie nie był to pierwszy raz, gdy pod pozorem głębokiej zadumy dyskretnie obserwowała czyjeś poczynania. Z czasem ludzie nauczyli się nie przerywać jej rozmyślań, chyba że wydarzył się nagły wypadek. Dotyczyło to przede wszystkim tych nierzadkich okazji, kiedy biała płytka wycięta z mamuciego ciosu, którą nosiła na piersiach, odwrócona była gładką stroną na zewnątrz. Gdy widoczna była ta jej powierzchnia, którą pokryto symbolami i wizerunkami zwierząt, każdy mógł zbliżyć się i przemówić; odwrotne jej położenie oznaczało, że potężna kobieta nie życzy sobie, by jej przeszkadzano.

Tutejsza społeczność, Dziewiąta Jaskinia, tak przywykła do jej obecności, że w zasadzie nikt już nie zauważał milczącej kobiety, mimo jej władczygo wyglądu. Ona zaś nie miała nic przeciwko temu, co więcej, starała się utrzymać ten stan rzeczy. Jako przywódczyni duchowa największej grupy ludu Zelandonii uważała troszczenie się o dobrobyt podopiecznych za swój obowiązek i nie wahała się sięgać po najbardziej zaskakujące środki, jakie tylko zdołała wymyślić, by jak najlepiej wywiązywać się z tego zadania.

Obserwując młodą kobietę, która opuściła skalną niszę i skierowała się ku ścieżce wiodącej w dolinę, zauważyła nieomylnie znaki, dowodzące, że jej skórzana tunika powstała w dalekich stronach. Stara donier miała też świadomość, że nieznajoma porusza się z energią znamionującą siłę i zdrowie, a także z pewnością siebie niezwykłą u tak młodej osoby - szczególnie takiej, którą los rzucił pomiędzy obcych ludzi.

Zelandoni wstała i zbliżyła się w stronę jednej z wielu podobnych do siebie - choć różniących się rozmiarami - budowli mieszkalnych, wzniesionych w cieniu wielkiego, wapiennego abri. Stanąwszy u wejścia wyznaczającego granicę między prywatnym wnętrzem domostwa a dostępną dla wszystkich przestrzenią niszy, stuknęła palcami w płat sztywnej, nie wyprawionej skóry, zawieszony obok grubej zasłony. Niemal natychmiast usłyszała ciche kroki obutych w

miękkie futro stóp. Wysoki, jasnowłosy i zadziwiająco przystojny mężczyzna odchylił ciężką kotarę. Niezwykle, intensywnie błękitne oczy spojrzały na przybyłą z zaskoczeniem, lecz zaraz potem zapalił się w nich ciepły błysk.

- Zelandoni! Tak się cieszę, że cię widzę! - zawołał Jondalar. - Niestety, matka akurat wyszła...

- Dlaczego uważasz, że zamierzałam spotkać się z Marthoną? To ciebie nie było tu przez pięć lat - upomniała go ostro.

Mężczyzna poczerwieniał i nagle zabrakło mu słów.

- Co dalej? Kazesz mi stać w przejściu, Jondalarze?

- Och... Ależ nie, oczywiście, że nie. Wejdz, proszę - odrzekł, jak zwykle marszcząc brwi. Niepokój stał z jego twarzy resztkę ciepłego uśmiechu. Cofnął się o krok, przytrzymując kotarę jedną ręką, by wpuścić kobietę do izby.

Przez chwilę przyglądali się sobie nawzajem w milczeniu. Kiedy Jondalar opuszczał osadę, nie była jeszcze Pierwszą Wśród Tych Którzy Służą Matce. Miała pięć lat na to, by osiągnąć swą obecną pozycję - i osiągnęła ją. Zolena, którą znał, zmieniła się fizycznie: była teraz niesamowicie otyła. Wymiarami przewyższała inne kobiety dwu - lub trzykrotnie; jej piersi i pośladki były wprost olbrzymie. Miękką, okrągłą twarz podpirały trzy pulchne podbródki, ale niebieskie oczy spoglądały przenikliwie i nic nie mogło ujść ich uwagi. Donier zawsze była wysoka i mocno zbudowana, więc i teraz ze swoistym wdziękiem poruszała swym bujnym ciałem, choć jednocześnie dodawało jej ono prestiżu i powagi.

Odezwali się w tej samej chwili.

- Co mogę dla ciebie... - zaczął Jondalar.

- Nie zmieniłeś się...

- Przepraszam - powiedział dziwnie spięty, choć przecież nie przerwał jej wypowiedzi celowo. Dopiero gdy dostrzegł cień uśmiechu na jej wargach i znajome błyski w oczach, odprężył się nieco.

- Cieszę się, że znowu się widzimy... Zoleno - odezwał się po chwili. Zmarszczki znaczące jego czoło wygładziły się, a na usta powrócił lekki uśmiech. Uwodzicielskie spojrzenie, którym potrafił zniewalać kobiety, znowu było pełne ciepła i miłości.

- Nie zmieniłeś się zbyttnio - zauważyła, czując, że urok Jondalara budzi w niej wspomnienia sprzed lat. - Już od dawna nikt nie nazywał mnie Zolena - dodała, mierzając mężczyznę uważnym spojrzeniem. - A jednak jest w tobie coś nowego. Wydoroślałeś. I jesteś jeszcze przystojniejszy niż dawniej...

Chciał zaprotestować, ale uciszyła go, kręcąc energicznie głową.

- Nie zaprzeczaj, Jondalarze. Przecież wiesz, że to prawda. Ale jest w tobie jeszcze coś innego... Wyglądasz... Nie wiem, jak to ująć w słowa.... W twoich oczach nie ma już tego pragnienia, tego pożądania, które każda kobieta chciałaby zaspokoić. Myślę, że znalazłeś to, czego tak długo szukałeś. Jesteś szczęśliwy w taki sposób, jakiego jeszcze nie doświadczałeś.

- Nigdy nie potrafiłem niczego przed tobą ukryć - wyznał, uśmiechając się z niemal dziecięcym zadowoleniem. - Mam Aylę. Zamierzamy połączyć się tego lata podczas ceremonii Zaślubin. Mogliśmy to zrobić przed wyruszeniem w drogę powrotną albo podczas wędrówki, ale bardzo chciałem poczekać, aż dotrzemy do domu, żebyś właśnie ty mogła zawiązać rzemień wokół naszych nadgarstków i zawiązać węzeł.

Gdy tylko zaczął mówić o Zaślubinach, wyraz jego twarzy zmienił się zupełnie, a Zelandoni natychmiast wyczuła prawie obsesyjną miłość, którą Jondalar darzył kobietę imieniem Ayla. Zmartwił ją ten fakt i obudził z letargu ów instynkt ochronny, którym otaczała swój lud - a szczególnie tego mężczyznę - jako głos, namiastka i instrument Wielkiej Matki Ziemi. Dobrze знаła potężne uczucia, z którymi zmagał się niegdyś dojrzewający syn Marthony i które wreszcie nauczył się kontrolować. Wiedziała też, że kobieta, którą kochał tak bardzo, może zadać mu niewysłowiony ból, nawet zniszczyć go, gdyby zechciała. Oczy Zelandoni zwięzły się w szparki. Chciała wiedzieć więcej o tej młodej blondynce, która zawładnęła bez reszty sercem Jondalara. Jaką władzę miała nad jego duszą?

- Skąd pewność, że ona jest dla ciebie stworzona? Gdzie się poznaliście? Ile tak naprawdę o niej wiesz?

Jondalar wyczuł w głosie donier nie tylko troskę, ale i coś, co mocno go zaniepokoiło. Stała najwyżej w hierarchii wszystkich Zelandoni i nie na darmo tytułowano ją Pierwszą. Była potężna, a Jondalar nie chciał, by jej siła zwróciła się przeciwko Ayli. Jego największym zmartwieniem - a także troską, która gnębiła Aylę przez całą długą i trudną Podróż - było to, czy jasnowłosa znachorka zostanie zaakceptowana przez jego lud. Choć posiadała wiele fenomenalnych darów i umiejętności, w jej życiu nie brakowało i takich spraw, co do których Jondalar mógł mieć tylko nadzieję, że nie zostaną ujawnione, chociaż nie bardzo wierzył w to, że Ayla będzie milczeć. Miała dość problemów - a z pewnością niejeden z Zelandonii mógł przysporzyć jej wkrótce kolejnych - i ostatnią rzeczą, która była jej teraz potrzebna, była wrogość tak wpływowej kobiety. W gruncie rzeczy to właśnie wsparcie i pomoc Zelandoni przydałyby się jej bardziej niż cokolwiek innego.

Jondalar wyciągnął ręce i oparł dłonie na ramionach donier, pragnąc przekonać ją w jakiś sposób, by nie tylko zaakceptowała Aylę, ale i stała się dla niej oparciem. Nie wiedział jednak, jak zacząć. Kiedy spoglądał w oczy Zoleny, nie potrafił powstrzymać fali wspomnień o miłości, która



połączyła go z nią przed laty... I nagle zdał sobie sprawę, że bez względu na to, jak trudna będzie to rozmowa, wyłącznie absolutna szczerłość może pomóc mu w osiągnięciu celu...

W sprawach osobistych Jondalar był raczej skrytym człowiekiem. Właśnie dzięki narzuceniu sobie tej skrytości nauczył się panować nad najsilniejszymi namiętnościami, które niegdyś przysporzyły mu tylu kłopotów. Dlatego też wyrażanie prawdziwych uczuć z czasem stało się dlań bardzo trudne, nawet w rozmowie z kimś, kto znał go tak dobrze jak Zolena.

- Zelandoni... - Jondalar zawahał się i przemówił łagodniej: - ...Zoleno... Dobrze wiesz, że to ty zabrałaś mnie innym kobietom. Byłem wtedy niedojrzałym wyrostkiem, a ty najbardziej ponętą niewiastą, o jakiej może marzyć mężczyzna. Nie tylko ja miewałem mokre sny, myśląc o tobie, ale tylko moje spełniły się na jawie. Pożądałem ciebie, a ty przysłałaś i stałaś się moją donii. Nigdy nie miałem dość tego, co nas połączyło. Ty uczyniłaś ze mnie mężczyznę, ale wiedziałaś, że to nie było wszystko. Pragnąłem cię, a ty, choć starałaś się z tym walczyć, pragnęłaś mnie. I chociaż zabraniano nam tego, kochałem cię, a ty kochałaś mnie. Nadal cię kocham. I zawsze będę.

Nawet potem, kiedy przez nas wydarzyło się tyle bolesnych spraw, a matka wysłała mnie, bym zamieszkał z Dalanarem... i kiedy wróciłem - żadna nie mogła równać się z tobą. Marzyłem o tobie, leżąc u boku innej kobiety, i pożądałem czegoś więcej niż tylko twojego ciała. Chciałem dzielić z tobą ognisko. Nie obchodziła mnie różnica wieku ani to, że mężczyzna nie powinien zakochiwać się w swojej donii. Pragnąłem spędzić przy tobie resztę życia.

- I spójrz tylko, co byś z tego miał, Jondalarze - odparła Zolena. Była poruszona, i to znacznie bardziej niż jej samej wydawało się to możliwe. - Przyjrzałeś się dobrze? Jestem od ciebie dużo starsza. Jestem też tak tłusta, że mam kłopoty z poruszaniem się. Miałabym większe, gdyby nie moja wrodzona siła, ale to tylko kwestia czasu. A ty jesteś młody i tak piękny, że kobiety szaleją za tobą. Wybrała mnie matka. Musiała wiedzieć, że z czasem zacznę wyglądać tak jak ona. Nadaję się na Zelandoni, ale przy twoim ognisku byłabym tylko starą, grubą kobietą, a ty wciąż pozostawałbyś młodym i przystojnym mężczyzną.

- Myślisz, że to ma dla mnie znaczenie? Zoleno, musiałem dotrzeć poza ujście Wielkiej Rzeki Matki, nim znalazłem wreszcie kobietę, która mogła równać się z tobą. Nie masz pojęcia, jak to daleko. I zrobiłbym to jeszcze raz, a może i wiele razy... Dziękuję Wielkiej Matce, że znalazłem Aylę. Kocham ją tak, jak kochałbym ciebie. Bądź dla niej dobra, Zoleno... Zelandoni. Nie rań jej.

Właśnie. Jeżeli jest dla ciebie odpowiednia... Jeżeli "może równać się" ze mną, na pewno nie zrobię jej krzywdy, a ona nie skrzywdzi ciebie. Ale muszę mieć pewność, Jondalarze.

Jednocześnie spojrzeli na kotarę, która nagle odsunęła się na bok. Ayla weszła do domostwa, dzierząc pękate juki, i ujrzała Jondalara ściskającego ramiona niewyobrażalnie otyłej

kobiety. Mężczyzna natychmiast cofnął ręce i wyglądał na zakłopotanego, niemal zawstydzonego, jakby przyłapano go na czymś wielce niestosownym.

Czy było coś niezwykłego w spojrzeniu Jondalara i w sposobie, w jaki dotykał tej kobiety? A w samej kobiecie? Mimo odstrasżających rozmiarów miała w sobie coś uwodzicielskiego.. . To ulotne wrażenie szybko ustąpiło miejsca innym, silniejszym: gdy nieznajoma obróciła się w stronę Ayli, z jej twarzy i postawy biła już tylko pewność siebie i spokój, będące dobitną manifestacją jej pozycji w społeczności.

Młoda znachorka w naturalny sposób dostrzegała niezwykle drobne szczegóły w mimice twarzy i sylwetce osób, które obserwowała. W Klanie, który ją wychował, wymiana słów nie była podstawowym sposobem porozumiewania się. Komunikowano się za pomocą znaków, gestów i niemal nieuchwytnych zmian w wyrazie twarzy i pozycji ciała. Czas spędzony w obozie Mamutoi pozwolił Ayli rozwinąć jeszcze doskonalszą zdolność rozumienia języka ciała, w której skład wchodziła także umiejętność odczytywania podświadomych sygnałów i gestów ludzi posługujących się mową. Nagle znachorka pojęła, kim jest ta masywna kobieta, i uświadomiła sobie, że między nieznajomą a Jondalarem zaszło coś ważnego; coś, co w jakiś sposób wiązało się z nią samą. Wyczuwała, że nadeszła chwila bardzo istotnej próby, ale nie wahała się przed jej podjęciem.

To ona, prawda, Jondalarze? - spytała Ayła, podchodząc bliżej.

- Jaka "ona"? - zainteresowała się Zelandoni, uważnie przypatrując się znachorce.

Ayła nawet nie mrugnęła, odpowiadając równie przenikliwym spojrzeniem.

Ta, której winna jestem podziękowanie - odparła rzeczowo. - Zanim poznałam Jondalara, nic nie wiedziałam o Darach Matki, a zwłaszcza o Darze Przyjemności. Znałam tylko ból i gniew, a on był taki cierpliwy i delikatny... z czasem nauczyłam się doznawać rozkoszy. Opowiedział mi też o kobiecie, która nauczyła go tego wszystkiego. Dziękuję ci, Zelandoni, za to, że wyszkoliłaś Jondalara tak, by umiał mi przekazać Jej Dar. Ale jestem ci wdzięczna także za coś znacznie ważniejszego... i trudniejszego dla ciebie. Dziękuję, że zrezygnowałaś z niego, że pozwoliłaś mu znaleźć mnie.

Zelandoni była bardzo zaskoczona, lecz nie dała tego po sobie poznać. Nie takie słowa spodziewała się usłyszeć z ust Ayli. Popatrzyła znów w oczy młodej kobiety i zaczęła szukać w nich głębi, odbicia uczuć i śladów prawdy. Umiejętność czytania mowy ciała, którą posiadała duchowa przywódczyni Dziewiątej Jaskini, w niczym nie ustępowała tej, którą opanowała Ayła, chociaż z pewnością bardziej kierowała się intuicją. Rozwijała się poprzez podświadomą obserwację i instynktowną analizę, a nie dzięki doświadczeniom z dzieciństwa, polegającym na

porozumiewaniu się wyłącznie gestem i mimiką, lecz jej skuteczność była niezawodna. Krótko mówiąc, Zelandoni nie wiedziała, w jaki sposób rozumie mowę ciała - po prostu ją rozumiała.

Jednakże minęła dłuższa chwila, nim otyła kobieta zauważyła pewną osobliwość. Jasnowłosa płynnie władała mową Zelandonii - czyniła to tak, jakby urodziła się tylko po to, aby porozumiewać się w tym języku - lecz mimo to nie było wątpliwości, że nie pochodziła z tych samych stron, co Jondalar i jego pobratymcy.

Ta Która Służy Matce nie pierwszy raz miała do czynienia z przybyszem mówiącym z obcym akcentem, ale w sposobie wystawiania się Ayli było coś prawdziwie egzotycznego, coś, z czym nie zetknęła się jeszcze nigdy. Głos młodej kobiety nie był nieprzyjemny, choć niski i nieco gardłowy, jakby wypowiedanie niektórych dźwięków sprawiało jej trudność. Zelandoni przypomniała sobie słowa Jondalara, który wspominał o tym, jak daleka była jego Podróż. Na kilka uderzeń serca zagościła w jej głowie myśl, że oto dochodzi do konfrontacji z rywalką, która zdecydowała się przebyć niezmierzone połacie ziemi, by połączyć się z oblubieńcem w jego rodzinnych stronach.

Dopiero teraz zauważyła, że twarz młodej, jasnowłosej znachorki także sprawia wrażenie obcej, i przez moment zastanawiała się, na czym właściwie polega różnica. Ayła z pewnością była atrakcyjna, ale też nikt nie spodziewał się, by Jondalar powrócił do domu z nieatrakcyjną wybranką. Jej twarz była nieco szersza i krótsza niż oblicza kobiet Zelandonii, ale proporcjonalna, z mocno zarysowaną szczęką. Znachorka odrobinę przewyższała wzrostem donier, a jej ciemnoblonde włosy naznaczone były jasnymi, spalonymi słońcem pasemkami. Szaroniebieskie oczy kryły w sobie niejedną tajemnicę, ale także znamiona silnej woli i ani krzty złości.

Zelandoni skinęła głową i zwróciła się do Jondalara:

- Nada się.

Mężczyzna odetchnął z ulgą i przez chwilę w zdumieniu wodził wzrokiem po twarzach kobiet.

- Aylo, skąd wiedziałaś, że to Zelandoni? Przecież nie przedstawiono ci jej, prawda?

- Nietrudno się domyślić. Ty wciąż ją kochasz, a ona ciebie.

- Ale... ale... skąd...? - wydukał Jondalar i utknął na dobre.

- Zapomniałaś, że widziałam już to spojrzenie w twoich oczach? Myślisz, że nie wiem, jak się czuje kobieta, która cię kocha? - odpowiedziała pytaniem.

- Niektórzy czuliby zazdrość, widząc ukochaną osobę spoglądającą z miłością na kogoś innego - odezwał się po chwili.

Zelandoni podejrzewała, że mówiąc o "niektórych", Jondalar miał na myśli przede wszystkim siebie.

- A nie wydaje ci się, że patrząc na nas, Ayla widziała jedynie przystojnego młodzieńca i starą, tłustą babę, Jondalarze? Każdy prócz ciebie zobaczyłby właśnie to. Twoja miłość do mnie nie jest dla niej zagrożeniem. A jeśli wspomnienia odbierają ci jasność widzenia, zadowala mnie to w zupełności.

Zelandoni odwróciła się ku Ayli.

- Nie byłam pewna co do ciebie... Gdybym poczuła, że nie jesteś dla niego stworzona, bez względu na to, jak daleką wędrowkę odbyliście razem, nie pozwoliłabym, abyście się połączyli.

- Nie potrafiłabyś mnie powstrzymać - odparła Ayla.

- Słyszałeś? - mruknęła donier, zwracając się do Jondalara. - Mówiłam ci, że się nada. Nawet nie umiałabym jej zranić.

- Myślisz, że Marona była dla mnie stworzona, Zelandoni? - spytał zirytowany nieco Jondalar. Zaczynał czuć się tak, jakby wzięty w kleszcze przez dwie kobiety nie miał prawa do własnego zdania. - Jakoś nie sprzeciwiałaś się, kiedy obiecano jej, że mnie dostanie.

- To nie miało znaczenia. Nie kochałaś jej. Nie mogła cię skrzywdzić.

Obie kobiety wpatrywały się teraz w Jondalara i choć nie łączyło ich fizyczne podobieństwo, przez moment wyglądały jak siostry za sprawą identycznych, lekko kpiących min, które pojawiły się na ich twarzach. Jondalar roześmiał się zniechęcony.

- No cóż, pozostaje mi cieszyć się, że dwie miłości mego życia zostaną przyjaciółkami - oznajmił wesoło.

Zelandoni uniosła brew i spojrzała nań z ukosa.

- Dlaczego wydaje ci się, że będziemy przyjaciółkami? - spytała beznamiętnie, ale znikając za kotarą, uśmiechnęła się do siebie.

Obserwując wychodzącą Zelandoni, Jondalar miał mieszane uczucia, ale cieszyło go chociaż to, że wpływowa osoba zdawała się akceptować Aylę. Jego siostra i matka także przyjęły ją przyjaźnie. Tak więc wszystkie kobiety, na których mu zależało, zamierzały powitać Aylę z otwartymi ramionami - a przynajmniej w tej chwili wiele na to wskazywało. Matka powiedziała wręcz, że zrobi wszystko, by uzdrowicielka czuła się w Dziewiętej Jaskini jak w domu.

Skórzana zasłona zawieszona nad wejściem poruszyła się i Jondalar z niejakim zdziwieniem stwierdził, że matka pojawia się dokładnie w tej samej chwili, kiedy o niej pomyślał. Marthona weszła do centralnej izby swego domostwa, niosąc zachowany w całości żołądek jakiegoś stworzenia średniej wielkości, pełen płynu, który przesączał się przez prawie wodoszczelne naczynie i barwił je głęboką purpurą. Szeroki uśmiech rozjaśnił oblicze Jondalara.

- Matko, przyniosłaś nam swoje wino! - ucieszył się mężczyzna. - Aylo, pamiętasz ten napój, który piliśmy w gościnie u Sharamudoi? Wino z czarnych jagód? Teraz masz szansę

spróbować prawdziwego wina Marthony. To jej specjalność. Sok zazwyczaj kwaśniej, niezależnie od gatunku użytych owoców. Tylko moja matka ma swoje sposoby, by tego uniknąć. Może pewnego dnia zdradzi mi swój sekret - dodał, uśmiechając się ciepło.

Marthona odwzajemniła uśmiech, ale nie odezwała się ani słowem. Z wyrazu jej twarzy Ayla wyczytała, że matka Jondalara istotnie ma swój sekretny sposób, a także to, że potrafi dochowywać tajemnic - zresztą nie tylko swoich. I że zapewne znała ich wiele... Jej dusza była złożona, choć słowa, które wypowiadała, zawsze były uczciwe i szczerze. I chociaż powitała kobietę swego potomka przyjaźnie i z radością, Ayla dobrze wiedziała, że Marthona nie zdradzi się z ostateczną oceną, nim nie pozna lepiej i nie zaakceptuje w pełni swej przyszej synowej.

Myśli znachorki pomknęły nagle ku Izie, kobiecie z Klanu, która była dla niej jak matka. Iza także znała wiele sekretów, a przy tym - podobnie jak reszta członków Klanu - nigdy nie kłamała. Zresztą ci, którzy na co dzień posługiwali się językiem gestów, drobnych ruchów ciała i grymasów twarzy, po prostu nie potrafili łączyć. Kłamstwo natychmiast wyszłoby na jaw, ale... umieli powstrzymać się przed wyjawianiem całej prawdy. Pradawne zwyczaje pozwalały na to w imię powszechnie uznawanego prawa do prywatności. Nie pierwszy raz przypominają mi się lata spędzone w Klanie, pomyślała Ayla. Przywódca Dziewiętej Jaskini, brat Jondalara, Joharran, wydał mi się podobny do Bruna, przywódcy Klanu. Skąd przyszło mi do głowy takie skojarzenie?, zastanawiała się w milczeniu.

- Na pewno jesteście głodni - stwierdziła Marthona, przypatrując się obojgu z matczyną troską.

Jondalar uśmiechnął się szeroko.

- Jasne, że jestem! Od wczesnego ranka nie miałem nic w ustach. Byliśmy już tak blisko domu i tak bardzo się spieszyliśmy, że nie chciałem urządzić jeszcze jednego postoj.

- Jeśli przynieśliście już wszystkie torby, usiądźcie i odpocznijcie chwilę, a ja zrobię wam coś do jedzenia. - Marthona poprowadziła gości do niskiego stolika i wskazała dłońią poduszki, na których mogli usiąść. Następnie nalała do kubków ciemnoczerwonego płynu, który przyniosła ze sobą, i rozejrzała się po izbie, - Nie widzę twojego wilka, Aylo, a wiem, że przyszedł z wami. Czy on także potrzebuje pożywienia? I co właściwie jada?

- Zwykle to samo co my, ale od czasu do czasu poluje samodzielnie. Przyprowadziłam go tu, żeby zobaczył, gdzie będzie jego miejsce, ale kiedy wracałam do doliny, w której pasą się nasze konie, poszedł ze mną i wołał zostać z nimi. Przychodzi i odchodzi, kiedy mu się podoba, chyba że jest mi potrzebny - wyjaśniła znachorka.

- Ale skąd wie, że jest ci potrzebny?

- Ayla potrafi go przywołać specjalnym gwizdem - odparł Jondalar. - Konie rozumieją podobne sygnały. - Mężczyzna przytknął kubek do ust, posmakował i westchnął z uznaniem. - Teraz wiem, że jestem w domu. - Pociągnął jeszcze łyk, przymknął oczy i przez moment rozkoszował się smakiem. - Jakich owoców użyłaś, matko?

Przed wszystkim tych małych kulek, które rosną w gronach na długich pnączach jedynie na osłoniętych od wiatru, południowych stokach wzgórz - wyjaśniła Marthona, zwracając się raczej do Ayli niż do syna. - Jest takie miejsce, kilka mil stąd na południowy wschód, w które zaglądam co roku. Czasem owoce wcale nie chcą rosnąć, ale kilka lat temu mieliśmy tu dość ciepłą zimą i później, jesienią, pojawiły się wielkie grona soczystych kulek - słodkich, ale nie za bardzo. Dodałam trochę jeżyn i owoców czarnego bzu. To wino wyszło najlepiej. Jest mocniejsze niż zwykle, ale nie zostało go wiele.

Trzymając kubek przy ustach, Ayla poczuła aromat owoców. Napój był cierpki i ostry, ale nie słodki, jak sugerował słodkawy zapach. Zrozumiała, że zawiera alkohol, z którym po raz pierwszy zetknęła się, pijąc brzozowe piwo warzone przez Taluta, przywódcę Obozu Lwa. Wino Marthony było jednak bardziej podobne do sfermentowanego soku z czarnych jagód, którego miała okazję skosztować podczas wizyty u Sharamudoi, choć zdecydowanie mniej słodkie.

Gdy poznawała alkohol, nie podobał jej się jego ostry smak, ale pozostali mieszkańcy Obozu Lwa tak bardzo przepadali za brzozowym piwem Taluta, że zmusiła się do picia, by lepiej dopasować się do społeczności łowców mamutów. Po pewnym czasie przyzwyczała się do owego zwyczaju, choć coraz mocniej utwierdzała się w przekonaniu, że nie smak alkoholu był dla ludzi Mamutoi najważniejszy, lecz to, że w sympatyczny - aczkolwiek nieco dezorientujący - sposób uderzał do głowy. Pochłonawszy nazbyt wielką porcję napitku, Ayla stawiała się zdecydowanie zbyt przyjacielska i nogi odmawiały jej posłuszeństwa, za to u wielu jej przyjaciół z Obozu Lwa picie nadmiernej ilości piwa wywoływało całkiem odmienne skutki: bywali smutni, zagniewani, niekiedy uciekali się nawet do przemocy.

Jednak napój, którym częstowała ją matka Jondalara, miał w sobie coś więcej. Złożona mieszanka smaków w niezwyklej sposób przemieniła prostotę owocowego soku. Tak, to było coś, co Ayla mogła polubić.

- Jest doskonałe. Nigdy próbowałam czegoś... Nigdy nie próbowałam czegoś podobnego - poprawiła się szybko, czując lekkie zakłopotanie.

Władza mową Zelandonii z całkowitą swobodą; był to pierwszy język, który poznała po rozstaniu z Klanem. Jondalar nauczył ją posługiwać się nim podczas długiej rekonwalescencji po tragicznym spotkaniu z lwem jaskiniowym. I choć miała niekiedy problemy z wymówieniem pewnych dźwięków - nie artykułowała ich perfekcyjnie mimo usilnych starań - rzadko zdarzało jej

się popełniać rażące błędy. Spojrzała więc niespokojnie na Jondalara i Marthonę, ale żadne z nich chyba nie zauważyło wpadki... Rozluźniła się nieco i z zainteresowaniem rozejrzała po izbie.

Mimo że tego dnia wchodziła i wychodziła z domostwa Marthony kilkakrotnie, nie miała dotąd czasu, by przyjrzeć się temu, jak je zbudowano i urządzono. Teraz więc przypatrywała się wszystkiemu uważnie i z każdą chwilą była coraz bardziej zaskoczona i pełna podziwu. Konstrukcja budowli była interesująca, nieco podobna do tych, które w swej jaskini wznosili Losadunai - gospodarze ostatniego spotkania przed wspinaczką na lodowcowy płaskowyż.

Dolna warstwa ścian - wysoka na dwie lub trzy stopy - zbudowana była z bloków wapiennych. Dwa spore, z grubsza ociosane elementy ustawiono po obu stronach wejścia, ale kamienne narzędzia, których używali Zelandonii, nie nadawały się do precyzyjnej i szybkiej obróbki takiego budulca. Pozostałą część niskich ścian wykonano więc z surowego lub symbolicznie tylko obłupanego młotami wapienia. Drobne fragmenty skały o podobnych rozmiarach - szerokie na dwa lub trzy cale, mniej więcej tak samo wysokie i trzy do czterech razy dłuższe - dopasowano sprytnie pomiędzy większe bloki, tak by uszczelniały i usztywniały nośne fragmenty ścian.

Kawałki zbliżone kształtem do rombu dobrano według wielkości i ułożono jeden przy drugim w taki sposób, by grubość ściany równała się ich długości. Grubsze ściany zbudowano tak, aby kamienie znajdowały się dokładnie w miejscach, gdzie schodziły się bloki poprzedniej warstwy. Gdzieś wykorzystano mniejsze elementy do uzupełnienia prześwitów; dotyczyło to zwłaszcza okolicy największych bloków, czyli obramowania wejścia.

Długie rzędy kamieni układano z pewnym nachyleniem, tak że każda kolejna warstwa zachodziła na poprzednią. Wszystkie elementy dobierano starannie, by najmniejszy nawet rowek umożliwiał spływanie na zewnątrz wody - czy to pochodzącej z niesionego wiatrem deszczu, czy kapiącej z topniejącego lodu, czy też będącej rezultatem skraplania się pary.

Ani zaprawa, ani nawet zwykłe błoto nie były potrzebne do uszczelnienia i wzmocnienia tak doskonałej konstrukcji. Wapienne bloki były wystarczająco szorstkie, by nie rozsuwać się i nie wypadać z szyku, a sama masa kamieni stanowiła gwarancję stabilności struktury - mimo iż dociążono ją belkami z sośniny i innych rodzajów drewna, służącymi jako podpory półek. Głazy dopasowano tak skutecznie, że nie przedostawał się między nimi ani jeden promień światła, nie mówiąc już o podmuchu zimowego wiatru. Co więcej, układane warstwami kamienie nadawały domostwu przyjemną dla oka teksturę, szczególnie dobrze prezentującą się na zewnątrz.

Wewnątrz zaś potężne, odporne na wichry mury ukryto pod drugą, wewnętrzną warstwą ścian, zbudowaną z paneli surowej skóry - nie wyprawionej i wysuszonej, a dzięki temu sztywnej i twardej - umocowanych do palików wpuszczonych w piaszczyste podłoże. Panele te sięgały od

ziemi znacznie powyżej granicy kamiennych konstrukcji - na wysokość ośmiu lub dziewięciu stóp. Ayla przypomniała sobie, że górną ich część pokryto z zewnątrz barwnymi dekoracjami. Także i wewnątrz domostwa na niektórych z nich umieszczono malowidła zwierząt i zagadkowych symboli, lecz tu, gdzie docierało nieco mniej światła, kolory wydawały się mniej jaskrawe. Jako że siedziba Marthony była przytulona do lekko nachylonego urwiska, z którego wyrastał cały potężny nawis skalny chroniący osadę, jedna ze ścian była litą wapienną płytą.

Ayla zadarła głowę. Nie zobaczyła jednak sklepienia, jeśli nie liczyć ciągnącej się w pewnej odległości spodniej strony gigantycznego nawisu. Z wyjątkiem nieczęstych sytuacji, gdy wiatr zawiewał w dół, wzdłuż skały, dym z ognisk palonych w domostwach wznosił się ponad panele ścienne i wędrował w górę, nie zanieczyszczając powietrza w pobliżu dna niszy. Kamienny strop chronił mieszkańców przed kaprysmi pogody, a ocieplone skórą wewnątrz były dość przytulne nawet zimą. Przede wszystkim zaś były przestronne, w przeciwieństwie do ciasnych, łatwych do ogrzania, całkowicie zamkniętych - ale i zwykle wypełnionych dymem - pomieszczeń, które znachorka znała ze swych dotychczasowych podróży.

Choć drewniano-skórzane ściany zapewniały Zelandonii ochronę przed wiatrem i deszczem, wznoszono je przede wszystkim po to, by wydzielały przestrzeń przeznaczoną dla poszczególnych rodzin i zapewniały każdej z nich odrobinę prywatności, chroniąc przed wzrokiem - jeśli nie słuchem - ciekawskich. Niektóre spośród wyżej umocowanych paneli można było uchylać, by wpuścić do domostwa więcej światła lub umożliwić przyjacielską rozmowę z sąsiadami, lecz kiedy pozostawały zamknięte, do dobrego tonu należało prosić o pozwolenie na wejście do wnętrza, a nie nawoływanie się przez ściany czy bezceremonialne wkraczanie do środka.

Wzrok Ayli spoczął teraz na posadzce. Zauważyła, że ułożone na piasku kawałki kamienia pasują do siebie. Wapień, z którego zbudowane były okoliczne skały, dawał się łatwo łupać wzdłuż ukrytych linii swej krystalicznej struktury - czasem spore fragmenty same odpadały od macierzystych brył - tworząc w miarę płaskie i równe elementy. I właśnie one posłużyły jako materiał, którym utwardzono piaszczyste podłoże. Mozaika nie była szczególnie regularna, toteż w wielu miejscach pokryto ją matami plecionymi z trawy i trzciny oraz płatami miękkich futer.

Ayla znowu zaczęła przysłuchiwać się rozmowie Jondalara z matką. Pociągnęła mały łyk wina, z uwagą przyglądając się kubkowi, który trzymała w dłoni. Domyśliła się, że sporządzono go z wydrążonego rogu żubra; zapewne uciętego w pobliżu czubka, sądząc po niewielkiej średnicy końcówki. Uniosła kubek w górę, by spojrzeć na denko. Wykonano je z kawałka drewna, przyciętego tak, by pasował do niezupełnie kolistego przekroju rogu, i mocno wciśnięto do wnętrza. Na bocznej ścianie naczynia zauważyła rysy, a kiedy przypatrzyła im się bliżej, ze



zdziwieniem stwierdziła, że układają się w profil końskiej sylwetki. Z pewnością wyryła je pewna ręka bystrego obserwatora.

Znachorka odstawiła kubek i zainteresowała się niską platformą, wokół której siedzieli. Był to cienki płat wapienia, spoczywający na czworonożnej ramie z giętego drewna, której elementy powiązано solidnym rzemieniem. Na kamiennym blacie rozłożono matę z delikatnego włókna, plecioną w zawiłe wzory: motywy zwierzęce wzbogacono abstrakcyjnymi liniami i figurami, starannie dobierając barwy w tonacji rdzawo-brązowej. Wokół stołu rozłożono kilka poduszek wykonanych z rozmaitych materiałów. Te, które powleczono skórą, zafarbowano na czerwono.

Na kamiennej platformie stały dwa kaganki. Jeden z nich starannie wykończono, nadając mu kształt płytkiej miski z bogato zdobionym uchwytem, drugi zaś był jego bardziej surowym odpowiednikiem: w kawałku wapiennej skałki naprędce wykuto zagłębienie i - podobnie jak w owej artystycznie wykończonej lampce - wypełniono je wytopionym we wrzącej wodzie sadłem zwierzęcym, w którym tkwiły płonące knoty. W ozdobnym kaganku zatknięto trzy, w surowym zaś - dwa kawałki sznurka, z których każdy dawał mniej więcej taką samą ilość światła. Ayla miała wrażenie, że prymitywną lampkę wykonano niedawno, by doświetlić najciemniejsze kąty u podnóża abri, i że jej żywot nie będzie długi.

Wnętrze domostwa, podzielone na cztery części przesuwalnymi parawanami, było przestronne i uporządkowane. Oświetlało je kilka dodatkowych kaganków. Przepierzenia, w większości wykonane z twardej, nie wyprawionej skóry rozpiętej na drewnianych ramach, były bogato i barwnie zdobione. Niektóre jednak przepuszczały światło - zrobiono je najprawdopodobniej z rozciętych i wysuszonych na płasko jelit któregoś z większych zwierząt, domyśliła się Ayla.

Po lewej stronie skalnej ściany zamykającej domostwo od tyłu, tuż przy panelach ściennych, stał wyjątkowo piękny parawan, wykonany z podobnej do pergaminu, wewnętrznej warstwy zwierzęcej skóry, którą można było ściągać w dużych kawałkach, o ile zdjętą skórę pozostawiło się do wysuszenia bez uprzedniego oskrobania. Zdobily go rysunki przedstawiające konie i zawiłe motywy złożone z linii, kropek oraz kwadratów, sporządzone barwnikiem czarnym, żółtym w wielu odcieniach oraz czerwonym. Ayla przypomniała sobie, że Mamut z Obozu Lwa używał podobnej zasłony podczas ceremonii, choć jego malunki na cieniutkiej płachcie sporządzone były wyłącznie czarną farbą. Tamten parawan, wykonany ze skóry białego mamuta, był dla szamana największą świętością.

Przed pięknie zdobionym przepierzeniem w domu Marthony ułożono na posadzce skórę pokrytą szarawą sierścią, którą Ayla zidentyfikowała nieomylnie jako końską w grubej szacie

zimowej. Przez niby pergaminową zasłonę przebijały się ciepłe błyski małego ogniska płonącego w sąsiednim pomieszczeniu, które znakomicie podkreślały urodę malowideł.

Półki z płytów wapiennych jeszcze cieńszych niż te, którymi wyłożono posadzkę, rozmieszczono w nieregularnych odstępach. Obłożone niezliczonymi, przydatnymi drobiazgami, zajmowały większość ściany po prawej stronie od ozdobnego parawanu. W małym schowku pod najniższą półką, gdzie ukośna ściana stykała się z ziemią, widać było niewyraźne kształty rozmaitych przedmiotów. Ayla rozpoznawała przeznaczenie większości z nich, ale w duchu musiała przyznać, że niektóre ukształtowano i ozdobiono tak umiejętnie, iż stały się miniaturowymi dziełami sztuki.

Półki kończyły się w miejscu, gdzie do kamiennego masywu przyczepiono kolejny obity skórą parawan - za nim zaczynał się następny pokój. Tak naprawdę owe przesłony były jedynie sugestią podziału między pomieszczeniami i przez szczelinę między nimi Ayla mogła przyjrzeć się rozległemu podwyższeniu, które wyłożono miękkimi futrami. Czyjeś postanie, pomyślała. Parawany tylko symbolicznie oddzielały dwie sypialnie od pomieszczenia, w którym toczyła się rozmowa i w którym mieli zamieszkać z Jondalarem.

Zakryte kotarą wejście do domostwa było częścią drewnianej konstrukcji pokrytej twardymi skórami, ciągnącej się równoległe do kamiennej ściany. Naprzeciwko wydzielonych sypialni znajdowało się jeszcze jedno, czwarte pomieszczenie: to, w którym Marthona przygotowywała posiłki. W pobliżu owej kuchni, na wolno stojących, drewnianych regałach, starannie ustawiono kosze i miski, wspaniale udekorowane rytymi, plecionymi lub malowanymi motywami geometrycznymi oraz realistycznymi wizerunkami zwierząt. Większe pojemniki ustawiono na ziemi, wzdłuż ściany. Uchylone pokrywy niektórych z nich pozwalały dostrzec ich zawartość: warzywa, owoce, ziarno i suszone mięso.

Całe domostwo miało w zasadzie kształt czworokąta, choć ani ściany zewnętrzne nie były idealnie równe, ani wyznaczone we wnętrzu przestrzenie mieszkalne - zupełnie symetryczne. Dopasowano je do konturów przestrzeni wyznaczonej zagłębieniem w skalnej ścianie, a także do kształtów sąsiednich budowli.

- Sporo się tu zmieniło, matko - powiedział Jondalar. - W porównaniu z tym, co pamiętałem, wydaje się, że wygospodarowałaś więcej miejsca.

- Rzeczywiście, Jondalarze. Pamiętaj, że teraz mieszkamy tu tylko we troje. Folarą śpi tutaj - wyjaśniła Marthona, wskazując na drugą sypialnię - a Willamar i ja tam - dokończyła, kiwając palcem w stronę pierwszego z wydzielonych pomieszczeń. - Ty i Ayla możecie zająć główną izbę. Przesuniemy stół pod ścianę, żeby zrobić miejsce na wasze postanie, jeśli chcecie.

Zdaniem Ayli dom Marthony i Willamara był dość przestronny. Zdecydowanie przewyższał rozmiarami nawet największe z komór zajmowanych przez całe ogniska - czyli rodziny - w długiej ziemiance Obozu Lwa, choć nie był tak duży, jak jaskinia w dolinie, w której niegdyś mieszkała samotnie. Tyle że Mamutoi nie mieli do dyspozycji tak imponującej formacji skalnej jak Zelandonii - ludzie z Obozu Lwa stworzyli swoje mieszkanie od początku do końca własnymi rękami.

Uwagę znachorki przykuł teraz parawan, który oddzielał kuchnię od głównej izby. Był on wygięty w połowie i dopiero po dłuższej chwili Ayla zrozumiała, że ma przed sobą dwie zasłony z półprzezroczystej błony, połączone w niezwykły sposób. Drewniane tyczki, które stanowiły pionowy szkielet obu części, połączono krążkami wyciętymi z pustego rogu żubra tak, że utworzyły coś w rodzaju zawiasów. Rozwiązanie to umożliwiało składanie dwóch parawanów niczym fragmentu harmonijki. Ayla zastanawiała się, czy wszystkie przepierzenia w rodzinnym domu Jondalara zaopatrzone w podobny mechanizm.

Z ciekawością zajrzała do pomieszczenia kuchennego, by przyjrzeć się sprzętom. Marthona klęczała właśnie na macie przy ognisku otoczonym kręgiem kamieni niemal identycznej wielkości. Posadzka dokoła nich była starannie zamieciona. W głębi, w ciemnym kącie rozświetlanym jedynie wątlm blaskiem skalnego kaganka, widać było rzędy półek z kubkami, miskami, talerzami i bogatą kolekcją przyborów. Uzdrowicielka dostrzegła też pęki suszonych ziół i warzyw oraz połowę drewnianej ramy z poprzeczkami, na których je zawieszono. Na blacie obok paleniska stały miski i koszyki, a także duży talerz z kości, na którym ułożono kawałki świeżego czerwonego mięsa.

Ayla zastanawiała się przez chwilę, czy nie powinna zaoferować pomocy, ale doszła do wniosku, że i tak nie wiedziałyby, gdzie czego szukać ani co właściwie przygotowuje Marthona. Wchodzenie komuś w drogę raczej trudno nazwać pomocą... Lepiej zaczekam, pomyślała.

Obserwowała więc, jak matka Jondalara nadziewa kawałki mięsa na ostre patyki i układa nad żarem między dwoma pionowo ustawionymi, kamiennymi wspornikami, których górne krawędzie były na tyle szerokie, by pomieścić kilka szpikulców naraz. Następnie Marthona sięgnęła po chochlę z rogu koziorożca; zaczęła nabierać jakiś płyn z ciasno plecionego koszyka i nalewać go do drewnianych misek. Za pomocą sprężystych szczypiec z kawałka drewna wygiętego w kształt litery U wyłowiła kilka gładkich kamieni A1 z koszyka, w którym gotowała się strawa, aby zastąpić je nowymi, gorącymi, wyjętymi prosto z ognia. Kiedy skończyła, zaniósła miski do izby i postawiła przed Aylą i Jondalarem.

Dopiero gdy Ayla dostrzegła w gęstym bulionie małe, okrągłe cebule i kilka bulw znanych jej roślin, zdała sobie sprawę, jak bardzo jest głodna, lecz mimo to czekała cierpliwie i

obserwowała poczynania Jondalara. On zaś wydobyl nożyk do jedzenia - małe, ostro zakończone, krzemienne ostrze osadzone w rogowej rękojeści - i nabił nim nieduży kawałek warzywa. Włożył bulwę do ust i żuł przez chwilę, po czym pociągnął łyk zupy prosto z miski. Ayla sięgnęła po swój nóż i uczyniła dokładnie to samo.

Bulion pachniał i smakował wyśmienicie, choć nie było w nim ani śladu mięsa, na którym został ugotowany, a jedynie warzywa i zaskakująca kombinacja ziół oraz składnik, którego Ayla w żaden sposób nie umiała zidentyfikować. Zdziwiło ją to, gdyż niemal zawsze potrafiła określić z wielką precyzją, co znajduje się w pokarmie, który spożywa. Wkrótce na stole pojawiły się szpikulce z podpieczonym mięsem - jego smak także był wyborny, choć niezwykle. Ayla bardzo chciała zadać Marthonie pytanie, ale postanowiła trzymać język na wodzy.

- Nie jesz z nami, matko? To naprawdę świetne - pochwalił Jondalar, nabijając na czubek noża kolejny kawałek warzywa.

- Jadłyśmy z Folarą wcześniej. Ugotowałam więcej, bo spodziewam się powrotu Willamara. Okazuje się, że dobrze zrobiłam - dodała z uśmiechem. - Wystarczyło podgrzać zupę i podpiec bizonie mięso, które moczyło się w winie.

Ach, więc stąd ten dziwny smak, pomyślała Ayla, biorąc kolejny łyk czerwonego napoju. W zupie też go czułam.

- Kiedy wraca Willamar? - spytał Jondalar. - Nie mogę się doczekać, kiedy go zobaczę.

- Lada chwila - odrzekła Marthona. - Poszedł z misją handlową na zachód, w stronę Wielkich Wód, po sól i co tylko uda mu się zdobyć. Wie, że wkrótce wybieramy się na Letnie Spotkanie, i na pewno wróci, zanim wyruszymy. Chyba że coś go zatrzyma, ale jeśli nie... Niedługo powinien być w domu.

- Laduni z Losadunai powiedział, że jego lud handluje z Jaskinią, która trudni się wydobywaniem soli z pewnej skały zwanej Solną Górą - przypomniał sobie Jondalar.

- Góra soli? Nie wiedziałam, że w górach w ogóle można znaleźć sól. Zdaje się, synu, że twoich opowieści starczy na długi czas i nikt nie będzie pewny, co w nich jest prawdą, a co wymysłem Opowiadacza.

Jondalar wyszczerzył zęby, uznając to za dobry żart, ale Ayla miała przeczucie, że matka rzeczywiście wątpi w prawdziwość jego słów, choć nie chciała mówić o tym wprost.

- Nie widziałem tego na własne oczy, ale moim zdaniem Laduni mówił prawdę - rzekł z przekonaniem. - Mieli sól, a przecież mieszkają daleko od słonych wód. Gdyby musieli wędrować po nią na koniec świata, nie dzieliliby się nią tak chętnie.

Jondalar uśmiechnął się jeszcze szerzej, jakby przypomniał sobie coś zabawnego.

- Skoro już rozmawiamy o dalekich wyprawach, mam dla ciebie wiadomość, matko, od kogoś, kogo spotkaliśmy w Podróży. Kogoś, kogo znasz.

- Od Dalanara? Od Jeriki? - spytała niecierpliwie Marthona.

- Od nich też. Przybędą na Letnie Spotkanie; Dalanar chce namówić kogoś lub którąś z młodszych Zelandoni na przeprowadzkę. Pierwsza Jaskinia Lanzadonii rozrosła się znacznie. Nie zdziwiłbym się, gdyby wkrótce musieli założyć drugą.

- Nietrudno będzie znaleźć chętnego - skomentowała Marthona. - To spory zaszczyt. Ktokolwiek się zgodzi, naprawdę będzie Pierwszym. Pierwszym i jedynym Lanzadoni.

- Jako że nie mają tam jeszcze Tego Który Służy, Dalanar chce, żeby Joplaya i Echozar połączyli się podczas Zaślubin Zelandonii - ciągnął Jondalar.

Marthona przelotnie zmarszczyła brwi.

Twoja bliska kuzynka jest piękną dziewczyną; niezwykłą, ale piękną. Kiedy przychodzi na Spotkania Zelandonii, żaden mężczyzna nie potrafi oderwać od niej wzroku. Dlaczego miałyby wybierać Echozara, kiedy może mieć każdego innego?

- Nie każdego - wtrąciła Ayla. Marthona spojrzała uważnie i dostrzegła w jej twarzy oznaki buntu. Znachorka zarumieniła się lekko i spuściła wzrok. - Mówiła mi, że nie znajdzie na świecie człowieka, który kochałby ją tak mocno jak Echozar.

- Masz rację, Aylo. - Marthona umilkła na moment, nim popatrzyła prosto w oczy uzdrowicielki i dodała: - Są i tacy mężczyźni, których nigdy nie będzie miała. - Starsza kobieta przeniosła spojrzenie na swego syna. - Ale ona i Echozar sprawiają wrażenie... niedobranej pary. Joplaya jest oszałamiająco piękna, a on... nie. Choć oczywiście wygląd to nie wszystko; czasem ta sprawa w ogóle się nie liczy. A Echozar istotnie wydaje się czułym i troskliwym mężczyzną.

Chociaż nie zostało to powiedziane wprost, Ayla wiedziała, że Marthona domyśliła się powodu, dla którego Joplaya dokonała właśnie takiego wyboru. "Bliska kuzynka" Jondalara, córka partnerki Dalanara, kochała mężczyznę, którego nie mogła zdobyć. Nikt inny nie liczył się dla niej, więc wybrała tego, o którym wiedziała na pewno, że kocha ją całym sercem. Ayla pojęła również, że opory matki mają raczej podłoże estetyczne, nie są zaś wynikiem wypaczonego poczucia "stosowności" niektórych związków, jak się tego obawiała. Marthona po prostu kochała wszystko, co piękne, toteż naturalna wydawała jej się myśl o związku uroczej dziewczyny z równie powabnym mężczyzną. Na szczęście rozumiała też, że znacznie istotniejsze jest piękno charakteru.

Jondalar w ogóle nie zauważył krótkotrwałego napięcia między kobietami; zbyt był zajęty radosnym przypominaniem sobie słów wypowiedzianych przez kobietę, o której matka nigdy nawet mu nie wspominała.

Wiadomość, którą mam dla ciebie, nie pochodzi od Lanzadonii. Otóż w Podróży zatrzymaliśmy się u pewnych ludzi dłużej, niż zamierzaliśmy - właściwie to wcale nie chciałem do nich zaglądać... ale to zupełnie inna historia. Tak czy inaczej, kiedy odjeżdżaliśmy, ich Ta Która Służy, rzekła mi tak: "Kiedy zobaczysz Marthone, powiedz, że Bodoa przesyła jej wyrazy miłości".

Jondalar spodziewał się po pełnej godności i opanowanej matce jakiejś reakcji na wzmiankę o kobiecie z dawno zapomnianej przeszłości. Sądził, że to żart, może przyjacielska gra słów i ukrytych znaczeń, ale z całą pewnością nie oczekiwał tego, co nastąpiło.

Oczy Marthony otworzyły się szeroko, a twarz w okamgnieniu pobrała.

- Bodoa! O Wielka Matko! Bodoa?! - Niemłoda kobieta przycisnęła dłoń do piersi, najwyraźniej mając kłopoty z oddychaniem.

- Matko! Dobrze się czujesz?! - zawołał Jondalar, zrywając się na równe nogi i pochylając z troską nad Marthona.

- Przepraszam, nie chciałem tak cię zszokować. Mam pójść po Zelandoni?

- Nie, nie trzeba. Nic mi nie jest - odpowiedziała, biorąc głęboki wdech. - Po prostu... zaskoczyłeś mnie. Nie spodziewałam się, że kiedykolwiek jeszcze usłyszę to imię. Nie wiedziałam nawet, że ona żyje. Czy ty... dobrze ją poznałeś?

- Mówiła, że omal nie wstąpiła w związek z tobą i Joconanem, ale ja nie chciałem wierzyć. Przypuszczałem, że przesadza albo słabo pamięta, jak było naprawdę - odrzekł Jondalar. - Jak to możliwe, że nigdy mi o niej nie wspominałaś? - Ayla spojrzała na niego ze zdziwieniem. Nie wiedziała, że nie do końca wierzył S'Armunie.

To zbyt bolesne sprawy, Jondalarze. Bodoa była dla mnie jak siostra. Byłabym szczęśliwa, gdyby razem ze mną została partnerką Joconana, ale nasz Zelandoni był temu przeciwny. Podobno obiecał jej wujowi, że odeśle ją, gdy tylko skończy szkolenie. Powiedziałaś, że jest już Tą Która Służy? Zatem być może rozstanie wyszło jej na dobre, ale wtedy odchodziła od nas pełna gniewu. Błagałam ją, żeby poczekała na zmianę pór roku, zanim poważy się na wędrówkę przez lodowiec, ale nie chciała mnie słuchać. Cieszę się, że przeżyła tamtą wyprawę, i miło mi, że przesyła "wyrazy miłości"... Myślisz, że mówiła szczerze?

- Jestem tego pewien, matko. Jak na ironię, wtedy, przed laty, wcale nie musiała wracać do domu - dodał Jondalar. - Jej wuj już opuścił ten świat, podobnie zresztą jak matka. A gniew, który Bodoa, a właściwie już S'Armuna, przyniosła ze sobą, wypaczył jej powołanie. Zaczęła pomagać pewnej podłej kobiecie w osiągnięciu pozycji przywódcy, chociaż wtedy jeszcze nie wiedziała, jak bardzo zła stanie się Attaroa z biegiem lat. Teraz S'Armuna stara się wynagrodzić krzywdy, które wyrządziła. Zdaje się, że znalazła potwierdzenie swego powołania: pomaga swojej Jaskini przeżyć trudne lata. Możliwe, że zostanie przywódczynią, zanim ktoś z następnego pokolenia dorośnie do

sprawowania tej funkcji... Z tobą było podobnie, matko. A Bodoa jest niezwykłą kobietą. Wyobraź sobie, że wymyśliła sposób na przemienianie błota w kamień.

- Błota w kamień? Jondalarze, doprawdy zaczynasz mówić jak wędrowny Opowiadacz - skarciła go żartobliwie Marthona. - Skąd mam wiedzieć, w co wierzyć, kiedy wymyślasz tak niebywałe historie?

- Uwierz mi, mówię prawdę - rzekł najzupełniej poważnie Jondalar, nie wdając się w żadne subtelne gierki słowne. - Nie jestem Opowiadaczem, wędrującym od Jaskini do Jaskini i recytującym stare legendy tak, by wydawały się ciekawsze. Mam za sobą daleką Podróż i naprawdę wiele widziałem. - Mężczyzna zerknął z ukosa na Aylę. - Czy gdybyś nie widziała tego na własne oczy, uwierzyłabyś, że człowiek może jeździć na końskim grzbiecie albo zaprzyjaźnić się z wilkiem? Mam w zanadru jeszcze więcej opowieści, które na pewno nie wydadzą ci się prawdziwe. Pokażę ci też takie rzeczy, że zwątpisz we własne oczy.

- Dobrze już, dobrze, Jondalarze. Przekonałeś mnie. Nie będę więcej kwestionować twoich słów... nawet jeśli to, co mówisz, brzmi niewiarygodnie - dodała z uśmiechem pełnym przewrotnego czaru, którego Ayla nie zauważyła u niej do tej pory. Przez moment matka wyglądała o kilka lat młodziej i znachorka dowiedziała się wreszcie, po kim Jondalar odziedziczył swój olśniewający uśmiech.

Marthona uniosła do ust kubek z winem i pociągnęła łyk, zachęcając młodych, aby dokończyli posiłek. Kiedy zjedli, zabrała miski i szpikulce. Wróciwszy z kuchni, podała gościom kawałek miękkiej i nawilżonej skóry, którą starannie wytarli noże przed schowaniem ich do toreb. Kobieta dolała wina do pustych kubków i ponownie zasiadła za stołem.

- Długo cię nie było, Jondalarze - odezwała się po chwili milczenia. Ayla odniosła wrażenie, że Marthona z wielką ostrożnością dobiera słowa. - Rozumiem, że uraczysz nas wszystkich wieloma opowieściami z Podróży... I ty zapewne też, Aylo - dorzuciła, spoglądając na znachorkę. - Myślę, że potrzeba będzie na to mnóstwo czasu. Mam nadzieję, że zamierzasz zostać z nami... na dłużej - powiedziała wolno, wpatrując się znacząco w oczy Jondalara. - Oczywiście możecie zostać tu tak długo, jak sobie życzycie, choć po pewnym czasie zacznie nam doskwierać ciasnota. Niewykluczone, że kiedyś zapragniecie zamieszkać we własnym domostwie... gdzieś w pobliżu...

Jondalar uśmiechnął się ciepło.

Tak, matko, właśnie taki mamy plan. Nie martw się, nie zamierzam wyjeżdżać. Tu jest mój dom. Zostaniemy oboje, chyba że ktoś się temu sprzeciwi. Czy to właśnie chciałaś usłyszeć? Ayla i ja nie jesteśmy jeszcze połączeni, ale wkrótce będziemy. Mówiłem już o tym Zelandoni; była tu, zanim przysłała z winem. Celowo czekaliśmy do powrotu, aby Zaślubiny odbyły się tutaj i żeby

właśnie ona zawiązała węzeł podczas Letniego Spotkania. Mam dosyć wędrówek - dodał stanowczo.

Uśmiech Marthony zdradzał, jak bardzo jest szczęśliwa. Tak chciałabym zobaczyć dziecko urodzone przy waszym ognisku, może nawet z twojego ducha, Jondalarze.

Mężczyzna spojrział z miłością na Aylę.

- Czuję to samo co ty, matko.

Marthona miała nadzieję, że jego odpowiedź nie zawiera podtekstów, ale wolała nie pytać. Jeśli chciał jej o czymś powiedzieć, sam powinien wyjść z inicjatywą. Zdecydowanie wolałaby jednak, żeby był bardziej konkretny w sprawie tak ważnej, jak możliwość narodzin dziecka przy nowo utworzonym ognisku.

- Pewnie ucieszy cię wieść - ciągnął Jondalar - że Thonolan pozostawił dziecko ze swojego ducha, jeśli nie ogniska, w co najmniej jednej Jaskini, a może nawet w kilku. Filonia z ludu Losadunai, której bardzo się podobał, wkrótce po naszej wizycie stwierdziła, że jest w błogosławnym stanie. Ma teraz partnera i dwoje dzieci. Laduni mówił mi, że kiedy rozeszła się wieść o jej brzemienności, odwiedzili ją bodaj wszyscy mężczyźni Losadunai szukający partnerki. Wybrała jednego z nich, ale córce, którą wkrótce urodziła, dała na imię Thonolia. Widziałem tę małą. Folarą w jej wieku wyglądała prawie identycznie. Szkoda tylko, że Losadunai mieszkają tak daleko, po drugiej stronie lodowca... To naprawdę długa droga, choć teraz, kiedy wracaliśmy, wydawała mi się znacznie krótsza. - Jondalar urwał i zamyślił się na moment. - A ja przecież nigdy nie przepadałem za podróżowaniem. I nie wybrałbym się w tak daleką wędrówkę, gdyby nie Thonolan... - Mężczyzna dostrzegł wyraz twarzy matki i kiedy zdał sobie sprawę, o kim mówi, uśmiech zniknął z jego ust.

Thonolan urodził się przy ognisku Willamara - powiedziała Marthona. - Jestem też pewna, że z jego ducha. I zawsze uwielbiał być w ruchu, nawet jako małe dziecko... Czy i teraz kontynuuje Podróż?

Ayla nie po raz pierwszy zauważyła, że Marthona zadaje pytania w sposób pośredni, a czasem w ogóle nie pyta, a jedynie daje do zrozumienia, że chciałaby o czymś wiedzieć. Przypomniła też sobie, że Jondalar zawsze czuł się zakłopotany bezpośredniością i nie skrywaną ciekawością Mamutoi. I nagle zelektryzowała ją pewna myśl. Ludzie, którzy sami siebie nazywali Łowcami Mamutów, ludzie, którzy przygarnęli ją i których zwyczajnie tak bardzo starała się poznać i zrozumieć, nie byli tacy sami, jak pobratymcy Jondalara. Chociaż w Klanie określano wszystkich ludzi podobnych do Ayli mianem Innych, Zelandonii zdecydowanie nie byli Mamutoi, a język nie stanowił jedynej różnicy między nimi. Jeżeli znachorka chciała przystosować się do tutejszej



społeczności, musiała zacząć zwracać uwagę na to, jak żyją, zachowują się i rozmawiają Zelandonii.

Jondalar wziął głęboki wdech, pojmując, że nadszedł czas na wyjawienie całej prawdy o Thonolanie. Pochylił się z powagą i delikatnie ujął dłonie Marthony.

- Przykro mi, Matko, ale... Thonolan wędruje już po następnym świecie.

W jasnych, szeroko otwartych oczach starej kobiety widać było całą głębię nagłej rozpacz, wzbudzonej niespodziewaną wiadomością o śmierci syna. Ramiona Marthony opadły, jakby spoczął na nich wielki ciężar. Nie pierwszy raz dowiadywała się o stracie bliskiej osoby, ale nigdy jeszcze nie chodziło o jej dziecko... Utrata dorosłego syna, którego wychowywała przez lata i który mógł jeszcze długo cieszyć się pełnią dojrzałego życia, wydawała się tym bardziej bolesna. Marthona spuściła powieki, starając się zapanować nad emocjami. Wreszcie udało jej się wyprostować przygarbione plecy i spojrzeć w oczy syna, któremu los pozwolił wrócić do domu.

- Byłeś przy nim, Jondalarze?

- Tak - odparł krótko, wspominając tragiczną chwilę i czując, że ból powraca. - To był lew jaskiniowy... Thonolan wszedł za nim do skalistego jaru. Próbowałem go powstrzymać, ale nie słuchał.

Jondalar z trudem panował nad wzruszeniem, Ayla zaś przypomniała sobie tę noc w dolinie, kiedy kołysała go w ramionach niczym dziecko, pogrążonego w bezgranicznej rozpacz. Wtedy nie pojmowała jeszcze jego mowy, ale do zrozumienia takiego cierpienia niepotrzebna jest znajomość języka. Teraz, siedząc u boku swojego mężczyzny, delikatnie dotknęła jego ramienia, dając mu znak, że jest blisko, ale nie chce mieszać się do bolesnych spraw łączących go z matką. Uwagi Marthony nie umknął fakt, że gest Ayli pomógł Jondalarowi, który uspokojony westchnął ciężko.

- Mam coś dla ciebie, matko - powiedział, wstając i sięgając po torbę podróżną. Wyciągnął z niej małą paczuszkę, a po chwili namysłu - drugą.

Thonolan znalazł sobie kobietę i pokochał ją. Jej lud nazywa się Sharamudoi i mieszka w pobliżu końca Wielkiej Rzeki Matki, która jest tam tak szeroka, że dopiero zobaczywszy ją, można naprawdę zrozumieć, dlaczego została nazwana Wielką. Sharamudoi to w istocie dwie grupy: ta, którą zwą Shamudoi, mieszka na stałym lądzie i żyje z polowań na górskie kozice, druga zaś - Ramudoi - to rzeczny lud łowców olbrzymich jesiotrów. Na zimę Ramudoi przenoszą się do Shamudoi; każda rodzina z jednej grupy powiązana jest więzami krwi z rodziną z drugiej grupy. Z pozoru wydawało się, że różnią się znacznie, ale w istocie jest wiele drobnych powiązań, które czynią z nich dwie połówki jednego ludu. - Jondalar nie potrafił lepiej wyjaśnić sensu złożonej

kultury Sharamudoi. - Thonolan był tak bardzo zakochany, że chciał zostać z nimi. Kiedy poślubił Jetamio, przystał do Shamudoi.

- Jakie piękne imię - szepnęła Marthona.

- To była piękna kobieta. Pokochałabyś ją.

- Była?

- Zmarła, wydając na świat chłopca, który byłby synem jego ogniska. Thonolan nie mógł pogodzić się z tą stratą. Dziś myślę, że bardzo chciał podążyć za swoją kobietą do następnego świata.

- Przecież zawsze był taki radosny, taki beztroski... Wiem, ale kiedy Jetamio odeszła, zmienił się. Nie był już radosny i beztroski, a jedynie lekkomyślny. Nie mógł wytrzymać między Sharamudoi, więc próbowałem namówić go na powrót do domu, ale uparł się, że pójdzie dalej na wschód. Nie mogłem pozwolić, żeby wędrował samotnie. Ramudoi dali nam jedną ze swoich łodzi - a musisz wiedzieć, że robią wyjątkowo doskonale - i popłynęliśmy w dół rzeki. Straciliśmy cały ekwipunek w delcie Wielkiej Matki, tam, gdzie uchodzi do morza Beran. Byłem ranny, a Thonolan omal nie zginął wciągnięty w ruchome piaski, ale ocalili nas ludzie Mamutoi.

- I wtedy spotkałeś Aylę?

Jondalar spojrzał na swoją kobietę, a potem znowu na matkę.

- Nie - rzekł po namyśle. - Kiedy opuściliśmy Obóz Wierzby, Thonolan postanowił iść na północ, żeby zapolować na mamuty z Mamutoi podczas ich Letniego Spotkania, ale nie wydaje mi się, by tylko na tym mu zależało. Sądzę, że po prostu nie umiał usiedzieć na miejscu. - Jondalar przymknął oczy i raz jeszcze głęboko westchnął.

- Polowaliśmy wtedy na jelenia - rzekł, podejmując przerwana opowieść - ale nie wiedzieliśmy, że skrada się za nim także lwica. Zaatakowała mniej więcej w tej samej chwili, gdy cisnęliśmy oszczepami. Nasza broń ugodziła jelenia, ale to lwica dopadła i zabrała zdobycz. Thonolan postanowił ruszyć jej tropem. Twierdził, że mięso jest nasze, nie jej. Mówiłem mu, żeby nie drażnił bestii, żeby zostawił w spokoju jej łup, lecz on uznał, że trzeba iść za nią do legowiska. Dotarłszy na miejsce, zaczęliśmy się i gdy lwica gdzieś poszła, Thonolan zdecydował się zejść do jaru i zabrać część mięsa. Ale ona miała partnera, który nie zamierzał oddać nam zdobyczy. Zabił Thonolana, a mnie ciężko zranił.

Marthona z troską zmarszczyła czoło.

- Zaatakował cię lew?

- Gdyby nie Ayla, byłbym już martwy - dodał Jondalar. - Uratowała mi życie. Odciągnęła mnie od lwa i opatrzyła rany... Jest uzdrowicielką.

Marthona spojrzała w zdumieniu na Aylę i znów na Jondalara.

- Odciągnęła cię od lwa?

Whinney mi pomogła. Zresztą nic bym nie poradziła, gdyby to był inny lew - próbowała wyjaśnić Ayla.

Jondalar świetnie rozumiał niedowierzanie matki. Wiedział też, że żadne wyjaśnienia nie wydadzą się jej prawdziwe.

- Widziałaś już, w jaki sposób traktują Aylę Wilk i konie...

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że....

- Sama opowiedz, Aylo - poprosił Jondalar.

To był lew, którego znalazłam, kiedy był bardzo mały - zaczęła znachorka. - Stratował go jeleni i matka uznała, że jest martwy. Rzeczywiście, niewiele życia w nim pozostało. Tak się jednak złożyło, że to ja ściagałam wtedy te jelenie, próbując zapędzić je do dołu-pułapki. Udało mi się schwytać jednego z nich, a kiedy wracałam do doliny, znalazłam to małe kocię i zabrałam ze sobą. Whinney nie była zbyt szczęśliwa z tego powodu; bała się zapachu lwa, ale jakoś doniosłyśmy jelenia i rannego malca do mojej jaskini. Leczyłam go i w końcu wrócił do zdrowia, ale nie potrafił samodzielnie zdobywać pożywienia, więc musiałam zastąpić mu matkę. Whinney także nauczyła się go kochać. - Ayla uśmiechnęła się, wspominając dawne czasy. - Zabawne, jak Maluszek potrafił bawić się z klaczą.

Marthona popatrzyła na młodą kobietę ze zrozumieniem.

- Ach, więc tak to robisz - powiedziała. - Tak samo było z wilkiem i z końmi, prawda?

Tym razem to Ayla otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Jeszcze nikt spośród ludzi, których знаła, nie skojarzył tych faktów tak szybko. Rozpromieniła się, zachwycona przenikliwością Marthony.

Tak! Właśnie tak! Tyle razy próbowałam tłumaczyć to różnym ludziom... Kiedy znajdzie się bardzo młode zwierzę, nakarmi się i wychowa tak samo, jak własne dziecko, zawsze będzie czuło przywiązanie, i to z wzajemnością. Lew, który zabił Thonolana i poranił Jondalara, został wychowany przeze mnie; był dla mnie jak syn.

- Ale wtedy był już dorosłym drapieżnikiem, prawda? Żył z partnerką. Jakim cudem udało ci się odciągnąć jego uwagę od Jondalara? - spytała z niedowierzaniem Marthona.

- Kiedyś polowaliśmy razem. Gdy był mały, dzieliłam się z nim moimi zdobyczami, a gdy podrósł, nauczyłam go dzielić się ze mną. Zawsze robił to, o co prosiłam. Byłam jego matką, a lwy bardzo szanują matki - odpowiedziała Ayla.

- Ja też nie rozumiem tego do końca - rzekł Jondalar, widząc wyraz twarzy Marthony. - To był największy lew jaskiniowy, jakiego widziałem, ale Ayla bez trudu powstrzymała go w chwili, gdy właśnie miał rzucić się na mnie po raz drugi. Później nieraz widziałem, jak jeździła na jego

grzbiecie. Zresztą nie tylko ja; kiedyś zobaczyli ją także wszyscy Mamutoi zgromadzeni na Letnim Spotkaniu. Widziałem na własne oczy, a do dziś nie chce mi się wierzyć, że to prawda.

- Żałuję tylko, że nie zdołałam uratować Thonolana - odezwała się smutno Ayla. - Słyszałam, jak krzyczał, ale kiedy dotarłam na miejsce, twój syn już nie żył.

Słowa Ayli przypomniały Marthonie o wielkiej stracie i przez dłuższą chwilę wszyscy troje siedzieli w milczeniu. Matka Jondalara chciała jednak dowiedzieć się więcej, chciała zrozumieć Thonolana.

- Cieszę się, że zdążył przynajmniej kogoś pokochać.

Jondalar sięgnął po pierwsze zawiniątko, które wydobyl z torby podróżnej.

Tego dnia, kiedy odbyły się zaślubiny Thonolana z Jetamio, powiedział mi, że ty znałaś jego los: wiedziałaś, że nie wróci. Kazał mi dać słowo, że pewnego dnia zawitam jeszcze do domu i przywiozę ci coś pięknego, tak jak zawsze czyni to Willamar. A kiedy w drodze powrotnej zatrzymaliśmy się z Aylą u Sharamudoi, Roshario dała mi to dla ciebie... Roshario to kobieta, która wychowywała Jetamio, odkąd zmarła jej matka. Mówiła, że to był ulubiony drobiazg Jetamio - wyjaśnił Jondalar, przecinając sznurek spinający skórę i podając Marthonie zawiniątko.

W pierwszej chwili Marthona sądziła, że darem jest sama przepięknie wyprawiona, miękka skóra kozicy, ale gdy ją rozwinęła, dech zaparł jej widok cudownego naszyjnika. Wykonano go z czystych białych zębów młodych kozic. W ich korzeniach czyjaś pewna ręka wywierciła otworki, następnie uporządkowano je według wielkości i symetrycznie nanizano na rzemień, oddzielając je kręgami małych jesiotrów. Pośrodku zawieszono błyszczący medalion z masy perłowej, kształtem przypominający smukłą łódź.

To symbol ludzi, do których Thonolan postanowił dołączyć. Symbol obu połówek Sharamudoi. Kozice oznaczają łąd Shamudoi, a jesiotry rzekę Ramudoi, łódź zaś należy do jednych i drugich. Roshario chciała, żebyś miała coś, co należało do wybranki Thonolana - zakończył Jondalar.

Patrząc na piękny dar, Marthona nie potrafiła dłużej powstrzymać łez, które popłynęły po jej policzkach wartkimi strumieniami.

- Jondalarze, dlaczego Thonolan myślał, że znam jego los?

- Podobno powiedziałaś mu: "szczęśliwej Podróży", kiedy odchodził, a nie: "do zobaczenia".

W oczach Marthony znowu pojawiły się łzy.

- Miał rację. Od początku nie wierzyłam, że wróci. Próbowałam przekonać samą siebie, ale gdzieś w środku cały czas byłam pewna, że już nigdy go nie zobaczę. A kiedy dowiedziałam się, że wyruszyłeś razem z nim, pomyślałam, że straciłam dwóch synów. Jondalarze, nie masz pojęcia, jak

bardzo chciałabym, żeby Thonolan wrócił do domu razem z tobą, ale jednocześnie jestem szczęśliwa, że mam chociaż ciebie - powiedziała, wyciągając ku niemu ramiona.

Ayla także rozplakała się, obserwując pełen miłości uścisk Jondalara i jego starej matki. Zaczynała rozumieć, dlaczego nie mógł zostać z Sharamudoi mimo próśb Tholie i Markeno. Wiedziała też, jakie to uczucie stracić syna. Miała świadomość, że nigdy nie zobaczy własnego dziecka, ale pragnęła wiedzieć przynajmniej to, czy jest zdrowe, jak mu się wiedzie i jakie życie prowadzi.

Kotara zasłaniająca wejście odsunęła się na bok.

- Zgadnijcie, kto wrócił! - zawołała Folar, wbiegając do środka. Tuż za nią pojawił się znacznie bardziej stateczny Willamar.

### ROZDZIAŁ 3

Matka Jondalara pospieszyła ku swemu mężczyźnie, aby powitać go gorącym uściskiem.

- No, no, widzę, że wrócił twój wyrośnięty syn, Marthono! Przyznaję, nie spodziewałem się, że będzie z niego podróżnik. Może powinien być zostać handlarzem, a nie łupaczem? - mówił Willamar, zsuwając na ziemię wypchany plecak. Wreszcie chwycił Jondalara za bary i uściskał z niedźwiedzią siłą. - Widzę, że nie skurczyłeś się ani trochę - rzucił kpiąco, szczerząc zęby w uśmiechu i z zadowoleniem lustrując wzrokiem żółtowołosego mężczyznę ogromnego wzrostu.

Jondalar odpowiedział serdecznym uśmiechem. Partner jego matki - traktowany przezeń na równi z Dalanarem jako głowa ogniska - zawsze witał go w taki sposób: żartując na temat jego imponującego wzrostu. Sam Willamar też nie był ułomkiem, lecz tylko Jondalar dorównywał rozmiarami mężczyźnie, który partnerował Marthonie w chwili jego narodzin i później.

- Gdzie twój drugi syn, Marthono? - spytał Willamar, nie przestając uśmiechać się filuternie. W tej samej chwili dostrzegł ślady łez na twarzy swojej kobiety i zauważył, jak bardzo jest poruszona. Gdy przekonał się, że ból wykrzywia także oblicze Jondalara, natychmiast spoważniał.

Thonolan wędruje teraz po następnym świecie - powiedział jasnowłosy. - Właśnie opowiadałem matce... - Urwał, widząc, że Willamar blednie i chwieje się, jakby spadł na niego potężny fizyczny cios.

- Ależ... Ależ on nie może być w następnym świecie - wyjąkał zszokowany handlarz. - Jest zbyt młody. Nie znalazł jeszcze kobiety i nie założył ogniska... - Głos Willamara z każdym słowem wznosił się coraz wyżej. - I... i nie wrócił jeszcze do domu... - Ostatnie zdanie było już właściwie żalobnym zawodem.

Willamar zawsze darzył uczuciem wszystkie dzieci Marthony, ale w chwili, gdy został jej partnerem, Joharran, zrodzony jeszcze przy ognisku Joconana, był już prawie gotowy na spotkanie z kobietą-donii; był prawie mężczyzną. Jedynym uczuciem, jakie mogło ich połączyć, była przyjaźń. I choć Willamar szybko nauczył się kochać Jondalara - wówczas ledwie raczkującego malca - to dopiero Thonolan i Folarą byli prawdziwymi dziećmi jego ogniska. Był przekonany, że Thonolan jest też synem poczętym z jego ducha, przypominał go bowiem pod wieloma względami, a szczególnie zbliżało ich zamiłowanie do podróży i ciekawość świata. Willamar wiedział o ukrytych w głębi serca obawach Marthony, która przeczuwała, że nigdy już nie zobaczy ani Thonolana, ani Jondalara, gdy ten postanowił towarzyszyć bratu w Podróż. Wówczas jednak

Willamar był pewien, że to tylko matczyne lęki, i spokojnie oczekiwał powrotu młodzieńców; sam przecież nieraz wracał bezpiecznie z dalekich wypraw.

I dlatego teraz był zdezorientowany, jakby nie docierało do niego to, co się stało. Marthona napełniła jeszcze jeden kubek napojem z czerwonego pojemnika, Jondalar zaś i Folara pomogli oszołomionemu mężczyźnie zasiąść na poduszkach przy niskim stole.

- Proszę, napij się wina - powiedziała Marthona, sadowiąc się tuż obok.

Willamar był odrętwiały, niezdolny do zrozumienia tragedii, która dotyczyła jego ogniska. Machinalnie podniósł kubek i wypił do dna, po czym odstawił go na kamienny blat i znieruchomiał, wpatrując się tępo w rogowe naczynie.

Ayla bardzo chciała jakoś mu pomóc. Pomyślała o swojej torbie z ziołami - mogłaby przygotować uspokajający wywar, ale... Willamar nie znał jej jeszcze, a poza tym już otrzymał najcenniejszą pomoc, jakiej mógł oczekiwać: troskę i zrozumienie ludzi, którzy go kochali. Znachorka zastanawiała się, co czułaby, gdyby ktoś powiedział jej nagle, że Durc nie żyje. Wiedzieć, że nigdy nie spotka się własnego dziecka, to zupełnie inna rzecz - można przecież wyobrazić sobie, jak dorasta i mężnieje, ciesząc się miłością i opieką Uby.

Thonolan zdążył znaleźć i pokochać kobietę - odezwała się Marthona, próbując pocieszyć partnera. Jego cierpienie i bezradność kazały jej szybko otrząsnąć się z rozpacz i pospieszyć z pomocą. - Jondalar przywiózł mi coś, co do niej należało - mówiła, układając naszyjnik na wyciągniętej dłoni. Willamar jednak nadal wpatrywał się w przestrzeń niewidzącym wzrokiem, nieświadom tego, co dzieje się dokoła. Wreszcie wzdrygnął się i przymknął oczy. Kiedy po długiej chwili odwrócił się w stronę swej partnerki, pamiętał tylko, że mówiła coś do niego, ale nie miał pojęcia o czym. - Ten naszyjnik należał do kobiety Thonolana - powtórzyła Marthona, ponownie wyciągając rękę. - Jondalar mówił, że symbolizuje jej lud mieszkający nad szeroką rzeką... Nad Wielką Matką Rzeką.

- Zatem dotarł aż tak daleko... - rzekł głucho Willamar głosem pełnym smutku.

- Jeszcze dalej - podchwycił Jondalar. - Dotarliśmy do końca Wielkiej Matki Rzeki, potem nad morze Beran, a to jeszcze nie wszystko. Thonolan chciał iść dalej na północ, żeby polować na mamuty z Mamutoi. - Willamar podniósł głowę i spojrzał na niego z mieszaniną bólu i zdziwienia w oczach, jakby nie do końca rozumiał, co zostało powiedziane. - Mam tu coś, co należało do niego - kontynuował Jondalar. Usilnie myśląc nad tym, w jaki sposób mógłby pomóc staremu mężczyźnie otrząsnąć się z szoku, podniósł ze stołu drugie, znacznie większe zawiniątko. - Dostałem to od Markeno, związanego z Thonolanem przez rodzinę Ramudoi.

Jondalar rozciął sznurek i rozwinął miękką skórę, by pokazać Willamarowi i Marthonie narzędzie wykonane z rogu łośa pozbawionego bocznych wyrostków powyżej pierwszego

rozwidlenia. W górnej części twardej płytki widniał otwór o średnicy mniej więcej półtora cala. Była to prostownica do drzewc.

Thonolan dobrze znał się na swoim rzemiośle: potrafił kształtować drewno, szczególnie takie, które ogrzano nad gorącymi kamieniami lub nad parą. Dzięki prostemu rogowemu narzędziu mógł bez wielkiego wysiłku precyzyjnie wywierać nacisk na lekko skrzywione kije, z których zamierzał wykonać drzewca doskonałych, prosto latających włóczni. Prostownica była szczególnie przydatna tam, gdzie trzeba było obrobić końcówkę długiego konaru, na której nie sposób było zacisnąć dłoni. Wsuwając koniec drzewca w otwór narzędzia, można było skorzystać z dodatkowej dźwigni i tym sposobem naprostować krzywy fragment. Choć nazwa prostownica wydawała się jednoznaczna, rogowy przyrząd nadawał się też doskonale do zaginania drewnianych elementów, tak by mogły posłużyć jako części rakiet śnieżnych, szczypiec i innych giętych na ciepło przedmiotów. Szczególny talent Thonolana mógł więc służyć wielu celom.

Solidna, długa na stopę rękojeść narzędzia pokryta była głęboko rytymi symbolami oraz wizerunkami zwierząt i roślin, które w zależności od kontekstu mogły przyjmować najróżniejsze znaczenia - wycinane i malowane zdobienia zawsze miały głębszy sens, niż wydawało się to na pierwszy rzut oka. Wszystkie były wyrazem czci dla Wielkiej Matki Ziemi - w tym sensie motywy zwierzęce wyryte na rękojeści Thonolanowego narzędzia były błaganiem o Jej pozwolenie na to, by duchy zwierząt wstąpiły do wytwarzanych nim drzewc włóczni. Oprócz nich zauważyć można było także wzory nawiązujące do przemijania pór roku. Jondalar wiedział jednak, że jego brat lubił rysunki zdobiące prostownicę nie tylko ze względu na ich duchowe walory, ale także - a może przede wszystkim - dlatego, że były piękne.

Willamar długo wpatrywał się w przewierconą płytkę z rogu łosia, nim wyciągnął po nią rękę.

- Należała do Thonolana - rzekł cicho.

- Rzeczywiście - przytaknęła Marthona. - Pamiętasz, jak wygiął dla nas te kawałki drewna, na których spoczywa blat stołu? Używał wtedy właśnie tej prostownicy - dodała, dotykając palcami niskiej, kamiennej platformy.

Thonolan znał się na swoim rzemiośle - przyznał Willamar. Jego głos nadal był dziwny, jakby nieobecny.

- To prawda - zgodził się Jondalar. - Wydaje mi się, że czuł się tak wspaniale między Sharamudoi przede wszystkim dlatego, że potrafili tworzyć z drewna rzeczy, jakich wcześniej nie umiał sobie nawet wyobrazić. Budowali łodzie z giętego drewna. Brali wielki pień drzewa, nadawali mu odpowiedni kształt i drażyli go, aż powstał długi kadłub. Wtedy rozginali burty, tak by wewnątrz było bardziej przestronne. Kiedy chcieli zbudować jeszcze większą łódź, podwyższali



burty, dokładając i uszczelniając odpowiednio ukształtowane deski. Ramudoi są prawdziwymi mistrzami żeglugi, ale przy budowie statków zawsze pomagają im Shamudoi. Sam zastanawiałem się, czy nie warto zostać z nimi. Sharamudoi to wspaniali ludzie. Kiedy w drodze powrotnej zatrzymaliśmy się u nich z Aylą, zapraszali nas, byśmy pozostali na zawsze. Gdybym musiał wybierać, zdecydowałbym się raczej na zamieszkanie z Ramudoi. Był tam taki chłopak, którego bardzo zainteresowała moja technika łupania krzemienia...

Jondalar dobrze wiedział, że zaczyna paplać bez sensu, ale nie miał pojęcia, jak inaczej zapełnić pustkę i milczenie, w których pogrążył się Willamar. Nigdy dotąd nie widział partnera Marthony w takim stanie.

U wejścia do domostwa rozległo się pukanie, ale Zelandoni odsunęła kotarę i wkroczyła do wnętrza, nie czekając na zaproszenie. Tuż za nią wśliznęła się Folara i Ayla zrozumiała, że to właśnie ona wezwała donier. Znachorka z uznaniem skinęła głową; to było rozsądne posunięcie. Młoda siostra Jondalara była roztropną kobietą.

Folara była głęboko przejęta kondycją Willamara. Nie potrafiła pomóc mu w inny sposób, jak tylko sprowadzając eksperta: Zelandoni była donier, czyli Dawczynią Darów Doni. To ona sprawowała funkcję pośrednika między Wielką Matką Ziemią a Jej dziećmi, ona też służyła pomocą, radą i uzdrowicielską wiedzą wszystkim potrzebującym.

Folara wyłuszczyła potężnej kobiecie istotę problemu. Zelandoni rozejrzała się szybko i przejęła inicjatywę. Na początek przemówiła cicho do siostry Jondalara, która natychmiast pobiegła do kuchennej niszy i zaczęła dmuchać w popioły ogniska, próbując wzbudzić żar. Na próżno - ogień zdążył już zgasnąć. Marthona rozgarnęła węgle, by mięso przypiekało się w miarę równomiernie, i nie zwracała sobie głowy podtrzymywaniem płomienia, kiedy już zasiadła z gośćmi za stołem.

Ayla poczuła, że teraz może się na coś przydać. Zostawiła pograżonych w smutku krewnych Jondalara i szybko pobiegła w stronę wyjścia, gdzie zostawiła juki. Doskonale wiedziała, gdzie szukać woreczka z hubką - porwała go w locie i popędziła do kuchni. Pomyślała przy tym o Barzecu, mężczyźnie z Mamutoi, który zrobił dla niej ten drobiazg wkrótce po tym, jak ofiarowała każdemu ognisku Obozu Lwa "ognisty kamień".

- Pomogę ci rozpalić - powiedziała.

Folara uśmiechnęła się z wdzięcznością. Oczywiście potrafiła samodzielnie wzniecić ogień, ale w chwili, gdy mężczyzna jej ogniska był w takim stanie, nie czuła się najpewniej i ucieszyła się, że ktoś pragnie dotrzymać jej towarzystwa. Willamar zawsze był silny, solidny i opanowany, a dziś...

- Przynieś podpałkę, ja będę krzesać - poleciła Ayla.

Kijki do rozcierania są tam - odpowiedziała Folara, wskazując na półkę zawieszoną za jej plecami.

- W porządku, ale nie będą mi potrzebne - odrzekła znachorka, otwierając skórzany futerał.

Znajdowało się w nim kilka przegródek i kieszonek. Uchyliła jedną z nich i wysypała pokruszony suchy nawóz koński. Z innej wydobyła kłębek puszystych włókien roślinnych i rozłożyła je na kupce nawozu. Z trzeciej wyjęła kilka drzazg i umieściła je na osobnym stosiku.

Folara przyglądała się uważnie jej poczynaniom. Wszystko wskazywało na to, że podczas wielkiej Podróży Ayla nauczyła się trzymać pod ręką materiały niezbędne do rozpalenia ognia, ale dopiero dziwne kamienie, które wyjęła z torby na koniec, wprawiły dziewczynę w zdumienie. Obserwowała z szeroko otwartymi oczami, jak kobieta sprowadzona do domu przez jej brata uderza jednym kamieniem o drugi, posyłając w kierunku hubki potężną iskrę, która natychmiast zamieniła się w spory płomień. To było niesamowite!

- Jak to zrobiłaś? - spytała zdumiona Folara.

- Później ci pokażę - odpowiedziała spokojnie Ayla. - Teraz zajmijmy się podtrzymaniem ognia. Trzeba zagotować wodę dla Zelandoni.

Folara poczuła ukłucie irracjonalnego strachu.

- Skąd wiedziałaś, co mam zrobić?

Ayla bez słowa spojrzała na zaleknioną twarz skonsternowanej Folarę. Biorąc pod uwagę, że brat dziewczyny powrócił tego dnia do domu po długiej nieobecności - przyprowadzając oswojone zwierzęta i nieznaną kobietę - Willamar zaś przeżył niespodziewane załamanie nerwowe na wieść o śmierci Thonolana, można było bez przesady powiedzieć, że miała za sobą ciężki i emocjonujący dzień. Teraz zaś, gdy znachorka jakimś magicznym sposobem jednym ruchem skrzesała ogień, a następnie domyśliła się czegoś, o czym zdecydowanie nie powinna mieć pojęcia, Folara zaczęła się zastanawiać, czy w plotkach o niezwykłej, nadnaturalnej mocy kobiety Jondalara nie tkwi ziarno prawdy. Ayla zaś doskonale rozumiała rozterki dziewczyny i dobrze wiedziała, skąd się wzięły.

- Poznałam już Zelandoni. Jest waszą uzdrowicielką. To dlatego po nią pobiegłaś, prawda?

- spytała spokojnie.

- Rzeczywiście, ona jest donier - szepnęła Folara.

Uzdrowiciele zwykle przygotowują herbatę lub inny napój, by uspokoić kogoś, komu nerwy odmówiły posłuszeństwa. Domyśliłam się więc, że Zelandoni poprosiła cię o zagotowanie wody, żeby mogła przygotować wywar - wyjaśniała powoli Ayla.

Folara odprężyła się wreszcie; słowa obcej kobiety brzmiały nadzwyczaj rozsądnie.

- I obiecuję, że pokażę ci ten nowy sposób rozpalania ognia. Każdy może się tego nauczyć, jeśli tylko... ma odpowiednie kamienie.

- Każdy?

Tak. Nawet ty - odparła z uśmiechem Ayla.

Siostra Jondalara także się uśmiechnęła. Umierała z ciekawości i marzyła o tym, by bliżej poznać tę nadzwyczajną kobietę - od pierwszej chwili pragnęła zadać jej mnóstwo pytań, ale jednocześnie nie chciała być niegrzeczna. Teraz pojawiło się w jej głowie wiele nowych zagadek, lecz Ayla nie wydawała się już Folarze tak niedostępna jak do tej pory. W gruncie rzeczy wyglądała na miłą osobę.

- O koniach też mi opowiesz?

Ayla uśmiechnęła się szeroko. Nagle uświadomiła sobie, że choć Folarze jest wysoką, zgrabną i urodziwą młodą kobietą, to stan ten z pewnością nie trwa długo. Postanowiła, że zapyta Jondalara o wiek dziewczyny, ale była niemal pewna, że Folarze jest rówieśniczką Latie, nastoletniej córki Nezzie, partnerki przywódcy Obozu Lwa Mamutoi.

- Oczywiście. Sama cię do nich zaprowadzę - zapewniła, spoglądając w stronę niskiego stołu, przy którym zasiedli członkowie ogniska dziewczyny. - Może jutro, kiedy wszyscy trochę się uspokoją. Zresztą jeśli chcesz, możesz iść do nich wcześniej, tylko nie podchodź zbyt blisko, dopóki cię nie poznają.

- Na pewno tego nie zrobię - odparła gorliwie Folarze.

Ayla uśmiechnęła się, wspominając fascynację, którą konie wzbudziły w młodej Latie. - Chciałabyś kiedyś przejechać się na grzbiecie Whinney?

- A mogę?! - Folarze szeroko otworzyła oczy i z wrażenia omal nie zapomniała oddychać.

W tym momencie Ayla widziała w siostrze Jondalara nieomalże bliźniaczkę Latie, która tak bardzo pokochała konie, że znachorka nie byłaby zdziwiona, gdyby pewnego dnia dziewczyna z Mamutoi sama znalazła źrebaka i wychowała go po swojemu.

Ayla skoncentrowała się na rozpalaniu ognia, Folarze zaś sięgnęła po torbę na wodę zrobioną z żołądka jakiegoś dużego zwierzęcia.

- Muszę przynieść więcej wody, worek jest prawie pusty - stwierdziła dziewczyna.

Węgla żarzyły się jeszcze wątłym blaskiem. Ayla dmuchnęła na nie lekko, a potem nieco mocniej, dokładając wiórów i większych drzazg, które dostała od Folarzy, by wreszcie podłożyć spore kawałki suchego drewna. W pobliżu ogniska zauważyła kilka kamieni służących do gotowania i czym prędzej wrzuciła je w płomień, by się rozgrzały. Po chwili Folarze wróciła z pękatą i najwyraźniej bardzo ciężką torbą, lecz widać było, że nawykła do jej noszenia. Napelniła głęboką drewnianą misę - zapewne tę samą, w której Marthona na co dzień parzyła herbatę - i

podawała Ayli drewniane szczypce o nieco okopconych końcach. Kiedy kamienie wrzucone w ogień osiągnęły odpowiednią temperaturę, uzdrowicielka sięgnęła szczypcami i wyciągnęła pierwszy, by wrzucić go do miski. Rozgrzana skała syknęła, posyłając w powietrze obłok pary. Kobieta wyciągnęła szczypce po drugi kawałek i wrzuciwszy go do wody, wyłowiła pierwszy, by zastąpić trzecim, gorącym.

Folara pobiegła do Zelandoni, by zameldować jej, że wrzątek jest prawie gotowy. Ayla domyśliła się, że krótka wymiana zdań nie dotyczyła jedynie wody - otyła kobieta uniosła głowę i spojrzała w stronę kuchni, unosząc brwi. Obserwując, jak donier z wysiłkiem podnosi się z niewysokich poduszek, Ayla pomyślała o Crebie, Mogurze Klanu Niedźwiedzia Jaskiniowego. Chromy starzec zawsze miał problemy ze wstawaniem z ziemi. Jego ulubionym miejscem wypoczynku było wiekowe, wygięte ku ziemi drzewo o nisko płożących się konarach, z których jeden był idealnym siedziskiem - Mogur podnosił się zeń bez trudu.

Zelandoni weszła do niszy kuchennej.

Podobno woda już gotowa. - Ayla skinęła głową w stronę parującej miski. - I jeśli dobrze zrozumiałam Folare, umówiłaś się z nią na pokaz rozpalania ognia za pomocą kamieni. Cóż to za sztuczka?

Rzeczywiście... Mam trochę krzemieni. Jondalar też nieco przywiózł. A cała sztuczka polega na tym, że trzeba wiedzieć, jak ich użyć. To nic trudnego. Pokażę ci z przyjemnością, kiedy tylko zechcesz. I tak zamierzaliśmy to zrobić. - Zelandoni odwróciła się i spojrzała na Willamara. Znachorka wiedziała, że w jej sercu toczy się walka między ciekawością a poczuciem obowiązku.

- Nie teraz - zdecydowała wreszcie kobieta, lekko potrząsając głową. Sięgnęła do torebki umocowanej u pasa spinającego jej obszerną talię, by wydobyć z niej garść suszonych ziół i cisnąć je wprost w gotującą się wodę. - Szkoda, że nie mam krwawnika - mruknęła do siebie.

- Ja mam, jeśli potrzebujesz - zaoferowała Ayla.

- Co? - spytała w roztargnieniu Zelandoni, koncentrując się na własnych myślach i nie bardzo zwracając uwagę na to, co działo się wokół.

- Powiedziałam, że mam trochę krwawnika, jeśli potrzebujesz. Wspomniałaś, że przydałby ci się.

- Tak? Rzeczywiście, pomyślałam o krwawniku, ale skąd miałabyś go mieć?

- Jestem uzdrowicielką... znachorką. Zawsze mam przy sobie przynajmniej podstawowe zioła lecznicze. Takie jak krwawnik. Pomaga na bóle brzucha, odpręża i sprzyja gojeniu się ran - wyjaśniła rzeczowo.

Szczęka Zelandoni opadłaby bardzo nisko, gdyby zdumiona kobieta w porę nie zahamowała jej ruchu.

- Jesteś uzdrowicielką? Jondalar przyprowadził do domu uzdrowicielkę? - Donier omal się nie roześmiała, ale powstrzymała się i tylko pokręciła głową, przymknąwszy oczy. - Wiesz, Aylo, wydaje mi się, że czeka nas niezwykle długa rozmowa.

- Porozmawiam z tobą z prawdziwą przyjemnością - odrzekła znachorką - ale teraz... potrzebujesz krwawnika.

Zelandoni zamyśliła się na moment. Nie, ona nie może być Tą, Która Służy. Gdyby nią była, nigdy nie opuściłaby swojego ludu, by podążyć za mężczyzną do jego domu - nawet gdyby postanowiła zostać jego partnerką. Ale możliwe, że zna się co nieco na ziołach. Wielu ludzi ma doświadczenie w zielarskich praktykach... A skoro ma przy sobie krwawnik, dlaczego ona, Zelandoni, nie miałyby z niego skorzystać? Jego zapach jest na tyle charakterystyczny, że rozpozna go bez trudu.

- Rzeczywiście, przydałaby mi się odrobina, jeśli masz pod ręką swój zapas.

Ayla pobiegła do juków i z bocznej kieszeni jednego z nich wzięła swą torbę znachorską ze skóry wydry. Jest już taka zniszczona, zauważyła, wracając do kuchni. Wkrótce będzie musiała sprawić sobie nową. Zelandoni z zainteresowaniem spojrzała na dziwną torbę, która wyglądała tak, jakby wykonano ją z całego zwierzęcia. Nigdy dotąd nie widziała podobnego pojemnika na zioła, ale było w nim coś autentycznego.

Młodsza kobieta odchyliła głowę wydry, rozluźniła rzemień zaciągnięty wokół szyi zwierzęcia, zajrzała do wnętrza torby i wyciągnęła z niej małe woreczek. Odgadła jego zawartość po kolorze skóry, rodzaju włókna, którym był zasnurowany, i po liczbie supełków na luźnych końcach splotu. Rozluźniła węzeł - a był to węzeł łatwy do rozwiązania, jeśli ktoś wiedział, jak to zrobić - i podała otwarty woreczek przyglądającej się jej poczynaniom wielkiej kobiecie.

Zelandoni zachodziła w głowę, skąd Ayla może wiedzieć, czy wyjęła z torby właściwe ziele, skoro nawet go nie powąchała, ale zbliżywszy nos do woreczka, przekonała się, że nie zaszła pomyłka. Donier wysypała odrobinę na otwartą dłoń i przyjrzała się jej z bliska, aby stwierdzić, czy są to suszone liście czy też liście zmieszane z kwiatami i czy w suszu nie ma żadnej niepożądanego domieszki. Upewniwszy się, że to czyste liście krwawnika, wysypała kilka szczypt do miski z gotującą się wodą.

- Dołożyć jeszcze jeden gorący kamień? - spytała Ayla, zastanawiając się, czy donier zamierza przygotować napar czy wywar - zaparzyć zioła czy wygotować je.

- Nie - odpowiedziała kobieta. - Nie chcę, żeby napar był zbyt mocny. Wystarczy lekka dawka... Szok prawie minął, a Willamar jest silnym mężczyzną. Teraz bardziej martwi się o Marthone, więc i jej zamierzam dać porcję. Muszę działać ostrożnie, żeby nie zepsuć całej kuracji...

Ayla pomyślała, że Zelandoni musi regularnie podawać matce Jondalara jakiś środek, którego działanie uważnie obserwuje.

- Chciałabyś, żebym zrobiła dla wszystkich herbatę? spytała ochoczo.

- Nie jestem pewna... Jaką herbatę? - spytała starsza uzdrowicielka.

- Coś łagodnego i smacznego. Może z odrobiną mięty albo rumianku... mam nawet trochę kwiatu lipy dla osłody.

- Dobrze, zrób. Rumianek z kwiatem lipy powinien być odpowiedni, nieco uspokajający - rzuciła przez ramię Zelandoni, wychodząc z kuchni.

Ayla uśmiechnęła się i wyciągnęła kolejne woreczki ze znachorskiej torby. Ona zna magię uzdrawiania!, pomyślała. Odkąd opuściłam Klan, nie mieszkałam blisko kogoś, kto znałby się na lekach i uzdrowicielskiej magii! Będzie cudownie móc z kimś porozmawiać o tych sprawach.

Ayla poznała tajniki znachorstwa - a przynajmniej zielarstwa i leczenia niektórych urazów, jeśli nie spraw związanych ze światem duchów - dzięki Izie, przybranej matce z Klanu, którą powszechnie uważano za spadkobierczynię przebogatej tradycji rodu najlepszych uzdrowicieli. Wielu dodatkowych informacji dostarczyły jej kobiety-znachorki zebrane na Zgromadzeniu Klanów, na którym zjawiała się wraz z klanem Bruna. Znacznie później, na Letnim Spotkaniu Mamutoi, spędziła sporo czasu, ucząc się od mamutii.

Dość szybko przekonała się, że ludzie zwani Tymi, Którzy Służą Matce, znali się zarówno na leczeniu, jak i na sprawach duchowych, choć nie każdy z nich przejawiał nadzwyczajne zdolności w obu dziedzinach. Często zależało to od indywidualnych zainteresowań. Niektórzy mamutii byli wybitnymi fachowcami w dziedzinie preparowania leków, niektórzy zajmowali się chętniej uzdrawianiem, innych ciekawiło ciało człowieka, a jeszcze inni próbowali ustalić, dlaczego jednym ludziom udawało się przetrwać ciężką chorobę lub zranienie, a innym nie. Byli i tacy, którzy parali się wyłącznie kontaktami ze światem duchów i eksploracją umysłu, nie poświęcając znachorstwu ani trochę uwagi.

Ayla zaś chciała znać się na wszystkim. Próbowała chłonąć każdy rodzaj wiedzy: tę o świecie duchów, o liczeniu, legendy i historie, ale jej szczególną, bezgraniczną fascynacją było wszystko, co wiązało się z uzdrawianiem. Interesowały ją leki, techniki medyczne, sposoby kurowania rozmaitych dolegliwości i przyczyny chorób. Eksperymentowała na sobie z nowymi, nieznanymi roślinami i ziołami w taki sposób, jak nauczyła ją tego Iza. Stale powiększała swój zasób wiedzy, ucząc się niecodziennych technik od uzdrowicieli, których spotykała w swej Podróży z Jondalarem. Uważała, że posiada już spore umiejętności, ale nadal musi się uczyć. Nie w pełni zdawała sobie sprawę z tego, jak wielki Jest zasób jej wiedzy i do jakiej wprawy doszła w leczeniu najrozmaitszych dolegliwości. Jednej rzeczy brakowało jej Jednak bardziej niż innych,

odkąd została zmuszona do opuszczenia Klanu: bratniej duszy, z którą mogłaby rozmawiać o swojej pasji.

Folara pomogła jej w parzeniu herbaty, pokazała, gdzie ma szukać potrzebnych składników i przedmiotów, a potem razem zaniósł do izby kubki z parującym napojem. Stan Willamara wyraźnie się poprawił; mężczyzna szczegółowo wypytywał teraz Jondalara o okoliczności śmierci Thonolana. Jasnowłosy olbrzym właśnie zaczął powtórnie opowiadać o spotkaniu z lwem jaskiniowym, kiedy u wejścia rozległo się pukanie.

- Wejść! - zawołała Marthona.

Joharran odsunął kotarę i z lekkim zaskoczeniem powiódł wzrokiem po twarzach zebranych, nie wyłączając Zelandoni. Przyszedłem zobaczyć się z Willamarem. Chciałbym wiedzieć, jak poszła wymiana... Widziałem Tivonana i ciebie, kiedy nieśliście dużą paczkę, ale w związku z zamieszaniem wywołanym wieczorną ucztą pomyślałem, że powinniśmy poczekać ze spotkaniem do jutra... - mówił, zbliżając się do stołu. Urwał, wyczuwając, że zaszło coś ważnego. Znowu przyjrzał się twarzom bliskich i wreszcie zatrzymał wzrok na Zelandoni.

- Jondalar właśnie opowiadał nam o lwie jaskiniowym, który... zaatakował Thonolana - powiedziała spokojnie donier i dopiero widząc przerażenie w oczach przywódcy, zrozumiała, że nie wiedział o śmierci najmłodszego brata. Jemu też nie będzie łatwo, pomyślała. Wszyscy kochali Thonolana. - Usiądź, Joharranie. Sądzę, że razem powinniśmy wysłuchać tej historii. Łatwiej znieść rozpacz wśród bliskich, a poza tym wątpię, by Jondalar chciał powtarzać opowieść nazbyt wiele razy.

Oczy Ayli i Zelandoni spotkały się na moment. Młoda znachorka nieznacznie skinęła głową w stronę kubka z uspokajającym napojem przygotowanym przez Tę Która Służy, a następnie w kierunku naczynia z herbatą. Donier w równie dyskretny sposób dała jej znać, że wybiera to drugie, i spokojnie przyglądała się, jak kobieta Jondalara w milczeniu nalewa herbatę do kubka i podaje Joharranowi. Mężczyzna przyjął rogowe naczynie bez słowa, zasluchany w opowieść brata, który z ponurą miną relacjonował ostatnie chwile życia Thonolana. Zelandoni była coraz bardziej zaintrygowana osobą młodej uzdrowicielki. Dziewczyna zdecydowanie miała coś w sobie; coś znacznie ważniejszego niż odrobina wiedzy o ziołach.

- Jondalarze, co zrobił lew, kiedy już rozprawił się z Thonolanem? - spytał głucho Joharran.

- Rzucił się na mnie.

- Jakim cudem udało ci się uciec?

- To już historia Ayli - odparł Jondalar i nagle wszystkie oczy zwróciły się w stronę jego kobiety.

Kiedy dawno temu uczynił to po raz pierwszy - przerwał opowieść i zupełnie niespodziewanie kazał ją podjąć Ayli - była niesłuchanie zakłopotana. Od tamtej pory przywykła nieco do relacjonowania różnych zdarzeń przed większym gronem, ale tym razem sytuacja była wyjątkowa: miała mówić do krewnych Jondalara, do jego najbliższej rodziny. A przecież opowieść dotyczyła śmierci jednego z nich, mężczyzny, którego nigdy nie знаła, a który był im bardzo bliski... Zdenerwowana, poczuła nagły ucisk w żołądku.

- Jechałam właśnie na Whinney - zaczęła. - W jej brzuchu był wtedy Zawodnik, ale potrzebowała ruchu, więc codziennie jeździłam trochę na jej grzbiecie. Zwykle kierowałyśmy się na wschód, bo teren był tam znacznie łatwiejszy, ale tego dnia pomyślałam, że dla odmiany miło będzie zwiedzić okolicę na zachodzie. Dotarliśmy do końca doliny, gdzie stromy dotąd stok zaczął się wyrównywać. Potem przekroczyłyśmy mały potok i w zasadzie zamierzałam już zawracać. Whinney ciągnęła pod górę włók, ale to mocny koń; wspięła się na szczyt bez większego kłopotu.

- Co to jest włók? - spytała Folar.

- Dwie tyczki przywiązane jednym końcem do grzbietu klaczy, a drugim ciągnące się po ziemi. Między nimi umocowane są mocne poprzeczki, na których można coś położyć. W ten sposób Whinney pomagała mi zwozić do jaskini różne rzeczy - na przykład upolowaną zwierzynę - dodała Ayli, próbując jak najdokładniej wytłumaczyć zasadę działania sprzętu, który sama wymyśliła.

- Dlaczego nie poprosiłaś kogoś o pomoc? - dopytywała się Folar.

W pobliżu nie było nikogo. Mieszkałam sama w dolinie - odrzekła znachorka.

Zebrani spojrzeli po sobie ze zdziwieniem, ale zanim ktokolwiek zdążył wyrazić swoje wątpliwości, odezwała się Zelandoni.

- Z pewnością moglibyśmy zasypać Ayli pytaniami, ale możemy to zrobić później. Teraz pozwólmy jej dokończyć opowieść o Thonolanie i Jondalarze.

Wszyscy kiwnęli głowami na znak zgody i z ciekawością popatrzyli na urodziwego gościa.

- Kiedy przechodziłyśmy obok skalistego jaru, usłyszałam ryk lwa, a potem krzyk cierpiącego człowieka - ciągnęła Ayli.

Słuchacze zastygli w bezruchu i chłonęli każde słowo, jedynie Folar nie potrafiła milczeć.

- I co zrobiłaś?

- Z początku nie wiedziałam, jak się zachować, ale postanowiłam sprawdzić, kto krzyczał. Musiałam przynajmniej spróbować pomóc. Whinney zawiozła mnie do jaru. Schowałam się za skałą i powoli wyjrzałam. Zobaczyłam i usłyszałam lwa. To był Maluszek. Nie bałam się już. Zbliżyłam się śmiało, bo wiedziałam, że nic nam nie zrobi.

Tym razem to Zelandoni nie wytrzymała.



- Rozpoznałaś ryk lwa? Weszłaś prosto do jaru, w którym usłyszałaś ryk lwa?

To nie był pierwszy lepszy lew, tylko Maluszek. Mój lew. Ten, którego wychowałam - wyjaśniła Ayla, starając się podkreślić różnicę. Zerknęła przelotnie na Jondalara, który słuchał jej z szerokim uśmiechem, mimo powagi wydarzeń, o których opowiadała. Po prostu nie potrafił się powstrzymać.

- Rzeczywiście, wspominali już o tym lwie - wtrąciła Marthona. - Widocznie Ayla ma dobrą rękę także do innych zwierząt, nie tylko do koni i wilków. Jondalar mówił, że widział, jak jechała na grzbiecie lwa. Twierdzi, że inni ludzie też widzieli. Proszę, mów dalej, Aylo.

Zelandoni pomyślała, że będzie musiała przyjrzeć się bliżej tajemniczym konszachtom młodej znachorki z dzikimi zwierzętami. Widziała jej konie nad Rzeką i słyszała, że Ayla przyprowadziła ze sobą wilka, ale była zajęta chorym dzieckiem w jednym z sąsiednich domostw, kiedy Marthona prowadziła do siebie syna i jego kobietę. Tak czy inaczej, oswojonych zwierząt nie było w pobliżu, więc postanowiła przynajmniej na jakiś czas zapomnieć o ich istnieniu.

Kiedy dotarłam do końca jaru - kontynuowała Ayla - zobaczyłam na skalnej półce Maluszka i dwóch mężczyzn. Sądziłam, że obaj są martwi, ale kiedy wspierałam się do nich i przyjrzałam się bliżej, zrozumiałam, że tylko jeden już nie oddycha. Drugi żył jeszcze, ale bez pomocy wkrótce pożegnałby się z tym światem. Jakimś sposobem udało mi się zwlec Jondalara z tej półki i uwiązać go do włoka.

- A co z lwem? - zainteresował się Joharran. - Lwy jaskiniowe zwykle nie pozwalają, by ktokolwiek zabierał im łup, który same zdobyły.

- Oczywiście, że nie, ale to był Maluszek. Kazałam mu odejść. - Ayla zauważyła, że oszołomiony mężczyzna spogląda na nią z niedowierzaniem. - Postąpiłam tak samo, jak zawsze, kiedy jeszcze razem polowaliśmy. Myślę, że i tak nie był głodny, bo partnerka chwilę wcześniej przyniosła mu całego jelenia. Poza tym zazwyczaj nie polował na ludzi. Ja go wychowałam. Byłam jego matką. Ludzie byli jego rodziną... jego stadem. Moim zdaniem zaatakował Jondalara i Thonolana tylko dlatego, że wkroczyli na jego terytorium.

Nie chciałam zostawiać martwego człowieka w pobliżu legowiska lwów. Lwica na pewno nie uważała, że ludzie należą do jej stada. Niestety, na włoku nie starczyło miejsca dla Thonolana, a ja nie miałam czasu na odprawienie właściwego pogrzebu. Bałam się, że Jondalar umrze, jeżeli nie zawiozę go szybko do mojej jaskini. Zauważyłam, że nad półką, na której leżało ciało zabitego, piętrzy się spore osypisko, podparte wielkim głazem. Zaciągnęłam Thonolana w to miejsce i za pomocą włóczni - a używałam wtedy potężnej włóczni Klanu - usunęłam kamień przed sterty drobniejszych odłamków skalnych. Rumowisko dobrze ukryło zwłoki. Było mi przykro, że pozostawiam zmarłego, nie przesławszy nawet wiadomości do Świata Duchów. Dlatego - choć nie

jestem mogurem - postarałam się odtworzyć rytuał, który odprawiał kiedyś Creb. Poprosiłam Ducha Wielkiego Niedźwiedzia Jaskiniowego, by poprowadził Thonolana do krainy duchów. A potem z pomocą Whinney zawiozłam Jondalara do siebie.

Zelandoni miała ochotę zadać młodej znachorce mnóstwo pytań. Ciekawiło ją na przykład, kim był ów "grrreb", bo tak właśnie brzmiało w ustach Ayli imię Creb. I dlaczego poleciła zmarłego opiece ducha niedźwiedzia jaskiniowego, a nie Wielkiej Matce Ziemi? Nie rozumiała połowy opowiadania, pozostałą zaś część uznała za mało wiarygodną.

- Dobrze, że Jondalar nie był tak ciężko ranny, jak ci się zdawało - rzekła z namysłem donier.

Ayla pokręciła głową. O co jej chodzi? Jondalar był prawie martwy. Sama nie wiem, jakim cudem udało mi się go wyleczyć, pomyślała ze zdziwieniem.

Jondalar bezbłędnie odgadł myśli Ayli, obserwując zmiany w wyrazie jej twarzy. Rozumiał, że Zelandoni pozwoliła sobie na fałszywe przypuszczenia, które należało czym prędzej skorygować.

- Chyba powinniście zobaczyć, jak bardzo byłem poraniony - rzekł, wstając energicznie. Uniósł tunikę i rozwiązał rzemień podtrzymujący na wysokości pasa brzegi jego letnich nogawic.

Wprawdzie mężczyźni prawie nigdy nie paradowali zupełnie nago - nawet w najgorętsze dni lata - i podobnej zasady przestrzegały kobiety, ale pokazanie komuś własnego ciała nie było postępkami wstydliwymi. Ludzie często widywali się bez odzieży, kiedy pływali razem w rzece lub spotykali się w łaźni. Dlatego też zebrani w domostwie Marthony i Willamara nie gapili się na obnażoną męskość Jondalara, a jedynie ze zgrozą wpatrywali się w olbrzymie blizny w górnej części jego uda oraz w kroczu.

Zelandoni zauważyła, że rany zagoiły się prawidłowo - Ayla zdołała przyszyć rozszarpane fragmenty skóry na właściwych miejscach. Na nodze widać było ślady siedmiu szwów: cztery węzły spinały brzegi najgłębszego zranienia, trzy kolejne utrzymywały rozerwane mięśnie w odpowiedniej pozycji. Najprawdopodobniej nikt nie pokazywał młodej znachorce, jak należy opatrywać takie urazy - zrobiła to, co uznała za właściwe, by zamknąć głęboko rozorane ciało.

W ruchach Jondalara nie było widać ani śladu tak ciężkiej kontuzji. Nie kulał i nie oszczędzał zranionej nogi, natomiast widoczne gołym okiem deformacje dotyczyły jedynie skóry - przeczące się pod nią mięśnie wyglądały normalnie. Prócz znamion na nodze i w kroczu jego ciało szpeciły też nabiegłe czerwienią ślady na prawym ramieniu i na klatce piersiowej; zapewne także pamiątki po feralnym spotkaniu z lwem jaskiniowym, w przeciwieństwie do blizn widocznych z boku, na żebrach. Bliscy Jondalara pojęli, że jego wielka Podróż nie należała do łatwych.

Wiedzieli teraz, że po spotkaniu z lwem istotnie był ciężko ranny i wymagał natychmiastowej pomocy, ale tylko Zelandoni w pełni rozumiała, jak bliski był śmierci. Zarumieniła się na myśl o tym, jak bardzo nie doceniała umiejętności znachorskich Ayli, i wstydziła się chybionej uwagi, którą wygłosiła chwilę wcześniej.

- Przepraszam cię, Aylo. Nie miałam pojęcia, że jesteś tak znakomitą uzdrowicielką. Moim zdaniem Dziewięta Jaskinia Zelandonii ma wielkie szczęście, że Jondalar przyprowadził ze sobą tak utalentowaną osobę - oświadczyła z powagą. Zauważyła przy tym, że ubierający się mężczyzna uśmiechnął się lekko, a jego jasnowłosa wybranka odetchnęła z ulgą.

Donier postanowiła, że koniecznie musi dowiedzieć się więcej o zagadkowej znachorce. Jej dziwne związki ze zwierzętami musiały coś oznaczać, a tak nieprzeciętne umiejętności uzdrowicielskie wymagały podporządkowania i kontroli ze strony Zelandoni. Niezwykły przybysz mógł wprowadzić chaos w uporządkowane dotąd życie tego ludu, jeśli jego poczynania nie byłyby nadzorowane. Skoro jednak Ayła była gościem Jondalara, należało działać powoli i z rozmysłem. A przede wszystkim wypadało najpierw dobrze ją poznać.

- Zdaje się, że powinnam ci podziękować za umożliwienie powrotu do domu chociaż jednemu z moich synów - zauważyła Marthona. - Cieszę się, że go mam, i jestem ci wdzięczna.

- Gdyby wraz z wami powrócił Thonolan, byłby to zaiste szczęśliwy dzień. Ale Marthona od początku wiedziała, że więcej go nie zobaczymy - rzekł Willamar i spojrzał znacząco na partnerkę ze swego ogniska. - Nie chciałem ci wierzyć, a powinienem był... Thonolan pragnął wszystko zobaczyć na własne oczy, dotrzeć dosłownie wszędzie. Gdyby nie zginął, podróżowałby pewnie bez końca... Już jako dziecko przejawiał zbytnią ciekawość.

Ten komentarz przypomniał Jondalarowi o niewesołych myślach, które prześladowały go od dłuższego czasu. Trudno było o lepszą okazję do podzielenia się obawami z najbliższymi.

- Zelandoni, chciałbym cię o coś spytać... Czy to możliwe, żeby duch Thanolana samodzielnie odnalazł drogę do Świata Duchów? - Zmarszczki zatroskania na czołach Jondalara i Joharrana wyglądały niemal identycznie. - Kiedy zmarła kobieta, z którą był zaślubiony, Thonolan przestał być sobą. A potem, kiedy nadszedł jego czas, ruszył w pośmiertną wędrówkę bez odpowiedniej odprawy. Jego kości nadal spoczywają pod stertą kamieni gdzieś na wschodnich stepach, bez stosownego pochówku. Co będzie, jeśli jego duch zabłądzi i będzie się snuł po następnym świecie bez przewodnika?

Otyła niewiasta zmarszczyła brwi. Pytanie było trudne i dotyczyło problemu, który należało rozwiązać z wielką delikatnością, szczególnie przez wzgląd na pogrążoną w bólu rodzinę Thanolana.

- Aylo, wspomniałaś o pospiesznym rytuale, który odprawiłaś nad ciałem zmarłego. Opowiedz mi o nim.

- Niewiele mogę rzec - odparła znachorka. - Creb zawsze odprawiał ten rytuał nad zmarłym, którego dusza już opuściła nasz świat. A wtedy bardziej troszczyłam się o tego, który przeżył... Choć i drugiemu chciałam pomóc w odnalezieniu właściwej drogi.

- Ayła zabrała mnie później w to miejsce - dodał Jondalar. - Dała mi trochę sproszkowanej czerwonej ochry, żebym rozsypał na rumowisku. A potem, kiedy opuszczaliśmy dolinę na dobre, powróciliśmy jeszcze raz do jaru, w którym zginął Thonolan. Wtedy zabrałem stamtąd pewien szczególny kamień ze sterty, która zakryła ciało mojego brata. Przywiozłem go ze sobą. Miałem nadzieję, że dzięki niemu będzie ci łatwiej odnaleźć zabłąkaną duszę i jakoś wskazać jej drogę. Kamień jest w torbie, zaraz go przyniosę. Jondalar wstał, pochylił się nad pakunkiem i chwilę później wrócił z prostym, skórzanym woreczkiem przewiązany na tyle długim rzemieniem, że można było założyć go na szyję, choć nic nie wskazywało na to, by był noszony w taki sposób. Otworzywszy woreczek, mężczyzna wytrząsnął na dłoń dwa małe przedmioty. Jednym z nich była bryłka ochry, drugim zaś niewielki kawałek zwykłej szarej skały, kształtem przypominający nieco spłaszczoną piramidę. Kiedy jednak Jondalar ujął kamyk palcami i odwrócił, wszyscy aż jęknęli ze zdumienia. Niewidoczna dotąd strona była naznaczona żyłkami cienkiej warstwy błękitnego opalu, w którym odbijały się czerwone błyski ognia.

- Stałem właśnie przy rumowisku, rozmyślając o Thonolanie, kiedy ten okruch stoczył się ze skarpy i wylądował u moich stóp - wyjaśnił Jondalar. - Ayła stwierdziła, że powinienem dołożyć go do mojego amuletu - do tego woreczka - i zabrać do domu. Nie wiem, co to może oznaczać, ale czuję... czuję, że duch Thonolana jest jakoś związany z tym kamykiem - zakończył, podając niezwykle znalezisko Zelandoni.

Nikt inny nie odważył się dotknąć okrucha. Ayła zauważyła, że ciałem Jondalara wstrząsnął dreszcz. Tymczasem donier z uwagą przyglądała się odłamkowi i nie spieszyła się z odpowiedzią na dręczące wszystkie pytanie.

- Myślę, że masz rację, Jondalarze - rzekła wreszcie. Ten kamień jest związany z duchem Thonolana. Nie jestem pewna, co to może znaczyć. Muszę się zastanowić i poprosić Matkę o wskazówki, ale uważam, że mądrze postąpiłaś, oddając tę sprawę w moje ręce. - Kobieta umilkła na dłuższą chwilę. - Duch Thonolana zawsze był żądny przygód. Być może ten świat był dlań za mały. Niewykluczone, że teraz, w następnym świecie, nadal podróżuje - nie dlatego, że zgubił drogę, ale dlatego, że jeszcze nie jest gotów na to, by osiąść w jednym miejscu. Jak daleko na wschód zawędrowaliście, zanim życie twojego brata dobiegło końca?

- Za morze śródlądowe, do którego wpada wielka rzeka; ta sama, która bierze początek z drugiej strony górskiego lodowca.

- Mówisz o Wielkiej Rzece Matce?

- Tak.

Zelandoni ponownie umilkła na kilka chwil.

- Możliwe, Jondalarze, że Podróż Thonolana może dobiec końca tylko w następnym świecie, w krainie duchów. Przypuszczam, że Doni postanowiła wezwać go do siebie wcześniej, a tobie zezwoliła na powrót do domu. To, czego dokonała Ayla, wystarczyło, być może, aby wspomóc duszę Thonolana, ale... w gruncie rzeczy nie rozumiem, co właściwie uczyniła i dlaczego. Muszę zadać jej kilka pytań.

Donier spojrzała na rosłego, przystojnego mężczyznę, którego niegdyś - a w pewien sposób także i teraz - kochała, a potem na młodą kobietę siedzącą obok niego, która zdołała w tak krótkim czasie kilkakrotnie wprawić ją w osłupienie.

- Przede wszystkim chcę wiedzieć, kim jest ten "Grrreb", o którym mówiłaś, i dlaczego prosiłaś o wsparcie akurat ducha niedźwiedzia jaskiniowego, a nie Wielką Matkę Ziemię.

Ayla doskonale pojmowała, dokąd zmierzają pytania Zelandoni, lecz były one tak bezpośrednie, że czuła się niemal zmuszona do udzielenia jasnych odpowiedzi. Zdążyła już nauczyć się, czym jest kłamstwo, i wiedziała, że wielu ludzi potrafi uciekać się do mówienia nieprawdy, ale sama nie umiała łgać. Jedyną namiastką kłamstwa, na którą pozwalała sobie od czasu do czasu, było niemówienie całej prawdy, ale nie wtedy, gdy padały bezpośrednie pytania. Uzdrowicielka spuściła głowę i wbiła wzrok we własne dłonie, pokryte ciemnymi smugami po niedawnej pracy przy ognisku.

Od dawna wiedziała, że prędzej czy później wypłynie temat jej przeszłości, ale miała nadzieję, że zdąży najpierw spędzić trochę czasu z pobratymcami Jondalara i poznać bliżej przynajmniej kilku z nich. Teraz jednak nie była pewna, czy rzeczywiście tak byłoby lepiej. Jeżeli miała opuścić społeczność Zelandonii, to najlepiej od razu, nim zdąży kogokolwiek polubić.

Ale co z Jondalarem? Kochała go. Co będzie, jeśli zostanie zmuszona do odejścia bez niego? Nosila w sobie jego dziecko. Nie tylko dziecko jego ogniska; nie tylko dziecko jego ducha. Jego dziecko. Przekonania innych ludzi nie miały znaczenia; znachorka wiedziała, była pewna, że nowe życie powstało za sprawą ich obojga. Nie wątpiła, że ziarno zostało zasiane w jej łonie, kiedy dzielili Przyjemność - Dar Przyjemności ofiarowany przez Wielką Matkę Ziemię wszystkim Jej dzieciom.

Ayla bała się spojrzeć na Jondalara; lękała się tego, co mogłaby zobaczyć w jego twarzy. W końcu jednak podniosła głowę i popatrzyła mu w oczy. Musiała wiedzieć.



## ROZDZIAŁ 4

Jondalar uśmiechnął się i niemal niezauważalnie skinął głową. A potem ujął dłoń Ayli, uściskał ją lekko i nie puścił. Znachorka nie mogła w to uwierzyć. Pozwalał jej! Jasnowłosey olbrzym dał jej sygnał, że wszystko będzie dobrze. Mogła powiedzieć całą prawdę o swoim Klanie, a on zamierzał stać przy niej. Kochał ją. Odpowiedziała uśmiechem, szerokim, cudownym uśmiechem miłości.

Jondalar wiedział równie dobrze jak Ayła, do czego zmierza Zelandoni, i - ku swemu zaskoczeniu - zdał sobie sprawę, że niewiele go to obchodzi. Swego czasu tak bardzo zadręczał się myślami o tym, co pomyślą krewni i przyjaciele o jego wybrance i czy będą zadowoleni, kiedy zobaczą ich razem w osadzie, że omal nie zrezygnował z miłości, omal nie stracił kobiety, którą kochał. Teraz jednak zdanie innych już się nie liczyło. Owszem, zależało mu na bliskich i cieszył się ze spotkania z nimi, ale gdyby nie zechcieli zaakceptować jasnowłosej znachorki ze wschodu, zostawiłby ich bez wahania. Kochał przede wszystkim Aylę. Razem mieli wiele do zaoferowania - przedstawiciele niejednej Jaskini prosili ich już, by pozostali z nimi na zawsze - choćby Lanzadonii starego Dalanara. Jondalar był pewien, że w razie potrzeby bez trudu znaleźliby nowy dom.

Donier zauważyła niemą wymianę myśli między Ayłą i jej mężczyzną; coś w rodzaju cichej aprobaty. Zaciekawiał ją ten fakt, lecz długie życie nauczyło, że obserwacją i cierpliwością częstokroć lepiej zaspokaja się ciekawość niż zadawaniem pytań.

Ayła spojrzała na Zelandoni, nim zaczęła mówić.

- Creb był mogurem klanu Bruna, znawcą świata duchów, ale także... kimś więcej niż inni mogurowie. Tak jak ty, Zelandoni, był Pierwszym, Mogurem całego Klanu. A dla mnie był... mężczyzną mojego ogniska, chociaż nie urodziłam się przy nim. Kobieta, z którą żył Creb, nie była jego partnerką, lecz siostrą. Creb nigdy nie miał partnerki.

- Kim lub czym jest Klan? - spytała rzeczowo Zelandoni. Zauważyła, że akcent Ayli stawał się znacznie bardziej obcy, kiedy mówiła o swoim ludzie.

- Klan to... Ja... zostałam adoptowana przez Klan. To ludzie, którzy zajęli się mną, kiedy byłam... samotna. Creb i Iza zaopiekowali się mną i wychowali mnie. Iza była dla mnie jedyną matką, jaką pamiętam. Była też uzdrowicielką, znachorka. W pewien sposób była również Pierwszą. Żadnej z uzdrowicielek nie szanowano tak jak jej. Odziedziczyła tę pozycję po matce, babce i wszystkich kobietach swego rodu aż do zarania dziejów Klanu.

- Czy to od niej nauczyłaś się swojego rzemiosła? - indagowała Zelandoni, pochylając się nieco na miękkich poduszkach.

Tak. Iza przekazała mi swoją wiedzę, chociaż nie byłam jej rodzoną córką i nie miałam wspomnień jak Uba. Uba to moja siostra; nie rodzona, ale jednak siostra.

- A co się stało z twoją prawdziwą matką, z twoją rodziną i całym ludem, w którym przyszedł na świat? - nie ustępowała Zelandoni. Wszyscy byli zafascynowani opowieścią Ayli i ciekawi jej odpowiedzi, ale pozwalali donier zadawać pytania.

Ayla poruszyła się niespokojnie i spojrzała w górę, jakby tam szukała odpowiedzi, a potem w bystre oczy wielkiej kobiety, wpatrujące się w nią z napięciem.

- Nie wiem. Nie pamiętam. Byłam mała; Iza domyślała się, że mam pięć lat, chociaż ludzie Klanu nie potrafią liczyć tak jak Zelandonii. Nazywają lata, obserwując zmiany w życiu dziecka: pierwszy rok to rok urodzenia, drugi - karmienia, trzeci - odstawienia od piersi i tak dalej. To ja przełożyłam tę miarę na wasz język. - Ayla starała się wyjaśnić wszystko jak najdokładniej, ale zrezygnowała. Nie potrafiła opowiedzieć całego swojego życia w Klanie. Woląла raczej odpowiadać na konkretne pytania.

- Nie pamiętasz zupełnie nic na temat swojego prawdziwego ludu? - naciskała Zelandoni.

Wiem tylko to, co usłyszałam od Izy. Trzęsienie ziemi zniszczyło jaskinię i klan Bruna, więc wyruszył na poszukiwanie nowej. Wtedy właśnie Iza znalazła mnie na brzegu rzeki, nieprzytomną. Już od jakiegoś czasu nie mieli gdzie mieszkać, lecz mimo to Brun zgodził się, żeby wzięła mnie w opiekę. Iza twierdziła, że musiał mnie zaatakować lew jaskiniowy, bo na nodze miałam ślady czterech pazurów, rozłożone w charakterystyczny sposób. Rany nie chciały się goić, były... zepsute, zatrute... - Ayla utknęła, próbując znaleźć właściwe słowo.

- Tak, rozumiem - powiedziała donier. - Jątrzyły się, ropiały, może nawet zaczynały się rozkładać. Tak bywa z ranami po kocich pazurach.

- Do dzisiaj mam blizny. Ale to właśnie dzięki nim Creb domyślił się, że Lew Jaskiniowy jest moim totemem, choć zwykle tak silny symbol należy do mężczyzny. Od czasu do czasu miewam straszny sen: jestem w ciasnej, ciemnej szczelinie i widzę, jak zbliżają się do mnie pazury lwa - wyznała Ayla.

To bardzo ważny sen. O czym jeszcze śnisz? Mam na myśli sprawy związane z twoim dawnym życiem.

- Jest taki jeden... przerażający, ale trudny do opowiedzenia. Nigdy nie pamiętam go ze szczegółami. To bardziej uczucie, wrażenie... trzęsienia ziemi. - Młoda kobieta wzdygnęła się niespokojnie. - Nienawidzę trzęsień ziemi!

Zelandoni wyrozumiale skinęła głową. - Jakie jeszcze?

- Żadnych... Nie, był jeszcze jeden, ale przyśnił mi się tylko raz, kiedy Jondalar wracał do zdrowia i uczył mnie mówić...



Donier pomyślała, że Ayla użyła dość zaskakujących słów, i spojrzała na Marthonę, by upewnić się, czy i ona zauważyła ten drobiazg.

Trochę go rozumiałam - ciągnęła Ayla. - Nauczyłam się wielu słów, ale miałam kłopoty ze składaniem ich w większą całość. I wtedy przyśniła mi się matka, moja prawdziwa matka. Zobaczyłam jej twarz. Przemówiła do mnie i od tamtej pory nauka przychodziła mi znacznie łatwiej.

- Ach, to bardzo ważny sen - skomentowała Ta Która Służy. - Sny, w których pojawia się Matka, zawsze mają wielkie znaczenie. Szczególnie wtedy, kiedy przyjmuje postać rodzonej matki, przemawiającej z następnego świata. Jondalar przypomniał sobie sen o Matce, który przyśnił mu się dawno temu, w dolinie Ayli. To był bardzo, bardzo dziwny sen... będzie musiał powiedzieć kiedyś o nim Zelandoni.

- Skoro śniłaś wcześniej o Matce, to dlaczego nie poprosiłaś jej, żeby pomogła Thonolanowi znaleźć drogę do następnego świata? Nie rozumiem, dlaczego przywołałaś ducha niedźwiedzia jaskiniowego, a nie Wielkiej Matki Ziemi.

- Nie miałam pojęcia, że ona w ogóle istnieje, dopóki Jondalar nie opowiedział mi o niej. Dopóki nie nauczyłam się waszej mowy.

- Nie wiedziałaś o Doni, o Wielkiej Matce Ziemi? - spytała zdumiona Folar. Nikt z Zelandonii nie słyszał nawet o człowieku, który nie wyznawałby w jakiejś formie kultu Wielkiej Matki. Przeszłość Ayli była niezwykle zagadką.

- Klan czci Ursusa, Wielkiego Niedźwiedzia Jaskiniowego - powiedziała znachorka. - To dlatego przywołałam jego ducha, by był przewodnikiem zmarłego - wtedy nie wiedziałam jeszcze, że nazywał się Thonolan - chociaż nie był członkiem Klanu. Nie prosiłam o pomoc Lwa Jaskiniowego, bo to mój totem.

- Skoro naprawdę nie znałaś Jej, to chyba możemy uznać, że postąpiłaś słusznie. Na pewno pomogłaś Thonolanowi - dodała optymistycznie Zelandoni, ale w rzeczywistości była bardziej zatroskana, niż mogło się wydawać. Jakim cudem jedno z Jej dzieci mogło nie wiedzieć o Matce?

- Ja też mam totem - pochwalił się Willamar. - Złotego Orła - wyjawiał, prostując się nieco na poduszkach.

- Matka opowiadała mi raz, że kiedy byłem dzieckiem, porwał mnie orzeł i próbował unieść gdzieś daleko, ale chwyciła mnie w porę i wyszarpnęła z jego szponów. Do dzisiaj mam blizny. Zelandoni powiedziała jej wtedy, że duch Złotego Orła rozpoznał mnie jako jednego ze swoich. Niewielu ludzi ma osobiste totemy, w każdym razie nie wśród Zelandonii, ale jeśli ktoś już ma, to uważa się go za szczęściarza.

- Rzeczywiście, miałeś szczęście, że uszedłeś z życiem - przyznał Joharran.

- A ja miałam szczęście, że nie zabił mnie lew, który rozorał mi nogę - dodała Ayla. - Jondalar też nie może narzekać. Myślę, że i jego totemem jest Lew Jaskiniowy. Co o tym sądzisz, Zelandoni?

Ayla utrzymywała, że Jondalar był wybrańcem Ducha Lwa Jaskiniowego, odkąd tylko nauczyła się mówić, ale jasnowłosa mężczyzna starannie unikał rozmowy na ten temat. Znachorka nabrała z czasem przekonania, że sprawa indywidualnych totemów nie była dla Zelandonii tak ważna, jak dla ludzi Klanu, ale dla niej pozostawała wciąż jedną z najistotniejszych kwestii w życiu i wołała niczego nie pozostawiać przypadkowi.

Członkowie Klanu wierzyli, że totem mężczyzny powinien być silniejszy od totemu kobiety, jeśli kiedykolwiek miała ona urodzić dziecko. To dlatego silny, męski totem Ayli tak bardzo martwił Izę. A jednak, mimo tak potężnej przeszkody, młoda znachorka dawno temu wydała na świat syna, chociaż nie obyło się bez komplikacji - najpierw w przebiegu ciąży, potem przy porodzie, a także później, jak skłonna była wierzyć większość ludzi Klanu. Uważali oni, że chłopiec będzie nieszczęśliwy, jego matka nie miała bowiem partnera, zatem nie było nikogo, kto mógłby go właściwie wychować i przyuczyć do roli mężczyzny. Wszystkie problemy i pechowe zdarzenia związane z dzieckiem kładzono na karb męskiego totemu Ayli. Teraz, kiedy znowu była w ciąży, nie chciała mieć żadnych kłopotów z urodzeniem i wychowaniem malca, który - o czym była przekonana - miał być potomkiem Jondalara. Choć przez ostatnie lata nauczyła się wiele o Matce, nie zapomniała nauk pobranych w Klanie, a jeżeli totemem Jondalara był także Lew Jaskiniowy, to mogła być pewna, że będzie on wystarczająco silny, aby zapewnić dziecku zdrowie i względnie normalne życie.

Zelandoni natychmiast zauważyła minimalną zmianę w tonie głosu Ayli i spojrzała przenikliwie na twarz młodej kobiety. Ona chce, żeby totemem Jondalara był Lew Jaskiniowy, pomyślała. To dla niej niezwykle ważna sprawa. Duchy totemów muszą mieć o wiele większe znaczenie dla ludzi tego Klanu, który ją wychował, niż dla nas. Rzeczywiście, to bardzo prawdopodobne, że Lew Jaskiniowy jest teraz jego totemem, i jeśli ludzie uznają Jondalara za szczęściarza, może na tym jedynie zyskać. Tak, na pewno ma szczęście, skoro w ogóle udało mu się powrócić z Podróży!

- Sądzę, że masz rację, Aylo - odrzekła z powagą donier. - Jondalar może uważać Lwa Jaskiniowego za swój totem przynoszący szczęście. Trudno nie nazwać niesamowitym szczęściem tego, że byłeś w pobliżu, kiedy cię potrzebował.

- Mówiłam ci, Jondalarze! - zawołała Ayla z widoczną ulgą.

Dlaczego ona i ten jej Klan darzą taką estymą duchy lwa jaskiniowego i niedźwiedzia jaskiniowego?, zastanawiała się Zelandoni. Wszystkie duchy są ważne - duchy zwierząt, roślin,

nawet owadów, każdej istoty, ale to przecież Wielka Matka obdarzyła je życiem. Kim są ci ludzie? Czym jest Klan?

Wspominałaś, że mieszkałaś w dolinie samotnie, prawda? A gdzie podział się Klan, który cię wychował, Aylo? - spytała donier.

- Ja też chciałbym wiedzieć. Czyż Jondalar nie przedstawił cię nam jako Aylę z Mamutoi? - dorzucił Joharran.

- Mówiłaś, że nie znałaś Matki, a powitałaś nas słowami "Wielkiej Matki Wszystkich", a to przecież jeden z tytułów, które nadajemy Doni - dodała Folara.

Ayla spojrzała kolejno na ich twarze i wreszcie zatrzymała wzrok na Jondalarze, czując, że strach ścisną jej serce. Na ustach jasnowłosego pojawił się cień uśmiechu, jakby mężczyzna doskonale bawił się zdumieniem, które w jego najbliższych wzbudzała każda odpowiedź Ayli. Znowu ścisnął jej rękę, ale nie powiedział ani słowa. Był ciekaw, w jaki sposób zachowa się jego kobieta. Znachorka uspokoiła się nieco.

- Mój Klan mieszkał na południowym krańcu pasma ziemi, które wcina się głęboko w morze Beran. Niedługo przed śmiercią Iza powiedziała mi, że powinnam poszukać własnego ludu. Mówiła, że znajdę go na północy, na stałym lądzie, ale kiedy tam dotarłam, nie znalazłam nikogo. Minęła połowa lata, zanim odkryłam dolinę, i bałam się, że mrozy złapią mnie, zanim zdołam przygotować się do zimy. Dolina była odpowiednim miejscem - osłoniętym od wichrów, z małą rzeczką, mnóstwem roślin i zwierząt; była tam nawet nieduża jaskinia. Postanowiłam przezimować i... zostałam na trzy lata, a jedynymi towarzyszami byli mi Whinney i Maluszek. Być może czekałam na Jondalara - dodała, uśmiechając się do swego mężczyzny. - Znalazłam go późną wiosną, a zanim odzyskał siły na tyle, by móc podróżować, nastął koniec lata. Postanowiliśmy wybrać się na małą wyprawę, zbadać okolicę. Każdej nocy obozowaliśmy w innym miejscu i za każdym razem oddalaliśmy się od doliny bardziej, niż odważyłam się kiedykolwiek przedtem. I wreszcie spotkaliśmy Taluta, przywódcę Obozu Lwa, który zaprosił nas do siebie. Zostaliśmy w jego ziemiance do początku następnego lata i właśnie podczas tego pobytu zostałam adoptowana. Mamutoi chcieli też, żeby Jondalar został i przyłączył się do nich, ale on od początku wiedział, że pewnego dnia wróci do domu.

- Cieszę się, że tak właśnie postąpił - mruknęła Marthona.

To niezwykle szczęśliwy przypadek, że Mamutoi tak bardzo chcieli cię adoptować - odezwała się Zelandoni. Nie mogła się nadziwić zdumiewającej historii, którą opowiadała Ayla. Zresztą nie tylko Ta Która Służy miała zastrzeżenia. Życie młodej znachorki wyglądało na splot raczej niewiarygodnych wydarzeń, co do których, jak na razie, więcej rodziło się pytań, niż pojawiało odpowiedzi.

- Myślę, że pomysł wyszedł od Nezzie, partnerki Taluta. Przekonała go, bo podobało jej się to, że pomogłam Rydagowi, który był w... kłopotcie. Rydag miał słabe... - Ayla zacięła się, daremnie szukając w pamięci właściwych słów. Jondalar nigdy nie nauczył jej, jak brzmia w mowie Zelandonii. Potrafił i chciał przekazać jej całą terminologię dotyczącą krzemienia, fachowe zwroty opisujące wytwarzanie kamiennych narzędzi i broni, ale po słownictwo z dziedziny zielarstwa i znachorstwa nie sięgał zbyt często. Ayla zwróciła się do niego w Mamutoi. - Jak mówicie na naparstnicę? Tę roślinę, którą zawsze zbierałam dla Rydaga?

Jondalar odpowiedział, lecz zanim Ayla zdążyła powtórzyć i wyjaśnić cokolwiek, Zelandoni już wiedziała, o co chodziło. Gdy mężczyzna wypowiedział nazwę rośliny, skojarzyła sobie nie tylko jej wygląd, ale i zastosowanie. Domyśliła się więc, że osoba, o której wspomniała Ayla, miała problem z organem, który pompuje krew - sercem, i że lekarstwem na tę dolegliwość mogły być pewne składniki zawarte w naparstnicy. Natychmiast też zdała sobie sprawę, dlaczego ktoś mógł pragnąć adoptować uzdrowicielkę, która na przykład znała zalety rośliny powszechnie uważanej za trującą. W dodatku jeśli ów ktoś dysponował pewną władzą - a z pewnością miała ją partnerka przywódcy - fakt błyskawicznego przyjęcia Ayli do społeczności Mamutoi nie mógł nikogo dziwić. Wysłuchawszy wyjaśnień młodej znachorki, Zelandoni domyśliła się jeszcze jednej rzeczy.

Ta osoba... Rydag był dzieckiem, prawda? - spytała, by potwierdzić swoje przypuszczenia.

Tak - odrzekła smutno Ayla.

Zelandoni uznała, że wie już wystarczająco dużo o stosunkach uzdrowicielki z ludem Mamutoi, ale zagadką pozostawała wciąż sprawa Klanu. Postanowiła spróbować z innej strony.

Rozumiem, że posiadasz wielką wiedzę w dziedzinie uzdrawiania, Aylo, ale jak wiesz, zwykle ci, którzy specjalizują się w tej dziedzinie, noszą znaki, dzięki którym łatwo można ich rozpoznać. Na przykład takie - powiedziała, dotykając palcem tatuażu, nieco powyżej swej lewej skroni. - U ciebie nie widzę żadnego znaku.

Ayla przyjrzała się uważnie tatuażowi. Był to prostokąt złożony z sześciu mniejszych, niemal kwadratowych prostokątów, uporządkowanych w rzędy po trzy. Ponad nimi znajdowały się jeszcze cztery kreski, które - gdyby je połączono - mogły utworzyć trzeci rząd kwadracików. Kontury figur były ciemne, za to wnętrza trzech z nich wypełniono czerwonym barwnikiem w różnych odcieniach, jednego zaś - żółtym.

Wzór tego tatuażu był oryginalny, ale Ayla widziała już inne, dość urozmaicone zdobienia na skórze wielu Zelandonii, nie wyłączając Marthony, Joharrana i Willamara. Do tej pory nie wiedziała, czy tatuaże mogą mieć konkretne znaczenie, ale teraz, po wyjaśnieniach Zelandoni, podejrzewała, że tak.

- Mamut miał znak na policzku - powiedziała Ayla, odruchowo dotykając własnej twarzy. - Wszyscy mamutii mieli. Niektórzy mieli też inne symbole na skórze... Ja też bym miała, gdybym została z nimi. Mamut zaczął mnie szkolić, gdy tylko zostałam przyjęta do jego ogniska, ale nie zdążył przekazać mi całej wiedzy, nim wyjechałam, więc nie zrobił mi tatuażu.

- Czyż nie wspominałaś wcześniej, że adoptowała cię kobieta, która była partnerką przywódcy?

- Spodziewałam się, że to Nezzie mnie adoptuje - ona zresztą też - ale podczas ceremonii Mamut powiedział: "Ognisko Mamuta", a nie "Ognisko Lwa". Postanowił, że przyjmie mnie do siebie.

- Czy Mamut jest Tym Który Służy Matce? - indagowała Zelandoni, nabierając pewności, że Ayla jednak była już kiedyś szkolona na kogoś w rodzaju donier.

Tak, podobnie jak ty. Ognisko Mamuta było tylko dla Tych Którzy Służą. Większość ludzi wybiera Ognisko Mamuta, by rozpocząć naukę albo dlatego, że czuje się wybranymi. O mnie Mamut powiedział, że urodziłam się po to, by przy nim żyć. - Ayla zarumieniła się nieco i spuściła wzrok, wstydząc się, że musi opowiadać o czymś, co zostało jej dane, na co nie zasłużyła własnym postępowaniem. Pomyślała o Izie i o tym, jak stara uzdrowicielka kształciła ją na dobrą kobietę Klanu.

Uważam, że twój Mamut był mądrym człowiekiem - powiedziała Zelandoni. - Ale mówiłaś też, że nauczyłaś się znachorstwa od kobiety z ludu, który cię wychował, z tego... Klanu. Czy oni nie oznaczają w żaden sposób swoich uzdrowicieli, żeby nadać im odpowiedni status i ułatwić rozpoznawanie?

- Kiedy zostałam uznana za uzdrowicielkę Klanu, dostałam taki czarny kamień. To specjalny znak, który miałam dołożyć do mojego amuletu - odrzekła Ayla. - Ale takim jak ja nie robi się tatuaży ani innych symboli... Tatuaże mają związek z totemami, są tylko dla chłopców, którzy osiągają wiek męski.

- Zatem w jaki sposób twoi ludzie rozpoznają uzdrowicielkę, kiedy potrzebują jej pomocy?

Ayla nie zastanawiała się nad tym nigdy dotąd. Umilkła, by dobrze przemyśleć odpowiedź.

- Nie muszą nosić znaków. Ludzie po prostu wiedzą. Znachorka ma szczególną pozycję. Jest zawsze rozpoznawana. Iza była kobietą o najwyższej pozycji w całym Klanie; była ważniejsza nawet od partnerki Bruna.

Zelandoni pokręciła głową. Ayla najwyraźniej sądziła, że udało jej się coś wyjaśnić, ale donier nadal nie rozumiała.

- Zapewne, ale skąd ludzie mogli o tym wiedzieć?

- Dzięki pozycji - odparła Ayla, po czym spróbowała wytłumaczyć to nieco szerzej. - Dzięki pozycji w szyku, którą zajmowała, kiedy Klan wędrował, dzięki miejscu, w którym siadała podczas posiłków, dzięki znakom, które dawała, kiedy... mówiła, dzięki sygnałom, które wysyłali inni, zwracając się do niej.

- Nie wydaje ci się, że to trochę niepraktyczne? Wszystkie te pozycje i znaki? - spytała przekornie Zelandoni.

- Nie dla nich. Ludzie Klanu tak właśnie mówią: za pomocą znaków. Nie używają słów, jak my - dodała Ayla.

- Ale dlaczego? - zainteresowała się Marthona.

- Bo nie potrafia. Nie są w stanie wydobyć z siebie takich dźwięków, z jakich składa się nasza mowa. Umieją wypowiedzieć niektóre słowa, ale nie wszystkie. Dlatego porozumiewają się za pomocą rąk i całych ciał - tłumaczyła Ayla.

Jondalar zauważył, że zdziwienie jego najbliższych rośnie w zawrotnym tempie, podobnie jak frustracja Ayli. Doszedł do wniosku, że nadszedł czas skończyć z nieporozumieniami.

- Matko, Ayla została wychowana przez płaskogłowych - oznajmił spokojnie.

Na krótką chwilę zapadła absolutna cisza.

- Przez płaskogłowych?! Płaskogłowi to zwierzęta! - zawołał Joharran.

- Nieprawda - zaprzeczył szybko Jondalar.

- Ależ oczywiście, że prawda - wtrąciła Folar. - Nie potrafia mówić!

- Potrafia, tylko że nie w taki sposób jak my - odparł Jondalar. - Sam poznałem trochę ich język, ale Ayla używa go bez porównania lepiej. Kiedy mówiła wam, że nauczyłem ją mówić, miała na myśli dokładnie to, co słyszeliście. - Mężczyzna spojrział na Zelandoni, pamiętając, że była zdziwiona owym nietypowym sformułowaniem w opowieści młodej znachorki. - Zapomniała własnego języka, którego uczono ją w dzieciństwie; potrafiła porozumiewać się wyłącznie mową znaków Klanu. Klan to płaskogłowi; płaskogłowi nazywają samych siebie Klanem.

- Jak mogą nazywać samych siebie, skoro mówią wyłącznie za pomocą gestów? - spytała Folar.

- Używają słów - powtórzyła Ayla - tyle że nie potrafia wypowiedzieć wszystkich dźwięków. Niektóre z tych, którymi posługujemy się na co dzień, są dla nich wręcz niesłyszalne. Ci, którzy uczą się naszej mowy od dziecka, rozumieją, co się do nich mówi, ale jest ich niewielu. - Znachorka pomyślała o Rydagu, który doskonale pojmował wymawiane przez innych słowa, ale sam nie potrafił ich powtarzać.

- No cóż, nie wiedziałam, że oni mają jakąś własną nazwę - powiedziała Marthona i nagle przyszła jej do głowy nowa myśl. - Zaraz, skoro Ayla nie umiała mówić, Jondalarze, to w jaki sposób udało ci się z nią porozumieć?

- Nie udało mi się, i to przez dłuższy czas - odparł rzeczowo mężczyzna. - A to dlatego, że na początku nie było to potrzebne: Ayla wiedziała, co ma robić. Ja byłem ranny, a ona opiekowała się mną.

- Chcesz powiedzieć, Jondalarze, że twoja wybranka nauczyła się od płaskogłowych, jak należy leczyć rany po kłach i pazurach lwa jaskiniowego? - spytała Zelandoni.

Odpowiedziała jej Ayla.

- Mówiłam ci już, że Iza pochodziła z najbardziej szanowanej linii znachorek Klanu. I przekazała mi swoją wiedzę.

- Jakoś trudno mi uwierzyć w inteligencję płaskogłowych - mruknęła sceptycznie donier.

- A mnie nie - odezwał się niespodzianie Willamar. Wszyscy odwrócili głowy w stronę Mistrza Handlu.

- I od dawna już wcale nie uważam ich za zwierzęta. Widziałem wielu z nich podczas moich podróży.

Dlaczego nigdy dotąd nie mówiłeś nam o tym? - zdziwił się Joharran.

- Jakoś nie było okazji - odparł Willamar, wzruszając ramionami. - Nikt mnie o to nie pytał, a i ja sam nie zastanawiałem się nad tym zbyt często.

Powiedz, Willamarze, co sprawiło, że zmieniłeś o nich zdanie? - spytała Zelandoni. Nieoczekiwane wystąpienie Mistrza Handlu rzuciło nowe światło na niepokojące wypowiedzi Jondalara i Ayli, dotyczące inteligencji i umiejętności płaskogłowych.

- Niech no pomyślę... Pamiętam, że już wiele lat temu po raz pierwszy uznałem ich za coś więcej niż bezrozumne zwierzęta - zaczął Willamar. - Podróżowałem wtedy samotnie dość daleko na południe i na zachód od naszej Jaskini. Pogoda odmieniła się nagle, zrobiło się zimno i zacząłem się spieszyć, by jak najszybciej dotrzeć do domu. Szedłem aż do zmroku i wreszcie zatrzymałem się na noc opodal strumienia. Zamierzałem przekroczyć go z rana, ale kiedy się obudziłem, zobaczyłem, że po drugiej stronie obozuje grupa płaskogłowych. Przestraszyłem się trochę - wiecie przecież, co się o nich mówi - i obserwowałem ich bardzo uważnie, żeby być gotowym na wypadek, gdyby postanowili zaatakować.

I co zrobili? - spytał Joharran.

- Nic. Po pewnym czasie zwinęli obóz, tak samo, jak uczyniliby to normalni ludzie - odpowiedział Willamar. - Oczywiście wiedzieli, że siedzę na przeciwległym brzegu strumienia, ale przecież byłem sam, więc nie mogłem sprawić im kłopotu. Nie spieszyli się specjalnie - zagotowali

wodę i napili się jakiegoś gorącego napoju, a potem zwinęli namioty - były inne od naszych, znacznie niższe, a więc i trudniejsze do wypatrzenia, załadowali je na plecy i oddalili się szybkim krokiem.

- Zauważyłeś wśród nich kobiety? - zapytała Ayla.

- Było zimno, więc ich ciała były zakryte. Trzeba wam wiedzieć, że oni noszą ubrania. Nie widuje się ich w lecie, bo przecież wtedy stroje nie są potrzebne, z kolei zimą niełatwo spotkać płaskogłowego. Sami nie lubimy podróżować podczas chłódów, więc pewnie i oni mają wtedy ciekawsze zajęcia.

- Masz rację. Podczas mrozów i śnieżyc nigdy nie odchodzą zbyt daleko od jaskiń - skomentowała Ayla.

Większość z nich miała brody, ale nie jestem pewien, czy wszyscy - dodał Willamar.

- Młodzi nie noszą bród. Czy niektórzy dźwigali na plecach kosze?

- Raczej nie.

- Kobiety Klanu nie polują, ale kiedy mężczyźni wyruszają na długą wyprawę łowiecką, ich partnerki często im towarzyszą. Zajmują się wtedy suszeniem i noszeniem mięsa. Ale z tego, co mówisz, wynika, że byli to raczej sami mężczyźni, grupka myśliwych na krótkim polowaniu - wyjaśniła Ayla.

Ty też to robiłaś? - spytała Folar. - Chodziłaś z mężczyznami na długie wyprawy?

Tak. Raz byłam z nimi nawet na łowach na mamuta - odrzekła Ayla. - Ale nie mogłam polować.

Jondalar z zadowoleniem stwierdził, że wszyscy jego krewni przejawiają raczej zdrową ciekawość niż niechęć. Chociaż miał świadomość, że pośród Zelandonii znajdzie się wielu mniej tolerancyjnych ludzi, cieszyło go, że jego rodzina chciała dowiedzieć się czegoś nowego o płaskogłowych... o Klanie.

- Joharranie - zwrócił się do brata. - Dobrze, że poruszyliśmy ten temat, bo i tak zamierzałem pomówić z tobą o pewnej ważnej sprawie. Uważam, że powinieneś o tym wiedzieć... W drodze do domu spotkaliśmy dwoje ludzi z Klanu; to było tuż przed wspinaczką na wschodnią ścianę lodowca. Powiedzieli nam, że kilka okolicznych Klanów planuje spotkanie, na którym będą rozmawiać o nas, a ściślej o problemach, które im stwarzamy. Pewnie nie wiecie jeszcze, że nazywają nas Innymi.

89

- Zdecydowanie trudno mi uwierzyć, że mogą nas nazywać w jakikolwiek sposób - odparł przywódca Dziewiętej Jaskini. - A tym bardziej że potrafią organizować spotkania, żeby o nas rozmawiać.



- Lepiej w to uwierz, bo jeśli tego nie zrobisz, możemy mieć spore kłopoty.

Kilka głosów odezwało się niemal jednocześnie.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Jakie kłopoty?

- Opowiem wam o niewesołej sytuacji w regionie Losadunai. Banda młodocianych łotrów z kilku okolicznych Jaskiń zaczęła gnębić płaskogłowych - mężczyzn Klanu. Jak zrozumiałem, robią to już od kilku lat. Wybierali sobie ofiary i prześladowali je do upadłego... Ale z mężczyznami Klanu nie ma żartów: są bystrzy i silni. Paru młodzików przekonało się o tym, kiedy dało się złapać. Wkrótce więc zaczęli interesować się kobietami. Kobiety Klanu zwykle nie stawiają oporu, dlatego ściganie ich nie było żadnym wyzwaniem. Znudziło im się szybko, toteż dla urozmaicenia sobie zabawy zaczęli przymuszać je do... cóż, nie godzi się nazywać tego Przyjemnością.

- Co?! - wykrzyknął Joharran.

- Dobrze słyszałeś - potwierdził Jondalar, kiwając głową.

Wielka Matko! - zawołała oburzona Zelandoni. To straszne! - zawtórowała jej Marthona.

- Okropne! - pisnęła Folar, z niesmakiem marszcząc nos.

- Nikczemne! - warknął Willamar.

Tak samo uważają ludzie Klanu - podchwycił Jondalar. - Nie będą dłużej tolerować tego stanu rzeczy, a kiedy już dojdą do wniosku, że nie muszą nam w niczym ustępować, mogą wysunąć żądania, które wcale nam się nie spodobają. Czyż nie słyszeliście nigdy opowieści o tym, że nasze jaskinie należały kiedyś do nich? Co będzie, jeśli zechcą je odzyskać?

To tylko plotki, Jondalarze. Nie potwierdzają ich słowa Historii i Legend Starszych - odpowiedziała Zelandoni z niezmaconym spokojem. - Są w nich jedynie wzmianki o niedźwiedziach.

Ayla nie odezwała się, ale w głębi duszy sądziła, że były to pogłoski oparte na prawdziwych wydarzeniach sprzed lat.

Tak czy inaczej, nie dostaną tych jaskiń - rzekł twardo Joharran. - To jest nasz dom. Terytorium Zelandonii.

- Jest jeszcze coś, o czym powinieneś wiedzieć. Coś, co może zadziałać na naszą korzyść. Otóż jak wynika ze słów Gubana - bo tak właśnie miał na imię ten mężczyzna z Klanu...

To oni mają imiona? - zdziwił się Joharran.

- Oczywiście, że mają - wtrąciła Ayla. - Podobnie jak ludzie z mojego Klanu. Ten mężczyzna miał na imię Guban, a jego kobieta - Yorga. - Ayla wypowiedziała obce imiona zgodnie z wymową, której została nauczona w Klanie, czyli twardo i gardłowo. Jondalar uśmiechnął się. Zrobiła to celowo, pomyślał z uznaniem.

Jeśli tak właśnie mówią płaskogłowi, teraz dopiero rozumiem, skąd się wziął ten jej dziwny akcent, stwierdziła w duchu Zelandoni. A zatem mówi prawdę. Rzeczywiście została przez nich wychowana... Ale czy naprawdę od nich uczyła się uzdrawiania?

- Joharranie, próbowałem ci powiedzieć, że Guban... - wymowa Jondalara była znacznie bardziej zrozumiała - ...mówił nam, iż nasi ludzie, nie wiem tylko z których Jaskiń, nawiązali kontakty z paroma Klanami. Chcą z nimi handlować.

- Handlować! Z płaskogłowymi! - obruszył się Joharran.

- A dlaczego nie? - spytał praktyczny Willamar. - Moim zdaniem to interesujący pomysł. Choć oczywiście wszystko zależy od tego, co oni mają do zaoferowania.

- Przemówił Mistrz Handlu - dodał z uśmiechem Jondalar.

- A skoro już mowa o handlu, co Losadunai zamierzają zrobić w sprawie tych młodych łajdaków? - zainteresował się Willamar. - Handlujemy z nimi. Zapewniam cię, nie chciałbym pewnego dnia zejść z cennym towarem z przeciwległego stoku lodowca wprost w ręce żadnych zemsty płaskogłowych.

- Kiedy pięć lat temu usłyszeliśmy... usłyszałem o tej sprawie po raz pierwszy, Losadunai nie kwapili się do działania - odparł Jondalar, próbując uniknąć wszelkich odniesień do osoby Thonolana. - Wiedzieli, że coś się dzieje. Niektórzy nazywali to zwykłą swawolą i tylko Laduni już wtedy był naprawdę wściekły, gdy poruszano ten temat. A potem było coraz gorzej. Kiedy odwiedziliśmy ich w drodze powrotnej, dowiedzieliśmy się, że mężczyźni Klanu zaczęli eskortować swoje kobiety podczas wszelkich wypraw po pożywienie. Owi "swawolni" młodzieńcy oczywiście nie zaan mierzali atakować, by nie prowokować uzbrojonych strażników... Napadli za to na dziewczynę z Jaskini Laduniego i wszyscy po kolei... przymusili ją, chociaż nie przeszła jeszcze rytuału Pierwszej Przyjemności.

- O nie! Jonde, jak oni mogli?! - krzyknęła Folarą i wybuchła płaczem.

- Na Podziemia Wielkiej Matki! - zagrział Joharran.

- Dobrze mówisz, tam właśnie należałoby ich zesłać! - poparł go Willamar.

- Ohyda! Nie potrafię nawet wyobrazić sobie stosownej kary za coś tak potwornego! - zawołała Zelandoni, sapiąc z oburzenia.

Marthona nie mogła wydusić z siebie ani słowa; siedziała nieruchomo z dłonią przyciśniętą do piersi i wyrazem bezgranicznego obrzydzenia na twarzy.

Ayla głęboko współczuła młodej kobiecie, którą skrzywdzono w tak okrutny sposób i swego czasu sama próbowała uśmierzyć jakoś jej ból, ale teraz nie mogła nie zauważyć z przykrością, o ile bardziej żywiłowo zareagowali krewni Jondalara na wieść o ataku bandy na dziewczynę Innych niż na relację o powtarzających się aktach przemocy wobec kobiet Klanu.

Sprawiali wrażenie obrażonych, kiedy słyszeli o gwałtach na płaskogłowych, ale gdy w grę wchodziła cześć kobiety Losadunai, wprost nie posiadali się z oburzenia.

Ten właśnie prosty fakt - bardziej niż cokolwiek innego - uświadomił jej rozmiary przepaści, która dzieliła dwa żyjące obok siebie ludy. Nie potrafiła też nie zastanawiać się nad tym, jaka byłaby reakcja najbliższych Jondalara, gdyby dowiedzieli się, że to banda mężczyzn z Klanu... płaskogłowych... popełniła tak godny potępienia czyn na kobiecie Zelandonii. Sama jednak nie umiała sobie wyobrazić takiego wypadku.

- Możecie być pewni, że Losadunai nie puszczą płazem tych wyczynów - uspokoił Jondalar oburzonych krewnych.

- Matka pokrzywdzonej domaga się krwawej zemsty na Jaskini, z której wywodzi się herszt tej bandy degeneratów.

- To fatalnie. Przywódcy znajdują się w bardzo trudnej sytuacji - zauważyła Marthona.

- To jej prawo! - stwierdziła nieustępliwie Folar.

- Oczywiście, że to jej prawo - zgodziła się Marthona - ale być może któryś z krewnych bandyty, może kilku, a może i cała Jaskinia, zdecydują się stawić opór. Wtedy dojdzie do walki, prawdopodobnie zginą ludzie i ktoś znowu zapala żądzą odwetu. Kto może wiedzieć, jak to się skończy? Powiedz, Jondalarze, jakie plany mają Losadunai?

- Kilku przywódców Jaskiń wysłało posłańców do sąsiednich osad, niektórzy osobiście odbyli pierwsze rozmowy. Zgodzili się, że trzeba wytropić tę zgraję i rozbić raz na zawsze, a każda z Jaskiń indywidualnie osądzi tych łotrów, którzy z niej pochodzą. Zostaną przykładowo ukarani, jak sądzę, ale dostaną szansę naprawienia wyrządzonych krzywd - wyjaśnił Jondalar.

- Moim zdaniem to dobry plan, o ile zgodzą się na niego wszystkie Jaskinie, nie wyłączając tej, z której wywodzi się prowodyr - rzekł Joharran. - I jeśli bandyci poddadzą się bez walki, kiedy już zostaną wytropieni.

- Nie jestem pewien, co myśli ich przywódca, ale moim zdaniem pozostali chcieliby już wrócić do domów i zgodzą się na wszystko, byle móc znowu żyć wśród swoich. Wyglądali mi na głodnych, zmarzniętych, brudnych i ogólnie niezbyt szczęśliwych - dodał Jondalar.

Widziałeś ich? - spytała zdziwiona Marthona.

Właśnie wtedy, kiedy spotkaliśmy tę parę z Klanu. Banda napadła na kobietę; mężczyzny widocznie nie zauważyła. Tymczasem on wszystko widział - wdrapał się na wysoką skałę, żeby rozejrzeć się po okolicy, i kiedy zobaczył, co się dzieje, zeskoczył na dół. Złamał przy tym nogę, ale to nie powstrzymało go przed rzuconiem się do walki. Tak się złożyło, że byliśmy w pobliżu; lada chwila mieliśmy zacząć wspinaczkę na ścianę lodowca. - Jondalar uśmiechnął się.

- Dla Ayli, Wilka i mnie, nie mówiąc już o parze ludzi z Klanu, pokonanie takiej zgrai nie było problemem. W tych chłopcach nie pozostało już wiele ducha walki. Widok Wilka i koni, a także fakt, że wiedzieliśmy, kim są, choć nigdy przedtem nas nie widzieli, sprawiły, że napędziliśmy im solidnego strachu.

Tak - mruknęła w zamyśleniu Zelandoni. - Doskonale rozumiem, co czuli.

- Ja też byłbym przerażony - dorzucił Joharran, uśmiechając się krzywo.

- Ayla zdołała przekonać mężczyznę z Klanu, żeby pozwolił jej nastawić jego złamaną nogę - ciągnął Jondalar.

- Obozowaliśmy razem przez kilka dni. Zrobiłem dla niego kule, żeby mógł jakoś iść, i w końcu oboje postanowili wracać do domu. Rozmawiałem z nim trochę, chociaż znacznie mniej niż Ayla. O ile się nie mylę, stałem się dla niego kimś w rodzaju brata - dodał z zażenowaniem.

- Wydaje się - odezwała się Marthona - że skoro istnieje niebezpieczeństwo konfliktu z tymi... jak ich nazwaliście?... ludźmi Klanu?... a oni potrafią porozumiewać się na tyle skutecznie, by negocjować, to bardzo przyda nam się ktoś taki jak Ayla, kto dobrze zna ich mowę i zwyczaje, Joharranie.

Właśnie o tym myślałam - podchwyciła Zelandoni. Zastanawiała się także i nad tym, co Jondalar powiedział o przerażeniu, które wzbudził w bandytach widok zwierząt Ayli, ale nie wspomniała o tym na głos. Wiedziała jednak, że kiedyś można będzie wykorzystać tę niecodzienną przyjaźń z końmi i wilkiem.

- Naturalnie, matko, masz rację. Ale trudno nam będzie przyzwyczaić się do myśli o rozmawianiu z płaskogłowymi, czy choćby nawet o nazywaniu ich w inny sposób. Jestem pewien, że nie tylko ja będę miał z tym kłopoty - rzekł sceptycznie Joharran. Umilkł na chwilę, a potem potrząsnął głową, jakby kłócił się z własnymi myślami. - Skoro rozmawiają rękami, to skąd wiadomo, kiedy coś mówią, a kiedy po prostu nimi wymachują?

Wszyscy spojrzeli na Aylę, a ona odwróciła się ku Jondalarowi.

- Chyba powinnaś im pokazać - zasugerował jasnowłosy. - Najlepiej będzie, jeśli jednocześnie przemówisz i użyjesz znaków.

- Co mam powiedzieć?

- Może powitasz ich tak, jak witałaś Gubana - zaproponował.

Ayla zastanawiała się przez moment. Nie mogła pozdrowić ich tak samo, jak Gubana. On był mężczyzną, a kobieta nigdy nie witała mężczyzn tak samo, jak kobiety czy dzieci. Owszem, mogła wykonać gest pozdrowienia, który zawsze wyglądał tak samo, ale z drugiej strony mowa Klanu nie polegała na pokazywaniu pojedynczych znaków. Były one łączone i modyfikowane w zależności od tego, kto mówił i do kogo adresował swoją wypowiedź. Poza tym nie istniał

specjalny symbol oznaczający powitanie osoby z Klanu skierowane do któregoś z Innych. Do tej pory nikomu nie były potrzebne takie znaki, nie zawierał ich więc powszechnie uznawany język gestów. Teraz jednak warto było zastanowić się nad tym, w jaki sposób - w razie potrzeby - Klan i Inni mogliby nawiązać kontakt. Ayla wstała i wyszła na środek izby, by mieć nieco więcej miejsca.

Ta kobieta chciała by was pozdrowić, Inni Ludzie - zaczęła Ayla i zawahała się na moment. - Choć może powinna raczej powiedzieć: Ludzie Matki - dodała, przypominając sobie potrzebne znaki z języka Klanu.

- Lepiej będzie, jeśli powiesz "Dzieci Matki" albo "Dzieci Wielkiej Matki Ziemi" - zasugerował Jondalar. Znachorka kiwnęła głową i zaczęła od nowa.

Ta kobieta... imieniem Ayla... chciała by was pozdrowić, Dzieci Doni, Wielkiej Matki Ziemi. - Imiona Wielkiej Matki oraz własne wypowiedziała gardłowym tonem, jedynym, jaki potrafili wydobyć z siebie ludzie Klanu. Resztę wymówiła normalną mową Zelandonii, jednocześnie gestykulując w języku Klanu.

Ta kobieta ma nadzieję, że w niedalekiej przyszłości zostanieie powitani w pokoju przez człowieka z Klanu Niedźwiedzia Jaskiniowego i że odpowiecie mu pozdrowieniem. Mogur powiedział kiedyś tej kobiecie, że Klan jest pradawny, a jego wspomnienia sięgają głęboko. Klan istniał już, kiedy pojawili się nowi. Ludzie Klanu nazwali nowych, którzy do nich nie należeli, Innymi. Starsi postanowili, że Klan pójdzie swoją drogą i będzie unikał Innych. Taki jest wybór ludzi Klanu, którego tradycje zmieniają się powoli. Jednakże są wśród nich i tacy, którzy pragną zmiany. I jeśli to oni zwyciężą, ta kobieta ma nadzieję, że zmiany, które nadejdą, nie obrócą się ani przeciwko Klanowi, ani przeciwko Innym.

Ayla starała się, by przekład w języku Zelandonii, wygłaszany monotonnym, miękkim głosem, był możliwie jak najbardziej precyzyjny, a jednocześnie wolny od obcego akcentu. Słowa uświadamiały widzom tego spektaklu, o czym właściwie mówiła, ale jednocześnie widzieli, że język znaków nie ma nic wspólnego z beładnym wymachiwaniem rękami. Każdy gest miał swój cel, każde drgnienie ciała coś oznaczało, uniesienie głowy - dumę, skinienie - przyzwolenie; nawet z pozoru zwyczajne zmarszczenie brwi współgrało gładko z pracą całego ciała, służyło wyrażeniu jakiejś myśli. I choć znaczenie pojedynczych ruchów nie było jasne, to jednak widać było, że jest w nich jakiś głębszy sens.

Piękno pokazu mowy Klanu wywarło na zebranych piorunujące wrażenie. Marthona, czując na plecach dreszcze, zerknęła na Zelandoni, która odpowiedziała szybkim spójrzeniem i nieznacznym skinieniem głowy. Ona także wyczuwała w tym coś niezwykle głębokiego. Jondalar zauważył tę dyskretną wymianę spojrzeń; z uwagą obserwował widzów niecodziennej prezentacji i doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jak mocno są nią poruszeni. Joharran wpatrywał się w Aylę

spod coraz mocniej ściągniętych brwi, Willamar uśmiechał się lekko i z aprobatą kiwał głową, Folarę zaś po prostu promieniała. Widząc jej dziecinny zachwyty, Jondalar nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

Zakończywszy pokaz, smukła znachorka powróciła za stół, by usiąść ze skrzyżowanymi nogami z łatwością i elegancją, które rzucały się w oczy dopiero teraz, po prezentacji niezwykle języka ciała. W izbie zapanowało niezręczne milczenie. Nikt nie kwapił się z zabranem głosu; wszyscy pograżyli się w myślach, analizując to, co usłyszeli i zobaczyli. Wreszcie Folarę postanowiła zapłacić tę pustkę.

- Aylo, to było cudowne! Piękne! Wyglądało prawie jak taniec - powiedziała z zapalem.

- Nie potrafię myśleć o tym w taki sposób. Oni po prostu tak mówią. Chociaż muszę przyznać, że żyjąc w Klanie, uwielbiałam obserwować Opowiadaczy - odparła uzdrowicielka.

Twoje ruchy były... pełne wyrazu - pochwaliła Marthona, po czym spojrzała na syna. - Ty także znasz ten język, Jondalarze?

- Nie tak dobrze jak Ayla. Nauczyła mowy gestów wielu ludzi z Obozu Lwa, żeby mogli porozumiewać się z Rydagiem. Mieli z tego powodu mnóstwo uciechy podczas Letniego Spotkania. Mogli rozmawiać ze sobą w taki sposób, że nikt z innych obozów nie rozumiał, o czym mówią.

- Z Rydagiem? Czy nie tak miało na imię to dziecko z chorym sercem? - zainteresowała się Zelandoni. - Dlaczego nie potrafił mówić jak inni Mamutoi?

Jondalar i Ayla spojrzeli po sobie.

- Rydag był w połowie dzieckiem Klanu. Miał takie same kłopoty z mówieniem, jak inni ludzie tej rasy - odpowiedziała Ayla. - To dlatego nauczyłam go - i cały Obóz Lwa - mowy znaków.

Był w połowie dzieckiem Klanu?! - powtórzył wstrząśnięty Joharran. - Chcesz powiedzieć, że był półkrwi płaskogłowym? Półkrwi płaskogłowym potworem?!

- Był dzieckiem! - krzyknęła Ayla, wpatrując się gniewnie w przywódcę. - Takim samym jak inne. Żadne dziecko nie jest potworem!

Gwałtowna reakcja znachorki zaskoczyła Joharrana, który teraz dopiero uświadomił sobie, że kobieta wychowana przez Klan mogła się poczuć obrażona taką demonstracją pogardy.

- Ja... ja... Przepraszam cię. Po prostu wszyscy tak myślą... - wybąkał potulnie.

Zelandoni uznała, że czas najwyższy zapanować nad sytuacją.

- Aylo, musisz pamiętać, że nawet nie mieliśmy jeszcze czasu na przemyślenie wszystkiego tego, o czym nam opowiedziałas. Zawsze uważaliśmy ludzi Klanu za zwierzęta, za

istoty o cechach na poły ludzkich, na poły zwierzęcych, za potwory. Teraz jednak jestem pewna, że racja jest po twojej stronie - ten... Rydag musiał być dzieckiem.

Ona ma słuszość, przyznała w duchu Ayla. Przecież wiedziałam, co Zelandonii myślą o ludziach Klanu i mieszańcach. Jondalar nie ukrywał przede mną swoich uczuć, kiedy po raz pierwszy wspomniałam mu o Durcu. Znachorka z wysiłkiem zapanowała nad emocjami.

- Chciałabym zrozumieć jeszcze jedno - ciągnęła Zelandoni, starając się dobierać słowa w taki sposób, żeby nie urazić uzdrowicielki. - Osoba, którą nazwałeś Nezzie, była partnerką przywódcy Obozu Lwa, nieprawdaż?

- Nie mylisz się. - Ayla wiedziała, do czego zmierza donier i kolejny raz spojrzała z troską na Jondalara. Wydawało jej się, że mężczyzna robi wszystko, by nie uśmiechnąć się od ucha do ucha. Poczula się znacznie pewniej; on też już wiedział i czerpał przewrotną przyjemność z tego, że potężna Zelandoni jest tak zmieszana.

- Czy ten chłopiec, Rydag, był jej dzieckiem? Jondalar marzył w duchu o tym, by Ayla odpowiedziała twierdząco, tylko po to, by skłonić jego pobratymców do myślenia. Pamiętał jeszcze, jak wiele kosztowało go przezwyciężenie stereotypów i odrzucenie wierzeń, które wpajano mu od dzieciństwa, które właściwie wyssał z mlekiem matki. Gdyby jego bliscy musieli teraz zastanowić się nad przypadkiem kobiety, która wydawszy na świat "potwora", pozostała partnerką przywódcy, z pewnością wstrząsnęłoby to nieco ich przekonaniami. A im dłużej Jondalar rozmyślał o tej możliwości, tym głębszego nabierał przekonania, iż Wyszłoby im to na dobre; być może dzięki temu czuliby się w przyszłości bardziej bezpieczni. Jego lud musiał się zmienić, musiał pogodzić się wreszcie z faktem, że Klan to także ludzie.

Wychowała go - wyjaśniła Ayla. - Razem z własną córką. Był synem samotnej kobiety z Klanu, która zmarła wkrótce po porodzie. Nezzie adoptowała dziecko, podobnie jak Iza wzięła w opiekę mnie, kiedy nie miałam już nikogo. Słowa znachorki były dla wszystkich szokujące - może nawet bardziej, niż gdyby chłopiec był rodzonym synem Nezzie. Fakt, że partnerka przywódcy z własnej woli przygarnęła noworodka, którego z czystym sumieniem mogła zostawić, by szczeł wraz z matką, był dla Zelandonii zgoła niepojęty. W domostwie Marthony i Willamara zapadła cisza. Zgromadzeni kolejny raz pograżyli się w myślach, próbując przetrwać budzące grozę rewelacje przekazane przez Aylę i Jondalara.

Wilk pozostał w dolinie, w której pały się konie, bo nabrał ochoty na zwiedzanie nowego, nieznanego terytorium. Po pewnym czasie, kiedy uznał, że ma już dość włóczędzy po okolicy, postanowił powrócić do miejsca, które Ayla kazała mu uważać za dom. Wiedział, że jeśli będzie chciał znaleźć swoją panią, właśnie tam powinien się udać. Jak wszystkie wilki, poruszał się z szybkością i gracją, w które nie wkładał widocznego wysiłku; zdawał się wręcz płynąć między

drzewami. Kilkoro Zelandonii zbierało jagody w Dolinie Leśnej Rzeki. Jeden z mężczyzn dostrzegł Wilka sunącego w trawie niczym milczący duch.

To ten wilk! Jest sam! - zawołał ostrzegawczo mężczyzna i czym prędzej zszedł z drogi rozpędzonemu drapieżnikowi.

- Gdzie moje dziecko?! - zawołała w panice towarzysząca mu kobieta. Rozejrzała się szybko, dostrzegła córeczkę i rzuciła się ku niej biegiem, by unieść ją w bezpieczne miejsce.

Wilk dotarł tymczasem do ścieżki wiodącej ku skałom i ruszył pod górę równym, szybkim krokiem.

Wilk biegnie! Nie podoba mi się, że przychodzi tu, kiedy chce! - zawołała inna kobieta.

- Joharran powiedział, że mamy dać zwierzowi pełną swobodę, ale ja wiem swoje: idę po włócznię - odrzekł stojący obok niej mężczyzna. - Może i wilk nie zrobi nikomu krzywdy, aleja nie ufam dzikim bestiom.

Zaniepokojeni ludzie rozbiegli się na wszystkie strony, by przepuścić drapieżcę, kiedy dotarł do końca ścieżki i wbiegł pod skalny nawis, kierując się wprost ku domostwu Marthony. Jeden z pracujących mężczyzn przewrócił wiązkę drzewc do włóczni, gdy z trwogą cofał się przed cwałującym czworonożnym łowcą. Wilk wyczuwał strach otaczających go ludzi i nie podobało mu się to, ale uparcie biegł w stronę miejsca, które wyznaczyła mu Ayla.

Cisza w głównej izbie domu Marthony została przerwana dość nagle, gdy Willamar, który kątem oka dostrzegł ruch kotary przesłaniającej wejście, zerwał się z krzykiem na równe nogi.

- Wilk! Na Wielką Matkę, skąd się tu wziął ten wilk?!

- Wszystko w porządku, uspokój się, Willamarze - pospieszyła z wyjaśnieniem Marthona. - Wolno mu tutaj wchodzić.

Folara spojrzała w oczy najstarszego ze swych braci i uśmiechnęła się. Joharran, choć wcale nie czuł się pewnie, gdy drapieżca był w pobliżu, odwzajemnił uśmiech w nieco słabowitej wersji.

To wilk Ayli - rzekł Jondalar i wstał, by powstrzymać ewentualne nieprzemyślane reakcje zebranych.

Znachorka natychmiast ruszyła ku wejściu, by uspokoić spłoszone zwierzę. Wilk zapewne przeraził się bardziej niż Willamar, gdy w miejscu, które miało być jego domem, powitał go przeraźliwy krzyk Mistrza Handlu. Przysiadł, podkuliwszy ogon, i strosząc sierść na szerokim karku, obnażył kły.

Gdyby Zelandoni była w stanie dokonać takiej sztuki, podskoczyłaby równie szybko i wysoko jak Willamar. Wydawało się, że głośny i groźny warkot, który wydobył się z gardzieli wilka, jest skierowany właśnie do niej. Wstrząsnął nią dreszcz strachu. Wprawdzie słyszała już o zwierzętach Ayli i widziała je z daleka, lecz nagłe pojawienie się potężnego mięsożercy w



kamiennym domostwie wzbudziło w niej trudną do opanowania panikę. Jeszcze nigdy nie znalazła się tak blisko żywego wilka; dzikie drapieżniki zwykle umykały przed grupami ludzi.

Zafascynowana obserwowała poczynania Ayli, która bez strachu pospieszyła Wilkowi na spotkanie, przykucnęła i objęła go ramionami. Tuląc go, szeptała uspokajające słowa, z których Zelandoni zrozumiała bardzo niewiele. Zwierzę było wyraźnie poruszone - radośnie polizało szyję i twarz młodej kobiety, a potem uspokoiło się niespodziewanie. Był to najbardziej niewiarygodny pokaz nadnaturalnej mocy, jaki donier widziała w swoim długim życiu. Jakąż to magiczną władzę posiadała ta tajemnicza znachorka, skoro potrafiła kontrolować zachowanie tak niebezpiecznego drapieżnika? Zelandoni poczuła, że na samą myśl o tym dostaje gęsiej skórki.

Willamar, uspokojony przez Marthonę i Jondalara, zdołał się już opanować i bez słowa obserwował niecodzienną scenę powitania.

- Sądzę, że Willamar powinien poznać Wilka. Co ty na to, Aylo? - spytała Marthona.

- Zdecydowanie tak, skoro od dziś mają mieszkać pod jednym dachem - odezwał się wesoło Jondalar. Mistrz Handlu spojrzał na niego z niedowierzaniem.

Ayla wstała i zbliżyła się do mężczyzn, dając czworonogowi znak, by szedł za nią.

- Wilk zawiera przyjaźń z człowiekiem, poznając jego zapach. Jeżeli wyciągniesz rękę i pozwolisz, żeby ją powąchał... - zaczęła, sięgając po dłoń Willamara.

Mężczyzna cofnął się nieufnie.

- Jesteś pewna, że to dobry pomysł? - spytał, spoglądając z ukosa na Marthonę.

Jego partnerka uśmiechnęła się lekko i wyciągnęła dłoń w stronę Wilka, który powąchał ją i polizał.

- Nieźle nas nastraszyłeś, Wilku, wchodząc tu niespodziewanie, zanim zostałeś wszystkim przedstawiony - powiedziała spokojnie, głaszcząc kudłacza.

Willamar wahał się jeszcze, ale czuł, że nie powinien bać się tego, czego nie lękała się Marthona i... ostrożnie wyciągnął rękę. Ayla dokonała prezentacji w zwyczajowy sposób, przemawiając, gdy zwierz obwąchiwał jego dłoń.

Wilku, to jest Willamar, który mieszka z Marthona. - Wilk polizał rękę mężczyzny i zaskomlał cicho.

- Dlaczego on to zrobił? - spytał Willamar, szybko cofając dłoń.

- Nie jestem pewna. Możliwe, że wyczuł na tobie zapach Marthony, a ją polubił bardzo szybko - zasugerowała Ayla. - Spróbuj go pogłaskać lub podrapać.

Nieporadna pieśczoła Willamara sprawiła, że Wilk poczuł jedynie łaskotanie. Wygiął grzbiet i zaczął z werwą drapać się tylną łapą za uchem, wzbudzając tym - raczej niegodnym

śmiertelnie niebezpiecznego drapieżnika - czynem uśmieški i chichoty zebranych. Kiedy skończył, skierował się prosto do Zelandoni.

Kobieta obserwowała go nieufnie, ale nie okazała lęku. prawdziwa panika ogarnęła ją jedynie w chwili, gdy wilk nieoczekiwanie pojawił się u wejścia do domu. Tylko Jondalar, w przeciwieństwie do pozostałych, zauważył wtedy jej reakcję. Widział, jak zamarła ze strachu. Wszyscy zainteresowali się Willamarem, który podskoczył z trwogi i krzyknął, a nikt poza jasnowłosym mężczyzną nie zwrócił uwagi na milczące przerażenie Zelandoni. Cieszył się, że tak właśnie się stało. Ta Która Służy Matce w każdej sytuacji powinna być nieustraszona i w zasadzie tak właśnie było. Donier nie pamiętała, kiedy po raz ostatni ogarnął ją tak obezwładniający lęk.

Wilk chyba wie, że jeszcze cię nie poznał, Zelandoni - rzekł Jondalar. - A skoro będzie mieszkał z nami, sądzę, że powinniście zostać sobie przedstawieni. - Ze sposobu, w jaki na nią patrzył, donier wywnioskowała, że Jondalar zauważył jej niedawną chwilę słabości. Skinieniem głowy przyznała mu rację.

- Chyba masz rację. Co mam robić? Wyciągnąć do niego rękę? - spytała i uczyniła to, nie czekając na odpowiedź. Wilk powąchał dłoń, polizał ją, a potem, bez ostrzeżenia, ujął w zęby i przytrzymał, warcząc z cicha.

- Co on robi? - zdziwiła się Folar, która także nie została jeszcze przedstawiona Wilkowi.

- Do tej pory używał zębów tylko wtedy, kiedy bawił się z Aylą.

- Nie jestem pewien - przyznał zaniepokojony Jondalar. Zelandoni spojrzała surowo na Wilka, a ten natychmiast puścił jej dłoń.

- Zranił cię? - spytała Folar. - Dlaczego to zrobił?

- Ależ skąd. Oczywiście, że mnie nie zranił. Po prostu dał mi znać, że nie muszę się go obawiać - odrzekła Zelandoni, nawet nie próbując głaskać Wilka. - Rozumiemy się doskonale - dodała, spoglądając znacząco na Aylę, która popatrzyła jej prosto w oczy. - Ale jest jeszcze wiele rzeczy, których nawzajem o sobie nie wiemy.

- Rzeczywiście. Chciałabym to zmienić - odpowiedziała znachorka.

- A Wilk chciałby poznać Folarę - podchwycił Jondalar. - Chodź tutaj, Wilku. Przywitaj się z moją siostrzyczką.

Drapieżnik ochoczo skoczył ku niemu, słysząc wesołą nutę w jego głosie.

Wilku, to jest Folar - powiedział wolno mężczyzna. Młoda kobieta szybko przekonała się, jak przyjemnie było głaskać, drapać i przytulać kosmatego wilka.

- Teraz moja kolej - odezwała się Ayla. - Chciałabym, żeby przedstawiono mnie Willamarowi - wyjaśniła, po czym odwróciła się ku donier. - A także Zelandoni, choć czuję się tak, jakbym oboje znała od lat.

- Naturalnie - odpowiedziała Marthona, występując naprzód. - Zupełnie zapomniałam, że oficjalnie jeszcze się nie znacie. Aylo, oto jest Willamar, Znany Podróżnik i Mistrz Handlu Dziewiętej Jaskini Zełandonii, zaślubiony Marthonie, mężczyzna Ogniska dla Folar, błogosławionej przez Doni. - Kobieta przeniosła wzrok na partnera. - Willamarze, powitaj proszę Aylę z Obozu Lwa Mamutoi, córkę Ogniska Mamuta, wybraną przez Ducha Lwa Jaskiniowego, chronioną przez Niedźwiedzia Jaskiniowego... oraz matkę Wilka i dwóch koni - dodała z uśmiechem.

Po obszernych wyjaśnieniach złożonych przez Aylę krewni Jondalara rozumieli już znaczenie wszystkich imion i powiązań rodzinnych, a przy tym czuli, że znają młodą znachorkę znacznie lepiej. Teraz nie wydawała się już taka obca. Willamar i Ayla uścisnęli sobie obie dłonie i powitali się wzajemnie w imię Matki, zgodnie z odwiecznym rytuałem. Ayla zauważyła, że ludzie rzadko powtarzali wiernie słowa powitania; lubili dodawać coś od siebie.

- Nie mogę się doczekać, kiedy poznam twoje konie. I zdaje mi się, że od dziś do moich imion dodam jeszcze "wybrany przez Złotego Orła". To przecież mój totem - rzekł mężczyzna, uśmiechając się ciepło i raz jeszcze ściskając dłonie Ayli.

Kobieta odpowiedziała oszałamiającym uśmiechem. Cieszę się, że Jondalar wrócił po latach, pomyślał Willamar. Marthona jest pewnie szczęśliwa, że przyprowadził ze sobą kobietę, która będzie jego partnerką. To oznacza, że chce zostać. A do tego jego kobieta jest piękna... Aż trudno sobie wyobrazić, jak będą wyglądały jej dzieci, jeśli narodzą się z jego ducha.

Jondalar uznał, że osobiście powinien przedstawić Aylę Zełandoni i na odwrót.

- Aylo, oto jest Zełandoni, Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą Wielkiej Matce Ziemi, Głos Doni, Namiastka Tej Która Błogosławi, Donier, Dawczyni Pomocy i Uzdrawicielka, Narzędzie Dawnych Przodków, duchowa przywódczyni Dziewiętej Jaskini Zełandonii, przyjaciółka Jondalara znana niegdyś jako Zolena - zakończył z serdecznym uśmiechem. Ostatnie określenia nie należały do oficjalnego tytułu donier.

- Zełandoni, oto jest Ayla z Mamutoi - zaczął, a wypowiedziawszy całą listę imion i określeń dodał: - ...I przyszła partnerka Jondalara, mam nadzieję.

Dobrze, że powiedział: "mam nadzieję", pomyślała Zełandoni, zbliżając się do znachorki z wyciągniętymi rękami. Ten związek jeszcze nie został zaaprobowany.

- Jako Głos Doni, Wielkiej Matki Ziemi, witam cię, Aylo z Mamutoi, córko Ogniska Mamuta - powiedziała uroczystym tonem, ściskając dłonie Ayli. Świadomie wymieniła tylko te tytuły, które uważała za najważniejsze.

- W imieniu Mut, Matki Wszystkich, znanej też jako Doni, pozdrawiam cię, Zełandoni, Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą Wielkiej Matce Ziemi - odpowiedziała Ayla.

Gdy dwie niezwykle kobiety stanęły naprzeciw siebie, Jondalar marzył tylko o jednym: by zostały dobrymi przyjaciółkami. Za nic w świecie nie chciałby mieć za wroga którejkolwiek z nich.

- A teraz muszę już iść. Nie zamierzałam zabawić tu tak długo - stwierdziła Zelandoni.

- Ja także nie mogę zostać - dodał Joharran, muskając policzkiem policzek matki i wstając z miękkich poduszek. - Mam jeszcze wiele do zrobienia przed dzisiejszą ucztą. A jutro, Willamarze, chciałbym usłyszeć, jak udała się twoja wyprawa handlowa.

Kiedy Zelandoni i Joharran wyszli, Marthona zapytała Aylę, czy chce odpocząć przed wieczorną uroczystością.

- Jestem spocona i brudna po podróży. Nic nie zrobiłoby mi teraz lepiej niż kąpiel i pływanie w chłodnej wodzie. Czy znajdziesz gdzieś w pobliżu korzeń mydlnicy?

- Znajdziesz - odrzekła Marthona. - Jondalarze, pójdziecie w górę Leśnej Rzeki, za wielką skałę, niedaleko od doliny. Wiesz, o którym miejscu mówię, prawda?

Tak, wiem. W Dolinie Leśnej Rzeki zostały nasze konie, Aylo. Pokażę ci, jak tam dojść. Ja też mam ochotę popływać. - Jondalar objął Marthonę ramieniem. - Jak dobrze być w domu, matko. Nie wydaje mi się, żebym szybko zatęsknił za wędrówką.

## ROZDZIAŁ 5

- Chciałabym wziąć grzebień... Chyba mam też jeszcze trochę suszonych kwiatów do mycia włosów - powiedziała Ayla, otwierając torbę podróżną. - A do wytarcia przyda się skóra kozicy, którą dostaliśmy od Roshario - dodała, wyciągając miękko wyprawioną płachtę.

Wilk kręcił się niecierpliwie między wejściem a parą wędrowców, jakby namawiał ich, by się pospieszyli.

- On chyba wie, że idziemy popływać - rzekł Jondalar. - Czasem myślę, że ten zwierzak rozumie ludzką mowę, chociaż sam nie umie się nią posługiwać.

Wezmę zapasową odzież. Tak bym chciała wreszcie włożyć na siebie coś czystego... Może rozścielimy futra, zanim pójdziemy? - zaproponowała znachorka, odkładając przybory do mycia i rozwiązując rzemienie kolejnego juku. Szybko przygotowali posłanie i wypakowali resztę nielicznych rzeczy osobistych, które przywieźli ze sobą. Ayla rozłożyła starannie tunikę i krótkie spodnie i uważnie przyjrzała się swemu jedynemu zapasowemu ubraniu. Skrojono je z miękkiej, elastycznej kozłej skórki, w prosty, typowy dla Mamutoi sposób. Był to strój nieozdobny i nieco poplamiony, mimo iż nie tak dawno czyszczony. Ayla nie miała niczego innego, co mogłaby włożyć na siebie na wieczorną ucztę. Dalekie podróże ograniczały bagaż do niezbędnego minimum, nawet jeśli juki można było zawiesić na końskim grzbiecie. A w torbach znachorki znalazło się wiele rzeczy znacznie cenniejszych dla niej niż odświętne ubrania. Ayla zauważyła, że Marthona przypatruje się jej z boku.

To wszystko, w co mogę się ubrać na dzisiejszy wieczór - powiedziała. - Mam nadzieję, że wystarczy. Nic więcej nie przywozłam. Roshario dała mi kiedyś pięknie zdobioną suknię, ale podarowałam ją Madenii, tej młodej kobiecie Losadunai, którą tak brutalnie zgwałcono.

To piękny gest z twojej strony - pochwaliła kobieta.

I tak musiałam wyzbyć się części bagażu, a Madenia była zachwycona... Trochę żałuję, że nie zostało mi nic podobnego. Miło byłoby wystroić się na uroczystość w coś mniej znoszonego. Kiedy osiedlimy się tu na dobre, będę musiała uszyć sobie trochę nowych ubrań. - Ayla uśmiechnęła się i rozejrzała po izbie. - Nie mogę uwierzyć, że wreszcie dotarliśmy do celu.

- Ja też nie - przytaknęła Marthona. - Chętnie pomogę ci w szyciu ubrań, jeśli nie masz nic przeciwko temu - dodała po chwili.

- Ależ oczywiście, że nie. Będę wdzięczna - odparła z uśmiechem Ayla. - Wszystko, co tu masz, Marthono, jest takie piękne... a ja nawet nie wiem, co powinna nosić kobieta Zelandonii przy takiej okazji.

- Czyja też będę mogła pomóc? - wtrąciła Folar. - Zdanie matki na temat tego, co jest właściwym strojem, nie zawsze pokrywa się z opiniami młodych kobiet.

- Z radością przyjmę waszą pomoc, ale tym razem to musi mi wystarczyć - odrzekła Ayla, przyciskając do piersi nieco znoszone ubranie.

- Bądź pewna, że na dzisiejszy wieczór nie potrzebujesz niczego więcej - pocieszyła ją Marthona. Po chwili skinęła głową, jakby podjęła w duchu jakąś decyzję. - Mam coś, co chciałabym ci podarować, Aylo. Chodźmy do mojej sypialni.

Znachorka podążyła za matką Jondalara do sąsiedniego pokoju.

- Przechowywałam to dla ciebie przez długie lata - kontynuowała kobieta, otwierając malowane, drewniane pudełko.

- Przecież dopiero mnie poznałaś! - zaproponowała Ayla.

- Przechowywałam to dla kobiety, którą Jondalar pewnego dnia uczyni swoją partnerką. Należał do matki Dalanara - wyjaśniła, trzymając w otwartej dłoni ozdobny naszyjnik.

Ayla straciła dech z wrażenia i z wielkim wahaniem przyjęła dzieło sztuki. Przyglądała mu się z niezwykłą uwagą. Wykonano je ze starannie dobranych muszelek, idealnie równych zębów jelenia i delikatnych, miniaturowych główek jeleni rzeźbionych w kości mamuta.

- Jest piękny - szepnęła Ayla, ze szczególnym uznaniem podziwiając środkową część naszyjnika: oszlifowany dotykiem skóry i upływem lat medalion. - To bursztyn, prawda?

- Tak. Sam klejnot jest w rodzinie od wielu pokoleń, dopiero matka Dalanara uczyniła z niego ozdobę naszyjnika. Dała mi go, kiedy Jondalar przyszedł na świat, i poleciła przekazać kobiecie, którą wybierze do swojego ogniska.

Bursztyn nie jest zimny, jak inne kamienie - powiedziała w zamyśleniu Ayla, trzymając dłoń na gładkiej powierzchni. - Jest ciepły, jakby mieszkał w nim żywy duch.

- Ciekawe, że o tym wspomniałaś. Matka Dalanara zawsze twierdziła, że w tym kamieniu jest życie - odrzekła Marthona. - Załóż. Zobaczymy, jak wygląda na tobie.

Gospodyni poprowadziła Aylę do wapiennej ściany sypialni. W wykutą w kamieniu dziurę wciśnięto zaokrąglony koniec trzonu rogu megacerosa, rozszerzający się w typową, podobną do dłoni płaszczyznę. Otaczające ją wyrostki ucięto i w ten sposób powstała w miarę równa półka o nieco zadartych ku górze brzegach. Stał na niej prawie pionowo - oparty o lekko ukośnie biegnącą ścianę - płaski kawałek drewna o doskonale wygładzonej powierzchni.

Zbliżając się doń, Ayla spostrzegła, że w jego tafli z zaskakującą wiernością odbijają się obrazy drewnianych i wiklinowych pojemników, leżących po przeciwnej stronie izby, a także płomień kamiennej lampki oliwnej stojącej na jednym z tychże pojemników. Zdumiona znachorka zatrzymała się w pół kroku.

Widzę siebie! - zawołała cicho.

Wyciągnęła rękę i ostrożnie dotknęła powierzchni. Drewno zostało oszlifowane kawałkiem piaskowca, zabarwione głęboką czernią tlenków manganu, a następnie natłuszczone i wypolerowane na wysoki połysk.

- Nigdy dotąd nie widziałaś zwierciadła? - spytała zdziwiona Folar. Stała u wejścia do sypialni matki, umierając z ciekawości, jak też może wyglądać tajemniczy dar, który Marthona ofiarowała Ayli.

Takiego - nie. W słoneczne dni przeglądałam się czasem w stojącej wodzie - odpowiedziała z przejęciem Ayli. - A w tym... widzę całą sypialnię!

- Czy to znaczy, że Mamutoi nie używają zwierciadeł? Nie przeglądają się w nich, kiedy stroją się na ważną uroczystość? - spytała Folar. - Jeśli nie, to skąd wiedzą, czy dobrze wyglądają?

Ayla zmarszczyła brwi i zastanawiała się przez chwilę nad odpowiedzią.

- Oglądają się nawzajem. Nezzie zawsze pilnowała, żeby strój Taluta był w najlepszym porządku przed wszelkimi ceremoniami. A kiedy Deegie - moja przyjaciółka - uczesała mnie, wszystkim się podobałam - wyjaśniła Ayli.

- Popatrzmy, jak ten stary naszyjnik będzie wyglądał na tobie, Aylo - rzekła Marthona, zakładając ozdobę na szyję uzdrowicielki.

Ayla podziwiała lustrzane odbicie naszyjnika, z zadowoleniem dostrzegając, jak dobrze leży na jej piersi, i nagle, bezwiednie, zaczęła przyglądać się swojej twarzy. Rzadko widywała własne rysy i czuła się dziwnie, wyglądały bowiem obco - wydawało jej się, że znacznie lepiej zna oblicza innych ludzi, nawet tych, których poznała tak niedawno. I choć tafla drewnianego zwierciadła była doskonale wykończona, półmrok panujący w sypialni sprawiał, że twarz znachorki wyglądała na ciemną, prawie bezbarwną i raczej płaską.

Ayla dorastała pośród ludzi Klanu w przekonaniu, że jest brzydka i wielka. Miała cieńsze kości niż otaczające ją kobiety, a przy tym była wyższa od najroślejszych nawet mężczyzn. Wyglądała zdecydowanie inaczej, nie tylko w ich oczach, ale i własnych. Nauczyła się oceniać piękno w surowych kategoriach Klanu - ludzi o długich i szerokich twarzach, płaskich czołach, masywnych zgrubieniach nad oczodołami, ostrych, wydatnych nosach i wielkich, intensywnie brązowych oczach. Własne, szaroniebieskie oczy wydawały jej się wręcz chorobliwie blade.

Minęło sporo czasu - i życia między Innymi - nim pozbyła się wrażenia, że wygląda dziwnie, ale wciąż nie potrafiła myśleć o sobie jako o pięknej kobiecie, choć Jondalar bez końca powtarzał jej, że taka właśnie jest. Doskonale wiedziała, co uchodziło za atrakcyjne w oczach ludzi Klanu; nie miała jednak pojęcia o normach estetycznych obowiązujących wśród Innych. Twarz

Jondalara, o męskich, a więc mocnych i wyrazistych rysach, wydawała jej się znacznie piękniejsza niż własna.

- Moim zdaniem pasuje jak ulał - rzekł zdecydowanie Willamar.

Nawet on nie wiedział, że Marthona przechowuje naszyjnik. Kiedy przed laty wprowadził się do jej domostwa, znalazło się miejsce i dla niego, i dla jego rzeczy osobistych; miejsca było wystarczająco dużo, by wieść wygodne życie. Mistrz Handlu był zadowolony z tego, jak Marthona urządziła przestrzeń między kamiennymi ścianami, i nigdy nie czuł potrzeby zaglądania do wszystkich kątów czy grzebania w jej drobiazgach.

Jondalar, który stanął cicho za plecami Willamara, spojrzął ponad jego ramieniem i uśmiechnął się szeroko.

- Nigdy mi nie mówiłaś, matko, że babka dała ci to, kiedy się urodziłem.

- Nie dała mi tego dla ciebie, tylko dla kobiety, którą masz zaślubić. Dla tej, z którą zechcesz założyć ognisko. Ognisko, przy którym - z błogosławieństwem Matki - urodzi dla ciebie dzieci - odpowiedziała Marthona, zdejmując wisior z szyi Ayli i składając go w jej ręce.

- Zatem dałaś go właściwej osobie - stwierdził z zadowoleniem Jondalar. - Założysz go na ucztę, Aylo?

Uzdrowicielka spojrzała na bursztynowy medalion, lekko marszcząc czoło.

- Nie. Mogę włożyć tylko tę starą tunikę, niegodną tak pięknej ozdoby. Lepiej będzie, jeśli poczekam na bardziej odpowiedni strój.

Marthona uśmiechnęła się i z aprobatą skinęła głową.

Gdy wychodzili z sypialni, Ayła dostrzegła jeszcze jeden otwór wykuty w wapiennej skale, tuż ponad platformą pełniącą funkcję posłania. Była to nieco większa nisza, wcinająca się dość głęboko w zbocze. U jej wlotu stała mała kamienna lampka, a w głębi, w jej wątłym blasku, znachorka zauważyła okrągłe kształty figurki kobiety o bujnym ciele. Wiedziała, że to donii, wyobrazenie Doni, Wielkiej Matki Ziemi, a jeśli taka była Jej wola - także nosicielka Jej Ducha.

Ponad skalnym schowkiem Ayła zobaczyła coś jeszcze: matę podobną do tej, która zakrywała blat stołu, utkaną z cieniutkich włókien tworzących skomplikowany wzór. Bardzo chciała przyjrzeć się bliżej misternej robocie czyichś rąk i nagle... zrozumiała, że może. Nie wybierała się donikąd. To miał być jej dom.

Folara wybiegła z domu, gdy tylko Ayła i Jondalar udali się nad rzekę, i już po chwili była przy wejściu jednego z sąsiednich domostw. Omal nie zapytała brata i jego kobiety, czy może im towarzyszyć, ale w ostatniej chwili dostrzegła surowe spojrzenie matki i dyskretny, acz stanowczy, przeczący ruch głowy. W lot pojęła, że para wędrowców pragnie spędzić trochę czasu tylko we



dwoje. Zresztą i tak wiedziała, że przyjaciółki czekają na nią, gotowe zadać mnóstwo pytań... Skrobnęła skórzany panel zawieszony u wejścia do domostwa.

Kamila? To ja, Folar.

Sekundę później pulchna, atrakcyjna, ciemnowłosa dziewczyna odsunęła ciężką kotarę.

- Folar! Czekaliśmy na ciebie, ale Galeya musiała już iść. Powiedziała, że spotkamy się koło pnia.

Dyskutując z ożywieniem, młode kobiety wyszły spod gigantycznego nawisu skalnego i nie spiesząc się, powędrowały w stronę wypalonego uderzeniem pioruna, martwego pnia drzewiastego jałowca. Niemal jednocześnie zauważyły sylwetkę szczupłej, wręcz żyłastej dziewczyny o rudych włosach, która pędziła ku nim z przeciwnej strony, z wysiłkiem taszcząc dwie mokre, duże i pełne torby na wodę.

- Dopiero przyszedłaś, Galeyo? - spytała Kamila. Tak. A wy? Długo czekacie?

- Nie, parę chwil. Szłyśmy jeszcze, kiedy pojawiłaś się na horyzoncie - odrzekła Kamila, biorąc od przyjaciółki jedną z toreb i zawracając w stronę osady.

- Daj, dosyć już się namęczyłaś, Galeyo. - Folar chwyciła drugi pojemnik. - To na wieczorną ucztę?

- A jakże. Czuję się tak, jakbym od rana nie robiła niczego innego, tylko nosiła ciężary z miejsca na miejsce. Ale i tak uważam, że niespodziewane zgromadzenie dobrze nam zrobi. Zdaje się, że uroczystość będzie znacznie większa, niż można się było spodziewać. Niewykluczone, że skończymy na Polu Zgromadzeń. Podobno już kilka Jaskiń przysłało gońców, oferując zapas jedzenia na ucztę. Wiecie, co to oznacza? To, że większość z ich ludzi zamierza tu przyjść - wyjaśniła Galeya. Po kilku krokach zatrzymała się gwałtownie i odwróciła w stronę Folar. - No co, nie opowiesz nam o niej?

- Niewiele wiem. Dopiero się poznałyśmy. Będzie z nami mieszkać. Obiecała Jondalarowi, że podczas Letnich Zaślubin zawiąże węzeł. Jest kimś w rodzaju Zelandoni, chociaż niezupełnie. Nie ma tatuażu ani niczego podobnego, ale zna się na duchach i jest uzdrowicielką. Ocaliła Jondalarowi życie. Thonolan wędrował już po następnym świecie, kiedy ich znalazła. Zaatakował ich lew jaskiniowy! Nie uwierzycie, jakie historie opowiadają Ayla z Jondalarem... - Folar nie przestawała z podnieceniem relacjonować wydarzeń dnia, kiedy razem wchodziły pod kamienny nawis skrywający ich domy.

Wielu mieszkańców osady zajętych było przygotowaniami do wieczornej uroczystości, lecz niejeden przerwał pracę i przyglądał się trójce młodych kobiet, a szczególnie Folarze, która - o czym wszyscy już wiedzieli - miała okazję spędzić trochę czasu z tajemniczą kobietą Jondalarem. Byli i tacy, którzy starali się podsłuchać rozmowę zaaferowanych przyjaciółek - a szczególnie

pewna atrakcyjna kobiecieino ta o bardzo jasnych włosach i ciemnoszarych oczach. Niosła właśnie kościaną tacę z mięsem i udawała, że nie zwraca uwagi na pograżone w rozmowie dziewczyny. Jednocześnie szła w tym samym co one kierunku - choć chwilę wcześniej podążała w przeciwną stronę - utrzymując taką odległość, by nie uронić ani słowa.

- Jaka ona jest? - spytała Kamila.

- Moim zdaniem miła. Trochę dziwnie mówi, ale to dlatego, że pochodzi z bardzo dalekich stron. Nawet jej ubrania różnią się od naszych... choć nie ma ich wiele - tylko jeden zapasowy strój. Jest bardzo zwyczajny, ale skoro Ayla nie może włożyć nic innego, wystąpi w nim wieczorem. Powiedziała, że chciałyby mieć coś takiego, co noszą kobiety Zelandonii, tylko że na razie nie wie nawet, co powinno się nosić przy takich okazjach jak dzisiejsza, a nie chciałyby popełnić gafy. Matka i ja pomożemy jej w szyciu. A jutro idę z Aylą do koni, może nawet będę mogła pojeździć. Teraz poszła do nich z Jondalarem, chcą się wykąpać i popływać w Rzece.

- Naprawdę masz zamiar jeździć na końskim grzbiecie? - spytała z niedowierzaniem Ramila.

Kobieta, która podsłuchiwała rozmowę, nie czekała na odpowiedź. Zatrzymała się na moment, a potem, uśmiechając się przewrotnie, pospieszyła w swoją stronę.

Wilk biegł przodem, zatrzymując się od czasu do czasu, by sprawdzić, czy kobieta i mężczyzna podążają jego śladem. Stroma ścieżka, wiodąca w dół z północnowschodniego krańca tarasu przed skalnym nawisem, doprowadziła ich do łąki ciągnącej się wzdłuż prawego brzegu małej rzeczki, która nieco dalej łączyła się z głównym nurtem. Płaska, porośnięta trawą polana otoczona była rzadkim lasem mieszanym, który gęstniał w ciemną masę drzew nieco dalej, w górnym biegu strumienia.

Kiedy wkroczyli na łąkę, Whinney zarżała radośnie na powitanie. Ludzie przypatrujący się scenie z daleka w zdumieniu pokręcili głowami, gdy wilk wybiegł na spotkanie klaczy i już po chwili zwierzęta delikatnie trącały się nosami. Dopełniwszy formalności, drapieźnik zadarł ogon i przypadł przednimi łapami do ziemi, szczenięcym skomleniem zapraszając do zabawy młodego ogiera. Zawodnik uniósł głowę i zarżał, reagując na powitanie energicznym darcim murawy kopytami.

Z równie wielką radością konie powitały ludzi. Klacz zbliżyła się szybko i położyła łeb na ramieniu Ayli, a kobieta czule objęła prężny kark zwierzęcia. Był to zrozumiały dla obu, dobrze znany gest miłości i oddania. Jondalar poklepał i pogładził lśniąca sierść kasztana, który ochoczo nadstawiał co bardziej swędzące miejsca. Zawodnik postąpił kilka kroków naprzód i trącił lekko Aylę, domagając się pieszczot. Konie i ludzie, a także szczęśliwy wilk, stanęli w ciasnej grupie, radując się wzajemnie swoją obecnością w nowym miejscu, pełnym obcych ludzi.

- Mam ochotę na przejażdżkę - odezwała się po chwili Ayla i spojrzała na pozycję słońca na popołudniowym niebie. - Zostało nam jeszcze trochę czasu, prawda?

- Na pewno. Nikt nie zasiądzie do uczyty, póki nie zacznie się ściemniać. - Jondalar uśmiechnął się łobuzersko. - Jedźmy! Potem popływamy - zdecydował. - Tutaj czuję się tak, jakby przez cały czas ktoś mnie obserwował.

- Nie mylisz się, jesteśmy obserwowani - odrzekła Ayla. - Wiem, że to tylko naturalna ciekawość, ale miło byłoby uciec przed tym choć na chwilę.

Grupka ludzi przyglądała się z daleka, jak młoda kobieta z łatwością wskakuje na grzbiet żółtawobrazowej klaczy, a mężczyzna lekkim susem dosiada kasztanowatego ogiera. Whinney i Zawodnik ruszyły z kopyta, unosząc w dal Aylę i Jondalara, wilk zaś popędził za nimi, z łatwością dotrzymując kroku rączym koniom.

Mężczyzna poprowadził najpierw w górę małej rzeczki, do płytkiego brodu i dalej, drugim brzegiem, póki po prawej stronie nie ujrzeli niewielkiego wąwozu. Oddalili się na północ od strumienia i zagłębili w wąską gardziel, której kamieniste podłoże w porze deszczów zamieniało się w wartki potok. U jej wylotu rozpoczynała się długa i nadzwyczaj stroma ścieżka, prowadząca na szczyt smaganego wiatrem płaskowyżu, piętrzącego się wysoko ponad okolicznymi rozlewiskami i połaciami lasu. Jondalar i Ayla zatrzymali się tam na moment, by rozejrzeć się po okolicy.

Wysoki na ponad sześćset stóp płaskowyż był najwyższym punktem terenu i ze stromego urwiska będącego jego krawędzią rozpościerał się zapierający dech w piersiach widok nie tylko na wstęgi płynących wód i na zalane nimi doliny, ale także na dalekie, ciągnące się po horyzont nierówności wyżyny, która rozpoczynała się po drugiej stronie Rzeki. Wierzchołki skał, między którymi znajdowały się koryta strumieni i rzeczulek, nie tworzyły jednak nawet w przybliżeniu równego płaskowyżu.

Wapień rozpuszcza się w wodzie, jeśli poddaje się jej działaniu przez odpowiednio długi czas, a zawarte w niej związki mają lekko kwasowy odczyn. Na przestrzeni wieków rzeki i spływające wody deszczowe wcięły się głęboko w wapienny masyw całej tej okolicy, szatkując niegdyś płaskie dno nie istniejącego już oceanu siecią dolin i wzgórz. Płynące wciąż rzeki wyrzynały najgłębsze kaniony i rzeźbiły najbardziej strome klify, lecz choć zniszczone przez nie skały miejscami były podobnej wysokości, na całej połaci widocznej ze szczytu płaskowyżu widać było, że różnice między nimi są dość znaczne.

Na pierwszy rzut oka roślinność porastająca wietrzne i suche szczyty krasowych wzgórz ciągnących się po obu stronach Rzeki wyglądała na jednolitą i przypominała nieco florę kontynentalnych stepów wschodu. Przeważała trawa, a w pobliżu strumieni i oczek wodnych

wybijały się na tle horyzontu olbrzymie, wysmukłe jałowce, sosny i świerki. W zagłębieniach rosły też niskie drzewa i bujne krzewy.

Zadziwiające było to, jak ścisła była zależność składu szaty roślinnej od warunków terenu. Szczyty wzgórz i ich północne stoki porastały rośliny lubiące chłód i suchość północnej części kontynentu, podczas gdy na południowych najbujniej rozwijały się te, które zwykle spotykało się w strefie cieplejszej i którym najlepiej służył wilgotny, łagodny klimat.

Najbogatsza szata zdobiła dolinę ciągnącą się wzdłuż głównego koryta Rzeki - brzegi porastały szpalery drzew liściastych i iglastych. Przeważały okryte jasną, wiosenną zielenią brzozy białe i wierzby, lecz i świerki oraz sosny wyglądały świeżo - ich czubki okrywało młode igliwie. Jałowce i rzadko spotykane dęby, nawet zimą nie gubiące liści, upstrzone były plamami żywej zieleni, zdobiącymi końce młodych gałązek.

Leniwie płynąca Rzeką meandrowała pośród rozległych łąk, wczesną wiosną zapewne tonących pod wezbranymi wodami, teraz zaś okrytych kobiercem traw, tym bardziej złotych, im bliższe było gorące lato. Tu i ówdzie jej koryto zwężało się i nurt przyspieszał, wbijając się między strome urwiska skalne, by nieco dalej znowu rozlać się szeroko i spowolnić swój bieg.

Były i takie miejsca - szczególnie w dolinach otaczających dopływy Rzeki - gdzie warunki sprzyjały wzrostowi lasów mieszanych. Na dobrze osłoniętych przed zimnym wiatrem południowych stokach świetnie przyjmowały się kasztanowce, orzechy włoskie i kępy leszczyny, a także jabłonie. Wiele z nich skarłało; niektóre nie rodziły owoców co roku, ale większość przy korzystnej pogodzie zapewniała ludziom obfite zbiory. Prócz drzew z dobrodziejstwa słonecznych kąpieli korzystały też rozliczne pnącza i krzewy owocowe - winorośl, porzeczki, maliny, truskawki, agrest, jeżyny, nieliczne żółte maliny moroszki, a także borówki w wielu odmianach.

Tam, gdzie teren wznosił się wyżej, przeważały rośliny spotykane zwykle w tundrze - dotyczyło to przede wszystkim potężnego, wysokiego masywu piętrzącego się na północy, okrytego lodem mimo aktywności paru wulkanów. Kilka dni przed przybyciem do Dziewiętej Jaskini Ayla i Jondalar znaleźli tam gorące źródła. W szczeliny tamtejszych skał wczepiały się odporne porosty; zioła wyrastały najwyżej na kilka cali ponad twardym gruntem, natomiast karłowate krzewy płożły się nisko po zamarzającej glebie. Tam, gdzie obfitość wody stworzyła bardziej sprzyjające warunki wegetacji, pojawiały się mchy w najróżniejszych odcieniach zieleni i szarości, a także trzciny, sitowie i kilka gatunków traw. Różnorodność szaty roślinnej regionu sprzyjała bogactwu fauny, zatem i dla ludzi - mieszkańców okolicznych Jaskiń - warunki życia były nader korzystne.

Jondalar i Ayla ruszyli dalej, szlakiem skracającym na północny wschód, ku krawędzi stromej urwiska zwieszającego się nad korytem Rzeki, która w tym miejscu płynęła prawie

dokładnie z północy na południe, bezustannie wypłukując podstawę wapiennego masywu. Jadąc po względnie równej powierzchni płaskowyżu, przekroczyli bystry nurt kolejnego strumienia, którego wody docierały do krawędzi klifu i z hukiem spadały w dół, zasilając główny nurt rzeczny. Zatrzymali się dopiero tam, gdzie ścieżka zaczynała opadać, wiodąc łagodnie nachylnym stokiem ku dolinie po drugiej stronie masywu. Zawróciwszy, popędzili Whinney i Zawodnika galopem i ścigali się po kamienistej równinie tak długo, aż konie zmęczyły się i z własnej woli poczęły zwalniać. Przekraczając ponownie mały strumień, zatrzymali się na chwilę, by napić wierzchowce i zziąjanego wilka. Sami także pochyliłi się nad strugą, aby zaspokoić pragnienie. l i l 7

Ayla nie czuła się tak cudownie na końskim grzbiecie od czasu, kiedy po raz pierwszy udało jej się dosiąść klaczy. Wreszcie zwierzę było wolne od ciężaru juków i toreb, koca służącego za siodło oraz uzdy. Nagie uda znachorki obejmowały mocne ciało konia, dokładnie tak, jak przed laty, kiedy jeszcze nieświadomie uczyła się kierowania poczynaniami Whinney przez wywieranie nacisku na jej wrażliwą skórę.

Zawodnik miał na pysku uździenicę - do takiej formy kierowania Jondalar przyuczył swego ogiera, wymyślając po drodze całą uprzęż i kod sygnałowy, którym w zrozumiały dla konia sposób wyrażał swoją wolę. Jasnowłosy Zelandonii także od dawna już nie czuł się tak wolny. Podróż była długa, a podświadome pragnienie powrotu do domu ciążyło mu bardziej, niż to sobie uświadamiał. Teraz ciężar zniknął wraz z pękatymi torbami podróżnymi, a jazda na końskim grzbiecie pozostała przyjemnością w czystej postaci. Jondalar i Ayla radowali się i podniecali nie tylko galopadą, ale i wzajemną bliskością. Spacerując wolno wzdłuż strumienia, uśmiechali się do siebie; nie potrzebowali słów, by wyrazić to, co czuli.

Ta przejażdżka to był dobry pomysł, Aylo - odezwał się po długiej chwili Jondalar, obdarzając uzdrowicielkę najbardziej promiennym ze swych uśmiechów.

Też tak myślę - odpowiedziała, rewanżując mu się tym samym. Uwielbiał ten jej uśmiech.

- Och, kobieto... Jesteś taka piękna - powiedział z zachwytem, obejmując ją w pasie i mierząc przenikliwym spojrzeniem niebieskich oczu pełnych miłości i szczęścia. Jedynym miejscem, w którym kiedykolwiek widziała tak intensywny błękit, była głęboka toń na szczycie ogrzanego słońcem lodowca.

To ty jesteś piękny, Jondalarze. Wiem, że o mężczyźnie nie mówi się "piękny", ale taki właśnie dla mnie jesteś. - Ayla objęła go za szyję, czując w pełni jego niezwykły magnetyzm, któremu niewiele kobiet potrafiło się oprzeć.

- Nazywaj mnie, jak chcesz - odrzekł, pochylając się, by pocałować jej usta.

Nagle zapragnął, by pieszczota nie skończyła się na tym. Oboje zdążyli już przyzwyczaić się do tego, że zawsze są sami, pośrodku rozległych połaci nie zamieszkaney ziemi, z dala od oczu

ciekawskich. Teraz jednak Jondalar miał świadomość, że przyjdzie mu znowu oswajać się z życiem pośród tłumu ludzi... ale jeszcze nie w tej chwili.

Językiem delikatnie rozchylił jej usta i sięgnął głęboko, w miękkość i ciepło. Odpowiedziała tym samym, przymykając oczy, by w pełni odebrać wrażenia, które już zaczynała odczuwać. Przycisnął ją mocno, ciesząc się bliskością jej ciała. Już niedługo, pomyślał, połączy nas uroczysta ceremonia. .. Założymy nowe ognisko, przy którym ona urodzi dzieci, dzieci mojego ogniska, może nawet mojego ducha, a jeśli jej przypuszczenia są słuszne - może nie tylko ducha. Jondalar podejrzewał, że mogą to być dzieci poczęte z jego ciała, z jego esencji. Tej samej, która teraz wzbierała w nim, gorąca i wzburzona jak lawa.

Odchylił się gwałtownie i spojrzał na Aylę, a potem z nagłą namiętnością zaczął całować jej szyję, smakować słoną skórę i szukać dłonią piersi. Znalazł i natychmiast poczuł różnicę: była bardziej krągła niż zwykle, a wkrótce miała być pełna mleka. Drugą ręką odpiął pas ściskający talię kobiety i wsunął dłoń pod delikatnie wyprawioną kozłą skórę, by poczuć miękki ciężar i musnąć palcami twarde, nabrzmiąły sutki.

Wreszcie uniósł tunikę Ayli, a ona pomogła mu ściągnąć ją przez głowę i szybko zsunęła krótkie spodnie. Przez chwilę przyglądał się jej, jak stała w pełnym słońcu, i napawał wzrok jej kobiecością: urodą uśmiechniętej twarzy, muskularnością ciała, krągłością wysokich piersi i dumnie sterczących sutków, łagodną krzywizną brzucha i puszystością jasnego trójkąta włosów. Kochał ją i pragnął jej tak bardzo, że z trudem powstrzymał łzy.

Błyskawicznie zdjął ubranie i cisnął je na miękką trawę. Ayla podeszła do niego i kiedy wstał, wyciągnęła ku niemu ramiona. Znowu zamknęła oczy, gdy okrywał pocałunkami jej usta i szyję. Na moment zacisnął dłonie na jej piersiach, a ona - na jego twardej męskości. Opadając wolno na kolana, nie przestawał całować szyi, piersi i brzucha uzdrowicielki, a kiedy pochyliła się nieco, wziął do ust jej sutki.

Wstrzymała oddech, czując, jak fala podniecenia dociera do ukrytego gdzieś wewnątrz jej ciała ośrodka Przyjemności. Chwilę potem doznanie powtórzyło się, gdy Jondalar zaczął ssać mocno drugą pierś, pieszcząc pierwszą wprawnymi palcami. Mężczyzna wiedział, co robi: ścisnął jędrne krągłości tak, by zmieścić w ustach oba sutki, a wtedy Ayla jęknęła cicho i bez reszty oddała się odczuwaniu rozkoszy.

Poświęcił jeszcze moment sterczącym brodawkom, a potem zszedł niżej, do pępka, do puszystego wzgórczka i dalej, by wreszcie wcisnąć gorący język w miękkie rozwarcie i musnąć mały, mięsisty węzełek. Ayla poczuła silne, przyjemne dreszcze i pochyliła się nad Jondalarem jeszcze niżej, a z jej ust wyrwał się cichy okrzyk. On zaś otoczył ramionami jej okrągłe pośladki i przycisnął ją do siebie, pracując językiem z każdą chwilą prędej i mocniej.

Stojąc nad nim na szeroko rozstawionych nogach i wspierając się rękami na jego barkach, oddychała i pojękiwała coraz szybciej, czuła narastającą falę rozkoszy, która wreszcie w gwałtownym spazmie uwolniła Przyjemność, a zaraz potem następną, i jeszcze jedną... Jondalar poczuł w ustach ciepło i wilgoć, z zadowoleniem rozpoznając niepowtarzalny smak Ayli.

Znachorka otworzyła oczy i spojrzała w dół, na jego uśmiechniętą szelmowsko twarz.

Wzięłeś mnie z zaskoczenia - mruknęła cicho.

- Wiem - odparł, szczerząc zęby.

Teraz mój ruch - powiedziała i śmiejąc się, pchnęła go lekko tak, by opadł plecami na murawę. Zaraz też położyła się, okrywając go swym ciałem, i zaczęła całować, czując w nozdrzach własny zapach. Pieściła płatki jego uszu, brodę i szyję, on zaś uśmiechał się z zadowoleniem. Uwielbiał, kiedy tak się bawiła; zachwycała go jej gotowość do dzielenia z nim chwil rozkoszy.

Teraz więc Ayła całowała pierś i sutki swojego mężczyzny. Wodziła językiem po włosach w dół, ku pępкови i jeszcze dalej, aż wreszcie znalazła jego pełny, gotowy do akcji członek. Jondalar zamknął oczy, kiedy poczuł na nim jej usta, poruszające się miarowo w górę i w dół. Sam uczył Aylę wszystkiego, co wiedział o dawaniu Przyjemności. Na sekundę odbiegł myślami ku Zelandoni - a raczej ku niegdyś pięknej dziewczynie imieniem Zolena - i przypomniał sobie, jak kiedyś żył w przekonaniu, że nigdy nie znajdzie równie doskonałej kobiety. A jednak znalazł. Świadomość tego prostego faktu napełniała go taką radością, że nie potrafił przestać dziękować Wielkiej Matce Ziemi za to cudowne spotkanie. Co by się stało, gdyby kiedyś stracił Aylę?

Nastrój Jondalara uległ nagłej metamorfozie. Zelandoni nie miał nic przeciwko igraszkom i pieszczotom, ale teraz naprawdę pożądał kobiety. Usiadł i przyciągnął ją do siebie tak, by spoczęła na jego nogach, twarzaku niemu, obejmując go mocno udami. Wziął uzdrowicielkę w ramiona i zaczął całować z namiętnością, która ją zaskoczyła. Kobieta nie wiedziała, co wywołało tę błyskawiczną przemianę, ale kochała swego mężczyznę dość mocno, by odpowiedzieć zgodnie z jego oczekiwaniami.

A Jondalar nie ustawał w pieszczotach, całując ramiona i szyję, gładząc piersi Ayli. Czuła pod sobą twardy nacisk, który nieomalże odpychał ją ku górze. Spragnione dłonie i usta szukały jej twardych sutków, więc uniosła się nieco i wygięła plecy, znowu czując przyjemne dreszcze. Rozgrzana i twarda męskość nie przestawała przeciw ku górze, toteż pomału znachorka unosiła biodra coraz wyżej i wyżej, na poły świadomie naprowadzając swego kochanka na cel.

Rozkosz, którą poczuł Jondalar, była niemal nie do zniesienia, gdy Ayła opadła na niego, obejmując członek mocnym, mokrym i gorącym uściskiem. Zaraz jednak znowu uniosła się nieco i odchyliła ku tyłowi, lecz mężczyzna nie pozwolił jej uciec dalej, jedną dłonią ściskając prawą

pierś, której nabrzmiały czubek pieścił językiem, drugą zaś gładząc lewą; szaleńczo, jakby nie mógł ogarnąć pełni jej kobiecości.

Jasnowłosa znachorka unosiła się i opadała rytmicznie, z każdym ruchem czując fale Przyjemności ogarniające całe ciało, dysząc ciężko i pokrzykując w ekstazie. Mężczyzna także był coraz bliższy spełnienia; wreszcie puścił jej piersi, oparł ciało na obu rękach i uniósł lędźwie w ostatnich kilku energicznych ruchach. Oboje jęczeli z rozkoszy, napawając się przybierającą na sile Przyjemnością, aż wreszcie dotarli do szczytu i niemal jednocześnie poczuli obezwładniający poryw nie wysłowionej ulgi.

Po chwili Jondalar opadł ciężko na trawę, nie czując nawet małego kamienia, który uciskał go pod łopatką. Ayla położyła się na kochanku, wsparłszy głowę na jego piersi. Leżeli bez ruchu. Wkrótce jednak znowu usiadła, uśmiechnęła się ciepło i teraz dopiero zsunęła się z jego lędźwi, by stanąć na nogi. Zelandoni chciał pozostać w niej dłużej, ale wiedział równie dobrze jak ona, że nadszedł czas powrotu. Młoda kobieta przeszła parę kroków i przykucnęła nad strumieniem, by się umyć. Jondalar uczynił to samo.

- Będziemy się kąpać i pływać, gdy tylko wrócimy w pobliże osady - powiedział.

Wiem. Dlatego nie przesadzam z tym myciem.

Ayla przez całe dorosłe życie praktykowała rytuał - bo tym właśnie była dla niej dbałość o intymną higienę w który wprowadziła ją jej matka z Klanu, Iza. Wychowując przybraną córkę, sędziwa uzdrowicielka zastanawiała się zawsze, czy to dziwne dziecko, tak wysokie i brzydkie, będzie kiedykolwiek potrzebowało tej umiejętności. Nauka nie poszła w las - Ayla była tak drobiazgową i upartą w kwestii regularnego mycia, że nie przeszkadzała jej nawet niska temperatura wody w górskich strumieniach. Jondalar przejął od niej nawyk dbałości o czystość, choć nie zawsze traktował go równie ortodoksyjnie.

Gdy znachorka ruszyła w stronę porzuconych ubrań, zbliżył się do niej Wilk, ze spuszczoneym łbem i wolno kiwającym się na boki ogonem. Kiedy był młodszy, Ayla musiała nauczyć go, że powinien trzymać się z daleka, gdy ona dzieli Przyjemność z towarzyszem Podróży. Jondalar zawsze był mocno rozdrażniony, ilekroć wilk przeszkadzał im w zbliżeniu, a i sama uzdrowicielka nie przepadała za beztruskimi zaczepkami ze strony młodego drapieżnika w tak niezwykłych chwilach. Kiedy nawet stanowcze rozkazy nie wystarczyły, by okiełznać temperament zwierzęcia, które uparcie przychodziło, by węszyć i szukać zabawy, Ayla zdecydowała się uwiązać je sznurkiem w stosownej odległości od miejsca, w którym zamierzała dzielić z Jondalarem Przyjemność. Wilk wreszcie pojął, czego się od niego oczekuje, i od tej pory zachowywał się nienagannie, póki uzdrowicielka nie dała mu sygnału, że może się zbliżyć.



Wystarczył jeden gwizd, by konie, pasące się dotąd spokojnie na rozległej polanie, przybiegły na spotkanie z jeźdźcami i wilkiem. Zaraz potem cała piątka ruszyła ku krawędzi płaskowyżu i ponownie zatrzymała się w miejscu, z którego widać było spory kawał rzecznej doliny oraz wiele dopływów, zasilających główny nurt, a także wapienne skały tworzące malownicze kaniony. Z tej wysokości można było w pełni docenić urodę zlewiska rzek - małej, płynącej z północnego zachodu, i dużej, przelewającej się leniwie ze wschodu na zachód. W miejscu, w którym ich nurty łączyły się, koryto głównej rzeki skręcało nagle ku południowi, gdzie po serii wysokich klifów rzucających na nie głęboki cień, widoczny był masyw wapienny zawierający między innymi Dziewiątą Jaskinię i jej rozległy kamienny taras. Kiedy jednak Ayla spojrzała w stronę rodzinnej osady Jondalara, jej uwagę przykuło coś bardziej niezwykłego niż gigantyczny nawis kryjący społeczność Zelandonii.

Przed tysiącami lat, w toku intensywnej orogenezy okresu wypiętrzania się całych łańcuchów górskich - dokonującej się rzecz jasna w "szybkim" tempie, jeśli mierzyć ją kategoriami geologicznymi, kolumna będąca fragmentem większej formacji wulkanicznej odłamała się i upadła, być może bardzo daleko od miejsca, w którym teraz płynęła szeroka rzeka. Tego typu dzieła natury tworzyły się spontanicznie: kiedy półpłynna magma stygła i przyjmowała krystaliczną strukturę bazaltu, często przypominała kształtem wielościenne kolumny.

Olbrzymia, podobna do słupa bryła zapewne była targana i poniewierana siłami natury - choćby potężną masą lodowca - lecz jej odlany z bazaltu kształt pozostał w zasadzie niezmieniony. Skalna kolumna spoczęła wreszcie na dnie śródlądowego morza, wraz z pokładami szczątków morskich stworzeń, z których formował się wapień. Późniejsze ruchy skorupy ziemskiej wyniosły dno morskie ku górze i uczyniły zeń ląd pełen falujących wzgórz i rzek skrytych między wysokimi płaskowyżami. Kaprysy klimatu rzeźbiące w wapiennych masywach jaskinie i nawisy podobne do tych, w których znaleźli schronienie Zelandonii, przyczyniły się też do odkrycia dziwacznej i poobijanej, bazaltowej kolumny, przybyłej tu być może z dalekich stron.

Jakby same rozmiary olbrzymiego abri nie były dość zdumiewającym zjawiskiem, w pobliżu szczytu z czoła kamiennego nawisu sterczała pod absurdalnym kątem dziwaczna, długa skała. Choć jeden jej koniec spoczywał bezpiecznie gdzieś głęboko, pogrzebany w pokładach wapienia, bazaltowa kolumna wyglądała tak, jakby lada moment miała spaść na wielki naturalny taras przed niszą kryjącą osadę Zelandonii. Był to dziwny widok, nadający Dziewiątej Jaskini specyficzny charakter. Ayla dojrzała kolumnę, kiedy po raz pierwszy zbliżała się do sadyb rodaków Jondalara, teraz jednak miała okazję podziwiać ją z odmiennej perspektywy.

- Czy ta skała ma jakąś nazwę? - spytała, wyciągając rękę w stronę masywu i skalnego słupa.

- Mówimy na nią Spadająca Skala - odrzekł Jondalar.

- Bardzo trafnie. Zdawało mi się, że twoja matka wspominała też o nazwach tych rzek.

Tej największej jakoś nie nadaliśmy osobnej nazwy. Wszyscy nazywają ją po prostu Rzeką, a większość uważa ją za najważniejszą w całym regionie, choć na pewno nie jest największa. Nieco dalej na południe wpada do znacznie potężniejszej, którą nazywamy Dużą Rzeką, ale większość Jaskiń Zelandonii żyje w pobliżu tej, więc wiadomo, że kiedy ktoś mówi "Rzeka", to właśnie ją ma na myśli. Ten płytki dopływ, który tam widzisz, nazywamy Leśną Rzeką - ciągnął Jondalar. - Jego brzegi są lesiste; więcej tam drzew niż w którejkolwiek innej dolinie. Myśliwi nieczęsto tam polują.

- Ayła skinęła głową ze zrozumieniem.

Dolinę strumienia, o którym mówił mężczyzna, osłaniały wzdłuż prawego brzegu wapienne urwiska, wzdłuż lewego zaś - strome wzgórza. Nie przypominała ona pozostałych, zdecydowanie trawiastych dolin, którymi płynęły inne dopływy Rzeki oraz ona sama. Była pełna drzew i krzewów, szczególnie w górnym biegu strumienia. W przeciwieństwie do otwartych przestrzeni, lasy nie były dla łowców ulubionym miejscem polowań. Naturalne przeszkody utrudniały podejście zwierzyny, a nawet jej dostrzeżenie w kamuflującej, wielobarwnej mozaice liści i igieł. Stworzenia żyjące w stadach dobierały trasy swych wędrówek w taki sposób, by zapewnić sobie obfitość świeżej trawy, a zatem starannie omijały lasy. Z drugiej jednak strony, dolina zapewniała ludziom niezmiernie duże zapasy drewna, przydatnego w codziennym życiu - między innymi jako opał. Niebagatelne znaczenie miały też owoce i orzechy, a także rośliny potrzebne nie tylko jako uzupełnienie jadłospisu, ale i źródło leków. We wnyki można było łapać mniejsze, typowo leśne zwierzęta. W generalnie bezdrzewnej krainie nikt nie mógł wzgardzić takim bogactwem naturalnym, jakim była Dolina Leśnej Rzeki.

Przy północno-wschodnim krańcu tarasu Dziewiętej Jaskini - który także był nie najgorszym punktem obserwacyjnym ponad dolinami dwóch rzek - Ayła dostrzegła z oddali resztki wielkiego ogniska. Nie widziała ich wcześniej, kiedy wychodziła spod skalnego nawisu. Bardziej interesowało ją wtedy odnalezienie ścieżki wiodącej do polany w Dolinie Leśnej Rzeki, na której pasły się konie.

- Jondalarze, po co palił się taki wielki ogień na skraju tarasu? Chyba nie z powodu zimna... Może ktoś coś piekł?

To ogień sygnałowy - odparł mężczyzna. - Płonące pniaki można dostrzec z wielkiej odległości - dodał, widząc zdziwienie w oczach Ayli. - Za pomocą ognia wysyłamy sygnały do innych Jaskiń. Nasi bracia też rozpalają czasem takie stosy, kiedy chcą nam przekazać wiadomość.

- Jaką wiadomość?

- Och, różnie z tym bywa. Najczęściej chodzi o sygnalizowanie myśliwym położenia wędrujących stad. Czasem zapowiada się w ten sposób wielkie wydarzenia - Zgromadzenia i inne, mniej oficjalne spotkania.

- Ale skąd wiadomo, co oznacza dany sygnał?

- Zazwyczaj umawiamy się z innymi Jaskiniami z wyprzedzeniem; na przykład wtedy, kiedy zbliża się sezon polowań na któreś ze zwierząt i spotykamy się, żeby zaplanować łowy. Mamy też i takie znaki, które zawsze oznaczają wołanie o pomoc. Ktokolwiek zobaczy sygnał, wie, że czegoś chcemy. Jeśli nie rozumie jego znaczenia, wysyła do nas posłańca.

To bardzo mądry pomysł - stwierdziła Ayla. - Trochę podobny do języka znaków i sygnałów Klanu, prawda? - dodała po namyśle. - Porozumiewanie się bez słów.

- Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób, ale rzeczywiście, chyba masz rację.

Jondalar skierował ogiera w stronę przeciwną do tej, z której przybyli. Po chwili byli już na krętej kamienistej ścieżce zygzakującej po górnej części stromego zbocza, a następnie odbijającej w prawo przez trawiasty i krzaczasty, ale znacznie łagodniej nachylony stok. Szlak doprowadził ich do równin ciągnących się w tym miejscu wzdłuż prawego brzegu Rzeki. Za brodem, po drugiej stronie Doliny Leśnej Rzeki, znajdowała się łąka przeznaczona dla koni.

Powracając w pobliże osady, Ayla czuła się dość swobodnie, ale opuściło ją już oszałamiające poczucie wolności, które towarzyszyło jej podczas wcześniejszej gonitwy. Wprawdzie polubiła wszystkich ludzi, których poznała do tej pory, ale męczyła ją myśl o wieczornej uczcie i wcale nie cieszyła się ze spotkania z resztą Dziewiątej Jaskini Zelandonii. Nie przywykła do obcowania z tak liczną gromadą ludzi jednocześnie.

Zostawili Whinney i Zawodnika na polanie pełnej soczystej trawy, a sami - polegając na pamięci Jondalara - odnaleźli szybko miejsce, w którym rosła tutejsza odmiana mydlnicy. Ayla uważnie przyjrzała się roślinie, notując w pamięci podobieństwa i różnice. Chciała być pewna, że będzie umiała rozpoznać ją samodzielnie. Kiedy skończyła, sięgnęła do mieszka z suszonymi kwiatami.

Wilk wskoczył do Rzeki razem z nimi, ale nie pozostał w niej długo po tym, jak przestali zwracać na niego uwagę. Przepłynęli dość daleko, by pozbyć się kurzu i potu nie tylko i 91 po galopadzie na końskich grzbietach, ale i po całej Podróży. Wróciwszy do brzegu, na wklęsłym kamieniu roztlukli z wodą kilka korzeni, uwalniających gęstą pianę bogatą w saponinę. Umyli się, ze śmiechem nacierając sobie wzajemnie całe ciała, a potem zanurkowali, by splukać naturalne mydło. Ayla podzieliła się z Jondalarem skromną porcją suszonych płatków kwiatowych, które należało nałożyć bezpośrednio na mokre włosy. Ta roślina nie pieniała się tak dobrze, za to

pozostawiała przyjemny, świeży zapach. Po drugim płukaniu głowy młoda kobieta była gotowa do wyjścia.

Osuszyli ciała miękko wyprawionymi skórkami, które następnie rozłożyli na trawie, i przysiedli obok nich, wystawiając twarze do popołudniowego słońca. Ayla wydobyła z woreczka swój grzebień o czterech długich zębach, wycięty z kawałka mamuciego ciosu - dar od Deegie, najlepszej przyjaciółki z ludu Mamutoi, lecz kiedy zaczęła czesać włosy, Jondalar chwycił jej rękę.

- Pozwól, że ja to zrobię - poprosił, odbierając jej grzebień.

Podczas Podróży nauczył się czerpać przyjemność z pieszczotliwego dotyku jej świeżo umytych włosów. Lubił ich lekko wilgotną, miękką masę, poddającą się delikatnym ruchom grzebienia i schnącą w piękne, lekko falujące pasma. Nie wspominając już o tym, że lubiła to Ayla, nienawykła, by ktokolwiek troszczył się o nią w taki sposób.

Lubię twoją matkę i twoją siostrę - stwierdziła znachorka, siedząc plecami do swego mężczyzny, w skupieniu czeszącego grzywę jej ciemnoblonde włosów. - I Willamara.

- A oni polubili ciebie.

Wydaje mi się, że Joharran jest dobrym przywódcą. Wiesz, że masz na czole takie same zmarszczki, jak on?

- spytała. - Nie mogłam patrzeć na niego niełaskawym okiem, jest zbyt podobny do ciebie.

- A on zmiękł, kiedy zobaczył ten twój piękny uśmiech - odrzekł Jondalar. - Podobnie jak ja.

Ayla milczała przez moment, nim kolejnym zdaniem zdradziła, o czym teraz myśli.

- Nie powiedziałaś mi, że twoja Jaskinia to tak wielka gromada ludzi. Czuję się, jakbym miała zamieszkać z całym Zgromadzeniem Klanu - powiedziała cicho. - A w dodatku mam wrażenie, że ty znasz ich wszystkich... Ja chyba nigdy nie poznam.

- Nie martw się, poznasz, i to szybciej, niż ci się wydaje - odpowiedział, pracując nad szczególnie mocno splątanym kosmykiem. - O, przepraszam... Nie za mocno pociągnąłem?

- Nie. Cieszę się, że wreszcie poznałam waszą Zelandoni. Ona naprawdę zna się na uzdrawianiu. To wspaniałe, że znalazłam kogoś, z kim będę mogła rozmawiać o czymś, co tak mnie fascynuje.

- To potężna kobieta, Aylo.

- Oczywiście, że tak. Jak długo pełni funkcję Zelandoni?

- Niech pomyślę... - mruknął Jondalar. - Zdaje się, że zaczęła wkrótce po mojej przeprowadzce do Dalanara. Wtedy jeszcze nazywałem ją w myślach Zoleną. Była naprawdę piękna. Zmysłowa. Nie wydaje mi się, aby kiedykolwiek była szczupła, ale teraz naprawdę coraz

bardziej przypomina Wielką Matkę. Poza tym chyba cię lubi. - Mężczyzna zamyślił się, zapominając o czesaniu, a po chwili zaśmiał się głośno.

- Co cię tak śmieszy? - spytała znachorka.

- Słuchałem uważnie twojego opowiadania o tym, jak mnie znalazłaś, o Maluszku i całej reszcie. Możesz być pewna, że Zelandoni zada ci jeszcze mnóstwo pytań. Dobrze widziałem wyraz jej twarzy. Za każdym razem, gdy odpowiadałaś, ona już miała gotowe kolejne trzy pytania. Rozpaliłaś jej ciekawość... jak zawsze. Jesteś wieczną zagadką, nawet dla mnie. Czy ty w ogóle masz pojęcie, jaka jesteś niesamowita, kobieto?

Ayla odwróciła się zwinnie i spojrzała na niego z miłością.

- Daj mi trochę czasu, a pokażę ci, jaki ty jesteś niesamowity - odparowała, uśmiechając się lekko, choć uwodzicielsko. Jondalar pochylił się, by ucałować jej usta.

Niespodziewany chichot sprawił, że obejrzeni się jak na komendę.

- Ach, mam nadzieję, że nie przeszkadzamy - odezwała się stojąca opodal kobieta. Atrakcyjna, jasnowłosa, ciemnooka kobieta; ta sama, która podsłuchiwała opowieść Folary o wielkim powrocie Jondalara i jego wybranki. Towarzyszyły jej dwie przyjaciółki.

- Marona! - zawołał cicho mężczyzna, nieznacznie marszcząc brwi. - Nie, nie przeszkadzacie. Zaskakujące spotkanie.

- Dlaczego miałbyś być zaskoczony moim widokiem? Czyżbyś podejrzewał, że niespodziewanie wyruszyłam w wielką Podróż? - spytała drwiąco Marona.

Jondalar uśmiechnął się kwaśno i spojrzał na Aylę, która mierzyła nieznajome przenikliwym wzrokiem.

- Ależ nie. Skądże. Po prostu... jestem zaskoczony.

- Właśnie przechodziłyśmy niedaleko stąd i zobaczyłyśmy was przypadkiem. Przyznaję, Jondalarze, że nie mogłam sobie odmówić przyjemności wprawienia cię w lekkie zakłopotanie. W końcu byliśmy sobie Obiecani.

W sensie formalnym nie doszło do złożenia Obietnicy, ale mężczyzna nie zamierzał sprzeczać się z byłą wybranką. Zbyt dobrze pamiętał, że swego czasu sam dawał jej wyraźnie do zrozumienia, iż ma wobec niej poważne zamiary.

- Nie wiedziałem, że jeszcze tu mieszkasz. Sądziłem, że jesteś teraz partnerką mężczyzny z innej Jaskini - odrzekł wymijająco.

Byłam. To nie był dobry związek, więc wróciłam. - Dziewczyna w dobrze znany Jondalarowi sposób lustrowała wzrokiem jego twarde, opalone, nagie ciało. - Nie zmieniłeś się wiele przez te lata. Przybyło ci tylko paskudnych blizn. - Marona popatrzyła ciekawie na Aylę. - Ale przecież nie przyszłyśmy tu, żeby rozmawiać z tobą. Chcemy poznać twoją przyjaciółkę.

Dziś wieczorem zostanie wszystkim oficjalnie przedstawiona - odrzekł, opiekuńczo otaczając Aylę ramieniem. - Tak też słyszałyśmy, ale nam niepotrzebne te formalności. Po prostu mamy ochotę pozdrowić ją i powitać w naszej Jaskini.

Teraz Jondalar nie mógł uniknąć prezentacji.

- Aylo z Obozu Lwa Mamutoi, oto jest Marona z Dziewiątej Jaskini Zelandonii i jej przyjaciółki... - Mężczyzna urwał, z uwagą przyglądając się jednej z kobiet. - Portula? Z Piątej Jaskini? Czy to ty? - upewnił się.

Kobieta uśmiechnęła się i zarumieniła, mile zaskoczona tym, że ją pamiętał. Marona spojrzała na nią spod ściągniętych brwi.

Rzeczywiście, to ja, Portula, ale teraz już z Trzeciej Jaskini. - Portula miała powody, by miło wspominać jasnowłosego olbrzyma: to on został dla niej wybrany do Rytuału Pierwszej Przyjemności.

Jednak Jondalar pamiętał coś jeszcze: że ta właśnie dziewczyna była jedną z tych, które po odbyciu Rytuału nie dawały mu spokoju i próbowały spotkań na osobności, choć tradycja wyraźnie zabraniała takich zbliżeń co najmniej przez rok po Pierwszej Przyjemności. Jej upór zepsuł nieco miłe wspomnienie ceremonii, która zwykle pozostawiała w nim ciepłe, sympatyczne uczucia względem młodych kobiet.

- Niestety, zdaje się, że nie znam twojej drugiej przyjaciółki, Marono - rzekł Jondalar. Dziewczyna wyglądała na nieco młodszą od swych towarzyszek.

- Jestem siostrą Portuli, na imię mi Lorava - odezwała się uprzejmie.

- Poznałyśmy się, kiedy byłam partnerką mężczyzny z Piątej Jaskini - wyjaśniła Marona. - A teraz przyszedł do mnie z wizytą - dodała, odwracając się ku Ayli. - Witaj, Aylo z Mamutoi.

Ayla wstała, by odpowiedzieć na pozdrowienie. Choć zwykle nie przejmowała się takimi sprawami, tym razem czuła się nieswojo, zawierając zupełnie nago znajomość z obcymi kobietami. Szybko chwyciła suszącą się obok skórę i owinęła ją wokół bioder, na szyję zaś zarzuciła amulet.

- Pozdrwiam cię, Marrono z Dziewiątej Jaskini Zelandonii - odezwała się przyjaźnie. Dziwny akcent i gardłowa wymowa z twardym "r" natychmiast zdradziły ją jako przybysza z dalekich stron. - Pozdrwiam też Porrutulę z Piątej Jaskini i jej siostrę, Lorravę - dodała.

Najmłodsza z kobiet zachichotała, słysząc niecodzienny sposób mówienia Ayli, ale szybko zapanowała nad sobą. Jondalar miał wrażenie, że na ustach Marony pojawił się na moment złośliwy uśmiezek. Zmarszczył brwi, zastanawiając się, o co chodzi.

- Chciałabym zrobić dla ciebie, Aylo, coś więcej ponad to zwyczajne powitanie - oznajmiła Marona. - Nie wiem, czy Jondalar kiedyś ci o tym wspominał, ale byłam mu Obiecana, zanim

postanowił wybrać się w tę swoją Podróż, którą tak nagle sobie wymyślił. Na pewno domyślasz się, że nie byłam zachwycona jego zniknięciem.

Jasnowłosa mężczyzna na gwałt poszukiwał w myśli odpowiednich słów, którymi mógłby zażegnać nieuchronną burzę. Spodziewał się bowiem, że lada chwila Marona zasypie Aylę skargami na jego podłość i niewybrednymi epitetami, ale kobieta zaskoczyła go.

- Na szczęście to już przeszłość - powiedziała. - Szczerze mówiąc, nie myślałam o nim od lat, aż do dziś, do waszego powrotu. Niestety, jest wielu ludzi, którzy nie zapomnieli o tamtej sprawie, a niektórzy z nich lubią plotkować. Dlatego tu jestem - chciałam powitać cię jak należy, żeby dać im nowy temat do plotek. - Marona wyciągnęła rękę w stronę swoich przyjaciółek. - Właśnie szłyśmy do mnie, żeby przygotować się do wieczornej uczyty powitalnej. Pomyślałyśmy, że może zechcesz pójść z nami, Aylo. Moja kuzynka, Wylopa, już tam jest. Pamiętasz Wylope, prawda, Jondalarze? Przyszło mi do głowy, moja droga, że być może miałabyś ochotę poznać kilka kobiet, zanim zaczną się te nudne, oficjalne uroczystości.

Ayla doskonale wyczuwała napięcie, szczególnie między Jondalarem i Marona, ale doszła do wniosku, że w tych okolicznościach nie jest ono niczym niezwykłym. Mężczyzna istotnie wspominał jej kiedyś o Maronie i o tym, że onegdaj byli sobie prawie Obiecani. Ayla potrafiła sobie wyobrazić, jak czułaby się na miejscu kobiety, której wybranek nagle zniknął na parę lat. Jednakże wszystko wskazywało na to, że Marona pogodziła się już z przeszłością i mówi szczerze, a zachorka rzeczywiście chciała poznać lepiej tutejsze kobiety.

Brakowało jej prawdziwych przyjaciółek. Kiedy dorastała, prawie nie miała wokół siebie rówieśnic. Uba, rodzona córka Izy, była dla niej jak siostra, lecz różnica wieku w zasadzie uniemożliwiała prawdziwą przyjaźń. Ayla zawsze starała się nawiązać bliskie stosunki z kobietami klanu Bruna, ale nie potrafiła pokonać dzielącej ją od nich przepaści. Robiła wszystko, by stać się dobrą kobietą Klanu, ale w tym przypadku chęci nie wystarczyły. Dopiero gdy zamieszkała z Mamutoi i poznała Deegie, po raz pierwszy mogła docenić smak prawdziwej przyjaźni - wspólnego przebywania i rozmowy z kimś w podobnym wieku i o podobnych możliwościach. Teraz jednak brakowało jej Deegie... Nie potrafiła też zapomnieć o Tholie z Sharamudoi, z którą tak szybko zawarła bliską znajomość.

- Dziękuję, Marono. Chętnie się do was przyłączę... Na razie nie mam innego ubrania niż to - dodała, wkładając szybko naznaczone śladami długiej i ciężkiej Podróży spodenki i tunikę - ale Marthona i Folarę obiecały, że pomogą mi coś uszyć. Dlatego chętnie zobaczę, co się u was nosi.

- Możliwe, że znajdziemy coś dla ciebie jako... prezent powitalny - odezwała się kusząco Marona.

- Jondalarze, zabierzesz do domu tę mokrą skórę? - spytała Ayla.

- Oczywiście - odrzekł.

Na jedno uderzenie serca przycisnął ukochaną do siebie i policzkiem musnął jej twarz. A potem trzy młode kobiety odwróciły się i odeszły, zabierając ze sobą uzdrowicielkę.

Jondalar obserwował je przez chwilę, coraz mocniej marszcząc czoło. Wprawdzie nigdy oficjalnie nie poprosił Marony, by została jego partnerką, ale dawał jej do zrozumienia, że połączą się ceremonią Zaślubin podczas najbliższego Letniego Spotkania. Dziewczyna przygotowywała się już do uroczystości, a on po prostu zniknął. Wyruszył z bratem w Podróż i nie stawił się na Spotkaniu. Tak, to musiało być dla niej ciężkie przeżycie.

Nigdy naprawdę jej nie kochał, ale zdawał sobie sprawę z tego, jaka jest piękna. Większość mężczyzn uznawała ją za najbardziej urodziwą i budzącą pożądanie kobietę, jaką widzieli na Letnich Spotkaniach. I choć teraz Jondalar nie zgadzał się w pełni z tą opinią, przyznawał w duchu, że jak mało kto znała się też na sposobach dzielenia się Darem Przyjemności. A jednak nie jej pragnął najmocniej na świecie... Ludzie mówili kiedyś, że Jondalar i Marona są dla siebie stworzeni, i wszyscy oczekiwali, że prędzej czy później połączy ich węzeł. Zresztą i on przypuszczał, że tak się stanie. Już wtedy wiedział, że pewnego dnia zapragnie dzielić ognisko z kobietą i jej dziećmi, a skoro nie mógł mieć jedynej, której prawdziwie pożądał - Zoleny - był skłonny zadowolić się Maroną.

Długo nie przyznawał się do tego przed samym sobą, ale kiedy wyruszył z Thonolanem na wielką wędrówkę, poczuł niewymowną ulgę. Wydawało mu się wówczas, że to najłatwiejszy sposób na uwolnienie się od zakochanej kobiety. Był pewien, że Marona nie zostanie sama, że wkrótce znajdzie sobie innego mężczyznę. I znalazła, tyle że - jeśli wierzyć jej słowom - ten związek nie trwał długo. Łupacz krzemienia spodziewał się, że po powrocie zastanie ją przy szczęśliwym ognisku, z gromadką dzieci. Ona jednak nie wspomniała nic o dzieciach... Dziwne.

Jondalar nie przewidział, że Marona może nadal być wolna. Była przecież piękną kobietą, choć miewała humory i czasem pozwalala, by powodowała nią złość, a wtedy... potrafiła być mściwa. Zmarszczki na czole jasnowłosego Zelandoni pogłębiały się z każdą chwilą, gdy obserwował grupkę kobiet wędrujących zwawo ku Dziewiętej Jaskini.



## ROZDZIAŁ 6

Kiedy Wilk dostrzegł Aylę przemierzającą polanę w towarzystwie trzech młodych kobiet, popędził ku niej, ile sił w łapach. Widząc rozpedzonego drapieżcę, Lorava pisnęła ze strachu, Portula jęknęła i w panice rozglądała się w poszukiwaniu drogi ucieczki, Marona zaś pobladła i zamarła w bezruchu. Znachorka zauważyła ich reakcję i szybkim gestem nakazała zwierzęciu zatrzymać się.

- Stój, Wilku! - krzyknęła głośno, bardziej na użytek strwożonych kobiet niż włochatego przyjaciela, choć dźwięk jej głosu z pewnością był dla niego dobitnym potwierdzeniem sygnału przekazanego ręką. Zwierz zatrzymał się i uważnie obserwował panią, czekając na znak, który oznaczałby pozwolenie na powitanie. - Chciałybyście poznać Wilka? - spytała Ayla. - Na pewno nie zrobi wam krzywdy - dodała, widząc, że jej słowa wzbudziły w nich bodaj jeszcze większe przerażenie.

- Dlaczego miałybyśmy chcieć zawierać znajomość ze zwierzęciem? - odezwała się w końcu Marona.

Ton, którym zostały wypowiedziane te słowa, sprawił, że Ayla przyjrzała się uważniej jasnowłosej piękności. Wyczuwała w niej nie tylko strach, ale - ku swemu zaskoczeniu - także niesmak, a może nawet gniew. Trwogę potrafiła zrozumieć, lecz inne emocje Marony wydawały jej się nie na miejscu. Z pewnością nie takiej reakcji spodziewała się po niej, wiedząc, jak reagowali na zwierzęta ludzie, których spotykała do tej pory. Pozostałe dwie kobiety spojrzały niepewnie na Maronę i zdawały się naśladować jej zachowanie, nie wykazując najmniejszej ochoty na bliskie spotkanie z drapieżnikiem.

Ayla dostrzegła teraz, że Wilk przyjmuje nieufną postawę. Widocznie wyczuł to co ja, pomyślała.

Wilku, znajdź Jondalara - powiedziała, dając mu sygnał do biegu.

Zwierz zawahał się na moment, patrząc na nią uważnie, po czym wykonał rozkaz. Cztery kobiety ruszyły dalej, by wspiąć się ścieżką ku olbrzymiej niszy skalnej, siedzibie Dziewiętej Jaskini.

Po drodze mijaly wielu mieszkańców osady, a każdy z nich reagował inaczej na widok maszerującej zgodnie grupki. Jedni spoglądali domyślnie i uśmiechali się z widocznym rozbawieniem, drudzy sprawiali wrażenie zaskoczonych, a jeszcze inni wręcz zaniepokojonych. Tylko małe dzieci nie zwracały w ogóle uwagi na cztery młode kobiety. Ayla nie mogła nie zauważyć tego, co się działo. Postanowiła zachować czujność.

Przez cały czas analizowała zachowanie Marony i jej przyjaciółek, choć oczywiście obserwowała je w dyskretny sposób. Nikt nie potrafił robić tego lepiej niż kobiety Klanu. Nikt nie umiał lepiej niż one zachowywać pozorów obojętności, wtapiać się w tło i sprawiać wrażenia nieświadomych tego, co dzieje się dookoła - choć wszystko to było jedynie zwodniczą grą.

Już od najmłodszych lat dziewczęta Klanu uczono nigdy nie patrzeć wprost na mężczyznę i zawsze próbować nie rzucać się w oczy, a jednocześnie wiedzieć i reagować, gdy tylko potrzebował czegoś lub chciał zwrócić na siebie uwagę. W konsekwencji kobiety opanowały umiejętność niezwyklej koncentracji, pozwalającej na wierne rejestrowanie wielkiej ilości informacji za jednym spojrzeniem, a także wyciągania wniosków z postawy, ruchów i wyrazu twarzy innych ludzi. Niewiele uchodziło ich uwagi.

Ayla opanowała tę sztukę równie dobrze jak inne kobiety Klanu, choć nie była świadoma tego faktu w stopniu, w jakim zdawała sobie sprawę z umiejętności czytania mowy ciała. W skupieniu i z rosnącą nieufnością śledziła zachowanie trzech Zelandonii i zastanawiała się nad motywami postępowania Marony, ale wołała niczego nie zakładać z góry.

Kiedy dotarły w cień skalnego nawisu, skierowały się ku centralnej części osady - dość daleko od domu Marthony - i weszły do jednego z większych kamiennych domostw. W głównej izbie powitała je kolejna młoda kobieta, która najwyraźniej czekała tu od dłuższego czasu.

- Aylo, oto moja kuzynka Wylopa - odezwała się Marona, prowadząc grupę ze środkowego pomieszczenia do jednej z sypialń. - Wylopo, to jest Ayła.

- Witaj - powiedziała Wylopa.

Po serii dość oficjalnych pozdrowień, których doświadczyła, poznając krewnych Jondalara, Ayła uznała tę zdawkową prezentację kuzynki Marony - w której domu zjawiała się pierwszy raz w życiu - za dość dziwną. Zachowanie kobiet jakoś nie pasowało do norm, które, jak się jej zdawało, obowiązywały w społeczności Zelandonii.

Pozdrrrawiam cię, Wylopo - odpowiedziała uprzejmie. - Rrozumiem, że to twoje domostwo?

Wylopa była zaskoczona dziwną wymową Ayli, a że nie miała wielkiego doświadczenia w rozmowach z przybyszami z daleka, prawie nic nie zrozumiała.

- Nie - odrzekła za nią Marona. - To dom mojego brata, jego partnerki i trojga dzieci. Mieszkamy z Wylopa u nich i dzielimy ten pokój.

Ayła rozejrzała się szybko po niezbyt przestronnym pomieszczeniu, otoczonym panelami podobnymi do tych w domostwie Marthony.

Właśnie zamierzałyśmy uczesać się i umalować twarze na wieczorną uroczystość - powiedziała Portula. Przymilny uśmiech, którym obdarzyła Maronę, zmienił się w raczej złośliwą

parodię uśmiechu, gdy przeniosła wzrok na Aylę. - Pomyślałyśmy, że mogłabyś mieć ochotę przygotować się razem z nami.

Dzięki za zaproszenie. Chętnie popatrzę - odrzekła Ayla. - Nie wiem, jak przygotowują się kobiety Zelandonii. Moja przyjaciółka, Deegie, czasem czesała mi włosy, ale ona jest z Mamutoi i mieszka bardzo daleko stąd. Pewnie nigdy już jej nie zobaczę, a bardzo za nią tęsknię... Miło jest mieć przyjaciółki.

Portula była zaskoczona i wzruszona otwartością obcej kobiety, jej przyjacielską reakcją. Złośliwy grymas ustąpił miejsca prawdziwemu uśmiechowi.

- Jako że uczta ma być na twoją cześć - odezwała się Marona - postanowiłyśmy dać ci jakiś elegancki strój na tę wyjątkową okazję. Poprosiłam kuzynkę, żeby coś dla ciebie wybrała. Możesz zacząć przymierzać, Aylo - dodała, przyglądając się rozłożonym tu i ówdzie strojom. - Doskonały wybór, Wylopo. - Lorava zachichotała, a Portula odwróciła głowę.

Ayla także zauważyła kilka ubrań rozłożonych na posłaniu i posadzce. Były to głównie wąskie nogawice i koszule z długimi rękawami, a także krótkie tuniki. Rozejrzawszy się, popatrzyła na stroje czterech kobiet Zelandonii.

Wylopa, która wyglądała na nieco młodszą od Marony, miała na sobie obszerną odzież podobną do tej, która czekała na przymiarke. Lorava, najmłodsza ze wszystkich, ubrana była w krótką skórzaną tunikę bez rękawów, spiętą paskiem powyżej bioder i wyglądającą cokolwiek odmiennie od tych, które proponowano Ayli. Portula, kobieta raczej korpulentna, nosiła długą spódnicę z materiału uplecionego z drobnych włókien oraz luźną bluzę, której długie frędzle zwieszały się nad spódnicą. Marona, szczupła, ale i kształtnie zbudowana, miała na sobie bardzo krótką, rozpiętą kamizelę, bogato zdobioną paciorkami i ptasimi piórami, z czerwonymi frędzlami ledwie sięgającymi pasa, oraz spódniczkęprzepaskę, podobną do tej, którą Ayla nosiła podczas najgorętszych dni Podróży.

To Jondalar pokazał znachorce, jak ułożyć prostokąt miękko wyprawionej skóry, przeciągnąć go między nogami, obwiązać rzemieniem na wysokości pasa, a długie końce, zwieszające się z przodu i z tyłu ściągnąć na bokach tak, by całość tego, co było w istocie przepaską biodrową, przypominała krótką spódnicę. Ta, którą miała na sobie Marona, ozdobiona była frędzlami i z tyłu, i z przodu. Boki jednak nie zostały ani zaciągnięte, ani zszyte, toteż w rozcięciach widać było długie, nagie, zgrabne nogi dziewczyny. Rzemień zawiązany był nisko, tuż nad biodrami, a frędzle powiewały efektownie przy każdym kroku. Ayla pomyślała, że ubranie Marony - nadzwyczaj krótka góra, nie schodząca się na piersiach oraz skąpa przepaskaspódniczka - wyglądało na za małe, jakby uszyto je z myślą o dziecku, a nie o dorosłej kobiecie. A jednak nie wątpiła, że jasnowłosa Zelandoni celowo i z wielką uwagą dobrała strój właśnie w taki sposób.

- Śmiało, wybierz sobie coś - zachęciła ją Marona. - A potem zajmiemy się twoimi włosami. Chcemy, żeby ten wieczór był dla ciebie naprawdę wyjątkowy.

Wszystkie te rzeczy wyglądają mi na wielkie i ciężkie - odrzekła Ayla. - Nie wydaje wam się, że będzie mi w nich za ciepło?

- Noce bywają tu chłodne - odparła Wylopa - a takie ubrania muszą być luźne. O, tak - dodała, unosząc ramiona, by pokazać krój swojej bluzy.

- Proszę, na początek nałóż to - zaproponowała Marona, wybierając jedną z tunik. - Pokażemy ci, jak to się nosi.

Ayla zdjęła własną bluzę, woreczek zaś z amuletem, który miała na szyi, odłożyła na półkę i pozwoliła kobiecie, by przełożyła przez jej głowę nowe ubranie. Choć uzdrowicielka była wyższa od każdej z czterech Zelandonii, tunika zwisała jej do kolan, a długie rękawy kończyły się znacznie poniżej czubków palców.

- Jest za duża - stwierdziła Ayla. Nie widziała Loravy, ale odniosła wrażenie, że za plecami słyszy jakiś stłumiony odgłos.

- Ależ skąd - odrzekła Wylopa, uśmiechając się szeroko. - Po prostu potrzebny ci pasek, a rękawy należy zwinąć. O, tak jak moje, widzisz? Portulo, proszę cię, przynieś pas. Pokażemy jej.

Pulchna dziewczyna usłuchała, ale nie wyglądała na zadowoloną - w przeciwieństwie do Marony i jej kuzynki, które uśmiechały się od ucha do ucha. Marona otoczyła skórzanym pasem wąską talię Ayli.

- Trzeba zawiązać nisko, o, tak, wokół bioder, górę zbluzować, a brzegi spuścić luźno. Widzisz?

Znachorka nadal była przekonana, że ma na sobie nazbyt obszerny strój.

- Nie, moim zdaniem nie pasuje. Naprawdę jest za duża. I spójrzcie na te noga wice - dodała, podnosząc parę, która leżała na posłaniu obok tuniki, i przykładając ją do swoich bioder. - Pas wypada o wiele za wysoko - zauważyła, po czym ściągnęła tunikę przez głowę.

- Chyba masz rację - przyznała Marona. - Nie krępuj się, przymierz coś innego.

Wybrały inną tunikę, nieco mniejszą, zmyślnie udekorowaną muszelkami i koralikami z kości słoniowej.

- Jest bardzo piękna - powiedziała Ayla, przyglądając się z góry rozłożonemu strojowi. - Może nawet zbyt piękna... - dodała, wkładając tunikę.

Lorava parsknęła dziwnie i znachorka natychmiast na nią spojrzała, lecz kobieta zdążyła odwrócić głowę.

- ...Chociaż bardzo gruba i chyba nadal za duża - ciągnęła Ayla, rozbierając się po raz drugi.

- Możliwe, że tak ci się wydaje, w końcu nie przywykłaś do strojów Zelandonii - powiedziała Marona, marszcząc czoło. Po chwili jednak rozpromieniła się. - Tak, rozumiem, co czujesz. Ale zaczekaj, chyba znajdę coś, co będzie pasowało. To zupełnie nowe ubranie. - Dziewczyna wybiegła z sypialni i zniknęła w innej części domostwa. Po chwili wróciła, niosąc coś z dumą w wyciągniętych rękach.

Tym razem rzeczywiście było to coś mniejszego i cieńszego. Ayla przebrała się po raz trzeci. Obcisłe nogawice kończyły się w połowie jej łydek, ale góra leżała prawidłowo w talii, gdzie wywinęte na wierzch brzegi podwiązane było mocnym rzemieniem. Górną część stroju stanowiła tunika bez rękawów z głębokim wycięciem na przedzie, zasnurowanym cienkimi rzemykami. Była nieco przyciasna, ale gdy Ayla poluzowała wiązanie, poczuła się nie najgorzej. W przeciwieństwie do pozostałych było to ubranie proste i niemal pozbawione dekoracji, a przy tym wykonane z mięciutkiej skórki, nie drażniącej ciała.

- Bardzo wygodny komplet - stwierdziła znachorka.

- A tutaj mam jeszcze drobiazg, który idealnie do niego pasuje - dodała Marona, pokazując pas utkany z kolorowych włókien, tworzących zawily wzór.

- Piękna robota... i ciekawy motyw - pochwaliła Ayla, gdy kobieta wiązała pas wokół jej talii. Tak, to było coś, w czym mogła się pokazać. - Podoba mi się - stwierdziła. - Dziękuję za ten dar - dodała, zakładając amulet i zabierając swoje stare ubranie.

Lorava zakrztusiła się nagle i zakaszła.

- Muszę napić się wody - rzuciła, wybiegając z sypialni. Teraz powinnaś pozwolić, żebym zrobiła ci piękną fryzurę - odezwała się Wylopa, uśmiechając się zapraszająco.

- A ja obiecuję, że umaluję cię, gdy tylko skończę z Portulą - dodała Marona.

- Mnie też miałaś uczesać, Wylopo - przypomniała Portula.

- I mnie - dorzuciła Lorava, pojawiając się znowu w przejściu.

- Pod warunkiem, że już skończyłaś kaszleć - odpowiedziała Marona, spoglądając surowo na przyjaciółkę.

Podczas gdy Wylopa zajęła się jej włosami, Ayla przyglądała się z zainteresowaniem poczynaniom Marony, która ozdabiała twarze dwóch pozostałych kobiet. Używała skrzepłego tłuszczu zmieszanego z dobrze rozdrobnioną czerwoną i żółtą ochrą, przydając mocnych barw ich ustom, policzkom i czołom, kształt oczu zaś podkreślała liniami rysowanymi mazidłem z węgla drzewnego. Następnie sięgnęła po bardziej zdecydowane odcienie tych samych kolorów, by wprawnie nakreślić skomplikowane wzory, złożone z kropek, krzywych linii i innych kształtów. Powstałe w ten sposób rysunki przypominały uzdrowicielce tatuaże, które widywała u innych ludów.

Teraz twoja kolej, Aylo - powiedziała Marona. - Zdaje się, że Wylopa już skończyła.

- O, tak - przytaknęła pospiesznie Wylopa. - Pewnie, że skończyłam. Pozwól, że Marona umaluje ci twarz.

Ozdobione oblicza dziewcząt wyglądały interesująco, lecz Ayła jakoś nie była przekonana do tego pomysłu. W domu Marthony widziała wiele barw i wzorów użytych w subtelny, a jednocześnie efektowny sposób, ale to, co oglądała teraz... nie przekonywało jej do końca. Czuła, że jest w tym coś przesadnego.

- Nie... chyba raczej podziękuję - powiedziała po namyśle.

- Ależ nie możesz odmówić! - zawołała wyraźnie zawiedziona Lorava.

- Wszyscy tak się malują - dodała Marona. - Byłabyś jedyną kobietą bez ozdób na twarzy.

- To prawda. Daj spokój, pozwól Maronie działać. Przecież chcesz wyglądać jak Zelandonii - namawiała Wylopa.

- Uważam, że powinnaś - ponaglała Lorava. - Wszystkie kobiety marzą o tym, żeby Marona je pomalowała. Masz szczęście, że chce to dla ciebie zrobić.

Presja była tak silna, że instynkt kazał Ayli przeciwstawić się jej bardziej zdecydowanie. Marthona nie wspomniała ani słowem o malowaniu twarzy... Znachorka chciała przede wszystkim pozostać sobą; potrzebowała więcej czasu na zmiany i nie zamierzała pozwolić, by przymuszano ją do przestrzegania zwyczajów, których nawet nie znała.

- Nie tym razem. Może kiedy indziej - odrzekła zdecydowanie.

- Proszę cię, zgódź się. Nie psuj nam przyjemności - odezwała się Lorava.

- Nie! Nie chcę mieć pomalowanej twarzy - powiedziała Ayła ze stanowczością, która nie pozostawiała już żadnych wątpliwości.

A potem przyglądała się ciekawie, jak kobiety pomagają sobie wzajemnie w układaniu skomplikowanych fryzur, złożonych z drobnych warkoczyków i kunsztownych loków, efektownie podtrzymywanych ozdobnymi grzebieniami i szpilkami. W końcu nadszedł czas dodania ozdób twarzy. Ayła nie zauważyła wcześniej otworów w wielu punktach na obliczach kobiet, które teraz zajęły się wkładaniem kolczyków w uszy i czegoś w rodzaju kołków w nosy, policzki i pod dolne wargi. Wcześniej namalowane ornamenty współgrały z ozdobnymi przedmiotami, podkreślając ich urodę.

- Nie masz nigdzie przekłutej skóry? - zdziwiła się Lorava. - To się da naprawić. Szkoda, że teraz nie możemy się tym zająć.

Ayła wcale nie była pewna, czy chciałaby dziurawić własne ciało, może z wyjątkiem uszu, w które wreszcie mogłaby włożyć kolczyki przywiezione z Letniego Spotkania Łowców

Mamutów. W milczeniu przyglądała się sznurom paciorków i wisiorom zdobiacym szyje czterech kobiet oraz bransoletom ściskajacym ich ramiona.

Zauwazyła, ze wszystkie od czasu do czasu zerkaja ukradkiem w pewne miejsce ukryte za przepierzeniem oddzielajacym sypialnie. W koncu, znudzona ciagnacym sie w nieskończoność czesaniem i dekorowaniem, wstala i niby to przypadkiem zajrzala w tajemniczy zakatek. Uslyszala cichy jek Loravy, gdy znalazla tam kawalek zaczernionego, wypolerowanego drewna, bliźniaczo podobny do zwierciadla, ktore widziala w domostwie Marthony i Willamara. Niewiele myslac, spojrzala na blyszczaca tafle.

Widok własnego odbicia nie uszczęśliwił jej zbytnio. Owszem, jej włosy zapleciono w warkoczyki i loki, tyle że rozmieszczone i upięte w dziwaczny, mało atrakcyjny sposób, nie mający nic wspólnego z dopracowaną symetrią fryzur pozostałych kobiet. Kątem oka dostrzegła wymianę znaczących spojrzeń między Wylopa i Marona. Próbowala spojrzeć im prosto w oczy, ale unikały jej wzroku. Działo się coś dziwnego; coś, co wcale jej się nie podobało.

- Chyba będzie lepiej, jeśli rozpuszczę włosy - powiedziała, zabierając się do wyciągania grzebyków, szpil i rzemyków. - Tak jak lubi Jondalar. - Kiedy usunęła wszystkie zbędne akcesoria, chwyciła mocny grzebień i poczęła rozczesywać świeżo umyte, długie i grube, w naturalny sposób falujące ciemnoblonde włosy.

Poprawiła wiszący na rzemyku amulet - nie lubiła rozstawać się z nim nawet na krótko, choć często nosiła go pod ubraniem - i ponownie spojrzala w zwierciadło. Pomyślała, że kiedyś być może nauczy się układania fantastycznych fryzur, teraz jednak bardziej podobał jej się naturalny wygląd włosów. Popatrzyła z ukosa na Wylope, zastanawiacjąc się, dlaczego kobieta nie zauwazyła, jak dziwaczne dzieło powstało pod jej palcami.

Ayla raz jeszcze przejrzala się w drewnianej tafli, zwracając baczniejszą uwagę na amulet i próbując sobie wyobrazic, jak prezentuje się on w oczach innych ludzi. Woreczek był mocno wypchany różnymi drobiazgami. Skóra, z ktorej go sporządzono, postarzała się i pociemniła od potu i brudu. Kiedyś była to zwykła, choć gustownie zdobiona i 35 torebka na przybory do szycia. Teraz z białych piór, ktore onegdaj zdobiły dolną krawędź woreczka, pozostały jedynie łyse stosiny, za to wzór wyszyty drobinami wykrojonymi z ciosu mamuta zachował się w nienaruszonym stanie. Jako że całość w interesujący sposób zdobiła prostą tunikę, Ayla zdecydowała się pozostawić amulet na wierzchu.

Przypomniała sobie, że to Deegie, jej najbliższa przyjaciółka, namówiła ją, by zastąpić zgrabnym woreczkiem prymitywną i brudną sakiewkę, która służyła jej od zawsze. Teraz jednak i to zawiniątko zestarzało się i pociemniło. Znachorka pomyślała, że wkrótce nadejdzie czas na

uszyście nowego, ale nie zamierzała rozstawać się ze starym. Zbyt wiele wiązało się z nim wspomnień.

Ayla usłyszała głosy na zewnątrz. Miała już dość przyglądania się, jak cztery kobiety dokonują ostatnich drobnych - a w zasadzie zupełnie nieistotnych - poprawek w swych fryzurach, malunkach i ozdobach. Wreszcie rozległo się skrobanie w panel surowej skóry ustawiony obok wejścia do domostwa.

Wszyscy czekają na Aylę! - zawołał ktoś. Uzdrowicielka była niemal pewna, że to Folar.

Więc powiedz wszystkim, że niedługo wyjdzie! - odrzyknęła Marona. - Jesteś pewna, że nie chcesz, żebym umalowała cię choć trochę? Pamiętaj, że to uroczystość na twoją cześć, Ayl.

Naprawdę nie chcę, dziękuję.

W takim razie, skoro na ciebie czekają, ruszaj przodem. My także zaraz wyjdziemy. Musimy jeszcze się przebrać - wyjaśniła Marona.

- Rzeczywiście, chyba już pójdę - odrzekła Ayla, ciesząc się w duchu, że znalazł się dobry powód, by wreszcie się oddalić. Miała wrażenie, że zabawiła w obcym domostwie stanowczo zbyt długo. - Dziękuję za prezenty - dodała na odchodnym. - To naprawdę wygodny strój - dorzuciła, po czym zabrawszy starą tunikę i krótkie spodnie, zniknęła za kotarą.

Przed wejściem nie zobaczyła nikogo; Folar odeszła, nie czekając. Ayla pobiegła ku kamiennej chacie Marthony i zajrzawszy do środka wrzuciła do izby stare ubranie. Zawróciwszy, szybkim krokiem ruszyła w stronę tłumu, który zbierał się już na zewnątrz, poza rozległym cieniem skalnego nawisu, chroniącego osadę Zelandonii.

Kiedy wyszła z półmroku w smugę światła przedwieczornego słońca, kilka osób zauważyło ją i wlepiwszy w nią zdumiony wzrok, przerwało rozmowy w pół słowa. A potem już każdy, kto na nią spojrział, milkł nagle i szeroko otwierał oczy. Ayla zwolniła nieco i wreszcie zatrzymała się, patrząc niepewnie na zgraję gapiów. Wkrótce gwar ucichł do reszty i nagle ktoś nie wytrzymał - parsknął rubasznym śmiechem. W jego ślady zaraz poszli następni, a po chwili rechotał już cały tłum.

Z czego tak się śmieją? Czyżby ze mnie? Czy coś ze mną nie tak? Ayla zaczerwieniła się ze wstydu, nie bardzo wiedząc dlaczego. Czyżby popełniła jakąś fatalną gafę? Rozejrzała się, pragnąc uciec przed rozbawionym towarzystwem, ale nie miała dokąd.

Wreszcie spostrzegła Jondalara, który szedł ku niej pospiesznie z nachmurzonym obliczem. Z innej strony pędziła już Marthona.

- Jondalarze! - zawołała Ayla, kiedy był już o kilka kroków od niej. - Dlaczego wszyscy tak się ze mnie śmieją? Co się stało? Co ja im zrobiłam? - Nawet nie zauważyła, że przemawia w mamutoi.



- Masz na sobie zimową bieliznę chłpięcą. A pas, którym cię przewiązano, noszą zwykle dojrzewający młodzieńcy, na znak gotowości do inicjacji. W ten sposób dają sygnał, że czekają na swą pierwszą kobietędonii - wyjaśnił Jondalar, także w języku Łowców Mamutów. Był wściekły, że jego kobieta padła ofiarą tak okrutnego żartu już pierwszego dnia po przybyciu do Dziewiątej Jaskini, i to na oczach wszystkich.

- Skąd wzięłaś ten strój? - spytała zdyszana Marthona. To sprawka Marony - odpowiedział za Aylę Jondalar. - Kiedy byliśmy nad Rzeką, podeszła do nas i zaproponowała, że pomoże Ayli dobrać coś odpowiedniego na wieczorną uroczystość. Powinienem był przewidzieć, że to tylko podła sztuczka, którą próbuje odegrać się na mnie.

Jak na komendę wszyscy troje odwrócili się i spojrzeli na kamienną równinę pod abri, w stronę domostwa brata Marony. Na granicy cienia skalnej półki stały cztery kobiety. Obejmowały się ramionami i śmiały do rozpuku z tej, którą namówiły na publiczne wystąpienie w chłpięcej bieliźnie - śmiały się tak bardzo, że po ich policzkach płynęły strumieniami łzy, rozmazując w czerwone i czarne smugi pracowicie sporządzane malunki. Ayla zrozumiała, że jej zakłopotanie i wstyd sprawiły im niewymowną radość. i 37

Przyglądając się czterem przyjaciółkom, poczuła nagły przyływ potężnego gniewu. Czy to miał być dar, który chciały jej ofiarować? Tak ją witały? Chciały, żeby została wyśmiana? Teraz dopiero pojęła, że wszystkie stroje, które dla niej przygotowały, były zdecydowanie nieodpowiednie dla kobiet - bez wątplenia należały do mężczyzn. Dotarło do niej i to, że nie chodziło tylko o ubrania. Czyżby właśnie po to starały się, żeby jej fryzura wyglądała tak dziwnie? Po to, żeby ludzie śmiali się z niej jeszcze bardziej? A może i rysunki, którymi zamierzały pokryć jej twarz, miały być elementem tej "zabawy"?

Ayla lubiła się śmiać. Kiedy żyła z Klanem, była jedynym człowiekiem w taki właśnie sposób objawiającym swoją radość; przynajmniej do chwili narodzin Durca. Gdy pobratymcy Izy i Creba wykrzywiali twarz w grymasie przypominającym uśmiech, nie była to oznaka zadowolenia, lecz nerwowości lub strachu, a czasem ostrzeżenie przed możliwością agresywnego działania. Syn Ayli był w klanie Bruna jedynym dzieckiem uśmiechającym się i śmiejącym w głos tak jak ona. I choć wszyscy dokoła dziwili się temu, uwielbiała radosne chichoty Durca.

Później, gdy zamieszkała w Dolinie, śmiała się często z wybryków - młodych wówczas i swawolnych - Whinney i Maluszka. Kiedy zjawił się Jondalar, jego ujmujący uśmiech i nigdy nie powstrzymywany śmiech sprawiły, że od razu rozpoznała w nim bratnią duszę i tym mocniej pokochała. A basowe pohukiwanie i przyjacielskie szczyrzenie zębów Taluta zachęciły ją wkrótce do odwiedzenia Obozu Lwa. Podczas Podróży poznała wielu ludzi i nieraz miała okazję dzielić się z nimi radością, nigdy jednak nie zdarzyło jej się, by ktoś śmiał się z niej. Życie nie nauczyło jej, że

bezduszny rechot może być groźną bronią. Tego dnia po raz pierwszy przekonała się, że śmiech nie musi oznaczać radości, że może zadawać ból.

Marthona także nie była zadowolona, że w tak niegodziwy sposób "powitano" gościa Dziewiątej Jaskini, kobietę, którą jej syn sprowadził pod swój dach, by została na zawsze pośród Zelandonii.

- Chodź ze mną, Aylo - rzuciła stanowczo. - Znajdziemy dla ciebie coś bardziej odpowiedniego. Na pewno nada się któreś z moich ubrań...

- Albo moich - dorzuciła Folar, która obserwowała daleka całą scenę, przepychając się śladem matki i brata, by jakoś pomóc zawstydzonej znachorce.

Ayla ruszyła za nimi, ale zatrzymała się po kilku krokach.

- Nie - oświadczyła zdecydowanie.

Cztery młode kobiety, które dały jej ten nieodpowiedni strój, chciały sprawić, by wyglądała obco, inaczej, by wszyscy zrozumieli, że nie należy do Zelandonii. Ayla przyjęła ich dar z podziękowaniem, więc teraz będzie w nim chodzić! Nie pierwszy raz gapiono się na nią ze zdumieniem. Zawsze uchodziła za dziwną, brzydką, obcą, kiedy żyła pośród ludzi Klanu. Nikt nigdy nie śmiał się z niej - bo też nikt nie potrafił tego zrobić - ale wszyscy wpatrywali się w nią z odrazą, kiedy pojawiła się na Zgromadzeniu Klanu.

Skoro potrafiła stanąć z podniesionym czołem jako jedyny odmieniec, jedyny uczestnik Zgromadzenia Klanu nie należący do Klanu, to z pewnością nie musiała obawiać się konfrontacji choćby i z całą Dziewiątą Jaskinią Zelandonii. Tu przynajmniej była wśród ludzi, którzy wyglądali tak jak ona. Ayla wyprostowała się, zacisnęła zęby i wysunęła nieco szczękę, przez moment bez słowa spoglądając na rozbawiony tłum.

- Dziękuję wam, Marthono i Folaro, ale ten strój będzie w sam raz. To prezent powitalny. Niegrzecznie byłoby nie pokazać go wszystkim w takiej chwili.

Obejrzawszy się przez ramię, zauważyła, że Marona i jej towarzyszki zniknęły - powróciły do domu. Ayla stanęła twarzą do tłumu i pewnym krokiem ruszyła w jego stronę. Marthona i Folar spojrzwały z niedowierzaniem na Jondalara, kiedy minęła je bez słowa, ale on mógł tylko wzruszyć ramionami i bezradnie potrząsnąć głową.

Ayla dojrzała gdzieś w oddali ruch znajomej sylwetki i już po chwili na ścieżce pojawił się Wilk, biegnący w stronę swej pani. Kiedy stanął przed nią, klepnęła się w pierś, a wtedy skoczył przednimi łapami na jej ramiona, polizał gardło i delikatnie zacisnął na nim mocarne szczęki. W ciżbie gapiów rozległy się zdumione szept. Ayla dała Wilkowi sygnał, by puścił ją i szedł tuż obok niej, dokładnie tak, jak nauczyła go podczas Letniego Spotkania Mamutoi.

Kiedy kroczyła dumnie pomiędzy gromadami roześmianych widzów, było coś szczególnego w jej postawie, w jej determinacji, w buntowniczym spojrzeniu, którym obrzucała wesołków, a także w groźnym wyglądzie Wilka sunącego u jej boku. Wkrótce nikt już nie miał ochoty na pusty śmiech. Ayla tymczasem dotarła do grupki ludzi, których już знаła. Willamar, Joharran i Zelandoni powitali ją z powagą. Obejrzała się, by zwrócić się do Jondalara, za którym szły także Marthona i Folar.

- Wydaje się, że nie poznałam jeszcze wszystkich zgromadzonych. Może zechciałbyś mnie przedstawić, Jondalarze? - spytała.

Joharran uprzedził brata.

- Aylo z Obozu Lwa Mamutoi, córko Ogniska Mamuta, wybrana przez Ducha Lwa Jaskiniowego i chroniona przez Ducha Niedźwiedzia Jaskiniowego, przyjaciółko koni i wilka, oto jest moja partnerka, Proleva z Dziewiętej Jaskini Zelandonii, córka...

Twarz Willamara rozjaśniła się, kiedy słuchał oficjalnej prezentacji najbliższej rodziny i krewnych przywódcy, lecz w jego uśmiechu nie było nic ironicznego. Marthona zaś z narastającym podziwem przyglądała się młodej kobiecie, którą jej syn sprowadził do domu. Spojrzała przelotnie w oczy Zelandoni i wiedziała już, że będą musiały dokładnie omówić tę sprawę.

Wielu ludzi patrzyło na Aylę z rosnącym zainteresowaniem - dotyczyło to szczególnie mężczyzn, którzy z wolna zaczęli zauważać, jak dobrze leżą na niej ubranie i pas, które zwykle nie kojarzyły im się z kobiecym powabem. Znachor - ka, która ostatni rok spędziła na wędrowaniu - raz pieszo, raz konno - nabrała silnej, muskularnej, a jednocześnie smukłej postury, którą doskonale podkreślał obcisły chłopięcy strój. Jako że wąska kamizela nie mogła w pełni zakryć jej raczej pokaźnego biustu, za rozsuniętymi rzemieniami widać było miękkie kontury piersi, a widok ten o dziwo działał na mężczyzn znacznie skuteczniej niż kobieca nagość, do której przywykli. Wąskie nogawice opinały kształtne nogi i krągłe pośladki, a mocno zaciśnięty pas - wbrew symbolice zdobiących go motywów - skutecznie uwydatniał talię, tylko nieznacznie poszerzoną przez zmiany towarzyszące wczesnej ciąży.

Niecodzienny wygląd Ayli nabrał w oczach zebranych nowego znaczenia. Wiele kobiet miało pomalowane twarze - czysta twarz znachorki tylko podkreślała jej naturalną urodę. Długie włosy, spływające swobodnie naturalnymi falami, skrzyły się pięknie w blasku zachodzącego słońca, tworząc przejmujący kontrast z wypieszczonymi, a czasem wręcz przesadnie udziwnionymi fryzurami matek, żon i córek ludu Zelandonii. Ayla wyglądała świeżo i przypominała wielu dojrzałym mężczyznom lata ich młodości - przebudzenie, którym był doświadczony po raz pierwszy Dar Przyjemności od Wielkiej Matki Ziemi. Mówiąc ściślej, wielu z nich pragnęło znowu być młodymi i mieć Aylę za swą donii.

Szybko zapomniano o niestosowności jej stroju; uznano nawet, że w dziwny sposób pasuje do tej pięknej kobiety z dalekich stron, o niskim głosie i egzotycznym akcencie. Do umysłów Zelandonii dotarła wreszcie prawda, że ubiór Ayli nie jest nawet w przybliżeniu tak niezwykły, jak choćby jej władza nad końmi i Wilkiem.

Jondalar zauważył, że ludzie przyglądają się znachorce i powtarzają jej imię w cichych rozmowach.

- Syn Marthony sprowadził do domu wyjątkowo urodziwą kobietę - mówił właśnie jakiś mężczyzna.

- Można się było spodziewać, że będzie piękna - odpowiedział mu kobiecy głos. - Ale ona jest też odważna i ma silną wolę. Chciałabym ją lepiej poznać.

Przychylne komentarze sprawiły, że Jondalar znowu spojrzął na Aylę i nagle, jak wszyscy jego zgromadzeni pobratymcy, dostrzegł ją taką, jaka naprawdę była - niezależnie od śmieszności stroju. Niewiele niewiast mogło poszczycić się tak wspaniałą figurą, a szczególnie dotyczyło to jej rówieśnic, które rodziły już jedno lub dwoje dzieci, tracąc gdzieś po drodze młodzieńczą jędrność ciała. Tylko nieliczne odważyłyby się włożyć tak obcisłe ubranie, nawet gdyby było ono zgodne z obowiązującymi zwyczajami. Większość wołała luźniejsze - lepiej tuszujące niedoskonałości figury - stroje, w których czuła się znacznie swobodniej. Jondalar uwielbiał, kiedy Ayla nosiła rozpuszczone włosy. Rzeczywiście, pomyślał, jest piękna i dzielna. Odprężył się wreszcie i uśmiechnął, wspominając popołudniową przejażdżkę i to, co robili nad strumieniem, na płaskowyżu. Zdecydowanie mógł się uważać za szczęściarza.

Marona i jej trzy towarzyszkę zdążyły już - wciąż zanosząc się dzikim śmiechem - wrócić do domu. Zamierzały pokazać się chwilę później nie tylko z inaczej umalowanymi twarzami, ale i odziane w najlepszą odzież. Spodziewały się, że uda im się nadzwyczaj efektowne wejście.

Marona zamieniła kusą przepaskęspódnicę na długą z bardzo miękkiej skóry. Na nią nałożyła jeszcze spódnicę i 41 wierzchnią, otoczoną pasmem długich frędzli i przewiazaną mocno wokół talii i bioder. Górną część stroju pozostawiła bez zmian. Portula wystąpiła w ulubionej spódnicy i tunice. Lorava miała ze sobą tylko krótką tunikęsukienkę, ale przyjaciółki pożyczyły jej długą, obszytą frędzlami spódnicę wierzchnią oraz kilka dodatkowych naszyjników i bransolet. Pomogły jej też ułożyć fryzurę i wykonały najbardziej ozdobne malunki na twarzy, jakie kiedykolwiek miała. Wylopa, krztusząc się ze śmiechu, zrzuciła z siebie bogato dekorowaną koszulę i spodnie skrojone na mężczyznę, a nałożyła własne, również pięknie, choć inaczej zdobione, zabarwione na czerwonawopomarańczowy kolor, a także nieco ciemniejszą tunikę z czarnymi frędzlami.

Kiedy były gotowe, znowu pojawiły się przed domostwem i pomaszerowały ku otwartemu, zewnętrznemu tarasowi. Gdy ludzie zauważyli Maronę i jej przyjaciółki, poczęły demonstracyjnie odwracać się do nich plecami, ignorując je całkowicie. Zelandonii nie byli okrutnym ludem. Owszem, wyśmiali nieznajomą, ale tylko dlatego, że rozbawił ich widok dorosłej kobiety wciśniętej w chłopięcą bieliznę zimową i spiętej rytualnym pasem dojrzałości. Jednakże większość z nich nie uznała głupiego żartu czterech młodych niewiast za udany. Zdawali sobie sprawę, że tego typu zachowania stawiają ich samych w niekorzystnym świetle, sugerując nieznajomej, że trafiła między ludzi źle wychowanych i niegościnnych. Ayla była tu gościem i wkrótce miała stać się jedną z nich. Tak czy inaczej, jej postawa w obliczu niewybrednej zaczepki dowiodła, że jest osobą ambitną, a to z kolei sprawiło, iż Zelandonii byli z niej dumni.

Cztery kobiety ujrzały przed sobą tłum skupiony wokół jakiejś osoby, a gdy ciżba przerzedziła się nieco, przekonały się, że w centrum uwagi wszystkich znajduje się Ayla, wciąż odziana w strój, który jej podarowały. Marona była zszokowana: znachorka nawet się nie przebrała! Niedoszła wybranka Jondalara spodziewała się, że jego krewne pożyczą uzdrowicielce coś bardziej stosownego, o ile ta w ogóle odważy się jeszcze komukolwiek pokazać. A jednak sprytny plan Marony, którego celem było upokorzenie kobiety sprowadzonej przez Jondalara - tego samego, który przed laty zniknął, pozostawiając po sobie jedynie nie spełnione obietnice - spalił na panewce, obnażając podstępną i nikczemną naturę porzuconej niegdyś dziewczyny.

Okrutny żart Marony zwrócił się przeciwko niej, a to wprawiło ją we wściekłość. Udało jej się namówić przyjaciółki do wspólnego uknuć podstęp - obiecywała im, że znajdą się w centrum uwagi, że będą błyszczeć jak nigdy dotąd. Tymczasem, jak się przekonały, Zelandonii rozmawiali wyłącznie o pięknej kobiecie Jondalara. Nawet jej dziwny akcent, na dźwięk którego Lorava omal się nie roześmiała, a którego Wylopa prawie nie rozumiała, nazywano teraz "egzotycznym" i "czarującym".

Wyłącznie Ayli poświęcano uwagę, podczas gdy trzy przyjaciółki Marony żałowały, że dały się wciągnąć w podłą intrygę. Dotyczyło to szczególnie Portuli, która od początku miała opory, aż wreszcie dała się Maronie - bieglej w sztuce malowania twarzy - przekonać obietnicą wykonania nader ozdobnego malunku. Ayla, jak się okazało, wcale nie była zła. Z natury otwarta, zawierała teraz nowe znajomości i przyjaźnie... ze wszystkimi prócz czterech intrygantek.

Dlaczego nie udało im się ośmieszyć nowo przybyłej piękności? W przebraniu jej w chłopięcą strój widziały tylko to, co chciały widzieć: symbol, nie rzeczywistość. Nie potrafiły wyobrazić sobie, że ktokolwiek mógłby wystąpić publicznie w takim odzieniu, a przecież Ayla zdawała się nie zwracać na to uwagi. Ani na emocjonalnej, ani na kulturowej płaszczyźnie nie czuła wstydu przed noszeniem stroju, który jej ofiarowano; jeśli w ogóle o nim myślała, to

wyłącznie dlatego, że doceniała jego wygodę. Kiedy minął szok wywołany bezlitosnym śmiechem tłumu, w ogóle zapomniała o sprawie, a zaraz potem większość Zelandonii puściła ją w niepamięć.

Centralne miejsce tarasu przed masywnym abri zajmowała wielka bryła piaskowca o względnie równej, płaskiej powierzchni. Oderwała się ona od krawędzi skalnego nawisu tak dawno temu, że nikt już nie pamiętał czasów, kiedy jej tu nie było. Zwykle korzystał z niej ten, kto chciał zwrócić na siebie uwagę większej grupy mieszkańców, stając bowiem na kamiennym postumencie, wybijał się o kilka stóp ponad tłum.

Kiedy Joharran wskoczył na Kamień Mówcy, zebrani poczęli szeptać z ożywieniem, oczekując z ust przywódcy ważnych słów. Mężczyzna wyciągnął rękę ku Ayli, by pomóc jej wejść, a potem gestem zaprosił Jondalara, by stanął obok. Wilk wskoczył na głaz, nie czekając na zachętę, by znaleźć się między parą ludzi, którzy byli dlań jedyną sforą, jaką znał. Stojący na kamiennym podwyższeniu, ponad tłumem, rosły i przystojny mężczyzna, piękna i egzotyczna kobieta oraz wielki, dorodny wilk stanowili zaiste imponujący widok. Marthona i Zelandoni spojrzały na nich z uznaniem, a potem ich oczy spotkały się na moment, zdradzając myśli i uczucia, które trudno było wyrazić słowami.

Joharran zaczekał, aż wszyscy zauważą, pojawienie się grupki na Kamieniu Mówcy i ucichną. Powiódł wzrokiem po tłumnie zebranych Zelandonii, by upewnić się, czy słucha go cała Dziewiąta Jaskinia. Nie brakowało nikogo. Rozpoznał też wielu ludzi z sąsiednich Jaskiń i nagle zdał sobie sprawę, że zgromadzenie było znacznie liczniejsze, niż się spodziewał.

Delegacja Trzeciej Jaskini zajęła miejsce po lewej stronie, a tuż obok niej stanęli goście z Czternastej Jaskini. Po prawej, nieco z tyłu, ustawili się liczni przedstawiciele Jedenastej. Joharran dostrzegł nawet kilku ludzi z Drugiej Jaskini oraz ich krewnych z leżącej po drodze doliny, zamieszkaney przez Siódmą Jaskinię. W tłumie zastygłych w oczekiwaniu widzów zauważył też parę osób z Dwudziestej Dziewiątej i kilka aż z Piątej. Przybyły więc reprezentacje wszystkich okolicznych Jaskiń, choć niektórzy z gości musieli w szybkim tempie pokonać szmat drogi, by zdążyć na ucztę.

Słowo szybko się rozeszło, pomyślał Joharran. Pewnie gońcy nie próżnowali. Możliwe, że nie trzeba będzie urządzać drugiego spotkania dla gości z daleka; chyba wszyscy już są. Tak, powinienem był spodziewać się, że przyjdą. Jaskinie z górnego biegu rzeki pewnie już ich znają; w końcu Jondalar i Ayła przejechali konno przez ich terytorium. Na tegorocznym Letnim Spotkaniu będzie wyjątkowo tłoczno. Trzeba będzie urządzić wcześniej wielkie polowanie, żeby dla nikogo nie zabrakło zapasów.

Mężczyzna odczekał jeszcze chwilę, by skupić na sobie uwagę wszystkich, i raz jeszcze zebrać myśli. Wreszcie odezwał się donośnym głosem.

- Jako przywódca Dziewiątej Jaskini Zelandonii, ja, Joharran, chcę przemówić. - W tym momencie ucichły ostatnie szmery rozmów. - Widzę, że mamy dziś wielu gości i w imię Doni, Wielkiej Matki Ziemi, z radością witam wszystkich tych, którzy dołączyli do nas, by uczcić powrót z wielkiej Podróży mojego brata, Jondalara. Jesteśmy wdzięczni, że Matka strzegła jego ścieżek, gdy wędrował przez dalekie kraje, a także za to, że poprowadziła go z powrotem ku rodzinnym stronom.

W tłumie rozległo się kilka potakujących głosów. Joharran umilkł, a Ayla znowu zauważyła, że jego brwi marszczą się dokładnie tak samo, jak brwi Jondalara. Poczowała tę samą falę ciepła i sympatii, która ogarnęła ją za pierwszym razem, gdy dostrzegła to podobieństwo.

- Jak zapewne większość z was już wie - ciągnął Joharran - brat nasz, który wyruszył wraz z Jondalarem, nie powróci. Thonolan wędruje teraz po następnym świecie. Matka wezwała do siebie swego ulubieńca - dodał i na chwilę spuścił głowę, pogrążając się w zadumie.

Znowu o tym słyszę, pomyślała Ayla. Chyba nie jest za dobrze mieć zbyt wiele talentów, zbyt wiele nieprzeciętnych darów, być tak kochanym przez Matkę. Tacy nie mają przed sobą długiego życia, bo Ona tęskni za nimi i wzywa ich do siebie, choć są jeszcze młodzi.

- Lecz Jondalar nie wrócił do nas samotnie - podjął przemowę Joharran, uśmiechając się do Ayli. - Chyba niewielu z was zdziwi się, jeśli powiem, że mój brat poznał w Podróży kobietę. - Tu i ówdzie rozległy się chichoty, a twarze słuchaczy rozjaśniły domyślne uśmiechy. - Muszę jednak przyznać, że choć doskonale znam Jondalara, nie spodziewałem się, iż znajdzie sobie towarzyszkę tak niezwykłą.

Słuchając Joharrana, Ayla poczuła, że jej policzki oblewają się czerwienią. Tym razem jednak nie z powodu szyderczych śmiechów, lecz zawstydzenia pochwałą przywódcy.

- Formalne przedstawienie naszego gościa wszystkim mieszkańcom osady trwałoby wiele dni, szczególnie gdyby każdy z was zechciał wymieniać wszystkie swe imiona i powiązania rodzinne. - Joharran znowu się uśmiechnął, a zgromadzeni pokiwali głowami ze zrozumieniem. - Wybranka Jondalara i tak nie zapamiętałaby każdego z osobna, dlatego postanowiliśmy przedstawić ją wszystkim naraz. Przy najbliższej sposobności - lub w razie potrzeby - każdy z was będzie mógł poznać ją osobiście.

Joharran odwrócił się i spojrzał przyjaźnie na kobietę stojącą obok niego na podwyższeniu, a potem na wysokiego jasnowłosego mężczyznę i spoważniał nieco.

- Jondalar z Dziewiątej Jaskini Zelandonii, MistrzŁupacz Krzemienia, syn Marthony, byłej przywódczyni Dziewiątej Jaskini, zrodzony przy Ognisku Dalanara, przywódcy i założyciela Lanzadonii, brat Joharrana, przywódcy Dziewiątej Jaskini, powrócił po pięciu latach z długiej i

trudnej Podróży. Przyprowadził ze sobą kobietę z krainy tak odległej, że wędrówka zajęła im okrągły rok.

Przywódca Dziewiątej Jaskini ujął i ścisnął lekko dłonie Ayli.

W imieniu Doni, Wielkiej Matki Ziemi, przedstawiam wszystkim Zelandonii Aylę z Mamutoi, należącą do Obozu Lwa, córkę Ogniska Mamuta, wybraną przez ducha Lwa Jaskiniowego i chronioną przez Ducha Niedźwiedzia Jaskiniowego - powiedział uroczyście, po czym dodał z uśmiechem: - A także, jak widzieliśmy, przyjaciółkę koni i tego oto Wilka. - Jondalar był przekonany, że wilk szczerzy kły z prawdziwą radością, jakby wiedział, że właśnie został przedstawiony.

"Ayla z Mamutoi", pomyślała uzdrowicielka, wspominając czasy, kiedy była jeszcze Ayla bez Ludzi. Poczowała przypływ wielkiej wdzięczności wobec Taluta, Nezzie i całej reszty Obozu Lwa za to, że zaoferowali jej miejsce, które z czasem nauczyła się nazywać domem. Z trudem powstrzymała łzy wzruszenia cisnące się do oczu... Tęskniła za Mamutoi.

Joharran uwolnił jedną rękę Ayli, drugą zaś uniósł w górę, ku zgromadzeniu przedstawicieli okolicznych Jaskiń.

Proszę, powitajcie ciepło tę kobietę, która pokonała u boku Jondalara taki szmat drogi. Powitajcie ją w krainie Zelandonii, dzieci Wielkiej Matki Ziemi. Okażcie jej gościnność i szacunek, którymi zawsze podejmujemy naszych gości - mówię przede wszystkim do błogosławionych przez Doni. Dajcie Ayli odczuć, jak bardzo cenimy tych, którzy przychodzą w pokoju.

Wielu Zelandonii spoglądało teraz z ukosa w stronę Marony i jej przyjaciółek. Już nikt nie uważał ich żartu za zabawny. Nadszedł czas wstydu, ale tylko Portula zarumieniła się, spoglądając na kobietę stojącą na Kamieniu Mówcy, ubraną w chłopięcą bieliznę i pas dojrzałości Zelandonii. To, że znachorka nie wiedziała o niestosowności swego stroju, nie miało już znaczenia. Fakt, że miała go na sobie, czynił go stosownym.

Ayla poczuła, że wypada coś powiedzieć, i postąpiła krok naprzód.

W imieniu Mut, Wielkiej Matki Wszystkich, którą znacie jako Doni, pozdrawiam was, Zelandonii, dzieci tej pięknej krainy, Dzieci Wielkiej Matki Ziemi, i dziękuję wam za godne przyjęcie. Dziękuję i za to, że przyjęliście do siebie moich przyjaciół - zwierzęta, a także za to, że pozwoliliście Wilkowi, by zamieszkał ze mną w ludzkim domostwie. - Kosmaty zwierz uniósł łeb na dźwięk swego imienia. - Oraz za miejsce dla koni, Whinney i Zawodnika.

Tłum zareagował na jej słowa wielkim zdumieniem. Jednak to nie obcy akcent Ayli - ani też gardłowa wymowa - wywołały taką reakcję. Trzymając się reguł oficjalnego powitania, uzdrowicielka wypowiedziała imię kłaczy dokładnie w taki sposób, w jaki czyniła to od początku -



i ten właśnie dźwięk wprowadził wszystkich w konsternację. Była to tak genialna kopia rżenia, że słuchaczom zdawało się przez moment, iż gdzieś w pobliżu pojawił się prawdziwy koń. Nie po raz pierwszy udało się Ayli wywołać taki efekt udanym naśladowaniem głosów zwierząt; znała ich zresztą bez liku.

Nie pamiętała za to z dzieciństwa własnej mowy; nie pamiętała w ogóle niczego, co dotyczyło jej pięcioletniego życia przed dołączeniem do Klanu, jeśli nie liczyć mglistych snów i śmiertelnego strachu przed trzęsieniami ziemi. Jednakże zawsze odczuwała silne, dojmujące pragnienie porozumiewania się za pomocą słów. Kiedy mieszkała samotnie w dolinie, po rozstaniu z Klanem, ale przed spotkaniem z Jondalarem i opanowaniem jego mowy, sama wymyślała sobie i wypowiadała słowa, którym nadawała określone znaczenia. Był to kod sygnałowy, który rozumiała tylko ona oraz - do pewnego stopnia - Whinney i Zawodnik.

Ayla posiadała wrodzoną zdolność do naśladowania dźwięków, a jako że nie znała żadnego z ludzkich języków i, żyjąc samotnie, miała kontakt jedynie z odgłosami wydawanymi przez zwierzęta - z czasem zaczęła je powtarzać. Mowa, którą wynalazła dla własnego użytku, była więc kombinacją dziecięcego gaworzenia - które poznała i zapamiętała, wychowując synka - kilku słów używanych przez ludzi Klanu oraz odwzorowania głosów zwierząt, w tym także śpiewu ptaków. Z biegiem czasu nabrała takiej wprawy, że wydawane przez nią odgłosy w zasadzie nie różniły się od oryginalnych - w każdym razie udawało jej się zmylić zwierzęta.

Wielu ludzi potrafiło imitować dźwięki świata przyrody i jeśli czynili to wystarczająco dobrze, była to cenna umiejętność łowiecka. Jednak Ayla nie była w tym tylko dobra; była niedościgłym mistrzem. I dlatego teraz pośród tłumnie zgromadzonych Zelandonii na moment zapanowała konsternacja. Na szczęście mieszkańcy Jaskiń przywykli do i /17 tego, że przy mniej poważnych okazjach mówcy lubili wzbogacać swe wypowiedzi dowcipnymi wstawkami, toteż i tym razem już po chwili nabrali przekonania, że rżenie konia, które zaprezentowała im Ayla, było jedynie żartem. Krótkotrwały szok ustąpił i na twarzach słuchaczy pojawiły się uśmiechy; gdzieś tam rozbrzmiały też stłumione chichoty.

Ayla zaś, nieco zbита z tropu pierwszą reakcją Zelandonii, teraz wyczuła rozluźnienie atmosfery i sama odprężyła się nieco. Gdy zobaczyła, jakie uczucia malują się na obliczach zebranych, mogła jedynie odpowiedzieć im tym samym: wspaniałym, przepięknym, promiennym uśmiechem.

- Jondalarze, jak chcesz utrzymać młode ogiery na wodzy, skoro sprowadziłeś sobie taką źrebicę? - zawołał ktoś z tłumu. Tego dnia był to pierwszy otwarcie wypowiedziany wyraz aprobaty dla urody i powabu uzdrowicielki.

Żółtowołosy mężczyzna wyszczerzył zęby w łobuzerskim uśmiechu.

Będę jej często dosiadał. Ujeżdżanie sprawi, że nie znajdzie dla nich czasu - odparł wesoło.

- Wicie już przecież, że w Podróży opanowałem tę sztukę, prawda?

- Na ujeżdżaniu znałeś się i przed wyprawą, Jondalarze! Zelandonii wybuchnęli gromkim śmiechem, lecz tym razem Ayla zrozumiała, że są naprawdę rozbawieni.

Kiedy gwar ucichł nieco, Joharran odezwał się ponownie:

- Jeszcze tylko jedno mam wam do powiedzenia: zapraszam wszystkich Zelandonii przybyłych z sąsiednich Jaskiń, by dołączyli do Dziewiątej Jaskini i zasiedli do uczty, którą wyprawiamy na powitanie Jondalara i Ayli!

## ROZDZIAŁ 7

Wokół południowozachodniego krańca nie zabudowanej przestrzeni, pod gigantycznym, skalnym nawisem, przez cały dzień unosiły się nader smakowite zapachy pobudzające apetyt wszystkich Zelandonii - nie tylko tych, którzy zajęci byli ostatnimi przygotowaniem do uczytu jeszcze w chwili, kiedy Joharran zaczynał swą mowę. Gdy oficjalna część ceremonii dobiegła końca, Jondalar i Ayla, popychani lekko przez tłum, ruszyli przodem w stronę ukrytej pod abri "kuchni". Ludzie rozstąpili się nieco z respektem, gdy wilk pospieszył za swoją panią, a dogoniwszy ją, zaczął maszerować o krok za nią.

Gotowe potrawy układano efektownie na talerzach i w misach ze szlifowanej kości, w koszykach plecionych z suchych traw i włókien, a także na drewnianych tacach, które ustawiano na niskich stołach - płaskich blokach wapienia. Szczypce z giętego drewna, łyżki rżnięte z kawałków rogu i wielkie krzemienne noże leżały w dogodnych miejscach, gotowe służyć uczestnikom biesiady jako eleganckie sztucce. Większość ludzi przyniosła ze sobą talerze i miski, lecz i dla potrzebujących przygotowano stosowny zapas naczyń.

Ayla zatrzymała się na moment, by rozejrzeć się z podziwem. Miała przed sobą świeżo upieczone udźce reniferów, tace z pulchnymi cietrzewiami, talerze pełne pstrągów i szczupaków, a także - niezwykle wysoko cenione o tej porze roku - nieliczne jeszcze, świeże warzywa: miękkie korzonki, zieleninę, pędy krzewów oraz ciasno skręcone, młodziutkie liście paproci. Jadalne, słodkie kwiaty mleczy były efektowną dekoracją wielu potraw. Nie brakowało też orzechów i suszonych owoców, zebranych jeszcze jesienią. W sporych kadziach grzała się gęsta zupa z kawałkami suszonego, bizoniego mięsa oraz korzonków i grzybów.

Ayla pomyślała z uznaniem, że skoro mimo trudów długiej zimy pobratymcy Jondalara dysponowali jeszcze zapasami tak zacnego jada, świadczy to jak najlepiej o ich umiejętnościach w zakresie zdobywania, konserwowania i przechowywania pożywienia. Dwie setki ludzi tworzących Dziewiątą Jaskinię były jedynie częścią rozległej kolonii ludu Zelandonii, a przecież mniej płodna ziemia nie wyżywiłaby nawet takiej społeczności. Tylko nadzwyczajne bogactwo tutejszej przyrody oraz dostępność wygodnych i bezpiecznych, naturalnych schronień sprawiły, że populacje okolicznych Jaskiń rozrastały się w dobrym tempie.

Domem Dziewiątej Jaskini Zelandonii było wysokie, wapienne urwisko, którego czoło zostało przed wiekami wyrzeźbione wiatrem i wodą tak, że pozostała zeń olbrzymia półka skalna, ciągnąca się z południowego wschodu ku zachodowi łukiem o krzywiźnie odpowiadającej kształtem wielkiemu zakolu Rzeki. Pod nawisem zaś znalazła się osłonięta od wiatru przestrzeń

długości sześciuset pięćdziesięciu stóp i głęboka na niemal sto pięćdziesiąt stóp, czyli w naturalny sposób "zadaszone" siedlisko o sporej powierzchni. Kamienna płyta stanowiąca podłoże niszy, pokryta odkładającym się przez wieki pyłem i warstwami drobnych kamieni, rozciągała się jeszcze szerzej, tworząc odkryty taras, a może raczej wiszącą miejscami galerię ponad kolejnym skalnym urwiskiem.

Mając do dyspozycji tak rozległą przestrzeń, członkowie Dziewiątej Jaskini nie wypełnili jej równomiernie i w całości swymi kamiennymi domostwami. Nikt nie podejmował w tej sprawie świadomej decyzji - być może to intuicja kazała ludziom wyraźnie zaznaczyć granicę między częścią mieszkalną niszy a wydzielonym obszarem działalności rzemieślniczej. Domy Dziewiątej Jaskini Zelandonii wzniesiono przy wschodnim krańcu abri. Nieco dalej na zachód znajdowało się miejsce pracy mieszkańców osady, podzielone na strefy zajmowane przez przedstawicieli poszczególnych fachów. Przestrzeń ciągnąca się aż po południowozachodni koniec niszy wykorzystywana była jako plac zabaw dla dzieci i arena większych spotkań, w pełni osłonięta przed kapryсами aury.

Choć żadna z okolicznych Jaskiń nie dorównywała liczebnością Dziewiątej, lud Zelandonii był w tej okolicy prawdziwą potęgą. Niemal wszystkie osady wzdłuż Rzeki i jej dopływów korzystały z naturalnej ochrony podobnych nawisów wapiennych i dysponowały własnymi skalnymi tarasami. I choć ich mieszkańcy nie mieli o tym pojęcia, a ich potomkowie nie myśleli tymi kategoriami jeszcze przez długie tysiąclecia, ziemia Zelandonii leżała mniej więcej w połowie drogi między biegunem północnym a równikiem planety. Zresztą nie musieli o tym wiedzieć, by w pełni korzystać z dobrodziejstwa takiej właśnie lokalizacji. Zamieszkiwali te tereny od wielu pokoleń, a doświadczenia przekazywane młodszym generacjom były jednoznaczne: ziemia Zelandonii ma swoje zalety o każdej porze roku, jeśli tylko wie się, jak z nich korzystać.

Latem rodacy Jondalara wędrowali swobodnie po rozległej krainie, którą uważali za swoją własność. Zwykle mieszkali wówczas pod gołym niebem, w namiotach lub szałasach wznoszonych z naturalnych budulców - szczególnie wtedy, gdy spotykali się w większych grupach, gdy ruszali gromadnie z wizytą do sąsiednich Jaskiń, gdy szykowali wielkie polowanie lub owocobranie. Jednak gdy tylko istniała taka możliwość, wybierali nawet tymczasowe schronienie pod skalnym nawisem wyrzniętym erozją w południowym stoku wapiennej góry, a jeśli mogli - zatrzymywali się w kamiennych domostwach przyjaciół lub krewnych.

Nawet podczas epoki lodowcowej, kiedy czoło najbliższej, gigantycznej masy lodu znajdowało się zaledwie o kilkaset mil na północ, w porze letniej, przy bezchmurnej pogodzie, zdarzały się na tej szerokości geograficznej naprawdę upalne dni. Słońce, które - jak się wydawało - okrężało pracowicie ojczystą planetę, znajdowało się wówczas wysoko na południowozachodnim

krańcu nieba. Skalny nawis, pod którym znalazła schronienie Dziewięta Jaskinia, jak wiele innych abri otwierających się ku południowemu zachodowi, rzucał w najbardziej skwarnej porze dnia zbawczy cień.

Kiedy zaś zbliżał się okres chłodu, zwiastując terytoriom okołolodowcowym nadejście siarczystych mrozów, skalne nisze oferowały zaciszne kąty, w których można było wznosić trwałe i ciepłe domostwa z kamieni i skór. Podczas lodowcowej zimy pogoda bywała nie najgorsza - bardzo niskim temperaturom rzadko towarzyszyły opady czy choćby długotrwałe zachmurzenia. Słoneczna kula zwisała wówczas nisko nad horyzontem, a w jej popołudniowym blasku skąpane były nawet dość głęboko położone zakamarki skalnych nisz. Zimowy pocałunek gorących promieni zaskakująco skutecznie ogrzewał południowe stoki wapiennych masywów i ukryte w nich ludzkie sadyby. Wielkie kamienne abri pieczołowicie zachowywały ciepło przez wieczór i noc, by oddawać je pomału zacisznym domostwom Zelandonii, mimo panujących na zewnątrz mrozów.

Ciepłe ubrania i umiejętność obchodzenia się z ogniem były podstawowymi warunkami przetrwania na północnych kontynentach w czasach, gdy lodowce zajmowały niemal jedną czwartą powierzchni Ziemi, lecz w kraju Zelandonii także energia Słońca przyczyniała się w wielkim stopniu do ogrzania ludzkich osad. Wielkie urwiska z przytulnymi schronieniami w przestronnych niszach były wystarczającym powodem, by ojczyzna Jondalara stała się jednym z najgęściej zaludnionych rejonów zimnego, prehistorycznego świata.

Ayla uśmiechnęła się do kobiety, która była odpowiedzialna za przygotowanie tak wystawnej uczy.

- Pięknie to wygląda, Prolevo. Gdyby zapachy tych smakołyków nie przypomniały mi, jaka jestem głodna, na pewno chciałabym chociaż popatrzeć na to, co zrobiliście. i 51

Prolewa rozpromieniła się, słysząc pochwałę.

- To jej specjalność - powiedziała Marthona. Ayla odwróciła się i z niejakim zaskoczeniem zauważyła matkę Jondalara, za którą bezskutecznie rozglądała się po zejściu z Kamienia Mówcy. - Nikt nie potrafi urządzić biesiady czy spotkania tak jak Prolewa. Jest też dobrą kucharką, ale tak naprawdę to jej talent w organizowaniu wspólnej pracy i zdobywaniu niezbędnych składników od naszych braci sprawia, że jest takim skarbem dla Joharrana i całej Dziewiętej Jaskini.

- Uczyłam się od ciebie, Marthono - odrzekła Prolewa, w widoczny sposób zachwycona wysoką oceną, która padła z ust matki jej partnera.

- Ale już dawno mnie przewyższyłaś. Nigdy nie organizowałam uczt tak wspaniale jak ty - odparła uprzejmie Marthona.

Ayla zauważyła, że matka Jondalara wspomniała tylko o przygotowywaniu uczt i przypomniała sobie, że prawdziwą jej specjalnością nie były biesiady i zgromadzenia. Zdolności

organizacyjne Marthony zostały w pełni wykorzystane w czasach, kiedy była poprzedniczką Joharrana - przywódczynią Dziewiętej Jaskini Zelandonii.

- Mam nadzieję, że następnym razem pozwolisz, bym ci pomogła - odezwała się znachorka. - Chciałabym się czegoś od ciebie nauczyć.

- Następnym razem - z przyjemnością, ale ta uczta jest na twoją cześć, a ludzie czekają, aż ją rozpoczniesz. Czy mogę nałożyć ci kawałek pieczeni z młodego renifera?

- A co z twoim Wilkiem? - spytała Marthona. - Czy on także zje z nami mięso?

- Zjadłby, ale niepotrzebna mu miękka i przyprawiona pieczeń. Będzie zadowolony, jeśli damy mu kość z odrobiną mięsa - oczywiście pod warunkiem, że nie będzie już potrzebna na zupę - odrzekła Ayla.

- Mamy parę takich przy ogniskach - powiedziała Proleva - ale najpierw spróbuj renifera i świeżych pączków liliowca.

Ayla nadstawiła miskę, by przyjąć porcję mięsa i gotowanej zieleniny. Proleva odłożyła chochlę i zawołała inną kobietę, aby zajęła się wydawaniem jedzenia, sama zaś poprowadziła Aylę w stronę ognisk, starając się trzymać po lewej stronie, z dala od Wilka. Kiedy stanęły przy stercie kości ułożonej przy wielkim palenisku, z pomocą Ayli wybrała złamany i wstępnie obrobiony udziec z lśniącą główką. Szpik został już usunięty, ale wzdłuż kości wisały brązowe, schnące pomału strzępki mięsa.

Ta będzie w sam raz - stwierdziła Ayla. Wilk przyglądał się jej w napięciu, łakomie oblizując pysk szorstkim językiem. - Może sama mu dasz? - spytała.

Proleva nerwowo zmarszczyła brwi. Nie chciała być nieuprzejma wobec gościa, szczególnie po wrednej zagrywce Marony, ale też nie paliła się zbytnio do karmienia Wilka.

- Ja to zrobię - wtrąciła Marthona, zdając sobie sprawę, że kiedy sama okaże odwagę, pozostali także nabiorą śmiałości w stosunku do wilka. - Tylko powiedz mi jak.

Możesz mu podać albo rzucić, wszystko jedno - odparła Ayla. Zauważyła, że dokoła zebrała się grupka Zelandonii, wśród których był też Jondalar, z rozbawieniem przyglądający się całej sytuacji.

Marthona wzięła kość i trzymając ją w wyciągniętej ręce, ruszyła w stronę drapieżcy. W ostatniej chwili zmieniła jednak zamiar i z pewnej odległości cisnęła resztkę udźca w powietrze. Wilk skoczył i potężnymi szczękami chwycił kość w powietrzu, wywołując tym szmer uznania wśród publiczności. Stanąwszy na czterech łapach z łakomym kąskiem w zębach, spojrział na Aylę z wyczekiwaniem.

- Zanieś sobie tam, Wilku - rozkazała, jednocześnie dając mu znak dłonią i wyciągając rękę w stronę wielkiego, osmalonego pnia, leżącego na skraju skalnego tarasu.

Wilk odwrócił się posłusznie i dumnie dzierżąc zdobycz, pomaszerował na wskazane miejsce, gdzie ułożył się wygodnie i z apetytem wbił zęby w potężną kość.

Kiedy Ayla i Jondalar powrócili do stołów, na których wyłożono potrawy, niemal każdy z mieszkańców próbował namówić ich do skosztowania specjalnie przygotowanego dania. Uzdrowicielka szybko przekonała się, że różnią się one smakiem od tych, które znała i lubiła w dzieciństwie. Jednakże podróże nauczyły ją jednego: gdziekolwiek się znalazła, potrawy uważane przez daną społeczność za rarytasy - mimo najbardziej wymyślnego składu - rzeczywiście były smaczne.

Mężczyzna nieco starszy od Jondalara zbliżył się do grupki otaczającej Aylę. Choć zdaniem znachorki wyglądał raczej niechlujnie - jego niegdyś jasne włosy ściemniały od brudu, a ubranie było poplamione i zdecydowanie wymagało naprawy - wielu ludzi uśmiechnęło się do niego, głównie młodych mężczyzn. Nowo przybyły niósł na ramieniu pojemnik podobny do worka na wodę, wykonany z niemal wodoodpornego żołądka zwierzęcego, rozciągniętego chlupoczącym płynem.

Sądząc po rozmiarach pojemnika, Ayla domyśliła się, że wydobyto go z ciała konia, nie był bowiem podzielony na komory w sposób właściwy żołądkom przeżuwaczy. Węch zaś podpowiedział jej, że jego zawartość ma niewiele wspólnego z wodą. Przypomniała jej się bouza warzona przez Taluta - głównym składnikiem sfermentowanego napoju przywódcy Obozu Lwa był sok brzozy, pozostałe zaś stanowiły pilnie strzeżony sekret, ale zwykle było wśród nich ziarno.

Młody mężczyzna, który na krok nie odstępował Ayli, podniósł głowę i uśmiechnął się szeroko.

- Laramar! - zawołał. - Przyniosłeś nam trochę swojej barmy na spróbowanie?

Jondalar ucieszył się w duchu, że coś wreszcie oderwało uwagę młodzieńca od jego kobiety. Nie znał natręta, ale zdążył się już dowiedzieć, że ma na imię Charczał i od niedawna mieszka z Dziewiątą Jaskinią, a pochodzi z jednej z dalekich podgrup Zelandonii. Kiedy odchodziłem, pewnie nie spotkał jeszcze swojej pierwszej donii, pomyślał Jondalar, a teraz proszę - przyczepił się do Ayli jak natrętny komar.

Tak. Pomyślałem, że wypada przyłożyć się jakoś do uczty powitalnej na cześć tej młodej niewiasty - odrzekł Laramar, uśmiechając się do uzdrowicielki.

Tylko że jego uśmiech nie wyglądał na szczerzy, a to obudziło w niej ostrożność nabytą jeszcze za czasów Klanu. Przyjrzała się bliżej mowie ciała przybysza i szybko przekonała się, że z pewnością nie jest on człowiekiem, któremu można zaufać.

Przyłożyć się? - powtórzyła któraś z kobiet, nie kryjąc sarkazmu. Ayla pomyślała, że to głos Sakwy, partnerki Rushemara, jednego z dwóch mężczyzn uważanych za zastępców Joharrana, czyli

pełniących taką funkcję, jaką w klanie Brana sprawował Gród. Zdaje się, że wszyscy przywódcy potrzebują kogoś, komu mogą zaufać, pomyślała.

- Uznałem, że przynajmniej tyle mogę zrobić - rzekł Laramar. - Nieczęsto mamy okazję powitać w Jaskini gości z tak dalekich stron.

Kiedy mężczyzna zdejmował z ramienia ciężką torbę i odwracał się, by położyć ją na najbliższym z kamiennych stołów, uzdrowicielka posłyszała szeptany komentarz jednej ze stojących obok kobiet.

- A jeszcze rzadziej mamy okazję zobaczyć, jak Laramar przykłada rękę do czegośkolwiek. Ciekawe, czego chce.

W tym momencie dla Ayli oczywiste stało się to, że nie jest jedyną osobą nieufnie odnoszącą się do zaniedbanego mężczyzny. Inni najwyraźniej także mu nie dowierzali i to pobudziło ciekawość znachorki. Coraz liczniejsza grupa Zelandonii z kubkami w dłoniach gromadziła się wokół niedomytego mężczyzny, lecz on interesował się jedynie Ayla i Jondalarem.

- Moim zdaniem wędrowiec i kobieta, którą przyprowadził do domu, powinni napić się ze mną pierwsi - oznajmił Laramar.

- Nie wypada odmówić takiemu zaszczytowi - mruknęła ironicznie Salova.

Ayla ledwie dosłyszała tę uwagę i zastanawiała się, czy komuś jeszcze udało się zrozumieć słowa Salovy, ale fakt pozostawał faktem: kobieta miała rację, nie mogli odmówić. Uzdrowicielka spojrzała na Jondalara, który celowo wylał wodę ze swego kubka i zbliżył się do mężczyzny. Ayla uczyniła to samo i po chwili oboje stali już przy Laramarze.

- Dziękuję - rzekł Jondalar, uśmiechając się doń cokolwiek nieszczerze, co oczywiście nie umknęło uwagi znachorki. - Doceniamy twoją gościnność. Przecież wszyscy wiedzą, że twoja barma jest najlepsza, Laramarze. Czy poznałeś już Aylę?

- Razem ze wszystkimi - odparł mężczyzna - ale jeszcze nie zostałem jej przedstawiony.

- Aylo z Mamutoi, oto jest Laramar z Dziewiątej Jaskini Zelandonii. I mówię szczerą prawdę, twierdząc, że jego barma nie ma sobie równych - powiedział Jondalar.

Ayla uznała, że formalna prezentacja była tym razem raczej skromna, ale Laramar i tak wyglądał na zadowolonego z komplementu. Oddała swemu mężczyźnie kubek, by uwolnić obie ręce, i wyciągnęła je w stronę specjalisty od warzenia barmy.

W imieniu Wielkiej Matki Ziemi pozdrawiam cię, Laramarze z Dziewiątej Jaskini Zelandonii - powiedziała z powagą.

- A ja pozdrawiam ciebie - odrzekł, ściskając jej dłonie tylko na krótką chwilę, jakby czuł się zażenowany tym, co robi. - Ale mam tu coś lepszego niż wszystkie oficjalne powitania tego świata, oto prawdziwe powitanie.



I z tymi słowy zabrał się do otwierania torby. Najpierw odwiązał pasmo impregnowanego jelita, którym owinięta była szczelnie "szyjka" pojemnika, wykonana z pojedynczego kręgu żubra. Wyrostki kostne zostały usunięte, a na obwodzie gładzonej powierzchni kręgu wycięto rowek. Kiedy tak spreparowaną "szyjkę" wetknięto w naturalny otwór końskiego żołądka, krawędź mięsistego worka zaciśnięto mocnym rzemieniem w taki sposób, by wtłoczyć ją w wycięty rowek, a tym samym stworzyć wodoszczelne połączenie. Odwiązawszy jelito, mężczyzna wyjął zatyczkę, którą był w istocie cienki rzemień zawiązany w kilkanaście supłów na tyle dużych, że skutecznie zamykały otwór w kręgu. Dzięki kostnej szyjce regulowanie wypływu napoju z miękkiej torby było znacznie łatwiejsze.

Ayla odebrała swój kubek od Jondalara i w wyciągniętej ręce podała go Laramarowi, który napełnił naczynie nieco więcej niż do połowy. Kiedy nalewał swój napój jasnowłosemu, Ayla pociągnęła mały łyk.

- Dobrze - stwierdziła, uśmiechając się z uznaniem. - Kiedy mieszkałam z Mamutoi, przywódca, Talut, też chętnie bawił się w przygotowywanie takich napojów. Używał soku brzozonego, ziarna i paru innych składników, ale muszę przyznać, że twój jest lepszy.

Laramar powiódł wzrokiem po twarzach zebranych z pełnym satysfakcji uśmiechem na ustach.

- Z czego jest zrobiony? - spytała znachorka, próbując rozszyfrować zagadkowy smak.

- Za każdym razem dodaję czegoś nowego; zależy, co mam pod ręką. I rzeczywiście, czasem używam soku brzozonego i ziarna - odparł wymijająco Laramar. - Nie spróbujesz zgadnąć, co tym razem trafiło do kadzi?

Ayla znowu umoczyła usta. Rozpoznanie składników poddanych dokładnej fermentacji nie było łatwe.

- Stawiam na ziarno, sok z brzozy lub innego drzewa, prawdopodobnie owoce i jeszcze coś... coś słodkiego. Nie potrafię, rzecz jasna, określić proporcji - dodała po chwili.

- Masz świetny zmysł smaku - pochwalił mężczyzna. Widać było, że słowa Ayli zrobiły na nim wrażenie. Faktycznie, dodałem owoców: jabłek, które przetrwały mrozy na drzewie, przez co stały się trochę słodsze, ale prawdziwa słodycz, którą wyczułaś, pochodzi od miodu.

Właśnie! Teraz, kiedy to powiedziałaś, rzeczywiście wyczuwam miód - przyznała Ayla.

- Nie zawsze mogę go zdobyć, ale kiedy się uda, znacznie poprawia smak barmy i czyni ją mocniejszą - wyjaśnił Laramar, tym razem uśmiechając się bez wątplenia szczerze. Niewielu było ludzi, z którymi mógł podyskutować fachowo o warzeniu tego niezwykłego napoju.

Większość dorosłych Zelandonii opanowała choć jedno rzemiosło w stopniu bliskim perfekcji. Laramar na przykład wiedział doskonale, że lepiej niż ktokolwiek inny potrafi warzyć

barwę. Uważał, że to właśnie jest jego największy dar, jedyna rzecz, którą lubił i umiał robić, lecz jednocześnie odnosił wrażenie, że nie jest wystarczająco poważany z tego powodu.

Wiele owoców fermentowało niekiedy w sposób naturalny, na żywych pnączach czy gałęziach drzew - nawet zwierzęta, które je zjadały, odczuwały czasem skutki procesu chemicznego dokonującego się w ich wnętrzu. Nie brakowało też ludzi, którzy przynajmniej od czasu do czasu celowo sporządzali fermentowane napoje, lecz ich produkty nie zawsze były udane; nader często zmieniały się po prostu w skwaśniały sok. Wielu sądziło, że wina Marthony należą do wyjątkowo smacznych, jednak jej zdolności w tym kierunku uważano za jeden z pomniejszych, mało istotnych darów, nic nie znaczący w porównaniu choćby z talentem organizacyjnym.

Tymczasem alkoholowe napitki Laramara zawsze były udane, nigdy nie zalatywały octem, a ich smak był wyjątkowy. Mężczyzna nie uważał, że jego umiejętności są czymś mało istotnym; zdawał sobie sprawę, że trzeba wiedzy i doświadczenia, by osiągnąć taki rezultat, lecz większość ludzi nawet nie zastanawiała się nad tym, po prostu racząc się końcowym produktem żmudnego procesu. W budowaniu dobrej reputacji z pewnością nie pomógł Laramarowi fakt, iż sam nadużywał alkoholu i często rankiem był zbyt "chory", by uczestniczyć w polowaniach i wielu innych wspólnych zajęciach, niekiedy niewdzięcznych, lecz zawsze potrzebnych społeczności.

Gdy tylko nalał honorowym gościom stosowną dawkę napoju, u jego boku pojawiła się kobieta. Jej nogi trzymał się malec, na którego nie zwracała najmniejszej uwagi. W dłoni trzymała kubek, który bez wahania podsunęła Laramarowi. Na twarzy mężczyzny pojawił się na ułamek sekundy grymas niezadowolenia, który szybko został starannie zamaskowany obojętną miną. Laramar bez słowa napełnił naczynie porcją barmy.

- Nie przedstawisz jej swojej partnerki? - spytała kobieta, kierując te słowa do Laramara, lecz spoglądając na Aylę.

- Aylo, oto moja partnerka, Tremeda, a dziecko, które uczepiło się nogi, to jej najmłodszy syn - rzekł Laramar, w możliwie niewyszukany sposób przychylając się do sugestii kobiety. I cokolwiek niechętnie, pomyślała znachorka.

Tremedo, oto jest Ayla z... Matumo.

W imieniu Matki pozdrawiam cię, Tremedo z... - zaczęła Ayla, odstawiając kubek, aby móc użyć obu dłoni do oficjalnego powitania z nieznaną.

Witaj, Aylo - przerwała jej Tremeda, po czym pociągnęła solidny łyk alkoholu, nie zadając sobie trudu podania uzdrowicielce choćby jednej ręki.

U jej boku zjawilo się jeszcze dwoje dzieci. Ubranka całej trójki były tak zniszczone, poplamione i brudne, że trudno było dostrzec te drobne niuanse zdobienia, po których - jak zauważyła Ayla w ciągu tego dnia - można było odróżnić małych chłopców Zelandonii od

dziewcząt. Tremeda nie wyglądała zresztą wiele lepiej niż jej potomstwo: miała dawno nie czesane włosy i niemiłosiernie wybrudzony strój. Znachorka podejrzewała, że partnerka Laramara nazbyt wiele czasu poświęca smakowaniu jego trunków. Najstarsze z dzieci - chłopiec, jak wydawało się Ayli - mierzył ją wyjątkowo nieprzyjaznym wzrokiem.

- Dlaczego ona tak dziwnie mówi? - spytał wreszcie, spoglądając na matkę. - I dlaczego ma na sobie chłopięcą bieliznę?

- Nie wiem. Może sam ją o to spytasz? - zaproponowała Tremeda, dopijając resztkę napoju z dna kubka.

Ayla spojrzała przelotnie na Laramara i zauważyła, że mężczyzna jest wściekły i wygląda tak, jakby miał zaraz uderzyć malca.

- Mówię inaczej niż wy, bo przybywam z bardzo, bardzo daleka i wyrosłam wśród ludzi, którzy nie posługują się tym samym językiem co Zelandonii. Jondalar nauczył mnie waszej mowy, kiedy byłam już dorosła. A jeśli chodzi o moje ubranie, to dostałam je dziś w prezencie.

Chłopiec sprawiał wrażenie zdumionego, że w ogóle doczekał się odpowiedzi, ale nie wahał się zadać kolejnego pytania.

Dlaczego ktoś miałby dawać ci chłopięcy strój? - Nie mam pojęcia - odpowiedziała. - Może to miał być żart? Ale ja jestem zadowolona z tego daru. To naprawdę wygodna rzecz. Nie uważasz?

Pewnie tak. Nie wiem, nigdy nie miałem takiego ubrania - odparł smutno chłopak.

Więc może zrobimy dla ciebie podobne? Chętnie się tym zajmę, jeśli mi pomożesz - zaproponowała znachorka. Oczy dziecka rozbłyły.

- Naprawdę?

- Naprawdę. A powiesz mi, jak masz na imię?

- Bologan - odpowiedział chłopiec.

Ayla wyciągnęła przed siebie obie ręce. Bologan spojrzał na nią ze zdumieniem - nie oczekiwał oficjalnej prezentacji i nie był pewien, jak powinien zareagować. Nie potrafił nawet powiedzieć, czy w ogóle ma imiona, zasługi i koneksje rodzinne nadające się do formalnej ceremonii powitalnej. Nigdy nie słyszał, by matka lub mężczyzna ogniska pozdrawiali kogokolwiek, wymieniając imiona i powołując się na więzy krwi. Ayla delikatnie ujęła brudne dłonie chłopca.

- Jestem Ayla z Obozu Lwa Mamutoi - zaczęła i jak najbardziej uroczystym tonem wymieniła całą resztę ważnych tytułów. Widząc zaś, że malec nie odpowiada, postanowiła uczynić to za niego. - W imieniu Mut, Wielkiej Matki Ziemi, znanej także jako Doni, pozdrawiam cię,

Bologanie z Dziewiątej Jaskini Zelandonii, synu Tremedy, błogosławionej przez Doni, partnerki Laramara, Mistrza w Warzeniu Najlepszej Barmy.

Wypowiedziała te słowa w taki sposób, żeby chłopiec wreszcie poczuł się dumny z tego, że ma imiona i koneksje jak wszyscy inni mieszkańcy osady. Bologan zadarł głowę, by popatrzeć na matkę i jej partnera. Laramar już nie wyglądał na rozgniewanego. Cała trójka uśmiechała się teraz wyraźnie zadowolona.

Ayla zauważyła, że stanęły przy niej Marthona i Salova.

- Chciałabym spróbować tej "najlepszej barmy" - odezwała się kobieta Rushemara. Laramar z nie ukrywaną radością spełnił jej życzenie.

- Ja też chcę - dorzucił Charezal, a potem już wokół Mistrza zagęścił się spory tłumek spragnionych Zelandonii z pustymi kubkami w dłoniach.

Ayla zauważyła, że Tremeda dostała dolewkę, nim oddaliła się z trójką dzieci. Bologan obejrzał się na odchodnym i znachorka z zadowoleniem przekonała się, że odpowiedział uśmiechem na jej pożegnalny uśmiech.

- Zdaje się, że zdobyłaś nowego przyjaciela w osobie tego młodego człowieka - stwierdziła pogodnie Marthona.

- Młodego chuligana - poprawiła ją Salova. - Naprawdę chcesz dla niego uszyć komplet zimowej bielizny?

- A dlaczego nie? Chciałabym się nauczyć szyć coś takiego - odrzekła Ayla, wskazując na strój, który miała na sobie. - Kto wie, czy pewnego dnia nie urodzę syna. Zresztą nie wykluczam, że i sobie sprawię taki komplet.

- Sobie?! Chcesz powiedzieć, że zamierzasz paradować w czymś takim? - zdumiała się Salova.

- Możliwe, że wprowadzę małe zmiany; na przykład góra powinna być trochę lepiej dopasowana. Próbowalaś kiedyś nosić taki strój? Jest naprawdę wygodny. Poza tym dostałam go w prezencie powitalnym i zamierzam pokazać wszystkim, ile dla mnie znaczy - dodała Ayla, a w jej głosie słychać było wyraźnie wymieszane nuty gniewu i dumy.

Salova spoglądała szeroko otwartymi oczami na tę obcą kobietę z końca świata, którą Jondalar sprowadził do Jaskini, nagle po raz wtóry uświadamiając sobie różnice w wymowie i akcentowaniu przez nią niektórych słów. To nie jest ktoś, kogo chciałabym mieć za wroga, pomyślała. Marona próbowała dziś ośmieszyć ją przed wszystkimi, ale Ayla potrafiła odwrócić całą sytuację na swoją korzyść. Koniec końców to Marona została upokorzona... I będzie zgrzytać zębami za każdym razem, gdy zobaczy Aylę w tym stroju. Nie, zdecydowanie nie chciałabym, żeby kobieta Jondalara kiedykolwiek była na mnie wściekła!

- Jestem pewna, że Bologanowi bardzo przyda się ciepłe ubranie na zimę - powiedziała Marthona. Nie umknęła jej uwagi subtelna wymiana sygnałów między dwiema młodymi kobietami. Ayla ma rację, że od pierwszego dnia stara się ustalić swoją pozycję w naszej społeczności, pomyślała z uznaniem. Ludzie muszą wiedzieć, że niełatwo ją pokonać czy wykorzystać. W końcu zostanie partnerką mężczyzny, który urodził się i wychował wśród odpowiedzialnych przywódców Zelandonii.

- Jemu zawsze przyda się jakieś ubranie - poprawiła Marthonę Salova. - Czy kiedykolwiek miał na sobie coś przyzwoitego? Jedynym powodem, dla którego te dzieci w ogóle coś mają, jest to, że ludzie litują się nad nimi i dają im, czego już nie potrzebują. Zauważyłaś może, że Laramar, który tyle pije, zawsze ma dość barmy, by wymienić ją na rzeczy, których potrzebuje? Tylko że zwykle dostaje za nią składniki, z których produkuje jeszcze więcej trunku, a nie żywność, którą mógłby dać partnerce i jej dzieciom. A w dodatku nigdy go nie ma, kiedy trzeba coś zrobić; choćby zasypać rowy pyłem skalnym albo wziąć udział w polowaniu. Z Tremedy też niewielki pożytek - ciągnęła Salova. - Są zbyt podobni do siebie. Ona wiecznie jest za bardzo "chora", by przyłączyć się do zbieraczy owoców czy wykonać inną robotę, za to nie ma najmniejszych oporów, kiedy prosi innych o wsparcie dla "biednych, głodnych dzieci". Kto mógłby jej odmówić? Przecież naprawdę są biednie ubrane, rzadko kiedy czyste i najczęściej nie najedzone.

Po posiłku biesiadnicy ożywili się znacznie, choć zapewne było to bardziej zasługą barmy Laramara niż jedzenia. Kiedy zapadła ciemność, uczujący przenieśli się bliżej środkowej części skalnego nawisu zakrywającego całą osadę. Olbrzymie ognisko rozpalono tuż pod krawędzią kamiennego stropu. Nawet podczas najcieplejszej letniej pory noce sprowadzały na ziemię przenikliwy chłód, przypominając o bliskości niewyobrażalnej masy lodu na północy.

Wysokie płomienie ogrzewały abri od dołu, a ciepło rozchodziło się do najdalszych kątów niszy. Rozgrzewał się pomału także przyjaźnie nastawiony tłum Zelandonii, otaczający parę przybyszów. Ayla zdążyła już poznać tak wielu ludzi, że mimo wyjątkowo sprawnej pamięci nie była w stanie przypomnieć sobie ich imion.

Nagle, mniej więcej w tej samej chwili, gdy do grupy rozmawiającej z Jondalarem i jego kobietą zbliżyła się Proleva, niosąca sennego Jaradala, w zasięgu wzroku pojawił się Wilk. Chłopczyk ożywił się natychmiast i ku rozczarowaniu matki natychmiast zapragnął zejść na ziemię.

Wilk nie zrobi mu krzywdy - zapewniła ją Ayla.

- Świetnie radzi sobie z dziećmi, Prolevo - dodał Jondalar. - Wychowywał się pośród nich w Obozie Lwa. Był wyjątkowo opiekuńczy w stosunku do pewnego słabego, chorowitego chłopca.

Niespokojna matka postawiła malucha na ziemi, na wszelki wypadek otaczając go ramieniem. Ayla zaś przykucnęła przy kosmatym przyjacielu i objęła go mocno, głównie po to, by rozwiać obawy Proleey.

- Chciałbyś dotknąć Wilka, Jaradału? - spytała. Chłopiec z powagą skinął głową, a wtedy ujęła jego dłoń i powoli zbliżyła do głowy zwierzęcia.

Łaskocze! - zawołał ze śmiechem mały Jaradał.

Rzeczywiście, takie już jest jego futro. Ale on też czuje łaskotanie. Linieje teraz, a to oznacza, że wychodzi mu sierść - wyjaśniła Ayla.

- Czy to go boli? - zainteresował się chłopiec.

- Nie, tylko łaskocze. I dlatego właśnie teraz najbardziej lubi drapanie.

- Ale dlaczego gubi tyle włosów?

Robi się coraz cieplej. Zimą, kiedy panują mrozy, wyrasta mu gęste futro, w którym jest mu ciepło, ale długa sierść nie służy mu w lecie - wyjaśniała cierpliwie Ayla.

- A dlaczego nie nałoży kurtki, kiedy robi się zimno? - indagował Jaradał.

Odpowiedź nadeszła z innego źródła.

Wilki nie potrafią szyć sobie kurtek, więc Matka każdej zimy robi dla nich futra - odezwała się Zelandoni, która dołączyła do grupki w chwilę po Prolevie. - A latem, gdy słońce grzeje mocniej, zabiera futra do siebie. Kiedy Wilk gubi sierść, to znaczy, że Doni zdejmuje z niego okrycie, Jaradału.

Ayla była zaskoczona delikatnością w głosie wielkiej kobiety rozmawiającej z małym chłopcem i czułością jej spojrzenia. Zaczęła zastanawiać się, czy Zelandoni kiedykolwiek chciała mieć dzieci. Biorąc pod uwagę jej znajomość medycyny, z pewnością wiedziała, jak pozbyć się ciąży, ale znacznie trudniejszą sztuką było zajście w nią czy zapobieżenie przedwczesnemu porodowi. Ciekawe, co myśli donier na temat początków nowego życia, pomyślała Ayla. I czy wie, jak zapobiegać ciąży.

Kiedy Proleva wzięła synka na ręce i oddaliła się w stronę swego domostwa, Wilk ruszył za nią, lecz Ayla przywołała go do siebie.

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli wrócisz do Marthony, Wilku - powiedziała, dając mu sygnał "do domu". Domem było dla niego dowolne miejsce, w którym jego pani pozostawiła swoje futra i resztę dobytku.

Gdy ciemność spowiła szczelnie miejsca bardziej oddalone od dobroczynnego, ciepłego blasku ogniska, ludzie z wolna poczęli się rozchodzić. Jedni - przede wszystkim rodziny z małymi dziećmi - wracali do domów, inni zaś - szczególnie młodzi, choć nie brakowało i starszych - dwójkami, a nawet trójkami oddalali się gdzieś na skraj kręgu światła, by w bardziej intymnej

atmosferze oddawać się rozmowom i czułym uściskom. Przy takich okazjach wymienianie się partnerami nie należało do rzadkości i jeśli działo się to za zgodą wszystkich stron, nie miało wpływu na trwałość czy zgodność związków.

Obserwując sytuację, Ayla przypomniła sobie o uroczystościach ku czci Matki. Jeżeli formą czczenia Doni było dzielenie się Jej Darem Przyjemności, to tego wieczoru Wielka Matka została wyjątkowo dobrze uczczona. Zelandonii nie różnili się zbyt pod tym względem od Mamutoi, Sharamudoi czy Losadunai, pomyślała Ayla. Z Lanzadonii łączył ich także wspólny język.

Wielu mężczyzn próbowało skłonić piękną nieznajomą do podzielenia się Darem Przyjemności od Wielkiej Matki. Ayla cieszyła się, że wywołuje tak pozytywne zainteresowanie, lecz jasno dawała wszystkim do zrozumienia, że nie pożąda nikogo poza Jondalarem.

On zaś miał mieszane uczucia, kiedy przyglądał się tabunom rozochoconych Zelandonii, raz po raz starających się o względy uzdrowicielki. Cieszył się, że jego krajanie tak dobrze przyjmują Aylę, i był dumny, że wzbudziła podniecenie w tyłu mężczyznach, ale wolał, by nie prezentowali tak ostentacyjnie swej ochoty na zaciągnięcie jej na miękkie futra, w domowe zacisze. Zastrzeżenia Jondalara dotyczyły przede wszystkim owego młodego przybysza z innej Jaskini, Charczała. Jasnowłosy cieszył się w duchu, że jego wybranka nie interesowała się żadnym z konkurentów.

Zazdrość nie była dobrze odbierana przez lud Zelandonii - zwykle prowadziła do niesnasek, kłótni, a nawet walk, niedopuszczalnych w społeczności, która nade wszystko ceniła harmonię i współpracę. W krainie, która przez sporą część roku była jedynie mroźnym pustkowiem, wola wzajemnej pomocy mogła przesądzać o przetrwaniu całych wspólnot. Celem większości zwyczajów praktykowanych w Jaskini było propagowanie i wzmacnianie właściwych zachowań społecznych, a także przeciwstawianie się wszelkim tendencjom i uczuciom - w tym także zazdrości - które mogły zagrażać spójności grupy.

Jondalar wiedział, że trudno byłoby mu ukryć zazdrość, gdyby Ayla postanowiła dzielić Dar Przyjemności z kimś innym. Nie chciał odstępować nikomu swojej kobiety. Być może kiedyś, po wielu wspólnie spędzonych latach, takie posunięcie mogłoby od czasu do czasu wniesić ożywczy powiew do ich związku - choćby przez zaspokojenie pragnienia nowych doznań - ale teraz było na to zdecydowanie zbyt wcześnie. Jondalar wręcz nie potrafił sobie wyobrazić, że inny mężczyzna obcuje z Aylą.

Grupa Zelandonii zaczęła śpiewy i tańce. Znachorka próbowała dołączyć do nich, lecz otaczała ją zbyt gęsta ciżba nieznajomych, spragnionych rozmowy i nie tylko. Pewien mężczyzna, który przez większość wieczoru trzymał się na uboczu, teraz próbował dopchać się do Ayli ze

zdwojoną determinacją. Uzdrowicielka miała wrażenie, że już wcześniej dostrzegła w tłoku niezwykłą postać, lecz kiedy próbowała skupić na niej uwagę, ktoś nowy zadawał jej pytanie lub wygłaszał komentarz.

Wreszcie uniosła głowę, gdy obcy mężczyzna podał jej kolejny kubek barmy. Choć napój Laramara przypominał smakiem i właściwościami bouzë Taluta, był znacznie mocniejszy. Ayla czuła już, że alkohol uderza jej do głowy, i postanowiła nie pić więcej tego wieczoru. Dobrze знаła skutki działania fermentowanych trunków i wcale nie zamierzała zachowywać się nazbyt "przyjaźnie" już pierwszego dnia u świeżo poznanych pobratymców Jondalara.

Uśmiechnęła się więc do mężczyzny z kubkiem, szykując się do uprzejmej odmowy, lecz szok, którego doznała, spoglądając na jego twarz, na krótką chwilę zmroził jej rysy. Szybko jednak zapanowała nad sobą i spojrzała na nieznanego z nie skrywaną sympatią.

- Nazywam się Brukeval - rzekł obcy. Sprawiał wrażenie nieśmiałego i mocno zakłopotanego. - Jestem kuzynem Jondalara. - Jego głos był niski, ale głęboki i dźwięczny, przyjemny dla ucha.

Witaj. Mówią na mnie Ayla z Mamutoi - odpowiedziała, zaintrygowana czymś więcej niż tylko głosem i niezdecydowaniem mężczyzny.

Brukeval nie przypominał całej reszty Zelandonii, których miała okazję poznać, czy choćby zobaczyć. Jego oczy nie były ani błękitne, ani szare, ale zdecydowanie ciemne. Ayla pomyślała, że były brązowe, lecz w zwodniczym blasku ognia nie mogła być pewna. Jednak nie tylko oczy wyglądały zadziwiająco znajomo - wiele cech jego ciała zdradzało bliskie pokrewieństwo z ludźmi Klanu!

Jest mieszańcem, ma w sobie krew Klanu i Innych, to pewne, stwierdziła z podnieceniem Ayla. Ukradkowymi spojrzeciami zlustrowała postać mężczyzny. Odniosła wrażenie, że doceniał jej zachowanie właściwe kobietom Klanu i ze wszystkich sił starała się nie patrzeć wprost na niego. Po chwili nabrała przekonania, że krew Innych i Klanu nie wymieszała się w jego żyłach w równych proporcjach, jak u Echozara, któremu Joplaya obiecała Zaślubiny, i jak... u syna Ayli.

W rysach i postawie Brukevala zdecydowanie przeważały cechy Innych: miał wysokie i proste czoło, lekko tylko opadające ku tyłowi, a kiedy odwrócił się, znachorka zauważyła, że jego głowa jest wydłużona, a na potylicy brakuje charakterystycznego wybrzuszenia. Jedyne wąły nadoczodołowe, niemal zakrywające głęboko osadzone oczy, wyróżniały się zdecydowanie z prawie "normalnej" twarzy. Nie były może tak masywne, jak u mężczyzn Klanu, ale z pewnością nadawały Brukevalowi specyficzny wygląd. Jego nos także był spory i choć miał nieco subtelniejszą linię, generalnie przypominał kształtem imponujące narządy powonienia ludzi, których pamiętała z dzieciństwa.



Wyobrażała sobie, że musi mieć niezbyt wydatny podbródek. Gęsta, ciemna broda utrudniała rozpoznanie, ale sam fakt, że Brukeval ją nosił, upodabniał go do tak dobrze zapamiętanych przez Aylę postaci sprzed lat. Kiedy Jondalar ogolił się po raz pierwszy - a czynił to zwykle latem - znachorka była głęboko wstrząśnięta przemianą, która odmłodziła jej kochankę tak bardzo, że sprawiał wrażenie nastolatka. Nigdy przedtem nie widziała dojrzałego mężczyzny bez zarostu. Brodacz, który stał teraz przed nią, był nieco niższy od większości Zelandonii - jej także nie dorównywał wzrostem - a jego ciało było mocno zbudowane - pod skórą kończyn i na wysoko wysklepionej klatce piersiowej przeżyły się potężne mięśnie.

Brukeval miał zatem wszystkie te męskie cechy, które Ayla nauczyła się podziwiać już w dzieciństwie, i przez to był na swój sposób pociągający; emanował dobrze znaną siłą. Uzdrowicielka poczuła nawet lekkie podniecenie. Pomyślała, że stanowczo zbyt mocno kręci się jej w głowie i zdecydowała, że najwyższy czas skończyć z sączeniem barmy. Ciepły uśmiech, którym obdarzyła mężczyznę, i tak zdradził mu jej myśli, ale Brukevalowi przede wszystkim spodobała się owa nieśmiałość, z jaką spuszczała i odwracała wzrok, by nie patrzeć mu prosto w oczy. Nie przywykł do podobnego zachowania kobiet, szczególnie tak pięknych jak wybranka jego wysokiego i charyzmatycznego kuzyna.

Pomyślałem, że może zechcesz napić się jeszcze barmy Laramara - rzekł Brukeval. - Otoczyło cię tylu ludzi, wszyscy spragnieni rozmowy, ale jakoś nikt nie pomyślał, że może cię męczyć prawdziwe pragnienie.

- Dziękuję. Rzeczywiście, chce mi się pić, ale nie odważę się już wlać w siebie choćby kropli tego specjału - odparła, wskazując ruchem głowy na pełny kubek. - Mam dość, kręci mi się w głowie. - Odmówiwszy grzecznie, obdarzyła mężczyznę jednym ze swych najpiękniejszych uśmiechów, którym mało kto potrafił się oprzeć.

Brukeval patrzył na nią jak urzeczony, na moment zapominając o oddychaniu. Cały wieczór czekał na chwilę, kiedy będzie mógł poznać niezwykłego gościa, ale brakowało mu odwagi, by się zbliżyć. Piękne kobiety nieraz już odprawiały go z pogardą. Ale nie ta, o złotych włosach połyskujących w blasku płomieni, o silnym i wyjątkowo kształtnym ciele, którego linię podkreślał obcisły skórzany strój, o powabnie egzotycznych rysach, nie ta, którą uważał za najpiękniejszą niewiastę, jaką kiedykolwiek spotkał.

- Może więc przyniosę ci coś innego? - spytał wreszcie Brukeval, uśmiechając się z chłopięcym wręcz zapalem. Nie spodziewał się, że honorowy gość biesiady będzie wobec niego tak otwarty i przyjacielski.

- Słusznie. Idź już, Brukeval. Ja tu byłem pierwszy - odezwał się Charezal, niezupełnie żartobliwym tonem. Widział, w jaki sposób Ayla uśmiechała się do nieśmiałego mężczyzny, a

przecież od początku uczył sam starał się uwieść ją lub chociaż wydobyć z niej obietnicę spotkania przy innej okazji.

Niewielu Zelandonii ośmieliłoby się tak natrętnie okazywać zainteresowanie kobiecie wybranej przez Jondalara, lecz Charezal przybył z daleka i dołączył do Dziewiętej Jaskini stosunkowo niedawno. Był o kilka lat młodszy od jasnowłosego olbrzyma; kiedy ten wyruszał z bratem w długą Podróż, Charezal jeszcze nie przeszedł rytuału męskości i nie miał pojęcia o opinii zdobywcy niewieścich serc, którą całkiem zasłużenie cieszył się Jondalar. Dzień, w którym dowiedział się, że przywódca w ogóle ma brata, jeszcze nie dobiegł końca. Słyszał za to niejedną plotkę na temat Brukevala.

- Chyba nie sądzisz, że ona może interesować się kimś, kto za matkę miał półpłaskogłową?  
- spytał drwiąco Charezal.

W tłumie rozległ się cichy jęk, a potem zapadła kompletna cisza. Od lat już nikt nie ważył się odzywać się do Brukevala w taki sposób. Jego twarz zastygła w grymasie czystej nienawiści, kiedy spoglądał na bezczelnego młodzieńca, z największym trudem powstrzymując narastającą furję. Ayła także zamarła, obserwując transformację dokonującą się na jej oczach. Widziała już kiedyś podobną wściekłość na twarzy innego mężczyzny z Klanu i pamiętała przerażenie, które wtedy czuła.

Nie był to pierwszy raz, kiedy ktoś szydził z Brukevala w taki sposób. Może dlatego z wyjątkową wrażliwością odbierał żal Ayli, kiedy wyśmiewano ją z powodu dziwnego stroju, który otrzymała w "darze" od Marony i jej przyjaciółek. Nieurodziny mężczyzna sam bywał ofiarą równie okrutnych żartów. Chciał wtedy biec do znachorki, bronić jej tak jak Jondalar, ale kiedy zobaczył, że sama z dumą wznosi się ponad rechot tłumu, poczuł napływające do oczu łzy. Gdy patrzył, jak z godnością staje twarzą w twarz z całą Dziewiątą Jaskinią, jego serce należało już do niej.

Lecz później, kiedy tak bardzo pragnął z nią porozmawiać, cierpiał katusze niezdecydowania. Kobiety nigdy nie były dla niego łaskawe; wołał więc podziwiać Aylę z daleka, by nie narazić się na pogardę i odrzucenie, którymi niegdyś raniły go lokalne piękności. Wreszcie jednak, po długim wahaniu i wnikliwej obserwacji, postanowił spróbować. Udało się, była miłsza niż ktokolwiek inny! Wyglądało na to, że poznanie go sprawiło jej przyjemność. Uśmiech, tak czarujący i szczery, czynił ją jeszcze piękniejszą.

W ciszy, która zapadła po odżywce Charezala, Brukeval obserwował kątem oka, jak Jondalar cicho staje za plecami Ayli, pochylając się nad nią z troską. Zazdrościł mu. Zawsze zazdrościł jasnowłosemu, który nawet wzrostem musiał górować nad innymi. Jondalar nigdy nie uczestniczył w upokarzających, szczenięcych zabawach w przezywanie, a czasem wręcz bronił

odmieńca, ale Brukeval czuł, że czyni to z litości, a to było jeszcze gorsze. Teraz zaś ów wzorowy syn Marthony powrócił do rodzinnej osady z piękną kobietą, którą wszyscy tak podziwiali. Dlaczego szczęście dopisuje niektórym we wszystkim, czego się tkną?

Jednak to jedno spojrzenie, które Brukeval posłał Charezalowi, poruszyło Aylę głębiej, niż mógł się tego domyślić. Znachorka nie widziała takiego grymasu od czasu, kiedy opuściła klan Bruna. Przypomniawszy jej o Broudzie, synu part - i 67 nerki Bruna, który często patrzył na nią w taki sposób. I choć furia Brukewała nie była skierowana przeciwko niej, zadrżała na samo wspomnienie i zapragnęła oddalić się czyni prędeż.

Spłoszona odwróciła się do Jondalara.

- Chodźmy już. Jestem zmęczona - powiedziała cicho w mamutoi i w tej samej chwili dotarło do niej, że naprawdę jest wyczerpana.

Dopiero co zakończyli długą i nużącą Podróż. Mieli już za sobą uczuciową huśtawkę spotkania z rodziną Jondalara, smutek opowieści o śmierci Thonolana, podły wybryk Marony, a także emocje towarzyszące spotkaniom z niezliczonymi mieszkańcami Jaskini podczas wieczornej uczty - i wreszcie przykrą sytuację z Brukevałem. To było ponad siły uzdrowicielki.

Jondalar zauważył, że incydent między dwoma mężczyznami zaniepokoił Aylę, i był niemal pewien, że wie, dlaczego tak się stało.

To był wyjątkowo długi dzień - rzekł. - Rzeczywiście, pora iść.

Brukeval sprawiał wrażenie zirytowanego faktem, że oddalają się tak szybko, kiedy wreszcie odważył się przemówić. Uśmiechnął się niepewnie.

- Naprawdę musicie? - spytał bez nadziei.

- Jest późno. Wielu ludzi poszło już spać, ja też jestem zmęczona - odparła Ayla, odwzajemniając uśmiech.

Teraz, gdy grymas gniewu zniknął z oblicza Brukewała, mogła patrzeć na niego przyjaźnie, choć bez poprzedniej serdeczności. Powiedziawszy wszystkim "dobranoc", odwrócili się i ruszyli w swoją stronę, lecz znachorka raz jeszcze obejrzała się i zobaczyła, że wzrok krępego mężczyzny znowu spoczął na Charezalu.

Ayla i Jondalar wolnym krokiem wracali w stronę domostwa Marthony.

Widziałeś, w jaki sposób twój kuzyn patrzył na Charezala? Z jaką nienawiścią?

- Nie mogę powiedzieć, że winie go za reakcję na słowa tego młodzika - odparł Jondalar, który sam nie darzył sympatią przybysza z dalekiej Jaskini. - Przecież wiesz, że nie ma gorszej zniewagi niż nazwanie kogoś płaskogłowym, szczególnie kiedy określa się tym mianem czyjąś matkę.

Brukeval nieraz już doświadczał takich zaczepek, szczególnie w młodości. Dzieci bywają okrutne.

Jondalar mówił dalej, wprowadzając swą kobietę w smutną historię dzieciństwa Brukevala, którego swego czasu każdy, komu tylko przyszła ochota na bezinteresowne zadawanie cierpienia, nazywał płaskogłowym. Choć dorosłemu już mężczyźnie brakowało owej charakterystycznej cechy budowy czaszki ludzi Klanu, z powodu której narodziło się przezwisko - czyli płaskiego czoła - reagował gwałtownie za każdym razem, gdy słyszał to zniechęcające słowo. Dla sieroty, który ledwie znał swą matkę, jeszcze gorsze było słuchanie, jak mówiono o niej niczym o najgorszym z potworów - na poły człowieku, na poły zwierzęciu.

Reakcja Brukevala była łatwa do przewidzenia, dlatego dzieci - szczególnie te nieco starsze i silniejsze od niego - z właściwym sobie okrucieństwem nazywały go "płaskogłowym" lub "synem ohydy". Z biegiem lat niedostatki wzrostu zaczął nadrabiać niezwykłą siłą. Po kilku starciach z chłopcami, którzy mimo przewagi wzrostu nie byli w stanie sprostać fenomenalnej sile jego mięśni, napędzanej dodatkowo ślepą furją, nawet najwięksi złośliwcy zaprzestali przezywania Brukevala, a przynajmniej nie czynili tego w jego obecności.

- Nie mam pojęcia, dlaczego niektórym tak to przeszkadza, ale moim zdaniem to prawda - powiedziała Ayla, wysłuchawszy opowieści. - On naprawdę po części należy do Klanu. Przypomina mi Echozara, ale zdecydowanie więcej jest w nim krwi Innych. Widać zresztą, że nie jest aż tak silny, jeśli nie liczyć tego spojrzenia... Od razu przypomniałam sobie, w jaki sposób patrzył na mnie Broud.

- Nie jestem pewien, czy jest mieszańcem. Może któryś z jego przodków przybył tu z daleka i zupełnie przypadkiem przypominał trochę pła... ludzi Klanu? - zasugerował Jondalar.

- Brukeval jest twoim kuzynem. Co właściwie o nim wiesz?

- Niewiele, ale mogę ci powiedzieć, co słyszałem - odrzekł mężczyzna. - Niektórzy starsi ludzie mówią, że kiedy babka Brukevala była bardzo młoda, z jakiegoś powodu oddzieliła się od swojej Jaskini podczas wędrówki na Letnie Spotkanie odbywające się w dość odległej okolicy. Właśnie wtedy miała przejść Rytuał Pierwszej Przyjemności - i 69 ci. Gdy ją odnaleziono, lato miało się już ku końcowi. Podobno zachowywała się dziwnie, ledwie rozumiała, co do niej mówiono. Twierdziła, że zaatakowały ją zwierzęta. Starsi mówią, że nigdy już nie była sobą. Na szczęście nie pożyła długo. Wkrótce po powrocie do Jaskini okazało się, że została pobłogosławiona przez Matkę, choć przecież nigdy nie przeszła Rytuału Pierwszej Przyjemności. Umarła niedługo po urodzeniu matki Brukevala, a może nawet podczas porodu.

- Nie wiadomo, gdzie przebywała, kiedy jej szukano?

- Nie wiadomo.

Ayla w zamyśleniu zmarszczyła czoło.

- Musiała znaleźć jakieś pożywienie i schronienie - stwierdziła po chwili.

- Rzeczywiście, raczej nie głodowała - zgodził się Jondalar.

- Zaatakowały ją zwierzęta... Czy nie mówiła jakie?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- A czy miała na ciele ślady zębów i inne rany? - indagowała Ayla.

- Nie wiem.

Ayla zatrzymała się, nim weszli pomiędzy domy, i spojrzała na swego rosłego mężczyznę w bladym świetle sierpowatego księżyca i dalekiego ogniska.

- Czyż Zelandonii nie nazywają ludzi Klanu zwierzętami? Może babka Brukewała wspominała coś o tych, o których mówicie płaskogłowi?

- Podobno nienawidziła ich i uciekała z krzykiem, gdy tylko któregoś zobaczyła - odparł Jondalar.

- A co ci wiadomo o matce Brukewała? Znałeś ją? Jak wyglądała?

- Niewiele pamiętam poza tym, że była dość młoda. Nie należała do wysokich... Miała piękne, brązowe oczy - choć może nie ciemnobrązowe, raczej orzechowe. Ludzie mówili, że tylko na te oczy da się jakoś patrzeć.

- Brązowe, jak u Gubana? - upewniła się Ayla.

- Skoro o nim wspomniałaś... tak, chyba tak - potwierdził Jondalar.

- Jesteś pewien, że matka Brukewała nie wyglądała trochę jak ludzie Klanu?... Jak Echozar... i Rydag?

- Nie wydaje mi się, żeby uważano ją za szczególnie urodziwą, ale też nie przypominam sobie, by miała zgrubienia nad oczami, jak Yorga. Nigdy nie znalazła sobie partnera... Mężczyźni raczej się nią nie interesowali.

- Więc w jaki sposób zaszła w ciążę?

Szeroki uśmiech Jondalara Ayla potrafiła dostrzec nawet w gęstniejącej ciemności.

- Wciąż jesteś przekonana, że do tego potrzeba mężczyzny, prawda? Wszyscy twierdzili zgodnie, że pobłogosławiła ją Matka, ale Zolena... Zelandoni powiedziała mi kiedyś, że matka Brukewała należała do tej nielicznej grupy, którą błogosławieństwo dosięgło zaraz po Rytuale Pierwszej Przyjemności. Ludzie uważają, że to za wcześnie, ale czasem po prostu tak się zdarza.

Ayla skinęła głową.

- Co się z nią później stało?

- Nie wiem. Zelandoni mówiła, że chorowita była z niej kobieta. Zdaje się, że zmarła, kiedy Brukeval był mały. Wychowała go matka Marony, która była kuzynką jego matki. Nie

powiedziałbym, że o niego dbała; był dla niej raczej przykrym obowiązkiem. Pamiętam, że czasem zajmowała się nim Marthona. Bawiliśmy się razem, kiedy byliśmy mali. Niektórzy ze starszych chłopców już wtedy potrafili mu dokuczyć. Nienawidził, kiedy nazywali go płaskogłowym.

- Nic dziwnego, że dzisiaj był tak wściekły na Charezala. Teraz przynajmniej rozumiem, o co mu chodziło, ale to spojrzenie... - Ayla znowu poczuła dreszcze. - Wyglądał dokładnie tak samo jak Broud, który nienawidził mnie przez całe życie. Nie wiem nawet, dlaczego... Nienawidził i już. Robiłam wszystko, żeby to zmienić, ale nic nie wskórałam. Powiadam ci, Jondalarze, nie chciałabym, żeby nienawiść Brukevala skierowała się przeciwko mnie.

Wilk uniósł głowę na powitanie, gdy weszli do domostwa Marthony. Znalazłszy futra, na których zwykle spała Ayla, zwinął się w kłębek obok nich, kiedy rozkazała mu "iść do domu". Znachorka uśmiechnęła się, widząc jego ślepia błyszczące w świetle jedynej lampki, której Marthona nie zgasiła na noc. Wilk polizał ją po twarzy i szyi w serdecznym powitaniu, gdy tylko przysiadła obok niego. Następnie w podobny sposób przywitał Jondalara.

- Nie przywykł do życia w takiej gromadzie ludzi - stwierdziła Ayla.

Kiedy zwierz wrócił do niej, wzięła w dłonie jego łeb i spojrzała głęboko w połyskujące ślepia.

- O co chodzi, Wilku? Zbyt wielu nieznajomych, do których trzeba się przyzwyczaić? Wiem, co czujesz. i 70

- Nie na długo pozostaną nieznajomymi, Aylo - pocieszył ją jasnowłosa. - Wszyscy już cię kochają.

- Z wyjątkiem Marony i jej przyjaciółek - dodała kwaśno Ayla, siadając wygodniej, by poluzować rzemienie splatające miękkie skórzane poły tego, co miało służyć jako chłopięca bielizna na zimę.

Jondalar wciąż jeszcze był zirytowany tym, w jaki sposób Marona potraktowała uzdrowicielkę, i wszystko wskazywało na to, że Ayli również nie jest łatwo pogodzić się z tym, co zaszło. Żałował, że doszło do tego incydentu akurat pierwszego dnia... Chciał, żeby Ayla była szczęśliwa pośród jego ludzi, skoro wkrótce miała do nich przystać. Mimo rozterek był dumny z tego, jak wybrnęła z trudnej sytuacji.

- Byłaś wspaniała. Świetnie utarłaś nosa Maronie... Wszyscy tak uważają - dodał z przekonaniem.

- Powiedz, dlaczego one chciały, żebym została wyśmiana? Przecież nawet mnie nie znają, nawet nie próbowały poznać.

To moja wina, Aylo - przyznał Jondalar, przerywając w połowie rozsznurowywanie wysokiego buta, zakrywającego niemal całą łydkę. - Tamtego lata Marona naprawdę miała prawo

spodziewać się, że zjawię się na Zaślubinach. A ja odszedłem bez słowa wyjaśnienia. Głęboko ją zraniłem tą ucieczką... Jak byś się czuła, gdybyś wierzyła, że mężczyzna zostanie wkrótce twoim partnerem, i obwieściła to wszystkim znajomym, a on... nie zjawiłby się na ceremonii?

- Byłabym bardzo nieszczęśliwa i wściekła na niego, ale mam nadzieję, że nie próbowałabym odgrywać się na kimś, kogo w ogóle nie znam - odrzekła Ayla i poluzowała rzemień spinający w pasie jej ciasne nogawkę. - Kiedy powiedziały, że chcą mi zrobić fryzurę, pomyślałam o Deegie, ale wolałam rozczesać włosy, gdy spojrzałam w zwierciadło i zobaczyłam ich dzieło. I pomyśleć, że mówiłeś mi, jacy mili, dobrze wychowani i gościnni są twoi Zelandonii.

- Bo są - przytaknął z naciskiem. - Większość jest - poprawił się.

- Ale nie wszyscy. Nie twoje były wielbicielki. Może powinieneś mi powiedzieć, kogo jeszcze mam się wystrzegać? - spytała z wyrzutem.

- Aylo, nie pozwól, żeby sprawa Marony zaciążyła na twojej opinii o wszystkich Zelandonii. Nie widziałas, jak bardzo polubili cię inni? Daj im chociaż szansę.

- A co z tymi, którzy znęcają się nad sierotami i zmieniają je w małych Broudów?

Większość ludzi jest zupełnie inna - odparł Jondalar, spoglądając z troską na swoją kobietę. Ayla westchnęła głęboko.

- Masz rację. Twoja matka nie jest taka ani twoja siostra, ani cała reszta twojego rodu. Nawet Brukeval był dla mnie bardzo miły, tylko że kiedy po raz ostatni widziałam u kogoś taki wyraz twarzy, Broud właśnie kazał Goowowi rzucić na mnie klątwę śmierci. Przykro mi, Jondalarze... Jestem zmęczona, to wszystko. - Znachorka wyciągnęła ręce ku mężczyźnie, wtuliła twarz w jego szyję i zaszlochała cicho. - Chciałam zrobić dobre wrażenie na twoich pobratymcach, chciałam znaleźć przyjaciół, ale one... te kobiety... odrzuciły mnie. Tylko udawały przyjaźń.

I zrobiłaś dobre wrażenie, Aylo. Lepszego nie mogłabyś wyrzucić. Marona zawsze miewała swoje humory, a ja po prostu spodziewałam się, że kiedy odszedłem, znalazła sobie kogoś innego. Jest bardzo atrakcyjna. Wszyscy nazywali ją zawsze Pięknością Zgromadzenia, najbardziej pożądaną kobietą podczas Letnich Spotkań. I chyba dlatego oczekiwano, że będzie moją partnerką - dodał Jondalar.

- Dlatego, że ty byłeś najprzystojniejszy, a ona najpiękniejsza? - upewniła się Ayla.

- Chyba tak - przyznał, czując, że płoną mu policzki, i ciesząc się, że światło w izbie było raczej wątłe. - Nie wiem tylko, dlaczego nikogo sobie nie znalazła.

- Mówiła, że miała partnera, ale związek trwał krótko. Wiem. Dlaczego nie chciał jej nikt inny? Przecież nie mogła nagle zapomnieć, jak daje się Przyjemność mężczyźnie, nie stała się też mniej piękna czy pociągająca.

- A może jednak? Skoro tyjej nie chciałeś, być może inni uznali, że powinni przyjrzeć się jej nieco uważniej. Kobieta, która potrafi krzywdzić nieznajomych dla kaprysu, może być znacznie mniej godna pożądania, niż ci się wydaje - powiedziała uzdrowicielka, ściągając jedną z nogawic.

Jondalar zmarszczył brwi.

- Mam nadzieję, że to nie moja wina. I tak źle się stało, że opuściłem ją w ważnej chwili... Nie chciałbym, żeby się okazało, że to przeze mnie nie może sobie teraz znaleźć partnera.

Ayla spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Dlaczego przyszło ci to do głowy?

- Przecież sama powiedziałaś, że skoro jej nie chciałem, to może inni mężczyźni...

- ...Powinni przyjrzeć się jej bardziej uważnie. Czy gdyby nie spodobało im się to, co zobaczyliby w niej przy bliższym poznaniu, byłaby to twoja wina?

- No cóż, ja...

- Możesz winić siebie tylko za to, że odszedłeś bez słowa wyjaśnienia. Jestem pewna, że była urażona i miała powody do wstydu przed innymi. Ale miała pięć lat na to, żeby znaleźć sobie kogoś innego, a jak sam powiedziałeś, jest uważana za bardzo atrakcyjną. Jeżeli nie znalazła, to nie twoja wina, Jondalarze - stwierdziła stanowczo Ayla.

Jondalar milczał przez chwilę, nim skinął głową.

- Masz słuszość - rzekł wreszcie, rozbierając się do końca. - Chodźmy spać. Rano sprawy zawsze wyglądają lepiej niż po ciężkim dniu.

Ayla wpełzła bezszelestnie między ciepłe i miękkie futra. Po chwili przyszła jej do głowy jeszcze jedna myśl.

- Skoro Marona jest taka dobra w dawaniu Przyjemności, to dlaczego jak dotąd nie doczekała się dzieci?

Jondalar zaśmiał się cicho.

- Mam nadzieję, że masz rację co do tego, że poczynanie dzieci jest Darem Doni... To by znaczyło, że mamy dwa Dary w jednym... - Mężczyzna urwał w pół zdania, unosząc swoją część wierzchnich futer. - Ale to prawda! Marona nie ma potomstwa.

- Nie podnoś tak wysoko, jest zimno! - skarciła go głośnym szeptem.

Jondalar okrył się szybko i przytulił do nagiego ciała znachorki.

Tak, to mógłby być powód, dla którego nie udało jej się znaleźć stałego partnera - rozmyślał na głos. - A przynajmniej jeden z powodów. Kiedy mężczyzna bierze sobie kobietę, zwykle chce mieć taką, która urodzi dzieci przy jego ognisku. Niewiasta zawsze może dać życie potomkowi i pozostać przy ognisku matki albo nawet stworzyć własne, ale jedynym sposobem na to, by mężczyzna doczekał się syna lub córki swego ogniska, jest przyjęcie do niego kobiety



zdolnej do rodzenia. Jeżeli Marona miała partnera i nie doczekała się dzieci, mogła stać się mniej atrakcyjna dla niego i dla innych.

Współczułabym jej, gdyby tak było - powiedziała cicho Ayla, czując nagłe ukłucie żalu.

Sama przecież zawsze pragnęła mieć dzieci. Marzyła o tym od chwili, gdy zobaczyła, jak Iza wydaje na świat Ubę, i była niemal pewna, że to nienawiść Brouda sprawiła, iż sama powiła syna. Młody mężczyzna przymuszał ją do "przyjemności"; gdyby tego nie robił, nowe życie nie zaczęłoby rozwijać się w jej łonie.

Wtedy jeszcze nie miała o tym pojęcia, ale przyglądając się uważnie swemu synowi, zrozumiała zasadę działania tego cudu. W klanie Bruna nigdy jeszcze nie narodziło się dziecko podobne do Durca. Nie wyglądało całkiem tak samo jak Ayla - jak Inni - toteż uznano je za zdeformowane dziecko Klanu, lecz młoda matka wiedziała, że chłopiec jest po prostu mieszańcem. Miał w sobie i cechy Innych, i Klanu. W nagłym przypływie olśnienia pojęła, że kiedy mężczyzna wkładał swój organ w miejsce, którym dzieci przychodziły na świat, niekiedy w jakiś sposób poczynało się nowe życie. Nie takie były wierzenia Klanu; także Inni odmiennie tłumaczyli sobie to zjawisko - zresztą nie tylko ci z ludu Jondalara - lecz Ayla była absolutnie pewna, że ma rację.

Leżąc u boku ukochanego i wiedząc, że nosi w sobie jego dziecko, uzdrowicielka czuła autentyczny żal na myśl o losie kobiety, która straciła takiego mężczyznę i, być może, w ogóle nie mogła mieć potomstwa. Czy naprawdę mogę winić Maronę za to, że jest rozgoryczona?, zastanawiała się Ayla. Co bym zrobiła, gdyby ktoś odebrał mi Jondalara? Na samą myśl poczuła łzy napływające do oczu i w duchu podziękowała Matce za to, że obdarzyła ją szczęściem.

Z drugiej jednak strony to, co zrobiła Marona, było wyjątkowo podłą sztuczką i mogło skończyć się znacznie gorzej. Ayla nie potrafiła nie czuć złości, szczególnie na myśl o tym, co by się stało, gdyby na przykład doszło do ostrej konfrontacji i gdyby Zelandonii odwrócili się do niej plecami. Mogła współczuć Maronie, ale nie musiała jej lubić. I jeszcze ta sprawa Brukewała... Cechy mężczyzny Klanu sprawiły, że polubiła go, ale teraz, kiedy zobaczyła go w trudnej sytuacji, postanowiła, że będzie ostrożna.

Jondalar tulił ją mocno, póki nie uznał, że zasnęła, a wtedy sam zamknął oczy i zapadł w sen. Ayla obudziła się jednak w środku nocy, czując, że musi wstać za potrzebą. Wilk bezszelestnie podążył za nią do specjalnego, ciasno plecionego kosza stojącego przy wejściu. Kiedy powróciła na posłanie, zwinął się w kłębek obok niej. Znachorka czuła się bezpiecznie, mając ciepłe ciało Wilka z jednej strony, a uko - i - 7/1 chanego mężczyzny z drugiej, lecz mimo to minął długi czas, nim sen znowu zwyciężył z niewesołymi myślami.

## ROZDZIAŁ 8

Ayla spała tego ranka długo. Kiedy usiadła na posłaniu i rozejrzała się, Jondalara i Wilka już nie było. Dom był pusty, lecz ktoś pozostawił dla niej torbę pełną wody i szczelną misę, z której mogła skorzystać, by się odświeżyć. Obok stał rzeźbiony drewniany kubek z płynem pachnącym jak zimna herbata miętowa. Znachorka nie była jednak w nastroju do próbowania żadnego napitku.

Wstała szybko, by ponownie użyć obszernego kosza przy wejściu. Tak, ostatnio zdecydowanie częściej chodzę za potrzebą, pomyślała. Chwyciwszy amulet, gwałtownym ruchem zdarła go z szyi, by skorzystać z misy, lecz nie po to, żeby się umyć, lecz po to, by zmieścić w niej zawartość żołądka, który wyraźnie odmawiał jej posłuszeństwa. Nudności, które czuła tego ranka, były znacznie silniejsze niż te z ostatnich dni. Barma Laramara, pomyślała kwaśno. Skrzyżowanie porannych nudności z "chorobą następnego dnia"... chyba lepiej będzie, jeśli następnym razem odpuszczę sobie picie tego specjału. Pewnie i tak nie służy teraz ani mnie, ani dziecku.

Kiedy do reszty opróżniła żołądek, użyła zimnej herbaty miętowej do przepłukania ust. Zauważyła, że w pobliżu posłania ktoś uczynny położył stertę świeżych, choć poplamionych ubrań, które pierwotnie zamierzała nałożyć na ucztę. Odziewając się, przypomniała sobie, że po południu pozostawiła je przy wejściu i że planowała nosić wyłącznie komplet, który ofiarowała jej Marona - głównie dla zasady, ale i dlatego, że był po prostu wygodny i nie widziała nic złego w używaniu go na co dzień. Będę go używać, ale nie dziś, postanowiła.

Przewiązała się w pasie solidnym rzemieniem, który służąc jej wiernie, przetrwał całą Podróż, w ulubionym miejscu umocowała przy nim pochwę na nóż i przesunęła na właściwe miejsce całą resztę zestawu małych torebek i mieszków, a na koniec zawiesiła na szyi amulet. Postanowiła zabrać ze sobą misę z cuchnącą zawartością, ale po namyśle zostawiła ją przy wejściu, nie bardzo wiedząc, gdzie mogłaby się pozbyć kłopotliwej zawartości. Zdecydowała, że zapyta kogoś, a pierwszą osobą, którą spotkała, była kobieta z dzieckiem, przechodząca opodal i pozdrawiająca ją gestem. Ayla przypomniała sobie jej imię.

- Miłego dnia... Ramaro. To twój syn?

Tak. Robenan chce się pobawić z Jaradalem, więc szukam Prolevy. Nie ma jej w domu, więc pomyślałam, że może przysła tutaj.

W domostwie nikogo nie ma - było pusto, kiedy się obudziłam. Nie wiem, dokąd wszyscy poszli. Zdaje się, że tylko ja zafundowałam sobie leniwy poranek... Zaspałam, nie da się ukryć - przyznała Ayla.

- Jak większość z nas - odrzekła Ramara. - Niewielu miało ochotę na wczesne wstawanie po wczorajszej biesiadzie. Laramar słynie z tego, że jego trunki są wyjątkowo mocne; to zresztą chyba jedyna rzecz, z której słynie.

Ayla wykryła w jej głosie ton pogardy. Przez chwilę wahała się, czy zapytać Ramarę o to, gdzie powinna pozbyć się produktu rannej niedyspozycji, ale w pobliżu nie zauważyła nikogo innego, a sprawa wydawała jej się raczej pilna.

- Ramaro... Chciałabym cię o coś zapytać. Gdzie właściwie mogę wylać trochę... nieczystości?

Przez moment kobieta przyglądała się jej w zdumieniu, ale gdy Ayla mimowolnie skinęła głową w stronę misy, uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Zdaje się, że masz na myśli rowy ustępowe. Spójrz tani, w stronę wschodniego krańca tarasu... nie na ogniska sygnałowe, tylko trochę dalej, w głębi. Jest tam ścieżka.

Tak, widzę ją - przytaknęła Ayla.

- Wiedzie pod górę - ciągnęła Ramara. - Pójdiesz nią aż do rozwidlenia. Dróżka w lewo jest bardziej stroma. Doprowadziłaby cię na górę, na szczyt tego urwiska. Dlatego pójdiesz w prawo. Ścieżka skręci wzdłuż zbocza, tak że w dole zobaczysz Leśną Rzekę. Kawalek dalej rozpoczyna się pole z rowami - poczujesz je prędzej, niż zobaczysz - dodała Ramara. - Minęło sporo czasu, odkąd posypywaliśmy je po raz ostatni. Przekonasz się sama.

Jasnowłosa z Mamutoi pokręciła głową.

- Posypywaliście?

Tak. Gotowanym pyłem skalnym. Robimy to od dawna, ale niestety, nie wszyscy - wyjaśniła Ramara, schylając się i podnosząc Robenana, który zaczął już tracić cierpliwość.

- W jaki sposób gotujecie pył skalny? I po co? - zainteresowała się Ayla.

- Całkiem prosto. Wystarczy wziąć kawałek tej skały i rozbić go na pył, potem ogrzać na wysokim ogniu - zwykle korzystamy z paleniska sygnałowego - i już można rozsypywać w rowach. Dzięki temu znika większość przykrego zapachu - jeśli nie zostanie wciągnięty, to przynajmniej jego źródło będzie zakryte. Ale kiedy poleje się pył wodą lub innym płynem, znowu twardnieje na kamień. Kiedy już rowy wypełnią się taką skałą, trzeba kopać nowe, a to bardzo ciężka praca. Dlatego nie lubimy sypać w nie pyłu zbyt często. No, ale teraz to już konieczne. Nie będziesz miała problemu ze znalezieniem tego poletka.

- Na pewno. Dziękuję, Ramaro - odparła Ayla i uśmiechnęła się do odchodzącej kobiety.

Wróciła po misę, lecz po zastanowieniu najpierw przyniosła z domu torbę z wodą, by móc wypłukać gęsto plecione naczynie. Wreszcie podniosła cokolwiek śmierdzące brzemie i zważym krokiem ruszyła w stronę ścieżki. Zbieranie i przechowywanie żywności dla tak ludnej Jaskini

wymaga wielkiego nakładu pracy, pomyślała, wdrapując się ścieżką pod górę. Ale pozbywanie się nieczystości to drugie tyle roboty. W klanie Bruna po prostu wychodziło się na zewnątrz - kobiety w jedno miejsce, mężczyźni w drugie. Tyle że często trzeba było zmieniać owe miejsca. Ayla przemyślała gruntownie proces, który wyjaśniła jej Ramara, i była mocno zaintrygowana.

Kalcynacja, czyli prażenie pyłu ze skał wapiennych - w wyniku którego powstawało wapno palone - a następnie wykorzystywanie tak pozyskanej substancji do zabijania zapachu odpadów, była zupełnie nie znaną jej praktyką. Jednakże dla ludzi, którzy mieszkali pośród wapiennych klifów i niemal bez przerwy posługiwali się ogniem, wapno palone było zupełnie naturalnym produktem ubocznym. Kiedy usuwano popiół z paleniska, w którym niewątpliwie zawsze zbierała się pewna ilość pyłu wapiennego, a potem wyrzucano go w to samo miejsce, w którym znajdowały się inne odpady, nietrudno było zauważyć pozytywne zmiany.

Ayla zrozumiała, że funkcjonowanie tak licznej społeczności, zamieszkującej niszę skalną w zasadzie stale - jeśli nie liczyć letnich wypraw łowieckich, kiedy Zelandonii grupami opuszczali osadę - wymagało nienaganej współpracy wszystkich ludzi. Bez niej trudno było wyobrazić sobie wykonanie tak potrzebnych zadań, jak kopanie rowów ustępowych czy prażenie pyłu na wapno palone, o którym znachorka dowiedziała się dopiero przed chwilą.

Słońce stało już niemal w zenicie, nim Ayla powróciła z pola rowów. W pobliżu ścieżki znalazła dobrze nasłonecznione miejsce, w którym mogła zostawić plecioną misę, by wyschła i wywietrzyła się porządnie. Nie mając nic lepszego do roboty, postanowiła zajrzeć do koni i przy okazji napełnić torbę wodą. Gdy dotarła na taras przed niszą, pozdrowiło ją kilkoro mieszkańców - pamiętała imiona tylko niektórych z nich. Uśmiechnęła się i skinęła głową, ale czuła się zakłopotana, gdyż nie potrafiła skojarzyć twarzy z imionami ludzi poznanych poprzedniego wieczoru. Złożyła to na karb słabości własnej pamięci i postanowiła zdecydowanie, że nadrobi braki tak szybko, jak będzie umiała.

Przypomniała sobie, że takie same uczucia targały nią, kiedy członkowie klanu Bruna zaczęli uważać ją za osobę wolno myślącą, bo nie władała pamięcią tak sprawnie jak reszta młodzieży. Dzięki temu, że narzuciła sobie ostry rygor, który miał pomóc jej w dopasowaniu się do standardów ludzi Klanu - jedynej rodziny, jaką знаła - opanowała umiejętność zapamiętywania za pierwszym razem wszystkiego, co jej powiedziano. Nie wiedziała jednak, że szkoląc wrodzoną inteligencję i przyswajając nową wiedzę, wyćwiczyła swą pamięć w stopniu znacznie przekraczającym przeciętne zdolności ludzi jej rasy.

Z biegiem czasu pojęła, że pamięć Klanu działa po prostu inaczej niż jej. Choć nie w pełni rozumiała, czym one są, wiedziała, że ludzie, którzy otaczali ją opieką, mają swoje "wspomnienia", które jednak nie były jej wspomnieniami. W toku ewolucji dokonującej się nieco odmiennym

torem ludzie Klanu przekazywali sobie z pokolenia na pokolenie specyficzny instynkt. Rodzili się z bogatym bagażem wiedzy, która umożliwiała im przetrwanie; z danymi zebranymi i utrwalonymi w genach niezliczonych zastępów przodków. Człowiek Klanu nie różnił się pod tym względem od zwierząt.

Dzieci rodzone przez kobiety z klanu Bruna nie musiały więc uczyć się i zapamiętywać; wystarczyło jednokrotne "przypomnienie" im pewnych rzeczy, które uruchamiało właściwe całej ich rasie wspomnienia. Ludzie Klanu wiedzieli wiele o tym, jaki był ich pradawny świat i jak należało w nim żyć, a kiedy nauczyli się czegoś, nigdy nie zapominali, lecz w przeciwieństwie do Ayli i innych przedstawicieli jej gatunku, z trudem przychodziło im pojmowanie nowych zjawisk. Niełatwo było im zaakceptować zmiany, które wraz z pojawieniem się Innych na ich ziemi stały się po prostu nieuniknione.

Koni nie było tam, gdzie je pozostawiła - na małej łące. Ogier i klacz pasły się teraz w głębi doliny, z dala od często odwiedzanej przez ludzi okolicy zlewiska wód Leśnej Rzeki i Rzeki. Na widok Ayli Whinney spuściła łeb i poderwała go gwałtownie, kreśląc nosem w powietrzu obszerny okrąg. Potem wygięła kark i zadarłszy ogon ku górze, z opuszczonym łbem pogalopowała w stronę kobiety. Zawodnik stanął dęba obok matki, dumnie wyprężył szyję, nastroszył uszy i ogon, a potem ruszył za nią równym cwałem.

Konie zarżały na powitanie. Ayła uśmiechnęła się i odpowiedziała im w ten sam sposób.

I z czego tak się cieszyacie? - spytała, używając znaków Klanu i języka słów, które sama sobie wynalazła, żyjąc w dolinie. Od samego początku w taki właśnie sposób zwracała się do Whinney i tak już pozostało. Wiedziała, że konie nie rozumieją jej w pełni, ale z pewnością odróżniają niektóre słowa i sygnały wizualne, a także rozpoznają ton głosu - tym razem pełen radości ze spotkania. - Widzę, że macie dziś świetny dzień. Czy wy w ogóle wiecie, że wreszcie dotarliśmy do kresu Podróży i nie będziemy więcej wędrować? - dodała po chwili. - Podobają wam się tutaj? Mam nadzieję. - Wyciągnęła rękę, by podrapać klacz w jej ulubionych miejscach, a potem pogłaskała ogiera. Wreszcie obmacała brzuch i boki Whinney, próbując wy badać, czy w macicy znajduje się już owoc tajemnej schadzki z obcym ogierem. - Jeszcze za wcześnie, żeby ustalić to ponad wszelką wątpliwość, ale moim zdaniem ty także będziesz miała dziecko, Whinney. Po mnie też niewiele widać, a ominęły mnie już dwa miesięczne krwawienia. - Ayła zbadała się w taki sam sposób, w jaki dokonała oględzin klaczy. Przybrałam w talii, pomyślała, mam bardziej okrągły brzuch, a piersi bolą mnie i urosły nieznacznie. - I co rano jest mi niedobrze - dodała na głos, z charakterystycznym zaśpiewem wymyślonej mowy. - Na szczęście tylko w chwilę po przebudzeniu, a nie przez cały dzień, jak było na początku. W każdym razie jestem pewna, że będę

miała dziecko. I czuję się dobrze, wystarczająco dobrze, by wybrać się na przejażdżkę. Co powiesz na odrobinę ćwiczeń, Whinney?

Klacz znowu kiwnęła głową, jakby w odpowiedzi.

Ciekawe, gdzie się podział Jondalar... Poszukam go i zapytam, czy wybierze się ze mną, pomyślała. Wezmę też derkę; będzie mi na niej wygodniej. Ale na razie - na oklep.

Wprawnym, płynnym ruchem chwyciła krótką, sterczącą grzywę Whinney i wskoczyła na grzbiet klaczy, by pognać w stronę abri. Kierowała koniem, naprężając mięśnie nóg, lecz czyniła to nieświadomie - po tak długim czasie mogła zdać się na odruchy. Pozwoliła klaczy biec własnym rytmem i po prostu cieszyła się jazdą. Usłyszała za sobą tętent kopyt Zawodnika, który jak zwykle podążył za matką.

Ciekawe, jak długo jeszcze będę w stanie tak sobie wskakiwać na Whinney, zastanawiała się uzdrowicielka. Kiedy urośnie mi brzuch, będę musiała podstawiać coś pod nogi, żeby wdrapać się na górę, dumiała, i omal nie objęła samej siebie z radości na myśl o dziecku. Przez chwilę powędrowała myślami do Podróży z Jondalarem, którą właśnie zakończyli, i do poprzedniego, obfitującego w zdarzenia dnia. Poznała tylu ludzi, że nie umiała ich wszystkich spamiętać, ale jej mężczyzna z pewnością miał rację: większości z nich nie mogła nazwać złymi. Nie powinnam pozwolić, żeby ci, których mniej lubię - Marona i Brukeval, kiedy zachowywał się jak Broud - zepsuli całe wrażenie i pozytywne uczucia, które wzbudzili inni, pomyślała. Ciekawe, dlaczego łatwiej jest zapamiętać imiona złych? Może dlatego, że jest ich niewiele?

Dzień był ciepły; promienie słońca ogrzewały nawet równo wiejący wiatr. Zbliżając się do jednego z dopływów rzeki - w zasadzie ledwie strumienia, wąskiego, lecz bystro płynącego - Ayla powiodła wzrokiem wzdłuż jego biegu i ujrzała mały wodospad spływający po skalnej ścianie. Poczula pragnienie i przypomniawszy sobie, że ma na ramieniu pustą torbę na wodę, postanowiła zbliżyć się do lśniącej strugi.

Zsiadła z klaczy i wraz z końmi zaczerpnęła czystej wody z małego rozlewiska u podnóża skały. Najpierw piła ze złożonych dłoni, potem napełniła chłodnym płynem szczelny skórzany pojemnik. Przez moment siedziała na kamieniu, odświeżona i nieco znudzona, podnosząc z ziemi małe odłamki i ciskając je w wodę. Rozglądała się po nieznanym terenie, podświadomie rejestrując szczegóły. Podniosła kolejny kamyk, obróciła go w dłoni, wyczuwając pod palcami szorstką powierzchnię i spoglądając nań niewidzącym wzrokiem, nim rzuciła go w ślad za poprzednimi.

Minęła chwila, nim uświadomiła sobie charakterystyczny wygląd skalnego odłamka. Zerwała się na równe nogi, by go poszukać, a kiedy znalazła - niekoniecznie ten sam, ale taki sam - kamień, przyjrzała mu się z wielką uwagą. Bryłka była mała, szarozłocista; miała ostre krawędzie i

płaskie boki. Ayla sięgnęła szybko po krzemienny nóż, tkwiący w pochwie u pasa, i uderzyła w kamień jego tępą stroną. Posypały się iskry! Spróbowała jeszcze raz.

To ognisty kamień! - krzyknęła donośnym głosem.

Nie widziała takich, odkąd opuściła dolinę. Schyliwszy się, zbadała uważnie dno strumienia i jego kamieniste brzegi. Wkrótce znalazła następną bryłkę pirytu żelaza, a zaraz potem następną. Z rosnącym podnieceniem zebrała kilka cennych kawałków.

Przysiadła na piętach, z radością spoglądając na kupkę podobnych bryłek. Okolica obfitowała w ogniste kamienie! Teraz już nie musieli tak bardzo uważać, posługując się tymi ze starego zapasu, w każdej chwili mogli znaleźć nowe. Nie mogła się doczekać, kiedy powie Jondalarowi o swoim odkryciu.

Zebrała zgromadzone odłamki i podniosła jeszcze kilka, widocznych w promieniu paru kroków, po czym gwizdnęła na Whinney, która oddaliła się w stronę jaskrawozielonej plamy świeżej trawy. Nim jednak zdążyła wskoczyć na grzbiet klaczy, dostrzegła Jondalara zmierzającego w jej kierunku z Wilkiem u nogi.

- Jondalarze! - zawołała, biegnąc ku nim. - Zobacz, co znalazłam! - wysapała, w biegu unosząc w powietrze dłoń z bryłkami pirytu żelaza. - Ogniste kamienie! Pełno ich tutaj. Są w strumieniu i na brzegach.

Żółtowołosy popędził w jej stronę, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu i ciesząc się na równi jej zaraźliwą radością oraz ważnym odkryciem.

- Nie wiedziałem, że przez całe życie miałem je niemal w zasięgu ręki. Nigdy nie zwracałem uwagi na takie odłamki; interesowały mnie wyłącznie krzemienie. Pokaż mi, gdzie je znalazłaś.

Ayla zaprowadziła go nad sadzawkę, do której wpadał mały wodospad, i wyteńczyła wzrok, pochylając się znowu nad korytem płynącego niestrudzenie strumienia.

- Spójrz! - zawołała triumfalnie. - Tam jest jeszcze jeden - dodała, wskazując na kamienisty brzeg.

Jondalar przyklęknął i podniósł bryłkę.

- Masz rację! Teraz wszyscy odczuwają różnicę, Aylo. Każdy Zelandonii będzie miał swój ognisty kamień. Skoro znalazłaś je tutaj, możliwe, że mogą zalegać w całej okolicy. I pomyśleć, że nikt jeszcze o nich nie wie i nie zna ich właściwości... Z nikim jeszcze nie zdążyłem porozmawiać na ten temat.

- Folarą już wie. I Zelandoni - powiedziała Ayla.

- Skąd?

Pamiętasz tę herbatę uspokajającą, którą donier zrobiła dla Willamara, kiedy opowiadałeś o swoim bracie? Folarą była bardzo przejęta, kiedy zobaczyła, jak rozpalam ogień za pomocą kamienia. Obiecałam, że pokażę jej, jak to się robi. A ona opowiedziała o tym Zelandoni - wyjaśniła znachorka.

To było do przewidzenia. Jakoś tak jest, że Zelandoni zawsze dowiaduje się o wszystkim pierwsza - rzekł Jondalar. - Wrócimy tu później, żeby zebrać więcej bryłek. A teraz ktoś chciałby z tobą porozmawiać.

- O Klanie? - rzuciła domyślnie.

- Joharran przyszedł rano i wyciągnął mnie na spotkanie. Było wcześniej, sam nie chciałem jeszcze wstawać, więc nie pozwoliłem, żeby cię obudził. Rozmawialiśmy o naszym spotkaniu z Gubanem i Yorgą. Wszyscy byli bardzo zainteresowani, ale wciąż trudno im uwierzyć, że Klan to ludzie, a nie zwierzęta. Zelandoni badała niektóre z Legend Starszych - tylko ona zna dobrze historię Zelandonii. Próbowała przypomnieć sobie jakieś wzmianki na temat płaskogłowych... ludzi Klanu... i tego, czy rzeczywiście mieszkali tu przed nami. Kiedy Ramara powiedziała Joharranowi, że już wstałaś, natychmiast kazał mi cię odnaleźć. Nie tylko on ma do ciebie wiele pytań - zakończył Jondalar.

Mężczyzna przyniósł ze sobą prostą uprząż Zawodnika, lecz młody ogier boczył się nieco, wciąż spragniony zabawy. Wreszcie zwierzę ustąpiło, zachęczone cierpliwymi pieszczotami Jondalara. Jasnowłosa i jego kobieta dosiedli koni, by ruszyć ku rzadkiemu laskowi porastającemu dolinę.

Zelandonii zwolnił nieco, by znaleźć się obok Ayli, i wahał się przez dłuższą chwilę, nim zdecydował się przemówić.

Ramara powiedziała, że po waszej porannej rozmowie odniosła wrażenie, iż jesteś chora. Sądzi, że zaszkoziła ci barma Laramara. Jak się teraz czujesz?

Trudno tu będzie utrzymać cokolwiek w tajemnicy, pomyślała Ayła. i 83

- Nic mi nie jest, Jondalarze - dodała głośno.

- On rzeczywiście warzy wyjątkowo mocne trunki. A ty już wczoraj nie byłaś w pełni sił, jak mi się zdaje - nie ustępował mężczyzna.

- Byłam tylko zmęczona - zapewniła go Ayła. - A dziś rano było mi trochę niedobrze, ale wyłącznie dlatego, że spodziewam się dziecka. - Z miny Jondalara wywnioskowała, że martwi go coś więcej niż poranne mdłości.

- Wczorajszy dzień był pełen wrażeń. Poznałaś tylu ludzi...



I większość z nich polubiłam - dokończyła, spoglądając na swego mężczyznę z lekkim rozbawieniem. - Tyle że nie przywykłam do obcowania z takim tłumem. Czułam się jak na Zgromadzeniu Klanu. Nie spamiętałam nawet wszystkich imion.

- Przecież słyszałaś je pierwszy raz w życiu. Nikt nie oczekuje, że od razu zapamiętasz wszystkie.

Pozostawili wierzchowce na końskiej łące, w miejscu, gdzie zaczynała się ścieżka wiodąca w górę. Spoglądając ku niebu, Ayla dostrzegła na tle jasnego błękitu zarys Spadającej Skały. Wydawało jej się przez moment, że stercząca z urwiska kolumna świeci dziwnym blaskiem, lecz kiedy przymknęła i otworzyła powieki, wszystko wróciło do normy. To tylko słońce, pomyślała. Pewnie spojrzalam w górę, nie zasłaniając oczu.

Z wysokiej trawy wychynął Wilk, który podążał za Ayla i Jondalarem dość zawiłą trasą, badając każde zagłębienie w ziemi i idąc tropem co bardziej interesujących zapachów. Kiedy zobaczył, że znachorka staje i spogląda ku niebu, uznał, że najwyższy czas w odpowiedni sposób powitać przywódczynię sfory. Wielki dziki pies zaskoczył ją, zniechęca stawiając silne łapy na jej ramionach. Zachwiała się nieco, lecz utrzymała równowagę, pozwalając, by jak zwykle polizał jej brodę i delikatnie ujął ją w zęby.

- Dzień dobry, Wilku - powiedziała, trzymając w dłoniach masywny kosmaty łeb. - Widzę, że nie tylko konie są dziś w świetnej formie.

Drapieżnik opadł na cztery łapy i spokojnie podążył ścieżką za panią, zupełnie nie reagując na zdumione okrzyki tych, którzy jeszcze nie widzieli tego niecodziennego przejawu sympatii między dziką bestią a człowiekiem, a także na dyskretnie uśmieszki tych, których bawiło przerażenie zdumionych ludzi. Ayla dała Wilkowi sygnał, by trzymał się blisko, przy nodze.

Pomyślała, że dobrze byłoby przystanąć na moment przy domostwie Marthony i zostawić torbę pełną wody, lecz Jondalar, nie zwalniając ani na chwilę, przeszedł przez część mieszkalną niszy. Maszerując razem, minęli stanowiska robocze i skierowali się ku południowozachodniej części osady. Ayla dojrzała w oddali grupkę kilku ludzi siedzących i stojących wokół resztek wczorajszego ogniska.

- Jesteście nareszcie! - zawołał Joharran, wstając z wapiennego bloku i podchodząc ku nim energicznym krokiem.

Po chwili Ayla zauważyła, że na skraju wielkiego, okopconego kręgu kamieni płonie nowe, mniejsze ognisko. Opodal stał głęboki koszyk wypełniony parującym płynem, na którego powierzchni unosiła się odrobina liści i innych resztek roślinnych. Naczynie pokryte było ciemną substancją, którą nos uzdrowicielki zidentyfikował jako smołę sosnową, zapewniającą wodoszczelność.

Proleva zaczerpnęła płynu chochlą i napełniła kubek.

- Napij się gorącej herbaty, Aylo - zaproponowała, wyciągając rękę.

Dziękuję - odrzekła Ayła, przyjmując kubek.

Napój był smaczny; dobrze dobranej mieszance ziół towarzyszył bardzo delikatny aromat sosny. Dopijając herbatę, pomyślała, że powinna pożywić się czymś konkretniejszym. Ciepły płyn sprawił, że nudności wróciły, a ból głowy nie minął. Zauważyła pusty kamienny blok i przysiadła na nim, mając nadzieję, że żołądek jakoś dojdzie do siebie. Wilk ułożył się u jej stóp. Ściskając w dłoni rozgrzany kubek, pożałowała, że nie przygotowała specjalnego napoju zwanego "nazajutrz", który niegdyś warzyła dla Taluta, przywódcy Mamutoi z Obozu Lwa.

Zelandoni spojrzęła na Aylę uważnie i odniosła wrażenie, że dostrzega pewne znajome objawy.

- Myślę, że najwyższy czas wrzucić coś na ząb. Zostały może jakieś resztki z wczorajszej uczty? - spytała, zwracając się do Prolevy.

- Dobry pomysł - podchwyciła Marthona. - Południe minęło. Jadłaś już coś, Aylo?

- Nie miałam kiedy - odpowiedziała wdzięczna, że ktoś pomyślał o tak prozaicznej sprawie. - Zasnęłam, potem poszłam do rowów i nad Leśną Rzekę, żeby spraw - i 85 dzieć, co u koni. Zabrałam je na przejażdżkę, a po drodze, nad małym strumieniem, napełniłam torbę wodą - wyjaśniła, unosząc nieco pojemnik. - I tam znalazł mnie Jondalar. r - Świetnie. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zaparzemy więcej herbaty i poproszę kogoś, żeby przyniósł jedzenie dla wszystkich - powiedziała Proleva i czym prędzej oddaliła się w stronę zabudowań osady.

Ayła rozejrzała się, by sprawdzić, kto bierze udział w naradzie, i natychmiast napotkała wzrok Willamara. Odwzajemniła uśmiech Mistrza Handlu, pogrążonego w rozmowie z Marthoną, Zelandoni i Jondalarem, który w tej chwili stał plecami do niej. Joharran z ożywieniem dyskutował o czymś z Solabanem i Rushemarem, najbliższymi przyjaciółmi i doradcami. Uzdrowicielka przypomniała sobie, że Ramara - kobieta z małym chłopcem, którą spotkała rankiem - była partnerką Solabana. Kobietę Rushemara poznała zaś poprzedniego wieczora... Ayła przymknęła oczy, próbując przypomnieć sobie jej imię. Salova, tak, to było to. Chwila spoczynku na kamiennym siedzisku wyraźnie uspokoiła nudności i dodała znachorce sił.

Przyglądając się pozostałym, rozpoznała siwowłosego mężczyznę imieniem Manvelar, który był przywódcą jednej z sąsiednich Jaskiń. Starzec rozmawiał z kimś, kto wydał się Ayli nieznajomy, i niespokojnym wzrokiem zerkał co chwilę na Wilka. Przywódcą Jaskini była też bez wątpienia wysoka i smukła kobieta, emanująca siłą i powagą. Ayła pamiętała ją mgliście, lecz nie potrafiła przywołać w myślach jej imienia. Siedzący obok przywódczyni mężczyzna miał na skroni

tatuż podobny do tego, który zdobił głowę Zelandoni, toteż znachorka założyła, że i on jest duchowym przywódcą jednej z grup.

Wreszcie dotarło do niej, że w zasadzie wszyscy zebrani są w pewien sposób liderami społeczności, które reprezentowali. W Klanie byłiby ludźmi o najwyższej pozycji społecznej. Pośród Mamutoi stanowiliby zapewne Radę Sióstr i Braci. U Zelandonii nie istniał jednak ów specyficzny system podwójnego przywództwa "sióstr i braci" - kobiet i mężczyzn - który wytworzył się w obozach Mamutoi. Rodacy Jondalara akceptowali zarówno władzę mężczyzn, jak i kobiet.

Proleva maszerowała w równie imponującym tempie jak poprzednio. I choć wyglądało na to, że jest odpowiedzialna za dostarczenie jedzenia zgromadzonym - zwrócono się do niej, gdy tylko pojawiła się sprawa południowego posiłku, jak zauważyła Ayla - to jednak najwyraźniej noszenie i serwowanie potraw nie należało do jej obowiązków. Kobieta pospiesznie wracała na naradę; widocznie uważała się za jej aktywnego uczestnika. Wydawało się więc, że partner lub partnerka przywódcy także ma coś do powiedzenia w sprawach ważnych dla ogółu mieszkańców.

W Klanie zgromadzenie tego typu byłoby wyłącznie sprawą mężczyzn. Kobiety nie mogły rządzić. Ich pozycja była zależna wyłącznie od pozycji partnera; nie dotyczyło to jedynie uzdrowicielek. W jaki sposób można ominąć tak kolosalną przeszkodę, gdyby doszło kiedyś do spotkania przywódców?, zastanawiała się Ayla.

- Ramara, Salova i kilka innych kobiet przygotowują dla nas posiłek - obwieściła Proleva, kiwając głową w stronę Solabana i Rushemara.

Doskonale - odrzekł Joharran, a jego wypowiedź brzmiała jak hasło do podjęcia przerwanej dyskusji. Prowadzone półgłosem rozmowy ucichły i wszyscy uczestnicy spotkania skierowali wzrok na przywódcę Dziewiętej Jaskini, on zaś spojrzął na znachorkę. - Wczoraj wieczorem Ayla została przedstawiona. Czy każdy z was miał już okazję poznać ją osobiście?

- Nie było mnie tu tej nocy - odparł mężczyzna, który chwilę wcześniej rozmawiał z siwym przywódcą.

W takim razie pozwólcie, że dokonam oficjalnej prezentacji - powiedział Joharran. Mężczyzna wystąpił naprzód, a Ayla wstała, dając Wilkowi sygnał, by pozostał na miejscu. - Aylo, oto Brameval, przywódca Małej Doliny, Czternastej Jaskini Zelandonii. Bramevalu, poznaj Aylę z Obozu Lwa Mamutoi... - Joharran urwał, szukając w pamięci całej reszty imion i tytułów - ...córkę Ogniska Mamuta. - I wystarczy, pomyślał.

Powtarzając swe imię i funkcję, Brameval wyciągnął ku kobiecie obie ręce.

Witam cię w imieniu Doni - powiedział.

Ayla uścisnęła jego dłonie.

W imieniu Mut, Wielkiej Matki Wszystkich, znanej też jako Doni, pozdrawiam cię - odpowiedziała Ayla, uśmiechając się ciepło.

Mężczyzna zauważył już wcześniej, że uzdrowicielka mówi w języku Zelandonii z niespotykanym akcentem, lecz nie okazał zdziwienia czy niechęci. Odwzajemnił uśmiech, przytrzymując dłonie kobiety nieco dłużej, niż należało.

- Mała Dolina to najlepsze miejsce na połów ryb, a ludzie z Czternastej Jaskini to najlepsi rybacy w okolicy. Jak nikt inny znamy się na łowieniu na kolec z przynętą. Jesteśmy bliskimi sąsiadami, koniecznie powinnaś nas odwiedzić.

- Dziękuję, chętnie. Lubię ryby i lubię je łowić, ale nie wiedziałam, że można je chwycić "na kolec". Kiedy byłam mała, nauczyłam się łapać je gołymi rękami. - Ayla mówiła z emfazą, odruchowo unosząc ramiona, wciąż uwięzione w dłoniach Bramewała.

- Bardzo chciałbym to zobaczyć - odrzekł mężczyzna, cofając wreszcie ręce.

Teraz z grupy wystąpiła wysoka przywódczyni.

- A ja chciałabym przedstawić ci naszego donier, Zelandoni z Rzecznej Osady - powiedziała. - Jego także zabrakło na wczorajszej biesiadzie - dodała, spoglądając na Bramewała spod uniesionych brwi. - Jedenasta Jaskinia słynie ze swych tratw, którymi Zelandonii podróżują w górę i w dół Rzeki. O wiele łatwiej jest transportować ciężkie ładunki drogą wodną niż na grzbietach ludzi. Jeżeli interesuje cię to, co robimy - zapraszam w odwiedziny.

- Ależ oczywiście, że tak. Jestem bardzo ciekawa, jak buduje się tratwy rzeczne - odpowiedziała Ayla, zastanawiając się intensywnie nad tym, czy kobieta przedstawiała jej się poprzedniego wieczora, a jeśli tak, to jak mogła mieć na imię. - Mamutoi potrafią budować coś w rodzaju pływających mis z grubych skór rozpiętych na drewnianej ramie. Używają ich do przepływania się z dobytkiem przez głębokie rzeki. W drodze do Jaskini musieliśmy z Jondalarem przepłynąć raz szerokie rozlewisko. Nurt był bardzo bystry, a mała, okrągła łódka tak lekka, że trudno było nią sterować. Kiedy przyczepiliśmy ją do włóka Whinney, było znacznie łatwiej.

- Nie rozumiem "włókawhinney". Co to znaczy? - spytała przywódczyni Jedenastej Jaskini.

- Whinney to imię jednego z koni, Karejo - odparł Jondalar, wstając z kamienia i podchodząc nieco bliżej. - A włók to pomysł Ayli. Na pewno chętnie ci powie, co to jest.

Ayla w krótkich słowach opisała drewnianą konstrukcję.

- Dzięki włókowi Whinney mogła pomagać mi w znoszeniu upolowanych zwierząt do jaskini. Pokażę ci kiedyś, jak to wygląda.

Kiedy dotarliśmy do drugiego brzegu tamtej wzburzonej rzeki, postanowiliśmy umocować misowatą łódkę do tyczek w miejsce plecionki - dodał Jondalar. - Mogliśmy wtedy włożyć nasze

rzeczy do środka, a dzięki temu, gdy przekraczaliśmy inne rzeki, ładunek unosił się na wodzie i nie zamakał, a tyczki ułatwiały kierowanie.

- Czasem i tratwą trudno jest sterować - przyznała kobieta. - Zdaje się, że tak już jest ze wszystkim, co pływa.

- Chyba nie ze wszystkim. Podczas Podróży zatrzymałem się na jakiś czas u Sharamudoi. Pewnie tylko oni potrafią wycinać piękne łodzie z potężnych pni drzewnych, zaostrzonych na obu końcach. Sterują nimi za pomocą wiosła - wymaga to wielkiej wprawy, ale Ramudoi, Rzeczni Ludzie Sharamudoi, są w tym naprawdę dobrzy - wyjaśnił Jondalar.

- Za pomocą wiosła?

To coś w rodzaju dużych, spłaszczonych łyżek, którymi popycha się łódź po wodzie. Kiedyś pomagałem Ramudoi budować łódź. Wtedy też nauczyłem się używać wiosła.

- Sądzisz, że te wiosła sprawdzają się lepiej niż długie tyczki, którymi odpychamy tratwy od dna rzeki?

- Jestem pewien, że rozmowa na temat tratw i żeglugi może być bardzo zajmująca, Karejo - wtrącił nagle jeden z mężczyzn. On także był szczupły, choć nieco niższy od smukłej kobiety. - Tylko że ja nie zostałem jeszcze przedstawiony. I chyba najlepiej będzie, jeśli zrobię to sam.

Kareja zarumieniła się lekko, ale nie odezwała się ani słowem. Ayla już po raz drugi usłyszała jej imię i dopiero teraz przypomniała sobie, że poznały się osobiście podczas uczty.

- Jestem Zelandoni z Jedenastej Jaskini Zelandonii, zwanej też Rzeczną Osadą. W imieniu Doni, Wielkiej Matki Ziemi, witam cię, Aylo z Mamutoi, córko Ogniska Mamuta - powiedział uroczyście mężczyzna, wyciągając rękę.

Pozdrawiam cię, Zelandoni z Jedenastej Jaskini jako Tego Który Służy Matce Wszystkich - odrzekła Ayla, podając mu dłoń.

Potężny uścisk mężczyzny przeczył jego wątłej budowie, lecz poza siłą żyłastych ramion znachorka wyczuła w donier także wewnętrzną moc i pewność siebie. Wykryła też coś jeszcze - w sposobie poruszania się mężczyzny - coś, co przywiodło jej na myśl niektórych mamutii poznanych na Letnim Spotkaniu Mamutoi.

Stary Mamut, który ją adoptował, opowiadał nieraz o ludziach, którzy w swych ciałach posiadali zarówno esencję mężczyzny, jak i kobiety. Uważano powszechnie, że władają oni mocą właściwą obu płciom i często obawiano się ich, lecz jeśli wstępowali w szeregi Tych Którzy Służą Matce, zyskiwali opinię wyjątkowo potężnych, dlatego byli mile widziani w tej wąskiej grupie duchowych przywódców. W rezultacie, jak wspominał opiekun Ayli, wiele kobiet, które pożądały kobiet, a także wielu mężczyzn, którzy czuli pociąg do mężczyzn, często wiązało swe losy z

Ogniskiem Mamuta. Znachorka zastanawiała się, czy podobnie miała się rzecz z Zelandoni - a sądząc po zachowaniu mężczyzny, który stał przed nią, raczej się nie myliła.

Jej uwagę przykuł znowu tajemniczy tatuaż nad skronią donier. Podobnie jak u Pierwszej Zelandoni składał się głównie z małych kwadratów - było ich jednak mniej; niektóre tylko zarysowano, inne zaś były wypełnione kolorami, choć nie w takim porządku, jak te u Zoleny. Teraz dopiero Ayla uświadomiła sobie, że w zasadzie każdy z obecnych, prócz Jondalara i jej samej, miał twarz ozdobioną tatuażem. Najmniej rzucał się w oczy motyw na obliczu Willamara, najbardziej zaś wymyślne dekoracje pokrywały skórę zgrabnej przywódczyni, Karei.

- Skoro Kareja zdążyła już pochwalić się osiągnięciami Jedenastej Jaskini - dorzucił donier, obracając głowę ku przywódczyni - mogę tylko przyłączyć się do zaproszenia, ale chciałbym jeszcze zadać ci jedno pytanie. Czy ty także jesteś Tą Która Służy?

Ayla zmarszczyła brwi.

- Nie - odpowiedziała. - Dlaczego sądzisz, że mogę nią być?

- Słuchałem plotek - przyznał z uśmiechem mężczyzna. - Wielu ludzi widziało, że masz władzę nad zwierzętami, zatem doszli do wniosku, że musisz być jedną z nas - wyjaśnił, wyciągając dłoń w stronę Wilka. - Poza tym słyszałem kiedyś co nieco o zwyczajach łowców mamutów ze wschodu. Podobno Ci Którzy Służą jedzą u nich wyłącznie mięso mamuta i wszyscy żyją w jednej jaskini, może nawet przy jednym ognisku. Kiedy więc przedstawiono cię jako "Aylę z Ogniska Mamuta", zacząłem się zastanawiać, czy te opowieści są prawdziwe.

- Niezupełnie - odparła uzdrowicielka, odwzajemniając uśmiech. - Rzeczywiście, pośród Łowców Mamutów Ci Którzy Służą Matce zawsze należą do Ogniska Mamuta, lecz nie oznacza to, że wszyscy mieszkają razem. To tylko nazwa, tak jak wasi "Zelandoni". Istnieje wiele Ognisk - Ognisko Lwa, Ognisko Lisa, Ognisko Żurawia. Nazwy wskazują na linie pokrewieństwa łączące ludzi. Zwykle człowiek rodzi się, należąc do jakiegoś Ogniska, czasem jednak może zostać adoptowany. Wiele Ognisk składa się na jeden Obóz, którego nazwa bierze się zwykle od Ogniska założyciela. Mój na przykład nazywano Obozem Lwa, ponieważ Talut urodził się przy Ognisku Lwa i został przywódcą Obozu, który założył. Jego siostra, Tulie, była przywódczynią - w każdym Obozie władzę sprawuje rodzeństwo.

Wszyscy słuchali z wielkim zainteresowaniem. Dla ludzi, którzy znali jedynie własne zwyczaje, opowieść o kulturze i organizacji społeczeństwa z dalekich stron była wręcz fascynującą pożywką duchową.

- "Mamutoi" znaczy w ich języku tyle co "łowcy mamutów", a może raczej "dzieci Matki polujące na mamuty", i u nich bowiem czci się Wielką Matkę - ciągnęła Ayla, starając się nie pozostawiać żadnych wątpliwości. - Mamut jest dla nich najświętszym zwierzęciem. To dlatego

Ognisko Mamuta jest zarezerwowane wyłącznie dla Tych Którzy Służą. Zwykle ludzie wybierają sobie Ognisko Mamuta lub czują się doń wybrani, ale ja zostałam tylko adoptowana przez starego Mamuta z Obozu Lwa, dlatego też jestem "córką Ogniska Mamuta". Gdybym była Tą Która Służy, powiedziałabym, że jestem "wybrana przez Ognisko Mamuta" lub "wezwana do Ogniska Mamuta".

Dwoje Zelandoni już szykowało się do zadania kolejnych pytań, lecz Joharran nie pozwolił im na to. Choć i on był zaintrygowany, w tej chwili bardziej interesowali go ludzie, którzy wychowali Aylę, niż ci, którzy ją adoptowali.

- Bardzo chciałbym dowiedzieć się jeszcze czegoś o Mamutoi - rzekł - ale Jondalar powiedział nam o kilku ważnych sprawach dotyczących płaskogłowych, których spotkaliście po drodze. Jeśli to, co mówi, jest prawdą, będziemy musieli zacząć myśleć o nich w zupełnie nowy sposób. Szczerze mówiąc, obawiam się, że płaskogłowi mogą stanowić dla nas znacznie większe niebezpieczeństwo, niż przypuszczaliśmy.

Dlaczego akurat niebezpieczeństwo? - spytała ostrożnie zaskoczona Ayla.

- Z tego, co mówi Jondalar, wynika, że oni są... myślącymi ludźmi. Zawsze uważaliśmy płaskogłowych za zwierzęta niewiele różniące się od niedźwiedzi jaskiniowych, a może nawet spokrewnione z nimi. Może nieco mniejsze, cokolwiek inteligentniejsze, ale jednak zwierzęta - wyjaśnił otwarcie Joharran.

- Wiemy, że w okolicy znajduje się wiele nisz i jaskiń, w których niegdyś mieszkały niedźwiedzie - dodała Marthona. - A Zelandoni powiedziała nam, że w Historiach i Legendach Starszych są pewne wzmianki o tym, iż dawno temu zabijano tu lub wyganiano stąd niedźwiedzie jaskiniowe, by Pierwsi Ludzie mogli znaleźć schronienie. Jeżeli niektóre z owych "niedźwiedzi" były w istocie płaskogłowymi, to... No cóż, jeśli oni naprawdę są inteligentnymi ludźmi, to wszystko jest możliwe.

- Jeżeli są ludźmi, a my zawsze traktowaliśmy ich jak zwierzęta, wrogo nastawione zwierzęta... - Joharran urwał, by zebrać myśli. - Muszę przyznać, że gdybym był na ich miejscu, rozważałbym przynajmniej możliwość odwetu, i to bardzo dawno temu. Moim zdaniem musimy być świadomi ryzyka, że oni kiedyś zechcą się zemścić.

Ayla odprężyła się nieco. Joharran dobrze wyłuszczył problem. Doskonale rozumiała, dlaczego ludzie Klanu mogą być teraz postrzegani jako zagrożenie. I nie wykluczała, że obawy przywódcy są uzasadnione.

- Zastanawiam się, czy właśnie dlatego ludzie z naszej rasy zawsze utrzymywali, że płaskogłowi są zwierzętami - odezwał się cicho Willamar. - Zabijanie zwierząt to jedno, szczególnie jeśli potrzebujemy żywności czy schronień, które zajmują, ale jeśli oni są ludźmi, choćby i bardzo odmiennymi od nas, ale jednak ludźmi, to sprawa wygląda zupełnie inaczej. Nikt z

nas nie chciałby myśleć, że jego przodkowie zabijali kiedyś ludzi i odbierali im domy, lecz wystarczy wmówić sobie, że płaskogłowi są zwierzętami, i już wszystko jest w najlepszym porządku, można z tym żyć.

Ayla uznała refleksję Willamara za zaskakująco szczerą, choć przecież nie pierwszy raz słyszała jego inteligentne, mądre komentarze. Zaczynała rozumieć, dlaczego Jondalar zawsze wypowiadał się o partnerze Marthony tak ciepło i z takim szacunkiem. Mistrz Handlu istotnie był niezwykłym człowiekiem.

- Złe wspomnienia bywają wyjątkowo trwałe - powiedziała Marthona. - Czasem żyją przez wiele pokoleń. A jeśli stają się pożywką dla historii i legend, nie blakną i zawsze mogą być zarzewiem konfliktu. Skoro tyle wiesz o ludziach Klanu, Aylo, może pozwolisz, że zadamy ci więcej pytań na ich temat?

Uzdrowicielka zastanowiła się, czy powinna powiedzieć zebranim o tym, że Klan rzeczywiście ma swoje opowieści i legendy, lecz nie potrzebuje ich, by pamiętać własną historię. Synowie i córki tego ludu rodzili się z gotowymi wspomnieniami.

Być może rozsądnie byłoby nawiązać z nimi kontakt w inny sposób, niż robiliśmy to do tej pory - podjął Joharran. - Kto wie, czy tym sposobem nie zdołamy uniknąć problemów, zanim jeszcze się pojawią. Trzeba się zastanowić, czy nie powinniśmy wysłać do nich posłańców, którzy mogliby zaproponować im wymianę handlową.

- Co o tym sądzisz, Aylo? - spytał Willamar. - Czy byliby zainteresowani handlem?

Ayla znowu zamyśliła się, marszcząc czoło.

- Nie wiem. Członkowie Klanu, z którymi mieszkałam, byli świadomi istnienia ludzi takich jak my. Nazywali nas Innymi i starannie unikali kontaktu. W małym Klanie, w którym dorastałam, prawie nigdy nie rozmyślano i nie rozmawiano o Innych. Każdy wiedział, że nie należę do Klanu, tylko do obcej rasy, ale byłam dla nich jedynie dzieckiem, w dodatku dziewczynką. Dla Bruna i pozostałych mężczyzn moja obecność nie miała wielkiego znaczenia; przynajmniej tak długo, jak byłam mała. Musicie jednak pamiętać, że klan Bruna mieszkał dość daleko od siedzib Innych. Teraz myślę, że był to dla mnie szczęśliwy zbieg okoliczności. Zanim zostałam znaleziona, nikt z klanu Bruna nie spotkał nigdy młodego Innego; niektórzy nie widzieli nawet dorosłego, choćby i z daleka. Owszem, chcieli przyjąć mnie i wychować, ale wcale nie jestem pewna, czy byliby tacy gościnni, gdyby zostali wygnani ze swoich domostw, a ich kobiety były napastowane przez bandę młodocianych brutali.

- Jondalar wspominał, że ktoś nawiązał kontakt handlowy z ludźmi Klanu, których spotkaliście po drodze - rzekł Willamar. - Skoro inni mogą prowadzić z nimi wymianę, to może i my spróbujemy?



- Nie sądzisz, że najpierw trzeba rozstrzygnąć, czy oni w ogóle są ludźmi, a nie zwierzętami spokrewnionymi z niedźwiedziami jaskiniowymi? - wtrącił Brameval.

- Są ludźmi, Bramevalu - stwierdził stanowczo Jondalar. - Gdybyś spotkał osobiście któregoś z nich, wiedziałbyś o tym. Są też mądrzy. Podczas Podróży spotkałem nie tylko tę parę, z którą porozumiała się Ayla. Przypomnij mi później, żebym ci o tym opowiedział.

- Powiadasz, Aylo, że zostałeś przez nich wychowana - odezwał się Manvelar. - Zatem mów, dowiedzmy się o nich czegoś więcej. Jacy oni właściwie są? - Siwowłosa sprawiał wrażenie rozsądnego, niezbyt skłonnego do wyciągania pochopnych wniosków, szukającego przede wszystkim wiedzy.

Ayla skinęła głową i przez moment zastanawiała się nad odpowiedzią.

To ciekawe, że uważacie ich za spokrewnionych z niedźwiedziami jaskiniowymi. Jest w tym, o dziwo, ziarno prawdy: ludzie Klanu są podobnego zdania. Co więcej, od czasu do czasu mieszkają wraz z niedźwiedziem.

Hmmm! - parsknął Brameval, jakby chciał powiedzieć: "A nie mówiłem?"

Ayla skierowała więc swoją wypowiedź do niego.

- W Klanie czci się Ursusa, Ducha Niedźwiedzia Jaskiniowego, w podobny sposób, jak inni wyznają wiarę w Wielką Matkę Ziemię. Ludzie, którzy mnie wychowali, nazywają nawet samych siebie Klanem Niedźwiedzia Jaskiniowego. Kiedy cały Klan zbiera się na Zgromadzeniu - podobnym do waszego Letniego Spotkania, choć nie odbywającym się co roku - urządzana jest tam święta ceremonia ku czci Ducha Niedźwiedzia Jaskiniowego. Na długo przed Zgromadzeniem Klanu łowcy z tego z Klanów, który ma być gospodarzem spotkania, chwytają żywcem małego niedźwiadka i hodują go w swojej jaskini. Karmią go i traktują tak, jak jedno ze swoich dzieci - przynajmniej do czasu, aż dorośnie i stanie się niebezpieczny. Wtedy budują dla niego klatkę, z której nie ucieknie, ale wciąż żywią go i troszczą się o niego na wiele sposobów.

Podczas Zgromadzenia Klanów - ciągnęła Ayla - mężczyźni biorą udział w zawodach, walcząc o zaszczyt posłania Ursusa do Świata Duchów, gdzie będzie mógł wstawić się za Klanem i dokąd przekaże ich prośby. Trzej, którzy zwyciężą w największej liczbie konkurencji, zostają wybrani - tyłu właśnie potrzeba silnych ludzi, by wysłać dorosłego niedźwiedzia w drogę do następnego świata. I choć to wielki honor być wybranym, jednocześnie jest to ogromne niebezpieczeństwo. Nierzadko bywa tak, że niedźwiedź zabiera ze sobą jednego albo i dwóch mężczyzn do Świata Duchów.

- A zatem porozumiewają się ze Światem Duchów - rzekł w zamyśleniu Zelandoni z Jedenastej.

- I grzebią swoich zmarłych, posypując ciała czerwoną ochrą - dodał Jondalar, wiedząc, że jego słowa mają dla mężczyzny głębokie znaczenie.

- Potrzeba czasu, by oswoić się z tymi rewelacjami i pojąć je w pełni - orzekła przywódczyni Jedenastej Jaskini. - Trzeba też wiele rozwagi. Możliwe, że czekają nas wielkie zmiany.

- Oczywiście, masz rację, Karejo - odpowiedziała Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą.

- A tymczasem zajmijmy się czymś, co nie wymaga wielkich rozważań: jedzeniem - zaproponowała Proleva, spoglądając ku wschodniemu krańcowi tarasu. Jak na komendę wszyscy podążyli wzrokiem w tę samą stronę i zobaczyli procesję mieszkańców osady z talerzami i koszami pełnymi stawy.

Na czas posiłku uczestnicy spotkania podzielili się na małe grupki. Manvelar przysiadł z talerzem pełnym jedzenia tuż przy Ayli, naprzeciwko Jondalara. Poprzedniego wieczora zdołał przedstawić się Ayli, ale widząc tłum otaczający gościa, zrezygnował z zawierania bliższej znajomości. Jego Jaskinia znajdowała się na tyle blisko, że mógł być pewien, iż w swoim czasie spotkają się jeszcze niejedną raz.

Wiem, że usłyszałaś już dziś kilka zaproszeń, ale pozwól, że dodam jeszcze jedno - zagał mężczyzna. - Musisz odwiedzić Skałę Dwóch Rzek. Trzecia Jaskinia Zelandonii to najbliżsi sąsiedzi Dziewiątej.

- Czternasta Jaskinia słynie z rybackich osiągnięć, a Jedenasta z budowania tratw. W czym specjalizuje się Trzecia Jaskinia? - spytała Ayli.

Jondalar uprzedził Manvelara. W polowaniu!

- Zdawało mi się, że wszyscy polują - zdziwiła się znachorka.

- Naturalnie, i dlatego nie ma się czym chwalić. Owszem, pojedynczy myśliwi z innych Jaskiń lubią rozprawiać o swoim kunszcie i może istotnie nie są źli, ale jako grupa Trzecia Jaskinia to najlepsi łowcy.

Manvelar uśmiechnął się lekko.

- Czasem chwalimy się tym w pewien sposób, ale... moim zdaniem sekret naszych sukcesów tkwi w położeniu Jaskini. Mieszkamy wysoko, w niszy leżącej ponad zlewiskiem dwóch rzek. Tej - tu mężczyzna machnął kawałkiem udźca w stronę Rzeki - i mniejszej, którą nazywamy Rzeką Traw. Wzdłuż ich brzegów ciągną się trawiaste doliny. Większość zwierząt, na które polujemy, wędruje właśnie tamtędy, a z naszej niszy najlepiej widać ich stada, i to o każdej porze roku. Nauczyliśmy się przewidywać, w którym momencie pojawią się interesujące nas gatunki, i zwykle uprzedzamy inne Jaskinie, ale najczęściej bywa tak, że wyruszamy na polowanie pierwsi.

- Pewnie masz rację, Manvelarze, ale też wszyscy myśliwi z Trzeciej Jaskini są świetni, nie tylko jeden czy dwaj. Ciężko pracują nad tym, żeby nie mieć sobie równych - rzekł Jondalar. - Ayla dobrze to rozumie. Uwielbia polować i jest niesamowita, jeśli chodzi o strzelanie z procy, ale poczekaj, aż zobaczysz miotacz oszczepów, który razem wymyśliliśmy. Można nim cisnąć oszczep o wiele szybciej i dalej niż normalnie; nie uwierzysz własnym oczom. Ayla miota celniej, a ja trochę dalej, ale zapewniam cię, że każdy będzie w stanie trafić zwierzę z dwu - albo i trzykrotnie większej odległości niż zwykle, gołą ręką.

- Pewnie, że chciałbym to zobaczyć! - odparł Manvelar. - Joharran chce urządzić wkrótce łowy, żeby przygotować zapasy na Letnie Spotkanie. To może być dobra okazja do pokazania wszystkim możliwości tej waszej nowej broni, Jondalarze. Rozumiem, że oboje przyłączycie się do polowania? - dodał, zwracając się do Ayli.

- O, tak, chciałabym iść z wami - przytaknęła uzdrowicielka i umilkła, by ugryźć kawałek mięsiva. - Mam pytanie - odezwała się po chwili, spoglądając na mężczyzn.

- Dlaczego Jaskinie są ponumerowane akurat tak, a nie inaczej? Czy wszystkie te liczby mają jakieś znaczenie?

- Najstarsze Jaskinie mają najniższe numery - odrzekł Jondalar. - To one zostały założone pierwsze. Trzecia Jaskinia powstała przed Dziewiątą, a Dziewiąta przed Jedenastą i Czternastą. Pierwsza Jaskinia już nie istnieje. Najstarsza jest teraz Druga Jaskinia Zelandonii, zresztą też nieodległa. Jaskinia Manvelara jest drugą co do starszeństwa. Założyli ją podobno Pierwsi Ludzie.

- Kiedy uczyłeś mnie tych słów, które służą do liczenia, zawsze występowały w takim samym porządku - drażyła Ayla. - Skoro to jest Dziewiąta Jaskinia, a Manvelar pochodzi z Trzeciej, to gdzie się podzieli ludzie z Jaskiń o numerach od czterech do ośmiu?

Mężczyzna o srebrzystych włosach uśmiechnął się. Ayla wybrała właściwą osobę do udzielania informacji na temat Zelandonii. Manvelar od dawna interesował się historią swego ludu i udało mu się zebrać pokaźną ilość informacji od Zelandoni z różnych Jaskiń, wędrownych Opowiadaczy oraz zwykłych ludzi, którzy przekazywali sobie ciekawe opowieści z pokolenia na pokolenie. Doszło nawet do tego, że sama Pierwsza Zelandoni niekiedy przychodziła do niego z pytaniami na temat historii i legend.

Po latach od założenia Jaskiń przez Pierwszych Ludzi wiele się zmieniło - zaczął Manvelar. - Zelandonii przenosili się do innych nisz w poszukiwaniu partnerów. Jedne Jaskinie stawały się coraz mniej liczne, inne rosły w siłę.

- A jeszcze inne, na przykład Dziewiąta, osiągały niesamowitą liczebność - wtrącił Jondalar.

W naszych opowieściach nie brakuje wzmianek o chorobach, które od czasu do czasu dziesiątkowały nasz lud, a także o trudnych latach, kiedy panował głód - kontynuował Manvelar. - Kiedy w Jaskiniach brakuje ludzi, czasem łączą się one po dwie lub więcej. Zwykle przyjmuje się wtedy niższy numer, ale nie zawsze. Gdy Jaskinia robi się nazbyt ludna, jak na rozmiary niszy, grupa ludzi może oddzielić się i stworzyć nową, często gdzieś w pobliżu macierzystej. Jakiś czas temu taki podział nastąpił w Drugiej Jaskini. Część ludzi przeniosła się na przeciwległy kraniec doliny i przyjęła miano Siódmej Jaskini, bo istniały wtedy Jaskinie Trzecia, Czwarta, Piąta i Szósta. Trzecia, rzecz jasna, istnieje do dziś, podobnie jak Piąta z dalekiej północy, ale Czwartej i Szóstej już nie ma.

Ayla, uradowana nowymi wiadomościami o Zelandonii, obdarzyła mężczyznę uśmiechem pełnym wdzięczności. Przez pewien czas siedzieli we troje, posilając się w milczeniu. Wreszcie znachorka dojrzała do zadania kolejnego pytania.

- Czy wszystkie Jaskinie mają swoją specjalność, taką jak łowienie ryb, polowanie czy budowanie tratw?

Większość ma - odparł Jondalar.

- A z czego słynie Dziewiąta Jaskinia?

- Ze swych artystów i rzemieślników - odrzekł Manvelar. - W żadnej Jaskini nie brakuje talentów w tych dziedzinach, ale tutaj pracują najlepsi. Między innymi dlatego Dziewiąta jest tak ludna. Nie myśl, że to tylko kwestia szybkiego rodzenia dzieci; ktokolwiek chce uczyć się od mistrzów dowolnego rzemiosła - od rzeźbienia po wykonywanie narzędzi - po prostu przenosi się do Dziewiątej Jaskini.

- Wszystkich przyciąga Dolnorzecze - stwierdził Jondalar.

- Co to jest "Dolnorzecze"? - spytała Ayla.

- To taka nisza leżąca nieco dalej w dół rzeki - wyjaśnił jasnowłosy. - W zasadzie nie jest to zorganizowana Jaskinia, choć mogłabyś odnieść takie wrażenie, widząc, ilu ludzi zbiera się tam co dnia. To miejsce, w którym można spokojnie pracować i rozmawiać z innymi o tym, co się robi. Zabiorę cię tam; może zaraz po tej naradzie, o ile uda się ją zakończyć przed zmrokiem.

Gdy wszyscy skończyli jeść - nie wyłączając kobiet, które przyniosły jedzenie, kilkorga dzieci oraz Wilka - zebrani odpoczęli jeszcze chwilę, popijając gorącą herbatę z kubków i miseczek. Ayla czuła się teraz znacznie lepiej. Nudności minęły, podobnie jak ból głowy, ale zamiast nich ponownie pojawiło się silne parcie na pęcherz. Kiedy kobiety z pustymi już talerzami i koszami poczęły oddalać się w stronę zabudowań, znachorka zaczęła na moment, gdy Marthona została sama, i szybko podbiegła do niej.

- Czy jest tu w pobliżu jakieś miejsce, w którym można... oddać wodę? - spytała cicho. -  
Może powinnam wrócić do twojego domu?

Marthona uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Właśnie myślałam o tym samym. Obok Stojącej Skały jest ścieżka, którą można dojść nad Rzekę. Jest może nieco stroma w górnej części, ale można nią dotrzeć w takie miejsce na brzegu, gdzie chadzają tylko kobiety. Pokażę ci.

Wilk ruszył za nimi i przez chwilę obserwował Aylę, potem jednak wyczuł w powietrzu bardziej interesującą woń i poszedł w swoją stronę, wzdłuż brzegu Rzeki. W drodze powrotnej kobiety minęły Kareję zmierzającą w przeciwną stronę. Skinęły do niej głowami, wymieniając domyślne uśmiechy.

Wkrótce potem siedzący przy palenisku Joharran wstał, by upewnić się, czy wszyscy już wrócili i można wznowić dyskusję. Zebrani z uwagą wpatrywali się w twarz przywódcy Dziewiątej Jaskini.

- Aylo - zaczął Joharran - kiedy jedliśmy, Kareja zadała mi pytanie. Jondalar wspominał, że potrafi porozumieć się z płaskogłowymi - ludźmi Klanu, jak ich nazywasz - ale nie tak dobrze jak ty. Czy naprawdę władasz ich językiem tak świetnie, jak twierdzi mój brat?

Tak. Znam ich język - potwierdziła Ayla. - Wychowałam się wśród nich i nie znałam żadnego innego języka, póki nie spotkałam Jondalara. Podejrzewam, że dawno temu, kiedy byłam bardzo mała, zanim straciłam kontakt z moim ludem, posługiwałam się inną mową, ale nie pamiętam jej.

- Potwierdzasz jednak, że miejsce, w którym dorastałaś, znajduje się bardzo daleko, ponad rok wędrówki stąd?

- indagował Joharran. Ayla skinęła głową. - Język ludzi, którzy żyją w odległych stronach, nie jest taki sam jak nasz. Ja na przykład nic nie rozumiem, kiedy rozmawiasz z Jondalarem w mamutoi. Nawet Losadunai, którzy mieszkają znacznie bliżej, używają innej mowy. Niektóre słowa są podobne i część z nich rozumiem, ale potrafię przekazać tylko najprostsze myśli. Jak przypuszczam, język ludzi Klanu także różni się od naszego, ale nie pojmuję, jakim sposobem umiesz dogadać się z płaskogłowymi z naszych ziem, skoro wychowali cię tamci z dalekich stron?

- Rozumiem twoje wątpliwości - odrzekła uzdrowicielka. - Kiedy spotkaliśmy Gubana i Yorgę, sama nie byłam pewna, czy potrafię nawiązać z nimi kontakt. Na szczęście język Klanu różni się od mowy słów nie tylko tym, że jest pełen znaków i symboli, ale i tym, że tak naprawdę składa się z dwóch języków.

- Jak to z dwóch języków? - zdziwiła się Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą.

- Członkowie każdego klanu władają swoim zwykłym językiem, który służy im do codziennego porozumiewania się - wyjaśniła Ayla. - Gestami rąk wyrażają różne znaki, używają też specyficznych pozycji ciała i wyrazów twarzy, by przekazywać sobie bardziej złożone myśli. Czasem posługują się słowami, choć nie są w stanie powtórzyć wszystkich dźwięków, które składają się na naszą mowę. Niektóre Klany używają słów chętniej niż inne. Codzienny język oraz słownictwo Gubana i Yorgi były inne niż te, które poznałam w moim Klanie, dlatego nic nie rozumiałam. Na szczęście ludzie Klanu znają też szczególny język, którym posługują się w kontaktach ze Światem Duchów i z innymi Klanami, władającymi na co dzień odmiennym kodem sygnałów. Język ten jest bardzo stary i prawie nie ma w nim słów mówionych, jeśli nie liczyć imion własnych. I właśnie dzięki niemu porozumiałam się z Gubanem i Yorgą.

Pozwól, że upewnię się, czy dobrze rozumiałam - odezwała się wyraźnie poruszona Zelandoni. - Klan, czyli cała rasa płaskogłowych, posługuje się nie jednym językiem, ale dwoma, przy czym ten drugi jest zrozumiały dla absolutnie wszystkich ludzi tego gatunku, nawet dla tych, którzy mieszkają o rok drogi stąd?

- Dość trudno w to uwierzyć - powiedział Jondalar, uśmiechając się szeroko. - Ale taka jest prawda.

Zelandoni pokręciła głową. Pozostali sprawiali wrażenie równie sceptycznych.

To prastary język, a ludzie Klanu mają w umysłach bardzo odległe wspomnienia - próbowała wyjaśnić Ayla. - Oni niczego nie zapominają.

- Moim zdaniem trudno uwierzyć, że naprawdę potrafia komunikować się wyłącznie gestami i znakami - rzekł z powątpiewaniem Brameval.

- Ja też tak uważam - przytaknęła Kareja. - Może jest tak, jak mówił Joharran o wzajemnym rozumieniu języków Losadunai i Zelandonii? Może mówimy tu jedynie o przekazywaniu najprostszyc myśli?

- Wczoraj, w moim domu, urządziłaś dla nas mały pokaz - odezwała się Marthona. - Może teraz powtórzyłabyś go dla wszystkich?

- A skoro Jondalar, jak sam twierdzi, zna trochę ten język, mógłby dla nas tłumaczyć - podchwycił myśl Manvelar. Zebrani potakowali mu, kiwając głowami.

Ayla wstała i znieruchomiała na moment, zbierając myśli. I wreszcie przemówiła, używając prastarego języka znaków Klanu.

Ta kobieta chciałaby pozdrowić mężczyznę, Manvelara. - Imię wymówiła na głos, nadając mu znacznie dziwniejszy akcent niż ten, który zwykle zabarwiał jej mowę.

Witaj, Manvelarze - przetłumaczył Jondalar.

Ta kobieta chciałaby pozdrowić mężczyznę, Joharrana - zasygnalizowała Ayla.

Witaj, Joharranie - powiedział Jondalar. Przetłumaczył jeszcze kilka prostych zdań, ale od początku wiedział, że prezentacja nie ma wiele wspólnego z prawdziwą głębią milczącej mowy. Zdawał sobie sprawę i z tego, że jego kobieta potrafi wyrazić gestami znacznie więcej, lecz on nie umiałby przełożyć bardziej skomplikowanych myśli.

- Pokazujesz nam tylko podstawowe znaki, prawda, Aylo?

- Nie wydaje mi się, żebyś potrafił przetłumaczyć coś trudniejszego, Jondalarze. Tylko tyle nauczyłam ciebie i innych w Obozie Lwa. Wystarczyło, żeby porozumieć się z Rydagiem, ale obawiam się, że nie odczytałbyś znaczenia, gdybym użyła pełnego "słownictwa".

Podczas pokazu u mnie sama tłumaczyłaś wszystkie znaki - przypomniała Marthona. - Moim zdaniem tak było najlepiej.

Właśnie, może wystąpisz przed Bramevalem i pozostałymi, używając obu języków naraz - przytaknął Jondalar.

- Zgoda, ale o czym miałabym opowiedzieć?

- Może o swoim życiu w Klanie? - zasugerowała Zelandoni. - Pamiętasz, jak to było, kiedy przyłączyłaś się do Klanu?

Jondalar uśmiechnął się do masywnej kobiety. Pomysł był świetny; pokaz nie tylko uświadomiłby zebranych możliwości języka znaków, ale jednocześnie ukazałby im, że ludzie Klanu są zdolni do współczucia, że potrafili zaopiekować się osieroconym dzieckiem - i to należącym do innej rasy. Niech zobaczą, że ludzie Klanu traktują nas lepiej niż my ich, pomyślał Jondalar.

Ayla stała przez chwilę nieruchomo, zastanawiając się nad treścią wypowiedzi, a potem zaczęła mówić jednocześnie w języku znaków Klanu i mowie Zelandonii.

- Niewiele pamiętam z tego, co było na początku, ale Iza często opowiadała mi o tym, jak mnie znalazła. Ludzie z klanu Bruna szukali nowej jaskini po silnym trzęsieniu ziemi; zapewne tym samym, które śni mi się od czasu do czasu. Stracili dom, a spadające skały zabiły kilka osób, niszcząc przy okazji sporo dobytku. Pogrzebawszy zmarłych, opuścili jaskinię, bo nawet gdyby nadawała się jeszcze do zamieszkania, uznano by ją za nieszczęśliwe miejsce. Duchy ich totemów nie były w niej szczęśliwe i dlatego nakazały im odejść. Wędrowali szybko - potrzebowali nowego domu, nie tylko dla siebie, ale i dla duchów opiekuńczych, które były niezadowolone.

Choć Ayla starała się, by jej głos był w miarę neutralny, a cały ciężar opowiadania spoczywał na ruchach rąk i pomniejszych znakach, słuchacze dali się ponieść niezwykłej historii. Dla nich także totemy były sprawą blisko związaną oni z kultem Doni i doskonale rozumieli, jaką katastrofą może być gniew Wielkiej Matki Ziemi.

- Iza powiedziała mi, że szli wzdłuż rzeki, gdy nagle zobaczyli gromadę ptaków padlinożerców krążącą po niebie. Brun i Gród zauważyli mnie pierwsi, ale poszli dalej.

Szukali pożywienia i nie mieliby nic przeciwko temu, by ścierwojady pokazały im drogę do martwego zwierzęcia, które padło łupem drapieżcy. Wtedy mogliby odpędzić czworonożnego łowcę na wystarczająco długi czas, by zabrać mu choć część mięsa. Sądzieli, że jestem martwa, a ludzi z zasady nie jedzą - nawet Innych.

Ruchy Ayli, snującej opowieść za pomocą niewymuszonych, subtelnych gestów, były pełne gracji. Każdy znak, który wykonywała, nosił znamiona długoletniej praktyki.

- Kiedy Iza ujrzała mnie leżącą na brzegu rzeczki, zatrzymała się na chwilę, by popatrzeć z bliska. Była znachorką, więc interesowała się takimi sprawami. Moja noga była rozorana pazurami wielkiego kota. Iza uznała, że musi to być robota lwa jaskiniowego; ciało zaczynało już gnić. Z początku wyglądałam na martwą, lecz kiedy usłyszała mój jęk, postanowiła zbadać mnie dokładniej i zauważyła, że jeszcze oddycham. Spytała Bruna - jej brata i przywódcę klanu - czy może mnie zabrać, a on jej nie zabronił.

To dobrze! Słusznie! - rozległy się głosy słuchaczy. Jondalar uśmiechnął się w duchu.

Iza była wtedy brzemienna, lecz mimo to postanowiła mnie nieść. Wytrzymała dzielnie aż do wieczora, do czasu rozbicia obozu. Nie była pewna, czy jej leki działają na Innych, ale słyszała o jednym przypadku udanego leczenia sprzed lat, więc zdecydowała się spróbować. Nałożyła mi okład, żeby zwalczyć infekcję, a potem nosiła mnie przez cały następny dzień. Pamiętam, że kiedy obudziłam się i pierwszy raz zobaczyłam jej twarz, krzyczałam ze strachu, ale ona przytuliła mnie i uspokoiła. Trzeciego dnia mogłam już trochę chodzić i wtedy Iza postanowiła, że będę jej dzieckiem.

Ayla urwała i wokół ogniska zapanowała martwa cisza. Historia z jej dzieciństwa poruszyła wszystkich do głębi.

- Ile miałaś wtedy lat? - spytała w końcu Proleva. Iza mówiła mi później, że mogłam mieć nie więcej niż pięć. Byłam pewnie w wieku Jaradala czy Robenana - dodała, spoglądając na Solabana.

- Czy wszystko to, co usłyszeliśmy, powiedziałaś jednocześnie gestami? - upewnił się Solaban. - Czy oni naprawdę potrafią wyrazić aż tyle bez słów?

- Nie ma odrębnego znaku na każde ze słów, które wymówiłam, ale ten, kto zna język gestów, zrozumiałby tyle samo, co wy. To coś więcej niż tylko wymachiwanie rękami. Liczy się wszystko, nawet mrugnięcie czy nieznaczne skinienie głową.

- Musicie też wiedzieć, że w tym języku nie można kłamać - dodał Jondalar. - Jeśli ktoś próbuje przekazywać nieprawdę, zawsze zdradzi go nieświadomy ruch lub wyraz twarzy. Kiedy spotkałem Aylę, nie mieściło jej się w głowie, że w ogóle istnieje coś takiego jak kłamstwo. Nie rozumiała, kiedy próbowałem jej wytłumaczyć, że można z premedytacją mówić słowa, które nie



są prawdą. Teraz już to pojmuję, ale nigdy nie robi z tego użytku. Ayla nie potrafi kłamać. Nie nauczyła się, jak to się robi. Tak ją wychowano.

Być może mowa znaków jest bardziej wartościowa, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka - powiedziała cicho Marthona.

- Moim zdaniem to oczywiste, że język gestów jest dla Ayli naturalnym sposobem porozumiewania się - oświadczyła Zelandoni i przyznała w myśli, że ruchy uzdrowicielki z pewnością nie byłyby tak płynne i wdzięczne, gdyby udawała. Zresztą dlaczego miałyby udawać? I czy mogło być prawdą to, że nie potrafi kłamać? Donier nie była do końca przekonana, ale argumenty Jondalara przemawiały do jej wyobraźni.

- Opowiedz nam więcej o swoim życiu w Klanie - poprosił Zelandoni z Jedenastej. - Nie musisz już używać znaków, chyba że masz ochotę. To, co nam pokazujesz, jest naprawdę piękne, ale sądzę, że każdy z nas zrozumiał już, jakie są możliwości języka gestów. Wspomniałaś, że pochowali zmarłych. Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o ich praktykach pogrzebowych.

To prawda, że grzebią zmarłych. Pamiętam, jak to było, kiedy Iza odeszła.

Dyskusja ciągnęła się przez całe popołudnie. Ayla we wzruszający sposób streściła przebieg rytualnej ceremonii pogrzebowej, a potem znowu długo opowiadała o swoim dzieciństwie. Zadawano jej wiele pytań, często przerywając odpowiedzi gorącymi dysputami i żądaniem dalszych wyjaśnień.

Wreszcie Joharran zauważył, że z wolna zapada zmierzch.

203

- Sądzę, że Ayla jest już zmęczona, a i nam wszystkim pewnie znowu doskwiera głód - powiedział. - Zanim się rozejdziemy, musimy jeszcze porozmawiać o polowaniu przed Letnim Spotkaniem.

- Jondalar mówił, że przywieźli z Aylą nową broń myśliwską, którą koniecznie powinniśmy zobaczyć - wtrącił Manvelar. - Może jutro lub pojutrze będziemy mieli odpowiednią pogodę do polowania. W tym czasie Trzecia Jaskinia zdąży przygotować plan działania.

- Zgoda - odrzekł Joharran. - A teraz zapraszam, jeśli jesteście głodni; Proleva przygotowała dla nas jeszcze jeden posiłek.

Spotkanie przy ognisku było emocjonujące, a opowieści znachorki wręcz fascynujące, lecz wszyscy poczuli ulgę, mogąc wreszcie rozprostować kości. W drodze do domu Marthony Ayla rozmyślała o pytaniach, które jej zadawano, i odpowiedziach, których udzielała. Wiedziała, że wszystkie były szczere, ale miała też świadomość, iż nie paliła się zbytnio do ujawniania spraw, o które nie pytano wprost. Szczególnie dotyczyło to wzmianek o jej synu. Rozumiała aż nadto dobrze,

że Zelandonii uznaliby mieszane dziecko za "ohydę i potwora", więc choć nie potrafiła kłamać - starała się pomijać milczeniem sprawę Durca.

## ROZDZIAŁ 9

Gdy cała czwórka dotarła do kamiennego domostwa, było już ciemno. Folarą wolała spędzić wieczór u przyjaciółki, Ramili, niż czekać samotnie na powrót Marthony, Willamara, Ayli i Jondalara. Widzieli się z nią przelotnie podczas wieczornego posiłku, ale młoda kobieta szybko zrozumiała, że prowadzone w mniej oficjalny sposób dyskusje mogą potrwać jeszcze na tyle długo, że raczej nie powinna spodziewać się wczesnego powrotu matki i jej gości.

Kiedy więc Marthona odsunęła kotarę przesłaniającą wejście do domu, we wnętrzu nie było widać nawet jednego, choćby najślabiej żarzącego się węgielka w palenisku.

Przyniosę lampkę lub pochodnię od Joharrana i rozpalę ogień - mruknął Willamar.

- U niego też nie widzę światła - odpowiedziała Marthona. - Był na naradzie razem z Prolevą... A teraz pewnie poszli po Jaradala do jej matki.

- Może u Solabana? - zasugerował Willamar.

- Tam też nie widzę światła. Podejrzewam, że Ramara wyszła, skoro Solaban spędził na naradzie cały dzień.

- Nie musicie martwić się o ogień - wtrąciła Ayla. - Mam przy sobie ogniste kamienie, które dzisiaj znalazłam. Rozpalę, zanim się obejrzycie.

- Ogniste kamienie? - powtórzyli niemal jednocześnie Marthona i Willamar.

- Zaraz wam pokażemy, co to takiego - odrzekł Jondalar. Choć znachorka nie dostrzegła jego twarzy, wiedziała, że uśmiechał się szeroko.

- Będę potrzebowała hubki na rozpalkę - powiedziała. - Albo czegoś podobnego, co zajmie się od iskry.

- Hubka leży przy palenisku, ale nie jestem pewna, czy w ogóle znajdę kuchnię, nie przewróciwszy się o coś w tej ciemności - odezwała się Marthona. - Lepiej weźmy od kogoś ogień.

- I tak musiałabyś najpierw po omacku znaleźć w domu lampkę lub pochodnię, prawda? - spytał Jondalar.

- Możemy pożyczyć lampkę - nie ustępowała Marthona.

- A ja myślę, że mogłabym skrzesać tyle iskier, że bez trudu znaleźlibyście palenisko - oświadczyła pewnie Ayla, wyjmując z pochwy krzemienny nóż i gmerając w sakwie w poszukiwaniu ognistych kamieni.

Weszła do domu pierwsza, trzymając przed sobą w lewej dłoni bryłkę pirytu żelaza, ostrze zaś w prawej. Przez moment czuła się tak, jakby stała u wejścia do pogrążonej w mroku, głębokiej

jaskini. Ciemność była tak intensywna, że zdawała się fizycznie przytłaczać wkraczających w nią ludzi. Uzdrowicielka poczuła dreszcz. Uderzyła nożem o ściankę ognistego kamienia.

- Ooooo! - zawołała cicho Marthona, widząc jasną iskrę, która na moment rozświetliła czerń nocy, nim zgasła.

- Jak to zrobiłaś? - spytał zdumiony Willamar. - Potrafisz to powtórzyć?

- Stuknęłam krzemiennym nożem o kamień ognisty - wyjaśniła Ayla i odpowiadając czynem na pytanie Mistrza Handlu, powtórzyła zabieg.

Zadziwiająco długotrwały blask efektownej iskry pozwolił JeJ przejść kilka kolejnych kroków w stronę paleniska. Uderzyła ponownie i znowu posunęła się naprzód. Kiedy 704 dotarła w pobliże wygasłego kuchennego ogniska, przekonała się, że Marthona także znalazła drogę przez ciemną izbę.

Hubka powinna być gdzieś tutaj, po tej stronie - powiedziała kobieta. - Gdzie mam ci ją położyć?

Tu, na brzegu, będzie dobrze - odrzekła Ayla. Dotknęła w mroku dłoni Marthony, a potem leżących w niej miękkich i suchych kawałków włóknistej substancji. Położywszy rozpałkę na ziemi, pochyliła się nisko i raz jeszcze uderzyła krzemiennym nożem o kamień. Tym razem iskra przeskoczyła na mały stosik łatwopalnego materiału, rozjarzając go wątlym, czerwonym blaskiem. Ayla dmuchnęła lekko i już po chwili pojawił się płomyk. Dorzuciła odrobinę hubki i przyjęła od Marthony trzymane w pogotowiu ścinki drewna, a potem całkiem spore drzazgi. Nie minęło wiele czasu, nim wewnątrz domostwa rozjaśnił ciepły blask ognia.

- A teraz pokaż mi, proszę, ten twój ognisty kamień - rzekł Willamar, odpaliwszy od ogniska kilka lampek.

Ayla podała mu bryłkę pirytu żelaza. Willamar długo oglądał szarozłoty odłamek, obracając go w palcach na wszystkie strony.

Wygląda jak zwykły kamień, tyle że ma ciekawy kolor. Co takiego robisz, że pojawia się iskra? - spytał zaintrygowany mężczyzna. - Czy każdy może dokonać takiej sztuki?

- Każdy - zapewnił go Jondalar. - Zaraz ci pokażę. Dasz mi jeszcze coś na rozpałkę, matko?

Kiedy Marthona wróciła do kuchni po hubkę, jasnowłosy podszedł do jednego z wciąż nie rozpakowanych juków, wydobyl zestaw do rozniecania ognia i wyjął zeń krzesiwo - specjalny grot z krzemienia oraz złotawą bryłkę. Dołączywszy do matki, usypał stosik z suchych włókien roślinnych - być może z witek wierzbowych lub czegoś podobnego - zmieszanych z fragmentami spróchniałego drewna, jak mu się wydawało. Marthona zawsze używała tego typu mieszanki do rozpalania ognia. Jondalar pochylił się nisko nad kupką i z wprawą uderzył krzemieniem o piryt

żelaza. Iskra, którą nie tak łatwo było dostrzec przy płonącym ognisku, wylądowała na rozpałce, zabarwiła ją brązem spalenizny i wypuściła wątlą smużkę dymu. Mężczyzna dmuchnął z wyczuciem, budząc do życia mały płomyk, i dosypał trochę paliwa. Wkrótce w poczerniałym kręgu kuchennego paleniska, otoczonym starannie dobranymi kamieniami, zapłonęło drugie ognisko.

Mogę spróbować? - spytała Marthona.

Trzeba odrobiny wprawy, żeby wykrzesać odpowiednią iskrę i zmusić ją do lądowania w pożądanym miejscu, ale szybko się nauczycie - odparł Jondalar, podając matce bryłkę i krzemień.

- Ja też spróbuję, kiedy skończysz - zgłosił się pospiesznie Willamar.

- Nie musisz czekać - powiedziała Ayla. - Przyniosę mój grot krzemieny i pokażę ci, co masz robić. Przed chwilą używałam noża, ale już się wyszczerbił. Nie chciałabym złamać ostrza.

Pierwsze próby były niepewne i niezbyt udane, ale Ayla i Jondalar cierpliwie pokazywali Marthonie i Willamarowi nową technikę krzesania ognia. Wkrótce nauka przyniosła efekty: Mistrz Handlu pierwszy rozpałił samodzielnie mały ogień, ale miał problem z powtórzeniem tego sukcesu. Tymczasem Marthona pracowała nad techniką nieco dłużej, nim powtórzyła wyczyn partnera, za to opanowała ją na dobre. I tak, pośród śmiechów i życzliwych docinków, pod okiem ekspertów wkrótce oboje nauczyli się krzesać iskry i rozpałać ogień na zawołanie.

Kiedy Folarą wróciła do domu, zastała całą rozbawioną czwórkę na kolanach, wokół paleniska, w którym trzaskało kilka małych ognisk. Zaraz po niej w wejściu pokazał się Wilk. Był znudzony wielogodzinnym pilnowaniem Ayli i kiedy spotkał przypadkiem Jaradała i Folarę, nie odmówił ich zaproszeniu do wspólnej zabawy. Oni zaś z dumą prezentowali całej osadzie zażyłość z dziwnie przyjaznym drapieżką, przy okazji rozwiewając obawy mieszkańców, nie przyzwyczajonych do jakichkolwiek kontaktów z dzikimi zwierzętami.

Kiedy Wilk powitał domowników i napił się wody, powędrował do kąta opodal wejścia, który uważał za swój. Zwinąwszy się w kłębek, odpoczywał po cudownie męczącym dniu harców z Jaradalem i innymi dziećmi.

- Co tu się dzieje? - spytała Folarą, przywitawszy się ze wszystkimi. Po chwili zauważyła zmiany w palenisku. - Po co wam tyle ognisk?

Uczyliśmy się niecić ogień z kamieni - odparł Willamar.

- Z ognistych kamieni Ayli?

207

Tak. To bardzo łatwe - odpowiedziała Marthona.

- Obiecałam, że ci pokażę, Folaro. Chciałabyś spróbować już teraz? - zaproponowała Ayla.

- Matko, naprawdę udało ci się to zrobić? - spytała z niedowierzaniem Folarą.

- Oczywiście.

Tobie też, Willamarze?

Tak. Trzeba trochę poćwiczyć, ale to naprawdę nic trudnego - odrzekł mężczyzna.

- W takim razie nie wypada, żebym została ostatnią osobą w tym rodzie, która nie potrafi tego robić - orzekła Folarą.

Podczas gdy Ayla wprowadzała młodą kobietę w tajniki rozpalania ognia za pomocą skalnych odłamków - korzystając przy tym z rad Jondalara i świeżo upieczonego eksperta, Willamara - Marthona zajęła się rozgrzewaniem kamieni do gotowania w płonących już ogniskach. Napełniła wodą koszyk, w którym zwykle parzyła herbatę, i zaczęła kroić w plastry płat wędzonego bizoniego mięsa. Gdy kamienie były wystarczająco rozgrzane, włożyła kilka z nich do koszyka, z którego natychmiast buchnęła para; kilka kolejnych zaś wrzuciła do pojemnika z ciasno plecionych witek wierzbowych, do którego podstawy umocowano solidny uchwyt z włókien roślinnych. Dołała doń także nieco wody, by uzupełnić przyrządzony rano wywar z pąków liliowca, pokrojonych w kawałki, zielonych łodyg szkarłatki, pędów czarnego bzu, łodyg ostu i łopianu, młodych liści paproci oraz bulw lili, przyprawiony bazylią, kwiatami czarnego bzu oraz korzeniami orzechów ziemnych.

Nim Marthona przygotowała lekką kolację, Folarą zdążyła dołączyć do pozostałych jeszcze jedno małe, własnoręcznie rozpalone ognisko. Wydobywszy talerze i kubki, domownicy i goście zasiedli na poduszkach wokół niskiego stołu. Po posiłku Ayla zebrała resztki do miski i dorzuciwszy dodatkowy kawałek mięsa - zaniosiła porcję Wilkowi. Kiedy dołała sobie herbaty z plecionego kosza, mogła usiąść spokojnie z gospodarzami.

- Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej na temat tych ognistych kamieni - odezwał się Willamar. - Nigdy nie słyszałem, żeby ludzie rozpalali ogień w taki sposób.

- Gdzie się tego nauczyłeś, Jonde? - spytała Folarą.

- Od Ayli - odrzekł Jondalar.

- A ty, Aylo? - indagowała Folarą.

- Nie uczyłam się tego, nie planowałam, nawet nie myślałam o tym. Jakoś tak samo wyszło.

- Jakim cudem coś tak niesamowitego może "samo wyjść"? - zdziwiła się dziewczyna.

Ayla wzięła łyk herbaty i przymknęła powieki, by przypomnieć sobie okoliczności zdarzenia sprzed lat.

- To był jeden z tych dni, kiedy nic mi nie wychodziło - zaczęła. - Nastął początek zimy, mojej pierwszej zimy w dolinie. Rzeka już zamarzała, a mnie w samym środku nocy zgasł ogień. Whinney była jeszcze źrebięciem, w ciemności, u wejścia do jaskini, czekały hieny, a ja nigdzie nie mogłam znaleźć mojej procy. Musiałam odstraszać drapieżniki, rzucając kamieniami do gotowania.

Rankiem zamierzałam narąbać trochę drewna i na nowo rozpalić ogień, ale upuściłam siekierę i pękła, więc musiałam zrobić nową. Na szczęście znalazłam w stercie kamieni bryły krzemienia i kości zwierząt.

Zeszłam nad rzekę, żeby wyłupać sobie nową siekierę i parę innych potrzebnych narzędzi. Kiedy pracowałam, w pewnej chwili odłożyłam pobijak i zamyśliłam się, a kiedy sięgnęłam po niego, spoglądając przy tym na bryłę krzemienia, wzięłam do ręki niewłaściwy kamień. Nie był to mój pobijak, lecz jedna z takich właśnie ognistych bryłek. Kiedy uderzyłam nią o krzemień, powstała potężna iskra. Zaczęłam myśleć o ogniu, którego tak potrzebowałam, i w końcu... postanowiłam spróbować wykrzesać go za pomocą kamieni. Udało się po kilku eksperymentach.

Teraz, kiedy o tym opowiadasz, brzmi to całkiem zwyczajnie - orzekła Marthona. - Ale nie jestem pewna, czy sama wpadłabym na to, by spróbować wykrzesać ogień w taki sposób, nawet gdybym zobaczyła iskrę.

- Byłam sama w dolinie; nikt nie mówił mi, co mogę zrobić, a co nigdy mi się nie uda - odparła Ayla. - Zdarzyło mi się już wcześniej polować i zabić konia, co było sprzeczne z tradycjami Klanu, a potem zaopiekowałam się źrebakiem, na co nie pozwolono by mi w Klanie. Słowem, zrobiłam już tyle nieodpowiednich rzeczy, że byłam gotowa wypróbować każdy pomysł, który przyszedł mi do głowy.

- Macie może więcej takich bryłek? - spytał Willamar.

- Na kamienistej plaży nad rzeką, w dolinie Ayli, było ich całe mnóstwo - odpowiedział Jondalar. - Zanim na dobre opuściliśmy tamte strony, zebraliśmy, ile się dało. Część rozdaliśmy w trakcie Podróży, ale też starałem się zaoszczędzić jak najwięcej dla ludzi z naszej osady. Po drodze nigdzie już nie znaleźliśmy takich kamieni.

- Jaka szkoda - rzekł Mistrz Handlu. - Dobrze byłoby podzielić się nimi ze wszystkimi; może nawet wymienić je na coś cennego.

- Nic straconego! - zawołał radośnie Jondalar. - Ayla znalazła kilka bryłek w Dolinie Leśnej Rzeki, dziś rano, przed naradą. To zadziwiające, mówię wam, od opuszczenia doliny nigdzie nie widzieliśmy ognistych kamieni.

- Znaleźliście więcej?! Gdzie? Tutaj? - zdumiał się Willamar.

- U podnóża skały, z której spływa mały wodospad w... - zaczęła Ayla.

- Jeżeli tam jest ich trochę, zapewne znajdziemy je też w całej okolicy - dodał Jondalar.

To prawda - przytaknął Willamar. - Ilu osobom powiedzieliście o tych ognistych cudach?

- Nie miałem czasu nikomu o tym wspomnieć, ale Zelandonijuz wie - odparł Jondalar. - Folarajej powiedziała.

- A kto powiedział tobie? - spytała Marthona.

- Ayla. A właściwie to tylko widziałam, jak używała jednego z nich - wyjaśniła dziewczyna. - To było wczoraj, kiedy Willamar wrócił do domu.

- Ale donier nie widziała tego jeszcze na własne oczy? - upewnił się Mistrz Handlu. Na jego ustach wykwitwał pomału szeroki, łobuzerski uśmiech.

- Chyba nie - odrzekła Folar.

- Zatem będziemy mieli niezłą zabawę. Nie mogę się doczekać, kiedy jej pokażę! - radował się Willamar. - Jestem pewien, że zdębieje, ale postara się tego nie okazać.

- Rzeczywiście, będzie zabawa - dodał Jondalar, odpowiadając podobnym uśmiechem. - A przecież niełatwo wprawić ją w zdumienie.

- To dlatego, że tyle wie - powiedziała Marthona. - Ale przyznaję, Aylo, że udało ci się zaskoczyć mnie bardziej, niż sobie wyobrażasz.

- To prawda - przytaknął Willamar. - Zresztą dotyczy to obojga. No, jak tam? Macie dla nas jeszcze jakieś niespodzianki?

- Podejrzewam, że miotacz oszczepów, który chcemy pokazać wszystkim jutro, zrobi na was wielkie wrażenie. Poza tym nie wyobrażacie sobie nawet, jakich sztuk potrafi dokonać Ayla, posługując się procą - odparł Jondalar. I choć może dla was nie zabrzmie to zbyt interesująco, nauczyłem się kilku nowych, niesamowitych technik łupania krzemienia. Nawet Dalanar był pod wrażeniem.

- Skoro on był pod wrażeniem, to i ja będę - rzekł Willamar.

- Mamy też przeciągacz nici - przypomniała Ayla.

- Przeciągacz nici? - powtórzyła pytająco Marthona. Tak. Służy do szycia. Nie potrafiłam nauczyć się przetykania cieniutkich postronków i ścięgien przez dziury przekłute szydłem w skórze. Wreszcie wpadłam na pewien pomysł, a w jego realizacji pomógł mi cały Obóz Lwa. Jeśli chcecie, przyniosę mój zestaw do szycia i pokażę wam, o co chodzi - zaoferowała się Ayla.

- Myślisz, że mógłby pomóc w pracy komuś, czyje oczy już nie widzą otworków w wyprawionej skórze tak dobrze jak dawniej? - spytała Marthona.

Tak właśnie myślę - odrzekła znachorka. - Zaczekajcie chwilę.

- Może lepiej zaczekamy do jutra? Będzie jaśniej. Przy ognisku nie tak łatwo coś dostrzec. Choć muszę przyznać, że bardzo chciałabym zobaczyć twój wynalazek.

- Nie da się ukryć, Jondalarze, że udało wam się wywołać niemałe podniecenie w całej Jaskini - powiedział Willamar. - Twój powrót sam w sobie byłby wielkim wydarzeniem, ale ty przywiozłeś nam coś więcej niż siebie. Zawsze uważałem, że podróże otwierają przed nami nowe możliwości, przynoszą nowe pomysły i korzyści.



- Sądę, że masz rację, Willamarze - przyznał Jondalar - ale powiem ci szczerze, że zmęczyło mnie to całe wędrowanie. Dłuższy pobyt w domu dobrze mi zrobi.

- Ale pójdziecie z nami na Letnie Spotkanie, prawda, Jonde? - upewniła się Folarą.

- Oczywiście. Przecież czekają mnie Zaślubiny z Ayla, siostrzyczko - odrzekł jasnowłosey, obejmując swoją wybrankę ramieniem. - Spacer na Letnie Spotkanie to żadna wyprawa, szczególnie po takiej Podróży, jaką mamy za sobą. Zresztą udział w zgromadzeniach to część pobytu w domu. A skoro już o tym mowa, coś mi się przypomniało, Willamarze. Joharran planuje wielkie polowanie przed wymarszem. Nie wiesz, skąd moglibyśmy wziąć przebrania? Ayla także chciałaby zapolować, ale żadne z nas nie będzie mogło się maskować.

- Jestem pewien, że coś znajdziemy. Mam gdzieś zapasową rogę. Przydadzą się, jeśli pójdziemy na jelenie. A u ludzi znajdują się na pewno skóry i inne akcesoria - oparł Mistrz Handlu.

- Co to jest przebranie? - spytała ciekawie Ayla.

- Idąc na łowy, przebieramy się w skóry zwierząt, a czasem zakładamy nawet rogi, żeby podejść bliżej stada. Zwierzęta zazwyczaj są nieufne względem ludzi, więc próbujemy je przekonać, że sami jesteśmy zwierzętami - wyjaśnił partner Marthony.

- Może weźmiemy ze sobą konie, Jondalarze? Tak jak wtedy, kiedy z Whinney pomagałam Mamutoi w polowaniu na bizony - zaproponowała Ayla, po czym spojrzała na Willamara. - Kiedy siedzimy na końskich grzbietach, zwierzęta nie widzą nas, tylko wierzchowce. Możemy podejść bardzo blisko, a wtedy, dzięki miotaczom oszczepów i pomocy Wilka, poradzimy sobie doskonale.

- Używacie zwierząt do polowania na zwierzęta? Nie wspominaliście o tym, kiedy pytałem, czy macie w zanadrzu jeszcze jakieś niespodzianki. Nie przyszło wam do głowy, że to zdumiewająca możliwość? - spytał z uśmiechem Willamar.

- Mam wrażenie, że oni sami nie wiedzą, ile jeszcze niespodzianek sprawią nam w najbliższych dniach - skomentowała Marthona. - Czy ktoś ma jeszcze ochotę na herbatę rumiankową przed snem? - dodała po chwili, spoglądając na Aylę. - Działa odprężające, a wy macie za sobą niełatwe, całodzienne przesłuchanie. Nawiasem mówiąc, dowiedziałam się dzisiaj, że ci ludzie Klanu muszą być znacznie ciekawszy, niż mi się wydawało.

Folarą nadstawiła uszu. Przez cały dzień Dziewięta Jaskinia nie rozmawiała o niczym innym, jak tylko o ciągnącej się bez końca naradzie. Przyjaciele przypuszczali, że dziewczyna wie więcej niż inni i że powie im, o czym rozprawa starszyzna. Folarą zaś odpowiedziała, że wie tyle samo co oni, lecz jednocześnie dała do zrozumienia, że nie może zdradzić, co wie naprawdę. Teraz więc przynajmniej zaczynała mieć pojęcie o tym, czego dotyczyła narada, i tym uważniej przysłuchiwała się rozmowie.

Wydaje się, że mają wiele pozytywnych cech - ciągnęła Marthona. - Dbają o chorych, a przywódca - takie przynajmniej odniosłam wrażenie - ma na względzie przede wszystkim dobro swojego ludu. Jeśli wierzyć reakcji Zelandoni, wiedza tej znachorki z Klanu musiała być nader rozległa. Sądzę, że donier będzie chciała dowiedzieć się czegoś więcej o duchowym przywódcy twojego Klanu. Pewnie już chciała zasypać cię pytaniami, Aylo, ale jakoś się powstrzymała. Joharran bardziej interesował się samymi ludźmi i tym, jak żyją.

Na dłuższą chwilę w domostwie Marthony zapadła cisza. Podziwiając pięknie urządzone wnętrza w drżącym, nastrojowym blasku oliwnych kaganków, Ayła dostrzegała coraz więcej atrakcyjnych szczegółów. Elegancja, z jaką dopracowano wszystkie detale dekoracyjne, przywodziła jej na myśl starannie utrzymany kąpielarnia Raneca w ziemiance Obozu Lwa. Ciemnoskóry mężczyzna był artystą, wybitnym rzeźbiarzem, i nie żałował czasu na wyjaśnienie uzdrowicielce swoich poglądów na temat istoty tworzenia oraz znaczenia pięknych przedmiotów - przedmiotów, które tworzył nie tylko dla siebie, ale i na chwałę Wielkiej Matki Ziemi. Ayła wyczuwała, że Marthona musi mieć w sobie podobnego ducha.

Popijając ciepłą herbatę, obserwowała coraz bardziej zrelaksowaną rodzinę Jondalara, siedzącą w ciszy wokół kamiennego stołu. Czuła spokój i zadowolenie, jakich dotąd nie знаła. Otaczali ją ludzie, których rozumiała i którzy ją lubili. I nagle uświadomiła sobie, że teraz dopiero czuje się w pełni jedną z Innych. Zaraz też przywołała z pamięci obraz jaskini, w której dorastała, żyjąc z klanem Bruna, i dotarło do niej, jak szokujący jest kontrast między tymi dwoma wzorcami życia społecznego.

U Zelandonii każda rodzina zamieszkiwała osobne domostwo, w którym ściany i parawany oddzielały poszczególne pomieszczenia. Głosy i dźwięki były z pewnością słyszalne także i na zewnątrz domów, lecz zwyczajowo ignorowano je. Mamutoi również wydzielali osobne miejsca w swej ziemiance dla każdej z rodzin, tworząc między nimi symboliczne bariery ze skórzanych kotar, dających w razie potrzeby choćby namiastkę intymności.

Tymczasem w klanie Bruna granice przestrzeni mieszkalnej każdej rodziny - choć doskonale wszystkim znane - były zaznaczone co najwyżej kilkoma kamieniami rozłożonymi w strategicznych miejscach. Prywatność była jedynie praktyką społeczną: nie wypadało spoglądać bezpośrednio w ognisko sąsiada; nie wolno było widzieć tego, co dzieje się poza niewidzialną granicą. Ludzie Klanu byli doskonali w "niewidzeniu" tego, czego nie powinni byli zobaczyć. Ayła TT 1 poczuła ukłucie nie słabnącego z biegiem lat bólu, gdy przypomniła sobie, jak nawet ci, którzy ją niegdyś kochali, przestali ją dostrzegać w chwili, kiedy nałożono na nią klątwę śmierci.

Zelandonii definiowali i przestrzenie wewnątrz, i na zewnątrz swych domostw, wydzielając obszary przeznaczone wyłącznie do spania, gotowania, jedzenia i najróżniejszych prac. Ludzie

Klanu nie byli aż tak precyzyjni w wyznaczaniu miejsc dla odmiennych form aktywności. Owszem, istniały legowiska do spania, a ogniska miały swe stałe pozycje, jednak cała reszta podziałów przestrzeni była jedynie kwestią nawyków, zwyczajów i chęci mieszkańców. Były to podziały mentalne i społeczne, nie fizyczne. Kobiety unikały miejsc, w których pracowali mężczyźni, oni zaś trzymali się z daleka od kobiet. Uciążliwe prace wykonywano często w dowolnych, dogodnych punktach jaskini lub jej otoczenia.

Zelandonii mają więcej czasu na to, co chcą robić, niż ludzie Klanu, pomyślała Ayla. Wydaje się, że każdy z nich ma tak wiele do zrobienia i wcale nie są to rzeczy niezbędne. Może różnica tkwi w sposobie polowania? Znachorka pogrzyżyła się w zadumie tak głęboko, że nie usłyszała pytania, które padło pod jej adresem.

- Aylo? Aylo! - powtórzył głośniejszym głosem Jondalar.

- Och... Przepraszam, Jondalarze. Co mówiłeś?

- Ciekawe, nad czym tak się zamyśliłaś, że nie usłyszałaś mojego głosu.

- Nad różnicami między Innymi a Klanem. Zastanawiałam się też nad tym, dlaczego Zelandonii mają znacznie więcej zajęć niż ludzie Klanu - odparła Ayla.

- I jaka odpowiedź przysłała ci do głowy? - spytała Marthona.

- Sama nie wiem... ale możliwe, że ma to związek z odmiennymi sposobami polowania - odrzekła z namysłem znachorka. - Kiedy Brun i jego łowcy szli na polowanie, zwykle wracali z całym zwierzęciem, niekiedy z dwoma. Obóz Lwa Mamutoi był mniej więcej tak samo liczny, jak Klan, z którym żyłam, ale kiedy myśliwi Taluta wyruszali na łowy, towarzyszył im każdy, kto tylko mógł się ruszać - mężczyźni, kobiety, czasem nawet dzieci, choćby po to, by wziąć udział w nagonce. Zwykle zabijali mnóstwo zwierzyny i przynosili do ziemianki tylko najlepsze, najbardziej pożywne części, by większą część mięsa zachować na zimę. Nie przypominam sobie, aby któraś z tych dwóch społeczności głodowała, ale faktem jest, że w Klanie często trzeba było polować wczesną wiosną na chude jeszcze zwierzęta, bo z zapasów pozostawały jedynie resztki najmniej wartościowego mięsa. Tymczasem w Obozie Lwa - choć oczywiście zapasy topniały i wszystkim brakowało świeżych warzyw - mieszkańcy ziemianki odżywiali się doskonale aż do późnej wiosny.

- Moim zdaniem powinnaś wspomnieć o tym Joharranowi - orzekł Willamar, po czym ziewnął i wstał. - Nie wiem jak wy, ale ja idę spać. Podejrzewam, że jutro także czeka nas pracowity dzień.

Marthona podniosła się z poduszek w ślad za partnerem i pozbierała talerze, by wynieść je do kuchni.

Folara również wstała, przeciągając się i ziewając w sposób, który tak bardzo upodabniał ją do Willamara, że Ayla uśmiechnęła się mimowolnie.

- Ja też idę spać. Rano pomogę ci zmyć naczynia, matko - powiedziała dziewczyna, przecierając jedną z drewnianych misek małym kawałkiem miękko wyprawionej skóry jelenia i odkładając ją na bok. - Teraz jestem za bardzo zmęczona.

- A ty, Folaro, wybierasz się na polowanie? - spytał Jondalar.

- Jeszcze się nie zdecydowałam. Zobaczę, jak będę się jutro czuła - odrzekła, kierując się w stronę swojej sypialni.

Kiedy Marthona i Willamar także zniknęli za swoim parawanem, Jondalar przesunął stół i rozciągnął na ziemi futra, które miały być ich pościeleniem. Gdy tylko ułożyli się na nich, zjawił się Wilk, by zasnąć u boku Ayli. Nie miał nic przeciwko trzymaniu się na uboczu, gdy jego panią otaczali inni ludzie, lecz kiedy znachorka udawała się na spoczynek, jego miejsce było przy niej.

- Naprawdę polubiłam twoją rodzinę, Jondalarze - szepnęła cicho Ayła. - I chyba spodoba mi się życie między Zelandonii. Rozmyślałam też o tym, co powiedziałeś mi ostatniej nocy, i doszłam do wniosku, że masz rację. Nie powinnam osądzać wszystkich po czynach paru niemiłych ludzi.

- Nie powinnaś też oceniać wszystkich miarą najlepszych z nich - poradził Jondalar. - Nigdy nie wiadomo, jak kto zareaguje. Ludzi trzeba poznawać i osądzać pojedynczo.

- A ja uważam, że każdy ma w sobie trochę dobra i trochę zła - odpowiedziała znachorka. - Tylko niektórzy mają trochę więcej jednego, a mniej drugiego. Zawsze mam nadzieję, że spotkam tylko takich, w których jest więcej dobra... Pamiętasz Frebeca? Na początku był wyjątkowo wredny, ale w końcu okazało się, że jest całkiem miły.

Tak, przyznaję, że mnie tym zaskoczył - mruknął Jondalar, przysuwając się bliżej kobiety i lekko gładząc jej kark.

- Za to ty wcale mnie nie zaskakujesz - powiedziała z uśmiechem, czując jego dłoń między udami. - Dobrze wiem, o czym myślisz.

- A ja mam nadzieję, że ty myślisz o tym samym - odparował. Ayła odwróciła i zadarła głowę, by go pocałować, a on z radością odwzajemnił pieszczotę. - Pomału nabieram pewności, że tak jest.

Następny pocałunek trwał dłużej. Oboje czuli, jak narasta w nich pożądanie, ale nie spieszyli się; nie musieli. Wreszcie jesteśmy w domu, pomyślał Jondalar. Po tylu trudach i niebezpieczeństwach, po latach Podróży, wreszcie przyprowadziłem do domu moją kobietę. Teraz jest bezpieczna, nic jej nie grozi. Mężczyzna znieruchomiał na chwilę, przyglądając się z góry jasnowłosej znachorce. Czuł tak wielką miłość, że nie wiedział, czy potrafi ją w sobie pomieścić.

W łagodnej poświacie dogasających kaganków błękitne oczy Jondalara - choć w tym świetle zabarwione odcieniem fioletu - były pełne nie skrywanych emocji. Ayła dostrzegła

kłębiące się w nich uczucia i w pełni je odwzajemniała. Kiedy dorastała, nie śniła nawet, że kiedykolwiek spotka mężczyznę tak wspaniałego jak on; nie marzyła o takim szczęściu.

Jondalar poczuł, że wzruszenie ścisła mu gardło. Pochylił się, żeby znowu pocałować Aylę, i wiedział już, że musi ją mieć, musi ją kochać, musi się z nią złączyć. Był wdzięczny losowi za to, że posiadał niewiastę, która zawsze była gotowa, kiedy tylko jej zapragnął. Nigdy nie zwodziła go gierkami, w których celowały inne kobiety.

Na moment skierował myśli ku Maronie. Tak, ona lubiła flirtować i mieć mężczyzn - jego akurat najmniej, lecz innym wcale nie szczędziła swoich kapryśków. Jondalar dziękował w duchu Wielkiej Matce za to, że kazała mu pójść z bratem na wyprawę w nieznaną, by nie został na zawsze z Maroną. Gdyby tylko Thonolan żył...

Za to Ayla żyła, choć nieraz był bliski jej utraty. Jondalar poczuł, że jej usta otwierają się pod naciskiem jego języka, i wciągnął jej ciepły oddech. Potem znowu całował jej kark, gryzł płatek ucha i raz po raz przebiegał językiem po szyi w gorącej pieszczocie.

Znachorka zaś leżała nieruchomo, starając się oprzeć lekkiemu łaskotaniu i pozwalając, by zamieniło się ono w wewnętrzne, pełne oczekiwania drżenie. Jasnowłosa całował dalej, posuwając się w dół i zbaczając z wolna w stronę twardego sutka, by otoczyć go ustami i lekko gryźć. Wrażenie oczekiwania było w Ayli tak silne, że poczuła coś w rodzaju ulgi, gdy jej mężczyzna wreszcie zaczął ssać pełną pierś. Gdzieś w głębi ciała, w miejscu, w którym mieszkała Przyjemność, poczuła pierwsze błyski rozkoszy.

Jondalar był gotowy, bardzo gotowy, ale poczuł się jeszcze pewniej, kiedy usłyszał cichy jęk Ayli, towarzyszący jego pieszczotom najpierw lewego, a potem prawego sutka. Pożądanie spadło na niego tak potężną falą, że zapragnął wziąć ją natychmiast, lecz jednocześnie chciał, by była równie gotowa jak on. I wiedział, jak do tego doprowadzić.

Rozkoszne napięcie, które przenikało Jondalara, udzieliło się uzdrowicielce. Byłaby szczęśliwa, mogąc otworzyć się dla niego już teraz, lecz kiedy odsunął na bok futro, które spowijało jej ciało, i przesunął się nieco niżej, wstrzymała oddech, wiedząc, co się za chwilę stanie, i pragnąc tego ze wszystkich sił.

Język mężczyzny tylko przez moment krążył wokół jej pępka. Żadne z nich nie chciało dłużej czekać. Odpychając nogą miękkie futro, Ayla zawahała się na ułamek sekundy, myśląc o tych, którzy leżeli opodal w swych ciepłych legowiskach. Czowała lekkie napięcie, nie przywykła bowiem jeszcze do mieszkania z rodziną, za to Jondalar zdawał się nie mieć podobnych zahamowań.

Znachorka zapomniała o zakłopotaniu, gdy namiętne usta zaczęły całować jej uda, a dłonie rozchyliły nogi szerzej, by otworzyć miękkie fałdki jej kobiecości. Rozkoszując się znajomym smakiem, Jondalar lizał powoli, wprawnie odnajdując mały, twardy wzgórek.

Teraz Ayla jęknęła nieco głośniejsze. Czowała coraz mocniejsze przebłyski Przyjemności, podobne do błyskawic na nocnym niebie, kiedy sprawne usta ssały, a język pieścił jej ciało. Nie wiedziała nawet, że jest tak bardzo gotowa; moment ekstazy nadszedł prędzej, niż się spodziewała. Nieomalże bez ostrzeżenia znalazła się na szczycie Przyjemności i poczuła znienacka przemożne pragnienie męskości Jondalara.

Sięgnęła ku rozgrzanemu ciału i przyciągnęła mężczyznę ku sobie, naprowadzając go i otwierając się tak, by wszedł głęboko. Jondalar walczył ze sobą, próbując powstrzymać się przed tym, co zbliżało się tak szybko, ale kobieta była gotowa, zachęcała go i nie potrafił jej odmówić. Z dziką radością naparł ze wszystkich sił, a potem jeszcze raz i znowu, i wreszcie osiągnął cel. Fale Przyjemności spiętrzyły się nagle i rozlały po całym jego ciele, powracając raz po raz słabszym echem.

Jondalar przez chwilę spoczywał na Ayli - co bardzo lubił - lecz nagle przypomniał sobie o ciąży i z obawą pomyślał, że własnym ciężarem może zbyt przygniatać dziecko. Uzdrowicielka poczuła coś w rodzaju zawodu, kiedy zsunął się z niej wcześniej niż zwykle.

Przewracając się na bok, mężczyzna zastanawiał się, czy jego wybranka ma rację. Czy rzeczywiście nowe życie rozpoczęło się w niej właśnie w taki sposób? Czy dziecko naprawdę było jego, jak utrzymywała Ayla? Czy Matka dała swym dzieciom nie tylko cudowny Dar Przyjemności, ale także sprawiła, że dzięki niemu kobiety były błogosławione nowym życiem? Czy po to właśnie stworzyła mężczyzn, by pomagali w tym procesie? Szczerze pragnął, by Ayla miała rację, chciał, by wszystko to było prawdą, ale czy istniała szansa, by kiedykolwiek osiągnął w tej sprawie stuprocentową pewność?

Znachorka wstała po pewnym czasie, by w nocnej ciszy wydobyć z torby podróżnej małą drewnianą miseczkę i nalać w nią nieco wody ze skórzanego pojemnika. Wilk, który w samą porę wycofał się na swoje miejsce opodal wejścia, powrócił i powitał ją - jak zwykle z wahaniem, gdy był świadkiem Przyjemności. Uśmiechnęła się doń i dała sygnał, że dobrze się spisał, a potem, stojąc nad nocnym koszem na nieczystości, podmyła się tak, jak nauczyła ją tego Iza, gdy dawno temu stała się kobietą. Wiem, że wątpiłaś, czy kiedykolwiek przyda mi się ta umiejętność, pomyślała Ayla, ale miałaś rację, wprowadzając mnie w ten pożyteczny rytuał.

Jondalar był na poły śpiący, kiedy powróciła na posłanie. Spoglądając na zmęczonego mężczyznę, pomyślała, że rano powinna przewietrzyć i wyczesać futra, które służyły im już tak długo. Teraz, gdy mieli pozostać w jednym miejscu przez dłuższy czas, mogła nawet pokusić się o

ich wypranie. Nezzie pokazywała jej kiedyś, jak należy to robić. Było to wykonalne, choć wymagało czasu i precyzji.

Ayla ułożyła się na boku, by Jondalar mógł objąć ją i przytulić się całym ciałem. Przycisnąwszy kobietę, jasnowłosy olbrzym zasnął jak dziecko. Pod silnym ramieniem było jej dobrze i bezpiecznie, lecz mimo to sen nie nadchodził. Pamiętała, że obudziła się tego dnia znacznie później niż zwykle, teraz więc, mimo wieczornej pory, leżała całkiem przytomna, raz jeszcze rozmyślając o Klanie i Innych. Nieustannie porównywała dwie rasy, w miarę jak z zakamarków pamięci napływały wspomnienia życia w klanie Bruna i z tak wieloma grupami Innych.

Oba ludy miały do dyspozycji te same materiały, ale nauczyły się korzystać z nich w zupełnie odmienny sposób. I jedni, i drudzy polowali na zwierzęta i zbierali bogaty plon z roślin, które zdobiły ziemię z woli Matki. Jedni i drudzy używali skór, kości, surowców pochodzenia roślinnego oraz kamieni, by tworzyć odzież, schronienia, narzędzia i broń - a jednak różnice były znaczące.

Bodaj najbardziej oczywistą odmiennością między dwiema kulturami było to, iż pobratymcy Jondalara chętnie ozdabiali swe otoczenie malowidłami i rzeźbami zwierząt oraz abstrakcyjnymi wzorami, czego nigdy nie czynili ludzie Klanu. Lecz choć Ayla sama nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego tak jest, od zawsze uświadamiała sobie, iż ludzie Klanu dopiero zaczynają przejawiać zainteresowanie najprostszymi formami zdobnictwa. Przykładem tej tendencji było chociażby posypywanie zmarłych czerwoną ochrą, symbolizującą kolor żywego ciała, a także kolekcjonowanie niezwykłych przedmiotów, które otaczano czcią i zamykano w amuletach. Również blizny i kolorowe znaki na ciałach były swego rodzaju ozdobami, choć służyły określonym celom. Generalnie jednak pierwotni ludzie Klanu nie tworzyli dzieł, które zasługiwałyby na miano sztuki.

Tylko istoty z rasy Ayli - lud Mamutoi, Zelandonii i cała reszta Innych, z którą mieli styczność podczas Podróży - cechowało zainteresowanie działaniami artystycznej natury. Znachorka zastanawiała się czasem, czy ludzie, wśród których przyszła na świat, znajdowali upodobanie w dekorowaniu przedmiotów zapełniających ich świat - chciała wierzyć, że tak właśnie było. Tylko ci, którzy zjawili się później, ci, którzy dzielili teraz zimny, prehistoryczny świat 219 z Klanem, ci, którzy nazywani byli Innymi przez swych starszych braci, chcieli i potrafili dostrzec zwierzęta w ruchu i innych przejawach życia, a następnie odtworzyć ich wizerunki w rysunku czy rzeźbie. Między dwiema rasami istniała więc niezwykle głęboka linia podziału.

Tworzenie dzieł sztuki, kreowanie podobizn zwierząt oraz celowe szkicowanie znaków, którym nadawano znaczenie, były wyrazem zdolności do abstrakcyjnego myślenia - umiejętności

wydobywania esencji rzeczy, zgłębiania jej natury i przemiany w zrozumiały symbol. Dźwięki, słowa także były swoistymi formami symboli. Mózg istoty tworzącej dzieła sztuki był więc również zdolny do pełnego wykorzystania potencjału innej abstrakcji o ogromnym znaczeniu: mowy. Co więcej, był to też umysł potrafiący dostrzec i spożytkować efekt synergii obu rodzajów symboli - sztuki i mowy - tak, by pewnego dnia stworzyć znacznie trwalszą formę języka mówionego: pismo.

Drugi poranek w osadzie Zelandonii nie był podobny do pierwszego: Ayla otworzyła oczy bardzo wcześnie i natychmiast zauważyła, że w palenisku nie żarzył się już ani jeden węgielek; pogasły także wszystkie lampy oliwne. Jednak ponad ciemnymi ścianami domostwa Marthony dostrzegła kontury wapiennego nawisu, wydobyte z mroku słabym światłem brzasku, zwiastującym rychłe pojawienie się słońca. Rodzina Jondalara spała jeszcze, gdy uzdrowicielka wysliznęła się cicho spomiędzy futer i już nie całkiem po omacku podbiegła do nocnego kosza. Wilk uniósł łeb, gdy tylko wstała, zaskomlał radośnie i podążył za nią.

Ayla jak zwykle poczuła mdłości, lecz nie były na tyle silne, by musiała wymiotować. Wiedziała jednak, że musi zapełnić żołądek czymś treściwym, by zapanować nad sytuacją. Przeszła do kuchni i rozpałała małe ognisko, a potem posiliła się kawałkiem pieczeni z bizona, leżącym na kościanym talerzu, i odrobiną rozgotowanych warzyw z dna kosza - pozostałościami po wczorajszej kolacji. Nie była pewna, czy poczuła się lepiej. Na wszelki wypadek postanowiła zaparzyć herbatę ziołową skutecznie zwalczającą mdłości. Nie wiedziała, kto przygotował dla niej napar poprzedniego ranka, ale przypuszczała, że to Jondalar. Zdecydowała, że na powitanie nowego dnia uraczy go jego ulubioną herbatą. Powróciła do juków, żeby wydobyć z nich torbę lekarską. Teraz, kiedy dotarliśmy do celu, mogę wreszcie zająć się odnowieniem zapasu ziół i leków, pomyślała, zaglądając do każdego mieszka i zastanawiając się nad przydatnością zawartości. Tatarak pomaga na żołądek, ale nie mogę go użyć - Iza mówiła, że może wywołać poronienie, a ja przecież tego nie chcę. Dumając nad możliwymi skutkami ubocznymi stosowania poszczególnych składników, Ayla przywoływała z pamięci ogromne zasoby wiedzy zielarskiej. Kora brzoza zapobiega poronieniom, ale już jej nie mam. Cóż, chyba tak naprawdę tym razem nie grozi mi utrata dziecka.

Z Durkiem było o wiele gorzej. Ayla pamiętała doskonale, jak Iza wyszła z jaskini, by przynieść jej świeży korzeń grzechotnika. Stara uzdrowicielka z klanu Bruna była już bardzo chora, a fakt, że zmokła wtedy i przemarzła, tylko pogorszył jej stan. I nigdy już nie wróciła do zdrowia, pomyślała smutno Ayla. Och, Izo, jak ja za tobą tęsknię... Chciałabym, żebyś tu była - powiedziałabym ci, że znalazłam partnera. Jaka szkoda, że tego nie dożyłaś. Na pewno spodobałby ci się mój mężczyzna.



Bazylia, ależ oczywiście! Jest nie tylko smaczna, ale i dobrze służy podtrzymaniu ciąży, przypomniała sobie uzdrowicielka. Mięta też byłaby dobra, pomyślała, odkładając paczuszkę. Uśmierza mdłości, leczy bóle żołądka i ma pierwszorzędny smak. Jondalar też ją lubi. Po chwili zastanowienia wyciągnęła kolejny mieszek. Chmiel... dobry na ból głowy i skurcze; działa relaksacyjnie, pomyślała, kładąc go obok mięty. Byle nie przesadzić; przecież nie chcę nikogo uśpić.

Nasiona ostu byłyby dla mnie odpowiednie, ale trzeba je najpierw długo moczyć, dumiała znachorka, wykładając resztę mocno już przetrzebionych zapasów ze swej torby. Marzanka... tak, pięknie pachnie. Pomaga na żołądek, ale chyba jest zbyt słaba. No i rumianek... mogłabym użyć go zamiast mięty, on także wspomaga trawienie. Może i smakowałby nieźle z innymi ziołami, ale dla Jondalara zdecydowanie lepsza będzie mięta. Majeranek też by się nadawał, chociaż... Nie, Iza zawsze używała świeżych pędów, nie suszonych, kiedy leczyła problemy żołądkowe.

Co jeszcze świeżego dodałaby Iza? Liście malin! Właśnie tego mi trzeba! Nie ma to jak liść maliny na poranne nudności. Nie mam ich wprawdzie w zapasie, ale na ucztę częstowano mnie owocami, więc krzewy muszą być gdzieś blisko. To odpowiedni sezon na zbiory - najlepiej zrywać hście, kiedy owoce dojrzewają. Muszę dopilnować, żeby ich nie zabrakło, kiedy zaczną rodzić. Iza zawsze używała liści malin podczas porodów. Mówiła, że dzięki nim macica rozluźnia się i dziecku łatwiej jest wyjść na świat.

Widzę, że mam jeszcze trochę kwiatu lipy. Taki napar świetnie działa na żołądek, a z liści można zrobić słodką, pyszną herbatę. Pamiętam, że w pobliżu osady Sharamudoi rosła piękna, stara lipa. Ciekawe, czy i tutaj znajdę takie drzewa... Uzdrowicielka dojrzała kątem oka jakiś ruch i uniósłszy głowę, zobaczyła Marthone, która wychodziła właśnie z sypialni. Wilk podniósł łeb i zerwał się na równe nogi, spoglądając na panią domu z wyczekiwaniem.

- Wczesnie dziś wstałaś, Aylo - odezwała się cicho Marthona, starając się nie zbudzić śpiących. Pochyliła się też, by poklepać Wilka po karku na powitanie.

- Jak zwykle... z wyjątkiem tych dni, kiedy uczuję i wypijam stanowczo zbyt dużo mocnych trunków - odrzekła równie cicho znachorka, uśmiechając się kwaśno.

Rzeczywiście, napoje Laramara mają wielką moc, ale zdaje się, że ludziom to się podoba - przyznała matka Jondalara. - Widzę, że rozpałałaś już ogień. Zazwyczaj staram się utrzymywać żar przez noc, żeby oszczędzić sobie porannych kłopotów, ale skoro pokazałaś nam wczoraj te cudowne kamienie ogniste, uznałam, że mogę sobie pozwolić na lenistwo. Co robisz?

- Poranną herbatę - odpowiedziała Aylo. - Nie tylko jaja lubię, zaparzę też coś specjalnie dla Jondalara. Napijesz się z nami?

- Kiedy zagotuje się woda, zrobię sobie wywar ze specjalnej mieszanki, którą Zelandoni każe mi pić każdego ranka - odparła Marthona, zabierając się do sprzątanía resztek nocnego posiłku. - Jondalar mówił mi o twoim nawyku robienia mu porannej herbaty. To dlatego uparł się wczoraj, że zaparzy coś dla ciebie. Stwierdził, że ty zawsze czekasz na niego z gorącym napojem, więc choć raz on przygotowuje dla ciebie herbatę na dzień dobry. Zaproponowałam mu, żeby wybrał miętę, bo jest smaczna także na zimno, a wszystko wskazywało na to, że raczej nie wstaniesz zbyt wcześnie.

Domyślałam się, że to Jondalar... Ale to ty zostawiłaś dla mnie miskę i wodę, prawda? - Marthona uśmiechnęła się i skinęła głową.

Ayla sięgnęła po szczypce z giętego drewna i zręcznie wydobyła z ognia kamień do gotowania, by wrzucić go do szczelnego kosza pełnego wody na herbatę. Z wnętrza rozległ się syk i buchnął obłok pary; pojawiły się też pierwsze bąbelki powietrza. Kobieta dołożyła kolejny rozżarzony kamień, by po chwili wydobyć go wraz z poprzednim i dołożyć nowych, gorących. Gdy woda zawrzała, Ayla i Marthona użyły jej do zaparzenia swoich napojów. Choć kamienny stół został przesunięty w stronę wejścia, by na środku izby było dość miejsca na posłanie z futer, dwie kobiety mogły dość wygodnie usadowić się przy nim na poduchach, sącząc gorącą herbatę.

- Czekałam właśnie na taką okazję, żeby z tobą porozmawiać, Aylo - zagaiła szeptem Marthona. - Często zastanawiałam się, czy Jondalar kiedykolwiek znajdzie sobie kobietę, którą będzie umiał kochać. - Gospodyni omal nie wtrąciła w środku zdania słów Jeszcze jedną", lecz w porę ugryzła się w język. - Zawsze miał wielu przyjaciół, był bardzo lubiany, ale prawdziwymi uczuciami dzielił się z bardzo wąskim gronem tych, którzy znali go najlepiej. A Thonolan był mu bliższy niż ktokolwiek inny. Zawsze uważałam, że pewnego dnia Jondalar znajdzie sobie partnerkę, ale nie byłam pewna, czy pozwoli sobie na prawdziwą miłość. A jednak pozwolił sobie - dodała, patrząc z uśmiechem na Aylę.

To prawda, że jest skryty. Niewiele brakowało, a trafiłabym przez to do ogniska innego mężczyzny. Chociaż sama bardzo kochałam Jondalara, obserwując go, nabrałam przekonania, że on już nic do mnie nie czuje - powiedziała znachorka.

Teraz nie możesz mieć żadnych wątpliwości. To oczywiste, że mój syn cię kocha, a ja... jestem szczęśliwa, że znalazł właśnie ciebie. - Marthona ostrożnie pociągnęła łyk gorącej mikstury. - Pierwszego dnia byłam z ciebie bardzo dumna, Aylo. Potrzeba nie byle jakiej odwagi, by w taki sposób stawić czoło ludziom po tym, co zrobiła ci Marona... Wiesz już chyba, że ona i Jondalar byli swego czasu bliscy Zaślubin?

Tak, wiem od niego.

Wprawdzie nie zamierzałam wyrażać sprzeciwu, ale przyznam ci szczerze, że ucieszyłam się, kiedy Jondalar zmienił zdanie. Marona jest atrakcyjną kobietą i wszyscy powtarzali, że będzie z nich idealna para, ale ja tak nie uważałam - ciągnęła Marthona.

Ayla miała nadzieję, że dowie się dlaczego, lecz starsza kobieta urwała, by napić się herbaty.

99^

- Powinnaś dać ci coś bardziej stosownego niż "dar", który zaoferowała ci Marona - zmieniła temat Marthona, gdy wreszcie dopiła napój i odstawiła kubek.

- Dałaś mi już coś wyjątkowo pięknego - przypomniała uzdrowicielka. - Naszyjnik matki Dalanara.

Gospodyni uśmiechnęła się lekko i wstała, by na palcach przejść do sypialni. Wróciła po chwili, niosąc na ugiętym ramieniu ubranie, które zaraz rozłożyła w powietrzu przed Aylą. Była to długa tunika o barwie przywodzącej na myśl kolor spłowiałych przez długą zimę traw, pięknie udekorowana koralikami i muszelkami, a także ściegami wielobarwnych nici, i ozdobiona imponującymi frędzlami. O dziwo, nie wykonano jej ze skóry. Przyglądając się jej bliżej, Ayla dostrzegła równy splot cienkich sznurków lub nici z nieznanego włókna, krzyżujących się na przemian górną i dolną. Przypominał on nadzwyczaj ciasno wpleciony koszyk. Jakim sposobem można było połączyć ze sobą tak cienkie nici? Materiał, z którego wykonano tunikę, był jeszcze bardziej finezyjnym produktem niż mata, która spowijała niski kamienny stół.

- Nigdy nie widziałam czegoś takiego - stwierdziła zdumiona Ayla. - Co to za materiał? Skąd się wziął?

- Sama go zrobiłam. Utktałam na specjalnej ramie - odparła Marthona. - Słyszałaś kiedyś o roślinie zwanej lnem? Ma wysoką, cienką łodygę i niebieskie kwiatki.

- Tak, znam ją, a Jondalar rzeczywiście wspominał kiedyś, że nazywacie ją lnem - odrzekła Ayla. - Jest świetna w leczeniu poważnych problemów ze skórą: otwartych ran, wysypek, czyraków; także w ustach.

- A próbowałaś kiedyś upleść z niej sznurek? - spytała Marthona.

- Możliwe, że tak, chociaż nie pamiętam.... W każdym razie wyobrażam sobie, jak by to wyglądało. W łodydze są długie włókna.

- Właśnie. To z nich utktałam ten materiał.

- Wiedziałam, że len to przydatna roślina, ale nie miałam pojęcia, że można z niego zrobić coś tak cudownego.

- Pomyślałam, że przyda ci się tunika na ceremonię Zaślubin. Wkrótce wyruszamy na Letnie Spotkanie - to już przy następnej pełni księżyca - a ty mówiłaś przecież, że nie masz żadnego stroju na specjalne okazje - wyjaśniła Marthona.

- Och, Marthono, jesteś taka miła! - szepnęła z uczuciem Ayla. - Ale ja już mam szatę na Zaślubiny. Nezzie zrobiła ją specjalnie dla mnie i obiecałam jej, że nie wybiorę innego stroju. Mani nadzieję, że się nie gniewasz. Woziałam ją ze sobą przez cały czas, już od zeszłorocznego Letniego Spotkania. Jest w stylu Mamutoi, a oni mają specyficzne zwyczaje, jeśli chodzi o sposób noszenia takich szat.

- Rzeczywiście, ja też sądzę, że najbardziej właściwy byłby dla ciebie strój ślubny Mamutoi, Aylo. Po prostu nie wiedziałam, że masz coś takiego, a jednocześnie nie byłam pewna, czy zdążyłybyśmy uszyć wspólnie nową szatę przed wyruszeniem na Spotkanie. Tak czy inaczej... proszę, zatrzymaj tę tunikę - powiedziała matka Jondalara, z uśmiechem wręczając znachorcfe ozdobny strój. Ayla pomyślała, że jest to uśmiech zabarwiony lekką ulgą. - Na pewno będą i inne okazje, kiedy zechcesz mieć na sobie coś szczególnego.

- Dziękuję! Jest taka piękna! - Uzdrowicielka uniosła tunikę i przyjrzała się jej uważnie, a potem przyłożyła do ciała, by sprawdzić, jak będzie leżała. - Pewnie spędziłaś nad nią mnóstwo czasu.

To prawda, ale lubię tkąć. Robię to od tylu lat, że mam swoje sposoby ułatwiające pracę. Willamar pomógł mi zbudować ramę... razem z Thonolanem, jeszcze przed Podróżą. Większość ludzi w naszej osadzie specjalizuje się w jakimś rzemiośle; często wymieniamy się produktami albo obdarowujemy się nimi. Starzeję się i coraz mniej jest zajęć, którymi mogę się parć, a i tkanie przychodzi mi z coraz większym trudem - wzrok odmawia mi posłuszeństwa.

Przypomniałaś mi, że miałam ci pokazać przeciągacz nici! - zawołała cicho Ayla, zrywając się z poduszki. - Zdaje się, że dzięki niemu komuś, kto nie widzi zbyt dobrze, będzie znacznie łatwiej szyć. Zaraz go przyniosę. - Podeszła do toreb podróżnych i wydobyła zestaw do szycia, a tuż obok niego dostrzegła jedno ze szczególnych zawiniątek, które przechowała przez całą Podróż. Uśmiechając się, zaniosiła je na stół wraz z przyborami. - Chciałabyś zobaczyć mój strój na Zaślubiny, Marthono?

- Pewnie, że tak. Tylko nie chciałam prosić, bo wiem, że niektórzy lubią szykować się do ceremonii w tajemnicy, by wszystkich zaskoczyć - wyjaśniła gospodyni.

- Mam dla ciebie jeszcze jedną niespodziankę - powiedziała Ayla, rozpakowując ślubny strój. - Ale myślę, że nadszedł czas, żebyś się dowiedziała... Rośnie we mnie nowe życie, Marthono. Noszę dziecko Jondalara.

## ROZDZIAŁ 10

- Aylo! Jesteś pewna? - spytała Marthona, uśmiechając się szeroko. Uznała słowa znachorki - o tym, że nosi w sobie dziecko jej syna - za dość osobliwą formę oświadczenia, iż została pobłogosławiona przez Matkę, nawet jeśli istotnie nowe życie poczęło się z ducha Jondalara.

- Tak pewna, jak to tylko możliwe. Nie krwawię od dwóch księżyców, rano czuję lekkie mdłości, a do tego moje ciało zmienia się w typowy dla ciąży sposób. To nieomyślne znaki - odrzekła Ayła.

- To cudownie! - szepnęła z podnieceniem matka Jondalara, wyciągając ramiona i mocno ściskając jasnawłosą znachorkę. - Kiedy kobieta zostaje wcześniej pobłogosławiona, to dobra wróżba dla jej przyszłego związku. Tak przynajmniej ludzie gadają.

Siedząc przy niskim stole, młoda kobieta rozwinęła już skórę spowijającą mały pakunek i teraz próbowała rozprostować dłońią zagniecenia na tunice i nogawicach, przeniesionych w ciasnej torbie przez cały kontynent i cztery pory roku. Marthona szybko przestała zwracać uwagę na zagniecenia, koncentrując się na wybornej robocie czyichś wprawnych rąk. Tak, w takim stroju Ayła z pewnością będzie się wyróżniać podczas Ceremonii Zaślubin, pomyślała kobieta.

Najbardziej rzucał się w oczy nietypowy styl stroju Mamutoi. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety Zelandonii - a różnice w ich strojach nie były wielkie - nosili zwykle dość luźne tuniki przewiązane pasem na wysokości bioder, zdobione najrozmaitszymi motywami z naszywanych kawałków kości, muszli, piór i futer, a także frędzlami ze skóry lub sznurka. Stroje kobiece - zwłaszcza te przeznaczone na specjalne okazje - często wykańczano u dołu wyjątkowo długimi frędzlami, które powiewały przy każdym kroku. Młode niewiasty szybko uczyły się chodzić tak, by ruchoma dekoracja podkreślała wdzięk ich ruchów.

W kulturze Zelandonii widok nagiej kobiety nie był czymś niezwykłym, za to frędzle uznawano za ozdobę o niezwykle prowokacyjnym charakterze. Nie było, rzecz jasna, tak, że niewiasty paradowały zwykle bez odzieży, ale zdjęcie jej na czas mycia czy przy okazji przebierania się, bądź też z jakiegokolwiek innej przyczyny, było czymś trywialnym w tej dość zżytej społeczności, której mieszkańcy raczej nie narzekali na nadmiar prywatności. Z drugiej jednak strony istniała kwestia frędzli - a szczególnie czerwonych frędzli - przydających kobietom powabu tak zniewalającego, że nierzadko popychającego mężczyzn ku ekstremalnym zachowaniom, w wyjątkowych przypadkach nawet ku przemocy.

Kiedy kobiety brały na siebie rolę donii - ofiarowały swoje wdzięki młodym mężczyznom, by uczyć ich o Darze Przyjemności od Wielkiej Matki Ziemi - nakładały na biodra pasy z długimi czerwonymi frędzlami, których łopot miał podkreślać ważną, rytualną funkcję pełnioną przez nie w owej chwili. W gorące letnie dni zdarzało się i tak, że prócz frędzli kobiety nie miały na sobie w zasadzie żadnej odzieży.

Od niestosownych kontaktów z dojrzałymi mężczyznami chronił je utarty zwyczaj. Poza tym trzymały się wyznaczonych dla siebie miejsc, pojawianie się bowiem w osadzie w ozdobionym frędzlami stroju uważano powszechnie za wielce niebezpieczne. Któż mógł wiedzieć, do czego popchnie rozochoconych mężczyzn widok czerwonych ozdób? Kobiety rzadko stosowały frędzle innego koloru, lecz dla obu stron barwa ta miała nieomylnie erotyczny podtekst.

W rezultacie doszło do tego, że samo słowo "frędzle", czy to użyte w subtelnej aluzji, czy też w prymitywnym żarcie, często niosło w sobie drugie znaczenie - stało się synonimem włosów łonowych. Kiedy mężczyzna czuł tak silny pociąg do kobiety, że nie mógł trzymać się od niej z daleka lub obserwował ją bez przerwy, mówiono, że "wpadł w sidła jej frędzli".

Niewiasty z ludu Zelandonii lubowały się w naszywaniu rozmaitych ozdób na swoje ubrania, lecz w sposób szczególny fascynowały je frędzle, które poruszały się zmysłowo przy każdym kroku - bez względu na to, czy zdobiły jedynie nagie ciało czy zimową kurtę. I choć generalnie unikano ozdób utrzymanych w tonacji żywej czerwieni, wiele kobiet decydowało się na użycie barw zbliżonych do czerwonej.

Przy stroju ślubnym Ayli brakowało frędzli, lecz mimo to Marthona nie miała wątpliwości, że w jego wykonanie i ozdobienie włożono niesłychany wysiłek. Skórze najwyższej jakości nadano barwę soczystej, złotawej żółci, odpowiadającą kolorowi włosów znachorki - był to najprawdopodobniej rezultat działania żółtej ochry, zmieszanej w subtelny sposób z czerwonym barwnikiem i kilkoma innymi. Marthona doszła do wniosku, że za materiał posłużyła skóra jakiejś antylopy - być może suhaka. Z pewnością odróżniał ją 227 od bardziej typowych wyrobów brak swoistej "zamszowej" miękkości, której nabierały dobrze oskrobane skóry. Ta, z której uszyto strój Ayli, była nadzwyczaj miękka, lecz jednocześnie miała gładką, błyszczącą powierzchnię i sprawiała wrażenie wodoodpornej.

Jednakże jakość samego materiału była tylko wstępem do prawdziwej sztuki: o niezwykłości stroju przesądzały wymyślne zdobienia, którymi był pokryty. Długą skórzaną tunikę i dolne części nogawic upiększono zawiłymi, geometrycznymi motywami, utworzonymi głównie z koralików wyciętych z kości słoniowej, a także z większych kawałków wypełniających puste przestrzenie. Wzór rozpoczynały trójkąty zwrócone wierzchołkami do dołu, stopniowo przechodzące w zygzaki w płaszczyźnie poziomej oraz w równoległoboki i szewrony w

płaszczynie pionowej, a następnie w skomplikowane, kanciaste spirale i ułożone koncentrycznie romboidy.

Wzory nakreślone koralikami z kości słoniowej otoczono dodatkowo małymi okruchami bursztynu, utrzymanymi w tonacji nieco ciemniejszej lub jaśniejszej niż cała skóra, a ich rysunek wzmocniono czerwonymi, brązowymi i czarnymi liniami. Tunika była wykończona z tyłu tak, by zbiegała się ku dołowi w ostry wierzchołek odwróconego trójkąta. Przednie połę ukształtowano wokół bioder tak, by po ściągnięciu ich na właściwe miejsce tworzyły jeszcze jeden trójkąt. W pasie spinała je tkana ręcznie szarfa ozdobiona podobnym motywem geometrycznym, a wykonana z rudego włosia mamuta, jasnej wełny muflona, brązowej sierści wołu piżmowego i brunatnego, wełnistego włosia nosorożca.

Strój uszyty ręką kobiety z Mamutoi był zdumiewającym, olśniewającym dziełem sztuki. W każdym detalu widać było talent i mistrzostwo autora. Nie ulegało wątpliwości, że ktoś postarał się o najlepsze materiały i najwybitniejszych pomocników, nie szczędząc wysiłku i mocno pragnąc stworzyć produkt doskonały. Znakomitym przykładem perfekcyjnej roboty były koraliki. Marthona potrafiła powiedzieć tylko tyle, że jest ich mnóstwo - w rzeczywistości na strój naszyto ponad trzy tysiące niemal jednakowych kulek wykonanych z ciosu mamuta, a każda z nich została osobno wycięta, oszlifowana i przebita miniaturowym wiertłem.

Matka Jondalara nigdy jeszcze nie widziała czegoś podobnego, lecz pojęła natychmiast, że ktokolwiek zaprojektował i wykonał takie ubranie, był godzien najwyższego szacunku i zapewne zajmował w swej społeczności bardzo wysoką pozycję. Jasne było i to, że na tak misterną robotę trzeba było poświęcić niewyobrażalnie dużo czasu, a przecież ten, kto to zrobił, podarował niezwykle strój Ayli, na zawsze odchodzącej od Mamutoi... W społeczności, która stworzyła to dzieło, nie miał pozostać po nim nawet ślad. Ayła powiedziała skromnie, że została adoptowana, lecz ktokolwiek przyjął ją do swego ogniska, musiał posiadać niezwykłą władzę i cieszyć się wielkim mirem - a w konsekwencji także bogactwem - czego nikt nie rozumiał lepiej niż Marthona.

Nic dziwnego, że chce włożyć ten strój na Zaślubiny, pomyślała starsza kobieta. Powinna to zrobić. Nie zaszkodzi tym pozycji Jondalara. A dziewczyna rzeczywiście jest pełna niespodzianek i bez wątpienia o nikim nie będzie się mówić tyle co o niej podczas tegorocznego Spotkania.

To olśniewający strój, Aylo. Po prostu piękny - przyznała szczerze Marthona. - Kto go zrobił?

- Nezzie, ale pomagało jej wielu ludzi. - Znachorka była zadowolona z reakcji matki Jondalara.

- O tak, to pewne - mruknęła gospodyni. - Wspominałaś już wcześniej o tej Nezzie, ale naprawdę nie pamiętam, kim była.

- Partnerką Taluta, przywódcy Obozu Lwa, tego samego, który miał mnie adoptować, zanim Mamut zdobył się na ten krok. Podejrzewam, że to właśnie Mamut kazał Nezzie uszyć dla mnie to cudo.

- Mamut, czyli Ten Który Służy Matce?

- Powiedziała bym nawet, że Pierwszy, tak jak wasza Zelandoni. No, a w każdym razie najstarszy. O ile się nie mylę, żaden z Mamutoi nie żył tak długo jak on. Kiedy odchodziłam, moja przyjaciółka Deegie spodziewała się dziecka, a kobieta jej brata miała rodzić lada dzień. Oba maleństwa będą należeć do piątego pokolenia rodu Mamuta.

Marthona skinęła głową ze zrozumieniem. Wiedziała, że ktokolwiek adoptował Aylę, musiał być niezwykle wpływową osobistością; nie przypuszczała jednak, że był to mężczyzna najbardziej poważany i najpotężniejszy z całego ludu Mamutoi. To wiele wyjaśnia, pomyślała kobieta.

- Mówiłaś, że ze strojem ślubnym wiążą się pewne zwyczaje.

Tak. Mamutoi uważają za coś niewłaściwego noszenie takiego ubrania przed ceremonią Zaślubin. Można je zaprezentować rodzinie i najbliższym przyjaciółom, ale nie należy pokazywać się w nim publicznie - wyjaśniła znachorka. - Chciałabyś zobaczyć, jak wyglądam w tunice?

Jondalar stęknął przez sen i przewrócił się na drugi bok. Marthona przez chwilę wpatrywała się w stertę futer, w której leżał. Kiedy się odezwała, mówiła jeszcze ciszej niż przedtem.

- O ile nie obudzimy mojego syna. Wedle naszych obyczajów twój wybranek nie powinien oglądać cię w stroju ślubnym aż do ceremonii.

Ayla zsunęła szybko letnią tunikę i wzięła do rąk ciężki, bogato zdobiony strój.

- Nezzie powiedziała, że powinnam nosić ją zasznurowaną, o tak, kiedy pokazuję się komuś - wyszeptła, wkładając tunikę i przewijając ją szarfą. - Ale na czas ceremonii musi być otwarta, o tak - dodała, zmieniając układ materiału i ponownie wiążąc pas. - Nezzie mówiła mi też, że kobieta powinna dumnie pokazywać piersi, kiedy ma zostać złączona z mężczyzną, kiedy przenosi swoje ognisko, by stworzyć nowe ze swoim partnerem. W zasadzie nie powinnam nosić tuniki w taki sposób przed ceremonią, ale skoro jesteś matką Jondalara, to chyba mogę ci pokazać.

Marthona skinęła głową.

- I bardzo się cieszę, że to zrobiłaś. U nas także obowiązuje zwyczaj pozwalający na pokazanie stroju ślubnego jedynie kobietom, najbliższym przyjaciółkom i rodzinie, ale w tym przypadku... chyba nikt więcej nie powinien oglądać cię w tej tunice. Byłoby... - Marthona zawiesiła głos, z uśmiechem szukając odpowiedniego słowa - ...ciekawiej, gdybyś sprawiła wszystkim niespodziankę. Jeśli chcesz, możemy zawiesić twoje ubranie w mojej sypialni, żeby zagniecenia zdążyły się wyprostować. Możemy zresztą pomóc im odrobiną pary.



- Dziękuję. Prawdę mówiąc, zastanawiałam się właśnie, co z nim zrobić. A czy mogę powierzyć ci także tę piękną tunikę, którą mi dałaś? - spytała Ayla i zaraz przypomniała sobie o kolejnym stroju. - Mam jeszcze jedną tunikę, którą chciałabym gdzieś schować. Sama ją zrobiłam... Weźmiesz ją do siebie?

- Naturalnie. Ale na razie schowaj je wszystkie. Zajmiemy się tym, kiedy Willamar wstanie. Masz jeszcze coś, co chciałabyś oddać mi na przechowanie?

- Mam kilka naszyjników i innych drobiazgów, ale wszystkie mogą zostać w torbach podróżnych, skoro i tak zabieram je na Letnie Spotkanie - odrzekła Ayla.

- Dużo ich masz? - Marthona nie mogła powstrzymać się od pytania.

Tylko dwa naszyjniki, w tym jeden od ciebie, do tego opaskę na ramię, dwie spiralne muszle zakładane na uszy - to prezent od pewnej tancerki - i dwa identyczne kawałki bursztynu, które dostałam przed wyjazdem od Tulie - przywódczyni Obozu Lwa, siostry Taluta, matki Deegie. Jej zdaniem powinnam założyć je jako kolczyki w dniu Zaślubin, bo pasują kolorem do tuniki. I chciałabym to zrobić, ale nie mam przekłutych uszu - powiedziała Ayla.

- Jestem pewna, że Zelandoni z przyjemnością to robi, jeśli tylko będziesz miała ochotę - stwierdziła Marthona.

- Na pewno będę. Nie zamierzam przekłuć innych miejsc, przynajmniej nie teraz, ale zależy mi na tych bursztynach. Chciałabym je mieć, razem z szatą od Nezzie, kiedy będę się wiązać z Jondalarem.

Ta Nezzie musiała cię bardzo lubić, skoro tak wiele dla ciebie zrobiła - skomentowała Marthona.

- A ja ją uwielbiałam - odrzekła Ayla, kiwając potakująco głową. - Gdyby nie Nezzie, raczej nie poszłabym z Jondalarem, kiedy odchodził od Mamutoi. Następnego dnia miałam zaślubić Raneca, syna ogniska jej brata, choć tak naprawdę to Nezzie była dla niego jak matka. Lecz ona wiedziała, jak bardzo Jondalar mnie kocha, i powiedziała mi, że gdybym i ja prawdziwie go kochała, powinnam dać mu znak i iść razem z nim. Miała rację. Chociaż przyznaję, że ciężko było oświadczyć Ranecowi, że odchodzę. Bardzo go lubiłam, ale... kochałam Jondalara.

- Na pewno, w przeciwnym razie nie opuściłabyś ludzi, którzy tak bardzo cię cenili, tylko po to, by wrócić z moim synem do domu - orzekła Marthona.

Ayla zauważyła, że Jondalar znowu przewraca się z boku na bok i szybko wstała. Popijając ziołową herbatę, Marthona obserwowała, jak młoda kobieta starannie składa ślubny strój i tkaną tunikę, by schować je w torbie podróżnej. Powróciwszy do stołu, uzdrowicielka sięgnęła po zestaw do szycia.

- Mam tu mój przeciągacz nici - wyjaśniła. - Może wyjdziemy na słońce, kiedy zaparzę poranną herbatę dla Jondalara? Pokażę ci, jak to działa.

- Nie mogę się doczekać.

Ayla podeszła do paleniska, dołożyła dREW do ognia i wrzuciła w płomień kilka kamieni do gotowania. Następnie odmierzyła na dłoni porcję ziół dla Jondalara. Tymczasem matka mężczyzny pomyślała, że jej pierwsze odczucia po spotkaniu z jasnowłosą znachorką nie były mylące. Dziewczyna była nie tylko piękna, ale i chciała dbać o swego mężczyznę. Wszystko wskazywało na to, że będzie dlań dobrą partnerką.

Ayla zaś rozmyślała o Marthonie, podziwiając w duchu jej cichą pewność siebie, godność i iście królewską grację. Matka Jondalara sprawiała wrażenie niezwykle wyrozumiałej, lecz uzdrowicielka wyczuwała w niej także wielką siłę byłej przywódczyni, być może dochodzącą do głosu w chwilach próby. Nie dziwiła się, że Zelandonii nie chcieli, by Marthona zrezygnowała z pełnionej funkcji po śmierci partnera. A Joharranowi pewnie nie było łatwo iść w ślady kogoś tak wybitnego, pomyślała Ayla. Chociaż teraz wydaje się, że brat mojego ukochanego czuje się dość pewnie jako przywódca.

Ayla po cichu postawiła kubek z gorącą herbatą przy posłaniu Jondalara, myśląc o tym, że powinna poszukać małych gałązek, które mężczyzna lubił rozgryzać, a następnie czyścić nimi zęby. Przepadał za smakiem gaulterii. Postanowiła, że poszuka mu młodych witek, przypominających nieco wierzbowe, gdy tylko będzie miała okazję. Marthona tymczasem dokończyła herbatę, więc uzdrowicielka chwyciła zestaw do szycia i razem wymknęły się na zewnątrz. Wilk pobiegł za nimi.

Było jeszcze bardzo wcześnie, gdy wychodziły na kamienny taras frontowy. Słońce właśnie otworzyło swe jaskrawe oko i wyglądało ostrożnie spoza grzbietów wzgórz widocznych na wschodnim horyzoncie. Jego blask nadawał okolicznym urwiskom ciepłą, czerwonawą barwę, lecz powietrze było jeszcze orzeźwiająco chłodne. W osadzie widać było niewielu mieszkańców.

Marthona poprowadziła młodą kobietę ku krawędzi półki, w pobliże ciemnego kręgu ogniska sygnałowego. Przysiadły razem na wielkich głazach ułożonych wokół paleniska, plecami do kuli oślepiającego światła, która dostojnym ruchem wznosiła się ponad czerwień i złoto widnokręgu, ku bezchmurnemu, błękitnemu niebu. Wilk opuścił je po chwili, by powędrować ścieżką ku Leśnej Dolinie.

Ayla rozwiązała rzemień zamykający zestaw do szycia mały woreczek z kawałków skóry zszytych bokami i ściągniętych u góry. Łyse plamy w rządkach koralików z kości słoniowej, tworzących niegdyś efektowne geometryczne wzory, a także resztki wystrzępionych nici, które mocowały ozdoby do skórzanej powierzchni, były świadectwem długotrwałego i intensywnego

użytkowania kompletu. Znachorką energicznym ruchem wytrząsnęła na kolana jego zawartość. Tworzyły ją głównie kawałki sznurków i nici różnej grubości, wykonanych z włókien roślinnych, ścięgien i włosów zwierzęcego - w tym z wełny mamuta, muflona, wołu piżmowego i nosorożca włochatego - nawinięte na niewielkie kostki. Nie brakowało też małych, bardzo ostrych nożyków z krzemienia, związanych w pęczek kawałkiem ścięgna, oraz garści kościanych i krzemiennych szydeł, służących do wykłuwania otworów. Niewielki kwadrat z twardej, mamuciej skóry zastępował napastrzek. Ostatnie wypadły z mieszka trzy małe rurki wykonane z pustych, ptasich kości.

Ayla podniosła jedną z nich, wyjęła malutki kłębek skóry zamykający wlot i wytrząsnęła na dłoń zawartość pojemnika. Stanowił ją tylko jeden przedmiot: ostro zakończona drzazga z kości mamuta, przypominająca nieco szydło, lecz z maleńkim otworem na tępym końcu. Znachorką ostrożnie podała przeciągacz Marthonie.

Widzisz dziurkę? - spytała.

Starsza kobieta odsunęła dziwny przedmiot na odległość wyciągniętego ramienia.

- Nie za bardzo... - mruknęła, po czym zgięła rękę i opuszkami palców obmacała przeciągacz. Zaczęła od ostrego czubka, następnie zbadała długi i wąski korpus, by wreszcie zainteresować się przeciwnym końcem. - Aha! Jest. Czuję coś... To bardzo mała dziurka, nie większa niż ta, które wierci się w koralikach.

- Mamutoi potrafią dziurawić paciorki, ale nikt w Obozie Lwa nie był biegły w tej sztuce. Jondalar sam zrobił narzędzie do wiercenia, żeby można było wykonać odpowiedni otwór. Zdaje się, że to była najtrudniejsza część pracy nad przeciągaczem nici... Nie przyniosłam ze sobą niczego, co mogłybyśmy zszyć, ale spróbuję pokazać ci, jak to działa ~ dodała Ayla, odbierając ostrze z rąk Marthony.

Wybrawszy kostny walek, na który nawinięte było cienkie ścięgno, odmierzyła kawałek i pośliniła końcówkę, by zręcznie przeciągnąć ją przez otwór i oddać obserwującej ją uważnie kobiecie.

Marthona spojrzała na kościaną igłę i naturalną nić, ale w istocie więcej "zobaczyła" rękami niż starymi oczami. Jak wiele osób w jej wieku, bez trudu dostrzegała obiekty leżące w sporej odległości, lecz znacznie gorzej było z tymi, które znajdowały się blisko. Zmarszczyła brwi, skupiając uwagę na wynalazku Ayli, i nagle rozpromieniła się, rozumiejąc jego prostotę i genialność.

- Ależ tak! - zawołała. - Dzięki temu znowu będę mogła szyć!

- Niekiedy trzeba najpierw zrobić dziury szydłem. Przeciągacz jest bardzo ostry, lecz nie radzi sobie zbyt dobrze z przebijaniem twardej skóry - wyjaśniła Ayla. - Ale jeśli chodzi o

przekładanie nici przez ciasne otwory, jest niezrównany. Nigdy nie miałam problemów z robieniem dziur w skórze, za to za nic w świecie nie potrafiłam nauczyć się przepychania nici czubkiem szydła. Nezzie i Deegie były wyjątkowo cierpliwe, lecz i tak nie udało im się wpoić mi tej umiejętności.

Marthona, która cały czas uśmiechała się łagodnie, teraz spojrzała na nią z zaskoczeniem.

Większość dziewcząt ma ten problem na początku nauki... Czy to znaczy, że w dzieciństwie nie uczyłaś się szyć?

- Ludzie Klanu tego nie robią, a przynajmniej nie w taki sposób jak my. Ubierają się w skóry, które przywiązują do ciała. Potrafią wiązać ze sobą kilka kawałków - na przykład wytwarzając pojemniki z kory brzozonej - ale zwykle robią duże otwory, przez które łatwo przeciągnąć gruby sznurek. Nie ma w tym subtelności, której próbowała mnie nauczyć Nezzie - odrzekła Ayla.

- Ciągle zapominam, że twoje dzieciństwo było... nietypowe - przyznała Marthona. - Jeżeli nie nauczyłaś się szyć jako mała dziewczynka, twoje problemy są najzupełniej zrozumiałe. Nie ukrywam, że podoba mi się ten sprytny drobiazg - dodała z uznaniem, podnosząc głowę. - Zdaje się, że Proleva idzie w naszą stronę. Pokażę jej przeciągacz, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Jasne, że nie mam - odparła Ayla. Spoglądając na zalaną słońcem płaszczyznę tarasu przed skalnym nawisem, dostrzegła partnerkę Joharrana i kobietę Rushemara, idące w jej stronę. Za ich plecami widać było wielu Zelandonii krzątających się przy porannych czynnościach.

Po krótkim powitaniu Marthona zwróciła się do przybyłych.

- Spójrz na to, Prolevo. Ty też, Salovo. Ayla nazwała ten wynalazek "przeciągaczem nici". Właśnie mi pokazała, jak działa... To bardzo sprytna rzecz. Dzięki niej znowu będę niogła szyć, chociaż z bliska nie widzę już tak dobrze jak dawniej. Teraz wystarczy mi wycucie w palcach.

Dwie kobiety, które własnoręcznie uszyły w życiu niejedno ubranie, szybko pojęły istotę wynalazku i już po chwili z podnieceniem dyskutowały o jego praktycznym wykorzystaniu.

- Łatwo się tego nauczyć - stwierdziła Salova. - Tylko że zrobienie takiego przeciągacza jest sztuką samą w sobie.

- Jondalar pomógł mi go zrobić. Specjalnie po to, żeby wywiercić tę małą dziurkę, przygotował bardzo precyzyjne wiertło - powiedziała Ayla.

Tylko ktoś tak zdolny jak on mógł podjąć się takiego zadania. Pamiętam, że jeszcze przed wyruszeniem w Podróż potrafił łupać świetne szydła z krzemienia i narzędzia do wiercenia otworów w koralikach - dodała z uznaniem Proleva. - Salova ma rację. Możliwe, że niełatwo zrobić taki przeciągacz nici, ale na pewno warto się wysilić. Chętnie wypróbowałabym jeden z nich.

- Z przyjemnością ci pożyczę, Prolevo; mam jeszcze dwa, innych rozmiarów - odrzekła uprzejmie Ayla. - Używam ich w zależności od tego, co szyję.

- Dzięki, ale dzisiaj raczej nie będę miała czasu na eksperymenty; wszystko przez te plany wielkiego polowania. Joharran uważa, że w tym roku Letnie Spotkanie przyciągnie wyjątkowe tłumy Zelandonii - odpowiedziała Prolewa, po czym uśmiechnęła się do Ayli. - A wszystko z twojego powodu. Wieść, że Jondalar powrócił i przyprowadził ze sobą kobietę, już pomknęła wzdłuż Rzeki i jeszcze dalej. Mój mężczyzna chce dopilnować, żeby nie zabrakło nam jedzenia na wielką ucztę, którą wyprawimy.

- Każdy będzie chciał poznać cię osobiście, przekonać się, czy opowieści na twój temat są prawdziwe - dodała wesoło Salova.

- Zanim dojdziemy na Spotkanie, już nie będą prawdziwe - stwierdziła Prolewa. - Tak to już jest z opowieściami, że w pewnym momencie zaczynają żyć własnym życiem.

- Na szczęście większość ludzi dobrze o tym wie i z założenia nie wierzy w połowę z tego, co słyszy. Jestem przekonana, że Jondalar i Ayla zaskoczą jeszcze wielu z nas - wtrąciła tajemniczo Marthona.

Prolewa zauważyła na twarzy byłej przywódczyni Dziewiętej Jaskini Zelandonii specyficzny wyraz - chytry uśmiech pełen satysfakcji. Zastanawiała się, czy matka Jondalara wie o czymś, o czym nikt inny nie ma jeszcze pojęcia.

Pójdiesz z nami dzisiaj do Skały Dwóch Rzek? - zwróciła się do Marthony.

- Tak, chyba tak. Chciałabym zobaczyć ten "miotacz oszczepów", o którym Jondalar tyle nam opowiadał. Jeśli jest to wynalazek równie mądry jak przeciągaczniki... - starsza kobieta zawiesiła głos, przypominając sobie doświadczenia ostatniej nocy, kiedy nauczyła się używać ognistych kamieni - ...i inne drobiazgi, o których właśnie się dowiedzieliśmy, to pokaz może być niezwykle interesujący.

Joharran prowadził grupę stromą ścieżką wzdłuż ściany skalnej zawieszanej nad Rzeką. Dróżka była na tyle wąska, że musieli iść gęsiego. Marthona, która trzymała się tuż za Joharranem, spoglądała na szerokie plecy syna, z radością rozmyślając o tym, że po raz pierwszy od lat towarzyszy jej także drugi potomek, Jondalar, idący o krok za nią. Za jasnowłosym wędrowała Ayla, a u jej nogi kroczył Wilk. Pozostali Zelandonii z Dziewiętej Jaskini utrzymywali bezpieczny dystans kilku kroków od kosmatego drapieży. Kiedy rozciągnięta kolumna wędrowców mijała Czternastą Jaskinię, dołączyli do niej kolejni myśliwi.

Zbliżali się do pewnego miejsca na brzegu Rzeki, dokładnie pomiędzy Czternastą Jaskinią po jednej stronie a Jedenastą po drugiej, gdzie wody rozlewały się szeroko i płytko, pieniać się wokół niewielkich skał sterczących ponad powierzchnią. W tej okolicy przebieganie Rzeki nie

stanowiło poważnego problemu; z tego właśnie brodu korzystała większość Zelandonii z całej okolicy. Ayla podслуchała, że nosi on nazwę Przepawy.

Ci, którzy musieli, przysiedli na kamieniach, by zdjąć z nóg ochraniacze. Pozostali albo wędrowali boso - tak jak Ayla - albo też nie dbali o to, czy zamoczą obuwie. Ludzie z Czternastej Jaskini trzymali się z tyłu pochodu, pozwalając Joharranowi i jego towarzyszom poprowadzić całą grupę w nurt Rzeki. Był to uprzejmy gest z ich strony - przywódca Dziewiętej Jaskini był teraz nominalnym przywódcą całej wyprawy, jako że on właśnie zaproponował urządzenie ostatniego polowania przed Letnim Spotkaniem. Stąpając w chłodnej wodzie, Jondalar przypomniał sobie o pewnej sprawie, w którą miał wtajemniczyć brata.

- Joharranie, zaczekaj chwilę! - zawołał. Mężczyzna zatrzymał się, a wraz z nim stanęła Marthona.

- Kiedy szliśmy z Obozem Lwa na Letnie Spotkanie Mamutoi, musieliśmy przepawić się przez dość głęboką rzekę, płynącą opodal miejsca, do którego mieliśmy dotrzeć. Ludzie z Obozu Wilka, którzy byli gospodarzami Spotkania, wrzucili do wody sterty kamieni i żwiru, by stworzyć stopnie, po których mogliśmy suchą nogą przejść na drugi brzeg. Wiem, że i my czasem robimy coś podobnego, ale tamta rzeka była naprawdę głęboka - tak bardzo, że między stopniami można było łowić ryby. Pomyślałem, że Obóz Wilka wpadł na świetny pomysł, i postanowiłem o tym pamiętać, żeby opowiedzieć wam po powrocie.

- Nasza rzeka ma bystry prąd, nie sądzisz, że wymyłaby kamienie? - spytał sceptycznie Joharran.

Tamta też nie płynęła leniwie, a przy tym była wystarczająco głęboka dla łososi i jesiotrów, a także wielu innych dużych ryb. Woda przepływała między stopniami. Ludzie z Obozu Wilka mówili, że kamienie i żwir rzeczywiście są wymywane, ale co roku uzupełniali materiał. Jest i dodatkowa korzyść: ze stopni na samym środku rzeki można wygodnie łapać ryby - wyjaśnił Jondalar.

Wokół rozmawiających zdążyła już się zgromadzić spora grupka słuchaczy.

- Może warto przemyśleć takie rozwiązanie - zasugerowała Marthona.

- A co z tratwami? Czy te kamienne stopnie nie będą przeszkadzały w żegludze? - spytał jakiś mężczyzna.

Tutaj i tak przez większą część roku woda jest zbyt płytka, żeby pływać po niej tratwami. Z reguły trzeba je przenosić brzegiem wzdłuż całej Przepawy - odparł Joharran.

Przysłuchując się nieuważnie dyskusji, Ayla zauważyła, że woda jest wystarczająco przejrzysta, by można było dojrzeć pod nią dno i przemykające między kamieniami ryby. Uniósłszy głowę, rozejrzała się i stwierdziła, że środek rozlewiska jest niezwykłym, doskonałym

punktem widokowym. Spoglądając na południe, na lewym brzegu Rzeki dostrzegła strome zbocze z nadającymi się do zamieszkania nawisami skalnymi - zapewne było to miejsce, do którego zmierzali - a nieco dalej z nurtem rzeczonym mieszały się wody jednego z dopływów. Na jego drugim brzegu znowu piętrzyły się skały biegnące równoległe do Rzeki. Ayla odwróciła się i skierowała wzrok na północ, na górny bieg głównej drogi wodnej ludu Zelandonii. Zobaczyła wapienne masywy, a wśród nich gigantyczną niszę - dom Dziewiętej Jaskini - ułożoną na prawym brzegu, po zewnętrznej stronie ostrego zakrętu Rzeki.

Joharran ruszył dalej, prowadząc długi korowód ludzi w stronę siedziby Trzeciej Jaskini Zelandonii. Ayla zauważyła w oddali sylwetki ludzi machających rękami na powitanie. Po chwili rozpoznała wśród nich Kareję i Zelandoni z Jedenastej Jaskini. Kolumna wędrowców wydłużyła się jeszcze bardziej, gdy nowi Zelandonii dołączyli na koniec szyku. Grupa zbliżała się teraz do wysokiego urwiska. Ayla przyjrzała się z bliska skalnej ścianie, jednemu z wielu wapiennych tworów wypełniających długą dolinę Rzeki.

Stworzyły go te same naturalne siły, które przyczyniły się do powstania wszystkich kamiennych nawisów w tym regionie. To one pocięły prawie pionowe zbocze na dwa, a w niektórych miejscach nawet trzy poziomy tarasów. W połowie wysokości potężnej skały znajdowała się półka, której długość przekraczała trzysta stóp. Była to najważniejsza część siedziby Trzeciej Jaskini; to tu koncentrowało się codzienne życie; tutaj też wzniesiono większość kamiennych domostw. Taras zapewniał niższym poziomom ochronę przed deszczem, sam zaś był osłonięty przez abri wznoszący się nieco wyżej.

Jondalar zauważył, że Ayla z podziwem przygląda się wielkiemu, wapiennemu urwisku, i przystanął na chwilę, by mogła go dogonić. Ścieżka nie była już tak wąska, by nie mogli iść ramię w ramię.

- Miejsce, w którym Rzeką Traw łączy się z Rzeką, znane jest jako Dwie Rzeki - odezwał się, kiedy razem ruszyli z miejsca. - A urwisko, które góruje nad okolicą, nazywamy Skałą Dwóch Rzek, bo rozciąga się z niej widok właśnie na zlewisko dwóch nurtów.

- A ja myślałam, że to Trzecia Jaskinia - zdziwiła się Ayla.

Rzeczywiście, mówimy, że to siedziba Trzeciej Jaskini Zelandonii, ale jej nazwa brzmi: Skała Dwóch Rzek. Podobnie jest z Czternastą Jaskinią Zelandonii, którą nazywamy Małą Doliną. Domem Jedenastej Jaskini jest zaś Rzeczna Osada - wyjaśnił cierpliwie Jondalar.

- Jak zatem nazywa się dom Dziewiętej Jaskini? - spytała przytomnie Ayla.

- Dziewięta Jaskinia - odparł spokojnie Jondalar, z rozbawieniem zauważając zdziwienie i zmarszczone brwi Ayli.

- Dlaczego nie nadaliście jej nazwy, skoro wszystkie inne jakoś się nazywają?

- Nie jestem pewien - odrzekł ostrożnie Jondalar. - Odkąd pamiętam, była to po prostu Dziwiąta Jaskinia. Pewnie moglibyśmy nazwać ją Skałą Dwóch Rzek, bo przecież w pobliżu Leśna Rzeka wpada do Rzeki, ale ta nazwa należy już do Trzeciej Jaskini. Równie dobrze moglibyśmy mieszkać w "Dużej Skale", ale istnieje już takie miejsce.

- Przecież jest tyle pięknych nazw. Nie sądzisz, że nie byłoby źle nawiązać do Spadającej Skały, sterczącej z klifu tuż nad waszą niszą? W żadnym innym miejscu nie ma czegoś tak niezwykłego, prawda? - indagowała ciekawie Ayla, pragnąc zrozumieć nazewniczą niekonsekwencję ludu Zelandonii. Zawsze uważała, że łatwiej jest zapamiętywać rzeczy, które powtarzają się według jakiegoś wzorca, lecz i tym razem okazało się, że istnieją wyjątki.

- Rzeczywiście, nie widziałem w okolicy podobnej skały - przyznał Jondalar.

- A mimo to Dziwiąta Jaskinia jest tylko Dziwiątą Jaskinią i nie ma żadnej innej nazwy. Ciekawe dlaczego? - zastanawiała się na głos Ayla.

- Może dlatego, że nasza nisza jest wyjątkowa z tak wielu powodów? Nikt nigdy nie widział tak ogromnej kryjówki ani o takiej nie słyszał, nigdzie też nie mieszka tak wielu ludzi, jak u nas. Podobnie jak kilka innych Jaskiń, Dziwiąta leży nad dwoma rzekami, ale Dolina Leśnej Rzeki jest znacznie gęściej zadrzewiona niż pozostałe. Ludzie z Jedenastej Jaskini zawsze proszą nas o drewno na swoje tratwy właśnie stamtąd. Jak wspomniałaś, mamy też Spadającą Skałę - dodał Jondalar. - Każdy słyszał o Dziwiątej Jaskini, nawet ludzie z dalekich stron, ale nikt nie wpadł na to, by wymyślić dla niej jakąś inną nazwę.

Gdy zbliżyli się do siedziby Trzeciej Jaskini, Ayla zauważyła zgrupowanie namiotów, liczne daszki, rusztowania i wieszaki wypełniające przestrzeń między podstawą urwiska a brzegiem Rzeki. Pośród nich widać było rozrzucone w przypadkowy sposób paleniska - jedne były już zimne i szerniałe, na innych buzował ogień. Był to teren roboczy Trzeciej Jaskini, którego najważniejszą częścią było małe nabrzeże oraz cumujące przy nim tratwy.

Do Trzeciej Jaskini należało więc nie tylko urwisko i wyrzeźbione erozją tarasy oraz nisze, ale także płaskie place ciągnące się wzdłuż obu rzek. A jednak nie były one własnością mieszkających tu ludzi. Przybysze - w szczególności ci z pobliskich osad - mieli prawo wchodzić na terytorium każdej z Jaskiń i korzystać z ich zasobów, choć grzeczność nakazywała zapytać o pozwolenie lub poczekać na zaproszenie. Dorośli z reguły przestrzegali tej zasady; jedynie dzieciom wolno było biegać wszędzie, gdzie tylko chciały.

Połącze ziemi nad Rzeką, leżące tuż za Dziwiątą Jaskinią, między Leśną Rzeką na północy a Rzeką Traw i Skałą Dwóch Rzek na południu, uważane były przez wszystkich mieszkających tani Zelandonii za ich wspólne terytorium. W pewnym sensie była to jedna, rozproszona na sporym obszarze kolonia, lecz jej mieszkańcy nie do końca zdawali sobie sprawę z tego faktu i nie używali



wspólnej nazwy. Co ciekawe, kiedy Jondalar wspominał podczas Podróży o Dziewiątej Jaskini Zelandonii, miał na myśli nie tylko mieszkańców akurat tej niszy skalnej, w której przyszedł na świat, ale także wszystkie sąsiednie społeczności.

Goście poczuli się wspinać ścieżką ku głównemu tarasowi Skały Dwóch Rzek, lecz po drodze zatrzymali się na niższym poziomie, by poczekać na kogoś, kto chciał wziąć udział w spotkaniu. Stojąc na skalnej płycie, Ayla zadarła głowę i... musiała chwycić się występu, by nie stracić równowagi - szczyt urwiska był tak odległy, że śledząc wzrokiem kamienną ścianę, można było odnieść wrażenie, iż zagina się ona niczym sklepienie wraz z obserwatorem wychylającym się coraz bardziej ku tyłowi.

- To Kimeran - stwierdził Jondalar i w radosnym grymasie wyszczerzył zęby w stronę mężczyzny, który właśnie witał się z Joharranem.

Ayla zmierzyła przybysza wzrokiem. Był jasnowłosy i nieco wyższy od przywódcy Dziewiątej Jaskini. Uwagi znachorki nie umknęły subtelności języka ciała witających się mężczyzn, wskazujące na to, że rozmawiali ze sobą jak równy z równym.

Kimeran spojrzał niespokojnie na wilka, ale nie odezwał się słowem na jego temat podczas wspinaczki na kolejny taras. Kiedy wreszcie wędrowcy dotarli na miejsce, Ayla zatrzymała się ponownie, tym razem oszołomiona imponującym widokiem. Z kamiennej półki przed niszą Trzeciej Jaskini rozciągała się bowiem rozległa panorama okolicy. W oddali, w górnym biegu Rzeki Traw, widać było nawet kolejny, niewielki dopływ.

- Aylo. - Kobieta odwróciła się na dźwięk swego imienia. Joharran stał przed nią z mężczyzną, który nie tak dawno dołączył do grupy. - Chciałbym ci kogoś przedstawić.

Nieznajomy postąpił o krok naprzód i wyciągnął otwarte dłonie, lecz co chwila spoglądał z obawą na wilka siedzącego u stóp kobiety, który wpatrywał się weń z wielką ciekawością. Mężczyzna dorównywał wzrostem Jondalarowi, a grzywa jasnych włosów sprawiała, że przynajmniej na pierwszy rzut oka był do niego bardzo podobny. Ayla opuściła rękę, nakazując czworonogowi, by pozostał na miejscu, a sama podeszła bliżej.

- Kimeranie, oto jest Ayla z Mamutoi... - zaczął Joharran. Kimeran uściśnął dłonie uzdrowicielki i trzymał je mocno, podczas gdy przywódca Dziewiątej Jaskini wymieniał wszystkie tytuły i imiona. Joharran zauważył, jak niespokojny jest jasnowłosy mężczyzna, i doskonale rozumiał jego uczucia. - Aylo, oto jest Kimeran, przywódca Ogniska Starszych Drugiej Jaskini Zelandonii, brat Zelandoni z Drugiej Jaskini, potomek Założyciela Siódmej Jaskini Zelandonii.

W imieniu Doni, Wielkiej Matki Ziemi, witam cię w kraju Zelandonii, Aylo z Mamutoi - rzekł uroczyście Kimeran.

W imieniu Mut, Matki Wszystkich, znanej także jako Doni i pod wieloma innymi imionami, pozdrawiam cię, Kimeranie, przywódcu Ogniska Starszych Drugiej Jaskini Zelandonii - odparła Ayla.

Kimeran najpierw zwrócił uwagę na jej obcy akcent, a potem na czarujący uśmiech. Jest naprawdę piękna, pomyślał, ale czy ktokolwiek spodziewał się, że Jondalar przyprowdzi inną kobietę?

- Kimeran! - zawołał Jondalar, kiedy formalnościom stało się zadość. - Jak dobrze znowu cię zobaczyć!

- Wzajemnie, Jondalarze. - Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie, a potem mocno objęli się ramionami.

- A więc jesteś teraz przywódcą Drugiej - odezwał się po chwili Jondalar.

Tak. Już od paru lat. Zastanawiałem się często, czy kiedykolwiek wrócisz. A kiedy wreszcie usłyszałem, że jesteś, musiałem sprawdzić na własne oczy, czy to prawda. I przekonać się, czy prawdą jest to, co ludzie gadają... I chyba jest - dodał Kimeran, uśmiechając się ciepło do Ayli i trzymając się w bezpiecznej odległości od Wilka.

- Musisz wiedzieć, Aylo, że jesteśmy z Kimeranem przyjaciółmi od niepamiętnych czasów. Razem przechodziliśmy ceremonię inicjacyjną, zdobyliśmy pasy, staliśmy się mężczyznami... - Jondalar uśmiechnął się i potrząsnął głową, wspominając dawne dni. - Wśród rówieśników czułem się dość dziwnie z racji mojego wzrostu. Nie masz pojęcia, jak się ucieszyłem, kiedy pierwszy raz spotkałem Kimerana, który był mniej więcej taki sam jak ja. Zawsze chciałem stać koło niego, żeby nie wyróżniać się tak bardzo z tłumu, a on, jak sędzę, myślał o tym samym. - Uradowany Jondalar odwrócił się twarzą do rozpromienionego przyjaciela. - Kimeranie, czas najwyższy, żebyś poznał Wilka. - Te słowa sprawiły, że mina przywódcy Drugiej Jaskini zrzędała w jednej chwili. - Poznał...?

Tak. Nie bój się, nie zrobi ci krzywdy. Ayla przedstawi was sobie, żeby zwierz wiedział, że jesteś przyjacielem.

Kimeran nie czuł się pewnie, kiedy Jondalar prowadził go w stronę czworonożnego łowcy - największego wilka, jakiego widział - ale kobieta stojąca obok wcale nie wyglądała na zalęknioną. Przyklękawszy, otoczyła zwierzę ramieniem, uniosła głowę i uśmiechnęła się zachęcająco. Wilk zaś otworzył pysk, obnażył kły i wywiesił jęzor. Czyżby szydził ze mnie?, pomyślał Kimeran.

Wyciągnij rękę, żeby Wilk mógł ją powąchać - ponaglił go Jondalar.

- Jak go nazwałeś? Wilkiem? - spytał Kimeran, marszcząc czoło i odruchowo cofając dłoń. Wcale nie był pewien, czy ma ochotę podać rękę dzikiemu zwierzęciu, ale wokół zebrała się już grupa gapiów, przed którą nie chciał okazać strachu.

Takie imię nadała mu Ayla.

Kiedy znachorka chwyciła jego rękę, Kimeran wiedział już, że jest za późno, żeby się wycofać. Wziął głęboki wdech, by podążyć za nią i - zebrawszy siły - wrazić jakże przydatną kończynę w paszczę pełną ostrych zębów.

Jak większość ludzi, był zdumiony przebiegiem spotkania z dzikim zwierzęciem. Przeraził się, gdy Ayla pokazała mu, jak należy głaskać wilka, a on w odpowiedzi polizał jego dłoń. Czując ciepło żywego, porośniętego zmierzwioną sierścią ciała, zastanawiał się już tylko, dlaczego właściwie zwierzę siedzi tak potulnie. A potem, kiedy otrząsnął się z pierwszego oszołomienia, począł zwracać baczniejszą uwagę na niezwykłą kobietę.

Na czym polegała jej moc? Czy była Zelandoni? Kimeran należał do osób szczególnie świadomych potęgi Zelandoni i ich nadzwyczajnych zdolności. Tajemnicza kobieta władała doskonale językiem Zelandonii, choć w sposobie, w jaki wymawiała niektóre głoski, było coś dziwnego. Właściwie nie chodzi nawet o akcent, pomyślał przywódca Drugiej Jaskini. Wydaje się, jakby połykała niektóre dźwięki. Nie jest to nieprzyjemne dla ucha, ale sprawia, że zwraca się na nią uwagę... choć przecież i tak nie można powiedzieć, by nie wyróżniała się z tłumu. Wygląda inaczej, od razu widać, że przybyła z daleka, jest piękna i egzotyczna, a wilk jest częścią tej egzotyki. W jaki sposób posiadała władzę nad bestią? Kimeran przyglądał się kobiecie z nieskrywanym podziwem.

Ayla, która obserwowała uważnie zmiany na twarzy Kimerana, natychmiast dostrzegła to spojrzenie. Odwróciła głowę, czując, że zaczyna się uśmiechać, a gdy zapanowała nad sobą, znowu popatrzyła na mężczyznę.

- Opiekowałam się Wilkiem, kiedy był szczeniakiem - powiedziała. - Wychował się z dziećmi Obozu Lwa. Jest przyzwyczajony do kontaktów z ludźmi.

Teraz Kimeran był jeszcze bardziej zdumiony niż poprzednio. Wydawało mu się, że kobieta czyta w jego myślach i odpowiada na pytania, których jeszcze nie zdążył zadać.

- Przyszedłeś sam? - spytał Jondalar, gdy Kimeran wreszcie przestał wpatrywać się w Aylę i Wilka szeroko otwartymi oczami i odwrócił się do przyjaciela.

- Będzie nas więcej. Dotarła do nas wiadomość, że Joharran chce poprowadzić ostatnie polowanie przed wyruszeniem na Letnie Spotkanie. Manyelar posłał gońca do Siódmej, a oni do nas, ale nie chciało mi się czekać na pozostałych; ruszyłem przodem - odrzekł mężczyzna.

- Jaskinia Kimerana jest gdzieś tam, Aylo - wyjaśnił Jondalar, wskazując ręką na dolinę Rzeki Traw. - Widzisz tamten mały dopływ? - Uzdrowicielka skinęła głową. - To Mała Rzeka Traw. Trzeba iść jej brzegiem, żeby dotrzeć do Drugiej i Siódmej jaskini. Leżą bardzo blisko siebie, po przeciwnej stronie żywej łąki.

Mężczyźni zaczęli rozmawiać, wspominając dawne czasy i wymieniając nowiny, lecz Ayla nie słuchała ich, raz jeszcze pochłonięta podziwianiem efektownej panoramy. Górny taras Trzeciej Jaskini oferował swym lokatorom wiele korzyści - nie tylko był chroniony przed kapryсами aury przez potężny nawis skalny, ale także stanowił doskonałą platformę widokową.

W przeciwieństwie do lesistych połąci otaczających masyw Dziewiątej Jaskini, doliny Rzeki Traw i jej mniejszej siostry były równinami bujnych, zielonych traw, choć wyraźnie różniły się od rozległych łąk zalewanych okresowo przez Rzekę. Brzegi pierwszej porośnięte były drzewami i krzewami, lecz poza owym wąskim, zwartym pasem lasu galeriowego ciągnęły się otwarte przestrzenie pełne soczystych traw - ulubionego pokarmu nie tylko przeżuwaczy. Na zachodzie, za szerokim nurtem Rzeki, widać było rozległe terasy zalewowe, a za nimi serię wzgórz, zmieniających się w oddali w porośniętą trawami wyżynę.

Doliny Małej i Dużej Rzeki Traw, znacznie bardziej podmokłe, a w niektórych porach roku niemal bagniste, były doskonałym siedliskiem wysokich traw, często przerastających dorosłego człowieka, a także wielkiej różnorodności ziół. Różnorodność flory przyciągała roślinożerców z wielu gatunków, wąsko wyspecjalizowanych w doborze pokarmu, sezonowo przemierzających okolicę.

Główny taras Skały Dwóch Rzek, ulokowany wysoko ponad dolinami Rzeki i Rzeki Traw, był idealnym miejscem do obserwowania ruchów migrujących stad. W konsekwencji mieszkańcy Trzeciej Jaskini zyskali nadzwyczajną wprawę nie tylko w śledzeniu wędrowek zwierzyny, ale także w odczytywaniu zmian w szacie roślinnej i pogodzie, zwiastujących pojawienie się potencjalnej zdobyczy. To dzięki tym umiejętnościom z czasem stali się wyjątkowo skutecznymi łowcami. Choć każda Jaskinia parała się myślistwem, oszczepy mężczyzn i kobiet z Trzeciej Jaskini, mieszkających na Skale Dwóch Rzek, powalały znacznie więcej zwierzyny przemierzającej podmokłe doliny niż broń innych Zelandonii.

Wszyscy ludzie z okolicznych Jaskiń doskonale wiedzieli o myśliwskich umiejętnościach mieszkańców Trzeciej Jaskini, lecz najbardziej podziwiali je - i korzystali z nich - najbliżsi sąsiedzi. To właśnie do osadników ze Skały Dwóch Rzek zwracali się oni po radę i informacje, gdy planowali łowiecką wyprawę, szczególnie wtedy, gdy miała to być wyprawa, w którą angażowała się większa część społeczności. Ayla odwróciła głowę w lewo, by spojrzeć na południe. Trawiaste doliny dwóch rzek, łączących się u podnóża skały, rozpoczynały się między wysokimi urwiskami. Zasilona wodami Rzeki Traw, Rzeka płynęła dalej na południowy zachód, głębokim łukiem, wzdłuż wapiennego klifu, by zniknąć na horyzoncie i połączyć się z jeszcze większą rzeką, która nieco dalej na zachód wpadała do Wielkich Wód.

Uzdrowicielka spojrzała teraz w prawo, ku północy, w stronę, z której przybyli. Dolina w górnym biegu Rzeki wyglądała z tej odległości jak rozległa, zielona polana, rozświetlona błyskami

promieni słonecznych, odbijających się od powierzchni meandrującego nurtu. Rozproszone światło przenikało przez korony wysokopiennych jałowców, białych brzoź, wierzb i sosen, a nawet wiecznie zielonych dębów, porastających brzegi. Jeszcze dalej, na przeciwległym brzegu, opodal miejsca, w którym szeroko płynące wody skręcały gwałtownie ku wschodowi, widać było wielkie skały i gigantyczny nawis, pod którym znajdowały się domostwa Dziewiętej Jaskini.

Do grupy gości z wawym krokiem zbliżał się uśmiechnięty Manvelar. Choć srebrnowłosa męczyzna młodość miał już dawno za sobą, Ayla dostrzegła w nim niezwykłą żywotność i pewność siebie. Nie potrafiła właściwie oszacować jego wieku. Po tradycyjnej wymianie pozdrowień, Manvelar poprowadził przybyłych do nie używanej części głównego tarasu, położonej na północ od domostw i warsztatów pracy.

- Przygotowujemy południowy posiłek dla wszystkich - obwieścił siwowłosa. - Ale jeśli ktoś jest spragniony, może już teraz poczęstować się wodą. Kubki i zbiorniki są tam - dodał, wskazując na sporą stertę mokrych pojemników na wodę, opartych o skalną ścianę, oraz na stos plecionych kubków leżących obok.

Większość ludzi ochoczo skorzystała z oferty, choć niektórzy użyli własnych kubków. Zwyczaj noszenia własnych kubków, misek i nożyków do jedzenia w przytroczonej u pasa sakwie lub torbie był dość rozpowszechniony; stosowano się doń nawet wtedy, gdy w grę wchodziła krótka podróż lub zwykła wizyta u przyjaciół. Ayla zaś wzięła ze sobą nie tylko własny kubek, ale i miskę dla Wilka. Zelandonii wpatrywali się w tę scenę z fascynacją: pocieszał ich fakt, że tajemniczy wilk, w niezrozumiały sposób związany z piękną kobietą, doświadcza tak prozaicznej potrzeby, jak pragnienie.

W atmosferze radosnego oczekiwania niektórzy z zebranych zasiedli na kamieniach, inni zaś, stojąc, czekali na początek narady. Manvelar zwlekał jeszcze chwilę, nim wszyscy ucichli, i wreszcie skinął głową ku młodej kobiecie, która stała tuż obok niego.

- Od dwóch dni mamy obserwatorów tutaj i na Drugim Punkcie - rzekł wreszcie.

Tam jest Drugi Punkt - szepnął Jondalar, wyciągając rękę. Ayla podążyła wzrokiem za jego gestem i po drugiej stronie zlewiska dwóch rzek, na rozległej nizinie, dostrzegła jeszcze jeden kamienny nawis, sterczący pod ostrym kątem ponad urwiskami, które ciągnęły się wzdłuż Rzeki, ku jej dolnemu biegowi. - Chociaż rozdziela je Rzeka Traw, ludzie z Trzeciej Jaskini uważają Drugi Punkt za część Skały Dwóch Rzek.

Ayla spojrzała jeszcze raz na miejsce zwane Drugim Punktem, a potem podeszła do krawędzi tarasu, by popatrzeć w dół, na wodę. Z tej perspektywy widać było, że łącząc się ze swą większą siostrą, Rzeka Traw rozszerzała znacznie swój nurt, tworząc coś w rodzaju wachlarzowatej delty. Na prawym brzegu mniejszej z dróg wodnych, u podnóża Skały Dwóch Rzek, ścieżka

wiodąca na wschód, w górę rzeki, rozdwajała się. Ayla zauważyła, że udeptany trakt wiódł do brzegu Rzeki Traw w miejscu, w którym woda rozlewała się szeroko i płytko, z dala od wirów dwóch mieszających się nurtów. Domyśliła się, że tam właśnie Zelandonii z Trzeciej Jaskini zwykle przeprawiali się na drugi brzeg, na którym z kolei ścieżka wiodła w poprzek doliny utworzonej przez terasy zalewowe dwóch rzek, by po ćwierci mili dotrzeć do podstawy sterczącej wysoko skały. Pod niewielkim abri nie było zbyt wiele miejsca na kryjówkę, lecz kamienisty trakt wiódł na szczyt, do platformy, z której rozciągał się widok na obie doliny.

...Thefona przyniosła nam ważne informacje tuż przed waszym przybyciem - mówił właśnie Manvelar. - Moim zdaniem mamy parę interesujących możliwości, jeśli chodzi o twoje polowanie, Joharranie. Siedzimy ruchy mieszane stadka około ośmiu jeleni olbrzymich z młodymi.

Zmierzają w naszą stronę. Poza tym Thefona wypatrzyła spore stado bizonów.

- Zadowolimy się albo jednym, albo drugim; wszystko zależy od tego, co uznasz za pewniejszą okazję. Jakie jest twoje zdanie? - spytał Joharran.

- Gdyby chodziło tylko o zapasy dla Trzeciej Jaskini, pewnie zaczekalibyśmy nad Rzeką na jelenie, żeby zabić kilka w czasie przepawy przez bród, ale jeśli zależy wam na czymś solidniejszym, na waszym miejscu zapolowałbym z nagonką na bizony - odparł Manvelar.

- Możemy zrobić i jedno, i drugie - wtrącił Jondalar. Kilka najbliższych stojących osób uśmiechnęło się znacząco.

- Chciałby dopaść wszystkie? Czy Jondalar zawsze był taki napalony? - rzucił ktoś półgębkiem. Ayla nie była pewna kto.

- Owszem, napalony, ale na inną zwierzynę - odpowiedział kobiecy głos, wywołując salwę śmiechu.

Tym razem jednak Ayla zauważyła, kto mówił: Kareja, przywódczyni Jedenastej Jaskini. Znachorka pamiętała, że poznała ją niedawno i że na spotkaniu kobieta zrobiła na niej dobre wrażenie, ale teraz nie podobał jej się ton głosu Karei. Wszystko wskazywało na to, że przywódczyni drwi sobie z Jondalara, Ayla zaś miała dość świeże wspomnienia na temat podobnej sytuacji, w której sama się znalazła. Spojrzała na twarz ukochanego, by sprawdzić jego reakcję. Jondalar poczerwieniał i wykrzywił usta w złośliwym uśmiechu. Jest zakłopotany, pomyślała Ayla, ale próbuje nie okazywać prawdziwych uczuć.

- Możliwe, że to, co powiedziałem, zabrzmiało tak, jakbym był zapaleńcem i nowicjuszem, ale rzeczywiście wydaje mi się, że możemy zapolować na oba stada. Kiedy mieszkaliśmy z Mamutoi, Ayla pomogła Obozowi Lwa zagnać bizony w pułapkę, jadąc obok nich na grzbiecie klaczy - wyjaśnił Jondalar. - Koń jest bardziej rączy od najszybszych nawet ludzi, a do tego można nim kierować wedle własnej woli. Możemy pomóc w zagonieniu bizonów w zasadzkę i

dopilnować, żeby stado nie uległo rozproszeniu. A potem zobaczycie, jak łatwo jest powalać jelenie olbrzymie za pomocą miotacza oszczepów. Podejrzewam, że ubijemy większość. Będziecie zaskoczeni, kiedy zobaczycie, co można zdziałać tym urządzeniem - dokończył jasnowłosey, dobywając niezwyklej broni myśliwskiej. Było to nieco spłaszczone, wąskie drzewce, sprawiające wrażenie zdecydowanie zbyt prostego wynalazku, by mogło zdziałać cuda, o których mówił wędrowiec.

- Naprawdę sądzisz, że możemy zrobić jedno i drugie?

- spytał Joharran.

Nim padła odpowiedź, narada została przerwana przez gospodarzy z Trzeciej Jaskini, którzy przynieśli jedzenie. W toku dyskusji, która rozwinęła się zaraz po spokojnym obiedzie, okazało się, że stado bizonów znajduje się nieopodal pułapki zbudowanej podczas jednego z dawniejszych polowań. Naprawienie jej i przygotowanie do akcji nie było trudne. Ustalono więc, że na odnowienie zagrody pułapki poświęci się cały dzień, następnego ranka zaś - jeśli, rzecz jasna, bizony nie oddalą się w inne miejsce - rozpocznie się polowanie. Obserwatorzy mieli jednak także nie spuszczać z oczu stadka jeleni. Ayla przysłuchiwała się rozmowom o strategii łowów, ale nie zgłosiła się z Whinney do pomocy. Postanowiła, że poczeka na rozwój sytuacji.

- No cóż, chyba już czas rzucić okiem na tę twoją cudowną broń, Jondalarze - stwierdził w końcu Joharran.

Tak, tak - podchwycił Manvelar. - Zaciekawileś mnie, i to bardzo. Myślę, że możemy skorzystać z pola ćwiczeń w Dolinie Traw.

## ROZDZIAŁ 11

Pole ćwiczeń znajdowało się u podnóża Skały Dwóch Rzek i składało się w zasadzie jedynie z pasa ubitego piachu. Rosnącą tu niegdyś trawę dawno już zdeptały stopy ćwiczących. Nawet zielsko płożące się wokół toru wyglądało marnie, stratowane przez tych, którzy przyglądali się wyczynom trenujących myśliwych. Początek pola wyznaczał wielki wapienny głaz - onegdaj część olbrzymiego nawisu, która z nieznanых przyczyn oderwała się od macierzystej skały. Niegdyś ostre krawędzie kamiennej bryły zaokrągliły się z biegiem lat, obrabiane niestrudzenie przez tysiące ludzkich stóp. Drugi koniec toru ćwiczeń wyznaczały cztery grube skóry zwierzęce, owinięte i zawiązane wokół wiązek suchej trawy, której wiechcie wystawały przez otwory przebite celnie rzucanymi włócznie. Na każdej ze skór wymalowano wizerunek innego zwierzęcia.

Będziecie musieli odsunąć te cele znacznie dalej; co najmniej dwa razy dalej - ocenił Jondalar.

Dwa razy dalej? - powtórzyła z niedowierzaniem Kareja, przyglądając się niepozornemu kawałkowi drewna w jego dłoniach.

- Co najmniej.

Przedmiot, który trzymał Jondalar, został wystrugany z kawałka drewna i był mniej więcej długości jego przedramienia, mierzonego od łokcia po czubki wyciągniętych palców. Wąski i płaski, opatrzony był długim nacięciem biegnącym przez środek oraz dwiema skórzanymi pętlami umocowanymi na czubku. Na końcu miotacza sterczał zagięty hak, którego czubek pasował do otworu wyciętego w tęym końcu lekkiego oszczepu.

Jondalar sięgnął do kołczanu wykonanego z nie wyprawionej skóry po krzemienny grot umocowany na końcu krótkiego drzewca za pomocą ciasno zwiniętego ścięgna oraz kleju wykonanego z rozgotowanych racic i skrawków surowych skór. Koniec pocisku był lekko wypukły i zaokrąglony. W sumie przedmiot wydobyty z kołczanu wyglądał po trosze jak nieproporcjonalnie krótka włócznia, a po trosze jak nóż o niezwykle długiej rękojeści. Teraz mężczyzna wyjął nieco dłuższe drzewce, opatrzone dwoma piórami na końcu - podobnie jak prawdziwy oszczep - ale za to o nie zaostrozonym czubku. Tłum, który zgromadził się wokół Jondalara, zaszemrał ze zdziwieniem.

Mężczyzna zaś włożył trzonek z krzemiennym ostrzem zaokrąglonym końcem do otworu w dłuższym drzewcu, czyniąc zeń zgrabną dwuczęściową włócznię. Niektórzy widzowie mruknęli coś ze zrozumieniem, ale wielu było takich, którzy nie pojmowali jeszcze, o co chodzi.

- Wprowadziłem kilka zmian od czasu, kiedy po raz pierwszy zastosowałem nową technikę rzucania oszczepem - wyjaśnił zebranym Jondalar. - Ciągłe wypróbowuję w praktyce nowe



pomysły, sprawdzam, ile są warte. Odczepiany czubek oszczepu okazał się skutecznym rozwiązaniem. Dzięki niemu nie tracę drzewca za każdym razem, gdy włócznia źle wyląduje i złamie się lub gdy zwierzę, które trafiłem, pociągnie ją za sobą i ucieknie. Mój wynalazek - dodał, unosząc oszczep i ponownie rozdzielając go na dwie części - sprawia, że grot oddziela się od drzewca i nie muszę za każdym razem robić nowej broni.

Na te słowa w grupie słuchaczy rozległy się szepty zainteresowanych. Wykonanie porządnego, prostego drzewca do oszczepu wymagało czasu i wysiłku, lecz było konieczne, jeśli smukły pocisk miał lecieć nieomylnie w nadanym mu kierunku. Wśród zebranych nie było ani jednego myśliwego, któremu nie przytrafiłaby się utrata włóczni w najmniej dogodnym momencie polowania.

- Jak zapewne zauważyliście, mój oszczep jest nieco mniejszy i lżejszy od przeciętnego - ciągnął Jondalar.

Właśnie! - wykrzyknął Willamar. - Wiedziałem, że różni się czymś jeszcze poza tym, że składa się z dwóch części. Jest zgrabniejszy, prawie jak broń kobiety. Przypomina włócznię Matki.

- Zauważyliśmy, że lekki oszczep lata lepiej niż ciężki - dodał Jondalar.

- Ale czy przebija cel? - spytał Brameval. - Być może ciężka broń ląduje nieco bliżej, ale moim zdaniem przyzwoita włócznia musi trochę ważyć. Jeśli jest zbyt lekka, odbija się od grubej skóry albo łamie się czubek grotu.

- Zdaje się, że już czas na mały pokaz - rzekł Jondalar, podnosząc z ziemi torbę i kołczan, by przejść z nimi w pobliże skalnej bryły.

Miał przy sobie zapas drzewc i przyczepianych grotów, a każdy z nich był inny. Niektóre wykonał z ostro zakończonych kawałków krzemienia, lecz nawet one różniły się między sobą kształtem. Inne powstały ze smukłych kawałków kości, starannie zaostrzonych, wygładzonych i rozszczepionych na końcach tak, by można je było nakładać na krótkie drzewce. Mężczyzna przygotował do rzutu kilka oszczepów, podczas gdy Solaban i Rushemar zajęli się przeniesieniem celu na większą odległość.

- Jondalarze, wystarczy?! - zawołał Solaban. Jasnowłosa spojrział na Aylę, u boku której przysiadł posłusznie Wilk. Kobieta trzymała w dłoni swój miotacz oszczepów, w długim zaś kołczanie na plecach miała złożone już, gotowe pociski. Uśmiechnęła się do swojego mężczyzny, a on odpowiedział jej tym samym, choć nie udało mu się ukryć odrobiny zdenerwowania. Jondalar postanowił dokonać demonstracji swojego wynalazku, a potem dopiero skupić się na wyjaśnieniach i odpowiadaniu na pytania.

- Może być! - odkrzyknął do Solabana.

Cel znajdował się w zasadzie dość blisko, ale Jondalar uznał, że odległość jest wystarczająca, by pierwszy pokaz zrobił na widzach odpowiednie wrażenie. Nie musiał wołać, by wszyscy rozeszli się na boki - jakoś nikt nie miał ochoty stanąć na drodze oszczepu ciśniętego za pomocą nieznanego wynalazku. Odczekał więc, aż Solaban i Rushemar dołączą do pozostałych, a potem - obrzucany przez jednych spojrzeniami pełnymi nadziei, przez innych zaś pełnymi powątpiewania - jął szykować się do akcji.

Trzymając miotacz poziomo w prawej dłoni, przełożył kciuk i palec wskazujący przez pętle zwisające z czubka, a następnie szybko ułożył oszczep w rowku. Wsunął go do końca, tak by hak wpasował się w wydrążony koniec drzewca, i bez zastanowienia cisnął oszczep w stronę celu. Uczynił to na tyle błyskawicznie, że wielu świadków nawet nie zauważyło, jak koniec miotacza uniósł się wysoko, podczas gdy czubek - dzięki rzemiennym pętlom - pozostał w dłoni rzucającego, skutecznie przedłużając naturalną dźwignię ramienia o długość drewnianego urządzenia, a tym samym znacząco zwiększając siłę działającą na pocisk.

Zebrani spostrzegli za to, że oszczep pomknął z dwukrotnie większą prędkością niż zwykle i wylądował dokładnie pośrodku sylwetki jelenia wymalowanej na skórzanym worze z trawą - i to z taką siłą, iż przebił cel na wylot. Ku zdumieniu widzów, drugi pocisk pofrunął zaraz za pierwszym i z niemal identyczną mocą wbił się w cel tuż obok niego - to Ayla, nie czekając na zaproszenie, cisnęła swój oszczep sekundę później. Nastąpiła chwila grobowej ciszy, a potem sypnęły się pytania.

Widzieliście to?! Nie zauważyłem, kiedy rzuciłeś, Jondalarze, możesz to powtórzyć? Ten oszczep omal nie wyleciał drugą stroną; jakim cudem mogłeś rzucić tak mocno? Jej też przebił obie skóry. Skąd taka siła? Czy mogę to obejrzeć? Jak to nazwałeś? Miotaczem oszczepów?

Ostatnie pytania zadał Joharran, i to właśnie jemu Jondalar podał swój miotacz. Przywódca Dziewiątej Jaskini długo i uważnie przyglądał się wynalazkowi; wreszcie obrócił go i na stopce zauważył nieskomplikowany motyw wyobrażający jelenia olbrzymiego. Uśmiechnął się, gdyż nie pierwszy raz widział ten symbol.

- Nieźle, jak na łupacza krzemienia - pochwalił, wskazując palcem na wyrżnięty w drewnie znak.

- Skąd wiesz, że to moja robota?

- Pamiętam, że kiedyś chciałeś zostać rzeźbiarzem, Jondalarze. I zdaje się, że mam gdzieś jeszcze talerz z takim Azorem, który kiedyś dla mnie zrobiłeś. Ale powiedz lepiej, skąd ci przyszło do głowy coś takiego - dodał, oddając bratu miotacz. - I pokaż nam jeszcze raz, jak mamy tego używać. Wymyśliłem go dość dawno, jeszcze gdy mieszkałem z Aylą w jej dolinie. A jeśli chodzi o używanie, to naprawdę nic trudnego, chociaż trzeba trochę poćwiczyć, żeby w pełni wykorzystać

zalety takiego miotacza. Ja na przykład rzucam dalej, za to Ayla celniej - wyjaśnił Jondalar, wyciągając z kołczanu kolejny krótki pocisk. - Widzisz tę małą dziurkę, którą wyciąłem w końcówce oszczepu?

Joharran oraz stojący najbliżej mężczyźni pochylili się, by spojrzeć na małe zaokrąglone wgłębienie w stopce pocisku.

- Do czego służy ten otwór? - zainteresowała się Kareja.

- Zaraz wam pokażę. Widzicie ten mały, wystający haczyk na końcu miotacza? Jego czubek pasuje do wgłębienia, o, tak... - wyjaśnił Jondalar, nasuwając oszczep na ostrą końcówkę haka. Ustawił pocisk tak, że leżał płasko na miotaczu, z dwoma piórkami sterczącymi na boki, po czym przełożył kciuk i palec wskazujący przez skórzane pętle, cały czas utrzymując urządzenie w pozycji poziomej. Każdy, kto znalazł się w tłumie szybko gęstniejącym wokół Jondalara, starał się dostrzec jak najwięcej szczegółów niezwyklej prezentacji. - Aylo, może ty też pokażesz, jak to się robi - zaproponował jasnowłosy. Uzdrowicielka usłuchała.

- Ayla trzyma inaczej - stwierdziła Kareja. - Chwyta pętle wskazującym i środkowym palcem, a Jondalar używał kciuka i wskazującego.

- Jesteś wyjątkowo spostrzegawcza - zauważyła Marthona.

Tak jest mi wygodniej - odparła Ayla. - Jondalar też tak robił, ale teraz woli inaczej. W zasadzie nie ma różnicy, można trzymać pętle w dowolny sposób - jak komu wygodniej.

Kareja skinęła głową.

Twoje oszczepy też są mniejsze i lżejsze niż zwykłe.

- Z początku używaliśmy dużych, ale kiedyś Jondalar wymyślił, że mniejsze będą lepsze, i tak już zostało. Łatwiej je przenosić i celniej trafiają - odrzekła Ayla.

Jondalar tymczasem kontynuował pokaz.

- Zauważyliście, że kiedy rzucałem, tylna część miotacza uniosła się ku górze, wypychając oszczep z dodatkową siłą? - Trzymając załadowaną broń w prawicy, mężczyzna chwycił oszczep lewą dłonią, by w zwolnionym tempie pokazać ruch, jakim porusza się wyrzucany pocisk. - Stąd właśnie bierze się ta niezwykła moc.

- Kiedy miotacz znajduje się w górnym położeniu, jest tak, jakby o połowę dłuższe ramię ciskało oszczep - podsumował Brameval.

Do tej pory mężczyzna prawie się nie odzywał i Ayla potrzebowała dłuższej chwili na przypomnienie sobie, że to przywódca Czternastej Jaskini.

- Mógłbyś rzucić jeszcze raz? Pokaż nam, jak to działa - zaproponował Manvelar.

Jondalar cofnął się o krok, wymierzył i cisnął. I tym razem oszczep przebił cel, pocisk Ayli powtórzył zaś ten wyczyn o jedno uderzenie serca później.

Kareja spojrzała uważnie na kobietę, którą Jondalar sprowadził do rodzinnej Jaskini, i uśmiechnęła się lekko. Była zaskoczona, nie przypuszczała, że Ayla jest tak utalentowaną osobą. Spodziewała się raczej, że atrakcyjna wybranka Jondalara będzie przypominała Maronę - niewiastę, z którą był związany przed wyruszeniem w Podróż - ale grubo się pomyliła. Warto będzie zawrzeć z nią bliższą znajomość, pomyślała.

- Chciałabyś spróbować, Karejo? - spytała Ayla, podając kobiecie miotacz oszczepów.

- Chętnie - odpowiedziała przywódczyni Jedenastej Jaskini, uśmiechając się szeroko. Chwyciwszy broń, obejrzała ją uważnie z każdej strony, podczas gdy Ayla dobyła z kołczanu kolejną składaną włócznię. Na stopce pocisku Kareja dostrzegła wyryty wizerunek bizona i przez chwilę zastanawiała się, czy i on był dziełem rąk Jondalara. Rysunek był dobry - może nie genialny, ale przyjemny dla oka.

Znudzony Wilk zniknął gdzieś bez śladu, kiedy Ayla i Jondalar prezentowali zebranym techniki, które należało opanować, by skutecznie korzystać z dobrodziejstwa nowej broni myśliwskiej. Niektórym z chętnych udawało się ciskać oszczepem za pomocą miotacza na sporą odległość, ale wydawało się, że będą potrzebowali sporo czasu na dopracowanie celności rzutów. Stojąc z boku, Ayla przyglądała się ich poczynaniom, gdy nagle kątem oka zauważyła jakiś ruch: to Wilk wypadł z krzaków, ścigając jakieś zwierzę. Uzdrowicielka bez zastanowienia sięgnęła do sakwy po procę i kilka niewielkich wygładzonych kamieni.

Szybko umieściła jeden z nich w skórzanym zasobniku procy i kiedy dorodna pardwa w letnim upierzeniu wleciała ponad trawy, była gotowa do ataku. Kamień poszybował w stronę pulchnego ptaka, który padł na ziemię jak rażony gromem. Druga pardwa także wleciała w powietrze, ale kolejny pocisk trafił ją z morderczą precyzją. Wilk zdążył tymczasem odnaleźć pierwszą zdobycz. Ayla odebrała mu ją, gdy przybiegł, a potem posłała po następną, którą zaraz złożył u jej stóp. Nagle dotarło do niej, że sezon jest odpowiedni i... zaczęła szukać czegoś w gęstej trawie. Wkrótce odnalazła gniazdo i uśmiechając się triumfalnie, wybrała z niego kilka jaj. Miała już wszystko, czego potrzebowała do przyrządzenia ulubionego dania Creba - pardwy nadziewanej jajami.

Wracając spokojnie z Wilkiem u boku i cenną zdobyczą, była zadowolona z siebie. Póki nie dołączyła do grupy, nie zauważyła nawet, że nikt już nie ćwiczył miotania oszczepem, wszyscy bowiem przyglądali się jej poczynaniom. Niektórzy uśmiechali się z aprobatą, ale większość po prostu wlepiła w nią zdumiony wzrok. Jondalar nie posiadał się z radości.

- Nie wspominałem wam jeszcze, że Ayla świetnie posługuje się procą? - spytał niewinnie. Widać było, że pęcznieje z dumy.

- Zapomniałeś również dodać, że używa Wilka do wypłaszania zwierzyny z ukrycia. Po co w ogóle wymyślałeś ten miotacz, skoro masz ją i Wilka? - mruknął Joharran, wskazując na drewniane urządzenie.

- Szczerze mówiąc, to właśnie proca mojej kobiety podsunęła mi tę myśl - przyznał Jondalar. - Z tym że wtedy jeszcze Ayla nie miała Wilka; polowała z lwem jaskiniowym.

Większość zebranych uznała, że mężczyzna żartuje, choć patrząc na niewiastę z Wilkiem, dzierżącą w dłoni parę martwych pardw, nie byli do końca pewni, jak należy rozumieć tę uwagę.

- Opowiedz nam, jak dokonałeś tego wynalazku - poprosił Joharran, który rzucał ostatni i wciąż jeszcze ścisnął w rękach miotacz oszczepów.

- Obserwując Aylę z procą, pomyślałem sobie, że wspaniale byłoby móc ciskać oszczepem tak daleko i precyzyjnie. Zacząłem więc eksperymentować - z początku używałem nawet czegoś w rodzaju procy, ale szybko zrozumiałem, że potrzebuję czegoś sztywniejszego, nie tak miękkiego. I wreszcie wpadłem na taki oto pomysł - wyjaśnił Jondalar, wyciągając rękę w stronę miotacza. - Wtedy jeszcze nie miałem pojęcia, ile można osiągnąć dzięki tej broni. Jak zapewne się domyślacie, trzeba ćwiczyć, by ciskać nieomylnie, ale gwarantuję wam, że to nie takie trudne - my nauczyliśmy się nawet używać miotaczy z końskiego grzbietu, w pełnym biegu. A teraz, kiedy już mieliście szansę popробować samodzielnie, nadeszła pora na prawdziwy pokaz. Szkoda, że nie wzięliśmy ze sobą koni, ale mogę przynajmniej dać wam niejakie pojęcie o rzeczywistym zasięgu mojej broni.

Przyniesiono już kilka oszczepów leżących w pobliżu celów. Jondalar wybrał jeden z nich, wziął miotacz z rąk Joharrana i cofnął się o kilka kroków. Spojrzał w stronę skórzanych worów, lecz nie mierzył prosto w nie, tylko cisnął pocisk najdalej, jak potrafił. Oszczep poszybował ponad wypchanymi celami, pokonując o połowę większy dystans niż poprzednio, by wylądować gdzieś pośród traw.

Ayla rzuciła zaraz potem i choć nie miała w ramionach siły wysokiego, muskularnego mężczyzny, jej oszczep wylądował niewiele bliżej niż pocisk Jondalara. Znachorka obdarzona była nieprzeciętną siłą; przewyższała pod tym względem większość kobiet. Był to rezultat wychowania, któremu ją poddano. Ludzie Klanu byli zasadniczo silniejsi i bardziej żywotni niż Inni. Chcąc dotrzymać kroku swoim opiekunom czy choćby wykonywać codzienne prace, których ciężar spoczywał na barkach kobiet i dziewcząt klanu Bruna, Ayla musiała rozwinąć siłę mięśni - i odporność kośćca - niezwykłą dla ludzi jej rasy.

Kiedy zbierano rzucone pociski, nie ustawały dyskusje na temat nowej broni, której prezentacja zrobiła na wszystkich piorunujące wrażenie. Ciskanie oszczepu za pomocą miotacza w zasadzie niewiele różniło się od czynienia tego gołą ręką. Różnica tkwiła przede wszystkim w

rezultatach - wynalazek Jondalara pozwalał zwiększyć zasięg broni ponaddwukrotnie, przy czym grot wbijał się w cel ze znacznie większą siłą niż zwykle. I właśnie ten aspekt sprawy najgoręcej dyskutowano, gdyż świadkowie pokazu natychmiast pojęli, o ile bezpieczniej jest rzucać oszczepem z tak imponującej odległości.

Wypadki podczas polowań - choć nie zdarzały się często - były nie do uniknięcia. Niejeden łowca zginął lub został okaleczony przez oszalałe z bólu, ranne zwierzę. Dlatego też kwestią nie było to, czy miotacz oszczepów będzie przydatny, ale to, jak szybko i kosztem jakiego wysiłku większa grupa łowców zdoła nauczyć się posługiwania się nim - jeśli nie tak dobrze, by dorównać wprawą Jondalarowi i Ayli, to przynajmniej na tyle skutecznie, by skorzystać zeń podczas polowania. Niektórzy z myśliwych byli przekonani, że techniki, które już opanowali, wystarczą im z powodzeniem, lecz większość - szczególnie ci młodszy, którzy wciąż jeszcze uczyli się trudnej sztuki zdobywania mięsa - była bardzo zainteresowana wynalazkiem.

Broń Jondalara sprawiała wrażenie prostej i w istocie taka właśnie była, jednakże zasada jej działania, choć rozumiana intuicyjnie, została skodyfikowana znacznie później. Miotacz był w gruncie rzeczy unikatową, luźno połączoną z oszczepem dźwignią, której działanie nadawało pociskowi dodatkową energię kinetyczną, czyniąc jego lot szybszym i dalszym. Takiego efektu nie mogło dać nawet najdłuższe ramię człowieka.

Ludzie używali najrozmaitszych uchwytów i trzonek od niepamiętnych czasów, a każda z tych prostych dźwigni pozwalała znacząco zwiększyć siłę mięśni. Nawet kamienne ostrze - krzemień, jaspis, rogowiec, kwarc czy obsydian - było mniej wydajnym narzędziem, póki nie przyprawiono doń rękojeści zwielokrotniającej siłę nacisku na krawędź tnącą. Nóż stał się dzięki niej skuteczniejszy w działaniu, a jednocześnie bardziej precyzyjny.

Miotacz oszczepów był jednak czymś znacznie ważniejszym, nie tylko kolejnym zastosowaniem instynktownie rozumianych zasad fizyki. Był przykładem wrodzonej cechy ludu, do którego należeli Jondalar i Ayła, cechy, która ułatwiała mu przetrwanie: zdolności do kreowania idei, a następnie przemieniania jej w przydatny przedmiot; umiejętności urzeczywistniania abstrakcyjnej myśli. I choć nikt wówczas nie zdawał sobie z tego sprawy, był to największy i najistotniejszy Dar.

Goście spędzili resztę popołudnia na dyskusjach o strategii planowanego polowania. Wreszcie podjęto decyzję, że głównym celem łowów będzie stado bizonów, które niedawno wytropiono, jako że było liczniejsze niż grupa jeleni. Jondalar powtórzył, że jego zdaniem możliwe jest zapolowanie i na bizony, i na jelenie, ale nie starał się za wszelką cenę forsować tej koncepcji. Ayła zaś milczała, czekając na rozwój wypadków. Gospodarze tymczasem podjęli sąsiadów kolejnym posiłkiem i zaoferowali nocleg. Niektórzy postanowili zostać, lecz Joharran stwierdził, że

musi jeszcze dokonać pewnych przygotowań przed łowami, a poza tym obiecał Karei, że w drodze powrotnej zatrzyma się choćby na krótko w Jedenastej Jaskini.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, ale było jeszcze jasno, gdy delegacja Dziewiątej Jaskini zaczynała schodzić ścieżką ku równinom. Kiedy grupa dotarła do względnie płaskiego skrawka ziemi nad brzegiem Rzeki, Ayla raz jeszcze zadarła głowę i spojrzała na podobny do regału z półkami, wielopoziomowy nawis Skały Dwóch Rzek. Wielu mieszkańców głównego tarasu machało teraz rękami w powszechnie używanym geście, oznaczającym tyle co: "odwiedźcie nas jeszcze". Odchodzący zaś nadawali podobny sygnał: "złóżcie nam wizytę".

Wędrując wzdłuż brzegu, trzymali się linii urwiska, skręcającego łukiem w prawo, ku północy. Szli w górę rzeki, a skalna ściana po ich stronie leniwego nurtu z każdą chwilą była coraz niższa. Wreszcie w najślabej wypiętrzonyj części masywu, u jego podnóża, dostrzegli niszę. Nieco dalej i wyżej, mniej więcej w odległości stu dwudziestu kroków, znajdował się jeszcze jeden abri, połączony z pierwszym lekko wznoszącym się tarasem. Nieopodal widać było też wlot niedużej jaskini. Dwie nisze pod nawisami skalnymi oraz jaskinia wraz z długim tarasem stanowiły siedlisko kolejnej grupy tego gęsto zaludnionego regionu - Jedenastej Jaskini Zelandonii.

Kareja i towarzyszący jej ludzie opuścili Skałę Dwóch Rzek nieco wcześniej niż wysłannicy Dziewiątej Jaskini. Teraz zaś stała wraz z Zelandoni Jedenastej Jaskini, czekając na zbliżających się przybyszów. Przyglądając się tej parze, Ayla zauważyła, że Kareja była wyższa niż Zelandoni. Choć przecież nie była nadzwyczajnie rosta, mężczyzna wydawał się wyjątkowo niski i wątko zbudowany. A jednak wyciągnąwszy rękę ku Ayli na powitanie, donier ścisnął jej dłoń z prawdziwie męską siłą. Szczupły, lecz żyłasty, miał w sobie nie rzucającą się w oczy, wewnętrzną moc i pewność siebie, ale cechowało go coś jeszcze... Nietypowe dla mężczyzny zachowania i odruchy, które zdziwiły ją już przy pierwszym spotkaniu, teraz, przy powitaniu z gośćmi z Dziewiątej Jaskini, były jeszcze bardziej widoczne.

Nagle dotarło do niej, że Zelandoni nie taksuje jej wzrokiem tak, jak czyniła to - mniej lub bardziej otwarcie - większość mężczyzn z tego ludu. W tej samej chwili pojęła, że ten człowiek nie szuka towarzystwa kobiet, by zaspokajać swe intymne potrzeby. Jeszcze gdy mieszkała w Obozie Lwa, przysłuchiwała się z wielkim zainteresowaniem dyskusji na temat ludzi, którzy nosili w sobie zarówno esencję mężczyzny, jak i kobiety. Przypomniała sobie, że Jondalar powiedział wtedy, iż tacy najlepiej nadają się na Zelandoni i często bywają wybitnymi uzdrowicielami. Ayla uśmiechnęła się do mężczyzny i do własnych myśli. Miała nadzieję, że oto spotkała kolejną osobę, z którą będzie mogła porozmawiać na tematy związane z leczeniem ludzi.

Zelandoni odpowiedział jej przyjacielskim uśmiechem.

- Witaj w Rzecznej Osadzie, domu Jedenastej Jaskini Zelandonii - powiedział.

Inny mężczyzna, który stał z boku i nieco w tyle, spoglądał na niego ciepło i z miłością. Był dość wysoki, a jego twarz miała przyjemne, regularne rysy; w innych okolicznościach uzdrowicielka uznałaby go zapewne za przystojnego - uczyniłaby to, gdyby ruchy rosnącego Zelandoni nie były cokolwiek kobiece.

Zelandoni tymczasem odwrócił się w stronę owego mężczyzny i gestem poprosił, by się zbliżył.

- Chcę wam przedstawić mojego przyjaciela, Marolana z Jedenastej Jaskini Zelandonii - powiedział, po czym dokonał formalnej prezentacji, zdaniem Ayli - nieco dłuższej niż zwykle.

Kiedy przemawiał, Jondalar stanął cicho u boku swej kobiety. Ayła poczuła się pewniej w tej nowej, niezręcznej sytuacji - jednej z wielu, których nie szczędził jej los od czasu, gdy zawitała do kraju Zelandonii. Odwróciła się, by obdarzyć ukochanego uśmiechem wdzięczności, a potem ujęła dłonie zniewieściałego mężczyzny. Zauważyła, że nie był tak wysoki jak Jondalar, ale nieco wyższy od niej.

W imieniu Mut, Wielkiej Matki Wszystkich, zwanej także Doni, pozdrawiam cię, Marolanie z Jedenastej Jaskini Zelandonii - odpowiedziała.

Mężczyzna uśmiechał się sympatycznie i najwyraźniej miał ochotę na dłuższą rozmowę, lecz Ayła i Jondalar musieli odstąpić na bok, by umożliwić pozostałym gościom powitanie z przywódczynią i Zelandoni Jedenastej Jaskini. Zanim się obejrzel, od Marolana oddzielał ich już spory tłum. Znajdzie się inna okazja do wymiany uprzejmości i rozmowy, pomyślała znachorka.

Rozejrzawszy się po okolicy, stwierdziła, że choć skalny taras znajduje się nieco wyżej niż brzeg i jest trochę odsunięty, odległość niszy od nurtu Rzeki jest niezbyt duża. Zaraz też podzieliła się tym spostrzeżeniem z Marthoną.

Rzeczywiście, ludzie z Jedenastej żyją blisko Rzeki - przyznała kobieta. - Niektórzy z nas uważają, że grozi im nawet zalanie. Zelandoni na przykład twierdzi, że w Legendach Starszych są wzmianki o powodziach, ale nikt z żyjących, nawet najstarsi, nie pamiętaj ą takiego zdarzenia. Jest też i dobra strona takiej lokalizacji niszy: jej mieszkańcy potrafią cieszyć się dobrodziejstwami Rzeki.

Willamar wyjaśnił Ayli, że bezpośredni dostęp do drogi wodnej pozwala mieszkańcom Jedenastej Jaskini w pełni wykorzystać jej potencjał. Głównym ich zajęciem było rybołówstwo, lecz znacznie większej sławy przysparzała im biegłość, jaką osiągnęli w transportowaniu dóbr Rzeką.

Tratwy są potrzebne, kiedy trzeba przewieźć większą ilość towaru - jedzenia, drewna, a czasem nawet ludzi - tłumaczył Mistrz Handlu. - A Jedenasta Jaskinia słynie nie tylko z



umiejętności flisackich, potrzebnych do spławiania dóbr z biegiem Rzeki, ale także z produkcji samych tratw dla siebie i dla wszystkich okolicznych osad.

- Rzeczywiście, to ich specjalność - przytaknął Jondalar. - Jedenasta Jaskinia buduje najlepsze tratwy rzeczne i robi z nich najlepszy użytek. Nie na darmo nazywamy jej siedzibę Rzeczną Osadą.

- Czy tamte pnie to właśnie ich tratwy? - spytała uzdrowicielka, ruchem głowy wskazując na kilka drewnianych konstrukcji z dużych pni i mniejszych kawałków drewna, widocznych na brzegu Rzeki.

Było w nich coś znajomego, lecz przez dłuższą chwilę nie potrafiła przypomnieć sobie, gdzie widziała podobne kształty. I wreszcie doznała olśnienia: kobiety S'Armunai także używały tratw. Kiedy próbowała odnaleźć Jondalara, poszła jedynym śladem, który wiódł od miejsca zniknięcia mężczyzny do brzegów rzeki. To tam zobaczyła na wodzie małą tratwę.

- Nie wszystkie. To, co wygląda na największą tratwę, jest w istocie pomostem, przystanią. Te mniejsze platformy to tratwy. Większość Jaskiń ma swoje miejsce nad wodą, w którym je przechowuje - czasem jest to zwykły kawałek plaży - ale nikt nie ma takiej przystani jak Jedenasta. Kiedy ktoś wybiera się w dalszą podróż lub chce przewieźć w górę lub w dół Rzeki większy ładunek, zawsze zwraca się do ludzi z Jedenastej Jaskini o pomoc. Można powiedzieć, że to prawie regularna linia przewozowa - wyjaśnił Jondalar. - Dlatego cieszę się, że tu jesteśmy. Już dawno chciałem opowiedzieć im o Sharamudoi i ich cudownie zwrotnych łodziach, które wycinają z całych pni.

- Wątpię, czy będziesz teraz miał dość czasu na dyskusje o łodziach rzecznych - wtrącił Joharran, który posłyszał ostatnią wypowiedź brata. - Chyba że chciałbyś zostać tu sam. Ja zamierzam wrócić do Dziewiętej Jaskini przed zmrokiem - dodał. - Powiedziałem Karei, że zatrzymamy się u niej, żebym mógł pokazać wszystkim ciebie, Aylo, a także po to, żebym mógł umówić się na wyprawę tratwą w górę rzeki. Kiedy skończymy polowanie, będę chciał porozmawiać z kilkoma przywódcami Jaskiń w sprawie Letniego Spotkania.

- Gdybyśmy mieli chociaż jedną z tych małych dłubanek Ramudoi, kilka osób mogłoby powiosłować w górę rzeki i nie trzeba byłoby ściągać na wodę ciężkiej tratwy - rzekł Jondalar.

- Jak długo potrwałaby budowa? - spytał rzeczowo Joharran.

- Nie da się ukryć, że to mnóstwo pracy... - przyznał Jondalar. - Ale kiedy zrobi się taką łódź, posłuży przez lata.

- Zatem teraz nic mi po twojej radzie, zgadza się?

- Nic. Myślałem przede wszystkim o korzyściach na przyszłość.

- Zapewne, aleja muszę popłynąć w górę rzeki w ciągu najbliższych kilku dni - odrzekł Joharran. - I szybko wrócić. Jeżeli Jedenasta Jaskinia i tak planowała podróż w tamtą stronę, będzie mi łatwiej, ale jeśli będzie trzeba - pójde piechotą w tę i z powrotem.

- Mógłbyś pojechać konno - wtrąciła Ayla.

- Ty mogłabyś pojechać konno, Aylo - poprawił ją Joharran, uśmiechając się krzywo. - Nie mam pojęcia, jak zmusić takie zwierzę, żeby biegło tam, gdzie chcę.

- Koń może unieść i dwie osoby. Mógłbyś usiąść za moimi plecami - zauważyła przytomnie.

- Albo pojechać ze mną - dorzucił Jondalar.

- Może kiedyś skorzystam... Ale na razie lepiej będzie, jeśli dowiem się, czy Jedenasta Jaskinia planuje na najbliższe dni kurs w górę rzeki - zakończył rozmowę Joharran.

Nikt z gości nie zauważył, że Kareja stanęła tuż obok.

- Tak się składa, że właśnie zastanawiałam się nad wyprawą w tym kierunku - oświadczyła spokojnie. - Ja także wybieram się na to spotkanie, Joharranie. A jeśli łowy będą udane... być może niegłupio byłoby zawieźć część zapasów mięsa na miejsce Letniego Spotkania i przechować je gdzieś. Zgadzam się z twoimi przypuszczeniami; w tym roku zobaczymy wyjątkowe tłumy Zelandonii. - Kobieta odwróciła się w stronę Ayli. - Wiem, że nie możecie zostać u nas na dłużej, ale chciałabym pokazać ci naszą Jaskinię i przedstawić ci kilku osobom. - Kareja nie starała się ignorować Jondalara, ale fakt pozostawał faktem - zwracała się wyłącznie do znachorki.

Jondalar zaś przyglądał się uważnie przywódczyni Jedenastej Jaskini. To ona celowała w szyderczych uwagach, kiedy naśmiewano się z jego łowieckich pomysłów i śmiałych twierdzeń o skuteczności nowej broni. Teraz jednak wydawała się pod wrażeniem umiejętności Ayli.... teraz, to znaczy po przekonującej demonstracji. Może powinienem był zaczekać z rozmową na temat nowych łodzi?, zastanawiał się Jondalar. A może Kareja nie jest odpowiednim partnerem do dyskusji o żegludze? Ciekawe, kto jest teraz najlepszym konstruktorem tratw w Jedenastej Jaskini.

Jondalar usiłował przypomnieć sobie wszystko, co wiedział na temat przywódczyni. O ile pamiętał, mężczyźni jakoś nigdy nie interesowali się jej osobą. Nie dlatego, że była nieatrakcyjna; chodziło raczej o to, że nie obchodziło ją specjalnie poszukiwanie partnera i nikogo nie zachęcała do zabiegania o swe względy. Jondalar jednak nie pamiętał też, by Kareja kiedykolwiek interesowała się kobietami. Po prostu zawsze mieszkała z matką, Dorovą. Ciekawe, czy i to się nie zmieniło, zastanawiał się jasnowłosy.

Wiedział, że matka przywódczyni nigdy nie żyła przy ognisku mężczyzny. Nie pamiętał, czy kiedykolwiek zadawała się z którymś i czy ktokolwiek wiedział, czyjego ducha Wielka Matka wybrała, by uczynił Dorovę brzemienną. Ludzie zastanawiali się i nad tym, dlaczego swej córce

nadała imię Kareja, w mowie Zelandonii przypominające brzmieniem słowo "odważna". Czy wydawało jej się, że dziewczynka będzie w życiu potrzebować przede wszystkim odwagi?

Ayla, która wiedziała, że wilk niechybnie przyciągnie uwagę mieszkańców Jedenastej, pochyliła się nad nim, by pogłaskać go i uspokoić łagodnymi słowy. Zresztą jego obecność i na nią działała kojąco; niełatwo było bowiem bez przerwy tkwić w centrum zainteresowania, nie mając nawet nadziei na rychłą zmianę tego stanu rzeczy. I choćby z tego powodu niespecjalnie uśmiechała się jej perspektywa udziału w Letnim Spotkaniu, lecz z drugiej strony nie mogła się doczekać ceremonii Zaślubin, po której już oficjalnie miała stać się partnerką Jondalara. Westchnąwszy ukradkiem, wstała i dała Wilkowi sygnał, by pozostał na miejscu. Sama zaś dołączyła do Karei i wraz z nią pomaszerowała ku pierwszej niszy.

Przestrzeń pod skalnym nawisem nie różniła się zbyt wiele od tych, które uzdrowicielka widziała już w okolicy. Warstwy wapiennych masywów o odmiennej twardości ulegały nierównomiernej erozji, dzięki czemu tworzyły się w urwiskach charakterystyczne tarasy i nawisy, zapewniające dopływ dziennego światła do nisz, a jednocześnie chroniące kamienne sadyby przed opadami atmosferycznymi. Konstrukcje z wapiennych bloków, wznoszone w głębi, zapewniały dodatkową osłonę przed silnymi wiatrami i pomagały podtrzymać dający ciepło ogień. W strefach peryglacialnych, nawet podczas surowych zim epoki lodowcowej, takie kryjówki były gwarancją nadzwyczaj korzystnych warunków życia.

Ayla zawarła znajomość z kilkoma osobami i przedstawiła Wilka paru następnym, a potem została poprowadzona do sąsiedniej niszy - tej, w której mieszkała Kareja. Poznała tam matkę przywódczyni, Doroyę, i... nikogo więcej z tego rodu. Wszystko wskazywało na to, że Kareja nie ma ani partnera, ani rodzeństwa. Co więcej, dość zdecydowanie opowiedziała się przeciwko posiadaniu potomstwa, twierdząc, że branie na siebie odpowiedzialności za losy całej Jaskini jest dla niej wystarczającym balastem.

Kiedy na chwilę zapadło milczenie, Kareja uważnie przyglądała się Ayli.

- Skoro tyle wiesz o koniach, pokażę ci coś ciekawego - odezwała się wreszcie.

Jondalar był nieco zaskoczony, kiedy zobaczył, że przywódczyni kieruje się w stronę małej jaskini. Wiedział, co się tam znajduje, i pamiętał, że zwykle nie wprowadzało się do środka ludzi nieznanymi, przybywających z pierwszą wizytą - bądź co bądź, było to miejsce święte. W pobliżu wejścia do owej małej jaskini na ścianie skalnej widniały tajemnicze linie, we wnętrzu zaś, wysiliwszy wzrok, można było dostrzec prymitywne rysunki wyryte w wapieniu. Na suficie za to znajdował się doskonały wizerunek konia, a w głębi jaskini jeszcze kilka niezrozumiałych symboli.

To piękny rysunek - oceniła Ayla. - Ktokolwiek go wyrył, musiał znać się na koniach. Czy ten artysta jeszcze żyje?

- O, nie. Ale możliwe, że unosi się tutaj jego duch - odrzekła Kareja. - Rysunek jest tu od niepamiętnych czasów. Nie wiemy, kto tak naprawdę jest jego autorem.

Ostatnią rzeczą, którą pokazano Ayli, była przystań z dwiema okazałymi tratwami oraz warsztat, w którym powstawała kolejna. Uzdrowicielka miała ochotę zostać tu dłużej i dowiedzieć się więcej, lecz Joharran spieszył się bardzo, a i Jondalar stwierdził, że musi przygotować się do polowania. Ayła nie chciała zostać sama, zwłaszcza że była to jej pierwsza wizyta w Jedenastej Jaskini, ale obiecała, że wkrótce powróci.

Grupa wyruszyła dalej w górę Rzeki, w stronę podnóża niewielkiego, skalistego wzniesienia, pod którym znajdowała się nieduża nisza. Ayła zauważyła, że na tarasie, wzdłuż krawędzi nawisu, uformowała się linia usypana z ostrych, skalnych odłamków, najwyraźniej spadających z góry.

Dostrzegła też, że nisza była zamieszka. Tu i ówdzie stały jeszcze mniej lub bardziej zniszczone przepierzenia. W kącie, u podstawy nawisu, leżał futrzany podglówek, tak starty, że nieomalże pozbawiony włosia. Ciemne kręgi po dawnych paleniskach także były nieźle widoczne. Dwa z nich otoczone były wieńcami z kamieni, przy jednym zaś sterczały z ziemi rozwidlone patyki. Ayła domyślała się, że ktoś stawiał na nich rożny z mięsiwem.

Wydawało jej się, że ponad jednym z palenisk dostrzega wątlą smużkę dymu, i fakt ten zdumiał ją niepomierne. Miejsce wyglądało na opuszczone, a przecież dym był dowodem na to, że ktoś był tu całkiem niedawno.

- Która Jaskinia zajmuje tę niszę? - spytała Ayła.

- Żadna - odrzekł zwięźle Joharran.

- Ale wszystkie korzystają z niej po trosze - uzupełnił skąpą wypowiedź Jondalar.

- Każdy bywa tu od czasu do czasu - dodał Willamar. - To miejsce, gdzie można schronić się przed deszczem, gdzie spotyka się młodzież, gdzie para może spędzić noc, ale nikt nie mieszka tu na stałe. Ludzie nazywają tę niszę po prostu Schronieniem.

Po krótkim postoju delegacja Dziewiątej Jaskini ruszyła w dalszą drogę wzdłuż Rzeki, ku Przeprawie. Spoglądając przed siebie, Ayła widziała już urwisko i charakterystyczną wiszącą skałę nad niszą Jaskini Jondalara, piętrzące się na zewnętrznym łuku ostrego zakrętu rzecznej koryta. Pokonawszy bród, wędrowcy podążyli mocno wydeptaną, nadrzeczną ścieżką u podnóża masywu, wijącą się pośród rzednących z każdą chwilą krzewów i drzew.

Zwężenie drogi między Rzeką a pionowym klifem zmusiło ich do marszu gęsiego.

- To ta, którą nazywacie Wysoką Skałą, prawda? - spytała Ayła, zwolniwszy, by dogonił ją Jondalar.

- Tak - odparł w chwili, gdy dotarli do rozwidlenia ścieżki, tuż za końcem surowej kamiennej ściany. Odnoga skręcała mocno i prowadziła w tę samą stronę, z której właśnie przyszedli, ale wznosiła się ostro ku górze.

- Dokąd prowadzi tamta część ścieżki? - spytała Ayla.

- Do jaskiń, wysoko w stromej skale, którą właśnie minęliśmy - odrzekł Jondalar, a jego kobieta przyjęła odpowiedź do wiadomości lekkim skinieniem głowy.

Po kilku krokach szlak wiodący na północ doprowadził ich do doliny ciągnącej się ze wschodu na zachód, zamkniętej stromymi urwiskami. Niewielki strumyk przepływał przez sam jej środek, by nieco dalej wpaść w szeroki nurt Rzeki, w tym miejscu toczącej swe wody niemal dokładnie z północy na południe. Dolina była tak wąska, że w zasadzie zasługiwała na miano wąwozu wciśniętego między dwa strome wzniesienia: Wysoką Skałę - pionowe urwisko na południu - oraz jeszcze większą masę kamienia, piętrzącą się na północy.

- Czy ten masyw też ma jakąś nazwę? - zainteresowała się Ayla.

Wszyscy nazywają go po prostu Dużą Skałą - odrzekł Jondalar. - A ta struga to Rybny Strumień.

Zadałszy głowy ku górze, spojrzeli na ścieżkę widoczną po drugiej stronie potoku i zobaczyli na niej sylwetki kilku ludzi. Grupkę prowadził szeroko uśmiechnięty Brameval.

- Złóżcie nam wizytę, Joharranie - odezwał się, gdy stanął naprzeciwko przywódcy Dziewiętej Jaskini. - Chciałbym pokazać Aylę moim ludziom i przedstawić ją paru przyjaciółom.

Z twarzy brata Jondalar wyczytał, że kolejny postój wcale nie jest jego marzeniem, ale obaj doskonale wiedzieli, że odmowa byłaby wysoce niestosownym zachowaniem. Marthona także wyczuła niechęć Joharrana i stanęła obok niego. Nie zamierzała pozwolić na to, by popełnił błąd i zraził do siebie dobrych sąsiadów tylko dlatego, że spieszy mu się do domu. Bez względu na to, jakie miał plany, nie były one tak ważne, jak stosunki z sąsiednimi Jaskiniami.

- Ależ oczywiście - powiedziała z uśmiechem. - Chętnie zatrzymamy się na chwilę. Niestety, na dłużej nie możemy. Czekają nas przygotowania do wielkich łowów, a Joharran ma jeszcze kilka spraw niecierpiących zwłoki.

- Skąd on mógł wiedzieć, że będziemy tędy szli akurat w tym momencie? - spytała cicho Ayla, gdy wspinali się ścieżką po drugiej stronie Rybnego Strumienia, zbliżając się do kolejnej osady.

- Pamiętasz to rozwidlenie ścieżki i odnogę, która prowadziła w górę, do jaskiń w Wysokiej Skale? - odpowiedział pytaniem Jondalar. - Brameval musiał wystawić tam straż i kiedy zostaliśmy wypatrzeni, goniec pobiegł do niego z wiadomością.

Ayla ujrzała po chwili tłum ludzi czekający na wędrowców. Zauważyła też, że w olbrzymich masach wapienia zwróconych stromym urwiskiem ku strumieniowi, czernią się otwory kilku małych jaskiń, a obok nich znajduje się parę niewielkich nisz oraz jedna doprawdy ogromna. Kiedy do niej dotarli, Brameval obrócił się na pięcie, unosząc ku górze ramiona, jakby chciał nimi objąć całą okolicę.

Witamy w Małej Dolinie, domu Czternastej Jaskini Zelandonii - rzekł uroczyście.

Przed przestronnym abri rozpościerał się duży taras skalny, na który można było dotrzeć z kilku stron, wspinając się wąskimi schodami wykutymi w kamieniu. Niewielki otwór w nawisie osłaniającym niszę został powiększony na tyle, by nadawał się na stanowisko obserwacyjne lub komin odprowadzający dym z ognisk. Wał z wapiennych odłamków odgradzał wnętrze naturalnego schronienia od kaprysów aury.

Goście z Dziewiątej Jaskini zostali zaproszeni do głównego pomieszczenia mieszkalnego małej osady i poczęstowani herbatą, która parzyła się już, gdy przekroczyli próg. Rumianek, orzekła Ayla, pociągając mały łyk. Wilk miał wielką ochotę zwiedzić obszerną niszę - znachorka także z trudem powściągała ciekawość - lecz sygnał dany przez Panią kazał mu trzymać się jej nogi. Wszyscy wiedzieli o drapieźcy, który słucha rozkazów kobiety, i niejednen z mieszkańców Czternastej Jaskini widział go już na własne oczy, ale tylko z daleka. Ayla potrafiła sobie wyobrazić, jak bardzo musi ich niepokoić widok Wilka w samym sercu ich domu. Między innymi dlatego zaczęła od przedstawienia czworonoga siostrze Bramevala i miejscowej Zelandoni na oczach licznie zebranych gapiów. Choć ludzie z Dziewiątej Jaskini byli naprawdę bliskimi przyjaciółmi tych z Czternastej, tym razem wszyscy zachowywali się dość oficjalnie, mieli bowiem świadomość, że to obca kobieta, Ayla, znajduje się w centrum uwagi. Po formalnych prezentacjach i drugiej kolejce gorącej herbaty zapadła niezręczna cisza. Jak to zwykle bywa w takich sytuacjach, nikt nie wiedział, o czym można lub trzeba rozmawiać z przybyszem z niewyobrażalnie dalekich stron. Joharran niemal otwarcie spoglądał tęsknie ku ścieżce wiodącej na zewnątrz, w stronę Rzeki. - Chciałabyś zwiedzić resztę Małej Doliny, Aylo? - spytał Brameval, kiedy dotarło do niego, że Joharran najchętniej ruszyłby w dalszą drogę.

- O, tak. Bardzo - odpowiedziała.

Goście z Dziewiątej Jaskini i ich gospodarze z niejaką ulgą zstąpili na kute w kamieniu schody, prowadzące na nieco niższy poziom tarasu. Dzieciaki nie czekały na swoją kolej - skakały wprost ze skały na półkę. Choć główną siedzibą Czternastej Jaskini była wielka nisza, dwie leżące obok siebie, nieco mniejsze kryjówki w południowym stoku także miały swoje zastosowanie.

Grupa zatrzymała się przy jednej z małych nisz.

- To Schronienie Łososia - powiedział Brameval, wprowadzając Aylę do małego, niemal okrągłego pomieszczenia o średnicy nie przekraczającej dwudziestu stóp.

Mężczyzna uniósł rękę, wskazując na sklepienie. Ayla zadarła głowę i ujrzała płaskorzeźbę łososia naturalnej wielkości, długą na niemal cztery stopy. Był to wizerunek samca o zakrzywionej już szczęce, a zatem płynącego w górę rzeki na tarło. Płaskorzeźba stanowiła centralny element bardziej złożonego obrazu, w którego skład wchodził także prostokąt przedzielony siedmioma liniami, podobna przednich nóg konia, niezrozumiałe symbole o dziwnych kształtach i "negatyw" dłoni doskonale widoczny na czarnym tle. Sporą powierzchnię sklepienia pokrywały plamy jednolitej czerwieni i czerni, służące podkreśleniu urody rysunków i płaskorzeźb.

Resztę Małej Doliny Ayla zwiedziła w błyskawicznym tempie. W przeciwległym, południowozachodnim masywie, znajdowała się dość przestronna jaskinia, natomiast na południe od niej - taras przed małym abri, którego przedłużeniem głęboko wrzynającym się w skałę była kolejna jaskinia, długa na dobre sześćdziesiąt pięć stóp. Na prawo od wejścia do niej, nad naturalną kamienną półką, ktoś wyrzeźbił udatne podobizny dwóch bizonów oraz kilkoma zręcznymi cięciami naszkicował sylwetę nosorożca.

Naturalne piękno Małej Doliny zrobiło na Ayli wielkie wrażenie i kobieta nawet nie próbowała tego ukrywać. Brameval i lud Czternastej Jaskini byli zaś dumni ze swego domu i z przyjemnością pokazywali co bardziej urokliwe zakątki komuś, kto nie wstydził się demonstrować podziwu czy zachwyty. Powoli przyzwyczajali się też do obecności wilka, pokrzepieni tym, że Ayla przez cały czas kontrolowała jego poczynania. Gromadnie zaproponowali, by goście - lub sama znachorka - pozostali na wspólnym wieczornym posiłku.

- Chciałabym - odrzekła Ayla - ale tym razem to niemożliwe. Obiecuję, że jeszcze do was wrócę.

W takim razie zanim odejdziecie, pokażę ci jeszcze nasz jaz - powiedział Brameval. - Będzie wam po drodze, w stronę Rzeki.

I poprowadził liczną grupę, w której goście stanowili już zdecydowaną mniejszość, do przypominającej niewielką tamę pułapki na ryby, przegradzającej Rybny Strumień. Struga wodna, która przecinała wąską dolinę, była bowiem częścią szlaku, którym dojrzałe łososie podążały co roku na pobliskie tarlisko. Dzięki licznym przeróbkom jaz stał się z czasem skutecznym narzędziem do chwytania wielu innych, mniejszych ryb, które lubiły zapuszczać się daleko w czyste wody strumienia. Jednakże najważniejszym celem połowów były dorodne łososie, których długość sięgała nierzadko pięciu stóp, choć standardowym rozmiarem dojrzałych samców były cztery stopy.

- Czasem używamy też sieci, szczególnie wtedy, kiedy łowimy w Rzece - wyjaśnił Brameval.

Ludzie, u których się wychowałam, mieszkali nad morzem śródlądowym. Czasem wyprawiali się do ujścia rzeki, która płynęła w pobliżu jaskini, i łapali w sieci jesiotry. Najbardziej zależało im na samicach, bo przepadali za ikrą, tymi małymi, czarnymi jajeczkami - powiedziała Ayla.

- Jadłem kiedyś ikrę jesiotra - odrzekł mężczyzna. - Byłem wtedy z wizytą u ludzi, którzy żyją na zachodzie, nad Wielkimi Wodami. Była smaczna, ale tu, w górnym biegu rzeki, rzadko spotyka się jesiotry. Za to łososi mamy pod dostatkiem, a ich jajeczka też są znakomite, tyle że nieco większe i jaskrawe, prawie czerwone. Osobiście jednak wolę różowe mięso niż ikrę. Zdaje się, że łososi lubią czerwień. Wicie, że samce stają się czerwone, kiedy płyną w górę naszego strumienia? Na jesiotrach nie znam się tak dobrze, jak na łososiach, ale słyszałem, że zdarzają się wśród nich wielkie sztuki.

- Jondalar złapał raz największego jesiotra, jakiego w życiu widziałam. Był bodaj dwa razy dłuższy od rosnącego mężczyzny - odrzekła Ayla, odwracając się i uśmiechając do ukochanego. - Zafundował Jondalarowi niezłą jazdę - dodała z błyskiem rozbawienia w oku.

- Jeżeli nie zamierzacie zostać tu na noc, to obawiam się, że Jondalar będzie musiał opowiedzieć nam o tym później - wtrącił bezceremonialnie Joharran.

- O, tak, znacznie później - podchwycił jasnowłosy. Historia owego połowu była nieco kompromitująca, więc nie palił się zbytnio do opowiadania.

Idąc wolno w stronę Rzeki, goście i gospodarze kontynuowali rozmowę o rybach.

Ten, kto sam chce zapolować na rybę, często używa kolca. Wiesz, jak to się robi, prawda? - spytał Brameval. - Trzeba wziąć mały, twardy kawałek drewna, zaostrzyć go na obu końcach i przywiązać pośrodku cienką linkę - wyjaśniał mężczyzna, gestykułując z zapałem. - Ja zwykle dodaję jeszcze coś lekkiego, unoszącego się na wodzie, a koniec sznurka przyczepiam do tyczki. Wokół kolca trzeba przywiązać dżdżownicę i poruszać nią trochę w wodzie, a potem pozostaje już tylko uważać. Gdy pływak zadrży, należy ostro szarpnąć tyczką, a wtedy, przy odrobinie szczęścia, kolec stanie rybie w gardle lub pysku, przebijając się czubkami na zewnątrz. Nawet dzieciaki radzą sobie z tym sposobem połowu.

Jondalar uśmiechnął się półgębkiem.

Wiem. Uczyleś mnie tego, kiedy byłem mały - powiedział, po czym spojrzał na Aylę. - Nie pozwól Bramevalowi rozgadać się na temat łowienia ryb. - Przywódca Czternastej Jaskini wyglądał teraz na lekko zawstydzonego. - Ayla także zna się na tym niezgorzej, Bramevalu. - Mężczyzna uśmiechnął się do znachorki. - Potrafi łapać ryby gołymi rękami.



- Gołymi rękami? - zdziwił się Brameval. - Chciałbym zobaczyć coś takiego.

Ten sposób wymaga cierpliwości, ale poza tym to nic trudnego - odrzekła Ayla. - Pokażę ci któregoś dnia.

Kiedy reprezentacja Dziewiątej Jaskini opuszczała wąską gardziel Małej Doliny, Ayla zauważyła, że ogromna masa wapienia zwana Dużą Skałą, zamykająca od północy terytorium Czternastej Jaskini, wznosiła się stromo ku niebu, lecz w przeciwieństwie do Wysokiej Skały, nie zbliżała się tak bardzo do Rzeki. Ścieżka rozszerzała się szybko, w miarę jak wapienna ściana oddalała się od prawego brzegu i wolno płynącej wody, aż wreszcie między skałą a rzeką rozpostarła się rozległa równina.

- Nazywamy to miejsce Polem Zgromadzeń - powiedział Jondalar. - Należy po trosze do każdej z okolicznych Jaskiń. Kiedy chcemy spotkać się w naprawdę licznym gronie, na przykład na uczcie lub wtedy, gdy ktoś zamierza powiadomić o czymś wszystkim Zelandonii z okolicy, przychodzimy tutaj, bo to jedyne miejsce, gdzie możemy się pomieścić. Czasem używamy go też po wielkich polowaniach, kiedy trzeba ususzyć większą ilość mięsa na zimę. Podejrzewam, że gdyby tu była nisza albo jaskinia nadająca się do zamieszkania, ktoś zająłby tę okolicę dla siebie, ale na razie każdy może z niej skorzystać. Robimy to głównie w lecie, kiedy można spędzić kilka nocy pod namiotem.

Ayla przeniosła wzrok na wapienną ścianę. Choć rzeczywiście nie było w niej ani jednej niszy czy jaskini, czoło masywu przecinały rozliczne półki i szczeliny, w których gromadnie gnieździły się ptaki.

- Jako młody chłopak często wspinałem się tędy na szczyt - powiedział Jondalar. - Po drodze można się zatrzymać na paru półkach, z których roztacza się niesamowity widok na całą dolinę Rzeki.

- Młodzi nadal to robią - wtrącił Willamar.

Za Polem Zgromadzeń, w niewielkiej odległości od Dziewiątej Jaskini, do rzeczno-brzegu przytulił się jeszcze jeden grzbiet wapiennych, stromych wzgórz. I tutaj wszechpotężne siły erozji wywarły na urwiskach swoje piętno, rzeźbiąc w nich zaokrąglony, sterczący ukośnie do ziemi kształt z żółtawej skały nakrapianej plamami ciemnej szarości.

Ścieżka pięła się teraz wzdłuż Rzeki, dość ostro ku górze, w stronę sporego tarasu, łączącego kilka obszernych nisz przedzielonych słupami pionowej skały, nie dającej schronienia. Oczom wędrowców nadchodzących z południa ukazał się widok na kilka prostych budowli ze skór i drewna, wciśniętych w najprzytulniejszy kąt pierwszej ze skalnych nisz. Układ prymitywnych chat przypominał Ayli rozkład ziemianki, w której mieszkała u Mamutoi. Długi rząd ognisk ustawiono równolegle do pochyłej ściany.

Dwie rozległe nisze u północnego krańca tarasu, rozdzielone pionową skałą ciągnącą się przez dobre pięćdziesiąt kroków, okryte były nawisami skalnymi, które rozmiarami dorównywały kamiennemu gigantowi stanowiącemu sklepienie Dziewiątej Jaskini. Tutaj jednak masyw wygięty był w taki sposób, że przestronne schrony nie otwierały się na południe, co zdaniem Ayli czyniło je znacznie mniej atrakcyjnym miejscem do zamieszkania. Uzdrowicielka spojrzała w dal, na południowy skraj tarasu przed Dziewiątą Jaskinią, widoczny za potoczkiem zbierającym wodę spływającą ze skalnych półek, i zrozumiała, że półka, na której teraz stali, znajduje się nieco wyżej.

- Do której Jaskini należy to miejsce? - spytała.

- Do żadnej - odparł Jondalar. - Nazywamy je Dolnorzeczem, chyba dlatego, że leży w dół rzeki od Dziewiątej Jaskini. Wody źródła, które wypływa gdzieś z drugiej strony tych skał, wyłobily sobie koryto w skale i teraz w naturalny sposób oddzielają Dziewiątą od Dolnorzeczca. Zbudowaliśmy mostek, żeby ułatwić dojście. Zdaje się, że moja Jaskinia używa tego miejsca częściej niż inne, ale to nie zmienia faktu, że nie jest ono niczyją własnością.

Używa? Ale po co? - zainteresowała się Ayła.

Do pracy. Te nisze to jeden wielki warsztat. Ludzie przychodzą tu, żeby pracować; szczególnie ci, którzy używają twardych materiałów.

Ayła dopiero teraz zauważyła, że cały taras Dolnorzeczca, a zwłaszcza okolica dwóch północnych abri, jest usiany odłamkami mamucich ciosów, kości, rogu, drewna, krzemienia i innych kamieni - ubocznych produktów łupania, produkcji narzędzi, broni myśliwskiej i wielu sprzętów potrzebnych w codziennym życiu.

- Jondalarze, idę przodem - oznajmił Joharran. - Jesteśmy prawie w domu, a widzę, że masz ochotę zostać tu i opowiedzieć Ayli o Dolnorzeczcu.

Pozostali Zelandonii z Dziewiątej Jaskini ruszyli za swoim przywódcą. Niebo ciemniało z wolna i wkrótce okolica miała pogrążyć się w mroku nocy.

- Pierwsza nisza to przede wszystkim miejsce pracy łupaczy krzemienia - rzekł Jondalar. - W tej robocie sypią się ostre odłamki, więc najbezpieczniej jest trzymać je w jednym miejscu. - Mężczyzna teraz dopiero rozejrzał się i zobaczył pokłady odpadków - pozostałości surowca do produkcji noży, grotów oszczepów, skrobaczek, ryłców oraz innych rodzajów broni i narzędzi wykonywanych z kamienia - zalegające dosłownie wszędzie. - No cóż - dodał z uśmiechem - przynajmniej takie były założenia.

Jondalar opowiadał dalej - o tym, jak gotowe kamienne narzędzia zabierano do drugiej niszy, gdzie mocowano do nich trzonki wytwarzane z innych materiałów, głównie drewna i rogu. Wiele z nich potrzebnych było do dalszych prac w twardym surowcu, lecz tak naprawdę nie

istniały sztywne zasady co do kierunków "produkcji". Ważne było to, że rzemieślnicy z okolicznych Jaskiń często pracowali razem.

Na przykład specjalista nadający właściwy kształt ostrzom krzemienych noży z reguły współpracował blisko z wytwórcą rękojeści. Mógł odłupać nieco więcej odłamków od trzpienia, by klinga lepiej pasowała do rogowej oprawy, lub zasugerować współtwórcy narzędzia, by skrócił lub oszlifował róg dla lepszego wyważenia broni. Autor kościanego grotu włóczni mógł z kolei poprosić łupacza krzemieni o naostrzenie narzędzia lub przerobienie go w taki sposób, by stało się łatwiejsze w użyciu. Rzeźbiarz ozdabiający rękojeść noża lub drzewce oszczepu mógł na przykład potrzebować nietypowego dłuta, które jedynie zdolny i doświadczony łupacz umiał wykonać ze specjalnie przygotowanego i uderzonego fragmentu krzemienia.

Jondalar pozdrowił kilku rzemieślników wspólnie pracujących w drugiej, północnej niszy - i przedstawił im Aylę. Mężczyźni nieufnie spoglądali na wilka, lecz gdy zwierz oddalił się w ślad za gośćmi, powrócili do pracy.

- Robi się ciemno - stwierdziła Ayla. - Gdzie będą spać?

- Mogliby przyjść do Dziewiątej Jaskini, ale podejrzewam, że rozpalą ogniska i będą pracowali do późna. Noc spędzą pewnie w jednym z tych szałasów, które widzieliśmy w pierwszych niszach, kiedy wchodziliśmy na taras - odparł Jondalar. - Domyślam się, że chcą zdążyć z robotą przed jutrzejszym dniem. Jak pamiętasz, wcześniej pracowało tu znacznie więcej rzemieślników. Reszta albo wróciła do domu, albo zatrzyma się u przyjaciół z Dziewiątej Jaskini.

- Czy wszyscy przychodzą do pracy właśnie tutaj? - indagowała znachorka.

- Każda Jaskinia ma własne stanowiska robocze, z reguły gdzieś w pobliżu osady, ale kiedy któryś z rzemieślników ma problem lub chce wypróbować nową technikę, przychodzi do Dolnorzecza - odrzekł cierpliwie Jondalar.

Opowiedział jej także o tym, że właśnie tutaj sprowadzano młodzieńców, którzy chcieli rozwijać swoje zainteresowania i uczyć się wybranego fachu. Było to najlepsze miejsce do dyskusji - na przykład o własnościach krzemienia sprowadzanego z rozmaitych regionów oraz o tym, która odmiana najlepiej sprawdza się w poszczególnych zastosowaniach. Wymieniano też poglądy na temat co bardziej wyrafinowanych technik obróbki materiałów: mówiono o tym, jak najłatwiej ścinać drzewo krzemieną siekierą, jak odcinać potrzebne fragmenty ciosów mamuta, jak kroić wąskie plastry rogu, jak wywiercić otwór w muszli lub w zębie, jak szlifować i rozwiercać korale, także o tym, w jaki sposób nadawać pożądane kształty kościanym grotom oszczepów. To tu rozprawiano o sposobach pozyskiwania surowca i planowano wyprawy w poszukiwaniu cennych materiałów.

Wcale nie najmniej istotnym celem spotkań w Dolnorzeczu była wymiana informacji o tym, kto kim się interesuje, kto ma problemy z partnerką, kto z teściową, czyje dziecko postawiło właśnie pierwszy krok, wypowiedziało pierwsze słowo, wykonało pierwsze narzędzie, znalazło miejsce bogate w owoce, wytropiło zwierzę czy po raz pierwszy przyniosło do domu plon udanego polowania. Ayla dość szybko zrozumiała, że jest to miejsce nie tylko poważnej pracy, ale i przyjacielskich spotkań.

- Lepiej chodźmy, zanim ściemni się tak, że nie znajdziemy ścieżki - powiedział Jondalar. - Naprawdę czas na nas, zwłaszcza że nie mamy pochodni. Poza tym jeśli jutro mamy polować, będziemy potrzebowali paru rzeczy - nie mówiąc o tym, że czeka nas wczesna pobudka.

Słońce skryło się już za horyzontem i tylko ostatnie przebłyski światła barwiły wieczorne niebo daleko na zachodzie, gdy Ayla i Jondalar wstępowali na mostek ponad drążącym skały strumieniem. Po drugiej stronie, na końcu ścieżki, rozpoczynał się taras przed niszą, która była domem Jondalara i jego ludu, Dziewiętej Jaskini Zelandonii. Kiedy spóźnieni wędrowcy dotarli na płaszczyznę kamiennej półki, Ayla spostrzegła jasną poświatę ognisk palących się w kilku domostwach, pełgającą po pochyłej ścianie wapiennego nawisu. Był to krzepiący widok. Od dziecka uczono ją, że opiekują się nią duchy zwierząt, ale z czasem uświadomiła sobie, że tylko ludzie potrafią krzesać przyjazny, ciepły ogień.

## ROZDZIAŁ 12

Było jeszcze ciemno, kiedy usłyszeli ciche pukanie w jeden ze słupów okalających wejście do domostwa.

- Zelandoni szykują ceremonię przygotowania do łowów - odezwał się stłumiony głos zza kotary.

- Zaraz przyjdziemy - zawołał cicho Jondalar.

Nie spali już, ale jeszcze nie byli ubrani. Ayla starała się zapanować nad porannymi mdłościami i od dłuższej chwili zastanawiała się, co na siebie włożyć - choć wybór miała raczej niewielki. Pomyślała, że zdecydowanie powinna zadbać o nową garderobę. Miała nadzieję, że polowanie dostarczy jej skór nadających się na solidną i estetyczną odzież. Raz jeszcze zlustrowała wzrokiem tunikę bez rękawów i sięgające łydek nogawice - chłopcę bieliznę, którą ofiarowała jej Marona - i wreszcie podjęła decyzję. Dlaczego nie? To przewiewny i wygodny strój, a w ciągu dnia pewnie będzie gorąco, pomyślała.

Jondalar przyglądał się, jak jego kobieta wkłada na siebie "prezent" od Marony, ale nie odzywał się ani słowem. Cokolwiek myślał o tym posunięciu, nie mógł zaprzeczyć, że strój ten był teraz własnością Ayli. Mogła zrobić z nim to, na co miała ochotę. Mężczyzna uniósł głowę, gdy z sypialni wyłoniła się Marthona.

- Matko, mam nadzieję, że cię nie obudziliśmy - powitał ją cicho.

- Nie obudziliście. Nadal, jak za dawnych czasów, czuję to dziwne podniecenie przed polowaniem. A przecież od lat nie brałam udziału w łowach - odrzekła Marthona. - Podejrzewam, że właśnie dlatego lubię angażować się w planowanie i rytuały. Pójdę z wami na ceremonię.

- Pójdziemy razem - poprawił ją Willamar, wychodząc zza parawanu oddzielającego ich pomieszczenie od centralnej izby.

- Ja też się wybieram - dorzuciła Folarą, wystawiając rozczochną czuprynę zza krawędzi przepierzenia. Ziewnęła i roztarła zaspane oczy. - Dajcie mi tylko chwilę, żebym zdążyła się ubrać... - Folarą urwała, szeroko otwierając oczy. - Aylo! Masz zamiar wystąpić w czymś takim?

Uzdrowicielka przyjrzała się sobie, a potem stanęła prosto i dumnie.

Dostałam ten strój w prezencie - odparła niepokornie. - I zamierzam go nosić. Poza tym - dodała z mniej wojowniczym uśmiechem - nie mam wielkiego wyboru, a ten komplet przynajmniej nie krępuje ruchów. Jeśli włożę kurtkę lub owinę się futrem, będzie mi ciepło nawet w najzimniejszy poranek, a potem, kiedy zrobi się gorąco, w tunice bez rękawów będzie mi chłodno i wygodnie. To naprawdę praktyczna rzecz.

Przez chwilę w domostwie panowała niezręczna cisza, aż wreszcie Willamar zachichotał.

Wiecie co? Ona ma rację. Nigdy bym nie wpadł na to, że można używać zimowej bielizny jako letniego stroju na polowanie, ale... dlaczego nie?

Marthona uważnie zlustrowała Aylę wzrokiem, a potem uśmiechnęła się lekko.

- Jeśli Ayla wystąpi dziś w tym stroju, ludzie zaczną gadać. Starsze kobiety uznają, że tak nie wypada, ale niektóre dojdą do wniosku, że zaszyły okoliczności usprawiedliwiające takie zachowanie naszego gościa. Tym sposobem w przyszłym roku o tej samej porze połowa młodych kobiet będzie nosić identyczne stroje.

Jondalar rozluźnił się wyraźnie.

- Naprawdę tak sądzisz, matko?

Od chwili, gdy zobaczył, jak Ayla odziewa się w chłopięcą bieliznę, nie bardzo wiedział, jak zareagować. Jedyńm celem, który Marona chciała osiągnąć, ofiarowując znachorce swój "dar", było ośmieszenie jej przed możliwie najszerszą publicznością. Teraz jednak Jondalar zrozumiał, że jeśli matka miała rację - a w podobnych sprawach Marthona myliła się niezwykle rzadko - to jedynie Marona poczuje się upokorzona i ośmieszona, choćby tym, że Ayla nie zapomniała o jej podłym uczynku. A później, za każdym razem, gdy ujrzy kobietę odzianą w podobny strój, będzie wspominać swój wredny postępek, który nie przyniósł jej uznania w niczyich oczach.

Folara wprost osłupiała ze zdumienia i w milczeniu spoglądała to na matkę, to na Aylę.

Lepiej się pospiesz, jeśli chcesz iść z nami - skarciła ją Marthona. - Wkrótce zacznie świtać.

Zaczekali jeszcze chwilę, gdy Willamar przeszedł do kuchennej części domostwa, by zapalić pochodnię od tłącego się ogniska. Było to jedno z tych, które ułożyli poprzedniej nocy, kiedy weszli do ciemnej izby i kiedy Ayla uczyła Marthonę i jej partnera korzystania z dobrodziejstwa bryłek pirytu żelaza oraz krzemienia. Gdy Folara wychynęła zza parawanu, wciąż walcząc z niesfornymi włosami - próbowała związać je z tyłu za pomocą skórzanego paska - domownicy odsunęli ciężką kotarę i po cichu wymknęli się na zewnątrz. Ayla pochyliła się, by dotknąć wilczego łba - był to znak, że zwierzę ma się trzymać blisko. Następnie cała piątka ruszyła w towarzystwie drapieżcy w stronę kilku ogni widocznych w oddali, na skraju kamiennego tarasu.

W chwili gdy dotarli na miejsce, znajdowała się tam już wcale pokaźna grupa mieszkańców osady. Niektórzy trzymali w dłoniach kamienne lampki oliwne, które dawały tylko tyle światła, by umożliwić im poruszanie się w ciemności przedświtu, ale za to paliły się przez dłuższy czas. Inni dzierżyli pochodnie, które jaśniej świeciły, lecz szybciej gasły.

Zebrani odczekali jeszcze chwilę, by dać szansę maruderom, a potem gromadnie rozpoczęli marsz ku południowemu krańcowi abri. W mroku trudno było rozpoznać twarze idących; nawet

określenie kierunku wędrówki nie było łatwe - nieliczne pochodnie były ledwie punktami świetlnymi, a poza ich kręgami ciemność sprawiała wrażenie jeszcze czarniejszej.

Ayla trzymała dłoń na ramieniu Jondalara, kiedy wędrowali wzdłuż kamiennej półki ku nie zamieszkaney części niszy Dziewiętej Jaskini i dalej, ku płynącemu w dole potokowi, który oddzielał ją od Dolnorzecza. Wąska struga, zasilana przez źródło bijące po przeciwnej stronie masywu, była dogodnym rezerwuarem wody dla pracujących opodal rzemieślników, a podczas gorszej pogody służyła także mieszkańcom Dziewiętej Jaskini.

Dzierżący pochodnie stanęli przy obu końcach mostka będącego najkrótszym połączeniem z Dolnorzeczem. W migocącym świetle Zelandonii ostrożnie wstępowali na mocno powiązane bale przerzucone nad miniaturowym wąwozem, a potem wspinali się ku leżącej nieco wyżej półce skalnej pełniącej funkcję wielkiego warsztatu. Ayla odniosła wrażenie, że niebo przestaje być oznaczone głęboką czernią nocy i z wolna przyjmuje ciemnognatową barwę przedświt - była to pierwsza oznaka rychłego wschodu słońca. Jedyne gwiazdy jarzyły się niezmiennie na ciemnym tle.

W dwóch olbrzymich niszach Dolnorzecza nie paliło się ani jedno ognisko. Ostatni, najbardziej wytrwali rzemieślnicy wycofali się już na spoczynek do małych, wciśniętych w kąt szalasów. Grupa łowców minęła pogrążone w mroku konstrukcje z drewna i skór, kierując się w stronę stromej ścieżki wiodącej ku Polu Zgromadzeń, między Wysoką Skałą a brzegiem Rzeki. Już z daleka widać było wielkie ognisko pośrodku Pola i zebranych dokoła ludzi. Kiedy grupa zbliżyła się nieco do czekających, Ayla zauważyła, że ognisko - podobnie jak pochodnie - skutecznie oświetla pewną przestrzeń, lecz ciemność poza nią pozostaje tym bardziej nieprzenikniona. Ogień bez wątplenia był w nocy przydatny, lecz stwarzał też pewne ograniczenia.

Na spotkanie przybyszom wyszli Zelandoni, z Pierwszą Wśród Tych Którzy Służą Matce, Zelandoni z Dziewiętej Jaskini, na czele. Wielka kobieta powitała swych pobratymców i wskazała im miejsce, które mieli zająć na czas ceremonii. Odchodząc, swym masywnym ciałem na moment przestoniła blask ognia.

Tłum na Polu Zgromadzeń gęstniał szybko. W świetle strzelających wysoko płomieni Ayla rozpoznała Bramevala i zrozumiała, że do zebranych dołączyła właśnie Czternasta Jaskinia. Uzdrowicielka spojrzała w górę i stwierdziła, że niebo było teraz ciemnognatowe. Po chwili zjawiała się kolejna grupa z pochodniami, prowadzona przez Kareję i Manvelara - przedstawiciele Jedenastej i Trzeciej Jaskini. Manvelar machnął Joharranowi ręką i spieszenie podążył w jego stronę.

- Musicie usłyszeć nowinę: zdaje się, że trzeba będzie jednak wyprawić się na jelenie, a nie na bizony - rzekł na powitanie. - Kiedy wieczorem, po waszym odejściu, obserwatorzy wrócili do

osady, powiedzieli, że bizona oddaliły się od zagrody pułapki. Nie będzie łatwo zapędzić je do środka.

Joharran tylko przez krótką chwilę wyglądał na zawiedzionego; organizowanie polowań zawsze wymagało niezwyklej elastyczności. Zwierzęta wędrowały tam, gdzie miały ochotę, a nie tam, gdzie życzyli sobie myśliwi. Skutecznym łowcą był więc ten, kto potrafił się przystosować.

W porządku. Powiedzmy o tym Zelandoni - odparł przywódca Dziewiątej Jaskini.

Na umówiony sygnał zgromadzeni obeszli ognisko, by stanąć w głębi Pola, bliżej kamiennej ściany. Żar płomieni i bliskość tak wielu ciał podniosły nieco temperaturę powietrza. Ayla z radością chłonęła tę odrobinę ciepła. Rozgrzana dość szybkim marszem ku Polu Zgromadzeń, jeszcze przed chwilą nie czuła nocnego chłodu, teraz jednak, stojąc niemal bez ruchu, zaczynała marznąć. Wilk przycisnął się do jej nóg; nie był zachwycony towarzystwem tak wielu obcych ludzi. Uzdrowicielka przyklękła, by uspokoić drapieżcę.

Odbicie wielkiego ogniska tańczyło na powierzchni szorstkiej, pionowej, skalnej ściany, piętrzącej się za plecami zebranych. Nagle rozległo się głośnie zawrozczenie i rozbrzmiało rytmiczne staccato bębnow. A potem do uszu Ayli dotarł jeszcze jeden dźwięk, który zjeżył jej włosy na karku i wywołał gwałtowne dreszcze. Dźwięk, który słyszała dotąd tylko raz w życiu... na Zgromadzeniu Klanu! Minęły lata, lecz nie zapomniała brzmienia wyjca. To był dźwięk, którym przywoływano duchy!

Dobrze wiedziała, w jaki sposób powstawał. Nieziemskie wycie było dziełem płaskiego, owalnego kawałka drewna lub kości z otworem, w którym uwiązano kawałek sznurka. Kręcenie tym "instrumentem" z dużą prędkością wywoływało jęklivy świst powietrza. Lecz nawet wiedza o tym, skąd się brał niepokojący dźwięk wyjca, nie pomogła Ayli zapanować nad dreszczem emocji - takie brzmienie nie mogło powstać bez udziału świata duchów. Jednakże i to nie było główną przyczyną poruszenia młodej znachorki. Po prostu nie mogła uwierzyć, że Zelandonii odprawiają ceremonię łowiecką, wywołując duchy w taki sam sposób, jak czynili to ludzie Klanu.

Przytuliła się do Jondalara, pragnąc poczuć jego uspokajającą obecność. I wtedy jej uwagę przykuł ruch na skalnej ścianie, oświetlonej blaskiem ogniska. Na krótką chwilę pojawił się tam bowiem cień jelenia o rozłożystym, wielopalczastym porożu i wysoko wysklepionym kłębie. Uzdrowicielka odwróciła się szybko i rozejrzała uważnie, lecz nic nie zobaczyła. Nie była pewna, czy obraz nie powstał jedynie w jej wyobraźni. Znowu przeniosła wzrok na kamienne urwisko, po którym raz jeszcze przemknął gigantyczny cień jelenia, a zaraz za nim ciemna sylwetka bizona.

Przejmujący odgłos wyjca ucichł wreszcie, a jego miejsce zajął nowy dźwięk, z początku tak cichy, że ledwie słyszalny. Po chwili jednak zawrozcący śpiew nabrał mocy i wzniósł się o kilka tonów wyżej, a w tle rozległo się rytmiczne dudnienie. Wysokie, jęklive głosy przeplatały się z



hukiem bębnów i odbijały się echem od skał, rozbrzmiewając coraz potężniej. Krew pulsowała w skroniach Ayli w rytmie tej dziwnej muzyki, a serce biło - jak jej się zdawało - w tym samym tempie i równie głośno. Czuła się tak, jakby mróz poraził jej kończyny; nie mogła ruszyć nogą, po prostu zamarła. Na jej ciele pojawiły się krople zimnego potu. I wreszcie dudnienie urwało się gwałtownie, zawodzenie zaś przybrało formę zrozumiałych słów.

- O Duchu Wielkiego Jelenia! Wysławiamy cię.

- Wysławiamy cię - powtórzył nie całkiem zgrany chór głosów Zelandonii stojących wokół jasnowłosej znachorki.

Kolejne wersy pieśni były coraz głośniejsze. Duchu Bizona, przybywaj. Wysławiamy cię.

- Wysławiamy cię. - Tym razem łowcy przemówili już jednym głosem.

- Dzieci Matki potrzebują cię. Przyzywamy cię.

- Przyzywamy cię.

- Nieśmiertelna Duszo, ty nie boisz się kresu. Wysławiamy cię.

- Wysławiamy cię. - Chór odpowiadał teraz nieco głośniej.

- Twoje śmiertelne potomstwo zbliża się do nas. Wzywamy cię.

Głosy śpiewających były pełne oczekiwania.

- Wzywamy cię - odrzekł jeszcze głośniej chór myśliwych.

- Oddaj je nam i nie roń łez. Wysławiamy cię. Wysławiamy cię.

- Słyszysz? Taka jest wola Matki! Wzywamy cię. Głosy stały się natarczywe, rozkazujące.

- Wzywamy cię. Wzywamy cię. Wzywamy cię! Łowcy krzyczeli, a Ayła dołączyła do nich, choć nie była w pełni świadoma tego, co robi. Skandując żądanie, wpatrywała się w skalną ścianę, na której pojawił się wielki, ciemny kształt. Ledwie widoczna w mroku sylwetka przesuwiała się wzdłuż urwiska, jakimś cudem sprawiając, że jej cień przyjął postać jelenia - dorodnego samca o wielkim porożu, oddychającego spokojnie rześkim powietrzem świtu. Łowcy deklamowali zaś monotonicznie i rytmicznie wciąż te same słowa, podkreślane teraz łomotem bębnów.

Wzywamy cię. Wzywamy cię. Wzywamy cię. Wzywamy cię...

- Oddaj nam je! Nie roń łez!

Taka jest wola Matki! Usłysz nas! Usłysz! Usłysz! - Głosy zmieniały się z wolna w dziki wrzask. I nagle pojawiło się światło. Donośne wycie, które zagłuszyło chór, przeszło w śmiertelne rżenie.

- Słyszysz! - obwieścił nagle śpiewny głos. Zapadła cisza. Ayła uniosła głowę, ale jelenia już nie było. Pozostał tylko pierwszy, silny promień porannego słońca.

Jeszcze przez chwilę nikt nie odzywał się i nie ruszał z miejsca. Wreszcie Ayla zdała sobie sprawę z tego, że otaczający ją ludzie zaczynają zachowywać się w miarę normalnie. Łowcy wyglądali jednak na zdezorientowanych, jakby dopiero co ocknęli się z głębokiego snu. Uzdrowicielka westchnęła głęboko, przyklękła i znowu przytuliła wilka. Gdy wstała, Proleva czekała już na nią z kubkiem gorącej herbaty.

Ayla wymamrotała niepewnie podziękowanie i z wdzięcznością przyjęła łyk aromatycznego płynu. Była spragniona, lecz poranne nudności minęły bez śladu i nie wiedziała nawet, w którym momencie przestała je odczuwać - być może już w drodze na Pole Zgromadzeń. Trzymając się blisko Jondalara, z Wilkiem u nogi, znachorka ruszyła za Joharranem i jego partnerką w stronę ogniska, gdzie stały kadzie z gorącą herbatą. Po chwili dołączyli do nich Marthona, Willamar i Folar.

Kareja powiedziała mi, że ma dla ciebie przebranie, Aylo - rzekł Joharran. - Możemy je odebrać, przechodząc obok Jedenastej Jaskini.

Uzdrowicielka skinęła głową.

Potem zaś rozejrzała się dookoła, by przekonać się, kto jeszcze bierze udział w myśliwskiej wyprawie. Szybko rozpoznała Rushemara i Solabana, a ich obecność wcale jej nie zdziwiła. Spodziewała się, że zobaczy doradców przywódcy, którzy wspomagali Joharrana niemal we wszystkich przedsięwzięciach. Zaskoczył ją za to i przestraszył widok Brukevala, lecz już po chwili zreflektowała się - właściwie obecność mieszańca nie powinna była jej dziwić. Był przecież członkiem Dziewiętej Jaskini; dlaczego nie miałby polować wraz z innymi? Jeszcze bardziej zdumiała się jednak, widząc przyjaciółkę Marony, Portulę. Młoda kobieta zarumieniła się, dojrawszy Aylę, przez moment wpatrywała się w nią tępo, a potem odwróciła się i odeszła.

- Z tego, co widzę, Portula nie spodziewała się, że zobaczy cię w tym stroju - odezwała się cicho Marthona.

Słońce szybko pięło się w górę po nieboskłonie, gdy myśliwi w pośpiechu opuszczali Pole Zgromadzeń, pozostawiając za sobą tych Zelandonii, którzy nie brali udziału w polowaniu. Kiedy wędrowali ku Rzece, ciepłe promienie rozpraszały resztki ponurego nastroju nocnej ceremonii, rozmowy zaś, wczesnym rankiem prowadzone wyłącznie szeptem, teraz powracały do normalnych tonów. Łowcy rozprawiali o czekającym ich zadaniu z powagą, ale i sporą dozą pewności siebie. Nie mieli gwarancji, że osiągną sukces, lecz dobrze znany rytuał, pozwalający na nawiązanie kontaktu z duchem jelenia - a także, na wszelki wypadek, z duchem bizona - pomógł im skoncentrować się na misji, którą im powierzono. Mroczne widmo, które pojawiło się na ich oczach na ścianie zamykającej Pole Zgromadzeń, umocniło więź łowców ze światem zupełnie odmiennym niż ten materialny, znany im z codziennego życia.

Ayla czuła na twarzy wilgoć porannej mgły unoszącej się nad wody. Kiedy spojrzała w bok, piękno niespodziewanego, chwilowego fenomenu natury zaparło jej dech w piersiach. Gałązki i liście krzewów, a nawet źdźbła trawy, podświetlone przez wschodzące słońce, mieniły się wszystkimi barwami tęczy. Nawet sieć pajęczyny, której lepka osnowa miała być pułapką na mikroskopijną zdobycz ośmionogiego drapieżcy, uwięziła jedynie podobne do klejnotów drobiny skondensowanej wilgoci.

- Spójrz, Jondalarze - powiedziała znachorka, ruchem głowy wskazując na niezwykle widowisko. Obok niej zatrzymali się także Folar z Willamarem.

- Moim zdaniem to pomyślny znak - odezwał się Mistrz Handlu, uśmiechając się i podejmując przerwany marsz.

Tam, gdzie koryto Rzeki rozszerzało się, woda pieniała się i z pluskiem przewalała po usianym kamykami dnie, rozstępując się jedynie wokół większych głazów, których nie potrafiła wciągnąć w taniec wirów i krótkich fal. Łowcy rozpoczęli przeprawę w najszerszym i najpłytszym miejscu, przeskakując z kamienia na kamień tam, gdzie dno opadało nieco niżej. Niektóre z głazów zostały naniesione przez nurt podczas bardziej burzliwych sezonów, inne umieszczono celowo w pustych miejscach pozostawionych przez naturę. Ayla posuwała się wolno za oddziałem Zelandonii, myślami wybiegając już ku polowaniu. Nagle zatrzymała się bez słowa.

- Co się stało? - spytał Jondalar, z troską marszcząc brwi.

- Nic - odpowiedziała zgodnie z prawdą. - Wracam po konie. Dogonię was, zanim dotrzecie do Skąty Dwóch Rzek. Nawet jeśli nie przydadzą się podczas polowania, pomogą nam nieść zdobycz.

Jondalar kiwnął głową.

- Świetny pomysł. Pójdę z tobą - zaproponował, po czym zwrócił się do Willamara. - Powiesz Joharranowi, że wróciliśmy po konie? To nie potrwa długo.

- Idziemy, Wilku! - zawołała Ayla, gdy odchodzili w stronę Dziewiętej Jaskini.

Tym razem jednak Jondalar poprowadził ją inną drogą. Dotarłszy na Pole Zgromadzeń, nie wspięli się stromym traktem do Dolnorzecza i dalej, kamiennymi półkami i mostem do Dziewiętej Jaskini, ale powędrowali cokolwiek mniej uczęszczaną - i znacznie bardziej zarośniętą - ścieżką wzdłuż prawego brzegu Rzeki, naprzeciwko skalnych nisz. W zależności od tego, którądy wił się meandrujący nurt, ścieżka wiodła raz brzegiem trawiastej polany odgradzającej kamienny taras od Rzeki, a raz blisko, przy samej skale.

W górę, ku kamiennym sadybom, prowadziło co najmniej kilka ścieżek. Ayla pamiętała, że niedawno szła jedną z nich, szukając miejsca, w którym mogłaby załatwić swe fizjologiczne potrzeby po długim spotkaniu, na którym opowiadała przywódcom o Klanie. Pamięć

podpowiedziała jej, że i tym razem powinna skorzystać - pęcherz nie służył jej tak dobrze jak dawniej, odkąd zaszła w ciążę. Wilk obwąchał jej mocz. Ostatnio interesował się nim bardziej niż zwykle, skłaniając Aylę do rozmyślań o tym, czy to możliwe, by drapieżca wiedział, że kobieta spodziewa się dziecka.

Kilkoro mieszkańców osady dostrzegło wracających i pozdrowiło ich gestem. Jondalar zdawał sobie sprawę, że jego pobratymcy ciekawi są przyczyn niespodziewanego powrotu pary, ale nie zamierzał im nic wyjaśniać. Wkrótce przekonają się na własne oczy, pomyślał. Kiedy doprowadził Aylę do końca linii urwisk, skręcili ku Leśnej Dolinie. Uzdrowicielka gwizdnęła w charakterystyczny sposób, a Wilk natychmiast pobiegł naprzód.

- Jak sądzisz, czy on wie, że idziemy po Whinney i Zawodnika? - spytała.

- Nie wątpię - odparł Jondalar. - Zawsze zadziwia mnie to, ile rzeczy on rozumie.

- Już biegna! - zawołała Ayla, nie kryjąc radości. Uświadomiła sobie, że nie widziała koni ponad dobę, i zdążyła za nimi zatęsknić. Whinney parsknęła wesoło na widok swej pani i podbiegła do niej, trzymając wysoko łeb. Opuściła go jednak, by Ayla mogła objąć ramieniem jej szyję i przytulić. Zawodnik zarżał donośnie i popędził w stronę Jondalara z ogonem postawionym pionowo w górę i łukowato wygiętym karkiem. Zatrzymawszy się przed mężczyzną, nadstawił ulubione miejsca do drapania.

- Brakowało mi ich, ale mam wrażenie, że i one za nami tęskniły - zauważyła uzdrowicielka. Kiedy powitalnej tradycji - na którą składały się pieszczoty, drapanie, głaskanie i pocieranie przez Wilka nosem o końskie nozdrza - stało się zadość, Ayla zaproponowała, by wspieśli się do osady po derki i uprząż, na której Whinney mogła wozić znaczne ciężary.

- Sam pójdę - odrzekł Jondalar. - Powinniśmy się spieszyć, jeśli chcemy zapolować jeszcze dziś. Spodziewam się, że w Jaskini trzeba będzie odpowiedzieć na wiele pytań. Lepiej będzie, jeśli to ja odpowiem, że nie mamy czasu. Jeśli ty to zrobisz, może to zostać źle odebrane; w końcu Zelandonii nie znają cię jeszcze zbyt dobrze.

- A ja nie znam ich - dodała Ayla. - Masz rację. Zostanę przy koniach; sprawdzę, czy nic im nie dolega. Przynies kosze na prowiant i miskę dla Wilka. Wałki do spania także mogą się przydać - kto wie, gdzie przyjdzie nam spędzić noc? Weź też uprząż dla Whinney.

Para jeźdźców dogoniła resztę łowców tuż przed Skałą Dwóch Rzek. Ayla i Jondalar mknęli galopem wzdłuż Rzeki, trzymając się lewego brzegu po przebyciu brodu.

Właśnie się zastanawiałam, czy zdążycie wrócić, zanim zaczniemy polowanie - powitała ich Kareja. - Po drodze zabrałam przebranie dla ciebie, Aylo.

Przy zlewisku Dwóch Rzek grupa skręciła ku Dolinie Traw. Kimeran wraz z ludźmi z Drugiej i Siódmej Jaskini, którzy wybierali się na łowy, lecz nie uczestniczyli w porannej

ceremonii na Polu Zgromadzeń, czekali nieco dalej w górę rzeki. Gdy myśliwi byli w komplecie, zatrzymali się na krótko, by odbyć strategiczną radę. Ayla i Jondalar zsiadli z koni i podeszli bliżej, by posłuchać.

- ...Thefona mówiła, że bizona jeszcze dwa dni temu wędrowały na północ - mówił właśnie Manvelar. - Wszystko wskazywało na to, że dziś znajdą się w dogodnym dla nas miejscu, ale nagle zmieniły kierunek marszu - ruszyły na wschód, oddalając się od zagrody pułapki. Thefona jest jednym z najlepszych obserwatorów, nikt nie ma takiego wzroku jak ona, a do tego od dłuższego czasu przygląda się temu stadu. Z tego, co mówiła, wnioskuję, że bizona znajdują się wkrótce w nieco lepszej pozycji, ale raczej nie dziś. To dlatego uznaliśmy, że megacerosy będą lepszym celem ataku. Przyszły do wodopoju niedaleko stąd, a teraz pasą się na granicy wysokich traw.

- Ile ich jest? - spytał Joharran.

Trzy dojrzałe łanie, roczniak, cztery łaciate młode i jeden dorodny samiec z niezłym porożem - odpowiedziała Thefona. - Typowe małe stado.

- Miałem nadzieję, że upolujemy kilka, ale nie chciałbym ubić wszystkich. To dlatego bardziej odpowiadały mi bizona. Wędrują w większych stadach - odrzekł z namysłem Joharran.

- Jeśli nie liczyć megacerosów i reniferów, jelenie nie migrują wielkimi stadami. Prócz tego lubią bardziej zalesione tereny, gdzie łatwiej o kryjówkę. Poza sezonem godowym, kiedy samce szukają samic, bardzo rzadko widuje się więcej niż kilka byków lub łanię czy dwie z przychówkiem - ciągnęła Thefona.

Ayla była pewna, że Joharran doskonale zna zwyczaje jeleni, lecz Thefona była młoda i bardzo dumna ze swojej świeżo nabytej wiedzy i pełnionej funkcji obserwatora, toteż doświadczony przywódca pozwolił jej pochwalić się tym, co umiała.

- Moim zdaniem powinniśmy pozostawić przy życiu samca i co najmniej jedną łanię z młodym, jeśli będziemy pewni, że to jej potomstwo - rzekł Joharran.

Ayla uznała, że to dobra decyzja. Spojrzała uważnie na przywódcę Dziewiątej Jaskini, który kolejny raz zrobił na niej jak najlepsze wrażenie. Brat Jondalara był odeń niemal o głowę niższy, lecz mocna budowa krępego ciała zdradzała, iż siłą nie ustępuje innym mężczyznom. Widać było również, że przywództwo nad wielką - i często nieposłuszną - Jaskinią nie jest dla niego zbyt wielkim ciężarem; emanował spokojem i pewnością siebie. Brun, głowa mojego Klanu, dobrze rozumiałby się z kimś takim, pomyślała Ayla. On także był dobrym przywódcą... w przeciwieństwie do Brouda.

Odnosiła wrażenie, że większość przywódców Zelandonii, których zdążyła poznać, dobrze nadaje się do pełnienia tej ważnej funkcji. Z reguły wybór - należący do ogółu mieszkańców osady - był trafny, ale gdyby na przykład Joharran okazał się nieodpowiednim człowiekiem - grupa mogła

w dowolnym momencie obdarzyć zaufaniem innego, lepiej przygotowanego kandydata. Nie było mowy o formalnościach; nie istniały zasady "odwoływania kogoś ze stanowiska" - ludzie po prostu przestaliby słuchać rozkazów dotychczasowego przywódcy.

Niestety, Broud nie był przywódcą klanu z wyboru, pomyślała Ayla. Od chwili, gdy przyszedł na świat, jego przeznaczenie było jasne. Jako że urodziła go partnerka przywódcy, wierzono, iż w jego wspomnieniach zawarta jest także wiedza o tym, jak należy rządzić klanem. I być może istotnie posiadał pewne predyspozycje, lecz korzystał z atrybutów władzy w wynaturzony sposób. Pewne cechy, które mogły uczynić zeń dobrego przywódcę - takie jak duma, umiejętność narzucania swojej woli i wymuszania szacunku - były w jego osobowości niezwykle silne. Jednakże duma Bruna zrodziła się z osiągnięć jego klanu, własną pracą zasłużył na szacunek, kierowanie zaś poczynaniami innych udawało mu się doskonale dzięki temu, że potrafił słuchać rad. Tymczasem duma Brouda była w istocie zwyczajną butą; lubił mówić ludziom, co mają robić, lecz nie interesowały go ich poglądy, przede wszystkim domagał się szacunku z tytułu własnych zasług. I choć Brun starał się mu pomóc, Broud nie miał szans na to, by zostać tak dobrym przywódcą jak mężczyzna jego ogniska.

Narada dobiegała już końca, kiedy Ayla odezwała się półgłosem do Jondalara:

- Chciałabym pojechać przodem i sprawdzić, dokąd idą bizona. Sądzisz, że Joharran będzie miał mi za złe, jeśli zapytam Thefonę, gdzie widziała je po raz ostatni?

- Nie, raczej nie, ale równie dobrze możesz zwrócić się bezpośrednio do niego - odparł Jondalar.

Razem podeszli do przywódcy, a ten - gdy tylko Ayla przedstawiła mu swoją propozycję - oznajmił, że właśnie chciał zadać Thefonie to samo pytanie.

- Myślisz, że umiałabyś je znaleźć? - spytał.

- Nie wiem, ale podejrzewam, że nie odeszły zbyt daleko, a Whinney potrafi biegać prędzej niż najszybszy nawet człowiek - odrzekła Ayla.

- Zdawało mi się, że chciałaś wyprawić się z nami na jelenie - przypomniał Joharran.

To prawda, ale myślę, że zdołam pojechać na zwiady i wrócić do was w samą porę, by zapolować na jelenie - odpowiedziała pewnie.

- No cóż... nie miałbym nic przeciwko temu, żeby dowiedzieć się, dokąd poszły bizona - przyznał Joharran. - Zapytajmy Thefonę, gdzie je ostatnio widziała.

- Chyba będzie najlepiej, jeśli pojedę z Ayla - wtrącił Jondalar. - Nie zna jeszcze okolicy tak, jak powinna. Może nie zrozumieć wskazówek Thefony.

- Zgoda, ale mam nadzieję, że wrócicie na czas. Chciałbym zobaczyć te wasze miotacze oszczepów w akcji - powiedział Joharran. - Jeżeli opowieści na ich temat potwierdzą się choć w połowie, nasze polowania mogą wyglądać inaczej niż dawniej.

Po rozmowie z Thefoną Ayla i Jondalar oddalili się galopem, a zaraz za nimi popędził Wilk. Pozostali myśliwi podążyli dalej w górę Rzeki Traw. Krajobraz ziem Zelandonii był nadzwyczaj urozmaicony: wyżynę przecinały głębokie kaniony, nie brakowało też stromych urwisk, szerokich dolin rzecznych, falujących wzgórz i piętrzących się wysoko płaskowyżów. Niektóre rzeki meandrowały pośród rozległych łąk, oddzielone od nich szpalerami dorodnych drzew; inne płynęły wprost u stóp kamiennych ścian. Ludzie, którzy zamieszkiwali te tereny, zdążyli już przywyknąć do tak różnorodnych formacji geologicznych - wędrowali bez większego wysiłku, bez względu na to, czy czekało ich strome podejście na szczyt wzgórza, wspinaczka na niemal pionową ścianę, przeskakiwanie po oślizgłych kamieniach znaczących rzeczny bród, czy też płynięcie pod prąd wartkiego strumienia, maszerowanie gęsiego między urwiskiem a przepaścią lub swobodna wędrówka po rozległych równinach.

Myśliwi podzielili się na mniejsze grupki, wkraczając w sięgające im niemal do pasa, bujne trawy, okrywające rozległą dolinę kobiercem soczystej zieleni. Joharran nieustannie wypatrywał brata i jego dziwnych towarzyszy - obcej kobiety, dwóch koni i wilka - mając nadzieję, że wrócą na czas, by włączyć się do polowania, choć miał świadomość, że ich obecność nie przesądzi o wyniku wyprawy. Zwierząt było tak mało, a łowców tak wielu, że bez wątplenia mogli ubić tyle jeleni, ile chcieli i potrzebowali.

Ranek przechodził już w ciepłe przedpołudnie, gdy zwiadowcy wypatrzyli byka o wspaniałym porożu. Myśliwi zatrzymali się, by przedyskutować ustawienie wokół stadka. I wtedy Joharran usłyszał tętent kopyt. Ayla i Jondalar powrócili w samą porę.

- Znaleźliśmy je! - szepnął podniecony mężczyzna, zeskakując z konia. Miał ochotę raczej krzyknąć z radości, ale chwilę wcześniej zauważył, że stado jeleni była tużtuż.

- Co ważniejsze, znowu zmieniły kierunek. Posuwają się w stronę zagrodypułapki! Jestem pewien, że moglibyśmy popędzić je, żeby trochę przyspieszyły.

- Jak daleko zdążyły odejść? - spytał przytomnie Joharran. - Pamiętaj, że musimy iść pieszo. Nikt prócz was nie ma konia.

- Są dość blisko, zagrodę zbudowała przecież Trzecia Jaskinia. Na tyle blisko, że zdążycie bez większego wysiłku - odpowiedziała Ayla. - Jeśli wolisz zapolować na bizony, Joharranie, możesz to zrobić.

- Ścisłej mówiąc, możesz zająć się i bizonami, i jeleniami - dodał Jondalar.

- Jesteśmy, gdzie jesteśmy, a lepszy jeden jeleni w zasięgu wzroku niż dwa bizony w dalekiej zagrodzie - odrzekł Joharran. - Ale jeśli naprawdę uważacie, że zdążymy, możemy zająć się bizonami, kiedy skończymy tutaj. Chcecie iść teraz z nami?

Tak - potwierdził Jondalar.

Tak - odezwała się Ayla niemal w tym samym momencie. - Chodźmy, Jondalarze. Uwiążemy konie do tego drzewa nad strumieniem. Myślę, że Wilk też powinien zostać na uwięzi. Niewykluczone, że podnieci go perspektywa łowów i zechce nam "pomóc", a wtedy mógłby wejść w drogę innym myśliwym, zwłaszcza że nie wie, w jaki sposób będziemy polować.

Kiedy mężczyźni podejmowali decyzję w sprawie najodpowiedniejszej taktyki, Ayla przyglądała się stadku, a przede wszystkim dorodnemu bykowi. Pamiętała doskonale pierwszy raz, kiedy zobaczyła w pełni dojrzałego samca megacerosa. Ten, którego teraz obserwowała, nie różnił się znacząco od tamtego. Choć sporo wyższy w kłębie od konia, oczywiście nie dorównywał rozmiarami mamutowi - nazwano go olbrzymim, gdyż pod względem rozmiarów nie miał sobie równych w licznej rodzinie jeleni. Jednakże o imponującym wyglądzie tego zwierzęcia nie przesądzała wielkość ciała, ale poroża. Każdy z masywnych, palczastych rogów zdobiących łeb zwierzęcia rósł stale, z każdym rokiem osiągając coraz bardziej zdumiewające rozmiary.

Ayla wyobraziła sobie mężczyznę stojącego na ramionach drugiego - przy czym obaj byli wzrostu Jondalara - taką właśnie rozpiętość miałyby ustawione pionowo rogi megacerosa. Zdumiewające rozmiary poroża uniemożliwiały tym zwierzętom życie w lasach, ulubionym środowisku ich licznych kuzynów. Megacerosy były jeleniami otwartych przestrzeni. Zwykle żywiły się trawą, a zwłaszcza młodymi zielonymi odrostami wysokich traw, które pochłaniały w ogromnych ilościach, lecz nie gardziły także liśćmi krzewów, drzewek i roślin zielnych rosnących w pobliżu strumieni.

Kiedy jeleni olbrzymi osiągał pełną dojrzałość, jego kości przestawały rosnać i jedynie niewiarygodne, wciąż powiększające się poroże stwarzało iluzję stałego wzrostu byka z sezonu na sezon. W celu utrzymania tak imponującej ozdoby niezbędne były nadzwyczaj silne mięśnie obręczy barkowej i karku. Z czasem u megacerosów pojawił się więc charakterystyczny garb w kłębie, w którym mieściła się zwarta grupa mięśni, ścięgien i tkanki łącznej. Wzgórek ów stał się genetycznie uwarunkowaną wizytówką gatunku - w nieco mniejszej postaci zaznaczał się nawet u samic. Niesamowita muskulatura karku powodowała, że głowa jelenia olbrzymiego sprawiała wrażenie nieproporcjonalnie małej, zwłaszcza u samców hojnie obdarzonych przez naturę dorodnym porożem.



Podczas gdy przywódcy omawiali taktykę, łowcy zajęli się przygotowaniem kamuflażu. Joharran i jego pomocnicy rozdali skórzane torebki z tłustym mazidłem. Ayla zmarszczyła nos, czując nieprzyjemną woń.

To maść z gruczołów pizmowych wyciętych z nóg jelenia, zmieszana z tłuszczem zalegającym tuż nad ogonem - wyjaśnił Jondalar. - Przytłumi nasz zapach na wypadek, gdyby zmienił się nagle kierunek wiatru.

Ayla skinęła głową i poczęła nakładać tłustą masę na ramiona, pachy, nogi i krocze. Potem oboje zajęli się zakładaniem przebrania, przy czym znachorka miała z tym pewne problemy.

- Pozwól, że ci pokażę - zaproponowała Kareja, odziana już w pomysłowy strój.

Ayla uśmiechnęła się z wdzięcznością, a kobieta wyjaśniła, w jaki sposób należy nosić podobną do peleryny, długą skórę jelenia, w której pozostawiono prawie nienaruszony łeb. Niezbyt wielkie poroże umocowano do osobnego kawałka skóry, opatrzonego dodatkowymi drewnianymi elementami, których przeznaczenia uzdrowicielka nie знаła.

- Jakie to ciężkie! - zawołała cicho, zaskoczona masą rogów, które miała dźwigać na głowie.

- Pamiętaj, że to stosunkowo małe poroże, z młodego byka. Zapewniam cię, że nie chciałabyś, by ten wielki samiec uznał cię za konkurenta - odparła Kareja.

- Ale w jaki sposób mam utrzymać je w równowadze, kiedy się poruszam? - spytała znachorka, próbując przesunąć poroże w nieco wygodniejsze dla niej położenie.

- Manipulując tym - odpowiedziała Kareja i poprawiła za pomocą drewnianych wsporników niezwykle nakrycie głowy.

- Nic dziwnego, że megacerosy mają takie masywne karki - mruknęła Ayla. - Potrzebuj ą nie tyle jakich mięśni, żeby utrzymać w powietrzu coś takiego.

Łowcy zaczęli skradać się pod wiatr, by silniejszy powiew nie zaniósł zapachu człowieka ku wrażliwym nozdrzom jeleni. Zatrzymali się, kiedy zwierzęta były w zasięgu wzroku. Stado pożywiało się młodymi liśćmi niewysokich krzewów.

- Przyjrzyj się im - szepnął miękko Jondalar. - Widzisz, jak skubią liście, a potem podnoszą łby, żeby się rozejrzeć? Przechodzą o kilka kroków dalej i znowu zaczynają jeść. Musimy naśladować ich zachowanie. Zrób parę kroków w ich stronę, a następnie spuść głowę, jakbyś była jeleniem, który właśnie wypatrzył kępę soczystej zieleni i zatrzymał się, by uszczknąć co nieco. Potem podnieś głowę i nie ruszając się, udawaj, że rozglądasz się po okolicy. Nie patrz wprost na byka, ale staraj się mieć go na oku, a kiedy on będzie ci się przyglądał, nie możesz nawet drgnąć.

Teraz rozejdziemy się, żeby utworzyć mniej więcej taki sam szyk, w jakim stoją jelenie. Chcemy je przekonać, że jesteśmy zwyczajnym stadem, aby podejść do nich jak najbliżej. Staraj

się ukrywać przed nimi oszczepy. Najlepiej trzymaj je pionowo za porożem, kiedy się poruszasz, i pamiętaj, żeby nie podchodzić zbyt szybko - wyjaśnił.

Ayla słuchała uważnie wskazówek Jondalara. Łowy zapowiadały się coraz bardziej interesująco. Przez długie lata obserwowała życie dzikich zwierząt, szczególnie mięsożernych, ale także tych, na które sama polowała. Przyglądała się im z bliska, chłonąc każdy szczegół; nauczyła się tropić, podchodzić i wreszcie zabijać, ale nigdy jeszcze nie próbowała udawać jednego z nich. Teraz więc najpierw przyjrzała się poczynaniom pozostałych myśliwych, a następnie zachowaniu jeleni.

Fakt, że dorastając, musiała uczyć się gestów i mowy ciała członków klanu Bruna, dawał jej sporą przewagę nad innymi ludźmi. Wprawnym okiem rejestrowała każdy detal zachowania zwierząt. Widziała, jak potrząsają głowami, by odpędzić natrętne owady, i szybko nauczyła się naśladować ten odruch. Podświadomie dostosowała tempo ruchów do rytmu zachowania się zwierząt. Była coraz bardziej podniecona i zaintrygowana nową metodą polowania. Czuła się niemalże jak prawdziwa łania, gdy tak skradała się wraz z grupą myśliwych ku nieświadomej niebezpieczeństwa zdobyczy.

Wybrała już zwierzę, które chciała zabić, i wolno posuwała się w jego stronę. Początkowo zamierzała zaatakować tłustą łanię, ale doszła do wniosku, że potrzebuje przede wszystkim rogów, toteż ostatecznie zdecydowała się na młodego samca. Jondalar uprzedził ją, że mięso zostanie podzielone między wszystkich członków społeczności, lecz skóra, rogi, ścięgna i inne części, które uznałaby za wartościowe, będą należały do niej - tak nakazywała łowiecka tradycja.

Gdy myśliwi znaleźli się niemal w samym środku stadka, Ayla dostrzegła Joharrana, który właśnie dawał swym ludziom umówiony znak. Łowcy mocniej ścisnęli w dłoniach drzewca, Jondalar zaś i jego kobieta przygotowali do akcji miotacze oszczepów. Uzdrowicielka doskonale wiedziała, że mogła wykonać pewny rzut już dawno, ze znacznie większej odległości, lecz pamiętała i o tym, że reszta myśliwych nie dysponowała bronią dalekiego zasięgu. Przedwczesne użycie miotacza oszczepów z pewnością spłoszyłoby stado, nim jelenie znalazłyby się w zasięgu włóczy ludzi Joharrana.

Kiedy przywódca Dziewiątej Jaskini upewnił się, że wszyscy są gotowi do ataku, dał kolejny dyskretny sygnał.

Myśliwi cisnęli oszczepy niemal jednocześnie. Kilka wielkich jeleni uniosło głowy i instynktownie rzuciło się do ucieczki, nim zdało sobie sprawę z tego, że zostały śmiertelnie ranione. Dumny byk ryknął donośnie, dając hasło do odwrotu, lecz tylko jedna łania z młodym podążyła za jego wezwaniem. Atak był tak szybki, niespodziewany i skuteczny, że pozostałe zwierzęta mogły jedynie zachwiać się przy pierwszym kroku i opaść bez sił na kolana.

Łowcy podbiegli do nich, by litościwie dobić te, które jeszcze żyły, a także po to, by sprawdzić, komu należy się zdobycz. Każdy oszczep nosił indywidualne oznaczenia właściciela, które pozwalały jednoznacznie rozstrzygnąć wszelkie spory. Myśliwi oczywiście i tak rozpoznaliby swoją broń, ale dzięki symbolom nie było mowy o pomyłce. Jeżeli włócznie więcej niż jednego łowcy dosięgły tego samego celu, próbowano zwykle ustalić, czyj atak zadał zwierzęciu śmierć. Jeśli nie było to oczywiste, zasługę i zdobycz dzielono sprawiedliwie między zainteresowanych.

Szybko zauważono, że mały, lekki oszczep Ayli dosięgnął młodego byka. Myśliwi wiedzieli, że samiec pasł się nieco dalej, w niskich krzakach, zasłonięty przez pozostałe osobniki. Nie był więc celem łatwym i wszystko wskazywało na to, że nikt poza znachorką nie poważył się na ryzykowny atak, a przynajmniej nie znaleziono przy byku żadnej innej włóczni. Rozprawiano o tym fakcie nie tylko dlatego, że broń Ayli miała niezwykle daleki zasięg skutecznego rażenia, ale i dlatego, że tajemnicza kobieta posługiwała się nią z niesamowitą wprawą. Nikt nie potrafił odpowiedzieć sobie na pytanie, jak długo trzeba ćwiczyć, by dorównać jej celnością. Wielu łowców miało ochotę spróbować swoich sił, lecz nie brakowało i takich, którzy spoglądając na plon udanego polowania, wątpili, czy warto poświęcać czas na poznanie nowej techniki.

Manvelar zbliżył się do Joharrana i kilku innych łowców z Dziewiątej Jaskini, wśród których znaleźli się także Jondalar i Ayła.

- Czego dowiedzieliście się na temat stada bizonów? - spytał bez zbędnych wstępów.

Snucie planów i przygotowania do polowania rozbudziły we wszystkich głód myśliwskiej przygody, którego nie mogła zaspokoić szybka i łatwa rozprawa z małym stadkiem jeleni. Łowcy byli pełni zapału i energii, które trzeba było jakoś spożytkować.

- Stado znowu wędruje na północ, w stronę pułapki - odrzekł Jondalar.

- Naprawdę sądzisz, że podejdzie wystarczająco blisko, byśmy mogli jeszcze dzisiaj zagnać je do zagrody? - upewnił się Joharran. - Jest wcześnie, nie miałbym nic przeciwko ubiciu paru bizonów.

- Możemy dopilnować, żeby w porę dotarły tam, gdzie mają dotrzeć - odparł zagadkowo Jondalar.

- Ale jak? - spytała Kareja.

Mężczyzna od razu zauważył, że w jej głosie nie było już tyle sarkazmu, co poprzedniego dnia.

- Manvelarze, czy wiesz dokładnie, gdzie jest zagroda - pułapka? I jak długo potrwałby marsz całego oddziału? - spytał Jondalar.

- Wiem, ale Thefona wie jeszcze lepiej - odparł Manyelar. Młoda kobieta była nie tylko doskonałym obserwatorem, ale i wybornym łowcą. Przywołana gestem przywódcy wystąpiła naprzód i stanęła przy nim. - Jak daleko jest stąd do zagrody?

Thefona zastanawiała się przez moment, spoglądając na niebo i analizując pozycję słońca, nim odpowiedziała.

- Jeśli będziemy maszerować w dobrym tempie, znajdziemy na miejsce wkrótce po tym, jak słońce stanie w najwyższym punkcie. Tylko że kiedy widziałam bizona po raz ostatni, znajdowały się dość daleko od pułapki.

- A my widzieliśmy je dziś rano i wiemy, że idą w dobrym kierunku. Co więcej, możemy je popędzić z pomocą koni i Wilka - powiedział Jondalar z zapałem. - Ayla robiła już coś takiego.

- A jeśli nie dacie rady? Jeżeli dotrzemy na miejsce, a bizona nie przyjdą? - spytał Kimeran, który spędził z przyjacielem niewiele czasu od jego powrotu, a Ayli nie znał prawie wcale. I choć słyszał mnóstwo opowieści o Jondalarze i pięknej kobiecie sprowadzonej przezeń z dalekich stron, nie był świadkiem wszystkich niespodzianek, które zrobiły na innych Zelandonii tak piorunujące wrażenie. Aż do tego ranka nie widział nawet, jak jeździ się na koniu, i wcale nie był przekonany, czy nowy środek transportu może odmienić losy polowania.

- Wtedy okaże się, że nachodziliśmy się niepotrzebnie, ale nie będzie to pierwszy raz, kiedy wrócimy z pustymi rękami - odrzekł spokojnie Manvelar.

Kimeran wzruszył ramionami i uśmiechnął się krzywo.

- Chyba masz rację - przyznał.

- Czy ktoś jeszcze ma coś przeciwko wyprawie na bizona? Możemy zadowolić się jeleniami - powiedział głośno Joharran. - I tak musimy zająć się dzieleniem mięsa.

- Z tym akurat nie będzie problemu - odparł Manvelar. - Thefona może poprowadzić was do zagrody pułapki; świetnie zna drogę. Ja tymczasem wrócę do Skały Dwóch Rzek i skrzyknę trochę ludzi, którzy zajmą się zdobyczą. Poślę też gońca do pozostałych Jaskiń z prośbą o pomoc w oprawianiu. Będziemy jej potrzebować, jeśli dopisze wam szczęście w łowach na bizona.

- Jestem gotów spróbować... Idę... Ja też... - odezwały się głosy ochotników.

- Zgoda - uciął Joharran. - Jedźcie oboje i sprawdźcie, co się da zrobić, żeby pogonić stado w stronę zagrody. Reszta pójdzie piechotą, w możliwie najszybszym tempie.

Ayla i Jondalar bez słowa ruszyli ku wierzchowcom. Z ich powrotu najbardziej ucieszył się Wilk, który nie cierpiał fizycznego ograniczania jego swobody. Ayla nieczęsto stosowała ten środek zapobiegawczy, toteż drapieżca nie miał okazji przyzwycząić się do życia na postronku. Whinney i Zawodnik znosiły tę krótkotrwałą niewolę znacznie lepiej, a to dlatego, że dużo częściej kontrolowano ich poczynania. Jeźdźcy dosiedli koni i puścili się pędem, a Wilk starał się nie

pozostać w tyle. Obserwujący tę scenę piechurzy nie mogli mieć wątpliwości: znikające w oddali sylwetki były niezbitym dowodem na to, że znacznie szybciej podróżuje się na końskim grzbiecie niż na własnych nogach.

Jondalar i Ayla postanowili, że najpierw pojedą do zagrody, by oszacować, jak daleko od niej znajduje się stado bizonów. Znachorka żywo zainteresowała się okrągłą konstrukcją i poświęciła chwilę na bliższą inspekcję. Pułapka składała się z gęstwiny małych drzewek i sporych pni, przeplatanych krzakami i wszelkimi innymi materiałami, wśród których nie brakowało kości i rogów. Wzniesiono ją kilka lat wcześniej i z czasem odsunęła się nieco od miejsca, w którym pierwotnie stała. Żadne z drzew, które stanowiły trzon konstrukcji, nie zostało wpuszczone w ziemię. Wszystkie elementy były ze sobą mocno powiązane, tak by najsilniejsze nawet zwierzę nie mogło przebić się na zewnątrz. Splecione z naturalnych materiałów ogrodzenie było dość elastyczne i zamiast pękać od mocnych uderzeń, ugięło się co najwyżej, kiedy zaś atak był wyjątkowo zajadły, przesuwało się w całości po dość równym gruncie.

Wycięcie tak wielu pni, konarów i krzewów na rozległej, z rzadka tylko porośniętej drzewami równinie, a następnie przetransportowanie ich na miejsce budowy wymagało udziału licznej grupy ludzi i wielkiego wysiłku z ich strony. Zagroda musiała przecież być na tyle solidna, by wytrzymać napór ciał ciężkich zwierząt i okazjonalne ataki oszalałych ze strachu osobników. Te jej części, które co roku ulegały zniszczeniu lub po prostu gniły, naprawiano lub zastępowano nowymi, starając się utrzymać pułapkę w jak najlepszym stanie. Systematyczne remontowanie z pewnością było łatwiejsze niż całkowita odbudowa, szczególnie że była to tylko jedna z kilku zagród rozlokowanych w strategicznych punktach okolicznych równin.

Wzniesiono ją w wąskiej dolince między wapiennym urwiskiem z jednej a stromym wzgórzem z drugiej strony, w miejscu leżącym na tradycyjnym szlaku migracyjnym licznych stad zwierzyny. Przed laty płynęła tamtędy niewielka rzeczka, a i teraz, od czasu do czasu - po silniejszych deszczach - na dnie pojawiał się strumień. Łowcy nie używali tej pułapki zbyt często; zwierzęta dość szybko uczyły się, że powinny unikać niektórych dróg i znajdowały sobie bezpieczniejsze przejścia.

Zespół, który dokonał ostatniej naprawy ogrodzenia, wznosił także nową, ruchomą zaporę, która pozwalała zapędzić naganiane stado wprost do wylotu pułapki. Zwykle myśliwi mieli dość czasu, by wysłać odpowiednią ekipę do obsługi "bramy" - zadaniem jej członków było dopilnowanie, by żadne ze zwierząt nie ominęło wejścia. Tym razem jednak, wobec nagłej, spontanicznej zmiany planów, nie było tu nikogo. Mimo to Ayla zauważyła kawałki skóry i płótna, skrawki plecionych pasów i wiechcie trawy uczone do długich tyczek, wetknięte za ramy skórzanych i drewnianych paneli lub przyciśnięte do ziemi kamieniami. - Jondalarze! - zawołała.

Mężczyzna podjechał bliżej, a wtedy podniosła z ziemi tyczkę z pasemkami skóry. - Wszystko, co powiewa, trzepocze lub porusza się gwałtownie, może spłoszyć biegnącego bizona. Tak przynajmniej się działo, kiedy pędziliśmy stado w stronę zagrody Obozu Lwa. Tyczki przydadzą się więc tym, którzy będą stali w pobliżu pułapki i będą starali się zagnać zwierzęta do środka. Sądzisz, że ktoś będzie miał coś przeciwko temu, że pożyczymy kilka z nich? Będziemy ich potrzebować, jeśli mamy nakierować stado ku tej dolinie.

- Masz rację. Cóż, po to przecież ktoś je tu zostawił - odrzekł Jondalar. - Jestem pewien, że nikt nie powie złego słowa, jeśli dzięki nim uda się popędzić stado prosto w pułapkę.

Opuściwszy dolinę, para jeźdźców skierowała się ku miejscu, w którym po raz ostatni widziała bizony. Szlak wydeptany przez wolno wędrujące zwierzęta nie był trudny do odnalezienia, szczególnie że stado - liczące około pięćdziesięciu samców, samic i młodych - zdążyło zbliżyć się nieco do doliny. Wyglądało na to, że bizony poczęły formować już grupy, z których pod koniec sezonu miały powstać olbrzymie stada migrujące.

Każdego roku nadchodził czas, kiedy te wielkie zwierzęta gromadziły się w tak niewyobrażalnej liczbie, że postronnemu obserwatorowi zdawały się przypominać szeroką, wolno płynącą, ciemnobrązową rzekę najeżoną dużymi, czarnymi rogami. Jednakże przez większą część roku bizony wędrowały w znacznie mniejszych grupach, czasem będących jedynie wielopokoleniową rodziną, choć zwykle nieco liczniejszych - większe stado oznaczało większe bezpieczeństwo. Chociaż drapieżniki - zwłaszcza lwy jaskiniowe i watahy wilków - dość często powalały pojedyncze sztuki ze stad, zwykle ofiarami ataków padały osobniki najpowolniejsze lub chore, dzięki czemu przetrwać i rozmnażać się mogły tylko silne i zdrowe.

Jondalar i Ayla powoli zbliżali się do stada, które prawie nie zwracało na nich uwagi. Konie z pewnością nie były istotami, które mogłyby zagrozić bizonom; jedynie obecność Wilka wywoływała w wędrujących leniwie olbrzymach pewien niepokój. Zwierzęta były świadome jego obecności, lecz nie wpadały w panikę, a jedynie omijały go, wyczuwając, że samotny drapieżca nie ma szans na upolowanie stworzenia takiej wielkości. Dojrzały byk miał bowiem przeciętnie sześć stóp i sześć cali w kłębie, a ważył około jednej tony. Miał także długie czarne rogi oraz brodę zwisającą nieco ku przodowi z potężnej szczęki. Samice były trochę mniejsze, ale - podobnie jak samce - szybkie i zwinne, zdolne do wspinaczki po stromych stokach i przeskakiwania nad niemałymi przeszkodami.

Bizony potrafiły też galopować, z ogonami sterczącymi ku górze i spuszczonej łbami, długimi susami przemierzając nawet najbardziej kamieniste połacie ziemi. Umiały bez kłopotu przepłynąć przez rzeki; świetnie pływały i potrafiły osuszać grube futro, tarzając się w piachu. Zwykle pasły się wieczorami, większość dnia zaś spędzały na ponownym przeżuwaniu pokarmu.

Natura obdarzyła je nadzwyczaj czułym węchem i słuchem. Dorosłe osobniki bywały agresywne i zabicie ich nie było łatwe ani dla kłów i pazurów drapieżników, ani dla oszczepów doświadczonych łowców. Jednakże każdy upolowany bizon oznaczał dla okolicznych osad ogromny zapas mięsa, a także tłuszczu, kości, skóry, włosia i parę pięknych rogów. Było to zwierzę dumne i dostojne, szanowane przez wszystkich, którzy na nie polowali, podziwiane za siłę i odwagę.

- Jak sądzisz, w jaki sposób najlepiej byłoby je pogonić? - odezwał się Jondalar. - Zazwyczaj myśliwi pozwalają im wędrować własnym rytmem i powoli wskazują im drogę do zagrody, przynajmniej do chwili, kiedy znajdą się bardzo blisko.

- Pamiętam, że podczas Podróży zwykle staraliśmy się oddzielić jedno ze zwierząt od stada. A tym razem chodzi o to, żeby utrzymać je w zwartej grupie, zmuszając przy tym do biegu w stronę doliny - odpowiedziała Ayla. - Myślę, że gdybyśmy zajęli je od tyłu i zaczęli krzyżeć, ruszyłyby z kopyta, ale skoro mamy te tyczki, będzie jeszcze łatwiej. Przydadzą się przede wszystkim do odstraszenia tych bizonów, które spróbują uciekać na boki. Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby biegły w niepożądanym kierunku. Wilk też nie będzie próżnował, nieraz już pomagał mi zaganiać zwierzynę.

Uzdrowicielka spojrzała na słońce, próbując oszacować, jak szybko uda im się zapędzić zdobycz do zagrodypułapki, i zastanawiając się, jak blisko mogą być wędrujący piechotą łowcy. Najważniejsze, żeby pognać bizona we właściwym kierunku, pomyślała.

Ostrożnie przesunęli się w stronę przeciwną do tej, w którą zamierzali pędzić stado, a potem spojrzeli na siebie, skinęli głowami na znak gotowości i z głośnym wrzaskiem zmusili konie do biegu w stronę spokojnych olbrzymów. Ayla trzymała w jednej dłoni długą tyczkę, w drugiej zaś strzęp skóry - mogła sobie pozwolić na jazdę "bez trzymanki", nie używała bowiem ani uździenicy, ani wodzy do kierowania Whinney.

Kiedy pierwszy raz w życiu wsiadła na koński grzbiet, zachowywała się zupełnie spontanicznie i nie czyniła żadnych wysiłków, by kontrolować poczynania zwierzęcia. Po prostu chwyciła mocno grzywę klaczy i pozwoliła jej biec. Czuła się wolna i podniecona tym, że mknęła jak wiatr przez trawiastą równinę. Whinney zwolniła z własnej woli i kiedy uznała, że ma dosyć biegu, powróciła do doliny, która była jej jedynym domem. Później Ayla nie potrafiła odmówić sobie przyjemności jeżdżenia konno, ale z początku kierowanie klaczą polegało raczej na instynktownych ruchach ciała. Dopiero po pewnym czasie uświadomiła sobie, że naciskiem nóg i zmianami pozycji dawała Whinney sygnały przekazujące jej wolę.

Gdy po opuszczeniu Klanu nadszedł czas pierwszego samodzielnego polowania na większą zdobycz, znachorka zdołała zapędzić stado koni odwiedzające regularnie jej dolinę do dołu-

pułapki, który własnoręcznie wykopała. Nie wiedziała, że klacz, którą udało jej się upolować, była karmiącą matką - aż do chwili, gdy zobaczyła grupę hien ścigających bezbronne źrebię. Użyła procy, by przepędzić ohydnych drapieżców. Ocaliła młode bardziej dlatego, że nienawidziła hien, niż z miłości do zwierząt, lecz kiedy już było po wszystkim, czuła się zobowiązana do wzięcia źrebaka w opiekę. Wiedziała od lat, że dziecko może jeść to samo co matka, jeśli tylko pożywienie będzie odpowiednio rozmiękczone - gotowała więc ziarna traw, by wykarmić młodziutką klacz.

Nie minęło wiele czasu, nim pojęła, że ratując życie Whinney, wyświadczyła sobie wielką przysługę. Mieszkała w dolinie zupełnie sama, a teraz mogła cieszyć się towarzystwem oddanej, przyjaznej istoty. Nie zamierzała ujeżdżać klaczy, nigdy nawet nie myślała o niej jak o zwierzęciu użytkowym, traktowała ją jak przyjaciółkę. Whinney zaś przyjęła tę przyjaźń i wozila kobietę na swym grzbiecie nie dlatego, że została do tego przyuczona czy przymuszona, lecz dlatego, że chciała.

Osiągnąwszy dojrzałość, oswojona klacz na pewien czas opuściła Aylę, by dołączyć do grupy dzikich koni. Wróciła jednak, kiedy padł dorodny ogier, przewodnik stada. Ożrebiła się wkrótce po tym, jak jasnowłosa uzdrowicielka znalazła rannego mężczyznę, którym okazał się Jondalar. Rosły Zelandonii otrzymał źrebaka w darze, mógł ułożyć go wedle swego uznania. Wynałazł uździenicę, która pomagała mu w kierowaniu dorastającym ogierem. Ayla korzystała z tej prostej upręży tylko wtedy, kiedy musiała ograniczyć swobodę Whinney na niewielkiej przestrzeni lub kiedy powierzała klacz opiece Jondalara. Mężczyzna rzadko dosiadał konia swej kobiety, jako że nie w pełni rozumiał opracowany przez nią kod sygnałowy, zwierzę zaś nie pojmowało jego poleceń. Ayla miała podobny problem z Zawodnikiem.

Teraz spoglądała kątem oka na Jondalara, który pędził pośród stada, bez trudu kierując ogierem i potrząsając tyczką z wiechciem trawy przed pyskiem młodego byka, aby skłonić go do powrotu między pozostałe bizony. Dostrzegła też przerażoną młodą krowę, która skręciła nagle i pomknęła w jej stronę, ale nim zdążyła zareagować, Wilk zapędził uciekinierkę ku stadu. Ayla uśmiechnęła się do czworonożnego łowcy, dla którego polowanie z nagonką było pierwszorzędną zabawą. Cała grupa - kobieta, mężczyzna, para koni i wilk - nauczyła się razem pracować i wspólnie polować podczas rocznej Podróży wzdłuż Wielkiej Rzeki Matki, z dalekich równin Wschodu.

Zbliżając się do wlotu wąskiej doliny, Ayla zauważyła mężczyznę machającego ręką, który stał nieco na uboczu - i odetchnęła z ulgą. Myśliwi zdążyli na czas. Teraz, gdy bizony miały właśnie wbiec w dolinę, łowcy mogli już zadbać o to, by trafiły w pułapkę. Kobieta dojrzała jednak, że w ostatniej chwili grupka zwierząt skręciła ostro, próbując uniknąć wejścia między wzgórze a urwisko. Popędziła Whinney, krzykiem zmuszając ją do jeszcze szybszego galopu.



Potrząsnęła wiechciem trawy przed oczami starej krowy i strzelając donośnie paskiem skóry, zdołała zagnać ją z powrotem do stada. Reszta umykających zwierząt pobiegła w ślad za samicą.

Dwoje jeźdźców i wilk wystarczyło, by popędzić bizona zwartą grupą w pożądanym kierunku, lecz teraz dolina zwężała się szybko i w sąsiedztwie zagrody była już tak ciasna, że zwierzęta musiały zwolnić, a tym samym stado się rozciągnęło. Ayla zauważyła, że jeden z byków próbuje wymknąć się bokiem, by uniknąć naporu.

Zza skórzanej osłony wyłonił się łowca uzbrojony we włócznię, gotów powstrzymać rozpędzone zwierzę. Broń trafiła w cel, lecz rana nie była śmiertelna i rozjuszony byk z furią popędził wprost na myśliwego. Mężczyzna próbował uskoczyć; skrył się za cienką osłoną, lecz dla potężnego bizona nie była to żadna przeszkoda. Oszalały z bólu, wielki, kosmaty potwór wziął na rogi lekką osłonę i bez trudu odrzucił ją bok wraz z łowcą, który przypadł do ziemi tuż za nią. Byk pobiegł dalej, tratując skórzaną osłonę i oszołomionego człowieka.

Ayla obserwowała tę scenę z przerażeniem i w pośpiechu szykowała miotacz do rzutu. Cisnęła oszczepem w uciekającego bizona, po czyni popędziła Whinney, nie zważając na niebezpieczeństwo stratowania przez inne, coraz bardziej zdeorientowane zwierzęta. Dotarłszy na miejsce wypadku, w biegu zeskoczyła na ziemię. Odrzuciła resztki skórzanej osłony i przyklękła obok mężczyzny, który leżał bez ruchu opodal ubitego byka. Usłyszała cichy jęk i zrozumiała, że łowca jeszcze żyje.

## ROZDZIAŁ 13

Spocona Whinney stawiała dęba, z niepokojem zerkając na bizona pędzącego wprost do zagrody pułapki. Sięgając po torbę lekarską wciśniętą na dno jednego z koszy uwiązanych do grzbietu klaczy, Ayla pogładziła ją uspokajająco, lecz myślą była już przy rannym łowcy; zastanawiała się, czy potrafi mu pomóc. Nie zwróciła nawet uwagi na to, kiedy zamknięto wrota zagrody, odcinając stadu bizonów drogę ucieczki, ani na poczynania myśliwych, którzy zabrali się do metodycznego zabijania upatrzonych zwierząt.

Wilk bawił się doskonale pościgiem, lecz nim zdobycz została uwięziona, przestał interesować się polowaniem i począł węszyć w poszukiwaniu swej pani. Znalazł ją wreszcie klęczącą przy rannym mężczyźnie. Wokół znachorki i leżącego uformował się spory krąg ludzi, lecz obecność wilka kazała im zachować dystans. Nie zdając sobie sprawy z tego, że jest obserwowana, Ayla zajęła się oględzinami rannego. Mężczyzna był nieprzytomny, ale na szyi, pod szczęką, wyczuwała słabe pulsowanie. Szybko rozcięła odzież zakrywającą tułów łowcy.

Krwi prawie nie było, lecz na klatce piersiowej i brzuchu rannego formowała się rozległa, ciemnognatowa plama. Znachorka delikatnie dotknęła ciała puchnącego wokół sińca i tylko raz przycisnęła palcami nieco mocniej. Mężczyzna drgnął i jęknął z bólu, ale nie ocknął się z omdlenia. Ayla przez moment słuchała jego oddechu, któremu towarzyszyło ciche bulgotanie. Zauważyła, że z kącika ust popłynęła strużka krwi. Teraz była już pewna, że myśliwy ma rozległe obrażenia wewnętrzne.

Uniosła głowę i spojrzała w intensywnie błękitne oczy Jondalara, który zmarszczył czoło w tak dobrze jej znanym grymasie zatroskania. Tuż obok zobaczyła niemal identyczne zmarszczki i napotkała pytający wzrok Joharrana. Wolno pokręciła głowę.

Przykro mi - powiedziała. - Stratował go bizon - wyjaśniła, spoglądając na leżące obok ciało martwego zwierzęcia. - Złamane żebra przebiły płuca i być może także inne organy. Krwawi we wnętrzu. Niestety, nic się nie da zrobić. Jeżeli ma partnerkę, to chyba należałoby ją sprowadzić. Obawiam się, że przed następnym rankiem będzie już wędrował po świecie duchów.

- Neeee! - zawołał ktoś z tłumu. Młody mężczyzna przecisnął się przez krąg gapiów i opadł na kolana przy leżącym łowcy. - To nieprawda! To nie może być prawda! Skąd ona może wiedzieć? Tylko Zelandoni zna się na tych sprawach. A ta kobieta nawet nie jest jedną z nas!

To jego brat - powiedział cicho Joharran. Młody mężczyzna przycisnął rannego do piersi, po czym wykręcił jego głowę tak, jakby chciał zmusić go, by patrzył mu w oczy.

- Shevonarze, obudź się! Proszę, obudź się! - zawodził.

- Opanuj się, Ranokolu. Nie pomagasz mu w ten sposób. - Przywódca Dziewiątej Jaskini próbował podnieść młodzieńca, lecz został brutalnie odepchnięty.

- Nie trzeba, Joharranie. Niech zostanie. Brat ma prawo do pożegnania - odezwała się Ayla.  
- Chociaż rzeczywiście może obudzić rannego, a on będzie bardzo cierpiał - dodała, widząc, że łowca drgnął nieznacznie.

- Masz pewnie w swojej torbie korę wierzbową lub zioła, które mogłyby uśmierzyć ból, prawda, Aylo? - bardziej stwierdził, niż spytał Jondalar. Wiedział, że jego kobieta nigdy nie wyrusza w drogę bez zapasu naturalnych medykamentów. Polowanie zawsze wiązało się z ryzykiem, a ona z pewnością miała świadomość tego faktu.

- Oczywiście, ale nie wydaje mi się, żeby napój zdołał mu pomóc. Nie przy tak wielkich obrażeniach wewnętrznych. - Ayla umilkła na chwilę, zastanawiając się nad czymś. - Chyba bardziej pomoże mu okład. Spróbuję. Ale najpierw trzeba go przenieść w wygodniejsze miejsce. Będzie mi potrzebne drewno do rozpalenia ognia i woda do gotowania. Czy on miał partnerkę, Joharranie? - ponowiła pytanie. Przywódca Dziewiątej Jaskini przytaknął ruchem głowy. - W takim razie niech ktoś po nią pobiegnie. I po Zelandoni.

- Naturalnie - odrzekł Joharran, nagle uświadamiając sobie obcy akcent uzdrowicielki, na który od dłuższego czasu nie zwracał najmniejszej uwagi.

Manvelar wystąpił z kręgu łowców.

Wyślijmy też ludzi na poszukiwanie lepszego, bardziej zacisznego miejsca dla tego nieszczęśnika. Trzeba go stąd zabrać.

- Pamiętacie małą jaskinię w tamtym urwisku? - wtrąciła Thefona.

- Rzeczywiście, była gdzieś w pobliżu - podchwycił Kimeran.

Racja - przytaknął Manvelar. - Thefono, weź paru ludzi, znajdź to miejsce i przygotuj je dla niego.

- Pójdę z nimi - oznajmił Kimeran i odwrócił się, by zwołać towarzyszy z Drugiej i Siódmej Jaskini, którzy także brali udział w łowach.

- Bramevalu, skrzyknij ludzi do zbierania chrustu i noszenia wody. Trzeba też pomyśleć, w jaki sposób przenieść Shevonara. Niektórzy z nas przynieśli futra do spania, trzeba je dać rannemu - dodał Manvelar, po czym zawołał w stronę myśliwych: - Potrzebujemy dobrego biegacza, który zanieś wiadomość do Skały Dwóch Rzek.

- Ja pojedę - zgłosił się Jondalar. - Mogę zanieść wiadomość, a Zawodnik na pewno jest najlepszym biegaczem z nas wszystkich.

Trudno odmówić ci racji.

- Mógłbyś potem zajechać do Dziewiątej Jaskini po Relonę i Zelandoni - zasugerował Joharran. - Powiesz Prolevie, co się stało. Ona będzie wiedziała, co trzeba zorganizować. A z partnerką Shevonara powinna rozmawiać Zelandoni. Być może poprosi cię, żebyś opowiedział o wszystkim Relonie, ale rozmowę pozostaw donier.

Joharran odwrócił się do łowców stojących wciąż kręgiem wokół rannego. Większość z nich stanowili ludzie z Dziewiątej Jaskini.

Rushemarze, słońce stoi wysoko, robi się coraz goręcej. Drogo zapłaciliśmy za dzisiejszą zdobycz - nie zmarnujmy tej ofiary. Trzeba wypatroszyć i oskórować bizony. Kareja i jej Jaskinia już wzięli się do pracy, ale jestem pewien, że przydałaby im się pomoc. Solabanie, weź kilku naszych i idźcie pomóc Bramęyalowi zbierać drewno. Przynieście też wodę i wszystko, czego będzie potrzebować Ayla. Kiedy Kimeran i Thefona odnajdą pieczarę, pomożecie przenieść Shevonara.

- Ktoś powinien powiadomić pozostałe Jaskinie, że potrzebujemy pomocy - dodał Brameval.

- Jondalarze, czy mógłbyś odwiedzić je w drodze powrotnej i opowiedzieć wszystkim, co się stało? - spytał Joharran.

- I poprosić o rozpalenie ogniska sygnałowego, kiedy dotrzesz do Skąty Dwóch Rzek - dorzucił Manvelar.

- Dobry pomysł - pochwalił Joharran. - Pozostałe Jaskinie od razu będą wiedziały, że wydarzyło się coś złego, i będą oczekiwały gońców. - Przywódca Dziewiątej zbliżył się do jasnowłosej kobiety z dalekich stron, która pewnego dnia miała stać się członkinią jego Jaskini, a być może także Zelandoni, ale już teraz starała się pracować ofiarnie na rzecz społeczności. - Aylo, zrób dla niego, co tylko w twojej mocy. Sprowadzimy jego kobietę i Zelandoni tak szybko, jak się da. Jeśli będziesz czegoś potrzebować, zwróć się do Solabana. On dopilnuje, żebyś nie czekała długo.

- Dziękuję, Joharranie - odrzekła znachorka, po czym odezwała się do Jondalara: - Jeśli powiesz Zelandoni, co się stało, na pewno będzie wiedziała, co powinna wziąć ze sobą, ale poczekaj jeszcze, aż przejrzę zawartość mojej torby. Być może poprosisz o kilka dodatkowych ziół. I weź ze sobą Whinney. Załóż jej włók, jest bardziej przyzwyczajona do ciągnięcia ładunku niż Zawodnik. Możesz nawet posadzić na włóku Zelandoni, a partnerkę Shevonara na grzbiecie kłaczy, jeśli tylko będą chciały.

- No, nie wiem, Aylo. Zelandoni jest dość ciężka - zaproponował Jondalar.

- Jestem pewna, że Whinney sobie poradzi. Musisz tylko przygotować na włóku wygodne siedzisko dla donier - odrzekła uzdrowicielka, spoglądając na swego mężczyznę z ukosa. - Prawdą

jest to, że większość ludzi nie nawykła do podróżowania konno. Kobiety na pewno będą wolały iść pieszo, ale przecież będą miały ze sobą namioty i zapasy. Tak czy inaczej, włók będzie potrzebny.

Ayla zdjęła z grzbietu klaczy kosze podróżne i założyła uździenicę na jej kształtny łeb, koniec linki wręczając Jondalarowi. Mężczyzna uwiązał postronek do uprzęży ogiera, pozostawiając tyle luzu, by Whinney mogła bez kłopotu podążać za nim, po czym wskoczył na grzbiet Zawodnika. Klacz jednak nie miała w zwyczaju puszczać przodem swego potomka, to on zawsze biegł jej śladem. Teraz więc, mimo że Jondalar dosiadał ogiera i kierował nim za pomocą wodzy umocowanych do uździenicy, Whinney biegła na czele, w niepojęty sposób wyczuwając właściwy kierunek.

Konie zawsze są skłonne słuchać swych ludzkich przyjaciół, pomyślała Ayla, z uśmiechem obserwując odjeżdżających. Pod warunkiem, że nie koliduje to z ich pojęciem o właściwym porządku rzeczy. Odwróciwszy się, znachorka zauważyła, że Wilk obserwuje ją uważnie. Dała mu sygnał, że ma pozostać na miejscu, nim konie uniosły Jondalara ku Dziewiątej Jaskini, więc teraz czekał cierpliwie na nowe rozkazy.

Wewnętrzny, lekko ironiczny uśmiech wywołany myślą o końskich obyczajach szybko zgasł, gdy wzrok Ayli spoczął na mężczyźnie leżącym wciąż tam, gdzie powalił go rozpędzony bizon.

Trzeba go przenieść, Joharranie - powiedziała cicho Ayla.

Przywódca skinął głową i szybko zawołał na pomoc paru ludzi. Zaraz też zaimprovizowano coś w rodzaju noszy zbudowanych z kilku mocnych włóczni połączonych kawałkami ręcznie tkanej materii. Nim Thefona i Kimeran powrócili z wieściami o odnalezieniu w pobliżu niewielkiego, skalnego schronienia, mężczyzna leżał już na symbolicznym posłaniu, gotów do drogi. Czterej łowcy unieśli nosze i ruszyli przed siebie, Ayla zaś przywołała Wilka i podążyła za nimi.

Kiedy dotarli na miejsce, pomogła myśliwym pracującym już przy oczyszczaniu podłoża w niewielkiej niszy u stóp pochyłego wapiennego urwiska. Wiatr naniósł w to osłonięte miejsce sporo liści i pyłu; nie brakowało też zeschniętych odchodów hien - zapewne przed kilkoma sezonami padlinożerne drapieżniki miały tu swoje legowisko.

Ayla z zadowoleniem stwierdziła, że w pobliżu znajduje się woda. W małej jaskini ukrytej w głębi niszy biło źródło wypływające na zewnątrz przez pęknięcie w skalnej płycie. Kiedy Solaban, Brameval i inni łowcy wrócili z zebraniem chrustem, znachorka poprosiła ich o rozpalenie ogniska.

Spełniając kolejne jej życzenie, wielu myśliwych oddało rannemu swe futra do spania, które - ułożone warstwami w sporą stertę - utworzyły dość wysokie posłanie. Mężczyzna ocknął się z

omdlenia już wtedy, gdy pierwszy raz układano go na noszach, później jednak, nim orszak dotarł do kamiennego schronienia, ponownie stracił przytomność. Jęczał z bólu, kiedy przenoszono go na futrzane posłanie, i zaraz potem obudził się, krzywiąc się i oddychając z największym trudem. Ayla zwinęła spory kawał futra i podłożyła mu pod głowę, próbując znaleźć pozycję jak najwygodniejszą dla rannego. Mężczyzna usiłował uśmiechnąć się w podziękowaniu, lecz atak kaszlu sprawił, że z ust znowu pociekła mu krew. Znachorka otarła ją miękką skórką króliczą, którą zawsze przechowywała wraz z lekarstwami.

Przy okazji dokonała szczegółowego przeglądu zasobów swej torby lekarskiej, zastanawiając się usilnie nad tym, czy nie zapomniała o jakimś sposobie na uśmierzenie cierpienia rannego. Odpowiednie właściwości miały na przykład korzeń goryczki i wyciąg z pomornika. Oba zioła łagodziły bóle wewnętrzne i skutki stłuczeń, ale nie dysponowała ani jednym, ani drugim. Cienkie włókna z szyszek chmielowych także miały własności przeciwbólowe i odprężające - wystarczyło oddychać powietrzem, w którym unosił się ich zapach - ale ich także brakowało. Może pomógłby dym, skoro wchłanianie płynów było wykluczone?, zastanawiała się uzdrowicielka. Nie, prawdopodobnie skończyłoby się kaszlem, a to tylko pogorszyłoby sprawę. Ayla wiedziała, że przypadek jest beznadziejny - zgon Shevonara był tylko kwestią czasu - ale miała też świadomość, że musi coś zrobić dla śmiertelnie rannego łowcy, chociażby złagodzić ból.

Zaraz, pomyślała nagle. Czy po drodze nie widziałam gdzieś roślin z gatunku waleriany? Tych z aromatycznymi kłęczami? Tych, które Mamutoi na Letnim Spotkaniu nazywali spikanardem? Jaka szkoda, że nie znam nazwy w mowie Zelandonii... Ayla uniosła głowę i przyjrzała się pracującym w pobliżu ludziom. Była wśród nich młoda kobieta, którą Manvelar zdawał się darzyć wielkim szacunkiem, obserwatorka z Trzeciej Jaskini - Thefona.

Thefona, która nie tylko wypatrzyła, ale i pomogła oczyścić skalną niszę, pozostała w pobliżu i teraz przyglądała się Ayli ukradkiem. Obca kobieta intrygo wała ją niepomierne. Było w niej coś, co przykuwało uwagę niemal wszystkich ludzi; co więcej, wydawało się, że tajemnicza wybranka Jondalara w krótkim czasie zdążyła zaskarbić sobie wielki szacunek Dziewiętej Jaskini. Thefona zastanawiała się i nad tym, ile tak naprawdę Ayla może wiedzieć na temat uzdrawiania. Jej twarzy nie zdobiły tatuaże, które wyróżniały Zelandoni, ale to nie musiało o niczym świadczyć - w odległych krainach mogły panować inne zwyczaje. Niektórzy ludzie próbowali za wszelką cenę zrobić wrażenie na innych, przechwalając się swoimi zdolnościami czy umiejętnościami, lecz Ayla tego nie czyniła. Zamiast mówić, pokazywała rzeczy zaiste imponujące, jak choćby sztukę obchodzenia się z miotaczem oszczepów. Thefona rozmyślała o jasnowłosej niemal bez przerwy, lecz była zaskoczona, gdy kobieta nagle zwróciła się do niej po imieniu.

Thefona, czy mogę cię o coś spytać?

Tak - odparła Thefona i pomyślała, że mowa znachorki brzmi dość dziwnie. Nie chodziło przy tym o same słowa, lecz o sposób, w jaki były wypowiedziane. Może dlatego nie jest zbyt gadatliwa, pomyślała obserwatorka. - Znasz się na roślinach?

- Chyba każdy wie o nich co nieco - odrzekła Thefona.

- Mam na myśli te, których liście przypominają trochę naparstnicę, ale ich kwiaty są żółte jak mleczko. Znam je pod nazwą spikanard, ale to słowo z języka Mamutoi.

- Niestety, znam się trochę na roślinach jadalnych, ale niewiele wiem o leczniczych. Będziesz musiała poczekać z tym na Zelandoni - odpowiedziała obserwatorka.

Ayla zamyśliła się.

- A czy mogłabyś poczuwać trochę przy Shevonarze? - spytała po chwili. - Wydaje mi się, że po drodze zauważyłam kępy tego ziele. Może wrócę i rozejrzę się trochę? Gdyby ranny się obudził albo gdyby zaszła jakaś nagła zmiana, mogłabyś wysłać kogoś po mnie - zaproponowała. I choć zwykle nie tłumaczyła nikomu swoich uzdrowicielskich poczynań, tym razem uznała, że należy zrobić wyjątek. - Jeśli rzeczywiście znajdę roślinę, której potrzebuję, być może będę mogła trochę ulżyć Shevonarowi. Stosowałam kiedyś okłady z tłuczonych korzeni przy leczeniu złamań, lek łatwo się wchłania i łagodzi ból. Jeżeli zmieszam to, co znajdę, z odrobiną bielunia i dodam trochę sproszkowanych liści krwawnika, być może Shevonar nie będzie tak bardzo cierpieć. Muszę spróbować.

Tak, oczywiście. Popilnuję go - odrzekła Thefona, z niewiadomych przyczyn ucieszona tym, że obca kobieta poprosiła ją o pomoc.

Joharran i Manvelar rozmawiali z Ranokolem po cichu, lecz choć znajdowali się naprawdę blisko, Ayla ledwie ich słyszała. Koncentrowała się przede wszystkim na rannym mężczyźnie i obserwowaniu naczynia z wodą - gotującą się stanowczo zbyt wolno. Wilk leżał na ziemi tuż obok niej, z łbem opartym na łapach, przyglądając się jej poczynaniom. Gdy nad powierzchnią wody począł unosić się obłok pary, kobieta wrzuciła korzenie spikanardu, by rozmiękczyć je przed roztluczeniem na miazgę potrzebną do przygotowania okładu. Cieszyła się, że znalazła opodal niszy także kępę żywokostu. Rzadka papka ze świeżo utłuczonych kłączy i liści była dobrym środkiem do leczenia siniaków i złamań, toteż choć Ayla nie wierzyła, by w ten sposób można było naprawić wewnętrzne obrażenia w ciele Shevonara, była w stanie przynajmniej złagodzić jego cierpienie.

Kiedy preparat był gotowy, rozłożyła ciepłą jeszcze miazgę wprost na niemal czarnej plamie znaczącej ślad wewnętrznego krwotoku, obejmującej część piersi i brzucha rannego. Zauważyła przy tym, że dolna część korpusu zaczęła twardnieć. Oczy mężczyzny otworzyły się nagle, kiedy okrywała go kawałkiem skóry, by utrzymać należytą ciepłotę.

- Shevonarze? - szepnęła. Wzrok rannego był przytomny, lecz widać w nim było niepokój. To pewnie dlatego, że mnie nie poznaje, pomyślała zachorka. - Mam na imię Ayla. Twoja partnerka... - kobieta zawahała się, szukając w pamięci imienia - ...Relona jest już w drodze. - Shevonar spróbował odetchnąć głęboko i skrzywił się z bólu. - Zostałeś zraniony przez bizona. Zelandoni wkrótce tu będzie. Tymczasem ja próbuję ci pomóc... Położyłam na twojej piersi okład, żeby złagodzić ból.

Mężczyzna skinął nieznacznie głową, lecz nawet ten ruch był dlań wielkim wysiłkiem.

- Chciałbyś zobaczyć się z bratem? Czekaj, aż odzyskasz przytomność.

Shevonar ponownie kiwnął głową, Ayla zaś wstała i podeszła do grupki siedzących opodal Zelandonii.

- Obudził się. Chce cię widzieć - dodała, zwracając się do Ranokola.

Młodzieniec zerwał się na równe nogi i podbiegł do posłania brata. Ayla ruszyła za nim w towarzystwie Joharrana i Manvelara.

- Jak się czujesz? - spytał Ranokol.

Shevonar próbował się uśmiechnąć, ale jego usta wykrzywił tylko grymas bólu wywołany nagłym atakiem kaszlu, po którym na brodę spłynęła kolejna strużka krwi. Brat spojrział na niego z przerażeniem i wtedy dopiero zauważył kataplazm na piersi rannego.

- Co to jest?! - zawołał z oburzeniem wysokim, niemal piskliwym głosem.

- To okład uśmierzający ból. - Głos Ayli, dla odmiany raczej niski, emanował spokojem. Uzdrowicielka doskonale rozumiała panikę, która ogarniała z wolna brata umierającego łowcy.

- Kto ci kazał robić z nim takie rzeczy? Zaszkożysz mu tylko! Zdejmij to natychmiast! - ryknął rozwścieczony młodzian, podrywając się z ziemi.

- Nie, Ranokolu - jęknął Shevonar. Jego głos był ledwie słyszalny. - Nie jej wina. Pomaga.

- Mężczyzna usiłował usiąść, lecz opuściły go siły i padł nieprzytomny na łożę z futer.

- Shevonar! Obudź się! On nie żyje! O Wielka Matko, on nie żyje! - łkał Ranokol, opadając na kolana tuż obok posłania.

Ayla sprawdziła puls rannego, podczas gdy Joharran odciągnął rozpaczającego Ranokola nieco dalej.

- Nie, jeszcze nie umarł - powiedziała. - Ale niewiele czasu mu pozostało. Mam nadzieję, że jego partnerka wkrótce przybędzie.

- Słyszałeś? Mógł być martwy, ale nie jest - rzucił w stronę Ranokola rozdrażniony Joharran. - Ta kobieta może nie być Zelandoni, ale zna się na uzdrawianiu. To ty pogarszasz stan Shevonara. Kto wie, czy będzie miał jeszcze dość sił, by pożegnać się z Reloną.



- Nikt już nie może pogorszyć jego stanu, Joharranie. Nie ma nadziei. Shevonar może odejść w każdej chwili; nie winię jego brata za to, że go oplakuje - odezwała się pojednawczo Ayla, po czym wstała. - Pozwólcie, że zrobię nam wszystkim herbaty na uspokojenie.

- Nie musisz, Aylo. Ja się tym zajmę, tylko powiedz mi, co robić.

Ayla spojrzała na Thefonę z wdzięcznością i uśmiechnęła się.

Wystarczy, że zagotujesz wodę. Ja zadbam o resztę - odpowiedziała, po czym wróciła do Shevonara.

Każdy oddech przychodził mu z wielkim trudem. Znachorka chciała mu jakoś ulżyć, lecz gdy tylko dotknęła go, próbując ułożyć w wygodniejszej pozycji, mężczyzna jęknął z bólu. Pokręciła głową, dziwiąc się, że łowca jeszcze żyje, a potem pochyliła się nad torbą lekarską, szukając odpowiednich składników napoju. Rumianek byłby niezły, pomyślała, może z odrobiną suszonego kwiatu lipy albo korzenia lukrecji na osłode.

Długie popołudnie miało się ku końcowi. Ludzie przychodzili i odchodzili, lecz Ayla nawet ich nie zauważała. Shevonar kilkakrotnie odzyskiwał świadomość i pytał o swą kobietę, by po chwili znowu zapaść w niespokojny sen. Jego brzuch był nabrzmiaty i twardy, a skóra na nim - prawie czarna. Uzdrowicielka była pewna, że mężczyzna kurczowo trzyma się ostatnich iskier życia tylko po to, by raz jeszcze zobaczyć swoją partnerkę.

Czas mijał powoli. Ayla sięgnęła po torbę na wodę, lecz przekonała się, że nic w niej nie ma, i zniechęcona odłożyła ją, nie zaspokoiwszy pragnienia. Tymczasem w niszy zjawiała się Portula, by sprawdzić, czy nie jest potrzebna. Wciąż jeszcze czuła się winna po tym, jak wzięła udział w podłej intrydze Marony, i dlatego starała się nie wchodzić znachorce w drogę. Kiedy jednak zobaczyła, jak Ayla podnosi skórzany pojemnik, potrząsa nim i odkłada na ziemię, niewiele myśląc, pobiegła do źródła, napełniła własną torbę i wróciła z solidną porcją świeżej, chłodnej wody.

- Chciałabyś się napić, Aylo? - spytała, trzymając w wyciągniętych rękach ociekający wodą worek.

Uzdrowicielka uniosła głowę, jakby teraz dopiero zauważyła czyjąś obecność.

- Dziękuję - odrzekła, nadstawiając kubek. - Rzeczywiście, jestem spragniona.

Portula stała w milczeniu, z zakłopotaniem przyglądając się, jak Ayla opróżnia naczynie.

- Chciałabym cię przeprosić - odezwała się wreszcie.

- Przykro mi, że dałam się namówić Maronie na udział w tej intrydze. To nie było miłe powitanie... Naprawdę nie wiem, co powiedzieć.

- Bo i nie ma specjalnie o czym mówić, Portulo, prawda?

- odrzekła Ayla. - Cieszę się, bo zyskałam miękki i wygodny strój do polowania. I choć wątpię, żeby takie właśnie były intencje Marony, zamierzam go używać. Dlatego proponuję, żebyśmy po prostu zapomnieli o całej sprawie.

- Czy mogę ci jakoś pomóc? - spytała z ulgą Portula. - Jemu nikt już nie może pomóc. Jestem zaskoczona, że został z nami tak długo. Gdy się budzi, pyta o swą kobietę. A Joharran odpowiada mu, że Relona jest w drodze - powiedziała smutno Ayla. - Myślę, że żyje już tylko dla tego ostatniego spotkania. Chciałabym jeszcze jakoś mu ulżyć, ale większość leków, które łagodzą ból, trzeba połykać. Zwilżyłam mu usta mokrym kawałkiem skóry, lecz obawiam się, że przy tak poważnym urazie wypicie czegokolwiek jedynie pogorszyłoby jego stan.

Joharran stał przed skalną niszą i niespokojnie spoglądał na południe - w ślad za Jondalarem, który lada chwila miał powrócić z Relona. Słońce chowało się z wolna za zachodnim horyzontem i pomалу zapadał zmrok. Przywódca Dziewiątej Jaskini rozesłał wielu ludzi na poszukiwanie drewna - chciał zgromadzić go tyle, by można było rozpalić wielkie ognisko wskazujące drogę jeźdźcowi i towarzyszącym mu kobietom. Przyniesiono nawet gałęzie wplecione w sprężyste ściany zagrody pułapki. Odkąd Shevonar zbudził się po raz ostatni - z gorejącymi nieprzytomnie oczami - Joharran wiedział już, że śmierć jest blisko.

Łowca walczył z nią tak dzielnie, że przywódca całym sercem pragnął, by Relona przybyła na czas i pożegnała partnera, nim tu przegra swą ostatnią bitwę. I wreszcie Joharran dostrzegł w oddali niewyraźne zarysy poruszających się postaci. Począł biec w tę stronę i poczuł niewymowną ulgę na widok smukłej sylwetki konia. Odczekał chwilę, nim zbliżył się do Relony, i poprowadził roztrzęsioną kobietę w stronę kamiennej niszy, gdzie umierał jej partner.

Kiedy zbliżali się do postania, Ayla delikatnie trąciła ramię mężczyzny.

- Shevonarze... Shevonarze! Relona już tu jest - powiedziała. Łowca otworzył oczy i spojrzał na nią nieobecny wzrokiem. - Już jest. Relona już tu jest - powtórzyła. Powieki Shevonara opadły i mężczyzna niemal niezauważalnie potrząsnął głową, próbując otrząsnąć się z omdlenia.

- Shevonarze, to ja. Przyszłam najszybciej, jak mogłam. Mów do mnie... Proszę, powiedz coś. - Głos Relony załamał się i zmienił w rozpaczliwy szloch.

Ranny otworzył oczy i zmusił się do skupienia wzroku na twarzy pochylającej się nad nim kobiety.

- Relono... - szepnął prawie bezdźwięcznie. Uśmiech wpełzający nieśmiało na jego usta zmienił się nagle w grymas przeszywającego bólu. Kiedy mężczyzna znowu spojrzał w oczy swej kobiety, zobaczył w nich łzy. - Nie płacz - wyszeptał, po czym zacisnął powieki, z jeszcze większym niż dotąd trudem próbując nabrać powietrza w przebite płuca.

Relona popatrzyła błagalnie na Aylę, lecz ona spuściła oczy, cofnęła się o krok i pokręciła głową. Kobieta rozejrzała się w panice, desperacko szukając kogoś, kto odpowiedziałby na jej prośbę o pomoc, lecz nikt nie podnosił wzroku. Znowu odwróciła się ku partnerowi i bezradnie patrzyła, jak walczy o oddech, otwierając usta, w których kąciku pojawiła się krew.

- Sheyonarze! - zawołała, chwytając go za rękę. Relono... Chciałem... zobaczyć cię jeszcze raz - wyszeptał, otwierając oczy. - Pożegnać się... zanim pójdę... do świata duchów. Jeśli Doni pozwoli... spotkamy się tam.

Shevonar zamknął oczy i do uszu zebranych dotarło słabe rżenie, gdy z wysiłkiem starał się nabrać powietrza. A potem rozległ się jęk i - choć Ayla była pewna, że mężczyzna próbuje nad nim zapanować - przejmujący dźwięk wciąż przybierał na sile. Wreszcie myśliwy umilkł, by znowu odetchnąć. I wtedy znachorka odniosła wrażenie, że w jego piersi coś stuknęło, wywołując niehumaniczny, agoniczny okrzyk bólu. Nim przebrzmiało echo, mężczyzna przestał oddychać.

- Nie... Nie!... Shevonar!... Shevonaaaaar... - wołała Relona, przyciskając głowę do piersi partnera i szlochając rozpaczliwie. Ranokol stał obok niej, a po jego policzkach płynęły grube strumienie łez. Był zdruzgotany, oszołomiony stratą; nie wiedział, co ze sobą zrobić.

I nagle wszyscy zmartwieli, słysząc gdzieś blisko donośne, niesamowite wycie. Czując zimne dreszcze, zebrani jeden po drugim odwracali głowy w stronę Wilka, który stał na czterech wyprostowanych łapach i odrzuciwszy łeb do tyłu, ciągnął swą przerażającą, wilczą pieśń.

- Co on robi? - spytał rozdrażniony Ranokol. Opłakuje twojego brata - odezwał się znajomy głos Zelandoni. - Podobnie jak każdy z nas.

Wszyscy z ulgą przyjęli pojawienie się donier. Duchowa przywódczyni przybyła na miejsce wraz z Reloną i kilkoma innymi osobami, ale postanowiła zachować dystans w chwili, gdy partnerka rannego pobiegła ku łożu śmierci. Teraz, kiedy wdowa wyrażała swą boleść jęklwym zawodzeniem, Zelandoni wraz z paroma kobietami dołączyła do jej lamentów. Wilk także nie przestawał wyć. Wreszcie Ranokol wybuchnął gwałtownym płaczem i rzucił się na ciało zmarłego. Moment później Relona uczyniła to samo i już po chwili oboje klęczeli nad posłaniem; obejmowali się i kołysali, próbując w ten sposób ukoić ból.

Ayla pomyślała, że dobrze im zrobi wspólne odreagowanie emocji. Ranokol musiał jakoś dać upust nagromadzonej rozpacz i gniewowi, a bliskość kobiety wydatnie mu w tym pomogła. Kiedy Wilk znowu zawył, znachorka dołączyła do niego głosem tak przekonującym, że wielu żałobników pomyślało w pierwszej chwili, iż w pobliżu znalazł się inny drapieżca. A chwilę później, ku zdumieniu tych, którzy czuwali przy łożu śmierci Shevonara, gdzieś daleko rozległo się jeszcze jedno wycie, wzmacniając przejmujące brzmienie wilczego płaczu.

Po pewnym czasie donier pomogła Relonie wstać i odprowadziła ją na posłanie z futer, które rozłożono na skale opodal ogniska. Joharran podniósł zaś brata zmarłego i usadowił go po przeciwnej stronie paleniska. Kobieta, pojękując, kiwała się miarowym rytmem w przód i w tył, jakby nieświadoma tego, co działo się wokół niej. Ranokol wpatrywał się w trzaskające płomienie niewidzącym wzrokiem.

Zelandoni z Trzeciej rozmawiał przyciszonym głosem z wielką Zelandoni z Dziewiątej Jaskini, a po chwili zniknął na moment i powrócił z kubkiem parującego płynu w każdej dłoni. Pierwsza Wśród Tych, Którzy Służą przyjęła jeden z nich i podała Relonie. Kobieta wychyliła napój duszkiem, jakby nie wiedziała, co robi, lub było jej wszystko jedno. Tymczasem Trzeci zaniósł drugi kubek Ranokolowi, lecz ten długo ignorował jego nagabywania, nim dał się namówić na wypicie gorącego wywaru. Wkrótce potem oboje leżeli już na futrach przy ognisku, pogrążeni w głębokim śnie.

- Cieszę się, że wreszcie się uspokoili - mruknął Joharran.

- Musieli dać upust rozpaczy - odrzekła Ayla.

I zrobili to, ale teraz potrzebują już tylko odpoczynku - dodała Zelandoni. - Podobnie jak ty, Aylo.

- Ale najpierw coś zjedz - zaproponowała Proleva. Partnerka Joharrana przybyła wraz z Relona i Zelandoni oraz z kilkoma kobietami z Dziewiątej Jaskini. - Upieliśmy trochę bizoniego mięsa, a ludzie z Trzeciej przynieśli i inne potrawy.

- Nie jestem głodna - odpowiedziała znachorka.

- Ale na pewno zmęczona - stwierdził Joharran. - Nie odstępowałaś go ani na chwilę.

- Żałuję, że nie umiałam zrobić dla niego nic więcej. Nie przyszedł mi do głowy żaden inny sposób - odparła cicho Ayla, ze zniechęceniem potrząsając głową.

- Zrobiłaś wiele - pocieszył ją niemłody już Zelandoni z Trzeciej Jaskini. - Uśmierzyłaś ból. Nikt nie potrafiłby uczynić dla niego więcej, a on nie utrzymałby się przy życiu przez tyle czasu, gdyby nie twoja pomoc. Ja sam nie wpadłbym na to, żeby użyć okładu w taki sposób. Na zwykłe siniaki - tak, ale na poważne obrażenia wewnętrzne? Wątpię, żebym pomyślał o czymś takim. A jednak pomogło.

To prawda. Mądrze postąpiłaś - stwierdziła Zelandoni z Dziewiątej Jaskini. - Robiłaś to już kiedyś?

- Nie. I nie byłam pewna, czy to ma sens, ale musiałam spróbować - odparła Ayla.

- Dobrze się spisałaś - zapewniła ją donier. - Ale teraz naprawdę powinnaś coś zjeść i odpocząć.

- Nie jestem głodna, ale może rzeczywiście położę się na moment - zdecydowała znachorka. - Gdzie jest Jondalar?

Wyszedł z Rushemarem, Solabanem i paroma innymi łowcami na poszukiwanie drewna. Niektórzy poszli tylko po to, żeby trzymać pochodnie, bo Jondalar chciał być pewny, że zapas wystarczy do rana, a w tej dolinie nie ma zbyt wielu drzew. Sądzę, że wkrótce wrócą. Wasze futra do spania leżą tam - wyjaśnił Joharran, prowadząc ją w stronę zacisznego kąta.

Ayla położyła się, by odpocząć chwilę, nim Jondalar wróci, i zapadła w głęboki sen, gdy tylko przymknęła powieki. Kiedy zjawili się zbieracze chrustu, niemal wszyscy już spali. Mężczyźni złożyli więc paliwo na stertę w pobliżu ogniska, a potem rozeszli się do miejsc, które wybrali sobie na nocleg. Jondalar zauważył miskę, którą Ayla zwykle wozila ze sobą i używała do gotowania niewielkiej ilości wody za pomocą rozgrzanych kamieni - z reguły wtedy, gdy chciała zaparzyć leczniczą herbatę. Dostrzegł też nad ogniskiem prowizoryczną konstrukcję z rogów zrzucanych przez jelenie w poprzednim sezonie, na której znachorka zawiesiła torbę z wodą. Zwierzęcy pęcherz w zasadzie był szczelny, lecz przesączało się przezeń akurat tyle wody, by materiał nie zajął się ogniem podczas ogrzewania nad płomieniem.

Joharran zatrzymał brata, by zamienić z nim kilka słów.

- Jondalarze, chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o tych waszych miotaczach oszczepów. Widziałem dziś, jak bizon padał od twojego rzutu, a stałeś dalej od celu niż większość z nas. Gdybyśmy wszyscy dysponowali taką bronią, nie musielibyśmy podchodzić tak blisko do stada, a więc i Shevonar być może nie zostałby stratowany.

Wiesz przecież, że nauczę posługiwania się miotaczem każdego, kto tylko zechce, ale nie ukrywam, że wymaga to wiele pracy - odrzekł Jondalar.

- A jak długo trwało, zanim sami nauczyliście się rzucać? Nie chodzi mi o osiągnięcie mistrzowskiego poziomu, tylko o realną możliwość polowania - wyjaśnił przywódca Dziewiątej.

- Używamy miotaczy od paru lat, ale polowaliśmy z nimi już pod koniec pierwszego sezonu - odrzekł jego brat. - Jednak dopiero podczas Podróży do domu opanowaliśmy sztukę rzucania w pełnym biegu, z końskiego grzbietu. A jeśli już mowa o polowaniach, to nie zapominaj, że Wilk także bywa pomocny.

Wciąż jeszcze trudno mi się przyzwyczaić do myśli, że zwierzę może przydać się na coś więcej niż mięso i skórę - mruknął w odpowiedzi Joharran. - Nie uwierzyłbym w umiejętności Wilka, gdybym na własne oczy nie zobaczył, jak wam pomagał. Ale w tej chwili interesuje mnie przede wszystkim miotacz oszczepów. Jutro wrócimy do tej rozmowy.

Bracia powiedzieli sobie dobranoc, a potem Jondalar podszedł do posłania Ayli i już po chwili siedział przy niej. Wilk czujnie podniósł łeb. Mężczyzna przez moment przyglądał się

dobrze widocznej w blasku ognia, rytmicznie unoszącej się piersi kobiety, a następnie przeniósł wzrok na kosmatego strażnika. Cieszę się, że zawsze masz na nią oko, pomyślał, tarmosząc jego sierść. Zaraz potem położył się i pogrążył w niewesołych myślach. Zasmuciła go śmierć Shevonara, lecz nie tylko dlatego, że podobnie jak on należał do Dziewiątej Jaskini, ale także dlatego, iż wiedział, co czuje Ayla. Zawsze ciężko przeżywała zgon człowieka, któremu próbowała - lecz nie potrafiła - pomóc. Była dobrą uzdrowicielką, ale zdarzały się i takie rany, na które nikt nie znał lekarstwa.

Zelandoni krzątała się przez cały ranek, przygotowując ciało Shevonara do przewiezienia do Dziewiątej Jaskini. Dla większości ludzi obcowanie z ciałem człowieka, które opuścił już duch, było nieprzyjemnym przeżyciem, a tym razem pogrzeb miał być czymś bardziej skomplikowanym niż zwyczajowo odprawiany rytuał. Powszechnie uważano, że śmierć na polowaniu to bardzo zły omen. Kiedy ginął samotny łowca, jego pech był sprawą oczywistą, a złe już się wydarzyło, lecz mimo to Zelandoni zwykle odprawiała rytuał oczyszczający, by zabezpieczyć bliskich przed przykrymi konsekwencjami w przyszłości. Jeżeli w wyprawie brali udział dwaj lub trzej myśliwi, kwestia śmierci jednego z nich wciąż uważana była za sprawę prywatną, a ceremonię z udziałem pozostałych przy życiu i ich rodzin uznawano za wystarczającą. Kiedy jednak ktoś ginął na polowaniu, w którym uczestniczyła nie jedna Jaskinia, lecz cała społeczność Zelandonii, rzecz była niezwykle poważna, a podjęcie pewnych kroków na poziomie wszystkich osad - po prostu niezbędne.

Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą rozmyślała więc teraz o tym, co trzeba będzie zrobić. Przede wszystkim zastanawiała się, czy nie byłoby dobrze zabronić dalszych polowań na bizona w tym sezonie. Ayla zastała ją pogrążoną w myślach, siedzącą przy ognisku z kubkiem herbaty na kilku mocno wypchanych poduchach, które przyjechały specjalnie dla niej na włóku ciągniętym przez Whinney. Donier coraz rzadziej pozwalała sobie na wypoczynek na niskich siedziskach, jako że z roku na rok przybywało jej ciał, które musiała jakoś dźwignąć za każdym razem, gdy chciała podnieść się na nogi.

Ayla zbliżyła się do niej z wahaniem.

- Zelandoni, czy możemy porozmawiać?

- Ależ oczywiście.

- Jeśli jesteś zbyt zajęta, mogę poczekać. Chciałam o coś spytać...

Teraz mam dla ciebie czas - ucięła Zelandoni. - Weź sobie kubek na herbatę i siądź przy mnie - dodała, wskazując pulchną dłońią na leżącą obok matę.

- Chciałabym cię spytać, czy znasz jakiś sposób leczenia, o którym nie wiedziałam, a który mógł uratować Shevonara. Czy w ogóle można opatrywać rany, które powstają wewnątrz ciała?

Kiedy żyłam w Klanie, pewien mężczyzna został raz przypadkowo pchnięty nożem. Kawałek ostrza odłamał się i pozostał w ciele. Iza rozcięła skórę i wyjęła ten fragment, ale nie wydaje mi się, żeby znała metodę opatrywania takich obrażeń, jakie zabiły Shevonara - wyjaśniła Ayla.

Zelandoni była poruszona faktem, że kobieta z dalekich stron tak bardzo przejęła się śmiercią mężczyzny, dla którego niewiele mogła zrobić.

- Obawiam się, że nie można pomóc człowiekowi, który wpadł pod kopyta dojrzałego samca bizona, Aylo - odparła donier. - Niektóre pęcherze i opuchlizny można przebijać, by spuścić z nich płyn, małe przedmioty zaś - drzazgi czy nawet kawałki ostrzy - wycinać, ale muszę przyznać, że kobieta z Klanu, o której wspomniałaś, postąpiła bardzo odważnie. Niebezpiecznie jest otwierać ciało człowieka. Z reguły tworzy się wtedy rana większa od tej, którą chce się uleczyć. Sama robiłam to kilka razy, ale jedynie wtedy, gdy byłam pewna, że tylko w taki sposób mogę pomóc choremu.

- Ja też byłam pewna, że inaczej nie można - szepnęła Ayla.

Trzeba też wiedzieć niemało o tym, co znajduje się we wnętrzu ciała. Istnieje wiele podobieństw między budową człowieka a budową zwierzęcia. Często oprawiałam zwierzynę powoli i z wielką uwagą tylko po to, żeby zobaczyć, jakie części są ukryte pod skórą i w jaki sposób są ze sobą połączone. Łatwo dostrzec w ciele rurki, którymi krew płynie z serca, a także ścięgna, którymi poruszają mięśnie. Te rzeczy wyglądają podobnie u każdego zwierzęcia, ale są i takie organy, które przyjmują różne postacie. Na przykład żołądek żubra jest inny niż żołądek konia, inny bywa też układ poszczególnych części. Rozbieranie martwego zwierzęcia na kawałki bywa pożyteczne i niezwykle zajmujące.

- Sama miałam okazję przekonać się o tym - przytaknęła Ayla. - Wiele razy polowałam i oprawiałam zdobycz; masz rację, to dobra lekcja dla uzdrowiciela. Jestem pewna, że żebra Shevonara były złamane, a odłamki kości przebiły jego... worki do oddychania.

Płuca.

- Właśnie, płuca, i jeszcze... inne organy. W mowie Mamutoi powiedziałabym "wątrobę" i "śledzionę". Wiesz, które części ciała mam na myśli? - spytała Ayla, spoglądając z nadzieją na Zelandoni.

- Wiem - odrzekła Pierwsza.

- Krew nie miała dokąd ujść. To dlatego korpus Shevonara zrobił się taki ciemny i nabrzmiały. Wypełniała go tak długo, aż wreszcie coś pękło.

- Przyjrzałam się zwłokom i zgadzam się z twoją opinią. Krew wypełniła żołądek i część jelit. Moim zdaniem to właśnie część jelit musiała pęknąć - powiedziała donier.

- Jelita to te długie rurki w brzuchu, prowadzące na zewnątrz?

- Tak.

- Jondalar nauczył mnie tego słowa. Zdaje się, że jelita Shevonara też zostały zgniecione, ale masz rację, że to krew, która je wypełniła, była przyczyną śmierci.

- Na pewno. Miał też złamaną cienką kość w lewej nodze i prawy nadgarstek, ale, rzecz jasna, takie urazy nigdy nie są groźne dla życia - dodała Zelandoni.

- Nie, i dlatego nie poświęcałam im wielkiej uwagi... A teraz nie przestaję zastanawiać się, czy ty znasz jakiś sposób, który mógł pomóc Shevonarowi. - Wracając do sprawy, która nurtowała ją od wielu godzin, Ayla spoglądała z troską w oczy donier.

- Nie możesz sobie darować, że go nie uratowałaś, prawda?

Znachorka skinęła głową i wbiła wzrok w ziemię.

- Aylo, zrobiłaś wszystko, co można było zrobić. Każdy z nas pewnego dnia będzie wędrował po świecie duchów. Kiedy Doni nas wzywa - młodych czy starych - nie mamy wyboru. Nawet Zelandoni nie ma dość mocy, by przeciwstawić się Jej, czy choćby przewidzieć, kiedy znowu objawi swoją wolę. Tym sekretem Doni nie dzieli się z nikim. Pozwoliła Duchowi Bizona zabrać Shevonara w zamian za wszystkie zwierzęta, które zabiliśmy tego dnia. Czasem ofiara, której Ona się domaga, bywa dla nas bolesna. Może Doni uznała, że pora przypomnieć nam, iż nie powinniśmy traktować Jej Darów zbyt lekko? Polujemy na zwierzęta, żeby przetrwać, ale jednocześnie musimy szanować Dar Życia, który od Niej dostaliśmy, gdy odbieramy życie innym stworzeniom. Wielka Matka nie zawsze jest dla nas łagodna. Niekiedy Jej lekcje są bolesne.

Tak... Nigdy o tym nie zapominam. I nie wydaje Oli się, żeby świat duchów był spokojną krainą. A lekcje Matki są bolesne, lecz cenne... - powiedziała z namysłem Ayla.

Zelandoni milczała. Nieraz już przekonała się, że kiedy sama nie starała się ciągnąć rozmowy na siłę, ludzie często odzywali się z własnej woli - choćby po to, by wypełnić ciszę. Milczenie niejednokrotnie mówiło jej o drugim człowieku więcej niż odpowiedzi wymuszone szczegółowymi pytaniami. I rzeczywiście, po chwili Ayla podjęła przerwana myśl.

- Pamiętam, że kiedyś Creb powiedział mi o tym, iż zostałam wybrana przez Ducha Lwa Jaskiniowego. Mówił, że Lew Jaskiniowy to silny totem, zapewniający potężną ochronę, ale też nie ukrywał, że niełatwo jest z nim żyć. Powiedział, że jeśli będę uważać, totem mi pomoże i zawsze da znać, czy podjęłam właściwą decyzję. Twierdził jednak także, że od czasu do czasu totem wystawia człowieka na próbę, by przekonać się, czy jest on godzien ochrony. Mówił, że Lew Jaskiniowy nie wybrałby mnie, gdybym nie była tego warta. Może chciał przez to powiedzieć: "gdybym nie potrafiła unieść tego ciężaru"? - dodała Ayla.

Donier była zaskoczona głębią, która pojawiła się w komentarzu jasnowłosej kobiety. Czy ludzie, których nazywała Klanem, naprawdę byli zdolni do dokonywania takich spostrzeżeń i



przemysleń? Gdyby zamiast słów "Duch Lwa Jaskiniowego" pojawiła się formułka "Wielka Matka Ziemia", można by było pomyśleć, że przemawia Zelandoni.

Pierwsza Wśród Tych, Którzy Służą odezwała się po długiej chwili milczenia:

- Dla Shevonara nie można było zrobić nic poza złagodzeniem bólu, a to udało ci się doskonale. Byłam zaintrygowana tym, że użyłaś okładu. Nauczyłaś się tego od znachorki Klanu?

- Nie - odparła Ayla, kręcąc głową. - Nigdy przedtem nie robiłam niczego podobnego. Shevonar strasznie cierpiał, a ja wiedziałam, że przy takich obrażeniach nie mogę mu dać niczego do picia. Pomyślałam więc o okadzaniu. Kiedyś spalałam suszoną dziewannę, żeby wytworzyć dym łagodzący kaszel. Znam też łagodne zioła, których używa się w łaźni parowej, ale bałam się, że zapach podrażni gardło Shevonara, a kaszel tylko pogorszy stan jego worków do oddychania. Nie chciałam, żeby tak się stało. Wtedy zobaczyłam siniak na piersiach i brzuchu, ale wiedziałam, że to coś znacznie poważniejszego. Po chwili plama była już prawie czarna. Pamiętałam, że niektóre rośliny łagodzą ból stłuczonego ciała, kiedy przykładają się je do skóry, a tak się akurat złożyło, że po drodze do niszy widziałam odpowiednie zioła, poszłam je zebrać i... trochę pomogło.

- Na pewno pomogło - przytaknęła donier. - Możliwe, że sama wypróbuję kiedyś ten sposób. Wydaje mi się, Aylo, że masz naturalny, wrodzony talent do uzdrawiania. A to, że czujesz się fatalnie, to zupełnie normalna reakcja. Każdy dobry uzdrowiciel, jakiego znam, martwi się, kiedy umiera człowiek, którego leczy. A przecież nic więcej nie można było zrobić, by ocalić Shevonara. Matka postanowiła wezwać go do siebie i nikt nie może sprzeciwić się Jej woli.

- Oczywiście, masz rację, Zelandoni. Nie wierzyłam w to, że można było zrobić coś jeszcze, ale musiałam się upewnić, musiałam zapytać. Wiem, że masz dużo obowiązków i nie chcę zabierać ci więcej czasu - dodała Ayla, wstając i szykując się do odejścia. - Dziękuję, że zechciałaś ze mną porozmawiać.

Zelandoni spojrzała za odchodzącą kobietą.

- Aylo! - zawołała. - Czy mogłabyś coś dla mnie zrobić?

- Naturalnie, Zelandoni. Cokolwiek zechcesz - odpowiedziała znachorka.

- Kiedy wrócimy do Dziewiątej Jaskini, wykopiesz dla mnie trochę czerwonej ochry, dobrze? Jest takie miejsce przy dużej skale nad Rzeką. Wiesz, gdzie to jest?

Tak. Widziałam tam ochrę, kiedy poszliśmy z Jondalarem popływać. Ma wyjątkowo intensywny kolor. Przyniosę ci, ile będziesz chciała.

- A ja powiem ci, jak oczyścić z niej ręce, i dam specjalny koszyk, gdy tylko wrócimy - zadeklarowała zadowolona Zelandoni.

## ROZDZIAŁ 14

Ludzie powracający następnego dnia do Dziewiątej Jaskini stanowili raczej ponurą grupę. Łowy były oczywistym sukcesem, lecz cena owego sukcesu była stanowczo zbyt wysoka. Gdy uczestnicy wyprawy dotarli do wielkiej niszy, Joharran oddał ciało Shevonara w ręce Zelandoni, by przygotowali je do pochówku. Zaraz też zwłoki nieszczęsnego łowcy zaniecono w daleki kąt kamiennego schronienia, w pobliżu mostu wiodącego ku Dolnorzeczu. Tam dokonywano zazwyczaj rytualnego obmycia ciała zmarłego i ubierano je w ceremonialne szaty oraz biżuterię - tym razem było to zadanie Zelandoni, Relony i kilku innych kobiet.

- Aylo! - krzyknęła donier za uzdrowicielką odchodzącą w stronę domostwa Marthony. - Będziemy potrzebowały tej czerwonej ochry, którą miałaś dla mnie przynieść.

- Zaraz po nią pójde! - odkrzyknęła Ayla.

- Chodź ze mną. Dam ci koszyk i coś do kopania - zaproponowała Zelandoni i poprowadziła znachorkę ku swemu domostwu.

Uniósłszy kotarę, ruchem ręki zaprosiła jasnowłosą do środka. Ayla nigdy dotąd nie była w domu donier, toteż rozglądała się z wielkim zainteresowaniem. Było w tym wnętrzu coś, co przywodziło jej na myśl ognisko Izy - być może były to suszące się liście i inne części roślin, rozwieszane na sznurkach krzyżujących się nad całą główną izbą. W przedniej części pomieszczenia, pod ścianą, stało kilka wysokich łóżek, lecz znachorka była niemal pewna, że donier nie sypia na żadnym z nich. Za przepierzeniami widać było dwa inne pomieszczenia, z których jedno Ayla od razu zidentyfikowała jako kuchnię. Domyśliła się, że drugie musi pełnić funkcję sypialni.

- Oto koszyk i oskard do kopania czerwonej ziemi - powiedziała Zelandoni, wręczając kobiecie poplamiony czerwienią, solidny pojemnik i podobne do toporka narzędzie do kopania, umocowane na twardym rogowym trzonku.

Ayla wyszła przed dom donier, dzierżąc kosz w jednej, oskard zaś w drugiej dłoni. Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą wyłoniła się zaraz potem i niespiesznie ruszyła w stronę południowego krańca niszy. Wilk, który leżał na swej ulubionej, zacisznej półce skalnej, skąd widział niemal cały taras, natychmiast dostrzegł swą panią i bez namysłu pobiegł w jej stronę. Zelandoni zatrzymała się i odwróciła.

- Byłoby dobrze, gdybyś trzymała Wilka z dala od ciała Shevonara - powiedziała. - To dla jego dobra. Dopóki człowiek nie zostanie pochowany w poświęconej ziemi, jego duch błąka się swobodnie i jest bardzo zagubiony. Wiem, jak chronić przed nim ludzi, ale nie jestem pewna, czy

umiałabym uratować Wilka. Boję się, że elan Shevonara mógłby spróbować zamieszkać w ciele zwierzęcia. Widziałam już kiedyś szalone wilki - piana ciekła im z pysków. Moim zdaniem próbowały walczyć ze złym lub zagubionym duchem. Ten, kto zostanie ugryziony przez wściekłe zwierzę, umiera jak po najskuteczniejszej truciznie.

W takim razie poszukam Folarę i poproszę ją, żeby zajęła się Wilkiem, kiedy będę wracać z ochrą - odrzekła Ayli.

Czworonożny przyjaciel trzymał się o kilka kroków w tyle, gdy szła w stronę miejsca, gdzie kąpali się z Jondalarem i pływali wkrótce po przybyciu do Dziewiątej Jaskini. Szybko napełniła koszyk niemal do pełna i ruszyła ścieżką pod górę. Z daleka ujrzała Folarę rozmawiającą z matką i już po chwili przekazywała jej życzenie Zelandoni. Młoda kobieta rozpromieniła się, zachwycona, że może zająć się wilkiem. Matka poprosiła ją bowiem o pomoc w przygotowaniu ciała zmarłego do pogrzebu, a nie było to zajęcie, o jakim dziewczyna marzyła. Wiedziała natomiast, że Marthona nie odmówi Ayli.

- Nie wiem, czy nie byłoby najlepiej, gdybyś zatrzymała go w domu matki. Jeśli zechcesz wyjść, możesz zawiązać linkę na jego szyi, ale w taki sposób, żeby się nie dusił. Wilk nie przepada za tym, ale będzie posłuszny. Chodź ze mną, pokażę ci, jak to zrobić - powiedziała Ayli.

Kiedy rozstała się z Folarą, poszła na skraj skalnego tarasu, by oddać Pierwszej kosz z czerwoną ochrą. Została jednak dłużej, aby pomóc w myciu i ubieraniu zwłok Shevonara. Wkrótce do pracujących kobiet dołączyła także matka Jondalara - wielce doświadczona w tego typu czynnościach - i opowiedziała Ayli, jak to Folarą ku uciesze Wilka zaprosiła sporą grupę skorych do zabawy rówieśników.

Znachorka była zaintrygowana strojem, w który odziewano zabitego łowcę, lecz wolała nie zadawać zbyt wielu pytań. Podstawową częścią ubioru była luźna, miękka tunika uszyta z futer różnych zwierząt oraz barwionych kawałków skór, tworzących skomplikowane wzory podkreślone rzędami paciorków, muszelek i frędzli. Spinał ją wielokolorowy, tkany pas. Nogawice, choć mniej ozdobne, doskonale pasowały do tuniki, podobnie jak sięgające połowy łydek, skórzane buty, o cholewkach udekorowanych w górnej części frędzlami i paskami puszystego futra. Wokół szyi zmarłego pieczołowicie zawinięto sznury koralu, muszelek, kawałków kości słoniowej i zwierzęcych zębów.

Wreszcie ciało ułożono na blokach wapiennych okrytych dużą, elastyczną, podobną do koca matą z plecionych traw, którą zdobiły malowidła wykonane mazidłem z czerwonej ochry. Do wszystkich rogów maty umocowano postronki, które - jak wyjaśniła Ayli Marthona - służyły do ściągania brzegów w taki sposób, by zwłoki zostały dokładnie zawinięte. Następnie długie sznurki także owijano wokół ciała i zawiązywano. Pod matą zaś ułożono mocną sieć z lnianych włókien,

której końce można było przełożyć niczym wieszaki hamaka ponad długą tyczką, by w miarę wygodnie przenieść zmarłego na poświęconą ziemię i opuścić do grobu. Shevonar był dobrym rzemieślnikiem, wytwórcą oszczepów. Jego narzędzia leżały teraz obok wraz z kilkoma świeżo wykończonymi włóczniami oraz częściami tych, których nie zdążył zrobić - drewnianymi drzewcami, grotami z kości słoniowej i krzemienia, ścięgna, sznurkami i klejem. Ścięgna i postronki służyły do mocowania ostrzy, a także do łączenia krótszych kawałków drewna w jedno długie drzewce, spajane dodatkowo żywicą lub klejem.

Relona przyniosła wszystkie te przedmioty ze swego domostwa i szlochając cicho, układała je u boku partnera, a wraz z nimi, tuż pod prawą ręką - ulubioną prostownicę Shevonara. Była wykonana z nasady rogu jelenia szlachetnego - kawałka sięgającego od podstawy do pierwszego rozgałęzienia. W szerokim, spłaszczonym miejscu, od którego odcięto palczaste wyrostki, wywiercono sporych rozmiarów otwór. Ayla pomyślała, że narzędzie podobne jest do tego, które przywiózł Jondalar, a które należało niegdyś do jego brata, Thonolana.

Zdobiły je wizerunki zwierząt, w tym także stylizowanych owiec górskich o wielkich rogach, oraz szeregi symboli pracowicie wyrytych w twardym rogu. Ayla przypomniała sobie słowa Jondalara, który opowiadał jej, że odpowiednio dobrane znaki wydatnie zwiększały moc prostownicy, dzięki czemu wykonane za jej pomocą oszczepy latały prosto i daleko, gdyż nieodparta siła przyciągała je do wybranych przez łowcę zwierząt. Poza tym ceniono estetyczny walor rytów.

Podczas gdy kobiety pod kierunkiem Zelandoni przygotowywały ciało Shevonara do ceremonii, Joharran dowodził grupą budującą tymczasowe schronienie okryte czymś w rodzaju daszku z wiechci trawy wspartych na tyczkach. Kiedy strojenie zmarłego dobiegło końca, ustawiono nad nim ów daszek i szybko zamontowano ściany z lekkich skórzanych paneli. Zelandoni weszli do tak zbudowanego schronienia, by odprawić rytuał, którego zadaniem było zatrzymanie uwolnionego ducha w pobliżu ciała, we wnętrzu przewiewnej konstrukcji.

Kiedy ceremonia się zakończyła, każdy, kto dotykał lub choćby pracował w pobliżu człowieka, którego siły życiowe opuściły ciało, musiał dokonać rytualnego oczyszczenia. Dokonywano go w wodzie, a najlepiej, jeśli była to woda płynąca. Wszyscy musieli więc zanurzyć się całkowicie w Rzece, bez względu na to, czy chcieli uczynić to nago, czy też w odzieży. Grupa ruszyła ścieżką ku rzece. Na brzegu Zelandoni odprawili modły do Wielkiej Matki, po czym kobiety odeszły w górę rzeki, a mężczyźni w dół. Wszystkie kobiety zdjęły odzież przed kąpielą, jedynie niektórzy spośród mężczyzn zdecydowali się wskoczyć w chłodny nurt w ubraniu.

Jondalar także uczestniczył we wznoszeniu szałasów pogrzebowych i wraz z innymi ustawiał go wokół ciała zmarłego, toteż i jego objął ceremoniał oczyszczenia w wodach Rzeki. Kiedy

wszyscy dokonali ablucji, jasnowłose odszukał Aylę i razem ruszyli kamienistą dróżką ku osadzie. Tymczasem Proleva zadbała o posiłek dla całej grupy. Marthona zasiadła obok Jondalara i Ayli, a po chwili dołączyła do nich Zelandoni, która wreszcie mogła oderwać się na moment od rozpaczającej wdowy i jej rodziny. Zjawił się też Willamar w poszukiwaniu swej partnerki i przysiadł się do jedzących. Znalazłszy się w gronie ludzi, których zdążyła już poznać i polubić, Ayla uznała, że jest to właściwy moment na zadanie pytania o niezwykły strój, w który odziano ciało Shevonara.

- Czy wszystkich zmarłych ubiera się tak pięknie? - spytała. - Przygotowanie takiego stroju musiało pochłonąć mnóstwo czasu i wysiłku.

- Większość ludzi występuje w najbardziej wyszukanej odzieży, kiedy okazja jest szczególna, na przykład wtedy, gdy chcą zawrzeć z kimś znajomość. Dlatego prawie każdy ma w zapasie choć jeden ceremonialny strój. Chce się wyróżniać i zrobić jak najlepsze wrażenie. A skoro nikt nie wie, czego należy się spodziewać w następnym świecie, każdy pragnie zaprezentować się godnie, tak by ludzie, których tam spotka, wiedzieli, z kim mają do czynienia - wyjaśniła Marthona.

- Myślałam, że ubranie nie przechodzi do następnego świata - zdziwiła się Ayla. - Wydawało mi się, że tylko duch wędruje, a ciało zostaje tutaj, prawda?

- Ciało powraca do łona Wielkiej Matki Ziemi - odrzekła Zelandoni. - Esencja życia, duch, czyli elan, powraca zaś do Jej ducha w następnym świecie, ale nie zapominaj o tym, że wszystko ma swą duchową formę - skały, drzewa, pożywienie, nawet ubrania, które nosimy. Ludzki elan nie chce wracać do Matki nagi i z pustymi rękami. To dlatego ubrałyśmy Shevonara w jego ceremonialne szaty i ułożyłyśmy przy nim rzemieślnicze narzędzia i broń łowiecką. Damy mu także żywność.

Ayla skinęła głową. Nadziawszy na czubek noża spory kawałek mięsa, wzięła skrawek do ust i trzymając ręką drugi koniec, odcięła część, resztę zaś odłożyła z powrotem na talerz wykonany z kości łopatkowej. Przez chwilę żuła pieczone w zamyśleniu.

- Szata Shevonara jest naprawdę piękna. Tyle małych kawałeczków skóry zeszytych w skomplikowane wzory - dodała po chwili, nie ukrywając podziwu. - Wszystkie te zwierzęta i symbole wyglądają tak, jakby opowiadały jakąś historię.

- I w pewien sposób opowiadają - przytaknął z uśmiechem Willamar. - Dzięki nim możemy rozpoznawać ludzi, odróżniać ich. Każdy znak, który znalazł się na ceremonialnej szacie, ma swoje znaczenie. Jest tam elandon właściciela i jego partnerki, rzecz jasna, a także abelan Zelandonii.

Ayla popatrzyła na starszego mężczyznę ze zdziwieniem.

- Nie znam tych słów. Co to jest elandon? I abelan Zelandonii? - spytała niepewnie.

Tym razem wszyscy spojrzeli ze zdziwieniem na Aylę. Słowa te należały do najczęściej używanych, młoda znachorka mówiła zaś w języku Zelandonii tak dobrze, że trudno było uwierzyć, iż może ich nie znać.

Jondałar wyglądał na niepokieszonego.

- Zdaje się, że w rozmowach jakoś nigdy nie zahaczyliśmy o ten temat - przyznał. - Kiedy mnie znalazłaś, Aylo, miałem na sobie ubranie sporządzone przez Sharamudoi, a oni nie mają zwyczaju ozdabiać strojów w taki sposób, by zdradzały, kim jest ich właściciel. Mamutoi stosują system podobny do naszego, ale nie taki sam. Abelan Zelandoni to... to... coś takiego, jak tatuaże na skroniach Zelandoni i Marthony - usiłował wyjaśnić mężczyzna.

Ayla spojrzała najpierw na Marthonę, a potem na Zelandoni. Wiedziała już, że Zelandoni i przywódcy wyróżniali się wymyślnymi tatuażami, złożonymi z różnokolorowych kwadratów i prostokątów, niekiedy przeplatanych zawijasami i prostymi liniami, ale nigdy dotąd nie słyszała nazwy owych zdobień.

- Chyba najlepiej będzie, jeśli ja wyjaśnię - zaproponowała Zelandoni.

Jondałar odetchnął z ulgą.

- Należałoby zacząć od słowa elan. Nigdy go nie słyszałaś?

- Dopiero dziś - odparła Ayla. - O ile dobrze zrozumiałam, oznacza mniej więcej tyle co duch, siła życiowa.

- Ale nigdy przedtem nie użyto go w twojej obecności?

- upewniła się donier, spoglądając z ukosa na Jondałara.

- Jondałar zawsze mówił po prostu "duch". Czy to coś złego? - spytała znachorka.

- Nie, to nic złego. Rzeczywiście, muszę przyznać, że o elanie wspominaliśmy przede wszystkim wtedy, kiedy mamy do czynienia ze śmiercią lub narodzinami, bo śmierć jest brakiem lub końcem elana, a narodziny - jego początkiem - wyjaśniła Zelandoni. - Kiedy dziecko przychodzi na świat, kiedy powstaje nowe życie, wypełnia je elan, siła życia - dodała po chwili Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą. - A kiedy nadchodzi chwila nadania dziecku imienia, Zelandoni tworzy znak, który będzie symbolem nowego ducha, nowej osoby, i maluje go lub wycina na jakimś przedmiocie: kamieniu, kości, kawałku drewna. Ten znak nazywany jest abelanem. Każdy abelan jest inny, gdyż ma być symbolem jednej, konkretnej osoby. Może składać się z linii, figur, kropek lub nawet być uproszczonym wizerunkiem zwierzęcia. Zależy, co przyjdzie do głowy Zelandoni, kiedy medytuje nad nowo narodzonym dzieckiem.

To właśnie robił Creb, nasz Mogur! Medytował, żeby rozstrzygnąć, co będzie totemem dziecka! - zawołała zdumiona Ayla. Nie tylko ją zaskoczyło to podobieństwo obyczajów.

- Mówisz o człowieku, który był... Zelandoni twojego Klanu? - spytała donier.

Tak! - potwierdziła znachorka, energicznie kiwając głową.

- Będę musiała to przemyśleć - mruknęła wielka kobieta, bardziej zadziwiona niż dawała to po sobie poznać. - Wróćmy do tematu. Zelandoni medytuje i w końcu wymyśla znak. Przedmiot, na którym wyryje lub namaluje symbol, nazywamy elandonem. Zelandoni daje go matce dziecka, by Przechowała go aż do chwili, gdy nowy człowiek stanie się dorosły. Przekazanie przez matkę elandona potomkowi jest ważną częścią rytuału dojrzałości.

Jednak ten symboliczny obiekt, elandon, jest czymś więcej niż tylko martwym przedmiotem ozdobionym rytem czy rysunkiem. Może bowiem zawierać w sobie elan, siłę życiową, ducha, esencję każdego członka Jaskini, w taki sposób, w jaki donii przechowuje w sobie ducha Matki. Elandon ma większą moc niż jakikolwiek inny przedmiot osobistego użytku. Jest tak potężny, że kiedy wpada w ręce niepowołanej osoby, może być użyty przeciwko właścicielowi i wywołać bardzo bolesne konsekwencje. Dlatego matka przechowuje elandony dzieci w miejscu sobie tylko wiadomym, czasem ujawnia je swojej matce lub partnerowi. - Ayla nagle zdała sobie sprawę z tego, że będzie odpowiedzialna za elandon dziecka, które rośnie w jej łonie.

Zelandoni mówiła dalej. Wyjaśniła, że dojrzały człowiek, który podczas odpowiedniej ceremonii otrzymał swój elandon, musiał ukryć go w sekretnym miejscu, często dość daleko od ojczystej Jaskini. Zwykle jednak zabierał z owego miejsca inny, niepozorny przedmiot, nazywany surogatem, który oddawał w opiekę donier. Zelandoni zaś najczęściej ukrywała go w szczelinie skalnej któregoś ze świętych miejsc, na przykład jaskini, jako ofiarę dla Wielkiej Matki. I choć rzecz ta z pozoru nie wyglądała na cenną, jej znaczenie było ogromne. Powszechnie uważano bowiem, że Doni dzięki surogatowi potrafi dotrzeć z powrotem do przedmiotu symbolicznego, a następnie do osoby, do której on należy, przy czym absolutnie nikt, nawet Zelandoni, nie wiedziałby, gdzie elandon został ukryty.

Willamar dodał w tym miejscu taktownie, że Zelandoni, jako społeczność przywódców duchowych, byli szanowani przez wszystkich i uważani za godnych zaufania.

- Nie zapominajmy jednak, że są przy tym bardzo potężni - zastrzegł. - Dla wielu ludzi strach przed tą potęgą jest główną składową szacunku, a przecież każdy Zelandoni jest tylko człowiekiem. Znane są nieliczne przypadki, kiedy duchowi przywódcy nadużywali swych mocy i umiejętności. Niektórzy z nas boją się więc, że gdyby któryś z donier miał taką możliwość, mógłby użyć obdarzonego siłą przedmiotu - takiego jak elandon - przeciwko komuś, kogo nie darzy sympatią, lub też dać nauczkę osobie, która na nią zasłużyła. Osobiście nigdy nie słyszałem o takim wypadku, ale ludzie lubią powtarzać i upiększać opowieści.

Ten, kto naruszy przedmiot symboliczny jakiejś osoby, może wywołać u niej chorobę lub nawet spowodować śmierć. Pozwól, że opowiem ci jedną z Legend Starszych - dodała Marthona. -

Podobno dawno, dawno temu niektóre rody przechowywały wszystkie swoje przedmioty symboliczne w jednym miejscu. Ponoć bywało i tak, że całe jaskinie składowały je we wspólnej kryjówce.

Pewnego razu jedna z nich umieściła wszystkie elandony w małej grocie w zboczu wzgórza opodal osady. Miejsce to było tak święte, że nikt nie ważyłby się zakłócić spokoju złożonych tam przedmiotów. Jednak pewnej deszczowej wiosny zesłała owym stokiem wielka lawina, mszcząc wszystko na swojej drodze - w tym także grocie. Ludzie winili jeden drugiego za to nieszczęście i przestali ze sobą współpracować. Życie bez wzajemnej pomocy stało się nieznośnie trudne. Wkrótce więc ludzie rozproszyli się; Jaskinia przestała istnieć. Nauczyli się jednak, że gdy cokolwiek narusza spokój elandonów - nawet siły natury takie, jak woda, wiatr czy ruchy ziemi - rodzina lub cała Jaskinia wpada w poważne tarapaty. Dlatego każdy powinien ukrywać swój symbol w sobie tylko znanym miejscu.

- Można natomiast przechowywać razem wszystkie surogaty - dorzuciła Zelandoni. - Matka zna ich wartość i potrafi pójść ich śladem, ale dla ludzi są tylko małymi symbolami, nie prawdziwymi elandonami.

Ayla była zachwycona opowieścią. Słyszała już wiele razy wzmianki o Legendach Starszych, ale nie zdawała sobie sprawy z tego, że są to po prostu historie, które przekazuje się po to, by pomagały ludziom zrozumieć ważne sprawy. Przypomniała sobie opowieści, które stary Dorv snuł zimą przy ognisku w klanie Bruna.

Donier tymczasem mówiła dalej:

- Abelan to symbol, znak lub wzór, który zawsze łączy się z czyjąś siłą życiową. Używa się go po to, by identyfikować albo określać człowieka lub grupę ludzi. Abelan Zelandoni jest najważniejszy, wyróżnia nas spośród innych. Jest to symbol złożony z kwadratów i prostokątów, często z dodatkowymi zdobieniami. Miewa różne kolory, można go wykonać z rozmaitych materiałów, ale zawsze musi zawierać podstawowe figury. Część tego rysunku jest abelanem Zelandonii - dodała, wskazując na tatuaż z boku głowy, między skronią a czołem. I rzeczywiście, Ayla dostrzegła wśród licznych linii trzy rzędy po trzy kwadraty każdy.

Te kwadraty mówią każdemu, kto mnie widzi, że należę do ludu Zelandonii. Jako że jest ich dziewięć, można domyślić się, że jestem członkiem Dziewiętej Jaskini. Mój tatuaż ma oczywiście o wiele więcej znaczeń - ciągnęła. - Informuje innych, że należę do Zelandoni i jestem przez nich uważana za Pierwszą Wśród Tych Którzy Służą Wielkiej Matce Ziemi. Część symbolu jest też moim osobistym abelanem, ale ona nie ma już wielkiego znaczenia. Zauważ, że tatuaż Marthony jest inny niż mój, choć powtarzają się niektóre motywy.



Ayla pochyliła się, by przyjrzeć się uważnie tatuażowi byłej przywódczyni. Marthona obróciła głowę, by odsłonić skroń.

Widzę dziewięć kwadratów - powiedziała po chwili znachorka - ale sam znak jest po przeciwnej stronie czoła i oprócz niego jest jeszcze parę symboli, zakrzywionych linii... Jeśli spojrzeć z odpowiedniej strony, jedna z nich przypomina nieco kształt konia; widzę kark, grzbiet i zarys tylnych nóg.

- Słusznie - przytaknęła matka Jondalara. - Artysta, który stworzył mój tatuaż, był wyjątkowo utalentowany. Doskonale uchwycił esencję mojego abelana. Rysunek - choć uproszczony i stylizowany, aby pasował do pozostałych figur - jest mimo wszystko bardzo podobny do mojego symbolu, którym jest koń.

- Nasze tatuaże wiele o nas mówią - odezwała się Zelandoni. - Wiesz na przykład, że służę Matce, bo rysunek znajduje się na mojej lewej skroni. Wiesz, że Marthona była przywódczynią, bo symbole zdobią prawą stronę jej czoła. Wiesz także, że obie jesteśmy Zelandonii, bo rysunek zawiera kwadraty, ich liczba zaś wskazuje, że pochodzimy z Dziewiętej Jaskini.

- Zdaje się, że w tatuażu Manvelara widziałam trzy kwadraty, ale nie wydaje mi się, żeby było ich aż czternaście na czole Bramevala - stwierdziła przytomnie Ayla.

To prawda - przyznała Zelandoni. - Numer Jaskini nie zawsze jest taki sam jak liczba kwadratów, ale w jakiś sposób zawsze jest uwieczniony w rysunku na twarzy. Tatuaż Bramevala zawiera czternaście kropek ułożonych w charakterystyczny motyw.

- Nie wszyscy mają tatuaże - zauważyła uzdrowicielka. - Willamar ma jeden mały rysunek pośrodku czoła, za to Jondalar nie ma żadnego.

- Tylko przywódcy noszą tatuaże na czołach - odrzekł Jondalar. - Zelandoni jest przywódcą duchowym, a moja matka przywódcą Jaskini. Willamar jest Mistrzem Handlu. To ważne stanowisko. Zelandonii często proszą Willamara o radę, więc i on jest uważany za przywódcę.

- Wprawdzie większość ludzi woli określać swoją tożsamość i pozycję przez ubiór, jak Shevonar, ale są i tacy, którzy robią sobie tatuaże w różnych punktach ciała: na policzkach, podbródkach, nawet na dłoniach - w zasadzie w każdym na co dzień widocznym, nie osłoniętym przez ubranie miejscu. Zresztą, stawianie znaku tam, gdzie nikt nie mógłby go dostrzec, nie miałoby sensu, prawda? Zazwyczaj tatuaże są wyobrażeniem tego, z czego dana osoba chciałaby słynąć; są bardziej dowodem osiągnięć niż wyrazem więzów rodzinnych - wyjaśniła Marthona.

Wśród Mamutoi było podobnie. Mamuti, czyli przywódcy duchowi podobni do Zelandoni, noszą tatuaże na policzkach, ale w rysunkach nie ma kwadratów. Mamutoi wolą szewrony - powiedziała Ayla. - Zaczynają od układania ich w romby - to takie figury, które wyglądają jak kwadraty stojące na wierzchołku, a nie na boku - albo w trójkąty, najczęściej zwrócone czubkiem

do dołu. Lubią powtarzać je obok siebie i łączyć, tak że powstają zygzaki. Wszystkie te symbole mają swoje znaczenie. Mamut opowiadał mi o tym zimą, przed naszym odejściem.

Zelandoni i Marthona wymieniły spojrzenia i dyskretnie skinęły głowami. Donier rozmawiała już z byłą przywódczynią o zdolnościach Ayli i obie zgodziły się, że być może młoda kobieta powinna w jakiś sposób dołączyć do społeczności Zelandoni. Uznały, że tak będzie najlepiej i dla wybranki Jondalara, i dla wszystkich Zelandonii.

- Jeśli dobrze zrozumiałam, na tunice Shevonara widniał jego znak, abelan, i abelan Zelandonii - podsumowała Ayła, jakby chciała nauczyć się na pamięć nowo poznanych zasad.

- Tak. Dzięki temu rozpoznają go wszyscy, nie wyłączając Doni. Wielka Matka Ziemia będzie wiedziała, że Shevonar jest jednym z jej dzieci żyjących na południowozachodnim krańcu tych ziem - wyjaśniła Zelandoni. - Ale to tylko część symboliki tej szaty. W ceremonialnych strojach każdy szczegół ma swoje znaczenie, nawet naszyjniki. Część wzoru zawiera abelan Zelandonii, w niektóre fragmenty włączono dziewięć kwadratów symbolizujących przynależność do Dziewiątej Jaskini, a jeszcze gdzie indziej historię rodu. Są tam także znaki odnoszące się do partnerki Shevonara i abelany dzieci zrodzonych przy jego ognisku. Nie brakuje nawet motywów związanych z jego rzemiosłem - wyrabianiem oszczepów - a także, co oczywiste, jego osobistego symbolu. Abelan jest najbardziej intymnym i najpotężniejszym ze wszystkich elementów zdobniczych. Powiedziałabym, że strój ceremonialny, w tym przypadku służący jako szata pogrzebowa, jest obrazowym sposobem przedstawienia imion i więzów rodowych zmarłego.

- A strój Shevonara jest wyjątkowo piękny - dorzuciła Marthona. - Stworzył go stary, nieżyjący już układacz wzorów. Nadzwyczajny talent.

Ayła od początku uważała, że ubiory Zelandonii są niezwykle interesujące, a wiele z nich - choćby te należące do Marthony - cechuje niezwykle piękno. Jednakże do tej pory nie uświadamiała sobie, jak złożona symbolika wiąże się z krojem, barwą i zdobieniami. Niektóre ze strojów uznawała za zbyt wydumane. Życie nauczyło ją doceniać czystość formy i praktyczność rzeczy, które wytwarzała samodzielnie - tak jak jej matka z Klanu. Od czasu do czasu zmieniała wygląd koszyków, które wyplatała, albo odsłaniała naturalne słoje drewna w misce czy kubku, które wycinała i gładziła, lecz nigdy nie próbowała ich dekorować.

Teraz zaś zaczynała rozumieć, w jaki sposób ubrania i biżuteria noszone przez ludzi, podobnie jak tatuaże na twarzach, mogły charakteryzować i identyfikować poszczególne osoby. A strój Shevonara, choć tak bogato zdobiony, podobał jej się ze względu na wyważone, miłe dla oka motywy. W duchu dziwiła się jednak nieco, że autorem tak niezwyklej szaty był stary mężczyzna.

Wymyślenie i uszycie tuniki dla Shevonara musiało pochłonąć mnóstwo czasu. Dlaczego jakiś starzec miałby marnować czas, robiąc coś takiego? - spytała po namyśle. Jondalar uśmiechnął się lekko.

- Dlatego, że na tym polegało jego rzemiosło: zajmował się wymyślaniem strojów ceremonialnych i pogrzebowych. Jak wszyscy układacze wzorów.

- Stary mistrz nie szył własnoręcznie tej szaty, a jedynie zaplanował, w jaki sposób należało połączyć poszczególne kawałki skór i futer - dodała cierpliwie Marthona. - Kiedy tyle jest ważnych motywów, które należy zawrzeć w jednym kawałku odzieży, wymyślenie całości wymaga szczególnego doświadczenia i zmysłu artystycznego, jeśli strój ma być naprawdę efektywny. Starzec mógł jednak poprosić kogoś o uszycie stroju według jego pomysłu. Przez lata współpracowało z nim dość blisko kilka utalentowanych osób. Ich wyroby były bardzo poszukiwane. Teraz jedna z nich zajmuje się też układaniem wzorów, ale nie jest jeszcze tak dobra jak mistrz.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego stary mężczyzna lub ktokolwiek inny miałby sporządzać szatę ceremonialną dla Shevonara - oświadczyła Ayla, potrząsając głową.

To była wymiana - odparł Jondalar. Znachorka spojrzała nań spod zmarszczonych brwi. Widać było, że nadal nie pojmuje istoty problemu.

- Wydawało mi się, że można wymieniać się różnymi dobrami z innymi Obozami czy Jaskiniami. Nie wiedziałam, że można wymieniać się także z ludźmi z własnej Jaskini.

- A dlaczego nie? - spytał Willamar. - Shevonar był wytwórcą oszczepów. Słynął z solidnej roboty. Nie potrafił jednak ułożyć wzorów i symboli na szacie ceremonialnej w taki sposób, by odpowiadały jego gustom. Dlatego też zamienił dwadzieścia swych najlepszych włóczni na strój, który dziś widziałas. Był nim zachwycony.

- A był to jeden z ostatnich ubiorów wymyślonych przez starego mistrza - uzupełniła Marthona. - Kiedy oczy nie pozwalały mu już dłużej zajmować się tym, co umiał najlepiej, kolejno wymieniał włócznie otrzymane od Shevonara na inne rzeczy, których potrzebował. Jednak ulubiony oszczep zostawił dla siebie. Teraz jego kości spoczywają w poświęconej ziemi, a najlepszej włóczni używa w świecie duchów. Na drzewcu wyryte były dwa abelany: starego mistrza i Shevonara.

- Kiedy rzemieślnik jest szczególnie zadowolony ze swego dzieła, umieszcza na nim nie tylko abelana tego, kto ma być właścicielem, ale także swój - wyjaśnił Jondalar. - Zwykle ryje go lub maluje w jakimś dyskretnym miejscu.

Już podczas polowania Ayla przekonała się, że pewne znaki na oszczepach mają dla łowców wielkie znaczenie. Wiedziała, że na każdym drzewcu widnieje symbol właściciela, aby

nigdy nie było wątpliwości, komu należy przypisać zabicie zwierzęcia. Nikt jednak nie powiedział jej, że znaki te zwane są abelanami i że są w życiu Zelandonii aż tak ważne. Była nawet świadkiem jednego sporu rozstrzygniętego dzięki motywom wyrytym na drzewcach oszczepów.

W ciele zdobyczy tkwiły dwie włócznie, ale tylko jeden grot dosięgnął żywotnego organu.

A jednak, mimo że każdy egzemplarz broni ozdobiony był symbolem właściciela, Ayla słyszała także rozmowy o wytwórcach oszczepów. Odnosiła wrażenie, że myśliwi zawsze wiedzieli, kto wykonał daną włócznię - bez względu na to, czy widniał na niej jakiś charakterystyczny znak, czy też nie. Styl wykonania i zdobienia pozwalały jednoznacznie zidentyfikować autora.

- Jak wygląda twój abelan, Jondalarze? - spytała znienacka Ayla.

- Niezbyt ciekawie. To tylko prosty znak... Mniej więcej taki - dodał, wygładzając dłonią suchy piach i rysując palcem linię. Następnie nakreślił drugą, z początku równoległą, a potem zbliżającą się do pierwszej, tak że powstał ostry wierzchołek, którego dotykała trzecia, krótka kreska.

- Zawsze myślałem, że kiedy przyszedłem na świat, Zelandoni miała akurat zły dzień i nie potrafiła wyobrazić sobie niczego lepszego - powiedział, spoglądając na Pierwszą ze złośliwym uśmiechem. - A może to ogon gronostaja, biały z czarną końcówką? Zawsze podobały mi się małe, gronostajowe ogony. Sądziś, że gronostaj mógłby być moim abelanem?

- No cóż, twoim totemem, podobnie jak moim, jest Lew Jaskiniowy - odrzekła Ayla. - A twój abelan... może być, czymkolwiek zechcesz. Dlaczego nie gronostajem? Gronostaj to mały, bojowy kuzyn łasicy. Ślicznie wygląda zimą, jest cały biały z wyjątkiem czarnych oczu i czarnego koniuszka ogona. Zresztą jego brązowe, jesienne futro też nie jest najgorsze. - Kobieta zastanawiała się przez chwilę, nim zadała pytanie. - Jak wyglądał abelan Shevonara?

Widziałem obok szafasu jeden z jego oszczepów - odpowiedział Jondalar. - Przyniosę go; sama zobaczysz.

Mężczyzna wrócił zaraz i wręczył swej kobiecie proste drzewce z kamiennym grotem. Widniał na nim znak będący stylizowanym wyobrażeniem muflona, górskiej owcy o wielkich, zakręconych rogach.

- Powinnaś zabrać ze sobą ten oszczep - przypomniała sobie Zelandoni. - Będzie potrzebny do skopiowania abelana.

- Po co potrzebna ci kopia tego znaku? - zdziwiła się Ayla.

- Ten sam symbol, który zdobi jego włócznie, ubrania i przedmioty codziennego użytku, znajdzie się na kamieniu nagrobnym - wyręczył donier Jondalar.

Kiedy wolnym krokiem wracali ku zabudowaniom osady, Ayla rozmyślała intensywnie o długiej dyskusji i doszła do kilku wniosków. Choć sam przedmiot symboliczny, elandon, był ukryty, to opisujący go znak, abelan, znany był nie tylko właścicielowi, ale i całej społeczności. Tkwiła w nim moc - mógł z niej skorzystać przede wszystkim właściciel, ale na pewno nie ktoś, kto chciał jej nadużyć. Abelan był zbyt znany. Prawdziwa potęga rodziła się z tego, co nieznanne.

Następnego ranka Joharran dość wcześnie zabębnił palcami o słupek stojący przy wejściu do domostwa Marthony. Jondalar odsunął kotarę na bok i z niejakim zdziwieniem zobaczył za nią swego brata.

- Nie idziesz na poranne spotkanie? - spytał.

- Jasne, że idę, ale najpierw chciałem porozmawiać z tobą i z Ayla - odparł Joharran.

W takim razie wejdź - mruknął Jondalar, gestem zapraszając brata do wnętrza.

Przywódca Dziewiątej Jaskini wszedł i ciężka skóra z szelestem opadła na miejsce. Marthona i Willamar wyłonili się wkrótce z sypialni i serdecznie powitali gościa. Ayla wrzucała właśnie resztki śniadania do drewnianej miski, z której zwykle jadał Wilk. Na moment podniosła jednak głowę i uśmiechnęła się do Joharrana.

- Mój brat powiada, że chciałby z nami porozmawiać - rzekł Jondalar, spoglądając na Aylę.

- Nie zabiorę wam wiele czasu. Chodzi o te wasze miotacze oszczepów. Gdyby większa grupa łowców umiała ciskać włócznie na taką odległość jak ty, Jondalarze, pewnie udałoby się zatrzymać tego szarżującego bizona, który stratował Shevonara. Za późno już, żeby pomóc zabitemu, ale chciałbym przynajmniej ocalić życie innym myśliwym. Czy zechcielibyście oboje pokazać wszystkim, jak buduje się miotacz i jak należy go używać?

Jondalar uśmiechnął się szeroko.

- Ależ oczywiście. Już od dawna miałem nadzieję, że będziemy mogli to zrobić. Nie mogę się doczekać, kiedy inni zobaczą, jakie to pożyteczne urządzenie.

Mieszkańcy domostwa Marthony - prócz Folary - poszli z Joharranem do miejsca spotkań, przy południowym krańcu olbrzymiego abri. Kiedy tam dotarli, czekała już na nich spora grupa ludzi. Wcześniej bowiem rozesłano gońców do wszystkich Jaskiń, które brały udział w polowaniu, by sprowadzili Zelandoni, których zadaniem było omówienie szczegółów ceremonii pogrzebowej. Prócz duchowej przywódczyni Dziewiątej Jaskini zjawili się Zelandoni z Czternastej, Jedenastej, Trzeciej, Drugiej i Siódmej. Przybyli także przywódcy osad oraz kilka osób prywatnie zainteresowanych pochówkiem.

Duch Bizona zażądał od nas ofiary: wezwał do siebie jednego z was - zaczęła otyła donier. - Nie możemy odmówić, kiedy On domaga się zapłaty. - Kobieta spojrzała na zebranych, którzy w większości potakująco kiwali głowami. Władczość jej postawy i zachowania nigdy nie ujawniała

się wyraźniej niż wtedy, gdy występowała przed pozostałymi Zelandoni. Dopiero wtedy stawało się jasne, dlaczego jest Pierwszą Wśród Tych Którzy Służą Matce.

W toku dyskusji niektórzy Zelandoni pozwalali sobie na drobne różnice zdań w niewiele znaczących sprawach, a Pierwsza nie sprzeciwiała się swobodnemu przebiegowi rozmów. Joharran tymczasem złapał się na tym, że zamiast rozmyślać o pogrzebie Shevonara, planuje już rozstaw celów ćwiczebnych na polu, na którym miało się odbyć szkolenie oszczepników. Po rozmowie z Aylą i Jondalarem powziął postanowienie, że zacznie zachęcać swych łowców do robienia miotaczy i ćwiczeń z nową bronią jeszcze przed wyruszeniem na Letnie Spotkanie. Chciał, by jak najszybciej osiągnęli wprawę w posługiwaniu się wynalazkiem jego brata.... ale jeszcze nie dziś. Wiedział, że tego dnia nie należy używać broni. Tego dnia duch Shevonara, jego elan, musiał zostać odprowadzony do następnego świata.

Umysł Zelandoni także błędził z dala od spraw terażniejszych, choć na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że wielka kobieta w skupieniu rozważa uwagi, które wymieniali między sobą Zelandoni. W rzeczywistości jednak rozważała sprawę młodszego brata Jondalara, i to już od chwili, gdy dostała opalizujący kamień z dalekiego wschodu, z grobu Thonolana. Czekala tylko na sposobność, by wrócić do tego tematu.

Zdawała sobie sprawę, że Jondalar i Ayla będą musieli być zaangażowani w proces nawiązywania kontaktu z następnym światem - a było to przeżycie przerażające, szczególnie dla tych, których nie szkolono w obcowaniu z duchami, choć i dla specjalistów bywało niebezpieczne. Ryzyko zmniejszało się znacząco, kiedy w ceremonii uczestniczyło wielu ludzi, wspierając tych, którzy nawiązywali bezpośredni kontakt z bezcielesnymi istotami.

Jako że Shevonar zginął podczas polowania, w którym brała udział większość okolicznych Jaskiń, jego pogrzeb musiał stać się poważną uroczystością, a to zapewniało obcującym z duchami ochronę właściwie całej społeczności. Może będzie to dobra okazja, by spróbować zagłębić się w następny świat i poszukać siły życiowej Thonolana, pomyślała Zelandoni. Spojrzała ukradkiem na Aylę i zaczęła się zastanawiać, jaka będzie reakcja jasnowłosej znachorki, która nie przestawała jej zaskakiwać swą wiedzą, kompetencją, a nawet ze wszech miar godnym pochwały zachowaniem.

Donier poczuła się mile połączona w swej dumie, kiedy młoda kobieta przysłała do niej z pytaniem, czy można było zrobić coś jeszcze dla Shevonara - zwłaszcza że sama postępowała w tym niełatwym przypadku wyjątkowo umiejętnie. Jeśli wziąć pod uwagę fakt, że Ayla nie ma pojęcia o naszych obyczajach, zaskakująco właściwe było i to, że właśnie ona zasugerowała Jondalarowi, by zabrał kamień z miejsca spoczynku brata, myślała Zelandoni. Zresztą i sam kamień był wyjątkowy. Na pierwszy rzut oka nie wyróżniał się niczym nadzwyczajnym, lecz jedna z jego ścianek jarzyła się bladym błękitem i jaskrawoczerwonymi punkcikami.

Ta opalizująca barwa z pewnością symbolizuje czystość, dumiała donier, a czerwień to kolor życia, najważniejszy z Pięciu Świętych Kolorów Matki. To jasne, że ten mały kamyk ma w sobie wielką moc. Coś trzeba będzie z nim zrobić, kiedy uporamy się z innymi sprawami.

Słuchając nieuważnie dyskusji, nagle zdała sobie sprawę, że ten niezwykły odłamek skały z grobu Thonolana jest czymś w rodzaju tradycyjnego surogatu. Dzięki niemu Matka będzie mogła odnaleźć elan Thonolana. Najlepszym, najbezpieczniejszym miejscem dla niego będzie więc szczelina w świętej jaskini, skrytka, w której spoczywają i inne surogaty należące do tej rodziny. Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą знаła położenie niemal wszystkich surogatów należących do członków Dziewiętej Jaskini, a także wielu związanych z mieszkańcami innych Jaskiń. Co więcej, znała też wiele miejsc, w których spoczywały same elandony.

W przeszłości kilkakrotnie dochodziło do niezwykłych sytuacji, w których musiała przejmować obowiązki matki i brać odpowiedzialność za elandony dzieci. Jej powinnością było także ukrycie przedmiotów symbolicznych w imieniu osób, które z powodu psychicznej lub fizycznej niedyspozycji nie mogły uczynić tego samodzielnie. Nigdy jednak nie myślała o owych elandonach, a tym bardziej nie zamierzała wykorzystywać wiedzy o nich do własnych celów. Zbyt dobrze uświadamiała sobie niebezpieczeństwo, które sprowadziłaby takim krokiem zarówno na siebie, jak i na właściciela przedmiotu.

Ayla również nie mogła skupić się na dyskusji przywódców. Nie znała zwyczajów pogrzebowych ludu Zelandonii i była ich ciekawa, ale tocząca się rozmowa zdawała się nie mieć końca i trudno było nadążyć za jej wszystkimi wątkami. Znachorka nie pojmowała też wielu terminów, których używali Zelandoni. Wolała więc rozmyślać o sprawach, o których już co nieco słyszała.

Wyjaśniono jej, że zwykle grzebano ludzi w poświęconej ziemi, choć miejsca pochówku zmieniano, gdy liczba mogił była odpowiednio duża. Nazbyt liczna grupa uwolnionych duchów w jednym miejscu mogła bowiem zyskać nadmierną siłę. Tych, którzy umierali mniej więcej w tym samym czasie, chowano razem. To samo dotyczyło członków jednego rodu. Nie było jednak wielkich cmentarzysk wykorzystywanych przez długie lata czy wręcz całe pokolenia, przeciwnie, po całej okolicy rozsiane były małe miejsca pochówku.

Oznaczano je palikami wbijanymi w ziemię w niewielkich odstępach wokół całego terenu i u szczytu każdej mogiły. Ryto w nich lub malowano na nich abelany ludzi, których chowano - symbole niebezpieczeństwa, które groziło każdemu, kto odważyłby się zakłócić ich spokój. Duchy zmarłych, które nie mogły już mieszkać w ciałach, pozostawały w obrębie palisady. Zelandoni dbali o to, by otoczyć teren cmentarza niewidzialną siatką zaklęć, stanowiących zaporę nie do

przebycia dla duchów, które nie potrafiły znaleźć drogi do następnego świata. Dzięki niej nie mogły opanować ciała żadnego z żyjących jeszcze ludzi.

Gdyby nie ta potężna ochrona, wchodzący w obręb cmentarza byłiby w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Duchy zaczynały gromadzić się, jeszcze zanim zwłoki złożono do ziemi. Znane były przypadki, kiedy próbowały objąć w posiadanie ciało żywego człowieka i toczyły istną wojnę o kontrolę nad nim z duchem prawowitego właściciela. Zwykle objawem takiego wewnętrznego boju była nagła zmiana osobowości człowieka, który zaczynał zachowywać się odmiennie niż zwykle, lub widzieć rzeczy, których inni nie dostrzegali, krzyczeć bez wyraźnego powodu, albo też stawał się brutalny, przestawał zwracać uwagę na otaczający go świat i zamykał się w sobie.

Po wielu latach, kiedy kołki rozpadały się ze starości i gniły w ziemi, roślinność porastała mogiły i odnawiała wydzielone polećko, a wtedy miejsce to nie było już uważane za poświęcone; nie było też niebezpieczne - duchy opuściły je na zawsze. Mówiło się wówczas, że Wielka Matka zabrała co do niej należało i oddała ziemię we władanie swoich dzieci.

Ayla - i kilka innych osób zajętych w myślach swoimi sprawami - natychmiast skoncentrowała się na dyskusji, gdy usłyszała głos Pierwszej. Jako że pograżający się z wolna w sporach Zelandoni nie byli ani o jotę bliżsi porozumienia niż na początku spotkania, potężna donier uznała za stosowne wkroczyć do akcji. Podjęła decyzję uwzględniającą wszystkie punkty widzenia i wiele wskazywało na to, iż było to rozstrzygnięcie jedynie słuszne. Wtedy dopiero zgromadzeni zajęli się kolejną sprawą - środkami ostrożności, które należało przedsięwziąć dla ochrony osób zaangażowanych w przeniesienie ciała Shevonara na poświęconą ziemię, tak by nic im nie groziło ze strony zagubionych, wędrujących dusz.

Zaplanowano więc ucztę, która miała wzmocnić morale wszystkich uczestników pogrzebu, aby nie zabrakło im sił w walce z duchami i - jak zwykle - zwrócono się do Prolewy z prośbą o to, by podjęła stosowne przygotowania. Poza tym omówiono sprawę żywności, którą należało złożyć w grobie wraz z bronią i narzędziami zmarłego. Pożywienie to miało służyć wędrującej duszy Shevonara, aby zdołała odnaleźć drogę do następnego świata. Nie zapomniano o niczym, by pomóc odchodzącemu duchowi łowcy i odebrać mu choćby najmniejszy powód do pozostania pośród żywych.

Nieco później tego ranka Ayla wybrała się na konną przejażdżkę. Jechała na Whinney, Zawodnik zaś i Wilk biegli nieco w tyle. Po powrocie wyczesła starannie sierść zwierząt i sprawdziła, czy żadnemu z nich nic nie dolega. Podczas Podróży przywykła do przebywania w ich towarzystwie co dnia przez długie godziny, lecz teraz, odkąd zamieszkała wśród ludzi Jondalara,



spędzała w osadzie większość czasu i tęskniła za końmi. Sposób, w jaki witały ją za każdym razem, wskazywał na to, że i one tęsknią za nią, a także za Jondalarem.

W drodze powrotnej znachorka zatrzymała się przy domostwie Joharrana, by zapytać Prolevę, czy nie widziała gdzieś Jondalara.

- Poszedł z Joharranem, Rushemarem i Solabanem wykopać dół dla Shevonara - odrzekła kobieta. Partnerka przywódcy była od rana mocno zapracowana, lecz teraz, czekając na pomocnice, mogła sobie pozwolić na chwilę wytchnienia. Poza tym od początku miała wielką ochotę poznać bliżej towarzyszkę brata jej mężczyzny, obdarzoną tak licznymi talentami, toteż postanowiła skorzystać z okazji. - Może napiłabyś się ze mną herbaty rumiankowej?

Ayla zawahała się na moment.

- Myślę, że powinnam raczej wrócić do Marthony, ale z przyjemnością odwiedzę cię innym razem.

Wilk, któremu kłusowanie po łąkach podobało się nie mniej niż wierzchowcom, podążył krok w krok za swoją panią i wraz z nią wszedł do domu przywódcy. Jaradal najpierw przyglądał mu się uważnie, a potem ruszył biegiem ku niemu. Wilk zaś począł trącać malca nosem, domagając się pieszczot. Jaradal zachichotał radośnie i z zapalem zabrał się do czochrania sierści na głowie drapieżcy.

- Muszę przyznać, Aylo - odezwała się tymczasem Proleva - że kiedy Jaradal powiedział mi po raz pierwszy, że dotykał twojego zwierza, byłam bardzo niespokojna. Trudno uwierzyć, że mięsożerna, polująca istota może być tak delikatna i opiekuńcza wobec dzieci. Kiedy Folarą przyprowadziła tu Wilka i ujrzałam, jak Marsola wspina się na jego grzbiet, nie wiedziałam, czy mam ufać własnym oczom. Ciągnęła go za futro, pchała rączki do oczu, nawet tarła go za szczękę i zaglądała do paszczy, a zwierz leżał i wydawało się, że jest tym wszystkim zachwycony. To naprawdę niesamowite. Nawet Salova musiała się uśmiechnąć, chociaż w pierwszej chwili, gdy zobaczyła córeczkę szarpiącą się z wilkiem, zamarła z przerażenia.

Wilk rzeczywiście uwielbia dzieci - odpowiedziała Ayla. - Dorastał, bawiąc się i śpiąc z nimi w ziemiance Obozu Lwa. Traktował je jak szczenięta z własnego miotu, a przecież nawet dorosłe wilki zawsze chronią młode z własnej sfory. Teraz myślę, że wszystkie dzieci uważa za członków swojego stada.

Chwilę później, idąc wraz z Wilkiem w stronę domostwa Marthony, Ayla poczuła, że prześladuje ją jakaś myśl, jakieś spostrzeżenie na temat Prolevy. Było coś niezwykłego w jej postawie, sposobie poruszania się, nawet w ułożeniu tuniki na ciele... Olśnienie przyszło zniemacka i wywołało na twarzy znachorki ciepły uśmiech. Proleva była w ciąży!

Kiedy Ayla dotarła do domu, przekonała się, że nikogo tam nie ma. W tym momencie pożałowała, że nie została u Prolevy, lecz jednocześnie zdziwiła się, że nie zastała Marthony. Skoro nie ma jej u Joharrana, to może poszła do Zelandoni?, pomyślała znachorka. Wydaje się, że są sobie dość bliskie, a przynajmniej bardzo się szanują. Zawsze rozmawiają ze sobą albo wymieniają znaczące spojrzenia... Szukając Marthony w domu donier, miałabym okazję złożyć wizytę osobie, którą zdecydowanie chciałabym poznać bliżej.

Choć z drugiej strony wcale nie muszę odnaleźć Marthony, a Zelandoni na pewno jest teraz zajęta. Może nie powinnam jej przeszkadzać?, pomyślała Ayla. Irytował ją jednak nadmiar wolnego czasu; zdecydowanie chciała robić coś sensownego i pożytecznego.

Stanąwszy u wejścia do domu Zelandoni, Ayla zapukała cicho w panel umocowany obok skórzanej kotary. Gospodyni musiała być blisko, gdyż niemal natychmiast uchyliła zasłonę.

- Ayla - powiedziała, wyraźnie zaskoczona obecnością młodej kobiety i jej wilka. - Czym mogę służyć?

- Szukam Marthony. Nie ma jej ani w domu, ani u Prolevy. Pomyślałam więc, że może zaszła tutaj - wyjaśniła uzdrowicielka.

- Nie, nie ma jej u mnie.

W takim razie przepraszam za najście. Wiem, że jesteś zajęta. Nie powinnam była zabierać ci czasu.

- Ależ nic się nie stało - odrzekła donier, zauważając, że Ayla wygląda na lekko spiętą, a jednocześnie w dyskretny sposób pełną nadziei. - Masz jakąś konkretną sprawę do Marthony?

- Nie, po prostu szukam jej, bo pomyślałam, że może potrzebować mojej pomocy.

- Jeśli szukasz zajęcia, mogłabyś pomóc mnie - zaproponowała Zelandoni, cofając się o krok, lecz nie opuszczając kotary. Szeroki uśmiech zadowolenia na obliczu młodej kobiety podpowiedział Pierwszej, że taki właśnie był prawdziwy powód nieoczekiwanej wizyty.

- Czy Wilk także może wejść? - spytała znachorka. - Obiecuję, że niczego nie zniszczy.

Wiem, że nie. Mówiłam ci już, że rozumiemy się z twoim zwierzakiem doskonale - odparła donier, podtrzymując zasłonę dla Wilka. - Trzeba rozetrzeć na proszek bryły ochry, które dla mnie przyniosłaś. Tam stoi moździerz - dodała Zelandoni, wskazując na zabarwiony czerwienią kamień z płytkim wgłębieniem uformowanym przez lata użytkowania. - A tam znajdziesz kamyk do ugniatania. Jonokol powinien tu być lada chwila, a ochra będzie mu niezbędną. Potrzebuję jego pomocy w przygotowaniu podpory na abelan Shevonara - wyjaśniła gospodyni. - Jonokol jest moim akolitą.

- Na uczcie powitalnej spotkałam młodego mężczyznę o takim imieniu, ale twierdził, że jest artystą - przypomniała sobie Ayla.

- Jonokol istotnie jest artystą, a jednocześnie moim akolitą. Powiedziałabym nawet, że jest bardziej artystą niż akolitą. Nie interesuje go zbyt ani uzdrawianie, ani szukanie własnej drogi do świata duchów. Wydaje mi się, że jest w zupełności zadowolony z pozycji akolity, ale z drugiej strony wiem, że jest jeszcze młody. Czas pokaże... Możliwe, że jeszcze poczuje powołanie. A tymczasem jest dobrym artystą i doskonałym pomocnikiem - zakończyła Zelandoni. - Większość artystów to Zelandoni - dodała po chwili.

- Z Jonokolem nie jest inaczej; już we wczesnym dzieciństwie ujawnił się jego talent i wtedy też został wybrany.

Ayla cieszyła się, że może ubijać czerwone bryły na proszek - była to praca nie wymagająca szczególnego przygotowania, a jednocześnie na tyle powtarzalna, że pozwalała uwolnić umysł i oddać się swobodnym rozważaniom. Uzdrowicielka rozmyślała więc o Zelandoni i o tym, dlaczego artyści tacy jak Jonokol przystępowali do społeczności przywódców duchowych w tak młodym wieku. Przecież nie mogli mieć pojęcia, jakie czeka ich życie. Dlaczego akurat ludzie uzdolnieni artystycznie zasilali szeregi Zelandoni?

Wkrótce w domu Zelandoni zjawił się Jonokol i z niejakim zdziwieniem spojrzął na Aylę i Wilka, który natychmiast podniósł łeb i naprężył mięśnie, gotów poderwać się na sygnał swej pani. Jednak znak, który dała mu dłonią, uspokoił go: mężczyzna był mile widziany.

- Ayla przyszła nam pomóc, Jonokolu - powiedziała Zelandoni. - Zdaje się, że już się znacie.

- O, tak. Od pierwszej nocy, którą spędziła w naszej osadzie. Witaj, Aylo - rzekł Jonokol.

Kiedy skończyła rozcierać grudy na drobniutki, czerwony proszek, oddała moździerz i produkt końcowy w ręce donier, mając cichą nadzieję, że kobieta zaproponuje jej nowe zajęcie, ale już po chwili stało się jasne, że Zelandoni i jej akolita pragną zostać sami.

- Czy mogę jeszcze coś dla was zrobić? - spytała wreszcie Ayla.

- Nie teraz - odparła krótko Pierwsza.

Ayla skinęła głową, dała znak Wilkowi i wypuściwszy go przodem, wyszła na zewnątrz. Marthony nadal nie było w domu, a skoro i Jondalar był zajęty, znachorka naprawdę nie miała co robić. Powinnam była zostać u Prolevy i napić się dobrej herbaty, pomyślała po raz drugi. Chyba po prostu tam wróć. Ayla miała szczerą ochotę zawrzeć bliższą znajomość z szanowaną przez wszystkich partnerką przywódcy. Co więcej, wkrótce zamierzała dołączyć do jej rodziny i stać się formalnie kobietą Jondalara, brata Joharrana. Może to ja powinnam przynieść ze sobą dobrą herbatę, pomyślała. Na przykład zioła z dodatkiem kwiatu lipy, dającego miły zapach i słodycz. Jaka szkoda, że nawet nie wiem, czy w pobliżu rośnie choć jedna lipa...

## ROZDZIAŁ 15

Mężczyźni kopiący dół byli bliscy ukończenia swego zadania i nie próbowali ukrywać, jak bardzo cieszył ich ten fakt. Zelandoni otoczyli ich silną ochroną, nim wstąpili na ziemię, w której miało spocząć ciało Shevonara - między innymi smarując czerwoną ochrą dłonie kopaczy - ale i tak wszyscy czterej drżeli w duchu na myśl o tym, że znajdują się wewnątrz niewidzialnej bariery, której zarys wyznaczały jedynie rzeźbione, zafarbowane ognistą czerwienią paliki.

Mężczyźni mieli na sobie obszerne skórzane okrycia - w zasadzie bezkształtne i pozbawione wszelkich zdobień, Przypominające duże derki z dziurą na głowę. Twarze ukryli pod wielkimi kapturami, w których wycięto otwory na wysokości oczu. Nos i usta pozostawały zasłonięte, aby duchy nie dostały się przez nie do wnętrza ciała.

Niecodzienny strój pełnił ważną funkcję: miał ukryć tożsamość kopiących przed duchami, które mogły czaić się w pobliżu i szukać ciał nadających się do zamieszkania. Na skórzanych okryciach nie było więc żadnych oznaczeń - abelanów, symboli czy motywów rodowych, które mogłyby zdradzić niewidzialnym istotom, kto narusza ich spokój, wstępując na poświęconą ziemię. Mężczyźni wstrzymywali się też przed rozmową, by głosy nie podpowiedziały duchom, z kim mają do czynienia. Niełatwo było znaleźć ochotników do kopania grobu, toteż Joharran zdecydował, że skoro jest odpowiedzialny za zorganizowanie feralnego polowania, sam powinien znaleźć się w czteroosobowej grupie. Do pomocy wziął sobie swych zastępców - Solabana i Rushemara - oraz młodszego brata, Jondalara. I choć wszyscy czterej znali się doskonale, mieli nadzieję, że i ten fakt zdołają ukryć przed kręcącymi się nieopodal elanami.

Kopanie kamiennymi oskardami w twardej ziemi nie należało do przyjemności. Słońce stało już wysoko, toteż pracujący pocili się niemiłosiernie. Pod skórzanymi kapturami ciężko było oddychać, lecz mimo to żaden z nieustraszonych myśliwych nawet nie pomyślał o tym, by zdjąć ochronne okrycie głowy. Żaden nie zawahałby się stanąć na drodze szarżującego nosorożca i uskoczyć w ostatnim momencie, lecz sprostanie niebezpieczeństwom czającym się na poświęconej cmentarnej ziemi wymagało nieporównywalnie większej odwagi.

Czterej kopacze nie zamierzali pozostawać w opanowanej przez duchy przestrzeni ani chwili dłużej, niż było to konieczne. Dlatego pracowali zaciekle, w dobrym tempie usuwając luźną ziemię, wrzuszoną ostrzami oskardów. Szufle, których używali, wykonano z płaskich i szerokich kości - łopatek i miednic - dużych zwierząt. Naturalne narzędzia ociosano i oszlifowano kamieniami i piaskiem rzeczonym tak, by z jednej strony powstała ostra krawędź ułatwiająca pracę. Do przeciwległych końców kości umocowano długie trzonki. Kopacze umieszczali wydobytą

ziemię na skórze podobnej do tych, w które byli ubrani, tak by można było odciągnąć kopczyk nieco dalej, robiąc miejsce dla żałobników, zwykle gromadzących się licznie wokół mogiły. Joharran patrzył, jak szufle odgarniają resztkę ziemi na dnie dołu, a kiedy uznał, że głębokość grobu jest wystarczająca, dał znak towarzyszom. Czterej kopacze prędko zebrali narzędzia i pospiesznie opuścili teren cmentarza. Nadal nie odzywając się ani słowem, pomaszerowali w miejsce odległe od ludzkich sadyb, starannie wybrane i rzadko odwiedzane przez mieszkańców okolicznych osad.

Joharran z rozmachem wbił w ziemię ostrze oskarda i po chwili mężczyźni kopali już drugi dół, tym razem mniejszy. Zdjąwszy kaptury i okrycia, wrzucili je do wykopu i starannie zakryli grubą warstwą piachu. Narzędzia miały zaś powrócić do specjalnego miejsca, w którym zawsze je przechowywano, lecz od tej chwili Zelandonii bacznie uważali, by nie dotknąć ich żadną odkrytą częścią ciała, z wyjątkiem grubo wysmarowanych ochrą dłoni.

Kopacze udali się teraz do małej jaskini na dnie doliny ciągnącej się pośród wapiennych urwisk. Rzeźbiony słupek, na którym widniał abelan Zelandonii i wiele innych znaków, wbito w ziemię tuż przed wejściem do groty. Mężczyźni weszli do wnętrza, zostawili tam brudne narzędzia i wyszli spiesznie, zaciskając po drodze dłonie na ozdobnym palu i mamrocząc rytualne formułki, które miały im zaskarbić przychylność i opiekę Matki. Potem wkroczyli na wijącą się zygzakiem ścieżkę ku wyższym partiom doliny, którą dotarli do jaskini używanej przez Zelandoni podczas ceremonii z udziałem mężczyzn i chłopców.

Sześcioro Zelandoni ze wszystkich Jaskiń, które brały udział w tragicznym polowaniu, czekało przed wejściem do groty w towarzystwie kilkorga akolitów. W pojemnikach stała już woda - świeżo zagotowana za pomocą rozżarzonych kamieni - a obok leżały kłaczka rozmaitych roślin zawierających saponinę, określane wspólnym mianem korzeni mydlnicy. Gęsta piana zabarwiła się czerwienią, gdy czterej kopacze poczęli zmywać warstwę ochry chroniącą ich dłonie i stopy. Kiedy stanęli nad specjalnie wykopaną w tym celu dziurą w ziemi, opłukano ich gorącą - niemal zbyt gorącą - wodą. Czynności powtórzono, by zetrzeć ostatnie ślady barwnika. Kopacze wyczyścili nawet paznokcie, sięgając pod nie małymi, zastrzonymi patyczkami, a kiedy skończyli, spłukano z nich pianę po raz trzeci. Wreszcie wszyscy Zelandoni uznali czterech mężczyzn za wystarczająco oczyszczonych.

Wtedy Joharran, Solaban, Rushemar i Jondalar wzięli wodoszczelne kosze z ciepłą wodą i korzenie mydlnicy, by obmyć całe ciało, nie wyłączając włosów. Dopiero gdy tego dokonali, pozwolono im nałożyć własne ubrania - teraz mogli odetchnąć z ulgą. Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą dała każdemu po kubku gorącej, gorzkawej herbaty, każąc najpierw wypłukać usta i wypłuć płyn do specjalnego dołu w ziemi, a potem wypić resztę. Uczynili, jak im przykazano, a

następnie oddalili się czym prędzej, radując się w duchu, że ta część pogrzebu jest już za nimi. Żaden z nich nie lubił bowiem obcować z tak potężną magią.

Jondalar i jego towarzysze zaszli do domu Joharrana, rozmawiając półgłosem, jakby nadal ciążyła na nich świadomość zbyt bliskiego kontaktu z niezbadanym światem duchów.

- Ayla tu była, szukała cię, Jondalarze - oznajmiła Proleva. - Wyszła gdzieś na chwilę, a potem wróciła z pyszną herbatą. Rozmawialiśmy trochę, ale wkrótce zjawili się ludzie, którzy chcieli omówić przygotowania do uczty pogrzebowej. Ayla zaproponowała mi pomoc, ale odpowiedziałam jej, że może następnym razem. Jestem pewna, że Zelandoni miała względem niej jakieś plany... Twoja kobieta wyszła stąd niedawno, a teraz i ja muszę iść. W kuchni znajdziecie trochę jedzenia i ciepłą herbatę.

- Ayla nie mówiła, dokąd idzie? - spytał Jondalar.

- Do twojej matki.

- Dziękuję. Pójdę sprawdzić, czego chciała.

- Przegryź coś najpierw. Ciężko pracowaliście - powiedziała Proleva.

Brat przywódcy zjadł szybko, popił herbatą i ruszył do wyjścia.

- Daj mi znać, kiedy Zelandoni będą gotowi, Joharranie - rzucił na odchodnym.

Domownicy siedzieli wokół ławy i sączyli wino Marthony, kiedy wszedł do środka.

- Przynies sobie kubek, Jondalarze - rzekła mu matka na powitanie. - Zaraz ci naleję. To był pracowity dzień, a jeszcze nie dobiegł końca. Pomyślałam więc, że wszystkim nam przyda się chwila wytchnienia.

Wyglądasz wyjątkowo świeżo - zauważyła Ayla.

- I tak się czuję. Cieszę się, że już po wszystkim. Jestem gotów robić, co do mnie należy, ale naprawdę nie cierpię kopania w poświęconej ziemi - odparł Jondalar, czując dreszcze na samo wspomnienie cmentarzyska.

Wiem, co masz na myśli - mruknął Willamar, kiwając głową ze zrozumieniem.

- Jakim cudem jesteś taki czysty, skoro kopaliście dół? - zdziwiła się Ayla.

- Pamiętaj o tym, że kopali dół, który stanie się grobem Shevonara - odpowiedział Willamar. - Każdy, kto w tym uczestniczył, musi zostać dokładnie oczyszczony, miał bowiem kontakt z poświęconą ziemią i niepokoił duchy zmarłych. Zelandoni nie żałują kopaczom gorącej wody i korzenia mydlnicy. Pilnują, żeby szorowali się aż do skutku.

- Przypomina mi się gorąca kąpiel u Losadunai. Pamiętasz, Jondalarze? - spytała Ayla i zaraz zauważyła, że na twarzy mężczyzny pojawia się rozmarzony uśmiech. Wspomnienie wyjątkowo przyjemnego popołudnia w wodach naturalnego, gorącego źródła nadal miało wielką

się. Kobieta odwróciła się, próbując nie odwzajemnić dwuznacznego uśmiechu. - A pamiętasz tę ich pianę z przetopionego tłuszczu i popiołu?

Tak. Muszę przyznać, że nigdy nie widziałem czegoś, co lepiej usuwałoby brud - odparł jasnowłosy. - A także smak i zapach - dodał, szczerząc zęby w łobuzerskim uśmiechu. Znachorka doskonale wiedziała, że trwa zabawa w podwójne znaczenia słów. Wtedy bowiem, u Losadunai, kiedy dzielili się Przyjemnością, nie czuł jej smaku. Z drugiej jednak strony kontakt z tak czystym ciałem był ciekawym doświadczeniem.

- Zastanawiam się - powiedziała Ayla, starając się unikać zalotnych spojrzeń Jondalara i zachować powagę - czy ta piana nie przydałaby się podczas rytuału oczyszczania. Kobiety Losadunai pokazały mi, jak ją sporządzać, ale to niełatwa sprawa. Połączenie składników nie zawsze jest takie, jak powinno być. Może dobrze byłoby spróbować i pokazać Zelandoni, jak to działa?

- Nie wyobrażam sobie, by tłuszczem i popiołem można było cokolwiek umyć - rzekła Folarą, kręcąc głową z powątpiewaniem.

- Sama bym w to nie uwierzyła, gdybym nie zobaczyła na własne oczy - przyznała Ayla. - A jednak, kiedy zmiesza się składniki w odpowiedni sposób, dzieje się coś dziwnego i z tłuszczu i popiołu powstaje zupełnie nowa rzecz. Najpierw do popiołu trzeba dodać wody, gotować go przez chwilę, a potem schłodzić i przecedzić. Płyn, który pozostaje, Jest bardzo mocny; mogą się nawet porobić pęcherze na rękach, jeśli się nie uważa. Parzy jak ogień, chociaż wcale nie jest gorący. Następnie trzeba dodać roztopiony tłuszcz - musi go być tyle samo, ile jest przecedzonego płynu, i nie może być odeń ani cieplejszy, ani zimniejszy; jedno i drugie musi być tak ciepłe, jak skóra po wewnętrznej stronie nadgarstka. Jeśli zrobiło się wszystko, jak należy, trzeba już tylko mieszać. Piana jest tak niezwykła, że czyści dosłownie wszystko. Kiedy się ją splukuje, zabiera brud ze sobą, i to każdy, nawet tłuszcz.

- Ale po co w ogóle ktoś miałby mieszać ze sobą tłuszcz i wodę z popiołem? - zdumiała się Folarą.

- Kobieta, która mi o tym opowiadała, twierdziła, że za pierwszym razem wszystko było dziełem przypadku - wyjaśniła Ayla. - Wytapiała akurat tłuszcz nad ogniem, kiedy nagle lunął rześisty deszcz. Pobiegła do domu, żeby się schronić, a kiedy wróciła, była pewna, że tłuszcz się zmarnował: kipiąc, przelał się ponad brzegiem naczynia prosto na palenisko pełne popiołu zmieszanego z deszczową wodą. Przypadkiem dostrzegła w popiele drewnianą łyżkę, której używała do mieszania; to była jej ulubiona łyżka, pięknie zdobiona, toteż kobieta postanowiła ją odzyskać. Zanurzyła rękę w pianę, która, jak sądziła, była tylko zmarnowanym tłuszczem, a kiedy

poszła nad wodę, by oczyścić łyżkę, ze zdumieniem zauważyła, że nie tylko dokonała tego bez trudu, ale przy okazji wyplukala brud z drewnianego trzonka i z dłoni.

Ayla nie wiedziała, że ług powstały ze spopielonego drewna, zmieszany z tłuszczem w odpowiedniej temperaturze, wywoływał reakcję chemiczną, której produktem było mydło. Wiedza o tym, jak dokładnie przebiegał ów proces, nie była jej do niczego potrzebna; interesował ją wyłącznie efekt. Nie był to ani pierwszy, ani ostatni raz, kiedy ważnego odkrycia dokonywano przypadkiem.

- Jestem pewna, że Zelandoni będzie bardzo zainteresowana - stwierdziła Marthona. Matka doskonale zdawała sobie sprawę z dwuznacznej gry słownej, którą jej syn prowadził z młodą kobietą. Jondalar nie był nawet w przybliżeniu tak subtelny, jak mu się wydawało. Marthona starała się jednak pomóc Ayli w podtrzymaniu możliwie poważnej rozmowy - wkrótce przecież czekał ich wszystkich pogrzeb, a więc nie był to najlepszy czas na rozmyślania o Darze Przyjemności. - Ja także dokonałam kiedyś odkrycia. Robiłam wtedy wino i muszę wam powiedzieć, że od tego czasu moje trunki są znacznie lepsze.

- Matko, czyżbyś wreszcie zamierzała zdradzić nam swój sekret? - zdziwił się Jondalar.

- Jaki sekret?

Ten, w jaki sposób robisz najlepsze wino, które jeszcze nigdy nie zmieniło się w ocet - odparł z uśmiechem mężczyzna.

Marthona spojrzała nań, kręcąc głową z lekkim rozdrażnieniem.

- Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek robiła z tego tajemnicę.

- Ale też nigdy nie zdradziłaś nikomu swojego sposobu. Tylko dlatego, że nie byłam pewna, na czym naprawdę polega różnica i czy moja metoda sprawdzi się w każdej sytuacji - odparowała kobieta. - Do dziś nie wiem, dlaczego sama to robiłam, ale... kiedyś obserwowałam Zelandoni, która przygotowywała napoje lecznicze i wydawało mi się, że to, co uczyniła, dodało im mocy. Zaczęłam się zastanawiać, czy podobna magia mogłaby poprawić moje wina. I zdaje się, że poprawia - dokończyła.

- No, powiedz nam wreszcie - ponaglił Jondalar. - Zawsze wiedziałem, że dodajesz czegoś specjalnego.

- Zobaczyłam, jak Zelandoni żuje zioła lecznicze i następnym razem, kiedy ugniatałam owoce na wino, rozgryzłam trochę, przeżułam i dodałam do pozostałych, nim zaczęły fermentować. Dziwne, że coś takiego może sprawić różnicę, ale najwidoczniej tak właśnie jest.

- Iza nauczyła mnie kiedyś, że są leki i napoje specjalnego przeznaczenia, których składniki trzeba pogryźć, jeśli mają prawidłowo działać - przypomniała sobie Ayla. - Być może przeżute owoce dodają do rozgniecionych jakiś składnik, który dobrze służy twoim winom. - Znachorka



nigdy przedtem nie zastanawiała się nad tym, ale wydawało jej się, że takie wyjaśnienie jest całkiem prawdopodobne.

- Za każdym razem proszę też Doni o to, żeby zmieniła sok owocowy w wino. Kto wie, czy nie na tym polega cały mój sekret - dodała Marthona. - Jeśli nie prosi się o zbyt wiele, Matka często daje to, czego najbardziej się pragnie. Kiedy byłeś mały, Jondalarze, nigdy niczego ci nie odmawiała. Kiedy prosiłeś o coś Doni, zawsze to dostawałeś. Czy nadal tak jest?

Jondalar zaczerwienił się nieco. Nie był pewien, czy ktoś jeszcze prócz Marthony mógł znać i pamiętać stare dzieje.

- Zazwyczaj - odparł, nie patrząc matce w oczy.

- A czy kiedykolwiek odmówiła ci tego, o co prosiłeś? - indagowała była przywódczyni.

- Raz - odrzekł, krzywiąc się z niechęcią.

Kobieta obserwowała go przez moment, a potem skinęła głową.

- Rzeczywiście, to, na czym ci zależało, musiało być zbyt wielkim darem nawet dla Wielkiej Matki Ziemi. Ale nie wydaje mi się, żebyś teraz żałował. Mam rację?

Wszyscy przysłuchiwali się z niejakim zdziwieniem tej tajemniczej rozmowie matki z synem. Jondalar nie potrafił ukryć zdenerwowania. Obserwując go, Ayla zrozumiała nagle, że Marthona miała na myśli Zelandoni, a raczej Zolenę, młodą kobietę, którą była niegdyś duchowa przywódczyni Dziewiątej Jaskini.

- Czy wiesz, Aylo, że kopanie dołów w poświęconej ziemi to praca, którą mogą wykonywać jedynie mężczyźni?

- spytał Willamar, zmieniając temat, by przerwać niezręczne milczenie. - Wystawianie błogosławionych przez Doni na działanie tak potężnych sił byłoby dla nich zbyt niebezpieczne.

- Cieszę się, że tak jest - przyznała Folar. - Wystarczająco okropne jest mycie i ubieranie człowieka, którego duch odszedł. Nienawidzę tej roboty! Nie masz pojęcia, Aylo, jaka byłam dziś szczęśliwa, kiedy poprosiłaś mnie, żebym zaopiekowała się Wilkiem. Zaprosiłam wszystkie przyjaciółki, każąc im przyprowadzić młodsze siostry i braci. Twój towarzysz poznał dzisiaj wielu ludzi.

- Nic dziwnego, że jest taki wyczerpany - powiedziała Marthona, spoglądając na Wilka zwiniętego w kłębek na posłaniu. - Po takim dniu sama chętnie bym pospała.

- Nie wydaje mi się, żeby spał - odparła Ayla, która doskonale potrafiła odczytywać drobne różnice w pozycji i zachowaniu drapieźnika. - Ale poza tym masz rację, na pewno jest zmęczony. Uwielbia maluchy, ale nawet one potrafią wyczerpać jego siły.

Mimo że mieszkańcy domostwa Marthony spodziewali się wizyty, dość gwałtownie odwrócili się ku wejściu, gdy rozległo się ciche pukanie w skórzany panel.

- Zelandoni są gotowi. - To był głos Joharrana. Domownicy dopili wino i poderwali się z ziemi. Kiedy wyszli, Wilk ruszył za nimi, lecz Ayla chwyciła go i uwiązała na lince umocowanej do solidnego kołka wbitego w ziemię opodal domostwa - kosmaty łowca musiał pozostać w osadzie, z dala od ceremonii pogrzebowej, w której wszyscy mieli wziąć udział.

Wokół szałasu pogrzebowego zebrała się już spora grupa Zelandonii. Przyciszone głosy witających się i rozmawiających ze sobą żałobników zlewały się w monotony szmer. Przepierzenia tworzące ścianki szałasu zostały rozsunięte tak, aby każdy mógł zobaczyć zmarłego Shevonara, złożonego na macie z traw podobnej do hamaka, w którą później, na czas przejścia do miejsca pochówku, miało zostać zawinięte ciało. Najpierw jednak zwłoki musiały trafić na Pole Zgromadzeń, plac wystarczająco rozległy, by pomieściło się na nim sześć okolicznych Jaskiń w komplecie - czyli wszystkie, które brały udział w polowaniu.

Jondalar i jego brat w towarzystwie kilku mężczyzn pierwsi ruszyli ku miejscu spotkania. Marthona i Willamar, którzy dobrze znali swoją rolę w rozpoczynającym się rytuale, przyjęli odpowiednią pozycję. Ayla zaś nie bardzo wiedziała, co ma robić, i czuła się nieco zagubiona. Postanowiła, że będzie trzymać się na uboczu i obserwować przebieg obrzędów, starając się nie czynić niczego, czym mogłaby przynieść wstyd sobie lub rodzinie Jondalara.

Wreszcie Folarą zjawiła się ni stąd, ni zowąd w towarzystwie znajomych - kilku młodych kobiet i dwóch młokosów - by przedstawić im niezwykłą kobietę, którą sprowadził jej brat. Ayla rozmawiała z nimi uprzejmie, a przynajmniej starała się rozmawiać - młodzi byli tak przejęci spotkaniem z osobą, o której słyszeli tak wiele niesamowitych opowieści, że albo milczeli, sparaliżowani nieśmiałością, albo paplali bez końca, próbując ukryć zmieszanie. Czynili to na tyle skutecznie, że znachorka nie usłyszała, kiedy ktoś zawołał ją po imieniu.

- Aylo, zdaje się, że jesteś potrzebna - powiedziała Folarą, widząc zbliżającą się Zelandoni.

- Wybaczcie - odezwała się donier do wielbicieli uzdrowicielki. - Ayla pójdzie na czele, obok Zelandoni.

Kobieta posłusznie ruszyła za nią, pozostawiając za sobą grupkę jeszcze bardziej przejętej młodzieży. Kiedy znalazły się w stosownej odległości, Pierwsza przemówiła cichym głosem:

- Zelandoni nie jedzą w czasie uroczystości pogrzebowych. Pójdiesz teraz z nami, ale później dołączysz do Jondalara i Marthony, na czele kolumny, żeby posilić się wraz z nimi.

Ayla nie sprzeciwiła się, ale po chwili zaczęła rozmyślać nad tym, dlaczego właściwie ma towarzyszyć przywódcom duchowym, a potem wrócić do swego mężczyzny. Nie rozumiała, czego się od niej oczekuje. Teraz jednak mogła tylko posłusznie kroczyć za donier, wchodzącą właśnie na mostek łączący Dziewiątą Jaskinię z Dolnorzeczem, i iść za nią dalej, w stronę Pola Zgromadzeń.

Zelandoni pościli dlatego, że było to niezbędnym warunkiem udanego kontaktu ze światem duchów, ten zaś był potrzebny podczas uroczystości pogrzebowych. Potrzebny był tym bardziej, że zaraz po odprawieniu rytuału Pierwsza zamierzała odbyć metafizyczną wyprawę do następnego świata, by nawiązać kontakt z elanem Thonolana. Podróże w krainę duchów zawsze były trudne, ale Zelandoni przywykła do nich i dobrze wiedziała, co należy robić. Poszczenie było ważną częścią życia przywódców duchowych, toteż dziwiła się nieco, że jakimś cudem wciąż jeszcze przybierała na wadze. Owszem, nazajutrz po rytualnej głodówce na ogół nadrabiała stratę, lecz nie wydawało jej się, by jadła więcej niż inni ludzie. Zdawała sobie sprawę z tego, że dla wielu jej niezwykle rozmiary sączyńnikiem potęgującym aurę tajemniczości, która ją otaczała. Jedynym minusem tak znaczącej tuszy był fakt, iż poruszanie się przychodziło jej z coraz większym trudem. Z każdym dniem więcej wysiłku wkładała w schyłanie się, wspinanie na stromizny, siadanie na ziemi, a przede wszystkim - we wstawanie. Jednakże wszystko wskazywało na to, że to Matka życzy sobie, by postura jej sługi była coraz bardziej imponująca, a skoro taka była Jej wola - donier nie miała nic przeciwko.

Sądząc po ilości pożywienia, które ułożono pod ścianą skalną zamykającą Pole - z dala od miejsca ciała zmarłego - nad przygotowaniem uczty pogrzebowej trudziło się wielu Zelandonii.

Wygląda to jak małe Letnie Spotkanie - mruknął ktoś półgłosem. Skoro to jest "małe", to jak musi wyglądać prawdziwe Letnie Spotkanie?, zastanawiała się Ayla. Z samej tylko Dziewiętej Jaskini przybyło niemal dwieście osób, a dołączyli do nich mieszkańcy jeszcze pięciu dość ludnych osad! Znachorka była pewna, że nigdy nie zdoła poznać wszystkich Zelandonii zebranych na Polu. Wątpiła, czy w ogóle istnieje tyle słów do liczenia, by opisać takie zgromadzenie. Jedynym skojarzeniem, jakie przychodziło jej do głowy, było wielkie stado bizonów, które zebrały się, by dobrać się w pary i ruszyć na sezonową wędrówkę.

Kiedy sześcioro Zelandoni i tyle samo przywódców Jaskiń zebrało się wokół szałasów pogrzebowego, który rozebrano, przeniesiono na Pole Zgromadzeń i zmontowano ponownie, ludzie umilkli i zaczęli tłumnie siadać na ziemi. Jedna z osób przygotowujących ucztę napełniła wielki talerz porcjami bizoniego mięsa, wśród których znalazła się cała giez. Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą Matce podniosła talerz wysoko nad głowę i obracając się, pokazała tłumowi, a następnie ustawiła obok ciała zmarłego.

- Zelandonii wydają tę ucztę na twoją cześć, Shevonarze! - zawołała, zwracając się do martwego łowcy. - Prosimy, niech twój elan dołączy teraz do nas, byśmy mogli życzyć mu udanej podróży do następnego świata.

Ludzie zaczęli wstawać i z wolna formować długą kolejkę, czekając cierpliwie na swoją porcję mięsa. Zwykle podczas biesiad częstowano się w zupełnie przypadkowej kolejności, jednak

tym razem rytuał wymagał bardziej formalnego porządku. Ustawiano się więc według uznanego, choć rzadko uwidaczniającego się statusu poszczególnych rodów - tak, by pokazać duchom swoje miejsce na doczesnym świecie, przy okazji pomagając elanowi Shevonara w trudnej przeprawie do nowej rzeczywistości.

Rozpaczająca kobieta, Relona, i jej dwoje dzieci stanęli pierwsi, a zaraz za nimi brat zmarłego, Ranokol. Joharran i Proleva z Jaradalem zajęli miejsce tuż po nich, następnie zaś Marthona, Willamar, Folar i Jondalar - mieszkańcy Dziewiątej Jaskini o najwyższym statusie - a wraz z nimi Ayla.

Znachorka nawet nie wiedziała, że jej obecność była nie lada problemem. Jako przybysz z daleka powinna była zająć ostatnie miejsce w kolumnie. Gdyby była oficjalnie obiecana Jondalarowi, co potwierdzono by stosowną ceremonią, łatwiej byłoby umieścić ją w wysoko notowanej rodzime przywódców, lecz na razie perspektywa zaślubin była zaledwie akceptowana przez społeczność, o przyjęciu zaś do Dziewiątej Jaskini jeszcze nie było mowy. Kiedy pojawiła się ta Kwestia, Jondalar natychmiast oświadczył, że gdziekolwiek umieści się Aylę, on będzie jej towarzyszył; jeżeli więc przywódcy ustalą, że znachorka ma zająć ostatnie miejsce w szyku, to i on stanie pośród ostatnich.

Status mężczyzny w społeczeństwie Zelandonii łączył się z pozycją zajmowaną przez jego matkę - aż do chwili, kiedy związał się z kobietą, wtedy bowiem wszystko mogło się zmienić. Zazwyczaj, nim doszło do oficjalnego potwierdzenia zaślubin, rody - niejednokrotnie przy udziale Zelandonii i przywódców Jaskiń - prowadziły negocjacje. Omawiano między innymi wymianę podarków oraz to, czy para zamieszka w Jaskini kobiety, mężczyzny czy może w zupełnie innym miejscu. Dyskutowano też o cenie "panny młodej", jej status bowiem stanowił liczącą się wartość. Nie mniej ważnym aspektem negocjacji było ustalenie wspólnej pozycji społecznej młodej pary.

Marthona żywiła przekonanie, iż jeśli Jondalar stanie na końcu kolumny, fakt ten zostanie opacznie zrozumiany nie tylko przez ogół Zelandonii, ale także przez duchy następnego świata, które uznają, że jej syn z jakiegoś powodu utracił swój status albo że pozycja Ayli jest tak niska, że dla Jondalara nie można było wynegocjować wyższego statusu. Właśnie dlatego Zelandonii nalegała, by młoda uzdrowicielka udała się na uroczystość w towarzystwie sześciorga przywódców duchowych. Tym sposobem, nawet będąc przybyszem z nieznanymi stron, mogła zostać uznana za członka kapłańskiej elity, a to dawało jej spory - choć może niejednoznaczny - prestiż. Jako że Zelandonii nie brali udziału w uczcie pogrzebowej, Ayla mogła dołączyć do rodziny Jondalara w ostatniej chwili, kiedy było już za późno na jakikolwiek sprzeciw ze strony niezadowolonych.

I choć niejedni z nich mogli zdać sobie sprawę z fortelu, kiedy byłoby po wszystkim, status znachorki zostałby ustalony wobec obu światów, żywych i umarłych - nikt już nie mógłby tego

zmienić. Sama Ayla zaś nie miała pojęcia, że wokół niej i Jondalara toczy się jakaś gra, a ci, którzy coś podejrzewali, nie dopatrywali się w podstępie Zelandoni wielkiego znaczenia. Marthona i Zelandoni - choć z odmiennych powodów - były przekonane, że jasnowłosa uzdrowicielka jest osobą o wysokiej pozycji. Nie rozwiązana pozostawała jedynie kwestia upublicznienia tej wewnętrznej pewności.

Kiedy rodzina Jondalara posilała się bizonim mięsiwem, zjawił się Laramar i zaczął nalewać do kubków swą barmę. Ayla pamiętała go z powitalnej, nocnej biesiady. Od tamtej pory czuła, że choć trunki niechlujnie ubranego mężczyzny zdobywają uznanie większości Zelandonii, to on sam nie cieszy się zbyt wielką estymą. Zastanawiała się nieraz, dlaczego tak właśnie jest. Myślała o tym i teraz, gdy Laramar przelewał zawartość torby do kubka Willamara. Zauważyła, że jego odzież wciąż jest brudna, a widocznym w niej dziurom pomogłyby solidne łąty, gdyby tylko ktoś zechciał się nimi zainteresować.

- Nalać i tobie? - spytał mężczyzna.

Ayla nadstawiła kubek i starając się nie patrzeć prosto w oczy Laramara, dyskretnie zlustrowała wzrokiem jego postać. Był to człek przeciętnej urody, niebieskooki, o jasnobrażowych włosach i takiejż brodzie, ani gruby, ani szczupły, ani wysoki, ani niski. Widać jednak było wyraźnie zaokrąglony od nadmiaru trunksów brzuch i niezbyt imponujące mięśnie, dużo słabiej wyrzeźbione niż u innych mężczyzn. Znachorka dostrzegła też szarą od brudu szyję i ręce, które od dawna nie widziały wody.

Nielatwo było dbać o higienę w zimie, kiedy wodę do mycia trzeba było wytapiać z lodu czy śniegu, marnując przy tym opał znacznie bardziej potrzebny do innych celów. Jednakże latem, kiedy nikomu nie brakowało ani wody, ani korzeni mydlnicy, większość ludzi starała się zachować względną czystość. Ktoś tak brudny jak mężczyzna, który teraz częstował Aylę swoim specjałem, był niechlubnym wyjątkiem.

- Dziękuję, Laramarze - powiedziała i upiła łyk barmy, choć widok wytwórcy trunku odebrał jej apetyt.

Mężczyzna odpowiedział uśmiechem. Ayla domyślała się, że nie miał zbyt wielu okazji do okazywania życzliwości, a przeczucie podpowiadało jej, że pod uprzejmym grymasem czai się fałsz. Teraz dostrzegła także, że Laramar ma krzywe zęby, ale wiedziała, iż to nie jego wina. Wielu ludzi miało podobny problem, lecz w tym przypadku kłopoty ze zgryzem tylko pogarszały i tak fatalne wrażenie, które mężczyzna sprawiał swym wyglądem.

- Szukałem cię - odezwał się po chwili. Ayla spojrzała nań ze zdziwieniem.

- Niby dlaczego miałbyś mnie szukać?

- Podczas uroczystości pogrzebowych obcy zajmują zwykle ostatnie miejsce w kolumnie, za członkami Jaskini. A ja zauważyłem, że należałaś dziś do pierwszych w kolejce - odparł wyzywająco.

Znachorka dostrzegła niepokój w oczach zirytowanej Marthony.

- Rzeczywiście, powinna była stanąć z tyłu, tam, gdzie twoje miejsce, Laramarze - odrzekła matka Jondalara. - Ale jak wiesz, Ayla wkrótce będzie należeć do Dziewiątej Jaskini.

- Na razie jeszcze nie jest Zelandonii - odparował mężczyzna. - Jest obca.

I obiecana Jondalarowi, a mogę cię zapewnić, że wśród swoich jej pozycja była dość wysoka.

- Zdawało mi się, że wychowali ją płaskogłowi. Nie wiedziałem, że status u płaskogłowych jest ważniejszy od statusu u Zelandonii - nie ustępował Laramar.

- Mieszkając wśród Mamutoi, była uzdrowicielką i córką Mamuta, kogoś w rodzaju naszej Zelandoni - przypomniała stanowczo Marthona. Zdenerwowanie byłej przywódczyni z każdą chwilą stawało się coraz bardziej widoczne. Nie podobało jej się to, że musi tłumaczyć się przed człowiekiem stojącym najniżej w hierarchii Jaskini... zwłaszcza że racja była po jego stronie.

- Shevonarowi jakoś nie za bardzo pomogła, prawda? - rzucił drwiąco mężczyzna.

- Nikt nie zrobiłby dla niego więcej niż Ayla, nawet Pierwsza - odezwał się Joharran, stając w obronie znachorki. - Uśmierzyła ból. Tylko dzięki niej wytrzymał na tyle długo, by ostatni raz zobaczyć swoją partnerkę.

Uzdrowicielka zauważyła, że Laramar uśmiecha się coraz bardziej szyderczo; wyprowadzanie z równowagi członków rodziny przywódcy i spychanie ich do obrony najwyraźniej sprawiało mu przyjemność i w jakiś sposób wiązało się z jej osobą. Ayla żałowała, że nie rozumie, o co chodzi, i postanowiła gdzieś na osobności spytać o to Jondalara. Pojmowała za to doskonale, dlaczego ludzie wypowiadali się o Laramarze z taką niechęcią.

Zelandoni zaczęli już zbierać się wokół szałasów pogrzebowych, ludzie zaś pomału odnosili kościane i drewniane talerze do odległego kąta Pola Zgromadzeń i zrzucali resztki pożywienia na szybko rosnącą stertę. Odpadki miały zostać pozostawione na miejscu, ponieważ wiadomo było, że gdy na wielkim placu zapanuje spokój, pojawią się na nim padlinożercy, dla których kości i resztki mięsa będą ucztą, natomiast szczątki roślinne prędzej czy później same rozłożą się i znikną w ziemi. Była to powszechnie stosowana metoda pozbywania się odpadów. Laramar udał się w stronę stosu resztek wraz z Jondalarem i jego krewnymi - Ayla była pewna, że uczynił to tylko po to, by dalej im dokuczać - a potem, dumny i zadowolony z siebie, zniknął w tłumie.

Gdy ludzie znowu zgromadzili się wokół Zelandoni i szałas pogrzebowego, Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą podniosła z ziemi gęsto tkany kosz z czerwoną ochrą, sproszkowaną przez Aylę.

- Istnieje pięć świętych kolorów - zaczęła wielka donier. - Wszystkie pozostałe barwy są tylko odmianami tych najważniejszych. Pierwszym ze świętych kolorów jest czerwień. To kolor krwi, kolor życia. Niektóre kwiaty i owoce pokazują nam prawdziwą naturę czerwieni, lecz ich żywot jest krótki.

Barwa ta rzadko kiedy bywa trwała. Nawet krew ciemnieje szybko i krzepnąc, przechodzi w brąz. Brąz jest więc aspektem czerwieni; dlatego nazywamy go czasem starą czerwienią. Czerwona ochra, którą wydobywamy z ziemi, jest zaschniętą krwią Wielkiej Matki Ziemi. I choć niektóre jej odmiany bywają prawie tak jaskrawe, jak świeża czerwień, w gruncie rzeczy wszystkie są formami starej czerwieni.

Okryty czerwienią krwi z łona twej matki przyszedłeś na ten świat, Shevonarze. Okryty czerwoną ziemią z łona Wielkiej Matki powracasz w jej objęcia, by narodzić się ponownie w następnym świecie, tak jak narodziłeś się na tym. - Pierwsza rozsypała garść czerwonej ochry na ciele Shevonara, wodząc nad nim ręką od stóp po czubek głowy. - Piątym zaś z podstawowych kolorów jest ciemny, zwany niekiedy czarnym - ciągnęła Zelandoni. Ayla zastanawiała się usilnie nad tym, co się stało z drugą, trzecią i czwartą świętą barwą. - Ciemny jest kolorem nocy, kolorem głębokich jaskiń i kolorem węgla, a więc drewna, z którego ogień wypalił resztkę życia. Niektórzy mówią, że barwa węgla drzewnego jest najciemniejszą odmianą starej czerwieni. Że jest kolorem życia, które przemija. I tak jak życie staje się z wolna śmiercią, tak czerwień staje się czernią, ciemnością. Ciemność to brak życia; to kolor śmierci. Nie ma w nim nawet śladu energii; jak wiecie, nie ma czarnych kwiatów. Prawdziwą odmianę tej barwy znaleźć można tylko na dnie najgłębszych jaskiń.

Shevonarze, ciało, które zamieszkiwał twój elan, umarło i wkrótce znajdzie się w ciemności grobu, powróci do czarnej ziemi powstałej z woli Matki. Lecz twój elan, twój duch, powędruje do świata duchów, wprost do samej Matki, Pierwotnej Dawczyni Życia. Weź ze sobą żywność, którą dajemy ci na czas Podróży do następnego świata. - Masywna kobieta podniosła wysoko talerz ze sporą porcją mięsa, pokazała go wszystkim, a następnie ustawiła na ciele łowcy i posypała sproszkowaną ochrą. - Zabierz ze sobą ulubioną włócznię, abys mógł polować na duchy zwierząt. - Donier ułożyła oszczep w zasięgu ręki zmarłego i ponownie sięgnęła po czerwoną ziemię. - Zabierz i narzędzia, abys mógł wytwarzać nową broń dla myśliwych z następnego świata - dodała po chwili, wkładając rogową prostownicę drzewc pod sztywną dłoń, po czym raz jeszcze rozsypała garść ochry. - Nie zapomnij o tym, czego się nauczyłeś. Niech twoje umiejętności służą ci w

krainie duchów. Nie żałuj życia na naszym świecie. Duchu Shevonara, jesteś wolny, kroczyć pewnie i nie oglądaj się za siebie. Nie zwlekaj. Czeka cię następne życie.

Teraz, kiedy broń i narzędzia leżały u boku, talerz z żywnością zaś na brzuchu zmarłego, ciało zawinięto w matę i mocno zaciągnięto wplecione w nią postronki wokół głowy i stóp, tak że całość przypominała wielki kokon. Długie linki zawiązano kilkakrotnie, toteż ukryte pod plecionką zwłoki wyglądały już tylko jak obły, trudny do rozpoznania kształt. Sieć rozłożoną pod matą i ciałem uniesiono za cztery końce i umocowano do długiej tyczki, która jeszcze niedawno była pniem młodego, prostego drzewka. Kora, którą pozostawiono celowo, sprawiła, że makabryczny ładunek zwisający w sznurowym hamaku nie ślizgał się ani do przodu, ani do tyłu.

Teraz z tłumu wystąpili ci sami mężczyźni, którzy w poświęconej ziemi kopali grób. Ujawszy mocno tyczkę, unieśli ją w górę i oparli na ramionach. Joharran stanął na czele, dźwigając ciężar na lewym barku, Rushemar zaś ułokował się tuż za nim, układając pniak na prawym. Solaban ustawił się z tyłu, wraz z Jondalarem, jednak ponieważ nie dorównywał mu wzrostem, musiał ułożyć na ramieniu miękką podkładkę, na której spoczęła masa tyczki i zwłok.

Pierwsza Wśród Tych Którzy Służyli Matce ruszyła w stronę poświęconego miejsca. Czterej mężczyźni niosący ciało poszli w ślad za nią, otoczeni grupką pozostałych Zelandoni. Za nimi kroczyła Relona z dwojgiem dzieci oraz Ranokol. Reszta Zelandonii ruszyła chwilę potem w takim samym porządku, w jakim ustawiała się do uczty.

Ayla znowu szła obok Marthony, niemal na czele pochodu. Zauważyła, że Laramar przygląda się jej bacznie, idąc powoli w stronę końca kolumny Dziewiątej Jaskini. Kiedy stanął za nimi, miał za sobą już tylko przywódców Trzeciej Jaskini. Lecz choć Manvelar starał się zachować niewielki dystans między swymi ludźmi a żałobnikami z Dziewiątej, Laramar - a wraz z nim jego wysoka, koścista kobieta i gromadka dzieci - starał się opóźnić marsz, by przywódcy Trzeciej z wolna go doganiali. Ayla była niemal pewna, że chciał stworzyć wrażenie, iż maszeruje na czele następnej Jaskini, a nie na szarym końcu poprzedniej - choć przecież wszyscy doskonale wiedzieli, kim jest i jaka jest jej pozycja.

Długa kolumna Zelandonii rozciągnęła się jeszcze bardziej na wąskiej ścieżce wiodącej u podnóża Dużej Skały, a potem na kamiennych stopniach umożliwiających przejście przez Rybny Strumień, biegnący samym środkiem Małej Doliny. Kiedy szlak znowu zbliżył się do Dużej Skały, żałobnicy nadal szli pojedynczo, aż do Przepawy, lecz tam - miast przejść na drugi brzeg i skierować się na południe, jak wtedy, gdy Ayla szła ku Skale Dwóch Rzek - skręcili w lewo, na północ, i wstąpili na inną ścieżkę.

Gdy wkrótce ściana skalna oddaliła się od rwącego nurtu, wędrujący znowu rozeszli się szeroko. Maszerowali parami i trójkami przez trawiastą równinę i dalej, ku łagodnym wzgórzom,



które Ayla widziała wcześniej, spoglądając z Jaskini w dal na przeciwną stronę Rzeki. Słońce opadało już ku zachodniemu horyzontowi, zbliżając się do szczytów wysokich urwisk, gdy żałobnicy dotarli do skały, za którą znajdowała się mała, względnie równa dolinka. Kolumna Zelandonii zwolniła i po chwili zatrzymała się.

Ayla się odwróciła i spojrzała w stronę, z której przyszli. Jak okiem sięgnąć rozciągały się połacie świeżej, letniej zieleni, sięgające ciemnej granicy cienia rzucanego przez klify, za którymi znikła już tarcza słoneczna. Naturalna, blada żółć wapiennych skał, znaczona ciemnymi smugami wypłukanych przez wodę zanieczyszczeń, z wolna zmieniała się w głęboką purpurę. Ponury cień spowijał już także wody płynące u podnóża stromych ścian. W ciemności zniknęły krzewy i niższe drzewa rosnące wzdłuż brzegów i jedynie wierzchołki najwyższych widoczne były jeszcze w ostatniej smudze światła.

Oglądany z tej perspektywy masyw skalny, ozdobiony na szczycie skąpo rozszanymi kępami krzewów i wybujałych traw, wydał się Ayli ponury i zaskakująco obcy. Wpatrując się w mrok, próbowała przypomnieć sobie wszystkie nazwy, których nauczyła się w ciągu paru ostatnich dni. Na południu, tuż nad brzegiem rzeki, pionowe ściany Wysokiej Skały i Dużej Skały zamykały Małą Dolinę. Cofnięte urwiska stanowiące tylną osłonę wielkiego Pola Zgromadzeń przechodziły poszarpaną linią w ciąg skał i nisz tworzących Dolnorzecze, a jeszcze dalej, tam gdzie Rzeka skręcała ostro na wschód, widać było cień gigantycznego nawisu, pod którym żyli mieszkańcy Dziewiętej Jaskini.

Kiedy kondukt ponownie ruszył, Ayla zauważyła, że wielu ludzi ściska w dłoniach pochodnie.

- Czy i ja nie powinnam była pomyśleć o pochodni, Willamarze? - spytała cicho mężczyzną idącego obok niej. - Zanim wrócimy, będzie zupełnie ciemno.

- I ma być ciemno - odrzekła Marthona, wychylając się zza swego partnera. - Nie bój się, nie zabraknie pochodni. Odchodząc z cmentarzyska, ludzie zapalą je, by odnaleźć drogę do domu, chociaż nie wszyscy będą szli w tę samą stronę. Niektórzy pójną tam, inni w dół Rzeki, a jeszcze inni w górę, w stronę miejsca, które nazywamy Strażnicą. Elan Shevonara i inne duchy, które znajdują się w pobliżu poświęconej ziemi, mogą obserwować nasze odejście. Dlatego musimy je zmylić - nawet jeśli zdołają sforsować przeszkody, nie będą wiedziały, za którymi światłami podążać.

Gdy procesja dotarła do cmentarzyska, Ayla zauważyła poruszające się i drżące na wietrze punkty świetlne, a zaraz potem poczuła specyficzny zapach rozchodzący się na sporą odległość. Rodzina Jondalara obeszła wydzielony teren, zbliżając się do rzędu pochodni produkujących więcej

dymu niż światła. Teraz dopiero, w wątłym blasku ogni, znachorka spostrzegła ogrodzenie z rzeźbionych słupków, otaczające poświęconą ziemię.

Te pochodnie dają wyjątkowo mocny zapach - skomentowała.

- Rzeczywiście. Zelandoni przygotowują je specjalnie na ceremonie pogrzebowe. Dzięki nim duchy trzymane są w bezpiecznej odległości i wchodzącym między mogiły nic nie grozi... no, powiedzmy, że grozi im mniej niż zwykle - poprawiła się Marthona. - A jeśli nad cmentarzem unosi się przykry zapach, pochodnie pomagają go znieść.

Przywódcy duchowi sześciu Jaskiń stanęli mniej więcej w równych odległościach we wnętrzu kręgu światła, zapewniając zebranemu tłumowi dodatkową ochronę przed duchami. Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą Matce stanęła nad pustym jeszcze grobem, a wtedy czterej rośli mężczyźni wnieśli swój ponury ładunek. Dwaj z nich obeszlą dół z prawej strony i dołączyli do donier, pozostali zaś przystanęli tam, gdzie miały się znaleźć nogi zmarłego.

Teraz wszyscy czterej znieruchomieli i w milczeniu utrzymywali hamak z ciałem Shevonara nad otwartym grobem. W krąg światła wstąpili członkowie rodziny łowcy oraz przywódcy jego Jaskini. Tłum żałobników zbliżył się do ogrodzenia z bogato rzeźbionych drewnianych palików.

Zelandoni z Dziewiątej Jaskini wystąpiła naprzód. Na moment znieruchomiła, a wraz z nią umilkli i zastygli w bezruchu wszyscy zebrani. Przygnębiającą ciszę przerwał daleki ryk lwa jaskiniowego, a zaraz po nim chichot hieny, lecz niesamowite odgłosy jedynie podkreśliły mroczny nastrój ceremonii - podobnie jak dziwaczny, piskliwy dźwięk, który rozległ się po chwili. Zaskoczona Ayla poczuła, że przechodzą ją ciarki, i nie była w tym odczuciu osamotniona.

Słyszała już kiedyś niezmierną muzykę fletu, lecz było to bardzo dawno. Manen grał na tym instrumencie podczas Letniego Spotkania Mamutoi. Znachorka pamiętała też, że poprowadziła wtedy tradycyjny rytuał pogrzebowy Klanu dla Rydaga, chłopca, który tak bardzo przypominał jej syna. Starszyzna nie wyraziła wówczas zgody na to, by dziecko mieszanej krwi, adoptowane przez Nezzie, poddane zostało ceremonii zgodnej z wierzeniami Mamutoi. Manen jednak zagrał na flecie wbrew zakazom, podczas gdy Ayla w milczeniu przemawiała językiem znaków, starając się przekonać Ducha Wielkiego Niedźwiedzia Jaskiniowego oraz ducha własnego totemu, by zabrały Rydaga do następnego świata Klanu.

Przypomniał jej się także pogrzeb Izy, kiedy Mogur wykonywał te same znaki w zmodyfikowany sposób, jednorącz, nad grobem starej znachorki. I wreszcie pamięć Ayli sięgnęła do chwili śmierci szamana. Weszła wówczas do jaskini tuż po trzęsieniu ziemi i na własne oczy zobaczyła roztrzaskaną spadającymi skałami czaszkę kalekiego mężczyzny, leżącego bez ruchu na

mogile Izy. Sama wykonała wtedy ceremoniał pożegnania, gdyż nikt inny nie odważył się wejść do targanej wtórnymi wstrząsami groty.

Dźwięk fletu obudził jeszcze jedno wspomnienie. Słyszała ten instrument znacznie wcześniej niż u Mamutoi, kiedy grał na nim Manen. Pierwszy raz doświadczyła tego przeżycia podczas Ceremonii Niedźwiedzia Jaskiniowego na Zgromadzeniu Klanu. Mogur z innego Klanu przygrywał wtedy na podobnym instrumencie, choć jego ton był nieco inny niż ten, którego słuchała teraz i dawniej, gdy grał Manen.

Ż zamyślenia wyrwały Aylę słowa Pierwszej, która odezwała się nagle pełnym, dźwięcznym głosem:

Wielka Matko Ziemi, Stwórczym, Ty wezwałeś do siebie jedno z Twoich dzieci. Duch Bizona zażądał ofiary i dostał ją, lecz my, Zelandonii, lud z południowego zachodu tej ziemi, prosimy cię, by to jedno życie wystarczyło. Ten mężczyzna był dobrym łowcą, dobrym partnerem i wytwórcą dobrych oszczepów. Swoim życiem czcił Cię tak jak należy. Prosimy, poprowadź go bezpiecznie ku sobie. Opłakuje go dziś jego partnerka, kochały go jej dzieci, a ludzie darzyli go szacunkiem. Wezwałeś go do siebie w najlepszych latach jego życia. Spraw, by Duch Bizona był zadowolony, Doni, spraw, by wystarczyła mu ta jedna ofiara.

- Niech wystarczy ta jedna ofiara, o Doni - zaintonowali pozostali Zelandoni, a po nich niezbornym chórem powtórzyli tę frazę ludzie ze wszystkich Jaskiń.

Nagle odezwało się donośne, monotonne tłuczenie - dźwięk nie był czysty, gdyż nie wytwarzały go same bębny, ale cały zestaw instrumentów, w tym kilka uderzanych dłońmi skór, rozciągniętych na drewnianych pętlach opatrzonych wygodnymi uchwytami. Dołączył do nich niesamowity flet, którego dźwięk kluczył skomplikowaną linią melodyczną między rytmicznymi uderzeniami instrumentów perkusyjnych. Jego ton zdawał się wyzwalać w żałobnikach emocje - Relona poczęła płakać i lamentować, a po chwili już większość zebranych zalewała się łzami, pojękując i pokrzykując rozpaczliwie.

Do muzyki dołączył znienacka głos - pełny, dźwięczny kontralt - śpiewający pieśń pozbawioną słów, lecz tempem i melodią doskonale wpasowującą się w rytm i trele fletu. Pierwszy raz w życiu Ayla usłyszała ludzki śpiew dopiero, kiedy zamieszkała wśród Mamutoi. Większość mieszkańców Obozu Lwa potrafiła śpiewać, choć niektórzy tylko w chórze z bardziej muzycznymi osobami. Lubiła słuchać ich pieśni i czasem próbowała się włączać, ale z czasem uznała, że opanowanie tej sztuki przekracza jej możliwości. Umiała wydobyć z siebie monotony pomruk, lecz nigdy nie zdołała nadać mu formy melodii. Pamiętała, że niektórzy Mamutoi śpiewali lepiej od innych i podziwiała ich talent, lecz nie słyszała jeszcze głosu tak bogatego i silnego. Głos ten należał do Zelandoni, Pierwszej Wśród Tych Którzy Służą, a Ayla słuchała go w oszołomieniu.

Dwaj mężczyźni trzymający tyczkę z przodu odwrócili się twarzami do tych, którzy stali z tyłu. Wszyscy czterej jak na komendę zdjęli ciężar z ramion i poczęli wolno opuszczać kołyszący się hamak pogrzebowy. Dół nie był zbyt głęboki, a tyczka zdecydowanie odeń dłuższa. Nim oba jej końce spoczęły na ziemi, spowite w matę ciało leżało już na dnie grobu. Mężczyźni rozwiązali linki podtrzymujące sieć, a ich końce także wrzucili do mogiły.

Następnie chwycili brzeg skóry, na którą odłożyli stertę wykopanej ziemi, i przyciągnęli ją nieco bliżej. Długą tyczkę wbili pionowo w piach tuż przy stopach zmarłego, przy jego głowie osadzili zaś palik z rzeźbionym i malowanym czerwoną ochrą abelanem Shevonara, po czym oba kawałki drewna podsypali ziemią tak, by się nie przewróciły. Symbol miał wskazywać miejsce spoczynku łowcy, a jednocześnie ostrzegać, że właśnie tu leży ciało, zatem gdzieś w pobliżu może przebywać zbłąkany elan.

Relona sztywno postąpiła kilka kroków naprzód, ze wszystkich sił starając się panować nad sobą. Kiedy zbliżyła się do kopca, niemal ze złością chwyciła garść ziemi i cisnęła ją do wnętrza grobu. Dwie starsze kobiety poleciły jej dzieciom uczynić podobnie, a potem same nabrały w dłonie piachu i przysypały owinięte trawami ciało. Po nich przyszła kolej na pozostałych żałobników. Kiedy wszyscy dorzucili po garści ziemi, dół został wypełniony, a nadmiar piasku utworzył niewysoki kopiec.

Kilka osób wróciło, by powtórzyć rytuał, gdy nagle Relona opadła na kolana, załkała i zalewając się łzami, rzuciła się na miękką ziemię mogiły. Starsze dziecko podeszło do niej i płakało, piąstkami rozmazując po policzkach łzy. Młodsze, zagubione i przestraszone, podbiegło do grobu i zaczęło ciągnąć matkę za ramię, próbując podnieść ją i pocieszyć.

Ayla przyglądała się temu, zastanawiając się, dokąd poszły dwie starsze kobiety i dlaczego nikt inny nie zajmie się przerażonymi malcami.

## ROZDZIAŁ 16

Po chwili znachorka zauważyła, że matka zaczyna odpowiadać na płaczliwe wołania młodszego dziecka. Relona z wysiłkiem podniosła się na rękach i usiadła, by - nie strzepnąwszy nawet z ubrania świeżej ziemi z mogiły - przytulić dziewczynkę. Tymczasem starszy syn przykucnął obok i objął matkę za szyję. Ona także otoczyła go ramieniem i przez chwilę siedzieli razem, płacząc coraz ciszej.

Ayla stwierdziła, że ich szloch nabrał nieco innego zabarwienia - nie była to już rozpacz w czystej postaci, ale wyraz smutku, wzajemnego zrozumienia i próba pocieszenia. Wreszcie, na sygnał dany przez Pierwszą, Zelandoni, Ranokol i kilku mieszkańców Dziewiątej Jaskini pomogli najbliższymi zmarłego powstać i odprowadzili ich od grobu.

Ból Ranokola po stracie brata był równie wielki, jak cierpienie Relony, lecz mężczyzna okazywał go w odmienny sposób. Przez cały czas zastanawiał się, dlaczego to Shevonar musiał złożyć ofiarę życia, a nie on. Starszy brat miał przecież rodzinę, on zaś nie miał jeszcze nawet partnerki. W duszy Ranokol roztrząsał ten dylemat bez końca, lecz nie znaczy to, że miał ochotę o nim rozmawiać. Gdyby tylko mógł, w ogóle nie uczestniczyłby w ceremonii pogrzebowej, a już na pewno nie przyszedłoby mu na myśl rzucić się dramatycznie na grób zmarłego. Chciał po prostu jak najszybciej przebrnąć przez rytuały i zostawić za sobą tłum żałobników.

- Oddaliśmy Shevonara z Dziewiątej Jaskini Zelandonii, by przytulił się do Twojej piersi, Wielka Matko Ziemi - zaintonowała Zelandoni.

Wszyscy ludzie, którzy zebrali się wokół cmentarza, nadstawili uszu i Ayla wyczuła, że na coś czekają. Spodziewali się czegoś, co lada chwila miało się wydarzyć, i całkowicie skoncentrowali się na osobie donier. Bębny i flety wciąż jeszcze grały, lecz znachorka już dawno przestała zwracać uwagę na ich dźwięk. Teraz jednak usłyszała, że melodia zmieniła się, a chwilę później Zelandoni znowu zaczęła śpiewać:

Z jądra ciemności, z chaosu czyśćca, Z wiru zrodzona Matka najwyższa. Wiedziała zrazu, jak życie cenić - Świat był zbyt pusty dla Matki Ziemi.

Zelandonii odpowiedzieli zgodnym chórem; niektórzy śpiewnie, inni rytmicznym skandowaniem:

Matka, wciąż w samotności. Jedyna zrodzona z Ciemności. Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą śpiewała dalej:

Z prochu narodzin stworzyła Jego: Druha, kompana białosrebrnego. Razem wzrastali z miłością, wiarą, A gdy czas nadszedł, stali się parą.

Żałobnicy odezwali się ponownie krótkim, prosto rymowanym zdaniem:

Od zmroku po błądy ranek, Jej srebrnobiały kochanek.

Ayla zrozumiała, że historia, którą opowiada Pierwsza, jest wszystkim doskonale znana i że Zelandonii czekali niecierpliwie, by usłyszeć ją po raz kolejny. Sama zresztą słuchała z zainteresowaniem i już dała się wciągnąć opowieści o Matce; w napięciu czekała na dalszy ciąg. Z uwagą przyglądała się Zelandoni, która wyśpiewywała kolejne zwrotki, przeplatane odpowiedziami chóru:

Z początku wielka była ich miłość, Lecz serce Matki inaczej biło: Kochała druha, brata jasnego, Lecz czegoś brakło; pragnęła czegoś.

Chciała pełniej żyć. Matką chciała być.

Sięgnęła w pustkę, w ciemność chaosu, By iskrę życia wykraść z rąk losu. Wir wszechmocny, ciemność nieskończona, Chciały ciepło wydrzeć z Matki łona.

Walka to śmiertelna. Matka była dzielna.

Życiowej siły w końcu sięgnęła, Zawarła ją w sobie i - umknęła. Z nowym życiem zniknęła w ciemności, Poczętym z dumy, odwagi, miłości.

Brzemienną była. Życiem się dzieliła.

Mroczne pustkowia i naga Ziemia Czekaly wraz na cud narodzenia. Krew z krwi Wielkiej Matki i kość z kości - Dla niej pęknać miały skalne wnętrzości.

Uwierzcie, jeśli nie wierzycie: Matka dała nowe życie.

Odeszły wody do rzek, jezior, mórz, Zalewając Ziemię i wszere, i wzdłuż. Jej oblicze wkrótce zmieniło się: Spowiły je kokon traw i gąszcz drzew.

Odeszły wody, wszystko się zmieni. Czas skąpać Ziemię w zieleni.

Pluły ogniem szczyty gór rodzących, Wstrząsał nimi ból życie dający. W ochrę krew się zmieniała, gdy krzepła - Warta krwi chwila ta, warta piekła!

Matka patrzy nań już w zachwycie; promiennej istocie dała życie.

Tęsknota ścisnęła gardło Ayli na dźwięk ostatnich słów. Przez chwilę uzdrowicielce wydawało się, że donier i żałobnicy śpiewają o niej i o jej synu, Durcu. Pamiętała doskonale tę walkę i ból, który towarzyszył porodowi, ale nie zapomniała i tego cudownego przeświadczenia, że warto było cierpieć. Była zachwycona dzieckiem. Tymczasem Zelandoni kontynuowała pieśń swym potężnym głosem:

Góry ogniem płuć nie przestawały, Gdy potomek jej ssał ziemskie skały. Mocno ssał; w niebo z iskrą szła iskra, Z iskier mlecznych oto droga gwiazdzista. Życie się zaczyna. Matka karmi syna.

Dlaczego ta historia wydaje mi się taka znajoma, zastanawiała się Ayla. Potrząsnęła głową, jakby chciała, żeby fragmenty zapomnianego obrazka wskoczyły na swoje miejsce. Zdaje się, że Jondalar opowiadał mi o tych sprawach w czasie Podróży...

Śmiał się, igrał, rósł i jaśniał co dnia; Jasności zaś ciemność unikała zła. Czerpał siłę z matczynej miłości Wreszcie wyrósł z dziecięcej słabości.

Kończy się dorastanie. Syn już ma własne zdanie.

Matka wie, skąd się życie zaczyna; Teraz pustka pociąga Jej syna. Matka ofiarowała miłość - za mało. On chce iść, gdzie przygoda, gdzie chaos.

Ciemność była Matki wrogiem. Teraz syn wyrusza w drogę.

Luki w pamięci nie dawały Ayli spokoju. Nie, nie tylko Jondalar, pomyślała. Czuję się tak, jakbym znała tę opowieść, a przynajmniej jej sens. Ale gdzie mogłam ją usłyszeć? I nagle znachorka doznała olśnienia. Losaduna! Nauczyłam się na pamięć wielu rzeczy, o których mi opowiadał! Była wśród nich i ta historia o Matce. Nawet Jondalar recytował fragmenty podczas ceremonii. Może zresztą nie było to dokładnie to samo, a do tego w mowie Losadunai, ale przecież język Zelandonii nie różni się tak bardzo. To dlatego mogłam wszystko zrozumieć, chociaż mówili tak szybko! Ayla słuchała dalej, starając się wywołać z pamięci historię Matki w wersji Losaduny, by na bieżąco dokonywać porównania.

Wymknął się chyłkiem, gdy Matka spała, Ciemność zaś na to tylko czekała: Kusi i mami wizją przygody - W sidłach chaosu jest już syn młody.

W pustce i ciemności - kres Jego jasności.

W zachwycie trwało promienne dziecko, Lecz prawdę wkrótce pojęło przecie: W żalu niewczesnym na próżno walczy; By z pustki uciec sił mu nie starczy.

W chaosu próżni okropnej tkwi dziecko tak nieroztropne.

Lecz gdy mrok wciągał go w otchłań zimną, Matka zbudziła się i dłoń zwinną Ku synowi na czas wyciągnęła - Lecz na pomoc już czas przyjaciela.

Matka trzyma Promiennego. Na odsiecz woła Srebrzystego.

Ayla uśmiechnęła się lekko, przewidując, jaka będzie treść kolejnych wersów, a przynajmniej ich ogólny sens: Matka Ziemia opowie staremu przyjacielowi, Księżycowi, o tym, co spotkało Jej syna.

Srebrzystemu sprzed lat kochankowi Los swój streszcza bolesnymi słowy, On zaś zgadza się walczyć z ciemnością Matki syna zbawić przed nicością.

A teraz chór doda swoje zdanie, pomyślała Ayla. Więc to tak należy przekazywać tę historię... Najpierw Losaduna lub Zelandoni opowiada swoją wersję, a potem chór podsumowuje ją, odpowiada lub streszcza na swój sposób:

Nie wstydziła się swojej słabości. Rzekła mu o podstępnej ciemności.

Po chwili ponownie rozległ się głos Zelandoni:

Matka była znużona, bez siły, Stała do boju kochanek miły. Spała - zmagał się z pustką dla niej; Na czas jakiś wir zdusił w otchłani.

Mocarny duch jego był. Czy na długo wystarczy mu sił?

Bładosrebrzysty druh mężnie stawał W boju, co nie kończący się zdawał. Lecz znużony wreszcie przymknął oko - Mrok spowił cały świat swą powłoką.

Srebrnemu sił brakło. Słabło jego światło.

Wielka Matka z krzykiem się ocknęła, Gdy czasza nieba w mroku zniknęła. I walczyła jak lwica zraniona, By przyjaciel w ciemności nie skonał.

Zbawiła tego, co lśnił srebrno i biało, lecz dla syna sił jej nie stało.

Uwięzła w wirze promienne dziecię, Mróz zapanował na całym świecie. Śniegi i lody zieleni zakryły,

Północne wiatry dzień i noc wyły.

Zagłada dla Ziemi nastąpiła. I trawa nie ocalała!

Matka, znużona, zdjęta rozpaczą, Raz jeszcze bój jest gotowa zacząć. Nic dla niej rany na duszy, ciele - Światłość jej syna znaczy zbyt wiele.

Matka go nie porzuci. Jasność musi wrócić!

I srebrny partner gotów był rzucić Na szalę wszystko, aby ukrocić Potęgę mroku. Razem ruszyli, Parli, ciągnęli, aż... zwyciężyli!

Niech pochwalona będzie ich siła! Jasność na świat powróciła!

Wielka Matka Ziemia i Księżyc oswobodzili Słońce, ale nie do końca, pomyślała Ayla, przypominając sobie dalszy ciąg legendy.

Ciemność raz po raz atakowała; Matka ustąpić ani myślała. Darmo szarżuje mrok nieugięty, Albowiem bój to nierozstrzygnięty.

Matka go chroni przed wirem wrogim. Cóż z tego syn został w pół drogi.

Czyżby wersja Zelandonii była dłuższa niż ta, którą opowiadają Losadunai? A może tak się tylko wydaje? Może to śpiew sprawia, że historia robi wrażenie dłuższej, ale przecież wolę tę nową wersję, myślała Ayla. Chciałabym więcej rozumieć. Zdaje się, że melodia zmienia się od czasu do czasu; jedne wersy brzmią inaczej niż inne.

Gdy pierzchał chaos przed Matki siłą, Ciepło słoneczne ku Ziemi biło. Lecz kiedy moc jej słabła, omdlała, O zmroku znowu ciemność wracała. Matka czuła już ciepło syna, lecz pełni szczęścia nie była to godzina.

Z bólem w sercu Wielka Matka żyła: Ciemność od syna ją oddzieliła.



Chciała mieć dziecię we dnie i w nocy; Sięgnęła znów do życiowej mocy.

Na poły straciła pierwszego syna. Nadeszła pora nowe życie wszczynać.

Puściła znowu życia nasienie Na lodem skutą i martwą Ziemię. A lzy ronione nad synem Słońcem W rosy zmieniły się krople drżące.

Życiodajne wody zieleń wróciły, lecz łez Matki Ziemi nie zmyły.

Uwielbiam ten fragment, który teraz nastąpi, pomyślała Ayla. Ciekawe, jak zabrzmiał w wykonaniu Zelandoni...

Z łoskotem wielkim już pęka skała, A z groty wielkiej, co pod nią stała, Na świat wychodzi, aby się pienieć, Nowe potomstwo: to Dzieci Ziemi.

Z łona Matki wprost na Ziemię zstępuje już nowe plemię.

A każde inne: małe i wielkie, Chodzi i lata, płynie i pełźnie. A każde piękne: esencja czysta, Forma skończona, trafna, wieczysta.

Wola Matki, cud prawdziwy: świat jest znowu żywy.

I wszystkie ptaki, ryby, stworzenia, Życ odtąd miały w miejscu zrodzenia, By Matki nigdy więcej w rozterce Nie pozostawić, i z rannym sercem.

Na zawsze miały pozostać blisko Tej, co materię stworzyła wszystką.

Były Jej dziełem, były Jej dumą, Lecz wyczerpana dokońca sumą Dodała to, na co sił jej stało: Dziecię, co będzie ją pamiętać.

Dziecię pełne pokory. Nie skusi go fantazji poryw.

Pierwsza Kobieta, w pełni dojrzała, Przyszła na świat i zaraz musiała Szukać schronienia, jadła i picia, Ucząc się czczyć dar pierwszy: Dar Życia.

Pierwsza Kobieta w dziewiczym kraju. Pierwsza z ludzkiego rodzaju.

Prezenterem drugim był Dar Uczenia, Po nim zaś Dar Rozwagi, Myślenia. By zaś potomstwo chować umiała, Matka jej mądrość życia nadała.

Pierwsza Kobieta wiedziała jak żyć, jak wychowywać, jak trwać i być.

Niewiele mocy w Matce zostało; Esencji Życia dała niemało. Wszystkim swym dzieciom rodzić kazała - I Pierwszej błogosławieństwo dała.

Teraz Kobieta mogła mieć dzieci, ale samotna była na świecie.

Więc Matka, pomna swej samotności, I srebrzystego druha czułości, Ostatkiem siły w łonie jej żyznym, Poczęła być Pierwszego Mężczyzny.

Raz jeszcze dawała sownice. Raz jeszcze dawała życie.

I Ją, i Jego poczęła z siebie, Im we władanie oddała Ziemię, Wody i łady, stworzenie wszelkie, By im służyły w hojności wielkiej.

Mogli się cieszyć świata majątkiem - byle z umiarem, byle z rozsądkiem.

Dzieciom swym Matka Dary oddała, By ich nie zmogła życia nawała. Na koniec jednak Dar Przyjemności Dała im, by Ją czcili w miłości.

Najpiękniej modły do Matki wznoszą ci, co ją chwalą, dzieląc się rozkoszą.

Spojrzała Matka z zadowoleniem Na tych, co ziemskim są dziś plemieniem.

Jeszcze kazała im pary tworzyć,

By Przyjemność z miłością pomnożyć...

Nim spoczęła Matka wśród chwaty - one już bez pamięci kochały. Teraz Dzieci Ziemi są błogosławione. Niech spłynie spokój na Jej ciało znużone.

Ayla czekała jeszcze chwilę, lecz gdy żaden głos nie przerwał ciszy, zrozumiała, że Pieśń Matki dobiegła końca.

Żałobnicy parami i trójkami rozchodzili się do swoich Jaskiń. Niektórych czekała wędrówka aż do północy, inni postanowili przenocować bliżej, u znajomych lub krewnych. Kilkoro akolitów i Zelandoni pozostało na cmentarzysku, by dopełnić nieco bardziej mistycznych rytuałów pogrzebowych. Do swych domostw mieli dotrzeć dopiero rankiem.

Kilku mieszkańców Dziewiątej Jaskini udało się do domu Relony i jej dzieci, by zostać na noc, śpiąc choćby i na twardej podłodze. Wierzono bowiem, że rodzinę zmarłego należy otoczyć ludźmi, tak by jego elan - który, jak to często bywało, mógł nie pojąć jeszcze, że nie należy już do tego świata - nie zakłócał spokoju bliskich. Rozpaczający po stracie krewnych byli szczególnie narażeni na niebezpieczne wpływy bezdomnych duchów. W przypadku ludzi starych nierzadko bywało i tak, że partner lub partnerka zmarłej osoby, idąc w ślad za zbłąkanym elanem, udawali się do następnego świata jeszcze tej samej nocy, kiedy odprawiano ceremonię pogrzebu. Na szczęście Relona była wciąż młoda, a dzieci potrzebowały jej bardziej niż duch mężczyzny ich ogniska.

Ayla znalazła się wśród tych, którzy pozostali z wdową. Partnerka Shevonara wyglądała na ucieszoną takim obrotem sprawy. Jondalar także planował zostać, lecz nim do reszty uporał się z obowiązkami związanymi z pochówkiem, było już bardzo późno. Kiedy więc zajrzał do domostwa Relony, ujrzał tłum gości tak gęsty, że mógł tylko marzyć o wciśnięciu się w ciżbę ze swym imponującym ciałem. Ayla machnęła ku niemu ręką z przeciwległego krańca izby. Wilk stał przy niej i być może właśnie dlatego miała dla siebie nieco więcej miejsca. Gdy jasnowłosy łupacz krzemienia próbował wejść do środka, zbudził niechcący dwóch żałobników i doszedł do wniosku, że przepychanie się między leżącymi nie ma sensu. Marthona, która przysiadła bliżej kotary, poradziła mu, by wrócił do domu. Z jednej strony czuł się winny, zostawiając bliskich w cudzym domu, z drugiej jednak poczuł ulgę. Nocne czuwanie, które miało odstraszać zbłąkane duchy, nie było jego ulubionym zajęciem. Zresztą chwilowo miał zdecydowanie dosyć kontaktów z

nadnaturalnymi zjawiskami; był po prostu zmęczony. Brakowało mu Ayli, gdy wpełzał między ciepłe futra, ale szybko zapadł w mocny sen.

Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą udała się do swego domu, gdy tylko dotarła do Jaskini. Wkrótce czekała ją kolejna Podróż do następnego świata, chciała więc pomedytować, przygotować się duchowo na to przeżycie. Zdjęła z piersi płytkę z mamuciej kości, obróciła nie ozdobioną stroną do wierzchu i pozostawiła przed wejściem. Zamierzała nie tylko poprowadzić ducha Shevonara ku krainie duchów, ale także poszukać w niej elana Thonolana. Jednak w tym celu musiała skorzystać z pomocy Jondalara i Ayli...

Jondalar obudził się, czując silną potrzebę popracowania nad nowymi narzędziami. Choć starał się tego nie okazywać, nie czuł się pewnie, biorąc udział w skomplikowanych obrzędach, w które angażował się ostatnimi czasy. Łupanie krzemienia było dlań nie tylko rzemiosłem, ale i przyjemnością, ciężka praca zaś nad solidnym kawałkiem skały - dobrym sposobem na puszczenie w niepamięć spraw związanych z nieuchwytnym i złowrogim światem duchów.

Sięgnąwszy do zawiniątka, wyjął bryły krzemienia, które wydobył w kopalni Lanzadonii. Swego czasu Dalanar uważnie obejrzał te fragmenty, wykopane w miejscu, z którego sływał jego lud. Udzielił też Jondalarowi rad co do przeznaczenia poszczególnych kawałków i pomógł usunąć zbędny materiał, tak by w podróże juki wędrowców schować tylko czyste, gotowe do obróbki bryły. Konie potrafiły wprawdzie unieść znacznie większy ładunek niż ludzie, lecz krzemień był wyjątkowo ciężki, toteż ilość surowca, który Jondalar mógł zabrać ze sobą, była ograniczona. Teraz jednak, przyglądając się ponownie wybranym kawałkom, raz jeszcze docenił ich doskonałą jakość.

Wybrał spośród nich dwa nieduże kamienie, a resztę odłożył i sięgnął po skórzaną torbę z narzędziami do obróbki krzemienia. Rozwiązawszy rzemienie, wyciągnął kilka kościanych i rogowych młotków oraz pobijaków, a także dobrze wyważonych kamieni, i bardzo uważnie obejrzał każde z narzędzi. Zadowolony, zawinął sprzęt w skórę wraz z wybranymi kamieniami, gotów udać się na poszukiwanie ustronnego miejsca do pracy - odłamki skalne bywały bardzo ostre i zazwyczaj fruwały w nieprzewidzianych kierunkach, toteż poważni łupacze zawsze woleli trzymać się z dala od uczęszczanych ścieżek, zwłaszcza tam, gdzie pełno było bawiących się boso dzieci i ich zabieganych matek czy opiekunek.

Jondalar odsunął ciężką zasłonę i wyszedł przed dom matki. Zadarł głowę i popatrzył w stronę krawędzi nawisu, a ściślej na widoczne poza nią szare, zasnuwane gęstymi chmurami niebo. Nieprzyjemna mżawka zatrzymała niemal wszystkich w wielkiej skalnej niszy Dziewiętej Jaskini. Obszerny plac opodal skupiska domostw tętnił teraz życiem. Mieszkańcy osady nie pracowali codziennie w wyznaczonych godzinach, lecz ta pora dnia zdawała się odpowiadać niemal

wszystkim. Wokół placu ustawiono skórzane przepierzenia, a tam, gdzie ich zabrakło, rozwieszono na linkach grube futra, by osłonić miejsce pracy przed chłodnym wiatrem i niesionymi przezeń kropelkami dżdżu. Rozpalono też kilka dodatkowych ognisk, dających niezbędne światło i ciepło, lecz mimo to nie sposób było wytrzymać bez grubej odzieży.

Mężczyzna uśmiechnął się, widząc idącą w jego stronę Aylę. Kiedy stanęła przed nim, przywitali się, dotykając się policzkami. Jondalar poczuł jej kobiecy zapach i natychmiast przypomniał sobie, że tej nocy nie spędzili razem. Ogarnęło go nagłe pragnienie, by zaciągnąć piękną znachorkę do domostwa matki i dokonać na posłaniu z futer tego, co ze snem miało niezmiernie mało wspólnego.

Właśnie cię szukałam - powiedziała Ayla.

- Mam dzisiaj ochotę popracować nad kamieniami z kopalni Dalanara. Chcę zrobić nowe narzędzia - odrzekł, unosząc wyżej znajome, skórzane zawiniątko. - Niestety, wygląda na to, że wszyscy postanowili dziś pracować - dodał, spoglądając na zatłoczony plac pod nawisem. - Będę musiał pójść gdzie indziej.

- Ale dokąd? - spytała Ayla. - Zamierzałam iść teraz do koni, ale potem chciałabym popatrzeć, jak pracujesz.

- Chyba pójdę do Dolnorzecza. Tam nigdy nie brakuje dobrych łupaczy. Chciałabyś, żebyś pomógł ci przy koniach? - spytał po chwili namysłu.

- Nie, chyba że sam chcesz - odparła uzdrowicielka. - Sprawdzę tylko, co u nich słychać. Nie zamierzam jeździć; może wezmę ze sobą Folarę i przekonam się, czy starczy jej odwagi, żeby wsiąść na grzbiet Whinney. Mówiłam jej, że będzie mogła spróbować, i spodobał jej się ten pomysł.

- Zabawnie byłoby popatrzeć, jak sobie radzi, ale naprawdę chciałbym dziś popracować nad narzędziami - odpowiedział Jondalar.

Razem zbliżyli się do placu, po czym jasnowłosy łupacz ruszył w stronę Dolnorzecza, Ayla zaś i Wilk zatrzymali się, by poszukać Folarę. Mżawka zmieniła się tymczasem w rześisty deszcz. Czekać na bardziej sprzyjający moment na przechadzkę, kobieta poczęła przyglądać się poczynaniom najpierw jednej z pracujących osób, a potem kolejnych. Zawsze fascynowały ją rozmaite odmiany rzemiosła i poznawanie nowych, przydatnych czynności; łatwo też zapominała o innych sprawach, gdy coś ją zaciekało. Na placu panował ruch, lecz atmosfera pracy była nader swobodna. Niektóre zajęcia wymagały absolutnej koncentracji, większość jednak polegała na żmudnym powtarzaniu tych samych ruchów, co sprzyjało prowadzeniu rozmów i wzajemnym wizytom. Większość pracujących odczo odpowiadała na pytania znachorki, pokazywała co ciekawsze techniki i wyjaśniała kolejność czynności.

Ayla dostrzegła wreszcie Folarę, która wraz z Marthoną naciągała właśnie linki krosna i zdecydowanie nie mogła zostawić matki bez pomocy, choć bardzo chciała odwiedzić konie. Znachorka zostałaaby chętnie, żeby przyjrzeć się budowie przyrządu, ale czuła, że powinna poświęcić Whinney i Zawodnikowi trochę czasu. Obiecała więc Folarze, że razem wybiorą się do doliny przy najbliższej okazji, po czym zaczęła, aż deszcz zelżał i żwawo pomaszerowała ścieżką w dół, mając nadzieję, że zdąży uniknąć nawrotu ulewy.

Konie były w świetnej formie i z zadowoleniem powitały Aylę i Wilka, którzy musieli jednak przemierzyć niemal całą Leśną Dolinę, by je znaleźć. Zwierzęta odkryły bowiem małą, leżącą w zagłębieniu terenu polankę, porośłą świeżą, soczystą trawą. Źródło, które biło opodal, utworzyło pośrodku niej małą nieckę pełną czystej wody, rosnąca zaś obok kępa drzew zapewniała schronienie przed deszczem. Jelenie, które także upodobały sobie to miejsce, umknęły, gdy tylko zobaczyły kobietę i wilka, a także biegnące w ich stronę konie.

Ktoś już na nie polował, pomyślała Ayla. Możliwe, że w normalnych warunkach byłyby ostrożne i przyglądałyby się Wilkowi nieufnie, ale dojrzały, zdrowy jelen z całą pewnością nie uciekałby przed pojedynczym drapieżnikiem. Wiatr zaniósł w ich stronę mój zapach, a doświadczenie nauczyło je zapewne, że ludzimyśliwych należy się bać.

Słońce wyjrzało na chwilę zza chmur i Ayla dostrzegła wśród traw zeschnięte, zeszłoroczne główki kwiatowe szczeci. Ściąła je szybko i szorstkim suszem szesała sierść Zawodnika i Whinney. Kończąc pielęgnację koni, zauważyła, że Wilk zeszywniał nagle, wpatrzony w kępę krzaków. Sięgnęła po procę, zatkniętą za ramię podtrzymujący w pasie jej nogawice, i podniosła jeden z kamieni wyściełających brzegi sadzawki. Drapieżca rzucił się naprzód, by wypłoszyć z zarośli parę dorodnych zajęcy. Pierwszy padł ogłuszony celnym strzałem z procy; drugiego Ayla pozostawiła Wilkowi.

Ponure, szare obłoki znowu przesłoniły słońce. Znachorka spojrzała w niebo i widząc niksący rąbek świetlistej tarczy, zdziwiła się, że przedpołudnie minęło jej tak szybko. Ostatnie dni, pełne wydarzeń i wrażeń, płynęły jej w zawrotnym tempie. Cieszyła się, że choć przez chwilę nikt niczego od niej nie żąda i nie oczekuje. Kiedy jednak znowu zaczął siąpić deszcz, postanowiła dosiąść Whinney i wrócić do Dziewiętej Jaskini. Zawodnik i Wilk posłusznie ruszyli za nią. Z zadowoleniem stwierdziła, że rozpadało się na dobre dopiero w chwili, gdy znalazła się pod osłoną skalnego nawisu. Zeskoczyła na ziemię i poprowadziła konie po rozległej półce skalnej, mijając skupisko domostw i kierując się ku rzadziej odwiedzanym zakątkom niszy.

Po drodze przechodziła obok ogniska i siedzących przy nim mężczyzn. Wprawdzie nie rozpoznała gry, ale z zachowania zebranych wnosiła, że zajmują się hazardem. Mężczyźni na moment zaprzestali zabawy i odprowadzili ją niechętnym wzrokiem. Pomyślała mimowolnie, że to

wyjątkowo nieuprzejme z ich strony, i postanowiła, że nie zaszczyci ich ani jednym bezpośrednim spojrzeniem. Jednocześnie zaś, wzorem kobiet Klanu, spoglądała na nich ukradkiem, za każdym razem zauważając ogromną liczbę szczegółów. Wiedziała więc, że półgębkiem wymieniają uwagi, i odniosła wrażenie, że wyczuwa dolatującą od nich woń barmy.

Nieco dalej napotkała grupę ludzi zajętych wyprawianiem skór bizonów i jeleni. Pewnie uznali, że w normalnym miejscu pracy zrobiło się zbyt tłoczno, pomyślała Ayla. Doprowadziła konie niemal do końca tarasu, w pobliże małego strumyka, który oddzielał Dziewiątą Jaskinię od Dolnorzecza. Uznała, że byłoby to niezłe miejsce na wzniesienie zimowego schronienia, i zdecydowała, że porozmawia o tym z Jondalarem. Wreszcie zatrzymała wierzchowce u wylotu ścieżki wiodącej w dół, nad Rzekę, i puściła je wolno, by przekonać się, jakiego wyboru dokonają. Kiedy ruszyły w stronę doliny, Wilk po chwili wahania pobiegł za nimi. Zawodnik i Whinney najwyraźniej wolały moknąć i pożywiać się na nadrzecznym pastwisku, niż stać na kamiennej płycie tylko po to, by uchronić się przed deszczem.

W pierwszej chwili Ayla pomyślała, że najwyższy czas zajrzeć do Jondalara, lecz zmieniła zdanie i wróciła do ludzi wyprawiających skóry. Dla większości z nich przerwa na rozmowę była przyjemnością, zwłaszcza że nadarzyła im się okazja nawiązania bliższej znajomości z kobietą, która miała władzę nad wilkiem i końmi. Znachorka zauważyła, że jest między nimi także Portula - dziewczyna uśmiechała się do niej, wyraźnie próbując naprawić stosunki po swym niefortunnym udziale w niesławnym "żarcie" Marony.

Ayla od dawna już zamierzała sporządzić nowe ubrania dla siebie, Jondalara i dziecka, które nosiła pod sercem. Teraz przypomniała sobie, że na polowaniu udało jej się zabić młodego jelenia. Zastanawiała się, gdzie mogło zniknąć ubite zwierzę, ale uznała, że na początek wystarczy, jeśli z myślą o miękkim stroju dla niemowlęcia zajmie się przynajmniej zajacem zwisającym u jej pasa.

- Jeśli starczy dla mnie miejsca, chciałabym gdzieś oskórować tego zajaca - zwróciła się do gromadki zerkających na nią dyskretnie kobiet.

- Miejsca wystarczy na pewno - odrzekła Portula. - A ja chętnie pożyczę ci narzędzia, jeśli potrzebujesz.

- Dziękuję, Portulo, przydadzą się. Wprawdzie narzędzi mam pod dostatkiem - w końcu jestem kobietą Jondalara - dodała uzdrowicielka, uśmiechając się krzywo - ale oczywiście nie wzięłam ich ze sobą.

Ayla dobrze czuła się w otoczeniu pracowitych ludzi, zajętych robotą, na której znali się najlepiej. W każdym razie atmosfera osady Zelandonii różniła się zasadniczo od tej, która

panowała w jej jaskini w Dolinie Koni. Przypomniała jej o czasach dzieciństwa w klanie Bruna, gdzie wszyscy pracowali razem.

Wypatroszenie i oskórowanie królika nie zajęło jej wiele czasu.

- Nie pogniewasz się, jeśli zostawię tu skórę i mięso? - spytała Portulę, kiedy skończyła. - Muszę pójść do Dolnorzecza. Zabiorę je w drodze powrotnej.

- Popilnuję wszystkiego - odrzekła ochotczo dziewczyna. - Jeśli chcesz, zabiorę twoją zdobycz do siebie, gdybym musiała wrócić do domu, zanim się pojawisz.

- Byłabym bardzo wdzięczna - zapewniła ją uprzejmie Ayla. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że Portula stara się być przyjacielska, i doceniała jej wysiłki. - Niedługo wrócę - rzuciła na pożegnanie.

Kiedy przeszła po moście z bali nad strumieniem, z daleka zobaczyła Jondalara i kilku innych rzemieślników pracujących w pierwszej niszy. Pomyślała, że miejsce to musiało służyć łupaczom krzemienia od wielu, wielu lat. Na skalnej płycie zaległy przez ten czas pokłady drobin kamiennych o ostrych krawędziach. Nikt rozsądny z pewnością nie odwiedzał tego miejsca boso.

- O, jesteś - rzekł Jondalar na powitanie. - Właśnie zbieraliśmy się do powrotu. Przed chwilą był tu Joharran. Powiedział, że Proleva przygotowała dla wszystkich posiłek z mięsa jednego z bizonów. Jest w tym coraz lepsza; obawiam się, że ludzie za bardzo przyzwyczajają się do tego ucztowania. Ale faktem jest, że wszyscy pracowali dziś wyjątkowo ciężko i tak chyba będzie lepiej. Możesz wrócić z nami, jeśli chcesz.

- Nie wiedziałam, że tak szybko minęło pół dnia - odrzekła, ze zdziwieniem kręcąc głową.

Kiedy ruszyli w stronę Dziewiętej Jaskini, ujrzała w oddali Joharrana. Nie widziała go, gdy szła w przeciwną stronę. Pewnie minął mnie, kiedy rozmawiałam z Portulą i innymi kobietami, sprawiając tego zająca, pomyślała. Zauważyła, że przywódca kieruje się w stronę ogniska, przy którym siedzieli nieuprzejmi mężczyźni.

Spiesząc na spotkanie z rzemieślnikami pracującymi w Dolnorzeczu, by powiedzieć im o posiłku przygotowanym przez Prolevę, Joharran dostrzegł Laramara i kilku jego kompanów zajętych grą. Irytowało go ich lenistwo - zabawiali się przy ognisku, w którym płonęło drewno zebrane zapewne przez kogoś innego, podczas gdy reszta społeczności uczciwie pracowała. Widząc ich ponownie teraz, w drodze powrotnej, przywódca Dziewiętej Jaskini postanowił powiedzieć im, co myśli o takiej postawie. Byli pełnoprawnymi członkami tej społeczności, lecz najwyraźniej nic sobie nie robili z obowiązków, które spoczywały na nich z tego tytułu.

Kiedy zbliżał się do ogniska, mężczyźni pogrążeni byli w rozmowie i nie zauważyli nawet, że ktoś nadchodzi. Dzięki temu udało mu się usłyszeć fragment pogawędki.

- .. .A czego można się spodziewać po kimś, kto uczył się uzdrawiania od płaskogłowych?

Czy te zwierzęta w ogóle mają pojęcie o leczeniu ran?

- Żadna z niej uzdrowicielka. Przecież Shevonar umarł, prawda? - zgodził się Laramar.

Nie było cię przy tym, Laramarze! - huknął zniechęca Joharran, starając się mimo wszystko zapanować nad nerwami. - A to dlatego, że jak zwykle nie zadałeś sobie trudu dołączenia do polujących.

- Byłem chory - odparował mężczyzna.

- Bo wyżłopałeś za dużo tej swojej barmy. Ale wiedz, że nikt nie mógłby uratować Shevonara. Ani nasza Zelandoni, ani nawet najlepsza uzdrowicielka, jaka kiedykolwiek żyła. Stratował go bizon, rozumiesz? Jakim cudem miałby przeżyć, skoro przebiegł po nim dorodny byk? Gdyby nie starania Ayli, wątpię, czy Shevonar dotrwałby do przybycia Relony. To ona znalazła sposób, żeby ulżyć jego cierpieniu. Uczyniła wszystko, co w ludzkiej mocy. Nie rozumiem, dlaczego rozpuszczasz wredne plotki na jej temat. Co ona ci zrobiła? - Joharran umilkł na chwilę, gdy Ayla, Jondalar i rzemieślnicy z Dolnorzecza przechodzili obok.

- Jak możesz podkraść się tak i podsłuchiwać czyjąś rozmowę? - skontrował Laramar, nieco speszony atakiem przywódcy.

- Zbliżenia się do kogoś otwarcie w biały dzień nie nazwałbym podkradaniem się, Laramarze. Przyszedłem tu, żeby wam powiedzieć o posiłku, który Proleva przygotowała z pomocą kilku kobiet... między innymi dla was - odrzekł Joharran. - A to, co usłyszałem, zostało powiedziane głośno. Raczej nie mogłem zamknąć na to uszu, prawda? - dodał złośliwie, po czym zwrócił się do pozostałych. - Zelandoni jest przekonana, że Ayla jest dobrą uzdrowicielką. Dlaczego więc nie mielibyśmy dać jej szansy? Powinniśmy się cieszyć, że przyszedł do nas ktoś tak zdolny. Kto wie, kiedy ktoś z nas będzie potrzebował pomocy Ayli? A teraz... przyjdziecie na ten posiłek czy nie? - Przywódca Jaskini spojrzał prosto w oczy każdemu z mężczyzn - dając im tym samym do zrozumienia, że rozpoznaje ich i zapamięta, kogo zastał przy ognisku - po czym odszedł.

Gracze rozchodzili się z wolna, podążając kolejno w ślad za Joharranem, ku przeciwległemu krańcowi tarasu. Niektórzy z nich zgadzali się ze zdaniem przywódcy - przynajmniej w tym, że należy dać Ayli szansę, by dowiodła swojej wartości - ale kilku nie potrafiło lub nie chciało pozbyć się uprzedzeń. Laramar, który jeszcze przed chwilą potakiwał mężczyźnie obmawiającemu znachorkę, tak naprawdę nie miał zdania co do jej kompetencji. Zawsze podążał ścieżką, która w danej chwili wydawała mu się najłatwiejsza.

Wędrując z grupą rzemieślników z Dolnorzecza pod parasolem skalnego nawisu osłaniającego osadę przed przybierającym na sile deszczem, Ayla rozmyślała o obfitości talentów i



umiejętności, którymi Matka obdarzyła mieszkańców Jaskini. Najczęściej ludzie lubili pracować, choć realizowali swoje wizje, używając najrozmaitszych materiałów. Niektórzy, jak Jondalar, wybrali krzemień, z którego wyrabiali narzędzia dla wielu rzemieślników oraz broń myśliwską. Inni wybierali drewno, mamucie ciosy lub kość, a jeszcze inni nadające się do tkania włókna lub zwierzęce skóry. Znachorka uświadomiła sobie nagle, że są i tacy jak Joharran, których interesuje praca z ludźmi.

Wyczuwając w powietrzu nęcący zapach jadła, zrozumiała i to, że przyrządzanie pożywienia również może być przyjemnością. Skłonność Prolevy do angażowania się w przygotowanie biesiad także musiała wynikać z jej zamiłowania do tego typu pracy - zapewne i ten naprędce zaaranżowany posiłek, którego aromat docierał do nozdrzy powracających łupaczy, był raczej owocem zainteresowań partnerki przywódcy niż przymusu. Ayla zastanowiła się nad sobą. Co tak naprawdę najbardziej lubiła robić? Interesowało ją wiele spraw i z pasją uczyła się nowych czynności, ale nade wszystko uwielbiała być znachorką, uzdrowicielką.

W pobliżu placu, na którym mieszkańcy osady wykonywali swe codzienne zajęcia, rozpoczęto już serwowanie południowego posiłku. Dotarłszy na miejsce, Ayla dostrzegła jednak, że tuż obok trwają przygotowania do czynności nieco mniej przyjemnych niż objadanie się specjałami Prolevy, ale niezbędnych. Na drewnianych słupkach, kilka stóp nad ziemią, rozwieszono sieci służące do suszenia mięsa niedawno upolowanych zwierząt. Cały kamienny taras pod masywnym abri pokrywała warstwa gleby, w jednych miejscach niezwykle cienka, w innych zaś wystarczająco głęboka, by można było wbić w nią drewniane paliki. Niektóre wsporniki wciśnięto na stałe w naturalne szczeliny podłoża lub podparto mniejszymi drążkami. Tam, gdzie nie było innego sposobu, obsypano dolne części słupków ciężkimi kamieniami.

Nie brakowało także lekkich, przenośnych, pospiesznie powiązanych rusztowań, które spełniać miały zapewne tę samą funkcję, tyle że łatwo było odstawić je gdzieś pod ścianę, gdy przestawały być potrzebne. Kiedy jednak zbliżał się czas suszenia owoców lub mięsa, z równą łatwością można było przynieść je i rozstawić. W wyjątkowych wypadkach mięso suszono w miejscu, w którym odbyło się polowanie, lub na trawiastej równinie u stóp urwiska, lecz czy to ze względu na ryzyko opadów, czy też na skłonność ludzi do pracy w pobliżu domu, zazwyczaj korzystano z napowietrznych sieci i systemu linek.

Część małych - kształtem zbliżonych do języka - kawałków mięsa suszyła się już na drewnianych stelazach, przydając gotującym się potrawom dodatkowego aromatu, zwłaszcza że w okolicy płonęło kilka małych, silnie dymiących ognisk, których zadaniem było odstraszenie owadów. Ayla i Jondalar właśnie otrzymali swoje porcje i szukali wygodnego miejsca, gdy ujrzeli Joharrana maszerującego zwawym krokiem z dość ponurą miną.

- Nie sądzisz, Jondalarze, że twój brat wygląda na rozzłoszczonego? - spytała cicho znachorką.

Mężczyzna popatrzył badawczo na Joharrana.

- Chyba masz rację - przyznał. - Ciekawe, co się stało?

Jondalar i Ayla spojrzeli po sobie i bez zbędnych komentarzy ruszyli w stronę ponurego przywódcy, Proleyy, jej syna Jaradala, Marthony i Willamara. Powitano ich ciepło i szybko zrobiono im miejsce. Wydawało się oczywiste, że Joharran jest przygnębiony, ale na razie nic nie wskazywało na to, by miał ochotę o tym rozmawiać, a przynajmniej nie w takim gronie. Zebrani uśmiechnęli się sympatycznie, gdy Zelandoni postanowiła do nich dołączyć. Kobieta spędziła przedpołudnie w swoim domostwie i wyszła dopiero teraz, gdy zapracowani mieszkańcy Jaskini zgromadzili się na wspólnym posiłku.

Podać ci coś? - spytała uprzejmie Proleva.

- Pościłam i medytowałam od rana, przygotowując się do poszukiwań, i nadal będę ograniczać posiłki - odparła Zelandoni i spojrzała na Jondalara w taki sposób, że poczuł Słę bardzo nieswojo. Ogarnął go lęk, że nieprzyjemne spotkania ze światem duchów być może jeszcze nie dobiegły końca. - Mejera przyniesie coś dla mnie. Poprosiłam już Folarę, żeby jej pomogła. Mejera jest akolitką u Zelandoni z Czternastej Jaskini, ale nie jest zadowolona ze swej mistrzyni i chciałaby przenieść się tutaj, zostać moją uczennicą. Muszę to dobrze przemyśleć, rzecz jasna, i oczywiście zapytać cię, Joharranie, czy zechcesz przyjąć tę dziewczynę do naszej Jaskini. Jest dość nieśmiała i brak jej wiary we własne siły, ale z pewnością ma talent. Nie mam nic przeciwko podjęciu się szkolenia, ale jak wiesz, z Czternastą trzeba postępować ostrożnie - dodała Zelandoni, po czym spojrzała na Aylę. - Spodziewała się, że zostanie wybrana Pierwszą - wyjaśniła donier. - Tylko że Zelandoni woleli mnie. Próbowwała ze mną walczyć, sprowokować do ustąpienia. To było moje pierwsze prawdziwe wyzwanie i choć zmusiłam Czternastą do odwrotu, chyba nigdy nie zaakceptowała wyboru dokonanego przez pozostałych Zelandoni. Nigdy też nie wybaczyła mi tego, że wygrałam.

Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą znowu zwróciła się do wszystkich.

Wiem, że oskarży mnie o próbę odebrania jej najlepszych akolitów, jeśli tylko przyjmę Mejerę, ale przede wszystkim muszę myśleć o tym, co będzie najkorzystniejsze dla całej społeczności. Jeżeli istnieje niebezpieczeństwo, że dziewczyna nie przejdzie szkolenia, które może w pełni rozwinąć jej talent, nie mogę się przejmować czyjąś urażoną dumą. Jednak z drugiej strony, jeśli wśród pozostałych Zelandoni znalazłby się ktoś, kto chciałby zostać jej mistrzem, być może uda mi się uniknąć konfrontacji z Czternastą. Dlatego chciałabym poczekać z decyzją aż do Letniego Spotkania.

- Mądre posunięcie - oceniła Marthona i zerknęła na Folarę, która właśnie przyprowadziła Mejerę.

Młoda akolityką niosła w dłoniach dwie miski, siostra Jondalara zaś dźwigała prócz miski także worek z wodą. Kawalki mięsa wetknęła też w mieszki zawieszono u pasa. Mejera podała Pierwszej naczynie z poprzedzonym bulionem, spojrzęła z wdzięcznością na Folarę, z obawą na Aylę i Jondalara, a następnie z wielkim zainteresowaniem na własny talerz.

Chwilę niezręcznego milczenia przerwała Zelandoni.

- Nie wiem, czy wszyscy znacie już Mejerę.

- Ja znam twoją matkę i mężczyznę twojego ogniska - powiedział Willamar, zwracając się bezpośrednio do dziewczyny. - Masz rodzeństwo, prawda?

Tak, siostrę i brata - odrzekła Mejera. W jakim wieku?

- Siostra jest trochę młodsza ode mnie, a brat mniej więcej w jego wieku. - Akolityką wskazała palcem na syna Prolevy.

- Nazywam się Jaradal. Jaradal z Dziewiętej Jaskini Zelandonii. A ty kim jesteś?

Chłopiec wypowiedział te słowa z tak wielkim - i dobrze wyuczonym - namaszczeniem, że wszyscy obecni po prostu musieli się uśmiechnąć, nie wyłączając spłoszonej dziewczyny.

- Jestem Mejera z Czternastej Jaskini Zelandonii. Pozdrawiam cię, Jaradalu z Dziewiętej Jaskini Zelandonii.

Syn Prolevy uśmiechnął się z zadowoleniem. Ta dziewczyna dobrze rozumie, co jest ważne dla chłopców w tym wieku, pomyślała Ayla.

- Zdaje się, że wszyscy zapomnieliśmy o formalnej prezentacji - rzekł Willamar. Zebrani szybko naprawili ten błąd, witając młodą kobietę ciepłymi słowami.

- Czy wiesz, Mejero, że partner twojej matki, zanim jeszcze ją spotkał, chciał być handlarzem? - spytał Willamar. - Odbył ze mną kilka podróży, nim doszedł do wniosku, że nie chce spędzać tak wiele czasu z dala od swojej kobiety i od ciebie, kiedy już się urodziłaś.

- Nie wiedziałam o tym - przyznała dziewczyna, uradowana, że dowiedziała się czegoś o matce i jej mężczyźnie.

Nic dziwnego, że jest Mistrzem Handlu, pomyślała Ayla. Potrafi rozmawiać z ludźmi. Umie sprawić, że czują się swobodnie. Mejera już się trochę rozluźniła, chociaż nadal przytłacza ją to, że wszyscy zwracają na nią uwagę. Znachorka dobrze rozumiała, co czuje młoda akolityką.

- Prolevo, widziałam, że ludzie zaczynają już suszyć mięso z ostatniego polowania - odezwała się, by ulżyć nieco spłoszonej dziewczynie. - Nie jestem pewna, jak należy je dzielić i kto powinien się tym zajmować, ale chętnie pomogę, jeśli nie ma w tym nic niewłaściwego.

Kobieta uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Jasne, że możesz pomóc, jeśli tylko masz ochotę. Pracy jest mnóstwo, przyda się każda para rąk.

To prawda - przytaknęła Folar. - Dzielenie mięsa jest pracochłonne i nudne, chyba że zajmuje się tym gromada kobiet. Wtedy bywa zabawnie.

- Mięso i połowa tłuszczu trafią do wszystkich, wedle potrzeb - ciągnęła Proleva. - Reszta zwierzęcia, czyli skóra, rogi i kości, należą do tego, kto je upolował. Zdaje się, że oboje z Jondalarem ustrzeliliście po megacerosie i po bizonie. Jondalar zabił tego, który złożył ofiarę z Shevonara, ale zwyczaj nakazuje oddać takie zwierzę Matce. Zakopaliśmy je w ziemi w pobliżu cmentarzyska. Przywódcy postanowili oddać i Jondalarowi, i tobie jeszcze po jednym bizonie. Zwykle węglem drzewnym oznaczamy ubite zwierzęta podczas oprawiania... A skoro już o tym mowa - nikt nie znał twojego abelana, a ty czuwałaś przy Shevonarze, więc ktoś poprosił o pomoc Zelandoni z Trzeciej. To on wymyślił tymczasowy symbol dla ciebie, żeby można było oznaczyć twoje skóry i inne trofea.

- Jak wygląda? - spytał z uśmiechem Jondalar, który zawsze pamiętał własny zagadkowy symbol i interesował się abelanami innych ludzi.

- Zdaje się, że Trzeci uznał cię za osobę opiekuńczą, Aylo - odrzekła Proleva. - Pokażę wam. - Kobieta chwyciła leżący opodal patyk, wygładziła piach i narysowała na nim prostą, pionową linię. Następnie dodała drugą, zaczynającą się przy górnym końcu pierwszej i biegnącą skosem w dół, potem zaś trzecią, po przeciwnej stronie pierwszej. - Moim zdaniem przypomina to namiot albo inne schronienie, do którego można wśliznąć się na czas deszczu.

- Chyba masz rację - orzekł Jondalar. - Nieźle do ciebie pasuje ten abelan, Aylo. Rzeczywiście jesteś opiekuńcza i troskliwa, zwłaszcza wobec chorych i rannych.

- Ja też potrafię narysować mój abelan - oświadczył z powagą Jaradał. Dorośli uśmiechnęli się lekko. Matka oddała chłopcu patyk i pozwoliła odtworzyć na piasku prosty symbol. - A ty? Pamiętasz swój? - zwrócił się do Mejery, kiedy skończył.

- Na pewno pamięta, Jaradału, i z przyjemnością ci go pokaże... później - odpowiedziała Proleva, udzielając synowi łagodnej reprimendy. Odrobina uwagi poświęconej dziecku była jak najbardziej na miejscu, lecz partnerka przywódcy nie zamierzała przyzwyczajając chłopca do tego, że dorośli słuchają go, kiedy tylko sobie tego zażyczy.

- Aylo, jak ci się podoba twój abelan? - spytał Jondalar. Ciekawiła go reakcja kobiety na to, że przypisano jej symbol Zelandonii.

- Jako że nie dostałam elandona z abelanem, kiedy się urodziłam (a przynajmniej nie pamiętam, żeby tak było), nie mam nic przeciwko temu znakowi - odrzekła Aylo. - Jest równie dobry jak każdy inny. Może być moim abelanem.

- A czy Mamutoi nie nadali ci żadnego symbolu? - zainteresowała się Proleva. I ona lubiła poznawać zwyczaje innych ludów.

Kiedy zostałam adoptowana przez Mamutoi, Talut naciął skórę na moim ramieniu, żeby utoczyć trochę krwi. Potrzebował jej do wymalowania kolejnego znaku na płytce, którą nosił na piersiach podczas ważnych ceremonii - odparła znachorka.

- Ale nie był to jakiś specjalny symbol? - indagował Joharran.

Dla mnie był. Do dziś mam po nim bliznę - odpowiedziała, odsłaniając znak na ramieniu. Po chwili przysła jej do głowy jeszcze jedna myśl. - To ciekawe, jak ludzie wynajdują rozmaite sposoby, żeby pokazać, kim są i do kogo należą. Kiedy adoptował mnie Klan, dostałam torebkęamulet z kawałkiem czerwonej ochry w środku. Gdy nadchodzi pora nadania dziecku imienia, mogur używa jej do nakreślenia na jego czole linii biegnącej aż do czubka nosa. Wtedy też obwieszca wszystkim, a zwłaszcza matce, jaki jest totem dziecka, i rysuje go maścią na jego ciele.

- Chcesz powiedzieć, że twoi ludzie Klanu także używają znaków, które ich identyfikują? - zdziwiła się Zelandoni. - Takich jak nasze abelany?

- Myślę, że to dobre porównanie. Kiedy chłopiec staje się mężczyzną, mogur jeszcze raz rysuje totem na jego ciele, ale tym razem robi to, nacinając skórę i wcierając w nią specjalny popiół, tak by powstał tatuaż. Dziewczętom raczej nie nacina się skóry, bo kiedy dorastają, zaczynają krwawić co pewien czas i wtedy ich ciało jest nieczyste. Tylko ja mam znaki na nodze, ale zrobił je sam lew jaskiniowy, który mnie wybrał: to cztery linie od jego pazurów. W Klanie uważa się, że to symbol lwa jaskiniowego, i stąd mogur wiedział, że taki właśnie jest mój totem, choć prawie nigdy nie zdarza się, by patronem kobiety był tak mocny duch. Zwykle jest to totem chłopca, którego przeznaczeniem jest zostać sprawnym łowcą. A kiedy uznano mnie wreszcie za Kobiętę Która Poluje, mogur naciął moją skórę w tym miejscu - tu znachorka przycisnęła palec do szyi tuż nad obojczykiem - żeby świeżą krwią poprawić znak pozostawiony przez lwa na mojej nodze. - Ayla odsłoniła blizny na lewym udzie.

W takim razie masz już abelan. Te cztery linie to twój znak - orzekł Willamar.

- Myślę, że masz rację - powiedziała z namysłem uzdrowicielka. - Nie czuję nic do tego drugiego znaku. Być może dlatego, że stworzono go tylko dla wygody, by ludzie wiedzieli, do kogo należą skóry. Za to totem Klanu, choć nie jest symbolem Zelandonii, znaczy dla mnie bardzo wiele: że zostałam adoptowana, że gdzieś było moje miejsce. Chciałabym, żeby znak pozostawiony przez lwa jaskiniowego stał się moim abelanem.

Jondalar zamyślił się nad tym, co Ayla powiedziała o swoim miejscu, o przynależności. Kiedyś straciła wszystko: nie wiedziała, gdzie się urodziła i przy którym ognisku, kim byli jej ludzie. Potem straciła tych, którzy ją wychowali. Nazwała się "Aylą bez Ludzi", kiedy spotkała

Mamutoi. Teraz dopiero Jondalar uświadomił sobie, jak wiele znaczyła dla niej przynależność do grupy.

## ROZDZIAŁ 17

Natarczywe pukanie w skórzany panel dobiegało z zewnątrz, zza grubej kotary. Zbudziło Jondalara, który leżał teraz na posłaniu, zastanawiając się, dlaczego nikt na niego nie odpowiada. I nagle dotarło do niego, że jest w domu sam. Podniósł się więc z futer, zawołał: "Chwileczkę!", po czym w pośpiechu włożył ubranie. Zdziwił się, kiedy przed wejściem do domostwa matki ujrzał Jonokola, artystę-akolity z Zelandoni. Młodzieniec ten rzadko składał komukolwiek wizytę bez swej mentorki.

Wejdz - powiedział Jondalar.

- Zelandoni z Dziewiątej Jaskini mówi, że już czas - stwierdził uroczyście Jonokol.

Łupacz krzemienia zmarszczył brwi. Nie podobała mu się ta zapowiedź. Nie był pewien, czy dobrze rozumie znaczenie słów akolity, ale przeczucie podpowiadało mu, że dzień nie zapowiada się najlepiej. Na jakiś czas miał dość kontaktów z następnym światem i wcale nie palił się do tego, by je odnawiać.

- Czy Zelandoni nie powiedziała ci, na co już czas? spytał ostrożnie.

Jonokol uśmiechnął się, widząc nagłą nerwowość rosnącego mężczyzny.

- Powiedziała, że ty będziesz wiedział.

- I obawiam się, że wiem - mruknął zrezygnowany Jondalar. - Czy mógłbyś poczekać, aż wrzucę coś na ząb?

- Zelandoni mawia zawsze, że lepiej robić to na czczo.

- Pewnie ma rację. Ale nie zaszkodziłby mi kubek herbaty na przepłukanie ust. Wciąż czuję smak nocy.

- Podejrzewam, że zostaniesz poczęstowany herbatą - odparł Jonokol.

- Możliwe, ale raczej nie miętową, a to jest to, co najbardziej lubię z rana.

- Zelandoni często dodaje miętę do swoich napojów.

- Dodaje, ale nie jako podstawowy składnik. Jonokol tylko się uśmiechnął.

- No dobrze - skapitulował Jondalar, uśmiechając się krzywo. - Już idę. Chyba nikt się nie obrazi, jeśli najpierw pozbędę się nadmiaru wody?

- Z tym akurat nie musisz się wstrzymywać - zgodził się łaskawie młody akolita. - Tylko weź ze sobą ciepłą odzież.

Kiedy Jondalar powrócił z pola rowów, z zaskoczeniem i radością zauważył, że Jonokol czeka na niego z Aylą, która właśnie wiązała wokół pasa rękawy zapasowej, ciepłej tuniki. Pewnie i ją uprzedził, pomyślał mężczyzna. Obserwując dziewczynę z daleka, uświadomił sobie, że

przedostatnia noc była pierwszą, której nie spędzili razem od chwili, gdy podczas Podróży został pojmany przez kobiety S'Armunai. Myśl ta wprawiła go w lekki niepokój.

- Witaj, kobieto - szepnął jej do ucha, kiedy otarli się policzkami i przytulili na powitanie. - Gdzie się podziewałaś dziś rano?

- Poszłam opróżnić nocny kosz - odparła Ayla. - Kiedy wróciłam, Jonokol już na mnie czekał. Powiedział, że Zelandoni nas potrzebuje, więc odszukałam Folarę i poprosiłam, żeby zajęła się Wilkiem. Obiecała, że znajdzie gromadkę dzieciaków, by miał co robić. Byłam też u Whinney i Zawodnika, a po drodze słyszałam odgłosy innych koni. Zastanawiam się, czy nie powinniśmy zbudować dla naszych zagrody.

- Możliwe - zgodził się Jondalar. - Trzeba je zamykać, zwłaszcza wtedy, kiedy dla Whinney przychodzi Czas Przyjemności. Nie chciałbym, żeby dała się porwać dzikiemu stadu. Zawodnik na pewno pobiegłby za nią.

- Najpierw będzie musiała się ożrebić - zauważyła zachorka.

Jonokol z zainteresowaniem przysłuchiwał się rozmowie o koniach i musiał przyznać w duchu, że obcowanie z oswojonymi zwierzętami pozwoliło Ayli i Jondalarowi zebrać pokaźny zasób wiedzy na ich temat. Gawędząc swobodnie, wyszli na taras przed niszą Dziewiętej Jaskini. Łupacz krzemieni spojrzał w niebo.

- Nie wiedziałem, że jest tak późno - powiedział, patrząc prosto w słońce. - Ciekawe, dlaczego nikt nie wpadł na to, żeby obudzić mnie wcześniej.

- Zelandoni uznała, że powinieneś się wyspać, bo być może będziesz na nogach do późnej nocy - wyjaśnił Jonokol.

Jondalar wziął głęboki wdech i bardzo wolno wypuścił powietrze ustami, kręcąc przy tym głową.

- A tak w ogóle to dokąd idziemy? - zagadnął, krocząc obok akolity ścieżką wiodącą do Dolnorzecza.

- Do Skał Fontanny - odrzekł krótko Jonokol. Jondalar wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Skały Fontanny - czyli urwisko z dwiema jaskiniami i przylegającym doń terenem - nie były domem żadnej z Jaskiń Zelandonii; były miejscem znacznie ważniejszym. Uznawano je powszechnie za najświętsze miejsce w całej okolicy. Nikt nie mieszkał tam stale, lecz jeśli istniała jakaś grupa, która mogłaby nazwać to miejsce swoim, to byli nią Zelandoni, Ci Którzy Służyli, było to bowiem sanktuarium Wielkiej Matki Ziemi.

- Muszę się napić wody - rzekł z naciskiem Jondalar, kiedy zbliżyli się do mostu ponad strumykiem czystej wody oddzielającym Dziewiątą Jaskinię od Dolnorzecza.



To, że dał się namówić akolicie na wyjście z domu bez porannej miętowej herbaty, nie oznaczało jeszcze, że pozwoli prowadzić się ku świętej ziemi, nie zaspokoivszy pragnienia.

Nad brzegiem strumienia, o kilka stóp od mostu, wbito w ziemię solidny palik. Przywiązano doń sznurkiem kubek upleciony z podartych na wąskie paski liści rogoży - kiedy nie zabezpieczano naczyń w ten sposób, szybko znikały. Kubki naturalną kolej ą rzeczy zużywały się dość szybko, ale odkąd Jondalar sięgał pamięcią, zawsze wisiał tu jakiś. Już dawno bowiem zauważono, że widok świeżej, płynącej bystro wody wzbudza w ludziach pragnienie. I choć w ostateczności można było pochylić się nad strumieniem i zaczerpnąć jej ręką, kubek ułatwiał życie mieszkańcom osady.

Kiedy wszyscy troje zaspokoili pragnienie, powędrowali dalej mocno wydeptanym szlakiem. Dotarłszy do Przepawy, sforsowali Rzekę i przy Skale Dwóch Rzek skręcili w Dolinę Traw. Po pewnym czasie pokonali brodem jeszcze jedną rzekę i poszli ścieżką wzdłuż jej brzegu. Napotykanii po drodze Zełandonii z innych Jaskiń machali im przyjaźnie rękami, lecz nie próbowali ich zatrzymywać czy zagadywać. Wszyscy Zełandoni z okolicy, łącznie z akolitami, udali się już do Skał Fontanny, a ich współmieszkańcy doskonale wiedzieli, dokąd maszerują Ayla, Jondalar i młody Jonokol.

Mieli też pewne pojęcie o tym, dlaczego maszerują. W małej, żytej społeczności wieści rozchodziły się szybko. Ludzie z okolicznych Jaskiń wiedzieli więc, że para wędrowców przywiozła z Podróży przedmiot, który może pomóc Zełandoni w odnalezieniu błąkającego się ducha Thonolana, zmarłego brata Jondalara. Chociaż zdawali sobie sprawę z wielkiego znaczenia aktu dopomożenia wolnemu elanowi w odnalezieniu właściwego miejsca w świecie duchów, to jednak dla większości z nich perspektywa zajrzenia do owego świata wcześniej niż zostaliby wezwani przez Matkę, była zdecydowanie nieatrakcyjna. Wystarczająco przerażającym przeżyciem było uczestnictwo w obrzędach po śmierci Shevonara, którego elan - niedawno uwolniony - musiał znajdować się w pobliżu. Woleli jednak nawet nie myśleć o tym, jak może wyglądać ceremonia nawiązywania kontaktu z duchem uwolnionym przed laty, i to w bardzo dalekich stronach.

Nawet wśród Zełandoni nie znalazłoby się zbyt wielu śmiazków, którzy gotowi byłiby zamienić się miejscami z Jondalarem i Aylą. Większość zwykłych ludzi zadowalała sytuacja, w której ze światem duchów mieli do czynienia wyłącznie Ci Którzy Służą Matce. Jednakże w tym przypadku nikt nie mógł zastąpić dwojga wędrowców; tylko oni wiedzieli, gdzie zginął Thonolan. Nawet Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą miała świadomość, jak wyczerpujący będzie to dzień, choć jednocześnie myślała z wielkim zainteresowaniem o tym, czy i w jaki sposób uda się odnaleźć zabłąkany elan brata Jondalara.

Ayla, Jondalar i Jonokol szli tymczasem wzdłuż rzeki, aż wreszcie po lewej stronie nad równiną poczęła górować wysoka skalna formacja. Z początku wydawało się, że to gigantyczny

samotny monolit, lecz wkrótce okazało się, że to jedynie skromna zapowiedź dalszych, jeszcze wyższych i jeszcze bardziej stromych zboczy, ciągnących się prostopadle do koryta Rzeki Traw. Okazała bryła otwierająca serię owych klifów wyrastała wprost z dna doliny, łagodnym łukiem rysowały się jej boki, zwężającą się ku górze sylwetę wieńczył zaś płaski, jakby ucięty szczyt. Obchodząc dookoła i uważnie obserwując tę skałę, przy odrobinie wyobraźni można było dopatrzeć się w zaokrąglonych kształtach rysów wielkiej twarzy, w czapie śniegowej podobieństwa do włosów, a poniżej dostrzec wysokie czoło, nieco spłaszczony nos oraz parę niemal zamkniętych oczu, kierujących nieprzeniknione spojrzenie w stronę porośniętego krzakami stoku. Kto wiedział, jak patrzeć na to dzieło natury, rozumiał, że ma przed sobą ukrytą twarz Matki; jeden z niewielu wizerunków, które Ona postanowiła pokazać śmiertelnym ludziom. Nikt jednak nie mógł patrzeć wprost na twarz Matki ani na jej podobiznę, choćby nawet tak doskonale zamaskowaną. Oblicze Doni miało bowiem w sobie niewypowiedzianą moc.

Rząd stromych skał otaczał kolejną, mniejszą dolinkę przeciętą strumykiem, który wpadał do Rzeki Traw. Źródło owej rzeczulki biło z ziemi z tak wielką siłą, że tworzyło niedużą fontannę, otoczoną głęboką sadzawką w samym środku kępy drzew. Zwykle nazywano to miejsce Fontanną Głębin, a wypływającą z niej strugę - Strumieniem Fontanny, lecz Zelandoni stosowali własne nazwy, w większości znane ogółowi mieszkańców okolicznych Jaskiń. Źródło i sadzawka były według nich Wodami Płodowymi Matki, strumień zaś - Błogosławioną Wodą. Nikt nie wątpił w jej lecznicze walory, a szczególnie w moc pomagania kobietom cierpiącym na bezpłodność.

Ku górze prowadziła teraz stroma ścieżka długości mniej więcej tysiąca dwustu stóp, kończąca się na niezbyt odległym od szczytu tarasie, gdzie pod skalnym nawisem znajdowały się wyloty dwóch jaskiń. Schronienia utworzone w procesie erozji w wapiennych masywach tak licznie występujących w całym regionie często nazywano jaskiniami. Zwykle jednak były to płytkie wgłębienia, znane pod nazwą "dziupli". Dla odróżnienia długie i głębokie jaskinie nazywano "czeluściami". Otwór w ścianie znajdujący się po lewej stronie tarasu wcinał się w urwisko zaledwie na dwadzieścia stóp i najczęściej służył za tymczasowe schronienie gościom, czyli zazwyczaj Zelandoni. Jaskinię tę nazywano Dziuplą Fontanny, choć znana była również pod nazwą Dziupli Doni.

Jaskinia po prawej była z kolei dość głęboka - rozpościerała się na dobre czterysta stóp w głąb rozległego masywu, a składał się na nią labirynt komór, nisz i korytarzy uchodzących na wszystkie strony od głównego tunelu. Miejsce to było tak święte, że rzadko kiedy wymawiano na głos jego nazwę. Czczono je za to tak gorliwie, że nie było potrzeby zachwalania jego świętości i tajemnej mocy przybyszom z normalnego świata. Ci, którzy znali prawdziwe znaczenie tych jaskiń, woleli unikać rozmowy na ich temat i nie podkreślać ich niezwykłej roli. To dlatego okoliczne klify

nazywano zwyczajnie Skałami Fontanny, większą jaskinię zaś Czeluścią Skał Fontanny lub - nieco rzadziej - Czeluścią Doni.

Nie było to jedyne święte miejsce w tym regionie. Z większością okolicznych jaskiń wiązano pewne przejawy kultu religijnego, w niektórych przypadkach czcياً otaczano także przyległe do nich tarasy czy zbocza, jednak spośród nich to właśnie Skały Fontanny były najbardziej znane. Jondalar znał bardziej imponujące formacje skalne, lecz z żadną z nich nie wiązał się tak rozbudowany kult. Wspinając się ku tarasowi o krok za Jonokolem, łupacz krzemienia czuł mieszaninę podniecenia i strachu, a także rosnący z każdą chwilą niepokój. Czekąo go coś, na co zupełnie nie miał ochoty, lecz mimo to zastanawiał się, czy Zelandoni zdoła uwolnić i odesłać ducha jego brata, jak zostanie to przeprowadzone i jakie wywoła uczucie.

Kiedy dotarli na wysoko położony taras i stanęli przed wlotami jaskiń, spotkali kolejną parę akolitów - mężczyznę i kobietę. Młodzi uczniowie czekali na wędrowców u wejścia do większej groty, po prawej stronie. Ayla zatrzymała się na moment i odwróciła, by spojrzeć na drogę, którą pokonali. Z wysoko położonej półki skalnej rozciągał się widok na Dolinę Strumienia Fontanny i część Doliny Traw z przecinającą ją rzeką. Panorama była imponująca, lecz, o dziwo, bardziej przytłaczające wrażenie wywierało wnętrze pieczary, w której pielgrzymi znaleźli się po chwili.

Wkroczenie w podziemny świat w samym środku dnia oznaczało bowiem porażającą przemianę: rozległe połacie dolin i wzgórz skurczyły się nagle do rozmiarów wąskiego korytarza, oślepiające zaś, odbite od skał światło słoneczne umknęło przed niepokojącą ciemnością. Transformacja nie dotyczyła zresztą tylko zjawisk fizycznych. Dla tych, którzy rozumieli i akceptowali wewnętrzną moc tego miejsca, metamorfoza oznaczała przede wszystkim przejście od krzepiącej stałości krajobrazu, od poczucia bezpieczeństwa, do obawy, a nawet strachu, do świata niezwykle bogatych doznań.

Światło słoneczne docierało ledwie kilka stóp w głąb jaskini, lecz gdy oczy wchodzących przywykły do półmroku, wyłoniły się zeń zarysy kamiennych ścian, tworzących zwięzający się korytarz. W małym przedsionku zaraz za wejściem, na występie skalnym, stały kamienne kaganki, z których jeden jarzył się jasnym płomieniem. Poniżej, w naturalnym zagłębieniu ściany, ułożono pochodnie - Jonokol i drugi akolita posłużyli się tłuszczową lampką, by zapalić garść podsuszonych patyków. Potem zaś za ich pomocą przenieśli ogień na knoty dwóch kaganków wykonane z gałązek mchu, dobrze nasączonych tłuszczem. Akolitka zaś zapaliła i uniosła pochodnię, a później gestem przywołała Aylę i Jondalara.

- Patrzcie pod nogi - poradziła, obniżając nieco źródło światła, by pokazać im nierówne dno jaskini, pełne szczelin między skałami, w których widać było połyskującą, mokną glinę. - Może być ślisko.

Kiedy zagłębiali się w korytarz, ostrożnie stąpając po nierównym podłożu, od strony wejścia biła jeszcze słaba poświata dnia, lecz trwało to krótko. Kilkadziesiąt kroków dalej absolutny mrok podziemia rozświetlały już tylko wątłe płomyki kaganków i pochodni. Wędrowcy zamarli na moment, gdy powiew chłodnego powietrza, które przepływało ze świstem między zwieszającymi się ze sklepienia stalaktytami, omal nie zgasił tłuszczowych lampek. Wiedzieli dobrze, że gdyby płomyki zgasły, a nie tylko zamigotały, znaleźliby się w mroku bardziej nieprzeniknionym niż najczarniejsza noc. Wtedy mogliby szukać drogi wyłącznie po omacku i możliwe, że wilgotne ściany doprowadziłyby ich jedynie w ślepy zaułek, a nie do wyjścia.

Po prawej pojawiła się nagle plama jeszcze gęstszej ciemności, zastępując ociekające wodą skały, i tak ledwie widoczne w słabym świetle - ściana musiała być w tym miejscu bardziej odległa; być może znajdowała się tam nisza lub boczny korytarz. Mrok, który rozciągał się za pięciorgiem ludzi i przed nimi, był nieznośnie, niemal dusząco gęsty. Jedynym śladem po otwartych przestrzeniach pozostawionych za dalekim wejściem do jaskini był lekki ruch powietrza. Ayla marzyła, by Jondalar trzymał ją za rękę.

W głębi korytarza lampki akolitów przestały być jedynym źródłem światła: na skalnych wystęпах rozmieszczono w mniej więcej równych odległościach kaganki podobne do małych miseczek, które w przygnębiającej ciemności jaskini zdawały się rzucać wręcz oślepiający blask. Niektóre jednak zaczynały już skwierczeć i gasnąć. Ayla modliła się w duchu, by ktoś zajął się nimi wkrótce - wymienił knoty z mchu lub dolał tłuszczu.

Migotliwe światło dogasających ogników wprawiało ją w dziwny niepokój; czuła się tak, jakby była już kiedyś w tym miejscu i jakby w przyszłości miała jeszcze do niego wrócić. Podświadomość Ayli wzbraniała się przed kontynuowaniem marszu za młodą akolitką. Do tej pory nie uważała się za osobę obawiającą się jaskiń, ale tym razem jakaś przemożna siła nakazywała jej zawrócić i uciec, a przynajmniej szukać otuchy w uspokajającym dotyku Jondalara. Przypomniała sobie także o innym, równie ciemnym podziemnym korytarzu, o wędrowce jaskinią rozświetlaną tylko kagankami i o podglądaniu tajemnych obrzędów Creba i innych mogurów. Poczowała dreszcz na samo wspomnienie tamtych chwil i nagle zdała sobie sprawę, że jest zimno.

- Możemy zatrzymać się na chwilę, jeśli chcecie włożyć cieplejsze ubrania - powiedziała akolitką, odwracając się i zbliżając pochodnię do Ayli i Jondalara. - W jaskini bywa raczej chłodno, szczególnie latem. Za to zimą, kiedy na zewnątrz wszystko znika pod śniegiem i lodem, tutaj jest cieplej. W naprawdę głębokich grotach temperatura jest w zasadzie stała przez cały rok.

Krótki postój z tak trywialnego powodu jak włożenie tuniki z długimi rękawami uspokoił nieco zdenerwowaną Aylę. I choć nadal miała ochotę uciec jak najdalej od tego ponurego miejsca, to gdy akolitką ruszyła w dalszą drogę, znachorka wzięła głęboki wdech i podążyła za nią.

Zimny podziemny korytarz od początku był dość wąski, jednak po kolejnych kilkudziesięciu krokach jego średnica zmniejszyła się jeszcze bardziej. W powietrzu czuło się teraz większą wilgotność, a jej potwierdzeniem był blask kropel wody na ścianach, stalaktytach zwisających ze sklepienia oraz stalagmitach sterczących z podłoża. Od wejścia dzieliło wędrowców nie więcej niż dwieście stóp mrocznego korytarza, kiedy jego dno zaczęło wznosić się, znacząco utrudniając marsz. Ta zmiana także zachęcała do powrotu i zapewne wielu śmiazków, którzy odważyli się zapuścić w głąb jaskini, zawracało w tym miejscu. Spenetrowanie całego podziemnego labiryntu było zadaniem dla najwytrwalszych.

Kobieta idąca na czele grupy zaczęła wspinać się stromą ścieżką ku małej komnacie, widocznej w górze dzięki migocącemu światłu pochodni. Ayli przyglądała się jej poczynaniom przez chwilę, a potem ruszyła za nią, trzymając się ostrych kamieni sterczących z podłoża i ścian, by wreszcie stanąć u boku akolitki. Przeszła jej śladem dalej, przez szczelinę otwierającą się na korytarz prowadzący znowu w dół, do serca skalnego masywu.

Słaby prąd powietrza, wyczuwalny w pierwszej sekcji jaskini, teraz w zasadzie zanikł. Pierwszym śladem ludzkiej obecności w tych podziemiach, który udało się Ayli dostrzec, były trzy czerwone kropki namalowane na lewej ścianie. Niedługo potem w świetle niesionej przez przewodniczkę pochodni zauważyła coś jeszcze. W pierwszej chwili nie uwierzyła własnym oczom i zapragnęła, by akolitka przystanęła choć na chwilę i lepiej oświetliła skalną płaszczyznę. Zatrzymała się z wrażenia, by poczekać na swego mężczyznę.

- Jondalarze - wyszeptała z podnieceniem. - Zdaje się, że na tej ścianie jest mamut!

- I to niejeden - przytaknął spokojnie mężczyzna. - Podejrzewam, że gdyby Zelandoni nie miała teraz pilniejszych spraw do załatwienia, pokazałaby ci to miejsce podczas bardziej oficjalnej ceremonii. Większość z nas zwiedzała tutejsze jaskinie w dzieciństwie. Byliśmy mali, ale wystarczająco rozumni, żeby pojąć to, co widzieliśmy. To przerażające doświadczenie - ale i wspaniałe - kiedy ogląda się te cuda po raz pierwszy, we właściwej oprawie. Podniecaliśmy się, choć wiedzieliśmy, że to tylko część ceremonii.

- Jondalarze... po co tu przyszliśmy? - spytała znachorka. - O jakiej pilnej sprawie mówisz?

Akolitka prowadząca grupę zawróciła, gdy zorientowała się, że nikt za nią nie idzie.

- Nikt ci nie powiedział? - zdziwiła się, słysząc słowa Ayli.

- Jonokol mówił tylko, że Zelandoni potrzebuje Jondalara i mnie.

- Nie jestem pewien, czy tylko o to chodzi - odezwał się Jondalar - ale sądzę, że mamy pomóc Zelandoni w odnalezieniu ducha Thonolana i, jeśli będzie to konieczne, we wskazaniu mu właściwej drogi do następnego świata. Tylko my znamy miejsce, w którym zginął, a dzięki

kamieniowi, który kazałaś mi zabrać z jego grobu - nawiasem mówiąc, donier uważa, że to był doskonały pomysł - prawdopodobnie będziemy mogli porozumieć się z elanem.

- A gdzie właściwie jesteśmy? - spytała Ayla.

To miejsce ma wiele nazw - odpowiedziała kobieta. Jonokol i trzeci akolita stanęli przy niej. - Większość z nas nazywa je Czeluścią Skał Fontanny albo Czeluścią Doni. Zelandoni używają bardziej oficjalnej nazwy, o której rzadko wspominają inni ludzie. To Wejście Do Łona Matki, a ściślej jedno z nich. Jest ich kilka, a każde jest dla nas równie świętym miejscem.

- Oczywiście każdy wie, że wejście oznacza również wyjście - dodał Jonokol. - Zatem wejście do łona jest także kanałem rodnym.

- A to znaczy, że znajdujemy się w jednym z kanałów rodnych Wielkiej Matki Ziemi - dorzucił trzeci młody akolita.

Tak jak w tej pieśni, którą Zelandoni śpiewała na pogrzebie Shevonara. To pewnie jedno z tych miejsc, z których "na świat wychodzi, aby się pnieć, nowe potomstwo: to Dzieci Ziemi" - stwierdziła Ayla.

- Ona rozumie - orzekła młoda kobieta, znacząco kiwając głową w stronę dwóch pozostałych akolitów. - Widzę, że dobrze znasz Pieśń Matki - zwróciła się do znachorki.

- Na pogrzebie usłyszała ją pierwszy raz w życiu - wtrącił z uśmiechem Jondalar.

- Niezupełnie tak, Jondalarze - zaoponowała Ayla. - Nie pamiętasz już? Losadunai opowiadają podobną historię, tyle że nie śpiewem. Losaduna nauczył mnie jej w swoim języku. Na pewno nie jest identyczna, ale naprawdę bardzo podobna do waszej.

- Może opowiedział ci ją zwykłymi słowami, bo nie umie śpiewać tak pięknie jak Zelandoni - odrzekł Jondalar.

- Wśród nas też są tacy, którzy nie śpiewają - odezwał się Jonokol. - Wystarcza im deklamowanie słów. Ja na przykład nie śpiewam. Domyślilibyście się dlaczego, gdybyście mnie kiedyś słyszeli.

- W niektórych Jaskiniach śpiewa się na inną melodię; czasem też słowa różnią się nieznacznie od naszych - dodał młody akolita. - Chętnie posłuchałbym tej historii w wersji ludu Losadunai, gdybyś tylko zechciała kiedyś przetłumaczyć ją dla mnie.

- Z przyjemnością. Ich język jest bardzo podobny do Zelandonii. Podejrzewam, że zrozumiałbyś nawet bez tłumaczenia - odparła Ayla.

Z jakiegoś powodu troje akolitów teraz dopiero zwróciło uwagę na jej cudzoziemski akcent. Zawsze uważali Zelandonii - zarówno sam lud, jak i jego mowę - za coś szczególnego; byli Ludźmi, prawdziwymi Dziećmi Ziemi. Dość trudno było im oswoić się z myślą, że - wedle słów tej kobiety - na wschodzie, za wielkim lodowcem, żyły plemiona, które jej zdaniem były tak podobne

do tutejszych, iż nawet ich język nie różnił się znacząco. Podejrzewali, że Ayla twierdziła tak, gdyż spotkała i takie ludy - żyjące zapewne w jeszcze dalszych stronach - których zwyczaje i mowa różniły się od zwyczajów i mowy Zelandonii wprost nie wyobrażalnie.

Uderzyło ich także to, jak odmienne wychowanie i doświadczenie musiało ukształtować jasnowłosą uzdrowicielkę, oraz to, że zdecydowanie więcej niż oni wiedziała o świecie i jego mieszkańcach. Wiele wskazywało na to, że i Jondalar nabył podczas Podróży podobną wiedzę. W ciągu zaledwie kilku dni od powrotu do rodzimej Jaskini zdążył pokazać swym pobratymcom wiele niezwykłych, przydatnych przedmiotów i technik. Być może taki właśnie był cel odbywania Podróży - zdobywanie nowych doświadczeń i wiedzy.

Wszyscy Zelandonii wiedzieli, czym jest Podróż, i większość młodych ludzi planowała jej odbycie, lecz niewielu zdobywało się na odwagę, a jeszcze mniejsza liczba decydowała się na naprawdę daleką wyprawę - i tylko nieliczni z niej powracali. Jondalara zaś nie było aż pięć lat. Przebył daleką drogę, przeżył wiele przygód, ale najważniejsze było to, że przywiózł ze sobą wiedzę, która mogła dać pożytek jego ludowi. Przywiózł jednak także idee, które mogły doprowadzić do zmian, a przecież zmiany nie zawsze były mile widziane...

- Nie wiem, czy powinnam pokazywać ci malowidła na ścianach właśnie teraz, kiedy tak zwyczajnie przechodzimy obok nich. W ten sposób mogłabym zepsuć ceremonię, którą być może przygotujemy dla ciebie w przyszłości. Choć z drugiej strony i tak dostrzeżesz co nieco, więc chyba nie stanie się nic złego, jeśli będę niosła światło tak, żebyś lepiej widziała - zdecydowała przewodniczka.

- Bardzo chciałabym obejrzeć te rysunki - przyznała Ayla.

Akolitka istotnie uniosła pochodnię, tak by kobieta Jondalara mogła w marszu przyglądać się dziełom sztuki zdobiącym ściany korytarza. Pierwszym z nich był wizerunek mamuta. Olbrzym został uchwycony z profilu, czyli tak, jak zwykle malowano portrety zwierząt. Charakterystyczny garb na głowie, a zaraz za nim drugi, w kłębie, za którym grzbiet mamuta opadał stromo ku dołowi, czyniły jego sylwetkę łatwo rozpoznawalną - nawet bardziej niż smukłe, zagięte ciosy i długa trąba. Malowidło wykonano rdzawobrazową farbą, czernią zaś podkreślono kontury i niektóre szczegóły anatomiczne. Zwierzę "stało" głową w stronę wyjścia z jaskini i prezentowało się tak naturalnie, że Ayla podświadomie oczekiwała, iż zejdzie ze ściany i majestatycznym krokiem ruszy przed siebie.

Nie do końca rozumiała, dlaczego namalowany mamut wygląda jak żywy, i nie potrafiła w pełni docenić zdumiewającego talentu anonimowego artysty, lecz czuła nieprzepartą chęć przyjrzenia się z bliska niezwykłemu dziełu. Stworzono je nienaganną, elegancką techniką: krzemieniem narzędziem wycięto w wapiennej skale cieniutką linię, która wyznaczyła kontur zwierzęcia, a następnie poprowadzono wzdłuż rowka czarną linię farby. Tuż za rytą w kamieniu

linią powierzchnia ściany została starannie oskrobana, dzięki czemu przywrócono jej naturalny, jasnobezowy kolor. Zabieg ten pozwolił też na podkreślenie sylwetki i wierne oddanie kolorystyki mamuta, a także nadał dziełu niemal trójwymiarowy charakter.

Jednakże największe wrażenie robił sposób nałożenia farby na "ciało" zwierzęcia. Obserwując żywe modele, korzystając z doświadczeń starych mistrzów i dokonując zapewne nieskończonej liczby prób, artyści, którzy pomalowali ściany tej świętej jaskini, wypracowali zaskakująco bogatą wiedzę o perspektywie. Przekazywanie tego typu technik z pokolenia na pokolenie miało z pewnością wielkie znaczenie, więc choć nie wszyscy twórcy naskalnych malowideł mogli poszczycić się wybitnym talentem, widać było, że większość z nich co najmniej poprawnie operowała światłocieniem, skutecznie podkreślając głębię obrazu.

Wolno mijając wspaniały wizerunek mamuta, Ayla odniosła wrażenie, że zwierzę także się porusza. Nagły impuls kazał jej wyciągnąć rękę i dotknąć kamiennej ściany. Z zamkniętymi oczami wyczuwała powierzchnię, chłód i wilgoć wapiennej skały. Kiedy znowu spojrzała na dzieło, dotarło do niej, że artysta wykorzystał nawet kształt samej ściany, by spotęgować realizm malowidła. Mamut znajdował się bowiem w takim miejscu, gdzie zaokrąglona powierzchnia skały podkreślała wypukłość jego brzucha, przylegający zaś do ściany stalaktyt pomógł uwypuklić jedną z nóg.

W migotliwym świetle lampek tłuszczowych malowidło wyglądało nieco inaczej, kiedy Ayla spojrzała na nie pod odmiennym kątem; cienie rzucane przez samą skałę podkreślały teraz inne elementy dzieła. Choć kobieta stała nieruchomo, drżący blask ognia sprawiał, że zwierzę zdawało się oddychać. Uzdrowicielka rozumiała, dlaczego miała wrażenie, że mamut się poruszył, gdy zmieniła pozycję. Miała też świadomość, że gdyby nie przyjrzała się z bliska naskalnemu malowidłu, z łatwością dałaby się przekonać, że zwierz naprawdę zmienił pozycję.

Przypomniały jej się dawne czasy, kiedy podczas Zgromadzenia Klanu przygotowywała wedle wskazówek Izy specjalny napój dla mogurów. Creb pokazał jej wtedy, jak należy stać w cieniu, by nie zostać zauważonym, oraz kiedy i w jaki sposób powinna wyjść, by stworzyć wrażenie, że pojawiła się "znikąd". Nie tylko ci, którzy mieli do czynienia ze światem duchów, stosowali magię - opanowali ją także artyści.

Kiedy dotykała zimnej ściany, poczuła coś, czego nie potrafiła pojąć i wyjaśnić. Było to dziwne wrażenie, którego doświadczała od czasu do czasu po tym, jak nieumyślnie wypila resztkę napoju mogurów i podążyła za nimi do jaskini. Od tamtej pory miewała niepokojące sny, na jawie zaś zdarzały jej się niespodziewane i trudne do wyjaśnienia ataki lęku.

Ayla potrząsnęła głową, jakby chciała zrzucić z siebie to przykre wrażenie, a potem rozejrzała się i stwierdziła, że pozostali obserwują ją uważnie. Uśmiechając się nieśmiało, czym



prędzej cofnęła rękę. Obawiała się, że uczyniła coś niestosownego, lecz kobieta z pochodnią nie odezwała się ani słowem, tylko odwróciła się i ruszyła w głąb korytarza.

Wędrowali dalej, w milczeniu idąc gęsiego między mokrymi ścianami z kamienia, błyszczącymi dziwacznie w świetle drżących płomieni kaganków. Ayla wyczuwała w powietrzu osobliwe napięcie. Była pewna, że kierują się ku samemu sercu skalnego urwiska i cieszyła się, że towarzyszy jej grupa ludzi, sama bowiem z pewnością nie odnalazłaby drogi. Zadrżała na samą myśl o tym, że mogłaby trafić tu samotnie. Próbowwała zapanować nad dreszczami, lecz w wilgotnym i zimnym wnętrzu góry nie było to łatwe.

W niezbyt dużej odległości od pierwszego mamuta na ścianie namalowano drugiego, a potem całą ich grupę, następnie zaś dwa małe konie zabarwione niemal wyłącznie na czarno. Znachorka zatrzymała się, by spojrzeć na nie z bliska. I tu wryto w wapieniu cienką linię, która wspaniale wyznaczała kontury zwierząt, by podkreślić ją jedynie czarną kreską. Choć do pomalowania ich ciał użyto jednej barwy, i tu cieniowanie pozwoliło artystom uzyskać zdumiewający realizm.

Ayla zauważyła teraz, że na prawej ścianie tunelu także znajdują się wizerunki zwierząt, z których część zwrócona była głowami ku wyjściu, a część ku wnętrzu jaskini. Dominowały mamuty; wyglądało to tak, jakby nieznany twórca chciał uwiecznić na ścianach całe stado tych zwierząt. Używając w pamięci słów do liczenia, Ayla stwierdziła, iż było ich co najmniej dziesięć po obu stronach korytarza, a przecież nie mogła wykluczyć, że przeoczyła któryś z rysunków. Ruszyła dalej w głąb ciemnego korytarza, przyglądając się słabo widocznym malowidłom, lecz po kilkunastu krokach stanęła jak wryta, gdyż jej uwagę przykuła piękna scena, na której uwieczniono parę witających się reniferów. Uzdrowicielka nie mogła przejść obojętnie obok takiego dzieła sztuki; postanowiła, że przyjrzy mu się z bliska.

Pierwszy renifer, samiec, zwrócony był głową w stronę wnętrza jaskini. Namalowano go czarną farbą, zaznaczając zdecydowaną linią kształt ciała, włącznie z potężnym porożem, przy którym jednak artysta nie bawił się w szczegółowe odwzorowywanie wszystkich odnóg, a jedynie zaznaczył je zgrabnie wygiętą kreską. Zwierzę stało z pochylonym łbem i - ku zaskoczeniu Ayli - delikatnie lizało czoło samicy. W przeciwieństwie do większości jeleni samice reniferów były rogate, a malarz, który najwyraźniej był bystrym obserwatorem przyrody, obdarzył ją porożem nieco mniejszym niż to, które dźwigał samiec. Jej ciało, spoczywające na ugiętych przednich nogach, by mogła przyjąć łagodną pieszczotę, zostało namalowane czerwonym barwnikiem.

Scena była tak pełna uczucia - łagodności i delikatności - że Ayla pomyślała o sobie i Jondalarze. Nigdy przedtem nie przyszło jej do głowy, że zwierzęta także mogą się kochać, ale ta para reniferów wyglądała tak, jakby dobrze wiedziała, co to miłość. Znachorka była bardzo

wzruszona, że omal się nie rozpląkała. Akolitykprzewodniczka przystanęła uprzejmie, by dać jej trochę czasu na kontemplowanie dzieła. Uczniowie Zelandoni dobrze rozumieli wzruszenie Ayli; na nich także działał nieodparty urok pięknie uchwyconej sceny.

Jondalar wpatrywał się w parę reniferów z nie mniejszym zachwytem.

- To coś nowego - odezwał się w końcu. - Zdawało mi się, że w tym miejscu był mamut.

- Był. Jeśli przyjrzesz się z bliska samicy, zobaczysz pod spodem resztki starego malowidła

- wyjaśnił stojący z tyłu młodzieniec.

To dzieło Jonokola - powiedziała przewodniczka. Jondalar i Ayla spojrzeli z uznaniem na młodego artystę.

- Teraz dopiero rozumiem, dlaczego jesteś akolitą Zelandoni - rzekł jasnowłosey. - Masz nadzwyczajny talent.

\_ Jonokol skinął głową, słysząc komentarz Jondalara.

- Każdy z nas ma swój Dar. O tobie na przykład mówią, że jesteś wyjątkowo zdolnym łupaczem krzemienia. Bardzo chciałbym zobaczyć twoje dzieła. Rzecz w tym, że potrzebuję pewnego narzędzia, ale jakoś nie udaje mi się wytłumaczyć innym rzemieślnikom, o co dokładnie mi chodzi. Miałem nadzieję, że Dalanar przybędzie na Letnie Spotkanie i że będę mógł poprosić go o pomoc.

- Zamierza przybyć, ale zanim to się stanie, ja sam chętnie spróbuję zrobić dla ciebie to narzędzie, jeśli tylko chcesz - odparł uprzejmie Jondalar. - Lubię wyzwania.

- Może więc jutro wrócimy do tej rozmowy? - zasugerował akolita.

- Jonokolu, czy mogę cię o coś zapytać? - wtrąciła Ayla.

- Oczywiście.

- Dlaczego namalowałeś renifera właśnie tam, gdzie do tej pory był mamut?

Ta ściana, to miejsce jakoś mnie przyciągało - odparł enigmatycznie Jonokol. - Po prostu musiałem to zrobić. Było tak, jakby renifery siedziały w tej skale i pragnęły, żebym pomógł im wyjść.

- Rzeczywiście, to wyjątkowa ściana - przytaknęła akolityka. - Prowadzi gdzieś na drugą stronę. Kiedy Pierwsza śpiewa w tym miejscu albo gdy ktoś gra tu na flecie, skała odpowiada echem, wzmacnia dźwięk. A czasem mówi człowiekowi, czego chce.

- Czy wszystkie te ściany mówiły artystom, że mają coś na nich namalować? - spytała Ayla, wskazując na prace, które już minęli.

Tak. To właśnie jedna z przyczyn, dla których ta Czeluść jest dla nas tak święta. Większość ścian potrafi przemawiać, jeśli tylko wie się, w jaki sposób należy ich słuchać. A jeśli człowiek jest gotów do drogi, umięją odpowiedzieć mu, dokąd powinien iść - odpowiedziała przewodniczka.

- Nikt mi nigdy o tym nie mówił... W każdym razie niezupełnie w taki sposób. Dlaczego opowiadacie nam o tych sprawach akurat teraz? - zainteresował się Jondalar.

- Dlatego, że sami będziecie musieli wsłuchać się w głosy skał, a może nawet przejść na drugą stronę, jeśli macie pomóc Pierwszej w odnalezieniu elana twojego brata, Jondalarze - wyjaśniła spokojnie kobieta. - Zelandoni od dłuższego czasu zastanawiają się, dlaczego Jonokol musiał namalować te renifery właśnie tutaj. A ja już chyba wiem dlaczego. - Przewodniczka posłała zagadkowy uśmiech w stronę Ayli i Jondalara, po czym odwróciła się na pięcie i pomaszerowała w głąb jaskini.

- Zanim odejdziesz... - zawołała cicho znachorka, dotykając lekko ramienia kobiety. - Nie wiem nawet, jak się do ciebie zwracać. Wolno spytać, jak masz na imię?

- Moje imię już nie jest ważne - odpowiedziała akolitka. - Kiedy zostanę Zelandoni, i tak będę musiała z niego zrezygnować. Jestem pierwszą akolitką Zelandoni z Drugiej Jaskini.

- W takim razie będę cię nazywać Akolitką z Drugiej - orzekła Ayła.

- Możesz, jeśli chcesz, ale Zelandoni z Drugiej Jaskini ma w sumie troje akolitów. Moi towarzysze są nieobecni, poszli przygotowywać Letnie Spotkanie.

Więc może będę mówić Pierwsza Akolitka Z Drugiej?

- Jeśli to ci pasuje, będę reagować na to imię.

- A jak ciebie zwą? - spytała Ayła, zwracając się do młodzieńca, który zamykał pochód.

- Jestem akolitą dopiero od ostatniego Letniego Spotkania i tak jak Jonokol używam jeszcze mojego starego imienia. Może więc powinniśmy dokonać oficjalnej prezentacji? - Mężczyzna wyprostował się i wyciągnął ręce przed siebie. - Jestem Mikolan z Czternastej Jaskini Zelandonii, drugi akolita Zelandoni z Czternastej Jaskini. Pozdrawiam cię.

Ayła ujęła dłonie akolity.

- Pozdrawiam cię, Mikolanie z Czternastej Jaskini Zelandonii. Jestem Ayła z Obozu Lwa Mamutoi, córka Ogniska Mamuta, wybrana przez Ducha Lwa Jaskiniowego, chroniona przez Niedźwiedzia Jaskiniowego, przyjaciółka koni, Whinney i Zawodnika, a także Wilka - myśliwego.

- Czy mam rację, sądząc, że ludzie ze wschodu nazywają swoich Zelandoni Ogniskiem Mamuta? - spytała akolitka.

- Masz rację - potwierdził Jondalar. - Tak nazywa ich lud Mamutoi, u którego gościliśmy z Ayłą przez rok. Przyznaję jednak, jestem zaskoczony tym, że ktokolwiek o nim słyszał. Mamutoi żyją daleko stąd.

Kobieta spojrzała na znachorkę.

Wiele mi wyjaśnia to, że jesteś córką Ogniska Mamuta. Jesteś Zelandoni!

- Nie, nie jestem - odrzekła Ayla. - Mamut adoptował mnie tylko do Ogniska Mamuta. Nie byłam powołana, ale on i tak zaczął mnie uczyć pewnych rzeczy, zanim odeszłam z Jondalarem.

Przewodniczka uśmiechnęła się chytrze.

- Nie adoptowałby cię, gdybyś nie miała zostać Zelandoni. Jestem pewna, że będziesz jeszcze powołana.

- Nie wydaje mi się, żebym tego chciała.

To możliwe - zgodziła się Pierwsza Akolitka Z Drugiej, a potem ruszyła w dalszą drogę ku sercu Skał Fontanny.

Wkrótce wędrowcy ujrzeli w oddali blask, który z każdym krokiem wydawał się bardziej oślepiający. Teraz, gdy ich oczy przyzwyczyły się do ciemności rozprasanej jedynie rozedrganymi ognikami kaganków i jednej pochodni, każde silniejsze źródło światła musiało sprawiać wrażenie zbyt jaskrawego. Wąski tunel rozszerzył się nagle i zmienił w przestronną grootę, w której widać było ludzkie sylwetki. Pomieszczenie wydało się Ayli niemalże zatłoczone. Po chwili, gdy rozpoznała twarze kilku osób, stwierdziła, że wszyscy obecni prócz niej samej i Jondalara należeli do społeczności Zelandoni.

Otyła kobieta z Dziewiątej Jaskini spoczywała na siedzisku, które przyniesiono tu specjalnie dla niej. Na widok gości uśmiechnęła się i wstała z wysiłkiem.

- Czekaliśmy na was - powiedziała.

Uścisnęła Aylę i Jondalara, ale zachorka odniosła wrażenie, że Pierwsza stara się zachować dystans i niemal w tej samej chwili zrozumiała, że tak właśnie należy pozdrawiać bliskich znajomych w większym gronie.

Jeden z Zelandoni skłonił głowę na widok Ayli. Odpowiedziała podobnym gestem, rozpoznając wątro zbudowanego mężczyznę, Zelandoni z Jedenastej Jaskini, którego zapamiętała ze względu na nadspodziewanie silny uścisk dłoni i niezwykłą pewność siebie. Stojący opodal starszy mężczyzna uśmiechnął się do niej, a ona do niego - był to Zelandoni z Trzeciej, ten sam, który pomagał jej, gdy pielęgnowała Shevonara. Większość z pozostałych przywódców duchowych zebranych w gromadzie znała tylko z widzenia.

Nad kupką kamieni, które przyniesiono w ściśle określonym celu - i które zapewne miały zostać zabrane po uroczystości - płonęło małe ognisko. Na ziemi, obok sporej, drewnianej miski pełnej parującej wody, stała częściowo opróżniona torba na wodę. Ayla przyglądała się przez moment młodej kobiecie, która za pomocą szczypiec z giętego drewna wyławiała właśnie kamienie do gotowania z dna miski, by wrzucić je z powrotem do ognia. Ponad wodą unosiły się z sykiem obłoczki pary, gdy wpadały do niej rozżarzone odłamki skał. Kiedy dziewczyna uniosła głowę, Ayla rozpoznała Mejerę i uśmiechnęła się do niej serdecznie.

Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą sięgnęła do skórzanego mieszka i wyciągnęła szczyptę proszku. Szykuje wywar; gotuje go, to coś więcej niż parzenie herbaty, pomyślała zachorka. Pewnie dodaje sproszkowane korzenie lub korę; warzy dla nas coś mocnego. Kolejna porcja gorących kamieni posłała w powietrze chmurę aromatycznej pary. Łatwo było zidentyfikować zapach mięty, lecz uzdrowicielka wyczuwała i inne wonie, których nie umiała rozpoznać. Podejrzała, że zadaniem mięty było właśnie ukrycie smaku i zapachu znacznie mniej apetycznych składników.

Kilkoro akolitów rozpostarło grubą skórę na wilgotnym i kamienistym podłożu opodal siedziska, które zajmowała Pierwsza.

- Aylo, Jondalarze, zbliżcie się, proszę, i usiądźcie wygodnie - odezwała się, wskazując pulchną dłoń na prowizoryczne posłanie. - Poczęstuję was pewnym napojem. - Młoda kobieta, która pilnowała ognia i szykowała wywar, rozstawiła na ziemi cztery kubki. - Nie jest jeszcze gotowy, ale na pewno dobrze wam zrobi chwila odprężenia...

- Ayli podobały się malowidła na ścianach - wtrącił niespodziewanie Jonokol. - Domyślam się, że chętnie obejrzałaby jeszcze kilka. Zapewne byłoby to dla niej bardziej relaksujące niż beczynne siedzenie i czekanie, aż wywar będzie gotowy.

To prawda, chciałabym zobaczyć więcej - potwierdziła gorliwie uzdrowicielka.

Nagle ogarnął ją lęk na myśl o wypiciu nieznanego napoju, o którym wiedziała tylko tyle, że ma pomóc jej dotrzeć do innego świata. Jej poprzednie doświadczenie z podobnym eliksirem nie należało do przyjemnych.

Zelandoni przypatrywała się jej przez dłuższą chwilę. Znała Jonokola na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie wyszedłby z podobną propozycją bez istotnego powodu. Widocznie zauważył, że Ayła jest zdenerwowana, pomyślała donier. Istotnie, wygląda na spiętą.

- Naturalnie, Jonokolu. Pokaż jej więcej malowideł - odezwała się wreszcie Pierwsza.

- Ja też pójdę - wtrącił pospiesznie Jondalar, który także nie czuł się najpewniej. - Może dołączy do nas akolitka z pochodnią?

- Oczywiście - odpowiedziała Pierwsza Akolitka z Drugiej, podnosząc polano, które zdążyła odłożyć. - Muszę tylko ją zapalić.

- Na ścianie za plecami Zelandoni są piękne malowidła, ale nie chciałbym przeszkadzać - rzekł Jonokol. - Chodźcie, pokażę wam coś w bocznym korytarzu.

Młodzieniec zaprowadził gości do tunelu wiodącego w prawo od głównego i po kilku krokach zatrzymał się przed jego lewą ścianą, na której znajdował się rysunek renifera i konia.

To też twoje dzieło? - spytała Ayła.

- Nie, mojej nauczycielki. Była kiedyś Zelandoni Drugiej, przed siostrą Kimerana. A do tego wyjątkowo zdolną malarką - odparł Jonokol.

- Może i była dobra, ale moim zdaniem uczeń przerósł mistrza - stwierdził Jondalar.

Dla Zelandoni talent nie jest aż taki ważny, bardziej liczy się doświadczenie. Jak wiecie, te obrazki nie służą tylko do oglądania - odparła Pierwsza Akolitka Z Drugiej.

- Pewnie masz rację - powiedział Jondalar, uśmiechając się ironicznie - aleja tam wolę oglądać. I przyznaję, że nie czekam z utęsknieniem na tę... ceremonię. Chcę wziąć w niej udział, oczywiście, i uważam, że może być ciekawie, ale generalnie wolę, żeby to Zelandoni zbierali tego typu "doświadczenia".

Jonokol uśmiechnął się, słysząc szczere słowa łupacza.

- Nie tylko ty myślisz w ten sposób, Jondalarze. Większość ludzi woli stąpać twardo po materialnym świecie. Chodźcie za mną, pokażę wam coś jeszcze, zanim zajmiecie się poważnymi sprawami.

Akolitaartista powiodł ich w prawo, do miejsca, w którym ściekające wody uformowały wyjątkowo liczne stalagmity i stalaktyty. Ściana także była pokryta wapiennymi formami, ale ponad nimi starczyło miejsca na namalowanie dwóch koni. Chropowata powierzchnia sprawiła, że zwierzęta wyglądały tak, jakby okrywało je zmierzwiłe, zimowe futro. Ogier został uchwycony w ruchu; sprawiał wrażenie stojącego dęba lub skaczącego.

- Wyglądają jak żywe - szepnęła zaintrygowana Ayla. Nieraz widywała prawdziwe konie w podobnych pozycjach.

- Kiedy chłopcy oglądają to malowidło po raz pierwszy, z reguły mówią, że ten z tyłu szykuje się do Przyjemności - powiedział rozbawiony Jondalar.

To tylko jedna z interpretacji - stwierdziła akolitka. - Rzeczywiście, wygląda to, jakby ogier chciał pokryć klacz, ale moim zdaniem artysta celowo stworzył tak niejednoznaczny obraz.

- Czy to także dzieło twojej nauczycielki, Jonokolu? - spytała Ayla.

- Nie, nie wiem, kto je stworzył - odparł Jonokol. - Nikt nie wie. Powstało dawno temu, mniej więcej wtedy, kiedy namalowano mamuty. Ludzie mówią, że to dzieła Przodków.

- Aylo, chciałabym ci coś pokazać - odezwała się przewodniczka.

- Chyba nie masz na myśli "sromu"? - zdziwił się Jonokol. - Zwykle nie pokazujemy go podczas pierwszej wizyty.

- Wiem, ale moim zdaniem tym razem trzeba zrobić wyjątek - odrzekła akolitka, unosząc wyżej pochodnię i ruszając w stronę niezbyt odległej niszy. Kiedy się zatrzymała, opuściła źródło światła ku ziemi, by wydobyć z mroku niezwykłą formację skalną, wystającą nisko ze ściany i równoległą do podłoża.

Gdy Ayla spojrzała na dziwny twór po raz pierwszy, zauważyła fragment zamalowany na czerwono, ale dopiero po chwili zrozumiała, na co patrzy - a i to tylko dlatego, że niejedną raz pomagała rodzącom. Mężczyźni zapewne nie mieli problemu z rozpoznaniem tego kształtu. Niesamowitym zbiegiem okoliczności - lub też wolą nadnaturalnych sił - skalny występ miał formę wiernej repliki zewnętrznych, żeńskich organów płciowych. Kształt, fałdy skórne, a nawet zagłębienie będące wejściem do pochwy - wszystko było na swoim miejscu. Ludzkie ręce dodały jedynie czerwony barwnik, by łatwiej było dostrzec i zidentyfikować niezwykły twór natury.

- To kobieta! - zawołała zaskoczona znachorka. - Wygląda dokładnie tak samo! W życiu nie widziałam czegoś podobnego.

- Czy teraz rozumiesz, dlaczego ta jaskinia jest dla nas taką świętością? Matka stworzyła dla nas to чудо. Masz przed sobą dowód na to, że jesteśmy w grocie, która jest Wejściem Do Łona Matki - stwierdziła kobieta, która już wkrótce miała stać się jedną z Tych Którzy Służą Wielkiej Matce Ziemi.

- Jondalarze, widziałeś to już kiedyś? - spytała Ayla.

- Tylko raz. Zelandoni pokazała mi to miejsce - odparł mężczyzna. - Rzeczywiście, jest niezwykle. To, że artysta taki jak Jonokol dostrzega kształty w skalnych ścianach i pomaga im wydostać się na zewnątrz, gdzie wszyscy mogą je zobaczyć, to jedno. Ale tutaj... to zupełnie inna sprawa. Tutaj nikt niczego nie zmieniał, jeśli nie liczyć odrobiny farby, która pomaga dostrzec kształt.

- Jest jeszcze jedno miejsce, które chciałbym ci pokazać - rzekł Jonokol.

Poprowadził grupkę w stronę głównej sali, a kiedy do niej dotarli, minął czekających Zelandoni i pospiesznie skręcił w prawo, do centralnego korytarza. Tuż przed ścianą, która zdawała się końcem tunelu, po lewej stronie znajdowała się mała nisza, której powierzchnia pokryta była drobnymi, półokrągłymi zagłębieniami. Namalowano w niej kilka mamutów, tworząc niezwykłą iluzję. Na pierwszy rzut oka zagłębienia w ścianie wyglądały jak wystające, krągłe brzuchy zwierząt. Ayla musiała przyjrzeć się dziełu dwukrotnie i dotknąć kamienia palcami, by upewnić się, że naprawdę ma przed sobą wgłębienia, a nie wypukłości.

- Niesamowite! - zawołała cicho. - Pomalowano je w taki sposób, że wyglądają odwrotnie, niż powinny!

To coś nowego, prawda? Nie przypominam sobie żadnych malowideł w tym miejscu - powiedział Jondalar. - To twoja robota, Jonokolu?

- Nie, ale jestem pewien, że poznacie kobietę, która stworzyła to dzieło - odparł młodzik.

Wszyscy są zgodni co do tego, że jej talent jest niepowtarzalny - dodała akolitka. - Podobnie jak Jonokola, rzecz jasna. Mamy szczęście, że żyje wśród nas para tak wyjątkowych artystów.

Trochę dalej są jeszcze portrety nosorożca włochatego, lwa jaskiniowego i konia, ale przejście jest bardzo wąskie i niełatwo tam dotrzeć. A na samym końcu wyryto jeszcze kilka linii.

- Zelandoni są już pewnie gotowi. Chyba powinniśmy wracać - zauważyła przewodniczka.

W drodze powrotnej Ayla zadarła głowę i spojrzała na wyższą część prawej ściany, znajdującą się naprzeciwko "kapliczki" z mamutami i nieco bliżej głównej groty. Nagle poczuła się nieswojo. Z obawą pomyślała, że chyba wie, co się stanie za chwilę. Nieraz już doświadczała tego wrażenia... Po raz pierwszy wtedy, gdy przygotowała dla mog - urów specjalny napój z korzeni. Iza mówiła jej, że jest to płyn zbyt święty, by go marnować, więc nie wolno było nawet ćwiczyć jego przyrządzania.

Czuła wówczas zawroty głowy najpierw podczas przeżuwania korzeni, które były głównym składnikiem, i później, gdy próbowała innych ingrediencji. Kiedy zaś ceremonia dobiegła końca, dopiła resztkę gotowego napoju, by nie zmarnowała się ani kropla. Odstała mikstura nabrała jednak niezwykłej mocy i skutki jej zażycia były piorunujące. Młoda znachorka w oszołomieniu zagłębiła się w rozświetlony ogniskami labirynt podziemnych komnat, a kiedy spotkała Creba i pozostałych mogurów, nie potrafiła już wrócić.

Od tamtej pory Creb nigdy nie był taki, jak dawniej. Od owej nocy zaczęły się też tajemnicze sny, zagadkowe wizje i dziwne przeczucia, które niekiedy ostrzegały Aylę przed niebezpieczeństwem. W czasie Podróży zjawiska te występowały częściej i z większą intensywnością.

Teraz zaś, wpatrując się w skałę, która nagle wydała jej się miękka, niemal przezroczysta, Ayla przestała dostrzegać na jej powierzchni blask kropel wody. Zastąpiła go bezdenna czern; groźna, kosmiczna pustka, w której łatwo było się zatracić. Znachorka poczuła, że opada z sił, a jej ciało przeszył impuls bólu. I nagle pojawiła się przed nią sylwetka Wilka. Zwierz biegł między wysokimi trawami na spotkanie z nią, szukał jej.

- Aylo! Aylo! Nic ci nie jest?! - zawołał niespokojny Jondalar.



## ROZDZIAŁ 18

- Aylo! - krzyknął głośniejszym głosem Jondalar.

- Tak?... Och, Jondalarze... Widziałam Wilka - powiedziała, mrugając intensywnie i energicznie kręcąc głową, by otrząsnąć się z oszołomienia i zapomnieć o złowróżbnych przeczeniach.

- Jak to widziałas Wilka? Przecież nie ma go tutaj. Nie pamiętasz? Zostawiłaś go z Folarą - odrzekł Jondalar, marszcząc czoło ze zdziwieniem i obawą.

- Wiem, ale widziałam go, o, tutaj - odparła, wskazując dłonią na ścianę. - Przybiegł do mnie, kiedy go potrzebowałam.

- Kiedyś już tak było - stwierdził w zamyśleniu Jondalar. - Ocalił ci życie, i to nie raz. Może to tylko wspomnienie?

- Może - odparła Aylo, lecz w głębi duszy była prawie pewna, że było inaczej.

- Gdzie dokładnie go zobaczyłaś? Tu, na tej ścianie? - zainteresował się Jonokol.

- Niezupełnie "na"... ale on tam był - zapewniła go znachorka.

- Naprawdę myślę, że powinniśmy wracać - odezwała się akolitka, przyglądając się Ayli badawczym wzrokiem.

- Jesteście nareszcie - powiedziała Zelandoni z Dziewiątej, kiedy weszli do przestronnej groty. - Rozluźniłaś się nieco? Możemy zaczynać? - Kobieta uśmiechała się przyjaźnie, lecz znachorka wyczuwała w jej zachowaniu pewną niecierpliwość i oznaki niezadowolenia.

Pod wpływem żywych wspomnień o napoju mogurów po którym doświadczyła odmiennego stanu świadomości - i niepokojącej wizji Wilka, Aylo wolałaby nie próbować wywaru, który miał ją przenieść do innej rzeczywistości czy też do następnego świata. Niestety, nie wyglądało na to, by pozostawiono jej wielki wybór.

- Nie jest łatwo rozluźnić się w takim miejscu - odpowiedziała szczerze. - I przeraża mnie myśl o wypiciu twojego naparu, ale jeśli uważasz, że to konieczne, jestem gotowa spróbować.

Pierwsza uśmiechnęła się raz jeszcze, tym razem bez wątpienia szczerze.

- Raduje mnie twoja otwartość, Aylo. To jasne, że nie jest łatwo rozluźnić się w świętej jaskini. Nie takie jest jej przeznaczenie. I pewnie masz rację, obawiając się tego wywaru, bo istotnie jest bardzo mocny. Musisz wiedzieć, że po jego wypiciu poczujesz się dziwnie, ale nawet ja nie umiem w pełni przewidzieć skutków jego działania. Zwykle mijają one mniej więcej po jednym dniu i nie słyszałam o nikim, komu zaszkodziłyby trwale, lecz jeżeli wolałabyś nie podejmować tej próby, nikt nie będzie żywił do ciebie urazy.

Ayla w zamyśleniu zmarszczyła brwi, zastanawiając się, czy rzeczywiście nie powinna odmówić, lecz teraz, gdy dano jej wybór, jeszcze trudniej było wycofać swoją zgodę.

- Jeśli chcesz, jestem gotowa - oświadczyła stanowczo.

- Jestem pewna, że twój udział bardzo nam pomoże, Aylo - powiedziała donier. - I twój, Jondalarze. Jednak, jak wiesz, także i tobie przysługuje prawo odmowy.

Zapewne pamiętasz, Zelandoni, że nigdy nie czułem się dobrze, obcując ze światem duchów - rzekł łupacz krzemieni. - A teraz, po paru dniach kopania grobu i odprawiania obrzędów, mam dość spotkań z Matką przynajmniej do czasu, aż wezwie mnie do siebie. Ale skoro sam poprosiłem cię, żebyś pomogła Thonolanowi, to przecież muszę cię wspierać najlepiej, jak potrafię. Poprzestańmy więc na tym, że będę zadowolony, kiedy to wszystko się skończy.

W takim razie zbliżcie się i usiądźcie z nami na skórze. Możemy zaczynać - obwieściła Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą Wielkiej Matce Ziemi.

Kiedy spoczęli, młoda kobieta zajęła się rozlewaniem napoju do kubków. Ayla spojrzała na Mejerę i uśmiechnęła się. Widząc nieśmiałe skrzywienie ust w odpowiedzi, znachorka pomyślała, że dziewczyna jest jeszcze młodsza, niż jej się dotąd wydawało. Wyglądała na zdenerwowaną, jakby pierwszy raz brała udział w takiej ceremonii. Uzdrowicielka uważała za możliwe, że Zelandoni zaprosili swych akolitów między innymi po to, by czegoś ich nauczyć.

- Nie spieszcie się - poradził Zelandoni z Trzeciej, który pomagał akolitce rozdawać kubki.

- Napój ma silny smak, ale z miętą nie jest taki zły.

Ayla wzięła mały łyk i po chwili wiedziała już, że raczej nie użyłaby określenia "nie jest taki zły". W innej sytuacji bez wahania wyplułaby miksturę. Choć ognisko już się nie paliło, wywar mieszany w misie zachował wysoką temperaturę, a poza tym jego składniki - czymkolwiek były - dokonały nie lada sztuki: zepsuły smak mięty. Z fachowym zacięciem Ayla poczęła się zastanawiać, czy inne obojętne lub lecznicze zioła nie dałyby bardziej strawnej mieszanki w połączeniu z głównymi składnikami. Może korzeń lukrecji? Albo kwiat lipy, dodany później, po zakończeniu gotowania? Tak czy inaczej, smak wywaru nie był przyjemny i Ayla z trudem wychyliła do końca zawartość kubka.

Zaraz też zobaczyła, że Jondalar i Zelandoni uczynili to samo. Mejera, która najpierw doglądała ognia, a potem rozlewała napój, także wypila swoją porcję.

- Jondalarze, czy to jest kamień, który zabrałeś z grobu Thanolana? - spytała Pierwsza, pokazując mu mały, dość zwyczajnie wyglądający, szary kamień, którego jedna tylko ścianka płonęła opalizującym blaskiem.

- Tak - odparł krótko. Rozpoznałby ten odłamek wśród tysiąca innych.

- To dobrze. Jest to kamień niezwykły i nie wątpię, że nosi w sobie ślad elana twojego brata. Połóż go na dłoni i podaj rękę Ayli, tak abyście ściskali go oboje. Przysuń się bliżej i podaj mi drugą rękę. A ty, Mejero, także siądź bliżej i złap moją dłoń. Aylo, zajmij miejsce między nami i podaj ręce mnie i Mejerze.

Mejera musi być akolitką od niedawna, pomyślała zachorka. Ciekawe, czy to jej pierwsza ceremonia tego typu. Dla mnie to pierwszy raz wśród Zelandonii, choć rytuał na Zgromadzeniu Klanu, który przeszłam razem z Crebem, był pewnie podobny. Nie inaczej było z Mamutem... Ayła przypomniała sobie przeżycia, których dostarczył jej starzec z Obozu Lwa, znawca następnego świata - lecz wspomnienie to nie podniosło jej na duchu. Kiedy Mamut dowiedział się, że miała w zapasie specjalne korzenie, których używali rnoгуrowie, zapragnął wypróbować ich moc. Nie znał jednak ich właściwości i dlatego osiągnął rezultat przekraczający jego oczekiwania. Oboje omal nie zatracili się w bezkresnej pustce, nauczony zaś doświadczeniem Mamut zabronił jej później używania niebezpiecznego składnika, toteż choć miała jeszcze pewną ilość tajemniczych korzeni, nie zamierzała po nie sięgać.

Czworo śmiałków siedziało teraz naprzeciwko siebie, trzymając się za ręce. Pierwsza spoczęła na miękko wyściełanym podwyższeniu, pozostali zaś na skórzanej macie rozścielonej bezpośrednio na skałach. Po chwili zjawił się Zelandoni z Jedenastej i postawił między nimi kaganek. Ayła widziała nieraz podobne lampki, lecz dopiero teraz zainteresowała się szczegółami ich budowy. Wpatrując się w kamienną miseczkę, nad którą pełgał płomyk, zaczynała już odczuwać skutki działania napoju.

Kaganek wykonano z wapienia. Kształt - w tym także wgłębienie na tłuszcz i zgrabny uchwyt - wymodelowano ostrzem ze znacznie twardszej skały, takiej jak granit. Powierzchnię wygładzono piaskowcem, a następnie udekorowano rysunkami za pomocą krzemienego rylca. O brzeg miseczki opierały się trzy knoty, częściowo zanurzone w ciekłym tłuszczu. Pierwszy wykonano z łatwopalnych i osiągających wysoką temperaturę porostów, które roztopiały tłuszcz. Drugi składał się z włókien mchu, które spleciono na kształt sznurka - ten dawał jaskrawe światło. Trzeci był ususzonym paskiem porowatego grzyba, toteż doskonale absorbował płynny tłuszcz i płonął nawet wtedy, gdy brakowało już paliwa. Do kaganków wlewano tłuszcz zwierzęcy wytapiany w gotującej się wodzie. Zanieczyszczenia szybko opadały w niej na dno, natomiast z wierzchu zbierano po wystudzeniu tylko białą masę, która spalała się, prawie nie produkując dymu czy sadzy.

Ayła rozejrzała się dokoła i z pewnym rozczarowaniem spostrzegła, że Pierwsza gasi właśnie jedną z lampek. Zelandoni poszli za jej przykładem i po chwili zniknęły wszystkie płomyki z wyjątkiem tego, który palił się pośrodku. Jakby na przekór swym nikczemnym rozmiarom, mały

ognik wyciągnął się nieco ku górze, okrywając złotawym blaskiem twarze czworga ludzi siedzących ze splecionymi dłońmi. Jednakże poza niewielkim kręgiem światła w każdym kącie groty zalegała ciemność tak czarna, że aż gęsta i dusząca. Ayla poruszyła się niespokojnie i odwróciła głowę w stronę głównego korytarza, by dostrzec w nim bladą poświatę dalekiego ognia. Ostatnie z lampek, które mijaliśmy po drodze, jeszcze się pała, pomyślała i wypuściła z sykiem powietrze, podświadomie zatrzymane w płucach.

Czuła się bardzo dziwnie; wywar szybko zaczynał działać pełną mocą. Miała wrażenie, że świat wokół niej zwalnia lub że sama porusza się nadzwyczaj szybko. Spojrzała na Jondalara i napotkała jego wzrok, doświadczając jednocześnie niesamowitego uczucia, że zna jego myśli. Popatrzyła na Zelandoni i Mej erę - tym razem także coś poczuła, lecz nie tak silnie, jak w przypadku Jondalara. Zastanawiała się, czy coś w tym jest, czy może wyobraźnia płata jej figle.

Do jej świadomości dotarła znienacka muzyka - dźwięki fletów, bębnow i ludzkich głosów, nucących melodię bez słów. Ayla nie była pewna, od jak dawna i skąd dochodzą śpiewy. Każdy z głosów rozbrzmiewał jedną nutą lub krótką serią nut, kiedy zaś śpiewającemu brakowało tchu, ustawał na moment i zaraz podejmował przerwany ton. Większość wykonawców powtarzała ten sam motyw lub dźwięk, jedynie fleciści i nieliczni śpiewacy od czasu do czasu wprowadzali wariacje. Fakt, iż każdy milkł i zaczynał swoją partię w dowolnie wybranym momencie, sprawiał, że muzyka nie cichła ani na chwilę. Na nieustającą falę przeplatających się tonów składały się dziesiątki rozmaicie brzmiących głosów. Niekiedy muzyka miała charakter atonalny, czasem ściśle harmoniczny, w sumie jednak niosła w sobie dziwne piękno i niepoślednią moc.

Troje ludzi siedzących z Aylą także dołączyło do śpiewów. Pierwsza, ze swym dźwięcznym i pełnym kontraltem, należała do tej nielicznej grupy wykonawców, którzy tworzyli bardziej urozmaiconą melodię. Wysoki i czysty głos Mejery powtarzał sekwencję prostych tonów. Jondalar także upodobał sobie pewną kombinację i zadowolił się jej powtarzaniem. Znachorka nigdy dotąd nie słyszała jego śpiewu - głos miał wcale niezły, toteż dziwiła się, dlaczego nie używa go częściej w taki sposób.

Ayla czuła, że powinna dołączyć do chóru, ale próbowała śpiewać jeszcze wtedy, gdy żyła pośród Mamutoi i doskonale wiedziała, że nie potrafi odtworzyć nawet najprostszyc dźwięków. Nie nauczyła się tego w dzieciństwie, a teraz było już za późno. Wreszcie usłyszała głos jednego ze stojących opodal mężczyzn, który po prostu zawodził monotonna. Przypomniała sobie czasy, kiedy mieszkała samotnie w dolinie i w podobny sposób mruzczała wieczorami, próbując zapaść w sen. Przytulała wtedy do siebie zwiniętą skórzaną płachtę, w której niegdyś nosiła swego syna.

Bardzo cicho i ostrożnie zaczęła mruzczyć niskim, monotonna głosem i kołysać się mimowolnie. W muzyce Zelandoni było coś kojącego, a i własne pomruki działały na znachorkę

odprężające. Poczwała się pewnie, jakby wspierały ją głosy zebranych, jakby w każdej chwili mogła liczyć na ich pomoc. W takim nastroju łatwiej było ulec działaniu mocnego wywaru z ziół.

Nagle z niemal bolesną wyrazistością odebrała uścisk dłoni siedzących obok ludzi. Ręka młodej akolitki była chłodna, wilgotna i niemal bezwładna. Ayla ścisnęła ją mocniej, ale nie doczekała się reakcji - nawet uchwyt Mejery był jakby nieśmiały, wręcz dziecinny. Tymczasem dłoń po prawej stronie była ciepła, sucha i nieco szorstka, zniszczona pracą. Jondalar mocno trzymał rękę uzdrowicielki, toteż bardzo wyraźnie wyczuwała twardość zamkniętego w dwóch dłoniach kamienia. Było to wrażenie dziwne, ale jednocześnie dające poczucie bezpieczeństwa.

Choć nie była w stanie tego zobaczyć, Ayla czuła, że płaska, opalizująca strona bryłki dotyka jej skóry, co oznaczało, że ostry trójkątny grzbiet wbija się w ciało mężczyzny. Koncentrując się na kamieniu, odniosła wrażenie, że jest coraz cieplejszy; że nie tylko osiągnął temperaturę ludzkich ciał, ale nawet ją przewyższył - jakby stał się ich częścią... a może to one stały się jego częścią? Znachorka przypominała sobie chłód, który poczuła, wkraczając do podziemnego świata, tym bardziej przenikliwy, im głębiej schodzili w trzewia góry - teraz, gdy siedziała na grubej skórze odziana w ciepłą odzież, wcale nie czuła zimna.

Skupiła uwagę na płomieniu kaganka, który kojarzył jej się przyjemnie z ciepłem domowego ogniska. Nie odrywała wzroku od migocącego ognika, a ściślej od kropki żaru w jego środku, zapominając o wszystkich innych sprawach. Śledziła ruchy żółtego światła i z każdą chwilą była coraz bardziej pewna, że sama je kontroluje.

Przyglądając mu się z wielką uwagą, doszła do wniosku, że płomyk nie jest całkiem żółty. Wstrzymała oddech, by choć na chwilę znieruchomiał. Jego wnętrze było prawie kuliste; najjaśniejsza, żółta część otaczała końcówkę knota. Wewnątrz kręgu znajdowało się ciemniejsze miejsce, rozpoczynające się poniżej końca knota i zwężające ku górze w stożek. Poniżej, w dolnej części płomyka, widać było odcienie błękitu.

Ayla nigdy dotąd nie wpatrywała się z taką intensywnością w ogień tłuszczowego kaganka. Kiedy znowu zaczęła oddychać, płomyk poruszył się, jakby tańczył w takt niesamowitej muzyki. A gdy tak pełgał ponad lśniąca powierzchnią roztopionego tłuszczu, jego światło odbijało się, dając złudzenie większej jasności. Znachorka nie widziała teraz niczego poza przytulnym blaskiem wypełniającym jej oczy.

Czuła się lekka, nieważka i beztroska; wydawało jej się, że jeśli tylko zechce, może popłynąć w powietrzu i zanurzyć się w ciepłe ognia, że wszystko przysłoby jej łatwo, bez wysiłku. Uśmiechnęła się, zaśmiała z cicha i spojrzała na Jondalara. Pomyślała o nowym życiu, które wzrastało powoli w jej łonie, i poczuła, że przepelniają miłość. Mężczyzna mógł jedynie

odpowiedzieć uśmiechem na emanującą z niej radość. Obserwując go, Ayla czuła się szczęśliwa i kochana. Życie było pełne radości, którą chciała się dzielić.

Rozpromieniona, odwróciła się ku Mejerze, która w rewanżu posłała jej niepewny uśmiech. Wreszcie popatrzyła na Zelandoni, by i ją objąć płaszczem swego szczęścia. Jednak jakaś część umysłu donier pozostała trzeźwa i z dystansem przyglądała się temu, co działo się pod wpływem sekretnego wywaru.

- Przygotowuję się do wezwania elana Shevonara i skierowania go do świata duchów - odezwała się Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą Matce, przerywając swą pieśń. Jej głos był dziwnie daleki, nieobecny. - Kiedy już mu pomożemy, spróbuję odnaleźć elan Thonolana. Jondalar i Ayla będą musieli mi pomóc. Pomyślcie o tym, jak zginął i gdzie spoczywają jego szczątki.

W uszach Ayli jej słowa brzmiały jak piękna, głośnie i złożona muzyka. Znachorka słyszała dźwięki odbijające się echem od ścian jaskini i splatające się w nową pieśń, sylwetka donier zdawała się zaś wtapiać w otoczenie, jakby wielka kobieta była częścią skalnej groty. Ayla zobaczyła, że Zelandoni zamyka oczy, otwiera je i wpatruje się w przestrzeń, przewraca białkami i znowu zaciska powieki, tym razem na dłużej, pochylając się bezwładnie na siedzisku.

Młoda kobieta siedząca obok znachorki trzęsa się gwałtownie. Ayla nie była pewna, czy to skutek lęku, czy tylko emocji. Znowu spojrzała na Jondalara. Mężczyzna zdawał się spoglądać na nią i już chciała pozdrowić go uśmiechem, gdy nagle zrozumiała, że i on wpatruje się w przestrzeń niewidzącymi oczami, dostrzegając coś jedynie umysłem, nie wzrokiem. Nagle poczuła, że sama znowu znajduje się w Dolinie Koni.

Ayla usłyszała dźwięk, który ściał jej krew w żyłach i przyspieszył bicie serca: potężny ryk lwa jaskiniowego i przeraźliwy krzyk człowieka. Czuła, że Jondalar jest z nią, a raczej w niej - czuła ból w jego rozoranym przez drapieżnika udzie i wiedziała, kiedy stracił przytomność. Stała nieruchomo, czując w skroniach mocne pulsowanie. Minął długi czas, odkąd po raz ostatni słyszała ludzki głos, a jednak wiedziała, że o pomoc wołał człowiek. Wiedziała więcej: to był człowiek jej rasy. Była tak oszołomiona, że nie potrafiła zebrać myśli. Krzyk rozpaczy wciąż dźwięczał w jej uszach.

Teraz, kiedy dominująca świadomość Jondalara osłabła, Ayla wyczuwała obecność pozostałych - Zelandoni, dalekiej, lecz potężnej, oraz Mejerzy, bliższej, lecz słabej. Gdzieś w tle sączyła się muzyka - głosy i flety były ciche, lecz dodawały otuchy, dźwięk bębnow zaś był głęboki i niósł się mocnym echem.

Usłyszała ryk lwa jaskiniowego i dostrzegła jego rudawą grzywę. Teraz dopiero dotarło do niej, że Whinney wcale nie okazuje zdenerwowania - i od razu domyśliła się dlaczego... To Maluszek! Whinney, to nasz Maluszek!

Mężczyzn było dwóch. Ayla odepchnęła drapieżcę, którego sama wychowała, i przyklękła, by zająć się nimi. Była przede wszystkim znachorką, lecz w tej chwili powodowała nią także ciekawość. Wiedziała od razu, że ma przed sobą mężczyzn, choć o ile pamiętała, byli to pierwsi Inni, których widziała.

Natychmiast zrozumiała, że dla tego o ciemniejszych włosach nie ma już nadziei. Leżał w nienaturalnej pozycji, ze skrzyżnym karkiem. Ślady kłów na gardle nie pozostawiały wątpliwości, co się stało. I choć Ayla nigdy przedtem nie spotkała tego człowieka, jego śmierć wstrząsnęła nią. Po policzkach spływały jej łzy. Nie kochała go przecież, a jednak czuła, że straciła coś niezwykle wartościowego, nim jeszcze zdążyła to poznać. Była zdruzgotana tym, że kiedy wreszcie spotkała ludzi swojej rasy, jeden z nich musiał zginąć.

Chciała jakoś uczcić to, że był człowiekiem, upamiętnić miejsce jego spoczynku, ale jedno spojrzenie na drugiego innego uświadomiło jej, że teraz nie będzie miała na to czasu.

Mężczyzna o żółtawych włosach jeszcze oddychał, lecz życie uchodziło zeń przez wielką ranę na udzie. Nadzieję na ocalenie go dawał jedynie jak najszybszy powrót do jaskini, gdzie znachorka mogła mu pomóc, wykorzystując swe umiejętności. Nie było czasu na odprawianie pogrzebu.

Ayla nie wiedziała, co robić. Nie chciała pozostawiać ciała człowieka na pastwę lwów... Zauważyła, że kamień leżący na stoku zamykającym kanion nie spoczywa nazbyt stabilnie na innym, większym kawałku skały. Po namyśle chwyciła ciało zmarłego i pociągnęła je w tamtą stronę...

Kiedy wreszcie owinęła zwłoki w skórę, zbliżyła się do głazu z długą i mocną włócznią Klanu. Spojrzała w dół, na martwego mężczyznę, i raz jeszcze poczuła żal, że jego życie dobiegło końca. Używając bezgłośnego języka Klanu, zwróciła się do mieszkańców świata duchów.

Swego czasu przyglądała się Crebowi, staremu mogurowi, który odprawiał ducha Izy do następnego świata za pomocą pięknych, płynnych ruchów. Powtarzała te same gesty, kiedy znalazła ciało Creba w jaskini po trzęsieniu ziemi, choć nikt nigdy nie wyjaśnił jej znaczenia tej świętej pantomimy. Szczegóły nie były najważniejsze - liczyły się intencje.

Wykorzystując drzewce włóczni jako dźwignię - dokładnie tak samo jak wtedy, gdy długim kijem próbowała podważyć leżący pień lub wydobyć z ziemi potrzebny korzeń - wprawiła kamień w ruch i uskoczyła w bok, gdy kaskada skalnych odłamków potoczyła się w dół, grzebiąc pod sobą ciało mężczyzny...

Kiedy zbliżyli się do przejścia między poszarpanymi ścianami skalnymi, Ayla zsiadła z konia i pochyliła się nad ziemią. Świeżych tropów nie było. Nie było także bólu - to był już inny, dużo późniejszy czas. Rana na nodze zagoiła się; pozostała po niej tylko wielka blizna. Przyjechali

razem, na grzbiecie Whinney. Jondalar także zsiadł na ziemię i ruszył w ślad za kobietą, która dobrze wiedziała, że tak naprawdę wcale nie chciał tu wracać.

Poprowadziła go do ślepego wąwozu, wspięła się na kawał odłupanej skały i ostrożnie przeszła dalej, na ciągnące się za nim osypisko.

To tutaj, Jondalarze - powiedziała, po czym wydobyła zza pazuchy miszek i podała go mężczyźnie, który także rozpoznał okolicę.

- Co to jest? - spytał, ważąc w dłoni skórzany woreczek.

- Czerwona ziemia. Na grób.

Jondalar bez słowa skinął głową. Czuł, że do oczu napływają mu łzy, ale nawet nie próbował ich powstrzymać. Wysypał na dłoń trochę ochry i poproszył nią skały, a potem sięgnął po nową porcję. Kobieta czekała, on zaś wpatrywał się w rumowisko wilgotnymi oczami. Kiedy odwrócił się i odszedł, ostatnim gestem mowy znaków pożegnała grób Thonolana.

Dotarli wreszcie do ślepego wąwozu, usianego wielkimi głazami o ostrych krawędziach i zagłębili się weń, idąc stromym rumowiskiem ku zamykającej go ścianie. Znowu minął długi czas. Mieszkali teraz u Mamutoi, a Obóz Lwa wkrótce miał adoptować Aylę. Wyruszyli do doliny tylko po to, by znachorka mogła zabrać ze starej jaskini trochę własnoręcznie wykonanych przedmiotów, na prezenty dla ludzi Taluta. Jondalar stanął u podnóża stoku, zastanawiając się nad tym, w jaki sposób mógłby oznaczyć miejsce spoczynku brata. Może Donijużgo znalazła, skoro sama wezwała go do siebie tak młodo? Wiedział jednak, że Zelandoni będzie próbowała odszukać miejsce spoczynku Thonolana i pomóc jego elanowi trafić do świata duchów, jeśli tylko będzie to możliwe. Ale w jaki sposób mógł opisać jej położenie tego wąwozu? Sam przecież nie znalazłby go, gdyby nie Ayla.

Zauważył, że znachorka ścisnęła w dłoni mały skórzany woreczek, podobny do tego, który nosiła na szyi.

- Powiedziałeś, że jego duch powinien wrócić do Doni - odezwała się cicho. - Nie wiem, jak to jest w świecie Wielkiej Matki Ziemi, bo znam tylko świat duchów i totemów Klanu. Poprosiłam mojego Lwa Jaskiniowego, żeby poprowadził Thonolana do celu. Może będzie to to samo miejsce, a może przynajmniej Wielka Matka je odnajdzie, ale wiedz, że Lew Jaskiniowy to potężny totem i twój brat nie pozostał bez opieki.

Kobieta uniosła woreczek nieco wyżej.

- Zrobiłam dla ciebie amulet. Ty także zostałeś wybrany przez Lwa Jaskiniowego. Nie musisz nosić na szyi tego zawiniątka, ale powinieneś mieć je zawsze przy sobie. Włożyłam do środka kawałek czerwonej ochry, żeby zatrzymać w nim cząstkę twojego ducha i ducha twojego totemu, ale wyślę, że powinieneś dodać coś jeszcze.



Jondalar zmarszczył brwi. Nie chciał obrazić znachorki, ale wcale nie był pewien, czy ma ochotę nosić przy sobie amulet z totemem Klanu.

Uważam, że trzeba włożyć do niego jeszcze kamień z grobu twojego brata. Zostanie w nim część jego ducha, którą razem z amuletem możesz zanieść do swoich ludzi.

Zmarszczki na czole Jondalara pogłębiły się na moment, po czym znikły bez śladu. Oczywiście! W ten sposób można będzie pomóc Zelandoni odnaleźć to miejsce w rytualnym transie. Może w totemach Klanu tkwiło coś ważniejszego, niż sądził do tej pory? Czyż to nie Doni stworzyła duchy wszystkich zwierząt?

- Dobrze, zatrzymam ten amulet i dołożę do niego kamyk z grobu Thonolana - oznajmił.

Jondalar spojrzał na rumowisko ostrych skalnych fragmentów, zastygłe w kruchej równowadze na stromym zboczu kanionu. I nagle mały kamyk, pchany wszechogarniającą siłą grawitacji, stoczył się w dół, odbijając się od większych odłamków, i spoczął u stóp Jondalara. Mężczyzna podniósł go na wysokość oczu. Z pozoru była to taka sama bryłka jak inne drobne, niepozorne fragmenty pokruszonego granitu czy skał osadowych. Kiedy jednak Jondalar obrócił go w palcach, ze zdumieniem stwierdził, że w miejscu, w którym kamień rozłamał się na dwie części, widać gładką, opalizującą powierzchnię. Spod mlecznobiałej masy, ozdobionej połyskującymi w słońcu nitkami błękitu i zieleni, przebijały czerwone błyski.

- Aylo, spójrz na to - powiedział, pokazując kobiecie opalizującą stronę kamienia. - Patrząc z drugiej strony, nigdy bym nie zauważył, że w środku kryje się coś takiego. Wygląda jak zwykły kamyk, ale tu, gdzie pękł na dwoje... Wydaje się, że kolory przebijają z samego dna, a przecież są takie jaskrawe, jakby skała była żywa.

- Może jest żywa, a może zamieszkał w niej duch twojego brata - odpowiedziała znachorka.

Ayla znowu poczuła ciepło ciała Jondalara i uwieranie kamienia ściśniętego między dłońmi. Jego temperatura rosła - nie na tyle, by powodować dyskomfort, ale na tyle, by zmiana była wyczuwalna. Czy to duch Thonolana dawał o sobie znać? Kobieta żałowała, że nie zdążyła poznać brata swego mężczyzny. Jeśli wierzyć opowieściom, które o nim słyszała, był powszechnie lubiany. Jaka szkoda, że odszedł tak młodo, pomyślała. Jondalar często powtarzał, że to Thonolan najbardziej palił się do wędrowni. On sam zaś wybrał się w Podróż po to, by towarzyszyć młodszemu bratu, oraz dlatego, że tak naprawdę nie zamierzał złączyć się z Maroną.

- O Doni, Wielka Matko, pomóż nam odnaleźć drogę na drugą stronę, do twojej krainy, do miejsca, które - choć niewidzialne - znajduje się przecież w granicach naszego świata. Tak jak stary, konający księżyc trzyma nowy w swych smukłych ramionach, tak nieznaną świat duchów

trzyma w uścisku nasz świat rzeczywisty, świat mięsa i kości, świat trawy i skały. Jednak z Twoją pomocą możemy ujrzeć to, co niewidzialne, poznać to, co nieznanne.

Ayla wsłuchiwała się w dziwną, błagalną pieśń, nuconą cicho przez potężną donier. Stwierdziła, że odczuwa zawroty głowy, choć to określenie nie do końca pasowało do wrażeń, które odbierała. Zamknęła oczy i wydawało jej się, że spada. Kiedy uniosła powieki, jej źrenice płonęły. Przypatrując się wcześniej wizerunkom zwierząt zdobiącym ściany jaskini, nie zwracała uwagi na symbole, które teraz widziała nawet z zamkniętymi oczami. Czowała, że spada w niezmierną głębię, w długi i ciemny tunel, daremnie próbując odzyskać kontrolę nad swoim ciałem.

- Nie walcz z tym, Aylo. Rozluźnij się - poradziła wielka donier. - Wszyscy jesteśmy z tobą. Wesprzemy cię, a Doni cię ochroni. Pozwól Jej, niech zabierze cię, dokąd zechce. Słuchaj muzyki, ona ci pomoże. Powiedz nam, co widzisz.

Ayla zanurkowała w tunelu; czuła się tak, jakby skoczyła na głowę i płynęła pod wodą. Ściany tunelu poczęły migotać, aż wreszcie zniknęły. Spoglądała przez nie, widziała ich wnętrze i to, co było za nimi: trawiastą równinę i wielkie stado bizonów w oddali.

Widzę bizona... mnóstwo bizonów na rozległym pastwisku - powiedziała. Ściany na moment znowu stały się nieprzeniknione, lecz bizona pozostały dokładnie tam, gdzie przedtem znajdowały się wizerunki mamutów. - Są na ścianach, namalowane czerwienią i czernią. Są piękne, doskonałe, tak pełne życia jak dzieła Jonokola. Nie widzicie ich? Spójrzcie.

Ściany rozplynęły się ponownie. Raz jeszcze zobaczyła to, co działo się poza nimi.

Teraz bizona wróciły na równinę... jest ich całe stado. Biegną w stronę zagrodypułapki. Shevonarze, nie! - krzyknęła nagle znachorka. - Nie idź tam, to niebezpieczne! Za późno - dodała z rezygnacją. - Przykro mi, Shevonarze. Zrobiłam, co mogłam.

- Zażądała od nas ofiary, byśmy czuli respekt, by ludzie wiedzieli, że od czasu do czasu muszą poświęcić jednego ze swoich - odezwała się Pierwsza. Była teraz tam, gdzie Ayla. - Dłużej nie możesz tu zostać, Shevonarze. Musisz do Niej powrócić. Pomogę ci. Razem ci pomożemy. Pokażemy ci drogę. Chodź z nami, Shevonarze. Tak, jest ciemno, ale czy nie widzisz światełka w oddali? Jasnego, ciepłego blasku? Idź ku niemu. To Ona czeka na ciebie.

Ayla ścisnęła ciepłą dłoń Jondalara. Wyczuwała silną emanację Zelandoni, a także obecność czwartej osoby - słabej, niepewnej Mejery o zimnych, bezwładnych dłoniach. Jej umysł tylko chwilami objawiał swoją siłę, by znowu ustąpić przed niepewnością.

- Nadszedł czas. Idź do swojego brata, Jondalarze - powiedziała Zelandoni. - Ayla może ci pomóc, zna drogę.

Znachorka ścisnęła mocniej niezwykły kamień i skupiła myśli na jego pięknej, młecznoblękitnej powierzchni z przebłyskami czerwieni. Wydawało jej się, że bryłka rozrasta się i wypełnia przestrzeń wokół niej, aż wreszcie poczuła, że znalazła się w jej wnętrzu. Znowu pływała, nie po powierzchni, lecz pod wodą, tak szybko, że zdawało jej się, iż szybuje w przestrzeni. I rzeczywiście wzbija się w powietrze i pomknęła nad ziemią, mijając łąki, góry, lasy i rzeki, wielkie morza śródłądowe i rozległe trawiaste stepy oraz ogromne stada pasących się w dole zwierząt.

Inni lecieli z nią, lecz pozwalali jej prowadzić. Jondalar był najbliżej; wyczuwała go najmocniej, lecz silna była także obecność potężnej donier. Emanacja akolitki była tak słaba, że ledwie wyczuwalna. Ayla leciała wprost ku ślepemu wąwozowi na surowych stepach dalekiego wschodu.

Tutaj go zobaczyłam. Nie wiem, dokąd teraz... - powiedziała.

- Myśl o Thonolanie, Jondalarze, wezwij jego ducha - poleciła Zelandoni. - Spróbuj dosięgnąć jego elana.

- Thonolanie! Thonolanie!... Czuję go - stwierdził Jondalar. - Nie wiem, gdzie jest, ale wyczuwam jego obecność. - Ayla podzielała to wrażenie, choć nie potrafiła określić, czyją emanację odbiera. I nagle poczuła, że duchów jest więcej - najpierw pojawiło się kilka, a potem cały tłum, z którego wyłoniły się dwa... nie, trzy - jeden trzymał w ramionach dziecko.

Wciąż jeszcze podróżujesz, Thonolanie? Wciąż odkrywasz nowe ziemie? - spytał Jondalar.

Ayla nie usłyszała odpowiedzi, ale odebrała coś w rodzaju śmiechu, a później uczucie nieskończoności przestrzeni, którą można przemierzyć i zbadać.

- Jetamio jest z tobą? I jej dziecko? - indagował Jondalar.

Znachorka i tym razem nie usłyszała słów, za to od bezcielesnych kształtów popłynęła ku niej fala miłości.

Thonolanie, wiem, jak bardzo ukochałeś podróże i przygody. - Tym razem przemówiła Pierwsza, kierując swe myśli ku elanowi mężczyzny. - Ale kobieta, która stoi u twego boku, pragnie powrócić do Matki. Poszła za tobą z miłości, lecz jest gotowa na spotkanie z Doni. Jeżeli ją kochasz, powinieneś zabrać ją tam wraz z dzieckiem. Już czas, Thonolanie. Wielka Matka Ziemia chce was widzieć.

Ayla odebrała uczucie niepewności i zagubienia.

- Pokażę wam drogę - powiedziała donier. - Podążajcie za mną.

Znachorka poczuła teraz, że jakaś siła ciągnie ją za pozostałymi, że przyspiesza nagle w swym locie ponad krainą, która być może wydałaby się jej znajoma, gdyby nie to, że w wielkim pędzie i zapadającej ciemności szczegóły krajobrazu zacierały się i znikwały. Trzymała się mocno ciepłej dłoni po prawej, lewą zaś czuła rozpaczliwy uścisk zalęknionej dziewczyny. W oddali

pojawiła się przed lecącymi wielka jasność, trochę podobna do olbrzymiego ogniska, lecz z każdą chwilą coraz potężniejsza.

Dalej traficie już sami - odezwała się Zelandoni, kiedy zwolnili nieco lot.

Ayla odebrała uczucie ulgi elanów, a potem straciła z nimi kontakt. Otoczyła ją ponura ciemność, a wraz ze światłem zniknęły ostatnie dźwięki i zapanowała przytłaczająca, nieziemska, kompletna cisza. Przerwały ją dopiero tony cichej muzyki: falujące trele fletów, stłumione śpiewy i dalekie bicie bębnow. I nagle gdzieś po lewej stronie znachorka poczuła ruch, coraz szybszy i bardziej gwałtowny. To Mejera szarpała jej rękę, przestraszona i gotowa powrócić do realnego świata tak szybko, jak się da, pociągając za sobą pozostałych.

Kiedy szamotanina ustała, Ayla czuła już tylko bezwładne dłonie dziewczyny i Jondalara. Znowu byli w mrocznej jaskini, otoczeni niesamowitą muzyką. Uzdrawicielka otworzyła oczy i zobaczyła swego mężczyznę, Zelandoni i Mejerę. Płomyk kaganka stojącego między nimi właśnie dogasał; brakło w nim tłuszczu i palił się już tylko jeden knot. Ayla wzdrygnęła się, gdy w ciemności ponad lampką dostrzegła ruch innego płomienia, który zdawał się płynąć w powietrzu. Ktoś przyniósł nowy kaganek i postawił go w miejsce gasnącego. Czwooro uczestników rytuału nadal siedziało na grubej skórze, w ciepłej odzieży, lecz mimo to znachorka czuła chłód.

Kiedy rozluźniali uścisk rąk, by z ulgą zmienić pozycję, Ayla przytrzymała dłużej dłoń Jondalara. Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą dołączyła tymczasem do śpiewających i swym dominującym głosem szybko zakończyła pieśń. Zapalono więcej lamp i pochodni, a uczestnicy ceremonii poczęli kręcić się po grocie; niektórzy podskakiwali w miejscu i tupali nogami, by się rozgrzać.

- Aylo, chciałabym cię o coś spytać - odezwała się wielka donier.

Uzdrawicielka spojrzała na nią z wyczekiwaniem.

- Mówiłaś, że widziałaś na ścianie bizona?

Tak, ich wizerunki zakryły malunki z mamutami. Garbate głowy i grzbiety mamutów przerobiono tak, by wyglądały jak wybrzuszenia w kłębie każdego z bizonów. Potem ściany rozmyły się i rysunki zmieniły się w prawdziwe zwierzęta. Widziałam różne stworzenia, między innymi konie i renifery zwrócone głowami ku sobie, ale to miejsce wydało mi się jaskinią bizonów - odparła Ayla.

- Sądzę, że twoje widzenie miało związek z niedawnym polowaniem na bizona i tragedią, która się wówczas wydarzyła. Byłaś w samym środku wydarzeń, próbowałaś ratować Shevonara - przypomniała Pierwsza. - Ale dostrzegam w tym wszystkim także głębszą myśl. Bizona przyszedł do ciebie całym stadem - być może Duch Bizona chciał przez to powiedzieć Zelandonii, że zbyt

często polują na te zwierzęta i że powinni zaprzestać łowów na nie co najmniej do następnego sezonu, by odwrócić zły urok.

W jaskini rozległ się pomruk aprobaty. Zelandoni poczuli się lepiej, mogąc zaoferować Duchowi Bizona taką formę przebłagania, które miało odwrócić nieszczęśliwy los, sprowadzony nagłą śmiercią jednego z łowców. Byli niemal wdzięczni Pierwszej, że będą mogli obwieścić w swych Jaskiniach zakaz polowania na bizony.

Akolici pozbierali przedmioty przyniesione do jaskini, zapalili resztę kaganków i pochodni, po czym skierowali się Tff stronę wyjścia, oświetlając drogę idącym ich śladem Zelandoni. Kiedy cały orszak dotarł do skalnego tarasu u wejścia do tunelu, słońce zachodziło już, rozpalając daleki horyzont czerwienią, żółcią i złotem. Nikt z grona idących ku Skałom Fontanny jakoś nie kwapił się z rozmową na temat niedawnych przeżyć. Zelandoni rozchodzili się powoli do swoich Jaskiń, Ayla zaś zastanawiała się, co czują pozostali uczestnicy niezwykłego doświadczenia, lecz jakoś nie miała odwagi podjąć tego wątku. Wiele pytań cisnęło się jej na usta, ale nie wiedziała, czy wolno je zadać, i nie była pewna, czy naprawdę chce poznać odpowiedzi.

Zelandoni zapytała Jondalara, czy jest zadowolony, że zdołali odnaleźć ducha jego brata i dopomóc mu w dotarciu do celu. Łupacz krzemieni odparł, że elan Thonolana z pewnością jest uradowany, więc i on może się tylko cieszyć. Ayla przypuszczała jednak, że jej mężczyzna odczuwa przede wszystkim ulgę. Zrobił, co było w jego mocy, choć nie było mu łatwo zdobyć się na odwagę, a teraz najtrudniejszą próbę miał już za sobą. Kiedy Ayla, Jondalar, Zelandoni i Jonokol dochodzili do Dziewiętej Jaskini, jedynie migocące punkciki gwiazd oraz wątle płomyki kaganków i pochodni pomagały im odnaleźć drogę.

Wreszcie para zmęczonych przeżyciami jasnowłosych wędrowców stanęła u wejścia do domostwa Marthony. Wilk, zdenerwowany długim oczekiwaniem, z radością powitał przyjaciół. Pocieszywszy wiernego towarzysza, przywitani się z domownikami, zjedli lekką kolację i wkrótce leżeli już na pościeli. Ostatnie dni zdecydowanie nie należały do łatwych.

- Marthono, czy mogłabym pomóc ci w gotowaniu? - spytała Ayla. Tego ranka dwie kobiety obudziły się pierwsze i z przyjemnością wypity razem herbatę, starając się nie przeszkadzać pozostałym. - Chciałabym nauczyć się przyrządzać jedzenie wedle waszych zasad, a przy okazji zorientować się, gdzie trzymasz składniki.

- Cieszę się, że chcesz mi pomóc, ale dziś nie musimy się trudzić: Joharran i Proleva zaprosili nas na śniadanie. Podobno Zelandoni też ma się zjawić. Proleva często dla niej gotuje, a poza tym mam wrażenie, że Joharranowi brakuje okazji do porozmawiania z bratem. O ile wiem, interesuje go przede wszystkim ten nowy wynalazek do rzucania oszczepami - odpowiedziała Marthona.

Jondalar obudził się, myśląc o rozmowie na temat abelanów i tego, jak bardzo istotne było dla Ayli poczucie przynależności. Postawa znachorki była zrozumiała - kobieta nie pamiętała swego prawdziwego ludu, natomiast z ludźmi, którzy ją wychowali, nie miała już żadnego kontaktu. Zerwała nawet więzy z Mamutoi, którzy przyjęli ją jak swoją, by zamienić bezpieczne życie w Obozie Lwa na trudną Podróż ku rodzinnym stronom Jondalara. Zafrasowany łupacz krzemieni dumał nad tą sprawą przez cały czas trwania porannego posiłku u Joharrana. Wszyscy ludzie, którzy go otaczali, należeli do Zelandonii, byli jego rodziną, jego Jaskinią, jego ludem - wszyscy prócz Ayli. To prawda, wkrótce miały połączyć go z nią Zaślubiny, ale nawet wtedy piękna znachorka wciąż będzie "Ayla\_ z Mamutoi, partnerką Jondalara z Zelandonii".

Kiedy dobiegła końca dyskusja z Joharranem na temat miotacza oszczepów, wymiana anegdot związanych z podróżowaniem, w których celował Willamar, oraz wszelkie inne wątki rozmowy dotyczące głównie Letniego Spotkania, wypłynęła kwestia ceremonii połączenia Ayli i Jondalara podczas pierwszych Zaślubin. Jak wyjaśniła znachorce Marthona, każdego lata odprawiano dwukrotnie Ceremonię Zaślubin. Pierwsza, z reguły przygotowywana z większym rozmachem, odbywała się niemalże na początku Spotkania. Uczestniczyły w niej pary, które już od dłuższego czasu nosiły się z zamiarem utworzenia wspólnego ogniska. Drugą turę Zaślubin przeprowadzano na krótko przed zakończeniem zgromadzenia wszystkich Jaskiń i zwykle spotykali się na niej ci, którzy dopiero podczas lata zapragnęli zawiązać węzeł. Organizowano także rytuały kobiecości, pierwszy zaraz po przybyciu wszystkich grup Zelandonii, drugi zaś tuż przed końcem Letniego Spotkania.

Wiedziony nagłym impulsem, Jondalar postanowił przerwać wyjaśnienia matki.

- Chciałbym, żeby Ayla należała do nas, żeby była jedną z nas. Kiedy połączy nas węzeł, chcę, żeby nazywano ją "Aylą z Dziewiątej Jaskini Zelandonii", a nie "Aylą z Mamutoi". Wiem, że zazwyczaj ta decyzja należy do matki zainteresowanej osoby lub do mężczyzny jej ogniska, a także do przywódców i Zelandoni, ale pamiętajcie i o tym, że Mamut dał Ayli wolny wybór, kiedy odchodziła z jego Obozu. Czy jeśli zapragnie tej zmiany, dasz nam na to swoją zgodę, matko?

Marthona była zaskoczona nagłym pytaniem syna.

- Nie odmówię ci, Jondalarze - powiedziała ostrożnie, postawiona w dość niezręcznej sytuacji i bez ostrzeżenia zmuszona do podjęcia szybkiej decyzji przy świadkach. - Ale nie wszystko zależy ode mnie. Z radością powitam twoją kobietę w Dziewiątej Jaskini Zelandonii, lecz to twój brat, Zelandoni i kilka innych osób, włącznie z Aylą, muszą wspólnie rozstrzygnąć tę sprawę.

Folara uśmiechnęła się dyskretnie, wiedząc doskonale, że matka nie lubiła takich niespodzianek. Cieszyła się, że Jondalar podszedł ją zaskoczenia, lecz musiała przyznać w duchu, że Marthona dość sprytnie wybrnęła z niezręcznej sytuacji.

- Jeśli mam być szczery, ja także przyjąłbym Aylę bez wahania - rzekł Willamar. - Adoptowałbym ją nawet, ale skoro jestem partnerem twojej matki, Jondałarze, tym samym uczyniłbym kobietę, którą wybrałaś, nieosiągalną dla ciebie: byłaby twoją siostrą, jak Folara. Nie wydaje mi się, żeby właśnie o to ci chodziło.

- Na pewno nie, ale doceniam twoją gotowość - odparł Jondalar.

- Dlaczego mówisz nam o tym akurat teraz? - spytała wciąż jeszcze lekko zirytowana Marthona.

- Sądziłem, że to chwila równie dobra jak każda inna. Wkrótce zacznie się Letnie Spotkanie, a zależy mi na tym, żeby wyjaśnić tę sprawę, zanim jeszcze na nie wyruszymy. Wiem, że od niedawna jesteście w domu, ale wydaje mi się, że większość z was zdążyła już dość dobrze poznać Aylę. Moim zdaniem byłaby dla Dziewiątej Jaskini cennym nabytkiem.

Uzdrowicielka była równie zaskoczona wystąpieniem Jondalara, jak pozostali goście i gospodarze w domostwie Joharrana, lecz nie odezwała się ani słowem. Czyja naprawdę chce być adoptowana przez Zelandonii? Czy to rzeczywiście takie ważne? Jeżeli wkrótce mam zostać partnerką Jondalara, myślała Ayla, to i tak staniemy się jednością, bez względu na to, jak będzie brzmieć moje imię. Jednak on wyraźnie pragnie tej zmiany. Nie jestem pewna dlaczego, ale na pewno ma jakiś powód. Zna swoich ludzi znacznie lepiej niż ja.

- Pozwól, że i ja coś ci powiem, Jondałarze - odezwał się przywódca Dziewiątej Jaskini. - Uważam, że dla tych z nas, którzy znają już Aylę, będzie ona mile widzianym członkiem społeczności, ale nie wszyscy są tego zdania. Wracając z Dolnorzecza, postanowiłem powiedzieć Laramarowi i jego kompanom o wspólnym posiłku. Kiedy podchodziłem, usłyszałem przypadkiem fragment rozmowy. Przykro mi to mówić, ale gracze wymieniali właśnie kąśliwe uwagi na temat Ayli, a szczególnie umiejętności uzdrowicielskich, które pokazała, próbując ocalić Shevonara. Ich zdaniem ten, kto uczył się znachorstwa od... Klanu, nie może znać się na tym zbyt dobrze. Niestety, są uprzedzeni i nic na to nie poradzimy. Powiedziałem im, że nikt, nawet Zelandoni, nie mógłby zrobić więcej dla tak ciężko rannego człowieka. Przyznaję, że trochę się przy tym uniosłem, a w takim stanie człowiek raczej nie ma największej siły przekonywania.

Więc to dlatego był wtedy niespokojny, pomyślała Ayla. Wyjaśnienia Joharrana wywołały w niej mieszane uczucia. Była zirytowana niewiarą mężczyzn w uzdrowicielski talent Izy, a jednocześnie zadowolona, że przywódca Jaskini stanął w jej obronie.

- Moim zdaniem to tylko jeszcze jeden powód, by uczynić ją jedną z nas - oznajmił Jondalar. - Znacie przecież Laramara i jego towarzyszy, którzy nie zajmują się niczym prócz grania i złopania barmy. Nie chciało im się wyuczyć porządnego rzemiosła, chyba że uznać za takowe hazard. Żaden z nich nie jest nawet przyzwoitym myśliwym. To leniwi, bezwartościowi ludzie, którzy w żaden sposób nie służą Jaskini, dopóki nie zostaną zawstydzeni, a i wstydu niewiele w nich zostało. Wszyscy wiedzą, że tacy jak oni tylko szukają okazji do wymigania się od pracy. Nikt nie będzie więc pytał ich o zdanie, jeśli tylko do każdego dotrze wieść, że szanowani mieszkańcy osady pragną przyjąć Aylę do społeczności Zelandonii. - Jondalar był już wyraźnie wzburzony. Pragnął przyjęcia znachorki do Dziewiętej Jaskini przede wszystkim dlatego, by poczuła się lepiej, a to sprawiło, że nabrał emocjonalnego stosunku do sprawy.

- Jeśli chodzi o Laramara, Jondalarze, to nie do końca masz rację - odezwała się Proleva. - Może i jest leniwy, jeśli chodzi o codzienne zajęcia, i zapewne nie przepada za polowaniami, ale mimo wszystko posiada pewną umiejętność. Potrafi zrobić smaczny trunek dosłownie ze wszystkiego, co wpadnie mu w ręce. Wiem, że używa ziarna, owoców, miodu, soku brzoźowego, a nawet niektórych korzonków, i za każdym razem udaje mu się zrobić napitek, którym wszyscy chętnie się raczą podczas większych uroczystości, prawdajest, że niektórzy przesadzają z tym "raczeniem się", ale to nie jego wina, on jest tylko dostawcą.

- Chciałabym, żeby nim był - mruknęła Marthona, Jcrzywiąc się z niechęcią. - Może wtedy dzieci jego ogniska nie musiałyby błagać ludzi o wszystko, czego potrzebują do życia. Powiedz no, Joharranie, jak często Laramar jest z rana zbyt "chory", by dołączyć do polujących?

Wydawało mi się, że jedzenie rozdaje się każdemu, kto go potrzebuje - wtrąciła Ayla.

- Jedzenie - owszem. Nikt nie umrze tu z głodu, ale jeśli chodzi o inne dobra, jego rodzina jest całkowicie zależna od łaski innych ludzi - wyjaśniła Pierwsza.

- Ale jeśli jest tak, jak mówi Proleva, i Laramar rzeczywiście zna się na swoim rzemiośle - robi trunki, które wszystkim smakują - to dlaczego nie wymienia ich na rzeczy, których potrzebuje jego kobieta i jej dzieci? - zdziwiła się znachorka.

- Mógłby to robić, ale nie robi - stwierdziła Proleva, wzruszając ramionami.

- A jego partnerka? Nie mogłaby go przekonać, że powinien bardziej dbać o rodzinę? - nie ustępowała Ayla.

Tremeda? Jest jeszcze gorsza niż Laramar. Nic nie robi, tylko pije barmę i rodzi dzieci, o które wcale nie dba - odrzekła pogardliwie Marthona.

W takim razie co Laramar robi ze swoimi trunkami, skoro nie wymienia ich na inne dobra dla swoich bliskich? - spytała Ayla.



- Może się mylę - odrzekł Willamar - ale część chyba musi wymieniać, żeby dostać składniki potrzebne do uwarzenia nowej barmy.

To prawda. Kiedy mu zależy, zawsze zdoła jakoś wyhandlować to, czego potrzebuje, ale jego kobieta i jej dzieci nic z tego nie mają - powiedziała Proleva. - Całe szczęście, że Tremeda nie ma nic przeciwko prośbom ludzi o różne rzeczy dla jej "biednych dzieciątek".

- Sam Laramar też nie stroni od swoich trunków - dodał Joharran. - Podobnie jak Tremeda. Wydaje mi się, że sporą część rozdaje znajomym. Wiecznie otacza go grupka spragnionych, którzy mają nadzieję na darmowy poczęstunek, a on lubi towarzystwo. Pewnie myśli, że to jego przyjaciele, ale ciekaw jestem, czy zostaliby przy nim, gdyby nagle przestał rozdawać im barmę.

- Zapewne niedługo - rzekł Willamar. - Ale nie sądzę, żeby to Laramar i jego kompani mieli podejmować decyzję o tym, czy Ayla zostanie Zelandonii.

- Masz rację, Mistrzu Handlu. Uważam, że nie ma o czym dyskutować: na pewno wszyscy chcielibyśmy przyjąć Aylę, ale chyba powinniśmy pozwolić jej samej wypowiedzieć się w tej sprawie - odezwała się Zelandoni. - Jak dotąd nikt z nas nie zadał jej pytania, czy chciałaby zostać kobietą Zelandonii.

Wszystkie oczy zwróciły się ku speszonej znachorce. Tym razem to ona poczuła się niezręcznie. Minęła dłuższa chwila, nim przemówiła, co wprawiło Jondalara w jeszcze większe zakłopotanie. Czyżbym źle ją ocenił? Może wcale nie chce zostać Zelandonii? Może powinienem był zapytać ją o zdanie, zanim rozdmuchałem tę sprawę? Wydawało się, że rozmowy o Zaślubinach to odpowiedni wstęp... Wreszcie Ayla zaczęła mówić:

- Kiedy postanowiłam opuścić Mamutoi i pójść z Jondalarem do jego domu, wiedziałam już, co Zelandonii myślą o Klanie - ludziach, którzy mnie wychowali - i spodziewałam się, że mogą mnie nie zaakceptować. Przyznaję, że trochę się bałam spotkania z jego ludem i jego rodziną. - Znachorka umilkła na chwilę, by zebrać myśli i dobrać odpowiednie słowa, które najlepiej wyraziłyby to, co czuła.

- Jestem dla was obca i obce są wam moje obyczaje. Przyprosiłam ze sobą zwierzęta i poprosiłam, żebyście je przyjęli. Na konie zwykle się poluje, a ja zażądałam, byście znaleźli dla nich miejsce w pobliżu swoich domostw. Dziś właśnie zastanawiałam się nad tym, czy nie byłoby dobrze zbudować dla nich solidnego schronienia na południowym krańcu Dziewiątej Jaskini, niedaleko Dolnorzecza. Podczas zimy konie zawsze szukają kryjówek przed kaprysmi pogody... Przybył ze mną także wilk, mięsożerny łowca. Wiadomo, że jego pobratymcy od czasu do czasu atakują ludzi, a ja poprosiłam, byście pozwolili mu spać w domu, obok mnie - dodała, uśmiechając się do matki Jondalara. - Nie wahałaś się ani chwili, Marthono. Zaprosiłaś mnie i Wilka; podzieliłaś się z nami swoim domostwem. A ty, Joharranie, pozwoliłeś, by konie pozostały w pobliżu, a nawet

weszły ze mną na taras przed osadą. Brun, przywódca mojego Klanu, nigdy nie zgodziłby się na coś takiego. Wysłuchaliście mnie, kiedy opowiadałam wam o Klanie, i nie odrzuciliście mnie. Przyjęliście do wiadomości, że ci, których nazywacie płaskogłowymi, mogą być ludźmi - być może ludźmi nieco różniącymi się od nas, ale z pewnością nie zwierzętami. Nie spodziewałam się takiego zrozumienia i jestem wam za nie wdzięczna.

To prawda, że nie wszyscy byli tu dla mnie mili, ale wielu z was broniło mnie od początku, choć prawie się nie znaliśmy. Jestem tu od niedawna. Być może wstawiliście się za mną przez wzgląd na Jondalara, bo nie wierzyliście, że mógł sprowadzić do Jaskini kogoś, kto działałby na niekorzyść jego ludu lub kogo nie potrafilibyście zaakceptować. - Ayla umilkła na moment i przymknęła oczy, nim odezwała się ponownie. - Bardzo się bałam spotkania z rodziną i pobratymcami Jondalara, ludem Zelandonii, bo zdawałam sobie sprawę, że nie będę mogła wrócić tam, skąd przyszłam. Nie wiedziałam, jak mnie przyjmiecie, ale nie miało to dla mnie większego znaczenia. Kocham Jondalara i chcę spędzić całe życie u jego boku. Byłam gotowa zrobić wszystko, czego pragnął, i zgodzić się na każde warunki, byle być blisko niego. Ale wy powitaliście mnie serdecznie, a teraz pytacie, czy chcę zostać Zelandonii. - Znachorka znowu urwała, z trudem przełknęła ślinę i spuściła powieki, by zapanować nad sobą. - Pragnęłam tego od chwili, gdy po raz pierwszy zobaczyłam Jondalara i nawet nie wiedziałam, czy przeżyje. Rozpacałam po jego bracie; nie dlatego, że go znałam, ale dlatego, że był taki jak ja. Gnębiła mnie myśl, że już nigdy nie poznam jednego z pierwszych ludzi mojej rasy, których zobaczyłam na własne oczy. Nie wiem, jakim językiem mówiłam, nim znaleźli mnie i adoptowali ludzie Klanu. Nauczyłam się porozumiewać tak, jak moi opiekunowie, ale pierwszą prawdziwą mową, którą opanowałam, była mowa ludu Zelandonii. Może nie używam jej jeszcze bezbłędnie, ale w myślach nazywam ją "moim językiem". Jednak zanim zaczęłam rozmawiać z Jondalarem, zastanawiałam się czasem, jak by to było, gdybym należała do jego ludu, spodobała się mu i pewnego dnia została jego partnerką. Byłabym zadowolona nawet, gdyby wziął mnie jako swoją drugą lub trzecią kobietę.

Pytacie, czy chcę być Zelandonii? O, tak, chcę być Zelandonii. Z całego serca pragnę być kobietą Zelandonii. Pragnę tego bardziej niż czegokolwiek innego w całym moim życiu - zakończyła, spoglądając na zebranych oczami pełnymi łez.

W domu Joharrana zapadła absolutna cisza. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, Jondalar przebiegł kilka kroków i mocno przytulił Aylę. Uczuć, które go przepelniały, nie potrafił wyrazić słowami. Zachwycił się tym, że jego kobieta umiała być jednocześnie tak silna i tak wrażliwa. Nie tylko on był poruszony jej słowami. Nawet Jaradal zrozumiał znaczenie tego, co powiedziała. Policzki Folary były mokre od łez - i nie tylko jej. Marthona pozbierała się pierwsza.

- Z radością witam cię w Dziewiątej Jaskini Zelandonii - powiedziała, otwierając ramiona i ściskając znachorkę w spontanicznym geście. - Cieszę się i z tego, że wkrótce Jondalar usatkuje się u twego boku, choć pewnie wiele kobiet z naszej osady wcale sobie tego nie życzy. Niejedna kochała się w nim przed laty, ale ja czasem wątpiłam, czy mój syn kiedykolwiek znajdzie prawdziwą miłość. Przypuszczałam nawet, że wybierze kogoś spoza Jaskini, ale nie spodziewałam się, że będzie szukał aż tak daleko. Teraz już wiem, że miał ważny powód, by odbyć tak długą Podróż. Poznałam cię, Aylo, i rozumiem, dlaczego cię pokochał. Jesteś wyjątkową kobietą.

Goście Joharrana znowu zaczęli dyskutować o Letnim Spotkaniu i o najodpowiedniejszym terminie wyruszenia w drogę. Zelandoni zauważyła, że wystarczy jeszcze czasu na przygotowanie małej ceremonii przyjęcia Ayli do Dziewiątej Jaskini i uczynienie z niej kobiety Zelandonii.

W tym momencie rozległo się niecierpliwe pukanie w panel ustawiony przed wejściem. Nim jednak ktokolwiek zdążył się odezwać, do wnętrza wpadła przerażona dziewczynka i natychmiast podbiegła do Zelandoni. Ayla pomyślała, że dziecko mogło mieć nie więcej niż dziesięć lat, i ze zdziwieniem zauważyła, jak bardzo zniszczone i brudne było jego ubranie.

- Zelandoni - wykrztusiła zziębnięta dziewczynka - powiedzieli mi, że tu jesteś... Nie mogę obudzić Bologana.

- Jest chory? Zranił się? - spytała donier.

- Nie wiem.

- Aylo, chodź ze mną. Poznaj Lanogę, córkę Tremedy. Bologan jest jej najstarszym bratem - wyjaśniła Zelandoni.

Tremeda to partnerka Laramara, prawda? Tak - odrzekła krótko Pierwsza, w pośpiechu opuszczając dom przywódcy.

## ROZDZIAŁ 19

Gdy dochodziły do domostwa Laramara i Tremedy, Ayla uświadomiła sobie, że wcześniej przechodziła obok wielokrotnie, nie zwracając na nie najmniejszej uwagi. Skalna nisza Dziewiątej Jaskini była tak obszerna i mieściła w sobie tyle domów, a jednocześnie tyle się wydarzyło w ciągu zaledwie kilku dni, że znachorka nie ogarniała jeszcze wszystkich szczegółów w rozkładzie osady. Być może tak już pozostanie, skoro mieszka tu tak wielu ludzi, pomyślała. Minie trochę czasu, zanim się przyzwyczaje.

Niewielkie domostwo znajdowało się na samym końcu długiego rzędu zabudowań, nieco na uboczu i najdalej od miejsca, w którym mieszkańcy Jaskini oddawali się swym codziennym zajęciom. Sama kamienna konstrukcja nie była duża, w przeciwieństwie do obszaru, który rodzina Laramara najwyraźniej uważała za swoją własność - rozległego placu usianego przedmiotami, o których trudno było powiedzieć, czy są jeszcze rzeczami osobistymi, czy już tylko śmieciami. W pewnej odległości od domu stały naczynia, w których fermentowała barma Laramara - napój o zmiennym smaku, lecz niezmiennie wysokiej jakości.

- Lanogo, gdzie jest Bologan? - spytała Zelandoni. W środku. Nie rusza się - odpowiedziała dziewczynka.

- A gdzie twoja matka?

- Nie wiem.

Kiedy uchyliły kapę zakrywającą wejście, ze środka buchnął nieznośny fetor. Jeśli nie liczyć małej lampki, jedynym źródłem światła w całym pozbawionym dachu domostwie były odbite od skalnego sklepienia niszy i wpadające z góry promienie słoneczne.

- Nie macie tu więcej kaganków? - spytała Zelandoni.

- Mamy, ale zabrakło tłuszczu - odrzekła Lanoga.

- Na razie wystarczy odsłonić kotarę. Chłopak leży tuż przy wejściu, blokuje drogę - stwierdziła donier.

Ayla znalazła sznurek wszyty w zasłonę, pociągnęła go mocno i uwiązała do palika. Kiedy zajrzała do środka, skrzywiła się z odrazą. Na ziemi nie ułożono kamieni, na brudnej polepie widać zaś było ciemne plamy w miejscach, gdzie rozlano jakiś płyn. Sądząc po odorze, mogła to być uryna. Wydawało się, że wszystkie przedmioty znajdujące się w domu rozrzucono wprost na ziemi: leżały tam i postrzępione plecione maty, i kosze, i porozrywane, na poły opróżnione poduszki, a także sterty skór i płócien, które kiedyś mogły być ubraniami.

Kości, w większości ogryzione do czysta, poniewierały się tu i ówdzie. Wokół porzuconych, gnijących resztek fruwały chmary much. Ayla nie potrafiła ocenić, od ilu dni resztki pożywienia zalegają na drewnianych talerzach - tak fatalnie obrobionych i tak zniszczonych, że sterczały z nich drzazgi. W smudze światła tuż przy wejściu dostrzegła gniazdo pełne popiskujących z cicha, rumianych, bezwłosych, ślepych jeszcze, młodych szurów.

Obok zaś leżał na ziemi wychudzony chłopak. Ayla pomyślała, że miał nie więcej niż dwanaście lat. Pas, który nosił na biodrach, wskazywał na rychłe osiągnięcie dojrzałości, lecz w nieprzytomnym Bologanie więcej było jeszcze z dziecka niż z mężczyzny. Obrażenia były widoczne gołym okiem: ciało chłopca pokrywały siniaki i stłuczenia, głowa zaś tonęła w krzepnącej krwi.

Walczył - oceniła Zelandoni. - Ktoś zaciągnął go do domu i zostawił.

Ayla schyliła się, by zbadać rannego. Dotknęła szyi, szukając pulsu, i zbliżyła policzek do ust Bologana. Poczula nie tylko ciepło oddechu, ale i jego zapach.

- Żyje - zwróciła się do Zelandoni - ale mocno oberwał. Puls jest słaby. Przez tę ranę na głowie stracił dużo krwi, ale trudno powiedzieć, czy kość jest naruszona. Albo uderzono go czymś ciężkim, albo się przewrócił. Być może dlatego nie można go obudzić... Poza tym zalatuje barwą.

- Nie wiem, czy powinniśmy go ruszać, ale to jasne, że tutaj nie będę mogła go leczyć - powiedziała donier.

Do domostwa zbliżyła się Lanoga, niosąca na biodrze chude, ospałe, mniej więcej sześciomiesięczne niemowlę, które wyglądało tak, jakby nie kapano go od urodzenia. U nogi dziewczynki maszerował dzieciak z zasmarkanym nosem, za nim zaś Ayla dostrzegła jeszcze jedną postać, choć nie była tego pewna. Zdaje się, że ta mała jest lepszą matką dla swego rodzeństwa niż prawdziwa matka, pomyślała.

- Bologan żyje? - spytała Lanoga, spoglądając na brata z niepokojem.

- Żyje, ale jest ranny. Dobrze zrobiłaś, przychodząc po mnie - odpowiedziała donier, z rozdrażnieniem potrząsając głową na myśl o Tremedzie i Laramarze. - Będę musiała zająć się nim w moim domu.

Zwykle Zelandoni zabierała do siebie tylko najciężiej rannych; w Jaskini tak wielkiej jak Dziewiąta nie było mowy o tym, by wszystkich chorych zgromadzić w domostwie duchowej przywódczyni. Obrażenia takie jak te, które miał Bologan, leczono zazwyczaj na miejscu, gdzie rodzina mogła zapewnić poszkodowanemu wystarczającą opiekę, Zelandoni zaś jedynie nadzorowała proces uzdrawiania. W tym domu nie było jednak nikogo, kto zdołałby zadbać o chłopca, a donier nie wyobrażała sobie nawet, by mogła częściej tu zaglądać, nie mówiąc już o spędzaniu dłuższego czasu w cuchnących pomieszczeniach.

- Lanogo, nie wiesz, gdzie jest wasza matka?

- Nie.

- A dokąd poszła? - Zelandoni postanowiła przeformułować pytanie.

- Na pogrzeb - odrzekła dziewczynka.

- Kto zajmuje się dziećmi?

- Ja.

- Przecież nie potrafisz... - jęknęła zszokowana Ayla. - Nie możesz jeszcze karmić.

- Potrafię - odparła buntowniczo Lanoga. - Mleko się skończyło. Daję jedzenie.

- A to oznacza, że Tremeda za rok będzie miała kolejne dziecko - mruknęła Zelandoni.

Wiem, że nawet tak małe dzieci mogą jeść normalne jedzenie, jeśli muszą - powiedziała współczująco Ayla, starając się nie ujawniać bolesnych wspomnień. - Co jej dajesz, Lanogo?

- Ugotowane i roztarte korzonki.

- Aylo, idź do Joharrana i powiedz mu, co się stało. Niech przyjdzie tu z czymś, na czym będziemy mogli przenieść Bołogana do mojego domu. I może niech weźmie kogoś do pomocy - poprosiła Zelandoni.

- Oczywiście. Zaraz wracam - odrzekła znachorka i pospieszyła w stronę domostwa przywódcy.

Było późne popołudnie, kiedy Ayla opuszczała Zelandoni, by ponownie odwiedzić Joharrana. Przez pół dnia pomagała uzdrowicielce z Dziewiątej Jaskini, a teraz spieszyła do przywódcy z wiadomością, że Bologan odzyskał przytomność i może mówić.

Joharran już na nią czekał. Kiedy wyszedł, do Ayli zbliżyła się Proleva.

- Może chciałabyś coś zjeść? Spędziłaś z Zelandoni całe popołudnie. - Znachorka pokręciła głową i ruszyła do wyjścia. - A może napijesz się herbaty? - dodała szybko Proleva, gdy Ayla otworzyła usta, by uprzejmie odmówić. - Jest gotowa. To rumianek, lawenda i kwiat lipy.

- Może kubek, ale zaraz potem muszę wracać - ustąpiła Ayla, zastanawiając się, czy taka właśnie mieszanka była wynikiem dyskretnej sugestii Zelandoni i czy Proleva wiedziała, że częstuje ją napojem odpowiednim dla ciężarnych kobiet, łagodnym i lekko uspokajającym. Pociągnęła łyk gorącego płynu, który partnerka Joharrana nalała chochłłą do jej kubka, i przez moment rozkoszowała się smakiem. Herbata miała miły zapach i tak naprawdę nadawała się dla każdego, nie tylko dla ciężarnych.

- Jak się czuje Bologan? - spytała Proleva, przysiadłszy się z kubkiem obok Ayli.

- Myślę, że nic mu nie będzie. Dostał mocno w głowę i stracił sporo krwi. Bałam się, że kość może być naruszona, ale urazy głowy zawsze kończą się sporym krwawieniem. Kiedy oczyściłyśmy ranę, nie znalazłyśmy śladu pęknięcia. Widać tylko wielką opuchliznę; chłopak ma

też sporo drobnych obrażeń na całym ciele, ale tak naprawdę potrzebuje tylko odpoczynku i troskliwej opieki. Pewne jest to, że wdał się w bójkę, i to, że wcześniej pił barmę.

I o tym właśnie Joharran chce z nim porozmawiać - powiedziała Proleva.

- A mnie bardziej martwi stan niemowlaka - odrzekła z namysłem znachorka. - Trzeba go karmić piersią. Moim zdaniem inne matki mogłyby oddać mu trochę mleka. Tak zrobiły kobiety Klanu, kiedy... - zawahała się na moment - ...kiedy jedna z nich wcześniej straciła pokarm, bo opiekowała się chorą matką i bardzo rozpaczała po jej śmierci.

- Ayla postanowiła wstrzymać się z wyznaniem, że to ona była ową kobietą, która straciła pokarm. Nie powiedziała jeszcze nikomu, że miała syna, kiedy żyła wśród ludzi Klanu. - Spytałam Lanogę, czym karmi tę małą. Odpowiedziała, że roztartymi korzonkami. Wiem, że dzieci mogą jeść zwykły, odpowiednio rozdrobniony pokarm, ale potrzebują także mleka. Bez niego nie rozwijają się tak, jak powinny.

- Masz rację, Aylo. Dzieci muszą pić mleko. Niestety, nikt jakoś nie przejmuje się losem Tremedy i jej rodziny. Wiemy wszyscy, że te dzieci nie mają dobrej opieki, ale przecież to są jej dzieci, a ludzie nie lubią, kiedy ktoś wtrąca się w ich prywatne sprawy. Nie bardzo wiadomo, jak im pomóc, więc większość z nas po prostu ich ignoruje. Ja na przykład nie wiedziałam nawet, że Tremeda straciła pokarm - przyznała Proleva.

- Dlaczego Laramar nikomu o tym nie powiedział? - zdziwiła się Ayla.

Wątpię, czy w ogóle zauważył. Nie przejmuje się zbytnio dziećmi, jeśli nie liczyć Bologana, choć i o nim pamięta tylko od czasu do czasu. Nie jestem pewna, czy w ogóle wie, ile potomstwa ma jego kobieta - odparła Proleva, z niesmakiem kręcąc głową. - Bywa w domu tylko po to, żeby się najeść i przespać, chociaż czasem nawet na tym mu nie zależy. Może to i dobrze, bo kiedy Laramar i Tremeda są razem, kłócą się bez przerwy. Często kończy się to prawdziwą bójką, w której oczywiście kobieta nie ma szans.

- Więc po co z nim jest? - spytała Ayla, dziwiąc się jeszcze bardziej. - Przecież gdyby chciała, mogłaby od niego odejść, prawda?

- Niby dokąd? Jej matka nie żyje i nigdy nie miała partnera, Tremedzie zawsze brakowało mężczyzny ogniska. Ma tylko starszego brata, który wyniósł się stąd, kiedy była mała - najpierw do innej Jaskini, a potem jeszcze dalej. Od lat nikt o nim nie słyszał - wyjaśniła Proleva.

- Nie mogłaby znaleźć innego mężczyzny?

- A który by ją zechciał? To prawda, że podczas obrzędów ku czci Matki z reguły udaje jej się znaleźć mężczyznę, który chce uczcić z nią Matkę - najczęściej takiego, który lekko przesadził z barmą, grzybkami czy inną używką - ale nie nazwałabym jej gwiazdą imprezy. Poza tym ma sześcioro dzieci, które trzeba jakoś utrzymać.

- Sześcioro? - powtórzyła Ayla. - Widziałam czworo, może pięcioro. Nie wiesz, w jakim są wieku?

- Bologan jest najstarszy; ma pewnie ze dwanaście lat - odparła Proleva.

- Domyśliłam się - mruknęła znachorka.

- Lanoga ma około dziesięciu - ciągnęła kobieta - a następne mają po osiem, sześć i dwa lata. No i ten niemowlak... ma parę miesięcy, może pół roku. Tremeda miała jeszcze jedno, ale zmarło. Miałoby teraz cztery lata.

- Obawiam się, że i to nie pożyje długo. Badałam tę małą, nie jest zdrowa. Wiem, że Zelandonii dzielą się jedzeniem, ale jak to jest z dziećmi, które potrzebują mleka? Czy kobiety chętnie oddają swój pokarm? - spytała Ayla.

- Gdyby chodziło o wsparcie kogokolwiek poza Tremedą, odpowiedziałabym "tak" - odrzekła uczciwie Proleva.

To dziecko nie jest Tremedą - stwierdziła z naciskiem Ayla. - To tylko bezbronne, bezradne niemowlę. Gdybym miała teraz dziecko, bez wahania podzieliłabym się mlekiem z tą małą, ale obawiam się, że kiedy urodzę, córki Tremedy nie będzie już wśród żywych. Nawet wtedy, kiedy twoje przyjdzie na świat, może być już za późno.

Proleva spojrzała na nią z ukosa i uśmiechnęła się z zażenowaniem.

- Skąd wiesz? Nikomu jeszcze nie mówiłam, że znowu będę matką.

Teraz Ayla poczuła się zakłopotana. Nie zamierzała zdradzać się ze swoimi domysłami. Prawo obwieszczenia światu radosnej nowiny przysługiwało matce.

- Jestem uzdrowicielką, znachorką - wyjaśniła. - Nieraz już pomagałam kobietom rodzić i dobrze znam oznaki ciąży. Przepraszam, nie chciałam nic mówić, póki sama nie będziesz gotowa... Po prostu przejęłam się losem dziecka Tremedy.

Wiem i nie gniewam się. I tak wkrótce miałam wszystkim powiedzieć - przyznała Proleva. - Ale nie wiedziałam, że i ty jesteś przy nadziei. To oznacza, że między naszymi dziećmi nie będzie wielkiej różnicy wieku. Cieszę się. - Kobieta umilkła i zastanawiała się przez chwilę, nim znowu przemówiła. - Powiem ci, co zrobimy. Postaram się zebrać wszystkie kobiety, które mają małe dzieci lub wkrótce będą rodzić - te, których piersi nie przyzwyczyły się jeszcze do potrzeb niemowląt i produkują za wiele mleka. Porozmawiamy z nimi, zapytamy, czy zechciałyby pomóc córce Tremedy.

- Jeżeli rozłożymy ten ciężar na kilka kobiet, żadna nawet nie poczuje straty - powiedziała Ayla, lecz po chwili zmarszczyła brwi. - Kłopot w tym, że dziecko potrzebuje czegoś więcej niż tylko mleka. Potrzebuje lepszej opieki. Jak Tremedą mogła zostawić niemowlę na tak długi czas w



rękach dziewczynki, która ma najwyżej dziesięć lat? Nie wspominając już o jej rodzeństwie. To zbyt wielkie obciążenie dla dziecka.

- Malcom pewnie i tak lepiej jest z Lanogą niż z Tremedą - zauważyła Proleva.

- Ale to nie znaczy, że dobrze jest obarczać dziewczynkę taką odpowiedzialnością - odparła Ayla. - Co się dzieje z tym Laramarem? Dlaczego nie pomaga rodzinie w żaden sposób? Przecież Tremedą jest jego kobietą, prawda? A dzieci urodziły się przy jego ognisku, czyż nie?

Wielu z nas od dawna zadaje sobie te pytania - odrzekła smutno partnerka przywódcy. - I nikt nie znalazł jeszcze odpowiedzi. Nie brakło i takich, którzy próbowali rozmawiać z Laramarem. Byli wśród nich nawet Joharran i Marthona. Wszystko na nic. Laramar po prostu nie zważa na to, co mówią inni. Dobrze wie, że bez względu na jego postawę ludzie i tak będą chcieli pić te jego trunki. A Tremedą nie jest lepsza od niego. Często jest tak zamroczona barwą, że nie wie, co się dzieje dokoła. I żadne z nich nie przejmuje się dziećmi. Że też Wielka Matka Ziemia wciąż daje im nowe... Nikt nie wie, co jeszcze można zrobić w tej sprawie. - Prócz smutku w głosie wysokiej i urodziwej kobiety pojawiła się teraz także frustracja.

Ayla nie potrafiła jej odpowiedzieć, ale wiedziała, że trzeba działać.

- Zróbmy coś na dobry początek. Porozmawiajmy z kobietami; dowiedzmy się, czy będą chciały odstąpić małej trochę mleka. - Znachorką schowała kubek do torebki, którą nosiła u pasa, i energicznie wstała. - Muszę wracać.

Opuściwszy Prolevę, nie skierowała się wprost ku domostwu Zelandoni - postanowiła zajrzeć do Marthony i sprawdzić, co porabia Wilk, którego nie widziała przez cały dzień. Zastała w domu nie tylko jego, ale i całą rodzinę. Czworonożny łowca skoczył radośnie przednimi łapami na jej piersi, omal nie przewracając dziewczyny na ziemię. Szczęściem Ayla spodziewała się takiego powitania i wytrzymała napór niemałej masy wilczego ciała. Pozwoliła też na pozdrowienie należne przywódczyni sfory: nadstawiła gardło, a Wilk jak zwykle polizał je i ujął delikatnie zębami jej szczękę. Następnie ona ujęła kosmaty łeb i sama ugryzła lekko jego zuchwę. Spojrzawszy w jego pełne radości ślepie, przytuliła drapieżkę, zadowolona, że znowu się spotykają.

- Zamieram, kiedy patrzę, jak to robisz - wyznał Willamar, podnosząc się z poduszek rozrzuconych na kamiennej podłodze.

- Kiedyś i ja się bałem - rzekł Jondalar. - Teraz ufam Wilkowi, wiem, że nie zrobi Ayli krzywdy. Widziałem za to, co potrafi zrobić komuś, kto ma wobec niej złe zamiary. Przyznaję jednak, że zdumiewające jest to ich pozdrowienie.

Znachorką powitała Willamara, dotykając prawym policzkiem jego twarzy. Zdążyła już zapamiętać, że tak właśnie wygląda u Zelandonii zwyczajowe, uprzejme przywitanie między członkami rodziny albo bardzo bliskimi przyjaciółmi.

- Przykro mi, że nie mogłam pójść z tobą do koni, Aylo - odezwała się Folara, kiedy przywitały się w identyczny sposób.

- Zdązysz się jeszcze z nimi zaprzyjaźnić - odpowiedziała Ayła, muskając twarzą policzek Marthony.

Powitanie z Jondalarem było podobne, choć trwało nieco dłużej i połączone było z serdecznym uściskiem.

- Muszę wrócić i pomóc Zelandoni - oznajmiła po chwili. - Martwiłam się tylko o Wilka. Dobrze, że wrócił do was. To oznacza, że czuje się tu jak w domu nawet wtedy, gdy mnie tutaj nie ma.

- Jak się czuje Bologan? - spytała Marthona. Wreszcie się ocknął i może już mówić. Poszłam do Joharrana specjalnie po to, żeby mu o tym powiedzieć. - Ayła rozważała w duchu, czy powinna wspomnieć teraz o swych obawach co do przyszłości dziecka Tremedy. Na razie była tu obca i być może nie wypadało jej mieszać się do cudzych spraw. Taka troska mogła zostać odebrana jako krytyka całej Dziewiątej Jaskini. Z drugiej jednak strony chyba nikt nie wiedział o trudnej sytuacji tamtej rodziny - i nie dowie się, jeśli ktoś nie zacznie mówić o tym głośno. - Rozmawiałam też z Prolevą o pewnej sprawie, która bardzo mnie martwi.

Domownicy spojrzeli na nią z zaciekawieniem.

- O jakiej sprawie? - spytała Marthona.

Wiecie, że Tremeda nie ma już pokarmu? Nie pojawiła się w domu, odkąd poszła na pogrzeb Shevonara. Zostawiła niemowlę i całą czeredę dzieci pod opieką Lanogi. A przecież ta dziewczynka ma ledwie dziesięć lat, nie może karmić piersią. Maleństwo je więc wyłącznie roztarte korzonki, a potrzebuje przede wszystkim mleka. W jaki sposób ma się rozwijać bez mleka? I gdzie się podziewa Laramar? Czy on w ogóle nie interesuje się swoim ogniskiem? - Ayła niemal jednym tchem wyrzuciła z siebie to, co gryzło ją przez ostatnie kilka godzin.

Jondalar spojrzął na twarze domowników. Folara była przejęta, Willamar zdumiony, a Marthona kompletnie zaskoczona, co nie zdarzało się często i zdecydowanie nie poprawiało jej humoru. Widząc miny najbliższych, Jondalar z trudem powstrzymał uśmiech. Nie zdziwiło go, że Ayła jak zawsze wystąpiła w obronie potrzebujących pomocy, lecz miał świadomość, że temat Laramara, Tremedy i ich rodziny od dawna uważany był w Dziewiątej Jaskini za wstydlivy. Większość mieszkańców osady po prostu nie rozmawiała o tej sprawie, za to Ayła nie wahała się mówić o niej głośno.

- Proleva nie wiedziała, że Tremeda straciła już pokarm - ciągnęła znachorka. - Teraz próbuje zebrać kobiety, które mogłyby temu zaradzić. Będziemy z nimi rozmawiać, tłumaczyć, czego potrzebuje to niemowlę, i prosić, by odstąpiły mu trochę swojego mleka. Proleva

powiedziała, że zwróci się do najmłodszych matek i do tych, które niedługo będą rodzić. To wielka Jaskinia, na pewno znajdzie się niejedna kobieta, która zechce pomóc.

Jondalar był pewien, że wiele mogłoby pomóc, ale zastanawiał się, czy którakolwiek zechce. Wydawało mu się też, że wie, czyj to pomysł. Rzeczywiście, kobiety niekiedy pomagały wykarmić cudze dzieci, lecz zwykle chodziło o potomstwo siostry czy bliskiej przyjaciółki.

- Moim zdaniem to myśl godna podziwu - orzekł Willamar.

- Jeśli którakolwiek z matek się zgodzi - dodała Marthona.

- A dlaczego nie? - zdziwiła się Ayla. - Kobiety Zelandonii nie pozwolą chyba, by niemowlę umarło z powodu braku odrobiny mleka, prawda? Powiedziałam Lanodze, że przyjdę do niej jutro rano i nauczę ją, jak przygotowywać dla dziecka coś więcej niż tylko roztarte korzonki.

- A co jeszcze można mu podawać? - zainteresowała się Folar.

- Wiele rzeczy - odrzekła znachorka. - Można rozdrobnić gotowane mięso, tak żeby powstała z niego miękka papka. Można podawać płyn, który pozostaje po gotowaniu mięsa. Roztarte orzechy zmieszane z czymś płynnym, a także bardzo mocno rozdrobnione i rozgotowane ziarna. Ugotowane na miękko warzywa też się nadają, podobnie jak roztarte owoce, o ile wyjmie się z nich nasiona. Zawsze przelewałam sok przez garść świeżej lepczycy; nasiona zatrzymywały się na gęstych kolcach. Właściwie dziecko może jeść wszystko to, co jego matka, pod warunkiem że będzie to pokarm rozdrobniony i papkowaty.

- Skąd tyle wiesz o karmieniu niemowląt? - spytała Folar.

Ayla umilkła i zaczerwieniła się nieco. Nie spodziewała się tego pytania. Wiedziała, że dzieci jadają nie tylko mleko, bo tego nauczyła ją Iza, kiedy zachorowała i straciła pokarm, przez co nie mogła karmić małej Uby. Jednak wiedza Ayli powiększyła się niepomiaralnie po śmierci Izy, kiedy młoda znachorka, załamana odejściem jedynej matki, jaką znała, sama straciła pokarm dla swojego potomka. Choć inne kobiety z małego klanu Bruna solidarnie dokarmiły Durca mlekiem, musiała wtedy uzupełniać jego dietę stałym pożywieniem, by zapewnić mu zdrowie i prawidłowy rozwój.

Uzdrowicielka nie była jednak gotowa na to, by opowiedzieć rodzinie Jondalara o swoim synu. Przecież dopiero niedawno usłyszała, że chętnie przyjmą ją do Dziewiątej Jaskini, uznają za swoją, choć wiedzą, że została wychowana przez płaskogłowych, których zawsze uważali za zwierzęta. Ayla nie potrafiła zapomnieć bólu, który wywołała w niej pierwsza reakcja Jondalara, gdy dowiedział się, że urodziła niegdyś syna mieszanych duchów. Jako że duch jednego z tych, których uważał za zwierzęta, połączył się z jej duchem, by począć nowe życie, jasnowłosa łupacz krzemieni uznał ją z początku za kreaturę gorszą od hieny i nazwał potworem. Była w jego oczach nawet gorsza niż mieszane dziecko, bo przecież to ona wydała je na świat. Od tamtej pory Jondalar

dowiedział się wiele na temat ludzi Klanu i zmienił zdanie, ale czy tego samego można było spodziewać się po jego pobratymcach i rodzinie?

Ayla zastanawiała się gorączkowo nad odpowiedzią. Co powiedziałyby jego matka, gdyby dowiedziała się, że jej syn chce połączyć się z kobietą uważaną za potwora? Co pomyśleliby Willamar, Folaro i reszta rodziny? Znachorka spojrzała na Jondalara, jakby miała nadzieję, że z jego twarzy i postawy wyczyta myśli i uczucia, lecz nie potrafiła tego dokonać. Nie miała pojęcia, jakiej odpowiedzi życzyłby sobie jej mężczyzna.

Wychowano ją w przekonaniu, że na bezpośrednie pytanie można udzielić jedynie prawdziwej odpowiedzi. Jednak od tego czasu niejedną raz miała okazję stwierdzić, że w przeciwieństwie do członków Klanu, Inni, ludzie jej rasy, umieją mówić nieprawdę. Co więcej, znają nawet specjalne słowo określające ten proceder: kłamstwo. Przez chwilę rozważała więc możliwość udzielenia fałszywej odpowiedzi, ale jak powinna to zrobić? Była pewna, że zostanie rozszyfrowana; po prostu nie umiała łąć. Mogła co najwyżej powstrzymać się przed opowiedzeniem o pewnych sprawach, ale nie było to łatwe w przypadku, gdy zadawano tak bezpośrednie pytanie.

Ayla zawsze była przekonana, że pobratymcy Jondalara pewnego dnia dowiedzą się o istnieniu Durca. Często rozmyślała o swoim synu i nie wątpiła, że kiedyś w roztargnieniu wspomni o nim lub że będzie miała dość ukrywania prawdy. Nie zamierzała unikać rozmowy na ten temat do końca życia. Syn był dla niej zbyt ważny. Tyle że teraz nie nadeszła jeszcze właściwa pora, by o nim mówić.

- Znam się na karmieniu niemowląt, Folaro, bo kiedy urodziła się Uba, Iza szybko straciła pokarm i nauczyła mnie przygotowywać posiłki, które nie szkodziły małej. Najważniejsze, żeby pożywienie było miękkie, łatwe do przełknięcia - wyjaśniła Ayla. Powiedziała prawdę, choć niecałą. Nie wspomniała o Durcu.

- Robi się to tak, Lanogo - kontynuowała znachorka. - Przeciągasz skrobaczką w poprzek kawałka mięsa. Dzięki temu wyciągasz esencję, odrzucając włókniste części. Widzisz? Teraz ty spróbuj.

- Co ty tu robisz?

Ayla aż podskoczyła, słysząc surowy głos, i szybko odwróciła się, by stanąć twarzą w twarz z Laramarem.

- Pokazuję Lanodze, jak ma przygotowywać jedzenie dla niemowlaka. Matka małej nie ma już pokarmu - odparła rzeczowo.

Była pewna, że przez twarz mężczyzny przemknął cień zaskoczenia. Nie wiedział, pomyślała.

- Niby dlaczego miałabyś to robić? Przecież nikogo to nie obchodzi - rzucił ponuro Laramar.

Nawet ciebie, dopowiedziała w myślach, ale utrzymała język na wodzy.

- Obchodzi. Tyle że nikt nie wiedział - wyjaśniła. - Dowiedzieliśmy się dopiero wtedy, kiedy Lanoga wezwała Zelandoni do rannego Bologana.

- Bologan jest ranny? Co się stało?

Tym razem w głosie mężczyzny pojawiła się szczerza troska. Proleva ma rację, pomyślała Ayla. Dla najstarszego ma jeszcze odrobinę uczucia.

- Napił się twojej barmy i...

- Mojej barmy! Gdzie on jest? Ja mu pokażę! Podbierać! - wrzasnął porywczo Laramar.

- Nie musisz - osadziła go w miejscu Ayla. - Ktoś już to zrobił. Bologan wdał się w bójkę. Albo mocno oberwał, albo wylądował głową na skałach. Ktoś zaciągnął go do domu i zostawił. Lanoga znalazła go nieprzytomnego i zaraz pobiegła po Zelandoni. Teraz chłopak jest u niej. Ma paskudną ranę na głowie i stracił dużo krwi, ale jeśli będzie miał właściwą opiekę, wyjdzie z tego. Niestety, nie chce powiedzieć Joharranowi, kto mu to zrobił.

- Już ja się dowiem. Znam sposób, żeby to z niego wyciągnąć - zapowiedział złowieszczo Laramar.

- Nie mieszkam tutaj zbyt długo i pewnie to nie moja sprawa, ale moim zdaniem najpierw powinieneś porozmawiać z Joharranem. Jest wściekły; bardzo chce wiedzieć, kto to uczynił i dlaczego. Bologan miał szczęście - mogło się skończyć znacznie gorzej.

- W jednym masz rację: to nie twoja sprawa - odrzekł szorstko mężczyzna. - Sam się tym zajmę.

Ayla nie odpowiedziała. Teraz nie mogła już nic zrobić, jedynie porozmawiać z Joharranem.

- Chodź, Lanogo. Weź Loralę - dodała, podnosząc z ziemi plecak, który dostała od Mamutoi.

Dokąd to? - spytał Laramar.

Idziemy wykapać się i popływać, zanim spotkamy się z karmiącymi kobietami. Chcemy je spytać, czy podzielią się swoim mlekiem z Loralą - odparła Ayla. - Nie wiesz, gdzie jest Tremeda? Ona też powinna przyjść na to spotkanie.

- Nie ma jej tutaj? - zdziwił się Laramar.

- Nie. Zostawiła dzieci z Lanoga i nie pojawiła się, odkąd poszliśmy wszyscy na pogrzeb Shevonara. Nie wiem, czy cię to obchodzi, ale reszta twoich dzieci jest teraz u Ramary, Salovy i Prolevy.

Pomysł z kąpielą dziesięcioletki i najmłodszego dziecka wyszedł właśnie od partnerki przywódcy. Karmiące i ciężarne kobiety z pewnością nie chciałyby nawet słyszeć o pomocy dla niemowlaka, z którego nieczystości mogłyby przenieść się na ich pociechy.

Lanoga podniosła Lorale, a Ayla dała sygnał Wilkowi, który do tej pory leżał za zwalonym pniem i spokojnie przyglądał się poczynaniom swej pani. Laramar nie dostrzegł go wcześniej, toteż gdy wielki drapieżca podniósł się na cztery łapy, oczy mężczyzny rozszerzyły się ze strachu i zdumienia. Cofnął się chwiejnie o kilka kroków i nieszczerze uśmiechnął do Ayli.

To duże zwierzę - powiedział. - Jesteś pewna, że ludzie są przy nim bezpieczni? Chodzi mi głównie o dzieci.

Dzieci akurat nie obchodzą go ani trochę, pomyślała znachorka, uważnie obserwując subtelną mowę ciała mężczyzny. Gada o nich i sugeruje, że robię coś, co może zaszkodzić jego ludowi, bo sam jest w strachu. Inni Zelandonii także nie wahali się mówić o swoich obawach, ale nie czynili tego w obraźliwy sposób. Ayla miała jednak więcej powodów, by nie lubić Laramara, niż tylko jego zaczepne słowa: nie podobało jej się to, że mężczyzna nie dba ani trochę o dzieci, za które był współodpowiedzialny.

- Wilk nigdy nie zranił dziecka. Jediną osobą, którą skrzywdził, była kobieta, która mnie zaatakowała - odparła Ayla, patrząc prosto w oczy Laramara. Wśród ludzi Klanu bezpośredni kontakt wzrokowy oznaczałby jawną groźbę, lecz i do mężczyzny Zelandonii dotarł podświadomy przekaz ukryty w spojrzeniu znachorki. - Wilk ją zabił - dodała po chwili.

Laramar cofnął się jeszcze o krok, uśmiechając się nerwowo.

Źle zrobiłam, mówiąc do niego w taki sposób, myślała Ayla, gdy szła w stronę frontowego tarasu w towarzystwie Lanogi, niemowlęcia i Wilka. Skąd mi to przyszło do głowy? Uzdrowicielka spojrzała na zwierzę kroczące pewnie u jej nogi. Zachowałam się prawie jak przywódca sfory upominający wilka stojącego niżej w hierarchii. A przecież nie żyjemy w sforze wilków, a ja nie jestem przywódcą. Laramar pewnie już podburza wszystkich przeciwko mnie; sama narobiłam sobie kłopotów.

Kiedy zaczęły schodzić stromą ścieżką ze skalnego tarasu, Ayla zaproponowała, że poniesie małą, lecz Lanoga odpowiedziała stanowczo: "Nie!" i przerzuciła Lorale na biodro. Wilk zaczął węszyć przy ziemi, na której znachorka dostrzegła ślady kopyt. Konie musiały niedawno tędy przechodzić. Zamierzała pokazać je dziewczynie, ale zmieniła zdanie. Lanoga nie była zbyt gadatliwa, a Ayla nie chciała przymuszać jej do kłopotliwej rozmowy.

Dotarły do Rzeki i uzdrowicielka zaczęła rozglądać się, schylać i zrywać jakieś rośliny, maszerując wzdłuż brzegu. Kijkiem do kopania, który niosła zatknięty za rzemienny pasek, podważała korzenie niektórych z nich, by wyciągnąć je z gleby w całości. Dziewczynka

przyglądała się bez słowa poczynaniom kobiety, która postanowiła wstrzymać się z komentarzami na temat wyszukiwania i wykopywania owych roślin do czasu, aż mała zobaczy i pojmie ich zastosowanie.

Strumień, który oddzielał Dziewiątą Jaskinię od Dolnorzecza, spływał ze skalnej półki wąskim wodospadem, by stać się jednym z pomniejszych dopływów Rzeki. Ayla zatrzymała się, kiedy doszli do miejsca, w którym struga wody wyłobiła sobie szczelinę w wapiennej płycie i z bulgotem przetaczała się przez nią niewielką spienioną kaskadą. Nieco dalej widać było zwał wielkich odłamków skalnych, które oderwały się niegdyś od ściany urwiska i staczając się, utworzyły miniaturową tamę, przed którą woda rozlewała się w małą sadzawkę. W zagłębieniu na powierzchni jednego z ogromnych głazów zbierała się woda, zabarwiona nieco przez podobne do mchu wodorosty.

Naturalny basenik wypełniał się z reguły deszczówką i kroplami wytrąconymi przez wiatr ze znajdującego się tuż obok wodospadu. W lecie, kiedy deszcze nie były zbyt częste, poziom wody w zagłębieniu nie był wysoki i Ayla miała nadzieję, że słońce zdążyło ją ogrzać. Zanurzyła dłoń i przekonała się, że woda jest letnia - w każdym razie zdecydowanie cieplejsza niż ta, która wypełniała sadzawkę - i że warstwa zielska uczyniła dno zagłębienia przyjemnie miękkim.

- Wzięłam ze sobą trochę jedzenia - powiedziała Ayla, stawiając na ziemi i otwierając plecak. - Chcesz nakarmić Loralę teraz czy później? - spytała.

Teraz - odrzekła szybko Lanoga.

- W porządku, zjemy coś razem - zgodziła się znachorka. - Przyniosłam gotowane ziarno i mięso, które zeszkrobałyśmy razem dla Loral. Wystarczy dla nas wszystkich. Mam nawet parę kości z mięsem dla Wilka. Czym karmisz dziecko?

- Ręką.

Ayla zerknęła na brudne dłonie dziewczynki. Nieważne, pomyślała. Sama także nieraz karmiła niemowlę brudnymi rękami, lecz mimo to postanowiła pokazać Lanodze, że można coś zrobić w tej sprawie. Wyciągnęła w jej stronę pęk roślin, które wykopała po drodze.

- Pokażę ci, do czego służą te rośliny - oznajmiła. Dziewczynka spojrzała na nie uważnie. - To mydlnica. Znam kilka jej odmian; niektóre działają lepiej, inne gorzej. Najpierw opłucz je z ziemi w strumieniu - wyjaśniła, pokazując, w jaki sposób trzeba czyścić najcenniejszą część rośliny. Następnie rozejrzała się za zaokrąglonym, twardym kamieniem i w miarę równym miejscem na którymś z wielkich głazów w pobliżu baseniku. - Teraz trzeba roztluc korzenie. Samo tłuczenie wystarczy, ale lepiej je jeszcze wymoczyć, żeby puściły więcej soku. - Dziewczynka bez słowa śledziła ruchy uzdrowicielki.

Ayla wydobyła z worka, który niosła na ramieniu, wodoszczelny koszyk i podeszła do kamiennego baseniku.

- Sama woda nie zawsze wystarczy, żeby zmyć brud. Korzeń mydlnicy ułatwia mycie. Chcesz spróbować?

- Nie wiem - odrzekła dziewczynka. Wyglądała tak, jakby nie w pełni rozumiała to, co do niej mówiono.

- Lanogo, podejdź tu i włóż rękę do wody - poleciła znachorka.

Dziewczynka zbliżyła się i zanurzyła wolną rękę, drugą mocniej ściskając niemowlę.

- Jest cieplejsza niż ta w strumieniu. Podoba ci się do uczucie? - spytała Ayla.

- Nie wiem - odparła powtórnie Lanoga.

Ayla nabrała trochę wody do koszyka, dodała zmiażdżony korzeń mydlnicy i zamieszała dłonią. Wyjąwszy resztki zgniecionej rośliny, poczęła rozcierać ręce.

- Odłóż dziecko, Lanogo, weź kawałek korzenia i rób to samo co ja - poleciła.

Dziewczynka jeszcze przez chwilę przypatrywała jej się z dzieckiem na biodrze, po czym położyła Loralę na ziemi, pod nogami, i wolno sięgnęła po kawałek korzenia. Zanurzwszy go w wodzie, zaczęła rozcierać w rękach i z niejakim zainteresowaniem obserwować skąpo pojawiającą się pianę. Zawierające saponinę korzenie nie pieniały się przesadnie, ale wystarczająco, by dość dokładnie umyć ręce.

- Dobry korzeń mydlnicy powinien być śliski i wytwarzać przynajmniej trochę piany - powiedziała Ayla. - A teraz opłucz ręce, o, tak. Widzisz, że są czystsze? Dziewczynka obmyła dłonie i przyjrzała im się z uwagą. Na jej twarzy ponownie pojawił się na moment wyraz zaciekawienia. - Teraz możemy coś zjeść.

Znachorka powróciła tam, gdzie pozostawiła plecak, i wyjęła zeń kilka pakunków. W jednym z nich była rzeźbiona drewniana misa z pokrywą, ciasno obwiązana sznurkiem. Ayla rozsupłała węzły, zdjęła pokrywkę i delikatnie dotknęła powierzchni masy wypełniającej naczynie.

- Jest jeszcze ciepła - zauważyła, pokazując dziewczynce na palcu kroplę papki ze zmielonych ziaren rozmaitych roślin. - Zebrałam te nasiona jesienią, kiedy byliśmy z Jondalarem w Podróży. Jest tu trochę ryżu i pszenicy, a także odrobina owsa. Gotując to wszystko, dodałam trochę soli. Te małe czarne ziarenka pochodzą z rośliny, którą nazywam lebiodą, ale w mowie Zelandonii na pewno zwie się inaczej. Liście też są jadalne. Zrobiłam tę papkę dla Loralii, ale myślę, że dla nas też wystarczy. Najpierw jednak sprawdź, czy małej będzie smakowało tarte mięso.

Przetarta masa zawinięta była w kilka wielkich liści babki. Ayla podała ją Lanodze i z ciekawością przyglądała się poczynaniom młodocianej opiekunki. Dziewczynka otworzyła



paczuszkę z liści, wzięła palcami odrobinę mięsa i podała dziecku, które ułożyła sobie na biodrze. Loralą ochoczo otworzyła usteczka, widząc przygotowania siostry, lecz po pierwszym kąsku wyglądała na zaskoczoną. Przez chwilę obracała papkę językiem, jakby badała jej smak i gęstość, lecz kiedy przełknęła - znowu chętnie otworzyła buzię. Przypominała Ayli małego wygłodniałego ptaszka.

Lanoga uśmiechnęła się i znachorka uświadomiła sobie, że był to pierwszy uśmiech, który zobaczyła na umorusanej twarzyczce dziewczynki. Niemowlę tymczasem uporało się z solidną porcją utartego mięsa i jego starsza siostra sięgnęła po papkę z ziarna. Najpierw spróbowała sama, a potem włożyła odrobinę w szeroko otwarte usta Loral. Wraz z Aylą czekała na reakcję dziecka, które po raz wtóry zamyśliło się głęboko, próbując żuć dziąsłami miękką masę, i po chwili wahania połknęło smakołyk, po czym rozdziawioną buzią poprosiło o dokładkę. Uzdrowicielka była zdumiona, widząc, jak wielką ilość pokarmu pochłania sześciomiesięczne maleństwo. Dopiero gdy usteczka Loral zamknęły się i wykrzywiły w grymasie odmowy, kobieta i dziewczynka posiliły się resztą zbożowej papki.

- Czy kiedy dajesz coś małej do rączek, wkłada to zaraz do buzi? - spytała Ayla.

Tak - odpowiedziała Lanoga.

- Przyniosłam kawałek kości szpikowej. Znałam kiedyś chłopca, który uwielbiał ssać takie smakołyki - wyjaśniła Ayla, uśmiechając się smutno do miłych wspomnień. - Daj jej. Zobaczymy, czy będzie zadowolona. - Ayla podała dziecku fragment kości z nogi jelenia, z otworem pośrodku, pełnym tłustego szpiku. Gdy tylko Lanoga przekazała go siostrze, ta chwyciła go łapczywie obiema rączkami i wpakowała do ust. Niemowlę znieruchomiało po raz trzeci i ze zdziwieniem badało nowy smak. Wkrótce jednak rozległy się przyjemne dla ucha odgłosy ssania. - Odłóż ją i zjedz coś jeszcze, Lanogo.

Do tej pory Wilk przypatrywał się dziecku z odległości kilku stóp, z miejsca, w którym Ayla kazała mu pozostać. Teraz jednak, skomląc z cicha, podpełzł powoli ku niemowlęciu, które siedziało na kępie soczystej trawy. Lanoga popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, a potem szybko posłała Ayli spojrzenie pełne obawy.

Wilk uwielbia dzieci - uspokoiła ją znachorka. - Chce się pobawić z twoją siostrą, ale zdaje się, że drażni go trochę zapach szpiku. Jeśli mała upuści kostkę, Wilk pomyśli, że to dla niego i zabierze. A ja wzięłam dla niego coś specjalnego: kawał gnata z resztkami mięsa. Dam mu go gdzieś dalej, nad Rzeką, żebyśmy mogły zjeść w spokoju.

Ayla wydobyła z plecaka spory przedmiot owinięty w kawałek skóry - były to kawałki gotowanego bizoniego mięsa i solidna surowa kość z twardymi, wyschniętymi strzępkami mięsiwa.

Podniósłszy się z ziemi, przywołała Wilka i odeszła z nim nad wodę. Wilk natychmiast zainteresował się kaskami, które mu pozostawiła, i wyglądał na zadowolonego.

Ayla tymczasem powróciła do dzieci i zaczęła wyciągać z plecaka kolejne zawiniątka. Przyniosła ze sobą wiele rodzajów jedzenia - poza mięsem i papką z ziaren były to pozostałości po prowiancie, którego nie zdążyła zużyć z Jondalarem podczas Podróży: kawałki suchych, bogatych w skrobię korzonków, pieczone szyszki pinii, orzechy laskowe w skorupkach, plasterki małych suszonych jabłek - cierpkie, ale smaczne.

Posilając się, znachorka próbowała rozmawiać z córką Tremedy.

- Lanogo, mówiłam ci już, że idziemy wykapać się i popływać, zanim spotkamy się z kilkoma kobietami, ale nie wiesz jeszcze, dlaczego to robimy. Wiem, że starałaś się wykarmić siostrę najlepiej, jak umiałaś, ale jeśli Loralą ma się rozwijać normalnie i zdrowo, musi jeść coś więcej niż tylko tłuczone korzonki. Pokazałam ci, jak przygotować dla niej inne rodzaje pokarmu - na przykład jak ucierać mięso, zęby mogła je bezpiecznie zjeść, choć nie ma jeszcze zębów. Jednak prawda jest taka, że tak małemu dziecku potrzeba Przede wszystkim mleka, przynajmniej odrobiny mleka. Dziewczynka obserwowała Aylę, nie przerywając jedzenia, lecz nie odzywała się ani słowem. - Tam, gdzie się wychowałam, kobiety zawsze dokarmiły nawzajem swoje dzieci. Kiedy któraś z nich nie miała pokarmu, pozostałe na zmianę oddawały część swego mleka jej potomstwu. Proleva powiedziała, że kobiety Zelandoni postępują podobnie, choć zwykle pomagają tylko krewnym. Twoja matka nie ma ani rodzeństwa, ani kuzynek, które w tej chwili karmiłyby dzieci, dlatego też zamierzam poprosić inne karmiące matki, żeby jej pomogły. Musisz jednak wiedzieć, że kobiety te mogą nie chcieć brać w ramiona maleństwa, które wygląda na brudne i brzydko pachnie, by nie zaszkodzić własnym dzieciom.

Dlatego musimy wykapać Loralę - musi być czyściutka i schludnie ubrana, jeśli ma się spodobać innym matkom. Użyjemy korzenia mydlnicy; tego samego, którym myłyśmy ręce. Pokażę ci, jak się kąpie dziecko. Będziesz musiała pilnować, żeby twoja siostra zawsze była czysta, a poza tym - skoro najprawdopodobniej tobie przypadnie w udziale obowiązek noszenia jej do karmicielek - ty także będziesz musiała zadbać o siebie. Przyniosłam ci coś do ubrania. To od Prolevy - nie jest nowe, ale na pewno czyste. Dziewczynka, która je nosiła, zdążyła już wyrosnąć...

- Lanoga milczała jak zaklęta. Ayla zaczęła się zastanawiać, dlaczego dziecko prawie się nie odzywa. - Rozumiesz mnie? spytała wreszcie.

Lanoga skinęła głową i jadła dalej, od czasu do czasu spoglądając na siostrę, która z zapalem wysysała krążek kości z odrobiną szpiku. Ayla pomyślała, że niemowlęciu brakuje naprawdę pożywnego pokarmu. Gotowane korzenie nie mogły dostarczyć wszystkich składników, których potrzebował rozwijający się organizm. Zanim Lanoga skończyła jeść, Loralą zaczęła

zdradzać oznaki senności, lecz znachorka uznała, że lepiej będzie najpierw ją wykąpać, a potem dopiero ułożyć do snu. Odłożyła pojemniki z jedzeniem, by wstać - i w tym momencie poczuła charakterystyczną woń.

Lanoga także zauważyła, co się stało.

- Narobiła - stwierdziła lakonicznie.

- Nad strumieniem rośnie mech. Będzie czym wytrzeć pupę, zanim urządzimy małej kąpiel - powiedziała Ayla.

Dziewczynka spojrzała na nią ze zdziwieniem. Kobieta zaś podniosła niemowlę, które wyglądało na nieco zaskoczone tym faktem, ale nie stawiało oporu. Zniosła je nad strumień, przykłęknęła na brzegu, zerwała garść mchu rosnącego na kamieniach, zmoczyła w wodzie i trzymając dziecko jedną ręką, drugą wytarła jego pośladki. Zerwawszy jeszcze garść miękkich łodyżek, powtórzyła zabieg. Kiedy sprawdzała, czy skóra została wytarta do czysta, Loralę sprawiła jej kolejną niespodziankę, oddając na ziemię ciepłą strużkę moczu. Ayla przytrzymała dziecko nad ziemią, a kiedy skończyło - raz jeszcze sięgnęła po mech. Wreszcie podała niemowlę Lanodze.

- Chodźmy z nią do baseniku. Pora na kąpiel. Może sama wsadziłabyś tam Loralę? - zaproponowała znachorka, ruchem głowy wskazując głąz z łagodnym wgłębieniem pełnym wody.

Dziewczynka spojrzała na nią zmieszana i nie poruszyła się. Ayla popatrzyła na Loralę spod zmarszczonych brwi. Nie sądziła, by dziecku brakowało inteligencji, choć było małomówne - po prostu nie bardzo rozumiało, co ma zrobić. I nagle uzdrowicielka przypomniała sobie swoje pierwsze dni wśród ludzi Klanu, kiedy także nie miała pojęcia, czego się od niej oczekuje. Wspomnienie to skłoniło ją do zastanowienia. Jak wcześniej zauważyła, dziewczynka najlepiej reagowała na bezpośrednie polecenia.

- Lanogo, wsadź dziecko do wody - powiedziała. Tym razem nie była to propozycja wtrącona do uprzejmej konwersacji, ale coś w rodzaju rozkazu.

Lanoga powoli zbliżyła się do kamiennego baseniku i zaczęła unosić nagie niemowlę, lecz czyniła to z wyraźnym wahaniem, jakby bała się wypuścić siostrę z rąk. Ayla pochwyciła Loralę od tyłu, pod ramiona, w taki sposób, by maleństwo widziało dziewczynkę, i powoli opuściła je - wymachujące rozpaczliwie nóżkami - w sam środek wymoszczonej wodorostami kałuży.

Letnia woda była dla dziecka absolutną nowością i zachętą do natychmiastowego zbadania otoczenia. Loralę zanurzyła rączkę, wyciągnęła ją i spojrzała na nią z wielką uwagą. Spróbowała jeszcze raz, przypadkowo rozpryskując odrobinę wody. Rozejrzała się, przestraszona, a potem wyciągnęła dłoń z kałuży i wsadziła kciuk do buzi.

Przynajmniej się nie rozpląkała, pomyślała Ayla. To dobry początek.

Wsadź rękę do koszyka, Lanogo. Czujesz, jak śliska jest woda z sokiem z korzenia mydlnicy? A teraz nabierz trochę wody i zacznij nacierać Lorale.

Dwie pary dłoni szybko nacierały niemowlę kawałkami tłuczonych korzeni. Lorala siedziała prosto i nieruchomo, marszcząc czoło - doznanie było dla niej całkiem nowe, lecz wcale nie nieprzyjemne.

- Teraz umyjemy jej włosy - powiedziała cicho Ayla, spodziewając się kłopotów. - Zacniemy od natarcia korzeniami tyłu główki. Możesz zająć się też uszami i szyją.

Przez cały czas obserwowała Lanogę i szybko przekonała się, że jej ruchy są coraz spokojniejsze i pewniejsze, jakby nauka kąpania dziecka przychodziła jej bez większego trudu. Ayla zamarła na moment, kiedy dotarł do niej pewien fakt. Przecież sama nie byłam wiele starsza od niej, kiedy rodziłam Durca! Może o rok lub dwa, nie więcej. Tylko że miałam Izę, która pokazała mi, co i jak trzeba robić, ale... ja też musiałam się uczyć.

- Teraz połóż ją na plecach i przytrzymaj główkę ręką. Nie pozwól, żeby twarz znalazła się pod wodą. Spróbuj umyć jej włosy drugą ręką - wydawała polecenia Ayla. Ostrożnie pomogła dziewczynce ułożyć maleństwo na dnie zagłębienia. Lorala próbowała przeszkadzać, ale ręce siostry poruszały się pewnie, dając poczucie bezpieczeństwa w przyjemnie letniej wodzie. Ayla pomogła dokończyć mycie głowy, po czym wciąż jeszcze namydloną dłonią przetarła pupę i nóżki dziecka, odmoczone już w coraz bardziej spienionej wodzie.

- Umyj jej buzię, bardzo ostrożnie, samą wodą. Nie pozwól, żeby nalało się jej do oczu. Nie stanie się nic złego, ale może ją szczypać - ostrzegła znachorka.

Kiedy kąpiel dobiegła końca, Ayla posadziła dziecko i sięgnęła po spory kawałek nadzwyczajnie miękkiej, żółtawej skórki, który przyniosła w plecaku. Wyciągnąwszy go, uniosła niemowlę nad wodę i owinęła szczelnie, po czym podała Lanodze.

- Gotowe. Jest cała, zdrowa, świeża i pachnąca... Mięciutka, prawda? - dodała, widząc, że dziewczynka z zachwytem gładzi zamszową powierzchnię skórki.

Tak - odrzekła Lanoga, patrząc jej prosto w oczy.

- Dostałam ją w prezencie od ludzi, których spotkaliśmy w Podróży. Nazywają się Sharamudoi i słyną między innymi z tego, że potrafią tak wspaniale wyprawiać skóry kozic - zwierząt, które żyją w tamtejszych górach. Kozice przypominają trochę koziorożce, ale są mniejsze. Nie wiesz, czy w tej okolicy też można je spotkać?

- Tak - odpowiedziała dziewczynka. Ayla czekała na dalszy ciąg, uśmiechając się zachęcająco. Odkryła, że Lanoga dobrze reaguje na proste pytania i bezpośrednie polecenia, ale zupełnie nie ma pojęcia o prowadzeniu swobodnej rozmowy; po prostu nie umie komunikować się

z ludźmi. Cierpliwość znachorki została nagrodzona. Lanoga zmarszczyła czoło i odezwała się po długiej chwili: - Myśliwi przynieśli kiedyś jedną.

Ona mówi! Bez przymusu odezwała się całym zdaniem, pomyślała Ayla, radując się w duchu. Wystarczyła mała zachęta.

- Możesz zatrzymać tę skórę, jeśli chcesz.

Na szczupłej twarzyczce Lanogi odmalowały się kolejno uczucia, których kobieta zupełnie się nie spodziewała. Najpierw oczy dziewczynki rozbłyły radością, potem pojawiło się w nich z wątpienie, a na koniec strach. Córka Tremedy zmarszczyła brwi i pokręciła głową.

- Nie. Nie mogę.

- Chcesz ją czy nie? Dziewczynka spuściła głowę. - Chcę.

Więc dlaczego mówisz, że nie możesz jej zatrzymać? - Nie mogę - powtórzyła Lanoga i zawahała się. - Nie pozwolą mi. Ktoś zabierze. Ayla zaczynała rozumieć.

- W porządku, zrobimy inaczej. Możesz przechować ją dla mnie, a ja pozwalam ci z niej korzystać.

Ktoś zabierze - powtórzyła uparcie Lanoga.

- Jeśli tak się stanie, powiesz mi o tym, a ja przyjdę i odbiorę ją - nie ustępowała znachorka.

Dziewczynka znowu zaczęła się uśmiechać, lecz po chwili spochmurniała i potrząsnęła głową.

- Ktoś będzie wściekły. Ayla skinęła głową.

- Rozumiem. W takim razie zatrzymam tę skórę, ale pamiętaj: kiedy tylko zechcesz jej użyć - dla siebie lub dla Loral - możesz przyjść i pożyczyć ją ode mnie. A gdyby ktoś próbował ją zabrać, powiesz, że jest moja.

Lanoga zdjęła miękko wyprawioną skórę z suchego już dziecka i oddała Ayli, siostrę zaś posadziła na trawie.

- Zabrudzi - mruknęła.

- Nic nie szkodzi. Wystarczy uprać. Niech sobie siedzi, będzie jej bardziej miękko niż na trawie. - Kobieta rozpostarła skórę na ziemi i sprawnie przesadziła dziecko, czując przy tym jeszcze delikatny, przyjemny zapach dymu.

Ten, kto chciał wyprawić skórę w taki sposób, musiał najpierw oczyścić ją i oskrobać, a następnie natrzeć mózgiem zwierzęcia i rozciągnąć. Po wyschnięciu stawała się cudownie miękka. Jej naturalny, prawie biały kolor zanikał podczas "wędzenia" nad ogniskiem. Rodzaj drewna i łatwopalnych dodatków decydował o tym, jakiej barwy nabierał ostateczny produkt. Zwykle skóra stawała się beżowa, z lekkimi nalotami brązu i żółci. Dodatkowym powodem, dla którego wieszano

ją nad dymiącym ogniem, był fakt, iż proces ten wydatnie zwiększał jej elastyczność. Skóra, której nie poddano "wędzeniu", także była miękka, lecz kiedy zamokła i nie została ponownie wyprawiona i rozciągnięta - po wyschnięciu stawała się twarda i sztywna. Dym konserwował kolagenowe włókna w taki sposób, że raz wyprawiona skóra zachowywała miękkość bez względu na to, ile razy ją zamoczono i wysuszono. To właśnie ten proces sprawił, że zwierzęce skóry stały się naprawdę użyteczne w codziennym życiu.

Ayla spostrzegła, że powieki Loralii zaczynają opadać. Wilk, który rozprawił się już ze swoją kością, wrócił i z ciekawością przyglądał się pierwszej kąpieli niemowlęcia. Uniósłszy głowę, znachorka zauważyła czworonoga i kiedy przywołała go gestem - przybiegł wielkimi susami.

Teraz nasza kolej - zwróciła się do Lanogi, po czym spojrzała na zwierzę. - Wilk, pilnuj Loralii. Pilnuj dziecka - powiedziała, powtarzając komendę gestem ręki. Nie był to pierwszy raz, kiedy drapieżca pozostawał na straży dziecka, lecz Lanoga, która o tym nie wiedziała, wyglądała na zaniepokojoną. - Zostanie tu i dopilnuje, żeby nic się jej nie stało. Wezwie nas, kiedy mała się obudzi. Będziemy się kąpać w sadzawce zaraz za tamą, więc możesz nie spuszczać ich z oka. Umyjemy się mniej więcej tak samo, jak myłyśmy Loralę. Tyle że nasza woda będzie zimniejsza - dodała z uśmiechem.

Maszerując w stronę sadzawki, Ayla podniosła z ziemi plecak i kosz z moczącym się jeszcze korzeniem mydlnicy. Na brzegu zdjęła ubranie i pierwsza weszła do wody. Pokazała dziewczynce, jak należy się szorować, i pomogła w umyciu długich włosów. Wreszcie sięgnęła do plecaka po dwa suche kawałki skóry i grzebień o długich zębach, który dostała od Marthony. Kiedy obie wyschły w promieniach słońca, zajęła się kołtunami we włosach Lanogi, następnie zaś rozczesała swą jasną grzywę.

Wreszcie sięgnęła na dno plecaka i wyjęła tunikę - używaną, ale nie zniszczoną. Ubranie od biedy mogło uchodzić za nowe, a zdobiły je frędzle i niezbyt liczne koraliki. Lanoga spojrzała tęsknie na tunikę i delikatnie pogładziła ją dłonią. Uśmiechnęła się, kiedy usłyszała, że ma ją nałożyć.

- Chcę, żebyś poszła w niej na spotkanie z kobietami - wyjaśniła Ayla. Lanoga nie miała nic przeciwko: nie odezwała się ani słowem, bez wahania wsuwając się w luźny strój. - Musimy iść. Robi się późno. Pewnie już na nas czekają.

Ruszyły ścieżką ku górze, w stronę skalnego tarasu, a potem ku mieszkalnej części niszy - do domostwa Joharrana i Prolevy. Wilk pozostał nieco w tyle, a gdy Ayla obejrzała się, by sprawdzić, co się z nim dzieje, zauważyła, że kosmaty łowca stoi nieruchomo i wpatruje się w stronę, z której przyszli. Podążyła za jego wzrokiem i w pewnej odległości ujrzała mężczyznę i

stapającą niepewnie niewiastę. Mężczyzna szedł obok - utrzymywał dystans, lecz jednocześnie znajdował się na tyle blisko, by podtrzymać ją, gdy po kolejnym chwiejnym kroku omal nie runęła na ziemię. Kiedy kobieta skręciła ku domowi Laramara, Ayla zrozumiała, że to matka Lanogi i Loralii, Tremeda.

Przez chwilę zastanawiała się, czy powinna sprowadzić ją na spotkanie z kobietami, ale doszła do wniosku, że to kiepski pomysł. Młode i przyszłe matki z pewnością okazałyby więcej współczucia ładnej dziewczynce z czystym niemowlęciem niż ich matce, która niewątpliwie zdążyła już tego dnia uraczyć się bez umiaru barwą. Ayla zaczęła się odwracać, gdy jej wzrok padł raz jeszcze na mężczyznę, który nie skręcił wraz z kobietą i teraz znajdował się już znacznie bliżej.

W jego postawie i ruchach było coś znajomego. Widział spoglądającą na niego uzdrowicielkę i patrzył jej prosto w oczy. Po chwili Ayla rozpoznała go i nagle uświadomiła sobie, dlaczego wyglądał tak swojsko. Mężczyzną tym był Brukeval - i choć być może nie byłby tym faktem zachwycony - w jego krępej sylwetce i pewnych ruchach dostrzegła przede wszystkim człowieka Klanu.

Brukeval uśmiechnął się, jakby szczerze ucieszył się na widok Ayli, ona zaś odpowiedziała tym samym i odwróciła się zwinnie, by spieszenie poprowadzić Lanogę z maleństwem do domostwa Prolevy. Na odchodnym raz jeszcze obejrzała się przez ramię i zauważyła, że uśmiech mężczyzny zmienił się w ponury grymas, jakby uczyniła coś, co go rozgniewało - lecz nie miała pojęcia co.

Zobaczyła mnie i odwróciła się plecami. Nie zechciała nawet wymienić pozdrowień, pomyślał posępnie Brukeval. Sądziłem, że jest inna.

## ROZDZIAŁ 20

- Już idzie - powiedziała Proleva.

Stała przed domem, nerwowo wypatrując Ayli, i ucieszyła się na jej widok. Bała się, że kobiety, które zaprosiła, zaczną się nudzić i - jeśli nie zaspokoją swej ciekawości - szukać wymówek, by wymknąć się z jej domostwa. Powiedziała im tylko jedno: że Ayla chce z nimi porozmawiać. Dodatkową zachętą do stawienia się na spotkaniu był fakt, że zaproszenie wyszło od partnerki przywódcy. Proleva uniosła zasłonę i gestem zaprosiła Aylę z dziećmi do środka. Znachorka przepuściła przodem Lanogę z niemowlęciem, jednocześnie dając Wilkowi znak, że ma wracać do Marthony.

W głównej izbie zebrało się dziewięć kobiet, przez co pomieszczenie sprawiało wrażenie ciasnego i zatłoczonego. Sześć z nich trzymało w ramionach dzieci - nowo narodzone lub nieco starsze - trzy zaś były w ostatniej fazie ciąży. Na podłodze bawiło się dwoje malców. Wszystkie kobiety znały się, choćby z widzenia, dwie zaś były siostrami, toteż rozmowa rozwijała się doskonale. Każda miała wiele do powiedzenia na temat wychowywania dzieci, trudów porodu, karmienia piersią i nauki niełatwego życia pod jednym dachem z nowym, małym, lecz często niezwykle wymagającym lokatorem. Dyskusje jednak ucichły nagle, gdy w izbie pojawiły się nowe twarze. Kobiety spojrzały na nie z zaskoczeniem i ciekawością.

- Wiecie wszystkie, kim jest Ayla, więc oficjalna prezentacja nie jest konieczna - odezwała się Proleva. - Jeśli będziecie miały ochotę, możecie przedstawić się później.

- A kim jest dziewczynka? - spytała jedna z kobiet. Była nieco starsza od pozostałych. Na dźwięk jej głosu jedno z dzieci bawiących się pośrodku izby wstało, podeszło do niej i przytuliło się do nogi. - I dziecko - dodała inna.

Proleva popatrzyła na Aylę, wyraźnie onieśmiałą widokiem tak licznie zebranych matek. Widać było, że kobiety zamierzają wypytać bez ogródek o wszystko, co będzie je interesowało. W każdym razie problem "od czego zacząć" właśnie przestał istnieć.

To jest Lanoga, najstarsza córka Tremedy. Niemowlę jest najmłodsze z jej rodziny, ma na imię Loral - odpowiedziała Ayla, pewna, że przynajmniej niektóre z kobiet rozpoznają dzieci.

Tremedy! - zawołała zdziwiona starsza kobieta. - To są dzieci Tremedy?!

Tak. Nie poznajecie ich? Należą do Dziewiątej Jaskini, tak jak wy - zapewniła ją znachorka.

W izbie rozległ się szmer przyciszonych rozmów, z których Ayli udało się wyłowić wzmianki o jej dziwnym akcencie i dzieciach Tremedy.



- Lanoga jest jej drugim dzieckiem, Stelono - dorzuciła Proleva. - Musisz pamiętać jej narodziny, pomagałaś przy nich. Lanogo, weź Loralę i siadźcie tutaj, przy mnie.

Kobiety w milczeniu przyglądały się, jak dziewczynka przytuliła mocniej siostrę, zbliżyła się do partnerki przywódcy i bez słowa usiadła z niemowlęciem na kolanach. Starła się nie patrzeć na nikogo poza Ayla, która uśmiechnęła się do niej krzepiąco.

- Lanoga przybiegła po Zelandoni, kiedy znalazła rannego Bologana. Chłopak wdał się w bójkę i ma rozbitą głowę - zaczęła Ayla. - Przy okazji odkryliśmy znacznie poważniejszy problem. To niemowlę ma najwyżej kilka księżyców, a jego matka już straciła pokarm. Lanoga zajmuje się siostrą, jak potrafi, ale umie jedynie ugotować korzonki. Chyba wszystkie wiecie, że żadne dziecko nie przeżyje i nie będzie rozwijać się prawidłowo, jedząc wyłącznie korzonki. - Znachorka zauważyła, że kobiety mocniej przycisnęły do siebie swoje pociechy. Nietrudno było zinterpretować ich reakcję. Matki zaczynały rozumieć, do czego zmierza Ayla. - Pochodzę z bardzo dalekiej krainy, ale wiem, że bez względu na to, gdzie żyją i rozmnażają się ludzie, jedna zasada jest niezmienna: dziecko potrzebuje mleka. Tam, gdzie się wychowywałam, kobiety zawsze pomagały wykarmić niemowlę matce, która przedwcześnie straciła pokarm. - Wszyscy wiedzieli, że Ayla mówi o tych, których powszechnie nazywano płaskogłowymi i których większość Zelandonii uważała za zwierzęta. - Nawet te, które miały starsze dzieci, a więc i mniej mleka w piersiach, od czasu do czasu karmiły cudze dzieci. Pewnego razu, gdy jedna z młodych matek szybko straciła pokarm, inna, która miała go pod dostatkiem, zaopiekowała się jej malcem tak samo jak swoim. Karmiła dwoje dzieci, jakby urodziła bliźnięta.

- A co z własnymi dziećmi tych dokarmiających kobiet? Co by było, gdyby nie starczyło dla nich mleka? - spytała niespokojnie jedna z ciężarnych. Była młoda, najprawdopodobniej wkrótce miała rodzić po raz pierwszy.

Ayla uśmiechnęła się najpierw do niej, a potem do wszystkich zebranych kobiet.

- Zwykle im kobieta częściej dostawia dziecko, tym więcej ma pokarmu.

- Święta prawda, szczególnie na początku - odezwał się znajomy głos. Ayla odwróciła się z uśmiechem do wysokiej, krągłej kobiety, która właśnie przeciskała się przez otwór wejściowy. - Przepraszam, Prolevo, że nie zjawiłam się wcześniej. Laramar przyszedł odwiedzić Bologana i wziął go na spytaki. Nie podobały mi się jego metody, więc poszłam po Joharrana. Razem jakoś wyciągnęli z młodzieńca parę słów na temat tego, co zaszło.

Kobiety zaczęły z podnieceniem szeptać między sobą. Zzerała je ciekawość i miały nadzieję, że Zelandoni powie coś jeszcze, ale dobrze wiedziały, że zadawanie pytań nie ma sensu. Donier zdradzała zawsze tylko tyle prawdy, ile uważała za stosowne. Proleva tymczasem zdjęła wodoszczelny kosz w połowie napełniony herbatą z kamiennego bloku stojącego obok i ułożyła na

wapiennym siedzisku miękką poduchę. Było to stałe miejsce Zelandoni w domostwie przywódcy, lecz pod jej nieobecność pełniło i inne funkcje. Kiedy donier usiadła i dostała swój kubek gorącej herbaty, z uśmiechem aprobaty rozejrzała się po izbie.

O ile przedtem w domostwie Prolevy było raczej tłoczno, o tyle teraz, gdy Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą zajęła swe miejsce, ścisk stał się trudny do zniesienia - a jednak nikt nie sprzeciwiał się temu ani słowem. Udział w spotkaniu z partnerką przywódcy i wielką Zelandoni sprawił, że kobiety poczuły się ważne. Ayla wyczuwała ich nastawienie, lecz nie mieszkała jeszcze pośród nich wystarczająco długo, by w pełni pojąć znaczenie, jakie miał dla nich ten fakt. Dla niej Proleva i Zelandoni były odpowiednio krewną i przyjaciółką Jondalara, nikim więcej. Donier spojrzała na znachorkę, zachęcając ją do kontynuowania mowy.

- Proleva powiedziała mi, że Zelandonii zawsze dzielą się zdobytym pożywieniem. Spytałam więc, czy kobiety Zelandonii zechcą podzielić się swoim mlekiem. Odparła, że często robią tak w gronie krewnych i bliskich przyjaciół. Niestety, Tremeda nie ma nikogo takiego, a już na pewno siostry czy kuzynki akurat teraz karmiącej dziecko - ciągnęła Ayla, nie wspominając nawet o bliskich przyjaciółach Tremedy, bo i nie było o czym wspominać. Skinięciem dłoni przywołała Lanogę, która wstała i zbliżyła się wolno, niosąc w ramionach niemowlę. - Dziesięcioletka być może jest w stanie zająć się małym dzieckiem, ale nie wykarmi go własnym mlekiem. Zaczęłam już uczyć Lanogę, w jaki sposób może przyrządzać siostrze pokarm bardziej urozmaicony niż tłuczone korzonki. Dziewczynka jest zdolna; trzeba tylko poświęcić jej trochę czasu, ale dla Loralii to nie wystarczy. - Ayla umilkła i z powagą powiodła wzrokiem po twarzach kobiet.

- Domycie ich to także twoja zasługa? - spytała niemłoda już Stelona.

Tak. Poszliśmy nad Rzekę i wykapałyśmy się, tak jak czynią to wszyscy - odrzekła Ayla. - Z tego, co wiem, nie zawsze spoglądacie na Tremedę łaskawym okiem - dodała po chwili. - Zapewne macie powody, żeby źle o niej myśleć, ale pamiętajcie: to niemowlę nie jest Tremeda. To tylko dziecko, które potrzebuje mleka, przynajmniej odrobiny mleka.

Powiem ci, co myślę - odezwała się Stelona, która w naturalny sposób stała się rzeczniczką pozostałych kobiet. - Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby pokarmić tę małą od czasu do czasu, ale nie zamierzam wchodzić do ich domu ani nie interesują mnie przesadnie częste spotkania z Tremeda.

Proleva odwróciła głowę, by ukryć uśmiech. Ayla dopięła swego, pomyślała. Znalazła się jedna chętna, za nią zaś pójdzie reszta, a przynajmniej większość.

- Nie oczekuję od was żadnego poświęcenia. Rozmawiałam już z Lanogą, chętnie zaniesie siostrę do każdej z was. Razem możemy wypracować rozkład posiłków. Jest was tyle, że dla żadnej nie będzie to wielkim problemem - odparła Ayla.

- No cóż... Daj ją tu - powiedziała kobieta. - Sprawdźmy, czy ona w ogóle pamięta jeszcze, jak należy ssać. Kiedy zabrakło pokarmu?

- Dokładnie nie wiem, ale wiosną - odrzekła Ayla, po czym zwróciła się do Lanogi: - Proszę, podaj dziecko Stelonie.

Dziewczynka starała się nie patrzeć prosto w oczy pozostałych kobiet, gdy podawała dziecko doświadczonej matce. Stelona ułożyła sobie śpiące niemowlę na kolanach i wprawnym ruchem podała mu pierś. Mała ocknęła się i z ożywieniem poczęła się rozglądać, lecz widać było, że odwykła od posilania się w tej pozycji. Lanoga rozchyliła jej usteczka, a wtedy kobieta wsunęła w nie sutek. Dziecko żuło go przez chwilę dźwiękami, nim wreszcie zaczęło ssać.

- Nieźle się przypięła - mruknęła Stelona. Niektóre kobiety westchnęły z ulgą, inne spojrzały z uśmiechem na ssące niemowlę.

- Dziękuję, Stelono - odezwała się po chwili Ayla.

- Dobrze, że chociaż tyle mogę dla niej zrobić. W końcu Loralą należy do Dziewiątej Jaskini - odparła kobieta.

- Właściwie to nawet ich nie zawstydziła - opowiadała Proleva. - Raczej wzbudziła w nich przeświadczenie, że jeśli nie pomogą, zachowają się gorzej niż płaskogłowe. A teraz wszystkie pewnie czują, że robią coś dobrego i pożytecznego.

Joharran podniósł się na łokciu i spojrzał na swoją partnerkę.

- A ty? Karmiłabyś dziecko Tremedy? - spytał. Proleva przewróciła się na bok i mocniej naciągnęła na ramię puszyste futro.

- Oczywiście - odpowiedziała. - Gdyby tylko ktoś mnie o to poprosił, chociaż... przyznaję, może nie wpadłabym na to, żeby stworzyć rozkład karmień dla tak wielu kobiet. Wstyd mi, że nic nie wiedziałam o tym, iż Tremeda nie ma już pokarmu. Ayla mówiła, że Lanoga jest zdolna, tylko trzeba jej trochę pomóc. To prawda. Dziewczynka utrzymała przy życiu niemowlę, a i dla reszty dzieciaków jest lepszą matką niż ich rodzona. A przecież nie przeszła jeszcze nawet Rytuału Pierwszej Przyjemności. Byłoby najlepiej, gdyby ktoś adoptował niemowlę, a może i parę młodszych dzieci Tremedy.

- Może spróbujesz znaleźć chętnego w czasie Letniego Spotkania? - zaproponował Joharran.

- Mogę spróbować, ale nie wydaje mi się, żeby Tremeda miała dość rodzenia dzieci. Wielka Matka zwykle daje ich więcej tym kobietom, które już rodziły. Zazwyczaj też czeka, aż

kobieta skończy karmić jedno, nim obdarzy ją kolejnym. Zelandoni twierdzi, że teraz, kiedy Tremeda nie ma już pokarmu, najdalej za rok znowu będzie rodzić.

- A skoro już mowa o ciąży... jak się czujesz? - spytał przywódca, z miłością spoglądając na swą kobietę.

- Dobrze. Zdaje się, że nudności mam już za sobą. Na szczęście w letnie upały nie będę jeszcze zbyt gruba. Ale myślę, że czas przyznać się znajomym. Ayla już się domyśliła.

- A ja nie widzę po tobie żadnych oznak, poza tą, że jesteś jeszcze piękniejsza - odparł Joharran. - O ile to w ogóle możliwe.

Proleva uśmiechnęła się ciepło do partnera.

Przeprosiła mnie za to, że wspomniała o ciąży, zanim sama zdecydowałam się coś powiedzieć. Wymknęło jej się, to wszystko. Mówiła, że jako znachorka potrafi rozpoznać oznaki brzemienności. Znachorka to jej słowo na określenie uzdrowicielki. I powiem ci, że ona naprawdę musi być uzdrowicielką, chociaż tak trudno uwierzyć, że mogła nauczyć się tak wiele od...

- Wiem - przerwał jej Joharran. - Czy ci, którzy ją wychowali, rzeczywiście są tacy sami jak ci, którzy żyją w pobliżu naszych Jaskiń? Bo jeśli tak, to mamy się czym martwić. Nigdy nie byli traktowani zbyt dobrze; ciekawe, dlaczego nie próbowali się mścić. I co by się stało, gdyby jednak pewnego dnia postanowili zaatakować?

- Nie wydaje mi się, żebyśmy musieli martwić się tym już teraz - odrzekła Proleva. - Jestem pewna, że dowiemy się o nich więcej, kiedy lepiej poznamy Aylę. - Kobieta umilkła, by odwrócić głowę ku posłaniu Jaradala i posłuchać. Zaniepokoił ją cichy głos, ale teraz panowała już cisza. Pewnie coś mu się przyśniło, pomyślała, odwracając się z powrotem w stronę swego mężczyzny. - Wiesz już, że rodzina chce zrobić z niej kobietę Zelandonii jeszcze przed Spotkaniem, przed Ceremonią Zaślubin?

Tak, wiem. Nie sądzisz, że trochę na to za wcześnie? Wydaje nam się, że znamy Aylę od dawna, a przecież nie minęło wiele dni, odkąd tu przybyła - rzekł z namysłem Joharran. - Zwykle nie sprzeciwiam się propozycjom matki. Nieczęsto próbuje coś sugerować, choć przecież nadal jest bardzo wpływowa, a kiedy już to robi, zwykle chodzi jej o coś rozsądnego, o czym sam nie pomyślałem. Kiedy miałem zostać przywódcą, zastanawiałem się, czy będzie umiała z dnia na dzień wyrzec się władzy, ale ona namawiała mnie do przyjęcia wyboru równie żarliwie jak inni, a potem nigdy nie mieszała się zbyt w moje sprawy. Teraz jednak naprawdę nie widzę ważnego powodu, dla którego mielibyśmy tak szybko przyjąć Aylę do Jaskini. Przecież i tak będzie jedną z nas, kiedy zostanie partnerką Jondalara.

- Będzie jedną z nas, ale tylko jako jego kobieta - wyjaśniła Proleva. - Twoja matka myśli przede wszystkim o jej pozycji, Joharranie. Pamiętasz pogrzeb Shevonara? Jako przybysz Ayla

powinna była iść na końcu orszaku, ale Jondalar uparł się, że tak czy inaczej, pójdzie z nią. Wasza matka nie chciała, żeby jej syn szedł ostatni, za Laramarem, bo ludzie mogliby pomyśleć, że kobieta, którą sobie wybrał, jest niskiego stanu. To dlatego Pierwsza oznajmiła, że Ayla jest uzdrowicielką i pójdzie na czele, razem z Zelandoni. Laramar nie był tym zachwycony, udało mu się upokorzyć Marthoneę.

- Nie wiedziałem o tym - mruknął Joharran.

- Kłopot w tym, że tak naprawdę nikt nie wie, jak ocenić pozycję Ayli - dodała po namyśle Proleva. - Podobno adoptował ją jakiś Mamutoi wysokiego stanu, ale co my wiemy o tych ludziach? Nie są naszymi braćmi, jak Lanzadonii, czy nawet Losadunai. Nigdy o nich nie słyszałam, choć niektórzy twierdzą, że słyszeli. Co gorsza, Ayla wychowała się wśród płaskogłowych! Jaką pozycję daje jej takie pochodzenie? Jeżeli niską, to po Zaślubinach obniży się też pozycja Jondalara, a tym samym całej jego rodziny - Marthony, twoja, moja i wielu innych osób.

- Nie pomyślałem o tym - przyznał Joharran.

- Zelandoni upiera się, że powinniśmy przyjąć Aylę do Dziewiątej Jaskini. Traktuje ją jak jedną z Zelandoni, jak równą sobie. Nie jestem pewna, co nią kieruje, ale obstaje także przy tym, że status Ayli jest bardzo wysoki. - Proleva niemal bezwiednie znowu spojrzała w stronę posłania Jaradala, nasłuchując głosu chłopca. Musi mieć wyjątkowo kolorowe sny, pomyślała.

Joharran rozważał w duchu jej komentarze, ciesząc się, że Matka obdarzyła jego kobietę taką przenikliwością i dalekowzornością. Cenił talenty Prolevy i rozumiał, jak wielką pomocą mu służy. W tej chwili zaś najbardziej podziwiał jej umiejętność odczytywania i wyjaśniania motywów, którymi kierowała się jego matka. Przywódca Dziewiątej Jaskini umiał słuchać i argumentować - między innymi dlatego był tak dobrym przywódcą - ale brakowało mu wewnętrznego instynktu umożliwiającego dostrzeganie ukrytych znaczeń z pozoru zwyczajnych sytuacji i przeczuwanie ich dalekosiężnych skutków.

- Czy wystarczy, jeśli tylko my wyrazimy zgodę? - spytała Marthona, pochylając się nieznacznie.

- Joharran jest przywódcą, ty jesteś byłą przywódczynią! doradczynią, Willamar jest Mistrzem Handlu...

- A ty jesteś Pierwszą - uzupełniła Marthona. - Pozycja to nie wszystko. Rzecz w tym, że jesteśmy z jednego rodu - no, może poza tobą, Zelandoni, ale za to wszyscy wiedzą, że się przyjaźnimy.

- Kto miałby się sprzeciwić?

- Laramar. - Matka Jondalara wciąż czuła złość i zakłopotanie na myśl o incydencie z Laramarem, który słusznie zarzucił jej złamanie ogólnie przyjętych norm, i nie próbowała nawet ukryć irytacji. - Zrobił już co nieco w tej sprawie tylko po to, by przysporzyć nam kłopotów. Przed pogrzebem - dodała po chwili.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Co zrobił? - spytała masywna donier.

Zaprosiła Marthonę do siebie i popijając herbatę, gawędziły po cichu. Zelandoni cieszyła się, że jej ostatni pacjent wrócił do domu i wreszcie mogła poczuć się swojsko we własnym domostwie - odpocząć, pomedytować w samotności i swobodnie porozmawiać.

- Dał mi do zrozumienia, że Ayła powinna iść na samym końcu orszaku.

- Przecież kobieta twojego syna jest uzdrowicielką, należy do Zelandoni - zdziwiła się donier.

- Może jest uzdrowicielką, ale oficjalnie na pewno nie należy do Zelandoni i Laramar dobrze o tym wie.

- Ale co on może zdziałać?

- Może się sprzeciwić; jest członkiem Dziewiętej Jaskini. Możliwe, że są i inni, którzy myślą podobnie, ale dotąd nie mieli śmiałości o tym mówić. Jeśli Laramar wyrazi sprzeciw, mogą pójść za jego przykładem. Moim zdaniem Powinniśmy przekonać większą grupę ludzi do naszej sprawy - orzekła z przekonaniem Marthona.

- Może masz rację. Kogo proponujesz na początek? - spytała Zelandoni, po czym upiła łyk herbaty i w zamyśleniu Marszczyła czoło.

- Może Stelonę i jej rodzinę? - odparła była przywódczyni. - Proleva mówiła, że to ona pierwsza zgodziła się dokarmiać dziecko Tremedy. Jest szanowana, lubiana i nie spokrewniona ze mną.

- Kto do niej pójdzie?

- Joharran albo ja. Będzie nawet lepiej, jeśli porozmawiam z nią jak kobieta z kobietą. Co o tym myślisz?

Zelandoni odstawiła kubek. Jej czoło przecinały teraz jeszcze głębsze zmarszczki.

- Myślę, że powinnaś rozmawiać z nią ostrożnie, wybadać grunt - odrzekła. - Potem, jeśli Stelona wykaże zainteresowanie, Joharran mógłby poprosić ją o poparcie, ale nie jako przywódca, lecz jako krewny Jondalara. Tym sposobem nie stworzymy wrażenia, jakoby wydawał jej oficjalne polecenie, wykorzystując autorytet władzy. Lepiej niech to wygląda na prośbę o przysługę...

- I będzie nią w istocie - dodała Marthona.

- Naturalnie. Ale sam fakt, że występuje z nią przywódca, nada jej szczególną wagę. Przecież wszyscy znają pozycję Joharrana, nawet nie trzeba o niej wspominać. Być może Stelona uzna prośbę przywódcy za komplement. Dobrze ją znasz? - spytała Pierwsza.

- Nieźle. Stelona pochodzi z dobrego rodu, ale nie miałyśmy zbyt wielu okazji do bardzo osobistych kontaktów. Proleva znają lepiej niż ja. To ona zaprosiła ją na spotkanie z Aylą w sprawie dziecka Tremedy. Wiem też, że Stelona zawsze jest chętna do pomocy, kiedy trzeba przygotować większe zebranie czy ucztę. Pracuje ciężko, kiedy jest potrzebna.

W takim razie umów się z Prolevą i razem pójźcie do Stelony - poradziła Zelandoni. - Dowiedz się, od czego najlepiej zacząć rozmowę. Jeśli Stelona jest taka chętna do pracy i pomagania innym, możesz wykorzystać właśnie tę stronę jej natury.

Przez dłuższą chwilę kobiety siedziały w milczeniu, popijając herbatę i rozmyślając.

Wolałabyś, żeby ceremonia przyjęcia była skromna czy bardziej dramatyczna? - spytała wreszcie Marthona.

Zelandoni spojrzała na nią ciekawie, dobrze wiedząc, że takie pytanie nie mogło pojawić się bez powodu.

- Dlaczego pytasz?

- Ayla pokazała mi coś, co mogłoby wyrzeć na ludziach wielkie wrażenie, jeśli tylko odpowiednio przygotujemy uroczystość - odrzekła matka Jondalara.

- Co ci pokazała?

- Widziałaś już, jak ona rozpala ogień?

Otyła Zelandoni zawahała się na moment, po czym wyprostowała się nieco i popatrzyła na przyjaciółkę z uśmiechem.

- Tylko raz, kiedy gotowała wodę na napój uspokajający dla Willamara. Pamiętasz? Wtedy, kiedy twój mężczyzna wrócił i dowiedział się o Thonolanie. Obiecała, że pokaże mi, jakim cudem rozpała ogień tak szybko, ale muszę przyznać, że całkiem o tym zapomniałam. Tyle spraw mieliśmy wszyscy na głowie - najpierw pogrzeb, ter aż plany Letniego Spotkania.

- Któregoś wieczoru, kiedy wróciliśmy do domu, nie paliła się już ani żadna z lamp, ani ognisko. Ayla i Jondalar pokazali nam, co trzeba robić. Od tego czasu razem z Willamarem i Folarą posługujemy się wyłącznie nowym sposobem. Potrzebny jest do tego kamień, który Ayla nazywa ognistym i podobno znalazła gdzieś w pobliżu Jaskini. Nie wiem, ile ma takich bryłek, ale twierdzi, że może podzielić się z innymi - wyjaśniła Marthona. - Może przyszłabyś do nas wieczorem z wizytą? Wiem, że Ayla i Jondalar i tak zamierzali pokazać ci tę sztuczkę, więc mogą to zrobić dzisiaj. Moglibyśmy zjeść razem kolację. Przyjdź; zostało mi jeszcze trochę tego młodego wina.

- Czemu nie? Przyjdę z przyjemnością.

- Jak zwykle, Marthono, było doskonałe - powiedziała Zelandoni, stawiając pusty kubek obok niemal opróżnionej miski.

Gość i domownicy siedzieli razem na grubych poduszkach ułożonych wokół niskiej kamiennej ławy. Jondalar przez cały czas przyglądał się bliskim i uśmiechał tajemniczo, jakby oczekiwał jeszcze jednego, szczególnie smakowitego dania. Donier musiała przyznać w duchu, że zżerają ciekawość, choć starała się ze wszystkich sił nie okazywać zainteresowania.

Nie spieszyła się więc z jedzeniem, racząc domowników historyjkami i anegdotami, a jednocześnie zachęcając Jondalara i Aylę do opowiadania o Podróży, Willamara zaś - do snucia wspomnień na temat jego handlowych wypraw. Wszyscy sprawiali wrażenie odprężonych, może z wyjątkiem Folary, która siedziała jak na rozżarzonych węglach, nie mogąc doczekać się pokazu. Wyraz zadowolenia na twarzy Jondalara był na dłuższą metę tak komiczny, że Zelandoni z trudem powstrzymywała uśmiech.

Willamar i Marthona o wiele bardziej przywykli do oczekiwania na najlepszy moment - często celowo stosowali tę taktykę w rozmowach handlowych i negocjacjach z innymi Jaskiniami. Wydawało się, że Ayla także nie ma nic przeciwko czekaniu, choć Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą nie umiała precyzyjnie odczytać jej prawdziwych uczuć. Nie znała pięknej znachorki wystarczająco dobrze; jasnowłosa wciąż jeszcze była dla donier intrygującą zagadką.

- Jeśli skończyłaś, przesiądź się, proszę, bliżej ogniska - zaproponował Jondalar, szczerząc zęby w chytrym uśmiechu.

Wielka kobieta podniosła się wolno ze sterty poduszek, na których siedziała, i majestatycznym krokiem podeszła do kuchennego paleniska. Zebrawszy miękkie siedziska, Jondalar pospieszył za nią, lecz Pierwsza wołała stać.

- Lepiej będzie, jeśli spocznieś, Zelandoni - powiedział. - Musimy zgasić wszystkie lampki, za chwilę będzie tu tak ciemno jak w jaskini.

- Jak sobie życzysz - odrzekła donier, siadając na stercie poduszek.

Marthona i Willamar także przenieśli swoje siedziska i usadowili się opodal paleniska, podczas gdy młodzi zebrali wszystkie kaganki i ustawili je na ziemi, ku zdziwieniu Pierwszej nie zapominając nawet o tym, który stał zawsze w niszy, przed figurką donii. Sam fakt zgromadzenia źródeł światła w jednym miejscu uczynił resztę domostwa znacznie mroczniejszym.

Wszyscy gotowi? - upewnił się Jondalar.

Kiedy troje starszych Zelandonii zgodnie kiwnęło głowami, młodszy poczęli zdmuchiwać wątle płomyki lampek tłuszczowych. Nikt nie odezwał się ani słowem, kiedy gasły jeden po drugim. Cienie pogłębiały się z każdą chwilą, aż wreszcie mrok okrył cały dom nieprzeniknionym, gęstym całunem. Rzeczywiście, w domostwie rozświetlanym jeszcze przed chwilą złocistymi



ognikami zapanowała ciemność porównywalna z tą w jaskiniach, lecz wrażenie obcości w dobrze znanym miejscu czyniło atmosferę jeszcze bardziej niesamowitą. Owszem, zdarzało się, że ogień podsycany starannie we wnętrzach domów gasł, lecz tym razem był to wynik świadomego działania - tak jakby Jondalar i Ayła kusili los. Mistyczny aspekt niewinnego pokazu nie umknął uwagi pierwszej.

Po chwili jednak, kiedy jej wzrok przywykł do mroku, Zelandoni doszła do wniosku, że nie otacza jej absolutna czerń. Wprawdzie nadal nie widziała dłoni, którą podniosła na wysokość oczu, ale ponad ścianami nie zadaszonego domostwa dostrzegała spodnią stronę nawisu skalnego, na niej zaś błądy poblask ognisk palących się w sąsiednich pomieszczeniach. Nie było to wiele, ale fakt pozostawał faktem: odbite światło stanowiło o różnicy między zaciemnionym domem a głębią jaskini. Trzeba będzie o tym pamiętać, pomyślała Pierwsza.

Z zamyślenia wyrwał ją dopiero widok światelka, które nawykłym do mroku oczom wydawało się porażająco jasne. Była to iskra, która na długą chwilę wydobyła z ciemności zarys twarzy Ayli, potem zaś zniknęła, a na jej miejscu niemal natychmiast ukazał się płomień.

- Jak to zrobiłaś? - spytała Zelandoni.

- Niby co? - spytał Jondalar, uśmiechając się szeroko.

- Jakim sposobem tak szybko rozpałałaś ogień? - Donier doskonale wiedziała, że wszyscy przyglądają jej się z rozbawieniem.

- Dzięki ognistemu kamieniowi! - odparł Jondalar, podając kobiecie jedną z niezwykłych bryłek. - Kiedy uderza się go krzemieniem, powstaje bardzo gorąca i długotrwała iskra. Jeżeli hubka jest sucha, a przy tym dobrze się wyceluje, płomień pojawia się od razu. Pokażę ci, jak to się robi.

Mężczyzna uformował luźną wiązkę z garści suchych traw i drobniutkich ostrużyn. Pierwsza tymczasem wstała i przysiadła na kamiennej posadzce tuż obok paleniska. Wołała siadywać na miękkich i wysokich siedziskach, gdyż łatwiej jej było podnieść się na nogi, lecz nie oznaczało to wcale, że nie była w stanie spocząć bezpośrednio na ziemi, jeśli miała ochotę lub musiała to zrobić. A sztuczka z szybkim rozpalaniem ognia z pewnością zasługiwała na zainteresowanie. Jondalar zapalił kępkę suszu i przekazał kamienie Zelandoni. Kobieta kilkakrotnie bezskutecznie uderzała krzemieniem, za każdą nieudaną próbą coraz mocniej marszcząc czoło.

Nauczysz się - zapewniła ją Marthona. - Aylo, Pokaż jeszcze raz. chwyciła pewnie krzemień i bryłkę pirytu żelaza, ułożyła odpowiednio hubkę i powoli ustawiła ręce we właściwej pozycji, starając się, by donier dobrze widziała jej poczynania. Potężna iskra padła na suche włókna i natychmiast uniosła się z nich smużka dymu. Znachorka zdusiła jednak rodzący się płomień i oddała kamienie Zelandoni.

Kobieta ustawiła je w odpowiedniej - jak jej się wydawało - pozycji i już miała uderzyć, gdy Ayla chwyciła jej dłonie i poprawiła ich ułożenie. Zelandoni spróbowała jeszcze raz i ku swemu zadowoleniu spod krzemienia wyskoczyła spora iskra, która jednak wylądowała tuż obok hubki. Pierwsza zmieniła nieco pozycję i ponowiła próbę. Tym razem iskra padła na garść suchych traw. Donier wiedziała, co robić dalej: podniosła hubkę, zbliżyła do twarzy i poczęła delikatnie dmuchać. Tłące się włókno nabrało czerwonej barwy. Drugie dmuchnięcie sprawiło, że pojawił się na nim płomyk, od trzeciego zaś ogniem zajęły się ostrużyny. Zelandoni odłożyła podpałkę na ziemię i zaczęła dokładać najpierw drobne drzazgi, a potem coraz większe kawałki drewna. Po chwili usiadła wygodnie i uśmiechnęła się, zadowolona z pierwszego sukcesu.

Domownicy także się uśmiechali, wspomagając jej próby zachęcającymi komentarzami.

- Szybko się nauczyłaś - stwierdziła Folar.

- Wiedziałem, że sobie poradzisz - powiedział Jondalar. - Mówiłam ci, że to tylko kwestia techniki - rzekła Marthgna.

- Świetna robota! - pochwalił Willamar.

- A teraz spróbuj jeszcze raz - zaproponowała Ayla.

- Dobry pomysł - zawtórowała jej Marthona.

Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą Wielkiej Matce posłusznie chwyciła kamienie i powtórzyła próbę. Rozpaliła ogień bez problemu, za to za trzecim razem nie udało jej się ta sztuka, póki Ayla nie wyjaśniła jej, że powinna uderzać pod innym kątem, by wytworzyć odpowiednio silną iskrę. Kiedy wreszcie trzecie podejście zakończyło się sukcesem, donier wstała, powróciła na swe miękkie siedzisko i spojrzała na Aylę.

Popracuję nad tym w domu - powiedziała. - Chcę być pewna, że kiedy pierwszy raz spróbuję to zrobić na oczach ludzi, będę równie dobra jak wy. Powiedz mi tylko, gdzie się tego nauczyłaś.

Ayla opowiedziała jej o tym, jak w zamyśleniu przypadkiem podniosła dziwny kamień z plaży w dolinie, w której mieszkała, zamiast pobijaka, którym zamierzała wykonać potrzebne jej, nowe narzędzie. Jako że akurat zgasł jej ogień, iskra i smużka dymu skłoniły ją do próby wzniecenia go na powrót nowym sposobem.

- Czy to prawda, że w naszej okolicy też można znaleźć ogniste kamienie? - spytała donier.

Tak - odparł podekscytowany Jondalar. - Opuszczając dolinę koni, zebraliśmy ich tyle, ile się dało. Mieliśmy nadzieję, że znajdziemy więcej podczas Podróży, ale tak się nie stało. Dopiero kiedy Ayla zatrzymała się nad małym strumykiem w Leśnej Dolinie, żeby się napić, udało jej się znaleźć trochę tych kamieni. Niewiele tego, ale gdzie jest kilka, tam może być więcej.

- Brzmi to logicznie. Mam nadzieję, że się nie mylisz - powiedziała Zelandoni.

- Byłyby świetnym towarem na wymianę - zauważył Willamar.

Donier zmarszczyła lekko brwi. Do tej pory myślała raczej o dramatycznym efekcie podczas niektórych ceremonii, ale to wymagałoby ukrycia faktu znalezienia tajemniczych kamieni przed wszystkimi prócz Zelandoni, a na to było już za późno.

- Zapewne masz rację, Mistrzu Handlu, ale jeszcze nie teraz - odrzekła. - Jeśli mam być szczerą, na razie chciałabym utrzymać w tajemnicy sprawę ognistych kamieni.

- Dlaczego? - spytała Ayla.

- Mogą się przydać w czasie pewnych rytuałów - odpowiedziała szczerze Zelandoni.

Znachorka przypomniała sobie nagle spotkanie, które Talut zwołał, by obwieścić wszystkim zamiar przyjęcia jej do Mamutoi. Ku zaskoczeniu pary przywódców - Talut i Tulie jako rodzeństwo wspólnie kierowali Obozem Lwa - okazało się, że ktoś jest przeciwko tej decyzji. I dopiero kiedy dokonano zaimprovizowanej, ale bardzo efektownej prezentacji rozpalania ognia za pomocą dziwnego kamienia, a następnie obiecano oddać go w ręce tego, kto wyraził sprzeciw, Frebec wycofał swoje zastrzeżenia.

- Chyba masz rację - przyznała Ayla.

- A kiedy będę mogła pokazać je znajomym? - spytała lekka zawiedziona Folarą. - Matka kazała mi przyrzec,

3 tego nie zrobię, ale bardzo bym chciała. - Mądrze postąpiła - pochwaliła Marthone Zelandoni. Obiecuję, że będziesz mogła pokazać je, komu tylko zechcesz, ale jeszcze nie teraz. Naprawdę będzie lepiej, jeśli wytrzymasz jeszcze trochę. Zgoda?

- Oczywiście, Zelandoni. Skoro tak ci na tym zależy... - odparła Folarą.

- Zdaje się, że w ciągu tych paru dni od ich powrotu mieliśmy tu więcej ceremonii i zgromadzeń niż przez całą zimę - zauważył Solaban.

- Proleva poprosiła mnie o pomoc. Przecież wiesz, że jej nie odmówię - odparła Ramara. - Podobnie jak nie odmówiłabym Joharranowi. A Jaradal i tak zawsze bawi się z Robenanem, więc wygodniej mi będzie mieć ich na oku.

- Lada dzień wyruszymy na Letnie Spotkanie. Czy nie można było trochę poczekać? - spytał mężczyzna, nie kryjąc irytacji.

Stał właśnie pośrodku izby, a na kamiennych płytach rozłożył wokół siebie mnóstwo przedmiotów osobistych, próbując podjąć decyzję, które z nich powinien zabrać ze sobą. Nie przepadał za tym zajęciem. Spośród wszystkich przygotowań do Letnich Spotkań tę część darzył najmniejszym sentymentem i zawsze odkładał ją niemal na ostatnią chwilę. Tym razem zaś, kiedy wreszcie zabrał się do selekcji, wcale nie cieszyła go myśl, że dookoła ma biegać para urwisów.

- Zdaje się, że chodzi o przygotowanie do ich Zaślubin - powiedziała Ramara.

Mówiąc to, pomyślała o własnej ceremonii sprzed lat i spojrzała na czarnowłosego partnera. Nie, chyba nikt w całej Dziewiątej Jaskini nie miał tak ciemnej czupryny. Kiedy poznała Solabana, od razu spodobał jej się kontrast między jego kruczoczarnymi włosami a własną, jasnoblonde fryzurą. Lecz choć włosy mężczyzny były tak ciemne, jego oczy zaskakiwały jasnym błękitem, karnacja zaś była tak blada, że często szkodził jej nadmiar słońca, szczególnie na początku lata. Ramara uważała, że jej partner jest najprzystojniejszym mężczyzną z Dziewiątej Jaskini, przystojniejszym nawet od Jondalara. Rozumiała doskonale, na czym polegał urok jasnowłosego olbrzyma o niezwykłych niebieskich oczach, i swego czasu - jak większość kobiet - podkochiwała się w nim skrycie, lecz smak prawdziwej miłości poznała dopiero, gdy spotkała Solabana. Teraz, po powrocie z Podróży, Jondalar nie wydawał się jej już taki atrakcyjny, być może także dlatego, że całą uwagę poświęcał Ayli.

- A nie mogliby się połączyć tak samo jak wszystkie inne pary? - Solaban był najwyraźniej w odpowiednim nastroju do nie kończących się narzekania.

- Nie mogliby, bo nie są tacy sami jak wszystkie pary - odparła cierpliwie kobieta. - Jondalar powrócił właśnie z Podróży tak dłużej, że nikt nie spodziewał się nawet, iż kiedykolwiek go zobaczy, a Ayła nie należy do Zelandonii, chociaż bardzo by chciała. Tak przynajmniej słyszałam.

- Przecież jeśli się z nim połączy, i tak zostanie Zelandonii - odrzekł Solaban. - Po co więc urządzać osobną ceremonię przyjęcia?

- To nie to samo. Nie byłaby Zelandonii, tylko "Ayłą z Mamutoi, partnerką Jondalara z Zelandonii". Każdy, koniu by się przedstawiła, od razu wiedziałby, że jest obca - wyjaśniła Ramara.

- I tak będzie wiedział, gdy tylko ona otworzy usta - zauważył zgryźliwie Solaban. - To, że zrobimy z niej Zelandonii, niczego w tej kwestii nie zmieni.

- A właśnie że zmieni. Może i Ayła mówi z dziwnym akcentem, ale ludzie, których pozna, będą wiedzieli, że już nie jest przybyszem z obcych stron.

Ramara spojrzała na narzędzia, broń i stroje zakrywające każdy kawałek kamiennej posadzki. Uśmiechnęła się w duchu, doskonale bowiem rozumiała prawdziwy powód irytacji partnera i wiedziała, że nie miała ona nic wspólnego z Ayłą czy Jondalarem.

- Gdyby nie padało, zabrałabym chłopców do Leśnej Doliny, żeby popatrzyli na konie. Wszystkie dzieciaki za tym przepadają. Rzadko mają okazję oglądać zwierzęta z bliska.

Mars na czole Solabana pogłębił się jeszcze.

To oznacza, jak sądzę, że będą musieli zostać tutaj. Ramara uśmiechnęła się drwiąco.

- Niekoniecznie. Zaprowadzę ich na przeciwległy kraniec niszy, tam, gdzie trwają przygotowania, i pomogę kobietom pilnującym dzieci. Niech się pobawią z rówieśnikami. Prolewa, jak wszystkie matki powierzające komuś swoje potomstwo, prosiła mnie, żebym bardzo uważała na Jaradala. Dzieciaki w tym wieku zaczynają być niezależne i często Próbują samotnych wycieczek - wyjaśniła Ramara, z zadowoleniem obserwując, jak humor jej partnera poprawia się 2 każdą chwilą. - Ale postaraj się zdążyć z pakowaniem Przed uroczystością, bo po niej prawdopodobnie przyjdę tu z chłopcami.

Solaban pokręcił głową, spoglądając ponownie na schludnie ułożoną mozaikę rzeczy osobistych oraz rzędów równo przyciętych kawałków rogu, kości i mamucich ciosów. Wciąż nie był pewien, co powinien zabrać; ta scena powtarzała się co roku.

- Zdążę - odpowiedział po namyśle. - Pod warunkiem, że zdecyduję się wreszcie, czego będę potrzebował i co mogę wziąć na wymianę. - Solaban był bowiem nie tylko pomocnikiem Joharrana, ale także wytwórcą wybornych rękojeści, szczególnie do noży.

- Zdaje się, że wszyscy już są - powiedziała Prolewa. - I chyba przestało padać.

Joharran skinął głową, wyszedł spod nawisu chroniącego niszę przed ulewnym deszczem i wskoczył na kamienną platformę. Spojrzał z zadowoleniem na gęstniejący tłum Zelandonii i uśmiechnął się do stojącej opodal Ayli.

Znachorka odpowiedziała tym samym, choć widać było, że jest bardzo zdenerwowana. Popatrzyła na Jondalara, który także obserwował ciżbę gromadzącą się wokół Kamienia Mówcy.

- Czyż nie spotykaliśmy się tu nie tak dawno temu? - zaczął Joharran, uśmiechając się ironicznie. - Kiedy przedstawiałem ją wam, nie wiedzieliśmy o Ayli zbyt wiele - właściwie tylko tyle, że podróżowała z moim bratem, Jondalarem, i że ma niezwykłą władzę nad zwierzętami. Jednak w krótkim czasie dowiedzieliśmy się o Ayli z Mamutoi bardzo wiele.

Chyba każdy z nas spodziewał się, że Jondalar połączy się z kobietą, którą sprowadził pod swój dach. I rzeczywiście, niedługo tak się stanie - już podczas pierwszych Zaślubin na tegorocznym Letnim Spotkaniu. A kiedy staną się partnerami, zamieszkają z nami, w Dziewiątej Jaskini, a ja jestem gotów powitać ich w niej już teraz.

Wśród zebranych rozległo się kilka okrzyków aprobaty. - Jednak Ayła nie jest Zelandonii. Kiedy jeden z nas zawiązuje węzeł z kimś spoza Jaskini, zwykle dochodzi do długich negocjacji, które zgodnie z obyczajem prowadzi się z rodzinną osadą wybranki. Przypadek Ayli jest inny. Mamutoi mieszkają tak daleko stąd, że podróż do ich ziem zajęłaby okrągły rok. Szczerze mówiąc, robię się za stary na tak długie wyprawy.

Tę uwagę powitały gromkie śmiechy zgromadzonych.

- Starość nie radość, Joharranie?! - zawołał któryś z młodzików.

- Zaczekaj, aż stuknie ci tyle wiosen, ile ja mam teraz. Wtedy dopiero będziesz wiedział, co to starość - odezwał się siwowłosa mężczyzna.

Joharran odczekał, aż umilkną komentarze, nim podjął przerwany wątek.

- Kiedy dojdzie do Zaślubin, większość z nas będzie nazywać kobietę mojego brata "Aylą z Dziewiątej Jaskini Zelandonii", ale Jondalar zaproponował, byśmy przyjęli jego wybrankę do siebie jeszcze przed wyruszeniem na Letnie Spotkanie. Poprosił też, byśmy ją adoptowali. Dzięki temu ceremonia związana z Zaślubinami będzie nieco prostsza, a poza tym nie będziemy musieli starać się o akceptację wszystkich grup, które przybędą na Spotkanie.

- Dobrze, ale czy ona chce być Zelandonii? - spytała jakaś kobieta.

Wszystkie oczy zwróciły się teraz ku Ayli, która z trudem przełknęła ślinę i odezwała się po dłuższej chwili, koncentrując się na tym, by jak najbardziej poprawnie i wyraźnie wypowiedzieć każde słowo.

- Bardziej niż cokolwiek na świecie pragnę być kobietą Zelandonii i partnerką Jondalara.

Choć bardzo się starała, nie potrafiła ukryć obcego akcentu i dziwnie gardłowej wymowy. Nikt, kto słyszał jej słowa, nie mógł wątpić, iż wymawia je osoba przybywająca z dalekich stron, lecz było w nich tyle szczerego przekonania, że trafiły do serc większości zebranych.

- Przebyła daleką drogę, by stać się kobietą Zelandonii - stwierdził Joharran.

Tak, ale jaka będzie jej pozycja? - odezwał się zniecierpliwiony Laramar.

- Taka sama, jak Jondalara - odparła Marthona, która od początku wiedziała, z czyjej strony należy się spodziewać kłopotów, i była na nie przygotowana.

- Dzięki tobie pozycja Jondalara w Dziewiątej Jaskini jest wysoka, ale o Ayli nie wiemy nic ponad to, że wychowali ją płaskogłowi - odparował głośno Laramar.

- Została adoptowana przez najwyższego rangą Mamuta, czyli odpowiednika naszej Zelandonii. Gdyby on nie przyjął jej do swego ogniska, uczyniłby to przywódca całego Obozu - wyjaśniła Marthona.

- Jondalarze, dlaczego zawsze musi znaleźć się ktoś niezadowolony? - spytała cicho Ayla w mowie Mamutoi. - Czy trzeba będzie użyć kamieni ognistych i dać mu jeden z nich, żeby go przekonać, jak Frebeca w Obozie Lwa?

- Frebec okazał się przyzwoitym człowiekiem. Obawiam się, że w przypadku Laramara może być inaczej - mruknął w odpowiedzi łupacz krzemieni.

- To ona tak twierdzi - ciągnął zaczepnym tonem Laramar. - Ale skąd mamy wiedzieć, czy tak było naprawdę?

- Stąd, że był przy tym mój syn i potwierdza każde jej słowo - odparła Marthona. - Przywódca, Joharran, wierzy mu bez zastrzeżeń.

- Bo też należy do rodziny. Przecież to jasne, że brat Jondalara nie będzie kwestionował słów jego kobiety. Wszyscy chcecie nadać jej jak najwyższy status, bo ma dołączyć do waszego rodu! - zawołał Laramar.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi, Laramarze - rozległ się nagle głos z innej części zgromadzenia. Ludzie poczęli rozglądać się z ciekawością i ku swemu zaskoczeniu przekonali się, że na krytykę Laramara zdobyła się Stelona. - Gdyby nie Ayla, najmłodsza córka twojej partnerki pewnie umarłaby już z głodu. Nie byłeś łaskaw powiedzieć nam ani o tym, że Tremeda była chora i straciła pokarm, ani o tym, że Lanoga próbuje utrzymać niemowlę przy życiu, karmiąc je tłuczonymi korzonkami. Ayla musiała to zrobić za ciebie. Szczerze mówiąc, wątpię, czy w ogóle miałeś pojęcie, co się dzieje w twojej rodzinie. Ale wiedz, że Zelandoni nie pozwala, by inny Zelandoni głodował. Kilka matek podjęło się wykarmienia dziecka; to dzięki nim Loralą już odzyskuje siły. Sama chętnie poprę Aylę, jeśli będzie tego potrzebowała, ponieważ Zelandonii mogą być dumni, że jest wśród nich ktoś taki.

Kilka młodych matek z dziećmi na rękach ochoczo poparło Stelonę głośnymi okrzykami. Opowieść o najmłodszym dziecku Tremedy rozeszła się po osadzie lotem błyskawicy, lecz nie wszyscy jeszcze znali ją w szczegółach. Choć większość mieszkańców Dziewiątej Jaskini wiedziała, jaka to "choroba" trapi kobietę Laramara, najbardziej liczyło się to, że niemowlę tak nagle pozbawione pokarmu nie cierpi już głodu.

- Masz jeszcze jakieś zastrzeżenia, Laramarze? - spytał Joharran. Mężczyzna pokręcił głową i zniknął w tłumie.

- A czy ktoś z was ma coś przeciwko temu, by Ayla została pełnoprawnym członkiem Dziewiątej Jaskini Zelandonii?! - zawołał głośniejszy przywódca. Rozległy się przyciszone szepty, lecz nikt nie wystąpił z obiekcjami. Joharran pochylił się i wyciągnął rękę do Ayli, by pomóc jej wdrapać się na kamienne podwyższenie, po czym oboje stanęli twarzami ku zgromadzonym. - Jako że znalazło się już kilka osób, które chcą ją zarekomendować, a nikt nie zgłasza zastrzeżeń, pozwólcie, że przedstawię wam Aylę z Dziewiątej Jaskini Zelandonii, dawniej z Obozu Lwa Mamutoi, córkę Ogniska Mamuta, wybraną przez ducha Lwa Jaskiniowego, chronioną przez Niedźwiedzia Jaskiniowego, przyjaciółkę koni Whinney i Zawodnika oraz czworonożnego łowcy, Wilka. - Zanim odważył się wygłosić publicznie pełną listę tytułów Ayli, długo dyskutował z Jondalarem i uczył się jej na pamięć. - A także przyszłą partnerkę Jondalara - dodał po chwili. - A teraz chodźmy coś zjeść!

Joharran i Ayla zeszli z Kamienia Mówcy i ruszyli ku ławom, na których czekały już gorące potrawy. Po drodze wiele razy zatrzymywali ich ludzie przedstawiający się oficjalnie i najczęściej wygłaszający osobiste komentarze na temat dziecka Tremedy lub tradycyjne formułki powitalne.

Był jednak ktoś, kto wcale nie miał ochoty na serdeczne powitania. Laramar nie należał do mężczyzn, których łatwo speszyć, lecz tym razem został mocno upokorzony i fakt ten zepsuł mu humor. Nim oddalił się w swoją stronę, posłał znachorce spojrzenie tak pełne złości, że przeszył ją dreszcz. Nie wiedział jednak, że demonstracja ta nie uszła uwagi Zelandoni. W miejscu, gdzie dzielono się jadłem, nie zabrakło tego dnia Laramarowej barmy, lecz tym, kto rozlewał ją ze skórzanego worka, był najstarszy syn jego partnerki, Bologan.

Gdy biesiada rozpoczęła się na dobre, znowu lunął deszcz. Ludzie schronili się pod nawisem skalnym, by w spokoju najeść się do syta - jedni przysiadali wprost na ziemi, inni na pniach i wapiennych blokach zgromadzonych w tym miejscu przez lata ucztowania. Zelandoni dołączyła do Ayli, która szła właśnie do rodziny Jondalara.

- Obawiam się, że zyskałaś wroga w osobie Laramara - stwierdziła bez ogródek.  
- Przykro mi, że tak wyszło - odrzekła uzdrowicielka.  
- Nie chciałam, żeby miał przeze mnie kłopoty.  
- Nie ma przez ciebie kłopotów. Wręcz przeciwnie, to on zamierzał ci zaszkodzić, a ściślej upokorzyć Marthonę i jej rodzinę. Sam jest sobie winien. Co nie zmienia faktu, że prawdopodobnie wini za wszystko ciebie - dodała Zelandoni.

Dlaczego miałbyś chcieć zaszkodzić Marthonie?

- Dlatego, że stoi najniżej w hierarchii Dziewiętej Jaskini, a Joharran i jego matka - najwyżej. Miał szczęście; zdołał ostatnio przyłapać Marthonę na drobnym błędzie. Zapewne już wiesz, że nieczęsto udaje się komuś taka sztuka. Moim zdaniem uroił sobie, że to jego wielki sukces, i zapragnął go powtórzyć - wyjaśniła donier.

Ayla słuchała w milczeniu i obserwowała wielką Zelandoni spod coraz mocniej ściągniętych brwi.

- Sądzę, że nie tylko ją chciał upokorzyć - odezwała się w końcu. - Ja także popełniłam pewien błąd.

- Co masz na myśli?

Tamtego dnia, kiedy poszłam do Lanogi, Laramar wrócił nagle do domu. Jestem pewna, że nawet nie wiedział o sytuacji niemowlęcia, podobnie jak nie miał pojęcia o ranach Bologana. Nie ukrywam, że go nie lubię, a wtedy byłam naprawdę rozdrażniona. Był ze mną Wilk i zauważyłam, że Laramar przestraszył się na jego widok. Próbował niezdarnie zamaskować strach, a ja zachowałam się jak przywódca sfory, który chce pokazać miejsce w szeregu zbyt śmiało.



wilkowi stojącemu niżej w hierarchii. Zaraz też poczułam, że nie powinnam była tego robić. Jego niechęć do mnie tylko wzrosła - przyznała ze smutkiem Ayla.

- Czy przywódcy wilczych sfor naprawdę pokazują podwładnym ich miejsce w szeregu? - zainteresowała się Zelandoni. - Skąd o tym wiesz?

- Polowałam na drapieżniki, zanim zaczęłam zabijać ich potencjalne ofiary - odrzekła Ayla.  
- Spędzałam całe dni na obserwowaniu wilczych zwyczajów. Czasem myślę, że Wilk dobrze się czuje między ludźmi przede wszystkim dlatego, że zwyczaje jego pobratymców nie różnią się znacząco od naszych.

- Zdumiewające - mruknęła Pierwsza. - Obawiam się, że masz rację co do Laramara. Zniechęciłaś go do siebie jeszcze bardziej, ale to nie tylko twoja wina. Podczas pogrzebu stałaś między najważniejszymi osobistościami Dziewiętej Jaskini, bo taka moim zdaniem jest należna ci pozycja; Marthona też tak uważa. A on chciał widzieć cię tam, gdzie jego zdaniem powinnaś była się znaleźć - czyli za nim. Z punktu widzenia naszych tradycji, miał słuszość.

Na pogrzebach członkowie danej Jaskini powinni iść przed gośćmi. Tyle że ty tak naprawdę nie jesteś tu gościem, przede wszystkim należało ci się miejsce wśród Zelandoni, bo jesteś uzdrowicielką, a tacy jak my zawsze kroczą na czele. Po drugie, przyjęła cię rodzina Jondalara i należysz do niej, z czym wszyscy się dziś zgodzili. Jednak na pogrzebie, kiedy Laramar zaczął Marthonę, udało mu się ją zaskoczyć. To dlatego uznał, że nadeszła godzina triumfu. A ty, nie wiedząc o niczym, pokazałaś mu jego miejsce. Postanowił więc, że odegra się na was obu, atakując Marthonę, ale nie docenił jej.

- Tu jesteście - odezwał się Jondalar, wychodząc im naprzeciw. - Właśnie mówimy o Laramarze.

- My też - odparła posępnie Ayla, choć nie wydawało jej się, by rozmowa na łonie rodziny Marthony była równie niewesoła, jak ta, którą właśnie odbyła z Zelandoni. Zdała sobie sprawę, że po części z własnej winy, a po części za sprawą okoliczności przysporzyła sobie wroga. Kolejnego wroga, pomyślała, przypomniawszy sobie o Maronie.

## ROZDZIAŁ 21

Mieszkańcy Dziewiątej Jaskini szykowali się do dorocznej wyprawy na Letnie Spotkanie Zelandonii właściwie już od powrotu z poprzedniego zgromadzenia, jednak dopiero teraz, gdy do wymarszu pozostało niewiele czasu, przygotowania nabrały bardziej zdecydowanego charakteru. Podejmowano ostatecznie decyzje w sprawie tego, co dobrze byłoby zabrać, a co zostawić. Wszyscy uświadamiali sobie, że powrócą pod gościnny nawis pod Spadającą Skałą dopiero jesienią, gdy zaczną wiać zimne wiatry.

Niewiele osób pozostawało latem w osadzie: byli to głównie chorzy, a także zapracowani rzemieślnicy i ci, którzy musieli czekać na podróżujących gdzieś krewnych. Mało kto wracał do Dziewiątej Jaskini przed końcem lata. Spośród tych, którzy wyruszali na Letnie Spotkanie, wielu spędzało ciepłe miesiące, koczując w pobliżu wielkiego zgromadzenia, byli jednak i tacy, którzy wędrowali po całej okolicy i odwiedzali znajomych, korzystając z łaskawości aury.

Urządzano też wyprawy łowieckie i zbierackie, odwiedzano obozy innych grup Zelandonii, a nawet składano wizyty w osadach innych ludów zamieszkujących sąsiednie terytoria. Młodzież zapuszczała się jeszcze dalej, odbywając często swe pierwsze Podróże. Powrót Jondalara, który przywiózł swym pobratymcom wieści o tylu odkryciach i wynalazkach, a także piękną, egzotyczną kobietę obdarzoną niezwykłymi talentami - nie mówiąc już o podniecających opowieściach - zachęcił wielu z tych, którzy od dawna nosili się z zamiarem odbycia dalekich wypraw, do podjęcia bardziej zdecydowanych działań. Niejedna matka miała powody do zmartwienia, wiedząc o tym, że młodszy brat Jondalara nie powrócił ze swej wielkiej Podróży.

W ostatni wieczór przed wymarszem w Dziewiątej Jaskini Zelandonii panował rozgardiasz, a w powietrzu wyczuwało się atmosferę niecierpliwego oczekiwania. Ayla do końca nie mogła uwierzyć, że oto wkrótce rozpocznie się wymarzone Letnie Spotkanie, na którym wreszcie miała zawiązać węzeł z Jondalarem. Niejeden raz budziła się z obawą, że kiedy otworzy oczy, okaże się, iż wszystko, co dotąd przeżyła, było tylko pięknym snem i że znowu znajdzie się w małej jaskini, w sercu samotnej doliny. Często też rozmyślała o Izie, marząc o tym, by jedyna kobieta, którą pamiętała jako matkę, mogła w jakiś sposób dowiedzieć się o Zaślubinach swej adoptowanej córki oraz o tym, że Ayla wreszcie odnalazła swój lud - a przynajmniej gościnną Jaskinię, którą wybrała na swój lud.

Młoda znachorka już dawno pogodziła się z faktem, że nigdy nie dowie się prawdy o swym pochodzeniu. Zrozumiała, że tak naprawdę to, kim byli jej przodkowie, nie ma wielkiego znaczenia. Żyjąc w Klanie, pragnęła tylko być jedną z kobiet Klanu. Kiedy jednak pojęła, że nie

jest i nigdy nie będzie taka jak jej opiekunowie, szczególnego znaczenia nabrał dla niej fakt, że należała do Innych, których postrzegała jako swą wielką rodzinę. Była szczęśliwa wśród Mamutoi, pierwszych ludzi jej rasy, którzy ją adoptowali i przyjęli pod swój dach wraz z Jondalarem. Z nie mniejszą radością pozostałaby wśród równie otwartych i gościnnych Sharamudoi. Jeśli chciała zostać Zelandonii, to tylko dlatego, że był to lud, z którego wywodził się jej ukochany, a nie dlatego, że była to grupa odmienna czy lepsza od pozostałych szczepów Innych.

Podczas długiej zimy większość mieszkańców Dziewiątej Jaskini nie oddalała się zbyt od swych sadyb. Zelandonii poświęcali wówczas sporo czasu na wykonanie podarków, które zamierzali ofiarować znajomym spotykanym jedynie podczas dorocznego letniego zgromadzenia. Gdy Ayla dowiedziała się o tym zwyczaju, postanowiła, że przygotuje choć trochę upominków, zwłaszcza dla ludzi, którzy byli dla niej szczególnie mili, oraz dla tych, którzy - jak się domyślała - ofiarują jej prezenty z okazji Zaślubin z Jondalarem. Nie zapomniała też o swoim mężczyźnie: miała dla niego coś, co przechowywała od czasu Letniego Spotkania Mamutoi. Była to jedyna rzecz, z którą nie rozstawała się przez całą podróż, mimo wielu trudów i niebezpieczeństw.

Jondalar także planował niespodziankę. Długo dyskutował z Joharranem, zastanawiając się nad wyborem najlepszego miejsca na dom dla siebie i Ayli pod wielkim abri Dziewiątej Jaskini Zelandonii. Chciał, by konstrukcja była gotowa już na jesieni, gdy nadejdzie czas powrotu z Letniego Spotkania i pod tym kątem umawiał się z wykonawcami. Rozmawiał z wytwórcami zewnętrznych paneli, z układaczami niskich kamiennych ścian, z najlepszymi w całej osadzie specjalistami od posadzek z gładkich płyt wapienia oraz ze zręcznymi wyprawiaczami skór produkującymi lekkie, wewnętrzne przepierzenia - słowem ze wszystkimi rzemieślnikami, których udział w budowaniu nowego domostwa był po prostu niezbędny.

Jednak budowa domu wymagała wielu skomplikowanych zabiegów handlowych i sporej cierpliwości w targowaniu się. Najpierw Jondalar zgodził się wymienić kilka dobrych kamiennych noży za świeże skóry, w większości zdobyte przez łowców na ostatnim polowaniu na megacerosy i bizony. Ostrza noży zamierzał zrobić własnoręcznie, lecz do ich oprawienia potrzebował rękojeści wykonanych przez Solabana, którego pracę szczególnie cenił. W zamian za rogowe i kościane trzonki zgodził się wyłupać dla Solabana kilka ryłców o specyficznym kształcie i ściśle określonych wymiarach. Podczas długotrwałych targów mężczyźni pomagali sobie w zrozumieniu wzajemnych oczekiwań, wykonując szkice węglem drzewnym na kawałkach brzozy kory.

Część skór, które Jondalar zdobył, miała posłużyć jako surowiec do produkcji paneli, inne zaś miały być wynagrodzeniem za pracę Shevoli, która podjęła się wykonania tychże paneli. Jasnowłose obiecał jej kilka specjalnych noży do cięcia skóry, parę skrobaczek oraz komplet narzędzi do Przycinania drewnianych elementów.

Podobną umowę zawarł z artystą akolitą, Jonokolem, który zobowiązał się do zaprojektowania i wykonania malunków na gotowych panelach. Wzory miały zawierać typowe elementy zdobnicze kultury Zelandonii - symbole magiczne i wizerunki zwierząt - a także motywy, których wprowadzenia zażyczył sobie Jondalar. W ramach rozliczenia zdolny akolita również zażądał specyficznych narzędzi. Wpadł na pomysł wykonywania głębokich płaskorzeźb w wapiennych blokach, lecz brakowało mu umiejętności wprawnego łupacza, by stworzyć potrzebny do tego przyrząd: rylec o haczykowato zagiętym czubku. Tak skomplikowane narzędzia były niezwykle trudne do wyłupania w krzemieniu; tylko najlepsi mogli podjąć się tego zadania.

Zbudowanie domostwa z dobrze dobranych i w porę zgromadzonych materiałów nie trwało długo. Jondalar zdołał przekonać kilkoro przyjaciół, krewnych i zdolnych rzemieślników, by wrócili z nim wcześniej z Letniego Spotkania - bez Ayli - i pomogli mu wznieść ściany upragnionego domu. Uśmiechał się w duchu za każdym razem, gdy wyobrażał sobie zachwyt swojej kobiety na widok gotowego domostwa. Rozmowy, których celem była zamiana krzemienianych narzędzi - a raczej obietnic ich wytworzenia - na materiały, i przyrzeczenia pomocy w budowie domu ze strony osób znających się na rzeczy, trwały kilka długich popołudni, ale Jondalar nie narzekał, gdyż targowanie się bywało niekiedy rozrywką. Zaczynało się zwykle od wymiany uprzejmości, potem następowała faza kulturalnego sporu, przechodząca niekiedy w gorącą kłótnię, urozmaiconą obraźliwymi komentarzami, która niemal zawsze kończyła się śmiechem nad kubkiem gorącej herbaty, barmy czy wina, a nawet wspólnym posiłkiem. Jondalar starał się pilnować, by Ayła nie stała się przypadkowym świadkiem żadnej z zażartych dyskusji na temat planowanej budowy - co jednak nie oznaczało, że udało mu się oszczędzić jej kontaktu z tą tradycyjną formą zawierania umów.

Kiedy znachorka po raz pierwszy usłyszała targujących się Zelandonii, nie zrozumiała prawdziwej natury głośniejszej, pełnej pasji wymiany niepoehlebnych zdań. Proleva sprzeczała się z Salovą, partnerką Rushemara, specjalistką w wyplataniu koszyków. Słuchając ich, Ayła doszła do wniosku, że kobiety są o włos od bójki, i czym prędzej odnalazła Jondalara, mając nadzieję, że ten zdoła jakoś zażegnać konflikt. - Powiadasz, że Proleva i Salova kłócą się okropnie? A co dokładnie mówiły? - zainteresował się Jondalar.

- Proleva stwierdziła, że koszyki Salovy są paskudne i byle jak plecione, ale to nieprawda! Są piękne i jestem pewna, że Proleva doskonale o tym wie; zresztą sama widziałam w jej domu kilka z nich. Dlaczego więc wygaduje takie rzeczy? - spytała Ayła. - Nie mógłbyś czegoś zrobić, żeby przestały się kłócić?

Jondalar z trudem panował nad figlarnym uśmiechem. Wreszcie, gdy już nie mógł wytrzymać, wybuchnął serdecznym śmiechem.

- Aylo, Aylo... One się nie kłóca. To tylko zabawa. Proleva potrzebuje koszyków Salovy i próbuje je kupić; właśnie tak się to robi. Wkrótce dojdą do porozumienia i obie będą zadowolone. Nazywamy to targowaniem się i zapewniam cię, że nikogo przed tym nie powstrzymasz. Gdybym się wtrącił, uznałyby, że zepsułem im zabawę. Lepiej wróć do nich i obserwuj uważnie. Sama się przekonasz. Niedługo znowu będą uśmiechnięte, a przy tym przekonane, że zrobiły świetny interes.

- Pewien jesteś, Jondalarze? Wyglądają na porządnie rozzłoszczone - powiedziała z powątpiewaniem Ayla.

Wróciła jednak do sprzeczących się kobiet, by przysiąc w pobliżu i dyskretnie posłuchać wymiany zdań. Skoro takie były zwyczaje ludu Jondalara, chciała umieć targować się nie gorzej niż inni. Zauważyła, że kłótni przysłuchuje się jeszcze kilka osób, od czasu do czasu z uśmiechem kiwających głowami. Wkrótce potem pojęła, że kobiety istotnie nie toczą prawdziwej walki, ale wątpiła, czy kiedykolwiek nauczy się wmawiać komukolwiek przeróżne okropności, jednocześnie myśląc coś wręcz przeciwnego. Słuchając niewybrednych inwektyw, w zadumie potrząsnęła głową. Dziwaczny zwyczaj, pomyślała.

Kiedy targi dobiegły końca, szybko odszukała Jondalara.

- Dlaczego ludzie wygadują takie straszne rzeczy, skoro w rzeczywistości myślą inaczej? Nie jestem pewna, czy nauczę się tego waszego "targowania".

- Aylo, i Proleva, i Salova wiedziały, że przeciwniczka nie mówi poważnie. To tylko gra. Dopóki obie strony tak traktują sprawę, nikomu nie dzieje się krzywda - wyjaśnił Jondalar.

Ayla zastanawiała się nad tym przez resztę dnia. Jest w tym coś więcej, niż wydawało mi się na pierwszy rzut oka, pomyślała, ale nie do końca potrafiła określić, co to takiego.

W ostatni wieczór przed wymarszem, gdy wszystkie torby zostały spakowane, namiot sprawdzony i naprawiony, a stroje podróżne przygotowane, domownicy Marthony byli tak podekscytowani, że nie mieli ochoty spać. Dołączyła do nich Proleva z Jaradalem, jak zawsze chętna do pomocy. Gospodyni zaprosiła wszystkich do stołu, a Ayla na ochotnika zgłosiła się do parzenia herbaty. Kiedy pukanie w panel przed wejściem rozległo się ponownie, Folara uchyliła kotarę i wpuściła Zelandoni z Joharranem. Przybyli z przeciwnych stron, podobno z propozycjami i pytaniami, lecz w istocie po to, by posiedzieć i pogawędzić. Znachorka dołała do misy trochę wody i dołożyła więcej ziół.

- Dużo pracy mieliście przy namiocie podróżnym? - spytała Proleva.

- Bardzo mało - odparła Marthona. - Ayla z Folara zajęły się paroma rozdarciami. Użyły przeciągacza nici.

Namioty podróżne Zelandonii, rozstawiane w drodze na każdym wieczornym postoju, były wystarczająco przestronne, by pomieścić kilka osób. Ten, który należał do rodziny Marthony, miał

być schronieniem dla wszystkich jej członków: dla Marthony i Willamara, rzecz jasna, a także dla Folary, Joharrana, Prolevy, Jaradala, Jondalara i Ayli. Znachorkę ucieszyła wiadomość, że do tego grona dołączy także Zelandoni. Wszyscy traktowali donier w zasadzie jak członka rodu, jak bliską ciotkę bez partnera. Dodatkowym lokatorem namiotu został czworonożny łowca, Wilk, dwa konie zaś miały być na noc uwiązane opodal.

- Nie mieliście kłopotów ze zdobyciem tyczek? - zainteresował się Joharran.

- Ścinając je, połamałem siekiere - odrzekł Willamar.

- Nie da się jej naostrzyć? - spytał przywódca. Dobre siekiery były teraz potrzebne nie tylko do ścinania tyczek. Podczas wędrówki przydadzą się do pozyskiwania drewna na opał, a po przybyciu na Letnie Spotkanie - do karczowania okolicznych drzew. Nie polerowane narzędzia kamienne miały też specjalne zastosowanie podczas ceremonii.

- Roztrzaskała się na kawałki. Nie dość, że nie było czego szlifować, to jeszcze nie udało mi się uratować ani kawałka ostrza - odpowiedział z żalem Willamar.

Krzemień musiał być kiepski - ocenił Jondalar. - Pełen drobnych żyłek.

- Jondalar zrobił dla mnie nową siekiere, a pozostałe naostrzył - dodał Willamar. - Jak to dobrze, że znowu jest z nami.

Tylko że teraz tak jak dawniej będziemy musieli uważać na walające się wszędzie ostre kawałki krzemienia - ostrzegła Marthona. Ayla zauważyła, że kobieta uśmiecha się nieznacznie i rozumiała, że nie była to prawdziwa skarga, ale żart. Matka także cieszyła się z powrotu syna. - Przyznaję, że pozbierał wszystkie kamienne okruchy, które zostały po ostrzeniu. Kiedy był mały - to zupełnie inna historia... Ale dziś nie zauważyłam ani jednego odłamka. Choć z drugiej strony, mój wzrok nie jest już taki jak dawniej.

- Herbata gotowa - oznajmiła Ayla. - Komu potrzebny kubek?

- Jaradal nie ma swojego. Powinieneś zawsze pamiętać, że trzeba nosić naczynia ze sobą, Jaradalu - pouczyła syna Proleva.

Tutaj nie muszę. Babcia ma dla mnie specjalny kubek - odparł Jaradal.

To prawda - przytaknęła Marthona. - Pamiętasz, gdzie go chowamy?

Pewnie, Thona - odrzekł chłopiec, po czym poderwał się i pobiegł do niskiej półki, by wrócić po chwili z małym kształtnym kubkiem z wydrążonego kawałka drewna. - Już mam - zawołał, z dumą podnosząc go do góry i prezentując uśmiechniętym domownikom.

Ayla zauważyła, że Wilk podniósł się cicho z legowiska przy wejściu i pomału skradał się w stronę Jaradala, szorując brzuchem po kamiennych płytach podłogi. Każdy ruch jego ciała zdradzał, jak bardzo pragnie dotrzeć do celu. Chłopiec wkrótce zauważył podchody zwierzęcia, wypił szybko herbatę łykami i odstawił kubek.

- Pobawię się z Wilkiem - oznajmił, zerkając w stronę Ayli, nie do końca pewien, czy może.

Jaradał tak bardzo przypominał znachorce Durca, że nie mogła powstrzymać uśmiechu. Chłopiec podbiegł do Wilka, a ten na powitanie zaskomlał radośnie i polizał go po twarzy. Ayła cieszyła się, że zwierzę zaczyna wreszcie czuć się pewnie w swej nowej, wielkiej sforze, a szczególnie w towarzystwie dziecka i jego przyjaciół. Współczuła Wilkowi, że wkrótce czekał go stres kolejnej, większej zmiany: wyprawa po spotkanie z jeszcze liczniejszą grupą ludzi. Wiedziała jednak, że i dla niej Letnie Spotkanie nie będzie łatwe, toteż wybierała się na nie z lekkim niepokojem.

Doskonała herbata, Aylo - pochwaliła Zelandoni. - Słodzona korzeniem lukrecji, prawda?

Tak - odpowiedziała uzdrowicielka, uśmiechając się ciepło. - Jest dobra dla żołądka. Wszyscy są tak podnieceni wyprawą, że postanowiłam przygotować coś uspokajającego.

I smacznego zarazem - dodała Zelandoni, po czym umilkła, zastanawiając się nad czymś. - A skoro jesteśmy tu w komplecie, to może pokazałabyś Joharranowi i Prolevie twój sposób rozpalania ognia? Wiem, że sama prosiłam o zachowanie go w tajemnicy, ale skoro mamy razem podróżować, sekret i tak by się wydał.

Brat Jondalara i jego partnerka spojrzeli badawczo najpierw na domowników, a potem na siebie.

- Mam zgasić ognisko? - spytała z uśmiechem Folar. Tak, proszę - odpowiedziała donier. - W ciemności wrażenie jest największe; szczególnie za pierwszym razem.

- Nic nie rozumiem... O co chodzi z tym ogniem? - zdziwił się Joharran.

- Ayła odkryła nowy sposób rozpalania ognia - odrzekł z dumą Jondalar. - Ale lepiej będzie, jeśli sami zobaczycie.

Więc im pokaz, Jondalarze - ponagliła Ayła. Jondalar powiódł brata i Prolevę do kuchennego paleniska i gdy Folar z pomocą innych domowników zgasła ognisko i kaganki, skrzesał, używając niezwykłego kamienia i kawałka krzemienia, jaskrawą iskrę, z której już po chwili powstał mały płomyk.

- Jak to zrobiłeś? - spytał zdumiony przywódca. - Jeszcze nigdy nie widziałem czegoś takiego.

Jondalar pokazał mu ognisty kamień.

To Ayła odkryła magię drzemiącą w tych bryłkach - wyjaśnił. - Już dawno zamierzałem wam o tym powiedzieć, ale tyle się działo, że po prostu nie starczyło na to czasu. Jak dotąd pokazaliśmy ten sposób tylko Zelandoni, Marthonie, Willamarowi i Folarze.

- Chcesz powiedzieć, że każdy może się tego nauczyć?

- upewniła się Proleva.

Tak jest, wystarczy trochę poćwiczyć - przytaknęła Marthona.

- Pokażę wam jeszcze raz, jak to się robi - zaproponował Jondalar.

Joharran i jego kobieta wpatrywali się w niezwykle zjawisko z niesamowitym zdumieniem.

- Jeden z tych kamieni to krzemień, ale drugiego nie znam? Skąd go wzięliście? - spytała Proleva.

- Ayla nazwała go ognistym kamieniem - odparł Jondalar i w krótkich słowach wyjaśnił historię odkrycia. - Szukaliśmy wszędzie, ale w drodze powrotnej nie znaleźliśmy ani jednej podobnej bryłki. I już myślałem, że tylko na wschodzie można je znaleźć, gdy Ayla natknęła się na nie całkiem niedaleko stąd. A skoro znalazła trochę, powinno ich być więcej. Będziemy ich szukać. W tej chwili mamy tyle, że starczy dla nas wszystkich, ale nadawałyby się też doskonale na prezenty, a Willamar twierdzi, że są świetnym towarem na handel.

- Jondalarze, zdaje się, że czeka nas bardzo długa rozmowa. Zastanawiam się, o czym jeszcze "zapomniałeś" mi powiedzieć. Wyruszasz w daleką Podróż i wracasz z końmi, które wożą ludzi na grzbiecie, z wilkiem, który pozwala dzieciakom tarosić się za futro, potężną bronią do miotania oszczepów, magicznymi kamieniami do szybkiego rozpalania ognia, opowieściami o inteligencji płaskogłowych oraz z piękną kobietą, która zna ich mowę i uczyła się od nich uzdrawiania. Jesteś pewien, że nie masz w zanadrzu więcej niespodzianek? - spytał ironicznie Joharran.

Jondalar uśmiechnął się krzywo.

- Jakoś nic nie przychodzi mi w tej chwili do głowy - odrzekł. - Kiedy zbierasz te wszystkie historie do kupy, rzeczywiście brzmią trochę niewiarygodnie.

Trochę niewiarygodnie! Słyszeliście go?! - obruszył się Joharran. - Bracie, przeczuwam, że twoja "trochę niewiarygodna" Podróż będzie tematem opowieści przez wiele, wiele lat.

To prawda, Jondalar ma co wspominać - przyznał Willamar.

- A wszystko przez ciebie, Willamarze - odparował oskarżycielsko Jondalar i z uśmiechem spojrzał na brata. - Nie pamiętasz już, jak słuchaliśmy po nocach opowieści o Jego podróżach i przygodach, Joharranie? Zawsze uważałem, że przekazywał te historie lepiej niż większość wędrownych Opowiadaczy. Matko, czy pokazałaś już Joharranowi Prezent, który przywiózł ci Willamar?

- Nie, ani Joharranowi, ani Prolevie - odparła Marthoną - Zaraz go przyniosę. - Kobieta wyszła do swej sypialni by powrócić z płytką wyciętą ze środkowej części rogu lelenia i podać ją starszemu synowi. Na twardej powierzchni wyryto podobizny dwóch pływających zwierząt o opływowych kształtach. Choć miały w sobie coś rybiego, z pewnością rybami nie były. - Jak je nazwałeś, Willamarze?



- To foki - odparł mężczyzna. - Żyją w wodzie, ale oddychają powietrzem i wychodzą na brzeg, żeby wydać na świat młode.

- Są niezwykle - zauważyła Proleva. Rzeczywiście - przyznała Marthona.

- Podczas Podróży widzieliśmy takie stworzenia. Mieszkają w morzu śródlądowym, daleko na wschodzie - wtrącił Jondalar.

- Niektórzy ludzie uważają, że to duchy wód - dodała Ayla.

- A ja na własne oczy widziałem zwierzę, które żyje w Wielkich Wodach na zachodzie. Nasi pobratymcy z tamtych stron uważają je za specjalnego duchapomocnika Matki - rzekł Willamar tonem wytrawnego gawędziarza. - Jest jeszcze bardziej podobne do ryby niż foka. Rodzi młode w morzu, ale podobno oddycha powietrzem i karmi potomstwo mlekiem. Potrafi stanąć na ogonie na powierzchni wody - sam to widziałem - i do tego mówi własnym językiem. Ludzie, którzy mieszkają na wybrzeżu, nazywają je delfinem, a niektórzy twierdzą nawet, że poznali jego mowę. Wydaje dziwne, piszczące dźwięki.

Opowiadają też wiele legend o tych istotach - ciągnął Willamar. - Podobno delfiny pomagają ludziom, zaganiając ryby do ich sieci i ratując przed pewną śmiercią tych, których łodzie wywróciły się na pełnym morzu. Legendy Starszych znane na wybrzeżu mówią o tym, że i ludzie żyli kiedyś w wodzie. Niektórzy wyszli jednak na ląd, a inni pozostali, z czasem zmieniając się w delfiny. Wielu ludzi uważa je za kuzynów, a tamtejsza Zelandoni otwarcie twierdzi, że są z nami spokrewnione. Trzeba wam wiedzieć, że nasi bracia znad morza czczą delfiny tak samo jak Matkę. W każdej rodzinie jest figurka donii, ale nie brakuje też podobizn delfinów lub kawałków kości czy zębów. Ludzie uważają je za szczęśliwe talizmany.

I pomyśleć, że twoim zdaniem to ja opowiadam ciekawe historie, Willamarze - odezwał się Jondalar. - Ryby, które oddychają powietrzem i stają na ogonach na powierzchni wody! Prawie zapragnąłem powędrować z tobą na wybrzeże.

- Możemy pójść razem w przyszłym roku, kiedy wybiorę się tam po sól. To żadna Podróż w porównaniu z tą, którą właśnie zakończyłeś - dodał Mistrz Handlu.

- Zdawało mi się, Jondalarze, że jeszcze niedawno miałeś dość włóczęgi - wtrąciła Marthona. - A tu proszę: ledwie wróciłeś do domu, już planujesz kolejną wyprawę. Czyżby podróżowanie weszło ci w nawyk, jak Willamarowi? Wojaże handlowe to nie to samo, co Podróż - odparł Jondalar. - A poza tym na razie nie mam ochoty na wycieczki, jeśli nie liczyć marszu na Letnie Spotkanie. Przyszły rok to daleka przyszłość.

Folara i Jaradal, zwinięci w kłębek obok Wilka na posłaniu dziewczyny, starali się słuchać uważnie niezwykłych opowieści. Lecz choć próbowali nie uronić ani słowa, wtuleni w miękkie futro i ukołysani cichym szmerem rozmowy, wkrótce zasnęli kamiennym snem.

Świt następnego dnia powitał Dziewiątą Jaskinię mżawką, lecz wilgotny, letni poranek nie ostudził entuzjazmu mieszkańców przed rozpoczynającą się właśnie wędrówką. Mimo rozmów prowadzonych do późnej nocy domownicy Marthony wstali dość wcześnie i przyrządzili naprędce śniadanie z produktów przygotowanych poprzedniego wieczoru, potem zaś dokończyli pakowanie. Deszcz ustał wreszcie i słońce nieśmiało wyjrzało zza chmur, lecz nocna rosa oraz para unosząca się z liści i kałuż sprawiły, że powietrze było mgliste, chłodne i wilgotne.

Kiedy wszyscy chętni zebrali się na frontowym tarasie, kolumna rozpoczęła marsz. Joharran poprowadził swój lud ku północy, ścieżką wiodącą ze skalnej półki w stronę Leśnej Doliny. Grupa była naprawdę duża; znacznie liczniejsza niż reprezentacja Obozu Lwa, z którą Ayla szła na Letnie Spotkanie Mamutoi. W jej skład wchodziło wiele osób, których znachorka nie знаła zbyt dobrze, ale przynajmniej pamiętała już imiona większości z nich.

Przywódca wybrał ścieżkę wzdłuż dopływu Leśnej Rzeki i poszedł nią aż do płytkiego brodu, potem zaś poprowadził kolumnę na przełaj przez Dolinę Leśnej Rzeki. Ayla zauważyła, że nie wędrują już trasą, którą poznała podczas pierwszej konnej przejażdżki z Jondalarem. Miast skierować się ku korytu wyschniętego strumienia i stromym podejściem opuścić wąską dolinę, Joharran wybrał drogę równoległą do Rzeki, wiodącą ku równinom prawego brzegu. Następnie Zelandonii skręcili w lewo, przez trawy i krzaki, ku łagodnemu stokowi, by wreszcie zacząć zygzakować, wdrapując się na wyżynę.

Ayla starała się śledzić kątem oka ruchy Wilka, który biegał samopas, węsząc nieustannie. Rozpoznawała też większość mijanych roślin i zapamiętując miejsca, w których rosły, dla wprawy przypominała sobie ich zastosowanie. Na brzegu Rzeki widząc brzozę czarną, pomyślała. Zapobiega poronieniom. A tutaj tatarak - ma wręcz odwrotne działanie. Zawsze dobrze wiedzieć, gdzie rosną wierzby; wywar z kory jest niezawodny na bóle głowy i łamanie w kościach u starszych ludzi, nie mówiąc o innych dolegliwościach. Nie wiedziałam, że znajdę tu majeranek. Nadaje się na herbatę i do przyprawiania mięsa. Łagodzi bóle głowy i kolki u niemowląt. Będę musiała o nim pamiętać. Durc nie miewał kolek, ale cierpi na nie wiele dzieci.

W pobliżu szczytu ścieżka była już bardzo stroma, lecz wkrótce przed oczami wędrowców rozpostarł się widok na rozległy, smagany wiatrem płaskowyż. Dotarłszy na szczyt, Ayla podeszła do krawędzi urwiska i zatrzymała się, by odpocząć i zaczekać na Jondalara, który miał problemy z podprowadzeniem pod stromiznę Zawodnika ciągnącego włók. Whinney stanęła obok, skubiąc nieliczne źdźbła świeżej trawy. Znachorka poprawiła włók uwiązany do końskiego grzbietu i sprawdziła bagaż wciśnięty w juki, a potem czule pogłaskała klacz, przemawiając do niej w swym specjalnym języku. Wreszcie spojrzała w dół, na równiny ciągnące się wzdłuż Rzeki i długą

kolumnę ludzi w różnym wieku, z mozołem podchodzących stromą ścieżką - a potem na dalszą okolicę.

Z wysokiego płaskowyżu rozpościerał się wspaniały widok na urozmaicone, nadrzeczne tereny, spowite teraz rzednącą mgiełką, przydającą panoramie swoistej tajemniczości. Nieco gęściejsze, białe smugi okrywały jeszcze nadbrzeżne pasmo drzew i dryfowały gdzieś nad Rzeką, lecz unosiły się już ku górze, odsłaniając snopy słonecznego światła i skrzącą się miriadami iskier powierzchnię wody. W oddali jednak mgła była na tyle gęsta, że ukryte w niej wapienne masywy zlewały się w jedno z brudnoszarym niebem.

Kiedy Jondalar prowadzący Zawodnika dołączył do Ayli i Whinney, razem ruszyli w głąb płaskowyżu. Znachorka była zachwycona: oto znowu wędrowała z mężczyzną, z którym odbyła długą Podróż, a także z wiernym Wilkiem i końmi pracowicie ciągnącymi swe ciężary. Towarzyszyły jej więc istoty, które kochała najmocniej na świecie. Nie mogła uwierzyć, że człowiek kroczący u jej boku wkrótce zostanie jej partnerem. Pamiętała aż nadto dokładnie uczucia, które targały nią podczas podobnej wyprawy z Obozem Lwa. Wtedy z każdym krokiem była coraz bardziej pewna, że podąża ku przyszłości nie mającej nic wspólnego z jej marzeniami. Obiecała połączyć się z człowiekiem, którego lubiła, i może nawet byłaby z nim szczęśliwa, gdyby wcześniej nie spotkała i nie pokochała Jondalara. Lecz Jondalar był wówczas daleki; wydawało jej się, że nie jest już kochana, za to miała pewność, że Ranec nie tylko kocha, ale i pożąda jej jak szalony.

Teraz jednak uczucia Ayli były zupełnie inne. Szczęście przepełniało ją tak bardzo, że nawet ziemia i powietrze wokół niej wydawały się drżeć radosnym oczekiwaniem. Jondalar także wspominał marsz na Letnie Spotkanie Mamutoi. Największym problemem była jego zazdrość oraz strach przed reakcją własnego ludu na fakt, że przyprowadziłby do Jaskini tak niezwykłą kobietę. Wreszcie jednak przemógł się i zdobył na radość z planowanych Zaślubin Ayli. Był pewien, że stracił na zawsze ukochaną kobietę... a przecież teraz szła obok niego, spoglądając nań wzrokiem pełnym miłości.

Szlak przecinający płaskowyż doprowadził ich do kolejnego punktu widokowego na skraju przepaści - tego samego, przy którym zatrzymali się podczas konnej przejażdżki. Nim przekroczyli niewielki strumień, przystanęli, by spojrzeć na miniaturowy wodospad zasilający płynącą w głębi kanionu Rzekę. Grupa ludzi z Dziewiątej Jaskini rozciągnęła się teraz szeroko; niektórzy woleli przecierać własne ścieżki, niż trzymać się utartych. Każdy wziął ze sobą tylko tyle bagażu, ile sam potrafił unieść, lecz choć wielu ugięło się pod ciężarem toreb, nie brakowało i takich, którzy zamierzali wrócić do domów po drugą część ładunku - zazwyczaj po przedmioty przeznaczone na wymianę.

Ayla i Jondalar jeszcze przed wymarszem rozmawiali z Joharranem i zaproponowali, że ich konie pomogą w transportowaniu dóbr należących do całej Jaskini. Przywódca naradził się z kilkoma zaufanymi osobami i wreszcie zdecydował, że na włókach pojedzie zapas jeleniego i bizoniego mięsa z ostatniego polowania. Kiedy na początku sezonu planował łowy, spodziewał się, że kilku ludzi będzie musiało odbyć dodatkową wędrówkę między Dziewiątą Jaskinią a miejscem Letniego Spotkania, by dostarczyć zebrany zapas pożywienia.

Użycie koni zaoszczędziło im fatygi, a przy okazji Joharran po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że oswojone zwierzęta są czymś więcej niż dziwnym zjawiskiem, że ich obecność przynosi wymierne korzyści. Nawet fakt, że okazały się pomocne w polowaniu oraz że Jondalar dzięki wierzchowcowi mógł w nadzwyczaj krótkim czasie dotrzeć do Dziewiątej Jaskini, by zawiadomić Zelandoni i Relonę o tragicznym wypadku Shevonara, nie uświadomiły przywódcy w pełni możliwości drzemiących w udomowieniu dzikich koni. Zrozumiał to dopiero teraz, gdy siła Whinney i Zawodnika miała oszczędzić wysiłku kilku ludziom, choć jednocześnie dostrzegł, że skorzystanie z niej wymaga nieco zachodu.

Klacz przywykła do ciągnięcia włóka, czyniła to bowiem przez większą część Podróży. Ogier był znacznie mniej przyzwyczajony do pracy i trudniej było okiełznać jego temperament. Joharran widział, że jego brat wkłada sporo wysiłku w kierowanie Zawodnikiem, szczególnie tam, gdzie zakręty ścieżki utrudniały manewrowanie długimi tyczkami z ciężkim ładunkiem. Utrzymanie kontroli nad ogierem podczas omijania przeszkód wymagało sporej cierpliwości. Kiedy kolumna Zelandonii wyruszała w drogę, Ayla i Jondalar znajdowali się na jej czele. Teraz, po przekroczeniu małego strumienia, byli już w środku grupy.

Wędrowcy dotarli do miejsca, w którym Jondalar i Ayla zawrócili podczas swej konnej przejażdżki - tam, gdzie ścieżka zaczynała opadać ku równinom. Tym razem jednak grupa wkroczyła na wijący się zygzakiem szlak widoczny pośród traw i krzewów, a nieco niżej ginący między drzewami. Wreszcie zeszli na brzeg, w pobliże sporej niszy leżącej tak blisko wody, że piętrzący się nad nią nawis skalny sięgał daleko ponad wartki w tym miejscu nurt. Mieli za sobą ledwie dwie mile marszu, lecz wspinaczka na płaskowyż i ostrożne zejście zeń sprawiły, że droga wydawała się znacznie dłuższa.

Przed niszą rozciągał się kamienny taras, będący zarazem brzegiem Rzeki - wprost z niego można było wskoczyć w chłodne wody. Miejsce to - skalne schronienie otwierające się na południe - nazwano Nadrzeczem. Nisza była dość długa, ciągnęła się ze wschodu na zachód aż do miejsca, w którym Rzeka skręcała na południe meandrem tak ostrym, że koryto utworzyłoby zapewne pętlę, gdyby nie przeszkoda w postaci skalnego cypla nadbrzeżnej wyżyny. Wydawało się, że okolica nadaje się do zamieszkania, lecz nie zajęła jej żadna Jaskinia - jedynie wędrowcy, szczególnie ci,

którzy podróżowali tratwami, zatrzymywali się tu niekiedy na nocleg. Woda znajdowała się zbyt blisko nisz; w okresie wiosennych powodzi Rzeką przekraczała granicę tarasu i zalewała tereny ukryte pod nawisem.

Mieszkańcy Dziewiątej Jaskini nie zatrzymali się jednak w Nadrzeczu, lecz podjęli kolejną wspinaczkę, tym razem na strome urwisko piętrzące się za masywem kryjącym niszę. Ścieżka wiodła wciąż na północ, a nieco dalej skręcała na wschód. W odległości jednej mili od Nadrzecza szlak opadał ponownie w dolinę przeciętą strumykiem, który zazwyczaj wysychał podczas letnich upałów. Przebrnąwszy przez muliste dno strugi, Joharran zatrzymał się i towarzysząca mu grupa odpoczywała przez chwilę, czekając na Jondalara i Aylę. Kilka osób zabrało się zaraz do rozpalania ognia i gotowania wody na herbatę. Niektórzy - w większości ci, którzy podróżowali z dziećmi - wyjęli jedzenie i zaczęli się posilać.

Tutaj musimy się zdecydować, Jondalarze - rzekł Joharran. - Jak sądzisz, którą drogą lepiej będzie pójść?

Jondalar odwrócił się w stronę Ayli. Ponieważ Rzeką wiała się przez dolinę, najpierw przeciskając się u podnóża nieprzebitego klifu po jednej stronie, a nieco dalej - po drugiej, wędrówki między Jaskiniami łatwiej było odbywać okrężną drogą, przez wyżyny, ale nie była to jedyna możliwość.

- Mamy dwie drogi do wyboru - odparł Jondalar. - Jeżeli pójdziemy tą ścieżką, przez szczyty urwisk, czeka nas trudna wspinaczka na stromy stok, a później przemarsz po płaskowyżu, czyli trasa równa połowie tej, którą mamy już za sobą, a potem zejście i przeprawa przez kolejny strumień. Zwykle o tej porze jest w nim woda, ale rozlewa się dość płytko, więc nie powinniśmy mieć problemów. Potem musielibyśmy wdrapać się na skarpę nad samą Rzeką i znowu zejść w dolinę, a następnie przejść przez trawiastą równinę do Dwudziestej Dziewiątej Jaskini i tam przenocować.

- Jest też inna droga - powiedział Joharran. - Dwudziestą Dziewiątą Jaskinię nazywamy Trzema Skałami, bo składa się z trzech nisz, nie leżących tuż obok siebie, ale rozrzuconych na równinie i po drugiej stronie Rzeki. Dwie z nich znajdują się na naszym, a jedna na przeciwległym brzegu. - Joharran machnął ręką w stronę piętrzącej się opodal stromizny. - Zamiast wspinać się na górę, możemy skręcić na wschód, ku Rzece. Doszlibyśmy do następnego zakola, a tam czekałaby nas przeprawa, bo dalszą drogę zagroziłyby nam skały. Bród jest szeroki, ale płytki, a Dwudziesta Dziewiąta Jaskinia dba o to, by nie brakowało kamieni, na których można stanąć - dokładnie tak, jak my dbamy o naszą Przeprawę. Poszlibyśmy drugą stroną, ale tylko przez pewien czas, bo i tam napotkalibyśmy stromiznę nie do przebycia. Przeprawilibyśmy się znowu na tę stronę; tamtejszy bród też jest dobrze utrzymany. Złożylibyśmy wizytę w dwóch niszach Dwudziestej Dziewiątej

Jaskini, ale idąc do trzeciej i największej, raz jeszcze musielibyśmy przejść przez Rzekę. I tak właśnie trzeba będzie zrobić, szczególnie jeśli zacnie padać.

- Jeśli pójdziemy tędy, czeka nas wspinaczka, jeśli tamtędy - przeprawa przez płynącą wodę - podsumował Jondalar. - Jak myślisz, którydy łatwiej będzie przeprowadzić konie z włókami?

- Jeśli bród jest płytki, Whinney i Zawodnik poradzą sobie bez trudu, ale mięso na włókach zamoknie i zepsuje się, chyba że zatrzymamy się i będziemy je suszyć - odrzekła Ayla. - W Podróży przyczepialiśmy do włoka łódkę, żeby unosił się na wodzie podczas przeprawy. Ale czy nie mówiłaś, że tak czy inaczej, będziemy musieli przejść przez Rzekę?

Jondalar stanął za włókiem Zawodnika.

- Coś mi przyszło do głowy, Joharranie. Gdybyśmy namówili paru mężczyzn, żeby unieśli końce tyczek ponad wodę, moglibyśmy przeprowić się na drugą stronę, nie mocząc mięsa.

- Na pewno znajdą się chętni. Nigdy nie brakuje młodzików, którzy raczej wolą iść przez wodę niż po kamieniach. Zaraz ich przepytam - odparł Joharran. - Myślę, że większość z nas ma już dość wspinaczek. Niełatwo pokonywać stromizny z takim bagażem na plecach.

Kiedy Joharran odszedł, Jondalar sprawdził uździenicę Zawodnika, pogładził łeb ogiera i dał mu trochę ziarna z sakiewki, którą niósł u pasa. Ayla uśmiechnęła się do jasnowłosego, głaszcząc Wilka, który przybiegł do niej zdziwiony, że kolumna nagle się zatrzymała. Pomyślała o szczególnej więzi, która połączyła ją z tym mężczyzną podczas Podróży. Zdała sobie sprawę i z tego, że wśród wielu łączących ich uczuć jest jedno, którego inni jeszcze nie znają: byli jedynymi ludźmi, którzy z wzajemnością obdarzyli przyjaźnią zwierzęta.

- Istnieje jeszcze jeden szlak wędrówki w górę rzeki... a właściwie dwa - odezwał się po chwili Jondalar. - Można płynąć tratwą, odpychając się od dna, ale nie wydaje mi się, żeby konie dobrze to zniosły. Druga trasa wiedzie przeciwnym brzegiem Rzeki, po grzbietach klifów. Trzeba skorzystać z Przeprawy, a potem najlepiej dojść aż do Trzeciej Jaskini i stamtąd rozpocząć właściwą wędrówkę. Całkiem niezła ścieżka prowadzi na szczyt Skały Dwóch Rzek i dalej, na wyżynę. Jest tam trochę równiej niż tutaj; nie ma tylu dolinek. Mniej jest także dopływów Rzeki, ale gdybyśmy chcieli odwiedzić Dwudziestą Dziewiątą Jaskinię, i tak musielibyśmy zejść na brzeg i przeprowić się przez Rzekę. To dlatego Joharran postanowił trzymać się tej strony.

Kiedy odpoczywali, Ayla wypytywała Jondalara o ludzi, których mieli odwiedzić. Mężczyzna opisał jej niezwykły układ łączący członków Dwudziestej Dziewiątej Jaskini Zelandonii. Tak zwane Trzy Skały istotnie składały się z trzech niezależnych osad mieszczących się w kamiennych niszach trzech osobnych masywów, rozrzuconych na trawiastych równinach wokół meandrującej Rzeki.

- Z Legend wynika, że kiedyś były to osobne Jaskinie, określane odrębnymi słowami do liczenia, a do tego było ich więcej niż dziś - wyjaśnił Jondalar. - Wszystkie jednak korzystały z tych samych terenów łowieckich i zejść do rzeki, a przy tym wiecznie kłóciły się o swoje prawa. Konflikt był na tyle ostry, że podobno mężczyźni nawet walczyli między sobą. Wreszcie Zelandoni z Południowego Stoku wpadł na pomysł, żeby połączyć te kilka Jaskiń w jedną, której lud pracowałby wspólnie i dzielił się owocami tej pracy. Gdyby na przykład pojawiło się stado żubrów, nie urządzano by kilku mniejszych polowań, tylko jedno wielkie.

Ayla zastanawiała się przez chwilę nad jego słowami.

- Ale przecież Dziewiąta Jaskinia także współpracuje z sąsiadami. W ostatnim polowaniu brali udział myśliwi z Jedenastej, Czternastej, Trzeciej i Drugiej, a nawet kilku z Siódmej. Polowaliśmy wspólnie i podzieliliśmy się zdobyczą, prawda?

- Prawda, ale nasze Jaskinie nie muszą dzielić się dosłownie wszystkim - odparł Jondalar. - Dziewiąta Jaskinia ma Dolinę Leśnej Rzeki, a zwierzęta często podchodzą do Rzeki dokładnie naprzeciwko naszego tarasu. Czternasta ma Małą Dolinę, Jedenasta wyprawia się na tratwach na wielką równinę po drugiej stronie Rzeki, Trzecia ma swoją Dolinę Traw, a Druga i Siódma wspólnie korzystają ze Słodkiej Doliny - nawiasem mówiąc, zajrzemy tam w drodze powrotnej. Możemy działać wspólnie, kiedy chcemy, ale nie musimy robić tego bez przerwy. Tutaj zaś wszystkie Jaskinie, które dziś znamy jako Dwudziestą Dziewiątą, wspólnie użytkowały tereny łowieckie. Teraz nazywają to miejsce Doliną Trzech Skał, ale tak naprawdę jest to część Doliny Rzeki i Doliny Północnej Rzeki.

Jondalar wyjaśnił też Ayli, że Rzeka dzieliła rozległą równinę na dwie części, zamknięte na północy przez spory dopływ i jego dolinę. Dwie osady znajdowały się na prawym brzegu Rzeki - do zachodniej można było dotrzeć łądem z Nadrzecza, druga zaś mieściła się nieco dalej na północ. Trzeci masyw, pełen wielopiętrowych nisz, ulokowany był bardziej na południe, na lewym brzegu Rzeki. Była to jedna z niewielu osad, których taras otwierał się ku północy.

Najdalej na zachód wysunięta osada, czyli Zachodnia Posiadłość Dwudziestej Dziewiątej Jaskini Zelandonii, składała się z kilku małych nisz ulokowanych w jednym zboczu wzgórza. W jej skład wchodził także obóz, w którym niemal przez cały rok korzystano ze stojaków do suszenia mięsa i palenisk, a podczas lata rozbijano tam namioty. Zachodnia Posiadłość była bramą do zacisznej doliny pełnej pini, których nasiona były bogate w olej nadający się nawet do kaganków, choć takiemu smakołykowi rzadko kiedy przypadła w udziale los paliwa do lamp.

W zbiorach orzeszków piniowych uczestniczyły wszystkie osady z Trzech Skał, a także wielu gości z innych jaskiń. Dodatkowy obóz służył przede wszystkim zbieraczom, choć nie tylko - w pobliżu nie brakowało doskonałych miejsc do łapania ryb, i to różnymi technikami. W

cieplejszych porach roku obozowisko służyło więc także rybakom, a wyludniało się dopiero wtedy, gdy Rzekę skuł lód. Wprawdzie zbiory nasion odbywały się jesienią, jednak namioty amatorów łapania ryb pojawiały się znacznie wcześniej, na początku lata, toteż miejsce to nazywano "letnim obozem", a z czasem nazwa Letni Obóz zaczęła się odnosić do całej zachodniej osady.

- Ich Zelandoni jest świetną artystką - dodał Jondalar. - W jednej z nisz wyryła na ścianach piękne zwierzęta; mam nadzieję, że starczy nam czasu, by złożyć jej wizytę, potrafi też robić rytę na małych przedmiotach. Tak czy inaczej, wrócimy tu jeszcze na zbiory orzechów.

Joharran powrócił w towarzystwie kobiety i trzech młodych mężczyzn, którzy podjęli się przeniesienia włóków ponad wodą. Cała czwórka wyglądała na zadowoloną z faktu, że to właśnie im przywódca powierza odpowiedzialne zadanie. Chętnych istotnie nie brakowało; problemem dla Joharrana był wręcz nadmiar kandydatów. Wielu było ciekawskich, gotowych zamoknąć podczas przeprawy, było tylko znaleźć się bliżej koni i wilka, a przy okazji być może dowiedzieć się czegoś o tajemniczej kobiecie Jondalara. Dzięki temu mieliby o czym rozprawiać przy ogniskach Letniego Spotkania.

Tam, gdzie pozwalało na to ukształtowanie terenu, Jondalar i Ayła prowadzili konie, idąc obok siebie. Wilk, jak zawsze, nie trzymał się nogi swej pani. Podczas wędrówki lubił samodzielnie zwiedzać okolicę, wybiegając daleko naprzód lub zostając w tyle; kierował się wyłącznie ciekawością podążał za interesującymi zapachami, które wykrywał jego niezawodny nos. Korzystając z okazji, Jondalar w marszu opowiadał Ayli o ludziach, u których mieli się zatrzymać, i o ich terytorium.

Wspominał między innymi o wielkim prawym dopływie Rzeki, przecinającym równinę, a nazywanym Północną Rzeką. Północna część trawiastej połaci zawdzięczała swe ogromne rozmiary temu, że płynnie łączyła się z doliną owego dopływu, a także z doliną samej Rzeki. Między owymi dolinami znajdowała się najstarsza osada tutejszej społeczności, nazywana oficjalnie Północną Posiadłością Dwudziestej Dziewiątej Jaskini Zelandonii, a zwyczajowo - Południowym Stokiem. Aby dotrzeć do niej z Letniego Obozu, trzeba było przejść po kamieniach przez nurt dopływu, teraz jednak Zelandonii z Dziewiątej zbliżali się z innej strony - wzdłuż Rzeki.

Przed nimi widać już było stromą ścianę wzgórza wznoszącego się samotnie ponad równiną. Z urwiska sterczały trzy skalne półki skierowane ku południowi i z daleka Przypominające wielkie schody. Miejsce to nie leżało dalej niż półtorej mili od pozostałych osad należących do Trzech skał i znacznie bliżej od wielu pomniejszych sadyb, które także zaliczano do Dwudziestej Dziewiątej Jaskini.

Jondalar wyjaśnił Ayli, że często używany szlak ku głównej niszy Południowego Stoku wiódł po zboczu łagodnymi zygzakami. Znajdujący się wyżej mały nawis, spod którego widać było



niemal całą równinę, nosił nazwę Galerii Południowego Stoku, choć najczęściej nazywano go krótko po prostu Galerią. Najniższy taras mieścił się częściowo pod ziemią i służył głównie do przechowywania dóbr - trzymano tam między innymi nasiona pini zebrane w Letnim Obozie. W Południowym Stoku kryło się jeszcze kilka pomniejszych abri, którym nadano sugestywne nazwy, takie jak Długa Skała, Głęboki Brzeg czy Dobre Źródło, przy którym istotnie było źródło.

- Nawet część służąca do przechowywania różnych rzeczy ma swoją nazwę: Naga Skała. Starzy ludzie opowiadają o niej pewną historię... to jedna z Legend, którą sami poznali w młodości. Podobno zdarzyła się kiedyś sroga zima, a po niej wyjątkowo zimna i deszczowa wiosna. Mieszkańcy Jaskini zużyli wszystkie zapasy z magazynu w dolnej części masywu - została tam "naga skała". Kiedy na domiar złego zima powróciła - i to z impetem burzy śnieżnej - zapanował głód. Ludzie ocaleli jednak dzięki orzeszkom piniowym zgromadzonym jesienią przez wiewiórki, a odkrytym przypadkowo przez małą dziewczynkę. Aż trudno uwierzyć, jakie zapasy przygotowują przed zimą te zwierzaki!

Kiedy jednak pogoda pozwoliła na urządzenie pierwszych łowów, okazało się, że zwierzęta także głodowały - ciągnął Jondalar. - Ich mięso było chude i twarde, więc aż do późnej wiosny życie w jaskini było bardzo ciężkie. Za to następnej jesieni wszyscy wybrali się do lasu, by nazbierać całe mnóstwo orzeszków piniowych. I tak narodziła się tradycja, dzięki której mroźne zimy i spóźnione wiosny stały się znacznie mniej groźne.

Młodzi ludzie, którzy pomagali przenosić włóki podczas przeprawy przez rzekę, starali się trzymać blisko Jondalara i pilnie nadstawiali uszu. Opowieść o najbliższych sąsiadach z północy ciekawiła ich bardzo, dotąd bowiem niewiele o nich wiedzieli.

Mniej więcej półtorej mili dalej, po drugiej stronie Rzeki, oczom wędrowców ukazał się największy i najbardziej niezwykły masyw wapienny w całej okolicy: Południowa Posiadłość Dwudziestej Dziewiątej Jaskini Zelandonii. Choć zwykle nisze otwierające się na północ nie były zbyt chętnie zasiedlanymi schronieniami, ta jedna stanowiła wyjątek.

Czoło masywu, długie na pół mili i piętrzące się na dwieście pięćdziesiąt stóp ponad nurtem Rzeki, podzielone było na pięć poziomów, na których prócz głębokich nisz i rozległych tarasów znajdowała się niemal setka jaskiń i szczelin skalnych.

Ze wszystkich tarasów rozciągał się wspaniały widok na dolinę, toteż nie było potrzeby przeznaczania którejś z nisz na punkt obserwacyjny. W stromej ścianie przeciętej tarasami było jednak także coś niezwykłego: z jej dolnej części, okalającej spokojną zatoczkę, sterczał skalny występ, z którego można było zobaczyć w wodzie własne odbicie.

Wbrew pozorom nazwa tej skały nie wiąże się z jej wielkością - rzekł Jondalar. - Bardziej niezwykły od rozmiarów masywu jest widok z tego występu. Stąd nazwa: Skała Odbicia.

Urwisko było tak potężne, że nie wszystkie ukryte w nim nisze były zamieszkane - gdyby je zasiedlono, osada zmieniłaby się w zatłoczoną kolonię świstaków. Tak wielka liczba ludzi nie przetrwałaby, mając do dyspozycji jedynie znalezione w okolicy owoce, upolowaną zwierzynę i złowione ryby. Stada wkrótce zostałyby nadmiernie przetrzebione, a roślinność wprost zdeptana. Ale także nie w pełni zasiedlona skała była miejscem niezwykłym i ci, którzy w niej mieszkali, doskonale wiedzieli, iż sam widok ich domu robi na odwiedzających piorunujące wrażenie.

Nawet na tych, którzy już tu bywali, pomyślał Jondalar, przyglądając się niesamowitemu dziełu natury. Jego ojczysta Dziewiąta Jaskinia, z olbrzymią półką skalną kryjącą przestronną niszę, niewątpliwie była tworem niezwykłym i z pewnością lepiej nadawała się na ludzką kolonię - choćby dlatego, że skierowana była ku południowi - lecz mężczyzna z podziwem patrzył na masyw Południowej Posiadłości.

Jednak i ludzie, którzy pojawili się na najniższym tarasie, spoglądali z respektem na tych, którzy ku nim zmierzali. Powitalny gest kobiety, która stanęła przed grupą, był nieco mniej pewny niż zwykle. Otwarta, uniesiona dłoń poruszyła się zapraszająco, ale bez zbytniego wigoru. Przywódczyni słyszała już wieści o powrocie drugiego syna Marthony i o obcej kobiecie, którą przywiódł ze sobą. Wiedziała także o ogierze, klaczy i wilku, lecz zasłyszane wieści nijak miały się do wrażenia, które wywoływał widok dwóch dorodnych koni idących spokojnie między ludźmi z Dziewiątej Jaskini zaraz za potężnym czworonożnym łowcą, strzegącym wysokiej, jasnowłosej kobiety oraz mężczyzny, którego znała jako Jondalara.

Joharran odwrócił głowę, by nie zdradzić się z uśmiechem, który pojawił się na jego ustach na widok wyrazu twarzy kobiety, choć przecież doskonale rozumiał jej uczucia. Nie tak dawno sam zmagał się z lękiem, widząc niecodzienną grupę. Zdumiewała go myśl o tym, jak szybko przywykł do obecności zwierząt - tak szybko, że nie przewidział reakcji sąsiadów, choć powinien był ją przewidzieć. Kiedy stanął, czuł zadowolenie: to był przedsmak efektu, jaki wywoła na Letnim Spotkaniu pojawienie się nowych członków Dziewiątej Jaskini.

## ROZDZIAŁ 22

- Nawet gdyby Joharran nie postanowił rozbić namiotu na otwartym terenie, chyba wolałabym tu zostać - powiedziała Ayla. - W podróży chcę być blisko Whinney i Zawodnika, a nie chciałabym wprowadzać ich wysoko, na tarasy. Nie spodobałaby im się ta wspinaczka.

- Nie wydaje mi się też, żeby Denanna była zachwycona, widząc konie w swojej osadzie - odrzekł Jondalar. - W ich obecności była wyjątkowo nerwowa.

Jechali doliną w górę dopływu zwanego Północną Rzeką, dając wierzchowcom i sobie chwilę wytchnienia od kontaktów z tłumem ludzi. Na szczęście mieli już za sobą ceremonie powitalne ze wszystkimi przywódcami, w których Aylaomal się nie pogubiła.

Denanna ze Skały Odbicia, czyli Południowej Posiadłości, była uznawana za przywódczynię całej Dwudziestej Dziewiątej Jaskini, ale Letni Obóz i Południowy Stok, czyli Posiadłości Zachodnia i Północna, także miały swoich przywódców. Kiedy podejmowano decyzje dotyczące wszystkich mieszkańców Trzech Skał, troje przywódców wspólnie pracowało nad kompromisem, lecz w ich imieniu zawsze przemawiała Denanna, pozostali wodzowie Zelandonii nalegali bowiem, by jedna osoba reprezentowała Dwudziestą Dziewiątą Jaskinię, jeżeli miała to być społeczność traktowana na równi z innymi.

W przypadku Zelandonii układ wyglądał nieco inaczej.

Wszystkie trzy Posiadłości - Zachodnia, Północna i Południowa - miały swoich Zelandonii, lecz byli oni tylko pomocnikami czwartej donier, którą nazywano Zelandoni Dwudziestej Dziewiątej Jaskini. Ze względu na dość znaczne odległości między trzema osadami było to rozsądne rozwiązanie, gdyż osoba znajdująca się na uzdrowianiu była niezbędna każdej z nich, szczególnie podczas mroźnych zim. Sam fakt przynależności do społeczności Zelandonii miał w zasadzie nadrzędne znaczenie dla wszystkich donier, jednak w tym przypadku ich powinności wobec Jaskiń były sprawą podstawową.

Zelandoni ze Skały Odbicia był tak dobrym uzdrowicielem, że nawet rodzące kobiety chętnie korzystały z jego pomocy. Zelandoni Dwudziestej Dziewiątej, która także mieszkała na Skale Odbicia, nie była wybitną specjalistką w leczeniu, za to wybornie znała się na negocjacjach, dzięki czemu łagodziła spory między trzema pozostałymi donier i trzema przywódcami posiadłości. Niektórzy ludzie uważali, że gdyby nie jej talent do mediacji, złożona struktura zwana Dwudziestą Dziewiątą Jaskinią Zelandonii już dawno przestałaby istnieć.

Ayla była szczęśliwa, że dzięki koniom wymagającym opieki ma wymówkę i może uciec na jakiś czas przed ciekawskimi oczami, oficjalnymi powitaniem, biesiadami i innymi rytuałami.

Jeszcze przed przybyciem do Dwudziestej Dziewiętej Jaskini rozmawiała z Joharranem i Prolevą, tłumacząc, że dbałość o zwierzęta jest niezbędnym warunkiem utrzymania przyjaznych z nimi stosunków. Przywódca obiecał, że wytłumaczy gospodarzom przyczynę nieobecności Ayli i Jondalara, a jego partnerka zobowiązała się odłożyć dla nich co lepsze kąski z uczyty.

Znachorka miała świadomość, że jest nieustannie obserwowana, kiedy ze swym mężczyzną odczepiała włóki i zdejmowała juki z końskich grzbietów, a także wtedy, gdy uważnie badała zwierzęta, szukając śladów kontuzji czy skaleczeń. Kiedy wytarli i wyczesali Whinney i Zawodnika, Jondalar zaproponował przejażdżkę, by dać czworonogom możliwość wybiegania się po dniu nużącego marszu stępa. Promienny uśmiech, którym obdarzyła go Ayła, wystarczył za odpowiedź. Wilk, wyraźnie ucieszony, popędził przodem, gdy tylko zobaczył, co się święci.

Joharran był w grupie kilku osób przyglądających się oporządzaniu ogiera i klaczy. Widywał już te zabiegi, lecz dopiero teraz dotarło do niego, że są elementem codziennej troski o zdrowie zwierząt. Żyjąc dziko w stadzie, konie oczywiście nie wymagały tego typu opieki, lecz teraz, gdy służyły ludziom, ich potrzeby wyglądały inaczej. Korzyści z używania koni do rozmaitych celów były bezsporne, ale czy warte nakładu pracy, który trzeba było ponieść? Takie myśli towarzyszyły przywódcy Dziewiętej Jaskini, gdy obserwował odjeżdżającego brata i jego kobietę.

Ayła odprężyła się, gdy opuścili obóz. W dzikiej galopadzie po rozległych połaciach znowu odnaleźli wolność, do której przywykli podczas długiej Podróży. Kiedy dotarli do Doliny Północnej Rzeki i ujrzeli przed sobą ocean falujących traw, bez słowa wymienili uśmiechy i popędzili konie, by pełnym galopem przemierzyć równinę. Nie zauważyli nawet dwojga ludzi, którzy wracali do Dwudziestej Dziewiętej Jaskini z krótkiej wycieczki na miejsce Letniego Spotkania - za to owa dwójka dostrzegła parę pędzącą na końskich grzbietach. Wpatrywała się z otwartymi ustami w scenę, której nie widziała nigdy przedtem, i wątpiła, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczy. Widok jeźdźców wywołał w tych dwojgu głęboki niepokój.

Ayła zatrzymała klacz nad brzegiem małego strumienia, a Jondalar dołączył do niej o krok dalej. W milczącym porozumieniu skręcili i podążyli wzdłuż wartkiej strugi. Wkrótce dotarli do źródła otoczonego małą sadzawką, nad którą pochylała się potężna wierzba, jakby chciała zagarnąć zapas wody dla siebie i swego potomstwa - kępy znacznie mniejszych drzewek otaczających oczko. Jeźdźcy zeskoczyli na ziemię, zdjęli derki z końskich grzbietów i rozciągnęli je na ziemi.

Wierzchowce zaspokoili pragnienie, a potem zaczęły tarzać się w trawie. Młoda para roześmiała się głośno, widząc wierzgające zwierzęta, które z pasją pocierały grzbietami o świeżą murawę.

Ayla sięgnęła nagle po procę, którą przewiązała sobie wokół głowy, rozplatała ją szybko i spojrzała w stronę sadzawki, szukając odpowiednich kamieni. Wybrała kilka niewielkich, zaokrąglonych, a jeden z nich włożyła w skórzaną kieszonkę procy i natychmiast cisnęła. Nie spuszczać wzroku z celu, ponownie chwyciła koniec rzemienia, włożyła kolejny pocisk i rzuciła go w stronę drugiego ptaka, który właśnie podrywał się do lotu. Po chwili odłożyła broń i przyniosła zdobycz: dwie dorodne pardwy.

- Gdybyśmy byli sami i planowali rozbić tu obóz, mielibyśmy już kolację - powiedziała Ayla, z zadowoleniem prezentując łup swemu mężczyźnie.

- Ale nie jesteśmy sami. Co zamierzasz z nimi zrobić? - spytał Jondalar.

- Pióra pardwy są ciepłe i lekkie, a o tej porze roku także pięknie ubarwione. Mogłabym zrobić coś dla dziecka - odparła z namysłem. - Nie, na to będzie jeszcze czas. Lepiej oddam je Denannie. W końcu jesteśmy na jej terytorium, a Whinney, Zawodnik i Wilk wyraźnie działają jej na nerwy. Raczej nie jest zachwycona naszą wizytą. Może mały podarek poprawi jej humor?

- Skąd bierze się w tobie ta mądrość, Aylo? - spytał Jondalar, kręcąc głową i spoglądając z podziwem na kobietę.

To nie mądrość, to zwykły rozsądek, Jondalarze - odpowiedziała, unosząc wzrok i... zatracając się w magii oczu kochanka. Jedynym miejscem na świecie, w którym widziała równie intensywny błękit, były głębokie rozlewiska lodowcowe, ale oczy Jondalara nie były zimne. Były pełne miłości i ciepła.

Kiedy mężczyzna otoczył ją ramionami, upuściła upolowane ptaki, by odwzajemnić uścisk i pocałować go w skupieniu. Wydawało jej się, że minęło sporo czasu, odkąd po raz ostatni obejmował ją w taki sposób - i tak było w istocie. Upłynęło wiele dni od chwili, gdy znaleźli się razem na pustkowiu, w towarzystwie pasących się spokojnie koni oraz buszującego po zaroślach Wilka. Wkrótce zaś czekała ich wędrówka na Letnie Spotkanie. Któż mógł wiedzieć, kiedy ponownie będą mogli cieszyć się taką chwilą? Gdy Jondalar zaczął muskać ustami jej szyję, Ayla z ochotą poddała się pieszczocie.

Jego ciepły oddech i dotyk wilgotnego języka wzbudziły w niej przejmujące dreszcze. Mężczyzna dmuchnął lekko w jej ucho i począł pieścić jego płupek, jednocześnie szukając dłońmi krągłości piersi. Wyjątkowej krągłości, pomyślał, przypominając sobie o nowym życiu, które tworzyło się w łonie Ayli; nowym życiu, które uważała za dzieło w równym stopniu swoje, jak i jego. Pewien był co najmniej tego, że będzie to istota poczęta z jego ducha. Przez większą część Podróży był jedynym mężczyzną, z którego Matka mogła uszczknąć nieco elana, by począć nowe życie.

Kobieta rozwiązała ramię, który podtrzymywał na biodrach zestaw mieszków i torebek z drobiazgami. Ostrożnie odłożyła je na ziemię, obok rozpostartych skór. Jondalar przysiadł na brzegu derki, z której unosił się silny - choć nie nieprzyjemny - zapach końskiego ciała. Była to woń, do której przywykł podczas długiej wyprawy i która przywodziła mu na myśl miłe skojarzenia. Zaczął pospiesznie rozwiązywać ramię podtrzymujące na łydkach skórzane okrycia stóp, a potem wstał i rozsypał węzeł na linie mocującej zadartą do góry, przednią klapę nogawic, by ściągnąć je czym prędzej.

Uniósłszy wzrok, przekonał się, że Ayla zdjęła nogawice i tunikę. Spodobało mu się to, co zobaczył. Jej ciało było teraz pełniejsze niż zwykle - nie tylko piersi, ale i brzuch zaokrąglił się nieco, ujawniając obecność małego człowieka w jej łonie. Jondalar poczuł, że jego męskość poczyna się budzić. Szybko zdarł z siebie tunikę. Chłodny wiatr owiewał ich ciała; Jondalar wyczuwał palcami gęsią skórę na ramionach Ayli. Zamknął ją w ramionach, by zatrzymać uciekające ciepło.

- Wykąpię się w sadzawce - powiedziała. Mężczyzna uśmiechnął się, przeczuwając w jej słowach zaproszenie do dzielenia się Darem Przyjemności w taki sposób, jaki bardzo lubił.

- Nie musisz - zastrzegł.

- Wiem, ale chcę. Spociłam się tą wędrownką i wspinaczką - odpowiedziała, wchodząc do płytkiego rozlewiska.

Poczuła chłód, ale była przyzwyczajona do mycia się w zimnej wodzie, która zwykle działała na nią pobudzająco - na przykład rankiem, pomagając zwalczyć senność. Płycizna rozciągała się aż do miejsca, w którym biło z ziemi źródło - tam spadek był tak ostry, że znachorka już po chwili straciła skalisty grunt pod nogami. Kilkoma ruchami ramion wypłynęła poza głębię i skierowała się z powrotem ku kamienistemu brzegowi.

Jondalar także wszedł do sadzawki, choć nie przepadał za zimnymi kąpielami tak jak Ayla. Zanurzył się po uda, a kiedy kobieta podeszła bliżej, chlapnął wodą w jej stronę. Uchyliła się z piskiem, po czym nabrała wody w dłoń i chlusnęła nią w stronę mężczyzny, moczając mu twarz, ramiona i piersi.

- Tego się nie spodziewałem - przyznał, drżąc z zimna, po czym uderzył dłonią o powierzchnię sadzawki, posyłając strugę wody w stronę znachorki.

Konie uniosły głowy, ze zdumieniem przyglądając się dziwnym zabawom ludzi. Ayla uśmiechnęła się szeroko, a Jondalar wyciągnął do niej ręce. Po chwili już nie pamiętali o zabawie, złączeni w gorącym pocałunku.

- Może pomogę ci się umyć? - mruknął Jondalar, wkładając dłoń między nogi kobiety.

- A może to ja pomogę tobie? - odpowiedziała, wyciągając moką rękę ku jego twardemu, sterczącemu członkowi. Poruszyła dłonią, wprawnie odciągając napletek. Zimna woda powinna go nieco ostudzić, pomyślał mężczyzna, lecz ze zdziwieniem poczuł, że chłodna ręka kobiety wywołuje dziwnie intensywną reakcję. Po chwili Ayła ukłękła i męskość Jondalara otoczyły jej gorące usta. Jęknął cicho, kiedy poczęła miarowo poruszać głową do przodu i do tyłu, językiem pieszcząc żołądź. Zupełnie zaskoczył go nagły poryw przemożnej rozkoszy. Nim zdążył cokolwiek zrobić, poczuł falę gorąca, a zaraz potem falę ulgi.

Jondalar odepchnął lekko klęczącą kobietę.

Wyjdźmy wreszcie z tej zimnej wody - powiedział.

Ayła wypluła jego esencję, przepłukała usta i uśmiechnęła się. Trzymając się za ręce, wyszli na brzeg. Kiedy usiedli na derce, mężczyzna delikatnie popchnął kobietę ku ziemi, a sam pochylił się nad nią, wsparty na wyprostowanym ramieniu.

- Zaskoczyłaś mnie - stwierdził, odprężony, ale i lekko zawstydzony. Nie tak planował postój nad oczkiem wodnym.

Ayła uśmiechnęła się. Nieczęsto zdarzało się, by Jondalar wypuszczał esencję tak szybko; zwykle przez cały czas kontrolował sytuację. Uśmiech znachorki był teraz pełen satysfakcji.

Widocznie byłeś bardziej gotowy, niż ci się zdawało - powiedziała.

Nie musisz być taka zadowolona z siebie - zauważył.

- Rzadko się zdarza, żebym tak cię zaskoczyła - odparła. - Przecież znasz mnie tak dobrze... i zawsze dajesz mi wielką Przyjemność.

Jondalar mógł jedynie odpowiedzieć jej uśmiechem. Pochylił się, by ucałować usta Ayli, ona zaś rozchyliła je zapraszająco. Lubił dotykać, tulić i całować swoją kobietę. Sięgnął językiem między jej wargi; z początku ostrożnie, jakby z wahaniem. Kiedy odwzajemniła pieszczotę, poczuł, że znowu wzbiera w nim pożądanie, i pomyślał, że gra jeszcze się nie skończyła. Nie było jednak powodu do pośpiechu.

Całował wolno, a potem delikatnie lizał jej usta. Pochylił się nad szyją, by muskać ją wargami i zasypywać pocałunkami. Poczwała łaskotanie, lecz siłą woli nie odsunęła się na bok. Podniecenie udzieliło się jej na tyle, że panowanie nad odruchem tylko spotęgowało pozytywne odczucia. Kiedy Jondalar przesunął się jeszcze niżej, by całować jej bark i wewnętrzną stronę ramienia, pragnęła już, by pieścił całe jej ciało jednocześnie. Nieświadomie poczęła oddychać głębiej i szybciej, zachęcając go do odważniejszego działania. Gdy zniemacka pochwycił ustami brodawkę jej piersi, jęknęła i poczuła fale gorąca rozlewające się po całym ciele.

Męskość Jondalara znowu zaczęła twardnieć. Czuł krągłość drugiej piersi i po chwili przycisnął do niej usta, by mocno ssać sutek. Pierwszą poddał pieszczocie zwinnych palców, które

teraz uciskały i pociągały lekko brodawkę. Ayla przyciągnęła go do siebie, czując intensywność pieśczoćy i pragnąc, by nie poprzestał na tym. Nie słyszała już wiatru w koronach wierzb, nie czuła chłodu powietrza - skoncentrowała się na własnym wnętrzu, na wrażeniach, które pochłaniały ją bez reszty.

Jondalar także czuł, że znów narasta w nim napięcie. Szybko przesunął się jeszcze niżej, ułożył między udami kobiety i rozchyliwszy miękkie fałdy, posmakował jej ciała. Była jeszcze mokra i chłodna po orzeźwiającej kąpieli, lecz głębiej poczuł ciepło i słonawy smak Ayli, jego Ayli. Pragnął mieć ją całą dla siebie, ogarnąć każdy fragment jej skóry jednocześnie. Wyciągnął ręce, by sięgnąć do piersi, i w tej samej chwili odnalazł ustami pulsujący węzełek.

Jęknęła i krzyknęła cicho, wyginając grzbiet w łuk, by oddać się we władanie niestrudzonemu językowi. Nie myślała już o niczym. I zanim się zorientowała, była u celu: napięcie osiągnęło szczyt i odpłynęło falami cudownej rozkoszy, a Jondalar poczuł w ustach wilgoć. Wtedy Ayla przyciągnęła go lekko, pojękując z cicha, pragnąc poczuć go w sobie. Podniósł się więc, znalazł mokrą szczelinę i wepchnął do środka swą męskość, cofnął się i natarł jeszcze raz.

Wyszła mu na spotkanie, miarowo wypychając i cofając lędźwie, ustawiając się tak, by poczuć go w tym jednym, jedynym miejscu. Jondalar tymczasem czuł, że wzbiera w nim pożądanie, choć nie tak gwałtownie jak zwykle. Nie musiał więc kontrolować się zbytnio; pozwolił, by rozkosz narastała wolno z każdym ruchem. Kołysząc się miarowo, wczuwał się w rytm ciała Ayli i starał się dawać i odbierać rozkosz. Jej jęki wzniosły się o ton wyżej i były coraz bardziej intensywne. Wreszcie po raz drugi dotarli na szczyt: dysząc coraz gwałtowniej, próbowali przedłużyć tę chwilę, a gdy minęła, wykonali jeszcze kilka wolnych ruchów, nim wtulili się w siebie, z trudem łapiąc oddech.

Leżąc z zamkniętymi oczami, znachorka słyszała wiatr przemykający między konarami drzew i śpiew ptaka wołającego swą partnerkę. Czuła też podmuchy chłodnego powietrza i cudowny ciężar ciała mężczyzny. Zapach koni, którym przesiąkła derka, mieszał się z wonią jego oddechu, smakiem skóry i pocałunków. Kiedy Jondalar podniósł się na rękach, zobaczył na ustach swej kobiety senny uśmiech zadowolenia.

Wreszcie wstali niechętnie, a Ayla podeszła do sadzawki, by obmyć się tak, jak przed laty nauczyła ją Iza. Jondalar uczynił to samo.

W drodze powrotnej do Południowej Posiadłości Dwudziestej Dziewiątej Jaskini Zelandonii Ayla doszła do wniosku, że nie ma specjalnej ochoty na ponowne spotkanie z niezbyt przyjacielskimi sąsiadami. Choć czuła, że jest akceptowana przez rodzinę Jondalara i członków Dziewiątej Jaskini, akurat w tym momencie powrót do nich także nie wydawał jej się najmiłą perspektywą. Jeszcze niedawno marzyła o rychłym zakończeniu Podróży i o spokojnym życiu



wśród ludzi, lecz teraz tęskniła do specyficznego rytmu, który wypracowała przez długie miesiące wędrówki z Jondalarem. Pobyt w Jaskini był dla niej nieprzerwanym pasmem rozmów z mniej lub bardziej obcymi ludźmi; chętnych nigdy nie brakowało. Oboje cieszyli się z serdecznego przyjęcia, lecz jako para zakochanych potrzebowali też czasu tylko dla siebie.

Wieczorem, leżąc w zatłoczonym namiocie, uzdrowicielka rozmyślała o życiu wśród Mamutoi. Kiedy pierwszy raz zobaczyła ziemiankę Obozu Lwa, była zdumiona pomysłowością i pracowitością jej mieszkańców. Potężne ciosy mamutów były szkieletem, na którym oparto ściany z darni i słomy, okryte gliną. Dzięki nim silne wiatry i chłód lodowcowej zimy nie przeszkadzały ludziom we względnie normalnym życiu. Ayla pamiętała myśl, która przyszła jej wówczas do głowy: Mamutoi sami zbudowali sobie jaskinię. W pewnym sensie była to prawda, tym bardziej że na należącym do nich terytorium w zasadzie nie było naturalnych grot nadających się do zamieszkania. Tak czy inaczej, było to nie byle jakie osiągnięcie konstruktorskie.

Mimo iż każda z rodzin zamieszkujących ziemiankę Obozu Lwa dysponowała własną przestrzenią życiową - wytyczoną wokół jednego z ognisk ulokowanych wzdłuż osi budowli i oddzieloną kotarami od sąsiednich - to jednak nie sposób było zapomnieć, iż cała społeczność gnieździ się pod jednym dachem. Sąsiednie komory znajdowały się nie dalej niż na wyciągnięcie ręki, a ktokolwiek pragnął wyjść z ziemianki lub wejść do wnętrza, przechodził zwykle przez legowiska kilku rodzin. Życie w takich warunkach wymagało swoistej dyskrecji i kultury, której zasady wpajano młodym Mamutoi niemal od urodzenia. Mieszkając w ziemiance, Ayla nie uważała, by było jej ciasno - dopiero teraz, z perspektywy czasu spędzonego w Dziewiątej Jaskini, nabrała przekonania, że tak właśnie było. Przypomniała sobie także o ogniskach Klanu. Tam również nie było ścian, a granice "posiadłości" poszczególnych rodów były zaiste symboliczne - wyznaczały je ułożone na ziemi kamienie. Ludzie Klanu uczyli się od dzieciństwa niezagładania do cudzej przestrzeni życiowej. Prywatność była dla nich kwestią konwencji i taktu.

Jednakże nawet domostwa Zelandonii - choć miały ściany - nie izolowały mieszkańców od dźwięków dobiegających z zewnątrz. Nie musiały być aż tak solidne jak ziemianki Mamutoi, gdyż od żywiołów oddzielała je naturalna bariera kamiennego nawisu. Zadaniem budowli Zelandonii było przede wszystkim utrzymanie ciepła i zatrzymanie wiatrów, które hulały niekiedy w skalnej niszy. Każdy, kto spacerował po jej części mieszkalnej, mógł usłyszeć strzępy rozmów dobiegające z poszczególnych domostw, lecz zwyczaj nakazywał ignorować prywatne życie sąsiadów. Było w tym coś z tradycji Klanu, gdzie po prostu "nie widziało się" sąsiedniego ogniska, a także z dyskrecji Mamutoi. Zastanawiając się głębiej nad tym fenomenem, Ayla doszła do wniosku, że przez ten krótki czas sama nauczyła się nie słyszeć odgłosów z cudzych domostw... a przynajmniej zazwyczaj nie słyszeć.

Młoda para przytuliła się do Wilka pod ciepłymi futrami, mimo woli słuchając szeptów z sąsiednich legowisk.

- Podoba mi się to, że Zelandonii budują osobne domostwa dla każdej rodziny, Jondalarze. I że nie stawiają ich zbyt blisko siebie.

- Cieszy mnie to, Aylo - odpowiedział powściągliwie mężczyzna, radując się w duchu jeszcze bardziej z przygotowań, które poczynił przed wymarszem, a dzięki którym po powrocie z Letniego Spotkania jego wybranka miała wprowadzić się do nowego domu. Przymykając oczy, Ayła rozmyślała właśnie o tym: o własnym kącie, oddzielonym solidnymi ścianami od sąsiednich budowli.

Ściany miały dla niej bowiem szczególne znaczenie; zapewniały jej prywatność, o której mogła jedynie marzyć, kiedy mieszkała wśród ludzi Klanu czy nawet Mamutoi. Wewnętrzne przepierzenia jeszcze bardziej sprzyjały owej prywatności. Samotność, której Ayła doświadczała w swej dolinie, miała i dobre strony, podobnie jak podróż sam na sam z Jondalarem. Czuła, że potrzebuje czegoś, co osłoni ją przed wzrokiem innych ludzi. Jednocześnie zaś względna bliskość sąsiednich domostw dawała jej poczucie bezpieczeństwa.

Żyjąc wśród Zelandonii, mogła, gdyby tylko chciała, w dowolnym momencie wsłuchać się w krzepiące dźwięki, które towarzyszyły jej przez całe dotychczasowe życie: w głosy innych ludzi układających się do snu, ciche rozmowy, płacz dzieci czy jęki par zażywających Przyjemności. Brakowało jej tych odgłosów, kiedy mieszkała samotnie. W Dziewiątej Jaskini po raz pierwszy miała wybór: w czterech ścianach domostwa łatwo było zapomnieć o istnieniu innych rodzin, nie tracąc przy tym poczucia bezpieczeństwa płynącego z życia w grupie. I to właśnie był jej zdaniem najrozsądniejszy wariant.

Kiedy następnego ranka wyruszyli w drogę, Ayła zauważyła, że kolumna jest jeszcze liczniejsza niż poprzedniego dnia. Do wędrowców z Dziewiątej dołączyli tłumnie członkowie Dwudziestej Dziewiątej Jaskini, choć nie ze Skały Odbicia - a przynajmniej nie udało się znachorce rozpoznać wśród nich żadnego z mieszkańców tego niezwykłego masywu. Kiedy wspomniała o tym Joharranowi, dowiedziała się, że towarzyszyć im będzie większość ludzi z Letniego Obozu, niemal cały Południowy Stok oraz kilka osób ze Skały Odbicia. Reszta miała wyruszyć następnego dnia. Ayła przypomniała sobie, że Jondalar wspominał coś o powrocie do Letniego Obozu i pomocy w zbiorach orzeszków piniowych. Miała wrażenie, że Dziewiąta Jaskinia utrzymuje bliższe stosunki z Zachodnią Posiadłością niż z innymi grupami Dwudziestej Dziewiątej Jaskini.

Gdyby kolumna posuwała się w górę Rzeki od strony Skały Odbicia, najpierw wędrowałaby na północ, a potem - wzdłuż rozległych zakoli - na wschód, na południe, znowu na wschód i ponownie na północ, wytyczając swą trasą olbrzymie "S". Dalej nurt rzeczny nie

meandrował już tak ostro. Po drodze Zelandonii mijaliby kilka mniejszych nisz skalnych, znajdujących się na północnym krańcu pierwszego zakola. Były one używane jako tymczasowe schronienia dla podróżujących i polujących. Następną osadą, leżącą na południowym skraju drugiego zakola, gdzie do Rzeki wlewał się wypływający ze Starej Doliny strumień, była Piąta Ja, skinia Zelandonii.

Innym rozwiązaniem mogła być wyprawa na tratwach, tylko że rejs pod prąd wymagałby nieustannego odpychania się tyczkami od dna przez dobre dziesięć mil. Łatwiej więc było dotrzeć ze Skały Odbicia do Starej Doliny, idąc na przełaj, niż podążając za krętym korytem Rzeki. Tak wytyczony szlak miał nie więcej niż trzy mile długości i wiódł na wschód, z małym odchyleniem na północ. Choć była to najłatwiejsza droga przez pagórkowaty teren, raczej nie można było nazwać jej zupełnie prostą.

Stanąwszy na czele grupy, Joharran wstąpił na dobrze widoczną ścieżkę, wyraźnie odbijającą od Rzeki. Wspinała się ona na niewysoki grzbiet skalny, a potem na kopulastym wzniesieniu łączyła się ze szlakiem wiodącym z Trzeciej Jaskini, rezydującej na Skale Dwóch Rzek, by następnie opaść łagodnie i wkrótce osiągnąć poziom Rzeki. Maszerując obok Jondalara, Ayla długo rozmyślała o Piątej Jaskini, nim wreszcie postanowiła zadać pytanie.

Trzecia Jaskinia słynie z wyjątkowych myśliwych, a ludzie z Czternastej to wybitni rybacy. Co takiego potrafią członkowie Piątej Jaskini, Jondalarze?

- Powiedziałbym, że przede wszystkim są samowystarczalni - odparł mężczyzna.

Ayla zauważyła, że czworo młodych ludzi, którzy poprzedniego dnia na ochotnika zgłosili się do niesienia przez Rzekę włóków, słysząc jej pytanie, zbliżyło się natychmiast. Choć spędzili całe życie w Dziewiątej Jaskini i znali okoliczne społeczności, nigdy nie słyszeli, by ktoś opowiadał o nich w sposób zrozumiały dla przybysza z dalekich stron. Byli więc ciekawi, jak Jondalar scharakteryzuje Piątą Jaskinię.

- Chlubią się, że mają świetnych łowców, rybaków i rzemieślników - ciągnął mężczyzna. - Budują nawet własne tratwy i twierdzą, że pierwsi ze wszystkich Jaskiń opanowali tę sztukę, choć ludzie z Jedenastej raczej nie dają temu wiary. Zelandonia i artyści z Piątej zawsze byli szanowani. Na ścianach niektórych nisz mają głębokie ryty, a w innych świetne malowidła - głównie bizonów i koni.

- A dlaczego nazywacie ich dolinę "Starą"? - indagowała Ayla.

- Dlatego, że ludzie mieszkają tu od niepamiętnych czasów, znacznie dłużej niż w innych osadach. Sam numer Jaskini wskazuje na jej wiek. Tylko Druga i Trzecia są starsze od Piątej. W Historiach wielu Jaskiń jest mowa o powiązaniach z Piątą. Większość rytów w niszach jest tak stara, że nikt już nie wie, kto je właściwie wykonał. Jeden z nich przedstawia pięć zwierząt i

wspominają o nim nawet Legendy Starszych; podobno jest to symbol nazwy Jaskini - odparł Jondalar. - A Zelandoni powiadają, że pięć to rzeczywiście święta liczba.

- Jak to święta?

- Ma szczególne znaczenie dla Matki. Spytaj Zelandoni; może kiedyś ci o tym opowie.

- A co się stało z Pierwszą Jaskinią? - Ayla umilkła na moment, by w myślach odtworzyć potrzebne słowo do liczenia. - Iz Czwartą?

W Historiach i Legendach Starszych jest wiele wzmianek o Pierwszej Jaskini. Pewnie usłyszysz sporo na jej temat podczas Letniego Spotkania. Za to nikt tak naprawdę nie wie, co się stało z Czwartą. Większość ludzi uważa, że doszło do jakiejś tragedii. Być może wrógużył złego Zelandoni, żeby wywołać chorobę, od której wszyscy pomarli. Niektórzy sądzą, że doszło do sporu między złym przywódcą a jego ludźmi i większość postanowiła odejść, by dołączyć do innych Jaskiń. Tylko że kiedy nowi ludzie dołączają do Jaskini, zwykle jest o tym mowa w Historiach, a Historie żadnej z istniejących Jaskiń nie wspominają o Czwartej - wyjaśnił Jondalar. - Są i tacy, którzy uważają, że liczba cztery jest po prostu nieszczęśliwa. A donier mówi, że to nie liczba, tylko niektóre jej powiązania mogą przynosić pecha.

Po kolejnych pięciu milach marszu wędrowcy wspięli się na ostatnie wzniesienie i stanęli przed wąską doliną, której środkiem płynął wartki strumień, zamkniętą z boków wysokimi urwiskami, kryjącymi w sobie osiem nisz rozmaitej wielkości. Gdy kolumna pod wodzą Joharrana poczęła schodzić ścieżką w głąb Starej Doliny, dwaj mężczyźni i kobieta wyszli jej na spotkanie. Po zwyczajowej wymianie pozdrowień gospodarze wyjaśnili przybyszom, że większość mieszkańców Piątej Jaskini udała się już na Letnie Spotkanie.

- Oczywiście możecie się u nas zatrzymać, ale skoro mamy dopiero południe, pomyśleliśmy, że zamiast schodzić w dół, spróbujecie zdążyć jeszcze dziś na miejsce Spotkania - powiedziała kobieta.

- Kto został w Jaskini? - spytał Joharran.

- Dwoje starców, którym nie starczyłoby sił na podróż - jeden z nich prawie nie wstaje z posłania - i kobieta, która lada chwila urodzi dziecko. Zelandoni uznał, że we drówka mogłaby jej zaszkodzić; miała kłopoty już przy poprzedniej ciąży. Zostali także ci dwaj łowcy. Będą z nami do nowego księżycy.

- A ty jesteś Pierwszą Akolitką Zelandoni Piątej Jaskini, o ile się nie mylę? - wtrąciła Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą.

Tak jest. Zostałam, żeby asystować przy porodzie.

- Tak myślałam. Czy możemy ci jakoś pomóc?

- Chyba nie. Kobieta jeszcze nie jest gotowa. To może potrwać kilka dni, a do pomocy mam jeszcze jej matkę i ciotkę. Nie spodziewam się szczególnych problemów.

Joharran wezwał na krótką naradę zaufanych ludzi z własnej osady oraz grono starszyny z pozostałych Jaskiń.

- Najlepsze miejsca na obóz są już pewnie zajęte - powiedział. - Moim zdaniem powinniśmy iść dalej, nie zatrzymując się w Piątej. - Nikt nie wyraził sprzeciwu, toteż kolumna ruszyła wkrótce w dalszą drogę.

Za wielkim "S" koryto rzeki wyprostowało się nieco, skręcając nieznacznie ku północnemu wschodowi. Po drodze wędrowcy mijali jeszcze kilka niezbyt dużych Jaskiń, lecz mieszkańcy wszystkich prócz jednej - która teraz dołączyła do kolumny - już dawno opuścili domostwa, by stawić się na Letnim Spotkaniu. Joharran z każdą chwilą coraz bardziej martwił się, czy zdoła znaleźć dogodne miejsce dla swej licznej i stale rozrastającej się grupy.

Ayla była zaskoczona, że tak wielu ludzi zamieszkuje tak niewielkie terytorium. Podobnie jak lud, który ją wychował, Zelandonii mocno eksploatowali okolicę, by zaspokoić swoje potrzeby. Zbierali owoce, polowali i łowili ryby, by zdobyć pożywienie i odzież. Z surowców, które znaleźli w pobliżu, wznosili swe domostwa oraz wytwarzali narzędzia i broń myśliwską. Ayla wyczuwała intuicyjnie, że jeśli w danym miejscu żyje zbyt wielu ludzi, natura nie wyżywi ich wszystkich, a wtedy niektórzy będą głodować lub szukać szczęścia gdzie indziej. Rozumiała też, że terytorium Zelandonii jest istną krainą obfitości, skoro zapewnia utrzymanie tak liczny i ludny Jaskiniom. Jednak jakaś część jej analitycznego umysłu nie przestawała zastanawiać się nad tym, co by się stało, gdyby ten stan rzeczy nagle się zmienił.

Niszczycielska działalność człowieka była jednym z powodów, dla których Letnie Spotkanie odbywało się co roku w innym miejscu. Ogromna koncentracja ludzi sprawiała, że okolica wielkiego obozowiska szybko ulegała degradacji, a jej powrót do poprzedniego stanu trwał niekiedy kilka sezonów. Miejsce tegorocznego spotkania znajdowało się niezbyt daleko od Dziewiątej Jaskini - nie więcej niż o dwadzieścia mil, gdyby wędrówka odbywała się brzegiem Rzeki, a w rzeczywistości jeszcze mniej, gdyż prosta droga z Dwudziestej Dziewiątej do Piątej Jaskini była drogą na skróty.

Joharran podjął decyzję o kontynuowaniu wędrówki bez przerwy na nocleg, jako że odległość między Starą Doliną a celem wyprawy nie przekraczała dziesięciu mil. Wiedział jednak, że tempo marszu wyznaczą najsłabsi. Mimo to uznał, że lepiej będzie kontynuować marsz w możliwie najszybszym tempie i martwić się dopiero wtedy, gdy słabsi zaczną się skarżyć. Po posiłku zjedzonym w pośpiechu w połowie dnia wszyscy posłusznie podnieśli się z ziemi i ruszyli za przywódcą.

Nie było jeszcze ciemno, ale słońce zbliżało się już do widnokrzęgu, kiedy koryto Rzeki zaczęło skręcać w prawo, wokół wzgórza piętrzącego się na prawym brzegu. Kolumna Zelandonii skierowała się w głąb łądu, coraz dalej od wody, by wspiąć się mocno wydeptaną ścieżką na łagodne wzniesienie. Z każdym krokiem przed oczami wędrowców otwierała się coraz rozleglejsza panorama okolicy.

Jednak dopiero gdy stanęli na szczycie, zdumienie zaparło dech w piersiach Ayli: w wielkiej dolinie ujrzała istne mrowie ludzi. Była pewna, że jest to tłum znacznie przewyższający liczebnością całe Letnie Spotkanie Mamutoi, a przecież na miejsce nie dotarły jeszcze wszystkie Jaskinie Zelandonii. Nawet gdyby zliczyła wszystkie osoby, które spotkała w ciągu całego życia, nie byłoby ich tak wiele. Jedynym widokiem, który w jakiś sposób kojarzył jej się z tą niewiarygodną ciżbą, był obraz wielkich stad bizonów i reniferów, liczących tysiące sztuk i gromadzących się co roku przed wędrownką. Tutaj jednak miała przed sobą najprawdziwszy rój ludzi.

Grupa, która wyruszyła z Dziewiątej Jaskini, w drodze powiększyła się znacząco, lecz teraz mieszkańcy innych osad oddalali się gremialnie, by szukać swych przyjaciół i krewnych, a także miejsca na własny obóz. Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą skierowała się natychmiast ku centralnej części obozowiska, gdzie jak zawsze znajdowała się wielka, wspólna chata Zelandoni, odgrywających najważniejszą rolę w obrzędach Letniego Spotkania. Ayła miała nadzieję, że Dziewiąta Jaskinia znajdzie sobie zaciszne miejsce, z dala od tłumu - takie, w którym łatwiej byłoby wyprowadzać zwierzęta, by mogły rozprostować kości, bez przyciągania uwagi hordy ciekawskich gapiów.

Jondalar rozmawiał już z bratem o wierzchowcach i Wilku, nerwowo reagujących na tak olbrzymie zgromadzenie ludzi. Joharran odpowiedział mu skinieniem głowy i zapewnieniem, że będzie pamiętał o tej sprawie, ale prywatnie uważał, że potrzeby mieszkańców Dziewiątej Jaskini są znacznie ważniejsze od spokoju zwierząt. Chciał być blisko centrum wydarzeń i miał nadzieję, że zdoła znaleźć odpowiednie miejsce nad brzegiem rzeki, tak aby nie obciążać swych ludzi koniecznością codziennego noszenia wody. Zależało mu też na bliskości drzew oferujących choć trochę cienia i zapas opału. Wiedział jednak, że okoliczne lasy zostaną ogołoczone z chrustu przed końcem sezonu, wszystkie bowiem Jaskinie miały podobne potrzeby.

Rozpoznanie, którego dokonał w towarzystwie Solabana i Rushemara, nie trwało długo: szybko okazało się, że wszystkie dogodne miejsca w pobliżu lasu i wody są już zajęte. Dziewiąta była dużą Jaskinią, najludniejszą ze wszystkich, zatem potrzebowała rozległego terenu na obóz. Przywódcy zależało na znalezieniu go przed zmrokiem, toteż bez wahania zaczął przeszukiwać okolice trochę bardziej oddalone od centralnej części wielkiego obozowiska.

Nurt Rzeki zwężał się nieco przy ostatnim zakolu, a Joharran zauważył, że brzegi były bardziej niegościnne w dolnym jej biegu. Dlatego wraz z pomocnikami wyruszył w przeciwną stronę i po krótkim marszu dotarł do miejsca, z którego widać było mały strumyk przecinający łąkę i wpadający do Rzeki. Trzej mężczyźni postanowili prześledzić jego bieg.

Nie uszli zbyt daleko, gdy spostrzegli pierwsze drzewa, jak się okazało - równoległymi galeriami porastające brzegi strumienia. Idąc dalej, znaleźli się w szybko gęstniejącym lesie, który sprawiał wrażenie znacznie bardziej rozległego, niż wydawało się na pierwszy rzut oka.

Wreszcie dotarli do źródła bijącego spod ziemi pośród kępy wierzb, świerków i nielicznych modrzewi. Tuż obok, po przeciwnej stronie niż strumień, znajdowało się małe rozlewisko, zasilane przez to samo źródło. Wiele wskazywało na to, że cała okolica jest pełna drobnych cieków wodnych, z których większość kończyła swój bieg, łącząc się z nurtem Rzeki. Za linią drzew, po przeciwnej stronie rozlewiska, widać było dość stromy stok, usiany kamieniami rozmaitej wielkości, od drobnych odłamków po masywne głazy. Nieco bliżej znajdowała się trawiasta polana, zmieniająca się stopniowo w małą piaszczystą plażę, miejscami usianą krągłymi kamykami. Od strony źródła oczko wodne zasłonięte było warstwą gęstych krzaków.

Miejsce nie było złe. Joharran pomyślał, że gdyby przybył na Letnie Spotkanie sam lub z garstką ludzi, z pewnością rozbiłby tu obóz. Nie było jednak mowy, by pomieściła się tu cała Jaskinia; zresztą wielka grupa ludzi musiałaby codziennie pokonywać zbyt daleką drogę do centrum zgromadzenia. Trzej mężczyźni poszli więc ponownie wzdłuż strumienia, by wkrótce stanąć na polanie przylegającej do Rzeki.

- Co myślicie o tym miejscu? - spytał Joharran. - Nie wiem, czy nie leży za daleko od głównego obozowiska.

Rushemar zanurzył dłoń w strumieniu i skosztował łyk wody. Była chłodna i czysta.

Przez całe lato mielibyśmy tu dobrą wodę. Wiecie przecież, że pod koniec sezonu ani strumień płynący przez centralną część obozowiska, ani sama Rzeką nie będą już czyste.

- Poza tym wszyscy będą szukać opału w lasach - dorzucił Solaban. - A ten tutaj nie wygląda na tak rozległy, jakim jest w rzeczywistości.

Mieszkańcy Dziewiątej Jaskini rozbili obóz na równej trawiastej polanie między laskiem a Rzeką, tuż nad brzegiem strumienia. Większość z nich uważała, że to dobre miejsce. Nie zanosilo się na to, by inna Jaskinia miała rozstawić swe namioty w górnym biegu wąskiej strugi i zanieczyszczać ją nadmiernie, gdyż znalazłaby się zbyt daleko od centralnego obozowiska. To oznaczało, że Dziewiąta miała zapewnioną czystą wodę do picia, mycia się, kąpieli i prania, i to do końca sezonu. Bez względu na to, jak brudna byłaby woda płynącej obok Rzeki, zasilający ją strumień musiał pozostać czysty.

Las zapewniał ochronę przed słońcem i zapas paliwa do ognisk, a przy tym nie zwracał na siebie uwagi innych grup, jako że prezentował się raczej niepozornie. Lesiste połacie w dole rzeki z pewnością będą przyciągać tłumy poszukiwaczy drewna. Poza tym zadrzewione miejsca wokół źródła mogły dostarczyć cennych dodatków do codziennego jadłospisu Zelandonii: jagód, orzechów, korzonków, liści, a nawet niewielkich zwierząt łownych. W Rzece zaś nie brakowało ryb i słodkowodnych mięczaków. Rodacy Joharrana potrafili docenić takie zalety wybranego przezeń miejsca.

Były jednak i wady. Dystans, który mieszkańcy Dziewiątej Jaskini musieli pokonywać codziennie w drodze na Letnie Spotkanie, był dość znaczny. Niektórzy uważali, że jest to odległość zbyt duża - szczególnie ci, którzy mieli bliskich przyjaciół i rodziny w Jaskiniach obozujących bliżej centrum. Postanowili więc przenieść się do innych grup, co ucieszyło w duchu Jondalara, mógł bowiem być pewien, że nie zabraknie miejsca dla Dalanara i jego Lanzadonii, którzy wkrótce powinni się zjawić.

Zdaniem Ayli lokalizacja obozu była wprost idealna. Jej zwierzęta miały do dyspozycji rozległą łąkę, na której mogły się paść i biegać. Nie groził im także najazd ciekawskich, co i dla samej znachorki było faktem istotnym. Pamiętała jeszcze niepokój Whinney, Zawodnika i Wilka, kiedy wprowadziła je na teren zgromadzenia Mamutoi, choć nie mogła zaprzeczyć, że od tamtej pory jej czworonożni przyjaciele nauczyli się nie reagować gwałtownie na obecność większej liczby ludzi. Słyszała też komentarze tych, którzy nie próbowali nawet ukrywać swojego zdziwienia. Szczególnie zdumiewające wydawało im się to, że konie i wilk tolerowały się wzajemnie; żyły wręcz na przyjacielskiej stopie. Poza tym podziwiali posłuszeństwo, jakie okazywały obcej jasnowłosej kobiecie i synowi Marthony.

Już podczas pierwszej przejażdżki Ayła i Jondalar odkryli uroczą polankę i staw, do którego dotarł uprzednio Joharran z pomocnikami. Było to miejsce dokładnie odpowiadające ich gustom - do tego stopnia, że od razu zaczęli myśleć o nim jak o swej własności, choć przecież każdy Zelandonii miał prawo odwiedzać je wedle uznania. Jondalar wątpił jednak, by tak się stało. Większość ludzi przybywała na Letnie Spotkanie po to, by uczestniczyć we wspólnych uroczystościach i hucznych zabawach. Tylko nieliczni szukali spokoju i samotności, które tak umiłowali Jondalar, Ayła i ich zwierzęta. Znachorka z zadowoleniem stwierdziła, że krzewy porastające brzeg sadzawki to głównie leszczyny - orzechy laskowe były jej przysmakiem. Wprawdzie nie były jeszcze dojrzałe, ale wszystko wskazywało na to, że zbiory w tym sezonie będą imponujące. Jondalar zaś planował wycieczkę na przeciwległy brzeg stawu, by sprawdzić, czy wśród odłamków skalnych zalegających na stromym zboczu nie znajdzie dobrych brył krzemienia.



Kiedy wszyscy zadomowili się już na nadrzecznej łące i zwiedzili najbliższą okolicę, nabrali przekonania, że wybór przywódcy był słuszny. Sam Joharran także cieszył się, że zdążył zająć tak korzystnie położone miejsce. Był pewien, że udało mu się to głównie dlatego, że większość Jaskiń rozbiła obozy wzdłuż nieco większego strumienia, który trochę dalej w dole Rzeki przepływał dokładnie przez środek miejsca wybranego na Letnie Spotkanie. Ci, którzy przybywali tu pierwsi, lokowali się nad brzegami owej strugi w przekonaniu, że wody samej Rzeki będą wkrótce mocno zanieczyszczone. Joharran nie żałował jednak, że zapuścił się nieco dalej.

Jondalar sądził, że wcześniejsza rozmowa z bratem - na temat potrzeb koni - wpłynęła na jego decyzję i nie omieszkał podziękować mu za to. Joharran nie wyprowadził go z błędu, choć wybierając miejsce na obóz, kierował się dobrem ludzi, nie zwierząt. Nie mógł jednak wykluczyć, że słowa brata przez cały czas pobrzmiewały gdzieś w jego podświadomości. A skoro przy okazji zyskiwał u niego dług wdzięczności... Nie miał nic przeciwko temu. Przewodzenie tak wielkiej Jaskini jak Dziewiąta nie było łatwe i nigdy nie mógł być pewien, kiedy przyda mu się wsparcie Jondalara.

Gdy wędrowcy rozejrzeli się po okolicy, było już tak późno, że postanowili poczekać do rana ze wznoszeniem letnich domostw, a pierwszą noc Letniego Spotkania przespać w namiotach podróżnych. Kiedy je ustawiono, kilka osób oddaliło się, by odszukać bliskich, których nie widzieli od ostatniego Letniego Spotkania, oraz by przekonać się, jakie atrakcje zaplanowano na następny dzień, lecz większość nie miała już sił i pozostała w obozie, szukając najodpowiedniejszych miejsc na zbudowanie chat. Niektórzy rozglądali się też za odpowiednimi materiałami, z których zwykle konstruowano letnie domostwa.

Ayla i Jondalar uwiązali konie nad strumieniem, na skraju lasu, bardziej po to, by ochronić je przed ludźmi, niż by ograniczać ich wolność. Chętnie puściliby je samopas - tak jak robili to w dolinie opodal Dziewiątej Jaskini - lecz postanowili uczynić to dopiero wtedy, gdy poznaje całe zgromadzenie i nikomu nie przyjdzie do głowy na nie polować.

Rankiem, upewniwszy się, że konie są bezpieczne, wyruszyli do centralnego obozowiska wraz z Joharranem, który chciał przywitać się z pozostałymi przywódcami. Lada chwila miały zapaść decyzje w wielu ważnych sprawach - dotyczące łowów i wypraw zbierackich, sposobu podziału zdobyczy oraz planu spotkań i ceremonii, w tym także pierwszych letnich Zaślubin. Wilk towarzyszył swej pani, krocząc spokojnie u jej boku. Wszyscy słyszeli już o kobiecie, która miała władzę nad zwierzętami, ale usłyszeć to nie to samo, co zobaczyć. Kiedy goście z Dziewiątej Jaskini kluczyli między obozami, odprowadzały ich spojrzenia pełne konsternacji. Ci, którzy nie zauważyli ich przybycia i nagle stawali twarzą w twarz z Aylą i jej towarzyszami, reagowali

szokiem i strachem. Nawet ludzie, którzy znali Joharrana i Jondalara, gapili się na nich z otwartymi ustami, miast wymieniać pozdrowienia.

Kiedy przybysze wędrowali przez pas niskich zarośli, które zakryły Wilka, zbliżył się do nich jakiś mężczyzna.

- Jondalarze, słyszałem, że wróciłeś z Podróży i przyprowadziłeś sobie kobietę! - zawołał.

Mówił w dziwny sposób i Ayla zastanawiała się chwilę, nim dotarło do niej, że obcy wymawia słowa podobnie, jak czynią to dzieci, choć ma niewątpliwie męski głos.

Jondalar spojrział na niego i zmarszczył brwi. Widok sepleniącego nie uradował go ani trochę. W gruncie rzeczy mężczyzna ten był ostatnim Zelandonii, którego pragnął spotkać. Nie podobała mu się także pozorna przyjacielskość powitania, ale nie miał wyboru - wypadało dokonać prezentacji.

- Aylo z Mamutoi, oto jest Ladroman z Dziewiętej Jaskini - powiedział, nieświadomie używając dawnego tytułu swej kobiety.

Starał się mówić możliwie obojętnym, chłodnym tonem, lecz Ayla natychmiast wyczuła, że coś jest nie w porządku, i posłała mu badawcze spojrzenie. Jondalar zacisnął szczęki, jakby chciał zgrzytnąć zębami, a otwarcie wroga postawa, którą przyjął, nie pozostawiała żadnych wątpliwości co do jego nastawienia względem obcego.

Mężczyzna zaś ruszył w stronę znachorki, wyciągnął przed siebie otwarte dłonie i uśmiechnął się, odsłaniając szpetną dziurę w miejscu, w którym powinny znajdować się dwa przednie zęby. Ayla domyślała się, kim jest ów człowiek, a teraz, gdy otworzył usta, miała już pewność: to z nim Jondalar walczył przed laty, to jemu własnoręcznie wybił zęby. Jondalar musiał wtedy opuścić Dziewiątą Jaskinię i zamieszkać z Dalanarem, co, jak się okazało, było bodaj najszcześniejszym zrzędzeniem losu w jego życiu. Dzięki wygnaniu poznał mężczyznę swego ogniska i nauczył się rzemiosła, które z czasem pokochał - łupania krzemieni - i to od mistrza, którego powszechnie uważano za niezrównanego.

Ayla wiedziała już wystarczająco dużo o tatuażach zdobiących twarze Zelandonii, by zrozumieć, że mężczyzna jest akolitą. Ku swemu zdziwieniu poczuła, że Wilk otarł się o jej nogę, wysuwając się naprzód - tak by stanąć między nią a obcym - i groźnie zawarczał. Może wyczuwa napięcie i niechęć Jondalara, pomyślała, lecz zachowanie drapieżcy jednoznacznie wskazywało na to, że obcy nie przypadł mu do gustu. Mężczyzna zawahał się i cofnął o krok, szeroko otwierając przerażone oczy.

Wilk! Zostań - odezwała się Ayla w mowie Mamutoi, wychodząc obcemu naprzeciw, by odpowiedzieć na powitanie. - Pozdrwiam cię, Ladromanie z Dziewiętej Jaskini - powiedziała, ściskając jego wilgotne dłonie.

- Nie jestem już Ladromanem z Dziewiątej Jaskini. Teraz jestem Madromanem z Piątej Jaskini Zelandonii, akolitą pośród Zelandoni. Witam cię, Aylo... skąd? Z Mutoni? - spytał, puszczając szybko ręce uzdrowicielki i nerwowo nasłuchując coraz głośniejszego warczenia Wilka. Zauważył dziwny akcent kobiety, ale zajęty obserwowaniem drapieżnika nie miał czasu na roztrząsanie tej sprawy.

- A Ayla nie jest już z Mamutoi, Madromanie - poprawił brata Joharran. - Jest Aylą z Dziewiątej Jaskini Zelandonii.

Tak szybko przyjęto cię do Zelandonii? No cóż, Mamuto czy Zelandonii - wszystko jedno. Miło mi, że się poznaliśmy, ale muszę już iść... na bardzo ważne spotkanie - rzucił na pożegnanie bliski paniki mężczyzna, po czym oddalił się najspieszniej, jak potrafił. Obejrzał się tylko raz, niemal w biegu. Ayla zerknęła na dwóch braci, którzy z satysfakcją szczyrzyli zęby w prawie identycznych uśmiechach.

Wkrótce Joharran dostrzegł grupę, której szukał, a w niej jakże charakterystyczną sylwetkę Zelandoni. Donier przywołała gestem Aylę i braci, lecz uwaga zebranych koncentrowała się przede wszystkim na Wilku. Na czas oficjalnej prezentacji znachorka nakazała mu trzymać się w tyle, nie była bowiem pewna, czy zwierzę nie zareaguje na obcych podobnie jak na Madromana. Niektórzy byli zaskoczeni, gdy została im przedstawiona jako Zelandonii, dawniej Mamutoi, lecz przywódca Jaskini wyjaśnił, że skoro i tak nie było mowy o tym, by Ayla zamieszkała z Jondalarem poza Dziewiątą, cała społeczność już zaakceptowała nowego mieszkańca.

Jedną z najważniejszych decyzji, które musieli podejmować młodzi ludzie planujący Zaślubiny, było rozstrzygnięcie, czy zamieszkają w osadzie kobiety czy mężczyzny. Tak czy inaczej, konieczna była zgoda obu Jaskiń, ale przede wszystkim tej, której członkowie mieli przyjąć do siebie nową osobę. W przypadku Ayli i Jondalara z oczywistych powodów liczyła się wyłącznie opinia Dziewiątej Jaskini.

Znachorka pilnowała Wilka, Jondalar zaś przysłuchiwał się dyskusji przywódców i Zelandoni na temat planów na najbliższe dni. Wreszcie postanowiono, że tej nocy odbędzie się ceremonia, której celem będzie wybranie najlepszego kierunku wyprawy łowieckiej. Gdyby polowanie było udane, pierwsze Zaślubiny odbyłyby się zaraz po nim. Ayla wiedziała już, że każdego lata rytuały te odprawiano w dwóch turach. Najpierw łączyły się pary, które podjęły decyzję o zawiązaniu węzła jeszcze podczas zimy. Druga ceremonia odbywała się na początku jesieni, tuż przed końcem Spotkania, i przeznaczona była dla tych, którzy pochodzili z daleko od siebie leżących Jaskiń i poznali się bliżej dopiero latem, a decyzję podjęli szybko.

- Skoro już mowa o Zaślubinach - wtrącił Jondalar - chciałbym was o coś prosić. Dalanar jest mężczyzną mojego ogniska i wiem, że planuje zjawić się na Spotkaniu. Dlatego proszę o

odłożenie pierwszej ceremonii do czasu jego przybycia. Chciałbym, żeby tu był, kiedy Ayla zostanie moją partnerką.

- Nie mam nic przeciwko temu, żeby poczekać kilka dni, ale co będzie, jeśli Dalanar dotrze tu znacznie później? - spytała Zelandoni.

Wolałbym zawiązać węzeł podczas pierwszej ceremonii, ale jeśli Dalanar nie przybędzie na czas, zaczekam na drugą. Naprawdę zależy mi na jego obecności - odparł Jondalar.

- Myślę, że możemy się przychylić do twojej prośby - powiedziała Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą. - Ale sądzę też, że powinniśmy od razu ustalić, jak długo możemy czekać z Pierwszymi Zaślubinami, a to zależy także od woli innych par.

Energiczna stara kobieta z tatuażem Zelandoni na twarzy dołączyła do grupy.

- O ile wiem, Dalanar i jego Lanzadonii dołączą do nas wkrótce - zwróciła się do Joharrana. - Przysłał gońca do Zelandoni z Dziewiętnastej, jako że stamtąd jest najbliżej do miejsca tegorocznego Spotkania. Córka jego partnerki chce zawiązać węzeł, a on domaga się dla niej pełnych Zaślubin. Jak zrozumiałam, chciałby też znaleźć donier dla swoich ludzi. To może być prawdziwa okazja dla któregoś z naszych doświadczonych akolitów lub dla młodego Zelandoni.

- Jondalar już nas uprzedził o wizycie Dalanara, Zelandoni z Czternastej - odrzekł Joharran.

To jeden z powodów, dla których Lanzadonii dołączą do nas w tym roku - wyjaśnił Jondalar. - Nie mają uzdrowiciela. Tylko Jerika zna się trochę na tych sprawach. Nie mają też nikogo, kto mógłby zająć się odprawianiem ceremonii. Dalanar uznał, że Zaślubiny nie mogą się odbyć, póki Jaskinia nie będzie miała Zelandoni. Byliśmy u niego w drodze powrotnej. Właśnie wtedy Joplaya zgodziła się zostać partnerką Echozara...

- Dalanar pozwoli jej związać się z mężczyzną, którego matka była płaskogłową? Z mężczyzną mieszanych duchów?

- przerwała mu gwałtownie Zelandoni z Czternastej. - Jak on może!? Przecież to córka jego ogniska! Wiedziałam, że Dalanar przyjmuje do swojej Jaskini nieprzeciętne indywidua, ale jak może zadawać się z tymi zwierzętami?

- Oni nie są zwierzętami! - zaprotestowała Ayla, gniewnie marszcząc czoło.

## ROZDZIAŁ 23

Kobieta odwróciła się i spojrzała na Aylę, zaskoczona reakcją nieznajomej, a jeszcze bardziej tym, że ktokolwiek śmiał się sprzeciwić jej w tak gwałtowny sposób.

- Nie masz prawa głosu w tej sprawie - wycodziła. - W ogóle nie powinno cię interesować, o czym rozmawiamy. Nie jesteś Zelandonii, jesteś gościem. - Wiedziała, że jasnowłosa ma wkrótce zostać partnerką Jondalara, ale uznała, że przyda się jej lekcja dobrych manier.

Wybacz, Zelandoni z Czternastej Jaskini - wtrąciła Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą. - Przedstawiłam już Aylę pozostałym, powinnam była przedstawić jąi tobie. Jeśli chodzi o ścisłość, Ayla jest Zelandonii. Dziewiąta Jaskinia przyjęła ją do siebie na krótko przed wymarszem na Letnie Spotkanie.

Kobieta popatrzyła na Pierwszą z jawną wrogością. Ayla pomyślała, że animozja między dwiema przywódczyniami duchowymi musiała być dość stara. Przypomniała sobie też czyjąś opowieść o Zelandonii, która spodziewała się, że zostanie Pierwszą, ale przegrała w konfrontacji z donier z Dziewiątej Jaskini. Domyślała się, że właśnie mają przed sobą.

- Ayla i Jondalar twierdzą, że płaskogłowi są ludźmi, nie zwierzętami. Moim zdaniem musimy porozmawiać na ten temat. Zamierzałem wspomnieć o tym już niedługo - rzekł Joharran, występując naprzód i próbując załagodzić sytuację. - Nie wiem tylko, czy to jest odpowiedni moment. Mamy wiele spraw do omówienia.

- Moim zdaniem w ogóle nie musimy o nich rozmawiać - odparła kobieta.

To naprawdę ważna sprawa, chodzi o nasze bezpieczeństwo - nie ustępował Joharran. - To inteligentni ludzie. Ayla i Jondalar prawie mnie przekonali, że tak jest. A my traktowaliśmy zawsze płaskogłowych jak zwierzęta... Dlaczego nie stawiali oporu?

- Może dlatego, że jednak są zwierzętami? - zasugerowała drwiąco kobieta.

- Ayla twierdzi, że postanowili nas unikać - powiedział przywódca Dziewiątej Jaskini. - My zresztą także ich unikamy. Ale skoro uważamy ich za zwierzęta, skoro - no, może nie polujemy na nich - ale twierdzimy, że cała ta ziemia jest nasza, że to terytorium Zelandonii, zabieramy im tereny łowieckie i zbierackie, to... co będzie, kiedy zaczną stawiać opór? I co zrobimy, jeśli nagle zmienią zdanie i upomną się o swoje? Uważam, że musimy być na to przygotowani, a przynajmniej podyskutować o takiej możliwości.

- A ja sądzę, że wyolbrzymiasz problem, Joharranie. Skoro płaskogłowi nigdy nie rościli sobie prawa do tej ziemi, to dlaczego teraz mieliby zacząć? - spytała Zelandoni z Czternastej, machnięciem ręki zbywając wątpliwości mężczyzny.

Rzecz w tym, że roszczą sobie prawa - odrzekł Jondalar. - Losadunai, ludzie żyjący po drugiej stronie lodowca, uznali już ziemię na północ od Rzeki Matki za kraj płaskogłowych. Trzymają się południowego brzegu, jeśli nie liczyć paru krewkich młodzików, którzy szukają kłopotów, przekraczając granicę. Obawiam się zresztą, że Klan przestanie wkrótce tolerować ich wybryki.

- Dlaczego tak sądzisz? - zdziwił się Joharran. - Nie wspomniałeś mi o tym.

Wkrótce po rozpoczęciu Podróży, kiedy zesliśmy z Thonolanem z gór po wschodniej stronie lodowca, spotkaliśmy grupę płaskogłowych - mężczyzn Klanu - prawdopodobnie zajętych polowaniem - odrzekł Jondalar. - Doszło do małej konfrontacji.

- Jakiej konfrontacji? - spytał przywódca. Wszyscy pozostali w napięciu słuchali opowieści.

- Jakiś młodzik rzucił w nas kamieniem, pewnie dlatego, że znaleźliśmy się po niewłaściwej stronie rzeki, na ich terytorium. Thonolan w odpowiedzi cisnął oszczep, gdy tylko zobaczył jakiś ruch między drzewami, za którymi się ukryli. I wtedy nagle wyszli z lasu. Było nas dwóch, a ich kilku, więc nie mieliśmy wielkich szans. Zresztą szczerze mówiąc, uważam, że nawet w walce jeden na jednego moglibyśmy ponieść klęskę. Ludzie Klanu nie są wysocy, ale za to mają krzepę. Nie wiedziałem, jak skończy się ten zatarg, ale na szczęście sprawę rozwiązał ich przywódca.

- Skąd wiedziałeś, że to przywódca? A nawet jeśli rzeczywiście był to ktoś taki, to może raczej należałoby go nazwać przewodnikiem stada, jak u wilków? - odezwał się inny mężczyzna. Jondalarowi zdawało się, że go rozpoznaje, ale nie był pewien; pięcioletnia nieobecność zrobiła swoje.

Teraz jestem przekonany, że to był przywódca, bo spotkałem od tamtej pory wielu ludzi Klanu, ale nawet wtedy nie miałem wielkich wątpliwości. Kazał młodzikowi, który w nas rzucił kamieniem, oddać Thonolanowi włócznię i zabrać kamień, a potem wszyscy zniknęli w puszczy - odpowiedział Jondalar. - Chodziło mu o to, żeby wszystko wróciło na swoje miejsce, a kiedy tak się stało, uznał, że nie było sprawy.

- Kazał młodzikowi? Przecież płaskogłowi nie mówią!

- obruszył się mężczyzna.

- Owszem, mówią - odparł Jondalar. - Tylko że nie w taki sposób jak my. Używają przede wszystkim gestów rąk. Nauczyłem się trochę ich języka i używałem go parę razy, ale Ayla posługuje się nim znacznie lepiej.

- Jakoś trudno mi w to wszystko uwierzyć - mruknęła Zelandoni z Czternastej.

Jondalar odpowiedział jej uśmiechem.

- Z początku i ja nie wierzyłem - rzekł spokojnie. - Nigdy przedtem nie widziałem też z bliska człowieka Klanu. A ty?

- Nie widziałam i nie chcę oglądać - odparowała stanowczo kobieta. - Moim zdaniem bardziej przypominają niedźwiedzie niż ludzi.

- Nie przypominają niedźwiedzi bardziej niż my. Są ludźmi, może nieco odmiennymi od nas, ale nie sposób pomylić ich ze zwierzętami. Tamci łowcy mieli na sobie ubrania i nieśli włócznie. Czy widziałaś kiedyś odzianego w skóry niedźwiedzia z oszczepem? - spytał Jondalar.

- Zatem są szczerwanymi niedźwiedziami - odparła nie zbita z tropu Zelandoni.

- Nie lekceważ ich. Nie są niedźwiedziami, ani też żadnymi innymi zwierzętami. To ludzie, inteligentni ludzie - rzekł z naciskiem Jondalar.

Wspomniałeś, że rozmawiałeś z nimi. Kiedy to było?

- spytał mężczyzna, którego imienia jasnowłosy łupacz kamienia nie mógł sobie przypomnieć.

- Pewnego razu, gdy mieszkaliśmy u Sharamudoi, wpadłem w tarapaty na Wielkiej Rzece Matce. Sharamudoi to rzeczny lud, żyją opodal jej ujścia do morza Beran. W miejscu, w którym zesliśmy z lodowca, Rzeka Matka była ledwie strumykiem. Tam, gdzie mieszkają nasi przyjaciele, jest już tak szeroka jak wielkie jezioro. Choć wydaje się spokojna i gładka jak lustro, w istocie jest głęboka, wartka i pełna silnych prądów. Po drodze wpada do niej tyle rzek, rzeczulek i strumieni, że w kraju Sharamudoi nikt już nie może się dziwić, dlaczego nazwano ją Wielką Rzeką Matką.

- Jondalar wpadał szybko w nastrój do snucia opowieści, tym bardziej że przywódcy słuchali go z wielką uwagą. - Sharamudoi potrafią drażyć i ciosać wielkie pnie w taki sposób, że powstają łodzie o ostrych końcach. Tamtego dnia akurat ćwiczyłem wiosłowanie, gdy nagle straciłem kontrolę nad dłubanką. - Jondalar uśmiechnął się smutno, jakby wstydził się czegoś. - Prawdę mówiąc, trochę się popisywałem. Sharamudoi zawsze trzymają w łodzi linkę uwiązaną do kadłuba, z haczykiem i przynętą na drugim końcu. Postanowiłem udowodnić im, że ja też potrafię łapać ryby. Kłopot w tym, że ryby w tak wielkiej rzece rzadko bywają małe, a szczególnie dotyczy to jesiotrów. Ludzie z tamtych stron nie mówią nigdy, że będą łowić jesiotry. Mówią, że będą na nie polować.

Widziałem kiedyś łososia prawie tak wielkiego jak człowiek - zawołał ktoś z tyłu.

- Niektóre jesiotry z ujścia Wielkiej Rzeki Matki są dłuższe niż trzej rośli mężczyźni - odparł Jondalar. - Kiedy zauważyłem, że mam w łodzi sprzęt do łowienia, użyłem go, ale nie miałem szczęścia: złapałem jesiotra! A raczej to on złapał mnie. Linka, jak mówiłem, była uwiązana do dłubanki, więc kiedy ryba zaczęła się oddalać, pociągnęła mnie za sobą. Pogubiłem wiosła; nie mogłem ani hamować, ani sterować. Sięgnąłem po nóż, żeby przeciąć linę, ale w tym

momencie łódź zahaczyła o jakąś przeszkodę i ostrze wyleciało mi z ręki. A ryba była wyjątkowo silna i szybka. Próbowwała zanurzyć się w głębinie i parę razy omal nie wciągnęła mnie pod wodę. Jedyne, co mogłem zrobić, to trzymać się łodzi, kiedy jesiotr włókł mnie w górę rzeki.

- Co zrobiłeś? Jak daleko cię zaciągnął? Jak go zatrzymałeś? - rozległy się pytania.

- Okazało się, że haczyk zranił rybę i przez cały czas krwawiła. Wreszcie osłabła i zdechła, ale nim to się stało, zaciągnęła mnie daleko od osady. Całe szczęście, że kiedy wreszcie się poddała, byliśmy akurat w dość płytkiej zatoczce. Wskoczyłem do wody i popłynąłem do brzegu, dziękując Matce, że wreszcie czuję twardy grunt pod nogami...

To piękna historia, Jondalarze, ale co ma wspólnego z płaskogłowymi? - przerwała mu rzeczowo Zelandoni z Czternastej.

Mężczyzna uśmiechnął się, z uwagą patrząc jej w oczy.

- Właśnie miałem o tym opowiedzieć. Znalazłem się na brzegu, przemoczony i trzęsący się z zimna. Nie miałem ani noża, którym mógłbym naciąć drewna, ani przyborów do rozpalania ognia; zresztą chrust w całej okolicy był mokry. Marłem, nie bardzo wiedząc, co robić, kiedy nagle stanął przede mną płaskogłowy. Broda dopiero zaczynała mu rosnąć, więc musiał być młody. Dał mi znak, żebym poszedł za nim. Z początku nie wiedziałem, o co mu chodzi, ale po chwili zauważyłem dym i postanowiłem pójść z nim w tamtym kierunku. Zaprowadził mnie do ogniska.

- Nie bałeś się go? Przecież nie wiedziałeś, co z tobą zrobi! - krzyknął któryś ze słuchaczy.

Jondalar, podobnie jak Ayla, dopiero teraz zauważył, że grono zainteresowanych znacznie się powiększyło.

- Było mi tak zimno, że w ogóle o tym nie myślałem. - ciągnął. - Chciałem tylko usiąść przy tym jego ognisku. I zrobiłem to, najbliżej, jak się dało. Poczulem, że ktoś okrywa mnie futrem. Zadarłem głowę i zobaczyłem kobietę. Gdy napotkała mój wzrok, odeszła i przysiadła za krzakiem. Z tego, co widziałem, była dużo starsza; mogła być matką tego młodego.

Kiedy wreszcie się rozgrzałem, odprowadził mnie do łodzi i ryby, która unosiła się brzuchem do góry niedaleko od brzegu. Nie był to największy jesiotr, jakiego widziałem, ale też nie był mały - miał długość co najmniej dwóch ludzi. Młodzieniec z Klanu wyjął nóż i przeciął rybę wzdłuż. Pokazał mi coś gestami, których wtedy nie rozumiałem, a później zawinął połowę ryby w kawał skóry, zarzucił na ramię i odszedł. Zaraz potem Thonolan i grupa Rzecznych Ludzi pojawili się na horyzoncie i szybko podpłynęli do mnie. Widzieli, że zostałem odholowany w górę rzeki, i pospieszyli z pomocą. Kiedy opowiedziałem im o młodym płaskogłowym, podobnie jak ty, Zelandoni z Czternastej Jaskini, nie uwierzyli mi, ale zmienili zdanie, gdy zobaczyli połówkę jesiotra, która mi pozostała. Od tamtej pory nie przestawali pokpiwać ze mnie - żartowali, że



złowiłem tylko pół ryby. A jednak trzeba było trzech ludzi, by ową połówkę wciągnąć na łódź, podczas gdy płaskogłowy odszedł ze swoją częścią bez niczyjej pomocy.

- To zaiste doskonała historyjka o łapaniu ryb, Jondalarze - powtórzyła Zelandoni z Czternastej.

Jondalar spojrział na nią znacząco swymi intensywnie niebieskimi oczami.

- Wiem, że brzmi to wszystko jak rybackie opowiastki, ale daję wam słowo, że nie zmyśliłem ani jednego słowa - oznajmił. - Jednak nie winie was, jeśli wątpicie - dodał z uśmiechem, wzruszając lekko ramionami. - Po chwili podjął opowieść: - Po tamtej przymusowej kąpieli byłem mocno przeziębiony. Leżąc na pościeli, przy ognisku, miałem dość czasu na rozmyślanie o płaskogłowych. Ów młodzieniec zapewne uratował mi życie. Wiedział, że jestem przemarznięty i potrzebuję ciepła. Być może bał się tak samo jak ja, ale dał mi to, czego potrzebowałem, i w zamian wziął sobie połowę ryby. Kiedy trafiłem na płaskogłowych po raz pierwszy, byłem zdziwiony, że używają ubrań i oszczepów. Po spotkaniu z młodzieńcem i jego matką wiedziałem już, że posługują się ogniem i ostrymi nożami oraz że są bardzo silni i - co ważniejsze - sprytni. Chłopak zrozumiał mój problem i pomógł mi; wiedział, że ma prawo do udziału w mojej zdobyczy. Dałbym mu zresztą i całego jesiotra - pewnie też zarzuciłby go na plecy bez większego kłopotu - ale nie chciał.

Interesujące - powiedziała niemłoda Zelandoni, uśmiechając się do Jondalara.

Czar i charyzma przystojnego mężczyzny zaczynały robić wrażenie na niechętnej mu dotąd kobiecie, co nie uszło uwagi Pierwszej Wśród Tych Którzy Służą Matce. Donier z Dziewiętej Jaskini zanotowała ów fakt w pamięci, do późniejszego wykorzystania. Gdyby mogła użyć uroku Jondalara do poprawy stosunków z Zelandoni z Czternastej, nie wahałaby się ani chwili. Stara kobieta była dla niej utrapieniem od chwili, gdy to ona, Zelandini z Dziewiętej, została wybrana na Pierwszą. Tamta starała się blokować każde posunięcie korpulentnej przywódczyni Zelandoni.

- Mógłbym jeszcze opowiedzieć wam o chłopcu z mieszanych duchów, który został adoptowany przez partnerkę przywódcy Obozu Lwa Mamutoi, bo właśnie za jego przyczyną nauczyłem się mowy znaków - ciągnął Jondalar - ale myślę, że najpierw powinniście usłyszeć o kobiecie i mężczyźnie, których spotkaliśmy tuż przed wspinaczką na lodowiec w drodze powrotnej. To znacznie ważniejsza sprawa, ponieważ tych dwoje mieszkało w pobliżu...

- Sądzę, że z tą opowieścią powinieneś jeszcze poczekać, Jondalarze - przerwała mu Marthona, która niepostrzeżenie dołączyła do grupy słuchaczy. - Trzeba ją przedstawić w znacznie większym gronie. Jeśli nikt nie ma nic Przeciwno, tym razem pozostaniemy przy decyzjach w sprawie Zaślubin - dodała, uśmiechając się słodko w stronę Zelandoni z Czternastej Jaskini.

Marthona także dostrzegła wpływ, który jej syn wywierał na starą kobietę, jednocześnie zaś była świadoma narastających nieporozumień między leciwą donier a Pierwszą Wśród Tych Którzy Służą. Jako była przywódczyni, pojmowała doskonale niezręczność tej sytuacji.

- Jeżeli nie jesteście bardzo zainteresowani szczegółami narady, być może jest to najlepszy moment na przygotowanie pokazu możliwości miotacza oszczepów - powiedział Joharran, zwracając się do brata i jego kobiety. - Chcę, żebyście urządzili taki pokaz jeszcze przed pierwszym polowaniem.

Ayla miała ochotę zostać. Zamierzała poznać jak najlepiej lud Jondalara - a od niedawna także swój - lecz jej wybranek chętnie przystał na propozycję przywódcy. Od dawna już chciał pokazać swój wynalazek wszystkim Zelandonii.

Wędrując po wielkim obozowisku Letniego Spotkania, Jondalar pozdrawiał znajomych i przedstawiał im Aylę. Para jasnowłosych przyciągała wzrok gapiów głównie za sprawą towarzyszącego im wiernie Wilka - ale tego rodzaju zainteresowania spodziewali się od dawna. Znachorka z całego serca pragnęła, by etap wzbudzania powszechnej sensacji minął jak najprędzej, by ludzie przestali traktować oswojone zwierzęta jak cud natury i przeszli do porządku dziennego nad ich obecnością.

Kiedy znaleźli miejsce nadające się na urządzenie pokazu miotaczy, spotkali przypadkiem młodzieńca, który pomagał im przenosić włóki podczas przepraw przez Rzekę. Po chwili do rozmawiającej trójki dołączyła matka młodzieńca, by zaprosić parę z Dziewiętej Jaskini na posiłek. Słońce stało już wysoko, a od rana nie mieli nic w ustach, toteż z wdzięcznością przyjęli propozycję. Nawet Wilk dostał coś dobrego: solidną kość z resztkami mięsa. Rozstając się z gościnnymi gospodarzami, Jondalar i Ayla otrzymali jeszcze jedno, specjalne zaproszenie: do udziału w jesiennych zbiorach orzeszków piniowych.

Wracając do obozu Dziewiętej Jaskini, przechodzili opodal wielkiej chaty Zelandoni. Pierwsza, która właśnie z niej wychodziła, zatrzymała ich na moment, by powiedzieć im, że wszyscy uczestnicy Pierwszych Zaślubin, z którymi do tej pory rozmawiała, zgadzają się na odłożenie ceremonii do czasu przybycia Dalanara i reszty Lanzadonii. Przy okazji przedstawiła znachorkę jeszcze kilku Zelandoni.

Kiedy ruszyli w dalszą drogę, słońce opadało już ku horyzontowi, przerywając pasma czerwonych chmur oślepiającymi kaskadami złotego światła. Dotarłszy nad brzeg Rzeki, płynącej w tym miejscu leniwie i ledwie marszczącej się na powierzchni, ruszyli w górę, ku polanie, z której spływał kręty strumień. Zatrzymali się na chwilę, aby w milczeniu spojrzeć na wieczorne niebo, coraz mniej złociste, a coraz bardziej cynobrowe, potem zaś purpurowe i wreszcie ciemnogrnatowe, nakrapiane pojawiającymi się nieśmiało ognikami gwiazd. Wkrótce zapadła

czarna noc, rozświetlana już tylko owymi płomykami na nieboskłonie, skupionymi w pewnym miejscu na kształt ścieżki. Ayla przypomniawszy sobie słowa z Pieśni Matki: "Z iskier mlecznych oto droga gwiazdzista". Zastanawiała się przez moment, czy tak właśnie wyglądały narodziny gwiazd, po czym ujęła Jondalara za rękę i razem ruszyli ku gościnnym ogniskom bliskiego już obozu.

Kiedy Ayla obudziła się następnego ranka, czując nietypowe dla siebie rozleniwienie, wszyscy byli już na nogach. Jej wzrok, przyzwyczajony do półmroku, błędził po wnętrzu chaty. Nie wstając z posłania, podziwiała ryty zdobiące mocny, centralny słup podpierający sklepienie i przyglądała się smugom sadzy wokół otworu, którym dym z ogniska uchodził na zewnątrz. Wreszcie poczuła, że musi wstać: ostatnio pęcherz nie trzymał już tak dobrze jak dawniej. Nie wiedziała jeszcze, gdzie wykopano rowy dla całego obozu, więc skorzystała z nocnego kosza, zauważając przy okazji, że i inni wpadli na ten pomysł. Opróżnię go później, pomyślała. Był to jeden z tych przykrych obowiązków, których wypełniania podejmował się na ochotnika każdy zdyscyplinowany mieszkaniec domostwa. Tych, którzy nie palili się do współpracy, z reguły wystarczyło zawstydzić.

Wracając do swych futer, by je wytrzeć, przyglądała się z bliska ścianom chaty, którą jak co roku wzniesiono na czas Letniego Spotkania. Była zdumiona, że tak przestronną konstrukcję ustawiono w ciągu jednego dnia, który wraz z Jondalarem spędziła w centralnym obozowisku. Wprawdzie widziała już w letnich osadach innych Jaskiń podobne budowle, lecz spodziewała się, że po powrocie do Dziewiątej zastanie jeszcze podrózne namioty, tymczasem większość rodzin zdążyła wnieść solidniejsze schronienia. Podczas ciepłej pory namioty przydawały się tak naprawdę tylko podczas wędrówek, polowań lub wizyt na sąsiednich terytoriach. Okrągła letnia chata o prostych ścianach była znacznie trwalsza niż stożkowaty namiot. Choć inaczej zbudowana, pełniła podobną funkcję jak letnie domostwa Mamutoi.

Wnętrze było dość ciemne - jedynym źródłem światła był otwór wejściowy; czasem także zbłąkany promień słońca przeciskał się przez szpary w pokryciu. Stojący pośrodku pał wykonano z pnia sosny, wewnętrzną zaś warstwę ścian - panele ozdobione motywami zwierzęcymi - upleciono z sitowia i umocowano do wewnętrznych stron tyczek, które szerokim kręgiem otaczały środkowy słup. Przestrzeń w kształcie walca można było pozostawić otwartą lub przedzielić przenośnymi parawanami. Ziemię usłano matami z sitowia, trzciny, rogożyny i traw, na nich zaś, wokół centralnego paleniska, ułożono futra do spania. Dym z ogniska wydostawał się otworem w sklepieniu, tuż obok słupa. W razie potrzeby można było regulować średnicę wylotu za pomocą kłapy i przywiązanych do niej krótkich palików.

Ayla wyszła na zewnątrz, ciekawa, jak też może wyglądać w świetle dziennym zewnętrzna część budowli. Najpierw rozejrzała się po obozie i stwierdziła, że w pobliżu stoi kilka podobnych

chat, potem zaś poczęła obchodzić dookoła letnie domostwo rodu Marthony. Tyczki, na których opierały się ściany, przypominały układem zagrodępułapkę do chwytania zwierząt. Zasadnicza różnica polegała na tym, że zagroda luźno spoczywała na ziemi i rozpędzone stado mogło ją nie tylko ugiąć, ale i przesunąć, rusztowanie letniej chaty podparte zaś było olchowymi palikami mocno wbitymi w trawiasty grunt.

Zewnętrzna ściana z solidnych, pionowych, rogożowych paneli, nie przylegała do wewnętrznej - przestrzeń między nimi zapewniała dodatkową izolację cieplną w gorące dni i w zimne noce, gdy w środku płonęło ognisko. Kiedy zaczynały się chłodne dni, poduszka powietrzna zapobiegała kondensowaniu się pary wodnej na wewnętrznych panelach ściennych. Gruby dach z wiązek trzciny opadał łagodnie od centralnego pała ku krawędziom ścian i poza nie. Nie była to zbyt starannie wykonana strzecha, ale spełniała swe zadanie: przez krótki letni sezon chroniła mieszkańców przed deszczem.

Większość części, z których składała się chata, Zelandonii przynosili ze sobą - przede wszystkim plecionki, panele i całe ściany wewnętrzne, a także niektóre z tyczek. Na każdego z przyszłych mieszkańców przypadła więc część ruchomego domostwa, którą trzeba było przetransportować i zmontować. Na szczęście niektóre elementy wykonywano co roku na miejscu, korzystając ze świeżych materiałów. Jesienią, kiedy szykowano się do powrotu do Jaskini, części letnich domów nadające się do ponownego użytku zabierano ze sobą, a szkielet konstrukcji pozostawiano. Rzadko zdarzało się, by przetrwał surową zimę i dotrwał do następnego lata. Zazwyczaj po roku zostawały z niego tylko zapadnięte szczątki, a po kilku latach, gdy Letnie Spotkanie organizowano w tym samym miejscu, nie było po nim nawet śladu.

Ayla przypomniawszy sobie, że Mamutoi nazywali swoje letnie obozowiska inaczej niż zimowe. Podczas Letniego Spotkania, w którym uczestniczyła, Obóz Lwa używał na przykład nazwy Obóz Pałki, choć przecież tworzyli go ci sami ludzie. Kiedy spytała Jondalara, czy i Dziewiąta Jaskinia przybierze nową nazwę, wyjaśnił jej, że tymczasowa osada będzie nazywana po prostu obozem Dziewiątej Jaskini. Jediną rzeczą, która miała się zmienić, był układ mieszkańców zajmujących poszczególne domostwa.

Każda z letnich chat musiała pomieścić więcej osób niż bardziej przestronne kamienne domy wznoszone pod skalnym nawisem Dziewiątej Jaskini. Pod jedną strzechą łączyły się wielopokoleniowe, szeroko rozumiane rodziny, w normalnych warunkach zajmujące osobne domostwa. Co więcej, niektórzy mieszkańcy Jaskini odchodzili na czas Letniego Spotkania do innych obozów, do swych krewnych i znajomych, a z zewnątrz napływała co najmniej równa liczba gości. Na przykład młode kobiety, które przeniosły się do partnerów z innych Jaskiń, często

wracały na czas lata, by pomieszkać ze swymi matkami, braćmi czy przyjaciółmi z dzieciństwa. Partnerzy zazwyczaj im towarzyszyli.

Zachodziła jeszcze jedna istotna zmiana: dorastające dziewczęta, które lada chwila miały przejść Rytuał Pierwszej Przyjemności, przynajmniej w początkowej części sezonu mieszkaly razem w specjalnej chacie, wzniesionej opodal domostwa wszystkich Zelandoni. Trzecią budowlę stawiano dla tych kobiet, które w danym roku postanowiły pełnić funkcję donii - służyć swą osobą młodzieńcom osiagającym dojrzałość.

Młodzi, którzy przeszli inicjację - a także liczna grupa mężczyzn, których nikt już nie nazwałby młodymi - zazwyczaj stawiali własne obozowisko. Wymagano od nich, by mieszkali jak najdalej od budzących pożądanie, młodych kobiet przygotowujących się do Pierwszego Rytuału. Mężczyźni z reguły nie mieli nic przeciwko temu - owszem, ciągnęło ich do młódek, ale jednocześnie cenili sobie swobodę oraz to, że nikt nie skarżył się na ich cokolwiek hałaśliwe zachowanie. W konsekwencji, ich letnie domostwa nazywano "dalekimi chatami". Ci, którzy spotykali się w dalekich chatach, zwykle nie mieli partnerek - jeszcze, już lub chwilowo.

Wilk nie wybiegł Ayli na spotkanie, toteż uznała, że musiał pójść gdzieś z Jondalarem. Niewielu ludzi kręciło się między zabudowaniami. Większość zapewne udała się do centralnego obozowiska - głównie po to przybyli przecież na Letnie Spotkanie - lecz przy wspólnym palenisku znalazła odrobinę wystudzonej herbaty. Już poprzedniego wieczora zauważyła, że palenisko nie miało tradycyjnego, okrągłego kształtu. Było mocno wydłużone, dzięki czemu więcej osób mogło jednocześnie zasiąść przy ogniu. Palono w nim dłuższe pnie i gałęzie, oszczędzając sobie pracochłonne cięcia i rąbania na szczapy. Kiedy uzdrowicielka w spokoju popijała herbatę, z sąsiedniej chaty wyszła partnerka Rushemara, Salova, z córeczką na rękach.

Witaj, Aylo - powiedziała kobieta, sadzając dziecko na macie.

Witaj, Salovo - odrzekła znachorka, podchodząc do małej i pochylając się nad nią z uśmiechem. Dziewczynka natychmiast chwyciła podany jej palec.

Salova przez chwilę przypatrywała się Ayli, nim odezwała się z wahaniem.

- Czy mogłabyś przez jakiś czas popilnować Marsoli? Zebrałam trochę witek na koszyki; moczą się w strumieniu. Chciałabym je przynieść i posegregować; obiecałam paru osobom, że coś dla nich wyplotę.

- Oczywiście - odpowiedziała Ayla, jeszcze ciepłej uśmiechając się do dziecka.

Salova, która wciąż czuła się niepewnie w towarzystwie obcej kobiety, paplała nerwowo.

Właśnie ją nakarmiłam, więc nie powinnaś mieć kłopotów. Mam mnóstwo pokarmu, dlatego bez problemu oddaję trochę Loralii. Lanoga przyniosła mija wczoraj wieczorem. Mała robi się coraz pulchniejsza i wreszcie zaczyna się uśmiechać. Na początku w ogóle tego nie robiła... A

ty pewnie jeszcze nie jadłaś śniadania, prawda? Mam trochę wczorajszej zupy z sarniną. Poczęstuj się, jeśli masz ochotę. Odgrzewałam ją dziś rano, pewnie jeszcze jest ciepła. Dziękuję. Zjem chętnie, skoro proponujesz.

- Niedługo wrócę - zapewniła Salova i pospiesznie ruszyła w stronę strumienia.

Ayla znalazła zupę w pojemniku z wielkiego żołądka żubra, umocowanym do drewnianej ramy stojącej nad żarem przy końcu wspólnego paleniska. Węgla już dogasały, ale zupa była jeszcze ciepła. W pobliżu leżała sterta przypadkowo dobranych misek - niektóre ciasno plecione, inne zaś wyrżnięte z kawałka drewna - oraz kościanych talerzy. Kilka brudnych naczyń walało się wprost na ziemi; tam, gdzie zostały porzucone po ostatnim posiłku. Ayla naląła sobie zupy chochlą z zakręconego owczego rogu, po czym sięgnęła po nóż. W misce pływały kawałki warzyw, choć - jak podejrzewała - były mocno rozgotowane.

Przysiadła na macie obok dziecka, które leżało na pleckach, wesoło wierzgając nóżkami. Wokół jednej z kostek Marsoli zawiązano rzemyk z jelenimi ostrogami, które grzechotały przy każdym ruchu. Ayla zjadła szybko, po czym sięgnęła po dziecko, by usadzić je twarzą do siebie. Kiedy Salova powróciła z szerokim, płytkim koszem pełnym najróżniejszych włóknistych roślin, ujrzała roześmianą córeczkę, zasłuchaną w głos znachorki. Młoda matka uśmiechnęła się ciepło i rozluźniła nieco.

- Naprawdę jestem ci wdzięczna, Aylo, że z nią zostałam. Zdążyłam zrobić, co zamierzałam - powiedziała Salova.

- Zajęłam się nią z przyjemnością. Marsola jest przemiłym dzieckiem.

- Czy wiesz, ale Levela, młodsza siostra Proleyy, podobnie jak ty szykuje się do zawiązania węzła podczas Pierwszych Zaślubin. Kobiety, które razem przechodzą tę ceremonię, z reguły czują się ze sobą związane - dodała Salova. - Proleva prosiła, żebym zrobiła dla niej parę specjalnych koszyków. Potrzebne jej na prezenty.

- Nie pogniewasz się, jeśli przez chwilę popatrzę, jak pracujesz? Wyplatałam już koszyki, ale chciałabym zobaczyć, jak ty to robisz - poprosiła Ayla.

- Nie mam nic przeciwko. Lubię towarzystwo, a poza tym może pokażesz mi, co potrafisz. Lubię poznawać nowe sposoby.

Dwie młode kobiety siedziały razem, gawędząc i porównując techniki wyplatania koszyków, dziecko zaś smacznie spało na macie. Ayla była pod wrażeniem umiejętności jego matki, która wprawnie używała różnobarwnych materiałów, by tworzyć wizerunki zwierząt i motywy geometryczne na ściankach plecionych pojemników. Salova natomiast doceniała subtelne techniki zmieniające fakturę plecionki, dzięki czemu nawet kosze o nieskomplikowanym kształcie zyskiwały swoistą elegancję wykończenia. Wzajemny szacunek dwóch kobiet rósł z każdą chwilą.

- Muszę skorzystać z rowów - powiedziała wreszcie Ayla. - Nie wiesz, gdzie je wykopano? Powinam też opróżnić nocny kosz. A przy okazji pomyję te miski - dodała, zbierając z ziemi brudne naczynia. - I sprawdzę, co u koni.

Rowy są tam - odrzekła Salova, wskazując na miejsce dość odległe od rzeczulki i obozu. - A naczynia myjemy tam, przy ujściu strumienia do Rzeki. Jest tam czysty piasek, w sam raz do szorowania. O tym, gdzie są konie, pewnie nie muszę ci mówić - dorzuciła z uśmiechem. - Byłam u nich wczoraj z Rushemarem. Z początku trochę się bałam, ale zauważyłam już, że są łagodne i raczej zadowolone z towarzystwa ludzi. Klacz zjadła trochę trawy prosto z mojej ręki. - Salova uśmiechnęła się od ucha do ucha, lecz szybko spoważniała. - Mam nadzieję, że nie zrobiłam nic złego. Rushemar powiedział, że Jondalar pozwala.

- Ależ oczywiście, że to nic złego. Konie lubią poznawać ludzi, którzy stykają się z nimi na co dzień - wyjaśniła znachorka.

Nie jest wcale taka dziwna, pomyślała Salova, obserwując oddalającą się Aylę. Mówi trochę osobliwie, ale w gruncie rzeczy jest bardzo miła. Ciekawe, skąd jej przyszło do głowy, że można skłonić zwierzęta, by robiły to, o co je prosi? Kiedyś nawet sobie nie wyobrażałam, że pewnego dnia będę karmić konia trawą prosto z ręki.

Umywszy naczynia i złożwszy je na powrót opodal rowupaleniska, Ayla doszła do wniosku, że miło byłoby wykapać się i popływać. Wróciła więc do chaty Marthony, po drodze uśmiechając się do Salovy i jej dziecka. Wyjęła z torby podróźnej miękką skórkę do wycierania ciała i przejrzała kolekcję ubrań. Nie miała ich wiele, choć z pewnością więcej niż przywiozła z Podróży. Stroju, który służył jej przez niemal całą wyprawę - mimo wielokrotnego czyszczenia - nie chciała już nosić; chyba że do najcięższych prac.

Marsz na Letnie Spotkanie odbyła w tej samej odzieży, którą oszczędzała na pierwsze spotkanie z ludem Jondalara, lecz i ona wyglądała już na mocno znoszoną i nie brakowało na niej niemożliwych do wywabienia plam. Ayla miała także chłopięcą bieliznę zimową, którą dostała od Marony i jej przyjaciółek, ale wiedziała, że noszenie jej akurat teraz nie byłoby najwłaściwszym pomysłem. Dysponowała też swym pięknym strojem na Zaślubiny, którego nie włożyłaby wcześniej za nic w świecie, oraz piękną szatą, którą Marthona podarowała jej na specjalne okazje. Poza tym pozostawały jeszcze drobne części garderoby, pożyczone przez Folarę i jej matkę - nie wyglądały zbyt swojsko, ale znachorka uznała, że może się w nich pokazać.

Nim opuściła chatę, spostrzegła w kącie obok posłania derkę, którą układała zwykle na grzbiecie Whinney, i po namyśle zarzuciła ją sobie na ramię. Konie powitały ją radośnie, jak zwykle domagając się pieszczot. I klacz, i ogier miały na łbach uździenice, których końce uwiązano do długich linek, mocno przytwierdzonych do pobliskiego drzewa. Ayla odwiązała

sznury i schowała do plecaka, po czym narzuciła i umocowała derkę na grzbiecie Whinney. Po chwili jechała już w górę strumienia.

Koniom najwyraźniej brakowało ruchu: popędziły galopem, radując się swobodą. Ich nastrój udzielił się znachorce, która nawet nie próbowała okiełznać temperamentu czworonożnych przyjaciół. Ucieszyła się jeszcze bardziej, gdy na łące nad leśnym stawem spostrzegła Wilka biegnącego im naprzeciw. Obecność drapieżcy świadczyła bowiem o tym, że i Jondalar jest gdzieś w pobliżu.

Niedługo po tym, jak Ayla opuściła obóz, przy wspólnym ognisku pojawił się Joharran. Spytał Salovę, czy widziała znachorkę.

Tak - odpowiedziała kobieta. - Robiliśmy razem koszyki. Kiedy widziałam ją po raz ostatni, szła w stronę koni. Mówiła, że musi sprawdzić, co u nich słychać.

- Poszukam jej, ale gdybyś spotkała ją przypadkiem, przekaz jej, że Zelandoni chce z nią porozmawiać.

- Jasne - odrzekła Salova, zastanawiając się, czego mogła chcieć donier.

Ayla zauważyła Jondalara dopiero wtedy, gdy z dość zdziwioną miną wyłonił się zza krzaka. Natychmiast zatrzymała klacz, zsunęła się na ziemię i pobiegła wprost w jego ramiona.

- Co tu robisz? - spytał, obejmując ją mocno. - Nikomu nie mówiłem, że tutaj będę. Szedłem w górę strumienia i kiedy tu dotarłem, przypomniałem sobie o tym kamienistym stoku na drugim brzegu sadzawki. Pomyślałem, że warto sprawdzić, czy nie ma tam krzemieni.

I są?

- Są. Nie najlepsze, ale nadadzą się. Dlaczego tu przyjechałaś?

- Obudziłam się późno, raczej rozleniwiona. W obozie prawie nikogo już nie było, poza Salovą i jej dzieckiem. Poprosiła mnie, żebym zajęła się Marsolą, bo chciała przynieść materiały do wyplatania koszyków. Porozmawialiśmy chwilę i popracowałyśmy razem, a potem postanowiłam popływać i zabrać konie na przejażdżkę. No i spotkałam ciebie. Cóż za miła niespodzianka - zakończyła z uśmiechem.

- Dla mnie też. Może popływamy razem? Usmarowałem się, przerzucając kamienie... Ale najpierw chyba poznoszę tu te, które wybrałem. A potem zobaczymy - dodał, uśmiechając się uwodzicielsko, po czym złożył na ustach swej kobiety siarczasty pocałunek. - Zresztą może później będę się martwił o kamienie...

- Lepiej idź teraz. Nie będziesz musiał kąpać się dwa razy. Ja i tak najpierw muszę umyć włosy. Spociłam się tą niedawną wędrówką.

Kiedy Joharran dotarł na miejsce, które wyznaczono na końskie pastwisko, stwierdził nie bez irytacji, że się spóźnił. Pewnie znowu pojechali z Jondalarem na długi spacer, pomyślał. A



Zelandoni naprawdę chciała porozmawiać z Aylą... Podobnie jak Willamar. Jondalar przecież wie, że po Zaślubinach będzie miał mnóstwo czasu dla swojej kobiety. Można by się spodziewać, że rozumie, jak ważne sprawy trzeba rozstrzygnąć na początku Letniego Spotkania, zastanawiał się przywódca z rosnącym zdenerwowaniem. Nie był zachwycony, że donier dostrzegła akurat jego, gdy potrzebny był ktoś do odszukania Ayli i Jondalara. W końcu miał szereg poważniejszych problemów niż ściganie własnego brata. Jednak nie bardzo mógł odmówić prośbie Zelandoni; musiałby mieć bardzo ważny powód, by to zrobić.

Spojrzał na ziemię i zauważył świeże ślady końskich kopyt. Był zbyt doświadczonym tropicielem, by nie umieć ocenić już na pierwszy rzut oka, że nie prowadzą ku otwartym połaciom łąki, lecz zbliżają się do koryta strumienia i biegną wzdłuż niego, pod prąd. Natychmiast przypomniał sobie o małej polance nad sadzawką zasilaną przez źródło. Pewnie tam ich zastaną, pomyślał, uśmiechając się w duchu. Skoro powierzono mu misję odnalezienia niesfornej pary, nie zamierzał powrócić, nie wykonawszy zadania.

Ruszył w górę strumienia, w marszu przyglądając się tropom, by nie przegapić miejsca, w którym mogły odbić w bok. Kiedy wreszcie dostrzegł spokojnie pasące się konie, wiedział, że osiągnął cel. Gdy przeszedł przez leszczynowy gąszcz - niektóre z krzewów miały rozmiary drzew - zobaczył jednak tylko Aylę i począł zastanawiać się, czy aby na pewno odnalazł także brata. Stanąwszy na piaszczystym brzegu, w milczeniu obserwował pochylającą się w wodzie kobietę. Zawołał ją, gdy wynurzyła głowę nad powierzchnię:

- Aylo, właśnie cię szukałem!

Znachorka odrzuciła włosy do tyłu i przetarła oczy. - Ach, to ty, Joharranie - odpowiedziała tonem, który wydał mu się raczej dziwny.

Nie wiesz, gdzie jest Jondalar?

Wiem. Rano szukał krzemieni na tym skalistym stoku po drugiej stronie stawu, a teraz poszedł po te, które uznał za zdatne do obróbki. Za chwilę wróci; mieliśmy się razem wykapać - dodała, najwyraźniej lekko zmieszana.

- Zelandoni chce z tobą porozmawiać, a Willamar szuka was obojga - powiedział Joharran.

- Ach tak - mruknęła zawiedziona.

Przywódca Dziewiętej Jaskini często widywał nagie kobiety. Latem większość mieszkanki osady kąpała się co rano w Rzece, wiele myło się tam także i zimą. Nagość jako taka nie była uważana za szczególną atrakcję. Kiedy kobiety chciały wzbudzić zainteresowanie mężczyzn, nosiły po prostu specyficzne odzienie lub zachowywały się w niecodzienny sposób, szczególnie podczas obrzędów ku czci Matki. Jednak kiedy Ayla wynurzyła się z wody, Joharran pojął, że pokrzyżował

jej i bratu dość jednoznaczne plany. Myśl ta skierowała jego uwagę ku ciału znachorki, która swobodnym krokiem zbliżała się do brzegu.

Była wysoka i zgrabna, a jej mięśnie rysowały się wyraźnie pod skórą. Miała duże piersi, sprężyste jak u dziewczyny, a także lekko zaokrąglony brzuch - przywódca Dziewiątej zawsze cenił ten szczegół kobiecej urody. W jego osadzie Marona zawsze była uważana za lokalną piękność, toteż nie dziwiło go zbytnio, że niedoszła wybranka Jondalara zniechęciła Aylę od pierwszego wejrzenia. Uzdrowicielka wyglądała znakomicie nawet w chłopięcej bieliźnie, którą wciśnięto jej podstępem, lecz teraz prezentowała się bez porównania lepiej. Marona nie ma szans, pomyślał Joharran. Mój brat jest szczęściarzem. Ayla jest naprawdę piękna. Podczas obrzędów ku czci Matki będzie się cieszyć niezwykłym wzięciem; ciekawe, jak zareaguje na to Jondalar.

Naga znachorka przyglądała mu się z rosnącym zdziwieniem i nagle Joharran poniewczasie zdał sobie sprawę, że po prostu gapi się na nią bezwstydnie. Zarumienił się lekko i odwrócił wzrok, w samą porę, by ujrzeć brata powracającego z ciężkim ładunkiem kamieni. Zaraz też pospieszył mu z pomocą.

- Co tu robisz? - spytał Jondalar.

- Zelandoni chce porozmawiać z Aylą, a Willamar z wami obojgiem - powtórzył Joharran.

- Czego ona chce? Nie może trochę poczekać? - zirytował się łupacz krzemieni.

- Raczej nie. Możesz być pewien, że łożenie za moim bratem i jego wybranką nie było rozrywką, którą planowałem na dziś. Ale nie martw się, Jondalarze - dodał, uśmiechając się konspiracyjnie. - Po prostu musisz trochę poczekać. A na nią warto czekać, prawda?

Jondalar chciał już zaprzeczyć aluzjom brata, ale rozmyślił się i poprzestał na lekkim uśmiechu.

- Czekałem o wiele dłużej, nim ją znalazłem - odpowiedział. - No, ale skoro już tu jesteś, możesz pomóc mi w przeniesieniu tych kamieni. Chciałem jeszcze wykapać się w stawie...

- Nie musisz zabierać ich już teraz. Przecież ci nie uciekną. Będziesz miał przynajmniej pretekst, żeby tu wrócić - odrzekł Joharran.

Zbliżało się południe, kiedy Ayla, Jondalar i Wilk dotarli do centralnego obozowiska. Przyglądając się ich odprężonym, zadowolonym minom, Joharran doszedł do wniosku, że od chwili, kiedy zostawił ich nad rozlewiskiem, starczyło im czasu na coś więcej niż wspólną kąpiel. Poinformował już Zelandoni, że przekazał wezwanie i że zalecił bratu pośpiech. To, że Jondalar zwlekał z przybyciem, nie było jego winą; zresztą w duchu świetnie rozumiał jego postępowanie.

Wokół długiego ogniska kuchennego obok wielkiej chaty Zelandoni zasiadło kilka osób z Dziewiątej Jaskini. W chwili gdy Ayla zbliżała się do wejścia, by stawić się u otyłej donier,

Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą Matce wychynęła z ciemnego wnętrza, prowadząc za sobą kilkoro ludzi z charakterystycznymi tatuażami przywódców duchowych.

- Jesteś nareszcie, Aylo - odezwała się Zelandoni na widok znachorki. - Czekam na ciebie od rana.

- Joharran odszukał nas dopiero przy źródle, daleko od obozu. Wśród drzew znaleźliśmy uroczy staw. Chciałam rozruszać nasze wierzchowce, a potem wyczesać ich sierść. Tłum ludzi trochę niepokoi, a pielęgnacja uspokaja. Musiałam też wykąpać się po podróży - dodała uzdrowicielka. Wszystko, co powiedziała, było prawdą, choć niekoniecznie całą prawdą.

Donier spojrzała z ukosa na jej czyste ubranie, typowe dla kobiet Zelandonii, pożyczone zapewne od Marthony. Potem zaś popatrzyła spod uniesionych brwi na odświeżonego i zadowolonego z siebie Jondalara. Wreszcie w jej oczach pojawił się błysk zrozumienia. Obserwując tę scenę, Joharran doszedł do wniosku, że Zelandoni ma dość dobre pojęcie o tym, co zatrzymało parę, Ayła zaś najwyraźniej nie przejmuje się tym, że nie bardzo spieszyła się na wezwanie. Wielka kobieta wiedziała, że cieszy się autorytetem wśród swoich, a wielu z nich napawa wręcz lękiem, toteż nie umknęło jej uwagi, że znachorka nie czuje się zastraszona w jej obecności.

- Akurat zrobiliśmy sobie przerwę na posiłek - powiedziała donier, kierując się w stronę długiego kuchennego paleniska i pociągając Aylę za sobą. - Proleva zajęła się przygotowaniami i właśnie dała nam znak, że możemy przyjść. Dołącz do nas, będziemy mogły porozmawiać. Masz przy sobie ognisty kamień?

Tak. Nigdy nie rozstaję się z moim zestawem do rozpalania ognia - odrzekła Ayła.

- Chciałabym, żebyś zademonstrowała ten nowy sposób wszystkim Zelandoni. Moim zdaniem trzeba zapoznać z nim ludzi, ale ważne jest, by uczynić to we właściwy sposób, z odpowiednim rytuałem.

- Nie potrzebowałam rytuałów, żeby pokazać ognisty kamień Marthonie czy tobie. Przecież to żadna sztuka; wystarczy trochę poćwiczyć - odparła ze zdziwieniem Ayła.

- Oczywiście, że nie, ale mimo wszystko jest to nowy i ważny sposób. Możliwe, że wywoła niepokój, szczególnie w tych, którzy niełatwo akceptują zmiany - wyjaśniła donier. - Na pewno znasz takich ludzi.

Ayła pomyślała o swych dawnych opiekunach z Klanu, o ich oporze wobec wszelkich zmian i niezdolności do pojmowania nowych idei.

- Oczywiście, znam takich ludzi - powiedziała. - Ale ci, których spotykam ostatnio, wręcz z przyjemnością przyswajają nową wiedzę.

Wszyscy Inni, których dotąd poznała, bez trudu adaptowali się do zmian; wręcz do nich dążyli. Nie wyobrażała sobie nawet, że mogą być wśród nich i tacy, którym nowe metody pracy, nowe sposoby życia nie podobają się ani trochę, którzy je odrzucają. Zmarszczyła brwi, rozważając głębiej tę myśl. Tak, to by tłumaczyło pewne zachowania i incydenty, które wprowadziły ją kilkakrotnie w konsternację - na przykład to, jak niechętnie Zelandonii godzili się z jej zapewnieniami, że Klan to także ludzie. Choćby ta Zelandoni z Czternastej Jaskini, która uparcie nazywała ich zwierzętami. Nawet po wyjaśnieniach Jondalara zachowywała się tak, jakby nie dawała im wiary, zastanawiała się znachorka. Chyba po prostu nie chciała zmienić zdania.

- Zapewne. Większość ludzi lubi poznawać lepsze, szybsze sposoby wykonywania uciążliwych prac, lecz bywa i tak, że wszystko zależy od sposobu ich prezentacji - odpowiedziała po chwili Pierwsza. - Zastanów się na przykład nad sprawą powrotu Jondalara. Nie było go tutaj dość długo. Dojrzał i nauczył się wielu rzeczy, ale ludzie, którzy go znali, nie towarzyszyli mu w Podróży; dla większości z nich jest tym samym młodzieńcem, którym był, wyruszając na wyprawę. Teraz, kiedy wrócił, pragnie podzielić się ze wszystkimi tym, co odkrył i poznał - i chwala mu za to - ale przecież nie zdobył tej wiedzy w ciągu kilku dni. Nawet ten nowy miotacz, który z pewnością ułatwi nam polowania, wymaga wprawy użytkownika. Ci, którzy odnoszą sukcesy, używając tradycyjnej broni, nie będą zbyt chętni do uczenia się nowej metody, choć jestem pewna, że pewnego dnia wszyscy łowcy będą używali waszego wynalazku.

- Rzeczywiście. Korzystanie z miotacza oszczepów wymaga wprawy - przyznała Ayla. - Teraz nie mamy z tym problemu, ale na początku ciężko pracowaliśmy.

- A przecież to tylko jedna z wielu rzeczy - ciągnęła donier, wybierając ze sterty talerz wykonany z łopatki jelenia i nakładając nań strawę. - Co to za mięso? - spytała stojącą opodal kobietę.

- Z mamuta. Myśliwi z Dziewiętnastej Jaskini wybrali się na północ na polowanie. Postanowili podzielić się mięsem ze wszystkimi. Zdaje się, że ubili też nosorożca włochatego.

Dawno już nie jadłam mamuta - powiedziała Zelandoni. - Z rozkoszą skosztuję.

- A ty? Jadłaś kiedy takie mięso? - zwróciła się kobieta do Ayli.

Tak. Mamutoi, ludzie, u których kiedyś mieszkałam, są znanymi łowcami mamutów, choć oczywiście polują też na inną zwierzynę. Tak czy inaczej, minęło sporo czasu, odkąd częstowano mnie czymś takim. Zjem z przyjemnością. Zelandoni zastanawiała się przez moment, czy nie przedstawić Ayli kobiecie, ale doszła do wniosku, że jeśli zacznie pierwszą prezentację, kolejnym nie będzie końca, a przecież miały ze znachorką do omówienia ceremonię z wykorzystaniem ognistego kamienia. Nałożywszy na talerz korzonków, orzechów, zieleniny - pokrzyw, jak się domyślała - i gąbczastych borowików, znowu odwróciła się w stronę znachorki.

- Jondalar przyprowadził do domu ciebie i twoje zwierzęta. Pomyśl tylko, jak zdumiewająca jest ich obecność. Ludzie polują na konie, widują je wyłącznie w dzikich stadach. Z początku są więc przerażeni, kiedy widzą, że klacz i ogier czynią dokładnie to, co im rozkażesz, albo że twój wilk bez trwogi wchodzi w sam środek obozu i zawsze jest ci posłuszny - dodała, teraz dopiero na powitanie kiwając głową w stronę Wilka, choć bez wątplenia zauważyła go już wcześniej. Drapieżca szczechnął cicho, kiedy nań spojrziała.

Ten zwyczaj, który wytworzył się między donier a Wilkiem, dziwił nieco Aylę. Zelandoni nie zawsze witała się z czworonogiem, a on rewanżował się jej podobną obojętnością. Kiedy jednak pozdrawiała go słowem lub gestem, zazwyczaj odzywał się pojedynczym szczechnięciem. Rzadko go dotykała, lecz kiedy już to robiła, Wilk ostrożnie brał w zęby jej dłoń, tak by nie pozostawić śladów. Zawsze pozwalała mu na to, twierdząc, że ona i zwierz rozumieją się doskonale. Ayla miała wrażenie, że istotnie tak było, że jest między nimi niepojęta nić wspólnoty.

Pewnie odpowiesz, że każdy mógłby tego dokonać, gdyby tylko zaczął pracować z bardzo młodym zwierzęciem, ale ludzie tego nie wiedzą. Widzą jedynie coś, co nie jest naturalne w ich świecie, a skoro tak, to znaczy, że musi pochodzić ze świata duchów. Szczerze mówiąc, jestem zdumiona, że tak szybko zaakceptowali twoich nietypowych przyjaciół. Na takie rzeczy potrzeba na ogół dużo czasu. My zaś chcemy pokazać ludziom coś jeszcze dziwniejszego, coś, czego nigdy nie widzieli. Oni cię jeszcze nie znają, Aylo. Jestem pewna, że będą chcieli używać kamieni ognistych, gdy tylko zobaczą je w działaniu, choć z początku będą się ich obawiać. Sądzę, że najrozsądniej będzie pokazać im twoje kamienie jako dar od Matki, a to możemy zrobić dopiero wtedy, gdy Zelandoni zrozumieją zasadę ich działania - zakończyła donier.

Jej wywód był spójny i logiczny, lecz Ayla nie omieszkała przy okazji zauważyć, jak wielka była siła perswazji Zelandoni.

- Kiedy tak to wykładasz, rozumiem - powiedziała znachorka. - Oczywiście, pokażę Zelandoni działanie ognistych kamieni i pomogę ci w zorganizowaniu odpowiedniej ceremonii.

Kobiety dołączyły do rodziny Jondalara i gromadki ludzi z Dziewiętej Jaskini, siedzących w towarzystwie znajomych z innych osad. Po posiłku Zelandoni znowu poprosiła Aylę na stronę.

- Czy na jakiś czas mogłabyś pozostawić Wilka poza chatą? Myślę, że wszyscy powinni skoncentrować się na rozpalaniu ognia, a obecność twojego przyjaciela rozpraszałaby Zelandoni - rzekła.

- Jestem pewna, że Jondalar chętnie się nim zajmie - odparła uzdrowicielka, spoglądając pytająco na swego mężczyznę.

Jondalar skinął głową, a kobieta wstała i nim odeszła, przykazała Wilkowi zostać na miejscu. Jej słowom tradycyjnie towarzyszył gest, którego nie dostrzegła większość postronnych

obserwatorów. Południowe słońce świeciło jaskrawo, przez co mrok panujący w chacie przywódców duchowych sprawiał wrażenie wyjątkowo gęstego, mimo palących się kaganków. Oczy Ayli szybko przywykły do ciemności. Kiedy Pierwsza zaczęła przemawiać, Zelandoni z Czternastej Jaskini niemal natychmiast wpadła jej w słowo.

- Co ona tu robi? - spytała. - Może i jest kobietą Zelandonii, ale na pewno nie należy do Zelandoni. To nie jest jej miejsce.

## ROZDZIAŁ 24

Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą Matce westchnęła ciężko, dając upust frustracji. Nie miała zamiaru okazywać irytacji w bardziej oczywisty sposób, by nie dać wysokiej i chudej Zelandoni z Czternastej Jaskini satysfakcji z tego, że udało jej się wyprowadzić przełożoną z równowagi. Nie mogła jednak milczeć, gdyż obiekcje jej odwiecznej rywalki podsyciły niechęć malującą się już na twarzach niektórych Zelandoni i wzbudziły krzywy uśmieszek na obliczu akolity z Piątej Jaskini, któremu brakowało przednich zębów.

- Masz rację, Zelandoni z Czternastej - powiedziała Pierwsza. - Ci, którzy nie należą do Zelandoni, raczej nie są wpuszczani na nasze spotkania. Są to bowiem spotkania tych, którzy mają za sobą kontakty ze światem duchów, tych, którzy zostali powołani, oraz akolitów, którzy przejawiają talent i czynią postępy w nauce. I dlatego właśnie zaprosiłam tu Aylę. Wiecie już, że jest uzdrowicielką. Bardzo pomogła Shevonarowi, mężczyźnie, który został stratowany przez bizona podczas ostatniego polowania - wyjaśniła donier.

- Shevonar umarł. Nie wiem, czy rzeczywiście mu pomogła, nie badałam go - stwierdziła sucho Czternasta. - Niejeden człowiek wie co nieco o leczniczych ziołach. Prawie wszyscy na przykład wiedzą o korze wierzbowej i jej zdolności do łagodzenia bólu.

- Zapewniam was, że umiejętności Ayli wykraczają daleko poza stosowanie kory wierzbowej - odparła z godnością Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą. - Wśród ludzi, u których mieszkała poprzednio, nazywano ją córką Ogniska Mamuta. U Mamutoi Ognisko Mamuta to to samo, co u nas Zelandoni. To Ci Którzy Służą Matce.

Twierdzisz, że ona jest Zelandoni u Mamutoi? A gdzie jej tatuaż? - Pytanie zadała stara kobieta o białych włosach i bystrych oczach.

Tatuaż, Zelandoni z Dziewiętnastej? - spytała wielka kobieta. Czyżby Dziewiętnasta wiedziała coś, czego ja nie wiem?, pomyślała. Siwa donier była jedną z najbardziej doświadczonych przywódczyń duchowych. Zelandoni z Dziewiętej Jaskini żałowała, że w ostatnich latach jej starszej koleżance tak bardzo dokucza artretyzm. Bliski był moment, kiedy miało jej zabraknąć sił do wędrówki na Letnie Spotkanie. Być może nie byłoby jej już w tym sezonie, gdyby nie to, że zgromadzenie odbywało się w miejscu nieodległym od Dziewiętnastej Jaskini.

- Słyszałam kiedyś o Mamutoi. Jerika z Lanzadonii mieszkała u nich przez jakiś czas, w młodości, kiedy odbywała Podróż z matką i mężczyzną jej ogniska. Któregoś lata, wiele lat temu, kiedy była w ciąży z Joplayą, opiekowałam się nią w chorobie. Wtedy właśnie opowiedziała mi o

Mamutoi. Ich Zelandoni także noszą znaki na twarzach, choć niepodobne do naszych. Skoro więc Ayla jest jedną z nich, to gdzie jej tatuaż?

- Jej szkolenie nie dobiegło jeszcze końca, kiedy odeszła, by połączyć się z Jondalarem. Nie jest więc w pełni Zelandoni. Nazwałabym ją raczej akolitką, ale wiedzą o uzdrawianiu bije na głowę większość z nas. Co więcej, do Ogniska Mamuta adoptował ją Pierwszy z Mamutów, który dostrzegł jej możliwości - dodała donier.

- Chcesz nam powiedzieć, że weźmiesz ją pod opiekę, by została akolitką? - spytała Dziewiętnasta. Akolici, którzy rzadko zabierali głos nie pytani, tym razem zaszemrali cicho.

- Nie w tej chwili. Nie pytałam jej nawet jeszcze, czy chce, żebym dalej poprowadziła jej szkolenie - odpowiedziała Pierwsza.

Ayla słuchała tej wymiany zdań z rosnącą konsternacją. Owszem, nie miałyby nic przeciwko temu, by pogawędzić z niektórymi z zebranych na temat sposobów uzdrawiania, ale wcale nie miała ochoty zostać Zelandoni. Zamierzała zawiązać węzeł z Jondalarem i rodzić dzieci. Zauważyła, że niewiele kobiet Zelandoni miało partnerów i potomstwo. Nie chodziło o to, że odmawiano im prawa do zakładania rodziny. Po prostu ich obowiązki okazywały się na tyle pracochłonne, że nie starczało im czasu, by samemu zostawać matkami.

- W takim razie co ona tutaj robi? - spytała ostro Czternasta.

Jej siwe, cienkie włosy związane były z tyłu głowy w nieco niechlujny kok, z którego sterczały nieefektywnie. Gdyby ktoś zdobył się na uprzejmość wobec oschłej kobiety, mógłby taktownie poradzić jej, by poprawiła fryzurę, ale Pierwsza nawet o tym nie marzyła. Swarliwa Zelandoni traktowała wszelkie, nawet najbardziej niewinne uwagi na swój temat jako przejaw złośliwego krytycyzmu.

- Zaprosiłam Aylę, bo chcę, żeby pokazała wam coś, co bardzo was zainteresuje.

- Czy chodzi o kontrolę nad zwierzętami? - spytał jeden z donier.

Pierwsza uśmiechnęła się ciepło. Wreszcie znalazł się ktoś skłonny przyznać, że niezwykle umiejętności Ayli mogły być cenne dla dumnych Zelandoni.

- Nie, Zelandoni z Południowej Posiadłości Dwudziestej Dziewiętej Jaskini. Być może poświęcimy tej sprawie kolejne spotkanie, ale tym razem zobaczycie coś innego.

Choć Zelandoni z Południowej Posiadłości był tylko pomocnikiem głównej Zelandoni z Dwudziestej Jaskini, hierarchia ta obowiązywała jedynie w chwili, gdy trzeba było przemawiać w imieniu wszystkich mieszkańców Trzech Skał. Przy każdej innej okazji mężczyzna ów był pełnoprawnym Zelandoni, a Pierwsza wiedziała skądinąd, że jest doskonałym uzdrowicielem. Tak czy inaczej, miał pełne prawo głosu, jak każdy inny spośród Zelandoni.



Ayla zauważyła, że Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą zwraca się do swych współpracowników, używając pełnych tytułów, które niekiedy bywały niezbyt wygodne w wymowie - głównie za sprawą przydługich liczb odnoszących się do numerów poszczególnych Jaskiń - ale niewątpliwie brzmiały niezwykle oficjalnie i uroczyście. Pomyślała, że słowa do liczenia były w zasadzie jedynym sposobem na rozróżnianie Zelandoni. Przywódcy duchowi wyzbywali się własnych imion, każdy z nich, bez względu na płeć, był teraz po prostu "Zelandoni", "donier". Wymienili imiona na słowa do liczenia, podsumowała w duchu znachorka.

Kiedy mieszkała w swojej dolinie, wydrapywała znaki na patykach, by zaznaczyć każdy spędzony tam dzień. Nim w jej życiu pojawił się Jondalar, miała już całą wiązkę karbowanych kijów. Gdy sumował nacięcia, używając słów do liczenia, by określić, jak długo przebywała w dolinie, wydawało jej się, że używa magii - tak potężnej, że aż przerażającej. A kiedy uczył ją rachować, wyczuwała, że poznaje słowa niezwyklej wagi dla Zelandonii. Teraz zaś pojęła, że dla Tych Którzy Służą Matce są to wyrazy cenniejsze od imion.

Największa z Zelandoni gestem przywołała Jonokola.

Pierwszy Akolito z Dziewiątej Jaskini, czy możesz zasypać ognisko piaskiem, który kazałam ci przynieść? Pierwsza Akolito z Drugiej Jaskini, zechcesz zgasić wszystkie lampki?

Ayla знаła już obie osoby, które donier poprosiła o pomoc - towarzyszyły jej podczas wizyty w przepastnej grocie opodal Skał Fontanny, gdzie ściany ozdobione były pięknymi wizerunkami zwierząt. Słyszała ciche komentarze i pytania zaciekawionych Zelandoni, którzy wiedzieli już, że Pierwsza szuka dla nich coś wyjątkowo dramatycznego. Starsi, bardziej krytyczni, sposobili się do surowej oceny pokazu - czymkolwiek miał on być. Dobrze znali i rozumieli sposoby oddziaływania na wyobraźnię i nie zamierzali dać się zmylić prostym efektownym sztuczkom.

Kiedy zgasły ostatnie płomienie, we wnętrzu chaty nie zapadła kompletna ciemność. Przecinały ją wąskie smugi słonecznego światła, wciskające się do wnętrza zwłaszcza przez szpary wokół zasłoniętego otworu wejściowego oraz w pobliżu drugiej, mniejszej kotary, dokładnie po przeciwnej stronie chaty. Ayla pomyślała, że kiedy będzie po wszystkim, przejdzie się dookoła chaty Zelandoni, by poszukać wejścia, którego do tej pory nie udało jej się wypatrzeć.

Pierwsza wiedziała doskonale, że pokaz zrobiłby na zebranych znacznie większe wrażenie, gdyby przeprowadziła go w całkowitych nocnych ciemnościach, lecz w tym gronie nie to było najważniejsze. Zelandoni i tak zrozumieliby możliwości, które otwiera przed nimi wynalazek Ayli.

- Może ktoś zechce sprawdzić, czy ogień w palenisku został dokładnie zgaszony? - spytała Zelandoni.

Czternasta natychmiast zgłosiła się na ochotnika. Uważnie obmacała świeżo rozsypany piasek, rozgrzebując go w kilku cieplejszych miejscach, nim wstała i obwieściła wszystkim wynik oględzin.

- Piasek jest suchy i miejscami gorący, ale ognia i żaru już nie ma.

- Aylo, powiedz nam, proszę, czego potrzebujesz do rozpalenia ognia - odezwała się Pierwsza.

W zasadzie tylko tego, co mam przy sobie - odpowiedziała znachorka, wyjmując zestaw do rozpalania ognia, którego używała tak często podczas Podróży. - Hubka jest niezbędna. W gruncie rzeczy wszystko jedno, co w niej będzie, byle łatwo zajmowało się ogniem. Może być kora albo spróchniałe drewno. Dobrze jest też mieć pod ręką małe i większe drzazgi.

W cichym szumie rozmów Pierwsza posłyszała oznaki irytacji. Przywódcy duchowi uważali, że niepotrzebna im lekcja rozpalania ognia - uczono ich tej sztuki od dziecka.

Świetnie, pomyślała z zadowoleniem. Niech sobie zrzedzą. Wydaje im się, że wiedzą wszystko na ten temat.

- Czy mogłabyś rozpaść dla nas ogień, Aylo? - poprosiła Zelandoni.

Znachorka przygotowała pęczek suchych włókien na rozpałkę, w dłoniach zaś dyskretnie ukryła bryłki pirytu żelaza i krzemienia. Kiedy uderzyła jedną o drugą, jaskrawa iskra skoczyła wprost na hubkę, a wtedy Ayła dmuchnęła lekko i dodała pierwsze drzazgi. W czasie krótszym niż zajęłoby jej wyjaśnienie tych prostych czynności, płonęło przed nią małe ognisko.

Z gardeł zebranych wyrwały się mimowolne okrzyki zdumienia. Po chwili odezwał się Zelandoni z Trzeciej Jaskini.

- Czy mogłabyś zrobić to jeszcze raz?

Ayła uśmiechnęła się do starszego mężczyzny, który, jak pamiętała, chętnie i skutecznie pomagał jej, gdy próbowała utrzymać przy życiu nieszczęsnego Shevonara. Cieszyła się, że sędziwy Zelandoni bierze udział w spotkaniu. Przesunęła się o krok dalej i rozpałała drugie ognisko tuż obok pierwszego, w kręgu kamieni wyznaczających centralne palenisko. Potem zaś, już bez niczyjej zachęty, wznieciła płomień po raz trzeci.

W porządku. Jak ona to robi? - zwrócił się do Pierwszej mężczyzna, którego Ayła nie знаła.

To wynalazek Ayli, Zelandoni z Piątej Jaskini. Najlepiej będzie, jeśli sama o tym opowie - odrzekła otyła donier. To ten, którego nie zastaliśmy już w Starej Dolinie, bo wcześniej poprowadził swoich ludzi na Letnie Spotkanie, pomyślała uzdrowicielka. Był to mężczyzna w średnim wieku, o ciemnych włosach, krągłej twarzy i dość pulchnym ciele. Jego małe oczy, błyszczące ponad pucołowatymi policzkami, sprawiały wrażenie chytrych i inteligentnych. Zelandoni z Piątej natychmiast pojął, jakim dobrodziejstwem może być nowa technika rozpalania

ognia, i bez wahania odrzucił dumę, by poznać prawdę. Ayla przypomniała sobie, że akolita bez przednich zębów, którego tak nie lubił Jondalar i którego nastraszył Wilk, także należał do Piątej Jaskini.

- Pierwsza Akolitko z Drugiej, możesz już na powrót zapalić kaganki. Aylo, zademonstruj Zelandoni w jaki sposób rozpałałaś te ogniska - zakomenderowała wielka donier, starając się, by w jej głosie nie było słychać wprost rozpierającego ją zadowolenia. Kątem oka zauważyła, że jej akolita, Jonokol, otwarcie szczyrzy zęby w uśmiechu. Chłopak zawsze z radością obserwował, jak jego mentorka umiejętnie poczyna sobie z inteligentnymi, przebiegłymi, upartymi, a czasem nawet aroganckimi Zelandoni.

Użyłam ognistego kamienia. W taki sposób uderzyłam weń kawałkiem krzemienia - powiedziała znachorka, wyciągając przed siebie otwarte dłonie z bryłką pirytu żelaza i małym pobijakiem.

Widywałam już kiedyś takie kamienie - stwierdziła Zelandoni z Czternastej, wskazując na odłamek pirytu.

- Mam nadzieję, że pamiętasz, gdzie to było - odrzekła Pierwsza. - Nie wiemy jeszcze, czy są rzadkością, czy występują pospolicie.

- Gdzie go znalazłaś? - zainteresował się Piąty.

- Pierwsze znajdowałam w dolinie, bardzo daleko stąd, na wschodzie. W drodze do kraju Zelandonii szukaliśmy ich z Jondalarem, ale bez skutku. Możliwe, że rozglądaliśmy się w niewłaściwych miejscach. Dopiero parę dni temu udało mi się znaleźć kilka w pobliżu Dziewiętej Jaskini - wyjaśniła Ayla.

- Pokażesz nam, jak działają? - spytała wysoka, jasnowłosa kobieta.

Właśnie po to zaprosiłam tu Aylę, Zelandoni z Drugiej Jaskini - wtrąciła Pierwsza.

Ayla była pewna, że nie poznała jeszcze Tej, Która Służyła Matce w Drugiej Jaskini, a jednak w rysach donier było coś znajomego. Po chwili znachorka przypomniała sobie o przyjacielu Jondalara, Kimeranie, tak podobnym do niego z racji imponującego wzrostu i koloru włosów. Mężczyzna ów był przywódcą Drugiej Jaskini, jasnowłosa Zelandoni zaś, choć nieco starsza, była do niego uderzająco podobna. Układ, w którym brat był wodzem grupy, a siostra jej przywódczynią duchową, przypominał Ayli zwyczaję Maniutoi - uśmiechnęła się do własnych wspomnień - tyle że tam rodzeństwo dzieliło się przywództwem, sprawami zaś duchowymi zajmował się Mamut.

Przyniosłam tu tylko dwa ogniste kamienie - powiedziała uzdrowicielka - ale w obozie mamy ich więcej. Jondalar jest w pobliżu; może przynieść kilka, żeby każdy mógł spróbować. - Otyła Zelandoni skinęła głową, dając Ayli znak, że powinna kontynuować. - Krzesanie ognia nie

jest trudne, potrzeba tylko odrobiny wprawy. Przede wszystkim należy mieć pod ręką odpowiednią hubkę, a wtedy wystarczy celnie uderzyć. Iskra będzie się palić na tyle długo, by włókna zajęły się płomieniem.

Kiedy Ayla demonstrowała swe umiejętności, Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą dyskretnie wysłała Mikołana, Drugiego Akolitę z Czternastej Jaskini, by odnalazł Jondalara. Przyglądając się zgromadzonemu, donier doszła do wniosku, że nikt nie próbuje trzymać się z dala; nikt nie wyraża już wątpliwości. Nowa metoda rozpalania ognia nie była tanią sztuczką; była sprawdzonym sposobem, którego każdy chciał się nauczyć, i to jak najszybciej - a Zelandoni wiedziała, że wkrótce to nastąpi. Ogień był zbyt ważny, by ktokolwiek mógł pozwolić sobie na niewiedzę.

Dla ludzi z zimnych, peryglacjalnych regionów ogień był bodaj najistotniejszym zjawiskiem; jego okiełznanie wyznaczało granicę między śmiercią a przetrwaniem. Każdy musiał umieć rozniecić płomień, podtrzymać go i przetrzymać z miejsca na miejsce. Choć przez większą część roku na ziemiach Zelandonii panował chłód, rozległe połacie otaczające masyw lodowca sięgający daleko na południe od bieguna tętniły życiem. Na północy mroźne i suche zimy były zbyt surowe, by mogły je przetrwać drzewa, jednak w strefie umiarkowanej klimat był łagodniejszy i nosił wyraźne znamiona sezonowości. Lata bywały wręcz gorące, a wtedy na trawiastych równinach pojawiały się nieprzebrane stada zwierząt roślinożernych - one zaś były niezbędnym pokarmem dla istot drapieżnych i wszystkożernych.

Wszystkie gatunki zwierząt występujące na obszarach okołolodowcowych przystosowały się do surowych warunków panujących w porze zimowej: ich skórę pokrywały ciepłe, gęste futra. Wszystkie, z wyjątkiem jednego: bezwłosy człowiek, istota bardziej nadająca się do życia w tropikach, był w zasadzie bez szans. A jednak z czasem pojawił się w strefie peryglacjalnej, zwabiony bogactwem pożywienia, i przetrwał tylko dlatego, że nauczył się kontrolować ogień. Używając futer zwierząt, które zabijał dla mięsa, mógł przeżyć krótki czas nawet w najtrudniejszych warunkach, lecz by normalnie egzystować - żyć w ciepłe, wypoczywać, spać, gotować warzywa i mięso, uzdatniając je do spożycia - musiał zapanować nad płomieniami. Kiedy nie brakowało opału, traktował ogień jak coś najzupełniej oczywistego, choć nigdy nie zapominał o jego znaczeniu. Gdy zaś brakowało drewna lub gdy aura nie była sprzyjająca, uświadamiał sobie i to, że posiadanie ognia jest warunkiem przetrwania.

Zaledwie kilka osób zdążyło wykrzesać ogień i podać dalej jeden z dwóch ognistych kamieni, gdy zjawił się Jondalar z większą liczbą bryłek. Pierwsza osobiście odebrała je z jego rąk, stojąc u wejścia do chaty, przeliczyła w myśli i przekazała Ayli, Teraz szkolenie poszło znacznie szybciej. Kiedy każdy z Zelandoni co najmniej raz rozpałił ogień, znachorka pokazała nową

technikę akolitom, w czym pomagali jej już co bardziej pewni siebie donier. Wreszcie Zelandoni z Czternastej Jaskini postawiła pytanie, które każdy z zebranych chciał zadać Ayli.

- Co zamierzasz zrobić z tymi ognistymi kamieniami?

- Jondalar od początku planował podzielić się nimi ze swoim ludem - zaczęła Ayła. - Willamar wpadł na pomysł, żeby wykorzystać je w handlu. Wszystko zależy od tego, ile ich zdołamy znaleźć. Nie wydaje mi się, żeby odpowiedź na twoje pytanie należała jedynie do mnie.

- Naturalnie. Wszyscy powinni zająć się poszukiwaniami, ale czy sądzisz, że już teraz masz ich wystarczająco dużo, by każda Jaskinia biorąca udział w Letnim Spotkaniu mogła dostać co najmniej jeden? - spytała Pierwsza, choć dobrze znała odpowiedź, bo sama przeliczyła bryłki.

- Nie jestem pewna, ile Jaskiń przybyło, ale wydaje mi się, że starczy dla wszystkich - odrzekła z namysłem Ayła.

- Jeśli wypadnie po jednym kamieniu na Jaskinię, moim zdaniem należy je oddać w ręce Zelandoni - oświadczyła Czternasta.

- Zgadzam się. Uważam też, że na razie powinniśmy zachować dla siebie sekret szybkiego rozpalania ognia. Wyobraźcie sobie podziw ludzi, kiedy przekonają się, że tylko my potrafimy dokonać takiej sztuki. Już widzę reakcję całej Jaskini na pokaz dokonany przez Zelandoni w zupełnej ciemności - dodał z zapalem Zelandoni z Piątej. Jego oczy wprost płonęły entuzjazmem. - Moglibyśmy wzmocnić naszą władzę, a przy okazji nadać wszelkim ceremoniom jeszcze lepszą oprawę.

- Masz rację, Zelandoni z Piątej - przytaknęła Czternasta. - Świetny pomysł.

- A może raczej trzeba powierzyć ogniste kamienie Zelandoni i przywódcy każdej jaskini? - zasugerował Jedenasty. - Uniknęlibyśmy konfliktów. Ja na przykład wiem, że Kareja nie byłaby zachwycona, gdyby odmówiono jej kontroli nad tym nowym sposobem rozpalania ognia.

Ayła obdarzyła ciepłym uśmiechem szczupłego, niewysokiego mężczyznę, którego zapamiętała głównie za sprawą otaczającej go aury wewnętrznej mocy oraz z racji zaskakująco silnego uścisku dłoni. Podobało jej się, że Zelandoni z Jedenastej jest lojalny wobec przywódczyni Jaskini.

- Ogniste kamienie są zbyt ważnym nabytkiem dla Jaskini, by ich istnienie utrzymywać w tajemnicy - powiedziała Pierwsza. - Jesteśmy tu po to, by Służyć Matce. Wyrzekamy się nawet własnych imion, by stać się jednością z naszym ludem. Przede wszystkim musimy czynić to, co leży w interesie naszych Jaskiń. Nie przeczę, że zatrzymanie ognistych kamieni do własnego użytku to nęcąca perspektywa, ale nasze życzenia znaczą mniej niż dobro wszystkich Zelandonii. Kawałki skał znalezione w ziemi są kośćmi Wielkiej Matki Ziemi. Są darem od Niej, którego nie możemy sobie przywłaszczyć.

Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą umilkła, spoglądając badawczo na twarze zasłuchanych Zelandoni. Dobrze wiedziała, że sekretu ognistych kamieni nie udałoby się utrzymać w wąskim gronie. Rozczarowanie zebranych było doskonale widoczne; niektórzy wyglądali wręcz na gotowych do otwartego sprzeciwu. Donier była prawie pewna, że Czternasta odezwie się pierwsza.

- Nie możecie zachować w tajemnicy tego odkrycia - odezwała się Ayla, spoglądając na zebranych spod zmarszczonych brwi.

Dlaczego nie? - spytała Czternasta. - Moim zdaniem tak właśnie powinniśmy postąpić.

- Dałam już kilka bryłek rodzinie Jondalara.

- Szkoda - zmartwił się Piąty, ale pokręciwszy głową, szybko doszedł do wniosku, że nie ma sensu roztrząsać zamkniętej kwestii. - Co się stało, to się nie odstanie.

- I bez ognistych kamieni mamy dość władzy - rzekła Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą Matce. - Możemy jednak użyć ich na początek do własnych celów, na przykład przygotowując efektowną uroczystość, podczas której zaprezentujemy je wszystkim Jaskiniom. Moim zdaniem najlepiej będzie, jeśli to Ayla rozpali jutro ceremonialne ognisko.

- Ale czy wczesnym wieczorem będzie wystarczająco ciemno, by wszyscy zobaczyli iskrę? Może lepiej byłoby pozwolić ognisku zgasnąć, gdy zapadnie zmrok, a potem zapalić je ponownie za pomocą tych bryłek? - zaproponował Zelandoni z Trzeciej.

- A skąd ludzie będą wiedzieli, że zostało wzniecone od iskry, a nie od żarzącego się węgla? - spytał niemłody mężczyzna o jasnych włosach. Ayla nie potrafiła odgadnąć, czy był blondynem, czy już osiwiiał. - Nie, moim zdaniem trzeba rozpalić kamieniem zupełnie nowe ognisko, ale zgadzam się, że musi to nastąpić w ciemności. O zmroku, kiedy wzniecamy ceremonialne płomienie, zbyt wiele spraw odwraca uwagę ludzi. Tylko w całkowitej ciemności wszyscy spojrzą na iskrę z należytytym skupieniem. Zobaczą to, co chcemy, żeby zobaczyli.

- Racja, Zelandoni z Siódmej Jaskini - przytaknęła Pierwsza.

Ayla zauważyła, że nieznajomy siedzi obok wysokiej, jasnowłosej kobiety z Drugiej Jaskini i że jest do niej bardzo podobny. Mógł być nawet starszym mężczyzną jej ogniska; partnerem babki. Przypomniała sobie słowa Jondalara, który mówił jej kiedyś, że Siódmą i Drugą Jaskinię, leżące po przeciwnych stronach rozlewiska Małej Rzeki Traw - dopływu Rzeki Traw - łączą więzy pokrewieństwa. Pamiętała o tym dobrze, Drugą Jaskinię nazywano bowiem Ogniskiem Starszych, a Siódmą - Skalą Końskiego Łba, Jondalar zaś obiecał, że zawitają tam na jesieni i wtedy pokaże jej ów łeb wyrzeźbiony w kamieniu.

- Możemy zacząć ceremonię bez ogniska i rozpalić je dopiero po zmroku - zasugerowała Zelandoni z Dwudziestej Dziewiątej Jaskini.

Była niebrzydka kobietą o łagodnym uśmiechu, lecz dzięki swej zdolności czytania mowy ciała Ayla dostrzegła w niej silną osobowość i skłonność do gwałtowności. Znachorka widziała się z nią dotąd tylko przelotnie, ale z tego, co mówiono, wynikało, że tej właśnie kobiecie zawdzięczać należy trwałość związku Trzech Skał, czyli Dwudziestej Dziewiątej Jaskini.

- Ludzie uznaliby to za dziwaczne, gdyby ceremonialne ognisko nie paliło się od początku uroczystości, Zelandoni z Dwudziestej Dziewiątej - skontrolował Zelandoni z Trzeciej. - Być może najlepiej byłoby zaczekać ze wszystkim aż do zapadnięcia nocy.

- A czy możemy zaproponować im coś wcześniej? Niektórzy zjawią się na miejscu już późnym popołudniem; będą zniecierpliwieni, jeśli każemy im zbyt długo czekać - dorzucił nowy głos.

Należał do kobiety w średnim wieku, niemal tak otyłej jak Pierwsza, lecz znacznie od niej niższej. O ile imponujący wzrost i tusza wielkiej Zelandoni nadawały jej swoistego majestatu, o tyle korpulencja tej niewiasty kojarzyła się raczej z matczynym ciepłem.

- Może ktoś zajmie ich ciekawymi historiami, Zelandoni z Zachodniej Posiadłości? Opowiadacze są już na miejscu - zaproponował młody mężczyzna siedzący obok niej.

- Historyjki kłócą się z powagą ceremonii, Zelandoni z Północnej Posiadłości - odparła Zelandoni z Dwudziestej Dziewiątej Jaskini.

- Rzeczywiście. Masz rację, Zelandoni z Trzech Skał - odpowiedział szybko młodzieniec, z szacunkiem skłaniając głowę przed główną Zelandoni z Dwudziestej Dziewiątej Jaskini.

Ayla zauważyła, że czworo Zelandoni z Dwudziestej Dziewiątej zwraca się do siebie, używając nazw swych osad, a nie słów do liczenia. Zaraz jednak doszła do wniosku, że jest to jedyna sensowna strategia: przecież wszyscy należeli do tej samej Jaskini. Cóż za zawiła sytuacja, pomyślała. Jednak Zelandoni jakoś sobie radzili.

- W takim razie niech ktoś opowiada o poważnych sprawach - rzucił myśl Zelandoni z Południowej Posiadłości.

Był to ten sam mężczyzna, który pytał Pierwszą, czy Ayla przyszła w sprawie swoich zwierząt. Południowa Posiadłość, czyli Skała Odbicia, była siedzibą Jaskini dowodzonej przez Denannę - kobietę, która zdaniem Ayli odnosiła się do niej - a może raczej do jej koni i wilka - z nieukrywaną niechęcią. W głosie Zelandoni nie było jednak śladu wrogości, którą przejawiała przywódczyni.

- Joharran chciałby omówić kwestię płaskogłowych i tego, czy należy uznać ich za ludzi - powiedział Zelandoni z Jedenastej. - To bardzo poważna sprawa.

Tylko że ludzie nie chcą słuchać o takich sprawach. Ten temat zachęciłby ich do sporów, a przecież nie chcemy chyba, żeby Letnie Spotkanie rozpoczęło się od kłótni. Wkrótce spierano by

się o wszystko - zauważyła Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą. - Musimy przygotować ludzi, zanim zaczniemy im przedstawiać całkiem nowe koncepcje na temat płaskogłowych.

Ayla zastanawiała się przez moment, czy wolno jej wygłosić komentarz.

- Zelandoni - odezwała się wreszcie. - Czy mogę coś zasugerować? - Znachorka była pewna, że nie wszyscy Zelandoni są zadowoleni, iż zabrała głos.

- Ależ oczywiście, Aylo - odpowiedziała Pierwsza.

- W drodze do Jaskiń Zelandonii zatrzymaliśmy się z Jondalarem u Losadunai. Podarowaliśmy Losadunie i jego partnerce kilka ognistych kamieni... dla całej Jaskini... bo byli dla nas mili i chętnie nam pomogli - dokończyła Ayla z wahaniem.

- Tak? - zachęciła ją Zelandoni.

- Kiedy szykowali uroczystość, podczas której mieli zaprezentować wszystkim ogniste kamienie, postanowili przygotować dwa paleniska - ciągnęła znachorka. - Jedno rozpalono, a drugie pozostawiono w spokoju. Kiedy nadszedł czas, zgasili to, które płonęło, a wtedy zapadła tak gęsta ciemność, że ludzie nie widzieli nawzajem swoich twarzy. Nie widzieli także żarzących się węgla, więc było oczywiste, że kiedy zapaliłam drugie ognisko, uczyniłam to zupełnie innym sposobem.

Na chwilę zapadła cisza.

- Dziękuję, Aylo - odezwała się w końcu Zelandoni. - Sądzę, że to dobry pomysł. Być może zorganizujemy tu coś podobnego... Zdaje się, że taka demonstracja wywarłaby odpowiednio silne wrażenie.

- Ja także jestem za - dorzucił Zelandoni z Trzeciej. - Dzięki temu moglibyśmy mieć tradycyjny, ceremonialny ogień od samego początku uroczystości.

- I gotowe, zimne palenisko, które dodatkowo pobudziłoby ciekawość ludzi. Zastanawialiby się, po co je uszykowaliśmy - dodał Zelandoni z Zachodniej Posiadłości Dwudziestej Dziewiątej Jaskini.

- W jaki sposób zgasimy pierwszy ogień? Jeśli użyjemy wody, będzie mnóstwo pary - zastanawiał się Jedenasty.

- A jeśli mokrego piachu, płomień znikną natychmiast.

- A co powiecie na świeży muł? - spytał ktoś, kogo Ayla jeszcze nie знаła. - Będzie trochę pary, a węgle zgasną od razu.

- Podoba mi się pomysł z wodą i wielkim obłokiem pary - odezwał się ktoś z tyłu. - To robi wrażenie.

- Nie, nie. Lepiej zgasić szybko. To dopiero będzie efekt: w jednej chwili jasno, w następnej nieprzenikniony mrok.



Znachorka nie знаła jeszcze wszystkich Zelandoni, a teraz, kiedy dyskusja ożywiła się z każdą chwilą, zebrani przestawali stopniowo zwracać się do siebie w formalny sposób, co uniemożliwiało identyfikację. Do tej pory Ayla nie zdawała sobie sprawy, ile planowania wymaga przygotowanie ceremonii. Zawsze wydawało jej się, że uroczystości przebiegają spontanicznie, że Zelandoni i inni ludzie odpowiedzialni za kontakty ze światem duchów są po prostu przedstawicielami owych niewidzialnych sił. Uczestnicy narady dyskutowali tymczasem coraz swobodniej i uzdrowicielka pomyślała, że wie już, dlaczego niektórzy z nich niechętnie przystali na jej obecność. Jednak im bardziej szczegółowe kwestie omawiano, tym głębiej Ayla pograżała się we własnych myślach.

Zastanawiała się nad tym, czy mogurowie Klanu także planowali swe ceremonie tak precyzyjnie. Doszła do wniosku, że tak, choć w nieco odmienny sposób. Uroczystości Klanu miały długą tradycję i zawsze odbywały się w taki sam sposób jak dawniej, a przynajmniej starano się, by nic nie ulegało zmianie. Teraz dopiero, z perspektywy czasu, rozumiała w pełni, jak wielkim problemem musiało być dla Creba, wielkiego mogura, włączenie jej do udziału w jednej z najświętszych ceremonii.

W zamyśleniu rozejrzała się po wielkiej, okrągłej, letniej chacie wszystkich Zelandoni. Podwójne ściany zbudowane z pionowych paneli wytyczały przestrzeń o podobnym kształcie, ale większych rozmiarach niż wewnątrz typowego domostwa z obozu Dziewiętej Jaskini. Przenośne parawany, które na co dzień rozgraniczały poszczególne miejsca do spania, stłoczono tym razem w jednym miejscu. Ayla zauważyła, że ustawiono obok siebie wiele posłań, a wszystkie były dość wysokie. Przypomniała sobie, że podobnie wyglądały łóżka w domostwie Zelandoni w Dziewiętej Jaskini. Zastanawiała się przez moment, dlaczego skór nie ułożono wprost na ziemi, i wreszcie domyśliła się, że były zapewne przeznaczone dla chorych, których łatwiej było doglądać, gdy leżeli na podwyższeniu.

Podłogę tworzyły maty, z reguły zdobione skomplikowanymi, pięknymi wzorami. W kilku miejscach stały na niej stołki i leżały miękkie poduszki do siedzenia, niedbale rozmieszczone wokół niskich ław różnej wielkości. Na blatach ustawiono kaganki tłuszczowe o wielu knotach, wykonane z piaskowca lub wapienia, palące się dzień i noc w mrocznym wnętrzu chaty. Większość lampek wyżłobiono i wyszlifowano w starannie dobranych bryłach kamienia, lecz - podobnie jak w domostwie Marthony - były i prostsze modele, sporządzone z naturalnie zagłębionych lub pospiesznie łupanych brył, w których ważne było jedynie miejsce na roztopiony tłuszcz. W pobliżu większości kaganków stały małe figurki kobiet, zatknięte w ubity piach wypełniający małe, bogato zdobione, drewniane miseczki. Wszystkie rzeźby były do siebie podobne, lecz nie było dwóch

identycznych. Ayla oglądała już niejedną i wiedziała, że to donii - jak mówił Jondalar - wizerunki Wielkiej Matki Ziemi.

Rozmiary donii bywały rozmaite; wahały się zwykle od czterech do ośmiu cali, lecz każda z figurek sporządzona była tak, by można ją było trzymać w dłoni. Nie brakowało takich, w których artyści dodawali elementy abstrakcyjne lub wyolbrzymiali cechy postaci. Ramiona i dłonie rzeźbionych kobiet były ledwie sugestiami prawdziwych członków, nogi zaś, pozbawione stóp, zwięzały się ku dołowi, tak by można było zatknąć małe dzieło sztuki wprost w ziemi. Nie były to portrety konkretnych osób, a raczej ogólne wyobrażenia kobiecego ciała, być może wzorowane na znanych artystom niewiastach. Typowa donii nie była młodką o sterczących piersiach, zaczynającą dorosłe życie. Nie była też wędrowniczka o żyłastym ciele, wiecznie poszukującą pożywienia.

Donii wyobrażała kobietę o bujnym ciele, wyraźnie doświadczoną życiowo. Nie ciężarną, ale mającą potomstwo. Szerokie pośladki nieznacznie tylko przewyższały rozmiarami wielkie piersi, zwieszające się nad dużym, dość obwisłym brzuchem niewiasty, która powiła i wykarmiła kilkoro dzieci. Korpulentna postać doświadczonej kobiety sugerowała jednak coś więcej niż tylko płodność. W świecie Zelandonii ten, kto był otyły, musiał żyć dostatnio i wygodnie. Mała figurka była więc portretem dobrze odżywionej, spełnionej matki, która nie tylko rodziła, ale i zapewniała byt swoim dzieciom; była symbolem dobrobytu i hojności.

Nie był to zresztą koncept zbyt daleki od rzeczywistości. Ludowi Zelandonii trafiały się niekiedy lata chude, jednak w sumie cała społeczność żyła na niezłym poziomie. Nie brakowało w niej otyłych kobiet; anonimowy rzeźbiarz musiał przecież wiedzieć, jak wygląda ktoś taki, by w każdym detalu wiernie odwzorować rzeczywistość. Późną wiosną, kiedy pustoszały spiżarnie, a szata roślinna dopiero budziła się do życia, znalezienie pożywienia mogło nastęrczać trudności. Zwierzętom także żyło się wtedy trudniej: były chude, a ich mięso, twarde i prawie pozbawione tłuszczu, nie było zbyt smaczne czy pożywne; nawet szpiku w kościach było znacznie mniej. Ludzie jednak - choć nie jadaliby zbyt wykwintnie - z reguły nie głodowali.

Dla tych, którzy żyli, polując i zbierając, ziemia była w istocie wielką matką karmiącą swe potomstwo. Dawała im to, czego potrzebowali. Ludzie nie siali zbóż, nie doglądali plonów, nie nawadniali ziemi, nie paśli zwierząt, nie chronili ich przed drapieżcami ani nie zbierali dla nich paszy na zimę. Wszystko, co oferowała planeta, należało do nich, jeśli tylko wiedzieli, gdzie szukać i co zbierać. Nie mogli jednak liczyć na hojność ziemi w stu procentach, czasem bowiem spotykała ich przykra niespodzianka.

Każda figurka donii była naczyniem, w którym mieszkał duch Wielkiej Matki Ziemi, a także milczącym oświadczeniem woli przetrwania, skierowanym ku niewidzialnym siłom kontrolującym ludzkie życie. Była elementem magii, która z jednej strony miała uświadamiać

Matce potrzeby człowieka, a z drugiej domagać się ich zaspokojenia. Donii była wyrazem nadziei na to, że nietrudno będzie znaleźć jadalne rośliny, a zwierzęta będą tłuste i łatwe do upolowania. Była błaganiem o szczodrość ziemi, o obfitość pokarmu i brak trosk. Donii była wreszcie postacią wyidealizowaną, wzorem, do którego ludzie pragnęli dążyć.

- Chciałabym podziękować Ayli...

Znachorka została wyrwana z zadumy tak nagle, że na dźwięk swego imienia natychmiast zapomniała, o czym rozmyślała.

- ...za jej chęć pokazania nowego sposobu rozpalania ognia wszystkim Zelandoni, a także za cierpliwość dla tych z nas, którym nauka nie przychodziła zbyt łatwo - zakończyła Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą.

Odezwał się chór potakujących głosów; nawet Zelandoni z Czternastej Jaskini wydawała się szczerą, kiedy okazywała znachorce wdzięczność. Po chwili rozpoczęła się dyskusja o szczegółach tegorocznego Letniego Spotkania i o zbliżających się ceremoniach, a zwłaszcza tej najważniejszej: o Zaślubinach. Ayła miała nadzieję, że będzie to główny temat rozmów, lecz przywódcy duchowi ustalili, iż detalami uroczystości zawiązania węzła zajmą się innym razem. Dyskusja zeszała na temat młodych akolitów.

Zelandoni z Dziewiątej Jaskini powoli wstała.

- Zadaniem Zelandoni jest pielęgnowanie historii naszego ludu. - To powiedziawszy, spojrzała na grono uczniów, lecz Ayła czuła, że słowa donier są skierowane także i do niej. - Ważną częścią szkolenia akolity jest wyuczenie się na pamięć Legend Starszych i Historii. Dzięki nim wiemy, kim są Zelandonii i skąd wzięli się Ludzie. Poza tym nauka jest najlepszym ćwiczeniem dla pamięci, a nasi uczniowie muszą wiele zapamiętać, by stać się jednym z nas. Proponuję, byśmy zakończyli to spotkanie Pieśnią Matki.

Kobieta umilkła, koncentrując się na własnej pamięci, by wydobyć z niej treść opowieści, którą przyswoiła sobie tak wiele lat temu. Była to najważniejsza ze wszystkich Legend Starszych, jako że opowiadała o początkach wszechrzeczy. Po to, by Legendy łatwiej było wryć sobie w umysł, nadano im postać wierszy o ustalonym rytmie. Dodatkowym czynnikiem sprzyjającym zapamiętywaniu była melodia. Jeżeli skomponował ją ktoś, kto miał talent muzyczny, ludzie uczyli się jej z przyjemnością.

Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą stworzyła dla Pieśni Matki własną melodię i wielu ludzi już zaczynało ją opanowywać. Kobieta poczęła śpiewać swym czystym, silnym, pięknym głosem.

Z jądra ciemności, z chaosu czyśćca, Z wiru zrodzona Matka najwyższa. Wiedziała zrazu, jak życie cenić - Świat był zbyt pusty dla Matki Ziemi.

Matka, wciąż w samotności. Jedyna zrodzona z Ciemności.

Ayla poczuła dreszcz, rozpoznając słowa Pierwszej. Dołączyła do pozostałych, gdy zgodnym chórem recytowali i śpiewali ostatni wers.

Z prochu narodzin stworzyła Jego: Druha, kompana blad srebrnego. Razem wzrastali z miłością, wiarą, A gdy czas nadszedł, stali się parą.

Od zmroku po błąd rano, Jej srebrnobiały kochanek.

Znachorka pamiętała także ostatnią linię drugiej zwrotki. Potem zaś wsłuchiwała się w słowa kolejnych strof, starając się powtarzać bezgłośnie te fragmenty, które utkwiły jej gdzieś w zakamarkach umysłu. Chciała przyswoić sobie całość, gdyż uwielbiała tę historię oraz to, jak wyśpiewywała ją Pierwsza. Sam głos donier wystarczył, by wycisnąć łzy z oczu Ayli. Choć wiedziała, że nigdy nie będzie śpiewać tak doskonale, pragnęła zapamiętać przynajmniej głowa. Podczas Podróży poznała je w wersji Losadunai, u których zatrzymali się z Jondalarem przed wędrówką przez lodowcowy płaskowyż, jednak język, rytm i częściowo także treść różniły się nieco od tej wersji, którą prezentowała Zelandoni. Ayla nadstawiała więc uszu, by nie uronić ani słowa.

Mroczne pustkowia i naga Ziemia Czekają wraz na cud narodzenia. Krew z krwi Wielkiej Matki i kość z kości - Dla niej pęknać miały skalne wnętrza.

Uwiercie, jeśli nie wierzycie: Matka dała nowe życie.

Jondalar kilkakrotnie cytował swej kobiecie pojedyncze wersy Pieśni, ale nigdy nie zdołał nadać im dramatycznej mocy, która emanowała ze słów Pierwszej Wśród Tych Którzy Służą Matce. Zresztą, pomyślała Ayla, jego wersja była nieco inna.

Odeszły wody do rzek, jezior, mórz, Zalewając Ziemię i wszcz, i wzdłuż. Jej oblicze wkrótce zmieniło się: Spowity je kokon traw i gąszcz drzew. Odeszły wody, wszystko się zmieni. Czas skąpać Ziemię w zieleni.

Pluły ogniem szczyty gór rodzących, Wstrząsał nimi ból życie dający. W ochrę krew się zmieniała, gdy krzepła - Warta krwi chwila ta, warta piekła! Matka patrzy nań już w zachwycie; promiennej istocie dała życie.

Góry ogniem płuc nie przestawały, Gdy potomek jej ssal ziemskie skały. Mocno ssal; w niebo z iskrą szła iskra, Z iskier mlecznych oto droga gwiazdzista. Życie się zaczyna. Matka karmi syna.

To był jeden z tych fragmentów, które lubiła najbardziej - przypominał jej o własnych doświadczeniach, o wysiłku, za który najwspanialszą nagrodą był ów mały, cudowny chłopiec.

Wymknął się chyłkiem, gdy Matka spała, Ciemność zaś na to tylko czekała: Kusi i mami wizją przygody - W sidłach chaosu jest już syn młody.

W pustce i ciemności - kres Jego jasności.

Znachorka myślała teraz o Broudzie, który odebrał jej syna... Zelandoni opowiadała piękną historię tak doskonale, że Ayla - choć znała jej treść - znowu niepokoiła się o los Matki i jej dziecka. Nieświadomie pochylała się naprzód, by słuchać w napięciu.

I srebrny partner gotów był rzucić Na szalę wszystko, aby ukrócić Potęgę mroku. Razem ruszyli, Parli, ciągnęli, aż... zwyciężyli!

Niech pochwalona będzie ich siła! Jasność na świat powróciła!

Ayla odetchnęła głęboko i rozejrzała się dyskretnie. Nie była jedyną osobą przysłuchującą się Pieśni jak w transie. Wszyscy w napięciu wpatrywali się w wielką donier.

Z bólem w sercu Wielka Matka żyła: Ciemność od syna ją oddzieliła. Chciała mieć dziecię we dnie i w nocy; Sięgnęła znów do życiowej mocy.

Na poły straciła pierwszego syna. Nadeszła pora nowe życie wszczynać.

Łzy ciekły strumieniami po policzkach Ayli. Ból, który czuła, pozostawiając swego syna z ludźmi Klanu, powrócił z wielką mocą. Z całego serca współczuła niedoli Matki.

Puściła znowu życia nasienie Na lodem skutą i martwą Ziemię. A łzy ronione nad synem Słońcem W rosy zmieniły się krople drżące.

Życiodajne wody zieleń wróciły, lecz łez Matki Ziemi nie zmyły.

Uzdrowicielka była pewna, że już nigdy nie będzie myśleć o kroplach rosy w taki sposób jak dawniej. Od tej pory zawsze miały jej przypominać o łzach Matki.

Z łoskotem wielkim już pęka skała, A z groty wielkiej, co pod nią stała, Na świat wychodzi, aby się pienieć, Nowe potomstwo: to Dzieci Ziemi.

Z łona Matki wprost na Ziemię zstępuje już nowe plemię.

Kolejny fragment Pieśni nie był już tak przygnębiający - za to niezwykle ciekawy, wyjaśniał bowiem, skąd wziął się świat, jakim znali go ludzie.

Były Jej dziełem, były Jej dumą, Lecz wyczerpana dokonań sumą Dodała to, na co sił jej stało: Dziecię, co będzie ją pamiętało.

Dziecię pełne pokory. Nie skusi go fantazji poryw.

Pierwsza Kobieta, w pełni dojrzała, Przyszła na świat i zaraz musiała Szukać schronienia, jadła i picia, Ucząc się czcić dar pierwszy: Dar Życia.

Pierwsza Kobieta w dziewiczym kraju. Pierwsza z ludzkiego rodzaju.

Ayla uniosła głowę i zauważyła, że obserwuje ją Zelandoni. Rozejrzała się niespokojnie, a kiedy znowu zatrzymała wzrok na obliczu otyłej donier, ta nie patrzyła już w jej stronę.

Więc Matka, pomna swej samotności, I srebrzystego druha czułości, Ostatkiem siły w łonie jej żyznym, Poczęła byt Pierwszego Mężczyzny.

Raz jeszcze dawała sownice. Raz jeszcze dawała życie.

I Ją, i Jego poczęła z siebie, Im we władanie oddała Ziemię, Wody i łądy, stworzenie wszelkie, By im służyły w hojności wielkiej.

Mogli się cieszyć świata majątkiem - byle z umiarem, byle z rozsądkiem.

Dzieciom swym Matka Dary oddała, By ich nie zmogła życia nawała.

Na koniec jednak Dar Przyjemności Dała im, by Ją czcili w miłości.

Najpiękniej modły do Matki wznoszą ci, co ją chwalą, dzieląc się rozkoszą.

Spojrzała Matka z zadowoleniem Na tych, co ziemskim są dziś plemieniem. Jeszcze kazała im pary tworzyć, By Przyjemność z miłością pomnożyć... Nim spoczęła Matka wśród chwały - one już bez pamięci kochały.

Teraz Dzieci Ziemi są błogosławione. Niech spłynie spokój na Jej ciało znużone.

Ostatnie dwie linie Pieśni wydawały się Ayli dość dziwne. Łamały ustalony rytm, toteż zastanawiała się, czy nie ma w nich błędu. Kiedy spojrzała na Zelandoni, przekonała się, że donier ponownie przeszywają wzrokiem - a nie było to uczucie zbyt przyjemne. Spuściła głowę i po chwili znowu popatrzyła na Pierwszą, lecz i tym razem ich oczy spotkały się.

Kiedy narada dobiegła końca, Zelandoni odnalazła Aylę.

- Muszę odwiedzić obóz Dziewiętej Jaskini - powiedziała, krocząc niezgrabnie obok znachorki. - Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy poszły razem?

- Ależ skąd - zaprzeczyła gorliwie Ayla.

Przez dłuższą chwilę szły w milczeniu. Uzdrowicielka wciąż jeszcze przeżywała w duchu wzruszającą legendę, donier zaś czekała cierpliwie na jej reakcję.

- To było naprawdę piękne, Zelandoni - odezwała się wreszcie Ayla. - Kiedy mieszkałam w Obozie Lwa, moi gospodarze od czasu do czasu przygrywali sobie na instrumentach, tańczyli i śpiewali. Niektórzy mieli naprawdę wspaniałe głosy, ale żaden nie dorównywał twojemu.

- To dar od Matki. Nie zrobiłam nic, by go w sobie wykształcić; po prostu urodziłam się z nim. A Legenda o Matce właśnie dlatego nazywa się Pieśnią Matki, że ludzie lubią ją śpiewać - wyjaśniła Zelandoni.

- Jondalar próbował przekazać mi fragmenty Pieśni Matki, kiedy byliśmy w Podróży. Mówił, że nie pamięta wszystkiego. I rzeczywiście w wielu miejscach używał innych słów.

- To całkiem normalne. Istnieje wiele nieznacznie różniących się wersji. Jondalar uczył się Pieśni od starej Zelandoni, a ja od mojej nauczycielki. Niektórzy Zelandoni celowo wprowadzają drobne modyfikacje. Wszystko to jest dozwolone, dopóki nie zmienia się sens całego utworu, a rytm i rymy zostają zachowane. Jeżeli poprawki przypadają ludziom do gustu, utrwalają się. Jeśli

nie - idą w zapomnienie. Ja na przykład sama wymyśliłam sobie melodię i zmieniałam słowa, bo miałam na to ochotę, ale nie twierdę, że to jedyny właściwy sposób śpiewania Pieśni.

- Myślę, że większość ludzi lubi twoją wersję. Losadunai opowiadają podobną Legendę o Matce, ale kiedy uczyłam się jej na pamięć, nie wyczuwałam tego, co czuję w twojej Pieśni.

Zelandoni przystanąła i spojrzała uważnie na znachorkę.

- Na pamięć? Przecież Losadunai mówią innym językiem.

- Innym, ale podobnym do mowy Zelandonii. Nietrudno go opanować.

- Podobnym, ale nie takim samym. Niektórzy twierdzą, że język Losadunai jest trudny. Ile czasu spędziłaś w ich osadzie? - spytała donier.

- Niewiele, mniej niż jeden księżyc. Jondalar spieszył się z przeprawą przez lodowiec. Chciał zdążyć przed niebezpiecznymi, wiosennymi roztopami. Prawie nam się udało, dopiero ostatniego dnia zerwał się ciepły wiatr i mieliśmy trochę kłopotów - wyjaśniła Ayla.

- Opanowałaś mowę Losadunai w niespełna jeden księżyc?

- Nie do końca. Robiłam jeszcze wiele błędów, ale byłam w stanie nauczyć się na pamięć paru legend Losaduny. Teraz próbuję opanować Pieśń Matki, żeby recytować ją tak pięknie, jak tyją śpiewasz.

Zelandoni patrzyła na nią jeszcze przez chwilę, nim znowu ruszyła wolnym krokiem ku obozowi.

- Chętnie ci w tym pomogę - powiedziała.

Idąc w spacerowym tempie, Ayla rozmyślała o legendzie, a szczególnie o tej części, która kojarzyła jej się z Burkiem i własnym losem. Była pewna, że wie, co czuła Wielka Matka, kiedy musiała pogodzić się z faktem, iż jej syn na zawsze pozostanie w oddali. Znachorka także myślała z bólem serca o swoim pierwszym dziecku i nie mogła już się doczekać narodzin nowego, poczętego z ducha Jondalara. Wspominała w myśli wersy, które niedawno słyszała, a powtarzając je bezgłośnie, starała się nadać swym krokom odpowiedni rytm.

Zelandoni natychmiast spostrzegła zmianę tempa i wyczuła w niej coś znajomego. Kiedy zerknęła na Aylę, zauważyła na jej twarzy wyraz skupienia. Ta młoda kobieta należy do Zelandoni, pomyślała.

Kiedy dotarli w pobliże obozu, Ayla przystanąła, by zadać jeszcze jedno pytanie.

- Dlaczego na końcu pieśni są dwie linie zamiast jednej? Otyła kobieta przez moment mierzyła ją wzrokiem, nim odpowiedziała.

- Nie jesteś pierwszą osobą, która o to pyta. Ale ja nie znam odpowiedzi. Po prostu zawsze tak było. Większość ludzi uważa, że dwie linie lepiej sprawdzają się jako zakończenie: pierwsza kończy zwrotkę, a druga całą historię.

Ayla skinęła głową. Zelandoni nie była pewna, czy oznacza to uznanie wyjaśnienia za logiczne, czy tylko przyjęcie go do wiadomości. Większość akolitów nigdy nawet nie wspomina o takich niuansach Pieśni Matki, pomyślała. Tak, ta kobieta zdecydowanie należy do Zelandoni.

Kobiety znowu ruszyły w stronę obozu Dziewiętej Jaskini. Znachorka zauważyła, że słońce dotyka już zachodniego horyzontu. Zmrok zbliżał się wielkimi krokami.

- Myślę, że spotkanie było całkiem udane - odezwała się Zelandoni po długiej chwili milczenia. - Zelandoni byli pod wrażeniem twojego pokazu. Doceniam to, że zechciałaś podzielić się ze wszystkimi swoim wynalazkiem. Jeżeli uda się znaleźć wystarczającą liczbę bryłek, wkrótce wszystkie ogniska będą rozpalane nowym sposobem. A jeśli się nie uda... Cóż, sama nie wiem, co zrobimy. Być może najlepiej będzie oszczędzać te, które mamy, używając ich tylko do celów rytualnych.

Ayla zmarszczyła brwi.

- A co z ludźmi, którzy już je mają albo sami sobie znajdą? Czy możesz zakazać im ich używania?

Zelandoni zatrzymała się i spojrzała prosto w oczy znachorki. Po chwili westchnęła ciężko i pokręciła głową.

- Nie, nie mogę. Mogę ich poprosić, ale nie zmusić. Zresztą i tak znaleźliby się tacy, którzy postąpiliby wedle własnego uznania. Zdaje się, że po prostu głośno myślałam, wyobrażając sobie rozwiązanie idealne, lecz niemożliwe do wprowadzenia. Nie w sytuacji, kiedy wszyscy będą wiedzieli, że szybkie rozpalanie ognia jest takie proste. - Donier uśmiechnęła się kwaśno. - Kiedy Piąty i Czternasta rozjawiali o utrzymaniu sekretu w kręgu Zelandoni, mówili na głos o tym, o czym skrycie marzyła większość z nas, nie rzucając mnie. Ogniste kamienie byłyby dla nas potężnym narzędziem, ale nie możemy zachować ich istnienia w tajemnicy przed ludźmi - podsumowała, ruszając w stronę obozu. - Nie będziemy planować Zaślubin przed pierwszą wyprawą łowiecką. Wszystkie Jaskinie wezmą w niej udział; ludzie już nie mogą się doczekać. Wierzą, że jeśli pierwsze polowanie będzie udane, cały rok będzie taki. Jeśli nie - czekają nas nieszczęścia. Zelandoni przygotowują ceremonię Poszukiwania. To czasem pomaga. Jeżeli stada są w pobliżu, dobry Poszukiwacz umie je odnaleźć, lecz nawet najlepszy jest bezradny, kiedy w okolicy nie ma zwierząt.

Uczestniczyłam razem z Mamutem w Poszukiwaniu. Za pierwszym razem czułam się nieswojo, ale okazało się, że mamy ze sobą wiele wspólnego, więc poszukiwaliśmy wspólnie - wyjaśniła Ayla.

Wspólnie z Mamutem? - upewniła się zaskoczona Zelandoni. - Co wtedy czułaś?



Trudno to wyjaśnić. Byłam jak ptak szybujący nad ziemią, ale nie czułam pędu powietrza. Ziemia wyglądała inaczej niż zwykle.

- Czy zechciałabyś wspomóc Zelandoni? Mamy swoich Poszukiwaczy, ale im więcej ich, tym lepiej - powiedziała donier. Zauważyła, że Ayla nie jest zachwycona tym pomysłem.

- Chciałabym pomóc, ale... nie chcę być Zelandoni. Pragnę zostać partnerką Jondalara i rodzić dzieci - odrzekła z wahaniem uzdrowicielka.

- Nie musisz tego robić, jeśli nie chcesz. Nikt cię do niczego nie zmusza, Aylo, ale jeśli Poszukiwanie doprowadzi do udanego polowania, Zaślubiny będą szczęśliwe. Panuje przekonanie, że węzły zawiązane po dobrych łowach są trwałe, a ich owocem są szczęśliwe ogniska - nie ustępowała Pierwsza.

- No cóż... W takim razie mogę spróbować, choć wcale nie jestem pewna, czy potrafię - zastrzegła Ayla.

- Nie martw się. Nikt nigdy nie ma pewności. Możemy jedynie próbować i mieć nadzieję - odparła zadowolona z siebie Zelandoni.

Opór znachorki był oczywisty, lecz oto udało się poczynić pierwszy krok na drodze do przekonania jej, że nie powinna wykluczać związania się z Zelandoni. Ona musi do nas dołączyć, pomyślała Pierwsza. Ma zbyt wiele talentów i umiejętności, a przy tym zadaje wiele zbyt inteligentnych pytań. Albo wstąpi w nasze szeregi, albo stanie się dla nas zagrożeniem.

## ROZDZIAŁ 25

Kiedy wkroczyły do obozu, Wilk radośnie pospieszył na spotkanie swej pani. Ayla zobaczyła go z daleka i naprężyła mięśnie na wypadek, gdyby chciał z entuzjazmem skoczyć jej na piersi, a jednocześnie dała mu znak, by się zatrzymał. Zwierz stanął posłusznie, lecz widać było, że z trudem panuje nad emocjami. Znachorka pochyliła się nad nim i pozwoliła, by polizał jej gardło, tarmosząc jego sierść do chwili, aż się uspokoił. Wtedy wstała, a on spojrzał na nią z mieszaniną nadziei i tęsknoty. Uległa mu: skinęła głową i klepnęła dłonią o ramię. Wilk skoczył, oparł łapy we wskazanym miejscu, zawarczał cicho i ujął zębami jej szczękę. Odpowiedziała tym samym, a następnie chwyciła obiema rękami jego wielki łeb i spojrzała głęboko w nakrapiane złotem ślepią.

- Ja ciebie też kocham, Wilku, ale czasem zastanawiam się, skąd w tobie jest tyle miłości do mnie. Czy wybrałeś mnie, bo stałam się przewodnikiem twojej sfory, czy może jest w tym coś głębszego? - spytała uzdrowicielka, przyciskając czoło do czoła drapieznika.

- Panujesz nad miłością, Aylu - powiedziała Pierwsza. - A miłości, którą wzbudzasz, nie można się wyprzeć.

Znachorka zerknęła na nią z ukosa, myśląc, że komentarz Zelandoni był raczej dziwaczny.

- Nad niczym nie panuję - stwierdziła.

- Panujesz chociażby nad tym wilkiem. Miłość, którą cię darzy, nakłania go do posłuszeństwa. Nie jest tak, że próbujesz kogokolwiek czarować czy mamić; ty po prostu przyciągasz do siebie miłość. A ci, którzy już cię kochają, kochają naprawdę głęboko. Widzę to po twoich zwierzętach. Widzę i po Jondalarze. Znam go dobrze, nigdy nikogo nie kochał bardziej niż ciebie i nigdy nikogo już tak nie pokocha. Być może dzieje się tak dlatego, że oddajesz siebie innym szczodrzej, do końca, a może jest to Dar Wzbudzania Miłości ofiarowany ci przez Wielką Matkę. Tak czy inaczej, zawsze będziesz kochana, lecz nie zapominaj, że z Darami Matki trzeba obchodzić się ostrożnie.

- Skąd się wzięło to powiedzenie, Zelandoni? - spytała Ayla. - Dlaczego miałabym się martwić Darem od Matki? Czyż Jej Dary nie są dobrodziejstwem?

- Może wzięło się stąd, że Jej Dary są dla nas zbyt dobre. A może tylko zbyt potężne. Jak się czujesz, kiedy ktoś daje ci coś niezwykle cennego? - spytała donier.

- Iza nauczyła mnie, że każdy podarunek stwarza zobowiązanie. Trzeba odpłacić czymś równie cennym - odrzekła znachorka.

- Im więcej dowiaduję się o ludziach, którzy cię wychowali, tym bardziej ich szanuję - powiedziała Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą. - Kiedy Wielka Matka Ziemia daje komuś swój

cenny Dar, oczekuje w zamian czegoś o podobnej wartości. Gdy dar jest niezwykle, rewanż powinien mu dorównywać, lecz po co myśleć o rozliczeniu, skoro nie wiadomo, kiedy ono nastąpi? Ludzie są chytry. Niekiedy Jej Dary przekraczają ludzkie oczekiwania, lecz przecież nie można z nich zrezygnować. Nadmiar bywa czasem równie wielkim nieszczęściem jak niedobór.

- Nawet nadmiar miłości? - spytała Ayla.

- Jondalar będzie chyba najlepszym przykładem. Nie ulega wątpliwości, że jest jednym z ulubieńców Matki - odrzekła kobieta zwana niegdyś Zoleną. - Śmiem twierdzić, że dostał zbyt wiele darów. Jest wyjątkowo przystojny, zwraca na siebie uwagę. Jego oczy mają tak niezwykle kolor, że trudno nie zaprzeć się w nie z podziwem. Ma naturalny czar, przyciąga ludzi ku sobie - szczególnie płci przeciwnej, rzecz jasna. Nie wydaje mi się, żeby była na świecie kobieta, która potrafiłaby odmówić jakiegokolwiek jego prośbie, nie wyłączając samej Matki. Co więcej, Jondalar umie dostarczać niewiastom niezwyklej Przyjemności. Jest inteligentny i wyjątkowo utalentowany w dziedzinie obróbki krzemienia. A do tego wszystkiego ma czułe serce, zbyt czułe. Za wiele w nim miłości.

Nawet jego zapal do pracy w kamieniu, do tworzenia narzędzi, jest prawdziwie miłosną pasją. Jondalar odczuwa inność tak silnie, że emocje przytłaczają niekiedy i jego, i tych, na których mu najbardziej zależy. Walczy, próbując zachować kontrolę nad nimi, ale od czasu do czasu sytuacja wymyka mu się z rąk. Aylo, nie jestem pewna, czy rozumiesz, jak potężne są uczucia twojego mężczyzny. Wszystkie Dary, które otrzymał od Matki, nie dawały mu szczęścia - przynajmniej do niedawna - wywoływały za to powszechną zazdrość.

Ayla w zamyśleniu skinęła głową.

- Słyszałam już od kilku osób, że brat Jondalara, Thonolan, był ulubieńcem Matki i dlatego odszedł do Niej tak młodo - powiedziała. - Czy on także był tak przystojny i miał tyle talentów?

- Był ulubieńcem wszystkich, nie tylko Matki. Z pewnością był przystojny, ale nie miał w sobie tego zniewalającego... kusi mnie, żeby powiedzieć: piękna... tak, zdecydowanie męskiego piękna... które cechuje Jondalara. Ludzie kochali go przede wszystkim za ciepło i otwartość charakteru. Łatwo zawierał przyjaźnie. Nikt nigdy nie żywił do niego niechęci, nikt nie był zazdrosny - wyjaśniła kobieta.

Wilk siedział posłusznie u stóp swej pani, póki kobiety stały i rozmawiały. Ruszył w ślad za nimi, gdy skierowały się w stronę głównego ogniska. Ayla nie przestawała ze zmarszczonym czołem rozważać słów donier.

Teraz, kiedy Jondalar sprowadził cię do swego domu, wielu mężczyzn zazdrości mu bardziej niż dawniej, a wiele kobiet nie może znieść myśli, że pokochał i wybrał właśnie ciebie - kontynuowała Zelandoni. - To dlatego Marona próbowała cię ośmieszyć. Zazdrości wam obojgu,

ponieważ wspólnie znaleźliście szczęście. Niektórzy uważają, że Marona została hojnie obdarzona przez Matkę, ale tak naprawdę nie ma w niej niczego poza urodą, a ta jest najbardziej zwodniczym z Darów, gdyż brak jej trwałości. Nidoszła wybranka Jondalara jest nieuprzejma i rzadko myśli o czymkolwiek poza własnym dobrem. Ma niewielu przyjaciół i jeszcze mniej talentów. A kiedy zgaśnie jej piękność, pozostanie z niczym. Obawiam się, że nie będzie miała nawet dzieci.

Po kilku krokach Ayla zatrzymała się i odwróciła w stronę donier.

- Nie widziałam jej ostatnio... co najmniej od kilku dni przed wymarszem.

Wróciła z przyjaciółką do Piątej Jaskini i razem z nią przybyła na Letnie Spotkanie. Zatrzymała się w obozie Piątej - odpowiedziała Pierwsza.

- Nie lubię Marony, ale współczuję jej, jeśli rzeczywiście nie może mieć dzieci. Iza знаła kilka sposobów na to, żeby obudzić podatność kobiety na męskiego ducha.

- Ja też znam parę, ale Marona nigdy nie prosiła mnie o poradę. Jeżeli naprawdę jest bezpłodna, nic jej nie pomoże.

Ayla usłyszała ton smutku w głosie donier. Pomyślała, jak bardzo byłaby przygnębiona, gdyby nie mogła mieć potomstwa i... niemal w tej samej chwili rozpromieniła się.

- Czy wiesz już, że będę miała dziecko? - spytała radośnie.

Zelandoni odpowiedziała uśmiechem. Zatem jej przypuszczenia co do stanu znachorki były słuszne.

- Raduję się twoim szczęściem, Aylo. Czy Jondalar już wie, że wasz związek został pobłogosławiony?

Tak, powiedziałam mu. Jest zachwycony.

- Ja myślę. Komu jeszcze mówiłaś? Tylko Marthonie... i tobie.

- Skoro więc nie jest to fakt powszechnie znany, to - jeśli chcesz - możemy sprawić wszystkim niespodziankę podczas waszych Zaślubin, oznajmiając publicznie dobrą wiadomość - zaproponowała Zelandoni. - Istnieją specjalne słowa, które można włączyć do ceremonii, kiedy kobieta jest już pobłogosławiona.

- Chyba chciałabym, żeby tak się stało - powiedziała Ayla. - Przestałam zaznaczać sobie moje księżycowe dni, odkąd ustały krwawienia, ale teraz zastanawiam się, czy nie powinnam wrócić do czynienia znaków na każdy dzień, żeby nie stracić rachuby do czasu narodzin dziecka. Jondalar nauczył mnie używać słów do liczenia, ale nie znam jeszcze tych największych.

- Czy posługiwanie się tymi słowami sprawia ci kłopot, Aylo?

- O, nie. Nawet lubię liczyć - odrzekła. - Choć muszę przyznać, że Jondalar bardzo mnie zaskoczył, kiedy pierwszy raz użył przy mnie tych słów. Nacięcia na kijach, które robiłam co wieczór, wystarczyły mu do obliczenia czasu, który spędziłam samotnie w dolinie. Powiedział mi

wtedy, że było to łatwe, bo wstawiałam dodatkowe znaki za każdym razem, gdy zaczynały się moje księżycowe dni, żeby się do nich przygotować. Taki system był mi potrzebny, bo kiedy krwawiłam, miałam kłopoty z polowaniem. Zdaje się, że zwierzęta lepiej mnie wyczuwały. Po jakimś czasie zauważyłam, że moje dni przychodzą wtedy, gdy księżyc ma określony kształt, więc już nie musiałam robić znaków, ale jakoś tak się przyzwyczaiłam. Zresztą w pochmurne, burzowe noce nie zawsze można wypatrzeć księżyc.

Zelandoni pomyślała, że zaczyna już przyzwyczajać się do wielkich niespodzianek, którymi Ayla zaskakiwała ją z obojętną miną, jakby mówiła o całkiem zwyczajnych sprawach. A przecież oznaczanie dni, w których krwawiła, i ustalenie ich zależności od faz księżyca było wyczynem dość niezwykłym jak na kogoś, kto mieszkał samotnie i nie miał od kogo przyswoić sobie tej wiedzy.

- Chciałabyś poznać więcej słów do liczenia i nauczyć się używania ich w nowy sposób, Aylo? - spytała otyła kobieta. - Dzięki nim można przewidzieć, kiedy zacznie się zmiana pór roku, albo obliczyć, ile dni pozostało do narodzin twojego dziecka.

- Chciałabym - odpowiedziała znachorka, uśmiechając się szeroko. - To Creb nauczył mnie stawiania znaków, ale zdaje się, że kiedy ich używałam, robił się strasznie nerwowy. Większość kobiet i mężczyzn Klanu nie umiała liczyć dalej niż do trzech. Creb umiał stawiać znaki do liczenia, bo był mogurem, ale nie znał słów.

- Pokażę ci, jak można sobie radzić z większymi liczbami - zapewniła ją Pierwsza. - Moim zdaniem dobrze się składa, że już teraz, kiedyjesteś młoda, będziesz mieć dzieci. Za kilka lat trudniej byłoby ci się zmusić do opieki nad nimi. Tylko Matka wie, czym będziesz się wtedy zajmować...

- Nie jestem już taka młoda, Zelandoni. Mam dziewiętnaście lat, jeśli Iza nie pomyliła się w ocenie mojego wieku, kiedy mnie znalazła - zaproponowała Ayla.

Wyglądasz zdecydowanie młodziej - mruknęła Pierwsza, przelotnie marszcząc czoło. - Ale to nie ma wielkiego znaczenia. I tak masz ułatwiony start - dodała cicho, jakby do siebie. Jesteś już świetną uzdrowicielką, nie będziesz musiała uczyć się tej sztuki, by zostać Zelandoni, dokończyła w myślach.

Ułatwiony start do czego? - spytała Ayla ze zdziwieniem.

- Do... do życia w rodzinie, skoro nowa istota już się poczęła w twoim łonie - odpowiedziała Zelandoni. - Mam jednak nadzieję, że nie zamierzasz rodzić zbyt wielu dzieci. Teraz jesteś zdrowa, ale wielokrotne macierzyństwo wyczerpuje kobietę, sprowadza na nią wcześniejszą starość.

Ayla odniosła wrażenie, że Zelandoni nie chciała ujawnić swych prawdziwych myśli i dlatego szybko zmieniała temat. Jy[a prawo, pomyślała. Rzeczywiście, Pierwsza mogła powstrzymać się od mówienia na niewygodne dla niej tematy, jeśli tylko miała na to ochotę, niemniej nie uszło to uwagi znachorki.

Nim dotarły do długiego paleniska, zapadł zmrok i poza owalem światła rzucanym przez płomień trudno było cokolwiek dostrzec. Ludzie siedzący przy ogniu pozdrowili ciepło dwie kobiety i zaproponowali wspólny posiłek. Ayla teraz dopiero poczuła, że po pełnym wydarzeń popołudniu czuje głód. Zelandoni również jadła z apetytem, a oznajmiwszy, że zostanie na noc w obozie Dziewiątej Jaskini, wdała się w dyskusję z Marthoną i Joharranem na temat pierwszego polowania oraz Poszukiwania, które mieli przeprowadzić Zelandoni. Wspomniała im przy tym, że Ayla weźmie udział w rytuale, co oboje przyjęli za naturalną kolej rzeczy. Znachorka jednak czuła się nieswojo. Nie chciała stać się jedną z Tych Którzy Służą Matce, lecz okoliczności zdawały się popychać ją nieustannie ku przeznaczeniu. Nie był to dla niej powód do radości.

- Powinniśmy tam dotrzeć jak najwcześniej. Muszę jeszcze przygotować cele ćwiczebne i wyznaczyć odległości do rzutów - powiedział Jondalar, gdy następnego ranka stanęli przed chatą. Trzymał w dłoniach kubek z herbatą miętową, którą jak zwykle zaparzyła mu Ayla, rozgryzał pracowicie końcówkę łydźki gaulterii, przeznaczonej do czyszczenia zębów.

- Najpierw muszę sprawdzić, co słyhać u Whinney i Zawodnika. Wczoraj prawie wcale nie miałam dla nich czasu. Idź sam i zajmij się przygotowaniem, a ja zabiorę ze sobą Wilka i później do ciebie dołączę - odpowiedziała Ayla.

- Nie zabaw zbyt długo. Ludzie zaczną się zbierać dość wcześnie, a ja naprawdę chciałbym im pokazać, co potrafisz. To, że sam rzucę oszczepem na wielką odległość, nie robi na nich takiego wrażenia, jak kobieta posługująca się wprawnie miotaczem. Dopiero po twoim wyczynie będą naprawdę zainteresowani.

- Przyjdę najszybciej, jak będę mogła, ale muszę wycesać konie i zajrzeć Zawodnikowi do oka. Ostatnio wyglądało na zaczerwienione, jakby coś w nie wpadło. Może będę musiała coś z tym zrobić.

- Uważasz, że to nic poważnego? A może powinienem pójść z tobą? - spytał zatroskany Jondalar.

- Chyba nie jest aż tak źle. Pewnie już mu przeszło, ale i tak muszę sprawdzić. Idź już, a ja będę się spieszyć - obiecała.

Jondalar skinął głową i przeczyszczył zęby witką, po czym przepłukał usta miętową herbatą. Wypił to, co zostało, i uśmiechnął się.

- Po czymś takim zawsze czuję się lepiej.

- Rzeczywiście. W ustach robi się świeżo, a senność mija - przytaknęła Ayla. Niemal od początku znajomości każdego ranka przygotowywała swemu mężczyźnie aromatyczny napój i gałązkę do czyszczenia zębów. Z czasem stało się to czymś w rodzaju rytuału. - Doceniłam to szczególnie wtedy, kiedy zaczęły się poranne nudności.

- Nadal ci dokuczają? - spytał.

- Nie, już nie, za to zauważyłam, że brzuch mi urósł. Jondalar uśmiechnął się.

Podoba mi się, że jest większy - powiedział, wyciągając ręce, by objąć Aylę ramieniem i położyć dłoń na lekko zaokrąglonym brzuchu. - A najbardziej podoba mi się to, co jest w środku.

Znachorka odwzajemniła uśmiech.

- Mnie też.

Mężczyzna pocałował ją z uczuciem.

- Najważniejszym powodem mojej tęsknoty za Podróżą jest to, że mogliśmy wtedy dzielić się Przyjemnością, gdy tylko przyszła nam na to ochota. A teraz wydaje mi się, że wiecznie mamy coś do roboty i nie tak łatwo jest znaleźć czas dla siebie. - Jondalar pogładził szyję i piersi Ayli, po czym znowu ją pocałował. - A może jednak nie muszę szykować pola do ćwiczeń z miotaczem tak wcześniej? - dodał nieco ochrypłym szeptem.

- Owszem, musisz - odpowiedziała ze śmiechem. - Ale jeśli wolałbyś zostać...

- Nie, masz rację. Na pewno jednak zajmę się tobą później.

Jondalar odszedł w stronę głównego obozowiska, uzdrowicielka zaś powróciła do chaty. Kiedy ponownie wyłoniła się z jej ciemnego wnętrza, miała ze sobą miotacz i plecak z kieszeniami na oszczepy, w którym upchnęła kilka drobiazgów. Gwizdnawszy na Wilka, ruszyła w górę strumienia. Konie zauważyły ją z daleka i natychmiast pobiegły na spotkanie - tak daleko, jak pozwoliły im na to długie liny, które, jak zauważyła Ayla, zaplątały się wokół krzaków i w wysokiej trawie. Sznur Whinney zatrzymał się na suchej kępie, Zawodnika zaś - wyrwał z korzeniami spory krzew. Chyba lepiej będzie zbudować dla nich zagrodę, pomyślała znachorka.

Zdjęła z końskich łbów proste uździenice wraz z uwiązanymi do nich linami, a przy okazji przyjrzała się oku ogiera. Było nieco zaczerwienione, ale nie wyglądało groźnie. Zawodnik i Wilk potarli się nosami na powitanie. Zachwycony wolnością koń ruszył galopem, kreśląc obszerny okrąg pośród wybujałych traw, drapiezca zaś rzucił się w dziką pogoń. Ayla zajęła się czesaniem Whinney, a kiedy znowu podniosła wzrok, Zawodnik ścigał Wilka. Po chwili role znów się odwróciły. Znachorka przerwała pracę, z fascynacją przyglądając się poczynaniom zwierząt. Wilk zbliżył się do Zawodnika, a wtedy młody ogier zwolnił, przepuszczając czworonożnego łowcę, by popędzić za nim. Gdy wykonali pełne okrążenie, ponownie zamienili się miejscami.

Z początku Ayla była przekonana, że przypadkowe zachowania swych półdzikich przyjaciół niepotrzebnie bierze za przejaw celowego działania, lecz po dłuższej chwili ze zdziwieniem stwierdziła, iż koń z wilkiem prowadzą całkiem świadomą grę, dającą im wiele radości. Młode i pełne energii samce znalazły po prostu sposób na rozładowanie jej nadmiaru. Ayla uśmiechnęła się i pokręciła głową, żałując, że Jondalar nie może podziwiać wraz z nią tych szaleństw, po czym powróciła do czesania klaczy.

Kiedy skończyła, Zawodnik pał się spokojnie, Wilk zaś zniknął gdzieś bez śladu. Pewnie coś zwęszył, pomyślała, po czym gwizdnęła na ogiera w taki sposób, w jaki zwykle przywoływał go Jondalar. Koń uniósł łeb i ruszył w jej stronę. Był tużtuż, gdy rozległ się kolejny, uderzająco podobny świst. Oboje rozejrzeli się, szukając źródła dźwięku. Ayla była przekonana, że to Jondalar wrócił z jakiegoś powodu, jednak zobaczyła tylko małego chłopca, który szedł w jej stronę.

Nie знаła go i zastanawiała się, czego chciał. Była też ciekawa, dlaczego zagwizdał akurat w taki sposób. Kiedy się zbliżył, oceniła, że ma około dziewięciu, dziesięciu lat. Zauważyła, że jedno z ramion chłopca jest wygięte pod osobliwym kątem i nieco mniejsze od drugiego. Zwisło dziwnie, jakby malec nie miał w nim pełnej władzy. Chłopiec przypominał Ayli Creba, któremu w dzieciństwie amputowano rękę na wysokości łokcia. Myśl ta nastawiła ją przyjaźnie do kalekiego przybysza.

- To ty gwizdałeś?

- Tak.

- Po co?

- Nigdy przedtem nie słyszałem takiego sygnału. Chciałem się przekonać, czy zdołam go powtórzyć.

- Udało ci się - stwierdziła uzdrowicielka. - Szukasz tu kogoś?

- Nie - odparł krótko.

- Więc co tu robisz?

- Rozglądam się. Ktoś mi powiedział, że są tu konie, ale nie wiedziałem, że jest także obóz.

Wszyscy inni zatrzymali się nad Środkowym Strumieniem.

- Jesteś tu od niedawna. A ty? Długo tutaj obozujesz?

- Urodziłem się tu,

- Ach, więc jesteś z Dziewiętnastej Jaskini?

- Tak. Dlaczego mówisz tak dziwnie?

- Nie jestem tutejsza. Urodziłam się daleko stąd. Kiedyś byłam Aylą z Obozu Lwa Mamutoi, a teraz jestem Aylą z Dziewiętej Jaskini Zelandonii - odpowiedziała, zbliżając się o krok i wyciągając ręce do chłopca w geście oficjalnego powitania.



Chłopiec zawstydział się nieco, gdyż nie mógł w pełni wyprostować częściowo sparaliżowanego ramienia. Aylą sięgnęła więc trochę dalej, by uchwycić zdeformowaną kończynę. Potrząsnęła rękami chłopca tak, jakby obie były zupełnie normalne, a jednocześnie zauważyła, że dłoń kalekiego ramienia także była mniejsza, mały palec zaś przyrośnięty do sąsiedniego. Nie puszczając rąk malca, uśmiechnęła się przyjaźnie.

Chłopiec dopiero teraz przypomniał sobie, co należy powiedzieć.

- Jestem Lanidar z Dziewiętnastej Jaskini Zelandonii. Dziewiętnasta Jaskinia wita cię na Letnim Spotkaniu, Aylo z Dziewiętej Jaskini Zelandonii - dodał, nim puścił jej dłonie v

- Świetnie gwizdzesz. Udało ci się wiernie powtórzyć mój znak. Lubisz gwizdać? - spytała.

- Chyba tak.

- A czy mogę cię prosić, żebyś nie używał więcej tego sygnału?

- Dlaczego?

- Gwizdę w ten sposób tylko wtedy, gdy chcę przywołać ogiera. Jeżeli ty także będziesz to robił, obawiam się, że uzna to za wezwanie i będzie zdezorientowany - wyjaśniła znachorka. - Jeżeli lubisz gwizdać, mogę nauczyć cię innych dźwięków.

- Na przykład jakich?

Aylą rozejrzała się i dostrzegła sikorę siedzącą na gałęzi pobliskiego drzewa. Posłuchała przez moment jej głosu, po czym wiernie powtórzyła ptasie zawołanie. Chłopiec spojrzał na nią z nabożnym lękiem, sikora zaś umilkła na chwilę, po czym znowu zaśpiewała. Aylą odpowiedziała takim samym gwizdem. Ptak w czarnej "czapce" odezwał się ponownie, tym razem rozglądając się uważnie dokoła.

- Jak to zrobiłaś? - spytał chłopiec.

- Pokażę ci, jeśli chcesz. Na pewno się nauczysz, masz do tego talent - odrzekła uzdrowicielka.

- Głosy innych ptaków też potrafisz naśladować? - zainteresował się Lanidar.

- Tak.

- A których?

- Wszystkich.

- Skowronka też?

Aylą przymknęła na moment oczy, po czym wydała z siebie serię pięknych, radosnych treli, jakie zwykle towarzyszą wysokim lotom skowronków.

I naprawdę możesz mnie tego nauczyć? - upewnił się chłopiec, spoglądając na nią szeroko otwartymi oczami.

- Jeśli tylko chcesz - potwierdziła znachorka.

- A ty? W jaki sposób się nauczyłaś?

- Dużo ćwiczyłam. Jeśli jest się cierpliwym, można zwabić ptaka, gwizdząc jego pieśń.

Pamiętała doskonale samotne dni w dolinie, gdy uczyła się gwizdać, imitując głosy ptaków. Kiedy zaczęła dokarmiać zaciekawione zwierzęta, kilka z nich nie wahało się przylatywać na wezwanie za każdym razem i pożywiać się z jej ręki.

Umiesz zagwizdać coś jeszcze? - spytał Lanidar, zafascynowany dziwnie mówiącą i świetnie naśladowującą głosy kobietą.

Aylą zamyśliła się na chwilę, a potem - być może pod wpływem wspomnień o Crebie - zaczęła świstać dziwną melodię, imitując dźwięk fletu. Chłopiec słyszał ten instrument wielokrotnie, lecz nigdy dotąd nie grano przy nim tak niesamowitej, zupełnie nie znanej mu muzyki. Była to bowiem wierna kopia dźwięków, które jeden z mogurów wygrywał na flecie podczas Zgromadzenia, na które Ayla przybyła przed laty z klanem Bruna. Lanidar z uwagą wysłuchał melodii do końca.

- Nigdy nie słyszałem czegoś podobnego - powiedział.

- Podobało ci się? - spytała znachorka.

- Tak, chociaż... brzmiało przerażająco. Jakby z bardzo daleka.

- Trafieś - rzekła Ayla, po czym gwizdnęła przenikliwie i rozkazująco. Po chwili z wysokich traw wypadł rozpędzony Wilk.

- To wilk! - krzyknął zmartwiały ze strachu chłopiec.

- Zgadza się - odpowiedziała spokojnie, przytrzymując Wilka blisko siebie. - To mój przyjaciel. Wczoraj przeszłam z nim przez centralne obozowisko. Pomyślałam, że powinieneś wiedzieć, iż mam tu nie tylko konie.

Chłopiec uspokoił się nieco, ale nie przestawał spoglądać na Wilka szeroko otwartymi oczami, w których czaił się jeszcze lęk.

- Wczoraj zbierałem z matką maliny. Nikt mi nie powiedział, że tu jesteście. Usłyszałem tylko, że na Górnej Łące są konie - odezwał się niepewnie Lanidar. - Wszyscy gadali o jakimś miotaczu oszczepów, który ktoś chciał dziś pokazać. Nie jestem dobry w rzucaniu oszczepem, więc postanowiłem przyjrzeć się koniom.

Ayla zastanawiała się, czy ktoś nie poinformował chłopca przypadkiem, czy też była to próba prowokacji podobna do tej, którą urządziła Marona. Po chwili dotarło do niej, że dziecko w jego wieku, które zbiera z matką maliny, zamiast przebywać z rówieśnikami, musi być bardzo samotne. Pomyślała, że niepełnosprawny chłopiec, który nie potrafił rzucać oszczepem, raczej nie miał zbyt wielu przyjaciół, koledzy zaś zapewne dokuczali mu przy każdej okazji. A przecież jego

drugie ramię było zdrowe... Mógłby nauczyć się miotania oszczepem, szczególnie za pomocą wynalazku Jondalara.

- Dlaczego nie jesteś dobry w rzucaniu oszczepem? - spytała rzeczowo.

- Nie widzisz? - odpowiedział pytaniem, unosząc zdeformowaną rękę i spoglądając na nią z pogardą.

- Przecież drugie ramię masz całkiem zdrowe - zauważyła.

- Druga ręka zawsze służy do trzymania zapasowych oszczepów. Poza tym nikt nie chciał mnie nauczyć. Wszyscy powili, że i tak nigdy nie trafię do celu.

- A mężczyzna twojego ogniska? - indagowała Ayla.

- Mieszkam z matką i jej matką. Zdaje się, że przy naszym ognisku był kiedyś mężczyzna - matka mi go nawet pokazywała - ale odszedł dawno temu i nie chce mieć ze mną nic wspólnego. Nie był zadowolony, kiedy go odwiedziłem. Wyglądał na zakłopotanego. Od czasu do czasu mieszkał z nami jakiś mężczyzna, ale żaden specjalnie się mną nie interesował - wyjaśnił chłopiec.

- Chciałbyś zobaczyć miotacz oszczepów? Mam go przy sobie.

- Skąd go wzięłaś? - spytał Lanidar.

- Znam mężczyznę, który wymyślił tę broń. Niedługo zostanę jego partnerką. A teraz, gdy tylko skończę oporządzać konie, spotkam się z nim, żeby pokazać wszystkim, jak działają miotacze - odrzekła Ayla.

- Chyba chciałbym zobaczyć coś takiego - powiedział nieśmiało chłopiec.

Znachorka podeszła do plecaka, wydobyla z niego miotacz z kilkoma krótkimi oszczepami i wróciła.

Tak to działa - odezwała się, powoli wkładając pocisk na miejsce.

Upewniła się, czy otwór wycięty w końcówce oszczepu spoczął dokładnie na haczyku wystającym z wąskiej deseczki z rowkiem, a potem przełożyła palce przez pętle umocowane do przedniej części miotacza. Rozejrzawszy się, z całych sił cisnęła krótkie drzewce w wysokie trawy.

- Ależ daleko poleciał! - zawołał Lanidar. - Chyba nigdy nie widziałem, żeby mężczyzna rzucił oszczepem tak daleko.

- Na pewno nie. I dlatego miotacz jest tak wspaniałym narzędziem łowieckim. Myślę, że ty też mógłbyś się nim posłużyć. Chodź, pokażę ci, jak trzeba chwycić.

Ayla wiedziała, że jej miotacz nie jest przeznaczony dla osób wzrostu Lanidara, ale uznała, iż nadaje się do uświadomienia dziecku zasady działania dźwigni. Fakt, że prawa ręka chłopca była zdeformowana, sprzyjał rozwojowi lewego ramienia - to, czy malec był od urodzenia prawy - czy leworęczny, nie miało już znaczenia. Los zdecydował za niego, zmuszając ciało do rozwijania siły i sprawności lewej kończyny. Znachorka nie próbowała nawet tłumaczyć Lanidarowi zasad

celowania; skoncentrowała się na ułożeniu miotacza w małej dłoni i pomocy w wykonaniu jak najmocniejszego rzutu. Ustawiwszy chłopca w odpowiedniej pozycji, pozwoliła mu rzucić. Oszczep poleciał zdecydowanie za wysoko i w nieprzewidzianym kierunku, ale dystans był przyzwoity. Lanidar uśmiechnął się z zachwytem.

- Rzuciłem oszczepem! Spójrz, jak daleko! - krzyknął radośnie. - A czy można w coś trafić, używając tego miotacza? - spytał po chwili.

- Jeśli tylko ćwiczysz się wystarczająco sumiennie - odpowiedziała z uśmiechem. Rozejrzała się po łące, ale nie dostrzegła niczego, co nadawałoby się na cel. Odwróciła się więc w stronę Wilka, który obserwował ją czujnie, leżąc na brzuchu z uniesionym łbem. - Wilku, znajdź coś dla mnie - powiedziała, choć bardziej zrozumiałoby być dla łowcy sygnał, który dała mu ręką.

Drapieżca zerwał się na równe nogi i popędził w gąszcz traw, mieniących się jeszcze zielenią wiosny, ale i złotem lata. Ayla ruszyła wolno jego tropem, chłopiec zaś trzymał się o kilka kroków za nią. Wkrótce spostrzegła ruch w zaroślach. Chwilę później kątem oka zauważyła, że z kępy wybujałego zielska wyskakuje szarak, a zaraz po nim Wilk. Obserwowała bieg wystraszonego zwierzęcia, trzymając w pogotowiu załadowany miotacz. Gdy uznała, że wie już, w którą stronę skręci za moment zając, cisnęła w niego krótkim oszczepem. Pocisk trafił w cel. Kiedy Ayla podeszła do swej zdobyczy, Wilk stał posłusznie nad martwym szakiem, czekając na nowe rozkazy.

- Zabieram go, Wilku. Idź, złap sobie drugiego - zwróciła się do drapieżcy, ponownie dając mu sygnał dłonią.

Chłopiec nie zauważył dyskretnych znaków, toteż z bezbrzeżnym zdumieniem przyglądał się, jak wielki wilk posłusznie wykonuje polecenia wydane mu w ludzkim języku. Kobieta tymczasem podniosła z ziemi zająca i ruszyła z powrotem w stronę koni.

- Powinieneś pójść na pokaz, który urządza mój mężczyzna. Na pewno spodoba ci się to, co można zrobić dzięki miotaczowi oszczepów. Poza tym nikt oprócz mnie i Jondalara nie potrafi jeszcze używać tej broni, wszyscy będą uczyć się od podstaw. Jeśli zaczekasz chwilę, będziesz mógł pójść ze mną.

Lanidar przyglądał się w milczeniu, gdy starannie czesała młodego ogiera.

\_ - Nigdy nie widziałem takiego brązowego konia. Większość z nich wygląda tak jak twoja klacz.

\_ Wiem - odrzekła Ayla. - Ale daleko na wschodzie, za ujściem Wielkiej Rzeki Matki, która ma swoje źródła po drugiej stronie wielkiego lodowca, żyją właśnie takie konie. I stamtąd przyprowadziliśmy tę parę.

Wilk powrócił po chwili, znalazł sobie wygodne miejsce, okrążył je kilka razy i położył się, dysząc ciężko i z uwagą obserwując swą panią.

- Dlaczego te zwierzęta przychodzą do ciebie, pozwalają, żebyś ich dotykała, i robią, co im każesz? - spytał Lanidar. - Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

- Są moimi przyjaciółmi. Polowałam kiedyś i do mojego dołu-pułapki wpadła klacz. Nie wiedziałam, że jeszcze karmi, póki nie zobaczyłam źrebicy, za którą goniło stado hien. Odpędziłam je, sama nie wiem dlaczego. Mała nie mogła żyć samodzielnie, więc wzięłam ją ze sobą, wykarmiłam i wychowałam. Pewnie wydawało jej się, że jestem jej matką. Z czasem stałyśmy się przyjaciółkami, nauczyłyśmy się wzajemnego zrozumienia. Robi to, co jej każę, bo chce to robić. Nazwałam ją Whinney - zakończyła Ayla, wymawiając imię klaczy w pierwotnej jego formie, czyli tak, jak brzmiało rzenie konia. Pasąca się opodal matka Zawodnika uniosła głowę i spojrzała w jej stronę.

To ty?! Jak to zrobiłaś? - zdumiał się Lanidar.

- Słuchałam i ćwiczyłam. To było jej prawdziwe imię, ale zwykle przedstawiam ją jako Whinney, bo ludzie lepiej rozumieją taką wymowę. Ten ogier jest jej synem. Byłam przy jego narodzinach, podobnie jak mój mężczyzna, Jondalar. To on nazwał źrebaka Zawodnikiem, ale to było trochę później - wyjaśniła Ayla.

- Zawodnik to ktoś, kto lubi się ścigać i wygrywać - powiedział chłopiec.

To samo mówił mi Jondalar. Ogier od początku lubił biegać i do dziś podoba mu się, kiedy pędzi na przedzie. Robi to zawsze, chyba że założę mu linę na szyję; wtedy grzecznie trzyma się za matkę - dodała Ayla, pomału kończąc czesanie Zawodnika.

- A jak to było z wilkiem? - zaciekał się Lanidar.

- Bardzo podobnie. Wychowywałam go od maleńkiego. Zabiłam jego matkę, bo kradła gronostaje z moich pułapek. Nie wiedziałam, że karmi - to była zima, nie pora na rodzenie młodych, na ziemi leżał śnieg. Poszłam po śladach wilczycy do jej legowiska. Była samotna i może dlatego przeżyło tylko jedno jej szczenię. Kiedy zabierałam Wilka ze sobą, ledwie zaczynał widzieć. Dorastał z dziećmi Mamutoi' uważa ludzi za swoją sforę - wyjaśniła.

- Jak go nazwałaś? - spytał Lanidar.

- Po prostu Wilk. Chciałbyś go poznać?

- Jak to poznać? Czy można poznać wilka? - zdziwił się chłopiec.

- Chodź, to ci pokażę - odpowiedziała. Lanidar zbliżył się lekko. - Daj rękę. Wilk ją powącha i zapamięta twój zapach. Potem będziesz mógł go pogłaskać.

Malec zawahał się, z obawą myśląc o zbliżeniu zdrowej ręki do wilczej paszczy, ale przełamał się. Kiedy dotknął głowy zwierzęcia, uśmiechnął się szeroko. Spłoszyło go dopiero parsknięcie młodego ogiera.

- Zdaje się, że Zawodnik dopomina się o pieszczotę. Chciałbyś go dotknąć? - spytała Ayla.

- A mogę?

- Chodź no tu, Zawodniku - powiedziała, wykonując ręką stosowny gest.

Kasztanowy ogier o nieco ciemniejszych nogach, czarnej grzywie i ogonie podbiegł szybko i pochylił łeb nad dzieckiem, które odruchowo cofnęło się przed wielkim zwierzęciem. Koń nie był może drapiezcą o szczękach pełnych sztyletowatych zębów, ale to nie znaczyło, że był niegroźny. Ayla zanurzyła dłoń w plecaku, który leżał u jej stóp.

- Ruszaj się powoli, daj mu rękę do powąchania. W taki sposób zwierzęta poznają świat. Potem będziesz mógł poklepać go po nozdrzach i po bokach łba - doradzała Ayla.

Chłopak zrobił, co kazała.

- Jego nozdrza są takie miękkie! - zawołał cicho. Nagle, jak spod ziemi, stanęła przed Lanidarem Whinney, bezceremonialnie odpychając Zawodnika na bok. Malec zląkł się nieco, gdyż w przeciwieństwie do Ayli nie zauważył, że klacz biegnie cicho, by sprawdzić, co się dzieje.

Whinney też przepada za pieszczotami - wyjaśniła znachorka. - Konie lubią, kiedy poświęca się im uwagę, a przy tym są bardzo ciekawskie. Chciałbyś je pokarmić? - Chłopak skinął głową. Ayla otworzyła dłoń i pokazała mu dwa kawałki korzenia, który smakował koniom - młodej, dziko rosnącej marchwi. - Czy masz dość siły w prawej ręce, żeby coś w niej trzymać?

\_ Tak.

\_\_ W takim razie możesz karmić i klacz, i ogiera jednocześnie - stwierdziła uzdrowicielka, wkładając po jednym korzeniu w ręce Lanidara. - Podaj im na otwartych dłoniach, żeby same mogły wziąć. Są zazdrosne, kiedy karmi gjo tylko jedno z nich. Poza tym Whinney często wypycha się przed Zawodnika. W końcu jest jego matką, może mu rozkazywać.

. Końskie matki też tak robią? - zdziwił się malec.

- Tak, końskie też. - Ayla wstała, sięgając po uździenice z umocowanymi do nich linami. - Pora iść, Lanidarze. Jondalar na mnie czeka. Jeszcze tylko uwiążę konie... Nie lubię tego robić, ale to dla ich dobra. Nie chcę, żeby wałęsały się po okolicy samopas, przynajmniej do czasu, aż wszyscy ludzie z Letniego Spotkania nie dowiedzą się, że nie należy na nie polować. Myślę, że zagroda byłaby lepszym sposobem na zapewnienie im bezpieczeństwa niż te sznury, które wiecznie zawijają się wokół krzaków.

Kępa, która zahaczyła się o linę Zawodnika, trzymała się tak mocno, że znachorka musiała wrócić do plecaka po małą siekierkę, którą zrobił dla niej Jondalar. W podróży zwykle nosiła ją na

rzemieniu przyczepionym do pasa. Kiedy upewniła się, że wycięła i wyplątała już wszystkie gałęzie, nałożyła koniom prostą uprząż i ponownie umocowała liny. Podniosła z ziemi plecak i zająca, którego zamierzała oddać w dobre ręce w obozie Dziewiętej Jaskini, po czym spojrzała z ukosa na chłopca.

- Czy zrobisz coś dla mnie, Lanidarze, jeśli nauczę cię naśladować głosy ptaków i innych zwierząt?

- Co?

- Czasem muszę opuścić obóz nawet na cały dzień. Czy mógłbyś wtedy zaglądać do moich koni? Będziesz mógł przywoływać je gwizdem, jeśli zechcesz. Dopilnujesz, żeby ich liny nie były za bardzo splątane, i okażesz im trochę ciepła. Lubią towarzystwo. Gdyby pojawił się jakiś problem, po prostu mnie odnajdziesz. Sądzisz, że mógłbyś podjąć się tego zadania?

Chłopiec nie wierzył własnym uszom. Nie śniło mu się nawet, że kobieta kiedykolwiek poprosi go o coś takiego.

- A będę mógł je karmić? Podobało mi się, kiedy jadły mi z rąk.

- Oczywiście. Zawsze możesz im dać świeżej, zielonej trawy, ale ich prawdziwym przysmakiem jest marchew, a także inne korzenie, które ci pokażę. A teraz muszę już iść. Pójdiesz ze mną do Jondalara popatrzeć na pokaz użycia miotacza?

Tak - odpowiedział chłopiec.

Ayla wróciła z Lanidarem do obozu, po drodze ucząc go ptasich treli.

Kiedy wraz z chłopcem i Wilkiem dotarła na miejsce pokazu nowej broni, ze zdziwieniem zauważyła, że miotacz Jondalara nie jest jedyny. Wielu spośród świadków poprzedniego pokazu przyniosło na Letnie Spotkanie własne egzemplarze broni, wykonane z pamięci, i teraz z większym lub mniejszym powodzeniem popisywało się świeżo nabytymi umiejętnościami. Jondalar z ulgą spostrzegł nadchodzącą Aylę i pospieszył jej na spotkanie.

- Co cię tak długo zatrzymało? - spytał. - Ludzie z różnych Jaskiń porobili sobie własne miotacze po naszym poprzednim pokazie, ale sama wiesz, ile trzeba pracować nad celnością rzutu. Jak na razie, tylko mnie udało się trafić w to, w co mierzyłem. Obawiam się, że widzowie nabierają z wolna przekonania, iż jestem wyjątkowym szczęściarzem, a cała reszta nigdy nie nauczy się celnie rzucać. Nie chciałem im mówić o tobie. Będzie lepiej, jeśli po prostu pokażesz im, co potrafisz. Dlatego cieszę się, że nareszcie jesteś.

Wycesałam konie i pozwoliłam im trochę pobiegać. Z okiem Zawodnika nie dzieje się nic złego - wyjaśniła. - Musimy jednak pomyśleć o czymś bardziej praktycznym niż liny, które wiecznie zaplątują się w krzakach. Lepsza byłaby zagroda. Poprosiłam Lanidara, żeby doglądał koni, kiedy nie ma nas w obozie. Poznał je już; chyba go polubiły.

- Kto to jest Lanidar? - spytał niecierpliwie Jondalar. Kobieta skinęła dłonią na chłopca, który stanął obok niej i bardzo starał się pozostać w cieniu jej wysokiej sylwetki, a teraz z lekką obawą spoglądał na rosnącego, najwyraźniej rozdrażnionego mężczyznę.

- Jondalarze, oto jest Lanidar z Dziewiętnastej Jaskini. Ktoś mu powiedział, że w pobliżu naszego obozu można zobaczyć konie, więc przyszedł... i zobaczył.

Jondalar już miał zbyć chłopca machnięciem ręki - myślami był bowiem przy pokazie, przebiegającym niezupełnie zgodnie z planem - gdy nagle zauważył zdeformowane ramię Lanidara i zatroskaną minę Ayli. Kobieta próbowała coś mu przekazać i zapewne dotyczyło to właśnie tego malca.

\_\_\_ Myślę, że chłopiec bardzo nam pomoże - powiedziała naciskiem. - Nauczył się już nawet gwizdu, którym przyjyjeniu konie. Obiecał, że nie będzie posługiwał się nim bez potrzeby.

\_\_\_ Miło mi to słyszeć - rzekł Jondalar, przyglądając się Lanidarowi nieco łaskawszym okiem. - Jestem pewien, że nrzyda nam się twoja pomoc - dodał. Dziecko uspokoiło się nieco, a Ayła obdarzyła swego mężczyznę promiennym uśmiechem.

- Lanidar chciałby popatrzeć na pokaz. Jakie cele przygotowałeś? - spytała Ayła, gdy ruszyli w stronę tłumu mężczyzn przyglądających im się z daleka. Kilku wyglądało tak, jakby za chwilę miało rozejść się do swoich obozów.

- Snopy trawy zawinięte w skórę z rysunkiem jelenia - odparł Jondalar.

Nie zatrzymując się, znaczorka sięgnęła po miotacz i osczep, przygotowała broń do użycia, wymierzyła i rzuciła. Donośny odgłos kamiennego ostrza przebijającego skórę zaskoczył wielu widzów. Nikt się nie spodziewał, że kobieta z marszu wykona tak silny i celny rzut. Ayła powtórzyła ten wyczyn jeszcze kilkakrotnie, lecz dziurawienie nieruchomych celów nie robiło już na nikim tak wielkiego wrażenia. Nawet jeśli oszczepy uzdrowicielki latały dalej, niż mogłaby je cisnąć jakakolwiek inna kobieta, Zelandonii mieli w pamięci jeszcze mocniejsze rzuty Jondalara. Aura niezwykłości otaczająca jego wynalazek szybko przygasła.

Lanidar rozumiał to doskonale. Przez cały czas trzymał się blisko Ayli, nie był bowiem pewien, czy ma sobie pójść, czy może będzie mógł na coś się przydać.

- Może powiesz Wilkowi, żeby wypłoszył dla ciebie zająca albo inne zwierzę? - zaproponował wreszcie nieśmiało.

Kobieta uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością i dała sygnał Wilkowi. Polana była tak zatłoczona, że z pewnością w trawie nie kryło się już żadne zwierzę, ale jeśli któreś z nich znalazło schronienie w najbliższej okolicy, drapieżca wytropiłby je bez większego trudu. Ci, którzy dostrzegli pędzącego wilka, spojrzeli po sobie z obawą. Powoli przyzwyczajali się do widoku



mięsożercy towarzyszącego kobiecie, ale fakt, że teraz biegł gdzieś samotnie, na nowo nappełnił ich strachem.

Zanim Ayla i Lanidar dotarli na miejsce pokazu, pewien mężczyzna zapytał Jondalara, jak daleko można cisnąć włócznią, używając miotacza. Łupacz krzemienia odparł, że chętnie zademonstruje zasięg broni, lecz najpierw musi pozbiierać wykorzystane wcześniej oszczepy. I właśnie wtedy, gdy Jondalar z grupą ciekawskich ruszał po swoje pociski, Ayla zauważyła Wilka stojącego w charakterystycznej pozycji. Potencjalna zdobycz musiała być blisko. Nagle z kępy drzew rosnących na stoku wzgórza zamykającego polanę wystrzeliła przerażona pardwa. Ayla już na nią czekała ze specjalnym, lekkim oszczepem w miotaczu, przeznaczonym wyłącznie do polowania na ptaki i najdrobniejszą zwierzynę. Niemal instynktownym ruchem cisnęła włócznię w kierunku celu. Ptak zaskrzeczał z bólu, a wtedy widzowie zadarli głowy - w samą porę, by zobaczyć, jak zdobycz spada na ziemię. Ta efektowna demonstracja wyraźnie ożywiła zebranych.

- Jak daleko kobieta potrafi cisnąć oszczepem? - spytał mężczyzna, który już wcześniej pytał o zasięg broni.

- Sam ją zapytaj - odparł Jondalar.

- Jak daleko umiem rzucić czy z jakiej odległości trafiam w cel? - spytała rzeczowo znachorka.

- Jedno i drugie.

- Jeżeli chcesz się przekonać, jak bardzo zwiększa się zasięg rzutu dzięki miotaczowi, mam dobry pomysł - odrzekła Ayla, szukając wzrokiem chłopca. - Lanidarze, czy mógłbyś pokazać wszystkim, jak daleko potrafisz rzucić oszczepem?

Malec rozejrzał się nieśmiało. Znachorka wierzyła jednak, że ciżba widzów raczej go nie spieszy, skoro wcześniej nie obawiał się podejść i rozmawiać z bądź co bądź zupełnie obcą kobietą, w dodatku posiadającą niepojętą władzę nad zwierzętami. Chłopak popatrzył na nią, i skinął głową.

- Pamiętasz, jak to robiłeś poprzednim razem? - spytała.

Lanidar ponownie przytaknął.

Ayla podała mu miotacz i pocisk - lekki oszczep na ptaki, gdyż tylko takie miała jeszcze przy sobie. Włożenie drzewca do wyłobienia i zatknięcie go na haczyk sprawiło kalekiemu chłopcu nieco kłopotów, ale uporał się z tym samodzielnie. Kiedy był gotowy, wyszedł na środek pola ćwiczebnego i wyciągnął lewe sprawne ramię za siebie, tak by miotacz stał się jego przedłużeniem. Pocisk przeleciał mniej więcej połowę dystansu, który pokonały oszczepy AyU i Jondalara, nim upadł na ziemię, ale i tak była to odległość znacznie większa, niż można się było spodziewać - tym bardziej że chłopiec nie był w pełni sprawny.

Tłum gapiów zageścił się i już nikt nie zamierzał wracać do gwego obozu. Mężczyzna, który pytał o zasięg rzutu, przycisnął się do przodu. Spojrzał uważnie na chłopca i zauważył zdobienia na tunice oraz mały naszyjnik na jego szyi. Ten dzieciak nie jest z Dziewiętej Jaskini, tylko z Dziewiętnastej! - zawołał, potrząsając głową ze zdziwieniem. - Przecież dopiero przybyliście na Spotkanie. Kiedy zdołałaś go tego nauczyć?

- Dziś rano - odrzekła Ayla.

- Dziś rano pokazałaś mu miotacz, a on już umie tak daleko rzucać? - zdumiał się mężczyzna.

Ayla skinęła głową.

Tak. Naturalnie nie nauczył się jeszcze trafiać do celu, ale to tylko kwestia czasu i ćwiczenia - powiedziała, spoglądając na chłopca.

Radość i duma rozpieszczające Lanidara były tak doskonale widoczne w jego oczach, że znachorka mogła jedynie odpowiedzieć mu uśmiechem. Przyjęła miotacz z jego rąk i załadowała kolejny lekki oszczep, po czym cisnęła go z całej siły. Ludzie obserwowali w napięciu lot pocisku, który wylądował daleko za linią wyznaczoną przez ustawione cele. Skupili się na tym tak bardzo, że nie zauważyli nawet, kiedy znachorka rzuciła następny oszczep. Ten wbił się w jeden z celów ćwiczebnych z donośnym hukiem, lecz widzowie zdążyli dostrzec jedynie drżący kawałek drzewca, sterczący z szyi narysowanego jelenia.

Pomruki uznania były coraz głośniejsze. Ayla popatrzyła na Jondalara, który uśmiechał się nie mniej radośnie niż zachwycony Lanidar. Ludzie poczęli tłoczyć się wokół oszczepników, chcąc obejrzeć wynalazek z bliska i wypróbować go w praktyce. Ayla jednak odsyłała ich do Jondalara, tłumacząc, że musi koniecznie odszukać Wilka. Zdziwiła ją własna reakcja: często przecież proponowała innym, by skorzystali z jej broni, teraz jednak, gdy wszyscy prosili ją o użyczenie miotacza, czuła wewnętrzny opór. Niewiele było w jej życiu przedmiotów, które traktowała jak osobiste.

To, że martwiła się o Wilka, było jednak prawdą. Wreszcie dostrzegła go siedzącego z Folarą i Marthoną na stoku wzgórza. Siostra Jondalara zauważyła Aylę i wesoło pomachała jej przyniesioną przez czworonoga pardwa. Ayla natychmiast ruszyła w ich stronę.

Gdy wyszła poza pole ćwiczeń, zbliżyła się do niej jakaś kobieta, za którą dreptał nieco spłoszony Lanidar.

- Jestem Mardena z Dziewiętnastej Jaskini Zelandonii - przedstawiła się nieznajoma, wyciągając ku Ayli obie ręce. - W tym roku jesteśmy tu gospodarzami, więc w imieniu Matki witam cię na Letnim Spotkaniu. - Kobieta była niewysoka i szczupła, a w jej twarzy znachorka dojrzała podobieństwo do Lanidara.

- Jestem Ayla z Dziewiątej Jaskini Zelandonii, dawniej z Obozu Lwa Mamutoi. W imię Doni, Wielkiej Matki Ziemi, znanej także jako Mut, pozdrawiam cię - odpowiedziała uroczyście znachorka.

- Jestem matką Lanidara.

Tak myślałam. Widać podobieństwo - odrzekła Ayla. Jej dziwny akcent i nieco zbił kobietę z tropu.

- Chciałabym zapytać, w jaki sposób poznałaś mojego syna. Pytałam go, oczywiście, ale czasem bywa wyjątkowo małomówny - powiedziała, spoglądając z irytacją na Lanidara.

- Chłopcy tacy już są - odparła Ayla z uśmiechem. - Ktoś mu powiedział, że koło naszego obozu są konie. Przyszedł je obejrzyć, a ja akurat byłam przy nich.

- Mam nadzieję, że nie sprawił ci kłopotu - rzekła Mardena.

- Ależ skąd. Wręcz przeciwnie, myślę, że mógłby mi pomóc. Staram się trzymać konie na uboczu - dla ich bezpieczeństwa - do czasu, aż ludzie przyzwyczają się do nich i nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby na nie polować. Zamierzam zbudować zagrodę, ale nie mam na to czasu, więc na razie przywiązuję je długimi linami do drzewa. Kłopot w tym, że te liny wciąż się płaczą, a wtedy koniom brakuje swobody. Poprosiłam Lanidara, żeby zaglądał do nich, kiedy nie będzie mnie w obozie, i dawał mi znać, gdyby pojawił się jakiś problem. Nie chciałabym, żeby coś się stało moim zwierzętom - wyjaśniła Ayla.

- Lanidar jest jeszcze mały, a konie są... dość duże, prawda? - dopytywała się zaniepokojona matka chłopca.

- Owszem, a kiedy coś lub ktoś je spłoszy, wpadają w panikę i mogą mocno kopnąć, ale Lanidara polubiły od pierwszej chwili. Z dziećmi i osobami, które znają, obchodzą się zawsze bardzo łagodnie. Oczywiście możesz przyjść do naszego obozu i przekonać się na własne oczy. Jeśli jednak z jakiegoś powodu nie pozwolisz synowi na dogłądanie zwierząt, poszukam kogoś innego - zakończyła znachorka.

- Matko, nie odmawiaj! - zawołał Lanidar. - Ja chcę to robić. Ayla pozwoliła mi ich dotknąć! I karmiłem je obiema rękami! Pokazała mi też, jak używać miotacza oszczepów. Wszyscy chłopcy umiejają już rzucać oszczepem, a ja aż do dziś nawet nie spróbowałem.

Mardena wiedziała, że jej syn pragnie być taki sam, jak jego rówieśnicy, ale uważała, iż będzie lepiej dla niego, jeśli jak najwcześniej pogodzi się z nierealnością tego marzenia. Cierpiała, kiedy po narodzinach Lanidara odszedł mężczyzna jego ogniska. Była pewna, że wstydził się dziecka, i podejrzewała, że podobne uczucia żywiła reszta społeczności. Chłopiec był nie tylko kaleki, ale i wyjątkowo mały, jak na swój wiek, toteż matka starała się go chronić. Rzucanie oszczepem niewiele dla niej znaczyło. Przyszła na pokaz wyłącznie dlatego, że wszyscy inni szli, a

poza tym sądziła, że Lanidar popatrzy z przyjemnością na niezwykle wynalazek Jondalara. Kiedy jednak dotarła na miejsce, nigdzie nie mogła znaleźć syna. Nikt nie był zdumiony bardziej niż ona, kiedy obca kobieta poprosiła chłopca, by zademonstrował działanie nowej broni. To dlatego tak bardzo chciała wiedzieć, w jaki sposób Ayla zawarła znajomość z Lanidarem.

Znachorka dostrzegła w jej oczach wahanie.

- Jeśli nie jesteś zbyt zajęta, może przysłabyś jutro z Lanidarem do obozu Dziewiątej Jaskini? Zobaczysz, jak radzi sobie z końmi, i sama ocenisz, czy może mi pomagać - zaproponowała.

- Matko! Mogę. Wiem, że mogę to zrobić - odezwał się błagalnie Lanidar.

## ROZDZIAŁ 26

- Muszę się zastanowić - odparła w końcu Mardena. - Mój syn nie jest taki jak inni chłopcy. Nie umie robić tego, co oni robią z łatwością.

Ayla spojrzała na nią uważnie.

- Nie bardzo rozumiem.

- Na pewno zauważyłaś, że niesprawne ramię ogranicza Jego możliwości - odrzekła kobieta.

Trochę, ale wielu ludzi przewycięża podobne ograniczenia.

- Jak daleko może zajść w tym przewyciężaniu? Przecież wiesz, że nigdy nie zostanie myśliwym i że z taką ręką nie nadaje się na rzemieślnika. W tej sytuacji nie ma wielkiego wyboru - powiedziała Mardena.

- Dlaczego uważasz, że nie może ani polować ani pracować? - spytała Ayla. - Jest inteligentny. Dobrze widzi. Ma w pełni sprawną jedną rękę i częściowo sprawną drugą. Może chodzić, a nawet biegać. Widziałam już gorsze przypadki. Lanidar potrzebuje jedynie kogoś, kto będzie go uczył.

- Ale kogo? - spytała smętnie Mardena. - Nawet mężczyzna jego ogniska nie chciał tego robić.

Ayla zaczynała rozumieć sytuację kobiety.

- Chętnie zajmę się szkoleniem Lanidara i jestem pewna, że Jondalar zechce mi w tym pomóc. Lewe ramię chłopca jest silne. Nie wątpię, że będzie umiał doskonale władać oszczepem, szczególnie za pomocą miotacza.

- Dlaczego miałabyś to robić? Nie należysz do naszej Jaskini. Nawet nie znasz zbyt dobrze Lanidara - rzuciła z powątpiewaniem Mardena.

Znachorka nie sądziła, by kobieta uwierzyła w jej zapewnienia, iż czyni to tylko dlatego, że zdążyła polubić chłopca, choć zna go tak krótko.

- Myślę, że wszyscy mamy obowiązek przykładać się do nauczania dzieci, kiedy tylko nadarzy się po temu sposobność - powiedziała. - Niedawno zostałam Zelandonii i muszę udowodnić moim nowym braciom i siostram, że jestem godna być jedną z nich. Poza tym, jeżeli Lanidar pomoże mi przy koniach, będzie miał u mnie dług wdzięczności. Chciałabym ofiarować mu w zamian coś równie cennego. Takiego postępowania nauczono mnie w dzieciństwie.

- Może i spróbujesz mu pomóc, ale co będzie, jeśli mimo to nie nauczy się polować? Nie chciałabym, żeby przeżył zawód - odparła matka chłopca.

- Musi przyswoić sobie wartościowe umiejętności, Mardeno. Co się stanie, gdy dorośnie, a ty będziesz zbyt stara, by go chronić? Przecież nie chcesz, żeby stał się ciężarem dla Zelandonii. Ja też tego nie chcę, bez względu na to, w której mieszka Jaskini.

Umie zbierać z kobietami jadalne rośliny - odrzekła Mardena.

- Świetnie. To cenna umiejętność, ale powinien nauczyć się czegoś jeszcze, a przynajmniej spróbować - nie dawała za wygraną Ayla.

Pewnie masz rację, ale co mógłby robić? Jestem pewna, że nie będzie w stanie polować - odparła z przekonaniem matka Lanidara.

Widziałas przecież, jak rzucił oszczepem, prawda? Nawet jeśli nie zostanie najlepszym łowcą z całej Jaskini - choć wierzę, że mógłby osiągnąć wiele - to jeśli nauczy się polować, otworzą się przed nim nowe możliwości.

- Jakie?

Ayla gorączkowo szukała w myślach odpowiedzi.

- Słyszałam, jak gwizdał. Jest w tym doskonały, Mardeno - odrzekła po chwili. - Ten, kto umie gwizdać, z reguły potrafi też naśladować głosy zwierząt. A skoro tak, to twój syn może zostać Przywoływaczem; będzie wabił zdobyczą w pułapkę, wprost pod włócznie myśliwych. Do tego nie potrzeba sprawnych rąk, wystarczy spędzać sporo czasu w pobliżu zwierząt, słuchając i powtarzając ich głosy.

- Racja, Lanidar bardzo dobrze gwizdże - przyznała Mardena, rozważając możliwość, o której sama nie pomyślała. - Naprawdę sądzisz, że coś z tego będzie?

Chłopiec przysłuchiwał się rozmowie z ogromnym zainteresowaniem.

- Ona też gwizdże, matko. Potrafi gwizdać tak jak ptaki - wtrącił z zachwytem. - Umie gwizdem przywoływać konie, a także naśladować ich głosy jak nikt inny.

- Naprawdę potrafisz to robić? - spytała matka.

- Mam propozycję: przyjdź z Lanidarem jutro rano do obozu Dziewiątej Jaskini - odrzekła na to uzdrowicielka. Była pewna, że kobieta za chwilę poprosi ją o demonstrację, a jakoś nie miała ochoty rzeć jak koń w tłumie ludzi.

- Czy mogę przyprowadzić mój ą matkę? Jestem pewna, że chciałyby pójść z nami.

- Oczywiście. Najlepiej będzie, jeśli zjawicie się wszyscy na poranny posiłek.

- Zgoda. Zobaczymy się jutro rano - rzuciła na pożegnanie Mardena.

Ayla przez chwilę obserwowała odchodzących - matkę i syna. Nim dołączyła do rodziny Jondalara i do Wilka, dostrzegła jeszcze, że Lanidar obejrzał się raz i obdarzył ją uśmiechem pełnym wdzięczności.

- Oto twoja zdobycz - odezwała się Folar, trzymając w wyciągniętej ręce martwą pardwę z drzewcem oszczepu sterczącym z tułowia. - Co z nią zrobisz?

Właśnie zaprosiłam gości na poranny posiłek, więc zdaje się, że czeka mnie gotowanie - odrzekła uzdrowicielka.

- Kogo zaprosiłaś? - spytała Marthona.

- Tę kobietę, z którą rozmawiałam.

- Mardenę? - zdziwiła się Folar.

- A także jej syna i matkę.

- Nikt ich nie zaprasza, chyba że na uczty organizowane dla wszystkich - wyjaśniła Folar.

- Dlaczego? - Tym razem Ayla nie kryła zaskoczenia.

- Kiedy tak się nad tym zastanawiam, to... właściwie nie wiem - odpowiedziała szczerze Folar. - Mardena nie jest towarzyska. Zdaje się, że wini samą siebie - albo myśli, że ludzie ją winią - za kalectwo chłopca.

- Niektórzy rzeczywiście ją winią - stwierdziła Marthona. - Swoją drogą, chłopiec może mieć kłopot ze znalezieniem partnerki. Matki będą się obawiać, że przyniesie do ogniska ich córek duchy kalectwa.

- Poza tym gdziekolwiek idzie, zawsze ciągnie ze sobą to dziecko - dorzuciła Folar. - Chyba boi się, że inni chłopcy nie dadzą mu żyć, jeśli puści go gdzieś samopas. Zresztą pewnie ma rację. Mały raczej nie ma przyjaciół, bo matka nie daje mu sposobności do zawierania znajomości.

- Zauważyłam - przytaknęła Ayla. - Sprawiała wrażenie nadmiernie opiekuńczej.

- Dlaczego wybrałaś akurat tego chłopca do rzutu oszczepem? Odniosłam wrażenie, że go znasz - powiedziała Marthona.

- Ktoś mu powiedział, że w pobliżu naszego obozu - na Górnej Łące, jak się wyraził - można spotkać konie. Tak się złożyło, że byłam tam, kiedy przyszedł. Myślę, że próbował uciec przed tłumem albo przed własną matką, ale ktokolwiek powiedział mu o koniach, zapomniał wspomnieć o naszym obozie. Z tego, co wiem, Jondałar i Joharran rozpuścili wiadomość, że lepiej byłoby, gdyby ludzie trzymali się z dala od naszych zwierząt. Dlatego podejrzewam, że ten, kto wysłał Lanidara na łąkę, miał nadzieję, że przysporzy mu kłopotów. Jak wiecie, nie mam nic przeciwko temu, żeby Zelandonii poznawali konie, po prostu nie chciałabym, żeby ktoś na nie polował. Zbyt przyzwyczyli się do ludzi; nie wiedziałyby nawet, że trzeba uciekać - wyjaśniła Ayla.

- I dlatego pozwoliłaś Lanidarowi dotknąć ich, a on był zachwycony, jak wszyscy - uzupełniła Folar, uśmiechając się domyślnie.

Ayla także się uśmiechnęła.

- Może nie wszyscy, ale wydaje mi się, że jeśli ludzie lepiej poznają konie, docenią ich wyjątkowość i nie będą ich prześladować.

Pewnie masz rację - przyznała Marthona.

Whinney i Zawodnik od razu polubiły Lanidara, a on sam nauczył się gwizdu, którym je przywoływałam. Poprosiłam go więc, żeby zaglądał do koni, kiedy nie będzie mnie w pobliżu. Nie wydaje mi się, żeby jego matka mogła mieć coś przeciwko temu - powiedziała znachorka.

- Niewiele matek sprzeciwiłoby się temu, żeby ich prawie dwunastoletni syn zawarł bliższą znajomość z koniem czy jakimkolwiek innym zwierzęciem - odrzekła Marthona.

- Dwunastoletni? Dałabym Lanidarowi dziewięć, najwyżej dziesięć lat. Mówił mi, że wie o pokazie miotacza, który szykował Jondałar, ale nie chciał w nim uczestniczyć, bo nie umie rzucać oszczepem. Odniosłam wrażenie, że nie wierzy, by mógł dokonać takiej sztuki, choć przecież lewe ramię ma zupełnie sprawne. Miałam przy sobie mój miotacz i pokazałam mu, jak go używać. Po rozmowie z Mardena wiem, skąd w Lanidarze tyle niewiary, ale chłopak osiągnął już taki wiek, w którym powinien umieć coś więcej, niż zbierać jagody z matką. - Ayla spojrzała badawczo na dwie kobiety. - Zelandonii są tacy liczni, przecież nie możecie znać wszystkich. Skąd wiecie tyle o Lanidarze i jego matce?

Wieść o tym, że urodziło się kalekie dziecko, zawsze rozchodzi się szybko i daleko - odparła Marthona. - Po pewnym czasie wszyscy o tym rozmawiają; niekoniecznie w złośliwym tonie. Ludzie po prostu zastanawiają się, co się mogło stać, i mają nadzieję, że nie przytrafi się to żadnemu z ich dzieci. Wszyscy wiedzieli więc i o tym, że mężczyzna ogniska opuścił Lanidara i jego matkę. Większość z nas uważa, że zrobił to dlatego, iż wstydził się nazywać chłopca synem swojego ogniska, ale moim zdaniem winę ponosi także Mardena. Nie chciała, by ktokolwiek oglądał dziecko; nawet jej partner. Próbowwała je chować, zawsze zakrywała zdeformowane ramię i z czasem stała się nadopiekuńcza.

- Problem w tym, że zostało jej to do dziś. Kiedy dowiedziała się, że poprosiłam Lanidara o dogłądanie koni pod moją nieobecność, nie chciała się zgodzić. A przecież nie prosiłam o wykonanie zadania ponad jego siły. Wystarczyłby\* gdyby od czasu do czasu zajrzał na polanę i zawiadomił mnie w razie jakichkolwiek kłopotów - powiedziała Ayla. I Zaprosiłam ją na jutro właśnie po to, by ją przekonać, że konie nie zrobią chłopcu krzywdy. Obiecałam też, że nauczę go polować, a przynajmniej rzucać oszczepem. Sama nie wiem, dlaczego tak to wyszło, ale im bardziej Mardena się sprzeciwiała, tym bardziej zależało mi na przekonaniu jej, że uda mi się nauczyć czegoś Lanidara.

Marthona i Folarą słuchały jej z uśmiechem, kiwając potakująco głowami.



- Powiecie Prolevie, że rano będziemy mieli gości? - spytała Ayla. - I że będę dziś gotować pardwę.

- Nie zapomnij o szaraku - dorzuciła Marthona. - Salova mówiła mi, że upolowałaś jednego dziś rano. Chcesz, żebym pomogła ci w gotowaniu?

Tylko jeśli sądzisz, że przyłączy się do nas więcej osób - odrzekła znachorka. - Myślę, że najlepiej będzie wykopać dół na gorące kamienie i przez noc gotować w nim ptaka i zająca jednocześnie. Może dodam też trochę ziół i warzyw.

- Poranny posiłek prosto z ziemnej kuchni! Uwielbiam takie gotowanie, mięso jest wyjątkowo delikatne - rozmarzyła się Folar. - Już nie mogę się doczekać.

- Lepiej zastanów się, w czym możemy pomóc - ostudziła jej zapał Marthona. - Skoro to Ayla ma gotować, wszyscy będą ciekawi i na pewno zechcą spróbować. Och, niemal zapomniałam - miałam ci przekazać, Aylo, że jutro po południu w chacie Zelandoni odbędzie się zebranie wszystkich kobiet, które przymierzają się do Zaślubin, i ich matek.

- Nie mam matki - powiedziała cicho znachorka, marszcząc czoło. Nie chciała być jedyną kobietą samotnie uczestniczącą w spotkaniu.

- W zasadzie nie jest to zebranie dla matek mężczyzn, ale skoro kobieta, która cię urodziła, nie może ci towarzyszyć, chętnie zajmę jej miejsce. Jeżeli chcesz, ma się rozumieć - zaproponowała Marthona.

- Naprawdę? - zawołała radośnie Ayla. - Chcę, i to bardzo!

Spotkanie kobiet, które niedługo zawiążą węzeł, pomyślała Ayla. Wkrótce będę partnerką Jondalara. Och, jak bardzo brakuje mi Izy... To ona powinna być teraz przy mnie, a nie kobieta, która mnie urodziła. Ale skoro obie wędrują już po następnym świecie, cieszę się, że Marthona chce mi towarzyszyć. Iza byłaby zachwycona. Zawsze obawiała się, że nigdy nie znajdzie partnera - i pewnie tak by się stało, gdybym pozostała w Klanie. Miała rację, kiedy radziła mi, żebym odeszła i poszukała własnego ludu... Brakuje mi jej, Creba i Durca. Muszę przestać o nich myśleć. - Czy mogłybyście zabrać do obozu tę pardwę? - spytała Ayla. - Muszę pójść na polowanie, skoro zapowiada się poważna poranna biesiada.

Niedaleko od głównego obozowiska Letniego Spotkania wapienne wzgórza otaczały obszerne zagłębienie o zaokrąglonych ścianach i otwartym wlocie. Zbocza łączyły się w centralnym punkcie dolinki, tworząc niewielką, względnie równą powierzchnię, pokrytą warstwą kamieni i ziemi udeptanej przez ludzi w ciągu wielu lat. Okryte murawą stoki wznosiły się miejscami dość łagodnie, tak że gdzieś tam mogły wygodnie zasiać nawet całe Jaskinie, by swobodnie obserwować to, co się działo na dnie naturalnego zagłębienia. W sumie na owych

"siedziskach" pomieścić się mogło nawet ponad dwa tysiące osób, czyli wszyscy uczestnicy Letniego Spotkania Zelandonii.

W małym zagajniku w pobliżu szczytu skarpy znajdowało się źródło, które tworzyło nieduże rozlewisko, a następnie spływało w dół, przecinając stok i płaskie dno dolinki, by nieco dalej ujść do strumienia płynącego przez centralne obozowisko. Strużka była tak mała, że z łatwością można było przejść nad nią jednym krokiem, za to zbiornik na szczycie zapewniał potrzebującym zapas czystej i smacznej wody.

Ayla ruszyła w górę, ku drzewom, ścieżką wydeptaną wzdłuż strumyka o kamienistym dnie. U źródła zatrzymała się, by ugasić pragnienie, a potem rozejrzała się po okolicy. Połyskująca w słońcu powierzchnia wąskiej strugi przyciągała wzrok. Znachorka spojrzała w stronę miejsca, gdzie źródło łączyło się z większym strumieniem wpadającym następnie do Rzeki, która ginęła gdzieś w oddali pośród wapiennych kanionów. Krajobraz całej okolicy zdominowały strome wzgórza i nadrzeczne urwiska.

Nagle do uszu Ayli dotarł dźwięk płynący od strony obozu, niepodobny do niczego, co zdarzyło jej się słyszeć: chór setek ludzkich głosów zlewających się w jeden szmer. Ponad w miarę spokojny gwar tłumu raz po raz wybijały się pojedyncze okrzyki, wołania i śmiechy. Uzdrowicielka popiysłała natychmiast o brzęczącym roju pszczoł lub porykującym w oddali wielkim stadzie żubrów. Cieszyła się, że oioże przez chwilę rozkoszować się samotnością.

Choć tak naprawdę nie była zupełnie sama. Z uśmiechem popatrzyła na Wilka, który swoim zwyczajem zaglądał we wszystkie zakamarki doliny. Jego towarzystwo zawsze napełniało ją radością. Wprawdzie nie była przyzwyczajona do obcowania z wielkimi zbiorowościami ludzi, ale i nie pragnęła samotności na dłuższą metę. Wystarczyło jej to, co przeżyła w dolinie wkrótce po opuszczeniu Klanu. Patrząc na tamte wydarzenia z perspektywy czasu, wcale nie była pewna, czy zniósłaby odosobnienie bez pomocy - czy raczej towarzystwa - Whinney i Maluszka. A przecież nawet z nimi miewała chwile, w których czuła się bardzo samotna. Pobyt w dolinie miał jednak i dobre strony: Ayla umiała zdobywać pożywienie i potrzebne do życia przedmioty, a do tego nauczyła się cenić wolność. Pierwszy raz w życiu mogła robić wszystko to, na co miała ochotę - także zaopiekować się małą kłaczą czy lwem jaskiniowym. Żyjąc samodzielnie, przekonała się, że samotność jest znośna, że można zapewnić sobie względny komfort i bezpieczeństwo, o ile jest się młodym, silnym i zdrowym. Dopiero ciężka choroba uświadomiła jej, jak groźny może być brak innych ludzi.

Wtedy też pojęła, że jej życie już dawno dobiegłoby końca, gdyby członkowie Klanu nie pozwolił jej - małej, rannej sierocie, ofierze trzęsienia ziemi - zamieszkać z nimi, choć była potomstwem tych, których nazywali Innymi. Znacznie później, gdy wraz z Jondalarem dołączyła

do Mamutoi, zrozumiała, iż egzystencja w grupie, nawet takiej, która uznaje indywidualne potrzeby i dążenia swych członków za istotne, oznacza ograniczenie wolności osobistej na korzyść równie ważnych obowiązków wobec społeczności. Przetrawanie było z reguły uzależnione od współpracy między ludźmi - Klan, Obóz czy Jaskinia nie mogły istnieć, jeżeli nie tworzyli ich ludzie skłonni do wspólnej pracy i wzajemnej pomocy. Między tym, co ważne dla jednostek, a tym, co istotne dla grupy, toczyła się nieustanna walka.

Grupowa współpraca zapewniała jednostce pewniejsze zaspokajanie podstawowych potrzeb. Pozwalała także na wygospodarowanie wolnego czasu, który można było poświęcić zajęciom znacznie przyjemniejszym niż praca. To właśnie pojawieniu się czasu wolnego od obowiązków Inni zawdzięczali dynamiczny rozwój sztuki, przy czym nie była ona wówczas działalnością czysto artystyczną, ale częścią normalnej, codziennej egzystencji. Niemal każdy członek społeczności potrafił nie tylko pracować, tworzyć, ale i doceniać umiejętności współmieszkańców Jaskini. Już od dzieciństwa pozwalano im eksperymentować, tak by odnaleźli dziedzinę, w której przejawiali wyjątkowy talent. Umiejętności praktycznych nie ceniono wyżej niż artystycznych.

Ayla przypominała sobie, że Shevonar - mężczyzna, który zginął podczas polowania na bizona - był wytwórcą włóczni. Nie był jedyną osobą w Dziewiątej Jaskini, która umiała wykonać dobrą broń, ale specjalizacja w jednym rzemiośle pozwoliła mu osiągnąć perfekcję, a tym samym umożliwiła podniesienie statusu; nie tylko społecznego, ale i majątkowego. Wśród Zelandonii, podobnie jak w niemal wszystkich grupach, z którymi znachorka miała sposobność żyć, zdobyte pożywienie było rozdzielane między ludzi, a najlepszym myśliwym czy zbieraczom za ich skuteczność przysługiwała jedynie wyższa pozycja. Człowiek mógł więc przetrwać, nie biorąc na przykład udziału w polowaniach, lecz jeśli przy tym nie wykazywał szczególnego talentu w żadnej dziedzinie i nie był przydatnym rzemieślnikiem - a zatem nie mógł osiągnąć wysokiego statusu - nie miał szans na dobre życie.

Ayla z niejakim trudem zaczynała pojmować koncepcję wymiany dóbr i usług, którą realizowali w swej społeczności Zelandonii. Niemal wszystko, co wytwarzano lub robiono, miało swoją wartość, choć praktyczny wymiar owej ceny nie zawsze był oczywisty. Wartość towaru lub usługi była wynikiem zawartego kompromisu, często osiąganego w drodze nieustępliwych targów. Dlatego też przedmioty wykonane przez najzdolniejszych twórców cenione były wyżej niż te, które wytwarzali przeciętni. Działo się tak z dwóch powodów: po pierwsze, ludzie woleli posiadać dobra lepszej jakości, a to oznaczało zwiększony popyt; po drugie zaś, wykonaniu wyjątkowo atrakcyjnego towaru należało zazwyczaj poświęcić znacznie więcej czasu. Talent i pracowitość

były wysoko oceniane, a niemal każdy mieszkaniec Jaskini kierował się własnym zmysłem estetycznym.

Doskonała i pięknie ozdobiona włócznia miała nieco większą wartość niż tylko dobra i nieskończenie wyższą cenę niż kiepska. Niezdarnie wykonany koszyk mógł służyć równie dobrze jak wspaniale wplecione, wielobarwne dzieło sztuki wikliniarskiej, a jednak był znacznie mniej pożądanym towarem. Kosz ledwie spełniający swoją funkcję nadawał się do przechowywania korzeni świeżo wykopanych z ziemi, ale produkty umyte czy wysuszone zasługiwały na znacznie piękniejsze naczynie. Narzędzia i przedmioty codziennego użytku, których wykonanie nie nastęczało większych trudności, były często porzucane. Te, które zrobiono wyjątkowo starannie i wprawnie ozdobiono, zwykle służyły ludziom znacznie dłużej.

Nie tylko wyroby rękodzielnicze były w cenie - istotną rolę w życiu Zelandonii odgrywała także rozrywka. Długie mroźne zimy zmuszały ludzi do spędzania czasu w czterech ścianach kamiennych domostw, nic więc dziwnego, że poszukiwano form rozładowywania narastającego w rodzinach napięcia. Podczas kameralnych i publicznych spotkań nie stroniono od tańców i śpiewów - ten, kto wprawnie przygrywał na fujarce, nie był szanowany mniej niż producent oszczepów czy plecionych koszy. Ayla wiedziała już, że szczególną estymą darzono Opowiadaczy. Ludzie pełniący tę funkcję żyli także w Klanie, przypomniawszy sobie znachorka. Ich współplemieńcy uwielbiali słuchać opowieści, które już doskonale znali.

Inni także lubili stare, sprawdzone historie, ale nie stronili od nowinek. Z entuzjazmem oddawali się grom słownym i rozwiązywaniu zagadek, zawsze chętnie witając gości, którzy zazwyczaj przynosili nowe, nieznane opowieści. Namawiano ich, by mówili o swym życiu i przygodach, bez względu na to, czy mieli zdolności dramatycznej narracji czy nie - ich słowa i tak przyjmowano z zainteresowaniem, a potem przez długie godziny dyskutowano o nich przy ogniskach. Lecz choć niemal każdy potrafił opowiedzieć coś interesującego, ci, którzy mieli w tym kierunku prawdziwy talent, byli nieustannie zachęceni, kuszeni i przekupywani - po to, by zgodzili się odwiedzić sąsiednie Jaskinie. Tak narodziła się profesja wędrownego Opowiadacza. Niektórzy z nich spędzali lata, a czasem i całe życie, krążąc od Jaskini do Jaskini i przenosząc wieści i rozkazy, a nade wszystko opowiadając wspaniałe historie. Nikogo nie witano w osadach Zelandonii bardziej entuzjastycznie niż wędrownych Opowiadaczy.

Większość ludzi łatwo było zidentyfikować po wzorach na ubraniach, specyficznych naszyjnikach i innej biżuterii, ale tylko Opowiadacze z czasem poczęli odziewać się w szaty o niepowtarzalnym kroju, które wyróżniały ich z tłumu. Nawet dzieci potrafiły ich rozpoznać, a kiedy przybywali do nowej osady, ustawały w niej wszelkie prace. Niekiedy odkładano na później od dawna zaplanowane wyprawy łowieckie. Rozpoczął się czas spontanicznie organizowanych

biesiad. Choć wielu wędrownych Opowiadaczy potrafiło i mogło polować, żaden z nich nie musiał nigdy samodzielnie dbać o prowiant. Dary, które otrzymywali, miały ich zachęcić do powrotu w to samo miejsce. Kiedy stawali się zbyt starzy lub zmęczeni podróżowaniem, mogli osiedlić się w dowolnie wybranej Jaskini.

Niekiedy Opowiadacze wędrowali razem, często całymi rodzinami. W towarzyszących im grupach utalentowanych artystów nie brakowało śpiewaków, tancerzy i instrumentalistów, popisujących się grą na bębnach, grzechotkach, tarkach, fletach, a nawet prostych szarpanych instrumentach strunowych. Lokalni muzycy, Śpiewacy i tancerze poszczególnych Jaskiń, a także zwykli mieszkańcy osad, chętnie brali udział w występach. Historiom przydawano w ten sposób dramatyzmu, lecz bez względu na to, w jaki sposób upiększano narrację, popisy wędrownych Opowiadaczy zawsze znajdowały się w centrum uwagi.

Ich twórczość była bardzo urozmaicona: przekazywali mity, legendy, opowiadania, streszczali własne przygody, opisywali dalekie lub nie istniejące miejsca, ludzi, zwierzęta. Częścią ich repertuaru, na którą nigdy nie brakowało popytu, były plotki z życia sąsiednich Jaskiń, czasem zabawne, kiedy indziej zaś poważne lub wręcz smutne; niekiedy tkwiło w nich spore ziarno prawdy, lecz bywało i tak, że od początku do końca zostały wysane z palca. Wszystkie chwytły były dozwolone pod warunkiem, że opowieść snuto w umiejętny, pełen swady sposób. Opowiadacze przynosili także prywatne wiadomości między przyjaciółmi i krewnymi, przywódcami i Zelandoni, choć wszyscy mieli świadomość, iż jest to komunikacja bardzo delikatnej natury. Ten, komu powierzano ważne wieści, musiał być posłańcem sprawdzonym i godnym zaufania, a nie wszyscy Opowiadacze spełniali ten wymóg.

Poza grzbietem otaczającym dolinkę, stanowiącym najwyższy punkt całej okolicy, teren obniżał się nieco i płynnie zmieniał w równinę. Ayla pokonała wzniesienie i ruszyła w dół łagodnie nachylnym stokiem, a ściślej mówiąc ukośną, wąską ścieżką, wiodącą między gęstymi krzewami i kępami sękatych sosen. U podnóża pagórka zeszła z traktu, tonącego w gąszczu jeżyn, na trawiastą część zbocza. Przy kamienistym korycie wyschniętego strumienia, którego rośliny nie potrafiły skolonizować, znowu skręciła pod górę.

Wilk penetrował okolicę z wielką ciekawością. Dla niego także było to nowe terytorium; interesowały go wszystkie zagłębienia terenu, kuszące nieznanymi zapachami. Ruszył w górę kamienistym dnem nie istniejącego już strumyka, który niegdyś wcinał się rwącym nurtem w wapienne podłoże. Po chwili zszedł z wygodnego szlaku i zniknął za stertą skalnych odłamków. Ayla spodziewała się, że ujrzy go lada chwila, lecz kiedy nie pojawiał się przez dłuższy czas, zaczęła się martwić. Stała obok niewysokiego kopca, rozejrzała się i wreszcie gwizdnęła przenikliwie - tak jak czyniła to zawsze, gdy chciała przywołać czworonoga. Czekwała dość długo,

nim spostrzegła ruch w splątanych krzewach za kupą kamieni i usłyszała skrobanie pazurów pośród jeżyn.

- Gdzieś ty był, Wilku? - spytała po chwili, schylając się i spoglądając w ślepią wiernego towarzysza. - Co tam znalazłeś? Dlaczego musiałam tak długo czekać?

Postanowiła rozwiązać tę zagadkę: zdjęła plecak i z samego dna wyjęła małą siekierkę, którą Jondalar wyciosał specjalnie dla niej. Nie było to najlepsze narzędzie do wycinania długich, zdrewniałych, kolczastych łodyg, ale po chwili znachorka osiągnęła cel. Pod warstwą krzaków znalazła jednak coś, co bardzo zaostrzyło jej ciekawość: zamiast kamienistej ziemi ujrzała czarną pustkę.

Wycięła jeszcze parę gałęzi, by przedostać się przez otwór, nie rozdzierając skóry o ostre kolce. Grunt opadał stromo, tworząc dość wygodne wejście do podziemnej jaskini. Dzięki smudze światła, która wcisnęła się do wnętrza przez świeżą przecinkę, mogła zejść głębiej, w myśli licząc kroki. Gdy naliczyła ich trzydzieści jeden, podłoże poczęło opadać coraz łagodniej i wkrótce stało się niemal poziome, korytarz zaś - szerszy. Oczy Ayli przywykły już do półmroku na tyle, że mogła stwierdzić, iż znalazła się u wejścia do obszernej komnaty. Rozejrzała się uważnie i po krótkim namyśle powróciła na powierzchnię.

- Ciekawe, ilu ludzi wie o tej jaskini, Wilku?

Użyła siekiery, by powiększyć otwór wejściowy, a potem wybrała się na poszukiwania. Niedaleko od jaskini zauważyła martwą sosnę o zbrązowiałych igłach. Za pomocą kamiennego ostrza utorowała sobie drogę przez kolczaste zarośla, by szarpnięciem sprawdzić, czy da się ułamać najniższą gałąź. Musiała zawiesić się na niej całym ciężarem ciała, ale Areszcie dopięła swego. Poczula, że jej dłonie są lepkie, i uśmiechnęła się, gdy dostrzegła ciemne krople smoły. Taka gałąź nadawała się na pochodnię bez dodatkowego paliwa; wystarczyło, by zajął ją ogień.

Znachorka zebrała trochę suchych gałązek i kory sosnowej, po czym wróciła do dawnego koryta strumienia. Tam wyjęła z plecaka zestaw do rozpalania ognia i - używając suszu jako podpałki - bryłką pirytu żelaza i kawałkiem krzemienia skrzesała iskrę. Nieduży płomień wystarczył, by zapalić pochodnię. Wilk przyglądał się uważnie poczynaniom swej pani, a kiedy ruszyła z powrotem ku jaskini, popędził przodem, by za stertą kamieni ponownie zniknąć w kolczastym gąszczu jeżyn, ignorując wygodny otwór wycięty przez Aylę. Przed łaty, gdy zboczem spływał wartki strumień, którego dziełem była podziemna jaskinia, nad jej wejściem piętrzył się nawis skalny. Naturalny dach zawalił się jednak, a jego szczątki przesłaniały nieco otwór wejściowy.

Znachorka wspięła się na stos skalnych odłamków i zeszła zeń, by po chwili zniknąć we własnoręcznie wyciętym tunelu pośród krzaków. Kiedy wolno zagłębiała się w pieczarze,

migotliwe światło pochodni wyłuskiwało z mroku cienie skalnych formacji, nadając im pozorny ruch, jakby były żywymi istotami. Kobieta zbliżyła się do ściany - dołem brązowawej, natomiast mniej więcej od wysokości podbródka Ayli, czyli od pięciu stóp nad ziemią, okrytej białym nalotem - wznoszącej się ku sklepieniu łagodnym łukiem. Przed wizytą w czeluści Skał Fontanny uzdrowicielka nie myślała tymi kategoriami, lecz teraz doskonale zdawała sobie sprawę, jaki użytek z tego wnętrza potrafiłby zrobić artysta pokroju Jonokola.

Ayla ostrożnym krokiem zatoczyła łuk, by stanąć pod przeciwległą ścianą. Dno groty było błotniste, nierówne i śliskie. W głębi komnaty, która kształtem przypominała literę "U", znajdowało się wąskie przejście do kolejnego pomieszczenia. Znachorka uniosła wyżej pochodnię i zajrzała do wnętrza. Wyższe partie ścian były białe i łukowato wygięte, za to ich dolne części zbliżały się ku sobie, tworząc wąski i kręty korytarz, w który Ayla postanowiła nie wchodzić. Wędrując dalej wzdłuż zaokrąglonej białej skały, spostrzegła kolejne przejście, lecz i tutaj jedynie zajrzała. Doszła do wniosku, że najlepiej będzie powiedzieć o odkryciu Jondalarowi i jeszcze paru osobom, a potem dyskretnie sprowadzić je na miejsce.

Widziała w życiu wiele jaskiń, w większości pełnych wspaniałych, kamiennych sopli - stalaktytów - zwieszających się ze stropów oraz stalagmitów wychodzących im na spotkanie z podłoża, lecz nigdy jeszcze nie napotkała czegoś tak wyjątkowego. Na ścianach osadziły się bardzo drobne kryształy kalcytu, tworzące względnie gładką, jasną powierzchnię, pokrywającą naturalne nierówności skały, i to właśnie nadawało pieczarze tak niezwykły wygląd.

Po chwili Ayla zauważyła, że światło pochodni przygasa - to zwęglona końcówka drzewca tłumiła płomień. W każdej innej jaskini po prostu straciłaby szerniały osad, uderzając konarem o ścianę, ale zdała sobie sprawę, że ten zabieg pozostawiłby czarny ślad na nieskazitelnie białej powierzchni. Po namyśle wybrała dolną, brązową część ściany, lecz mimo to, gdy bryłka zwęglonego drewna potoczyła się po podłożu, odruchowo chciała ją podnieść. Jaskinia wydawała się znachorce dziwnym, świętym miejscem; było w tych białych sklepieniach coś duchowego, nieziemskiego, czego w żaden sposób nie należało profanować.

Ayla potrząsnęła głową, budząc się z zadumy. To tylko jaskinia, pomyślała, choć trzeba przyznać, że wyjątkowa. Nie zaszkodzi jej odrobina węgla. Jak zauważyła znachorka, Wilk nie czuł się tu jak w świątyni: co kilka kroków podnosił łapę i oznaczał nowe terytorium własnym zapachem. Plamy, które pozostawiał, nie sięgały jednak niezwykłych białych ścian.

Uzdrowicielka powróciła do obozu Dziewiętej Jaskini najszybciej, jak potrafiła, nie mogąc doczekać się, kiedy wreszcie opowie innym o swoim odkryciu. Dopiero gdy dotarła na miejsce i zobaczyła gromadę ludzi wynoszących piach ze świeżo wykopanego pieca ziemnego oraz kilkoro przygotowujących potrawy, które miały do niego trafić, przypomniała sobie, że zaprosiła gości na

poranny posiłek następnego dnia. Planowała zdobyć coś smacznego na tę okazję - zapolować lub znaleźć smaczne rośliny - ale podniecona odkryciem pieczary nie miała czasu na myślenie o przyziemnych sprawach. Z daleka już zauważyła, że Marthona, Folara i Proleva wyciągnęły z zimnego schowka cały udziec bizoni.

Pierwszego dnia po przybyciu na Letnie Spotkanie większość mieszkańców Dziewiątej Jaskini wzięła udział w kopaniu wielkiego dołu, który sięgał aż po warstwę wiecznej marzłoci. Złożono w nim zapas nie ususzonego mięsiwa, w większości pochodzącego z ostatniego polowania przed wymarszem. Ziemie Zelandonii leżały wystarczająco blisko północnego lodowca, by istniało na nich zjawisko zmarzliny, co naturalnie nie oznaczało, że przez okrągły rok panowała na nich surowa zima. W najchłodniejszych miesiącach gleba zamarzała na kamień aż po powierzchnię, za to latem górne warstwy - na głębokości od kilku cali do kilku stóp, zależnie od budowy geologicznej i nasłonecznienia danej okolicy - odmrażały. Przechowywanie żywności w dołach sięgających wiecznej marzłoci wydatnie przedłużało jej przydatność do spożycia, choć większość ludzi nie miała nic przeciwko posilaniu się mięsiwem nie pierwszej świeżości, a niektórzy wręcz cenili sobie "aromat", którego z czasem nabierało.

- Och, Marthono, tak mi przykro! - zawołała Ayla, dotarłszy do głównego paleniska. - Miałam zdobyć jedzenie na jutrzejszy posiłek, a tymczasem znalazłam jaskinię niedaleko stąd i zupełnie zapomniałam o obowiązkach. To najpiękniejsza jaskinia, jaką w życiu widziałam. Chcę ją wszystkim pokazać.

- Nigdy nie słyszałam o jaskiniach w tej okolicy - zdziwiła się Folara. - A już na pewno nie o pięknych. Czy to daleko stąd?

- Nie, po drugiej stronie stoku, który rozpoczyna się zaraz za głównym obozowiskiem - wyjaśniła znachorka.

- Czyli tam, gdzie późnym latem chodzimy na jeżyny - wtrąciła Proleva. - Tylko że tam nie ma żadnej jaskini.

- Kilka osób, które usłyszały pierwsze słowa Ayli, zebrało się dookoła. Byli wśród nich Jondalar i Joharran.

To prawda - przytaknął Joharran. - Ja też nie słyszałem o żadnej jaskini w okolicy.

Wejście było ukryte w gęstych krzakach, za wielką stertą kamieni - odrzekła uzdrowicielka. - Tak naprawdę to Wilk je znalazł. Węszył sobie po wszystkich zakamarkach i nagle zniknął mi z oczu. Kiedy gwizdnęłam, wyjątkowo długo trwało, nim powrócił. Zastanawiałam się, dlaczego tak jest, a kiedy przeszłam do czynów - odkryłam jaskinię.

- Pewnie nie jest zbyt duża, prawda? - ni to stwierdził, ni spytał Jondalar.

- Jest spora, Jondalarze, i naprawdę niezwykła. Mieści się we wnętrzu dużego wzgórza.



Pokażesz nam ją?

- Oczywiście. Przecież po to właśnie przyszłam. Ale najpierw powinnam chyba dołączyć do tych, którzy przygotowują posiłek.

- Właśnie rozpaliliśmy ogień w podziemnym piecu - stwierdziła Proleva. - Wsadziłyśmy do środka tyle drewna, że minie sporo czasu, zanim wszystko się spali i rozgrzeje kamień. Mięso i tak miałyśmy rozłożyć na wysokich rusztowaniach, póki nie będziemy gotowe z robotą, więc nie ma problemu; możemy iść teraz.

- Zaprosiłam gości na posiłek, a inni wykonują za mnie najcięższe prace. Powinnam była przynajmniej pomóc w kopaniu dołu - powiedziała znachorka, rumieniąc się ze wstydu. Czuła się tak, jakby uchylała się od przykrych obowiązków.

- Nie przejmuj się, Aylo. I tak mieliśmy zamiar wykopać tę dziurę - pocieszyła ją Proleva. - Było nas zresztą znacznie więcej niż teraz. Nie było wcale tak ciężko. Większość z nas całkiem niedawno poszła do głównego obozowiska. A twoje zaproszenie tylko nas zmobilizowało.

- Chodźmy wreszcie obejrzyć tę jaskinię - odezwał się niecierpliwie Jondalar.

- Jeżeli pójdziemy tam wszyscy, ruszy za nami całe centralne obozowisko - zauważył Willamar.

W takim razie rozdzielimy się i spotkamy dopiero przy źródle - zaproponował Rushemar.

On także uczestniczył w kopaniu dołu, teraz zaś czekał, aż jego kobieta skończy karmić Marsolę, by odprowadzić ją do głównego obozu. Salova, stojąca opodal, uśmiechnęła się do niego. Jej partner nie był gadatliwy, ale kiedy już się odezwał, zwykle jego słowa były mądre. Kobieta rozejrzała się, szukając wzrokiem córki. Skoro gromada mieszkańców Dziewiątej Jaskini miała ruszyć na wycieczkę, Salova musiała poszukać nosidła dla małej, ale nie miała nic przeciwko temu - wyprawa zapowiadała się interesująco.

To dobry pomysł, Rushemarze, ale zdaje się, że mój jest jeszcze lepszy - rzekł Jondalar. - Możemy dotrzeć do tamtego zbocza, idąc w górę naszego strumienia i zawracając łukiem. Za sadzawką u źródła wznosi się kamienisty stok. Kiedy wspiąłem się na jego szczyt, szukając krzemiennych buł nadających się do obróbki, miałem okazję dobrze przyjrzeć się całej okolicy.

- Doskonale! Chodźmy już! - zawołała Folar.

- Chciałabym, żeby Zelandoni z Jonokolem także zobaczyli to miejsce - powiedziała Aylo.

- Jako że znajdujemy się na cudzym terytorium, chyba wypadałoby zaprosić do udziału w wyprawie Tormadena, przywódcę Dziewiętnastej Jaskini - dodała Marthona.

- Jak zwykle masz rację, matko. Zaiste, gospodarze powinni zbadać tę grootę pierwsi - przyznał Joharran. - Ale skoro nie odnaleźli jej, odkąd zamieszkali w okolicy, możemy chyba zaproponować im wspólną wycieczkę. Zaproszę Tormadena. - Przywódca uśmiechnął się krzywo. -

Nie powiem mu tylko, o co chodzi. Poprzestanę na tym, że Ayla chciała nam pokazać coś ciekawego.

- Pójdę z tobą, Joharranie - dorzuciła uzdrowicielka. - Zajrzę do chaty Zelandoni i poproszę Pierwszą i Jonokola, żeby wybrali się z nami.

- Kto chce iść do jaskini?! - zawołał Joharran. Wszyscy zebrani wyrazili zainteresowanie, ale jako że większość z dwustu mieszkańców Dziewiątej Jaskini poszła wcześniej z wizytą do centralnego obozowiska, tłum ciekawskich nie był zbyt gęsty. Używając w myśli słów do liczenia, przywódca stwierdził, że towarzyszyć mu będzie około dwudziestu pięciu osób. Pomyślał, że jest to grupa, którą da się jeszcze jakoś dowodzić, szczególnie że trasa miała być dość okrężna.

- W porządku. Pójdę teraz z Ayla do głównego obozu. Jondalarze, zaprowadzisz wszystkich swoją drogą; spotkamy się na stoku za źródłem, po drugiej stronie obozowiska. Weź ze sobą coś do wycinania kolczastych łądyg, Jondalarze. A także parę pochodni i zestaw do rozpalania ognia - poradziła Ayla. - Weszłam tylko do pierwszej obszernej komnaty, ale zauważyłam, że na boki rozchodzi się kilka korytarzy.

Kilkoro Zelandoni i akolitów przygotowywało właśnie zebranie z kobietami, które wkrótce miały zawiązać węzeł. Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą Matce miała pełne ręce roboty, jak to zwykle bywało podczas Letnich Spotkań. Kiedy jednak Ayla poprosiła ją o chwilę rozmowy na osobności, wyczuła w zachowaniu młodej kobiety napięcie, które zwiastowało, iż sprawa nie jest błaha. Znachorka w krótkich słowach opowiedziała o odkryciu jaskini i dodała, że mała ekspedycja z Dziewiątej Jaskini już zmierza na miejsce i że ma się z nimi spotkać u źródła za głównym obozowiskiem tak szybko, jak to będzie możliwe. Donier wahała się, lecz Ayla nie ustępowała, prosząc, by Pierwsza wysłała choć Jonokola, jeśli nie może pójść osobiście. Te słowa sprawiły, że ciekawość duchowej przywódczyni zwyciężyła nad poczuciem obowiązku.

- Zelandoni z Czternastej, czy zechcesz poprowadzić dalej to spotkanie? - spytała Pierwsza, zwracając się do kobiety, która o niczym tak nie marzyła, jak o zajęciu jej miejsca. - Muszę zająć się pilną sprawą w Dziewiątej Jaskini.

- Oczywiście - zgodziła się ochoczo stara kobieta. Była - jak wszyscy - zaciekawiona nagłą decyzją Pierwszej o wyjściu w samym środku ważnego zebrania, ale jednocześnie zadowolona z tego, że właśnie jej powierzono zastępstwo. Być może Zelandoni z Dziewiątej Jaskini wreszcie zaczęła doceniać jej zasługi...

- Jonokolu, chodź ze mną - zwróciła się donier do swego Pierwszego Akolity.

Te słowa wzbudziły jeszcze większe zainteresowanie zebranych, ale nikt nie śmiał zadawać pytań - nawet Jonokol, który w duchu radował się, że wkrótce pozna prawdę.

Joharran miał kłopoty z odnalezieniem Tormadena i przekonaniem go, że powinien rzucić wszelkie inne zajęcia; zwłaszcza że przywódca Dziewiątej Jaskini nie chciał mu powiedzieć, o co chodzi i skąd taki pośpiech.

- Ayla znalazła coś, o czym powinieneś wiedzieć, skoro znajdujemy się na waszym terytorium - rzekł zagadkowo Joharran. - Kilka osób z Dziewiątej Jaskini już o tym wie, bo były przy mojej z nią rozmowie, ale wydaje mi się, że powinieneś dowiedzieć się o sprawie, zanim usłyszysz o niej całe Letnie Spotkanie. Wiesz przecież, jak szybko rozchodzą się plotki.

- Naprawdę sądzisz, że to takie ważne? - spytał Tormaden.

- Gdyby było inaczej, nie zawracałbym ci głowy - odparł Joharran.

Więści o jaskini odkrytej przez Aylę rozbudziły ciekawość w mieszkańcach Dziewiątej Jaskini - ci, którzy zdecydowali się towarzyszyć jej i przywódcy, postanowili zabrać też trochę jedzenia, kosze na owoce oraz pochodnie, czyniąc z małego spaceru wielką wyprawę. Uważali się za szczęściarzy tylko dlatego, że byli akurat w obozie, kiedy znachorka obwieściła nowinę. Nie mogli się doczekać, kiedy zobaczą ową cudowną pieczarę, odnalezioną przypadkiem przez kobietę Jondalara. Przypuszczali, że piękno kryć się będzie w wyjątkowym nagromadzeniu i kształcie skalnych sopli, że zobaczą grotę podobną do Ładnej Dziupli, znajdującej się opodal Dziewiątej Jaskini.

Minęło sporo czasu, nim wszyscy zebrali się w umówionym miejscu. Joharran i Tormaden przybyli ostatni za skalisty grzbiet otaczający dolinkę, gdzie czekała na nich grupa ciekawskich z Dziewiątej Jaskini. Gdyby tak liczny oddział pojawił się na szczycie, natychmiast zostałby wypatrzony przez ludzi z centralnego obozowiska, a tego nikt sobie nie życzył. Aura tajemniczości uczyniła wycieczkę jeszcze bardziej podniecającą. Raz po raz co bardziej zniecierpliwieni Zelandoni wymykali się poza grzbiet, by spomiędzy drzew wypatrywać, czy nadchodzą już Ayla z donier lub Joharran z przywódcą Dziewiętnastej Jaskini.

Po krótkim powitaniu grupa ruszyła ścieżką w dół, pośród splątanych krzaków jeżyn, w ślad za znachorką i Wilkiem. Kobieta dała czworonogowi sygnał, by trzymał się blisko. Wilk ochoczo wykonał polecenie - dzięki temu mógł lepiej strzec swej pani przed zbyt liczną, jak na jego gust, gromadą ludzi, a jednocześnie znajdował się na tyle daleko od kolumny Zelandonii, że nie wzbudzał w nikim lęku. Prawda jednak była taka, że mieszkańcy Dziewiątej Jaskini przyzwyczajali się pomału do jego obecności i z coraz większą uciechą przyglądali się reakcjom, które w ich pobratymcach z innych osad wywoływało nagłe pojawienie się Wilka. Nie mieli nic przeciwko temu, by znajdować się w centrum uwagi wszystkich uczestników Letniego Spotkania.

Niemal u podnóża stoku Ayla skrzyła ze szlaku w stronę koryta wyschniętego strumienia. Idąc za nią, Zelandonii natknęli się najpierw na ślad po rozpalonym przez nią małym ognisku, a

potem ujrzeli w całej okazałości przejście, które wyrabiała siekierką w zwartej gęstwie krzaków. Rushemar, Solaban i Tormaden natychmiast zabrali się do powiększania otworu, z zapalem tnąc grube, zdrewniałe pnącza, Jondalar zaś szybko skrzesał ogień. Kiedy zapłonęło kilka pochodni, żądni wrażeń Zelandonii popędzili ku ciemnej dziurze, którą widać już było w półmroku kolczastego zielonego tunelu.

Tormaden był bardzo zaskoczony. Nie mógł zaprzeczyć, że miał przed sobą jaskinię, o której istnieniu ani on sam, ani żaden z jego ludzi nic nie wiedzieli. Ta strona wzgórze służyła mieszkańcom Dziewiętnastej Jaskini wyłącznie jako miejsce, w którym zbierano jeżyny. Owoców była taka obfitość, że zrywano je wprost z odnawianej co roku ścieżki. Nikomu nie przyszło do głowy zapuszczać się zbyt daleko od szlaku, a tym bardziej szukać w gąszczu wejścia do jaskini. Dlaczego postanowiłaś przedrzeć się przez te chaszcze? - spytał cicho Tormaden, zagłębiając się w ciemny tunel roślin, ramię w ramię ze znachorką.

To przez Wilka - odpowiedziała, spoglądając na mężczyznę. - Tak naprawdę to on znalazł tę pieczarę. Zeszłam ze ścieżki, żeby upolować coś na jutrzejszy poranny posiłek. Myślałam o zającu albo drobnym ptactwie. Wilk zawsze pomaga mi w łowach; ma doskonały węch. Zniknął mi za tą stertą odłamków skalnych, w płataninie gałęzi, i długo nie wracał. Zastanawiałam się, co mogło go zatrzymać. Wycięłam dziurę i przekonałam się, że jest tu jaskinia. Wróciłam po pochodnię i zeszłam na dół.

- Domyślałam się, że nie dotarłaś tu przypadkiem - mruknął Tormaden. Zauważył nie tylko niecodzienny akcent kobiety, ale i jej urodę, olśniewającą zwłaszcza wtedy, kiedy się uśmiechała.

Ayla z Wilkiem wysunęli się na czoło pochodu; o krok za nią szedł Tormadenem. Oboje oświetlali drogę pochodniami. Pozostali stanęli gęsiego i kolejno zanurzali się w ciemny otwór wejściowy pieczary. Za przywódcą Dziewiętnastej Jaskini ustawili się Zelandoni i Jonokol, potem zaś Joharran, Marthona i Jondalar. Ayla spostrzegła, że Zelandonii intuicyjnie przestrzegają hierarchii, wedle której zajmowali pozycje podczas najważniejszych uroczystości - takich jak pogrzeby - z tą jednak różnicą, że tym razem to ona znalazła się na czele. Na myśl o tym poczuła się nieswojo; nie wydawało jej się, by zasługiwała na takie wyróżnienie. Zaczekała chwilę, aż wszyscy pojawili się w wejściowym otworze. Ostatnia do tunelu wkroczyła Lanoga z Loralą na ręku. Znachorką uśmiechnęła się do niej, zadowolona, że Lanoga zdecydowała się pójść z siostrą na tę małą wyprawę. Dziewczynka odpowiedziała Ayli nieśmiałym uśmiechem. Maleńka Loralą zaczynała już wyglądać tak, jak powinno wyglądać niemowlę w jej wieku: stawała się coraz bardziej krągła i ważyła coraz więcej, co jednak najwyraźniej nie przeszkadzało jej "zastępczej matce". Lanoga polubiła przesiadywanie z młodymi matkami Dziewiętej Jaskini, które z

upodobaniem przechwalały się osiągnięciami swoich dzieci, i sama także zaczynała już opowiadać co nieco o postępach w rozwoju Lorali.

- Uważajcie, jest bardzo ślisko - rzuciła ostrzegawczo Ayla, ruszając w dół pochyłym korytarzem.

W blasku kilku pochodni widać było, że korytarz rozszerza się nieznacznie w głąb ziemi. Uzdrowicielka poczuła zimno i wilgoć w powietrzu, a także zapach mokrej gliny. Słyszała dochodzące skądś pluski kapiącej wody i oddechy idących za nią ludzi, lecz nikt nie odzywał się już nawet słowem. Wydawało się, że to jaskinia zmusiła wszystkich do milczenia, nie wyłączając nawet gaworzących na co dzień dzieci.

Kiedy znachorką poczuła pod stopami równy grunt, zwolniła i opuściła nieco pochodnię. Inni uczynili to samo, uważnie spoglądając pod nogi. Kiedy wszyscy już stanęli na dnie pieczary, Ayla uniosła płomień ku górze. W chwili gdy uczyniła to reszta wędrowców, z piersi wielu z nich wyrwały się mimowolne okrzyki zachwytu. Potem zapadła cisza, w której przytłoczeni urodą podziemnego królestwa mieszkańcy Dziewiątej Jaskini podziwiali białe ściany okryte krystalicznym kalcytem, sprawiające wrażenie żywych w migotliwym świetle pochodni. Piękno jaskini nie miało nic wspólnego ze stalaktytami, których prawie w niej nie było. A jednak była prawdziwie piękna, co więcej - pełna tajemniczej, magicznej, nadnaturalnej aury.

- O Wielka Matko Ziemi! - zawołała Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą. - Oto Jej sanktuarium. Oto Jej łono - dodała, a potem zaczęła śpiewać swym dźwięcznym, głębokim głosem:

Z jądra ciemności, z chaosu czyśćca, Z wiru zrodzona Matka najwyższa. Wiedziała zrazu, jak życie cenić - Świat był zbyt pusty dla Matki Ziemi.

Matka, wciąż w samotności. Jedyna zrodzona z Ciemności.

Echo zwielokrotniło jej głos między białymi ścianami grotu, stanowiąc jakby naturalny akompaniament. Po chwili rozległy się dźwięki prawdziwej muzyki: ktoś zaczął grać na flecie. Ayla rozejrzała się, by sprawdzić, kto to, i przekonała się, że gra obcy młodzieniec. Z pewnością nie należał do Dziewiątej Jaskini, choć w jego rysach było coś znajomego. Jego strój wskazywał na przynależność do Trzeciej Jaskini. Ayla wreszcie skojarzyła, skąd może znać rysy mężczyzny: przypominał Manvelara, przywódcę Trzeciej Jaskini Zelandonii. Wysiliła pamięć, próbując przypomnieć sobie, czy został jej przedstawiony, i w końcu przyszło jej na myśl imię Morizan. Młodzian stał obok Kamili, pulchnej, atrakcyjnej, ciemnowłosej dziewczyny, przyjaciółki Folary. Prawdopodobnie przyszedł z wizytą do obozu Dziewiątej Jaskini i postanowił towarzyszyć młodym kobietom w wyprawie do jaskini.

Najpiękniejsze strofy Pieśni Matki rozbrzmiewały teraz głosami wielu ludzi:

Puściła znowu życia nasienie Na lodem skutą i martwą Ziemię. A Izy ronione nad synem Stońcem W rosy zmieniły się krople drżące.

Życiodajne wody zieleń wróciły, lecz łez Matki Ziemi nie zmyły.

Z łoskotem wielkim już pęka skała, A z groty wielkiej, co pod nią stała, Na świat wychodzi, aby się pienieć, Nowe potomstwo: to Dzieci Ziemi.

Z łona Matki wprost na Ziemię zstępuje już nowe plemię.

A każde inne: małe i wielkie, Chodzi i lata, płynie i pełźnie. A każde piękne: esencja czysta, Forma skończona, trafna, wieczysta.

Wola Matki, cud prawdziwy: świat jest znowu żywy.

Nagle ogarnęło Aylę uczucie, którego nie doświadczała już od dawna: uczucie niepewności i strachu przed niewytłumaczalnym niebezpieczeństwem. Odkąd Creb podczas Zgromadzenia odkrył, że jego przybrana córka jest w niepojęty sposób odmienna od ludzi Klanu, miewała od czasu do czasu napady lęku i dezorientacji, jakby magia starego mogura zmieniła ją na zawsze. Czuła swędzenie, mdłości i osłabienie, dostała gęziej skórki i drżała na samą myśl o zapamiętanym przed laty wrażeniu: strachu przed ciemnością głębszą niż otchłań jaskini i z każdą chwilą coraz bardziej realną. W gardle czuła znowu smak czarnej ziemi i grzybów, które rosły w pradawnych lasach.

Ciszę przerwał straszliwy ryk, na którego dźwięk przerażeni ludzie odskoczyli na wszystkie strony. Wielki niedźwiedź jaskiniowy z całą mocą pchnął wejście klatki i powalił je na ziemię. Rozwścieczona bestia była wolna! Broud siedział już na jej barkach; dwaj pozostali mężczyźni chwycili niedźwiedzia za futro. Nagle jeden z nich znalazł się w zasięgu mocarnych łap, lecz jego ostatni krzyk urwał się, gdy monstrum z łatwością złamało mu kręgosłup. Mogurowie zaraz podnieśli ciało i z namaszczeniem ponieśli je ku jaskini. Creb, odziany w niedźwiedzią skórę, kuśtykał na czele.

Ayla wpatrywała się w resztki białego płynu, chlupoczące w skorupach rozbitej misy. Czuła niepokój; wiedziała, że zrobiła coś złego. W misie nie powinna była zostać ani kropla napoju. Przyłożyła do ust największy z odłamków i wychyliła resztkę płynu. Otoczenie zmieniło się zniecka. Teraz białe światło było we wnętrzu kobiety; wydawało jej się, że rośnie z każdą chwilą i już spogląda z góry na ścieżkę ułożoną z gwiazd, które stały się tylko drobnymi punkcikami światła w długiej, nie kończącej się jaskini. Widoczne w oddali czerwone światełko poczęło rosnać, przesłaniać w oczach Ayli wszystko inne. Tej metamorfozie towarzyszyło nieprzyjemne uczucie spadania, aż wreszcie dziewczyna ujrzała przed sobą mogurów, siedzących kręgiem, częściowo zasłoniętych przez kolumny stalagmitów.

Znachorka opadała coraz głębiej w czarną otchłań, zmartwiała ze strachu. Ni stąd, ni zowąd pojawił się obok niej Creb; pomógł jej, podtrzymał, oddalił strach. Poprowadził ją w dziwną podróż ku wspólnym początkom, do słonej wody i pierwszych bolesnych oddechów powietrzem, do czarnej ziemi i wysokich drzew. W końcu znaleźli się na ziemi i wędrowali na dwóch nogach, nareszcie jak ludzie, wciąż na zachód, ku wielkiemu słonemu morzu. Dotarli do stromej ściany piętrzącej się nad rzeką i do wielkiego tarasu z głęboką niszą pod gigantycznym nawisem. To była jaskinia dalekich przodków Creba. Gdy zagłębili się w niej, sylwetka mogura zaczęła blednąć i po chwili Ayla została sama.

Obraz stał się zamglony, kiedy w panice rozglądała się, szukając Creba. Ujrzała go wreszcie na szczycie klifu, ponad jaskinią przodka, obok długiego, nieco spłaszczonego walca z bazaltowej skały, pochylonego nad krawędzią urwiska, jakby za chwilę miał stoczyć się na dół. Krzyknęła, lecz mężczyzna nie zareagował - zniknął raz jeszcze, zlewając się w jedno z wielką skałą. Ayla czuła przejmującą samotność. Creb odszedł... A potem jego miejsce zajął Jondalar.

Czuła, że porusza się z wielką prędkością ponad dziwnymi światami, i raz jeszcze dopadł ją strach przed czarną pustką, ale teraz wszystko wyglądało nieco inaczej. Towarzyszył jej Mamut, równie przerażony jak ona. W końcu usłyszała dobiegający z bardzo daleka cichy głos Jondalara, pełen miłości i lęku. Mężczyzna nawoływał, ciągnąc ją i Mamuta ku sobie, siłą swego uczucia i swej troski. Wróciła, ogarnięta chłodem, który przenikał ją aż do kości.

- Aylo, nic ci nie jest? - spytała Zelandoni. - Cała drżysz.

## ROZDZIAŁ 27

- Nic - odrzekła Ayla. - Po prostu zrobiło mi się zimno. Powinnam była wziąć ze sobą cieplejsze ubranie.

Wilk, który samodzielnie zwiedzał jaskinię, powrócił do swej pani i mocno otarł się o jej nogę. Z wdzięcznością pochyliła się i pogładziła go po głowie, a potem przytuliła.

- Jest chłodno, a ty jesteś w ciąży. To normalne, że odczuwasz wszystko wyraźniej - odpowiedziała Zelandoni, lecz wiedziała, że za słowami Ayli kryło się coś więcej. - Wiesz, mam nadzieję, o jutrzejszym spotkaniu?

Tak, Marthona mi powiedziała. Przyjdzie ze mną, jako że nie ma tu mojej matki - odrzekła znachorka.

- A chcesz, żeby przyszła? - spytała Zelandoni.

- O, tak. Byłam wdzięczna, kiedy mi to zaproponowała. Nie chciałam być jedyną kobietą, która zjawi się na spotkaniu bez matki lub kogoś, kto zastępuje matkę - odparła Ayla.

Pierwsza skinęła głową.

- To dobrze.

Zelandonii powoli budzili się z fazy niemego zachwytu i rozchodzili po całej pieczarze, zaglądając w każdy kąt. Ayla uśmiechnęła się, widząc, jak Jondalar przemierza komnatę wzdłuż i wszerz swymi wielkimi krokami. Wiedziała, że jej mężczyzna używa własnego ciała jako miary; nieraz już widziała ten rytuał. Przy określaniu rozmiarów małych przedmiotów posługiwał się zaciśniętą pięścią lub rozpostartą dłonią. Za wzorce przy mierzeniu większych odległości służyły mu rozpostarte ramiona lub kroki, sumowane za pomocą słów do liczenia. Znachorka przypomniała sobie, że od tego właśnie zaczęła się jej przygoda z liczbami. Dotarłszy do końca, Jondalar uniósł wyżej pochodnię i spojrzał na wiodący w nieznaną korytarz, ale nie wszedł do środka.

Kilka osób przyglądało się jego poczynaniom. Tormaden, przywódca Dziewiętnastej Jaskini, rozmawiał z Morizanem, młodzieńcem z Trzeciej. Spośród wszystkich uczestników ekspedycji tylko ci dwaj mężczyźni nie należeli do Dziewiętej Jaskini. Willamar, Marthona i Folara stali obok Prolevy i Joharrana oraz jego najbliższych doradców z partnerkami. Ciemnowłosa Solaban i jego jasnowłosa piękność Ramara rozmawiali z Rushemarem i Salową, która trzymała na biodrze małą Marsolę. Jako że nie było przy nich ani Jaradala, syna Prolevy, ani Robenana, syna Ramary, znachorka domyśliła się, że chłopcy, którzy zwykle bawili się razem, musieli wybrać się z kimś wcześniej do głównego obozowiska. Jonokol, który także stał blisko przywódcy, uśmiechnął się do Ayli, zmierzającej ku niemu z Zelandoni i Wilkiem. Po chwili do swych krewnych dołączył



Jondalar. - Oceniani, że ta sala ma wysokość trzech rosnących mężczyzn - rzekł łupacz krzemieni. - Mniej więcej taka sama jest jej szerokość - sześć moich kroków. Długość ma niespełna trzy razy większą: szesnaście kroków. Warstwa ciemniejszego kamienia na ścianach sięga mi mniej więcej dotąd - dodał, trzymając dłoń w połowie wysokości piersi. - Inaczej mówiąc, jest wysoka na pięć moich stóp.

Jondalar dość dobrze znał się na szacowaniu wymiarów. Miał sześć stóp i sześć cali wzrostu, niezwykle zaś, białe ściany, które - jak mówił - zaczynały się na wysokości jego piersi, istotnie wyrastały z ciemniejszych formacji na wysokości pięciu stóp i wznosiły się łukowato, przechodząc w sklepienie zawieszone dziewiętnaście stóp nad ziemią. Komnata miała mniej więcej dwadzieścia dwie stopy szerokości i pięćdziesiąt pięć długości, pośrodku zaś znajdowała się mała sadzawka. Miejsca nie wystarczyłoby dla wszystkich uczestników Letniego Spotkania, ale z pewnością zmieściłaby się tu cała Jaskinia - może z wyjątkiem Dziewiętej - lub wszyscy Zelandoni z uczniami.

Jonokol stanął pośrodku komnaty i z zachwytem wpatrywał się w niesamowite ściany i sklepienie grotty. Był w swoim żywiole, całkowicie zatopiony w grze artystycznej wyobraźni. Nie wątpił, że te piękne białe ściany kryły w sobie coś, co bardzo chciało ujrzeć światło dzienne. Nie spieszyło mu się. Cokolwiek miało się stać z tą salą, musiało być działaniem dobrze przemyślanym. Jonokol miał już kilka pomysłów, ale przede wszystkim musiał skonsultować się z Pierwszą. Decyzja wymagała zbiorowej medytacji Zelandoni; trzeba było sięgnąć umysłem do wnętrza kamiennych bloków i odnaleźć w nich odcisk innego świata pozostawiony przez Matkę. Musiała zdradzić artystce, co ukryła pod cudowną bielą ścian.

- Jak sądzisz, Tormadenie, lepiej będzie zbadać od razu te dwa korytarze czy wrócić tu innego dnia? - spytał Joharran.

Bardzo chciał pójść dalej, ale czuł, że powinien podporządkować się woli przywódcy, na którego terytorium znajdowała się pieczara.

- Jestem pewien, że kilka osób z Dziewiętnastej Jaskini chętnie zwiedziłoby tę grotę i zapuściło się nieco głębiej. Nasza Zelandoni raczej nie zdobędzie się na taki wysiłek, za to jej Pierwszy Akolita z pewnością chciałby nam towarzyszyć. Jego ród posługuje się znakiem wilka, a skoro to wilk znalazł tę jaskinię, nie wątpię, że sprawa dotyczy go bezpośrednio.

- Owszem, to wilk znalazł tę pieczarę, ale gdyby nie ciekawość Ayli, nadal nie mielibyśmy pojęcia o jej istnieniu - odrzekł Joharran.

Tak czy inaczej, akolita będzie zainteresowany - odezwała się pojednawczo Zelandoni. - Podobnie jak my wszyscy i każdy Zelandonii, który dowie się o odkryciu. Dziewiętnasta Jaskinia ma wielkie szczęście, że to miejsce znajduje się tak blisko jej siedziby, ale podejrzewam, że

wkrótce pojawią się tu licznie Zelandoni i cały tłum ludzi, którzy zechcą odbyć pielgrzymkę do tego świętego miejsca - wyjaśniła donier.

Jej słowa nie pozostawiały wątpliwości: żadna Jaskinia nie mogła marzyć o zawłaszczeniu tak niezwykłego miejsca, nawet jeśli znajdowało się ono na jej terytorium - grota należała do Dzieci Ziemi. Dziewiętnasta Jaskinia Zelandonii mogła co najwyżej wziąć ją w opiekę, by lepiej służyła wszystkim.

- Moim zdaniem trzeba przyjrzeć się bliżej tym wnętrzom, ale nie widzę powodu do pośpiechu - odezwał się Jonokol. - Teraz, kiedy jaskinia została odkryta, nie ucieknie nam. Nikt nie wie, co jeszcze w niej znajdziemy i jak jest głęboka. Wszelkie wyprawy trzeba planować ostrożnie albo po prostu czekać, aż ktoś poczuje się powołany do ich zorganizowania.

Zelandoni nieznacznie skinęła głową. Rozumiała lepiej niż sam Jonokol, że młodzieniec, jej Pierwszy Akolita, który tak naprawdę nigdy nie pragnął być Zelandoni, gdyż jedyną jego pasją była sztuka, wreszcie znalazł swoje powołanie. Chciał dostać tę jaskinię. Wzywała go. Pragnął zbadać i poznać ją, przebywać w niej, a nade wszystko malować. Z pewnością wkrótce znalazłby pretekst, by przenieść się do Dziewiętnastej Jaskini - tylko po to, by być bliżej niesamowitej groty. Być może zresztą nie szukałby owego pretekstu świadomie; to jego myśli i marzenia kierowałyby się nieomylnie ku odkryciu Ayli, ku podziemnemu królestwu.

Nagle Zelandoni uświadomiła sobie coś jeszcze. Ayła wiedziała! Od pierwszej chwili, gdy tylko ujrzała tę jaskinię, wiedziała, że powinna ona należeć do Jonokola. To dlatego nalegała, by mój akolita wziął udział w tej wyprawie, pomyślała donier. Wiedziała, że dla niego będzie to rzecz znacznie ważniejsza niż dla kogokolwiek innego. Ona jest Zelandoni, czy zdaje sobie z tego sprawę, czy też nie. Czy tego pragnie, czy nie. Stary Mamut wiedział. Być może ten czarownik z ludu, który ją wychował, mogur, także rozpoznał w niej dar. Ona nie uniknie przeznaczenia; urodziła się, by je wypełnić. Mogłaby zastąpić Jonokola jako moja akolitka. Lecz na razie młodzik ma rację: nie ma pośpiechu. Niech Ayła zawiąże węzeł, niech urodzi dziecko. Wtedy będzie mogła zacząć szkolenie.

- Naturalnie, że badanie jaskini trzeba będzie starannie zaplanować, ale teraz chciałbym przynajmniej zajrzeć do tamtego korytarza na końcu sali - wtrącił Jondalar. - A ty, Tormadenie? Moglibyśmy wejść tam w kilka osób i przekonać się, dokąd prowadzi galeria.

- Niektórzy są już gotowi do powrotu - zauważyła Marthona. - Zimno tu, a nikt nie ubrał się odpowiednio do takich warunków. Powiem wam, co zamierzam: wezmę pochodnię i wrócę na powierzchnię, choć oczywiście następnym razem będę chciała spędzić tu więcej czasu.

- Ja także pójde - oświadczyła Zelandoni. - Widziałam, że i Ayła trzęsła się z zimna.

Dreszcze już minęły - odrzekła zachorka. - Jestem ciekawa, co tam znajdziemy.

Stanął na tym, że wyruszyli w głąb niezwyklej pieczary w sześcioro: Jondalar, Joharran, Tormaden, Jonokol, Morizan i Ayla - w siedmioro, jeśli liczyć Wilka.

Korytarz w głębi sali był niemal tak szeroki, jak tunel prowadzący na powierzchnię, który leżał prawie dokładnie naprzeciwko. Wejście do galerii było symetryczne, szersze i zaokrąglone u góry, a zwężające się u dołu. Dla Ayli, która wiele razy badała kobiety i odbierała porody, było jednoznacznie kobiecym, macierzyńskim symbolem - niezwykle wyobrażeniem żeńskiego organu płciowego. Górna, zaokrąglona część była jej zdaniem ujściem kanału rodnego, dół zaś przypominał spojenie sięgające w pobliże odbytu. Rozumiała doskonale, co Zelandoni miała na myśli, mówiąc, że ta jaskinia jest łonem Matki - choć przecież wszystkie podziemne komnaty nazywano wejściami do ciała Wielkiej Matki.

Sześciuosobowa grupka zagłębiła się w kręty korytarz, z każdą chwilą węższy i trudniejszy do pokonania. Nie był długi; zapewne nie dłuższy niż tunel wejściowy. Końcówka galerii była znacznie szersza, jakby ściany chciały ominąć łukiem twór, który stał pośrodku: kamienną kolumnę, sprawiającą mylne wrażenie podpory stropu. Mylne, gdyż skalny "pień" urywał się mniej więcej dwadzieścia cali nad ziemią. Korytarz omijał niezwykle przeszkodę i ciągnął się jeszcze przez kilka stóp, by zakończyć się ślełą ścianą.

W miejscu, w którym ściany omijały kolumnę, grunt zapadł się o dobre trzy stopy, tworząc naturalne siedzisko. Ayla skwapliwie skorzystała z okazji: przysiadłszy na krawędzi skały, rozglądała się uważnie. Spostrzegła, że pod kamiennym słupem można coś schować, podobnie jak we wnęcie ściennej - w takim miejscu nikt nie domyśliłby się skrytki, a ten, kto wiedziałby o niej, mógłby szybko odzyskać to, co ukrył. Znachorka pomyślała i o tym, że następnym razem będzie musiała wziąć ze sobą coś, co odizoluje ją od zimnej kamiennej półki, jeśli znowu zechce na niej przysiąść - choćby solidny wiecheć trawy.

Powróciwszy krętym korytarzem do głównej sali, zerknęli jeszcze w wylot tunelu, który znajdował się po prawej stronie. Ten jednak był zbyt mały, by się w niego zagłębiać: wymagałoby to przeciskania się na czworakach po kamiennym podłożu pełnym kałuż lodowatej wody. Zelandonii zgodnie postanowili, że drugi korytarz zostanie zbadany przy innej okazji.

Gdy wchodzili w tunel prowadzący do wyjścia, Wilk pobiegł przodem, by dołączyć do Jondalara i dwóch przywódców, Joharrana i Tormadena. Jonokol zaś został w tyle z Ayla i zatrzymał ją na moment, by zadać pytanie.

- Prosiłaś Zelandoni, żeby mnie tu wysłała?

- Po tym, co zobaczyłam we wnętrzu Skał Fontanny, wiedziałam, że będziesz chciał obejrzeć tę jaskinię - odpowiedziała. - A może powinnam powiedzieć "tę czeluść"?

Wszystko jedno. Kiedy zostanie nazwana, prawdopodobnie stanie się "czeluścią", ale na razie jest tylko jaskinią. Dziękuję, że mnie tu sprowadziłaś. Jeszcze nigdy nie widziałem tak pięknej groty. Jestem... oszołomiony - wyznał Jonokol.

- Ja także. Ciekawe, jak zostanie nazwana. Kto właściwie wymyśla nazwy jaskiń? - zainteresowała się uzdrowicielka.

- Nazwy same się znajdują. Ludzie zaczynają nazywać nowe miejsce po swojemu, używając takich słów, jakie uznają za najbardziej odpowiednie. A jak ty nazwałabyś ją, gdybyś chciała komuś o niej opowiedzieć?

- Sama nie wiem... Może jaskinią o białych ścianach"?

- Podejrzewam, że przyjmie się mniej więcej taka nazwa - a przynajmniej jedna z nazw będzie podobna do twojej - ale w tej chwili jeszcze za mało wiemy o tajemnicach tej pieczary. Zelandonia zapewne wymyśli własne określenie - dodał Jonokol.

Akolita i znachorka opuścili jaskinię ostatni. Gdy stanęli u wylotu tunelu, światło słońca wydało im się wyjątkowo jaskrawe. Kiedy oczy Ayli przywykły do blasku, ze zdziwieniem spostrzegła, że czeka na nią Marthona z Jondalarem i Wilkiem.

Tormaden zaprosił nas na posiłek - odezwała się starsza kobieta. - Ruszył co sił w nogach, żeby uprzedzić swoich o naszym przybyciu. Mówiąc ściślej, zaprosił ciebie, ale po namyśle postanowił ugościć także mnie i w ogóle wszystkich, którzy dopiero teraz wyszli z tobą z Jaskini. Ciebie też, Jonokolu. Pozostali mieli ważniejsze sprawy na głowie; zwykle bywa tak, że podczas Letniego Spotkania ludzie mają co robić.

- O ile wiem, Joharran umówił się ze starszyzną innych Jaskiń na spotkanie w sprawie planowanego polowania powiedział Jondalar. - Tormaden też się tam wybiera, Aylo, gdy tylko przedstawi cię swoim ludziom. Ja również tam będę, choć może trochę później. Zwykle nie zapraszano mnie na takie narady, ale odkąd wróciłem, Joharran wciąga mnie do wszelkich prac.

- A nie moglibyśmy darować sobie tego poczęstunku i po prostu wrócić do obozu? - spytała z nadzieją Ayła. - Przed nami jeszcze sporo przygotowań do jutrzejszego porannego posiłku, a ja nawet nie przyłożyłam do nich ręki.

Kiedy przywódca Jaskini organizującej Letnie Spotkanie zaprasza, uprzejmość nakazuje skorzystać, jeśli tylko jest to możliwe.

- Ale dlaczego zaprasza akurat mnie?

- Nie co dzień odkrywa się tak piękną jaskinię, Aylo. Na wszystkich zrobiło to wielkie wrażenie - wyjaśniła Marthona. - A ponieważ znajduje się ona na terytorium Dziewiętnastej Jaskini, prestiż tutejszej osady znacznie wzrośnie.

- Ty także zyskałaś sławę - dorzucił Jondalar.

- Ludzie i tak zwracają na mnie uwagę bardziej, niż bym sobie tego życzyła - odrzekła kwaśno znachorka. - Niepotrzebna mi sława. Chcę zawiązać z tobą węzeł, urodzić dziecko i żyć jak wszyscy inni.

Jondalar uśmiechnął się do niej i objął ją ramieniem.

- Daj im trochę czasu - powiedział łagodnie. - Jesteś tu nowa. Kiedy przywykną do ciebie, wszystko wróci do normy.

To prawda, że sprawy wrócą do normy, ale ty, Aylo, nigdy nie będziesz taka jak inni Zelandonii. Nikt z nas, na przykład, nie przyjaźni się z końmi i wilkami - dorzuciła Marthona, spoglądając na wielkiego drapieżcę z ironicznym uśmiechem.

- Jesteś pewna, Mardeno, że na nas czekają? - spytała stara kobieta, przechodząc ostrożnie przez mały strumień, który nieco dalej wpadał do Rzeki.

- Ona nas zaprosiła, matko. Powiedziała, że mamy przyjść na poranny posiłek. Prawda, Lanidarze?

Tak było, babciu - przytaknął chłopiec.

- Dlaczego rozłożyli obóz tak daleko od innych? - zrzędziła kobieta.

- Nie wiem, matko. Może sama ich zapytasz, kiedy dotrzemy na miejsce? - zaproponowała Mardena.

- Cóż, są największą Jaskinią, więc pewnie potrzebują najwięcej miejsca - rozmyślała na głos starsza kobieta. - A przed nimi przybyło wiele innych Jaskiń, które zajęły miejsca najbliższej głównego obozowiska.

- Moim zdaniem zrobili to ze względu na konie - wtrącił Lanidar. - Ayła umieściła je na uboczu i uwiązała, by nikt nie pomyślał, że to zwykłe, dzikie zwierzęta, i nie próbował ich upolować. Łatwo byłoby je ubić, bo nie uciekają przed ludźmi.

Wszyscy o nich mówią, ale nas nie było, kiedy się tu zjawiły. Czy to prawda, że pozwalają, by ludzie ich dosiadali? - spytała starsza kobieta. - A właściwie to po co ktokolwiek miałby siadać na końskim grzbiecie?

- Nie widziałem tego, ale wierzę, że to możliwe - odparł Lanidar. - Konie pozwoliły, żebym ich dotknął. Pogłaskałem młodego ogiera, a wtedy klacz przyszła do mnie, bo chciała, żebym i jej dotykał. Oba jadły mi z ręki. Kobieta powiedziała, że powinienem karmić je równocześnie, żeby nie były zazdrosne. Mówiła też, że klacz jest matką ogiera i że obu koniom może rozkazywać.

Kiedy wkroczyli do obozu, Mardena zwolniła i spod zmarszczonych brwi przyglądała się uśmiechniętym ludziom zasiadającym wokół podłużnego ogniska. Wydawało jej się, że jest ich cały tłum i zaczęła się zastanawiać, czy aby na pewno spodziewali się wizyty.

- Jesteście nareszcie! Czekamy na was.

Dwie kobiety z dzieckiem odwróciły się na dźwięk głosu i ujrzały wysoką, atrakcyjną, młodą kobietę.

- Pewnie mnie nie pamiętacie. Mam na imię Folarą; jestem córką Marthony.

Rzeczywiście, jesteś do niej bardzo podobna - odrzekła babka Lanidara.

- Skoro ja pierwsza was wypatrzyłam, ja powinnam was oficjalnie powitać. - Folarą podała Denodzie obie ręce. Mardena bez słowa obserwowała matkę, która postąpiła o krok bliżej dziewczyny, chwytając jej dłonie. - Jestem Folarą z Dziewiątej Jaskini Zelandonii, błogosławiona przez Doni, córka Marthony, byłej przywódczyni Dziewiątej Jaskini Zelandonii, córka ogniska Willamara, Mistrza Handlu Zelandonii, siostra Joharrana, przywódcy Dziewiątej Jaskini Zelandonii, siostra Jondalara z Dziewiątej Jaskini Zelandonii, Mistrza Łupacza Krzemieni, Tego Który Wrócił z Podróży i który wkrótce zostanie partnerem Ayli z Dziewiątej Jaskini Zelandonii. Ayła ma wiele imion i tytułów, ale najbardziej lubię ten: przyjaciółka koni i Wilka. W imię Wielkiej Matki Ziemi, Doni, witani was w obozie Dziewiątej Jaskini.

W imię Doni, Wielkiej Matki, pozdrawiam cię, Folaro z Dziewiątej Jaskini Zelandonii. Jestem Denoda z Dziewiętnastej Jaskini Zelandonii, matka Mardeny z Dziewiętnastej Jaskini i babka Lanidara z Dziewiętnastej Jaskini, dawniej partnerka...

Folarą ma wiele ważnych imion i powiązań rodzinnych, pomyślała Mardena, gdy jej matka rozpoczęła wyliczanie. Nie ma jeszcze partnera. Ciekawe, jaki jest znak jej rodu. Denoda, jakby czytając w myślach córki, zakończyła oficjalną prezentację i zaraz zadała Folarze pytanie:

- Czy Willamar, mężczyzna twojego ogniska, nie pochodzi z Dziewiętnastej Jaskini? Zdaje się, że mamy wspólny znak rodowy. Jestem Bizonem.

- Tak, Willamar też jest Bizonem. Matka jest Koniem, więc ja także.

Podczas powitania wokół rozmawiających zebrało się kilka osób. Ayła wystąpiła naprzód i powitała Mardenę i Lanidara, Willamar zaś pozdrowił Denodę w imieniu całej Dziewiątej Jaskini. Wymiana grzeczności potrwałaby pewnie do zmroku, gdyby ktoś jej nie przerwał, a zrobił to właśnie Mistrz Handlu.

- Pamiętam cię, Denodo. Byłaś przyjaciółką mój ej starszej siostry, prawda?

Istotnie - odpowiedziała z uśmiechem. - Spotykasz ją czasami? Nie widziałam jej od lat, odkąd przeniosła się w dalekie strony.

- Czasem odwiedzam jej Jaskinię, kiedy wyprawiam się nad Wielkie Wody po sól. Jest już babcią. Jej córka ma troje dzieci i sama niedawno została babcią. Partnerka jej syna urodziła chłopca.

Jakiś ruch w pobliżu nóg Ayli przykuł uwagę Mardeny. - To wilk! - wrzasnęła dziko ze strachu.

- Nie robi ci krzywdy, matko - odezwał się Lanidar, próbując ją uspokoić. Nie chciał, by matka przyniosła mu wstyd, uciekając w popłochu.

Ayla pochyliła się i objęła chłopca.

- Na pewno nie robi. Mogę wam to obiecać - powiedziała, widząc autentyczne przerażenie w oczach kobiety.

Marthona przecisnęła się przez grupkę gapiów i w mało oficjalny sposób przywitała się z Denoda.

- Wilk mieszka w naszej chacie i także lubi powitania. Chciałabyś go poznać, Denodo? - spytała, dostrzegając w jej oczach więcej zainteresowania niż strachu. Chwyliła dłoń kobiety i poprowadziła ją ku znachorce i zwierzowi. - Aylo, proszę, przedstaw Wilka naszym gościom.

Wilki mają świetny wzrok, ale uczą się rozpoznawać ludzi za pomocą węchu. Jeżeli pozwolisz mojemu przyjacielowi powąchać twoją rękę, zapamięta cię na zawsze. Tak wygląda powitanie w jego wersji - wyjaśniła Ayla. Kobieta odważnie wyciągnęła dłoń i podstawiła ją pod nos drapieńczy. - Jeśli masz ochotę zawrzeć bliższą znajomość, możesz pogłaskać go po głowie, bardzo to lubi.

Wilk, zadowolony z pieszczoty, spojrział z wdzięcznością na Denodę i wywiesił z pyska wilgotnyjęzor. Kobieta uśmiechnęła się do niego.

- Ciepłe, żywe zwierzę - mruknęła cicho, po czym zwróciła się do córki. - Chodź, Mardeno. Ty też powinnaś go poznać. Niewielu ludzi ma okazję spotkać żywego wilka i przeżyć, by o tym opowiedzieć.

- A muszę? - spytała Mardena.

Widać było, że Mardena jest śmiertelnie przerażona. Ayla wiedziała, że Wilk wyczuje zapach strachu, więc trzymała go mocno. Zdarzało się, że drapieżnik nie reagował przyjaźnie na tak wyraźne przejawy lęku.

- Skoro ci proponują, niegrzecznie byłoby odmówić, Mardeno. Poza tym już nigdy nie odwiedzisz tego obozu, bo za bardzo będziesz się bała. A nie powinnaś. Spójrz, nikt inny nie czuje strachu, nawet ja. Więc czego się boisz? - spytała Denoda.

Mardena rozejrzała się trwożliwie. Istotnie, spory tłum Zelandonii przyglądał się całej scenie. Poczwała się tak, jakby poddawano ją próbie. Zdała sobie sprawę, że czułaby się upokorzona i nie odważyłaby się spojrzeć w oczy żadnemu z tych ludzi, gdyby teraz nie zdecydowała się zbliżyć do wilka. Spojrzała także na syna, chłopca, którego zawsze darzyła mieszanymi uczuciami.

Kochała go bardziej niż kogokolwiek innego w całym swym życiu, lecz jednocześnie wstydziła się za niego, wstydziła się faktu, że wydała go na świat.

- Śmiało, matko - zachęcił ją Lanidar. - Ja już go poznałem.

Wreszcie Mardena uczyniła nieśmiały krok w stronę kobiety i zwierzęcia, a potem następny. Kiedy wyciągnęła rękę, Ayla pochwyliła ją i podstawiła pod nos Wilka. Nieomalże wyczuwała strach kobiety, na szczęście w ostatniej chwili przewyciężony. Pomyślała, że jej czworonogi przyjaciel wyczuwa lepiej znajomy zapach swej pani niż lęk Mardeny. Stanowczym gestem poprowadziła dłoń kobiety ponad łeb wilka, pokazując jej, jak ma go głaskać.

- Wilcze futro bywa czasem szorstkie, ale zauważ, jak miękkie jest na głowie - powiedziała, puszczając rękę Mardeny. Matka Lanidara po bardzo krótkiej chwili cofnęła dłoń.

- Widzisz? To nic strasznego - odezwała się Denoda. - Z niektórych spraw robisz większy problem niż potrzeba,

Mardeno.

- Chodźcie, napijmy się gorącej herbaty. To mieszanka Ayli, jest bardzo smaczna - powiedziała Marthona. - Postanowiliśmy uczcić waszą wizytę, przygotowując posiłek w dole do pieczenia. Lada chwila będziemy go opróżniać.

Ayla szła obok Mardeny i Lanidara.

- Strasznie dużo zachodu, jak na zwykły poranny posiłek - zauważyła matka chłopca. Zdecydowanie nie przywykła do takiej gościnności.

- Wszyscy przyłożyli się do pracy - przyznała Ayla. - Kiedy obwieściłam, że zaprosiłam was na dzisiejszy ranek i że zamierzam wykopać dół do pieczenia, inni doszli do wniosku, że dobrze byłoby przygotować naprawdę głęboki. Twierdzili, że i tak mieli taki zamiar, a ja tylko podsunęłam im pretekst. Sposobem, który poznałam w dzieciństwie, przyrządziłam dla was pardwę - tę samą, którą upolowałam wczoraj, używając miotacza oszczepów - ale jeśli nie będzie wam smakować, śmiało częstujcie się wszystkim, na co będziecie mieli ochotę. Nauczyłam się w Podróży, że istnieje mnóstwo sposobów gotowania potraw, ale nie wszystkim one odpowiadają.

- Witaj w obozie Dziewiętej Jaskini, Mardeno.

To był głos Pierwszej Wśród Tych, Którzy Służą Matce! Mardena nigdy przedtem nie rozmawiała z duchową przywódczynią wszystkich Zelandonii; co najwyżej brała udział w chóralnych śpiewach podczas ceremonii.

- Witaj, Pierwsza wśród Zelandoni - odpowiedziała, mocno przejęta faktem, że przemawia do wielkiej kobiety zasiadającej na wysokim stołku, podobnym do tego, który służył jej w chacie Zelandoni.



Witam i ciebie, Lanidarze - dodała donier. Kiedy zwracała się do kalekiego chłopca, w jej głosie było wiele ciepła. - Choć jak rozumiem, byłeś tu już wczoraj.

Tak - potwierdził Lanidar. - Ayla pokazała mi konie.

- Mówiła mi, że dobrze gwiżdżesz.

- Nauczyła mnie ptasich pieśni.

- Pokażesz mi, co potrafisz?

- Jeśli chcesz... Ćwiczyłem śpiew skowronka - powiedział po namyśle, a potem wygwizdał ptasią melodię. Wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę; nawet matka i babka spojrzały na niego z niedowierzaniem.

Doskonale, młody człowieku - pochwalił Jondalar, uśmiechając się z uznaniem. - Skowronek wyszedł ci prawie tak wiernie jak Ayli.

- Gotowe! - obwieściła Proleva. - Chodźcie jeść. Ayla poprowadziła gości do sterty kościanych i drewnianych talerzy, jeszcze raz zachęcając ich do próbowania różnych potraw. Wkrótce niemal wszyscy obozowicze utworzyli kolejkę chętnych do poczęstunku. Zazwyczaj ci, którzy zamieszkiwali jedną chatę, jadali we własnym gronie, lecz ten posiłek zapoczątkował długą tradycję wspólnych uczt, w których udział brali już nie tylko członkowie Dziewiętej Jaskini, ale także ich przyjaciele i krewni. Oczywiście zdarzały się i takie okazje, kiedy wszyscy uczestnicy Letniego Spotkania biesiadowali pospołu, lecz takie imprezy wymagały przygotowań zakrojonych na wielką skalę. Jedną z takich okazji była Uczta Ślubna.

Gdy Zelandonii z Dziewiętej Jaskini i ich goście zaspokoili głód, ludzie zaczęli pomału rozchodzić się do swoich zajęć, lecz większość z nich przed odejściem zatrzymywała się, by choć przez chwilę porozmawiać z trojgiem przybyszów. Takie zachowanie podobało się Mardenie, zwłaszcza że w głosach obcych przecież osób wyczuwała sporo sympatii i ciepła. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek traktowano ją tak dobrze. Proleva także zbliżyła się do niej i zamieniwszy z nią kilka słów, zwróciła się do Ayli.

- Zajmiemy się sprzątnięciem, Aylo. O ile wiem, chciałaś porozmawiać o czymś z Mardena - przypomniła.

Tak. Mardeno, czy nie chciałybyś wziąć Lanidara - i Denody, jeśli tylko ma ochotę - i przespacerować się ze mną?

Dokąd mielibyśmy pójść? - spytała kobieta z odrobiną nieufności.

- Na spotkanie z koźmi - odpowiedziała znachorka.

- Czy mogę zabrać się z wami? - wtrąciła Folar. - Jeżeli nie chcesz, Aylo, mów śmiało, ale stęskniłam się za koźmi; dawno ich nie widziałam.

Uzdrowicielka uśmiechnęła się lekko.

- Jasne, że możesz iść z nami - powiedziała.

Być może łatwiej będzie przekonać Mardenę, by pozwoliła Lanidarowi pilnować koni, jeśli zobaczy kogoś, kto nie boi się moich zwierząt, dodała w duchu. Rozejrzała się, szukając wzrokiem chłopca, i dostrzegła go opodal, na trawie, zajętego rozmową z Lanogą. Odniosła wrażenie, że dziewczynka trzymająca na rękach małą Loraleę wypowiada się już bez większych kłopotów. Dwuletni synek Tremedy bawił się w pobliżu, grzebiąc w miękkim piasku.

Kobiety ruszyły w stronę dzieci.

- Kim jest ta dziewczynka? A może powinnam powiedzieć: kobieta? - spytała Mardena. - Wygląda wyjątkowo młodo, jak na matkę.

- Z pewnością zbyt młodo. Nie przeszła jeszcze nawet Rytułu Pierwszej Przyjemności - odparła Ayla. - Jest siostrą tego niemowlęcia, a ten dwuletni malec to jej brat. Ale tak naprawdę śmiało można powiedzieć, że Lanogą jest dla nich matką.

- Nie rozumiem - zdziwiła się Mardena.

- Na pewno słyszałaś o Laramarze. To mężczyzna z naszej Jaskini, który warzy świetną barmę - powiedziała Folarą.

- Owszem - odrzekła Mardena. Każdy słyszał - dodała Denoda.

- W takim razie być może słyszałyście też o jego partnerce, Tremedzie. Nie robi absolutnie nic, jeśli nie liczyć picia barmy warzonej przez Laramara. Nie interesuje jej los własnych dzieci - wyjaśniła Folarą, nie kryjąc niechęci.

- Albo nie umie się nimi zająć - dodała Ayla. - Być może nie umie też skończyć z piciem barmy.

- Laramar też często się upija i jest równie nieodpowiedzialny. Nic go nie obchodzą dzieci jego ogniska - uzupełniła z niesmakiem Folarą. - Ayla dowiedziała się przypadkiem, że Tremeda nie ma już pokarmu, a Lanogą próbuje karmić Loraleę wyłącznie papką z korzonków, bo nic innego nie umie przyrządzić. Zebrała wtedy kilka młodych matek i namówiła je, żeby na zmianę dokarmiwały dziecko, ale opiekę nad niemowlęciem nadal sprawuje Lanogą, podobnie zresztą jak nad resztą rodzeństwa. Ayla nauczyła ją przygotowywać jedzenie dla małego dziecka. To Lanogą zanoszą teraz Loraleę matkom, które oddają jej mleko. To naprawdę niezwykła dziewczynka; na pewno będzie kiedyś wspaniałą partnerką i matką, ale nie jestem pewna, czy kiedykolwiek znajdzie sobie mężczyznę. Laramar i Tremeda mają najniższy status w całej Jaskini. Kto chciałby związać się z córką ich ogniska?

Mardena i Denoda w milczeniu wpatrywały się w gadatliwą dziewczynę. Większość ludzi lubiła od czasu do czasu poplotkować, ale zazwyczaj nie rozmawiano tak otwarcie o sprawach, które przynosiły ujmę całej Jaskini. Status Denody obniżył się, odkąd jej córka urodziła Lanidara, a

jej partner zerwał węzeł. Nie byli może najmarniejszymi członkami swej Jaskini, ale niewiele im brakowało do dna. Tyle że ich społeczność była znacznie mniejsza. Być ostatnim w tak wielkiej Jaskini jak Dziewiąta - to było prawdziwą hańbą. A jednak nawet gdybyśmy mieli najwyższy status, Lanidar miałby problem ze znalezieniem kobiety, bo nie jest w pełni sprawny, pomyślała Denoda.

- Idziesz z nami do koni, Lanidarze? - spytała Ayla. - Ty też możesz pójść, Lanogo.

- Nie mogę. Stelona ma niedługo karmić Lorale; mała jest już głodna. Nie chcę dawać jej niczego innego, póki nie napije się mleka.

- Więc może innym razem - powiedziała znachorka, uśmiechając się do dziewczynki. - Jesteś gotowy, Lanidarze?

Tak - odrzekł chłopiec, po czym zwrócił się do Lanogi. - Muszę już iść. - Dziewczynka uśmiechnęła się do niego nieśmiało, a on odpowiedział jej tym samym.

Kiedy przechodzili koło chaty rodu Marthony, Ayla położyła rękę na ramieniu Lanidara.

- Czy mógłbyś przynieść mi tamtą miskę? Mam w niej parę smakołyków dla koni - dziką marchew i trochę ziarna.

- Chłopiec usłuchał bez słowa.

Uzdrowicielka zauważyła, że niósł miskę przy prawym boku, opierając ją o tułów i podtrzymując niesprawnym ramieniem. Nagle naszły ją wspomnienia o Crebie, który w taki sam sposób niósł naczynie z czerwoną ochrą, trzymając je ręką amputowaną na wysokości łokcia... To było wtedy, gdy nadał imię jej synowi i przyjął go do Klanu. Ayla uśmiechnęła się z bólem i miłością zarazem. Mardena zdziwiła się nieco, widząc wyraz jej twarzy. Denoda także zauważyła zmianę, ale nie wahała się wspomnieć o tym na głos.

- Przyglądałaś się Lanidarowi z dziwnym uśmiechem - powiedziała.

- Przypomina mi kogoś, kogo znałam dawno temu - odparła znachorka. - Mężczyznę, który stracił połowę ramienia. Jako dziecko przeżył spotkanie z niedźwiedziem jaskiniowym. Jego babka, która była znachorka, musiała obciąć mu rękę, gdyż rana zatrutowała całe ciało. Umarłby, gdyby tego nie zrobiła.

- Cóż za okropna historia! - zawołała Denoda.

- Rzeczywiście. Co gorsza, niedźwiedź pozbawił go też oka i uszkodził mu nogę. Od tamtej pory ów człowiek chodził, podpierając się kijem.

- Biedaczysko. Pewnie do końca życia rodzina musiała się nim opiekować - wtrąciła Mardena.

- O, nie - zaprzeczyła Ayla. - Był wartościowym członkiem wspólnoty.

- W jaki sposób mógł sobie radzić? Co robił?

- Stał się kimś wyjątkowym, mogurem - kimś w rodzaju Zelandoni - i z czasem uznano go za Pierwszego. To on i jego siostra zaopiekowali się mną, kiedy moja rodzina zginęła. Był mężczyzną mojego ogniska i bardzo go kochałam - dokończyła uzdrowicielka.

Mardena przyglądała się jej z otwartymi ustami i wybałuszonymi oczami. Trudno było jej uwierzyć w te słowa, ale z drugiej strony nie widziała powodu, dla którego Ayla miałyby kłamać.

Słuchając opowieści, Denoda z każdą chwilą coraz wyraźniej wyczuwała obcy akcent jasnowłosej kobiety, a jednocześnie coraz lepiej rozumiała sympatię, którą wywoływał w niej kaleki Lanidar. Kiedy zawiąże węzeł, będzie spokrewniona z bardzo potężnym rodem, myślała. Jeżeli naprawdę lubi chłopca, będzie mogła mu pomóc. Niewykluczone, że spotkanie z tą kobietą było najszcześniejszym momentem w życiu Lanidara, cieszyła się w duchu Denoda.

Sam Lanidar także słuchał uważnie słów Ayli. Może nauczę się polować, myślał, nawet jeśli będę mógł używać tylko jednego ramienia. Może stać mnie na coś więcej niż zbieranie jagód.

Zbliżali się już do osobliwej konstrukcji przypominającej zagrodę pułapkę, tyle że znacznie mniej trwałą. Wykonano ją z długich, cienkich tyczek olchowych i wierzbowych, łączonych ze sobą na krzyż. U góry dodano jeszcze poziome poprzeczki, a całość umocowano do znacznie solidniejszych słupków wbitych w ziemię. Co większe prześwity zatkało się gałęziami drzew i krzewów. Gdyby stado bizonów, lub choćby dojrzały, rogaty samiec, wysoki na sześć stóp w kłębie, próbowało wydostać się na zewnątrz, zagroda nie wytrzymałaby naporu. Zresztą nawet konie mogłyby wyrwać się z niej na wolność, gdyby tylko miały ważny powód.

Pamiętasz jeszcze, jak trzeba gwizdnąć na Zawodnika, Lanidarze? - spytała Ayla.

- Chyba tak - odrzekł chłopiec.

W takim razie spróbuj, zobaczymy, czy przyjdzie. Lanidar świsnął przenikliwie i po chwili dwa konie - najpierw młody ogier, a potem klacz - wyłoniły się zza drzewek rosnących wzdłuż strumyka i pocwałowały w jego stronę. Zatrzymały się przy ogrodzeniu i z ciekawością przyglądały się podchodzącym coraz bliżej ludziom. Whinney parsknęła, a Zawodnik zarżał z zadowoleniem. Ayla powitała je charakterystycznym rzeniem, od którego wzięło się imię klaczy. Konie odpowiedziały podobnym dźwiękiem.

- Ona potrafi mówić tak jak konie - odezwała się zdumiona Mardena.

Przecież ci mówiłem, matko - przypomniał Lanidar. Wilk pobiegł przodem i bez trudu przecisnął się między poprzeczkami ogrodzenia. Usiadł na ziemi przed klaczą, która natychmiast spuściła łeb, jakby w geście powitania. Drapieżnik zbliżył się następnie do ogiera, przypadł do ziemi, wysuwając łapy przed siebie, zamerdał ogonem, cichym skomleniem dopominając się zabawy. Koń parsknął i przytknął nozdrza do pyska wilka. Ayla z uśmiechem przyglądała się ich

poczynaniom, przykucnawszy na ziemi wewnątrz zagrody. Objęła za szyję wierną klacz, a potem pogłaskała ogiera, który upominał się o swoją porcję pieszczot.

- Mam nadzieję, że zagroda podoba się wam bardziej niż noszenie uździenic i ciągnięcie za sobą długich lin. Chciałabym puścić was wolno, ale obawiam się, że zbyt wielu tu łowców, byście były bezpieczne. Przeprowadziłam wam gości. Chciałabym, żebyście były dla nich miłe i spróbowały mnie słuchać. Chcę, żeby chłopiec, który gwizdże, doglądał was pod moją nieobecność, a jego matka trochę za bardzo martwi się o niego - mówiła cicho Ayla w języku, który wymyśliła, mieszkając samotnie w dolinie.

Składał się on z pewnych dźwięków i gestów zapożyczonych z mowy Klanu, z kilku bezsensownych słów, których używała w samotności, bawiąc się ze swym gaworzącym dzieckiem, oraz z odgłosów, których nauczyła się, próbując naśladować język zwierząt - przede wszystkim rżenie i parskanie koni. Tylko Ayla wiedziała, co znaczą poszczególne "słowa", i zawsze posługiwała się nimi, zwracając się do swych wierzchowców. Wątpiła, czy Whinney i Zawodnik wszystko rozumiały, choć z pewnością niektóre dźwięki i gesty miały dla nich znaczenie, używała ich bowiem także wtedy, gdy wydawała swym wierzchowcom komendy. Tak czy inaczej, zwierzęta zawsze uważnie nasłuchiwały, kiedy do nich przemawiała.

- Co ona robi? - zagadnęła Folarę Mardena.

- Rozmawia z końmi - odparła dziewczyna jakby nigdy nic. - Często to robi.

- A co im mówi?

- Sama musisz ją o to spytać.

- Ale czy one rozumieją, o co jej chodzi? Moim zdaniem to bez sensu - stwierdziła Denoda.

- Nie wiem. W każdym razie wyglądają, jakby słuchały - ucięła Folarę.

Lanidar stanął tuż przy ogrodzeniu i uważnie przyglądał się znachorce. Wydawało mu się, że kobieta naprawdę traktuje zwierzęta jak przyjaciół, a może nawet jak rodzinę, a one odpłacają jej tym samym. Zastanawiał się tylko, skąd właściwie wzięła się zagroda, której nie było tu jeszcze poprzedniego dnia.

Kiedy Ayla zakończyła rozmowę z końmi i odwróciła się twarzą do ludzi, Lanidar zapytał:

Kto zbudował tę zagrodę? Nie było jej, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

Uzdrowicielka uśmiechnęła się.

- Wielu ludzi napracowało się solidnie wczorajszego popołudnia - odpowiedziała.

Kiedy poprzedniego dnia powróciła ze spotkania z Dziewiętnastą Jaskinią, wspomniała Joharranowi, że zamierza wznieść ogrodzenie wokół pastwiska koni, i wyjaśniła mu przyczyny. Joharran zaś wszedł na stołek Zelandoni i opowiedział wszystkim o tym, jak Ayla planuje zadbać o bezpieczeństwo zwierząt. Słuchała go spora część Dziewiętej Jaskini i paru gości z sąsiedztwa.

Padło wiele pytań o wielkość, budulec i wytrzymałość konstrukcji. Wkrótce potem gromada Zelandonii powędrowała na polanę i zabrała się do budowy płotu. Ci, którzy nie należeli do Dziewiątej Jaskini, byli ciekawi oswojonych zwierząt, ci zaś, którzy już je znali, nie chcieli, by stała się im jakakolwiek krzywda. Konie były cenną nowinką, która przydała splendoru ich społeczności.

Ayla była tak wdzięczna za zbudowanie zagrody, że nie wiedziała, co powiedzieć. Nie wiedziała także, jak zdoła odplacić Zelandonii z Dziewiątej i Dziewiętnastej Jaskini za bezcenną pomoc. Cieszyła się i z tego, że wspólna praca pozwoliła jej lepiej poznać wielu ludzi. Joharran wspomniał im, że zamierza wykorzystać konie podczas polowania planowanego na następny ranek. Ayla i Jondalar dosiedli wtedy wierzchowców i pokazali wszystkim, co potrafią. Dzięki temu członkowie Dziewiętnastej i innych Jaskiń bez oporu zgodzili się na plan Joharrana. Gdyby łowy zakończyły się sukcesem, Zaślubiny mogłyby odbyć się nazajutrz po powrocie, jednak opóźnione przybycie Dalanara i jego Lanzadonii sprawiło, że chętni do ceremonii musieli uzbroić się w cierpliwość i przygotować się nawet na kilkudniowe oczekiwanie. Nie wszystkim podobała się ta sytuacja.

Ayla założyła koniom uździenice i wyprowadziła zwierzęta z zagrody przez bramę zaprojektowaną przez Tormadena z Dziewiętnastej Jaskini. Na konstrukcję tę składały się ruchome poziome belki z pętlą służącą jako zamek, zakładaną na wbity w ziemię słupek od ogrodzenia. Zawiasy również wykonano ze sznura, związanego w dość ciasne pętle wokół słupka rozpoczynającego płot po przeciwnej stronie wejścia. Kiedy konie wiedzione przez Aylę zbliżyły się do oczekujących, Mardena cofnęła się szybko. Z bliska zwierzęta sprawiały wrażenie jeszcze większych. Folar natychmiast zajęła jej miejsce.

- Nie widywałam twoich przyjaciół tak często, jak tego chciałam - powiedziała, gładząc łeb Whinney. - Byliśmy ostatnio bardzo zajęci; najpierw polowaniem na bizona, potem pogrzebem Shevonara i przygotowaniem do Letniego Spotkania. Pamiętasz? Obiecałaś mi kiedyś, że będę mogła przejechać się na koniu.

- Chciałabyś spróbować teraz? - odpowiedziała pytaniem Ayla.

- A mogę? - upewniła się Folar, błyskając radośnie oczami.

- Zaczekaj tylko, aż ułożę derkę na grzbiecie Whinney - poprosiła znachorka. - Czy mogłabyś w tym czasie razem z Lanidarem dać koniom coś do jedzenia? Chłopak ma w misce parę smakołyków, za którymi przepadają.

- Nie jestem pewna, czy Lanidar powinien podchodzić tak blisko... - zaczęła Mardena.

- Już podszedł - odrzekła Denoda. - Ale ona tu jest...

- Matko, raz już je karmiłem. Znają mnie i - jak widzisz - znają też Folarę - wtrącił Lanidar.

Konie nie zrobią mu krzywdy - powiedziała spokojnie Ayla. - A ja nie odchodzę daleko - dodała, wskazując na stertę kamieni opodal bramy.

Był to kopiec wędrowca wykonany przez Kareję. Wystarczyło odsunąć kilka odłamków skalnych, by dostać się do schowka mieszczącego sporo drobiazgów, takich jak derki dla koni. Kamienie zostały ułożone w taki sposób, że zachodziły na siebie, chroniąc wnętrze kopca przed zalaniem przez deszcz. Przywódczyni Jedenastej Jaskini pokazała znachorce, jak powinna odkładać odłamki na miejsce, by schowek nie utracił szczelności. Wzdłuż wszystkich uczęszczanych szlaków Zelandonii stawiali podobne kopce, w których przechowywali materiały niezbędne do rozpalenia ognia, cieplejszą odzież, a czasem suszoną żywność. Niekiedy wszystkie zapasy gromadzono w jednej kryjówce, ale zawsze trzeba było liczyć się z ryzykiem ich zniszczenia, gdyby zapach jedzenia zwabił niedźwiedzie, wilki lub borsuki. Właśnie te zwierzęta najczęściej rabowały zawartość kopców, niejadalne przedmioty rozrzucając po okolicy lub po prostu niszcząc.

Ayla pozostawiła chłopca i jego rodzinę przy koniach. Kiedy dotarła do kopca, dyskretnie zerknęła za siebie. Folarą i Lanidar bez lęku karmili z ręki wierzchowce, Mardena stała z boku, wyraźnie zdenerwowana, Denoda zaś po prostu przyglądała się zwierzętom. Uzdrowicielka wróciła z derką i najspokojniej w świecie zaczęła układać ją i mocować na grzbiecie Whinney, po czym poprowadziła klacz do małej skałki.

Wejdz na ten wzgórek, Folaro, potem przełoż nogę nad grzbietem klaczy i spróbuj usadowić się wygodnie. Możesz przytrzymać się grzywy. Będę pilnować, żeby Whinney stała spokojnie - zapewniła Ayla.

Folarą niezgrabnie wykonała polecenie, czując lekkie zakłopotanie na myśl o sprawności, z jaką znachorka wskakiwała na konia, i to z ziemi! Udało jej się jednak usadowić na grzbiecie Whinney i z szerokim uśmiechem spojrzała na Aylę - Siedzę na koniu! - zawołała, dumna z siebie. Ayla zauważyła, że Lanidar przygląda się dziewczynie tęsknym wzrokiem. Później, pomyślała. Nie byłoby dobrze serwować jego matce zbyt wielu wrażeń naraz. - Jesteś gotowa? - spytała.

- Chyba tak - odrzekła Folarą.

- Przede wszystkim odpręż się. Możesz chwycić się grzywy, ale nie musisz - poradziła Ayla, po czym ruszyła wolnym krokiem przed siebie, prowadząc konia za uździenicę, choć wiedziała, że Whinney i tak poszłaby za nią.

Z początku Folarą kurczowo trzymała się grzywy i siedziała sztywna ze strachu, podskakując przy każdym kroku klaczy. Po chwili jednak zaczęła wyczuwać tempo marszu i poddała mu się swobodnie. Wreszcie w przyptywie odwagi puściła gęstą grzywę.

- Chcesz spróbować sama? Mogę podać ci koniec linki.

- Sądzisz, że będę umiała?

- Możesz spróbować, a kiedy będziesz chciała zaskoczyć na ziemię, po prostu dasz mi znak. Gdybyś chciała jechać szybciej, pochyl się do przodu - instruowała Folarę Ayla.

- Możesz wtedy objąć ramionami szyję Whinney, a kiedy będziesz chciała zwolnić, wyprostuj się.

W porządku. Chyba spróbuję - powiedziała ostrożnie Folarę.

Mardena zamarła z przerażenia, kiedy Ayla podała dziewczynie końcówkę linki.

- Naprzód, Whinney - powiedziała uzdrowicielka, dając klaczy sygnał ręką, że ma iść wolno.

Klacz ruszyła stępą wokół łąki. Nie pierwszy raz wozila na swym grzbiecie nowicjusza i wiedziała, że nie należy szarżować. Kiedy Folarę pochyliła się nieco ku przodowi, Whinney przyspieszyła nieznacznie. Kolejny ruch dziewczyny kazał klaczy przejść w swobodny kłus. Whinney miała wyjątkowo równy chód, lecz przy tej szybkości Folarę zaczęła podskakiwać na derce nieco mocniej, niż się tego spodziewała. Zaraz więc wyprostowała się, a klacz posłusznie zwolniła bieg. Po chwili Ayla gwizdnęła, przywołując konia do siebie. Folarę zebrała się na odwagę i znowu pochyliła się nad karkiem zwierzęcia, które natychmiast ruszyło kłusem.

Dziewczyna dotrwała w tej pozycji do końca przejażdżki, a kiedy znachorka podprowadziła klacz do skałki, szczęśliwie zeskoczyła na ziemię.

To było cudowne! - zawołała. Jej policzki zaróżowiły się z podniecenia. Lanidar uśmiechnął się, widząc jej radość.

Widzisz, matko? - odezwał się chłopiec. - Na tych koniach można nawet jeździć.

- Aylo, może pokażesz Mardenie i Denodzie, co naprawdę potrafią twoje wierzchowce? - zaproponowała Folarę.

Znachorka skinęła głową, a potem z wdziękiem wskoczyła na klacz, która ruszyła szybkim kłusem w stronę centralnej części łąki, prowadząc za sobą Zawodnika i Wilka. Na dany znak Whinney rozpędziła się do galopu i z maksymalną prędkością pomknęła przed siebie, zataczając obszerny krąg wokół polany. Wreszcie zawróciła w stronę grupki ludzi i zwolniła. Ayla z gracją przerzuciła nogę nad grzbietem klaczy i zeskoczyła na ziemię. Starsza kobieta, jej córka i wnuk patrzyli na to wszystko bardzo szeroko otwartymi oczami.

- No cóż, teraz już wiem, dlaczego ktoś miałby dosiadać konia - odezwała się Denoda. - Gdybym była młodsza, sama bym spróbowała.

W jaki sposób kierujesz tym zwierzęciem? - spytała Mardena. - Czy to jakaś magia?

- Ależ skąd, Mardeno. Przy odrobinie wprawy każdy może tego dokonać.

- Skąd przyszło ci do głowy, że mogłabyś jeździć konno? Jak to się zaczęło? - zainteresowała się Denoda.



- Zabiłam dla mięsa matkę Whinney, wtedy jeszcze nie wiedziałam, że karmiła źrebię - zaczęła Ayla. - Kiedy hieny przyszły po małą, nie mogłam znieść myśli, że zaraz będzie po niej. Nie cierpię tych padlinożerców. Odpędziłam je więc i wtedy zrozumiałam, że powinnam zaopiekować się źrebięciem. - Znachorka opowiedziała gościom z Dziewiętnastej Jaskini o tym, jak wychowywała ocaloną Whinney i jak z każdym dniem coraz lepiej się rozumiały. - Pewnego dnia wsiadłam na grzbiet mojej klaczy, a kiedy zaczęła biec, trzymałam się mocno. Tylko tyle mogłam zrobić. Gdy Whinney wreszcie zwolniła, zsiadłam z niej jakoś i sama nie mogłam uwierzyć, że przyszło mi do głowy coś tak niemądrego. A jednak pęd powietrza na twarzy był czymś tak niezwykłym, że postanowiłam zrobić to jeszcze raz - i tak się zaczęło. Z początku Whinney biegła tam, gdzie miała ochotę, ale z czasem nauczyłam się nią kierować. Teraz chodzi tam, gdzie jej każę, ale tylko dlatego, że ma na to ochotę. Jest moją przyjaciółką i zdaje się, że jeżdżenie ze mną sprawia jej przyjemność.

- Mimo wszystko to dość dziwny pomysł... Nikt nie miał nic przeciwko? - spytała Mardena.

- Nie było nikogo, kto mógłby się sprzeciwić. Byłam sama.

- Bałabym się żyć samotnie, bez ludzi - stwierdziła natychmiast Mardena.

Była bardzo ciekawska i miała wielką ochotę zadać Ayli o wiele więcej pytań, ale zanim zaczęła, usłyszeli wołanie i odwróciwszy się, spostrzegli nadchodzącego Jondalara.

- Już są! - oświadczył radośnie jasnowłosy. - Dalanar i jego Lanzadonii dotarli na Letnie Spotkanie!

- Wspaniale! - ucieszyła się Folar. - Nie mogę się doczekać, kiedy ich zobaczę.

Ayla również uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Mnie także ich brakowało - powiedziała, po czym zwróciła się ku gościom. - Musimy wracać do obozu. Przybył mężczyzna ogniska Jondalara, w samą porę na nasze Zaślubiny.

- Oczywiście - odrzekła Mardena. - Już się zbieramy.

- A ja nie miałabym nic przeciwko spotkaniu z Dalanarem, zanim wrócimy do siebie - sprzeciwiła się jej Denoda.

- Znałam go kiedyś.

W takim razie koniecznie chodźcie z nami - rzekł Jondalar. - Dalanar z pewnością ucieszy się, kiedy cię zobaczy.

- Zanim ruszymy, muszę cię o coś zapytać, Mardeno. Czy pozwolisz Lanidarowi przychodzić tu i zajmować się końmi, kiedy ja nie będę miała na to czasu? - spytała Ayla.

- Nie musi przy nich nic robić, wystarczy, że sprawdzi, czy nic im się nie stało, i zawiadomi mnie w razie potrzeby. Bardzo mi na tym zależy. Ulżyłoby mi, gdybym nie musiała martwić się o nie za każdym razem, gdy wychodzę z obozu.

Matka spojrzała na syna, który głaskał właśnie młodego ogiera i podsuwał mu co smakowitsze kawałki marchwi.

- Jak widzisz, raczej nic mu nie grozi - powiedziała Ayla.

W takim razie... niech przychodzi - odparła Mardena.

- Och, matko, dziękuję! - zawołał rozpromieniony Lanidar.

Mardena jeszcze nigdy nie widziała na jego twarzy tak szerokiego uśmiechu.

## ROZDZIAŁ 28

- Gdzie ten twój chłopak, Marthono? Ten, o którym wszyscy mówią, że jest taki podobny do mnie... no, może tylko trochę młodszy - rzekł mężczyzna o długich, jasnych włosach, związanych z tyłu głowy, wyciągając przed siebie obie ręce i uśmiechając się ciepło. Znali się zbyt dobrze, by tracić czas na oficjalne powitanie.

- Gdy tylko cię zobaczył, zaraz pobiegł po Aylę - odpowiedziała Marthona, ściskając dłonie Dalanara i pocierając policzkiem o jego policzek. Może i jest coraz starszy, pomyślała, ale nadal przystojny i równie czarujący jak dawniej.

- Wkrótce tu będą, Dalanarze, możesz być tego pewny. Jondalar wypatrywał cię, odkąd przybyliśmy na Spotkanie.

- A gdzie Willamar? Zmartwiła mnie wieść o Thonolanie. Lubilem tego młodzieńca. Przyjmijcie ode mnie wyrazy współczucia - rzekł z powagą mężczyzna.

Dziękuję, Dalanarze - odparła Marthona. - Willamar jest w głównym obozowisku, omawia ze znajomymi sprawę wyprawy handlowej. Dla niego wiadomość o śmierci Thonolana była najcięższym ciosem. Zawsze wierzył, że syn jego ogniska powróci. Przyznaję uczciwie, że nie podzielałam tej wiary. Nie sądziłam, że zobaczę jeszcze choćby jednego z nich. Kiedy ujrzałam wracającego Jondalara, w pierwszej chwili myślałam, że to ty. Nie mogłam uwierzyć, że to mój syn. Zdumiały mnie też niespodzianki, które nam zafundował, a największą z nich jest chyba Ayla i jej zwierzęta.

- Istotnie, my także byliśmy zaskoczeni. Wiesz na pewno, że Jondalar i Ayla zatrzymali się u nas w drodze powrotnej? - wtrąciła kobieta stojąca u boku długowłosego mężczyzny.

Marthona zmierzyła ją wzrokiem. Partnerka Dalanara była najbardziej niezwykłą osobą, jaką w życiu widziała. Była niska, szczególnie w porównaniu ze swym mężczyzną - gdyby wyciągnął rękę przed siebie, mogłaby przejść pod nią, nie schylając się. Miała długie, proste włosy upięte w kok, tak czarne i lśniące jak skrzydło kruk, choć na skroniach znaczyły je pasma siwizny. Jednak najbardziej niezwykła była jej twarz - okrągła, o małym nosie, wysokich i szerokich kościach policzkowych i ciemnych oczach, które sprawiały wrażenie skośnych z racji charakterystycznego ułożenia powiek. Skóra kobiety była jasna, najwyżej o ton ciemniejsza od cery jej partnera; w ciągu lata opalenizna mogłaby bez trudu zatrzeć tę różnicę.

Tak, dzięki temu wiemy, że zamierzaliście przybyć na Letnie Spotkanie - odpowiedziała Marthona, pozdrowiwszy kobietę. - Jak rozumiem, Joplaya także weźmie udział w Zaślubinach? Przybyliście w samą porę, Jeriko. Dziś po południu wszystkie kobiety, które tego lata chcą

zawiązać węzeł, mają stawić się wraz z matkami na spotkaniu z Zelandoni. Wybieram się tam z Ayla, w zastępstwie jej matki. Jeśli nie jesteście z Joplaya zbyt zmęczone, powinniście przyjść.

- Myślę, że przyjdziemy, Marthono - odparła Jerika.

- Sądzisz, że zdążymy najpierw rozstawić nasze chaty?

- Nie widzę przeszkód. Pomożemy wam - zapewnił ją Joharran. - Oczywiście jeśli nie macie nic przeciwko rozbiciu obozu tutaj, obok nas.

- Dzisiaj nie musicie też marnować czasu na gotowanie - dorzuciła Proleva. - Mieliśmy gości na porannym posiłku; zostało nam mnóstwo mięsiwa.

- Z radością rozbijemy obóz obok Dziewiętej Jaskini - oświadczył Dalanar. - Ale powiedz mi, Joharranie, dlaczego wybrałeś akurat to miejsce? Zwykle lubisz być w centrum wydarzeń, nieprawdaż?

- Kiedy przybyliśmy na Spotkanie, większość miejsc w pobliżu centralnego obozowiska była już zajęta. Pamiętaj, że jesteście naprawdę wielką Jaskinią i nie chcieliśmy się zbyt tłoczyć. Rozejrzeliśmy się więc po okolicy i znaleźliśmy tę polanę. Powiem ci, że to naprawdę dobre miejsce - rzekł Joharran. - Widzisz tamte drzewa? To tylko początek całkiem sporego zagajnika, w którym nie brakuje drewna na opał. Wypływa z niego nasz strumień. Między drzewami jest źródło, a tuż obok niego spora sadzawka. Jondalar i Ayla też są zadowoleni, że wybraliśmy tę okolicę, bo mają tu dość miejsca dla swoich koni. Ayla poszła właśnie z gośćmi do zagrody, którą zbudowaliśmy specjalnie dla zwierząt.

- Z jakimi gośćmi? - spytał Dalanar, który czasem nie potrafił zapanować nad ciekawością.

- Pamiętasz tę kobietę z Dziewiętnastej Jaskini, która urodziła chłopca ze zdeformowanym ramieniem? Mardenę? Denoda jest jej matką - wyjaśniła Marthona.

- Tak, pamiętam - odrzekł Dalanar.

- Ten chłopiec, Lanidar, ma teraz może dwanaście lat - ciągnęła Marthona. - Nie jestem pewna, jak to się stało, ale zdaje się, że przyszedł tu, żeby uciec przed ludźmi i przed docinkami rówieśników. Ktoś musiał mu powiedzieć, że są tu konie. Wszyscy się nimi interesują, a ten chłopiec nie jest wyjątkiem. Ayla spotkała go przypadkiem i spytała, czy nie chciałby popilnować koni. Martwi się, że ktoś mógłby na nie zapolować, nie wiedząc, że nie są zwykłymi zwierzętami. To nie byłoby zresztą trudne, bo konie Ayli nie uciekają przed ludźmi.

- To prawda - przytaknął Dalanar. - Jaka szkoda, że nie wszystkie zwierzęta można tak oswoić.

- Ayla nie spodziewała się, że matka chłopca sprzeciwi się jej propozycji, ale zdaje się, że Mardena jest nieco nadopiekuńcza - mówiła dalej Marthona. - Nie pozwala chłopcu uczyć się łowiectwa, nie wyobraża sobie nawet, że mógłby spróbować. Dlatego Ayla zaprosiła chłopca, jego

matkę i babkę do nas, żeby zobaczyli konie z bliska. Chce przekonać kobiety, że Lanidar będzie bezpieczny. Poza tym nie zważając na kalectwo chłopca, postanowiła nauczyć go korzystania z miotacza oszczepów wymyślonego przez Jondalara.

- Nie da się ukryć, że Ayla zawsze ma swoje zdanie - stwierdziła Jerika. - Co nie znaczy, że jest nieuprzejma.

- Pewnie, że nie. Ale nie boi się bronić swoich poglądów i wstawiać się za innymi - dodała Proleva.

- Oto i oni - odezwał się Joharran.

Ujrzeni grupkę ludzi - i jednego wilka - zmierzającą w ich stronę. Jondalar szedł na czele, a jego siostra tuż za nim. Tempo marszu dostosowali do możliwości Denody, lecz gdy tylko Jondalar zobaczył Dalanara i towarzyszące mu osoby, pobiegł w ich stronę. Mężczyzna jego ogniska wyszedł mu na spotkanie i już po chwili obejmowali się serdecznie. Później Dalanar położył ramię na barku Jondalara i wolnym krokiem dołączyli do pozostałych.

Ich podobieństwo było uderzające - wyglądali jak wcześniejsze i późniejsze wcielenie tego samego mężczyzny. Starszy był nieco szerszy w talii i miał nieco rzadsze włosy na czubku głowy, za to twarze nie różniły się prawie wcale, a jeśli już, to tylko głębokością zmarszczek na czole i jędrnością policzków. Byli prawie jednakowego wzrostu, stąpali w identyczny sposób; nawet ich oczy były takie same: błękitne niczym lodowcowe jezioro.

Trudno wątpić, czyj duch został wybrany, kiedy Matka stwarzała Jondalara - szepnęła Mardena do Denody, ruchem głowy wskazując rosnących, jasnowłosych mężczyzn.

Lanidar tymczasem dostrzegł z daleka Lanogę i od razu pobiegł w jej stronę.

Dalanar wyglądał dokładnie tak samo, kiedy był młody. .. i niewiele się zmienił - odrzekła z zadumą Denoda. - Nadal jest wyjątkowo przystojny.

Mardena przyglądała się z wielkim zainteresowaniem powitaniu Ayli i Wilka z nowo przybyłymi. Przekonała się szybko, że wszyscy się znają, toteż skupiła uwagę na kilku niezwykłych osobach - przede wszystkim na drobnej, czarnowłosej kobiecie o dziwnej twarzy, która najwyraźniej była partnerką starszego mężczyzny, tak podobnego do Jondalara.

- Skąd go znasz, matko? - spytała.

- Był jednym z mężczyzn podczas mojego Rytuału Pierwszej Przyjemności - odparła Denoda. - Błagałam potem Matkę, żeby pobłogosławiła mnie jego duchem.

- Matko! Przecież wiesz, że to zbyt młody wiek na rodzenie dzieci - zdumiała się Mardena.

- Nie dbałam o to - przyznała Denoda. - Wiedziałam, że od czasu do czasu zdarza się, iż dziewczyny zachodzą w ciążę zaraz po Rytuale Pierwszej Przyjemności, kiedy stają się

pełnoprawnymi kobietami i mogą już przyjąć do siebie ducha mężczyzny. Miałam nadzieję, że jeśli będę nosić w sobie dziecko poczęte z jego ducha, zwróci na mnie uwagę.

- Ależ matko, przecież wiesz, że mężczyźni nie wolno co najmniej przez rok zbliżać się do kobiety, którą otworzył podczas Rytuału Pierwszej Przyjemności. - Mardena była nieco zszokowana wyznaniem Denody. Nigdy przedtem nie rozmawiała z nią o tych sprawach.

Wiem. Nigdy nie próbował tego robić, choć z drugiej strony wcale mnie nie unikał i zawsze był dla mnie miły, ale ja pragnęłam czegoś więcej. Przez bardzo długi czas nie umiałam myśleć o nikim innym - wyjaśniła jej matka. - Aż wreszcie spotkałam mężczyznę twojego ogniska. Niczego w życiu nie żałuję tak bardzo jak tego, że umarł tak młodo. Chciałam mieć więcej dzieci, ale Matka postanowiła nie dawać mi ich i chyba miała rację. Opieka nad tobą była dla mnie wystarczającym ciężarem, gdy zostałam sama. Nie miałam nawet matki, która byłaby dla mnie oparciem. Tylko kilka kobiet z naszej Jaskini pomagało mi trochę, kiedy byłaś malutka.

- Dlaczego nigdy nie znalazłaś sobie innego mężczyzny? - spytała Mardena.

- A ty? - odparowała jej matka.

- Dobrze wiesz dlaczego. Miałam już Lanidara. Który mężczyzna spojrzalby na mnie?

- Nie zrzucaj winy na Lanidara. Wiecznie tłumaczysz się w ten sposób, ale tak naprawdę nigdy nie próbowałaś znaleźć sobie nowego partnera, Mardeno. Nie chciałaś, żeby znowu ktoś cię zranił. Lecz moim zdaniem jeszcze nie jest za późno - dodała starsza kobieta.

Pograżone w rozmowie, nie zauważyły nawet zbliżającego się mężczyzny.

Kiedy Marthona powiedziała mi, że dziś rano Dziewiętnasta Jaskinia podejmowała gości, wydało mi się, że skądś znam imię, które wymieniła. Jak się miewasz, Denodo? - spytał Dalanar, chwytając jej dłonie i pochylając się, by otrzeć się policzkiem, jakby byli bliskimi przyjaciółmi.

Mardena zauważyła, że twarz jej matki nabiera rumieńców, a usta składają się w szczerym uśmiechu. W chwili gdy Denoda spojrzała na wysokiego, przystojnego mężczyznę, nawet jej sylwetka zmieniła się nieco - było w niej teraz coś bardzo kobiecego, zmysłowego. Nagle Mardena zaczęła postrzegać swą rodzicielkę w zupełnie nowym świetle. Fakt, że Denoda była już babcią, nie czynił z niej jeszcze staruszki. Zapewne znaleźliby się mężczyźni, którzy uznaliby ją za atrakcyjną.

- Oto moja córka, Mardena z Dziewiętnastej Jaskini Zelandonii - powiedziała Denoda. - A mój wnuk... powinien gdzieś tu być.

Mężczyzna podał rękę młodszej kobiecie, a ona przyjęła je i spojrzała mu w oczy.

Witaj, Mardeno z Dziewiętnastej Jaskini Zelandonii, córko Denody z Dziewiętnastej Jaskini. Spotkanie z tobą to dla mnie prawdziwa przyjemność. Jestem Dalanar, przywódca Pierwszej Jaskini Lanzadonii. W imieniu Doni, Wielkiej Matki Ziemi, oświadczam ci, że zawsze będziesz mile widzianym gościem w naszym obozie. I w naszej Jaskini, rzecz jasna.

Mardena zaczerwieniła się, zaskoczona serdecznością powitania. Choć rosły Lanzadonii był wystarczająco stary, by być mężczyzną jej ogniska, wydał jej się niezwykle pociągający - do tego stopnia, że użyte w niewinny sposób słowo "przyjemność" natychmiast skojarzyło jej się z Darem Przyjemności. Nigdy dotąd nie czuła się tak oszołomiona w towarzystwie mężczyzny.

Dalanar rozejrzał się i dostrzegł wysoką, młodą kobietę. - Joplayo! - zawołał, po czym zwrócił się do Denody. - Chciałbym, żebyś poznała córkę mojego ogniska.

Mardena w zadziwieniu przyglądała się idącej w ich stronę dziewczynie. Rysy Joplayi nie były aż tak egzotyczne jak jej matki, ale mieszanka zwykłych i niezwykłych cech sprawiała być może nawet bardziej piorunujące wrażenie. Włosy młodej kobiety były ciemne, lecz połyskiwały inaczej niż kruczoczarny kok Jeriki. Kości policzkowe Joplayi były wysokie, ale jej twarz nie była tak okrągła i płaska jak jej matki. Kształt nosa odziedziczyła po mężczyźnie, choć w znacznie delikatniejszej wersji. Jej brwi były gładkie i wygięte w piękny łuk. Gęste, czarne rzęsy ozdabiały oczy, które tylko kształtem, a nie kolorem, przypominały oczy Jeriki: ich tęczówki były równie mocno zabarwione, jak u Dalanara, tyle że nie błękitem, lecz intensywną zielenią.

Mardena nie brała udziału w poprzednim Letnim Spotkaniu, w którym uczestniczyła Jaskinia Dalanara. Właśnie wtedy opuścił ją mężczyzna i nie chciała patrzeć w oczy znajomym ze wszystkich osad Zelandonii. Dlatego też nie spotkała dotąd Joplayi, choć wiele o niej słyszała. Widząc ją teraz, czuła nieprzepartą chęć wpatrywania się w jej niezwykle oczy, ale z wysiłkiem zapanowała nad sobą. Córka Jeriki była zaiste egzotyczną piękną.

Kiedy Dalanar przedstawił wszystkim Joplayę i dopełniono tradycyjnego rytuału powitania, Lanzadonii oddalili się. Mardena jeszcze długo czuła magnetyzm i ciepło niezwyklego mężczyzny. Zaczynała rozumieć, dlaczego jej matka mówiła o nim z takim rozmarzeniem. Gdyby i dla niej był pierwszym mężczyzną, zapewne byłaby nim równie głęboko zauroczona. Za to wokół jego córki, zastanawiała się Mardena, unosiła się aura dziwnej melancholii, jakby przecząca radości ze zbliżających się Zaślubin. Ale dlaczego ktoś, kto powinien być szczęśliwy, miałby się smuć?

- Musimy już iść, Mardeno - odezwała się Denoda. - Nie możemy przecież nadużyć ich gościnności, jeśli chcemy, by jeszcze kiedyś nas zaprosili. Lanzadonii są blisko związani z Dziewiątą Jaskinią, a od ostatniej wizyty Dalanara i jego ludzi na Letnim Spotkaniu Zelandonii minęło ładnych parę lat. Muszą odnowić więzy. Poszukajmy lepiej Lanidara i podziękujmy Ayli za zaproszenie.

Formalnie rzecz biorąc, obozy Dziewiątej Jaskini Zelandonii i Pierwszej Jaskini Lanzadonii były siedzibami dwóch odrębnych ludów, jednak w rzeczywistości był to jeden wielki obóz społeczności spojonych więzami rodzinnymi i długoletnimi przyjaźniami.

Cztery kobiety maszerujące przez główne obozowisko w stronę chaty Zelandoni stanowiły widok przykuwający uwagę. Niewielu było takich, którzy nie gapili się otwarcie na ten kwartet. Marthona zawsze bywała zauważana, dokądkolwiek szła. Jako była przywódczyni Dziewiątej Jaskini nadal była ważną osobistością, a przy tym - mimo wieku - wciąż jeszcze atrakcyjną kobietą. Wielu ludzi widziało już Jerikę, lecz mimo to jej uroda wzbudzała zdumienie; do tego stopnia, że Zelandonii zwykle nie spuszczała jej z oczu. Fakt, że była partnerką Dalanara i wspólnie z nim założyła nie tylko nową Jaskinię, ale i zupełnie nowy lud, czynił ją jeszcze bardziej wyjątkową. Córka Jeriki, Joplaya, ciemnowłosa, melancholijna piękność, która - jak szeptano - miała wkrótce związać się z mężczyzną z mieszanych duchów, była dla wszystkich zagadką i przyczynkiem nie kończących się spekulacji. Jasnowłosa kobieta, którą sprowadził Jondalar, wędrująca w towarzystwie oswojonych koni i wilka, była ponoć wyborną uzdrowicielką i kimś w rodzaju Zelandoni. Mówiła niemal bezbłędnie językiem Zelandonii i odkryła niedawno piękną jaskinię na terytorium należącym do Dziewiętnastej. Cztery tak niezwykle osobistości wzbudzały więc niesłychaną sensację, lecz Ayla pomału uczyła się ignorować reakcje obcych ludzi. Cieszyła się, że tym razem ma przynajmniej towarzystwo.

Kiedy dotarły do wielkiej chaty Zelandoni, zastały tam sporą grupę kobiet. Przy wejściu zostały bacznie zlustrowane wzrokiem przez milczących Zelandoni - wyłącznie płci męskiej - co bardzo zaciekało Aylę. Marthona pospieszyła z wyjaśnieniem, jakby umiała czytać w myślach znachorki. - Żaden mężczyzna nie należący do Zelandoni nie ma prawa brać udziału w tym spotkaniu, ale zawsze znajdzie się paru śmiałków, zwykle mieszkańców dalekich chat, którzy próbują podkraść się blisko i posłuchać, o czym rozmawia się z kobietami. Zdarzało się nawet, że próbowali wśliznąć się do środka w kobiecych strojach. Ci Zelandoni przy wejściu pełnią rolę strażników. - Ayla zauważyła teraz jeszcze kilku akolitów, stojących dokoła budowli. Był wśród nich Madroman.

- Czym właściwie są te dalekie chaty? - spytała.

- Dalekie chaty to siedziby młodych mężczyzn, budowane latem na skraju głównego obozowiska. Mieszkają w nich ci, którzy mają za sobą spotkanie ze swą kobietą Zelandonii, a jeszcze nie znaleźli sobie partnerki - wyjaśniła Marthona. - Nie lubią trzymać się blisko własnych Jaskiń; wolą przebywać z rówieśnikami... i pojawiać się wyłącznie w porze posiłków - dodała z uśmiechem. - Przyjaciele nie próbują ograniczać ich swobody tak jak matki i ich partnerzy. Młodych mężczyzn obowiązuje bezwzględny zakaz zbliżania się do dziewcząt, które szykują się do Pierwszego Rytuału, lecz mimo to zawsze próbują nawiązać z nimi kontakt. To dlatego Zelandoni tak ich pilnują.



W dalekich chatach budowanych z dala od centrum obozowiska z reguły bywa dość głośno, ale nikt nie ma nic przeciwko, dopóki hałasy nie przeszkadzają innym. Młodzieńcy mogą tam bawić się i zapraszać znajomych - także kobiety, rzecz jasna. Mają wyjątkowy talent do wyłudzenia od rodzin i przyjaciół jedzenia i napojów; z reguły barmy, czasem wina. Zdaje mi się, że tak naprawdę wszystko sprowadza się do współzawodnictwa - do której chaty uda się sprowadzić ładniejsze dziewczyny.

Istnieją też dalekie chaty dla starszych mężczyzn - dla tych, którzy z jakiegoś powodu nie mają partnerek, wolą mężczyzn, niedawno rozstali się z kobietą albo po prostu chcą spędzić jakiś czas z dala od swoich Jaskiń czy rodzin. Podczas Letniego Spotkania Laramar częściej przebywa właśnie w jednej z tych wspólnych chat niż we własnej. To tam handluje tą swoją barma, choć naprawdę nie mam pojęcia, co za nią dostaje, bo jego rodzina nie ma z tego absolutnie nic. Mężczyźni, którzy przygotowują się do Zaślubin, także zatrzymują się na dzień lub dwa w dalekich chatach, w towarzystwie Zelandoni. Myślę, że Jondalar wkrótce się tam wybierze.

Gdy cztery kobiety przekraczały próg chaty, wydawało im się, że w środku jest ciemno - małe ognisko i kilka kaganków nie oświetlały pomieszczenia w zadowalającym stopniu. Teraz jednak, kiedy ich oczy przywykły do półmroku, Marthona rozejrzała się i bez trudu poprowadziła towarzyszkę w stronę dwóch postaci siedzących na macie pod ścianą, na prawo od pustej, środkowej części sali. Dwie kobiety uśmiechnęły się na widok nadchodzących i posunęły się nieco, by zrobić dla nich miejsce.

- Spotkanie zaraz powinno się zacząć - stwierdziła Marthona, kiedy zasiadły na macie. - Później zajmiemy się oficjalnymi powitaniem. Oto jest Yelima, matka Prolevy, i jej druga córka, Levela. Przybyły z Letniego Obozu Zachodniej Posiadłości Dwudziestej Dziewiątej Jaskini - powiedziała, po czym zwróciła się w stronę bliskich Prolevy. - Oto partnerka Dalanara, Jerika, i jej córka Joplaya. Lanzadonii dołączyli do nas dziś rano. A to jest Ayla z Dziewiątej Jaskini, dawniej znana jako Ayla z Mamutoi, z którą Jondalar zamierza zawiązać węzeł.

Kobiety uśmiechnęły się przyjaźnie na powitanie, lecz nim zdążyły zamienić parę słów, zorientowały się, że w chacie zapanowało milczenie. Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą Wielkiej Matce Ziemi, w towarzystwie kilku Zelandoni, stanęła przed grupą kobiet - i to wystarczyło, by wszelkie rozmowy ucichły. Donier zaczekała jednak na absolutną ciszę, nim przemówiła.

- Opowiem wam dzisiaj o bardzo poważnych sprawach i chciałabym, żebyście słuchały mnie uważnie. Kobiety, zostałyście pobłogosławione przez Doni, co oznacza, że dostałyście od Wielkiej Matki cudowny przywilej przekazywania daru życia. Dlatego te z was, które wkrótce zostaną partnerkami mężczyzn, muszą dowiedzieć się o paru istotnych sprawach. - Zelandoni umilkła i baczny spojrzeniem omiotła całą salę, zatrzymując wzrok na dłużej jedynie na

Marthonie i siedzących przy niej kobietach, z których dwóch raczej nie spodziewała się zobaczyć. Była przywódczyni i wielka donier wymieniły lekkie ukłony i spotkanie potoczyło się dalej.

- Mówiąc ściślej, będziemy dziś mówić o sprawach kobiecych: o tym, jak powinnyście traktować mężczyzn, którzy wkrótce zostaną waszymi partnerami, czego możecie spodziewać się z ich strony, oraz o rodzicielstwie. Porozmawiamy także o tym, co zrobić, żeby nie mieć dzieci, i co można poradzić, kiedy w łonie którejś z was rozpocznie się nowe życie, na którego przyjęcie nie jesteście jeszcze gotowe - wyjaśniła Pierwsza. - Niewykluczone, że w niektórych z was już poczęło się życie. To dla was szczególny honor, ale i ogromna odpowiedzialność. Niektóre informacje, które zaraz usłyszycie, znacie być może już od czasu Rytuału Pierwszej Przyjemności, ale nawet jeśli wydaje wam się, że już wszystko wiecie, posłuchajcie mnie uważnie.

Po pierwsze, żadna dziewczyna nie powinna zawiązywać węzła, póki nie stanie się kobietą, czyli nie doświadczy pierwszego krwawienia i nie przejdzie Pierwszego Rytuału. Zapamiętajcie fazę księżycy, w której zaczyna się wasze krwawienie. Większość kobiet będzie krwawić ponownie, gdy księżyc znajdzie się w tej samej fazie, choć od czasu do czasu zdarzają się zmiany. Gdy kilka kobiet przez dłuższy okres mieszka w jednym domostwie, ich księżycowe dni zmieniają się pomału, aż wreszcie ich krew zaczyna krążyć jednym rytmem.

Niektóre z młodych kobiet spoglądały ze zdziwieniem na matki i przyjaciółki; widać było, że pierwszy raz słyszą o tym fenomenie. Ayla także nie miała o nim pojęcia i próbowała przypomnieć sobie, czy kiedykolwiek zauważyła takie zjawisko.

- Pierwszym sygnałem, że zostałyście pobłogosławione przez Matkę, że wybrała już ducha, który połączy się z waszym, by stworzyć nowe życie, będzie brak krwawienia w przewidzianej fazie księżycy. Jeśli i następnym razem gdy przyjdzie wasza faza, krwawienie nie pojawi się, możecie zacząć wierzyć, że zostałyście pobłogosławione, ale pewność da wam dopiero trzecia faza bez krwawienia oraz inne objawy. Dopiero wtedy możecie uznać, że zaczęło się w waszym łonie nowe życie. Czy któraś z was chciałaby teraz o coś zapytać?

Nie było chętnych. Wszystko, co zostało powiedziane - prócz wzmianki o jednoczesnym krwawieniu kobiet mieszkających we wspólnym domostwie - było powtórzeniem informacji, które młode Zelandonii znały z innych źródeł.

Wiem, że większość z was dzieli się Darem Przyjemności od Wielkiej Matki z mężczyznami, którym jesteście obiecane. Powinnyście to lubić, a jeżeli jest inaczej, porozmawiajcie ze swoją Zelandoni. Wiem, że niełatwo przyznać się do takich problemów, ale wierzcie mi, że w wielu przypadkach Zelandoni potrafią pomóc, a zawsze możecie liczyć na ich dyskrecję. Pamiętajcie, że mężczyźni - z wyjątkiem tych najmłodszych, dopiero osiagających

dojrzałość - rzadko kiedy są zdolni do dzielenia się Przyjemnością częściej niż raz lub dwa razy dziennie. Z wiekiem ich możliwości są coraz mniejsze.

Jest coś jeszcze, o czym powinniście wiedzieć. Dzielenie się Przyjemnością z partnerem nie jest obowiązkiem, jeżeli taki jest wasz wybór i mężczyzna go zaakceptuje - tyle że większość mężczyzn nie zaakceptuje takiego wyboru. Większość mężczyzn nie zostanie z kobietą, która nie będzie dzielić z nimi Przyjemności. Wiem, że sposobicie się do zawiązania węzła i trudno wam wyobrazić sobie coś takiego, ale... węzły bywają zrywane, i to z wielu powodów. Jestem pewna, że każda z was zna kogoś, kto ma za sobą zerwany związek z partnerem czy partnerką.

W chacie rozległy się szmery; wiele kobiet poruszyło się niespokojnie i rozejrzało na boki. Rzeczywiście, prawie każda знаła kogoś takiego.

- Mówi się, że kobiety mogą używać Daru Przyjemności po to, by zatrzymać przy sobie partnerów, po prostu dbając o ich zadowolenie. Niektórzy twierdzą, że po to właśnie Matka dała ludziom ten Dar. Być może był to jeden z powodów, ale na pewno nie jedyny. Prawdą jest jednak, że wasi partnerzy nie będą szukać Przyjemności u innych kobiet, jeśli zaspokoicie ich pragnienia. Będą szczęśliwi i z radością ograniczą takie wysoki tylko do oficjalnych okazji, takich jak ceremonie ku czci Matki, kiedy to dzielenie się Przyjemnością z wieloma kobietami jest nie tylko dopuszczalne, ale i sprawia Doni radość.

Pamiętajcie jednak, że choć Przyjemność z inną osobą może być miłą odmianą, każdemu wolno przyjąć lub odrzucić taką możliwość. Dzielenie się Przyjemnością z innymi nie jest niczym obowiązkiem. Jeżeli kobieta jest szczęśliwa z mężczyzną i oboje czerpią rozkosz z dzielenia się Darem Matki, to i Ona jest zadowolona. Nikt nie musi też czekać wyłącznie na ceremonię ku czci Matki. W sprawach Przyjemności nic nie jest obowiązkowe. To Dar od Matki i wszystkie Jej dzieci mają prawo do dzielenia się nim, z kimkolwiek zechcą i kiedykolwiek zechcą. Ani wy, ani wasi partnerzy, nie powinniście przejmować się owymi "miłymi odmianami". Zazdrość jest znacznie gorsza. Zazdrość miewa straszliwe konsekwencje. Zazdrość prowadzi do przemocy, a przemoc - nawet do śmierci. A kiedy ktoś ginie, ci, którzy go kochali, dążą do zemsty i tak zaczyna się konflikt, aż wreszcie nie pozostaje nic prócz walki. Nie można godzić się na nic, co zagraża życiu i szczęściu ludzi.

Zelandonii są silnym ludem, potrafią bowiem współpracować i pomagać sobie wzajemnie. Wielka Matka Ziemia dała nam wszystko, czego potrzebujemy do życia. Cokolwiek upolujemy lub znajdziemy, jest Jej darem, którym należy dzielić się z innymi ludźmi. Lecz bywa i tak, że przyjmowanie Jej darów i przekazywanie ich innym staje się ciężką, czasem niebezpieczną pracą. Ci, którzy otrzymali od Matki talenty i czynią z nich pożytek, zyskują największy szacunek. To dlatego Zelandonii, którzy najlepiej służą swoim Jaskiniom i chętnie pracują na rzecz innych

Dzieci Ziemi, mają najwyższą pozycję. Z tego samego powodu tak bardzo szanujemy naszych przywódców - są skłonni do pomocy. Gdyby było inaczej, ludzie odwracaliby się od nich i uznawali za przywódcę kogoś innego. - Donier nie musiała dodatkowo wyjaśniać, dlaczego status Zelandoni był tak wysoki.

Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą była świetną mówczynią i Ayla słuchała jej z wielką uwagą. Chciała dowiedzieć się jak najwięcej o ludziach, wśród których wychował się jej ukochany, chciała poznać ich na wylot. Kiedy jednak zaczęła zastanawiać się głębiej nad ich naturą, doszła do wniosku, że nie różnią się aż tak bardzo od Klanu, który przygarnął ją przed laty. Pobratymcy Creba i Izy także dzielili się wszystkim; nikt nie głodował, nawet ta kobieta, która zginęła podczas trzęsienia ziemi. Pochodziła z innego klanu, nie miała dzieci i kiedy zmarł jej partner, została wzięta przez innego mężczyznę i była jego drugą kobietą, która zawsze uważana jest za dodatkowy ciężar. Lecz choć miała najniższą pozycję w całym klanie Bruna, aż do tragicznej śmierci nigdy nie była głodna i nie brakowało jej ciepłego odzienia.

Wszyscy ludzie Klanu wiedzieli o sprawach, o których mówiła Zelandoni, tyle że w przeciwieństwie do Innych nie musieli wyrażać ich słowami. Potrafili dzielić się partnerami i partnerkami. Rozumieli, że potrzeby mężczyzn muszą być zaspokajane. Żadnej kobiecie Klanu nawet przez myśl nie przeszło, że mogłaby odmówić któremuś z mężczyzn, gdy tylko dał stosowny sygnał. Żadnej... z wyjątkiem Ayli. Znachorka jednak wiedziała - i to już wtedy, przed laty - że Broud wcale nie szukał u niej Przyjemności. Nie dlatego dawał jej sygnał, że chciał dzielić się Darem Matki czy ulżyć swoim potrzebom, ale dlatego, że wiedział, iż Ayla tego nienawidzi.

- Pamiętajcie - mówiła donier. - Wasz partner musi troszczyć się o was i o wasze dzieci, zwłaszcza wtedy, kiedy będziecie brzemiennie, a także tuż po porodzie i w okresie karmienia. Jeżeli będziecie o niego dbać, często dzielić się z nim Przyjemnością i w ogóle starać się, żeby był z was zadowolony, z radością zapewni wam i waszemu potomstwu godziwe warunki życia. Być może niektóre z was nie rozumieją, dlaczego tak wielką uwagę poświęcam tej kwestii. Zapytajcie swoje matki. Kiedy będziecie zmęczone opieką nad gromadką dzieci, dzielenie się Przyjemnością może nie być takie proste, jak wam się wydaje. Zdarzają się i takie sytuacje, w których jest ono wręcz niewskazane, ale o tym później.

Doni zawsze uśmiecha się jaśniej do tych dzieci, które noszą w sobie podobieństwo do partnera kobiety. Mężczyzna także jest bardziej związany z dzieckiem, po którym widać, że nosi w sobie ślad jego ducha. Jeżeli chcecie, by potomstwo było podobne do partnera, musicie spędzać z tym mężczyzną wiele czasu, tak by Matce najłatwiej było w razie potrzeby sięgnąć po jego ducha. Z duchami nigdy nic nie wiadomo - nie sposób przewidzieć, który z nich zostanie wybrany i kiedy Matka zmiesza go z duchem kobiety. Jeśli jednak będziecie ze sobą szczęśliwi, a wasi mężczyźni

nie będą szukać towarzystwa innych niewiast, ich duchy z radością połączą się z waszymi. Czy wszystkie rozumiecie to, co do tej pory powiedziałam? Jeżeli macie pytania, zadajcie je teraz - poleciała Pierwsza, rozglądając się dokoła.

- A jeśli będę chora, czy coś w tym rodzaju, i nie będę mogła czuć Przyjemności? - spytała jedna z kobiet. Pozostałe spojrzały na nią bez słowa.

Twój partner powinien być wtedy wyrozumiały; poza tym wybór zawsze należy do ciebie. Istnieją pary, które rzadko dzielą się Darem Przyjemności. Jeżeli będziesz miła i wyrozumiała dla partnera, on najprawdopodobniej odpowie ci tym samym. Mężczyźni także są Dziećmi Matki. Czasem chorują, a wtedy partnerki troszczą się o nich. I choćby dlatego większość z nich troszczy się o swe kobiety w chorobie.

Młoda kobieta skinęła głową i uśmiechnęła się niepewnie.

- Ludzie decydujący się na zawiązanie wężła powinni być dla siebie wyrozumiali, uprzejmi i pełni szacunku. Dar Przyjemności może dostarczyć rozkoszy obu stronom związku. Dzieląc się nim z mężczyzną, uczynicie go szczęśliwym, a to jest warunek trwałego pożycia. Nie macie więcej pytań?

- Pierwsza odczekała chwilę, by się upewnić, a potem wróciła do przerwanej wątku. - Zaślubiny to coś więcej niż decyzja dwojga ludzi o rozpoczęciu wspólnego życia. Ważną rolę odgrywać w nich będą wasze rodziny, wasze Jaskinie, a także świat duchów. To dlatego matki i ich partnerzy zastanawiają się głęboko, nim pozwolą swym dzieciom na zawiązanie wężła. Gdzie zechcecie zamieszkać? Czy wy lub wasi partnerzy będziecie cennymi nabytkami w Jaskini, do której się przeniesiecie? Ważne są także wasze wzajemne uczucia. Jeżeli zwiążecie się z kimś, do kogo nic nie czujecie, szybko przestaniecie być razem, a wtedy odpowiedzialność za wychowanie potomstwa spadnie na was, na waszą rodzinę i Jaskinię - podobnie jak wówczas, gdy dziecko zostaje sierotą.

Ayla słuchała tego wszystkiego z fascynacją. Omal nie zadała Pierwszej pytania o to, czy aby na pewno samo mieszanie się duchów jest warunkiem poczęcia nowego życia. Bardziej niż kiedykolwiek była przekonana, że niezbędnym czynnikiem sprawczym prokreacji jest Dar Przyjemności, ale postanowiła nie mówić o tym w tej chwili.

Wprawdzie dziś większość z was zapewne z wielką niecierpliwością czeka na pierwsze dziecko - kontynuowała Zelandoni - ale być może nadejdzie i taki czas w waszym życiu, kiedy pojawi się w was nowe życie, które nie powinno było się pojawić. Póki dziecko nie otrzyma od Zelandoni własnego elandona, nie ma w nim osobnego ducha, a jedynie mieszanka duchów matki i jej partnera. W tym czasie Wielka Matka Ziemia jest jeszcze skłonna przyjąć maleństwo do siebie;

rozdzielić duchy, które uprzednio połączyła. Lepiej jest jednak przerwać nowe życie, zanim nadejdzie czas rozwiązania, a najlepiej w ciągu pierwszych trzech miesięcy ciąży.

- Dlaczego ktokolwiek miałby przerywać nowe życie, które już się zaczęło? - zdumiała się jedna z kobiet. - Czy nie jest tak, że z utęsknieniem czeka się na każde dziecko?

- Na większość - odrzekła Zelandoni. - Istnieją jednak ważne powody, dla których kobiety mogą nie chcieć potomstwa. Wprawdzie nie zdarza się to zbyt często, ale niektóre kobiety zachodzą w ciążę, nie skończywszy karmienia piersią poprzedniego dziecka. Rodzą następne, choć poprzednie jest jeszcze bardzo małe. Większość matek nie jest w stanie zadbać o nie, jak należy. To, które już jest na świecie, ma imię i jest zdrowe, powinno mieć pierwszeństwo. Zbyt wiele dzieci umiera w pierwszym roku życia. Nie jest więc rozsądne narażanie na śmierć maleństwa, które rozwija się prawidłowo, na przykład przedwcześnie odstawiając je od piersi. Koniec karmienia matczynym mlekiem to dla dziecka bardzo trudna chwila. Jeśli moment ten nadejdzie zbyt wcześnie, przed trzecim rokiem życia, wasze potomstwo będzie słabsze, bardziej chorowite. Lepiej jest mieć jedno zdrowe i silne dziecko, które wyrośnie na odpornego człowieka, niż dwoje czy troje słabowitych, które długo nie Pożyją.

- Och... nie pomyślałam o tym - przyznała kobieta.

- Mam dla was i inny przykład: pomyślcie o kobiecie, która urodziła poważnie zdeformowane dziecko. Przypuśćmy, że ono umarło. Czy za każdym razem matka powinna nosić w sobie nową istotę przez długi czas, a potem przeżywać kolejną tragedię? Nie wspominając już o szkodach, które wyrządza własnemu ciału.

- A jeśli ona naprawdę chciałaby mieć dziecko, jak wszystkie inne kobiety? - spytała kobieta ze łzami w oczach.

- Nie wszystkie kobiety mają dzieci - odparła Zelandoni. - Niektóre dokonują świadomego wyboru, w innych życie po prostu nie chce powstać. Są i takie, które nigdy nie donoszą ciąży albo rodzą martwe dzieci lub zdeformowane tak silnie, że nie mają one szans na przeżycie.

- Ale dlaczego? - załkała kobieta.

- Nikt nie wie dlaczego. Być może ktoś, kto żywił urazę do takiej nieszczęśliwej matki, rzucił na nią klątwę. Może zły duch znalazł drogę do nienarodzonego jeszcze dziecka. Takie rzeczy zdarzają się nawet wśród zwierząt. Każda z nas widziała przecież kalekie konie czy jelenie. Niektórzy mówią, że białe zwierzęta są symbolem szczęścia, bo przychodzą na świat wtedy, gdy zły duch w łonie ich matek został pokonany. Widuje się od czasu do czasu także i ludzi o białych czy różowych oczach. Zwierzęta bez wątpienia rodzą niekiedy martwe potomstwo, ale tego raczej trudno dowieść, mięsożercy bowiem zaraz dzielą się tak łatwym łupem. Po prostu tak już jest - zakończyła Zelandoni.

Młoda kobieta nie kryła łez, a Ayla zastanawiała się, dlaczego donier odpowiadała jej w tak beznamiętny sposób.

- Jej siostra miała trudności z urodzeniem dziecka, a była w ciąży dwa czy trzy razy - szepnęła Yelima. - Podejrzewam, że dziewczyna martwi się, czy i jej nie spotka to samo.

To mądre posunięcie ze strony Zelandoni, że nie próbuje rozbudzać fałszywych nadziei - odpowiedziała jej cicho Marthona. - Jeśli ta dziewczyna urodzi zdrowe dziecko, będzie w dwójnasób szczęśliwa.

Obserwując zapłakaną kobietę, Ayla wzruszyła się i poczuła, że musi jakoś ją pocieszyć.

- Kiedy wędrowaliśmy w stronę ziem Zelandonii... - zaczęła i urwała, widząc, że wszyscy spoglądają na nią z zaskoczeniem; nie dość, że była tu nowa, to jeszcze mówiła z osobliwym akcentem - ...zatrzymaliśmy się z Jondalareni w Jaskini Losadunai - dokończyła po chwili. - Była tam kobieta, która nie mogła mieć dzieci. Tak się złożyło, że kobieta z innej jaskini zmarła, pozostawiając pod opieką partnera trójkę maluchów. Ta, która nigdy nie rodziła, zamieszkała z nimi, by przekonać się, czy odpowiada jej życie z owym mężczyzną i potomstwem jego ogniska. Gdyby wszystko ułożyło się, jak należy, zamierzała adoptować dzieci i wziąć mężczyznę na swego partnera.

Przez moment panowała cisza, a potem zaczęły się ciche szmery rozmów.

To bardzo dobry przykład, Aylo - stwierdziła Zelandoni. - I prawdziwy. Wiem, że kobiety niekiedy adoptują dzieci. Czy owa bezdzietna miała wcześniej partnera?

- Nie, chyba nie - odrzekła Ayla.

- Nawet gdyby miała, mogłaby wprowadzić go ze sobą do nowego związku, jeśli tylko mężczyźni byliby skłonni zostać jej współpartnerami. Dodatkowy dostarczyciel pożywienia i skór z pewnością przydałby się trójce dzieci. Tak, Ayla przedstawiła nam bardzo słuszną myśl. Kobiety, które nie mogą rodzić dzieci, nie muszą do końca swych dni pozostawać bezdzietne - podsumowała Zelandoni, a potem wróciła do poprzedniego tematu. - Są jednak i inne powody, dla których kobieta może zdecydować się na przerwanie ciąży. Na przykład wtedy, gdy ma już liczne potomstwo i gdy istnieje groźba, że wraz z rodziną stałaby się ciężarem dla całej Jaskini. Wiele matek decyduje się na ten bolesny krok, marząc w duchu, by Wielka Matka nie była dla nich tak hojna.

- Znam pewną kobietę, która wciąż rodziła dzieci - odezwała się jedna z młodszych kobiet.

- Dwoje oddała swojej siostrze, a jedno kuzynce.

- Wiem, o kim mówisz. To wyjątkowo silna i zdrowa kobieta, która naprawdę lubi być w ciąży i bez większego trudu wydaje na świat dorodne potomstwo. Musicie jednak Wiedzieć, że ma wyjątkowe szczęście. Tylko dlatego była w stanie tak wspianale przysłużyć się siostrze, która nie mogła mieć dzieci, oraz kuzynce, która chciała mieć jeszcze jedno, ale bała się rodzić - wyjaśniła

otyła donier, po czym wróciła do przerwanej wątku. - Nie wszystkie kobiety mają tyle siły i tyle szczęścia. Niektóre rodzą pierwsze czy drugie dziecko w takim trudzie, że następne może stać się nawet przyczyną ich śmierci, a wtedy te, które są już odchowane, zostają sierotami. Każda z was jest inna. Na szczęście większość kobiet może mieć dzieci, ale z pewnością nie wszystkie mogą i powinny rodzić za każdym razem, gdy zajdą w ciążę.

Istnieje kilka sposobów na przerwanie życia rozwijającego się w łonie kobiety. Niektóre z nich są dość niebezpieczne. Mocna herbata z wrotycza pociętego wraz z korzeniami może wywołać krwawienie, ale jej użycie w niektórych przypadkach kończy się nawet śmiercią. Odarty z kory i zwilżony patyk wiązowy, wsunięty w otwór, którym dziecko wychodzi na świat, bywa bardzo skuteczny. Pamiętajcie jednak, że zawsze należy zwrócić się do donier z pytaniem o to, jak mocny ma być wywar lub w jaki sposób posłużyć się patykiem. Wasze matki i Zelandoni chętnie porozmawiają z wami o innych metodach, jeśli będziecie potrzebowały bardziej szczegółowej wiedzy.

Powiedzą wam też wiele o rodzeniu. Istnieją sposoby na przyspieszenie porodu, powstrzymanie krwawienia i złagodzenie bólu, ale nie oszukujmy się: niemal zawsze przyjsciu dziecka na świat towarzyszy ból. Doświadczyła go nawet Wielka Matka. W praktyce jednak większość kobiet rodzi bez wielkich problemów i szybko zapomina o cierpieniu. Każda z was musi doświadczyć choć trochę bólu, który jest nieodłączną częścią życia. Nie ma przed nim ucieczki, więc najlepiej będzie, jeśli pogodzicie się z tą myślą.

Ayla słuchała z zainteresowaniem tego, co Zelandoni mówiła o sposobach przerywania ciąży, choć nie było to dla niej nic nowego - metody były proste i powszechnie znane. Niemal każda kobieta, z którą znachorka rozmawiała na podobne tematy, znała co najmniej jeden sposób przerywania ciąży, choć niektóre były naprawdę niebezpieczne. Mężczyźni generalnie sprzeciwiali się takim zabiegom, toteż na przykład Iza i inne znachorki Klanu utrzymywały je w tajemnicy. Gdyby tego nie czyniły, mężczyźni zabroniliby ich stosowania.

Donier nie wspomniała ani słowem o możliwościach zapobiegania powstaniu życia, a Ayla bardzo chciała podyskutować z nią na ten temat. Niejednokrotnie pomagała już kobietom przy porodach... Nagle uświadomiła sobie, że wkrótce sama będzie rodzić. Tak, Zelandoni miała rację: ból jest nieodłączną częścią życia. Znachorka pamiętała jeszcze straszny ból, który towarzyszył przyjsciu na świat Durca. Omal wtedy nie umarła, ale jej syn - podobnie jak dziecię Wielkiej Matki - był wart każdego cierpienia.

- W życiu istnieje jednak nie tylko ból fizyczny - mówiła właśnie Zelandoni, gdy Ayla ponownie skupiła uwagę na jej słowach. - Ból w sercu bywa czasem znacznie bardziej dotkliwy, lecz i z nim musicie się pogodzić. Na każdej kobiecie spoczywa wielka odpowiedzialność.



Możliwe, że któraś z was będzie kiedyś musiała spełnić ponury obowiązek, o którym zaraz wam opowiem. Otóż zdarza się niekiedy, że życie rodzące się w ciele kobiety jest wyjątkowo trwałe. Żadne sposoby nie skutkują i nie daje się go przerwać, choć z wielu powodów jest to wskazane. Bardzo trudno jest podjąć decyzję o oddaniu Matce narodzonego już dziecka, ale w pewnych sytuacjach jest to konieczne.

Pamiętajcie, że starsze potomstwo jest najważniejsze. Jeżeli kolejne dziecko rodzi się zbyt wcześnie, jest mocno zniekształcone lub pojawiają się inne ważne powody, trzeba oddać maleństwo w opiekę Doni. Wybór zawsze należy do matki, ale nigdy nie zapominajcie o odpowiedzialności i jeśli zajdzie taka potrzeba, szybko podejmujcie decyzję. Gdy tylko będziecie w stanie, musicie zanieść dziecko jak najdalej od domu i pozostawić przy piersi Wielkiej Matki Ziemi. Nigdy nie kładźcie go w pobliżu świętej ziemi, w której grzebiemy zmarłych, bo któryś z wolnych duchów mógłby zawładnąć ciałem dziecka, a wtedy zamieszkujący je duch będzie zdezorientowany i może nie trafić do następnego świata. Zagubiony duch z czasem staje się złym duchem. Czy wszystkie zrozumieliście to, o czym teraz mówiłam? - Był to jak zawsze najtrudniejszy moment spotkania z kobietami, które lada dzień miały zawiązać węzeł. Doświadczona Zelandoni dała im trochę czasu na przetrwanie ponurej prawdy o matczynej odpowiedzialności - prawdy, z którą chcąc nie chcąc musiały się pogodzić.

Nikt się nie odezwał. Młode kobiety słyszały już co nieco i szeptały nieraz o strasznym obowiązku, który musiałyby spełnić w wyjątkowo nie sprzyjających okolicznościach, ale tego dnia po raz pierwszy powiedziano im o nim otwarcie i bez upiększeń. Każda z nich wierzyła teraz gorąco, że nigdy nie będzie musiała pozostawić własnego dziecka na zimnej piersi Wielkiej Matki Ziemi, gdzie czekała je niechybna śmierć.

Niektóre ze starszych kobiet siedziały w milczeniu z mocno zaciśniętymi ustami i bólem w oczach, gdyż to właśnie one miały za sobą straszne doświadczenie wyrzeczenia się jednego dziecka dla dobra drugiego. Decyzja nigdy nie była łatwa, ale każda z nich wolałaby raczej przerwać ciążę we wczesnym stadium, niż być świadkiem narodzin martwego potomstwa lub - co gorsza - świadomie oddać je Wielkiej Matce.

Słowa Zelandoni przygnębiły Aylę. Doskonale rozumiała, że sama nigdy nie zdobyłaby się na taki czyn. Wspomnienia o Durcu wróciły teraz z całą mocą: on także miał być pozostawiony własnemu losowi, a młoda uzdrowicielka nie miała nic do powiedzenia w tej sprawie. Ze smutkiem pomyślała o dniach, które spędziła w małej jaskini, ratując życie synka. Wszyscy mówili, że chłopiec jest zdeformowany, ale to nie była prawda. Był po prostu mieszańcem, zrodzonym z Ayli i Brouda - a przecież to Broud najgłośniejsz dopominał się, by dziecko zostało porzucone. Gdyby przymuszając mnie, wiedział, że owocem jego czynów będzie Durc, nigdy nie odważyłby się mnie

tknąć, dumiała znachorka. Kusilo ją, by zadać pytanie o zapobieganie ciąży, ale jakoś nie miała odwagi.

Marthona ze zdziwieniem obserwowała widoczne jak na dłoni rozterki młodej znachorki. To prawda, myślała, że słowa Zelandoni niełatwo przyjąć do wiadomości, ale z drugiej strony dziecku Ayli raczej nie grozi przymusowy powrót do Matki Ziemi. Może reaguje tak uczuciowo, bo jest w ciąży? Musi być teraz bardziej wrażliwa niż zwykle.

Wykład pomału dobiegał końca. Zelandoni opowiadała jeszcze o tym, że nie należy dzielić się Darem Przyjemności na krótko przed porodem i zaraz po nim, a także przed i po niektórych ważnych ceremoniach. Wymieniła też inne obowiązki partnerki - przestrzeganie postów i dbanie o to, by w rodzinie w określonych momentach nie spożywano zakazanych pokarmów.

Nie pominęła kwestii zakazu związków z pewnymi osobami, na przykład z bliskimi kuzynami. Jondalar wyjaśniał kiedyś Ayli tę sprawę, teraz więc, słuchając słów Zelandoni, znachorka spojrzała na Joplayę dyskretnie, tak jak czyniły to kobiety Klanu. Znała powód smutku pięknej dziewczyny. Była jednak sprawa, o której nie wiedziała nic: sprawa znaków rodowych, o której słyszała już kilka razy, odkąd zjawiła się na Letnim Spotkaniu. Co oznaczała "niezgodność znaków rodowych"? Większość kobiet z pewnością dobrze orientowała się w tej materii, toteż Ayła postanowiła nie pytać o nic, póki spotkanie nie dobiegnie końca.

- I jeszcze jedno - rzekła Pierwsza. - Niektóre z was wiedzą już zapewne, że pojawiła się prośba o odroczenie Zaślubin o kilka dni. - Wśród kobiet rozległ się jęk zawodu. - Dalanar i jego Jaskinia Lanzadonii postanowili przybyć na Letnie Spotkanie Zelandonii, aby córka jego partnerki mogła zawiązać węzeł podczas Zaślubin. - Młode kobiety i ich matki poczęły szeptać między sobą. - Zapewne ucieszy was wiadomość, że opóźnienie nie będzie potrzebne. Joplaya i jej matka, Jerika, są dziś z nami. Zaślubiny Joplayi i Echozara odbędą się równocześnie z waszymi.

Pamiętajcie o wszystkim, co dziś usłyszaliście. To naprawdę ważne. Pierwsze łowy tegorocznego Letniego Spotkania rozpoczną się jutro rano i jeśli wszystko pójdzie dobrze, Zaślubmy odbędą się zaraz potem. Zatem... do zobaczenia na ceremonii - zakończyła Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą.

Kiedy zgromadzenie dobiegło końca, Ayła usłyszała od strony wychodzących kobiet kilkakrotnie powtarzane słowa "płaskogłowy" i "potwór". Nie ucieszyła jej zbytnio myśl, że większość zebranych spieszy się już, by przekazać swym rodzinom i znajomym wieść, iż Joplaya została obiecana mieszkańcowi Echozarowi.

Wiele kobiet pamiętało go jeszcze, uczestniczył bowiem w Letnim Spotkaniu, na którym po raz ostatni zjawiła się Jaskinia Lanzadonii. Marthona nie zapomniała o nieprzyjemnych incydentach, kiedy to próbowano ośmieszyć mężczyznę zrodzonego z mieszanych duchów, i miała

nadzieję, że nic takiego nie powtórzy się tym razem. Pamiętała też o innej przyczynie, dla której tamto Spotkanie nie należało do udanych: brakowało jej wtedy Jondalara, który wyruszył z bratem w Podróż, pozostawiając Maronę daremnie czekającą na Zaślubiny. Młoda kobieta zawiązała węzeł jeszcze tego samego lata z innym mężczyzną, ale ten związek nie trwał długo. Teraz zaś Marona znowu była wolna, lecz Jondalar sprowadził sobie kobietę, która była o niebo lepszą kandydatką na jego partnerkę - mimo swych cudzoziemskich obyczajów autentycznie kochała jasnowłosego łupacza krzemieni, a on w pełni odwzajemniał to uczucie.

Zelandoni pomyślała, że być może powinna zabronić kobietom rozmawiania o tym, co usłyszały na spotkaniu, ale miała świadomość, że tak naprawdę nie mogła ich do niczego zmusić. Wiadomość o związku Joplayi z Echozarem była zbyt "soczysta", by jakkolwiek argument mógł skłonić wszystkie niewiasty do milczenia. Donier zauważyła, że Ayla i towarzyszące jej kobiety nie spieszą się do wyjścia, być może czekając na okazję do prywatnej rozmowy - była przecież ich Zelandoni, należała do Dziewiątej Jaskini. Kiedy wyszli już wszyscy prócz Zelandoni, Ayla zbliżyła się do Pierwszej.

- Zelandoni, chciałabym cię o coś zapytać.

- Słucham - odrzekła donier.

- Mówiłaś o zakazach, których należy przestrzegać, a które dotyczą niezawierania związków z określonymi osobami. Wiem już, że nie wolno zawiązać węzła z "bliskim kuzynem". Jondalar mówił mi na przykład, że Joplaya jest jego bliską kuzynką - czasem nazywał ją też "kuzynką ogniska" - bo oboje urodzili się przy ognisku tego samego mężczyzny - powiedziała Ayla, starając się unikać wzroku Joplayi.

Marthona i Jerika wymieniły znaczące spojrzenia.

- Zgadza się - przytaknęła Zelandoni z Dziewiątej Jaskini.

- Odkąd jestem na Letnim Spotkaniu, wiele razy słyszałam rozmowy o czymś jeszcze - ty także o tym wspominałaś. Mówiłaś, że nie wolno zawiązać węzła z osobą o niezgodnym znaku rodowym. Ale ja nie wiem... czym właściwie jest ten znak? - spytała Ayla.

Pozostałe Zelandoni przysłuchiwały się przez chwilę jej słowom, lecz kiedy stało się jasne, że znachorka potrzebuje jedynie informacji, poczęły rozchodzić się z wolna, szeptem wymieniając uwagi i zmierzając ku mieszkalnej części chaty.

- Nie tak łatwo to wyjaśnić - zaczęła Pierwsza. - Każdy przychodzi na świat z własnym znakiem rodowym. W pewien sposób jest on częścią elana, siły życiowej. Ludzie znają swoje znaki niemal od urodzenia, podobnie jak swoje elanony. Pamiętaj, że wszystkie zwierzęta są dziećmi Matki. To ona je zrodziła. Wyobrażeniem znaku rodowego jest zawsze jakieś zwierzę, a ściślej duch zwierzęcia - dodała Zelandoni.

Więc jest to coś w rodzaju totemu? - wtrąciła Ayla. — Moim totemem jest Lew Jaskiniowy. Każdy członek Klanu ma jakiś totem.

Być może - odrzekła Pierwsza, po czym zamyśliła się na moment. - Myślę jednak, że totemy to trochę inna rzecz. Po pierwsze, nie każdy z nas ma swój totem. Są one ważną rzeczą, ale nie tak ważną jak elan, choć przyznaję, że trzeba przejść niejedną próbę, nim zasłuży się na własny totem, poza tym to totem wybiera sobie człowieka, podczas gdy znak rodowy przysługuje każdemu i wielu z nas używa identycznych znaków. Totemem może być każdy duch zwierzęcy - lwa jaskiniowego, orła czy konika polnego - ale niektóre z nich mają szczególną moc; coś w rodzaju siły życiowej, choć nie do końca. Zelandoni nazywają takie stworzenia zwierzętami mocy. Ich potęga objawia się silniej na następnym świecie niż na naszym. Czasem udaje nam się czerpać z niej siłę podczas podróży do świata duchów albo wtedy, gdy próbujemy spowodować pewne zjawiska.

Ayla w zamyśleniu marszczyła brwi, próbując coś sobie przypomnieć.

- Mamut tak robił! - zawołała po chwili. - Pamiętam, że podczas ceremonii wywołał dziwne zjawiska... Zdaje się, że zabrał kawałek świata duchów i sprowadził go do naszego, ale przez cały czas musiał walczyć, by utrzymać nad nim kontrolę.

Na okrągłej twarzy Zelandoni odmalowały się zaskoczenie i podziw.

- Żałuję, że nie znam twojego Mamuta - powiedziała. - Większość ludzi nie zastanawia się zbyt często nad własnymi znakami rodowymi, chyba że przygotowują się do zawiązania węzła. Nie wolno brać sobie na partnera kogoś, kto ma przeciwny znak rodowy - i pewnie właśnie dlatego najczęściej rozważa się tę kwestię podczas Letniego Spotkania, gdy odbywa się ceremonia Zaślubin. Nazwa "znak rodowy", nadawana zwierzęciu mocy związanemu z daną osobą, może być myląca, ale jakoś się przyjęła, bo ludzie zazwyczaj nie mają wiele do czynienia ze światem duchów, a o całej sprawie myślą w zasadzie tylko wtedy, gdy chcą łączyć się w pary.

- Jak dotąd nikt mnie nie pytał o mój znak rodowy - zauważyła Ayla.

Twój znak miałby znaczenie, gdybyś była Zelandonii. Ci, którzy rodzą się w innych stronach, mogą mieć własne znaki rodowe i zwierzęta mocy, ale nie jest to związane z naszymi wierzeniami. Kiedy ktoś staje się Zelandonii, jego znak rodowy może się objawić, ale nigdy nie będzie on w konflikcie ze znakiem osoby współtworzącej związek - zwierzę mocy tej drugiej osoby po prostu na to nie pozwoli. Marthona, Jerika i Joplaya słuchały wyjaśnień z wielkim zainteresowaniem. Jerika nie przyszła na świat pośród Zelandonii, toteż zawsze była ciekawa zwyczajów i wierzeń ludu swego partnera.

- Jesteśmy Lanzadonii, nie Zelandonii. Czy to oznacza, że jeśli Lanzadonii chce mieć za partnera Zelandonii, ich znaki rodowe nie mają znaczenia?

- Kiedyś być może nie będą miały, ale na razie zbyt wielu z was - nie wyłączając Dalanara - urodziło się w Jaskiniach Zelandonii. Więzy są wciąż jeszcze bliskie, więc trzeba je brać pod uwagę - odpowiedziała Pierwsza.

- Ja nigdy nie byłam Zelandonii, a teraz jestem Lanzadonii. Podobnie jest z Joplaya. Skoro Echozar także nie urodził się w żadnej z waszych Jaskiń, sprawa nie powinna mieć znaczenia, ale czy nie jest tak, że córka dostaje znak rodowy po matce? Jaki jest znak Joplayi? - spytała Jerika.

- Rzeczywiście, zazwyczaj córka dziedziczy znak rodowy po matce, ale nie zawsze. O ile wiem, poprosiliście już o wyznaczenie Zelandoni, która - lub który - miałyby się przenieść do waszej Jaskini i stać się pierwszą Lanzadoni. Moim zdaniem będzie to wspaniała szansa dla kogoś z szeregów Zelandoni. Ktokolwiek to będzie - a dopilnuję, by nie miał najmniejszych braków w wykszoleniu - bez wątplenia ustali znaki rodowe dla wszystkich waszych ludzi - zapewniła ją donier.

- Jaki jest znak Jondalara? I skąd będę mogła wiedzieć, jaki będzie znak mojej córki, jeśli zdarzy mi się urodzić dziewczynkę? - zaciekała się Ayla.

- Jeżeli naprawdę chcesz wiedzieć, możemy kiedyś popробować ustalić twój znak. Zwierzęciem mocy dla Jondalara jest koń, podobnie jak dla Marthony. Joharran, choć narodził się z tej samej kobiety, ma inny znak. Jest bizonem. Bizony i konie są przeciwieństwami - wyjaśniła Zelandoni.

- Ale przecież Jondalar i Joharran nie wyglądają mi na przeciwników. Powiedziałabym, że dogadują się całkiem nieźle - zauważyła Ayla, marszcząc czoło.

Otyła kobieta uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Mówimy o zawiązywaniu węzła, Aylo. Bizon i koń to przeciwne znaki rodowe.

- Ach tak. Zdaje się, że Joharran raczej nie zostanie partnerem Jondalara - przyznała ze śmiechem Ayla. - A skoro już mówimy o zwierzętach mocy... Moim totemem jest Lew Jaskiniowy. Sądzisz, że może być także moim zwierzęciem mocy? Jest naprawdę potężny; jego duch nieraz już mnie chronił.

W świecie duchów sprawy zawsze wyglądają inaczej niż w świecie ludzi - odparła Pierwsza. - Moc także oznacza tam coś innego. Mięsożercy są silni, ale najczęściej polują samotnie lub co najwyżej w małych grupach, a inne zwierzęta trzymają się od nich z daleka. Kiedy człowiek zagląda do świata duchów, czyni to najczęściej po to, by zdobyć wiedzę, zasięgnąć informacji. Dlatego większą wartość mają dla niego te zwierzęta, które potrafią sięgnąć głębiej, które potrafią lepiej porozumiewać się z innymi. Zresztą wszystko zależy od tego, czego tak naprawdę się szuka. Czasem przydają się szczególne umiejętności mięsożerców.

- Dlaczego bizon i koń to przeciwstawne znaki rodowe? - drążyła Ayla.

- Prawdopodobnie dlatego, że na naszym świecie często spotykają się na tych samych terenach, a zatem konkurują ze sobą w odnajdywaniu pożywienia. Inaczej jest z żubrami, które lubią zajadać się świeżymi pędami traw, a pozostawiają twardsze, grubsze części - w tych z kolei gustują konie. Można więc powiedzieć, że żubry i konie uzupełniają się wzajemnie, pasują do siebie. Najsilniej konkurującymi zwierzętami mocy są zaś tak podobne do siebie bizona i żubry, ale kiedy zastanowisz się nad tym bliżej, wszystko wyda ci się logiczne. Większość roślinożerców toleruje się wzajemnie, ale nigdy nie znajdziesz żubrów i bizonów na tej samej łące. Unikają się i walczą ze sobą, szczególnie kiedy nadchodzi sezon Przyjemności dla samic. Są zbyt podobne do siebie. Żubrze byki podążają często za zapachem bizoniej samicy w czasie rui, a samce bizona nierzadko ganiają za żubrzcami. Ten, czym znakiem rodowym jest żubr, nigdy nie powinien brać partnera bizona - podsumowała Zelandoni.

- A jakie jest twoje zwierzę mocy, Zelandoni? - spytała znachorka.

- Powinnaś się domyślić - odrzekła z uśmiechem wielka kobieta. - W świecie duchów jestem mamutem. Kiedy i ty tam zawitasz, przekonasz się, że nie będziesz wyglądać tak samo jak na naszym świecie. Pojawisz się tam jako twoje zwierzę mocy i wtedy dowiesz się, czym tak naprawdę jesteś.

Ayla nie była pewna, czy podoba jej się sposób, w jaki donier mówiła o wyprawie z nią do świata duchów, Marthona zaś zastanawiała się, dlaczego Zelandoni tak bardzo zagłębia się w szczegóły, czego zwykle nie robiła. Matka Jondalara wyczuwała instynktownie, że Pierwsza stara się skusić uzdrowicielkę, wzbudzić w niej fascynację tymi strzępami informacji, które dostępne są tylko wtajemniczonym - Zelandoni.

I wreszcie zrozumiała dlaczego. Ayla i tak była uważana przez większość ludzi za kogoś w rodzaju Zelandoni, toteż Pierwsza zdecydowanie wołała mieć ją wśród swoich, pod kontrolą, niż pozostawić jej pełną wolność i potencjalną możliwość sprawiania kłopotów. Lecz Ayla nieraz już deklarowała, że interesuje ją wyłącznie bycie dobrą partnerką dla Jondalara i rodzenie dzieci, słowem chciała żyć jak wszystkie inne kobiety. Nie zamierzała dołączać do Zelandoni, a znając swego syna, Marthona podejrzewała, że i on nie byłby zachwycony, gdyby jego partnerka została kiedyś jedną z duchowych przywódczyń. Choć z drugiej strony, w przeszłości wykazywał zainteresowanie przedstawicielkami tej grupy... Zapowiada się niezwykle interesująca rozgrywka, pomyślała Marthona.

Kobiety zbierały się już do wyjścia, gdy Ayla nagle ponownie odwróciła się w stronę Zelandoni.

- Mam jeszcze jedno pytanie - powiedziała. - Kiedy opowiadałaś nam o dzieciach i o wywoływaniu poronienia, by zakończyć niechcianą ciążę, dlaczego nie wspomniałaś o sposobach zapobiegania powstaniu nowego życia?

Dlatego, że nie ma takiego sposobu. Tylko Doni ma moc poczynania życia i tylko Ona może do niego nie dopuścić - odrzekła Zelandoni z Czternastej Jaskini, stojąca opodal i przysłuchująca się całej rozmowie.

- Ależ jest! - zawołała Ayla.

## ROZDZIAŁ 29

Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą Matce posłała młodej kobiecie surowe spojrzenie. Być może powinnam była wcześniej i bardziej szczegółowo porozmawiać z Ayla na te tematy, pomyślała. Czy to możliwe, żeby znachorka Klanu знаła sposób na sprzeciwienie się woli Doni? Jeżeli tak, był to najgorszy moment na zdradzenie się z tym, ale teraz było już za późno. Zelandoni stojący w pobliżu dyskutowali z ożywieniem i gestykulowali gwałtownie, równie podnieceni jak Czternasta. Nieliczni apelowali o spokój, pozostali zaś zbliżali się szybko do środkowej części chaty. Ayla nie miała pojęcia, dlaczego jej słowa wywołały takie poruszenie.

Trzy kobiety towarzyszące uzdrowicielce stały w milczeniu, przypatrując się całej scenie. Marthona przyglądała się rozgardiaszowi z rozbawieniem, choć starała się nie okazywać na zewnątrz jakiegokolwiek reakcji. Joplaya była zszokowana widokiem wielce szanownych Zelandoni, którzy kłócili się z tak wielkim zapałem, a jednocześnie nie mniej niż oni zdumiona oświadczeniem Ayli. Jerika także przysłuchiwała się sporom z zainteresowaniem i podjęła w duchu mocne postanowienie, że porozmawia z wybranką Jondalara na osobności. Słowa znachorki mogły być sygnałem, że problem, który od dłuższego czasu nie dawał spokoju kobiecie Dalanara, być może dałoby się rozwiązać.

Od chwili, gdy Jerika poznała przystojnego giganta, założyciela Pierwszej Jaskini Lanzadonii, kochała go głęboką, niezmienną miłością, on zaś był oczarowany filigranową kobietką o wielce niepokornej osobowości. Mimo imponującej postury Dalanar był człowiekiem czułym i delikatnym. Jako namiętny kochanek potrafił sprawić, że dzielenie się Darem Przyjemności było dla jego kobiety źródłem autentycznej rozkoszy. Kiedy poprosił ją, by została jego partnerką, zgodziła się bez wahania, a gdy stwierdziła, że poczęło się w niej nowe życie, nie posiadała się z radości. Jednakże dziecko, które nosiła w sobie, było zdecydowanie za duże, jak na jej możliwości - poród omal nie skończył się śmiercią matki i córki. Wewnętrzne obrażenia były tak poważne, że Jerika już nigdy nie zaszła w ciążę, co przyjęła z wielkim żalem, ale i z ulgą.

A teraz jej córka wybrała mężczyznę, który - choć nie tak rostry jak Dalanar - był mocno zbudowany i grubokościsty. Joplaya była wysoka, ale szczupła i delikatna, jej biodra zaś, jak zauważyła matka, były bardzo wąskie. Dlatego też od chwili gdy zrozumiała, kogo najprawdopodobniej jej córka wybierze na partnera - a więc i na mężczyznę, z którego ducha najpewniej skorzysta Wielka Matka, by począć nowe życie - obawiała się, że Joplayę czeka podobny poród jak ją samą, a może i mniej szczęśliwy. Co gorsza, podejrzewała, że połączone duchy już zamieszkały w ciele wybranki Echozara, jako że przez całą drogę na Letnie Spotkanie



Joplaya cierpiała na poranne mdłości. Uparcie jednak odmawiała przychylenia się do sugestii matki, która namawiała ją do przerwania ciąży.

Jerika miała świadomość, że nic więcej nie może zrobić dla swej córki. Decyzja należała teraz do Wielkiej Matki. To od Niej zależało, czy Joplaya będzie pobłogosławiona czy nie; Jej postanowienie przesądzało o życiu i śmierci. Jerika podejrzewała, że jej córka z racji swego wyboru ma wielkie szansę pomóc Doni w podjęciu decyzji: umrzeć młodo przy porodzie, jeśli nie przy pierwszym, to z pewnością przy następnym. Miała cichą nadzieję, że Joplaya przeżyje ten pierwszy raz, ale jej ciało zostanie uszkodzone w taki sposób, iż nigdy więcej nie zagnieździ się w nim nowe życie, które naraziłoby ją na wielkie niebezpieczeństwo.

- Proszę o ciszę - odezwała się Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą. Gwar ożywionych rozmów urwał się po chwili.

- Aylo, chcę być pewna, że dobrze cię zrozumiałam. Powiadasz, że wiesz, w jaki sposób można zapobiec zajściu w ciążę? Wiesz, co zrobić, by powstrzymać nowe życie, nim jeszcze powstanie?

- Tak. Sądziłam, że wy także wiecie. Wracając z Jondalarem ze wschodu, używałam pewnych roślin... Nie chciałam nosić w sobie dziecka podczas Podróży, nie miałam nikogo, kto mógłby mi pomóc - wyjaśniła.

- Mówiłaś mi, że jednak zostałaś pobłogosławiona przez Doni. Że minęły trzy księżyce, odkąd krwawiłaś po raz ostatni. Zatem musiało się to stać jeszcze w Podróży - rozumowała donier.

- Jestem niemal pewna, że nowe życie zaczęło się we mnie zaraz po tym, jak przeszliśmy przez lodowiec - odparła Ayła. - Wzięliśmy ze sobą od Losadunai tylko tyle palących się kamieni, żeby wystarczyło nam do topienia lodu - musieliśmy poić konie, Wilka i siebie. Ani razu nie próbowałam parzyć herbaty, więc i nie przygotowywałam napoju, który przedtem piłam każdego ranka. To była trudna przeprawa; niewiele brakowało, a w ogóle nie dotarlibyśmy na drugą stronę. Kiedy zeszliliśmy z lodowca, zatrzymaliśmy się na jakiś czas, żeby wypocząć, i nie chciało mi się już szykować wywaru. W tym momencie i tak nie miało to znaczenia, byliśmy prawie u celu. Dlatego byłam szczęśliwa, kiedy zauważyłam, że jestem w ciąży.

- Skąd wiedziałaś o istnieniu tego leku? - spytała Zelandoni.

- Od Izy, znachorki, która mnie wychowała.

- Jak wytłumaczyła ci jego działanie? - wtrąciła Zelandoni z Czternastej.

Pierwsza spojrzała na nią, z trudem panując nad irytacją. Zadawała pytania w logicznej kolejności i nie potrzebowała pomocy, lecz Ayła już spieszyła z odpowiedzią.

- Ludzie Klanu wierzą, że duch totemu mężczyzny toczy walkę z duchem totemu kobiety i stąd bierze się regularne krwawienie. Kiedy totem mężczyzny jest silniejszy, zwycięża i w taki

sposób zaczyna się nowe życie. Iza powiedziała mi, że pewne rośliny dodają mocy totemowi kobiety i pomagają jego duchowi w walce z duchem totemu mężczyzny - wyjaśniła.

- Prymitywne to, ale jestem zaskoczona, że oni w ogóle mają jakieś wierzenia - stwierdziła Czternasta.

Pierwsza znowu popatrzyła na nią surowo.

Ayla wyraźnie słyszała pogardę w głosie starej donier i tym bardziej cieszyła się, że nie wspomniała ani słowem o swoim przekonaniu, iż to mężczyzna poczyną nowe życie w łonie kobiety. Od dawna już nie wierzyła ani w to, że Doni miesza ludzkie duchy, ani w to, że totemy walczą między sobą i w taki sposób rodzą się dzieci. Doszła jednak do wniosku, że Czternasta - a być może nie tylko ona - uznałaby jej przemyślenia za warte bardziej krytyki niż zastanowienia.

- Powiedziałeś, że w Podróży używałaś owych roślin. Dlaczego uważasz, że one naprawdę działały? - spytała Pierwsza, znowu przejmując kontrolę nad sytuacją.

- Mężczyźni Klanu bardzo cenią sobie potomstwo swoich partnerek, zwłaszcza wtedy, kiedy rodzą się chłopcy. Dziecko podnosi ich prestiż. Wierzą, że jest dowodem żywotności ich totemu, a zatem i ich wewnętrznej siły. Iza mówiła mi, że sama przez wiele lat używała tych roślin, żeby nie zająć w ciąży, gdyż chciała sprowadzić hańbę na swego partnera. Był wyjątkowym okrutnikiem; bił ją tylko po to, by pokazać wszystkim, że ma władzę nad znachorką z najlepszego rodu. To dlatego postanowiła udowodnić mu, że duch jego totemu nie jest wystarczająco mocny, by pokonać jej ducha - wyjaśniła Ayla.

- Dlaczego więc godziła się na takie traktowanie? - wtrąciła znowu Czternasta. - Dlaczego po prostu nie zerwała węzła i nie znalazła sobie innego partnera?

- Kobiety Klanu nie mają prawa wyboru. Decyduje przywódca i inni mężczyźni.

Nie mają wyboru?! - zdumiała się Czternasta.

- Wobec tego owa kobieta - nazwałaś ją Izą, prawda? - wykazała się niemalą inteligencją i subtelnnością - stwierdziła pospiesznie Pierwsza, nim Czternasta zdążyła rzucić kolejną ironiczną uwagę i zadać następne niepotrzebne pytanie. - Czy wszystkie kobiety Klanu wiedzą o tych roślinach?

- Nie, tylko znachorki. Myślę, że dokładne zasady przyrządzania wywaru były znane tylko kobietom z rodu Izy, ale ona dzieliła się z innymi tą wiedzą, jeśli były w potrzebie. Tak naprawdę jednak nie wiem, czy mówiła im, jakich roślin mają używać, czy dawała gotowe składniki. Gdyby którykolwiek z mężczyzn dowiedział się o tym, byłby wściekły, ale nie ośmieliłby się wypytywać Izę. Wiedza znachorki nie jest przeznaczona dla mężczyzn. Przekazuje się ją wyłącznie córkom, które z czasem same stają się znachorkami, jeżeli przejawiają talent w tej dziedzinie. Iza uważała mnie za swoją córkę - dodała Ayla.

- Jestem zdumiona wyrafinowaniem ich wiedzy medycznej - przyznała Zelandoni, wiedząc doskonale, że mówi w imieniu większości Zelandoni.

- Mamut z Obozu Lwa także rozumiał, jak skuteczne są metody Klanu. W młodości wybrał się samotnie w Podróż i przytrafił mu się wypadek: ciężkie złamanie ręki. Dotarł jakoś do jaskini jednego z klanów i tamtejsza znachorką nastawiła mu ramię, a potem opiekowała się nim, póki nie wrócił do zdrowia. Ustaliliśmy, że był to ten sam Klan, w którym się wychowywałam. Kobieta, która pielęgnowała Mamuta, była babką Izy.

Kiedy Ayla umilkła, w chacie zapadła absolutna cisza. Trudno było uwierzyć w to, co mówiła. Zelandoni z okolicznych Jaskiń słyszeli już, jak Joharran i Jondalar opowiadali o płaskogłowych, którzy - jak twierdziła Ayla - sami siebie nazywali Klanem i z pewnością byli ludźmi, nie zwierzętami. Dyskusja na temat tych rewelacji trwała od kilku dni, lecz większość słuchaczy ostatecznie nie dała im wiary. Owszem, zgadzano się, że płaskogłowi są być może sprytniejsi, niż uważano, lecz trudno było nazywać ich ludźmi. Teraz jednak niezwykle jasnowłosa kobieta opowiadała o bardzo konkretnych sprawach: o uzdrowieniu przez znachorkę Klanu mężczyzny z Mamutoi i o wiedzy na temat poczynania nowego życia. Sugerowała wręcz, że wiedza medyczna Klanu przewyższała tę, którą dysponowali Zelandonii.

Kobietom znowu zaczęły roztrząsać to, co przed chwilą usłyszały, a gwar wypełniający chatę słyszalny był aż na zewnątrz. Mężczyźni Zelandoni, wciąż jeszcze strzegący wszystkich wejść, umierali z ciekawości, zachodząc w głowę, co też mogło spowodować zamieszanie, ale karnie czekali na zaproszenie do środka. Wiedzieli, że w chacie są jeszcze kobiety, ale zdumiewało ich to, że ich rozmowa mogła wzbudzić aż takie emocje.

Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą Matce słyszała już wcześniej opowieści Ayli o Klanie, toteż tym razem szybciej uzmysłowiła sobie ewentualne skutki najnowszych rewelacji. Nie wątpiła, że ci, którzy przygarnęli jasnowłosą dziewczynkę i wychowali ją, byli ludźmi. Była przekonana, że wszyscy Zelandonii powinni uwierzyć Ayli i zastanowić się poważnie nad konsekwencjami nowej sytuacji, choć sama nie ogarniała jeszcze w pełni jej znaczenia. Wiedziała tylko, że powinna jeszcze raz przemyśleć to, co do tej pory uważała za prawdę. Być może ludzie Klanu żyli w prymitywniejszych warunkach, ale ich wiedza medyczna osiągnęła podobny poziom, jaki prezentowali uzdrowiciele Zelandonii. Ayla zaś z pewnością miała mocne podstawy owej wiedzy, którą donier pragnęła wykorzystać i rozwinąć.

Znane i powtarzane od pokoleń Historie także wspominały o czasach, kiedy Zelandonii wiedli znacznie prostszy żywot, a uzdrowicielstwo było bardziej zaawansowaną gałęzią wiedzy niż inne. Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą podejrzewała, że znajomość leczniczych roślin była jeszcze starsza. Jeżeli Klan istotnie był tak pradawny, jak twierdziła Ayla, niewykluczone było, iż

wiedza tego ludu, żyjącego ściśle według tradycji, mogła zostać znacząco rozwinięta. Byłoby to możliwe zwłaszcza wtedy, gdyby potwierdziły się informacje Ayli o niezwykłych wspomnieniach, z których płaskogłowi umieli korzystać. Zelandoni żałowała, że nie miała okazji dogłębnie omówić tych spraw z Aylą. Dostrzegała jednak i drugą stronę medalu: być może szok był najlepszym sposobem na uświadomienie Zelandoni tego, jak ważną sprawą jest poznanie prawdziwej natury ludzi zwanych Klanem.

Proszę o ciszę! - zawołała Zelandoni, by wreszcie przywrócić porządek. Odezwała się ponownie, kiedy w końcu zapanował spokój: - Wydaje się, że Ayla dostarczyła nam niezwykle pożytecznych informacji. Mamutoi wykazali się wielkim wyczuciem, adoptując tę kobietę i przyjmując do ogniska Mamuta, co wedle naszych zwyczajów oznaczało przyjęcie w szeregi Zelandoni. Wrócimy później do rozmowy z Aylą i postaramy się wy badać dokładnie, jak głęboko sięga jej wiedza znachorska. Jeżeli istotnie poznała sposób na zapobieganie powstaniu nowego życia, będzie to dla nas wielce korzystne i powinniśmy się cieszyć, że pojawiła się taka możliwość.

- Powinniście wiedzieć i o tym, że nie jest to sposób w pełni skuteczny - wtrąciła Ayla. - Partner Izy zginął, kiedy trzęsienie ziemi zniszczyło jaskinię, ale kiedy mnie znalazła, była już w ciąży. Wkrótce potem przyszła na świat jej córka, Uba. Pamiętajcie jednak, że Iza miała wtedy mniej więcej dwadzieścia lat, a więc jak na kobietę Klanu rodzącą po raz pierwszy, była bardzo stara. Dziewczęta stają się kobietami w wieku ośmiu lub dziewięciu lat - widzicie więc, że lekarstwo działało na Izę przez długie lata. Na mnie zresztą też, przez całą Podróż z Jondalarem.

Tylko niewielka część wiedzy o uzdrawianiu jest absolutnie pewna - rzekła w zamyśleniu Zelandoni. - Koniec końców i tak decyzje należą do Wielkiej Matki.

Jondalar ucieszył się na widok powracających kobiet. Wraz z Wilkiem niecierpliwie czekał na Aylę, a kiedy w obozie zjawił się Dalanar z Joharranem, obiecał im, że dołączy do nich, gdy tylko wróci jego kobieta. Marthona natychmiast kazała Folarze przygotować gorącą herbatę i coś do jedzenia, a następnie zaprosiła do chaty Jerikę i Joplayę. Starsze kobiety zaczęły gawędzić o krewnych i wspólnych znajomych, młodsze zaś zajęły się omawianiem planów na najbliższe dni.

Ayla dołączyła do nich na chwilę, ale po obfitym w przeżycia spotkaniu w chacie Zelandoni miała ochotę na odrobinę samotności. Oświadczywszy, że zamierza zajrzeć do koni, chwyciła plecak i razem z Wilkiem opuściła obóz. poszła w górę strumienia, odwiedziła Whinney i Zawodnika, a potem ruszyła dalej, w stronę źródła i sadzawki. Kusilo ją, żeby popływać w chłodnej wodzie, ale ostatecznie postanowiła iść dalej. Maszerowała świeżo wydeptaną ścieżką, ale dopiero gdy znalazła się w pobliżu nowo odkrytej jaskini, zrozumiała, że pokonała dokładnie tę samą trasę, którą nie tak dawno wędrował Jondalar z gromadą Zelandonii.

Zbliżając się do wzgórza, doskonale widziała wejście do groty i zauważyła, że blokujące drogę kolczaste krzewy zostały usunięte. Wyniesiono także sporo piachu i kamieni, tak że wylot jaskini był teraz znacznie większy. Najprawdopodobniej każdy z uczestników Letniego Spotkania zdążył już odwiedzić to miejsce co najmniej raz, ale jeszcze nie było widać oznak nadmiernego ruchu ciekawskich. Pieczara była tak piękna i niezwykła - ze względu na białe ściany - że od razu uznano ją za miejsce święte, a zatem takie, którego spokoju nie wolno było zakłócać. Zelandoni i przywódcy Jaskiń jeszcze nie oswoili się z myślą o nowym nabytku i dopiero się zastanawiali, w jaki sposób należałoby wykorzystać to cudowne miejsce. Tak czy inaczej, odkrycie było zbyt świeże i nie wiązała się z nim żadna tradycja.

Miejsce, w którym Ayla krzesłała ogień, by zapalić pochodnię, zmieniło się w spore palenisko otoczone kamieniami. Tuż obok leżał stos używanych pochodni. Kobieta zdjęła plecak i wyjęła zestaw do rozpalania ognia. Po chwili stała już u wejścia do jaskini z zapaloną pochodnią.

Trzymając wysoko nad głową źródło światła, zstąpiła do ciemnego tunelu. Wiązka słonecznych promieni wpadała do środka, wyłuskując z mroku nierówne, piaszczyste podłoże przy samym wejściu, pokryte gęstą mozaiką odcisków bosych i obutych stóp. Znachorka dostrzegła długi ślad, zapewne pozostawiony przez wysokiego mężczyznę, a obok nieco niniejszy, przeciętnych rozmiarów, odbity przez szeroką stopę kobiety lub dorastającego chłopca. Widać było także odcisk podeszwy sandała uplecionego z trawy i nieco rozmazany kształt miękkiego skózanego buta. Tuż obok ciągnął się trop szeroko stawianych, malutkich stopek dziecka, które dopiero uczyło się chodzić. Środkiem zaś biegł świeży ślad wilczych łap. Ayla zastanawiała się, co też mógłby pomyśleć o tej dziwnej mieszance wprawny tropiciel, gdyby nie wiedział, że wśród Zelandonii zamieszkał oswojony drapiezca.

Im głębiej schodziła do ciemnego wnętrza, tym chłodniejsze i wilgotniejsze było powietrze. Wkroczenie do podziemnego świata - a przynajmniej do głównej komnaty - nie wymagało specjalnej sprawności. Była to jaskinia, którą mogły odwiedzać całe rodziny, choć z pewnością nie miała stać się niczym domem. Groty ukryte pod ziemią były zazwyczaj zbyt ciemne i wilgotne, by nadawały się do zamieszkania; zwłaszcza że w okolicy nie brakowało znacznie lepszych schronień - skąpanych w dziennym świetle, o równym podłożu, a przy tym osłoniętych przed wiatrem, deszczem i śniegiem przez olbrzymie skalne nawisy. Biała jaskinia była zaś po prostu piękna, niczym sanktuarium, niczym niesamowita brama do łona Wielkiej Matki Ziemi.

Ayla i Wilk przemierzali podziemie wzdłuż lewej ściany, podziwiając nieskazitelną biel ścian. Potem weszli w wąski boczny korytarz, którego ściany rozszerzały się ku górze, by w oddali połączyć się w zaokrąglone, jasne sklepienie. Znachorka zeszła też w zagłębienie wokół okrągłej kolumny, która zwieszała się ze sklepienia, lecz nie dotykała podłoża. Poczowała przenikliwe zimno i

sięgnęła do plecaka po miękko wyprawioną skórę jelenia olbrzymiego, którą z przyjemnością zarzuciła na plecy. Była to jedna ze zdobyczy z łowów zorganizowanych tuż przed pamiętnym polowaniem na bizona, podczas którego zginął Shevonar. Od tamtej pory tyle się wydarzyło, że znachorce wydawało się, jakby minęły całe wieki.

Dotarła do końca wąskiego tunelu, który zakręcał ostro za zwisającą kolumną, a potem wróciła i usiadła na krawędzi zagłębienia. Podobało jej się to przestronne miejsce. Wilk zbliżył się cicho i otarł łbem o jej wolną rękę.

- Zebrało ci się na pieszczoty - mruknęła, przekładając pochodnię do lewej dłoni, by podrapać czworonoga za uszami.

Kiedy zwierz odszedł, by myszkować po zakamarkach jaskini, wróciła myślą do spotkania z kobietami, które wkrótce - podobnie jak ona ~ miały zawiązać węzeł, a także do Zelandoni i dyskusji, która rozpoczęła się na dobre dopiero po wyjściu większości uczestników zebrania.

Rozmyślała też o znakach rodowych - o tym, że symbolem Marthony był koń, i o tym, że była ciekawa własnego znaku. Zainteresowało ją to, że w świecie duchów konie, żubry czy bizona były znacznie ważniejszymi zwierzętami mocy niż wilki czy lwy jaskiniowe, a nawet niedźwiedzie jaskiniowe. Było to miejsce, w którym wszystko było odwrócone, postawione na głowie, a może przenicowane. Siedząc i dumając o świecie duchów, Ayla poczuła, że znowu wpada w ten dobrze znany, dziwaczny stan. Nie była z tego zadowolona i próbowała się bronić, ale nie miała władzy nad tym niepokojącym uczuciem. Wydawało jej się, że coś sobie przypomina, coś jakby sen, a może dalekie wspomnienie. Narastało w niej dziwne poczucie, że zaczyna przeżywać wydarzenia, które świetnie pamięta, a które nigdy nie rozegrały się w rzeczywistym świecie.

Czując wielki niepokój, jakby zrobiła coś niewłaściwego, wypijając resztkę płynu, która pozostała na dnie miski. Podążając za migotliwymi światłami, zapuściła się w głąb nie kończącej się jaskini. Wreszcie zobaczyła ognisko i siedzących przy nim mogurów. Mdlilo ją ze strachu - i w takim stanie nagle zaczęła spadać w czarną otchłań. Znienacka pojawił się przy niej Creb: pomagał, wspierał, odsuwał lęk. Był mądry i dobry. Rozumiał świat duchów.

Sceneria zmieniła się nagle. Olbrzymi brązowy kot właśnie powalił na ziemię beczącą przeraźliwie żubrzcę. Ayla jęknęła i wcisnęła się w skalną szczelinę najgłębiej, jak potrafiła. Lew jaskiniowy ryknął i rzucił się ku niej, a olbrzymia łapa zbrojna w długie pazury dosięgła lewego uda dziewczyny, pozostawiając na nim cztery głębokie, równoległe rany.

- Lew Jaskiniowy jest twoim totemem, - rzeki mogur.

Znowu wszystko się zmieniło. Długi szereg pochodni wskazywał drogę w dół, krętym korytarzem głębokiej jaskini, oświetlając przepięknie układające się formacje skalne. Jedna z nich przypominała rozwiany koński ogon. Oczom Ayli ukazała się żółtawa klacz, która zaraz zniknęła

pośród stada koni, a potem parsknęła, jakby wołała kobietę do siebie. Znachorka rozglądała się za nią w skupieniu i nie zauważyła Creba, który nagle wyłonił się z cienia. Kaleki mężczyzna skinął dłonią, nakazując jej pośpiech. Ayla usłyszała rzenie koni - stado zerwało się do galopu i pędziło ku krawędzi wysokiego urwiska. Przerazona, pobiegła za spłoszonymi zwierzętami, czując ucisk w żołądku. Słyszała bezradne rzenie koni spadających w przepaść na łeb na szyję...

A potem miała dwóch synów, choć nikt nie powiedziałby, że są braćmi. Jeden był wysoki i jasnowłosy jak Jondalar, a drugim, starszym, był... Durc. Ayla wiedziała, że tak jest, choć jego twarz spowijał mrok. Bracia zbliżali się do siebie z przeciwnych stron, krocząc po smaganym wiatrem, pustym stepie. Czuli wielki niepokój; wiedziała, że stanie się coś strasznego, czemu powinna jakoś zapobiec. I nagle z przerażeniem zdała sobie sprawę, że jeden z jej synów zabije drugiego. Gdy podeszli bliżej, spróbowała sięgnąć ku nim ręką, ale powstrzymała ją niewidzialna, lepka ściana. Stanęli naprzeciwko siebie i unieśli ramiona do ciosu. Krzyknęła.

- Obudź się, moje dziecko! - zawołał Mamut. - To tylko symbol, wiadomość dla ciebie.

- Ale jeden z nich zginie! - krzyknęła.

- Nie jest tak, jak myślisz, Aylo - odrzekł Mamut. - Musisz odnaleźć prawdziwe znaczenie tego, co zobaczyłaś. Masz Talent. Pamiętaj: świat duchów nie jest taki sam jak nasz. Jest odwrócony. Wszystko w nim stoi na głowie.

Ayla drgnęła, kiedy pochodnia upadła na ziemię. Sięgnęła ręką i podniosła szczapę drewna, nim ogień zgasł. Znowu spojrzała na dziwną kolumnę, która wyglądała, jakby spoczywało na niej olbrzymie sklepienie, ale tak naprawdę nawet nie dotykała gruntu. Poczula zimny dreszcz. Na ułamek sekundy skała znowu stała się lepką ścianą, za którą znachorka dojrzała konia, w panice wierzgającego nogami, spadającego z urwiska w przepaść.

Wilk zjawił się ni stąd, ni zowąd i zaczął węszyć wokół swej pani, skomląc z cicha. Parę razy odchodził na kilka kroków i wracał, spoglądając na Aylę z nadzieją. Kobieta wstała i popatrzyła nań nieobecny wzrokiem, usiłując zebrać myśli.

- Czego chcesz, Wilku? Co próbujesz mi powiedzieć? Mam iść za tobą? O to chodzi?

Ruszyła za nim w stronę głównej sali, a gdy stanęła u wylotu korytarza, dostrzegła światło innej pochodni, opuszczające się wolno wzdłuż stromizny wiodącej na powierzchnię. Ten, kto niósł ogień, także ją zauważył, choć miał na to niewiele czasu, ponieważ pochodnia Ayli zaczęła syczeć i przygasać. Nim kobieta uczyniła kilka kroków, płomień zniknął. Zatrzymała się i zobaczyła, że druga pochodnia zbliża się do niej w szybkim tempie. Poczula ulgę, lecz nim znalazła się w kręgu światła, jej oczy zdążyły przywyknąć do ciemności i dostrzegła już mgliste zarysy białych ścian. Prawdopodobnie nie miałyby kłopotu z odnalezieniem wyjścia, lecz mimo to cieszyła się, że ktoś nadchodzi. Zdziwiła się jednak, gdy przekonała się, kto to taki. To ty! - zawołali równocześnie.

- Nie wiedziałem, że ktoś tu jest. Nie chciałem ci przeszkodzić...

- Cieszę się, że cię widzę - zaczęła Ayla w tym samym momencie i urwała z uśmiechem. - Naprawdę się cieszę, Brukevalu. Moja pochodnia właśnie zgasła.

- Zauważyłem. Może więc odprowadzę cię na powierzchnię? O ile chcesz już wracać, ma się rozumieć.

- I tak za długo tu zabawiłam. Zimno mi. Chętnie zobaczę znowu słońce. Powinnam była uważać.

W tej jaskini łatwo się zapomnieć. Jest taka piękna i taka.... sam nie wiem jaka. Niezwykła - powiedział, unosząc pochodnię wyżej i ruszając w stronę wyjścia.

To prawda.

- Musiałaś być zaskoczona, kiedy wkroczyłaś tu pierwsza. Tyle razy schodziliśmy zboczem tego wzgórza, że nie potrafiłbym chyba znaleźć odpowiednio dużego słowa do liczenia, a jednak nikt nie odkrył tej groty, póki ty się nie zjawiałaś.

- Zaskakujące jest piękno samej jaskini; to, że byłam pierwsza, wcale się nie liczy. Moim zdaniem każdy, kto tu zagląda, za pierwszym razem jest poruszony do głębi. Byłeś tu już wcześniej, Brukevalu? - spytała Ayla.

Tak. Wszyscy gadali o twoim odkryciu, więc zanim się ściemniło, wziąłem pochodnię i przyszedłem tutaj. Nie miałem wtedy wiele czasu - słońce już zachodziło - toteż postanowiłem, że wrócę tu dzisiaj - wyjaśnił mężczyzna.

- I dobrze się stało - stwierdziła Ayla, wspinając się korytarzem wiodącym na powierzchnię. - Pewnie i tak znalazłabym drogę, bo do środka jednak wpada odrobina światła, a Wilk na pewno by mi pomógł, ale nie masz pojęcia, jaką ulgę poczułam, kiedy zobaczyłam twoją pochodnię.

Brukeval spuścił wzrok i teraz dopiero zwrócił uwagę na wilka.

Tak, na niego z pewnością możesz liczyć. Nie zauważyłem go nawet... On także jest niezwykły, prawda?

- Dla mnie - tak. Poznałeś go już? Wymyśliłam dla niego specjalną formę oficjalnego powitania. Kiedy go dokonam, zrozumie, że jesteś przyjacielem - wyjaśniła Ayla.

- Chciałbym być twoim przyjacielem - odparł cicho Brukeval.

Ton, jakim mężczyzna wypowiedział te słowa, kazał znachorce zerknąć na niego dyskretnym sposobem kobiet Klanu. Przeszył ją dreszcz i poczuła, że dzieje się coś niedobrego. W niewinnej deklaracji Brukevala było coś więcej niż pragnienie przyjaźni. Wyczuła w niej tęsknotę, ale postanowiła, że nie uwierzy w taką interpretację intencji mężczyzny. Dlaczego Brukeval miałby



coś do niej czuć? Przecież prawie się nie znali. Uśmiechnęła się, by zamaskować zmieszanie. Po chwili stanęli przed wejściem do jaskini.

- Pozwól, że przedstawię cię Wilkowi - powiedziała. Chwyła dłoń Brukevala i starym zwyczajem zapoznała Wilka z zapachem mężczyzny, dając mu odczuć swoją aprobatę dla jego obecności.

- Chyba nie miałem jeszcze okazji powiedzieć ci, jak bardzo podziwiam to, że tak pięknie utarłaś nosa Maronie - rzekł Brukeval, kiedy prezentacja dobiegła końca. - To okrutna i podstępna kobieta. Wiem coś o tym. Mieszkaliśmy razem, kiedy dorastałem. Jesteśmy kuzynami, dalekimi kuzynami, ale jej matka była najbliższej spokrewniona z moją i mogła mnie wykarmić. Kiedy więc zostałem sam, przygarnęła mnie. Przyjęła na siebie obowiązek, ale nie była zachwycona tym faktem.

- Przyznaję, że nie przepadam za Maroną - odpowiedziała Ayla. - Ale niektórzy uważają, że ona nie może mieć dzieci, i jeśli to prawda, to żal mi jej.

- Nie jestem pewien, czy nie może, czy tylko nie chce. Słyszałem, że Maroną sama dba o to, by w porę pozbyć się dziecka, gdy zostaje pobłogosławiona przez Doni. Zresztą i tak nie byłaby dobrą matką. Nie potrafi myśleć o nikim innym, tylko o sobie - rzekł Brukeval. - W przeciwieństwie do Lanogi. Ona będzie wspaniałą matką.

- Powiedziałabym, że już jest.

- Dzięki tobie jest szansa na to, że Loralą będzie żyć i rozwijać się prawidłowo - dodał Brukeval.

Sposób, w jaki patrzył na Aylę, znowu wprowadził ją w zakłopotanie. Spuściła głowę i pogłaskała Wilka, by zająć czymś ręce.

To młode matki karmią tę małą, nie ja - odparła skromnie.

Tylko że nikt inny nie zainteresował się tym, że dziecko nie dostaje mleka. Nikogo nie obchodził los Loral. Widziałem, jak traktujesz Lanogę - tak, jakby była coś warta.

- To dlatego, że jest wiele warta. Jest godną podziwu dziewczynką, a z czasem stanie się wspaniałą kobietą.

- Oczywiście, choć w niczym nie zmienia to faktu, że należy do rodziny o najniższym statusie w całej Dziewiątej Jaskini - odparł Brukeval. - Sam wziąłbym ją na partnerkę i podzielił się z nią moim statusem - i tak nie zaszkodziłoby mi to zbytnio - ale wątpię, czyby mnie chciała. Jestem dla niej za stary, a do tego... cóż... żadna kobieta mnie nie chce. Mam nadzieję, że Lanoga znajdzie sobie godnego kandydata.

- Ja też, Brukevalu. Ale dlaczego sądzisz, że żadna cię nie chce? - zaprotestowała Ayla. - Jak rozumiem, twoja pozycja w Dziewiątej Jaskini jest bardzo wysoka. Jondalar mówił mi, że

jestes świetnym myśliwym i bardzo dobrze słyszysz Jaskini. On w ogóle często o tobie myśli, Brukevalu. A gdybym ja była kobietą Zelandonii szukającą mężczyzny i nie miałabym Jondalara, z pewnością wzięłabym ciebie pod uwagę. Masz bardzo wiele do zaoferowania.

Brukeval przyglądał się znachorce z wielką uwagą, zastanawiając się usilnie, czy jej słowa nie są tylko kpina, którą następane zdanie zmieni w przydługi wstęp do sarkastycznej puenty. Tak właśnie rozmawiała z nim Maroną... Lecz intencje Ayli wydawały się szczerze.

- Z przykrością muszę zauważyć, że nie szukasz - odrzekł Brukeval. - Ale gdybyś kiedyś zaczęła, daj mi znać - dodał z uśmiechem, próbując obrócić swe prawdziwe emocje w żart.

Gdy tylko zobaczył ją po raz pierwszy, wiedział, że oto ma przed sobą kobietę swoich marzeń. Kłopot polegał na tym, że była wybranką Jondalara. Co za szczęściarz, pomyślał Brukeval. Ale on zawsze ma szczęście. Mam nadzieję, że docenia to, co udało mu się osiąść. Bo jeśli nie... Ja na pewno bym docenił. Wzięłbym ją bez wahania, gdyby tylko zechciała.

Niemal równocześnie unieśli głowy, gdy opodał rozległy się czyjeś głosy. Ujrzeni grupkę ludzi nadchodzących od strony obozu Dziewiętej Jaskini. Dwóch wysokich mężczyzn, tak bardzo do siebie podobnych, zidentyfikowali bez problemu. Ayła pomachała ręką i posłała uśmiech w stronę Jondalara i Dalanara, którzy natychmiast odpowiedzieli jej Powitalnym gestem. Dwie smukłe, młode kobiety idące obok mogły bardziej różnić się od siebie, a jednak były nazykuzynkami - wprawdzie tylko dalekimi, ale obie w bezpośredni sposób były spokrewnione z Jondalarem. Ayła orientowała się już w zawiłościach koneksji rodzinnych uznawanych przez Zelandonii i teraz właśnie zastanawiała się nad wzajemnymi relacjami między zbliżającymi się wolno osobami.

W kulturze Zelandonii tylko dzieci tej samej kobiety nazywano braćmi i siostrami. Potomstwo zrodzone przy ognisku tego samego mężczyzny nazywano kuzynami, nie rodzeństwem. Folarą i Jondalar byli więc siostrą i bratem, mieli bowiem tę samą matkę. Joplaya jednak była już tylko kuzynką, gdyż łączyła ją z nimi jedynie osoba mężczyzny ogniska, a nie matki. Braterskosiostrzany związek między nimi nie był więc uznawany, ale istniał nieformalnie. Bliscy kuzyni, zwłaszcza ci, których nazywano kuzynami ogniska, byli zbyt blisko spokrewnieni, by możliwe były ich związki partnerskie.

Ostatnią osobą w nadchodzącej grupce był Echozar, wybranek Joplayi. Jego sylwetka była równie łatwo rozpoznawalna jak potężne kształty Jondalara i Dalanara - szczególnie w oczach Ayli. Joplaya i Echozar mieli zawiązać węzeł podczas tych samych Zaślubin, do których przygotowywała się znachorka z Jondalarem, a pary, które łączyły się podczas wspólnej ceremonii, z reguły utrzymywały długoletnie przyjaźnie. Ayła miała nadzieję, że tak będzie i tym razem, ale odległość dzieląca Jaskinie Zelandonii od Jaskini Lanzadonii sprawiała, iż nie było to zbyt

prawdopodobne. Obserwując grupkę z bliska, uzdrowicielka dostrzegła, że Joplaya od czasu do czasu zerka na Jondalara, lecz - o dziwo - nie miała nic przeciwko temu. Doskonale rozumiała nieszczęśliwe położenie dziewczyny i jej nieustającą melancholię. Sama przecież była swego czasu obiecana nie temu mężczyźnie, którego naprawdę kochała. Tyle że Joplaya raczej nie miała szans na ucieczkę w ostatniej chwili.

Kuzyni często wychowywali się razem i mieszkali po sąsiedzku, wiedząc zawsze, że są zbyt blisko spokrewnieni, by marzyć o zawiązaniu węzła. Jednak w tym przypadku było inaczej: gdy Jondalar powędrował do mężczyzny swego ogniska, by zamieszkać z nim po niesławnej walce - w której wybił przednie zęby młodzieńcowi znanemu obecnie jako Madroman - był już nastolatkiem. Córka ogniska Dalanara była nieco młodsza i nie знаła dotąd swego bliskiego kuzyna z Dziewiątej Jaskini.

Dalanar był zachwycony, mając dwoje dzieci swego ogniska w zasięgu ręki, i bardzo chciał, by młodzież lepiej się poznała. Doszedł do wniosku, że najlepszym sposobem na to będzie wyuczenie obojga sztuki łupania krzemienia, by mieli o czym ze sobą rozmawiać. Był to w istocie pomysł genialny, lecz jasnowłosy olbrzym nie wziął pod uwagę jednego czynnika: wrażenia, jakie syn jego ogniska - tak podobny do niego - wyrzeze na młodej Joplayi. Dziewczyna zawsze uwielbiała mężczyznę swego ogniska, a kiedy pojawił się Jondalar, przeniesienie na niego tak potężnych uczuć było tylko kwestią czasu. Jerika dostrzegła tę niebezpieczną zmianę, lecz Dalanar i Jondalar trwali w błogiej nieświadomości. Joplaya starała się ubierać swą miłość w żartobliwe słowa, gdyż zdawała sobie sprawę, że bliskim kuzynom nie wolno zawierać związków. Jondalar traktował zaś jej odezwania jak zwyczajne żarty i nie szukał ich prawdziwego sensu.

Pierwsza Jaskinia Lanzadonii nie była zbyt ludna, a już na pewno nie było w niej młodego mężczyzny, który miałby wiele do zaoferowania pięknej i inteligentnej młodej kobiecie. Gdy Jondalar wyruszył z Thonolanem w Podróż, Jerika ponaglała Dalanara, by co roku zabierał swych ludzi na Letnie Spotkanie Zelandonii. Oboje mieli nadzieję, że Joplaya znajdzie tam kogoś odpowiedniego. Rzeczywiście, interesowało się nią wielu młodzieńców, ale ona czuła się wyobcowana, ponieważ jej niezwykła uroda nieodmiennie przykuwała wzrok gapiów. Nie spotkała nikogo, przy kim czułaby się tak swobodnie, jak przy swym kuzynie, Jondalarze.

Wiedziała, że od czasu do czasu zdarzało się, iż kuzyni zawiązywali węzeł między sobą - choć dotyczyło to wyłącznie dalekich kuzynów - ale postanowiła zapomnieć o tym drobiazgu i zaczęła fantazjować. Marzyła, że Jondalar podczas dalekiej Podróży odkryje wreszcie, iż kocha ją równie mocno jak ona jego. Miała świadomość niedorzeczności takich życzeń, lecz mimo to żarliwie wierzyła, iż pewnego dnia jej ukochany powróci i weźmie ją na swą partnerkę.

Tymczasem Jondalar powrócił z Aylą. Joplaya była zdruzgotana. Widziała, jak głęboka jest miłość Jondalara do kobiety z dalekich stron, i rozumiała, że to oznacza kres jej marzeń.

Jedynym człowiekiem, z którym Joplaya nawiązała pewną więź, był nowy członek Jaskini Dalanara - Echozar, mężczyzna mieszanych duchów, na którego także kierowały się wszystkie oczy, dokądkolwiek poszedł. Joplaya pomogła Qiu żyć się z Jaskinią i przekonała go, że został zaakceptowany przez Dalanara i jego Lanzadonii. Wspierała go też w nauce języka, a przy tej okazji zdołała poznać historię jego życia.

Matka Echozara została zgwałcona przez mężczyznę Innych, który zabił jej partnera. Gdy urodziła syna, została uznana przez swoich za kobietę przynoszącą pecha i wyklęta - stwierdzono, że to jej wina, iż straciła partnera i powiła zdeformowane dziecko. Opuściła więc Klan, gotowa umrzeć, lecz ocalił ją Andovan, starszy mężczyzna, który zapuścił się w te strony, uciekając przed szaleństwem przywódczyni ludu S'Armunai. Mężczyzna ów zamieszkał na pewien czas z jedną z Jaskiń Zelandonii, ale nie czuł się zbyt dobrze wśród ludzi, których obyczaje były tak odmienne od jego własnych. Żył więc samotnie, na uboczu, póki nie spotkał kobiety z Klanu i jej syna. Razem z nią wychował młodzieńca. Echozar uczył się od matki języka znaków, a od Andovana mowy, która była mieszanką rodzimego języka starca i słów, które poznał u Zelandonii. Wkrótce po tym, jak Echozar osiągnął wiek męski, Andovan zmarł. Matka Echozara nie umiała pogodzić się z jego odejściem i wkrótce uległa klątwie śmierci. Jej syn został zupełnie sam, kiedy powędrowała do krainy duchów.

Młodzieniec nie pragnął życia w samotności. Próbował wrócić do Klanu, lecz uznano go za zdeformowanego i nie przyjęto. Choć potrafił mówić, został też odrzucony przez Jaskinie i uznany za potwora z mieszanych duchów. Zdesperowany, próbował skończyć ze sobą, a kiedy się ocknął, zobaczył nad sobą uśmiechniętą twarz Dalanara. Olbrzym zaniósł rannego do swej Jaskini. Lanzadonii przyjęli Echozara takim, jaki był, Dalanar zaś stał się jego idolem. Miłością jego życia stała się jednak Joplaya.

Była dla niego uprzejma, rozmawiała z nim, potrafiła słuchać, a nawet zrobiła specjalnie dla niego pięknie ozdobioną tunikę na ceremonię przyjęcia do społeczności Lanzadonii. Kochał ją do bólu, ale nie miał złudzeń, że kiedykolwiek zdobędzie jej serce. Walczył ze sobą bardzo długo, nim zebrał się na odwagę i zapytał, czy zechciałaby zostać jego partnerką. Nie mógł uwierzyć w swoje szczęście, kiedy wreszcie się zgodziła. Zdarzyło się to po przybyciu jej kuzyna, Jondalara, i jego kobiety, Ayli, których natychmiast polubił. Żadne z nich nie traktowało go jak odmieńca.

Wszędzie, gdzie Echozar się pojawiał, towarzyszyły mu zdumione, a czasem oburzone spojrzenia. Wymieszane cechy fizyczne Innych i Klanu nie czyniły go szczególnie przystojnym. Był wzrostu przeciętnego Zelandonii, ale odziedziczył po przodkach matki mocarną, silnie

wysklepioną pierś, dość krótkie, krzywe nogi i mocno owłosioną skórę. Miał długą szyję i potrafił mówić, a jego szczękę, podobnie jak u Innych, kończył - niestety, dość słabo zaznaczony - podbródek. Duży nos Echozara oraz masywne wały nad oczami, porośnięte krzaczastymi brwiami ciągnącymi się niemal prostą linią przez całe czoło, były typowe dla przedstawicieli Klanu.

Dla większości ludzi była to kombinacja dziwaczna, jakby niedopasowana, ale nie dla Ayli, która dorastając w Klanie, bez oporów przyjęła obowiązujące w nim standardy urody. To raczej siebie uważała za wielką, niezgrabną i brzydką - miała zbyt długie ciało i zbyt płaską, nijaką twarz. Lecz choć w jej oczach mieszanka cech składająca się na wygląd Echozara była atrakcyjna, dla większości ludzi mężczyzna ten był wprost odrażający - cały, z wyjątkiem oczu. Ich tęczy w mroku błyszczały absolutną czernią, w słońcu zaś zyskiwały orzechowy odcień. Ciemne oczy Echozara były wielkie, a ich spojrzenie przenikliwe, pełne uczucia i inteligentne. Kiedy spoglądały na Joplayę, płonęły głęboką i niezmienną miłością.

Joplaya zaś nie kochała Echozara, ale była doń bardzo przywiązana i darzyła go autentycznym szacunkiem. Ludzie, którzy zawsze oglądali się za nią, czynili to z powodu jej egzotycznej urody, lecz ona nie znosiła ich spojrzeń, i to także łączyło ją z mężczyzną mieszanych duchów. Przy Echozarze czuła się swobodnie, z nim mogła szczerze porozmawiać. Doszła do wniosku, że skoro nie może mieć mężczyzny, którego naprawdę kocha, zwiąże się z tym, który ją kocha. Mogła być pewna, że nigdy nie znajdzie takiego, który wielbiłby ją bardziej niż Echozar.

Kiedy grupa z obozu Dziewiętej Jaskini była już blisko, Ayła zauważyła, że Brukeval jest spięty. Wpatrywał się w Echozara, a w jego wzroku nie było ani śladu sympatii. Spoglądając na niego, znachorka zdała sobie sprawę zarówno z podobieństw między dwoma mężczyznami, jak i z dzielących ich różnic. Echozar miał domieszkę krwi Klanu po matce, Brukeval zaś po babce. U pierwszego więc cechy Klanu były znacznie bardziej widoczne, lecz dla oczu Ayli - i większości ludzi - podobne znamiona u drugiego także były łatwo dostrzegalne.

Uzdrowicielka zaczynała już rozumieć, jakie cechy fizyczne znajdują uznanie wśród Innych, ale w duchu wciąż jeszcze gustowała w surowej urodzie mężczyzn Klanu. Mówiła zupełnie szczerze, gdy zapewniała Brukevala, że nie rozumie, dlaczego żadna kobieta nie miałaby go zechcieć. I rzeczywiście sama wzięłaby pod uwagę związek z nim, gdyby nie kochała Jondalara i gdyby była od urodzenia kobietą Zelandonii. Miała jednak świadomość, że nie jest kobietą Zelandonii, a ze względów osobistych nie zawiązałaby węzła z Brukevałem. Owszem, uważała go za przystojnego i sądziła, że ma wiele do zaoferowania, ale było w nim także coś niepokojącego. Brukeval żywo przypominał jej pewnego konkretnego mężczyznę Klanu: Brouda. Widząc spojrzenie, którym obdarzył nadchodzącego Echozara, Ayła zrozumiała dokładnie, na czym polegało podobieństwo.

- Witaj, Brukevalu - rzekł Jondalar, zbliżając się do niego z uśmiechem na ustach. - Zdaje się, że znasz już Dalanara, mężczyznę mojego ogniska, ale czy miałeś okazję poznać Joplayę i Echozara, któremu jest obiecana? - Jondalar sposobił się już do przeprowadzenia oficjalnej prezentacji, a Echozar uniósł ręce w gotowości, lecz nim zaczęli, odezwał się Brukeval.

- Nie zamierzam dotykać płaskogłowego! - oznajmił, trzymając ręce opuszczone wzdłuż boków, po czym odwrócił się i odszedł.

Wszyscy spojrzeli za nim w oszołomieniu. Pierwsza otrząsnęła się Folar.

- Jak on mógł! - zawołała z oburzeniem. - Wiem, że wini płaskogłowych za śmierć matki - choć może powinnam teraz mówić: ludzi Klanu - ale tego, co zrobił przed chwilą, nie można usprawiedliwić. Zresztą wiem, że ona uczyła go lepszych manier. Byłaby oburzona takim zachowaniem.

- Moja matka była płaskogłową czy też kobietą Klanu. Możecie ją nazywać, jak chcecie, ale ja nie jestem taki sam - odezwał się Echozar. - Jestem Lanzadonii.

- Oczywiście - przytaknęła Joplaya, ściskając jego rękę. - I wkrótce będziesz moim partnerem.

- Przecież wiemy, że i w żyłach Brukevala płynie krew Klanu - rzekł Dalanar. - To oczywiste. Skoro nie może znieść obecności kogoś z podobnym dziedzictwem, to jak może znieść samego siebie?

- Nie może. W tym cały problem - odparł Jondalar. Brukeval sam siebie nienawidzi. Kiedy był mały, inne dzieci stałe z niego drwiły. Nazywały go płaskogłowym, a on zawsze zaprzeczał.

- Przecież nie może zmienić prawdy. Jest tym, kim jest, bez względu na to, jak bardzo stara się temu zaprzeczyć - stwierdziła Ayla.

Nikt nie starał się zniżyć głosu, a Brukeval miał wyborny słuch. Nie umknęło mu ani jedno słowo. Poza tym obdarzony był jeszcze jedną cechą Innych, zupełnie nieobecną u ludzi Klanu: potrafił płakać. Kiedy odchodził, jego oczy wypełniły się łzami. Nawet ona, pomyślał, usłyszawszy komentarz Ayli. Sądziłem, że jest inna. Myślałem, że mówiła szczerze, kiedy twierdziła, że zainteresowałaby się mną, gdyby nie miała Jondalara, ale ona też tak naprawdę uważa mnie za płaskogłowego. Nie mówiła szczerze. Nigdy by na mnie nie spojrzała. Im dłużej Brukeval zastanawiał się nad tym wszystkim, tym większa ogarniała go wściekłość. Nie ma prawa robić nadziei komuś, kto wcale się dla niej nie liczy! Nie jestem płaskogłowym, cokolwiek powie o mnie ona czy ktoś inny! Nie jestem płaskogłowym!

Było jeszcze ciemno, ale niebo pomału zmieniało barwę z czarnej na granatową, a na wschodnim horyzoncie grzbiety wzgórz zaczynały lśnić złotawym blaskiem, gdy grupa łowców z Dziewiątej Jaskini Zelandonii i z Pierwszej Jaskini Lanzadonii opuszczała obóz. Niosąc pochodnie,

zmierzali w stronę placu, na którym Jondalar demonstrował niedawno możliwości miotacza oszczepów. Z zadowoleniem zauważyli, że pośrodku niegdyś porośniętej bujną trawą, a obecnie mocno udeptanej polany płonie ognisko. Wokół niego stali już myśliwi z innych obozów. Niebo rozjaśniało się stopniowo, a smużki chłodnej porannej mgły napływały znad Rzeki, prześlizgując się między drzewami i powoli spowijając zebranych przy ognisku ludzi.

Radosne poranne ptasie trele rozlegały się zewsząd chórem tak głośnym, że tłumiącym szmer rozmów, a jednocześnie rozjaśniającym nieco niespokojną atmosferę oczekiwania. Trzymając mocno uździenicę Whinney, Ayla przyklękła i objęła ramieniem Wilka. Uśmiechnęła się do Jondalara, który uspokajał Zawodnika łagodnym głaskaniem. Rozejrzała się uważnie, z trudem ogarniając wzrokiem największą gromadę myśliwych, w jakiej zdarzyło się jej znaleźć. Nie potrafiłaby policzyć, ilu łowców zebrało się na wielkim placu. Przypomniała sobie, że Zelandoni zaproponowała jej naukę wielkich słów do liczenia, i postanowiła skorzystać z oferty. Bardzo chciała wiedzieć, ilu też ludzi mogło spotkać się o świcie w oczekiwaniu na wymarsz.

Kobiety, które w najbliższym czasie miały zawiązać węzeł, zazwyczaj nie uczestniczyły w łowach przed Zaślubinaorganizowano dla nich zajęcia przygotowujące je do -" TTT^ x i m \_i^ T7"j^\_\_\_C1!., - mi i 111 - UŁ gCLH.I.Lj\J W CAJ.J.W Vł J.LA AJA^WiA Ł"Y Y~~" L - »/ O - ~ -> <, >J roli partnerek i matek. Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą wprowadziła Aylę w te sprawy dość pobieżnie tylko po to, by znachorka mogła wziąć udział w polowaniu, które miało być pokazem przydatności koni i miotaczy oszczepów. Ayla była więc potrzebna, ale swoją drogą cieszyła się, że może dołączyć do myśliwych na krótko przed Zaślubinami. Zawsze lubiła polować, a gdyby nie była dobrym łowcą, zapewne nie przeżyłaby samotnie w dolinie. To tam nauczyła się samodzielności.

Wśród kobiet, które miały lada dzień związać się z mężczyznami, było kilka niezłych łowczyń, lecz prócz Ayli tylko jedna pragnęła wziąć udział w wyprawie. Chcąc nie chcąc, i dla niej - podobnie jak dla jasnowłosej znachorki - uczyniono wyjątek. Wiele dziewcząt, podobnie jak młodzi chłopcy, z upodobaniem parało się myślistwem. W okresie dojrzewania interesowały się łowami głównie dlatego, że było to okazją do przebywania w towarzystwie młodych mężczyzn. Niektóre jednak naprawdę lubiły polować, lecz kiedy stawały się partnerkami, a potem matkami, zazwyczaj brakowało im czasu na uczestniczenie w wyprawach i z ulgą pozostawiały swym partnerom obowiązek zdobywania pożywienia i skór. Aby nie tracić wysokiej pozycji w społeczeństwie, starały się wtedy rozwijać inne cenne umiejętności. Poświęcając nieliczne wolne chwile na przykład na wytwarzanie przydatnych drobiazgów, zyskiwały towar na wymianę. Tym sposobem zaspokajały swoje potrzeby, nie opuszczając na dłużej dzieci i domowego ogniska. Mimo wszystko jednak te z kobiet, które w młodości dużo polowały, były uważane za lepsze

kandydatki na partnerki. Tylko one potrafiły w pełni zrozumieć trudy łowiectwa, docenić sukcesy i okazywać współczucie, gdy ich partnerzy powracali z nieudanych polowań.

Poprzedniego wieczoru Ayla wraz z grupą przywódców i myśliwych przyglądała się ceremonii Poszukiwania, lecz tylko jako obserwator, nie jako współuczestnik. Podczas rytuału Zelandoni ustalili, że wielkie stado żubrów pojawiło się w pobliskiej dolinie. Miejsce nadawało się idealnie do zorganizowania łowów i tam właśnie mieli wyruszyć myśliwi, lecz nikt nie mógł zagwarantować im sukcesu. Choć Zelandoni umieli w metafizyczny sposób "zobaczyć" zwierzęta podczas ceremonii Poszukiwania, nie byli w stanie przewidzieć, gdzie stado znajdzie się następnego dnia. Dolina była jednak na tyle dobrym pastwiskiem, że nawet gdyby żubry odeszły przez noc w inną okolicę, ich miejsce z pewnością zajęłaby nowa zwierzyna. Myśliwi mieli nadzieję, że mimo wszystko uda się zapolować na żubry, gdyż o tej porze roku gromadziły się one w wielkie stada, zatem udane łowy dostarczyłyby ogromnej ilości smacznego mięsa.

Kiedy nie brakowało pożywienia, dojrzały żubr osiągał sześć stóp i sześć cali wysokości w kłębie oraz dobre trzy tysiące funtów wagi. Ulubionym pożywieniem żubrów była świeża zielona trawa, nie przepadały zaś za dojrzałymi łądogami i liśćmi drzew. Bardziej niż otwarte stepy lubiły leśne polany, skąpo zadrzewione doliny i podmokłe łąki. Jesienią jadały żołędzie i orzechy oraz nasiona traw, by zgromadzić stosowny zapas tłuszczu. Zimą, gdy głód zaglądał im w oczy, nie gardziły nawet znalezionymi pod śniegiem liśćmi.

Futro byka było zazwyczaj długie i czarne, jedynie wzdłuż grzbietu znaczył je nieco jaśniejszy pas. Czoło zwierzęcia zdobił kłęb ciasno splecionej, kręconej sierści, z boków łba zaś wyrastały dość wąskie, długie rogi - białoszare, o czarnych, skierowanych ku przodowi czubkach. Krowy były nieco mniejsze, a ich futra z reguły miały nieco jaśniejszy, czasem wręcz rudawy odcień. Zwykle tylko najstarsze i bardzo młode osobniki ginęły od kłów i pazurów czworonożnych drapieżców. Dojrzały zdrowy byk nie obawiał się w zasadzie żadnego łowcy, nie wyłączając człowieka - i nawet nie próbował uchodzić. W okresie rui - ale nie tylko - samce były skore do walki, a kiedy atakowały ogarnięte szałem bojowym, potrafiły nadziać człowieka lub wilka na rogi i wyrzucić go wysoko w powietrze. Nie wahały się szarżować nawet na lwa jaskiniowego. Generalnie żubry były szybkie, silne, zwinne i bardzo, bardzo niebezpieczne.

Grupa łowców wyruszyła w drogę, gdy tylko zrobiło się widno. Szli szybko i nim słońce stanęło wysoko, zobaczyli stado żubrów. Dolina leżała zaskakująco blisko obozu. Jeden z jej krańców zwężał się i zmieniał w ciasny wąwóz, zakończony naturalnym zagłębieniem terenu, które mogło posłużyć jako zagroda. Wprawdzie nie był to ślepy zaułek - na boki rozchodziły się wąskie przejścia do sąsiednich dolin - ale też ludzie z okolicznych Jaskiń nie pierwszy raz wykorzystywali to miejsce do swoich celów. Zapędzali tu zwierzęta wielokrotnie, choć nie częściej niż raz do roku.



Zapach krwi pozostający po wielkim polowaniu odstraszał zwierzyne, toteż trzeba było zaczekać do zimy, kiedy to warstwa śniegu przykrywała i zmywała wszelkie ślady. Przewidując, że dolina przyda się w następnym sezonie, Zelandonii dbali o to, by zapory, które wzniesli w wąskich wyjściach z doliny, były w należyтым stanie. Grupka łowców rozbiegła się teraz, by po raz ostatni sprawdzić ich stan i zająć najlepsze miejsca do ciskania oszczepów. Wkrótce rozległo się - zdaniem Ayli całkiem realistyczne - wycie wilka: umówiony sygnał gotowości. Znachorka przyklękła i objęła czworonożnego przyjaciela, by powstrzymać go na wypadek, gdyby zechciał odpowiedzieć. Odzewem był donośny, niski głos kruka.

Pozostali myśliwi zaczęli wolno otaczać stado i zbliżać się do niego niepostrzeżenie, co było zadaniem dość trudnym, zważywszy na to, jak liczna była to wyprawa. Ayla i Jondalar pozostali w tyle, nie chcąc, by zapach Wilka przedwcześnie wzbudził niepokój zwierząt. Dopiero na dany sygnał wskoczyli na konie i ruszyli galopem, pozwalając, by drapieżnik dotrzymał kroku wierzchowcom. Żubry były potężnymi zwierzętami, ale instynkt stadny był w nich bardzo silny, a poza tym dorosłym osobnikom towarzyszyła spora liczba młodych. Krzyki, gwizdy i niezwykle widok ludzi pędzących na koniach wystarczyły, by je spłoszyć, a kiedy jeden byk począł uciekać, reszta zwierząt ruszyła za nim. Dwuosobowa, hałaśliwa nagonka i zapach wilka sprawiły, że już po chwili całe stado pędziło na oślep w stronę wąwozu.

Zwężające się przejście zmusiło żubry do spowolnienia biegu; z trudem wciskały się między skalne ściany. W panice, pośród dzikich ryków i jęków, niektóre próbowały wybrać inną drogę. Jeźdźcy i wilk dwoili się i troili, zaganiając z powrotem spłoszone zwierzęta. Wreszcie jednak znalazł się niepokorny byk: stanął, parszając gniewnie i drąc murawę kopytem, a potem ruszył przed siebie z pochylonym łbem i... zatrzymał się, trafiony dwoma oszczepami rzuconymi za pomocą miotaczy. Opadł na kolana, po czym wolno przewalił się na bok. Zaganianie pozostałych zwierząt było już w zasadzie skończone, a w poprzek wąwozu ustawiono golidną przegrodę. I wtedy zaczęła się rzeź.

W stronę uwieczonych żubrów pofrunęły dziesiątki ogzczepów - długich, krótkich, o krzemiennych, kościanych lub wyrżniętych z ciosu mamuta grotach. Myśliwi musieli się zmieniać na stanowiskach za zaporami, które chroniły ich przed ostrymi rogami i twardymi kopytami oszalałych ze strachu zwierząt. Nie tylko Ayla i Jondalar rzucali oszczepami za pomocą miotaczy. Kilku odważniejszych łowców także uzbroiło się w ten wynalazek, by wykorzystać w praktyce niewielkie jeszcze umiejętności. Chybione rzuty nie stanowiły wielkiego problemu, gdyż zamknięte między skałami zwierzęta i tak nie miały dokąd uciec - chyba że na łono Wielkiej Matki Ziemi, do świata duchów.

W ciągu jednego poranka Zelandonii zdobyli tyle mięsa, że powinno go wystarczyć na długi czas dla całego Letniego Spotkania i na wielką ucztę z okazji Zaślubin. Gdy żubry zostały zamknięte w pułapce, posłaniec pobiegł do obozu po drugą grupę uczestników polowania. Ich zadaniem było jak najszybsze opracowanie zwierząt i zabezpieczenie mięsa.

Znano wówczas kilka sposobów przechowywania żywności. Dzięki bliskości lodowców pod ziemią - na różnych głębokościach, zależnych od warunków fizycznych - znajdowała się warstwa wiecznej marzłoci, która znakomicie pełniła funkcję chłodziarki - wystarczyło wykopać w niej odpowiednią dziurę. Świeże mięso składowano też w głębokich stawach i jeziorach lub w zacisznych zatokach rzek i strumieni. Przygniecione kamieniami i oznaczone długimi tyczkami ułatwiającymi lokalizację podwodnej spiżarni, mięso mogło przetrwać nawet rok w zaskakująco dobrym stanie. Trwałość kilkuletnią zapewniało żywności suszenie. Był jednak pewien problem: wczesnym latem, gdy przystępowano do długotrwałego procesu suszenia, rozpoczynał się także sezon wylęgania much mięsnych, które szybko niszczyły produkty wystawione na działanie słońca i wiatru. Mocno dymiące ogniska stanowiły niezłą ochronę przed owadami, ale wymagały nieustannego doglądania - pracy w trudnym do wytrzymania skwarze i dymie. Suszenie mięsa było jednak koniecznością, jeżeli ktoś myślał poważnie o jakichkolwiek podróżach.

Równie ważną zdobyczą jak mięsiwo były skóry zwierząt. Wynaleziono dla nich niezliczone zastosowania - bywały częściami narzędzi, pojemnikami, ubraniami, a nawet budulcem ścian. Tłuszcz zabitych żubrów przetapiano i wykorzystywano do oświetlania i ogrzewania domostw. Z sierści wyplatano dłuższe włókna potrzebne do produkcji odzieży lub wypychano nią poduszki. Ścięgna zastępowały sznury. Rogi służyły jako pojemniki lub elementy konstrukcyjne - na przykład zawiasy - oraz jako surowiec do wytwarzania biżuterii. Zęby także pełniły funkcję ozdób, choć czasem wykorzystywano je jako narzędzia. Z jelit wyrabiano wodoszczelne naczynia i ubrania; były też niezbędnym elementem przy produkcji kielbas.

Dla kości również wymyślono mnóstwo zastosowań. Wyrabiano z nich sztucce, talerze, ozdoby i broń. Ze środka wydobywano pożywny szpik, a resztki służyły jako opał. Nic się nie marnowało. Wykorzystywano nawet kopyta i najmniejsze skrawki skór - po ich wygotowaniu powstawała substancja pełniąca funkcję kleju. Dzięki niej można było wzmacniać połączenie grotu z drzewcem włóczni, tradycyjnie obwiązywane zwierzęcymi ścięgnami. Klej przydawał się do wytwarzania rękojeści noży i drzewc zespалanych z kilku kawałków drewna oraz do łączenia twardych podeszew z miękkimi częściami obuwia.

Zanim jednak Zelandonii mogli nacieszyć się tymi skarbami, musieli zwierzęta oskórować i podzielić, i to jak najszybciej. Dokoła rozstawiono strażę, by strzec ubitych żubrów przed rabusiami - drapieżnikami, które za wszelką cenę chciały wykorzystać nadarżającą się okazję.

Zapach świeżego, ociekającego krwią mięsa zwabił bodaj wszystkie mięsożerne istoty z całej okolicy. Pierwsze Ayla wypatrzyła hieny. Natychmiast sięgnęła po procę i bez namysłu przynagliła Whinney do biegu, kierując się w stronę stadka padlinożerców.

Wkrótce musiała zeskoczyć z konia i uzupełnić zapas kamieni do procy, ale i tak skuteczność, z jaką rozprawiła się z nieproszonymi gośćmi, była imponująca. Ayla i Jondalar zostali więc głównymi strażnikami zdobyczy - oprawianiem zabitych żubrów mógł się zająć niemal każdy, odganianie zaś i tępienie drapieżców wymagało wielkiej wprawy w posługiwaniu się bronią. Uwagę Wilka przykuło stado jego pobratymców. Był gotów rozpędzić intruzów, by bronić łupu należącego do jego ludzkiej "sfory", lecz Ayla nie pozwoliła mu na to. Większe niebezpieczeństwo stanowiły rosomaki. Dwa z nich - zapewne samiec i samica, była to bowiem pora, w której zwierzęta te łączyły się w pary zbliżyły się niepostrzeżenie i spryskały jedną z krów wydzieliną gruczołów zapachowych. Fetor owej substancji był tak nieznośny, że po wyciągnięciu włóczni z ciała żubrzcycy - j stwierdzeniu, czyją była zdobyczą - odciągnięto ją na bok i pozostawiono drapieżcom. Jeżeli inne zwierzęta zamierzały wydrzeć zdobycz rosomakom, mogła je spotkać przykra niespodzianka: stworzenia te były niezwykle wojownicze i potrafiły obronić się nawet przed atakiem lwów.

Ayla spostrzegła w trawie gronostaje o jasnobrązowych futrach, które z nadejściem zimy miały zmienić barwę na śnieżnobiałą, jeśli nie liczyć czarnych końcówek ogonów. Widziała także lisy i rysie oraz samotną panterę śnieżną. Z oddali zaś poczynaniom ludzi przyglądało się stado lwów jaskiniowych - pierwsze, które znachorka zobaczyła od chwili przybycia do kraju Zelandonii. Zatrzymała się na moment, by przyjrzeć się wielkim kotom. Jak wszystkie lwy, i te były jasno umaszczone, jednak ich futra świeciły z daleka niemal czystą bielą. Z początku Ayla sądziła, że grupa składa się wyłącznie z samic, lecz zachowanie jednego z osobników kazało jej zrewidować ten pogląd. Bez wątplenia miała przed sobą samca, ale bez grzywy! Kiedy zagadnęła Jondalara, dowiedziała się, że tutejsze lwy w ogóle nie mają grzyw. Mężczyzna przypomniał jej też, że swego czasu sam był zaskoczony faktem, iż lwy samce z dalekiego wschodu nosiły zmierzwiene grzywy.

Na niebie ponad naturalną zagrodąpałką unosiły się mięsożerne ptaki, czekając na swoją kolej w wielkiej uczcie. Gdy lądowały, odganiano je, lecz powracały w coraz większej liczbie. Były wśród nich sępy i orły, nieomalże bez strat energii szybujące w przestworzach dzięki ogromnym skrzydłom przenoszącym siłę wstępujących prądów powietrznych. Kanie, jastrzębie i orłosepy brodate nurkowały od czasu do czasu, wdając się w walki ze statecznymi krukami i hałaśliwymi wronami. Większe szansę na uszczknięcie czegoś z imponującej zdobyczy myśliwych miały drobne gryzonie i gady, lecz często one same padały łupem dużych zwierząt. Resztki zaś -

nawet te najdrobniejsze - prędzej czy później przypadły w udziale najmniejszym drapieżnikom: owadom.

Jednak bez względu na to, jak czujni byli ludzie strzegący zdobyczy, każdy z kręcących się w pobliżu mięsożerców miał szansę uszczknąć coś dla siebie. Dzielenie i przenoszenie ubitych zubrów trwało dość długo, toteż Jondalar i Ayla zdążyli zdobyć jeszcze kilka cennych futer drapieżników, nim wreszcie mogli zakończyć swą strażniczą misję.

Udane pierwsze polowanie podczas Letniego Spotkania było szczęśliwą wróżbą. Zelandonii mogli być pewni, że mają dobre perspektywy na najbliższy rok, a dotyczyło to zwłaszcza par, które planowały wkrótce zawiązać węzeł. Termin pierwszych Zaślubin zależał teraz tylko od tego, jak szybko uda się przenieść mięso i pozostałe trofea do obozu i zabezpieczyć je tak, by nie dobrali się do nich czworonożni padlinożercy.

Gdy wreszcie emocje związane z wielkimi łowami opadły, w obozach Letniego Spotkania zapanowała atmosfera oczekiwania na zbliżające się gody. Ayla cieszyła się myślą o uroczystości, a jednocześnie czuła niepokój - podobnie zresztą jak Jondalar. Niejeden raz złapali się na tym, że spoglądają na siebie ukradkiem i uśmiechają się nieśmiało z nadzieją, iż ceremonia przebiegnie tak, jak to sobie wymarzyli.

## ROZDZIAŁ 30

Zelandoni bardzo się starała znaleźć trochę czasu na rozmowę z Aylą o sposobie, który rzekomo pozwalał uniknąć zapłodnienia, ale wiecznie coś jej w tym przeszkadzało. Znachorka była zresztą równie zajęta jak donier. W pierwszym polowaniu brali udział przedstawiciele wszystkich Jaskiń, toteż Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą Wielkiej Matce Ziemi musiała poprowadzić kilka specjalnych ceremonii dziękczynnych w celu wyrażenia wdzięczności Doni za poświęcenie życia tak wielu żubrów dla dobra ludu Zelandonii.

Łowy były nieomalże zbyt udane - dłużej niż zazwyczaj trwały zabiegi, których wymagała tak ogromna ilość ubitej zwierzyny. Mięso cięto w kawałki, a tłuszcz wytapiano i porcjowano. Skóry skrobano i suszono lub zwijano w całości i chowano w podziemnych "chłodniach" wraz z mięsem, kośćmi i innymi dobrami. W ciężkich pracach uczestniczyła większość ludzi, nie wyłączając kobiet, które lada chwila miały związać się ze swymi mężczyznami. Zaślubiny mogły poczekać.

Zelandoni pogodziła się z opóźnieniem ceremonii. Irytowało ją jedynie to, że przed wymarszem z Dziewiątą Jaskinią na Letnie Spotkanie nie znalazła czasu na prywatną, długą rozmowę z Aylą. Kto by pomyślał, że tak młoda kobieta - dziesięcioletnia, a więc naprawdę młoda, choć sama postrzegała siebie niemal jako staruszkę - może posiadać tak rozległą wiedzę? Fakt, iż przejawiała zdumiewającą otwartość i szczerłość, stwarzał mylne wrażenie, jakoby była osobą niedoświadczoną. Zelandoni jednak zaczynała rozumieć, że od początku nie doceniała Ayli. Choć doskonale znała zasadę, która zabrania lekceważenia tego, co nieznanne, tym razem wyjątkowo sama nie zastosowała się do niej.

Nie odkryte jeszcze możliwości Ayli nie były jednak jedynym problemem Pierwszej Wśród Tych Którzy Służą. Zelandoni postanowili przeprowadzić ceremonię Rytuału Pierwszej Przyjemności przed Zaślubinami, choć zwykle kolejność wydarzeń była odwrotna. Mieli ważny powód. Przed Rytuałem Pierwszej Przyjemności wszystkie osoby płci żeńskiej uważano za dziewczęta, a nie kobiety. Nie wolno im było dzielić się Darem Przyjemności od Wielkiej Matki Ziemi. Rytuał Pierwszej Przyjemności był ceremonią, podczas której - pod ścisłym nadzorem przywódców duchowych - dziewczęta były fizycznie "otwierane", co czyniło je gotowymi na przyjęcie duchów poczynających nowe życie. Aż do tego momentu nie były uważane za kobiety. Ceremonię tę organizowano zawsze podczas Letniego Spotkania, toteż wiele dziewcząt, które nieco wcześniej dostawały pierwszego krwawienia, pozostawało w swoistym stanie zawieszenia aż

do Rytuału Pierwszej Przyjemności. I właśnie w tym okresie mężczyźni uważali je za niesłychanie atrakcyjne - zapewne dlatego, że były dla nich zakazanym owocem.

Pod koniec Letniego Spotkania organizowano zawsze drugą turę Rytuału Pierwszej Przyjemności dla dziewcząt, których krwawienia rozpoczęły się podczas lata. Najtrudniejsze jednak były długie, jesiennozimowe miesiące między Spotkaniami. Młodzi mężczyźni - choć prawdę mówiąc, nie zawsze tacy młodzi - wiecznie uganiaли się za dojrzewającymi miodkami. Odbywające się kilkakrotnie w ciągu roku obrzędy ku czci Matki czyniły dziewczęta bardziej świadomymi własnych potrzeb; zwłaszcza te, u których już jesienią rozpoczęły się krwawienia miesięczne. Żadna matka nie życzyła sobie, by jej córka osiągnęła fizyczną dojrzałość właśnie o tej porze roku, gdy miała przed sobą całą długą i ciemną zimę i perspektywę nieczęstego wychodzenia z domostwa.

Te z dziewcząt, które nie czekały z inicjacją do Rytuału Pierwszej Przyjemności, uważano za zhańbione, lecz mimo to każdego roku zdarzało się kilka takich przypadków. Co ciekawe, ugięcie się pod presją mężczyzn czyniło z młodych kobiet mniej pożądane kandydatki na partnerki, oznaczało bowiem, że nie potrafią one zachować pełnej samokontroli. Zdaniem niektórych złem było symboliczne piętnowanie kobiet tylko dlatego, że we wczesnej młodości wykroczyły naiwnie poza granicę tradycji. Byli jednak i tacy, którzy uważali takie chwile za prawdziwy test charakteru, siły i wytrwałości - cech uważanych za najważniejsze u kobiet, które miały zostać partnerkami i matkami.

Matki z radością korzystały z pomocy Zelandoni, starając się ukryć słabość swych córek, które mimo przedwczesnego "otwarcia" zawsze były zapraszane do udziału w Rytuale Pierwszej Przyjemności. Przywódcy duchowi starali się tak dobierać dla nich "pierwszych" mężczyzn, by ci umieli zachować dyskrecję w przypadku zauważenia, że mają do czynienia z dziewczyną już "otwartą". Lecz mimo tych zabiegów imiona młodych kobiet, które przedwcześnie ustąpiły natrętnym mężczyznom, i tak były znane wszystkim Zelandoni - w większości wierzącym w słuszność tej próby charakteru - wielu zaś innych ludzi co najmniej się ich domyślało.

Tego lata pojawił się jednak nietypowy problem. Młoda kobieta, Janida z Południowej Posiadłości Dwudziestej Dziewiętej Jaskini, która jeszcze nie przeszła Rytuału Pierwszej Przyjemności, była w ciąży i chciała zawiązać węzeł z młodzieńcem, który otworzył ją przedwcześnie. Jednakże Peridal, także mieszkający w Południowej Posiadłości Dwudziestej Dziewiętej Jaskini, nie palił się zbytnio do związku, choć poprzedniej zimy nie ustawał w wysiłkach, obiecując dziewczynie niestworzone rzeczy, byle tylko namówić ją do Przyjemności. Skała Odbicia była tak ogromna i pełna zacisznych miejsc, że para nie miała kłopotu ze znalezieniem przytulnego kąta.

Peridal był bardzo młody i nie był pewien, czy chce tak wcześnie łączyć się z kobietą, a jego matka także nie nakłaniała go do podjęcia takiej odpowiedzialności - zwłaszcza że dziewczyna wykazała słabą wolę. Zelandoni musieli użyć całej swej siły perswazji, by doprowadzić do zawiązania węzła. Wprawdzie kobieta nosząca w sobie nowe życie nie musiała być niczyją partnerką, ale znacznie lepszym rozwiązaniem dla dziecka było przyjście na świat przy ognisku mężczyzny, szczególnie jeśli była to pierwsza ciąża.

Była jednak i druga strona tej sprawy. Na ogół kobieta, która została pobłogosławiona przez Doni jeszcze przed zawiązaniem węzła, uważana była za bardziej wartościową, gdyż udowodniła, iż jest w stanie rodzić dzieci przy ognisku swego mężczyzny. Jednakże znamię hańby związane z utratą dziewictwa przed Rytuałem Pierwszej Przyjemności miało niebagatelne znaczenie. Janida i jej matka wiedziały o tym, lecz nie zapomniały o dobrej wróżbie, którą była ciąża przed Zaślubinami. Miały nadzieję, że negatywne i pozytywne aspekty sprawy wzajemnie się zrównoważą.

Wielu ludzi dyskutowało o problemie Janidy i Peridala, a opinie były podzielone, lecz wszyscy zgadzali się w jednym: rzecz była nietypowa i interesująca, zwłaszcza ze względu na postawę dziewczyny i jej matki. Ci, którzy trzymali stronę Peridala i jego rodziny, twierdzili, że chłopak jest zbyt młody, by brać na siebie odpowiedzialność za kobietę i jej potomstwo. Inni uważali, że skoro Matka istotnie wybrała jego ducha, by pobłogosławić dziewczynę, to z pewnością uznała go za wystarczająco dojrzałego do założenia ogniska. Mówiono też, że być może brak samokontroli u Janidy był szczęśliwym zbiegiem okoliczności, z którego Peridal powinien skwapliwie skorzystać. Kilku innych mężczyzn rozważało zawiązanie węzła z dziewczyną, w razie gdyby chłopak zrezygnował. Uważali, że Janida musi być ulubienicą Doni, skoro tak wcześnie zaszła w ciążę.

Młode kobiety szykujące się do Rytuału Pierwszej Przyjemności mieszkały razem w specjalnej, pilnie strzeżonej chacie opodal siedziby Zelandoni. Postanowiono, że Janida dołączy do nich i przejdzie kompletną ceremonię. Uznano, że należy nauczyć ją wszystkiego, o czym powinna wiedzieć kobieta. Kiedy jednak wprowadzono ją do chaty dziewcząt, niektóre z nich sprzeciwiły się woli przywódców duchowych. - Rytuał Pierwszej Przyjemności to ceremonia, podczas której otwiera się dziewczynę, czyniąc z niej kobietę. Skoro Janida jest już otwarta, to co tu robi? To miejsce dla tych, które czekają, nie dla tych, które oszukują - odezwała się któraś na tyle głośno, by wszyscy słyszeli.

Kilka dziewcząt poparło tę deklarację, ale nie wszystkie.

- Powinna być z nami, bo chce zawiązać węzeł podczas pierwszych Zaślubin - odparła inna. - Dziewczyna nie może tego zrobić, póki nie przejdzie Rytuału Pierwszej Przyjemności, a poza tym Matka już ją pobłogosławiła.

Te, które pierwsze księżycowe dni miały wkrótce po zakończeniu ubiegłorocznego Letniego Spotkania i, jak głosiły plotki, eksperymentowały z samodzielnym "rytuałem otwarcia", starały się przyjmować Janidę bardziej gościnnie, choć musiały uważać. Wiedziały, że ich dobre imię zależy w dużej mierze od dyskrecji mężczyzn, którzy zostaną dla nich wybrani. Niektórzy z nich mogli przecież być spokrewnieni z tymi dziewczętami, które skrupulatnie przestrzegały zasad wstrzemięźliwości. Nie chciały więc nikogo do siebie zrażać; miały świadomość, że podobnie wstydliva sytuacja mogła stać się i ich udziałem.

Janida uśmiechnęła się do dziewcząt, które ją poparły, ale nic nie powiedziała. Czuła się nieco starsza i mądrzejsza od pozostałych. Wiedziała przynajmniej, czego powinna się spodziewać, w przeciwieństwie do niedoświadczonych, które oczekiwały ceremonii z mieszaniną ciekawości i lęku. Ze spokojem zbierała w sobie odwagę, by stawić czoło ludzkiej niechęci. Bez względu na to, jakie wysuwano przeciw niej zarzuty, nie zapomniała, że została pobłogosławiona przez Doni, a jej ciąża osiągnęła stadium, w którym dominującym uczuciem brzemiennej kobiety jest pełen optymizmu spokój. Nie miała pojęcia, że dzieje się tak za sprawą hormonów; wiedziała jedynie, że jest szczęśliwa i cieszy się na myśl o dziecku.

Mimo iż dziewczęta pozostawały w odosobnieniu, pod ścisłym nadzorem, jakimś sposobem komentarze, które wygłaszano pod adresem Janidy - a zwłaszcza ten, iż Rytuał Pierwszej Przyjemności przeznaczony jest "dla tych, które czekają, nie dla tych, które oszukują" - wydostały się na zewnątrz. Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą była tym faktem oburzona. Zdawała sobie sprawę, że "przeciek" musiał być dziełem któregoś z Zelandoni. Nikt inny nie miał dostępu do chaty młodych kobiet. Zelandoni żałowała, że nie jest w stanie zidentyfikować sprawcy.

Ayla i Jondalar spędzili większość dnia, pracując ciężko przy wyprawianiu skór z ubitych żubrów. Najpierw krzemiennymi narzędziami zeszkrobywali tłuszcz i błony ze strony wewnętrznej, a potem sierść z zewnętrznej. Następnie Boczyli skórę w mózgu zwierzęcia wymieszanym z wodą, dzięki czemu nabierała ona niesłychanej miękkości i elastyczności. Później zwijali mokrą płachtę i skręcali, trzymając za końce, by wycisnąć z niej jak najwięcej niepotrzebnego już płynu. Rozwinąwszy ją, przekłuwali wzdłuż brzegów otwory, rozmieszczone mniej więcej co trzy cale. Z czterech solidnych tyczek konstruowali ramę i rozciągali na niej skórę, przetykając przez dziurki mocny sznur i porządnie go naciągając. Wtedy dopiero zaczynała się naprawdę uciążliwa praca.

Kiedy rama stała pionowo, oparta solidnie o poziomą belkę lub pnie drzew, Jondalar i Ayla mogli przystąpić do rozciągania skóry. Czynili to kijem o zaokrąglonym końcu, który raz po raz



wbijali w wilgotną powierzchnię i wypychali na wszystkie strony. Po kilku godzinach takich zabiegów skóra stawała się sucha. W tym momencie była niemal biała, a jej miękka powierzchnia przypominała dobry zamsz. Nadawałaby się już do szycia odzieży, gdyby nie to, że po kolejnym zmoczeniu i wyschnięciu stałaby się na powrót twarda i surowa. Wymagała więc impregnacji, która sama w sobie była skomplikowanym procesem i mogła zostać wykonana na kilka sposobów, w zależności od tego, do czego miał służyć produkt końcowy.

Najprostszą metodą było "wędzenie" skóry. W małym, stożkowatym namiocie podróznym zatykano otwór szczytowy, a następnie rozpalano silnie dymiące ognisko. Można było rozwiesić we wnętrzu nawet kilka skór jednocześnie, a następnie szczelnie zasnurować wejście. Dym wypełniający namiot okrywał ochronną warstewką każde z włókien kolagenowych tworzących skórę. Tak przygotowana skóra nawet po praniu pozostawała miękka. "Wędzenie" powodowało także zmianę jej barwy. W zależności od użytego paliwa można było uzyskać odcienie żółci, beżu lub głębokiego brązu.

Inny proces polegał na wcieraniu w skórę mieszanki czerwonej ochry i przetopionego łożu. Dzięki temu zabiegowi produkt zyskiwał nie tylko piękną barwę - od pomarańczowej po kasztanową, w zależności od proporcji składników - ale stawał się także niemal wodoodporny. Do wcierania tłustej mazi nadawały się gładko wykończone trzonki z drewna lub kości. Mozolne polerowanie nadawało skórze efektowny połysk. Dodatkową korzyścią wynikającą z właściwości czerwonej ochry było działanie antybakteryjne tak wyprawionej skóry oraz to, że odstraszała owady - w tym także drobne pasożyty żerujące na ciepłokrwistych zwierzętach i ludziach.

Kolejny mało znany i bardziej pracochłonny sposób pozwalał na zmianę "prawie białej" barwy skóry w czystą biel. Proces ten nie zawsze dawał pozytywne wyniki - niekiedy skóra traciła elastyczność - ale jeżeli do tego nie doszło, efekt był oszałamiający. Ayla poznała tę metodę dzięki Grozie, starej kobiecie z Mamutoi. Na początek należało zgromadzić pewną ilość uryny i pozwolić jej odstać jakiś czas, tak by w naturalny sposób zmieniła się w amoniak, mający działanie wybielające. Po oskrobaniu skóry trzeba było namoczyć ją amoniakiem i zmyć korzeniami o działaniu mydlącym. Dopiero wtedy można było przystąpić do nacierania miękką mieszanką z mózgiem zwierzęcym. Ostatnim etapem było smarowanie dobrze oczyszczonym łożem ze sproszkowanym kaolinem - białą gliną.

Ayla wykonała do tej pory tylko jeden strój z wyprawionej tym sposobem skóry, ale pomagała jej wówczas sama Griez. Dostrzegłszy pokłady kaolinu w pobliżu Trzeciej Jaskini, Ayla pomyślała, że mogłaby spróbować jeszcze raz. Zastanawiała się tylko, czy piana, którą dzięki Losadunai nauczyła się wytwarzać z tłuszczu i spopielonego drewna, nie podziałałaby lepiej niż tłuczone korzenie mydlnicy.

Podczas pracy Ayla przysłuchiwała się dyskusjom na temat Janidy. Uznała sytuację dziewczyny za interesującą, gdyż przez jej pryzmat mogła w nowy sposób spojrzeć na fascynujące wierzenia i tradycje Zelandonii. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że to Peridal począł dziecko, które rośnie teraz w łonie Janidy. Oboje twierdzili, że nikt inny nie dzielił Przyjemności z dziewczyną, a Ayla była przekonana, że to esencja organu męczyzny jest początkiem każdej ciąży. Wędrując z Jondalarem w stronę obozu Dziewiątej Jaskini po męczącym dniu pracy, postanowiła zapytać o upór Zelandonii w sprawie Rytuału Pierwszej Przyjemności. - Nie rozumiem, jaką różnicę stanowi to, czy młody człowiek otworzył Janidę ostatniej zimy, czy uczynił to inny mężczyzna podczas Letniego Spotkania, o ile tylko nie została przymuszona - powiedziała znachorka. - Na szczęście nie ma tu mowy o czymś tak ohydny jak to, co spotkało Madenię z Losadunai, zgwałconą przez bandę wyrostków, nim jeszcze przeszła Rytuał Pierwszej Przyjemności. Owszem, Janida jest trochę za młoda na ciążę, ale i ja taka byłam, a przecież nie miałam pojęcia o Rytuale, póki mi o nim nie opowiedziałeś.

Jondalar głęboko współczuł brzemiennie dziewczynie, pamiętał, że sam złamał tradycję swego ludu podczas męskiej inicjacji, zakochując się i marząc o zawiązaniu węzła ze swą kobietądonii. A kiedy dowiedział się, że Ladroman... jyladroman... podsłuchiwał jego rozmowy z Zoleną i podpatrywał to, co z nią robił, a następnie zdradził wszystkim ich plany, Jondalar dostał szału i tłukł go dotąd, aż wybił mu przednie zęby. Madroman także - jak większość dojrzewających mężczyzn - marzył o tym, żeby Zoleną została jego kobietądonii, ale ona wybrała jasnowłosego.

Jondalar był pewien, że rozumie uczucia Ayli. Była osobą urodzoną w dalekich stronach, więc nie mogła w pełni pojąć znaczenia, jakie dla Zelandonii miały ich zwyczaje, znane i praktykowane od pokoleń. Nie mogła też wiedzieć, jak trudne musiało być sprzeciwienie się tradycjom podtrzymywanym przez wszystkich członków społeczności. Łupacz krzemienia nie pomyślał jednak o tym, że Ayla także złamała kiedyś tradycję - tradycję Klanu - i poniosła konsekwencje swego czynu. Niewiele brakowało, a straciłaby wtedy życie, ale od tamtej pory nie bała się już kwestionowania utartych zwyczajów.

To, co robisz przybysze z innych krain, odbierane jest u nas z większą tolerancją - rzekł Jondalar. - Ale Janida wiedziała, czego się od niej oczekuje. Mam nadzieję, że ten młodzik połączy się z nią i że będą razem szczęśliwi, chociaż wiem, że nawet jeśli tak się nie stanie, dziewczyna bez trudu znajdzie mężczyzn, którzy zawiążą z nią węzeł.

Też tak myślę. Jest młoda i atrakcyjna, a w dodatku wkrótce będzie miała dziecko. Urodzi je przy ognisku mężczyzny, który będzie jej godny - odpowiedziała Ayla. Przez jakiś czas wędrowali w milczeniu.

- Moim zdaniem tegoroczne pierwsze Zaślubiny będą pamiętane przez długie lata - odezwał się w końcu Jondalar. - Janida i Peridal będą jedną z najmłodszych par, jakie kiedykolwiek zawiązały węzeł, o ile zdecydują się to zrobić. A w dodatku od razu obdarzoną potomstwem. Ja wróciłem szczęśliwie z wyjątkowo długiej Podróży i przyprowadziłem cię - ludzie już gadają o tym, z jak dalekich stron pochodzisz, chociaż wątpię, żeby naprawdę rozumieli, jak ogromny przebyliśmy dystans. Jest jeszcze sprawa Joplayi i Echozara. Oboje pochodzą z wyjątkowych rodzin. Mam nadzieję, że nikt nie będzie oponował przeciwko ich związkowi. Nie wierzyłem własnym uszom, kiedy słuchałem słów Brukevala. Sądziłem, że potrafi się lepiej zachować, mimo urazów z dzieciństwa.

- Echozar miał rację, mówiąc, że nie należy do Klanu. Jego matka należała, ale on nie wychował się wśród jej pobratymców. Zresztą nawet gdyby przyjęli go do siebie, nie byłoby mu łatwo żyć pomiędzy nimi. Potrafi używać znaków, ale nie wie nawet, że używa kobiecego języka.

Kobiecego języka? Nigdy mi o nim nie mówiłaś - zdziwił się Jondalar.

- Jest pewna subtelna różnica... Wszystkie dzieci uczą się pierwszych znaków od swych matek, ale kiedy dorastają, sprawa się komplikuje. Dziewczeta pozostają przy kobietach i dalej uczą się od nich języka. Chłopcy coraz więcej czasu spędzają z mężczyznami i poznają ich sposób porozumiewania się - wyjaśniła Ayla.

- Więc czego właściwie nauczyłaś mnie w Obozie Lwa? - spytał Jondalar.

Ayla uśmiechnęła się filuternie.

- Dziecięcych znaków.

- Chcesz powiedzieć, że kiedy rozmawiałem z Gubanem, używałem dziecięcych znaków? - spytał zaniepokojony łupacz.

- Szczerze mówiąc - nawet niezupełnie. Ale Guban zrozumiał. Sam fakt, że znasz co nieco mowę znaków i próbujesz wyrażać się prawidłowo, zrobił na nim wrażenie - odrzekła znachorka.

- Prawidłowo? Sądzisz, że dla niego tylko jego własny sposób wyrażania się był prawidłowy?

- Oczywiście. A ty nie?

- Może i tak - przyznał i uśmiechnął się. - A jaki sposób wyrażania się jest właściwy twoim zdaniem?

Właściwe jest zawsze to, do czego człowiek jest przyzwyczajony - odrzekła Ayla. - W tej chwili i język Klanu, i mowa Mamutoi, i Zelandonii wydają mi się prawidłowe, ale za jakiś czas, kiedy będę miała za sobą lata posługiwania się niemal wyłącznie twoją mową, z pewnością uznam ją za najwłaściwszy sposób porozumiewania się - nawet jeśli sama nie opanuję jej do perfekcji. Tak naprawdę jedynym językiem, którym władam doskonale, jest kod znakowy Klanu, ale tylko tej

jego części, w której dorastałam. Przekona się już, że w tej okolicy używa się innego dialektu - odrzekła Ayla.

Kiedy dotarli nad strumień, z zachwytem zapatrzyła się w złocisty poblask, który zachodzące słońce rzucało na drżącą powierzchnię wody. Zatrzymali się na chwilę, by nacieszyć oczy pięknym widokiem.

- Zelandoni pytała, czy chciałbym wziąć udział w jutrzejszym Rytuale Pierwszej Przyjemności, najprawdopodobniej jako mężczyzna dla Janidy - odezwał się po chwili Jondalar.

- Naprawdę? - zdziwiła się Ayla. - Marthona mówiła mi, że mężczyźni nigdy nie wiedzą, kogo przyjdzie im otworzyć, i że później nie powinni o tym opowiadać.

- Nie powiedziała mi tego dosłownie. Napomknęła, że potrzebuje kogoś, kto będzie nie tylko dyskretny, ale i delikatny. Wie, że jesteś w ciąży, więc pomyślała, że będę umiał właściwie potraktować kogoś, kto znajduje się w takim stanie. Kogóż innego mogła mieć na myśli, jeśli nie Janidę?

- Zgodzisz się? - spytała znachorka.

- Zastanawiałem się nad tym... Dawniej zrobiłbym to z wielką ochotą, ale teraz odpowiedziałem donier, że raczej nie.

- Dlaczego?

- Przez wzgląd na ciebie - odparł szczerze.

- Na mnie? Sądzisz, że miałabym coś przeciwko?

- A miałabyś?

- Rozumiem, że takie są zwyczaje twojego ludu i że inni mężczyźni, którzy mają partnerki, także uczestniczą w tym rytuale - odrzekła wymijająco.

Więc zgodziłabyś się bez względu na to, czy podoba ci się ten obyczaj czy nie? Tak myślę.

- Nie odmówiłem dlatego, że spodziewałem się sprzeciwu z twojej strony, chociaż przyznaję, że sam nie byłbym zachwycony, gdybyś postanowiła zostać czyjąś kobietą donii. Odmówiłem, ponieważ nie mógłbym poświęcić tej dziewczynie należytej uwagi. Myślałbym wciąż o tobie, nieustannie porównywał Janidę do ciebie, a to nie byłoby sprawiedliwe. Zawsze byłem... większy niż inni mężczyźni. Wstrzymywałbym się, próbowałbym być ostrożny i delikatny, a jednocześnie marzyłbym o tym, żeby być z tobą - wyjaśnił. - Nie mam nic przeciwko delikatności, ale kiedy robię to z tobą, wiem przynajmniej, że pasujemy do siebie. Nie muszę się bać, że cię skrzywdzę. Nie wiem, jak to będzie w najbliższych miesiącach, ale jakoś nad tym popracujemy.

Ayla nie miała pojęcia, że odmowa Jondalara sprawi jej aż taką przyjemność. Słyszała nieraz, jak atrakcyjne są dla mężczyzn owe młode dziewczęta, i czasem zastanawiała się nawet, czy byłaby zazdrosna. Nie chciała być; uważnie słuchała wszystkiego, co mówiła na ten temat

Zelandoni na spotkaniu kobiet. Nie protestowałyby, gdyby Jondalar przyjął propozycję, a jednak cieszyła się, że stało się inaczej. Uśmiech, niemal tak wspaniały jak zachód słońca, był dla Jondalara wielką nagrodą.

Wszystkie pary, które miały zawiązać węzeł, spotkały się z Zelandoni nazajutrz po Rytuale Pierwszej Przyjemności. W większości tworzyli je ludzie młodzi, ale było także kilka par w średnim wieku, a nawet starych - dobrze po pięćdziesiątce. Jednak bez względu na wiek przyszłych partnerów łączyło jedno: byli podnieceni i z radością oczekiwali wielkiego wydarzenia. W całej grupie panowała przyjazna atmosfera, zgodna z pradawnym wierzeniem, wedle którego między ludźmi tworzącymi związki podczas tej samej uroczystości Zaślubin nawiązywały się najtrwalsze przyjaźnie.

Ayla zostawiła Wilka pod opieką Marthony, która chętnie podjęła się tego zadania. Odchodząc, znachorka musiała uwiązać zwierzę na długiej linie, by nie podążyło za nią, lecz gdy obejrzała się z daleka, przekonała się, że obecność matki Jondalara działa na drapieżcę kojąco.

Gdy dotarli do chaty Zelandoni, Ayla zauważyła Levelę w towarzystwie nieznanego młodzieńca. Kobieta skinęła ręką ku nowo przybyłym i szybko przedstawiła ich Jondecamowi - dość wysokiemu mężczyźnie o rudej brodzie, miłym uśmiechu i figlarnych oczach.

- Ach, więc jesteś z Ogniska Starszych - powtórzył Jondalar, gdy powitanie dobiegło końca. - Kimeran jest moim starym przyjacielem. Razem zdobywaliśmy nasze pasy męskości. Widziałem się z nim podczas polowania na bizona. Nie wiedziałem tylko, że został przywódcą Drugiej Jaskini.

- Jest moim wujem, młodszym bratem matki - wyjaśnił Jondecam.

- Wujem? Wyglądacie prawie jak rówieśnicy - zauważyła Ayla.

Kimeran jest ledwie o parę lat starszy ode mnie; rzeczywiście, traktuję go bardziej jak brata. Moja matka była w wieku odpowiednim do przejścia Rytuału Pierwszej przyjemności, kiedy przyszedł na świat - ciągnął Jondecam. - I niemal od razu była dla niego bardziej matką niż siostrą. Kiedy zaś umarła moja babka, matka wzięła go w opiekę na stałe. Dość młodo znalazła sobie partnera, ale i on nie żył długo. Ja byłem jej pierwszym synem, potem urodziła jeszcze córkę, ale mężczyzny naszego ogniska wcale nie pamiętam. Wreszcie matka została powołana do Zelandoni i więcej nie zawiązała węzła.

- Pamiętam, jak kiedyś najadłem się wstydu - wtrącił Jondalar. - Zobaczyłem matkę Kimerana i rzuciłem typowy komentarz na temat młodej, atrakcyjnej dziewczyny stojącej wraz z grupą matek. Powiedziałem, że widocznie wśród młodzieńców, którzy przechodzili tego dnia rytuał męskości, musi być jakiś niemowlak - wyjaśnił z uśmiechem. - Możecie sobie wyobrazić, jaką

miałem minę, kiedy owa młódka stwierdziła, że przyszła z Kimeranem. Przecież on był tak samo wielki jak ja! W końcu przyznała się, że jest jego siostrą.

Po pewnym czasie, gdy Zelandoni sprawiali wrażenie gotowych do rozpoczęcia spotkania, do grupy dołączyła najmłodsza para: Janida i Peridal. Stanąwszy w przejściu, młodzi rozglądali się nerwowo, jakby lada chwila mieli umknąć. Levela odłączyła się od grupy i szybko podeszła do przybyłych.

Witajcie. Jestem Levela z Zachodniej Posiadłości Dwudziestej Dziewiątej Jaskini Zelandonii. Janida i Peridal, prawda? Ciebie chyba już poznałam, Janido, podczas zbiorów orzeszków piniowych w Letnim Obozie, rok lub dwa lata temu. Są ze mną Ayla i Jondalar. Ona jest tą kobietą od zwierząt, a on bratem partnera mojej siostry. Chodźcie, przedstawię was - zaproponowała i nie czekając na odpowiedź, poprowadziła najmłodszą parę w głąb chaty. Poszli za nią bez oporu, najwyraźniej oniemieli z zaskoczenia.

Prawdziwa siostra Prolevy, prawda? - szepnęła JoPlaya.

- O, tak. Wyobrażam sobie, że Proleva witałaby ich podobnie - odpowiedziała półgłosem Ayla.

- Mamy tu też Joplayę i Echozara z Pierwszej Jaskini Lanzadonii, którzy przyszli na Letnie Spotkanie specjalnie PO to, żeby razem z nami zawiązać węzeł - mówiła Levela, zbliżając się do grupy znajomych. - A oto mój obiecany.

Jondecamie z Drugiej Jaskini Zelandonii, poznaj Janidę i Peridala, oboje z Południowej Posiadłości Dwudziestej Dziewiątej Jaskini. - Kobieta zerknęła pytająco na młodych. - Nie myłę się, prawda?

- Prawda - przytaknęła Janida, uśmiechając się niepewnie i jednocześnie marszcząc czoło.

Jondecam wyciągnął ręce w stronę Peridala.

Witaj - powiedział przyjaźnie.

Witaj - odrzekł Peridal, przyjmując jego dłonie. Uścisk młodzieńca był jednak dość wątpliwy. Chłopak nie wiedział, co powiedzieć.

Witaj, Peridalu - odezwał się Jondalar, wyciągając ręce. - Zdaje się, że widziałem cię na polowaniu.

- Byłem tam - przyznał młodzik. - I widziałem ciebie... na koniu.

- Aylę też, jak sądzę?

Peridal nie odpowiedział, tylko spojrział na Jondalara z zakłopotaniem.

- Dopisało ci szczęście? - spytał uprzejmie Jondecam.

- Tak - odrzekł Peridal.

- Upolował dwie krowy - dodała Janida. - Jedna miała w brzuchu cielę.

Wiesz, że skóra z takiego malca nadaje się doskonale na ubranka dla dzieci? - wtrąciła Levela. - Jest wyjątkowo miękka.

- Wiem, matka mi mówiła.

- My się jeszcze nie znamy - odezwała się Ayla i wyciągnęła przed siebie obie ręce. - Jestem Ayla, dawniej z Obozu Lwa Mamutoi, a obecnie z Dziewiątej Jaskini Zelandonii. W imię Wielkiej Matki Ziemi, Mut, znanej też jako Doni, pozdrawiam was.

Janida była zaskoczona. Jeszcze nigdy nie słyszała, by ktoś mówił w tak dziwny sposób. Na moment zapanowała krępująca cisza. Po chwili jednak dziewczyna przypomniała sobie o dobrych manierach.

- Jestem Janida z Południowej Posiadłości Dwudziestej Dziewiątej Jaskini Zelandonii. W imię Doni pozdrawiam cię, Aylo z Dziewiątej Jaskini Zelandonii.

Joplaya postąpiła o krok naprzód i wystawiła otwarte dłonie w stronę młodych.

- Jestem Joplaya z Pierwszej Jaskini Lanzadonii. W imię Wielkiej Matki pozdrawiam cię, Janido. Oto mój obiecany, Echozar z Pierwszej Jaskini Lanzadonii.

Janida z wybałuszonymi oczami i szeroko otwartymi ustami wpatrywała się w stojącą przed nią parę. Nie ona pierwsza dała się zaskoczyć, lecz z racji młodego wieku w mniejszym stopniu potrafiła kontrolować swoje reakcje, po chwili zdała sobie sprawę z tego, co robi, zamknęła usta i zaczerwieniła się.

- Przepraszam. Matka byłaby na mnie zła, gdyby widziała, jak nieuprzejmie się zachowałam, ale... nic na to nie poradzę. Jesteście tak odmienni... Ty jesteś piękna, a on... nie - dokończyła dziewczyna i zarumieniła się jeszcze mocniej. - To znaczy... nie to chciałam powiedzieć, tylko...

- Chciałaś powiedzieć, że ona jest taka piękna, a on taki brzydki - stwierdził usłużnie Jondecam z błyskiem w oku, po czym spojrzał na parę Lanzadonii i uśmiechnął się od ucha do ucha. - Tak właśnie jest, nieprawdaż? - Chwila niezręcznego milczenia nie trwała długo.

- Masz rację, Jondecamie - odezwał się Echozar. - Jestem brzydki. I dlatego nie mam pojęcia, dlaczego zechciała mnie tak piękna kobieta, ale nie zamierzam z tego powodu wypierać się mojego szczęścia - dodał z uśmiechem, który zapalił wesołe błyski w jego oczach.

Ayla przyglądała się ze zdziwieniem uśmiechowi na twarzy człowieka mieszanych duchów. Ludzie Klanu nie uśmiechali się. Grymas odsłaniający zęby uważali za groźbę lub przejaw nerwowości i podporządkowania. A jednak jakimś cudem uśmiech zmienił rysy twarzy Echozara, łagodząc widoczne w niej cechy Klanu i czyniąc ją miłszą dla oka.

- Cieszę się, Echozarze, że jesteś z nami - podjął wątek rozbawiony Jondecam. - Przy tym olbrzymie - dodał, wskazując na Jondalara - każdy wygląda paskudnie, ale dzięki tobie ja i ten młodziak możemy uchodzić za przystojnych! Za to kobiety trafiły nam się bez wyjątku piękne.

Prostolinijność Jondecama wywołała uśmiechy na twarzach i pozwoliła zebrany rozluźnić się nieco. Levela popatrzyła na niego z miłością.

- Dziękujemy, Jondecamie - powiedziała. - Musisz jednak przyznać, że oczy Echozara są równie niesamowite jak Jondalara, i nie mniej urodziwe. Nigdy nie widziałam tak pięknych, ciemnych oczu, a sposób, w jaki spoglądają na Joplayę, wyjaśnia mi, dlaczego tych dwoje wkrótce zawiąże Węzeł. Gdyby to na mnie Echozar patrzył w taki sposób, też bym nie odmówiła.

- A ja w ogóle uważam, że Echozar jest przystojny - dodała Ayla - ale masz rację, jego oczy są najbardziej niezwykle.

- Skoro już mówimy tak szczerze o wszystkim, co nam przyjdzie do głowy - odezwał się Jondecam - to muszę przyznać, że mówisz w dość niecodzienny sposób, Aylo. Trudno tego nie zauważyć, ale... podoba mi się to. Kiedy coś opowiadasz, ludzie od razu zaczynają słuchać. Zdaje się, że pochodzisz z bardzo daleka. Mam rację?

- Nie wyobrażasz sobie, z jak daleka - odpowiedział mu Jondalar.

- I jeszcze jedno pytanie - dodał szybko Jondecam. - Gdzie twój wilk? Wszyscy o nim dyskutują, więc miałem nadzieję, że go spotkam.

Ayla uśmiechnęła się do niego. Był tak szczery i bezpośredni, że od razu go polubiła. Jego spokój i pewność siebie udzielały się wszystkim, z którymi rozmawiał.

- Został z Marthoną. Pomyślałam, że będzie lepiej dla niego i dla nas, jeśli tym razem pozostanie w domu. Ale gdybyś przechodził kiedyś w pobliżu obozu Dziewiątej Jaskini, z przyjemnością przedstawię ci go. Przeczuję, że cię polubi. Wszystkich was zapraszam - dodała, spoglądając na zebranych. W tej chwili nawet najmłodsza para wyglądała już na rozluźnioną.

- Odwiedźcie nas koniecznie - przytaknął Jondalar. Spodobali mu się ludzie, których poznali, a zwłaszcza Levela - otwarta i wrażliwa młoda kobieta - oraz Jondecam, który bardzo przypominał mu zmarłego tragicznie brata, Thonolana.

Wreszcie ktoś zauważył, że Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą stanęła na środku sali, w milczeniu oczekując, aż rozmowy ucichną i wszyscy spojrzą na nią z uwagą. Kiedy w chacie zapanował spokój, przemówiła, przypominając o powadze związku, który zamierzają zawrzeć, powtarzając pewne szczegóły, o których wcześniej opowiadała kobietom, a także pouczając zebranych na temat tego, czego oczekuje się od nich podczas ceremonii Zaślubin. Następnie odezwali się inni Zelandoni. Młodym wyjaśniono, gdzie i jak mają stać, jakie ruchy wykonywać i co mówić, a następnie przeprowadzono próbę generalną.



Nim wszyscy opuścili wielką chatę, Pierwsza przemówiła raz jeszcze:

Większość z was wie już i pamięta o tym, ale przypominam wszystkim: po Zaślubinach, przez pół cyklu księżycowego - czyli mniej więcej czternaście dni, używając słów do liczenia - partnerzy nie mogą rozmawiać z nikim prócz siebie nawzajem. Tylko w przypadku śmiertelnego niebezpieczeństwa wolno wam będzie odezwać się do kogoś innego, a konkretnie do donier. To my zadecydujemy o tym, czy sprawa jest wystarczająco poważna, by pozwolić na przerwanie milczenia. Chcę, żebyście rozumieli, dlaczego stosuje się tę praktykę. Jest to sposób na zmuszenie młodej pary do przekonania się, czy naprawdę możliwe będzie jej wspólne życie. Jeżeli pod koniec tego próbnego okresu okaże się, że partnerzy do siebie nie pasują, mogą podjąć decyzję o zerwaniu węzła bez żadnych konsekwencji. Będzie wtedy tak, jakby nigdy nie brali udziału w Zaślubinach.

Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą Wielkiej Matce wiedziała, że większość par z radością czeka na owe czternaście dni odosobnienia, ciesząc się ze sposobności spędzenia dłuższego czasu jedynie z wybraną, ukochaną osobą. Jednakże zdawała sobie sprawę i z tego, że w tej grupie trafi się jedna, może dwie pary, które nim minie pół księżyca, postanowią rozstać się dyskretnie. Przyglądała się więc każdemu z młodych z osobna, próbując odgadnąć, które związki mają największe szansę przetrwania. Usiłowała też przewidzieć, które zakończą się przed upływem czternastu dni. Wreszcie życzyła wszystkim powodzenia i ogłosiła, że Zaślubiny odbędą się następnego wieczora.

Ayla i Jondalar nie musieli się martwić, że czas spędzony we dwoje dowiedzie nietrwałości ich związku. Niemal rok spędzili przecież, wędrując samotnie, z rzadka tylko zatrzymując się w gościnnych Jaskiniach podczas nie kończącej się Podróży. Z radością czekali więc na okres przymusowej intymności, zwłaszcza że tym razem nie mieli powodu, by codziennie przemierzać wiele mil.

Opuściwszy chatę Zelandoni, cztery pary ruszyły razem do swych obozów. Janida i Peridal odłączyli się pierwsi, lecz nim to uczynili, Janida zatrzymała się i wyciągnęła ręce ku Leveli.

- Chcę ci podziękować - powiedziała. - Za to, że powitaliście nas tak ciepło. Kiedy weszliśmy do środka, czułam się tak, jakby wszyscy gapili się tylko na nas, i nie wiedziałam, co robić. Gdy wychodziliśmy, ludzie patrzyli już także na Joplayę i Echozara, Aylę i Jondalara, nawet na ciebie i Jondecama. Może po prostu wszyscy przyglądali się Wszystkim... Tak czy inaczej, to ty sprawiłaś, że poczułam się częścią wspólnoty, a nie intruzem z zewnątrz. - Dziewczyna pochyliła się i musnęła policzkiem policzek Leveli.

Inteligentna kobietka z tej Janidy - zauważył Jondalar, kiedy najmłodsza para oddaliła się w swoją stronę. - Peridal jest prawdziwym szczęściarzem. Mam nadzieję, że to docenia.

- Wydaje się, że rzeczywiście coś ich łączy - stwierdziła Levela. - Zastanawiam się tylko, dlaczego z początku sprzeciwiał się zawiązaniu węzła.

- Podejrzewam, że sprzeciwiała się raczej jego matka niż on sam - zauważył Jondecam.

- Chyba masz rację - przytaknęła Ayla. - Peridal jest bardzo młody. Matka z pewnością ma na niego wielki wpływ. Janida też nie jest dojrzałą kobietą... Jak myślicie, ile oni mają lat?

- Moim zdaniem około trzynastu. Możliwe, że chłopak jest od niej o parę księżyców starszy, bliższy czternastu - odpowiedziała Levela.

- Czuję się przy nim jak staruszek - rzekł Jondalar.

- Mam o dobre dwie pięści więcej lat - dwadzieścia trzy. Peridal nie zdążył nawet pomieszkać z rówieśnikami w dalekiej chacie.

- To ja jestem stara - odezwała się Ayla. - Mam dziewiętnaście lat.

Wcale nie jesteś stara - zaoponowała Joplaya. - Ja mam dwadzieścia.

- A ty, Echozarze? - spytał Jondecam. - Ile masz lat?

- Nie mam pojęcia - odparł Echozar, rozkładając ręce.

- Nikt mi tego nie powiedział i chyba nikt nawet się tym nie interesował, o ile mi wiadomo.

- A próbowałeś sięgnąć myślą wstecz i przypomnieć sobie każdy rok? - spytała Levela.

- Mam dobrą pamięć, ale dzieciństwo to dla mnie jeden rozmywany obraz. Nawet pory roku zlewają mi się w jedno - odparł Echozar.

- Ja mam siedemnaście - powiedziała Levela.

- A ja dwadzieścia - dodał Jondecam. - Oto i nasz obóz. Do zobaczenia, do jutra. - Młodzi pomachali na pożegnanie pozostałej czwórce, która wolnym krokiem pomaszerowała ku połączonym obozom Zelandonii i Lanzadonii.

Ayla obudziła się bardzo wcześnie w dniu, w którym miała zostać partnerką Jondalara. Białe światło przedświtów przeciskało się przez szparki między panelami tworzącyjmi ściany chaty, wyłuskując z mroku drobne dziurki szwów i zarys otworu dymnego. Kobieta leżała nieruchomo, starając się rozpoznać niewyraźne sylwetki spoczywające pod ścianami.

Słyszała regularny oddech Jondalara. Uniosła się bezszelestnie na łokciu i w wątej poświacie budzącego się dnia spojrzała na twarz swego mężczyzny: zgrabny, prosty nos, mocno zarysowaną szczękę i wysokie czoło. Przypomniała sobie pierwszy raz, gdy w ciszy studiowała rysy nieznanego jeszcze człowieka: to było w jej jaskini, w jej dolinie. Był pierwszym mężczyzną Innych, jakiego widziała, ciężko rannym i potrzebującym pomocy. Nie wiedziała wtedy, czy obcy przeżyje, ale uważała, że jest piękny.

I nadal tak właśnie myślała o Jondalarze, choć wiedziała już, że mężczyzn raczej nie określa się takim słowem. Spoglądając na niego teraz, czuła, że miłość przepelnia każdą cząstkę jej ciała.

Było to uczucie potężne, niemal trudne do zniesienia, prawie bolesne, nieskończenie pełne i cudownie ciepłe. Ayla z trudem panowała nad emocjami. Wstała po cichu, ubrała się szybko i wymknęła na dwór.

Rozejrzała się po pustyni jeszcze obozie. Letnie chaty Dziewiątej Jaskini rozstawiono na lekkim wzniesieniu, z którego widać było spory fragment doliny Rzeki. W półmroku przenośne domostwa Zelandonii, w których mieszkało nieraz po kilka rodzin, wyglądały jak kopce sterczące z ciemnej ziemi. Cichy obóz w niczym nie przypominał teraz tętniącego życiem mrowiska ludzkiego, którym stawał się za dnia.

Ayla dotarła do strumienia i ruszyła w stronę źródła. Światło pojawiające się stopniowo na wschodzie gasiło gwiazdę za gwiazdą, wydobywając z cienia zarys sporej zagrody. Zamknięte w niej konie szybko wyczuły zbliżającą się kobietę i parsknęły cicho na powitanie. Znachorka natychmiast skręciła w ich stronę, przeszła pod tyczkami ograniczającymi ich terytorium i objęła ramionami kark klaczy o sierści barwy siana.

- Dzisiaj zostanę partnerką Jondalara, Whinney. Wydaje się, że tak dawno temu przywiozłaś go do mojej jaskini, krwawiącego i bliskiego śmierci... Od tamtej pory przeszliśmy długą drogę. I nigdy więcej nie zobaczymy naszej doliny - mówiła Ayla, gładząc czule łeb Whinney.

Zawodnik trącił ją lekko, domagając się swojej porcji pieśczoł. Uzdrowicielka poklepała potężny kark kasztanowego ogiera. W tej samej chwili spomiędzy drzew wyłonił się Wilk, powracający z nocnej wyprawy łowieckiej. Zwietrywszy swą panią, drapieżca popędził w jej stronę wielkimi susami. Tu jesteś, Wilku - szepnęła. - Gdzieś ty się podziewał? Nie widziałam cię od wczoraj. - Ayla kątem oka zauważyła ruch między pniami i uniosła głowę w samą porę, by dostrzec drugiego wilka, znacznie ciemniejszego, który zniknął właśnie w gęstwinie krzewów. Pochyliła się i ujęła w dłonie kształtny łeb czworonożnego łowcy, masując palcami jego kosmate "policzki". - Znalazłeś sobie partnerkę czy może przyjaciela? - spytała. - Chciałbyś wrócić do dzikich braci, jak zrobił to Maluszek? Tęskniłabym za tobą, ale nie zatrzymywałabym cię, gdybyś znalazł sobie ładną wilczycę.

Wilk warknął cicho, z widocznym zadowoleniem przyjmując pieśczoł. Wydawało się, że nie ma zamiaru wracać do lasu, by ściagać ciemną sylwetkę, która chwilę wcześniej znikła w mroku.

Nad horyzontem pojawił się pierwszy wąski skrawek tarczy słonecznej. Ayla poczuła dym świeżo rozpalonych, porannych ognisk i spojrzała w stronę skupiska chat. Dojrzała nieliczne jeszcze, sennie poruszające się sylwetki Zelandonii. Letni obóz Dziewiątej Jaskini budził się do życia.

Po chwili zobaczyła Jondalara, który zmierzał w jej stronę długimi krokami. Czoło mężczyzny przecinały poziome zmarszczki zatroskania. Ayla dobrze знаła tę minę. Lubi się martwić, pomyślała. Znała już każdy ruch, każdy najsubtelniejszy nawet wyraz jego twarzy. Często przyglądała się Jondalarowi ukradkiem, bez względu na to, gdzie byli i co robili. Kiedy pochylał się nad nową bułą krzemienną, jego brwi zbiegały się w skupieniu, jakby wytrawny łupacz chciał dostrzec nieskończenie małe cząsteczki tworzące jednorodny materiał i przewidzieć, w którym miejscu złuszczy się zewnętrzna warstwa po pierwszym uderzeniu. Znachorka uwielbiała grymasy i miny swego mężczyzny, lecz nade wszystko ceniła sobie jego łagodny, czasem nieco filuterny uśmiech, a także spojrzenia pełne miłości i pożądania.

- Obudziłem się, a ciebie już nie było - rzekł Jondalar, zbliżając się do swej wybranki.

- Ocknęłam się wcześniej i nie mogłam zasnąć - odpowiedziała. - Więc wyszłam, żeby zajrzeć do koni. Zdaje się, że Wilk znalazł sobie w lesie partnerkę. To dlatego wrócił dopiero teraz, nad ranem.

To dobry powód, żeby zniknąć. Gdybym miał partnerce, też chętnie zniknąłbym z nią w ciemnym lesie - odrzekł Jondalar, uśmiechając się pogodnie.

Po głębokich zmarszczkach na jego czole nie było już śladu. Objął Aylę i przyciągnął do siebie, blisko i mocno, by spojrzeć jej w oczy. Włosy kobiety, wciąż jeszcze zmierzwiłone po nocy, opadały luźno na jej ramiona, okalając twarz masą grubych, jasnych fal. Znachorka zaczęła ostatnio zaczesywać je gładko wzorem kobiet z Dziewiątej Jaskini, ale on wołał widzieć je takimi, jakimi zapamiętał je za pierwszym razem, gdy zobaczył Aylę stojącą na półce skalnej przed jaskinią w dolinie koni: z rozwianymi na wietrze ciemnoblond włosami, w pełnym słońcu, nagą i mokrą po kąpieli w płynącej dołem rzeczce.

- Będziesz miał partnerkę, nim skończy się ten dzień - odpowiedziała. - Dokąd chciałbyś z nią uciec?

- Do końca moich dni, Aylo - odpowiedział cicho i ucałował ją gorąco.

- Tu jesteście! Pamiętajcie, że to dzień waszych Zaślubin. Żadnych Przyjemności do czasu ceremonii! - ostrzegł żartobliwie Joharran. - Marthona cię szuka, Aylo. Prosiła, żebyś cię do niej przysłał.

Ayla wróciła do wielkiego namiotu, w którym matka Jondalara czekała na nią z kubkiem gorącej herbaty.

Te parę łyków będzie musiało zastąpić ci śniadanie. Dzisiejszy dzień jest dla was dniem postu.

- I dobrze. Nie wydaje mi się, żebym mogła dziś przełknąć choćby kęs jedzenia. Dziękuję, Marthono - powiedziała, obserwując Jondalara idącego ramię w ramię z Joharranem, który pomagał mu nieść kilka pakunków i zawiniątek.

Jondalar miał właśnie powrócić do chaty, w której gromadzili się mężczyźni oczekujący na wieczorną ceremonię Zaślubin, gdy zobaczył Joharrana, z daleka dającego mu jakieś znaki. Większość z przebywających tu kandydatów na partnerów łączyły bliższe lub dalsze więzy rodzinne, a każdemu z nich towarzyszyli najbliżsi przyjaciele lub krewni. Jondalar niedawno zakończył rozstawianie małego namiotu, w którym umieścił wszystkie rzeczy potrzebne do przeżycia czternastu dni sam na sam z ukochaną kobietą. Jako miejsce odosobnienia wybrał stok wzgórza nieopodal chaszczu, w których Ayla znalazła niezwykłą białą jaskinię.

^

Miał ochotę pójść jeszcze po rzeczy swej kobiety, ale doszedł do wniosku, że zgodnie ze starym zwyczajem przyniesie je ktoś inny.

A teraz czekał na brata przed wejściem do chaty niewiele różniącej się od tych "dalekich", w których na czas Letnich Spotkań pojawiali się młodzi mężczyźni - ci, którym zależało na wyrwaniu się spod kontroli matek, ich partnerów i wszelkich innych osób mających nad nimi władzę. Jondalar dobrze pamiętał lata spędzone w dalekich chatach, zawsze pełnych rubasnych przyjaciół, a nierzadko też spragnionych przygód, młodych kobiet. Zazwyczaj toczyła się dobrodusznym rywalizacją między poszczególnymi domostwami - chodziło o to, której grupie napalonych młodzików uda się zatrzymać na noc więcej dziewcząt. Nadrzędnym celem każdego mieszkańca dalekiej chaty było spędzenie każdej nocy z inną kobietą, chyba że planowano zabawy wyłącznie w męskim towarzystwie.

Nikt nie kładł się wówczas spać aż do świtu. Młodzi - choć nie tylko młodzi - Zelandonii raczyli się barwą i winem, jeśli tylko mogli je jakoś zdobyć. Niektórzy przynosili cichcem części roślin, których używano zazwyczaj wyłącznie podczas ważnych ceremonii. Śpiewom, tańcom, opowieściom i dzikim śmiechom nie było końca... Za to wtedy, gdy zapraszano kobiety, z reguły o wcześniejszej porze atmosfera stygła nieco i pary lub większe grupki mieszanego towarzystwa wymykały się cichcem w ustronne miejsca, by zająć się bardziej intymnymi formami rozrywki.

Mężczyźni, którzy lada chwila mieli zawiązać węzeł, zawsze stawali się obiektem drwin i docinków ze strony kawalerki zamieszkującej dalekie chaty. Jondalar przyjmował złośliwości z humorem - sam przecież nieraz bywał w odwrotnej sytuacji - ale atmosfera we wnętrzu chaty była wyjątkowo spokojna, jakby nic nie mogło zakłócić powagi sytuacji. Każdy z czekających na Zaślubiny mężczyzn miał przed sobą bodaj najważniejsze wydarzenie w życiu i nikomu nie przychodziło do głowy żartować na ten temat.

Tego dnia żadnemu z nich nie wolno było zbliżyć się do chaty Zelandoni, w której zgromadziły się już wszystkie kobiety. Od rana do wieczornej uroczystości przyszłe pary nie miały prawa nawet do przelotnego spotkania. Mężczyźni przebywający w chatach na obrzeżach obozów mieli więcej swobody niż ich wybranki. Mogli poruszać się po okolicy, jeśli tylko mieli na to ochotę, musieli jednak trzymać się z daleka od swych kobiet. Chat, w których ich rozlokowano, było kilka, podczas gdy wszystkie kandydatki na partnerki zgromadzono pod jednym dachem. Mimo iż siedziba Zelandoni była pojemniejsza niż inne domostwa wzniesione w centralnym obozie na czas Letniego Spotkania, panował w niej znacznie większy ścisk niż w chatach mężczyzn. Ciasnota nie psuła młodym kobietom wesołego nastroju - śmiechy, doskonale słyszalne na zewnątrz, wprawiały w konsternację przechodzących opodal mężczyzn.

- Jondalarze! - zawołał Joharran, zbliżając się w pośpiechu. - Marthona chce się z tobą widzieć. Przed chatą Zelandoni, gdzie są już wszystkie kobiety.

Jondalar zdziwił się mocno, ale usłuchał wezwania. Przez całą drogę zastanawiał się, czego matka może chcieć od niego. Zapukał w słup stojący przed wejściem do chaty, a kiedy skórzana kłapa uniosła się ku górze, odruchowo wyprężył szyję, by dostrzec cokolwiek ponad ramionami Marthony. Kobieta jednak była na to przygotowana i zręcznie zasłoniła wnętrze chaty i przebywającą tam Aylę. Trzymała w rękach paczkę - tę samą, którą jasnowłosa znachorka tak uparcie wiozła ze sobą niemal od początku Podróży. Mężczyzna rozpoznał ją bez trudu po charakterystycznych zdobieniach na rzemieniach spowijających całość. Nieraz już dawał upust ciekawości w sprawie tajemniczego zawiniątka, ale kobieta zawsze unikała odpowiedzi.

- Ayla nalegała, bym przekazała ci tę paczkę - powiedziała Marthona. - Nie wolno ci nawiązywać kontaktu z wybranką aż do ceremonii, nawet w pośredni sposób. Ayla mówiła mi, że gdyby wiedziała o tym wcześniej, już dawno dałaby ci ją osobiście. Była bardzo niespokojna, bliska łez, gotowa złamać zakazy, byle tylko dostarczyć ci tę paczkę. Kazała mi powiedzieć, że to dla ciebie na Zaślubiny.

- Dziękuję, matko. Ja... - zaczął Jondalar.

Ale Marthona opuściła za sobą skózaną kłapę, nim zdążył dokończyć. Odszedł więc, przez całą drogę do chaty mężczyzn uważnie oglądając paczkę ze wszystkich stron, ważąc ją w dłoniach i zastanawiając się, co może się kryć pod zewnętrzną warstwą skóry. Zawiniątko było miękkie, ale co nieco ważyło. Jondalar pamiętał, że dziwił się uporowi Ayli, która nie zgadzała się na porzucenie tej paczki, ilekroć musieli pozbyć się części bagaży. Czyżby od samego początku niosła ją z myślą o Zaślubinach? Jasnowłosa olbrzym uznał, że sprawa jest zbyt poważna, by rozwiązać zagadkę ot tak, w szczerym polu.

Ucieszył się, gdy okazało się, że chata jest pusta. Przez chwilę walczył silnymi palcami z serią węzłów na sznurku zabezpieczającym paczkę, aż wreszcie stracił cierpliwość i rozciął je nożem. Szybko rozsunął ochronną warstwę i ujrzał coś białego. Podniósł to, rozprostował przed sobą i już po chwili wiedział: miał przed sobą piękną, śnieżnobiałą, skórzaną tunikę, ozdobioną jedynie ogonami gronostajów o czarnych końcówkach. Ayla powiedziała, że to na Zaślubiny, myślał Jondalar. Zrobiła dla mnie tunikę na Zaślubiny?

Spośród strojów, które ofiarowano mu ostatnio w związku ze zbliżającą się uroczystością, wybrał w tajemnicy przed Aylą jeden, bogato zdobiony motywami charakterystycznymi dla ludu Zelandonii. Teraz jednak miał przed sobą coś zupełnie odmiennego. Biała tunika przypominała krojem ubrania Mamutoi, tyle że one były zwykle dość ozdobne - dekorowano je koralikami rzućnymi z ciosów mamuta, muszelkami i innymi cennymi drobiazgami. Ta zaś w zasadzie pozbawiona była dodatków, jeśli nie liczyć kilku gronostajowych ogonów, a cechą, która czyniła z niej strój niezwykle, była barwa. Lśniący biel była najtrudniejszym do osiągnięcia kolorem, toteż prostota kroju i zdobień była zamierzonym efektem, podkreślającym urodę i niezwykłość samej skóry.

Kiedy ona to zrobiła?, zastanawiał się Jondalar. Na pewno nie w Podróży - nie było na to czasu, a poza tym niosła ze sobą to zawiniątko od samego początku. Musiała uszyć dla mnie tę tunikę tej zimy, kiedy mieszkaliśmy z Obozem Lwa Mamutoi. Ale przecież wtedy właśnie obiecała zostać partnerką Raneca... Jondalar przyłożył strój do piersi. Rozmiar zdecydowanie pasował na niego, nie na Raneca, który był mężczyzną niższym i mocniej zbudowanym.

To oznaczało, że tunika została wykonana specjalnie dla niego. Dlaczego Ayla miałaby to robić, skoro planowała pozostać u Mamutoi i być partnerką Raneca? Roztrząsając gorączkowo tę kwestię, Jondalar coraz mocniej ścisnął w dłoniach miękką skórę... Miękką, jak wszystkie, które wyprawiała jego kobieta. Ileż czasu potrzeba, by osiągnąć taką miękkość?, dumał łupacz krzemieni. I ten kolor... Kto ją nauczył wyprawiania skór na białe? Może Nezzie? Jondalar przypomniał sobie nagle, że widział raz Grozie, starą kobietę z Ogniska Żurawia, w białym stroju podczas jednej z ważnych ceremonii, gdy wszyscy występowali w najbar dziej paradnym odzieniu. Czy to możliwe, żeby Ayla nauczyła się od niej tej sztuki? Mężczyzna nie przypominał sobie, by kiedykolwiek widział swą jasnowłosą piękność przy pracy nad białą skórą... choć przecież mógł nie zwrócić uwagi pa to, co robiła.

Pogładził palcami jedwabiste końcówki gronostajowych ogonów. Skąd wzięła te ozdoby? Pamiętał, że pewnego razu przyniosła kilka upolowanych gronostajów - tego samego dnia, gdy w ziemiance Mamutoi wyjęła spod koszuli maleńkie wilcze szczenię. Mężczyzna uśmiechnął się, wspominając poruszenie, które wywołała sprowadzeniem nowego, czworonożnego lokatora. Zaraz

jednak dotarło do niego, że byli wtedy skłócenii - a właściwie to on obraził się na Aylę - i przeprowadził do ogniska kuchennego. Ona zaś składała nocne wizyty Ranecowi... Byli sobie obiecami, a jednak spędzała niezliczone godziny, zapewne przez wiele, wiele dni, szykując cudowną, miękką, białą tunikę dla innego mężczyzny? Czy to znaczy, że kochała go nawet wtedy, gdy formalnie związała się z Ranekiem?

Oczy Jondalara zaszły mgłą; był bliski łez. Wiedział, że oziębłość wkradła się wówczas w ich stosunki wyłącznie z jego winy. Był zazdrosny i - co gorsza - umierał ze strachu na myśl o tym, co powiedzą jego pobratymcy, gdy dowiedzą się, kto wychował Aylę. Tym sposobem sam wpędził ją w ramiona innego mężczyzny, a ona właśnie wtedy poświęciła mnóstwo czasu i wysiłku, by sprawić mu zaślubinową niespodziankę. Nic dziwnego, że była gotowa złamać wszystkie zakazy, byle tylko przekazać ukochanemu taki dar. Jondalar zmierzył wzrokiem śnieżnobiały strój, na którym nie było widać ani jednego zagniecenia. Pewnie po powrocie znalazła jakieś miejsce, żeby rozwiesić to cudo, a może i rozprostować nad parą. Ściskając w dłoniach miękką skórę, Jondalar czuł się niemal tak, jakby dotykał swej kobiety. Włożyłby tunikę na Zaślubiny, nawet gdyby nie była tak piękna.

A przecież była. W porównaniu z nią bogato zdobione odzienie, które osobiście wybrał na ceremonię, wyglądało na brudne i nijakie. Jondalar znał się na ubraniach i w duchu zawsze czuł dumę, że potrafi nie najgorzej dobrać stroje na różne okazje. Tę odrobinę próżności odziedziczył po matce, a nikt nie ubierał się bardziej elegancko i gustownie niż Marthona. Zastanawiał się, czy i ona widziała tę tunikę, i doszedł do wniosku, że raczej nie. Przecież z pewnością doceniłaby zdumiewającą subtelność dzieła Ayli i w jakiś sposób dałaby synowi znać, że powinien spodziewać się niezwykłego daru.

Jondalar uniósł głowę i zobaczył Joharrana, który pojawił się właśnie u wejścia do chaty.

- Nareszcie. Szukam cię od rana, Jondalarze. Znowu jesteś potrzebny, tym razem masz wysłuchać specjalnych instrukcji - rzekł przywódca Dziewiątej Jaskini. - Co tam masz? - spytał, widząc białą skórę w rękach brata.

- Ayla zrobiła dla mnie tunikę na Zaślubiny. Matka wzywała mnie właśnie po to, żeby mi ją dać - wyjaśnił Jondalar, rozkładając w powietrzu piękny strój.

- Niewiarygodne! - zawołał Joharran. - Chyba nigdy jeszcze nie widziałem tak doskonale wyprawionej białej skóry. Zawsze lubiłeś dobrze się ubierać, ale w tej tunice naprawdę będziesz się wyróżniał. Niejedna kobieta zechce być na miejscu Ayli... Ale też nie brakuje mężczyzn, którzy nie mieliby nic przeciwko temu, żeby zastąpić ciebie - nie wyłączając twojego starszego brata. Gdybym nie miał Prolevy, rzecz jasna.

- Jestem szczęściarzem, Joharranie. Nie masz pojęcia, jak wielkim szczęściarzem.



- Zatem wiedz, że życzę wam obojgu szczęścia. Jakoś nie miałem okazji powiedzieć ci tego wcześniej. Kiedyś martwiłem się o ciebie, zwłaszcza po tych... problemach, które zakończyły się odesłaniem cię do Dalanara. Kiedy wróciłeś, zawsze miałeś wokół siebie jakieś kobiety, ale zastanawiałem się przez cały czas, czy kiedykolwiek znajdziesz tę jedną, z którą byłbyś naprawdę szczęśliwy. Byłem pewien, że kiedyś będziesz miał partnerkę, lecz tego, czy ona da ci tak wielkie szczęście, jakiego ja zaznaję z Prolevą, nie umiałem przewidzieć. Byłem za to przekonany, że Marona nie jest odpowiednią kobietą dla ciebie - dodał Joharran.

Jondalar słuchał wynurzeń brata z autentycznym wzruszeniem.

Wiem, że powinienem teraz żartować na temat tego, jak bardzo będziesz wkrótce żałował, że wzięłeś na siebie odpowiedzialność za nowe ognisko - ciągnął przywódca - ale zamiast tego wolę mówić szczerze. Proleva uczyniła mnie szczęśliwym człowiekiem, a jej syn budzi we mnie ciepłe uczucia, których nie sposób doświadczyć w innych okolicznościach. Wiesz już, że moja kobieta znowu spodziewa się dziecka?

- Nie... Ayla też jest w ciąży. Nasze partnerki urodzą dzieci mniej więcej w tym samym czasie. Będą kuzynami ogniska - rzekł Jondalar i uśmiechnął się szeroko.

- Jestem pewien, że syn Prolevy począł się z mojego ducha, i mam nadzieję, że tak samo będzie z drugim dzieckiem. Ale nawet jeśli nie, to potomstwo przy ognisku mężczyzny daje mi tyle szczęścia, budzi w nim tak niezwykle uczucia, że... trudno mi to opisać. Wystarczy, że spojrzę na Jaradala, i już czuję dumę i radość.

Dwaj mężczyźni rozłożyli ramiona i złączyli się w mocnym braterskim uścisku.

Kto by pomyślał, że mój starszy brat tak się przede mną otworzy - rzekł z uśmiechem Jondalar. Po chwili jednak spowaźniał. - I ja będę z tobą szczery, Joharranie. Często zazdrościłem ci szczęścia; nim jeszcze wyruszyłem w Podróż, a twoja kobieta urodziła dziecko. Zawsze wiedziałem, że Proleva jest dla ciebie stworzona. Dzięki niej przy twoim ognisku nie brakuje ciepła i miłości. A teraz, w ciągu krótkiego czasu od mojego powrotu, polubiłem także jej syna. I powiem ci, że Jaradal jest do ciebie podobny.

Lepiej już idź, Jondalarze. Miałem ci przekazać, że musisz się pośpieszyć.

Jondalar odłożył białą tunikę, owinąwszy ją delikatnie w miękką skórę. Nim opuścił chatę w ślad za bratem, raz jeszcze spojrzął na zawiniątko, gorąco pragnąc przymierzyć tunikę, w której miał stawić się wieczorem na Zaślubinach z Ayla.

## ROZDZIAŁ 31

- Gdybym wiedziała, że nie będę dziś miała swobody, poprosiłabym kogoś o pomoc - powiedziała Ayla. - Muszę sprawdzić, czy wszystko w porządku z końmi, a Wilk potrzebuje wolności. Jest niespokojny, kiedy długo mnie nie widzi.

- Nigdy dotąd nie mieliśmy podobnych problemów - odparła Zelandoni z Czternastej. - Dzień ceremonii powinnaś spędzić w odosobnieniu. W naszych Historiach jest mowa o tym, że dawniej kobiety spędzały samotnie cały księżyc przed Zaślubinami!

To było dawno temu. Ceremonie organizowano wtedy także i zimą, a nie tylko na Letnim Spotkaniu - odezwała się Pierwsza. - Zelandonii nie byli wówczas tak liczni i nie zbierali się latem, tak jak my czynimy to teraz. Kiedy jedna lub dwie kobiety z jednej Jaskini były przez cały księżyc wyłączone z życia w środku zimy, nic się nie działo. Wyłączenie tak licznej grupy, jaką tu mamy, z życia wszystkich Jaskiń w samym środku Letniego Spotkania - a więc sezonu łowieckiego i zbierackiego - to zupełnie inna sprawa. Do tej pory ćwiartowalibyśmy ubite żubry, gdyby nie pomagały nam w tym kobiety, które dziś wezmą udział w Zaślubinach.

- Możliwe - zgodziła się starsza Zelandoni. - Ale jeden dzień to chyba niezbyt długi okres odosobnienia.

W normalnej sytuacji - nie, ale odkąd mamy w obozie zwierzęta, sytuacja już nie jest normalna - odparowała Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą. - Jestem jednak pewna, że jakoś ją rozwiążemy.

- Czy macie coś przeciwko temu, żeby Wilk wchodził tu i wychodził stąd, kiedy zechce? - spytała Marthona. - O ile wiem, młodym kobietom nie przeszkadza jego obecność. Zatem wystarczy, że pozostawimy uchylony jeden narożnik kotary, która zamyka wejście.

- Nie widzę problemu - stwierdziła Czternasta. Była mile zaskoczona swym spotkaniem z czworonożnym łowcą. Wilk polizał jej rękę i zachował się nader przyjaźnie. Głaskanie sierści dzikiego zwierzęcia sprawiło jej autentyczną przyjemność. Odpowiedziawszy na kilka standardowych pytań, Ayla streściła Czternastej historię o tym, jak przyniosła do ziemianki Mamutoi wilcze szczenię, a wcześniej ocaliła młodziutką klacz przed pewną śmiercią od kłów hien. Znachorka utrzymywała, że większość zwierząt można oswoić, jeśli tylko są dostatecznie młode w chwili, gdy dostają się w ręce człowieka. Czternasta zauważyła dość szybko, ile prestiżu przynosi obcej kobiecie obecność Wilka u jej boku. Zastanawiała się więc, czy oswojenie zwierzęcia - może raczej mniejszego niż wielki szary drapieżca - byłoby kłopotliwe i długotrwałe.

Tak naprawdę nie liczyły się jego rozmiary, lecz sam fakt, że z własnej woli trzymało się blisko człowieka, który sprawował nad nim pieczę.

W takim razie pozostaje tylko sprawa koni. Czy Jondalar nie mógłby zająć się nimi? - spytała Marthona.

Pewnie, że mógłby, ale muszę mu powiedzieć, żeby to zrobił. Opieka nad nimi była moim zadaniem, odkąd przyT byliśmy na Letnie Spotkanie, bo Jondalar miał wiele innych, ważnych zajęć - wyjaśniła Ayla.

- Nie wolno jej odzywać się dziś do wybranego mężczyzny - zaproponowała Czternasta. - Ani jednym słowem!

- Ale ktoś inny może to zrobić - zauważyła Marthona.

- Niestety, nikt, kto w jakikolwiek sposób jest związany z dzisiejszą uroczystością - odparła Zelandoni z Dziewiętnastej Jaskini. - Czternasta ma rację. Skoro kobiety nie pozostają już w odosobnieniu przez cały księżyc, musimy tym ściślej przestrzegać zasady oddzielania ich od mężczyzn choć na jeden dzień. - Artretyzm, który osłabiał ciało siwowłosej donier, z pewnością nie osłabił siły jej charakteru, o czym Ayla przekonała się nie po raz pierwszy.

Marthona ucieszyła się w duchu, że nie wspomniała ani słowem o paczce od Ayli, którą przekazała Jondalarowi. Zelandoni z pewnością mieliby do niej pretensje. Zazwyczaj przejawiali wyjątkową troskę o dochowywanie wierności tradycji podczas najważniejszych ceremonii. Była przywódczyni rozumiała ich intencje i generalnie zgadzała się z nimi, ale uważała, że w razie potrzeby należy dopuszczać rozwiązania wyjątkowe, indywidualne. Życie nauczyło ją, że trzeba wiedzieć, kiedy wypada bronić swojego stanowiska, a kiedy lepiej jest się ugiąć.

- A czy mogę przekazać prośbę komuś, kto nie ma nic wspólnego z ceremonią? - spytała Ayla.

- A czy znasz kogoś, kto nie jest spokrewniony ani z tobą, ani z obiecany ci mężczyzną? - odpowiedziała pytaniem Czternasta.

Znachorka zastanawiała się przez moment.

- Może Lanidar? Marthono, czy on jest w jakimś stopniu krewnym Jondalara?

- Nie... nie jest. Ja na pewno nie jestem, a Dalanar wspomniał mi tylko tego ranka, kiedy mały odwiedził z matką nasz obóz, że swego czasu był mężczyzną wybranym dla babki chłopca na Rytuał Pierwszej Przyjemności - odrzekła Marthona. - Więc i on nie jest krewnym Lanidara.

- To prawda - przytaknęła Dziewiętnasta. - Pamiętam, że Denoda była... hmm... zachwycona Dalanarem. Minęło sporo czasu, zanim o nim zapomniała. Dobrze sobie z nią poczynał: był taktowny, wyrozumiały, ale trzymał dystans. Zaimponował mi.

- Jak zawsze - mruknęła Marthona. Jak zawsze zrobił to, co było właściwe, najśluszniesze, dokończyła w myśli.

Dziewiętnasta nie zamierzała puścić mimo uszu tej cichej wypowiedzi.

- "Jak zawsze" co? Taktowny? Wyrozumiały? - spytała. Wszystko naraz - odparła z uśmiechem Marthona.

- A Jondalar jest dzieckiem jego ogniska - dodała Pierwsza.

Tak, ale nie jest taki sam. Nie ma w sobie tyle taktu, ile Dalanar, za to więcej serca - oceniła Marthona.

- Bez względu na to, który mężczyzna udzielił swego ducha, by je począć, dziecko zawsze dziedziczy coś po matce - zauważyła Zelandoni z Dziewiątej Jaskini.

Ayla przysłuchiwała się uważnie tej mało istotnej konwersacji. Interesowało ją zwłaszcza to, co mówiono o Jondalarze, ale więcej informacji niż słowa dostarczała jej obserwacja zachowań rozmawiających i języka ich ciał. Dzięki temu zrozumiała, że komentarz Dziewiętnastej na temat Denody był raczej niepochlebny oraz że starsza Zelandoni pożądała niegdyś Dalanara. Sugerowano też, że syn Marthony nie przejawiał takiej samej finezji, z jakiej słynął jej były partner. Wszyscy, którzy brali udział w rozmowie, wiedzieli przecież o jego młodzieńczych wybrykach. Marthona zaś zdawała sobie sprawę z uczuć starej kobiety i dała jej do zrozumienia, że lepiej zna Dalanara i nie jest aż tak dobrego zdania o jego zaletach.

Pierwsza oznajmiła, że zna obu mężczyzn i uważa, iż Jondalar odziedziczył wszystkie dobre cechy Dalanara. Niby mimochodem zasugerowała, że to właśnie duch Dalanara został wybrany przez Matkę do poczęcia syna Marthony. Ayla zdążyła już zorientować się, że kobiety, które były pobłogosławione duchem mężczyzny dzielącego z nimi ognisko, były darzone największą estymą. Marthona tymczasem dała Zelandoni - a zwłaszcza Zelandoni z Dziewiętnastej Jaskini - do zrozumienia, że choć może Jondalar nie posiadał wszystkich zalet Dalanara, to nie brakowało w nim cech innych, jeszcze bardziej godnych pochwały. Pierwsza nie tylko zgodziła się z nią, ale także zauważyła, że owe "cechy jeszcze bardziej godne pochwały" odziedziczone zostały po matce. Ayla kolejny raz przekonała się, że była przywódczyni i Zelandoni z Dziewiątej Jaskini są sobie bliskie i darzą się wzajemnie wielkim szacunkiem.

W języku znaków Klanu istniały wielopiętrowe subtelności znaczeniowe, których wyłowienie wymagało obserwowania zmian w wyrazie twarzy rozmówcy, w jego postawie i gestach, a także rozumienia nielicznych słów. Mowa, w której prócz grymasów, postaw i gestów liczyły się również drobne zmiany w tonie głosu, akcencie i rytmie wypowiedzi, niosła w sobie jeszcze więcej treści - pod warunkiem, że słuchający potrafił wychwycić wszystkie niuanse. Ayla

znała wybornie podświadomy język ciała i uczyła się szybko jego przejawów u Innych; prócz tego coraz więcej ukrytych znaczeń wyławiała ze słów i sposobu, w jaki ich używano.

- Czy ktoś mógłby odszukać Lanidara? - spytała znachorka. - Poproszę go, żeby znalazł Jondalara.

- Nie możesz go poprosić. Ja to zrobię - odparła Marthona, spoglądając kolejno na twarze Zelandoni zgromadzonych w wielkiej chacie. - Jeśli ktoś zechce poszukać chłopca.

- Oczywiście - odpowiedziała Pierwsza. Rozejrzała się szybko i skinęła ręką na Mejerę, akolitkę Zelandoni z Trzeciej Jaskini, tę samą, która towarzyszyła jej, Ayli i Jondalarowi w poszukiwaniu elana Thonolana w Czeluści Skał Fontanny. Wówczas jeszcze dziewczyna należała do Czternastej Jaskini i nie była zbyt szczęśliwa. Ayła rozpoznała ją i obdarzyła ciepłym uśmiechem.

- Chciałabym, żebyś nam pomogła - powiedziała Pierwsza. - Marthona wyjaśni ci, w czym rzecz.

- Znasz chłopca imieniem Lanidar, z Dziewiętnastej Jaskini? - zaczęła Marthona. Dziewczyna zaprzeczyła. - To syn Mardeny, córki Denody. - Mejera znowu potrząsnęła głową.

- Ma około dwunastu lat, ale wygląda na mniej - dorzuciła Ayła. - Jego prawe ramię jest zdeformowane.

Teraz dopiero na twarzy Mejery pojawił się uśmiech zrozumienia.

- Ach, tak, oczywiście. To on rzucił oszczepem podczas pokazu.

- O, właśnie - podchwyciła Marthona. - Musisz go znaleźć, a kiedy to zrobisz, każ mu odszukać Jondalara i przekazać wiadomość ode mnie. Niech Jondalar wie, że Ayła martwi się o konie i prosi, żeby zajął się nimi przed wieczornymi Zaślubinami. Zrozumiałaś?

- A czy nie byłoby łatwiej, gdybym sama powiedziała o tym Jondalarowi? - spytała dziewczyna.

- Znacznie łatwiej, ale ty będziesz dziś uczestniczyć W Zaślubinach, a zatem nie możesz spotkać się z nim osobiście, by przekazać wiadomość od Ayli czy nawet ode mnie.

Gdybyś jednak nie zdołała odnaleźć Lanidara, będziesz mogła poprosić o przysługę kogoś innego, kto nie jest spokrewniony z Jondalarem. Wszystko jasne?

- Tak. Zajmę się tym. Nie martw się o konie, Aylo; dopilnuję, żeby Jondalar o nie zadbał - zapewniła Mejera, po czym wybiegła z chaty.

Wydaje mi się, że Zelandoni mieliby coś przeciwko, gdybyś wdała się w bardziej szczegółową dyskusję z Mejera - szepnęła Marthona. - Poza tym nie powinnyśmy wspominać o paczce, którą przekazałyśmy dziś Jondalarowi.

- Myślę, że rozsądnie będzie trzymać język za zębami - zgodziła się Ayła.

Właśnie. Najwyższy czas rozpocząć przygotowania.

- Dopiero minęło południe, do nocy mamy mnóstwo czasu - zaproponowała Ayla. - Włożenie tuniki, którą zrobiła dla mnie Nezzie, nie potrwa długo.

- Nie chodzi tylko o strój. Wszystkie kobiety sposobiące się do Zaślubin pójną wkrótce nad Rzekę, żeby wziąć kąpiel. Do rytuału oczyszczenia użyjecie też gorącej wody - to naprawdę miła rzecz. Moim zdaniem jedna z najmiłszych we wszystkich tych rytuałach oczyszczenia. Jondalar i inni mężczyźni uczynią to samo, choć oczywiście gdzie indziej - wyjaśniła Marthona.

- Uwielbiam ciepłą wodę - wyznała Ayla. - Losadunai mają gorące źródło w pobliżu swojej osady. Nie masz pojęcia, jak przyjemna jest kąpiel w czymś takim...

- Owszem, mam. Raz czy dwa byłam na północy, w pobliżu źródeł Rzeki. Są tam sadzawki pełne ciepłej wody - odparła matka Jondalar a.

- Zdaje się, że znam to miejsce. Zatrzymaliśmy się tam po drodze - wyjaśniła Ayla. - Chciałabym cię o coś prosić. Właściwie powinnam była zrobić to wcześniej, nie wiem, czy nie jest za późno, ale... chciałabym mieć przekłute uszy. Pamiętasz pewnie, że mam te dwa bursztyny, które dostałam od Tulie, przywódczyni Obozu Lwa. Chciałabym je założyć, jeśli tylko uda się jakoś zawiesić je na moich uszach, bo podobno tak właśnie trzeba je nosić.

- Myślę, że to się da załatwić - odpowiedziała Marthona. - Ktoś z Zelandoni na pewno przekłuje ci uszy.

- Jak sądzisz, Folaro, lepiej tak czy tak? - spytała Mejera, trzymając w dłoni puszyste włosy Ayli i pokazując młodej kobiecie dwie możliwości uczesania.

Folara zjawiła się w chacie Zelandonii, gdy tylko kandydatki na partnerki powróciły z nad Rzeki po rytuale oczyszczenia. Choć zapalono mnóstwo kaganków, w dużej sali wciąż było ciemniej niż na zewnątrz, w pełnym słońcu. Ayla zdecydowanie wolała wyjść na świeże powietrze, niż siedzieć w dusznym pomieszczeniu i czekać, aż ktoś zrobi coś efektownego z jej włosami.

Moim zdaniem lepiej było za pierwszym razem - odpowiedziała Folaro.

- Mejero, może skończysz opowiadać nam, jak ich wreszcie znalazłaś - zaproponowała Marthona.

Czuła, że Ayla jest bardzo spięta, gdyż nie miała w zwyczaju poddawać się fachowemu czesaniu. Młoda akolitka potrafiła mówić, nie przerywając pracy, toteż Marthona uznała, że uda jej się odwrócić uwagę znachorki od niepokojących myśli.

- Jak już mówiłam, pytałam wszystkich, ale nikt nie potrafił mi powiedzieć, gdzie znajdę jednego lub drugiego. Wreszcie poszłam do waszego obozu i spotkałam kobietę z małym dzieckiem wyplatającą koszyk - zdaje się, że to partnerka któregoś z bliskich przyjaciół Joharrana, Solabana lub Rushemara...

- Mówisz o Salovie, kobiecie Rushemara - wtrąciła Marthona.

Poradziła mi, żebym sprawdziła przy zagrodzie z końmi, więc poszłam w górę strumienia i rzeczywiście zastałam tam ich obu. Lanidar wyjaśnił, że matka powiedziała mu o Ayli, która cały dzień ma spędzić w odosobnieniu, więc postanowił odwiedzić zwierzęta, dokładnie tak, jak obiecał. Jondalar za pośrednictwem Lanidara przekazał mi, że wpadł na ten sam pomysł. On także wiedział, że zostaniesz do wieczora z kobietami i nie będziesz mogła zajrzeć do koni. Na miejscu zastał Lanidara i kiedy tam przyszedłam, właśnie uczył go posługiwania się miotaczem oszczepów.

Szybko okazało się, że nie tylko ja szukałam Jondalara. Wkrótce zjawił się Joharran. Wydawało mi się, że jest zagniewany, a może tylko zirytowany. Przyszedł po Jondalara, żeby mu powiedzieć o zebraniu mężczyzn nad brzegiem Rzeki i rytuale oczyszczenia. Lanidar powtórzył mi jeszcze jedną wiadomość od Jondalara: miałaś rację co do Wilka. Twój mężczyzna widział go w towarzystwie innego wilka.

- Dziękuję, Mejero. Co za ulga, że nie muszę już martwić się o Whinney i Zawodnika. Nie masz pojęcia, jak bardzo jestem ci wdzięczna, że poświęciłaś tyle czasu na poszukiwania Lanidara i Jondalara.

Ayla cieszyła się nie tylko z dobrej kondycji koni, ale i z tego, że Lanidar doglądał ich z własnej inicjatywy. Spodziewała się tego raczej po Jondalarze, ale on przecież miał myśli zaprzątnięte Zaślubinami i nie pogniewałaby się na niego, gdyby zapomniał. Zmartwiła się jedynie zachowaniem Wilka. Z jednej strony pragnęła, by znalazł partnerkę i był szczęśliwy, ale z drugiej obawiała się, że go straci.

Wilk nigdy nie żył w prawdziwej sforze - Ayla miała zapewne większą styczność z jego pobratymcami niż on sam, zwłaszcza wtedy, gdy szkoliła się w sztuce polowania. Wiedziała, że zwierzęta te są nadzwyczaj lojalne wobec własnego stada i potrafią zaciekle bronić swego terytorium przed intruzami. Gdyby Wilk znalazł sobie samotną wilczycę lub samicę o niskim statusie w którejś z okolicznych sfor i postanowił wieść wilcze życie, musiałby wywalczyć sobie własny teren łowiecki. Był silny i zdrowy, a także roślejszy od większości swych krewniaków, ale nie dorastał w stadzie, ucząc się walki z rówieśnikami. Nigdy nie musiał przeciwstawiać się innemu wilkowi.

- Dziękuję, Mejero. Ayla wygląda doskonale... Nie wiedziałam, że masz taki talent do układania włosów - powiedziała z uznaniem Marthona.

Ayla z wielką ostrożnością dotknęła nowej fryzury. Przez chwilę wodziła palcami po warkoczach i kokach misternie upiętych niezliczonymi kościanymi szpilkami. Widziała już kobiety w podobnym uczesaniu i wyobrażała sobie, jak musi ono wyglądać na jej głowie.

- Zaraz dam ci zwierciadło, jeśli chcesz się przejrzeć - zaoferowała Mejera.

Nieco mgliste odbicie w ciemnej tarczy z polerowanego drewna przedstawiało twarz w koronie starannie ułożonych włosów. Fryzura nie różniła się wiele od innych, które nosiły młode kobiety w chacie Zelandoni - tyle że Ayla nie dostrzegała w swym odbiciu siebie. Nie była nawet pewna, czy Jondalar by ją rozpoznał.

- Nałóżmy te piękne bursztyny - powiedziała Folarą. - Powinnaś już zacząć się ubierać.

Akolitka, która przebiła Ayli uszy, pozostawiła w otworkach cieniutkie drzazgi z oszlifowanej kości. Wokół bursztynowych ozdób zawiązała kawałki ściągien, tworząc pętelki,

T które można było założyć na końcówki kostek. Z pomocą Mejery Folarą założyła ozdoby na uszy Ayli.

Teraz dopiero znachorka włożyła swą niezwykłą szatę ślubną. Mejera zaniemówiła z podziwu.

- Nigdy nie widziałam czegoś podobnego - odezwała się po długiej chwili.

Folarą była zachwycona.

- Aylo, to najpiękniejszy i najbardziej niesamowity strój na Zaślubiny, jaki kiedykolwiek widziano na Letnim Spotkaniu. Zobaczysz, wszyscy będą cię podziwiać. Skąd wzięłaś to чудо?

- Przywiozłam ze sobą. Nezzie, partnerka przywódcy Obozu Lwa, uszyła go specjalnie dla mnie. Pokażę wam, jak należy go nosić podczas ceremonii - dodała Ayla, rozsuwając poły tuniki na piersiach - teraz, z racji ciąży, jeszcze bardziej pełnych niż zwykle - i zasznurowała je mocniej na brzuchu. - Nezzie powiedziała mi, że kobieta Mamutoi powinna dumnie prezentować swoje piersi, kiedy zawiera związek z mężczyzną. A teraz, Marthono, chciałabym, żebyś założyła mi ten naszyjnik, który od ciebie dostałam.

- Jest pewien problem, Aylo - odrzekła matka Jondalara. - Naszyjnik z wielkim kawałkiem bursztynu wyglądałby pięknie między twoimi piersiami, ale pod warunkiem, że zdejmiesz ten skórzany woreczek, który zawsze nosisz. Inaczej nie będzie go widać. Wiem, że amulet wiele dla ciebie znaczy, ale moim zdaniem nie powinnaś mieć go na sobie.

- Matka ma rację, Aylo - poparła ją Folarą.

- Najlepiej sama spójrz w zwierciadło - poradziła Mejera, unosząc wyżej czarną, nasączoną tłuszczem tafłę.

Uzdrowicielka znowu ujrzała odbicie obcej kobiety, ale tym razem z jej uszu zwisały bursztyny, a między piersiami - pękaty woreczek z amuletem, uwiązany wystrzępionym rzemieniem.

- Co jest w środku? - spytała Mejera. - Wygląda na bardzo wypchany.



- Mój amulet. Przedmioty, które dostałam w darze od totemu, od Ducha Lwa Jaskiniowego. Większość z nich była potwierdzeniem ważnych decyzji w moim życiu... W pewnym sensie to w nich zawiera się mój duch.

- Zatem jest to coś w rodzaju elandona - zauważyła Marthona.

- Mogur powiedział mi kiedyś, że jeśli stracę amulet, umrę - odrzekła z powagą Ayla. Chwyciła sfatygowany woreczek i ścisnęła go mocno, a wtedy wspomnienia o życiu w Klanie wróciły do niej spiętrzoną falą.

W takim razie trzeba będzie przechować go w szczególnym miejscu - orzekła Marthona. - Może obok donii, żeby Matka mogła go pilnować?... Ale ty nie masz donii, prawda? Kobieta dostaje ją podczas Rytuału Pierwszej Przyjemności, a ty, jak sędzę, nigdy nie przeszłaś tej ceremonii.

- Przeszłam. Jondalar nauczył mnie dzielić się Darem Przyjemności, a za pierwszym razem odprawił małą ceremonię i dał mi figurkę donii, którą sam zrobił. Mam ją w plecaku - wyjaśniła Ayla.

- No cóż, jeśli ktoś mógł urządzić ci właściwy Rytuał Pierwszej Przyjemności, to właśnie on. Ma w tym spore doświadczenie - powiedziała z uśmiechem Marthona. - Pozwól więc, że zaopiekuję się twoim amuletem, a kiedy będziecie z Jondalarem zaczynać okres próbny, dam ci go z powrotem.

Kobieta dostrzegła wahanie Ayli. W końcu jednak znachorka skinęła głową i zaczęła zdejmować woreczek, ale postrzępiony rzemień zaplątał się w jej nową, wymyślną fryzurę.

- Nie przejmuj się. Zaraz to poprawię - zapewniła ją Mejera.

Ayla ważyła amulet w dłoni, niepewna, czy powinna rozstawać się z nim choćby na krótko. Kobiety miały rację: znoszona skóra nie prezentowała się efektownie w zestawieniu z pięknym strojem na Zaślubiny, ale z drugiej strony znachorka nie rozstawała się z tym magicznym przedmiotem od momentu, gdy dostała go od Izy, wkrótce po przypadkowym spotkaniu z Klanem. Stał się jej częścią i niełatwo było wyrzec się go w jednej chwili. Bała się tego. Miała wrażenie, że amulet także nie pragnął rozstania z nią i dlatego wczepił się w jej włosy. Może totem usiłował w ten sposób coś jej powiedzieć? Może nie powinna próbować być taka sama jak Inni w dniu swych Zaślubin? Może strój Mamutoi i biżuteria Zelandonii to nie wszystko? Przecież gdy poznała Jondalara, była kobietą Klanu. Czy nie powinna mieć przy sobie czegoś, co byłoby pamiątką tamtego czasu?

Dziękuję ci, Mejero, ale zmieniłam zdanie. Rozpuszczę włosy, dokładnie tak, jak lubi Jondalar - oświadczyła Ayla.

Potrzymała amulet jeszcze przez chwilę, a potem oddała ;o Marthonie. Pozwoliła, by kobieta założyła jej naszyjnik od matki Dalanara, a potem zabrała się do wyciągania szpilek podtrzymujących fryzurę i rozplatania eleganckich warkoczy w stylu Zelandonii.

Mejera czuła żal, że jej praca poszła na marne, ale w istocie wybór należał do Ayli, nie do niej.

Rozczeszę ci je, jeśli chcesz - powiedziała spokojnie, zyskując tym szacunek Marthony. Przeczuwam, że ta akolitka będzie kiedyś świetną Zelandoni, pomyślała starsza kobieta.

Kiedy mężczyźni, którzy szykowali się do ceremonii Zaślubin, ruszyli w stronę chaty Zelandoni, gdzie miała się odbyć uroczystość, idący wśród nich Jondalar poczuł niepokój. Nerwowa atmosfera udzielała się także jego towarzyszom. Kobiety opuściły już pomieszczenie, w której spędziły cały dzień. We wnętrzu chaty mężczyźni z pomocą kilkorga Zelandoni ustawili się w szyku, który wcześniej przećwiczyli. Porządek wyznaczały numery Jaskiń, a w gronie przedstawicieli poszczególnych społeczności - status, który im przysługiwał. Jako że wszystkie "słowa do liczenia" miały swą moc - którą tak naprawdę rozumieli tylko Zelandoni - nie służyły one ocenie czyjejkolwiek pozycji, a jedynie utrzymaniu porządku.

Status danej osoby mógł zmienić się - i zmieniał się zazwyczaj - wskutek zawarcia przez nią związku z kimś, kto zajmował wyższą lub niższą pozycję w społeczeństwie. Negocjacje w tej sprawie, prowadzone na długo przed ceremonią, były ważnym elementem przygotowań. Na związaniu węzła można było stracić lub zyskać, w zależności od tego, czy przyszły partner miał niższy czy wyższy status; status nowego ogniska był wypadkową dotychczasowych pozycji jego członków. Dzieci rodzące się w nowym związku dziedziczyły właśnie ów kombinowany status. Przyjmowano, że ognisko należy do mężczyzny, ale opieka nad nim jest zadaniem kobiety. Dzieci uznawano za własność kobiety, ale mówiono, że przychodzą na świat przy ognisku mężczyzny. Obu stronom związku zależało na tym, by właśnie ze względu na dzieci status nowego ogniska był jak najwyższy, jednak swoje zdanie w tej sprawie musieli wypowiedzieć przywódcy Jaskiń i Zelandoni. Dlatego też negocjacje bywały nieraz długie i trudne.

Ayla nie doświadczyła na własnej skórze trudów negocjowania statusu ogniska, które zakładała z Jondalarem; zresztą i tak nie rozumiałaby do końca wszystkich niuansów tej sprawy, za to Marthona pojmowała je doskonale. Z pozoru niewinna konwersacja, którą prowadziła z garstką Zelandoni, a która skłoniła znachorkę do rozważań na temat subtelności języka ciała, była właśnie elementem owych negocjacji. Zelandoni z Dziewiętnastej próbowała przypomnieć młodzieńcze wybryki Jondalara, by spowodować tym obniżenie jego statusu. Uczyniła to dlatego, że Ayla odkryła niezwykłą grootę na terenie należącym do Dziewiętnastej Jaskini. Fakt ten podniósł znacząco status jasnowłosej znachorki, ale jednocześnie wprawił w zakłopotanie miejscową

Zelandoni. Gdyby biała pieczara została odnaleziona przez mieszkańców Dziewiętnastej, zostałaaby zajęta przez nich i wykorzystana do własnych celów, dodając prestiżu miejscowej społeczności. To, że odkrycia dokonała obca kobieta podczas Letniego Spotkania wszystkich grup Zelandonii, uczyniło jaskinię wspólną własnością, czego nie omieszkła podkreślić Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą Matce.

Pozycja Jondalara była jedną z najwyższych - jego brat był przywódcą największej, Dziewiątej Jaskini Zelandonii, a matka z powodzeniem sprawowała tę funkcję przed laty. Własne dokonania jasnowłosego olbrzyma także nie były małe. Powróciwszy z Podróży, zaprezentował nowe, imponujące umiejętności w dziedzinie obróbki krzemienia, powszechnie doceniane przez specjalistów z wielu Jaskiń, a także niezwykły wynalazek - miotacz oszczepów. Znacznie trudniejsze było jednak precyzyjne określenie statusu Ayli. Zasadniczo przybyszom z zewnątrz przysługiwała najniższa pozycja w społeczności, co w tym konkretnym przypadku oznaczałoby obniżenie statusu Jondalara po Zaślubinach, lecz Marthona, z pomocą kilku wpływowych osób, walczyła o to, by przekonać wszystkich, że pozycja Ayli wśród Mamutoi była bardzo wysoka, a do tego, jako znachorka, ma ona wiele do zaoferowania. Jeśli chodzi o zwierzęta, zdania były podzielone - niektórzy uważali, że władza nad nimi obniża pozycję jasnowłosej uzdrowicielki, inni, że ją podwyższa. Ostateczny status nowego ogniska nie został jeszcze ustalony, ale fakt ten nie przeszkadzał w przeprowadzeniu formalnych Zaślubin. Najważniejsze było to, że Dziewiąta Jaskinia przyjęła Aylę i zezwoliła jej na zamieszkanie wraz z Jondalarem.

Pod koniec dnia kobiety zostały rozlokowane w jednej ze sąsiednich chat. Do niedawna w tym samym wnętrzu 'przebywały dziewczęta szykujące się do Rytuału Pierwszej 'Przyjemności. Ktoś zaproponował, by nie niepokoić kobiet, tylko umieścić w pustej chacie ich przyszłych partnerów, ale (pomysł wprowadzenia dojrzałych mężczyzn do pomieszczenia, w którym jeszcze niedawno przebywały dziewczęta "oczekujące rytuału otwarcia, nie spodobał się Zelandoni. Wszędzie tam, gdzie ocierano się o świat rzeczy niepoznawalnych, duchy pozostawały nieco dłużej niż ich cielesne postacie - zwłaszcza wtedy, gdy w obrzędach brała udział liczna grupa ludzi, duchy żeńskie zaś zazwyczaj były przeciwieństwem męskich. Dlatego by uniknąć metafizycznego konfliktu, postanowiono w miejsce dziewcząt przeprowadzić do pustego pomieszczenia kobiety czekające na Zaślubiny, co wydawało się logicznym krokiem.

Kobiety nie były ani trochę spokojniejsze od mężczyzn. Ayla zastanawiała się, czy Jondalar zechce wystąpić w tunice, którą mu podarowała, i żałowała, że nikt nie uprzedził jej o obowiązkowej separacji w dniu Zaślubin - gdyby o tym wiedziała, dzień wcześniej osobiście przekazałaby strój ukochanemu. Usłyszałaby przynajmniej, czyjej mężczyzna jest zadowolony z

daru i czy uważa go za właściwy na taką okazję. Niestety, odpowiedź na to pytanie miała poznać dopiero podczas Zaślubin.

Kobiety ustawiono w identycznym szyku jak mężczyźni, tak by stanęły naprzeciw siebie, utworzyły pary. Ayla uśmiechnęła się do Leveli, stojącej nieco dalej. Żałowała, że nie znajdzie się obok siostry Prolewy podczas uroczystości, ale należała teraz do Dziewiątej Jaskini, a od dziewczyny, która miała zamieszkać z Jondecamem w Drugiej Jaskini, oddzielała ją spora grupka kobiet. Jako że oboje - i Levela, i Jondecam - pochodzili z rodzin przywódców i założycieli, ich status był i miał pozostać wysoki.

Donier z Jaskini, w której planowała zamieszkać dana para, miała - lub miał - odprawić dla niej rytuał, podczas gdy pozostali Zelandoni pełnili rolę pomocników. W ceremonii uczestniczyły też matki młodych i ich partnerzy, a także inni członkowie najbliższej rodziny, którzy zajmowali miejsca w pierwszych rzędach publiczności, cierpliwie czekając, aż zostaną poproszeni o odegranie swej roli. Starsze pary, dla których nie były to pierwsze Zaślubiny, ale które chciały zadeklarować swój formalny związek, nie musiały, rzecz jasna, zapraszać rodzin. Wystarczyła im zgoda Jaskini, w której mieli zamieszkać, ale często z własnej woli zapraszali krewnych i przyjaciół.

W pobliżu końca szeregu Ayla dostrzegła Janidę, należącą do Południowej Posiadłości Dwudziestej Dziewiątej Jaskini. Uśmiechnęła się do dziewczyny, gdy ta na moment podniosła głowę i spojrzała w jej stronę. Na samym końcu stała Joplaya z Lanzadonii, uważana za obcą, choć mężczyzna jej ogniska był swego czasu jednym z najwyższych w hierarchii Zelandonii. Na Letnim Spotkaniu Joplaya była ostatnia w szeregu, za to wśród swoich była kobietą o najwyższym statusie i tak naprawdę tylko to się liczyło. Ayla przyjrzała się kolejno wszystkim kobietom, które tego wieczoru miały zawiązać węzeł. Wielu wciąż jeszcze nie знаła; były wszak i całe Jaskinie, z których nie przedstawiono jej jeszcze nikogo. Wyteżywszy słuch, wyłowiła słowa jednej z nieznanym, która mówiła właśnie, że pochodzi z Dwudziestej Czwartej Jaskini. Inna opowiadała, że przybyła ze Wzgórza Niedźwiedzia, części Nowego Domu nad Małą Rzeką Traw.

Oczekiwanie dłużyło się Ayli niemiłosiernie. Zastanawiała się wciąż, dlaczego przygotowania muszą być tak rozciągnięte w czasie. Najpierw kazano wszystkim szybko stanąć w szyku, a teraz nic się nie działo. Może trzeba było poczekać na mężczyzn? Może któryś z nich zmienił zdanie?, myślała zachorka. A jeśli to Jondalar? Nie. Na pewno nic zmienił. Dlaczego miałby to zrobić? A jeśli to naprawdę on?!

Tymczasem w chacie Zelandoni Pierwsza odsunęła kotarę zasłaniającą ukryte wejście do tylnej części budowli, leżące dokładnie naprzeciwko głównego, i uchyliła zamykający je panel. Wyjrzawszy na zewnątrz, skierowała wzrok ku placowi zebrania, który rozpoczynał się na łagodnie nachylnym stoku wzgórza i kończył względnie równą przestrzenią pośrodku obozu. Ludzie

zbierali się tam przez całe popołudnie i teraz zaczynało brakować miejsc. Nadszedł czas rozpoczęcia ceremonii.

Mężczyźni wyszli pierwsi. Spojrzawszy na stok wzgórza, Jondalar pomyślał, że chyba wszyscy Zelandonii postanowili wziąć udział w tegorocznych pierwszych Zaślubinach. Szmer głosów dochodzący od strony publiczności wzmógł się nieco i jasnowłosy łupacz kamienia mógłby przysiąc, że co najmniej kilka razy wyłowił zeń słowo "biała". Wbił wzrok w plecy idącego przed nim mężczyzny, ale i tak wiedział, że jego niezwykła tunika zrobiła wielkie wrażenie. Zresztą nie T fchodziło tylko o niecodzienny, biały strój. Wysoki, niewiarygodnie przystojny, jasnowłosy mężczyzna o intensywnie błękitnych oczach i tak wyróżniałby się z tłumu. Teraz jednak, gdy ogolił się starannie, wykapał i umył spłowiałe od słońca, długie włosy, które zlewały się niemalże w jedno z olśniewająco białą tuniką, wyglądał po prostu oszałamiająco.

Właśnie tak wyobrażałabym sobie Lumiego, kochanka Doni, gdyby miał zstąpić na ziemię w ludzkiej postaci - odezwała się cicho matka Jondecama, wysoka, jasnowłosa Zelandoni z Drugiej Jaskini, do swego młodszego brata, Kimerana, przywódcy Drugiej Jaskini.

- Ciekawe, skąd wziął tę białą tunikę. Chętnie sprawiłbym sobie podobną - odrzekł Kimeran.

- Podejrzewam, że wszyscy mężczyźni myślą dziś podobnie, ale według mnie jesteś jednym z niewielu, którzy mogliby naprawdę włożyć ten strój, Kimeranie. - Zdaniem kobiety jej brat był nie tylko równie wysoki jak Jondalar, ale prawie tak samo przystojny. - Jondecam też prezentuje się wspaniale. Cieszę się, że tego lata nie zgolił brody. Do twarzy mu z nią.

Kiedy mężczyźni stanęli półkolem wokół wielkiego ogniska, nadeszła pora na wyprowadzenie kobiet. Gdy wreszcie uniesiono zasłonę, Ayla wspięła się na palce i wyczuła wzrok. Nad głównym obozem Letniego Spotkania zapadał już wieczór, ale słońce, które jeszcze nie skryło się za horyzontem, wciąż przyćmiewało swym blaskiem jasność wysoko strzelających płomieni. Pochodnie, które zatknięto na tyczkach dokoła placu, były teraz prawie niewidoczne, ale po zapadnięciu zmroku miały zapewnić wystarczającą ilość światła. W pobliżu ogniska znachorka dostrzegła kilka postaci, z których największą, stojącą plecami do płomienia, musiała być Zelandoni. Na dany sygnał długa kolumna kobiet opuściła chatę.

Gdy Ayla wyszła na plac, od razu dojrzała rosną sylwetkę mężczyzny w białej skórze. Więc jednak ją nałożył!, pomyślała z radością, wraz z innymi kobietami tworząc posłusznie półokrąg naprzeciwko mężczyzn, po drugiej stronie ogniska. Nałożył moją tunikę! Wszyscy, którzy uczestniczyli w ceremonii, mieli na sobie najbardziej odświętne stroje, ale nikt nie ubrał się na biało, toteż Jondalar mocno wyróżniał się z tłumu. Zdaniem Ayli był zdecydowanie najładniejszym... nie, najprzystojniejszym mężczyzną! Większość Zgromadzonych w duchu

przyznawała jej rację. Wreszcie spostrzegła, że jej ukochany spogląda na nią ponad ogniem, spogląda tak intensywnie, jakby nie mógł oderwać od niej wzroku.

Jakaż ona piękna, pomyślał. Nigdy jeszcze nie wyglądała tak cudownie. Tunika w kolorze suchej, złocistej trawy, którą uszyła dla niej Nezzie, ozdobiona koralikami z mamucich ciosów, niemal idealnie pasowała do włosów Ayli, które opadały luźno na ramiona - dokładnie tak, jak lubił najbardziej.

Jedyną ozdobą, którą miała na sobie, były bursztynowe kolczyki - prezent od Tulie, przypominał sobie Jondalar - oraz naszyjnik z bursztynu i muszelek, który dała jej Marthona. Wspaniałe żółtopomarańczowe kamienie lśniły w wieczornym słońcu między nagimi piersiami kobiety. Tunika, otwarta u góry i zasznurowana w talii, nie była podobna do innych, ale idealnie pasowała do sylwetki Ayli.

Marthona, która przypatrywała się wszystkiemu z pierwszego rzędu publiczności, była przyjemnie zaskoczona widokiem syna odzianego w tunikę z białej skóry. Wiedziała, że Jondalar wybrał zupełnie inny strój, toteż bez trudu domyśliła się, że ten, w którym ostatecznie wystąpił, musiał znajdować się w tajemniczej paczce, którą przekazała mu od Ayli. Brak jakichkolwiek zdobień poza kilkoma ogonami gronostajów doskonale podkreślał prostotę kroju i niesamowitą czystość barwy. Obserwując przedmioty codziennego użytku, którymi posługiwała się znachorka, Marthona już dawno doszła do wniosku, że lubi ona rzeczy proste i solidnie wykonane. Biała tunika była kolejnym dowodem na słuszność tej obserwacji. Jakość tego dzieła mówiła wiele o jego autorce.

Uderzający był kontrast między prostotą szaty Jondalara a bogactwem stroju Ayli. Marthona była przekonana, że już wkrótce wiele kobiet będzie nosić podobne ubrania, choć zapewne prawie żadnej nie uda się wiernie skopiować tuniki w stylu Mamutoi. Oglądając je uważnie po raz pierwszy, Marthona dostrzegła i doceniła najwyższą jakość wykonania zaślubinowego odzienia znachorki. Widać było, że jego uszycie i ozdobienie było niesłychanie czasochłonne, a była to jedyna obiektywna miara czyichś zdolności i umiejętności, jaką uznawali Zelandonii. Każdy szczegół tego stroju - od wysokiej jakości skóry, przez urodę bursztynów, muszelek i zwierzęcych zębów, aż po tysiące ręcznie rżniętych koralików - był dowodem na to, że Ayli przysługuje wysoki T g status. Status ogniska syna Marthony z pewnością nie był zagrożony.

Jondalar nieustannie wpatrywał się w Aylę, która z błyszczącymi oczami i lekko rozchylonymi wargami oddychała głęboko, próbując zapanować nad podnieceniem. Zawsze tak wyglądała, gdy w podziwie spoglądała na coś pięknego lub gdy podczas polowania była bliska sukcesu. Na samą myśl o tym Jondalar poczuł, że krew żywiej krąży w jego łędzwiach. Złota kobieta, pomyślał. Złota jak słońce. Pragnął jej ze wszystkich sił i ledwie mógł uwierzyć, że ta

piękna istota już niedługo zostanie jego partnerką. Partnerka... podobało mu się brzmienie tego słowa. Partnerka, która wkrótce będzie dzielić z nim domostwo. Kiedy wreszcie zacznie się ta ceremonia? I kiedy się skończy? Jondalar nie chciał już czekać. Chciał podbiec do niej, pochwycić w ramiona i zabrać jak najdalej stąd.

Zelandoni zebrali się dokoła Pierwszej, która zaintonowała monotonną pieśń. Po chwili dołączyła do niej inna Zelandoni, a potem następna. Każde z donier wybierało sobie tonację, którą mogło kontynuować bez większego wysiłku, i budowało na jej podstawie melodię. Kiedy Zelandoni, która miała połączyć pierwszą parę, zaczęła mówić, pozostali przywódcy duchowi kontynuowali śpiew. Fakt, iż brakowało w tej pieśni harmonii, nie miał wielkiego znaczenia. Przerwy dla nabrania powietrza były niemal niewyczuwalne - gdy gasł jeden głos, włączał się inny. W rezultacie powstawała nie kończąca się fuga przypadkowych, ale dość przyjemnie brzmiących tonów.

Jondalar słuchał jej dość nieuważnie, jak w transie wpatrując się w kobietę, którą kochał. Nie zwrócił uwagi na słowa, które wypowiadały pierwsze pary. I wreszcie omal nie podskoczył ze strachu, gdy stojący obok mężczyzna trącił go lekko w ramię. Wywołano go po imieniu! Ruszył w stronę zwalistej postaci Zelandoni, nie odrywając wzroku od Ayli wychodzącej mu naprzeciw. Stanęli twarzą w twarz, oddzieleni przez wielką donier.

Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą Matce spojrzała na nich z aprobatą. Jondalar był najwyższym ze zgromadzonych mężczyzn, a także najprzystojniejszym, jakiego Zelandoni spotkała w swym długim życiu. Wprawdzie wtedy, przed wielu laty, był ledwie dorastającym chłopcem, ale nie bez powodu jeszcze jako Zolena wybrała właśnie jego, by przekazać naukę o Darze Przyjemności od Doni. On zaś prawie ją przekonał, że powinna zrezygnować ze swego powołania.

Po latach Zelandoni cieszyła się w duchu, że wydarzenia potoczyły się wtedy innym torem, ale teraz, patrząc na mężczyznę w białej tunice, przypomniała sobie nader wyraźnie, dlaczego tak niewiele brakowało, a nie zostałyby donier. Zastanawiała się, skąd Jondalar wziął ten piękny strój - nie wątpiła, że zdobył go podczas Podróży. Kolor tuniki przykuwał uwagę, ale także jej krój nie był zwyczajny, podobnie jak brak wymyślnych zdobień. Jest godzien kobiety, którą wybrał, pomyślała Zelandoni, przenosząc wzrok na Aylę. A ona jego. Nie, ona go przerasta, a przecież nie jest to łatwe, stwierdziła po namyśle donier. Od dawna wiedziała, że czułaby się zawiedziona, gdyby Jondalar zadowolił się kobietą nie dorównującą mu pod każdym względem. Musiała jednak przyznać w duchu, że mężczyzna spełnił jej oczekiwania, sprowadzając z dalekich stron niewiastę, która przewyższała go w wielu aspektach życia. Zelandoni była świadoma, że nie brakuje powodów, dla których Jondalar i Ayla znaleźli się w centrum uwagi publiczności: wszyscy ich

znali i wszyscy o nich mówili, od początku Letniego Spotkania. Poza tym byli najbardziej urodziwą ze zgromadzonych par.

Pasowała do nich także mistrzyni ceremonii - Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą Matce. Zelandoni była osobą, którą niełatwo było przeoczyć, chociażby z racji imponującej tuszy. Tym razem jednak, z okazji zawiązania węzła między Jondalarem a Aylą, postarała się wyglądać jeszcze bardziej wyjątkowo. Tatuaz na czole wzmocniła świeżymi, mocnymi kolorami i pozwoliła, by ułożono jej włosy w skomplikowaną, wysoką fryzurę, która optycznie czyniła kobietę wyższą. Bogato zdobiona, długa tunika była dziełem sztuki w sam raz odpowiednim dla osoby tak imponującej postury jak Zelandoni. Wszystkie oczy zwróciły się ku niezwyklej trójce, ale donier milczała, by wzmóc dramatyczny efekt.

Marthona wystąpiła z szeregu widzów i stanęła obok swego syna, a tuż za nią, po prawej stronie, zatrzymał się Willamar. Po lewej stanął Dalanar, a za nim Jerika. Oboje musieli czekać do końca uroczystości na zaślubiny Joplayi i Echozara. Obok Willamara ustawili się Folar i Joharran - siostra i brat Jondalara - a przy Joharranie Proleva i jej syn, Jaradal. W pobliżu pojawiło się też spore grono przyjaciół rodziny i krewnych. Zelandoni spojrzała z powagą na tych, którzy stanęli opodal, a potem na tłum zgromadzony pa stoku, nim zaczęła mówić.

- Wszystkie Jaskinie Zelandonii - powiedziała głębojjjm, dźwięcznym głosem. - Wzywam was na świadków połączenia kobiety i mężczyzny. Doni, Wielka Matka Ziemia, Pierwsza Stwórczym, Matka wszystkich, ta, która zrodziła Baliego, co świeci nam na niebie, ta, której partner i przyjaciel Lumi rozświetla dla nas nocny firmament, niech będzie uwielbiona przez święte połączenie dwojga Jej dzieci.

Ayla popatrzyła na tarczę księżyca, a ściślej na nieco ponad połowę tarczy widoczną na ciemnym niebie i nagle zdała sobie sprawę, że niepostrzeżenie zapadł zmrok. Słońce zniknęło już za horyzontem, ale wielkie ognisko i dziesiątki pochodni sprawiały, że wciąż było jasno jak w dzień.

- Para, która staje przed nami, postanowiła uradować Wielką Matkę Ziemię, podejmując decyzję o zawiązaniu węzła. Jondalarze z Dziewiątej Jaskini Zelandonii, synu Marthony, byłej przywódczyni Dziewiątej Jaskini, obecnie zaślubionej Willamarowi, Mistrzowi Handlu Zelandonii, zrodzony przy ognisku Dalanara, założyciela i przywódcy Lanzadonii, bracie Joharrana, przywódcy Dziewiątej Jaskini Zelandonii...

Ayla zamyśliła się głęboko, słuchając nie kończącej się recytacji tytułów i powiązań rodzinnych, o których w większości nie miała pojęcia. Zapewne była to jedna z niewielu okazji, kiedy mogła poznać je w całej okazałości. Dopiero gdy donier zmieniła ton, znachorka ponownie skupiła uwagę na jej słowach.



... czy wybierasz Aylę z Dziewiątej Jaskini Zelandonii, błogosławioną i pobłogosławioną przez Doni... - w tym momencie w ciżbie widzów rozległy się ciche szepty; ten związek musiał być szczęśliwy, skoro kobieta już została pobłogosławiona - ...znaną dawniej jako Ayla z Mamutoi, członkinią Obozu Lwa, córkę Ogniska Mamuta, wybraną przez Ducha Lwa Jaskiniowego, chronioną przez Niedźwiedzia Jaskiniowego, przyjaciółkę koni o imionach Whinney i Zawodnik oraz czworonożnego łowcy, Wilka...

Ayla zastanawiała się, gdzie był teraz Wilk. Przepadł gdzieś na całe popołudnie i wieczór, co przyjęła z niejakim rozczarowaniem. Wiedziała, że ta uroczystość nie znaczący wiele dla kosmatego przyjaciela, ale zawsze miała nadzieję, że i on weźmie udział w jej pierwszych Zaślubinach.

... zaakceptowaną przez Joharrana, twego brata i przywódcę Dziewiątej Jaskini Zelandonii, a także przez Marthone, twoją matkę Jondalara i była przywódczynią Dziewiątej Jaskini, oraz przez Dalanara, założyciela i przywódcę Lanzadonii, mężczyznę ogniska Jondalara....

Zelandoni cierpliwie wymieniała większość krewnych Jondalara. Aylą nie miała pojęcia, że łącząc się ze swym ukochanym, zyskuje aż tyle nowych więzów rodzinnych. Donier jednak żałowała, że nie ma ich więcej. Długo i mozolnie wymyślała wszelkie możliwe powiązania, których wymienienie mogłoby nadać uroczystości odpowiednią rangę. Tych, które Aylą przywiozła ze sobą, było zdecydowanie zbyt mało.

Wybieram ją - odpowiedział Jondalar, patrząc w oczy Ayli.

- Czy będziesz ją szanował, pielęgnował w chorobie oraz żywił ją i dzieci, które urodzi przy twoim ognisku, póki będziecie razem? - zapytała Zelandoni.

- Będę szanował, pielęgnował i żywił ją i jej dzieci - odparł mężczyzna.

- A ty, Aylo z Dziewiątej Jaskini Zelandonii, dawniej znana jako Aylą z Mamutoi, członkini Obozu Lwa, córko Ogniska Mamuta, wybrana przez Ducha Lwa Jaskiniowego, chroniona przez Niedźwiedzia Jaskiniowego, zaakceptowana przez Dziewiątą Jaskinię Zelandonii, czy wybierasz sobie Jondalara z Dziewiątej Jaskini, syna Marthony, zaślubionej Wilłamarowi, Mistrzowi Handlu Zelandonii, urodzonego przy Ognisku Dalanara, założyciela i przywódcy Lanzadonii? - Zelandoni postanowiła, że poprzestanie na podstawowych tytułach i nie będzie po raz drugi recytować całości. Aylą - podobnie jak większość publiczności - przyjęła to z ulgą.

Wybieram go - odpowiedziała Aylą, patrząc na Jondalara. Dwa słowa brzmiały w jej umyśle nieskończonym echem: wybieram go... wybieram go... Wybrałam go już dawno temu, teraz tylko to potwierdzam.

- Czy będziesz go szanować, pielęgnować w chorobie i uczyć swoje dzieci - poczynając od tego, które nosisz już w sobie - by go szanowały jako twego partnera i żywiciela?

- indagowała Zelandoni.

Będę go szanować, pielęgnować i uczyć dzieci szacunku - potwierdziła znachorka.

Zelandoni dała umówiony sygnał.

T

- Kto jest upoważniony do zaaprobowania związku miętym mężczyzną a jego kobietą?

Marthona postąpiła o kilka kroków naprzód.

- Ja, Marthona, była przywódczyni Dziewiątej Jaskini Zelandonii, jestem upoważniona. Zgadzam się na zaślubiny mojego syna, Jondalara, z Aylą z Dziewiątej Jaskini Zelandonii - oznajmiła donośnym głosem.

Następny wystąpił Willamar.

- Ja, Willamar, Mistrz Handlu Zelandonii, zaślubiony Marthonie, byłej przywódczyni Dziewiątej Jaskini, także zgadzam się na ten związek. - Aprobata Willamara nie była konieczna, ale jego udział w ceremonii był wyrazem powszechnej zgody na nowy związek, a jednocześnie ułatwił wprowadzenie byłego partnera Marthony, który teraz wystąpił naprzód.

- Ja, Dalanar, założyciel i przywódca Lanzadonii, mężczyzna ogniska Jondalara, także zgadzam się na związek Jondalara, syna mojej byłej partnerki, z Aylą z Dziewiątej Jaskini Zelandonii, znanej niegdyś jako Aylą z Mamutoi.

Dalanar spojrział na znachorkę z uznaniem i życzliwością, na moment tak bardzo upodabniając się do Jondalara, że Aylą omal nie uśmiechnęła się z miłością, a jej ciało gotowe było odpowiedzieć w zwykły dla siebie sposób. Nie był to pierwszy raz. Dalanar i Jondalar nie tylko wyglądali tak samo - odjąwszy różnicę wieku, rzecz jasna - ale także budzili w uzdrowicielce identyczne uczucia. Po chwili zrezygnowała z oporu i uśmiechnęła się do starszego mężczyzny tak promiennie, że pozazdrościł synowi swej partnerki tak wspaniałej kobiety. Dalanar zerknął na Jondalara i dostrzegł uśmiezek na jego ustach. Chłopak wie, co myślę, i śmieje się ze mnie! Przywódca Lanzadonii omal nie roześmiał się w głos.

- Zgadzam się bez zastrzeżeń! - dodał wesoło.

- Kto ma prawo wyrazić zgodę na połączenie tej kobiety z tym oto mężczyzną? - spytała Zelandoni.

- Ja, Aylą z Dziewiątej Jaskini Zelandonii, znana dawniej jako Aylą z Mamutoi, członkini Obozu Lwa i córka Ogniska Mamuta, mam prawo mówić we własnym imieniu. Władzę tę przekazał mi Mamut z Ogniska Mamuta, najstarszy i najbardziej szanowany ze wszystkich niamuti, a także Talut, przywódca Obozu Lwa, i jego siostra, Tulie, przywódczyni Obozu Lwa. Za ich przyzwoleniem zgadzam się na zaślubiny z Jondalarem z Dziewiątej Jaskini Zelandonii oznajmiła

Ayla. Tej części uroczystości obawiała się najbardziej. Nie była pewna, czy powtórzy z pamięci cały tekst który jej przygotowano.

- Mamut z Ogniska Mamuta, Ten Który Służy Matce u Mamutoi - odezwała się Zelandoni  
- dał córce swego Ogniska swobodę decydowania o sobie. Jako Ta Która Służy Matce u Zelandonii mogą także przemawiać w imieniu wielkiego Mamuta. Ayla postanowiła związać się z Jondalarem, a jej decyzja znaczy tyle samo, ile zgoda Mamuta. Kto zechce poprzeć związek tej pary? - dodała, podnosząc głos.

- Ja, Joharran, przywódca Dziewiętej Jaskini Zelandonii, popieram ten związek i witam Jondalara z Ayla w Dziewiętej Jaskini Zelandonii! - odchrząknął starszy syn Marthony, po czym odwrócił się w stronę licznej reprezentacji swej Jaskini.

- My, członkowie Dziewiętej Jaskini Zelandonii, witamy ich jak swoich! - zawołali chórem zgromadzeni.

Zelandoni uniosła ramiona, jakby chciała objąć nimi wszystkich naraz.

- Jaskinie Zelandonii - zagrzmiała, przykuwając uwagę słuchaczy. - Jondalar i Ayla wybrali siebie nawzajem. Wszystko zostało ustalone, a Dziewięta Jaskinia przyjęła ich do siebie. Co powiecie na ten związek?

W odpowiedzi rozległ się donośny ryk aprobaty. Jeżeli ktokolwiek był odmiennego zdania, jego głos utonął w radosnym zgiełku. Donier odczekała chwilę, nim zapadła cisza.

Doni, Wielka Matka Ziemia, aprobeuje ten związek Jej dzieci. Błogosławiąc Aylę przed Zaślubinami, pokazała nam, że raduje się razem z nami. - Na sygnał Zelandoni Jondalar i Ayla wyciągnęli w jej stronę ręce. Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą Matce wyjęła zza pazuchy zwyczajny rzemień, owinęła go wokół ich złączonych dłoni i zawiązała węzeł. Jeżeli po powrocie młodej pary z okresu próbnego rzemienia nie będzie rozcięty, otrzyma ona w zamian dwa naszyjniki - tradycyjny dar od Zelandoni. Miał to być znak, że związek został usankcjonowany i że młodzi mogą przyjmować i inne prezenty.

- Węzeł został zawiązany. Jesteście zaślubieni. Niechaj Doni zawsze się do was uśmiecha.  
- Młoda para obeszła dokoła wielką Zelandoni, by stanąć na wprost tłumu. - Od tej pory są Jondalarem i Ayla z Dziewiętej Jaskini Zelandonii! - zawołała donier.

Młodzi i ich krewni oraz Pierwsza Wśród Tych Którzy głużą Matce usunęli się na bok, by ustąpić miejsca kolejnej parze. Goście wtopili się w tłum widzów, Jondalar zaś i Ayla dołączyli do grupy par, którym wcześniej założono na ręce rzemień. Uroczystość jeszcze się nie zakończyła.

Wprawdzie większość zgromadzonych przyglądała się z prawdziwą przyjemnością połączeniu tej niezwykle hojnie obdarzonej przez Matkę pary, lecz były i takie osoby, w których uroczyste Zaślubiny wzbudziły wręcz przeciwne uczucia. Jedną z nich była piękna kobieta o

niemal białych włosach i bardzo jasnej cerze. Jej szare oczy były teraz tak ciemne od gniewu, że sprawiały wrażenie czarnych. Większość mężczyzn spoglądała na Maronę łaskawym okiem aż do chwili, gdy zobaczyli ten właśnie nienawistny grymas wykrzywający jej twarz, lecz ona w ogóle nie zwracała na nich uwagi.

Marona nie zamierzała wzorem innych gości uśmiechać się do świeżo zaślubionej, wyjątkowo urodziwej pary. Wpatrywała się z czystą nienawiścią w kobietę z dalekich stron i mężczyznę, który przed laty obiecał jej siebie i złamał słowo. To ja powinnam być teraz w centrum uwagi, myślała gniewnie Marona, ale on wolał wybrać się w Podróż i zostawił mnie bez słowa, bez partnera i bez nadziei. Co gorsza, akurat teraz musiała przybyć ta jego dziwna, czarnowłosa kuzynka, o której mówią, że jest taka piękna - tylko dlaczego w takim razie wiąże się z najohydniejszym mężczyzną, jakiego tu widziano? - i na nią wszyscy się gapią. Owszem, wtedy, przed kilku laty, Marona zdołała znaleźć względnie przyzwoitego kandydata na partnera, nim Letnie Spotkanie dobiegło końca, ale ów mężczyzna nie mógł się równać z Jondalarem, tym, którego zawsze pożądała. Oboje z ulgą przecięli węzeł już po kilku sezonach. Owo Letnie Spotkanie było najgorsze w życiu Marony - aż do tegorocznego.

Bo w tym roku Jondalar wreszcie powrócił z Podróży i przyprowadził sobie kobietę, która otaczała się zwierzętami i nie dbała o to, czy ma na sobie właściwy strój czy chłopięcą bieliznę. Nie dosyć, że zostali sobie zaślubieni, to jeszcze ona była w ciąży, pobłogosławiona przez Doni. To nie było sprawiedliwe. Podobnie jak to, że zaskoczyła wszystkich niezwykłym strojem i obnażonymi piersiami. Marona sama nie zawahałaby się wystąpić w takiej tunice, gdyby tylko wpadła na ten pomysł - teraz jednak, choć była pewna, że wszystkie inne kobiety będą naśladować ten strój, za nic w świecie nie poszłyby w ślady Ayli. Pewnego dnia,

T pomyślała Marona. Pewnego dnia pokażę im, jak to jest. Pewnego dnia pożałują oboje. Pewnego dnia...

Nie tylko Marona przyglądała się ceremonii z niechęcią. Był jeszcze Laramar, który nie lubił ani mężczyzny, ani kobiety, na których wszyscy patrzyli dziś z takim zachwytem. Wydawało mu się, że Jondalar zawsze nim gardził, nawet kiedy z przyjemnością raczył się jego barwą. A ta kobieta z wilkiem, Ayła, narobiła tyle hałasu wokół najmłodszego dziecka Tremedy, przy okazji stając się obiektem uwielbienia Lanogi. Od tamtej pory dziewczyna nawet przestała gotować dla mężczyzny swego ogniska - częściej przebywała z Loralą w towarzystwie młodych matek, jakby mała była jej dzieckiem. A przecież jeszcze nie była kobietą, choć niewiele jej brakowało. Kto wie, może będzie przyzwoicie wyglądać, kiedy dorośnie, dumał Laramar. Na pewno lepiej niż ta niechlujna starucha, która jest jej matką. Tak czy inaczej, wolałbym, żeby Ayła trzymała się z daleka od mojego domostwa i mojej rodziny, pomyślał Laramar i uśmiechnął się w duchu. Chyba

że chciałyby, abym podjął ją z honorami... Ciekawe, jak by się zachowała podczas obrzędów ku czci Matki, gdyby dobrze spoić ją barmą? Kto wie? Może pewnego dnia?

Inną osobą, która nie życzyła młodej parze wiele szczęścia, był Madroman. Lepiej, żeby dobrze zapamiętali moje imię, pomyślał akolita. Zwłaszcza Jondalar. Patrzcie no, jak się wystroił w tę białą tunikę, aż wszystkie nowo zaślubione kobiety gapią się na niego z uśmiechem. Pewnie się zdziwił, kiedy zobaczył, że należę do Zelandoni. Nie spodziewał się tego, myślał, że nie dam rady, ale ja jestem o wiele sprytniejszy, niż mu się wydaje. I zostanę Zelandoni, na złość tej tłustej babie, która traktuje kobietę Jondalara, jakby już była jedną z nas.

Choć trzeba przyznać, że Ayla jest prawdziwą pięknoscią. Też mógłbym mieć taką, gdyby on nie wybił mi zębów. Nie miał powodu, żeby mi to zrobić. Ja tylko zdradziłem ludziom prawdę. Chciał zawiązać węzeł z Zoleną, a ona pewnie by się zgodziła, gdybym wszystkiego nie rozpowiedział. A może byłoby lepiej, gdybym im na to pozwolił? Jondalar miałby teraz przy swoim ognisku tę spasioną kobietę, zamiast egzotycznej piękności, która udaje Zelandoni, chociaż nianie jest. Nie jest nawet akolitką; nie potrafi mówić jak my. Ciekawe, czy któraś z tych kobiet uważałaby go za tak atrakcyjnego, gdyby ktoś mu wybił zęby. Chciałbym to zobaczyć. Naprawdę chciałbym to zobaczyć pewnego dnia...

Czwarta para oczu, która przyglądała się Zaślubinom Ayli i Jondalara bez odrobiny sympatii czy życzliwości, należała do Brukevala. Mężczyzna po prostu wlepił wzrok w złotą kobietę o rozpuszczonych włosach, które spływały luźno na ramiona, i wielkie, kształtne piersi. Była w ciąży, więc jej piersi były piersiami matki, a daleki potomek Klanu marzył w tej chwili tylko o jednym: chciał sięgnąć rękami, dotykać, pieścić i ssać je ze wszystkich sił. Były tak idealne, że wydawało mu się, iż Ayla kusi go nimi celowo, że twarde, różowe sutki wołają go, błagając, by wziął je do ust.

Ale to Jondalar będzie dotykał tych piersi, pomyślał z wściekłością Brukeval. To on będzie je pieścił i ssał. Zawsze Jondalar, zawsze ulubieniec tłumu, zawsze szczęściarz. Nawet matkę ma najlepszą. Matka Marony nigdy o mnie nie dbała, za to na Marthonę zawsze mogłem liczyć, kiedy już nie byłem w stanie znieść upokorzenia. Rozmawiała ze mną, wyjaśniała mi wszystko, pozwalała zostać na jakiś czas... Była miła. Jondalar też nie był zły, ale tylko dlatego, że litował się nade mną, bo nie miałem takiej matki jak on. A teraz sam wiąże się z matką, z kobietą złotą jak Bali, syn Wielkiej Matki Ziemi, z niewiastą o pięknych piersiach, która wkrótce urodzi mu dziecko.

Ayla była szczęśliwa, kiedy ujrzała go w białej jaskini. Miał pochodnię i wyprowadził ją na powierzchnię, a wtedy powiedziała mu, że gdyby nie Jondalar, wzięłaby pod uwagę i jego... Tylko że nie mówiła szczerze. Gdy zjawił się Jondalar z tamtym płaskogłowym, przyznała, że jestem dla niej taki sam, jak ten z Lanzadonii, myślał rozżalony Brukeval. Nie rozumiem, jak Dalanar mógł

pozwolić, żeby płaskogłowy choć spojrzął na córkę jego partnerki, nie mówiąc już o zawiązaniu z nią węzła. To jest chore. Nie wolno pozwalać na takie rzeczy. Joplaya wyglądała mi na porządną dziewczynę, była cicha i zawsze miła, ale skąd przyszło jej do głowy, że mogłaby związać się z płaskogłowym? To nie tak. Ktoś powinien ich powstrzymać, myślał coraz bardziej podniecony Brukeval.

Może ja? Gdyby Ayla zastanowiła się nad tym, pojęłaby, że dobrze robię. Może by mnie doceniła? Ciekawe, czy rzeczywiście pomyślałaby o mnie, gdyby coś się stało, gdyby Jondalar nie pozostał długo u jej boku... Gdyby coś się stało Jondalarowi, czy wzięłaby mnie pod uwagę... pewnego dnia?

## ROZDZIAŁ 32

Levela i Jondecam unieśli związane ręce, by pozdrowić Aylę i Jondalara, gdy dołączyli do nich w miejscu spotkania świeżo zaślubionych par.

- Czy mi się zdawało, Aylo, czy Zelandoni powiedziała, że zostałam już pobłogosławiona? - spytała podejrzliwie Levela.

Znachorka tylko skinęła głową, zbyt rozemocjonowana, by zaufać swemu głosowi.

- Och, Aylo, to cudownie! Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałaś? Czy Jondalar wiedział? Ależ z ciebie szczęściara! - Dziewczyna nie pozwoliła Ayli odpowiedzieć na którekolwiek z pytań; po prostu wzięła ją w ramiona i mocno przytuliła, zapominając na moment o rzemiennych pętach, które łączyły ją z Jondecamem. Roześmieli się wszyscy, gdy szarpnęła ramieniem oblubieńca i skończyło się na tym, że objęła Aylę tylko jedną ręką. - Twój strój jest taki piękny, Aylo! Nigdy nie widziałam czegoś podobnego. Tyle na nim koralików i bursztynów, że miejscami wygląda tak, jakby był z nich zrobiony. No i odcień skóry, taki żółtawy, jest idealnie dobrany. Podoba mi się i to, jak nosisz tę tunikę - otwartą. bo przecież wkrótce będziesz matką. Pewnie jest ciężka, prawda? Powiedz, skąd ją wzięłaś? - Levela paplała z takim przejęciem, że Ayla nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

- Masz rację, jest ciężka, ale jestem do tego przyzwyczajona. Wiozłam ją ze sobą przez całą drogę. Nezzie, partnerka przywódcy Obozu Lwa, zrobiła ją dla mnie, kiedy wydawało się, że zostanę partnerką pewnego mężczyzny z Mamutoi. Kiedy postanowiłam odejść z Jondalarem, powiedziała mi, żebym wzięła tunikę ze sobą i ubrała się w nią na Zaślubiny. Lubiła go, jak wszyscy. Prosił, żeby został z nimi i stał się Mamutoi, ale on się uparł, że musi wracać do domu. Chyba już rozumiem dlaczego - dodała znachorka.

Wokół niej zebrała się spora grupka słuchaczy. Wszyscy nadstawiali uszu, by później opowiedzieć krewnym i znajomym historię przebogatego stroju Ayli.

- Jondalar prezentuje się równie wspaniale - stwierdziła Levela. - Twoja tunika robi wrażenie, bo jest wyjątkowo pięknie udekorowana. Ta, w której wystąpił Jondalar, jest jej przeciwieństwem, ale też robi wrażenie, głównie z powodu koloru.

To fakt - przytaknął Jondecam. - Wszyscy ubraliśmy się w to, co mamy najlepszego - dodał, wskazując na własne odzienie. - Zwykle najlepsze jest to, co najpiękniej ozdobione. Żaden z naszych strojów nie może równać się pod tym względem z twoim, Aylo, ale kiedy pojawił się Jondalar, wszyscy od razu zwrócili na niego uwagę. Jego tunika jest prosta i elegancka, w sam raz dla niego. Wiem, jak to działa: wszystkie kobiety będą się teraz ubierać tak jak ty, a mężczyźni

będą marzyć o takim ubiorze, jaki zobaczyli na twoim partnerze. Powiedz no, Jondalarze, od kogo dostałeś taki prezent?

- Od Ayli - odparł jasno włosy.

- Od Ayli! Sama to zrobiłaś? - spytała zaskoczona Levela, wskazując na tunikę Jondalara.

Pewna kobieta z Mamutoi nauczyła mnie wyprawiania skór na białe - odrzekła skromnie Ayła.

W tej samej chwili Zelandonii przysłuchujący się rozmowie odwrócili się w stronę ogniska, gdzie pojawiła się już kolejna donier.

- Lepiej skończmy z tym gadaniem, następna para wychodzi - szepnęła Levela.

Kiedy wszyscy umilkli, a Zelandoni zaczęła kolejny rytuał połączenia, Ayła zamyśliła się nad sensem starego obyczaju, który nakazywał związanie nadgarstków młodych partnerów trudnym do rozwiązania rzemieniem. Zabawna sytuacja z Levelą, która w podnieceniu chciała objąć ją ramionami, uświadomiła jej, jakie jest prawdziwe znaczenie symbolicznych więzów: należy zawsze pomyśleć o partnerze, nim podejmie się jakiegokolwiek działania. Niezła lekcja na początek wspólnego życia, pomyślała znachorka.

- Mogliby się pospieszyć - mruknął jeden ze świeżo upieczonych partnerów. - Padam z głodu. Po całodniowym poście burczy mi w brzuchu tak głośno, że chyba słychać to nawet w ostatnich rzędach.

Ayła jednak cieszyła się w duchu, że Zelandoni niespiesznie recytuje długą listę tytułów i powiązań rodzinnych kolejnej pary. Miała czas na przemyślenie tego, co stało się przed chwilą. Była partnerką Jondalara, a on jej partnerem. Miała nadzieję, że teraz zacznie wreszcie czuć się jak Ayła z Dziewiątej Jaskini Zelandonii, choć w głębi duszy cieszyła się, że słowa "Ayła z Mamutoi" pozostały częścią jej imienia. Wszak to, że mieli zamieszkać w Dziewiątej Jaskini, nie oznaczało, że z dnia na dzień stała się zupełnie inną osobą. Przybyło jej tylko kilka nowych powiązań rodzinnych, ale przecież nie straciła pamiętek z przeszłości; choćby takich jak totem Klanu.

Wróciła myślą do czasów, kiedy była małą dziewczynką przygarniętą przez ludzi Klanu. W tamtej społeczności nie było zwyczaju zawiązywania węzła, ale też nie było konieczności, by go wprowadzać. Od najwcześniejszych lat życia przyuczano kobiety Klanu do tego, że zawsze powinny być świadome obecności i potrzeb mężczyzn, a zwłaszcza swoich partnerów. Dobra kobieta Klanu powinna była przewidywać żądania i życzenia partnera; jego z kolei uczono od dzieciństwa, że nie powinien w żaden sposób okazywać tego, że czegoś potrzebuje, że odczuwa niewygodę lub ból. Nigdy nie powinien był prosić o pomoc; zadaniem kobiety było odgadnięcie, że jej wsparcie będzie w danym momencie mile widziane.



Broud jednak wcale nie potrzebował pomocy Ayli, a ciągle stawiał jej nowe żądania. Wymyślał zadania tylko po to, żeby je wykonywała - biegła więc nieustannie po wodę i w nieskończoność przewiązywała skóry, które nosił owinięte wokół stóp. Mógł sobie twierdzić, że Ayła jest młoda i musi uczyć się posłuszeństwa, ale prawda była taka, że nie obchodziło go to, czy robiła postępy, i nie zauważał nawet, kiedy naprawdę starała się go zadowolić. Zależało mu przede wszystkim na zademonstrowaniu innym własnej władzy nad nią, a to dlatego, że ośmieliła się stawić mu opór, czego nie wolno było robić z natury pokornym kobietom Klanu. Sprawiała, że poczuł się mniej wartościowym mężczyzną i za to ją znienawidził. Być może był w tym także element podświadomej niechęci do kobiety Innych właśnie za jej odmienność. Niełatwo było Ayli pojąć tę lekcję, ale Broud dopiął swego - tyle że korzyść z tej nauki czerpał teraz Jondalar. Jasnowłosa znachorka myślała o nim niemal bezustannie i z czasem rozumiała, że właśnie z obyczajów, które przejęła jako kobieta Klanu, bierze się uczucie niepewności i lęku pojawiające się, gdy tylko Jondalara nie było przy niej. W taki sam sposób myślała o swych zwierzętach.

Nagle, jakby przywołany jej myślą, pośród młodych par pojawił się Wilk. Mając prawą rękę uwiązaną do lewicy Jondalara, przyklęknęła i objęła czworonoga lewym ramieniem, po czym zadarła głowę i spojrzała na swego mężczyznę.

Martwiłam się o niego. Nie mam pojęcia, gdzie mógł się podziewać - powiedziała. - Ale zdaje się, że wygląda zadowolonego z siebie.

- Może ma powody - odparł Jondalar, uśmiechając się zawadiacko.

- Kiedy Maluszek znalazł sobie partnerkę, opuścił mnie. Wracał czasem, żeby złożyć mi krótką wizytę, ale żył wśród swoich. Myślisz, że gdyby Wilk znalazł sobie samicę, zostawiłby nas i odszedł z nią do lasu?

- Nie wiem. Mówiłaś mi kiedyś, że on uważa ludzi za swoją sforę, ale jeśli spotka kandydatkę na partnerkę, to będzie nią wilczyca - odrzekł Jondalar.

- Chciałabym, żeby był szczęśliwy, ale gdyby zostawił nas na zawsze, tęskniłabym za nim okropnie - powiedziała cicho Ayła i wstała.

Młodzi, którzy skupili się wokół niej, spoglądali nieufnie na jej zażyłość z Wilkiem; zwłaszcza ci, którzy z bliska widzieli go po raz pierwszy. Uzdrowicielka dała drapieźcy znak, że ma trzymać się przy nodze.

- To... dość spory wilk, prawda? - odezwała się jedna z kobiet, cofając się o pół kroku.

- Rzeczywiście - odparła Levela. - Ale ci, którzy go znają, twierdzą, że nigdy nikogo nie napadł bez powodu.

W tym momencie Wilk poczuł, że gryzie go pchła. Przysiadł, wygiął grzbiet i począł z zapalem czochrąć łapą gęstą sierść. Kobieta zachichotała nerwowo.

- Masz rację, teraz na pewno nie wygląda groźnie.

- Chyba że dla robactwa, które mu dokucza - dodała Levela.

Wilk uspokoił się nagle, przechylił łeb na bok, jakby słuchał czegoś lub poczuł nowy zapach, a potem poderwał się z ziemi i spojrzał na Aylę.

- Idź, Wilku - powiedziała znachorka, dając mu stosowny sygnał ręką. - Idź, jeśli chcesz.

Czworonożny łowca popędził przed siebie, klucząc między skupiskami ludzi, z których większość zastygała w bezruchu na jego widok.

W kolejnej ceremonii połączenia uczestniczyła nie para, lecz trójka: mężczyzna zawiązywał węzeł z dwiema bliźniaczkami. Kobiety nie chciały się rozłączać, jak to często bywało w przypadku bliźniąt, ale i sióstr, które były sobie wyjątkowo bliskie. Musiały jednak mieć świadomość, że jednemu partnerowi trudno będzie utrzymać dwie kobiety, zwłaszcza gdy pojawią się dzieci. Na szczęście w tym przypadku mężczyzna był nieco starszy, miał wysoką pozycję i doskonałą reputację, a zatem i niemałe szansę na zapewnienie rodzinie godziwej egzystencji. Nie mógł jednak wykluczyć, że pewnego dnia konieczne będzie przyjęcie do ogniska drugiego mężczyzny - w tego typu sprawach życie dość szybko obnażało słabe strony związku.

Nim na placu pojawiła się ostatnia para, widzowie byli już porządnie znużeni powtarzającymi się wielokrotnie formułkami, zwłaszcza że nie każdą parę tworzyły osoby tak powszechnie znane, jak Ayla i Jondalar. Publiczność zdecydowanie się ożywiła, gdy na środek wystąpili Joplaya i Echozar; rozległ się zgiełk podnieconych głosów. Żadne z młodych nie wyglądało jak typowy Zelandonii, lecz wszyscy wiedzieli, że mają przed sobą parę z sąsiedniej jaskini Lanzadonii - tyle że bodaj najbardziej dziwaczną, jaką kiedykolwiek widziano na Letnim Spotkaniu.

Kobieta była wysoka, szczupła i egzotycznie piękna - miała ciemne włosy i niezwykłą urodę, którą trudno było zdefiniować. Stojący obok niej mężczyzna nie mógł różnić się od niej w bardziej szokujący sposób. Był od niej nieco niższy, a jego grubo ciosaną twarz większość ludzi uznała za odrażającą. Grube wały kostne, porośnięte krzaczastymi brwiami, tworzyły w zasadzie jedną półkę nad głębokimi oczodołami, z których spoglądały na świat ciemne, inteligentne oczy. Nos mężczyzny był bardzo duży i haczykowaty jak orli dziób, a wrażenie to potęgował fakt, iż długa i szeroka twarz przybysza z Pierwszej Jaskini Lanzadonii była dziwnie wyprofilowana - jakby wypukła. Podobnie jak większość mężczyzn, i ten nosił zimą brodę, która chroniła nieco twarz przed mrozem, a na lato golił ją. Widać więc było dokładnie mocny zarys szczęki i bardzo słabo, wręcz szczątkowo wykształcony podbródek, typowy dla ludzi Klanu. Wielki, sterczący do przodu nos sprawiał, że cofnięty podbródek wyglądał na jeszcze słabiej zaznaczony.

Oblicze Echowara bez wątpienia było obliczem mężczyzny Klanu, ale z jednym wyjątkiem: brakowało w nim cofniętego, spłaszczonego czoła; ten mężczyzna po prostu nie był płaskogłowym. Czoło Echowara wznosiło się wysoko ponad wałem nadoczodołowym. Poza tym w przeciwieństwie do ludzi Klanu oblubieniec Joplayi był dość wysoki; nie ustępował wzrostem przeciętnemu Zelandonii. Miał jednak mocną, kręłą sylwetkę i wypukłą, zaokrągloną pierś mężczyzny Klanu. Jego nogi, krótkie i nieco pałakowate, były potężnie T lunięsnione; podobnie jak ramiona. Bez wątpienia był człowiekiem nieprzeciętnej siły.

Bez wątpienia był też człowiekiem zrodzonym z mieszanych duchów, a więc - zdaniem wielu Zelandonii - potworem, mieszańcem, istotą na poły zwierzęcą, na poły ludzką. Nie brakowało i takich, którzy uważali, że nie powinien zostać partnerem kobiety, która stała obok niego. Bez względu na to, jak egzotyczna była jej uroda, należała z pewnością do rasy ludzkiej, do Innych, nie do płaskogłowych. Dlatego wielu Zelandonii uważało za swój obowiązek przeciwstawić się tak niecodziennemu związkowi.

Jako że Lanzadonii nie mieli jeszcze donier, Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą ponownie wystąpiła na środek. Uczyniła to nie tylko dlatego, że przewodziła społeczności Zelandonii, ale także dlatego, że Dalanar należał niegdyś do Dziewiątej Jaskini, a Joplaya była córką jego ogniska.

Zajmując stosowne miejsce na placu, Zelandoni uśmiechnęła się w duchu na myśl o tym, że niewielu mężczyzn odważyłoby się zmierzyć jeden na jednego z potężnie zbudowanym Echowarem. Rozmyślała o konkursach, turniejach i zabawach, które miały się zacząć zaraz po zaślubinach ostatniej pary. Doszła też do wniosku, że zakończenie ceremonii będzie dobrą okazją do poinformowania wszystkich, iż Pierwsza Akolitka z Drugiej Jaskini Zelandonii zdała egzamin i została uznana za Zelandoni, a także o tym, że postanowiła odejść z Dalanarem i jego ludźmi, by zostać Pierwszą Lanzadoni Służącą Wielkiej Matce Ziemi. Był to dobry pomysł i dobre miejsce na rozpoczęcie nowego życia.

Donier rozejrzała się, szukając znajomych twarzy. Dalanar stał opodal, dumnie wyprostowany. Otyła Zelandoni nie pierwszy raz ze zdumieniem stwierdziła, że jego podobieństwo do Jondalara było uderzające, wyjąwszy kilka niewiele znaczących szczegółów, na które zwracała uwagę prawdopodobnie tylko dlatego, że była onegdaj dość intymnie związana z młodszym z mężczyzn. Spojrzała w zamyśleniu na byłego kochanka, który - wciąż uwiązany do Ayli - opuścił grupę młodych par i przeszedł do rodzinnego kręgu. Joplaya była jego bliską kuzynką. Obok Dalanara stanęła Jerika, matka Joplayi, a za nią Hochaman, mężczyzna jej ogniska. Starzec opierał się ciężko o ramię młodzieńca, którego Pierwsza nie znała osobiście. Domyślała się, że był to albo Zelandonii z którejś z dalekich jaskiń, albo przybysz z jeszcze bardziej odległych stron - być może

jeden z Losadunai choć jego strój i biżuteria identyfikowały go jednoznacznie jako członka Pierwszej Jaskini Lanzadonii.

Oparty o niego Hochaman był bardzo starym, pomarszczonym i wąłym mężczyzną o specyficznych rysach twarzy podobnych do tych, które wyróżniały Jerikę. Stał z wielkim trudem, a o chodzeniu mógł tylko marzyć. Dalanar i Echozar nieśli go na plecach przez całą drogę z Jaskini Lanzadonii do miejsca Letniego Spotkania. Hochaman twierdził, że "schodził" nogi podczas wielkiej Podróży, a prawdą było, że nikt jeszcze nie przemierzył takiej połaci świata jak on. Jego piesza wyprawa rozpoczęła się nad Bezkresnymi Morzami na wschodzie, a zakończyła nad Wielkimi Wodami na zachodzie. Przejście tak długiej trasy zajęło skośnookiemu mężczyźnie większą część życia. Potrafił opowiadać ciekawe historie i miał ich mnóstwo w zanadrzu. Chętnie też powtarzał je zainteresowanym i spodziewał się, że po ceremonii, gdy rozpoczną się zabawy i konkursy, jak zawsze znajdzie się spore grono słuchaczy. Nowo zaślubione pary musiały w tym roku odpuścić sobie udział w bardziej rozrywkowej części rytuału; obowiązywał je dwutygodniowy zakaz rozmawiania z kimkolwiek poza partnerem. Zelandoni nie bez powodu wybrali akurat tę porę na próbę dla młodych par: jeżeli ktoś nie traktował swego związku na tyle poważnie, by dla jego dobra poświęcić wieczory pełne atrakcji i zabaw, to raczej nie powinien był w ogóle zawiązywać węzła.

Śpiewacy znowu zaczęli swą monotonną pieśń, choć w porównaniu z początkiem ceremonii zmienił się nieco skład chóru.

Wszystkie Jaskinie Zelandonii! - zagrzmiął mocarny głos donier. - Wzywam was na świadków połączenia kobiety i mężczyzny. Doni, Wielka Matka Ziemia, Pierwsza Stwórczyni, Matka wszystkich, ta, która zrodziła Baliego, co świeci nam na niebie, ta, której partner i przyjaciel Lumi rozświetla dla nas nocny firmament, niech będzie uwielbiona przez święte połączenie dwojga Jej dzieci.

Para, która staje przed nami, postanowiła uradować Wielką Matkę Ziemię, podejmując decyzję o zawiązaniu węzła... - Publiczność szemrała coraz głośniejsze. Ceremonia przebiegała jakby szybciej niż poprzednie, gdyż mniej było tytułów do wymienienia - Echozar nie miał ich prawie wcale. Był po prostu Echozarem z Pierwszej Jaskini Lanzadonii, synem kobiety błogosławionej przez Doni, zaakceptowanym przez Dalanara i Jerikę z Pierwszej Jaskini Lanzadonii. Lista koneksji Joplayi była znacznie dłuższa i - za sprawą Dalanara - dotyczyła głównie osób zamieszkujących Dziewiątą Jaskinię Zelandonii. Znalazły się na niej nawet imiona Jondalara i Ayli. Po stronie Jeriki donier wymieniła tylko imię jej matki, Ahnlay, która odeszła już do gwiata duchów, oraz mężczyzny jej ogniska, Hochamana.

- Ja, Dalanar, przywódca Pierwszej Jaskini Lanzadonii, popieram tę parę i jestem zadowolony, że Joplaya i Echozar pozostaną z nami, w Pierwszej Jaskini Lanzadonii - rzekł przywódca. - Witam ich serdecznie. - Dalanar odwrócił się w stronę ludzi stojących za nim, czyli grupy Lanzadonii, którzy przybyli na Letnie Spotkanie Zelandonii głównie po to, by wziąć udział właśnie w Zaślubinach Joplayi i Echozara.

- My, z Pierwszej Jaskini Lanzadonii, także ich witamy! - zawołali zgodnym chórem.

Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą Wielkiej Matce Ziemi uniosła ramiona i rozłożyła je szeroko w stronę widzów.

- Wszystkie Jaskinie Zelandonii i Lanzadonii! - zawołała. - Joplaya i Echozar wybrali siebie nawzajem. Uzgodniono, że zostaną przyjęci przez Pierwszą Jaskinię Lanzadonii. Co powiecie na ten związek?

Liczna grupa świadków zakrzyknęła "tak", ale nie brakowało i takich, którzy z zapalem odpowiedzieli "nie".

Zelandoni była zszokowana i przez moment nie wiedziała, co począć. Nigdy jeszcze nie prowadziła ceremonii Zaślubin, podczas której nie wszyscy mieszkańcy Jaskiń poparli jedną z par. Jeżeli ktokolwiek miał coś przeciwko danemu związkowi, załatwiał tę sprawę przed uroczystością. Dlatego donier nie słyszała dotąd, by ktoś powiedział "nie". Dalanar i Jerika zmarszczyli brwi, a wielu spośród Lanzadonii rozglądało się dokoła, szukając winowajców. Niektórzy sprawiali wrażenie zakłopotanych, inni - zagniewanych. Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą postanowiła zignorować głośne "nie" i kontynuować ceremonię, jakby nic się nie stało.

- Doni, Wielka Matka Ziemia, aprobuje ten związek Jej dzieci. Błogosławiąc Joplayę przez Zaślubinami, pokazała nam, że raduje się razem z nami. - Zelandoni dała znak młodym, którzy zawahali się na ułamek sekundy, nim wyciągnęli ku niej ręce. Pierwsza owinęła ramię wokół splecionych dłoni i zawiązała węzeł.

- Węzeł został zawiązany. Jesteście zaślubieni. Niechaj 731

Doni zawsze się do was uśmiecha. - Młodzi odwrócili się w stronę widzów. - Od tej pory są Joplayą i Echozarem z Pierwszej Jaskini Lanzadonii! - obwieściła donier.

- Nie! - rozległ się okrzyk z tłumu. - Nie powinni być zaślubieni! Tak nie wolno! On jest potworem!

Co najmniej kilka osób natychmiast rozpoznało ten głos. To Brukeval! Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą znowu chciała go zignorować, ale zaraz poparły go inne głosy.

- On ma słuszość! Nie powinni się wiązać! Przecież Echozar to pół człowiek, pół zwierzę! - zawołała Marona.

Potrafie zrozumieć Brukevala, pomyślała Zelandoni z Dziewiętej Jaskini, ale przecież Marona nie ma nic wspólnego z tymi ludźmi. Usiłuje po prostu narobić im kłopotów. Czyżby próbowała odegrać się na Ayli i Jondalarze, upokarzając jego bliską kuzynkę?

Kolejny głos sprzeciwu rozległ się z miejsca, które zajmowała Piąta Jaskinia.

- Racja! Zelandonii nie powinni poprzeć tego związku! - krzyczał mężczyzna, który swego czasu próbował dołączyć do Zelandoni, ale został odrzucony.

Malkontenci wszelkiej maści protestowali, głównie po to, żeby dać upust emocjom. Był wśród nich także Laramar. I jego głos Zelandoni rozpoznała bez trudu. Po co robi zamieszanie?, zastanawiała się usilnie. Niektórzy z przeciwników tej pary wierzą w to, co mówią, ale on? Jego przecież nic nie obchodzi!

Być może powinnaś przemyśleć jeszcze raz sprawę tego związku, Zelandoni - odezwała się Denanna, przywódczyni wszystkich trzech posiadłości Dwudziestej Dziewiętej Jaskini.

Trzeba z tym skończyć, i to natychmiast, pomyślała Pierwsza.

- Skąd ten pomysł, Denanno? Tych dwoje dokonało już wyboru, a ich decyzję uszanowała i zaakceptowała cała Jaskinia. Nie rozumiem waszych obiekcji.

- A jednak to nas pytasz o akceptację, a nie Jaskinię, z której pochodzą - zauważyła przywódczyni.

- I większość z nas udziela jej bez wahania. Znam osobiście każdego, kto przed chwilą sprzeciwił się temu związkowi - oznajmiła Zelandoni, wpatrując się w tłum ludzi na stoku wzgórza. Było zbyt ciemno, by mogła kogokolwiek dostrzec, ale ci, na których "patrzyła", byli przekonani, że zostali zidentyfikowani. - Prawie wszyscy uczynili to z pobudek osobistych, nie mających nic wspólnego z tą -parą. Tylko kilka osób naprawdę ma coś przeciwko związkowi Joplayi i Echozara, aleja nie widzę powodu, żeby przez fcrzgląd na nich przerywać tę ceremonię, obrażając przy tym Jjanzadonii i wystawiając złe świadectwo Zelandonii. Joplaya i Echozar zawiązali węzeł. Kiedy okres próbny dobiegnie końca, ich związek zostanie w pełni usankcjonowany. W tej sprawie nie ma już nic do powiedzenia. Pora na uroczystą procesję, a potem na ucztę.

Kobieta dała znak pozostałym Zelandoni, którzy sprawili ustawili młode pary w szyku i poprowadzili je dokoła dogasającego pomału ogniska. Kiedy dostojnym krokiem wykonali pięć pełnych okrążeń, udali się w stronę wydzielonego miejsca, w którym przygotowano ucztę. Radosny nastrój Zaślubin został jednak zakłócony i nic już nie mogło tego naprawić.

Wyznaczone wcześniej osoby przystąpiły do krojenia plastrów mięsa z wielkich, żubrzych udźców, które przez cały dzień obracały się wolno nad rozżarzonymi węglami. Inne, twardsze kawały mięsiwa umieszczono w dołach z gorącymi kamieniami i obłożono specjalnie dobranymi warzywami. Ugotowano też tak zwaną "zieloną zupę", która zawdzięczała swój smak i gęstą

konsystencję głównie pąkom kwiatowym i młodym korzonkom liliowca, orzeszkom ziemnym, pędom paproci, cebuli oraz bogatemu zestawowi warzyw i przypraw. Była to tradycyjna potrawa, warzona co roku podczas pierwszych Zaślubin. Dojrzałe kłacza liliowców i rogoży, rozbite na miazgę i pozbawione twardych włókien, a następnie zmieszane z ziarnem dziko rosnącego owsa i nasionami lebiody roztartymi na mąkę, zostały uformowane na kształt płaskich, twardych bochenków i upieczone, a następnie podane z gęstą zupą.

Ayla dobrze знаła małe, słodkie owoce rosnące tuż przy ziemi, kształtem przypominające serca i pokryte drobnymi ziarenkami, toteż ucieszyła się na widok mis pełnych dojrzałych truskawek. Te, które zostały zebrane wcześniej i zaczęły mięknąć, dodano do sosu owocowego, sporządzonego między innymi z czerwonych łodyg pewnej rośliny, której duże liście odcinano i wyrzucano. Łodygi dawały przyjemny aromat, a liście mogły wywołać chorobę żołądka. Nie brakowało też wodoszczelnych koszy pełnych barmy Laramara.

W miarę jak tłum gości ze wszystkich Jaskiń posilał się, bawił i popijał mocne trunki, napięcie mijało. Jondalar gorąco podziękował Dalanarowi za przybycie na Zaślubiny.

- Przyszedłbym i tak na twoje zaproszenie, ale pamiętaj, że jestem tu także przez wzgląd na Joplayę i Echozara. Żałuję, że pod koniec ceremonii zrobiło się nieprzyjemnie. Szkoda, że zepsuto im zaślubiny; zresztą może nie tylko im - odparł Dalanar.

- Zawsze znajdują się tacy, którzy chcą szkodzić innym. Na szczęście nie musimy już martwić się o inne nasze pary. Nie musimy też pojawiać się więcej na Letnim Spotkaniu Zelandonii. Mamy teraz swoją Lanzadoni - powiedziała Jerika.

To wspaniale, ale mam nadzieję, że i tak będziecie tu zaglądać raz na jakiś czas - odrzekł Jondalar. - Kto to taki?

Po prostu Lanzadoni. Wiesz, jak to jest - odparł z uśmiechem Dalanar. - Wyrzekają się swojej indywidualności, żeby stać się jednością ze swym ludem. Ale powiem ci, co zauważyłem: przyjmują imiona złożone ze słów do liczenia, a one mają jeszcze większą moc. Ta, która przechodzi do nas, była Pierwszą Akolitką Zelandonii z Drugiej Jaskini. Teraz będzie się nazywać Lanzadoni Pierwszej Jaskini Lanzadonii.

- Znam tę kobietę - stwierdziła Ayla. - To ona prowadziła nas w głąb Czeluści w Skałach Fontanny, kiedy szliśmy pomóc Zelandoni w poszukiwaniu ducha twojego brata. Pamiętasz, Jondalarze?

- Pamiętam. Moim zdaniem będzie dobrą Lanzadoni. Jest bardzo oddana służbie. Słyszałem też, że dobrze zna się na uzdrawianiu - odrzekł jej partner.

Był już późny wieczór i młode pary wymieniały ostatnie słowa z przyjaciółmi i krewnymi, wkrótce bowiem miał się dla nich rozpocząć czternastodniowy okres milczenia. Niektórzy czuli się

dziwnie, jakby żegnali się ze wszystkimi, choć nie wybierali się w daleką podróż. Każda z Jaskiń szykowała mniejszą ucztę na powitanie par powracających po okresie próbnym, a także liczne podarki, które miały ułatwić im rozpoczęcie nowego życia. Związek dwojga ludzi w istocie nie był uznawany za potwierdzony, póki ów okres próbny nie dobiegł końca. Obie strony miały prawo zerwać Zaślubiny i odejść bez zobowiązań. Teraz, kiedy pary rozchodziły się z wolna każda w swoją stronę, nikt o tym nie myślał - zabawa bez udziału młodych miała potrwać do białego rana.

Ayla i Jondalar także odeszli, odprowadzani niewybrednymi komentarzami grupki młodzieży, stanowczo zbyt ochołzo raczącej się barwą. Większość tej kawalerki знаła Jondalara jedynie z opowiadań i reputacji, którą pozostawił po sobie, wyruszając w podróż. Nie było go już, gdy wchodzili w wiek dojrzewania. Rówieśnicy jasnowłosego łupacza krzemieni na ogół już dawno wyrosli z tego typu zabaw kosztem świeżo zaślubionych par. Wielu miało partnerki, a niektórzy także i dzieci przy swoich ogniskach.

Jondalar zabrał jedną z pochodni, które ustawiono wokół centralnego placu zgromadzeń, by bez trudu odnaleźć drogę i zapalić ognisko w miejscu, które wybrał na nocleg. Wspięli się na wzgórze wzdłuż koryta strumienia, a u źródła zatrzymali się na moment, by zaspokoić pragnienie. Ayla do ostatniej chwili nie wiedziała, dokąd prowadzi ją jej mężczyzna. Kiedy jednak ujrzała namiot, ten sam, którego używali przez całą długą Podróż, poczuła ukłucie nostalgii. Cieszyła się, że trudna wyprawa dobiegła końca, ale jednocześnie wiedziała, że nigdy o niej nie zapomni. Usłyszawszy powitalne rżenie, uśmiechnęła się do Jondalara.

- Przeprowadziłeś konie! - zawołała uradowana.

- Pomyślałem, że rano moglibyśmy wybrać się na przejażdżkę - odpowiedział, unosząc wyżej pochodnię, by oświetlić stojące opodal zwierzęta.

Stos drewna ułożony zawczasu przez Jondalara czekał tylko na płomień pochodni. Rozpaliwszy ogień, mężczyzna podążył za kobietą, która chciała przywitać się z ogierem i klaczą. Zdążył już przywyknąć do tego, że nawet kiedy pracowali wspólnie, każde z nich działało samodzielnie, toteż teraz, gdy ich ręce były spętane, zrobienie czegokolwiek - choćby pogłaskanie koni - sprawiało mu kłopot.

- Zdejmijmy te rzemienie - zaproponował. - Cieszę się, że przypieczętowały nasz związek, ale teraz ucieszyłbym się jeszcze bardziej, gdybyśmy się ich pozbyli.

- Moim zdaniem dobrze, że je mamy: przypominają nam, że musimy zawsze o sobie pamiętać - odparła znachorka.

- Nie potrzebuję więzów, żeby o tobie pamiętać, a już na pewno nie tej nocy - stwierdził Jondalar.



Ayla wpełzła do znajomego namiotu, trzymając rękę wyciągniętą za siebie, tak by jej mężczyzna mógł podążyć za nią. Jondalar użył pochodni do zapalenia kaganka, a potem odwrócił się i cisnął ją w ognisko. Gdy znowu spojrzął na swą partnerkę, siedziała już na miękkich futrach do spania, którymi wyścielił podłogę, i opierała się o jedną z poduszek, które na nowo wypchał suchą trawą. Znieruchomiał na moment, w skupieniu przyglądając się kobiecie, z którą tak niedawno związał swój los.

Cień Ayli tańczył na ścianie namiotu, wprawiony w ruch drżeniem wątlej płomyka. W jego świetle puszyste, jasne włosy kobiety skrzyły się złociście. Mężczyzna omiótł spojrzeniem żółtawą tunikę, rozsznurowaną na pełnych piersiach przedzielonych pięknym bursztynowym wisiołem. Czegoś mu jednak brakowało i minęła dłuższa chwila, nim zrozumiał czego.

- Gdzie twój amulet? - spytał, przysuwając się bliżej. - Zdjęłam go - odpowiedziała. - Koniecznie chciałam mieć na sobie ten strój od Nezzie i naszyjnik od twojej matki, a amulet po prostu do nich nie pasował. Marthona przyniosła małą torebkę z surowej skóry, żeby go przechować, i zabrała do chaty. Zaproponowała, żebyśmy zaszli jutro do obozu i zostawili nasze zaślubiny stroje. Pytała, czy będzie mogła pokazać kilku osobom moją tunikę. Odpowiedziałam, że tak, bo pomyślałam sobie, że Nezzie byłaby z tego zadowolona i dumna. Jutro też odbiorę amulet. Nie rozstawałam się z nim jeszcze nigdy, odkąd zostałam adoptowana przez Klan. Dziwnie się czuję bez niego.

Pamiętaj, że nie należysz już do Klanu - powiedział Jondalar.

- Wiem, i nigdy nie będę należała. Rzucono na mnie klątwę śmierci i nie mogę wrócić, ale Klan na zawsze pozostanie we mnie. Nigdy go nie zapomnę - szepnęła. - Iza zrobiła dla mnie ten amulet i poprosiła, żebym wybrała kawałek czerwonej ochry, który chciałabym włożyć do środka... Żałuję, że nie ma jej z nami. Byłaby szczęśliwa, gdyby zobaczyła mnie z tobą. Wszystkie sprawy, które były naprawdę ważne w moim życiu, pozostawiły swój ślad w moim amulecie. Są w nim przedmioty podarowane mi przez mój totem, Ducha Lwa Jaskiniowego, który zawsze mnie chronił. Gdybym straciła amulet, umarłabym - wyjaśniła z niezachwianą pewnością.

Jondalar rozumiał, jak wiele znaczył dla niej ten symbol i jak wiele znaczyły dla niej Zaślubiny, skoro zgodziła się rozstać się z amuletem na dzień i noc. Nie podobało mu się jednak przekonanie Ayli o niechybnej śmierci w razie jego utraty.

- Nie sądzisz, że to tylko przesąd wymyślony przez ludzi Klanu?

- Nie bardziej niż wasz elandon, Jondalarze. Marthona też tak uważa. W amulecie mieszka mój duch, dzięki czemu totem zawsze może mnie odnaleźć. Kiedy zostałam adoptowana przez Obóz Lwa, nie zapominałam o życiu, które wiodłam w Klanie. Dodałam je do nowego. To dlatego Mamut uczynił totem częścią mojego oficjalnego imienia. Teraz, kiedy należę do Dziewiątej

Jaskini, mimo wszystko wciąż jestem Aylą z Mamutoi. Tyle że moje imię trochę się wydłużyło - dodała z uśmiechem. - Ayla z Dziewiątej Jaskini Zelandonii, dawniej z Obozu Lwa Mamutoi, córka Ogniska Mamuta, wybrana przez Ducha Lwa Jaskiniowego, chroniona przez Niedźwiedzia Jaskiniowego, przyjaciółka koni i Wilka... zaślubiona Jondalarowi z Dziewiątej Jaskini Zelandonii. Obawiam się, że jeśli wydłuży się jeszcze bardziej, nie zapamiętam go w całości.

Wystarczy, że zapamiętasz ostatnią część: "zaślubiona Jondalarowi z Dziewiątej Jaskini Zelandonii" - odrzekł, sięgając ręką ku jej sutkowi. Muskając go palcami, obserwował, jak prostuje się i sztywnieje, odpowiadając na pieszczotę. Ayla poczuła pierwszą falę przyjemności.

- Zdejmijmy wreszcie te rzemienie - ponaglił Jondalar. - Przeszkadzają mi.

Ayla skrzyżowała nadgarstki i próbowała poluzować węzeł. Była jednak osobą praworęczną i manipulowanie lewą dłonią nie wychodziło jej najlepiej.

- Będziesz musiał mi pomóc, Jondalarze. Nie jestem zbyt dobra w rozsypywaniu rzemieni lewą ręką. Dużo prościej byłoby przeciąć je nożem.

- Nawet o tym nie wspominaj! - obruszył się Jondalar. - Nigdy nie przetnę węzła, który połączył mnie z tobą. Chcę być z tobą związany do końca życia.

- Ja już jestem związana i zawsze będę... z rzemieniem czy bez - odpowiedziała Ayla. - Ale masz rację. Zdaje się, że to nie przypadek, tylko wyzwanie. Spójrzmy jeszcze raz na ten węzeł... - mruknęła, przypatrując się uważnie rzemieniowi. - Jeśli przytrzymasz tutaj, a ja pociągnę tu, to powinien się rozwiązać. Tak mi się zdaje.

Jondalar zrobił, co kazała, i węzeł istotnie puścił bez większego oporu.

- Skąd wiedziałaś, że się rozwiąże? Znam się niezłe na Węzłach, ale nie wydawało mi się to takie oczywiste - powiedział zdziwiony.

Widziałaś przecież moją torbę uzdrowicielki - odrzekła. Jondalar skinął głową. - Widziałaś też woreczki, które w niej przechowuję. Każdy z nich jest zawiązany rzemykiem. Rodzaj i liczba węzłów podpowiadają mi, co znajduje się w środku. Czasem muszę szybko dostać się do moich ziół, więc nie mogę sobie pozwolić na robienie zbyt opornych supłów. Iza dawno temu nauczyła mnie wszystkiego o węzłach.

To się dobrze składa - mruknął mężczyzna, prostując w rękach długi rzemień. - Schowam go w plecaku, żeby nie zginął. Musimy pokazać wszystkim, że nie został przecięty, a w zamian za niego dostaniemy od Zelandoni pamiątkowe naszyjniki. - Jondalar zwinął rzemień i wcisnął do torby, a potem skupił się na swej pięknej partnerce. - A tak lubię cię trzymać, kiedy się całujemy - powiedział, obejmując Aylę ramionami i mocno przyciągając do siebie.

- Ja też to lubię - odpowiedziała.

Jondalar rozchylił językiem jej usta i sięgnął rękami do piersi. Popchnął kobietę lekko na miękkie futra i pochylił się, by ścisnąć wargami sutek. Natychmiast poczuła, że jej ciało reaguje na pieśczętę, a rozkosz spotęgowała się, gdy począł namiętnie ssać jej pierś, drugą gładząc ostrożnie palcami.

Odepchnęła go i zaczęła ściągać z niego strój, który sama zrobiła.

- Co ty poczniesz, Jondalarze, kiedy urodzi się dziecko? Będą pełne mleka.

- Obiecuję, że nie ukradnę za dużo, ale możesz być pewna, że go spróbuję - odparł z uśmiechem, zdejmując przez głowę swą białą tunikę. - Kiedyś już karmiłaś dziecko. Czy kiedy ssało pierś, czułaś to samo?

Ayla zamyśliła się na moment.

- Nie, niezupełnie - odparła. - Karmienie zaczyna być przyjemne po kilku dniach. Z początku dziecko ssie tak mocno, że sutki są obolałe, ale w końcu się przyzwyczajają. Ale nawet wtedy nie czuję tej przyjemności tu, w dole, jak wtedy, kiedy ty mnie pieścisz. Czasem wystarczy twój dotyk... a z dzieckiem nigdy nie zdarzyło mi się coś takiego.

- Ja czuję czasem coś w dole od samego patrzenia na ciebie - odrzekł z uśmiechem mężczyzna.

A potem rozpiął pas spinający jej tunikę i rozchylił naszywaną koralami skórę, by pogłodzić zaokrąglony brzuch i sięgnąć do wewnętrznej strony ud. Lubił jej dotykać. Zsunął z jej ramion bluzę i szybko uporał się z resztą odzienia,

la Ayla pomogła mu zzuć ciasno zawinięte rzemieniami, wysokie buty.

- Nie masz pojęcia, jak się ucieszyłam, kiedy zobaczyłam cię w tunice, którą zrobiłam specjalnie dla ciebie - i powiedziała.

Jondalar podniósł białą bluzę, którą rzucił uprzednio na posłanie, i złożył ją starannie. Umieściwszy ją ostrożnie na leżącym z boku plecaku, zabrał się do ściągnięcia nogawic. Ayla tymczasem zdjęła naszyjnik i kolczyki - płatki uszu wciąż jeszcze bolały ją po niedawnym przekłuciu - i wcisnęła bursztynową biżuterię do torby. Za nic nie chciałaby jej zgubić. Kiedy się odwróciła, zobaczyła swego mężczyznę, który - nie mogąc wyprostować się w ciasnym namiocie - podskakiwał pochylony na jednej nodze, próbując ściągnąć nogawicę. Nabrzmiały członek nie ułatwiał mu tego zadania. Ayla nie mogła się powstrzymać: chwyciła go i pociągnęła lekko, wytrącając Jondalara z równowagi. Mężczyzna padł na posłanie i oboje wybuchnęli śmiechem.

- Jak mam je zdjąć, skoro jesteś taka niecierpliwa? - spytał, z wysiłkiem zsuwając nogawicę stopą drugiej nogi. Kiedy dopiął swego, ułożył się wygodnie obok Ayli. - Kiedy właściwie zrobiłaś dla mnie tę tunikę? - spytał, opierając się na łokciu. W słabym świetle jego

niebieskie oczy sprawiały wrażenie czarnych; jedynie iskry miłości i pożądania płonęły w nich błękitnym blaskiem.

- Kiedy mieszkaliśmy w Obozie Lwa - odparła.

- Przecież tamtej zimy obiecałaś sobie Ranecowi. Dlaczego miałabyś robić dla mnie taki strój?

- Sama nie wiem. Myślę, że mimo wszystko miałam nadzieję. A potem przyszedł mi do głowy ten dziwny pomysł... Pamiętałam, że kiedy wyrzeźbiłeś w dolinie moją podobiznę, mówiłeś mi, że w ten sposób schwytałeś mojego ducha. Miałam więc nadzieję, że jeśli zrobię coś specjalnie dla ciebie, uda mi się złapać twojego ducha. A kiedy wszyscy dyskutowaliśmy o czarnych i białych zwierzętach, ty powiedziałaś, że białe mają dla ciebie wyjątkowe znaczenie. Dlatego gdy Grozie zgodziła się nauczyć mnie wyprawiania skóry na białą, postanowiłam, że zrobię coś dla ciebie. Kiedy pracowałam, zawsze myślałam o tobie. Sądzę, że tamtej zimy to były najszcześniejsze moje chwile. Próbowałam wyobrazić sobie ciebie w białej tunice podczas Zaślubin. Staralam się podsycać nadzieję - to dlatego niosłam ten strój przez całą długą Podróż.

Jondalar poczuł, że jego oczy wilgotnieją.

- Przykro mi, że nie jest ozdobiona. Nigdy nie byłam zbyt dobra w naszywaniu koralu, muszelek i innych ozdób. Zabierałam się do tego kilka razy, ale zawsze coś mi przeszkadzało. Zdążyłam tylko naszyć te gronostajowe ogony. Chciałam zdobyć więcej, ale tamtej zimy nie było na to czasu. Może w następnym sezonie upoluję jeszcze parę - powiedziała.

- Jest idealna, Aylo. Biel jest wystarczającą ozdobą. I tak wszyscy uznali, że celowo nie dekorowałaś jej niczym więcej poza ogonami. Marthona powiedziała mi, że podoba jej się to, iż pozwalasz, by jakość materiału i pracy stanowiła o urodzie stroju. Moim zdaniem już wkrótce ujrzysz niejedną białą tunikę w obozach Zelandonii.

Kiedy twoja matka powiedziała, że zobaczę się z tobą dopiero podczas ceremonii, byłam gotowa złamać wszystkie wasze obyczaje, byle tylko dać ci ten strój. Marthona uparła się jednak, że zrobi to za mnie, chociaż uważała, że i to nie jest w pełni zgodne z waszą tradycją. A ja i tak do ostatniej chwili nie byłam pewna, czy spodoba ci się mój dar i czy zrozumiesz, dlaczego chciałam, żebyś wystąpił dziś w tej tunice.

Powiedz, jak mogłem być tak głupi i ślepy tamtej zimy? Kochałem cię przecież tak bardzo... i tak bardzo pożądałem. Za każdym razem, gdy szłaś do łóżka Raneca, nie mogłem tego znieść. Nie mogłem spać, słyszałem każdy dźwięk. To dlatego zabrałem cię w końcu na otwarty step, żeby szkolić Zawodnika. Kiedy jechaliśmy razem na grzbiecie Whinney, czułem każdy ruch twojego ciała. Czy wybaczysz mi kiedyś, że tak cię wtedy przymusiłem?

- Ciągłe ci to powtarzałam, ale ty w ogóle nie słuchałeś. Nie przymusiłeś mnie, Jondalarze. Nie zauważyłeś, jak szybko ci odpowiedziałam? Jak mogłeś sądzić, że to przymus? To był dla mnie najszczęśliwszy dzień całej zimy. Potem przez długie noce śniłam o tym, co się stało. Za każdym razem, gdy zamykałam oczy, znowu czułam ciebie i tak bardzo chciałam, ale ty nie wracałeś.

Nagle zapragnął jej z całych sił i gorąco ucałował jej wargi. Nie mógł dłużej czekać. W mgnieniu oka znalazł się na niej, rozchylił jej uda i wszedł w nią, czując wilgotną miękkość zamykającą się wokół jego męskości. Ayla była gotowa. Sprężyła się, czekając na pierwszy ruch, i jęknęła, gdy poczuła go w sobie. Jondalar wycofał się i pchnął jeszcze Iraz, a potem znowu. Tempo rosło szybko, a kobieta wygięła biodra tak, by czuć rozkosz w najbardziej wrażliwym miejscu. Jondalar również odczuwał narastające gwałtownie napięcie, które w jednej chwili osiągnęło szczyt i zmieniło fcię w cudowną falę Przyjemności, ogarniającą oboje i przynoszącą niewysłowioną ulgę. Jondalar poruszył lędźwiami jeszcze kilka razy i znieruchomiał.

- Kocham cię, Aylo. Nie wiem, co bym zrobił, gdybym cię kiedyś stracił. Zawsze będę kochał ciebie i tylko ciebie - powiedział, ściskając ją ze wszystkich sił. Jego głos, pełen uczucia, drżał nieznacznie.

- Och, Jondalarze... Ja też cię kocham. I zawsze będę kochać. - W kącikach jej oczu pojawiły się łzy; po trosze z radości, a po trosze za sprawą rozkosznego rozluźnienia, : które ogarnęło jej ciało po chwili ekstazy.

Przez chwilę leżeli spokojnie oblani migocącym blaskiem kaganka, a potem Jondalar uniósł się lekko i przewrócił na bok, by położyć dłoń na brzuchu swej kobiety.

- Chyba jestem dla ciebie za ciężki. Nie powinienem tak się kłaść na tobie - mruknął.

- Nie jesteś ciężki - odrzekła. - Kiedy dziecko podrośnie, będziemy się zastanawiać, co począć.

- Czy to prawda, że czujesz ruchy tej istoty, która jest w tobie?

- Jeszcze nie, ale wkrótce zacznę. Ty też będziesz mógł je poczuć. Wystarczy, że będziesz trzymał dłoń na moim brzuchu, właśnie tak jak teraz.

- Chyba jestem zadowolony, że rodziłaś już kiedyś dziecko. Wiesz, czego się spodziewać.

To niezupełnie to samo. Kiedy nosiłam w sobie Durca, prawie przez cały czas byłam ciężko chora.

- A jak się teraz czujesz? - spytał, z niepokojem marszcząc brwi.

- Cudownie. Nawet na początku miałam tylko lekkie mdłości, a teraz nic mi nie dolega.

Milczeli przez dłuższy czas. Jondalar zastanawiał się, czy jego partnerka już zasnęła. Był gotów zacząć od nowa, czuł siłę, ale jeśli już spała...

- Ciekawe, jak mu się żyje - odezwała się nagle. - Mojemu synowi.

Tęsknisz za nim?

- Czasem tak bardzo, że nie wiem, co ze sobą zrobić. Na spotkaniu z Zelandoni nasza donier śpiewała Pieśń Matki.

Uwielbiam tę historię. Za każdym razem, kiedy ją słyszę, chce mi się płakać - zwłaszcza w tym momencie, kiedy Wielka Matka nie może mieć syna przy sobie, kiedy zostają na zawsze rozdzieleni. Myślę sobie wtedy, że wiem, co Ona czuła. Możliwe, że nigdy nie zobaczę Durca, ale chciałabym chociaż wiedzieć, czy nic mu nie jest. I jak traktuje go Broud i inni... - Ayla urwała i nie odzywała się przez dłuższą chwilę.

Jondalar zastanawiał się usilnie nad tym, co powiedziała.

- W Pieśni jest mowa o tym, że Wielka Matka rodziła w wielkim bólu. Czy to naprawdę tak boli?

- Ciężko było urodzić Durca. Nie lubię nawet o tym myśleć. Ale, jak mówi Pieśń, warto było.

- Boisz się, Aylo? Boisz się znowu wydać na świat dziecko?

Trochę. Ale tym razem czuję się tak dobrze, że może i poród nie będzie taki trudny.

- Nie mam pojęcia, jak kobiety mogą to robić... Robimy to, bo warto, Jondalarze. Tak bardzo pragnęłam mieć Durca... a oni powiedzieli mi, że jest zdeformowany, że nie mogę go zatrzymać... - Ayla zaczęła płakać, a Jondalar przytulił ją mocno. - To było straszne. Nie mogłam tego zrobić... Dobrze, że wśród Zelandonii matka ma jakiś wybór. Nikt nigdy nie będzie mnie zmuszał, żebym porzuciła dziecko.

Gdzieś w oddali rozległo się wycie wilków, a po chwili odpowiedział na nie pojedynczy głos, znacznie bliższy i wyraźniejszy, a do tego znajomo brzmiący. Wierny Wilk był niedaleko.

- Ciekawa jestem, czy i on mnie opuści - szepnęła Ayla. Wtuliła twarz w ramię Jondalara, który nie bardzo wiedział, jak ją pocieszyć. Trudno jest być wybraną przez Doni, pomyślał. To błogosławieństwo, ale jednak... Próbował wyobrazić sobie, jak by to było, gdyby poczuł, że rośnie w nim nowe życie, ale nie udało mu się. Mężczyźni nie rodzą dzieci, pomyślał. W takim razie po co Doni nas stworzyła? Gdyby nas nie było, kobiety umiałyby o siebie zadbać. Przecież nie wszystkie zachodzą w ciążę w tym samym momencie. Niektóre mogłyby polować, inne pomagałyby ciężarnym i tym, które opiekowałyby się noworodkami. Przy porodach także asystują kobiety. Na pewno przetrwałyby i bez polowania; umieją zbierać owoce nawet wtedy, gdy muszą mieć na oku małe dzieci.

Nieraz już zadawał sobie to pytanie i zastanawiał się, czy stawiają je sobie i inni mężczyźni. Nawet jeżeli tak było, nigdy się z tym nie zdradzali. Doni musiała mieć jakiś powód, by stworzyć

dwa rodzaje ludzi. W jej dziele kreacji nigdy nie brakowało logiki. Świat był uporządkowany. Słońce wschodziło każdego dnia, regularnie zmieniały się fazy księżyca, a pory roku następowały po sobie w nieziennej kolejności.

Czy to możliwe, by Ayla miała rację? Czy mężczyzna był niezbędny, aby mogło powstać nowe życie? Czy dlatego właśnie Wielka Matka stworzyła kobiety i mężczyzn? Trzymając partnerkę w ramionach, Jondalar bił się z myślami. Bardzo chciał, żeby istniał powód męskiej egzystencji, prawdziwy, poważny powód. Żeby liczyło się coś poza Przyjemnością i zapewnianiem bytu rodzinie. Pragnął, by jego życie było niezbędne, by jego płęć była niezbędna. Chciał wierzyć, że bez mężczyzn nie byłoby nowego życia, nie byłoby potomstwa, że Dzieci Ziemi przestałyby istnieć.

Zatopił się w myślach tak głęboko, że nie zauważył nawet, kiedy ucichło szlochanie Ayli. Spojrzał na nią i uśmiechnął się. Oddychała spokojnie, pogrążona we śnie. Miała za sobą długi i męczący dzień. Mężczyzna wysunął spod niej zdrętwiałą rękę i poruszał energicznie palcami, by przywrócić w nich krążenie. Sam także czuł znużenie. Wstał, by zgasić knot z mchu, po omacku powrócił na posłanie i legł obok swej kobiety.

Rankiem, gdy otworzył oczy, nie od razu zorientował się, gdzie jest. Przyzwyczyił się już do noclegów w chacie, w obozie Dziewiętej Jaskini, natomiast ściany namiotu wydały mu się znacznie bliższe. A jednak w ich ciasnocie było coś znajomego, przyjaznego. Przez ostatni rok sypiał w namiocie z Ayla... Dopiero w tym momencie przypomniał sobie wydarzenia poprzedniego wieczoru. Byli sobie zaślubieni. Ayla została jego partnerką. Wyciągnął rękę ku drugiej stronie posłania, ale kobiety już tam nie było. Poczł nagle, że na zewnątrz coś się gotuje. Usiadł i bez zastanowienia sięgnął po kubek - zdumiał się, widząc, że kubek z gorącą, miętową herbatą rzeczywiście stoi tam, gdzie zawsze. Pociągnął łyk. Napój miał dokładnie taką temperaturę, jaką lubił, a obok kubka leżała świeżo obrana witka gaulterii. Znowu jej się udało, pomyślał Jondalar. Przewidziała, czego będę potrzebował, i zadbała o mnie. Nie mam pojęcia, jak ona to robi.

Upił jeszcze trochę, a potem odsunął futro, którym by} przykryty, i wstał. Ayla była przy koniach, a Wilk kręcił się w pobliżu niej. Jondalar przepłukał usta, rozgryzł końcówkę witki i użył jej do umycia zębów, po czym znowu przepłukał usta i dopił resztę miętowej herbaty. Sięgnął po ubranie, ale po zastanowieniu uznał, że w zasadzie nie musi - w okolicy na pewno nikogo nie było; mógł czuć się swobodnie. Podszedł do Ayli nago, a ona uśmiechnęła się, spoglądając na jego męskość. To wystarczyło: członek natychmiast zaczął rosnać. Lekki uśmiech kobiety zmienił się w istic szelmowską minę. Jondalar odpowiedział uśmiechem.

Piękny mamy dzień - powiedział, zbliżając się do niej z dumnie sterczącą męskością.

- Moglibyśmy popływać - odrzekła, spoglądając mu w oczy. - Nasza sadzawka u źródła jest niedaleko stąd. Moglibyśmy podejść do niej z przeciwnej strony niż zwykle.

- Kiedy chciałabyś pójść? - spytał. - Nos mi podpowiedział, że coś gotujesz.

- Na przykład zaraz - odpowiedziała. - Mogę zdjąć jedzenie znad ognia.

W drogę, kobieto - rzekł zdecydowanie, biorąc ją w ramiona i całując mocno. - Weźmy tylko ubrania, pojedziemy konno. Szybciej będziemy na miejscu - dodał z zalotnym uśmiechem.

Ayla zabrała swój plecak, ale pojechali na oklep, nie tracąc czasu na zakładanie koniom derek. Wkrótce byli już nad brzegiem stawu. Wierzchowce puścili luzem, a sami rozpostarli na ziemi miękką skórę i ze śmiechem pobiegli do wody. Wilk popędził za nimi, ale gdy z pluskiem wskoczyli w chłodną toń, zmienił zdanie, zawrócił i zniknął w gęstwinie.

- Jak dobrze... i świeżo! - krzyknęła Ayla, kucając nagle i wstając w wodzie.

Jondalar uczynił to samo, a potem razem popłynęli ku przeciwległemu brzegowi sadzawki i z powrotem. Kiedy wychodzili z wody, objął Aylę ramieniem.

- Dobrze i świeżo jest czuć ciebie - powiedział. I podejrzewam, że dobrze smakujesz - dodał, biorąc ją na rękę, by zanieść na rozłożoną skórę. - Wczoraj mieliśmy zbyt wiele zajęć, dziś mamy dość czasu - rzekł, spoglądając na swą kobietę zdumiewająco błękitnymi oczami.

A potem pochylił się, złożył pocałunek na jej ustach i wolno opuścił się na nią, czując jednocześnie chłód skóry \ ciepło bijące z wnętrza ciała. Muskał wargami uszy i całował szyję, dłonią szukając jej piersi. Zamknął w palcach jej sutek - tego właśnie chciał i tego chciała Ayla.

Cierpliwie dotykał, ścisnął i rozcierał opuszkami palców jedną brodawkę, drugą ssąc i drażniąc językiem. Jego pieszczoty wprawiały Aylę w drżenie koncentrujące się wokół piiejsca, w którym zawsze odczuwała Przyjemność. Jondalar z rozkoszą pogładził jej wypukły brzuch, wiedząc, że W ciele kobiety rozwija się dziecko, a potem przesunął się jeszcze niżej do małego wzgórka i rozpoczynającej się za nim szczeliny.

Czując pulsujące coraz zwawiej fale Przyjemności, Ayla uniosła biodra ku niemu, kiedy odnalazł punkt, którego szukał. Mężczyzna podniósł się i zmienił pozycję: ułożył się między jej udami, rozchylił miękkie, różowe fałdy i przez moment napawał się widokiem. Wreszcie zamknął oczy i wysunął język, by poczuć jej smak. To była kobieta, której pragnął. To był jej smak. To była jego Ayla.

Leżała nieruchomo, pozwalając, by odnajdywał kolejno ciepłe miejsca, w których lubiła go czuć, i wreszcie zaczął pocierać językiem i ssać mały mięsisty węzełek. Westchnęła po chwili, przenosząc się myślą w miejsce, do którego tylko pieszczoty Jondalara potrafiły wskazać jej drogę. Przycisnęła się do jego ust, kiedy przyspieszył namiętny taniec języka, a jej jęki przybrały na sile i częstotliwości.



Mężczyzna czuł, że zbiera w nim pożądanie i niczego nie pragnął bardziej niż wejścia w jej ciało, ale postanowił, że najpierw doprowadzi Aylę na szczyt. Była coraz bliżej, aż wreszcie Przyjemność eksplodowała w niej z całą mocą, zalewając jej ciało falami niewysłowionej rozkoszy. Teraz chciała już tylko poczuć w sobie Jondalara.

Przyciągnęła go ku sobie i pomogła wejść, nie mogąc doczekać się pierwszego pchnięcia. Jondalar spełnił jej oczekiwania. Czuł, że otacza go ciepło jej ciała, i wchodził w nie coraz mocniej, coraz głębiej. Pasowali do siebie idealnie. Wiedział, że połączył się z właściwą kobietą. Przyjmowała go bez obawy; nie musiał martwić się ponadprzeciętnymi rozmiarami swego ciała. Niestrudzenie parł naprzód, cofał się i znowu atakował, wyciskając z niej westchnienia ekstazy, coraz płytsze i coraz szybsze.

Aż wreszcie pulsowanie, które czuł w sobie od dłuższej chwili, osiągnęło szczyt. Jondalar poczuł ulgę, ale jeszcze kilka razy wszedł w Aylę, nim spoczął na niej, by napawać się przemożnym poczuciem spełnienia. Ona zaś nie chciała, by cokolwiek robił: uwielbiała leżeć pod swym mężczyzną w taki sposób i jak najdłużej rozkoszować się Przyjemnością.

Znowu wskoczyli do wody i pływali chwilę, lecz kiedy wyszli, Ayla natychmiast wydobyla z plecaka skórki, którymi zazwyczaj wycierali się po kąpieli. Ubrawszy się, gwizdnęli na konie i pomknęli z powrotem do miejsca, w którym spędzili noc. Zastali tam Wilka krążącego nerwowo wokół namiotu i powarkującego z cicha. W zachowaniu wierzchowców także znać było niepokój.

- Coś czai się w pobliżu - stwierdziła Ayla. - Wilk jest niespokojny, konie też się boją. Sądysz, że te wilki, które słyszeliśmy w nocy, mogły podejść tak blisko?

- Nie wiem, ale po posiłku moglibyśmy zwinąć namiot i wybrać się na długą przejażdżkę - odparł Jondalar. - Byłoby lepiej, gdybyśmy spędzili następną noc z dala od tego miejsca.

- Chyba masz rację - poparła go Ayla. - Po drodze możemy zajrzeć do chaty, zostawić nasze zaślubinowe stroje i zabrać resztę podróznego ekwipunku. Rozejrzemy się później po okolicy i jeśli nie znajdziemy niczego podejrzanego, rozbijemy namiot nad sadzawką. I tak prawie nikt tam nie chodzi. Zabierzmy ze sobą Wilka; jeśli jesteśmy na terytorium jednej z tutejszych sfor, musimy spodziewać się ataku na niego. Wilki mają zwyczaj bronić się przed intruzami.

## ROZDZIAŁ 33

Kiedy wjeżdżali do obozu Dziewiętej Jaskini i zsiadali z koni opodal chaty Marthony, prawie nikt nie patrzył w ich stronę, a ci, którzy to robili, zdawali się ich nie dostrzegać. Ayla poczuła się nieswojo, jakby znowu doświadczała klątwy śmierci rzuconej przez mogura Klanu. Wiedziała, co to znaczy być ignorowanym przez ukochane osoby, stać się dla nich przezroczystym nawet wtedy, kiedy krzyczy się i wymachuje rękami o krok od nich.

Odrężyła się dopiero, gdy zobaczyła Folarę, zerkającą na nią ukradkiem i na próżno starającą się ukryć uśmiech. W zachowaniu Zelandonii nie było złej woli. Trwał okres próbny młodej pary, podczas którego Ayla i Jondalar nie mogli rozmawiać z nikim prócz siebie nawzajem. Po chwili ziiachorka dostrzegła jeszcze kilka osób, spoglądających na nich dyskretnie ze źle ukrywaną wesołością. To, że wszyscy byli aż nadto świadomi obecności młodych, było oczywiste.

Wchodząc do chaty, Ayla i Jondalar natknęli się na Marthoneę. Przystanęli na moment, a potem minęli się w przejściu bez słowa, lecz starsza kobieta zdążyła spojrzeć na nich i uśmiechnąć się szeroko. Uważała bowiem, że unikanie świeżo zaślubionej pary jest przesadą i że wystarczy wstrzymać się od rozmów z młodymi i nie prowokować ich do mówienia.

Zostawiwszy uroczyste stroje na pustym miejscu po futrach, na których sypiali, zebrali kilka potrzebnych drobiazgów i przeszli do posłania Marthony i Willamara. Starsza kobieta, która przypatrywała się ich poczynaniom, pozostawiła w widocznym miejscu torebkę z surowej skóry, w której schowała amulet Ayli, a obok ułożyła zawiniątko z zapasem jedzenia. Znachorka omal nie podziękowała jej na głos, lecz ugryzła się w język w ostatniej chwili i zamiast słów użyła gestów z mowy Klanu.

- Jestem ci wdzięczna za troskę, matko mojego partnera.

Marthona nie zrozumiała tej gestykulacji, ale domyśliła się, że to podziękowanie, i odpowiedziała uśmiechem kobiecie, z którą związał się jej syn. Być może warto by było nauczyć się choć paru najprostszych znaków, pomyślała. To musi być ciekawe: porozumiewać się z kimś bez słów i wiedzieć, że nikt niepowołany nie umie odszyfrować tych tajemniczych znaków. Kiedy młodzi opuścili letnie domostwo, Marthona podeszła do miejsca, w którym zazwyczaj sypiali, by przyjrzeć się jeszcze raz strojom, w których wystąpili poprzedniego wieczora.

Biała tunika z pewnością sprawiła, że Jondalar wyróżniał się z tłumu, ale w jego przypadku nie było to nic nowego. I choć była namacalnym dowodem imponującej techniki obróbki skóry, tak naprawdę to egzotyczny strój Ayli zrobił na publiczności prawdziwe wrażenie; dokładnie tak, jak przewidziała Marthona. Niejeden z malkontentów już zastanawiał się nad tym, czy właściwie

zrobił, kwestionując wysoki status jasnowłosej znachorki. Matka Jondalara zaprosiła wcześniej kilka osób, które zamierzała ugościć winem z czarnych borówek; od dwóch lat leżakowało ono w ciemnym i suchym kącie jej domostwa, zamknięte szczelnie w starannie wypreparowanym żołądku łosia. Postanowiła, że rozstawi na półkach kilka kaganków, by rozświetlić półmrok chaty i właściwie wyeksponować piękno tuniki i nogawic Ayli. Przykucnąwszy nad złożonym strojem, rozwinęła go i przyglądała dłonią załamania. Zależało jej przede wszystkim na pokazaniu najbardziej zawiłych i trudnych w realizacji fragmentów egzotycznego wzoru.

Ayla i Jondalar szczerze radowali się spokojnym życiem z dala od obozów Zelandonii. Czuli się tak, jakby znówu byli w Podróży, tyle że nie musieli już kontynuować marszu na zachód. Spędzali długie, letnie dni na polowaniu, łowieniu ryb i zbieraniu owoców wyłącznie na własne potrzeby. Pływali też w sadzawce i co dnia urządzali sobie długie konne przejażdżki. Wilk towarzyszył im coraz rzadziej, co mocno martwiło znachorkę. Było tak, jakby zwierz nie umiał się zdecydować, czy powinien pozostać wśród ludzi, których kochał, czy raczej powrócić do tego, co tak fascynowało go na wolności. Tak czy inaczej, zawsze potrafił odnaleźć obóz swojej pani, a Ayla przyjmowała go z radością, ilekroć się pojawiał. Okazywała mu czułość, głaskała i drapała, mówiła do niego i zabierała na wspólne polowania. Zwykle zabiegi te sprawiały, że zostawał przy niej nieco dłużej, ale prędzej czy później powracał do lasu, by spędzić noc - a czasem i kilka dni - na swobodzie.

Młodzi przemierzali tymczasem wzdłuż i wszerz okoliczne doliny i otaczające je pasma wzniesień. Jondalar sądził, że dobrze zna swoje rodzinne strony, ale dopiero teraz, gdy podróżowali konno, poznał prawdziwą skalę ziem Zelandonii i spojrzał na nie z nowej perspektywy. Z każdym dniem coraz bardziej doceniał bogactwo tutejszej przyrody. Nieustannie spotykali zwierzęta, które przemierzały kraj Zelandonii pojedynczo, małymi grupkami, a czasem niewyobrażalnie wielkimi stadami ciągnącymi się aż po horyzont.

Większość roślinożerców w spokoju dzieliła się rozległymi pastwiskami, toteż widok dwóch koni nie wzbudzał w dzikich zwierzętach niepokoju, nawet gdy na grzbietach wierzchowców jechali ludzie. Fakt ten pozwalał Ayli robić to, co bardzo lubiła: siedząc w milczeniu na pasącej się Whinney, godzinami przyglądała się zwierzynie, poznając jej zachowanie i zwyczaje. Jondalar towarzyszył jej często, ale trochę czasu poświęcał też innym zajęciom. Pracował nad małym miotaczem oszczepów i zapasem pocisków dla Lanidara. Wprowadził do swego wynalazku modyfikację,

T

Jedną, jak sądził, mogła ułatwić kalekiemu chłopcu posługiwanie się bronią. Jednak tego dnia, kiedy na równinie pojawiło się stado bizonów, towarzyszył swej kobiecie.

Choć ostatnie polowania dostarczyły uczestnikom Letniego Spotkania ogromnej ilości mięsa i skór, straty w gigantycznych stadach były w gruncie rzeczy niewielkie. Jednak gromady żubrów i bizonów nigdy nie pasły się razem. Ayla i Jondalar, którzy nie tak dawno uczestniczyli w zakrojonych na wielką skalę łowach, a potem osobiście skórowali i dzielili mięso potężnych roślinożerców, z zainteresowaniem przyglądali się ich codziennej egzystencji. Podczas wiosennego linienia bizony zrzuciły długą, ciemną, wełnistą sierść i teraz prezentowały dumnie jaśniejsze, letnie futra. Ayla z przyjemnością obserwowała parę żwawych, rozbawionych cieląt, które przyszły na świat późną wiosną lub na początku lata. Młode rozwijały się dość wolno i wymagały stałej opieki krów, lecz nawet matki nie zawsze mogły uchronić je przed atakiem niedźwiedzi, wilków, rysiów, hien, lampartów, a także lwów jaskiniowych - i ludzi.

Na równinie nie brakowało też jeleniowatych - od drobnych, niepozornych saren, po imponujące jelenie olbrzymie. Natknąwszy się na stadko megacerosów, Jondalar i Ayla w zachwycie przyglądali się ich delikatnie zarysowanym wąskim nozdrzom i fantastycznym porożom. Każdy z rogów przypominających wielopalczastą dłoń mógł ważyć dobre sto sześćdziesiąt funtów, a ich rozpiętość sięgała dwunastu stóp, lecz te nie były jeszcze tak duże, należały bowiem do zwierząt nie w pełni dojrzałych. Młodym bykom brakowało wciąż potężnych, muskularnych karków, choć już zaznaczały się na ich grzbietach charakterystyczne garby. Do nich właśnie umocowane były ścięgna i mięśnie, dzięki którym dźwiganie olbrzymich poroży w ogóle było możliwe.

Jednak nawet młode megacerosy unikały zarośli, w których ich rogi mogłyby się zaplątać. Lasy należały więc głównie do saren, a także do bardziej osobliwych przedstawicieli rodziny jeleniowatych, którzy upodobali sobie podmokłe, trudno dostępne rejony puszczy. Były to zwierzęta wysokie, o spadzistych grzbietach i nieco obwisłych pyskach. Kiedy pochylały się, by wyciągnąć spod wody swe ulubione rośliny, widać było ich niezbyt wielkie, ale efektowne palczaste poroża. W rodzinnych stronach Jondalara nazywano je łosiami.

Zwierzęciem znacznie częściej spotykanym i znacznie bardziej wszechstronnym niż łoś był jelen szlachetny, obdarzony bujnym, silnie rozgałęzionym porożem. Potrafił znaleźć dla siebie niszę w każdym środowisku, od wysokich gór po rozległe stepy. Dla zwinnych i nieustraszonych jeleni szlachetnych nawet najtrudniejszy teren miał swoje zalety; nie zniechęcały ich wąskie półki wysoko ponad granicą występowania drzew, o ile tylko mogły znaleźć dla siebie wystarczającą ilość pożywienia. Lasy, w których było dość światła, by rozwijało się poszycie z bujnych traw, i w których nie brakowało słonecznych polan, także były dla nich dogodnym miejscem, podobnie jak porośnięte wrzosami, łagodne stoki wzgórz.

Jelenie szlachetne nie lubiły biegać, ale ich długie nogi sprawiały, że nawet truchtem poruszały się z dużą prędkością. Spłoszone, potrafiły biec całymi milami, wykonując skoki na odległość czterdziestu i wysokość ośmiu stóp. Były wyśmienitymi pływakami. Najchętniej żywiły się trawą, ale nie gardziły też liśćmi, pąkami, jagodami, grzybami, ziołami, wrzosem, korą, żołądziami, orzechami, a nawet buczyną. o tej porze roku zbierały się w małe stada, toteż Ayla i Jondalar mieli okazję podpatrzeć grupkę jeleni, bez strachu posilających się trawą, która właśnie zaczynała nabierać złocistej barwy. Łąka, którą sobie upodobały, znajdowała się tuż nad strumieniem, którego drugi brzeg porastały rzędy buków pokrytych świeżymi, zielonymi liśćmi.

Stado składało się z samców w różnym wieku, o porożach pokrytych jeszcze delikatną skórką. Pierwsze rogi zaczynały rosnać, kiedy zwierzę miało rok. Gubione co sezon, wczesną wiosną, już na początku lata odrastały dłuższe o nowe rosochy. W fazie wzrostu okrywała je niezwykle silnie ukrwiona skórka, umożliwiającą wydajne doprowadzanie budulca do tworzącego się rogu. Pod koniec lata zaczynała ona schnąć i złuszczać się, powodując u byków swędzenie, któremu przeciwdziały, ocierając porożami o drzewa i kamienie. W owym czasie z ich rogów często zwisały strzępy zakrwawionej skóry.

U największego z jeleni, ważącego dobre osiemset funtów, Ayla i Jondalar naliczyli dwanaście odgałęzień poroża. Samiec ten miał sierść w odcieniach szarości, brązu i czerni; pozostałe byki były rdzawobrzowe lub beżowe, a jeden prawie biały. Jondalar miał wielką ochotę zapolować na największego, ale powstrzymał się, choć był pewien, że osiągnąłby go, ciskając oszczepem za pomocą miotacza.

Ten duży jest w szczytowej formie - powiedział cicho. - Będę musiał odwiedzić to miejsce pod koniec sezonu; one lubią trzymać się znanych terenów. Kiedy nastanie dla niego czas Przyjemności, będzie walczył o tyle samic, ile tylko spotka. Często wystarczy mu pokazanie tych pięknych rogów, by odebrać rywalowi chęć do boju. Kiedy jednak dochodzi do walki, bywa, że trwa ona nawet przez cały dzień. Łomot poroży słychać z ogromnej odległości. Czasem nie wystarczą im rogi; stają na tylnych nogach i walczą przednimi. Ten wygląda mi na dobrego, agresywnego zawodnika.

- Słyszałam kiedyś takie hałasy, ale nigdy nie widziałam pojedynku - odrzekła Ayla.

- Kiedy mieszkałem jeszcze z Dalanarem, zobaczyliśmy raz na polowaniu, że dwa byki splątały się porożami i nie mogły się rozdzielić. Były łatwą zdobyczą, ale potem trzeba było im rozcinać rogi, żeby je rozłączyć. Dalanar powiedział mi wtedy, że wyświadczyliśmy im przysługę, bo prędzej czy później padłyby z głodu lub pragnienia.

- Moim zdaniem ten największy miał już do czynienia z ludźmi - szepnęła Ayla, dając Whinney sygnał do wycofania się. - Wiatr się zmienił i pewnie zaniósł do nich nasz zapach, bo

ciemny byk od razu zrobił się niespokojny. Spójrz, już odchodzi... Jeśli to zrobi, pozostałe podążą za nim.

- Rzeczywiście, wygląda na zdenerwowanego - przyznał Jondalar, cofając się wolno.

Wtem z potężnego konaru buka rosnącego nad strumieniem runął w dół przyczajony do ataku ryś. Drapieżnik z impetem opadł na grzbiet najmłodszego jelenia, który właśnie pod nim przechodził. Byczek o lekko nakrapianej sierści rzucił się gwałtownie w przód, próbując zrzucić z siebie dzikiego kota o krótkim ogonie i zakończonych pędzelkami uszach, ale ten wczepił się mocno w jego ciało i zacisnął szczęki na karku, otwierając tętnicę. Pozostałe jelenie natychmiast rozpierchły się na wszystkie strony, ranny począł zaś biec w panice, zataczając spory okrąg i kierując się wprost na Aylę i Jondalara, którzy na wszelki wypadek przygotowali do rzutu miotacze oszczepów. Zwierzę jednak szybko traciło siły: potknęło się i przystanęło, a wtedy ryś zmienił nieco morderczy uścisk szczęk i krew trysnęła wartkim strumieniem. Młodziutki jeleni zrobił jeszcze parę kroków, nim padł na ziemię i znieruchomiał. Ryś jednym kłapnięciem paszczy otworzył jego czaszkę i zaczął pożywiać się jeszcze ciepłym mózgiem.

Niebezpieczeństwo pojawiło się i minęło dość szybko, ale konie wciąż były niespokojne, a ludzie gotowi do odwrotu. To dlatego był taki nerwowy - zauważyła Ayla. - Wyczuł rysia, nie nas.

Ten, który zginął, był bardzo młody - rzekł Jondalar. - Miał jeszcze łątki na sierści. Podejrzewam, że jego matka została zabita i trochę za wcześnie musiał się usamodzielnic. Dołączył do stada byków, ale niewiele mu to pomogło. Najmłodszy zawsze ma najmniejsze szansę.

- Kiedy byłam mała, próbowałam raz zabić rysia strzałem z procy - powiedziała Ayla, ponagłając Whinney do szybszego marszu.

Z procy? - zdumiał się Jondalar. - Ile miałaś lat? Znachorka zastanawiała się przez moment, zestawiając w pamięci wydarzenia.

- Zdaje się, że osiem, może dziewięć - odpowiedziała.

- Mógł cię zabić równie łatwo jak tego jelonka - stwierdził mężczyzna.

Wiem. Poruszył się w chwili rzutu i kamień tylko go musnął. To go rozdrażniło; skoczył na mnie, ale zdążyłam się usunąć. Złapałam kawał drewna i zdzieliłam go mocno. Uciekł - podsumowała lakonicznie.

Wielka Matko! Niewiele brakowało, Ayla - powiedział Jondalar, prostując się na grzbiecie Zawodnika, który posłusznie zwołał.

- Przez jakiś czas bałam się wychodzić z jaskini samotnie, ale w końcu wpadłam na pomysł, żeby rzucać dwukrotnie. Doszłam do wniosku, że jeśli będę miała w pogotowiu drugi kamień, zawsze zdążę poprawić, zanim zwierzę mnie zaatakuje. Nie byłam pewna, czy to się uda,

ale poćwiczyłam trochę i doszłam do wprawy. Pewności siebie nabrałam jednak dopiero wtedy, kiedy ubiłam w ten sposób hienę.

Jondalar pokręcił głową. W głębi duszy był zdumiony, że mimo tak obfitującej w przygody przeszłości jego kobieta chodziła jeszcze po tym świecie.

W drodze do tymczasowego obozu spotkali kolejne stado zwierząt, które przykuły uwagę Whinney i Zawodnika. Były to onagry, stworzenia przypominające po trosze konie i osły, ale w istocie należące do osobnego gatunku. Whinney zatrzymała się, by powąchać ich odchody, a Zawodnik zarżał na powitanie. Zwierzęta przestały żuć trawę i spojrzwały ciekawie na parę wierzchowców. Ryk, którym odpowiedziały, przypominał raczej osli głos, ale widać było, że obie strony rzdują sobie sprawę z łączącego je pokrewieństwa.

Wkrótce potem Jondalar i Ayla zauważyli samicę suhaka z parką młodych. Przypominające kozę zwierzę o silnie rozdętym nosie zdecydowanie wołało równiny, a nawet nagie stopy, od gór zaś trzymało się z daleka. Znachorka przypomniała sobie, że suhak był totemem Izy.

Następnego dnia młoda para spotkała stado stworzeń, których bliskość bardzo zaniepokoiła Aylę. Dla Whinney i Zawodnika obecność koni była wielką pokusą.

Tutejsze zwierzęta różniły się nieco od rumaków, które przybyły na ziemie Zelandonii ze wschodu. Konie tworzące nieduże stado nie były ani żółtawe, jak Whinney, ani kasztanowe, jak Zawodnik - były w większości szarawe i miały białe brzuchy. Cechami wspólnymi były za to sterczące, czarne grzywy, czarne ogony, czarne pasy na grzbiecie i czarne dolne części nóg. Zarówno konie ze wschodu, jak i z zachodu, nie były zbyt wysokie, miały szerokie grzbiety i wystające brzuchy. Okazy z napotkanego stada były może odrobinę wyższe i miały minimalnie krótsze głowy.

Dzikie konie przyglądały się Whinney i Zawodnikowi z wielką ciekawością, ale tym razem rzenie młodego ogiera wywołało odmienną reakcję niż poprzednio, przy okazji spotkania z onagrami. Ayla i Jondalar bez słowa spojrzeli po sobie, gdy od grupy odłączył się wielki samiec i popędził na spotkanie intruzów. Natychmiast zawrócili konie i pognali galopem przed siebie, jak najdalej od stada. Jondalar nie chciał, by Zawodnik wdał się w walkę z ogieremprzywódcą. Ayla poznała już smak coraz częstszych rozstań z Wilkiem i z lękiem myślała o tym, że także i konie mogłyby wybrać wolność i przyłączyć się do swych pobratymców.

Kolejne dni były dla znachorki szczęśliwe - Wilk pojawiał się częściej i zostawał z nimi na dłużej, przez co znowu czuła się tak, jakby cała jej rodzina była w komplecie. Wędrując po okolicy, z respektem ominęli imponującego dzika, który rył ziemię w poszukiwaniu trufli, i ze śmiechem przyglądali się zabawie pary wydr, pluskających się w rozlewisku stworzonym przez tamę bobra, który natychmiast zniknął, gdy w polu widzenia pojawili się ludzie. Znaleźli też legowisko

niedźwiedzia i kępki jego sierści, które utkwiły w korze drzewa, ale samego zwierzęcia nie próbowali tropić. Wyczuli także charakterystyczny zapach rosomaka i wypatrzyli lamparta zeskakującego z wysokich skał na wzgórzu, a nieco dalej stadko koziorożców wdrapujących się zwinnie po niemal pionowej ścianie.

Kilka samic z młodymi - których krótkie wełniste futro obnażało szczupłość słabych jeszcze nóg - odłączyło się od grupy i zeszło niżej, by pożywić się bujną florą równiny. Koziorożce miały długie rogi zaginające się ku tyłowi, charakterystyczny garb za głową i kopyta o twardych brzegach odpornych na kontakt z ostrymi krawędziami skały, ale i o miękkich podszwach zapewniających dobrą przyczepność.

Jondalar zauważył, że Ayla przymknęła oczy i wolno kręcąc głową, nasłuchiwała czegoś w skupieniu.

- Zdaje się, że mamuty idą w naszą stronę - stwierdziła po chwili.
- Skąd wiesz? Ja nic nie widzę.
- Słyszę je - odrzekła. - Słyszę dużego samca.
- A ja nie - mruknął Jondalar, kręcąc głową.

To taki głęboki, dudniący dźwięk - szepnęła, znowu wytyżając słuch. - Spójrz, Jondalarze! Tam! - zawołała z podnieceniem, widząc w oddali stado mamutów.

To, co usłyszała, istotnie było głosem dojrzałego samca. Takie wołanie mogło dotrzeć do samicy nawet z odległości pięciu mil, ponieważ dźwięki o tak niskich częstotliwościach miały większy zasięg niż te, które były słyszalne dla ludzi. Tak naprawdę Ayla bardziej je wyczuwała, niż słyszała.

Stado składało się głównie z samic z młodymi, ale jako że jedna z nich miała ruję, w pobliżu kręciło się kilka samców, pełnych nadziei, mimo iż jej partnerem został już dominujący byk w całej okolicy. Lekceważyła ich zaloty aż do chwili, gdy zainteresował się nią najsilniejszy samiec. Teraz jego zadaniem było odpędzanie konkurentów - z których i tak żaden nie próbował z nim walczyć - samica zaś mogła spokojnie pożywiać się i karmić pierwsze młode.

Grube i gęste włosie okrywało ciało mamuta od stóp po koniuszek trąby, nie wyłączając stosunkowo niewielkich uszu. W miarę jak zwierzęta zbliżały się do miejsca, w którym zatrzymali się Ayla z Jondalarem, coraz wyraźniej widać było kolorystykę ich futer. Młode były najjaśniejsze, samice w zależności od wieku były kasztanowe lub ciemnobrązowe, natomiast dojrzałe samce z biegiem czasu przybierały barwę niemal czarną. Pod zewnętrznym długim włosiem znajdowała się warstwa krótkiej, bardzo gęstej sierści, która zapewniała zwierzętom ciepło nawet podczas najnnroźniejszych zim - zwłaszcza wtedy, gdy do ich żołądków dostawała się zimna woda, śnieg lub lód, słowem - gdy temperatura ich ciał znacznie spadała.



- Za wcześnie na mamuty - mruknął Jondalar. - Nigdy nie widywaliśmy ich tu przed jesienią, późną jesienią. Mamuty, nosorożce, woły piżmowe i renifery to zimowa zwierzyna.

W ostatni dzień dobrowolnego wygnania Jondalar i Ayla wstali dość wcześnie. Poprzednie kilka dni spędzili na zwiedzaniu terenów na zachód od Rzeki, aż po inną rzekę, która płynęła mniej więcej równoległym korytem. Spakowali wszystkie swoje rzeczy, ale przed powrotem do obozu chcieli raz jeszcze wybrać się na przejażdżkę. Odrobina samotności we dwoje sprawiła im autentyczną przyjemność, choć zdążyli też trochę zatęsknić za najbliższymi i za gwarem letniej siedziby Dziewiątej Jaskini Zelandonii. Spędzili w Podróży niemal rok, ciesząc się sobą i towarzystwem zwierząt, toteż zarówno dobre, jak i złe strony odosobnienia znali aż nadto dokładnie.

Zabrali ze sobą trochę wody i jedzenia, ale nie spieszyli się w żadnym konkretnym kierunku. Ayla była nieco przygnębiona dwudniową nieobecnością Wilka. W Podróży z radością pozostawał im wierny, ale wtedy był zaledwie szczeniakiem. Choć wydawało się, że minęła cała wieczność, w rzeczywistości od pamiętnej zimy, kiedy Ayla przyniosła do ziemianki Mamutoi małą, kosmatą kulkę, upłynął tylko ponad rok. Mimo imponujących rozmiarów Wilk nadal był młody.

Znachorka nie miała pojęcia, jak długo żyją wilki, ale podejrzewała, że znacznie krócej niż ludzie. Traktowała Wilka jak dojrzewającego młodzieńca, a więc - zdaniem większości matek i ich partnerów - był w wieku, w którym młodzież przysparzała największych problemów. Dorastający ludzie przejawiali nadzwyczajną, niespożytą energię i nie wahali się ryzykować, przekonani, że życie będzie trwać wiecznie. Jeżeli zdołali uniknąć najgorszego, owa lekkomyślność dawała im cenne doświadczenie na przyszłość, a jeśli nie... Ayla sądziła, że z wilkami rzecz ma się podobnie, i w związku z tym nie przestawała się martwić.

Lato było bardziej suche i chłodniejsze niż te, które Jondalar pamiętał sprzed Podróży. Wiatr, który tego dnia gnał nad równiną, wznosił tumany pyłu i zdecydowanie nie był przyjemny. Z ulgą spostrzegli więc małe jeziorko, w którym mogli się odświeżyć. Postanowili zatrzymać się chwilę nad wodą - w cieniu wierzby płaczącej podzielili się Przyjemnością, a potem długo leżeli, odpoczywając i gawędząc leniwie, aż wreszcie uznali, że nadszedł czas na kąpiel i pływanie.

Kto pierwszy na drugi brzeg?! - zawołała Ayla, z pluskiem wskakując do wody i natychmiast ruszając przed siebie długimi pociągnięciami ramion.

Jondalar pognał za nią i powoli odrabiał opóźnienie - miał dłuższe kończyny i silniejsze mięśnie - choć czynił to z wyraźnym wysiłkiem. Kobieta obejrzała się i gdy stwierdziła, że partner jest blisko, zdwoiła wysiłki. Dotarli na przeciwległy brzeg niemal równocześnie, po bardzo zaciętym finiszu.

- Miałaś przewagę na starcie, więc ja wygrałem - orzekł Jondalar, kiedy ułożyli się na trawie, dysząc ciężko.

- Trzeba było wyzwać mnie na pojedynek - odparła ze śmiechem Ayla. - Oboje zwyciężyliśmy.

Słońce minęło już punkt zenitu i zaczynało podróż ku zachodniemu horyzontowi, gdy w znacznie wolniejszym tempie powracali na brzeg, na którym pozostawili konie i ubrania. Pakując się, czuli smutek, mieli bowiem świadomość, że kilkunastodniowa idylla dobiega końca. Wreszcie dosiedli wierzchowców i ruszyli wolno w stronę głównego obozowiska Letniego Spotkania.

Byli nie dalej niż o kilka mil od obozu, gdy usłyszeli krzyki i zobaczyli chmurę pyłu wznoszącą się nad stepem. Podjechawszy bliżej, ujrzeli grupkę młodzieńców, którzy prawdopodobnie zamieszkiwali jedną z dalekich chat. Jondalar przyjrzał się bliżej zdobieniom ich strojów i doszedł do wniosku, że pochodzą z Piątej Jaskini. Każdy z nich dzierżył włócznię, a ustawieni byli kręgiem wokół wielkiej bestii o długim zmierzwionym futrze i o masywnym pysku zwieńczonym parą potężnych rogów.

Był to dorodny nosorożec włochaty, długi na jedenaście i pół stopy, a wysoki na ponad pięć. Krótkie, grube, dobrze umięśnione nogi podtrzymywały jego pękate cielsko i wielki łeb. Zwierzęta z tej rodziny pożerały ogromne ilości traw i ziół porastających stepy. Nie gardziły liśćmi roślin zimozielonych, a także witkami wierzbow porastających brzegi rzek. Oczy nosorożca włochatego, umieszczone po bokach głowy, nie zapewniały mu nadzwyczajnej widoczności, zwłaszcza w przód. Jednak doskonały węch i słuch rekompensowały słabość wzroku.

Przedni róg miał około metra długości. Ciężki i groźnie wyglądający, przeczesał trawę na boki w takt ruchów masywnego łba. Zimą sprawdzał się znakomicie jako pług śnieżny, pozwalając zwierzęciu dostać się do suchych, zmarzniętych, ale wciąż pożywnych roślin. Grube, wełniste, jasnobrązowe futro okrywające całe jego ciało zwieszało się niemal do ziemi. W połowie długości korpusu zwierza Ayla zauważyła pas nieco ciemniejszego włosia, który skojarzył się jej z derką narzuconą na grzbiet - o ile ktokolwiek miałby ochotę dosiąść tak potężnego, nieprzewidywalnego, a czasem podstępnego i niesłychanie niebezpiecznego stworzenia.

Nosorożec wściekle rył ziemię kopytem, poruszając łbem na boki, by w końcu wypatrzeć natręta, którego obecność sygnalizował mu czuły nos. I wreszcie poderwał się do ataku. Młody człowiek odważnie stał na jego drodze aż do ostatniej chwili, nim uskoczył w bok przed ostrym rogiem. Wygląda mi to na ryzykowną zabawę - powiedziała Ayla, zatrzymując klacz w bezpiecznej odległości.

Właśnie dlatego jest taka ekscytująca - odrzekł Jondalar. - Nosorożce włochate nigdy nie są łatwą zdobyczą. To wyjątkowo gwałtowne i wredne bydłeta.

- Jak Broud - zauważyła Ayla. - Jego totemem był właśnie nosorożec włochaty. Mężczyźni Klanu czasem na nie polowali, ale nigdy nie widziałam żadnego okazu na własne oczy. Co właściwie chcą osiągnąć ci chłopcy?

- Nie widzisz? Wabią go. Każdy po kolei stara się przyciągnąć jego uwagę, zmusić do szarży i uskoczyć w ostatniej chwili. Próbują go zmęczyć, a przy okazji tak dla sportu sprawdzają swoją odwagę: zwycięży ten, kto najpóźniej usunie się sprzed atakującego nosorożca. W zasadzie tylko młodzi polują w taki sposób - wyjaśnił Jondalar. - Jeżeli go zabiją, zainoszą mięso do swojej Jaskini i zdobędą wielkie uznanie. Oczywiście podzielą się mięsem ze wszystkimi, ale ten, kto będzie miał największy udział w polowaniu, ma prawo wybrać najcenniejsze kęski. Z reguły zwycięzca zadowala się rogiem; to ceniony materiał na narzędzia, rękojeści noży i inne drobiazgi, ale jest jeszcze jeden powód popularności rogu. Być może dlatego, że to trofeum kojarzy się niektórym z organem męczyzny szukającego Przyjemności, ludzie wierzą, że sproszkowany róg nosorożca, podany w tajemnicy kobiecie, uczyni ją namiętną dla męczyzny - dodał z uśmiechem Jondalar.

- Mięso też nie jest złe, a spod skóry można wytopić mnóstwo tłuszczu - zauważyła Ayla. - Tyle że niełatwo spotkać takie zwierzę.

- Zwłaszcza o tej porze roku - przytaknął Jondalar. - Nie dość, że żyją pojedynczo, to jeszcze rzadko schodzą aż tu w ciągu lata. Wolą chłody, chociaż każdej wiosny zrzucają miękkie krótkie włosie ukryte pod tą długą wełną. Całe kępki zostają wtedy na krzakach. Wielu ludzi wyprawia się specjalnie po to, żeby je zbierać, na przykład tkacze i wyplatacze koszyków. Ja też chodziłem po nie z matką, i to parę razy do roku. Marthona wie wszystko o linieniu zwierząt: koziorożców, muflonów, wołów pizmowych, koni, lwów, no i oczywiście mamutów i nosorożców włochatych.

- A ty, Jondalarze? Wabiłeś kiedyś nosorożca? Męczyzna roześmiał się cicho.

Tak, dawno temu, jak większość młodzieńców. Zresztą nie są to jedyne zwierzęta, które nadają się do tej zabawy: są jeszcze żubry czy bizony. Kobiety też biorą czasem w niej udział. Na przykład Jetamio radziła sobie doskonale, kiedy pokazywaliśmy jej, jak się to robi. Pamiętasz, mówiłem ci o niej, to kobieta Sharamudoi, która została partnerką Thonolana. Była w tym naprawdę dobra. Sharamudoi nie polowali na nosorożce, woleli łowić jesiotry w Wielkiej Matce Rzece i ściągać w górach koziorożce, które swoją drogą też nie jest łatwo zwabić. To właśnie za sprawą nosorożców poznaliśmy ten lud. Thonolan został ranny na polowaniu, a Sharamudoi uratowali mu życie.

Ayla i Jondalar w milczeniu przyglądali się niebezpiecznej grze. Jeden z męczyzn wystąpił z szeregu, pokrzykiwaniem i machaniem rękami starając się sprowokować nosorożca do ataku.

Zazwyczaj nieomylny węch zwierza tym razem zawiódł go - głównie z racji sporej liczby przeciwników, z których każdy stał w innym miejscu. Kiedy wreszcie dostrzegł cel swymi małymi oczkami, z imponującą szybkością poderwał się do biegu, pochylając nisko łeb zbrojny w potężny róg. Mężczyzna w ostatniej chwili wykonał zwód ciałem i uskoczył. Minęła chwila, nim nosorożec zorientował się, że jego atak trafił w próżnię.

Zwierz był zdezorientowany, zmęczony i coraz bardziej rozwścieczony. Stanął i zaczął ryć łapą w ziemi, podczas gdy młodzieńcy na nowo otaczali go kręgiem. Kolejny śmiałek wystąpił z szeregu, pokrzykując i wymachując rękami, by zwrócić na siebie uwagę włochacza. Nosorożec zawrócił i zaatakował ponownie, a młody mężczyzna odskoczył w samą porę. Następnym razem sprowokowanie bestii do szarży wymagało już większego wysiłku - była coraz bardziej znużona i zniechęcona bezskutecznymi atakami.

Stała nieruchomo, ze zwieszonym łbem, oddychając ciężko. Mężczyźni zaczęli zbliżać się ostrożnie, zacieśniając krąg i sposobiąc się do zadania decydujących ciosów. Ten, na którym teraz spoczęło zadanie zwabienia zwierza, ścisnął mocniej drzewce oszczepu i wysforował się przed pozostałymi. Nosorożec zdawał się go nie zauważać. Dopiero kiedy młodzieniec był o kilka kroków od niego, dostrzegł ruch swymi słabymi oczami i poczuł przypływ bojowego szału.

Zaatakował bez ostrzeżenia. Zerwał się do galopu tak nagle, że mężczyzna nie zdążył zareagować. Róg nosorożca po raz pierwszy przeciął coś więcej niż powietrze. Rozległ się przeraźliwy okrzyk bólu i młody łowca runął na ziemię. Ayla bez zastanowienia ponagliła klacz do biegu w stronę rannego.

- Aylo! Czekaj, to zbyt niebezpieczne! - zawołał za nią Jondalar, spinając ogiera i w biegu ładując miotacz.

Młodzi mężczyźni jak na komendę cisnęli swe oszczepy w kierunku rozwścieczonej bestii. Ayla w biegu zeskoczyła z konia i rzuciła się w stronę rannego. Tymczasem nosorożec, naszpikowany włóczniami niczym gigantyczny, groteskowy jeź, zachwiał się, padł ciężko na ziemię i znieruchomiał. Zwycięstwo było jednak spóźnione, zwierz bowiem zdążył dopaść przynajmniej jednego z gromady wrogów, nim wyzionął ducha.

Kilkunastu wyraźnie zagubionych i przestraszonych młodzieńców skupiło się wokół powalonego towarzysza, spoczywającego bez zmysłów tam, gdzie cisnął go wielki zwierz. Wyglądali na zaskoczonych widokiem jasnowłosej kobiety i rosnącego mężczyzny, którzy podbiegli do nich, ale nie odważyli się zastąpić im drogi. Znachorka odwróciła rannego na plecy i sprawdziła oddech, a potem sięgnęła po nóż i rozcięła nasiąkniętą krwią nogawicę. Nie zauważyła nawet, że dłoń, którą odgarnęła kosmyk włosów, pozostawiła na jej twarzy czerwoną smugę. Choć na jej czole nie było tatuażu Zelandoni, młodzieńcy widzieli, że zna się na rzeczy.

Gdy odsłoniła zranioną nogę, sytuacja stała się oczywista. Prawe podudzie mężczyzny było wygięte w tył pod nienaturalnym kątem, poniżej stawu kolanowego. Potężny róg nosorożca rozdarł łydkę i złamał obie kości. Rozerwane mięśnie i ostre drzazgi kostne sterczały z ogromnej rany a krew wylewała się z niej, tworząc na ziemi kałużę. Ayla spojrzała na Jondalara.

- Pomóż mi go ułożyć, zanim odzyska przytomność; później ból będzie dla niego nieznośny. Przynies miękkie skóry, mogą być te, którymi się wycieraliśmy. Poza tym muszę przewiązać czymś nogę, żeby powstrzymać krwotok, a potem będę potrzebowała łubek. - Partner znachorki bez słowa pobiegł z powrotem ku koniom, ona zaś popatrzyła na jednego z młodzieńców stojących dookoła.

Trzeba go zanieść do obozu. Umiecie zrobić nosze? - Mężczyzna spoglądał na nią tępo, jakby nie usłyszał lub nie zrozumiał jej słów. - Musimy mieć coś, na czym da się go położyć i przenieść.

- Nosze - powtórzył młodzian, kiwając głową.

Ayla pomyślała, że tak naprawdę więcej w nim z dziecka niż z mężczyzny.

- Jondalar wam pomoże - powiedziała, gdy jej partner powrócił ze skórami.

Kiedy przekładali rannego, jęknął cicho, ale nie ocknął się z omdlenia. Uzdrowicielka obejrzała go po raz drugi, tym razem szukając urazów głowy, ale nie zauważyła żadnych śladów. Uklęknęła na nodze mężczyzny, tuż ponad kolanem, żeby zahamować upływ krwi, i pomyślała o założeniu opaski uciskowej. Doszła jednak do wniosku, że jeśli najpierw nastawi kości i usztywni kończynę łubkami, dodatkowe zabezpieczenie nie będzie potrzebne - nacisk na samą ranę powinien wystarczyć. Mężczyzna krwawił jeszcze, ale niezbyt obficie.

- Zrób łubki mniej więcej długości jego nogi; połam kilka oszczepów, jeśli będzie trzeba - zwróciła się Ayla do Jondalara.

Po chwili partner podał jej kawałki drzewc. Pocięła szybko jedną ze skór na wąskie paski, drugą zaś owinęła wokół kijów, by nie były zbyt twarde. Potem chwyciła palce stopy rannego jedną dłonią, a drugą ujęła piętę. Zaczęła obracać wolno złamaną nogę, by przywrócić jej właściwe położenie. Kiedy czuła opór, cofała się nieco i powtarzała zabieg. Nieprzytomny drgnął kilkakrotnie podczas tej operacji, a z jego krtani dobiegł cichy jęk. Wszystko wskazywało na to, że wkrótce się obudzi. Ayla wsunęła palce w krwawiącą jeszcze ranę, by sprawdzić, czy kości znalazły się we właściwym położeniu.

- Jondalarze, przytrzymaj jego udo - powiedziała. - głuszę nastawić obie kości, zanim się obudzi i dopóki jeszcze Jcrwawi. Krew pomoże oczyścić ranę. - Znachorka zadarła głowę i przyjrzała się młodzieńcom, którzy patrzyli na nią z mieszaniną przerażenia i podziwu. - Ty i ty - odezwała się po chwili, spoglądając w oczy dwóm spośród nich. - pomożecie mi. Za chwilę

podniosę jego nogę, żeby nastawić kości. Jeśli tego nie zrobię, zrosną się krzywo i chłopak nigdy nie będzie chodził jak dawniej. Chcę, żebyście wzięli te łubki i wsunęli je pod spód. Kiedy opuszczę nogę, powinna znaleźć się między nimi. Możecie to zrobić?

Młodzieńcy zgodnie skinęli głowami i wzięli do rąk owinięte skórą kawałki oszczepów. Kiedy byli gotowi, Ayla chwyciła stopę rannego za palce i piętę, a potem stanowczym ruchem uniosła jego nogę. Jondalar przytrzymał bezwładne udo, a wtedy pociągnęła powoli, ale z dużą siłą. Nie pierwszy raz widział, jak jego kobieta leczy złamanie, ale nigdy jeszcze nie był świadkiem nastawiania dwóch kości naraz. Dostrzegł skupienie i wysiłek na jej twarzy. Próbowała wyczuć, czy kości wsunęły się już na swoje miejsce, i w pewnej chwili nawet Jondalar odniósł wrażenie, że coś przeskoczyło w nodze rannego, jakby wracało do pierwotnego położenia. Ayla ułożyła wyprostowaną, bezwładną kończynę między łubkami i przyjrzała się jej krytycznie. Zdaniem Jondalara noga była prosta, ale czyjego zdanie miało znaczenie? W każdym razie nie była już wykręcona pod nienaturalnym kątem.

Ayla dała mu znak, że może już puścić udo, i zajęła się krwawiącą raną. Ściskając ją najmocniej, jak umiała, z pomocą partnera przywiązała łubki paskami skóry. Kiedy skończyła, przysiadła na piętach i odetchnęła ciężko.

Teraz dopiero Jondalar zauważył, jak wiele krwi stracił ranny - jej ślady były wszędzie: na kawałkach skóry, na łubkach, na ciele Ayli, jego samego i młodych mężczyzn, którzy pomagali.

- Myślę, że powinniśmy jak najszybciej zanieść go do obozu - powiedział.

Przemknęła mu przez głowę myśl, że okres próbny formalnie jeszcze się nie zakończył i nie odbył się rytuał zwalniający młodą parę z obowiązku milczenia. Ayla jednak nawet nie zastanawiała się nad tym, czy powinna złamać zasady. Jondalar także nie poświęcił tej myśli zbyt wiele czasu: sytuacja była wyjątkowa, a w pobliżu nie było Zelandoni, którą można by spytać o zdanie.

- Musicie zrobić nosze - powtórzyła znachorka, zwracając się do otaczających ją młodzieńców, którzy sprawiali wrażenie jeszcze bardziej zszokowanych niż sam ranny.

Spojrzeni po sobie, niepewnie przestępując z nogi na nogę. Wszyscy bez wyjątku byli nie tylko młodzi, ale i niedoświadczeni. Kilku z nich niedawno osiągnęło wiek męski, a paru dopiero podczas wielkiego polowania na początku sezonu pierwszy raz w życiu własnoręcznie ubiło bizona - a przecież były to łowy dość proste, niewiele różniące się od myśliwskich ćwiczeń. Wabienie nosorożca było pomysłem jednego z nich, chłopaka, który kilka lat wcześniej widział swego starszego brata podczas podobnej "zabawy". Kilku znało ten sport jedynie ze słyszenia, a decyzję o przystąpieniu do trudnej próby podjęło na gorąco, kiedy podczas włóczęgi po stepie dostrzegło samotne zwierzę. Wszyscy doskonale wiedzieli, że należało wezwać na pomoc co najmniej kilku

doświadczonych łowców, ale myśli o chwale, jaką sprowadziłoby na nich samodzielne zabicie nosorożca włochatego, o podziwie młodych kobiet uczestniczących w Letnim Spotkaniu i o zazdrości mieszkańców pozostałych dalekich chat były tak miłe, że nie oparli się pokusie. A teraz jeden z nich był ciężko ranny...

Jondalar szybko ocenił sytuację.

- Z której Jaskini on pochodzi? - spytał.

- Z Piątej - odpowiedział jeden z młodzików.

- Pobiegniesz do jego ludzi i powiesz, co się stało - zarządził łupacz krzemieni.

Chłopak obrócił się na pięcie i popędził w stronę obozu. Jondalar pomyślał, że w zasadzie wiadomość dotarłaby jeszcze szybciej, gdyby sam wskoczył na Zawodnika i puścił się galopem, ale doszedł do wniosku, że bardziej będzie przydatny tutaj, choćby po to, by pokierować konstruowaniem noszy. Spłoszonym młodzieńcom właśnie tego najbardziej było potrzeba: stanowczych rozkazów kogoś doświadczonego.

- Potrzebuję trzech lub czterech ochotników do niesienia rannego. Reszta zostanie tutaj i zajmie się oprawianiem zdobyczy. Przy takiej pogodzie mięso szybko zacznie się psuć. Przyślę wam kogoś do pomocy. Zbyt drogo zapłaciliście za tego nosorożca, żeby miał się teraz zmarnować.

- Ranny jest moim kuzynem. Chcę go nieść - zgłosił się jeden z młodzieńców.

- Świetnie. Dobierz sobie trzech pomocników, tylu powinno wystarczyć. Reszta zostaje - powtórzył Jondalar. Zauważył, że krewniak nieprzytomnego jest bliski łez. - Jak ma na imię twój kuzyn? - spytał.

- Matagan. To Matagan z Piątej Jaskini Zelandonii.

Widzę, że jest ci bliski, i domyślam się, że ciężko ci patrzeć na jego cierpienie - powiedział Jondalar. - Rzeczywiście, jest ciężko ranny, ale powiem ci prawdę: ma szczęście, że Ayla znalazła się w pobliżu. Niczego ci nie obiecuję, ale moim zdaniem Matagan przeżyje i są szansę, że będzie jeszcze chodził. Ayla jest bardzo dobrą uzdrowicielką. Wiem coś o tym. Wpadłem kiedyś w łapy lwa jaskiniowego i pewnie szczyłbym na stepach dalekiego wschodu, gdyby Ayla mnie nie znalazła i nie pozszywała. Jeżeli ktokolwiek może ocalić twojego kuzyna, to właśnie ona.

Chłopak zaszlochał z ulgą i spróbował zapanować nad sobą.

- A teraz przynieś mi wasze oszczepy, żebyśmy mogli zanieść Matagana do domu - polecił Jondalar. - Potrzebujemy co najmniej czterech, po dwa na każdą stronę. - Słuchając jego zaleceń, młodzi Zelandonii dość szybko powiązali rzemieniami drzewca i rozciągnęli między nimi kawałki własnej odzieży. Ayla raz jeszcze sprawdziła stan rannego, a potem silne ręce chwyciły go, uniosły i ułożyły miękko na noszach.

Obóz na szczęście nie był zbyt odległy. Ayla i Jondalar dali koniom znak, by podążały za nimi, a sami szli obok rannego. Znachorka obserwowała Matagana z napięciem, a kiedy przystanąli na moment, by zmienić noszowych, sprawdziła puls chłopca. Był słaby, ale wyczuwalny i w miarę równy.

Zbliżali się do terenu Letniego Spotkania od strony górnego biegu Rzeki, czyli opodal obozu Dziewiętej Jaskini. Wieść o wypadku rozeszła się szybko i na spotkanie z powracającymi wyszło kilka osób - między innymi Joharran, który z daleka wypatrzył brata i jego partnerkę. Ochotnicy z Dziewiętej zmienili zmęczonych młodzieńców z Piątej Jaskini. Grupa maszerowała teraz znacznie szybciej w stronę głównego obozowiska.

- Marthona już wysłała kogoś po Pierwszą i Zelandoni z Piątej Jaskini - rzekł Joharran. - Wszyscy Zelandoni są gdzieś na przeciwległym końcu centralnego obozu; podobno trwa jakaś narada. Sądzisz, że lepiej będzie zanieść go do nas czy do jego obozu? - spytał przywódca, zwracając się do Ayli.

- Chciałabym zmienić opatrunek i przygotować okład na ranę, żeby nie było zakażenia - odparła znachorka, po czym zamyśliła się na moment. - Nie miałam ostatnio czasu na zbieranie ziół, ale na pewno nie brakuje ich w zapasach Zelandoni. I tak powinna go obejrzeć... Zanieśmy Matagana do chaty Zelandoni.

Dobry pomysł. Minęłoby sporo czasu, zanim by tu dotarła; prędzej my dotrzemy do głównego obozowiska. Zelandoni nie biega już tak szybko jak dawniej - dodał Joharran, dyplomatycznie nawiązując do imponującej tuszy Pierwszej Wśród Tych Którzy Służą. - Zelandoni z Piątej zapewne też będzie chciał obejrzeć rannego, ale o ile wiem, uzdrawianie nie jest jego najmocniejszą stroną.

Kiedy dotarli do chaty Zelandoni, Pierwsza już na nich czekała. Widząc przygotowane posłanie, Ayla zaczęła się zastanawiać, czy ktoś jeszcze przybiegł tu wcześniej i uprzedził Zelandoni o tym, że ranny nie zostanie ani w Dziewiętej, ani w Piątej Jaskini, czy może donier sama domyśliła się prawdy. Przed chatą zgromadziła się spora grupa ludzi, których komentarze dotyczyły głównie licznych śladów krwi. Chata była pusta, a wszyscy Zelandoni oprócz Pierwszej stali na zewnątrz, przy wejściu.

- Połóżcie go tam - rozkazała wielka Zelandoni, wskazując ręką na wysokie łóżko przy ścianie naprzeciwko wejścia. Młodzieńcy ponieśli nosze w głąb chaty i ostrożnie przełożyli Matagana na posłanie. Zaraz też opuścili przestronne pomieszczenie, zostali jedynie Joharran i Jondalar.

Ayla sprawdziła, czy noga leży prosto, po czym zabrała się do odwijania skór.

- Konieczny będzie okład, żeby nie było zakażenia - wyjaśniła.



- Chłopak może jeszcze poczekać. Opowiedzcie mi, co się stało - poprosiła Zelandoni.

Ayla i Jondalar pokrótce opowiedzieli o nieszczęśliwym wypadku, który widzieli na własne oczy.

- Obie kości w dolnej części nogi są złamane, łydka rozerwana, a całość była wykręcona w przeciwną stronę - dodała uzdrowicielka. - Od razu wiedziałam, że jeśli kości nie zostaną nastawione, jak należy, mężczyzna nigdy nie będzie chodził, a przecież jest taki młody... Postanowiłam więc nastawić nogę na miejscu, póki był nieprzytomny i za-jim pojawiła się opuchlizna. Obmaciałam ranę i musiałam dość mocno pociągnąć za stopę, ale zdaje się, że kości wróciły lpa swoje miejsce. Ranny pojękiwał trochę po drodze i podejrzewam, że niedługo się ocknie. Na pewno będzie cierpiał.

To jasne, że wiesz sporo na temat złamań, ale chciałabym zadać ci kilka pytań. Po pierwsze... zakładam, że nastawiałaś już kiedyś kości? - spytała Pierwsza. Jondalar uprzedził Aylę.

- Kiedyś pewna kobieta Sharamudoi, partnerka przywódcy, którą bardzo lubiłem, spadła z urwiska i złamała rękę. Tak się złożyło, że miejscowa uzdrowicielka zmarła -i nie było możliwości wezwania innej, a kość zrastała się krzywo, powodując straszny ból. Widziałem, jak Ayla złamała ją ponownie i nastawiła tak, jak trzeba. Byłem też świadkiem leczenia złamania u pewnego mężczyzny z Klanu. Skoczył z bardzo wysokiej skały, żeby bronić swej partnerki przed atakiem młodych Losadunai, którzy napastowali kobiety Klanu w całej okolicy. Jeżeli Ayla zna się na czymś jak nikt inny, to właśnie na składaniu kości i pielęgnowaniu otwartych ran.

- Gdzie się tego nauczyłaś? - spytała donier.

- Ludzie Klanu mają bardzo mocne kości, ale mężczyźni często miewają kontuzje podczas polowań. Rzadko rzucają oszczepami; zazwyczaj ścigają zwierzę i wbijają grot z najkrótszego dystansu albo wręcz wskakują na grzbiet bestii. Oczywiście kobiety też czasem łamią kości, ale mężczyznom zdarza się to znacznie częściej. Uczyłam się nastawiania od Izy, ale w klanie Bruna niewiele było okazji do ćwiczenia. Dopiero kiedy poszliśmy na Zgromadzenie Klanu, dużo się nauczyłam od innych znachorek - wyjaśniła Ayla.

- Moim zdaniem ten młody człowiek miał wielkie szczęście, że byłeś w pobliżu - orzekła Pierwsza Wśród Tych, Którzy Służą Wielkiej Matce. - Nie wszyscy Zelandoni potrafiliby poskładać tak ciężko uszkodzoną kończynę. Domyślam się, że będziesz musiała odpowiedzieć im jeszcze na wiele pytań - zwłaszcza Zelandoni z Piątej będzie czekał na rozmowę z tobą, a także matka chłopca - ale od razu mogę ci rzec, że świetnie się spisałaś. Jaki okład zamierzałaś położyć na ranę?

Po drodze wykopałam trochę korzeni - odrzekła Ayla. - Zdaje się, że nazywacie tę roślinę anemonem. Rana przez cały czas krwawiła, a wiem, że płynąca krew jest najlepszym lekarstwem

na oczyszczenie, ale teraz wszystko zaczęło krzepnąć. Trzeba rozbić korzeń na miazgę i zagotować, a wywarem przemyć rozdarte miejsce. Potem dodałabym innych kłaczy i zrobiłabym papkę, którą nałożyłabym jako okład. Mam w swojej torbie trochę sproszkowanego korzenia geranium do powstrzymania krwotoku, a także zarodniki widłaków, które wchłaniają płyn zbierający się w ranie. Następnie miałam zapytać cię, czy masz jeszcze kilka ziół albo przynajmniej znasz miejsce, w którym rosną.

- Więc zapytaj.

- Jest taki korzeń... Kiedy opisałam tę roślinę Jondalarowi, powiedział, że chyba chodzi o żywokost. Kłacze bardzo pomaga w leczeniu ran; zresztą nie tylko zewnętrznych. Likwiduje siniaki, a kiedy zmiesza się je z tłuszczem, powstaje maść na rany i skaleczenia. Świeży okład powstrzymuje opuchliznę przy złamaniu kości i przyspiesza zrastanie - wyjaśniła Ayla.

To prawda. Mam trochę tych korzeni w proszku i znam miejsce, w którym można je znaleźć. Ich właściwości opisałam dokładnie tak samo jak ty - przyznała Pierwsza.

- Spytałabym cię także o te śliczne kwiatki, które nazywacie bodajże nagietkami. Są doskonałe jako lek na otwarte rany, a także na stare skaleczenia, które nie chcą się goić. Zwykle wyciskam sok ze świeżych kwiatów albo gotuję suszone płatki i nakładam je na ranę, a potem zwilżam. Ciało wtedy nie gnije... Obawiam się, że ten chłopiec będzie tego potrzebował. Przepraszam, ale nawet nie znam jego imienia - powiedziała Ayla.

- Matagan - podpowiedział Jondalar. - Jego kuzyn mówił, że to Matagan z Piątej Jaskini Zelandonii.

- Czego jeszcze użyłabyś, żeby mu pomóc? - spytała donier.

Ayla pomyślała przelotnie o Izie, która niegdyś w taki sam sposób testowała jej wiedzę znachorską.

Tłuczonych jagód jałowca, które leczą mocno krwawiące rany, albo okrągłych grzybów, które nazywacie chyba purchawkami. One też powstrzymują krwawienie. Podobnie jak suchy, sproszkowany...

Wystarczy - przerwała jej Zelandoni. - Jestem przekonana, że wiesz, co robisz. Kuracja, którą proponujesz, jest ze wszech miar słuszna. Teraz jednak, Jondalarze, zabierz swój ą kobietę gdzieś, gdzie mogłaby się umyć. Zresztą i tobie przydałaby się kąpiel. Jesteście cali we krwi, a ten widok przeraziłby matkę tego chłopca bardziej niż cokolwiek innego. Zostaw mi korzeń anemonu, a ja pošlę kogoś po świeży żywokost. Zajmę się rannym, a wy umyjcie się i odpocznijcie trochę. Najlepiej byłoby, gdybyście po cichu wrócili do swojego obozu. Użyjcie tylnego wyjścia, tak będzie szybciej, a poza tym unikniecie tłumu, który już zgromadził się przed wejściem. I jeszcze

jedno: najpierw chyba muszę was zwolnić z obowiązku milczenia. Zdaje się, że wasz okres próbny skończył się o dzień za wcześnie.

- Och! - zawołała Ayla. - Zupełnie zapomniałam! Nawet przez myśl mi to nie przeszło...

- A mnie przeszło - wtrącił Jondalar - ale nie miałem czasu zastanawiać się nad tym.

I słusznie. Sytuacja była wyjątkowa - przyznała Zelandoni. - Teraz jednak muszę zadać wam oficjalne pytanie: Jondalarze i Aylo, zakończyliście wasz okres próbny i musicie ogłosić, czy chcecie pozostać zaślubioną sobie parą. Być może chcielibyście rozstać się i poszukać sobie innych partnerów, do których pasowalibyście lepiej?

Młodzi spojrzeli najpierw na donier, a potem na siebie i uśmiechnęli się.

- Kto na całej Ziemi miałby pasować do mnie lepiej niż Ayla? - spytał Jondalar. ~ Może i niedawno odbyły się nasze Zaślubiny, ale w sercu miałem ją za partnerkę od znacznie dłuższego czasu.

To prawda. Nawet wypowiedzieliśmy słowa podobnej przysięgi, zanim weszliśmy na lodowiec, tuż po spotkaniu z Gubanem i Yorgą. Już wtedy byliśmy sobie zaślubieni, ale Jondalar chciał, żebyś to ty zawiązała nasz węzeł, Zelandoni.

- Czy chcecie się rozstać? Aylo? Jondalarze? - spytała donier.

- Ja nie chcę - odrzekła Ayla, uśmiechając się do mężczyzny. - A ty?

- Ani na jedno uderzenie serca, kobieto - zapewnił ją żarliwie Jondalar. - Wystarczająco długo czekałem na te Zaślubiny; nie mam zamiaru zrywać węzła.

- Zatem zwalniam was z obowiązku milczenia i ogłaszam, że od tej chwili Jondalar i Ayla z Dziewiętej Jaskini Zelandonii są partnerami. Aylo, dzieci, które wydasz na świat, urodzą się przy ognisku Jondalara. Na was obojgu spoczywa odpowiedzialność za nie, póki nie będą dorosłe. Czy macie ze sobą rzemień, którym byliście związani? - Gdy Jondalar wyciągał zza pazuchy skórzany pasek, Zelandoni sięgnęła po dwa naszyjniki leżące na małym stoliku.

Wielka kobieta odebrała rzemień i założyła proste ozdoby na szyje młodej pary. - Życzę wam długiego, wspólnego, szczęśliwego życia - zakończyła skromną ceremonię Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą Wielkiej Matce Ziemi.

Jondalar i Ayla wymknęli się z chaty Zelandoni tylnym wejściem. Ktoś wypatrzył ich mimo wszystko i zawołał, by zaczekali, ale oni nie mieli zamiaru zatrzymywać się ani na chwilę. Gdy dotarli nad swoją sadzawkę, kobieta weszła do wody w ubraniu, a mężczyzna bez namysłu uczynił to samo. Odkąd Zelandoni uświadomiła im, że są cali we krwi, zaczęli czuć drażniący, słodkawy zapach. Jeśli plamy z ich strojów w ogóle miały zejść, to musiało nastąpić to teraz, w zimnej wodzie. Jeżeli nie, Ayla zamierzała uszyć sobie i Jondalarowi nowe ubrania - po kilku dużych

polowaniach byli właścicielami kilku pięknych skór i wielu innych drobiazgów niezbędnych do zrobienia efektownej odzieży.

W drodze do chaty Zelandoni pozostawili konie na pastwisku opodal obozu Dziewiątej Jaskini. Nie wiedzieli, że zwierzęta jakimś sposobem same weszły do zagrody. Zapach krwi - nosorożca i człowieka - niepokoił wierzchowce, wzniesione zaś przez ludzi ogrodzenie dawało im poczucie bezpieczeństwa. Jondalar, nie zdejmując mokrego ubrania, pobiegł w stronę obozu, mając nadzieję, że po drodze spotka konie, a w koszach podróżnych szybko znajdzie suche i czyste odzienie.

Ze zdziwieniem zauważył wierzchowce zamknięte w zagrodzie z tyczek, a przy nich małego Lanidara. Chłopiec wyglądał na przygnębionego i koniecznie chciał porozmawiać z Ayla. Jondalar odpowiedział mu, że kobieta zjawi się, gdy tylko dostanie suche ubranie. Gawędząc z Lanidarem, zdjął kosze z ekwipunkiem i derki z końskich grzbietów, a prostą uprząż z ich kształtnych łbów. Wkrótce zaniósł partnerce świeży strój i powrócił z nią do zagrody. Ayla wiedziała od razu - z daleka widząc przygarbioną postać Lanidara - że chłopiec jest nieszczęśliwy. Zastanawiała się jedynie, dlaczego - czyżby matka po namyśle zabroniła mu sprawowania opieki nad końmi?

- Co się stało, Lanidarze? - spytała, gdy stanęła twarzą w twarz z kalekim malcem.

- Chodzi o Lanogę... - odrzekł. - Płakała dziś cały dzień.

- Ale dlaczego?

Przez dziecko. Zabierają jej Lorale.

## ROZDZIAŁ 34

Kto chce jej zabrać dziecko? - zdumiała się Ayla.

Proleva i inne kobiety - odrzekł chłopiec. - Powiedziały, że znalazły matkę dla Lorali, kogoś, kto może karmić małą przez cały czas.

- Zobaczmy, co się da zrobić w tej sprawie - zapewniła go znachorka. - Później wrócimy do koni.

Ucieszyła się, gdy bez trudu odnalazła w obozie Prolevę. Partnerka Joharrana powitała ją szerokim uśmiechem.

Więc to już potwierdzone? Jesteście parą? Możemy urządzić ucztę i dać wam podarki? Zresztą nie musisz odpowiadać. Już widzę wasze naszyjniki,

Ayla nie mogła nie zrewanżować się uśmiechem. Tak, jesteśmy parą - przytaknęła.

- Zelandoni właśnie to potwierdziła - dodał Jondalar.

- Prolevo, muszę z tobą porozmawiać o całkiem innej sprawie - oświadczyła z powagą uzdrowicielka.

- O jakiej sprawie? - Kobieta Joharrana także spoważniała, widząc zmarszczone czoło Ayli.

- Lanidar powiedział nam, że odbierasz Lanodze dziecko.

- Nie nazwałabym tego w taki sposób. Sądziłam zresztą, że ucieszysz się, kiedy się dowiesz, że znalazłam prawdziwy dom dla Lorali. Pewna kobieta z Dwudziestej Czwartej Jaskini straciła niedawno dziecko, które urodziło się z poważną wadą. Ma mnóstwo mleka i stwierdziła, że chętnie weźmie Lorale. Bardzo pragnie mieć dziecko, a o ile się nie mylę, zdarzyło jej się już także poronienie. Pomyślałam więc, że idealnie się składa - zakończyła Proleva.

Rzeczywiście, wygląda to na niezły pomysł. Czy kobiety, które do tej pory karmiły Lorale, nie chcą już tego robić? - spytała znachorka.

Wręcz przeciwnie. Byłam zaskoczona, kiedy z nimi rozmawiałam. Niektóre były zmartwione, gdy mówiłam im o nowej matce dla tego dziecka. Nawet Stelona powiedziała mi, że Dwudziesta Czwarta Jaskinia leży strasznie daleko i że niestety, nie będzie jej dane oglądać tego, jak Lorala wyrasta na silną i zdrową dziewczynkę.

Wiem, że kierowałaś się przede wszystkim dobrem Lorali, ale czy spytałaś o zdanie Lanogę? - indagowała Ayla.

- Nie. Rozmawiałam tylko z Tremedą. Sądziłam, że Lanoga ucieszy się, kiedy zdejmimy z niej taki ciężar odpowiedzialności. Moim zdaniem jest za młoda, żeby poświęcać całe życie małej siostrzyczce. Zdaży jeszcze nacieszyć się dziećmi, kiedy będzie miała własne - odrzekła Proleva.

- Lanidar twierdzi, że Lanoga płakała przez cały dzień. Wiem, że jest jej ciężko, ale uznałam, że przejdzie jej ta rozpacz. Przecież nie karmi Lorali własną piersią, nie jest jeszcze nawet kobietą. Ma nie więcej niż jedenaście lat.

Ayla pamiętała doskonale, że sama nie miała dwunastu lat, kiedy rodziła Durca, ale nie wyobrażała sobie, że mogłaby go zostawić. Prędzej by umarła, niż oddała komukolwiek. Kiedy straciła pokarm, inne kobiety Klanu dożywiały chłopca, ale z tego powodu nie czuła się gorszą matką. Nigdy nie pogodziła się z tym, że musiała zostawić syna w Klanie, kiedy zmuszono ją do odejścia. Chciała wziąć go ze sobą. Pozostawiła trzyletnie dziecko pod opieką innych kobiet tylko dlatego, że nie była pewna, co stałoby się z nim, gdyby konflikt w klanie Brouda zaognił się jeszcze bardziej i skończył się jej śmiercią. Bólu rozstania nie złagodziła nawet świadomość, że Durc znalazł się w dobrych rękach Uby. Każda myśl o utraconym chłopcu była dla Ayli męką. Nigdy nie zapomniała o synu i nie życzyła Lanodze podobnego cierpienia.

- Nie ta, która karmi, jest prawdziwą matką, Proleyo. Macierzyństwo nie jest też kwestią wieku - dodała znachorka. - Spójrz na Janidę. Nie jest wiele starsza od Lanogi, a przecież nikomu do głowy nie przyjdzie, żeby odebrać jej dziecko, które wkrótce urodzi.

- Janida ma partnera, i to dobrego, o wysokiej pozycji, a dziecko urodzi się przy jego ognisku. Chłopak zawsze będzie za nie odpowiedzialny, a nawet jeśli nie wytrwa zbyt długo przy swojej kobiecie, nie brakuje chętnych mężczyzn, którzy widzieliby Janidę u swego boku. To dziewczyna o wysokiej pozycji, atrakcyjna, a do tego w ciąży. Mam nadzieję, że Peridal zrozumie, jakie szczęście go spotkało, i nie ustąpi przed matką, która już zaczyna macić. O ile wiem, przerwała ich okres próbny, usiłując namówić syna, żeby przeciął węzeł. - Proleva urwała, doszedłszy do wniosku, że będzie miała dość czasu na przekazanie Ayli wszystkich plotek z ostatnich dwóch tygodni. - Ale Lanoga to nie Janida.

- Racja. Lanoga nie jest szanowaną przez wszystkich młodą kobietą, ale powinna być. Nie sposób zajmować się przez niemal rok małym dzieckiem i nie pokochać go. Teraz Lorala jest córką Lanogi, nie Tremedy. A Lanoga może i jest młoda, ale zachowuje się jak najlepsza matka.

- Oczywiście, że tak. Jest wspaniałą dziewczynką i pewnego dnia będzie wspaniałą matką - podchwyciła Proleva - ale pod warunkiem, że będzie miała okazję nią zostać, pomyśl: czy kiedy dorośnie i będzie gotowa zostać partnerką, znajdzie się mężczyzna, który zechce wziąć ją razem z małą siostrą? Lorala nie będzie przecież jego drugą kobietą, tylko małym dzieckiem, za które będzie odpowiedzialny, a które nie przyszło na świat przy jego ognisku. Wystarczającą przeszkodą dla Lanogi - i dla jej rodzeństwa też, skoro już o tym mowa - jest to, że urodziła się w takiej, a nie innej rodzinie. Obawiam się, że może liczyć jedynie na względy kogoś takiego jak Laramar, nawet

jeśli będzie miała najlepsze rekomendacje. Dlatego chciałabym stworzyć jej szansę na lepsze życie, przynajmniej oddając komuś dziecko, które będzie dla niej balastem.

Ayla była pewna, że Proleva do pewnego stopnia ma słuszość i że naprawdę zależy jej na dobru dziewczynki, ale jednocześnie wiedziała, co Lanoga będzie czuła, jeśli na zawsze straci Lorale.

- Lanoga nie musi się martwić o to, czy znajdzie partnera - odezwał się niespodziewanie Lanidar.

Ayla i Proleva niemal zapomniały o jego obecności. Jondalar także był zaskoczony. Chłopiec przysłuchiwał się uważnie dyskusji kobiet i rozumiał racje obu stron.

- Zamierzam nauczyć się polować i zostać Przywoływaczem, a kiedy dorosnę, Lanoga będzie moją partnerką. Zaopiekuję się też Lorale i resztą jej rodzeństwa, jeśli tylko zechce. Pytałem ją już, czy się zgadza, i odpowiedziała mi, że tak. Lanoga jest jedyną dziewczyną, jaką spotkałem, której nie przeszkadza moje kalectwo. Nie wydaje mi się też, żeby mój stan przeszkadzał jej matce.

Ayla i Proleva wpatrywały się w chłopca z otwartymi ustami, jakby nie wierzyły własnym uszom i nie były pewne, czy dobrze rozumieją jego słowa. W istocie, nie byłby to zły mariaż, zwłaszcza że wizja związku z Lanoga najwyraźniej dodawała Lanidarowi ochoty do życia. Oboje byli rozsądnymi i nad wiek dojrzałymi dziećmi. Naturalnie mieli przed sobą jeszcze kilka lat na zmianę zdania, ale czy mogli liczyć na to, że któremuś z nich uda się znaleźć innego partnera?

- I dlatego proszę, nie oddawajcie Lorali innej kobiecie. Nie chcę widzieć łez Lanogi - dokończył Lanidar.

- Ona naprawdę kocha tę małą - dorzuciła Ayla. - . A Dziewięta Jaskinia pomaga im z ochotą... Dlaczego więc nie moglibyśmy pozostawić tej sprawy w takim stanie, w jakim jest?

- Ale co powiem kobiecie, która chciała zaopiekować się małą? - zmartwiła się Proleva.

Powiedz, że matka Lorali postanowiła jej nie oddawać. W pewnym sensie to prawda, teraz Lanoga jest matką małej, nie Tremeda. A jeśli tamta kobieta tak bardzo pragnie dziecka, to będzie je miała: albo własne, albo inne, które potrzebuje pomocy, może nawet młodsze od Lorali. Wiele jest Jaskiń Zelandonii i wielu ludzi w nich mieszka. Takie rzeczy się zdarzają - powiedziała Ayla. - Właściwie to nigdy jeszcze nie widziałam, żeby zdarzały się tak często, jak tutaj.

Niemal wszyscy członkowie Dziewiętej Jaskini Zelandonii i Pierwszej Jaskini Lanzadonii przybyli na wielką fetę z okazji Zaślubin brata jednego przywódcy i córki ogniska drugiego, którzy w dodatku byli ze sobą spokrewnieni. Jak się okazało, w Dziewiętej znalazły się jeszcze dwie osoby, które także zawiązały węzeł. Proleva, która dowiedziała się o nich w ostatniej chwili, zdążyła jeszcze przygotować uroczystość tak, by i one poczuły się ważne. Młoda kobieta imieniem Tishona połączyła się z Marshevałem z Czternastej Jaskini i zamierzała zamieszkać u niego. Inna,

nico starsza niewiasta, Dynoda, przed laty opuściła swą Jaskinię i urodziła syna, a teraz zerwała węzeł z dawnym partnerem i powracała do Dziewiątej z nowym mężczyzną, Jacsomanem z Siódmej Jaskini. Pragnęła być blisko matki, która bardzo podupadła na zdrowiu.

W ciągu dnia w obozie Dziewiątej Jaskini pojawiali się goście, którzy składali młodym parom życzenia wszelkiej pomyślności. Przybyli między innymi Jondecam z Levelą i jej matką, Yelimą, która była też matką Prolevy; ta wizyta niezmiernie ucieszyła Aylę, Jondalara, Joplayę i Echozara. Znajomość nie trwała długo, ale wszyscy zdążyli już bardzo przypaść sobie do gustu. Na uczcie zjawili się też matka i wuj Jondecama.

Ayla i Jondalar z radością powitali Kimerana, który po ostatnich Zaślubinach stał się ich dalekim krewnym. Ayla, która gubiła się nieco w skomplikowanych rodzinnych więzach, cieszyła się zwłaszcza ze spotkania z matką Jondeca-pia, którą była Zelandoni z Drugiej Jaskini. Znachorka - poznała ją wcześniej, ale wtedy jeszcze nie znała przyjacielskiego i pewnego siebie Jondecama. Teraz zaś podświadomię radowała się ze spotkania z donier, która miała dzieci. Janida i Peridal także spędzili cały dzień w obozie Dziewiątej Jaskini, celowo unikając matki młodzieńca. Chcieli odejść z Dwudziestej Dziewiątej Jaskini i korzystając z okazji, rozmawiali na ten temat z Kimeranem i Joharranem, szukając możliwości bądź to w Drugiej, bądź w Dziewiątej Jaskini Zelandonii. Jondalar był niemal pewien, że któraś z nich zaakceptuje młodą parę. Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą Matce już naradzała się w tej sprawie z Drugą. Czuła, że rozsądnie będzie oddzielić młodych od matki Peridala, przynajmniej na jakiś czas. Wpadła w wielki gniew na wieść o tym, że kobieta ośmieliła się naruszyć spokój okresu próbnego swego syna i jego wybranki.

Pod wieczór w obozie znowu zapanował porządek. Marthona przygotowała herbatę dla nielicznych krewnych i przyjaciół, którzy zostali dłużej. Proleva, Ayla, Joplaya i Folaro rozdały wszystkim kubki z gorącym naparem. Pewien młodzieniec, który niedawno został akolitą u Zelandoni z Piątej Jaskini, także nie spieszył się do domu - głównie dlatego, że pierwszy raz zdarzyło mu się bawić w tak zacnej kompanii. Jego podziw graniczący z uwielbieniem wzbudzała zwłaszcza Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą Matce.

- Jestem pewien, że chłopak nigdy już nie mógłby chodzić o własnych siłach, gdyby nie znalazł się ktoś, kto wiedział, jak go poskładać - mówił właśnie akolita, zwracając się do większej grupy słuchaczy, ale tak naprawdę oczekując przede wszystkim, że zostanie dostrzeżony przez wielką donier.

- Masz zupełną rację, Czwarty Akolito Zelandoni z Piątej. I jesteś bardzo spostrzegawczy - pochwaliła go kobieta.

- Teraz już wszystko zależy od Wielkiej Matki i od woli życia tego nieszczęsnego młodzieńca.



Akolita promieniał, ledwie panując nad zachwytem wywołanym komplementem Zelandoni. Cieszył się jak dziecko, że dostał zaszczytu prowadzenia nieformalnej rozmowy z Pierwszą.

- Czy jako akolita zamierzasz czuwać przy Mataganie? Pochodzicie z tej samej Jaskini, nieprawdaż? - spytała Zelandoni. - Całonocny dyżur przy rannym to rzecz jasna trudne zadanie, ale ktoś musi to zrobić. Domyślam się, że wasz Zelandoni już cię poprosił o pomoc, a jeśli nie, moim zdaniem powinieneś zgłosić się na ochotnika. Piąty z pewnością doceni twoją gorliwość.

- Ależ tak, oczywiście, że będę czuwał - zapewnił ją młodzieniec, zrywając się na równe nogi. - Dziękuję za herbatę. Muszę już iść; mam obowiązki - oznajmił, starając się, by jego słowa brzmiały jak najbardziej oficjalnie. Wyprostował się dumnie i ze śmiertelnie poważną miną odmaszerował w stronę centralnego obozowiska.

Kiedy zniknął, na wielu twarzach pojawiły się z trudem skrywane uśmiechy.

- Uszczęśliwiłaś tego młokosa, Zelandoni - powiedział Jondalar. - Promieniał z zachwytem, kiedy do niego przemówiłaś. Czy wszyscy Zelandoni traktują cię z takim szacunkiem?

- Tylko ci młodszy - odrzekła donier. - Pozostali kłócą się ze mną tak zajadle, że czasem sama zastanawiam się, dlaczego jeszcze nazywają mnie Pierwszą. Być może dlatego, że jestem znacznie potężniejsza od nich - wyjaśniła z uśmiechem, mając na myśli głównie swą imponującą tuszę.

Jondalar odpowiedział uśmiechem na ten przejaw autoironii, a Marthona popatrzyła na donier spod uniesionych brwi. Ayla dostrzegła tę wymianę spojrzeń i wydawało jej się, że rozumie ich znaczenie, ale nie była pewna. Subtelności komunikacyjne wynikające ze znajomości trwającej dziesiątki lat jak na razie były dla niej zagadką.

- Lecz mimo wszystko wolę te kłótnie - ciągnęła Zelandoni. - Trudno byłoby wytrzymać, gdyby wszyscy traktowali każde moje słowo jak święte przykazanie płynące prosto z ust Doni. Kiedy ktoś tak reaguje, czuję, że muszę bardzo uważać na to, co mówię.

- Do kogo właściwie należy decyzja o tym, kto zostaje Pierwszym Wśród Tych Którzy Służą Wielkiej Matce Ziemi? - spytał Jondalar. - Do przywódców Jaskiń? A może do wszystkich Zelandoni? Czy wszyscy muszą być zgodni, czy wystarczy większość, czy może tylko niektóre głosy liczą się naprawdę?

- Opinia wszystkich Zelandoni jest ważna, ale na tym nie koniec. Rozważa się bardzo wiele czynników. Jednym z ważniejszych są zdolności i umiejętności kandydata w dziedzinie uzdrawiania, a nikt nie ocenia ich surowiej niż pozostali Zelandoni. Owszem, można oszukać większość ludzi, ukrywając przed nimi braki w tej materii, ale nie sposób okpić znawców. Uzdrawianie jest ważne, ale nie przesądza o wszystkim. Nie brakuje w naszych Historiach i takich ;

Pierwszych, którzy na leczeniu prawie się nie znali, za to [ wykazywali nadzwyczajne talenty w innych dziedzinach.

- Kiedy mowa o sprawach duchowych, zawsze słyszy się o Pierwszej. Czy to znaczy, że nie ma Drugiej czy Trzeciej Wśród Tych Którzy Służą? Kto zastępuje Pierwszą, kiedy jest to konieczne? I czy jest też Ostatnia? - zapytał Jondalar, wyraźnie zaintrygowany tematem. Zelandoni nieczęsto opowiadała publicznie o zwyczajach panujących w jej środowisku, ale widząc zainteresowanie Ayli, z sobie tylko znanych powodów postanowiła kontynuować rozmowę.

- Nie jest tak, że każde z nas ma swoje miejsce w szeregu; istnieją pewne kategorie. Nie wyobrażacie sobie chyba, że którakolwiek z Jaskiń chciałaby mieć u siebie Ostatnią Wśród Tych Którzy Służą Matce? Najniżej w hierarchii stoją akolici, rzecz jasna, ale i wśród nich można wyróżnić pewne grupy. Z reguły dzielimy ich według talentu i umiejętności. Zapewne domyślacie się, że ten młody człowiek, którego przed chwilą odesłałam, Czwarty Akolita Zelandoni Piątej Jaskini, został przyjęty stosunkowo niedawno. Jest nowicjuszem, stoi najniżej w hierarchii, ale wykazuje spore możliwości - inaczej nigdy nie zostałby zaakceptowany. Zdarzają się i tacy kandydaci, których w pełni zadowala status akolity. Nie chcą brać na siebie pełnej odpowiedzialności za Jaskinię; wolą doskonalić swoje umiejętności w różnych dziedzinach i uważają, że najlepiej pomaga im w tym przynależność do Zelandoni.

Nieco wyżej od akolitów stoją nowi donier. Każdy Zelandoni musi czuć osobiste powołanie; co więcej, musi umieć przekonać pozostałych, że jest to powołanie prawdziwe. Dlatego wielu jest takich, którzy mimo najszczerzych chęci nie stają się nikim więcej niż akolitą. Zdarzają się i tacy, którzy udają i oszukują, by przekonać o swym powołaniu, ale prędzej czy później zawsze zostają zdemaskowani. Wielu takich akolitów - byłych akolitów - to dziś bardzo zgorzkniali ludzie.

- Czego jeszcze trzeba, by zostać Zelandoni? - wypytywał dalej Jondalar. - A zwłaszcza Pierwszą Wśród Tych Którzy Służą. - Pozostali z zadowoleniem przyjmowali ciekawość Jondalara. Choć niektórzy z zebranych - na przykład Marthona, która swego czasu sama była akolitką - znali już owe wymagania, niewielu miało do tej pory okazję słuchać szczerych odpowiedzi Zelandoni na tak konkretne pytania.

- Aby stać się jednym z Zelandoni, trzeba zapamiętać wszystkie Historie i Legendy Starszych, a przy tym dobrze rozumieć ich znaczenie. Poza tym trzeba znać słowa do liczenia i umieć ich używać, orientować się w porach roku i fazach księżyca, a także wiedzieć o paru sprawach dostępnych jedynie nam. Ale bodaj najważniejszą sprawą jest zdolność do odwiedzania świata duchów - wyjaśniła Zelandoni. - To dlatego powołanie musi być prawdziwe. Większość Zelandoni potrafi bardzo szybko określić, kto zostanie kiedyś Pierwszym, a kto nie ma na to najmniejszych szans. Z reguły już pierwsza wyprawa do świata duchów odślania prawdę. Bycie

Pierwszym jest także swoistym powołaniem i nie wszyscy palą się do pełnienia tej zaszczytnej funkcji.

- Jak tam jest, w tym świecie duchów? Czy to przerażające doświadczenie? Boisz się, kiedy musisz tam zajrzeć?

- indagował jasnowłoso.

- Jondalarze, nie sposób opisać świata duchów komuś, kto nigdy tam nie był. Ale owszem, przyznaję, że to dość przerażające miejsce, zwłaszcza za pierwszym razem. Strach pozostaje na zawsze, ale dzięki medytacji i odpowiednim przygotowaniom można nad nim zapanować. Pomaga w tym wiedza oraz wsparcie Zelandoni i całej Jaskini. Bez pomocy ludzi trudno byłoby wrócić - wyjaśniła.

- Skoro to takie straszne, po co to robicie? - zdziwił się Jondalar.

- Nie sposób przed tym uciec. Ayla poczuła nagle zimne dreszcze.

Wielu próbuje walczyć ze swym powołaniem i udaje im się przez jakiś czas - ciągnęła Zelandoni - ale w końcu Matka znajduje sposób na podporządkowanie ich sobie. Najlepiej jest być do tego przygotowanym. Inicjacja bywa trudna i pełna niebezpieczeństw, ale prawdziwą próbą jest podróż na drugą stronę. Człowiek czuje wtedy, że jest rozdierany na strzępy przez niepojęte wiry i ciskany w mroczną otchłań. Niektórzy wyruszają do krainy duchów i nigdy nie wracają. Inni zostawiają tam część siebie i nie są już tacy sami jak przedtem. Nikt nie może przekroczyć granicy i nie zmienić się w jakimś stopniu.

A jednak, kiedy człowiek zostaje powołany, nie może odmówić; musi przyjąć na siebie brzemień, którym obarcza go Matka. Sądzę, że właśnie dlatego tak niewielu Zelandoni decyduje się na założenie rodziny. Nikt nie zabrania nam znajdowania partnerów czy rodzenia dzieci, ale nie wolno nam zapominać o tym, że sprawujemy funkcję bardzo podobną do tej, którą sprawują przywódcy Jaskiń. Czasem trudno znaleźć partnera, który zechce złączyć się z osobą obarczoną odpowiedzialnością za losy całej społeczności... Mam rację, Marthono? - zagadnęła donier po chwili.

- Masz, Zelandoni - przyznała była przywódczyni Dziewiątej Jaskini, uśmiechając się najpierw do swego dawnego partnera, a potem do syna. - Jak sądzisz, Jondalarze, dlaczego zerwałam węzeł, który łączył mnie z Dalanarem? Właśnie rozmawiałam z nim o tym w dzień po waszych Zaślubinach. Było w tym coś więcej niż jego żyłka do podróżowania - Willamar przecież też ją ma. Rzecz w tym, że jesteśmy z Dalanarem bardzo do siebie podobni. Teraz jest szczęśliwy; rządzi własną Jaskinią - a nawet własnym ludem - ale musiało minąć sporo czasu, nim pojął, że tego właśnie pragnie. Przez długi czas walczył ze swoim powołaniem, ale z perspektywy lat myślę, że właśnie ono przyciągnęło go do mnie. Kiedy rodził się nasz związek, Joconan już nie żył, a ja

byłam przywódczynią Dziewiątej Jaskini. Z początku byliśmy szczęśliwi, lecz potem Dalanar stał się niespokojny. Dobrze się stało, że rozstaliśmy się w pokoju. Jerika jest dla niego odpowiedniejszą kobietą. Ma silną wolę, bo taka musi być partnerka Dalanara, ale to on jest przywódcą. - Para, o której wspomniała Marthona, spojrzała sobie w oczy i uśmiechnęła się ciepło. Dalanar delikatnie ścisnął dłoń Jeriki.

- Losaduna jest Tym Który Służy Matce u ludzi mieszkających po drugiej stronie lodowca. Ma partnerkę, która urodziła już czworo dzieci i wygląda na bardzo szczęśliwą - wtrąciła Ayla, która przysłuchiwała się opowieściom Zelandoni z mieszaniną fascynacji i lęku.

- Losaduna jest więc wyjątkowym szczęśliwcem, skoro udało mu się znaleźć właściwą kobietę. Ja miałam równie wielkie szczęście, bo spotkałam na swej drodze Willamara - odrzekła jej Marthona. - Nie bardzo chciałam zdecydować się na kolejny związek, ale dziś cieszę się, że Willamar nie ustąpił - dodała, odwracając się z uśmiechem do Mistrza Handlu. - Zdaje się, że między innymi dzięki niemu zrzekłam się przywództwa Jaskini. Przez wiele lat pełniłam tę funkcję z Willamarem u boku i nigdy nie było między nami starć z tej przyczyny, aż wreszcie obowiązki zaczęły mnie nużyć. Chciałam mieć trochę czasu dla siebie i dzielić go z moim partnerem. Kiedy Folar przysłała na świat, znowu zapragnęłam być matką. Uznałam, że Joharran ma odpowiednie predyspozycje i zaczęłam przygotowywać go do życiowej roli, a kiedy dorósł, z przyjemnością przekazałam mu brzemień władzy. Jest taki podobny do Joconana... Jestem pewna, że zrodził się z jego ducha - powiedziała, uśmiechając się do najstarszego syna. - A mimo to do dziś muszę być bardzo czujna. Joharran często zasięga mojej opinii, chociaż podejrzewam, że robi to, żeby sprawić mi przyjemność, a nie z konieczności.

- To nieprawda, matko. Przecież wiesz, że cenię twoje rady.

- Bardzo kochałaś Dalanara? - spytał Jondalar. - Może jeszcze o tym nie wiesz, ale o twojej miłości ludzie śpiewają pieśni i snują opowieści. - Jasnówłosa słyszał je nieraz, ale często zastanawiał się nad szczerością uczuć matki - skoro tak bardzo kochała, to dlaczego się rozstali?

- Kochałam, Jondalarze. I jakaś częśćka mnie wciąż go kocha. Nie jest łatwo zapomnieć o kimś, kogo darzyło się takim uczuciem. Cieszę się, że wciąż jesteśmy przyjaciółmi; może nawet lepszymi teraz niż kiedy łączył nas węzeł. - Marthona skinęła głową w stronę Joharrana. - Joconana też kocham na swój sposób. Nie zapominam tych czasów, kiedy byłam młodą kobietą i po raz pierwszy czułam prawdziwą miłość, chociaż... Joconan potrzebował wiele czasu, nim zrozumiał, czego naprawdę chce - dodała zagadkowo.

Jondalar przypomniał sobie opowieść o swej matce, którą słyszał w Podróży.

- Masz na myśli siebie i Bodoę? - spytał bez ogródek.

- Bodoę! Dawno już nie słyszałam tego imienia - zawołała Pierwsza. - Czy to ta kobieta z dalekiego kraju, która szkoliła się u naszych Zelandoni? Ze wschodu, o ile pamiętam... Jak oni się nazywali? Żar... Sard... Coś w tym guście.

- S'Armunai - odpowiedział Jondalar.

- Właśnie. Byłam bardzo młoda, kiedy nas opuściła, ale słyszałam, że była wyjątkowo zdolna - dodała Zelandoni.

- Teraz nazywają ją S'Armuna. Spotkaliśmy ją z Aylą podczas Podróży. Zostałem uwięziony przez Wilczyce z ludu S'Armunai, a Ayla poszła ich śladem i uwolniła mnie. Mieliliśmy szczęście, że uszliśmy z życiem. Gdyby nie Wilk, nie byłoby nas dzisiaj z wami. Wyobraźcie sobie, jak bardzo byłem zaskoczony, kiedy w tym nieprzyjaznym kraju znalazłem kobietę, która nie tylko знаła mowę Zelandonii, ale I i moją matkę!

- Opowiedz nam o tym! - odezwało się kilka głosów. Jondalar streścił historię okrutnej kobiety, Attaroi, i jej rządów w Obozie S'Armunai.

Wprawdzie S'Armuna na początku pomagała Attaroi, lecz później załowała tego i ostatecznie zdecydowała się stanąć po stronie ludzi i pomóc im w naprawianiu tego, co zniszczyła przywódczyni - zakończył łupacz krzemieni. Wszyscy słuchacze w zdumieniu kręcili głowami.

To najbardziej niezwykła historia, jaką słyszałam - przyznała Zelandoni. - Ale uzmysławia nam, co może się stać, kiedy donier traci rozsądek. Moim zdaniem Bodoa daleko by zaszła, gdyby nie nadużyła swojej mocy. Całe szczęście, że wreszcie się opamiętała. Mówi się, że Ci Którzy Służą Matce zapłacą na następnym świecie za wszystkie nadużycia swej władzy. To jeden z powodów, dla których Zelandoni tak ostrożnie dobierają sobie nowych towarzyszy. Z tej drogi nie ma odwrotu. Między innymi tym różnimy się od przywódców Jaskiń. Zelandoni zostaje się na całe życie. Nawet jeśli od czasu do czasu chcielibyśmy zrzucić z siebie ten ciężar, nie możemy tego uczynić.

Zapadło milczenie i przez dłuższą chwilę wszyscy rozważali niesamowitą opowieść, którą usłyszeli z ust Jondalara. Ciszę przerwało dopiero pojawienie się Ramary.

- Mam ci przekazać, Joharranie, że właśnie przyniesiono nosorożca. Chwała należy się Jondalarowi, to jego oszczep zadał śmiertelny cios.

- Miło mi to słyszeć. Dziękuję, Ramaro.

Kobieta miała wielką ochotę zostać przy ognisku i włączyć się do rozmowy, ale wzywały ją obowiązki. Poza tym nie została oficjalnie zaproszona, choć oczywiście nikt nie kazałby jej odejść, gdyby się przysiadła.

- Masz prawo pierwszego wyboru, Jondalarze - rzekł Joharran, kiedy Ramara odeszła. - Weźmiesz róg?

- Raczej nie. Wolę futro.

- Opowiedz nam, jak to właściwie było z tym nosorożcem - poprosił przywódca.

Jondalar opowiedział w skrócie historię grupy młodzików, którym wydawało się, że potrafią wabić włochatą bestię.

- Dopiero gdy było po wszystkim, zdałem sobie sprawę, jacy z nich smarkacze. I chyba się nie pomylę, jeśli powiem, że bardziej zależało im na chwale i podziwie innych niż na samej zdobyczy. Chcieli, żeby zazdrościł im każdy rówieśnik w okolicy.

Wygląda na to, że żaden nie miał doświadczenia w łowach na nosorożce i w ogóle w polowaniu. Nie powinni byli porywać się na taki wyczyn. Przecież myślistwo to nie zabawa, zwłaszcza kiedy zwierzę może być groźne - dodał Joharran.

- Ale prawdą jest, że gdyby sami ubili nosorożca włochatego, byłiby bohaterami - odparła Marthona. - W pewnym sensie dobrze się stało. To tragiczny wypadek, rzecz jasna, ale być może odstraszy młokosów i oszczędzi im jeszcze straszliwszych porażek. Pomyślcie tylko, ilu byłoby chętnych do polowania na nosorożce, gdyby im się udało. A tak młodzi śmiałkowie pomyślą dwa razy, zanim powtórzą tę próbę. Rozumiem, że matka tego nieszczęśnika, który został ranny, rozpacza teraz i umiera ze strachu o jego los, ale być może inne matki nie będą musiały czynić tego samego. A swoją drogą mam nadzieję, że Matagan nie zostanie kaleką do końca życia.

- Ayla pospieszyła na pomoc, kiedy dopadł go nosorożec - zapewnił ją Jondalar. - Zresztą to nie pierwszy raz, kiedy zrobiła to, nie zważając na niebezpieczeństwo. Czasem martwi mnie ta jej chęć pomagania.

- Chłopak miał szczęście, że była w pobliżu. Jestem przekonana, że byłby kaleką lub nawet straciłby życie, gdyby nie pomógł mu ktoś, kto zna się na rzeczy - oznajmiła Zelandoni, po czym spojrzała na Aylę. - Powiedz mi szczegółowo, od czego zaczął.

Znachorka streszczała całe zdarzenie, wielka donier wyciągała zaś z niej detal za detalem, badając słusność jej rozumowania. W gruncie rzeczy pod pozorem swobodnej rozmowy Zelandoni badała biegłość Ayli w sztuce uzdrawiania. Choć nikomu jeszcze o tym nie wspomniała, podjęła już kroki, by zorganizować spotkanie wszystkich Zelandoni, na którym mogliby poznać rozległą wiedzę medyczną i umiejętności jasnowłosej znachorki. Cieszyła się w duchu, że ma sposobność najpierw porozmawiać z nią w mniej oficjalny sposób. Współczuła Mataganowi, ale i dostrzegała korzyść w tym, że talent Ayli objawił się na oczach tak wielu uczestników Letniego Spotkania. Teraz już bez obaw mogła rozpocząć wstępne rozmowy z pozostałymi Zelandoni Łia temat przyjęcia znachorki do grona duchowych przewodników.

Kilkakrotnie zmuszona była zmieniać poglądy na temat umiejętności Ayli, ale tym razem ujrzała je w zupełnie nowym świetle. Kobieta Jondalara nie była nowicjuską wśród uzdrowicieli.

Pod każdym względem dorównywała Pierwszej, a może nawet mogła nauczyć ją kilku nowych rzeczy - choćby zastosowania owych zarodników widłaków. Zelandoni nie słyszała jeszcze o tej metodzie leczenia, ale kiedy zastanowiła się nad nią, doszła do wniosku, że jej skuteczność jest wielce prawdopodobna. Z niecierpliwością oczekiwała rozmowy z Aylą w cztery oczy; chciała wymienić się z nią doświadczeniami i cieszyć się towarzystwem kogoś, kto rozumiałby ją i kogo mogłaby traktować jak koleżankę po fachu - jedyną w całej Dziewiątej Jaskini.

Donier często współpracowała z Zelandoni z pobliskich osad, a podczas Letniego Spotkania nieraz dyskutowała z nimi o sprawach "zawodowych". Miała też kilkoro akolitów, lecz żaden z nich nie wykazywał większego zainteresowania uzdrawianiem. Obecność prawdziwej uzdrowicielki w Dziewiątej Jaskini, i to takiej, która dysponowała być może zupełnie nową wiedzą, byłaby ze wszech miar korzystna.

- Aylo - odezwała się Zelandoni. - Sądzę, że byłoby dobrze, gdybyś porozmawiała z rodziną Matagana.

- Nie bardzo wiem, co mogłabym im powiedzieć - odrzekła znachorka.

- Zapewne martwią się o chłopaka i chcieliby wiedzieć, co się właściwie stało. Poczuliby się lepiej, gdybyś jakoś ich pocieszyła.

- Ale jak? - spytała Ayla.

- Możesz na przykład powiedzieć, że teraz wszystko jest w rękach Matki, ale jest szansa, że Matagan wróci do zdrowia. Zgadzasz się z tą opinią, prawda? Bo ja tak - odrzekła Zelandoni. - Moim zdaniem Doni uśmiechnęła się do tego młodzieńca, stawiając go na twojej drodze.

Jondalar ziewnął potężnie i ściągnął tunikę - nową, podarowaną mu przez matkę specjalnie na biesiadę z okazji Zaślubin, utkaną z włókien lnu, które własnoręcznie obrobiła. Zleciła też komuś wykonanie ozdób - haftów i koralików - ale pilnowała, by nie było ich zbyt wiele. Tunika była bardzo lekka i wygodna. Podobną Marthona ofiarowała Ayli, tyle że znacznie luźniejszą, by mogła służyć jej i w następnych miesiącach ciąży. Jondalar włożył swoją natychmiast, a jego partnerka schowała dar na później.

- Nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby Zelandoni tak otwarcie mówiła o swoich sprawach - rzekł mężczyzna, szykując się do wejścia w ciepły futrzany śpiwór. - Ciekawie opowiadała. Nie miałem pojęcia, jak trudno jest być donier. Zastanawiam się tylko, co miała na myśli, kiedy wspomniała, że jej służba nie składa się wyłącznie z ciężkich zadań, ale ma też swoje dobre strony. W zasadzie nie powiedziała o nich ani słowa.

Przez dłuższy czas leżeli w milczeniu na miękkim pościeliu. Ayla dopiero teraz poczuła, jak bardzo jest zmęczona. Niewiele spała między wczorajszym polowaniem na nosorożca i długim, stresującym czuwaniem w chacie Zelandoni, a trwającą od rana uroczystością z okazji Zaślubin.

Czuła pulsujący ból w skroniach i zastanawiała się nawet, czy nie zaparzyć herbaty z kory brzozej, ale była zbyt wyczerpana, by się tym zająć.

- No i matka - odezwał się nagle Jondalar, jakby na głos kontynuował myśl, którą przez długą chwilę roztrząsał bez słowa. - Zawsze sądziłem, że ona i Dalanar tak po prostu postanowili się rozłączyć. Nie miałem pojęcia dlaczego. Zdaje się, że człowiek nigdy nie myśli o matce jak o kobiecie, tylko... jak o matce. O kimś, kto kocha i troszczy się, nic więcej.

- Myślę, że to rozstanie nie było dla niej łatwe. Moim zdaniem bardzo kochała Dalanara - odpowiedziała Ayla.

- Potrafię zrozumieć dlaczego. Jesteś do niego bardzo podobny.

- Nie pod każdym względem. Nigdy nie chciałem być przywódcą; i dalej nie chcę. Brakowałoby mi moich kamieni. Nie ma większej satysfakcji niż ta, którą czuję na widok idealnego ostrza, wykonanego dokładnie tak, jak zaplanowałem - wyznał Jondalar.

- Dalanar też jest łupaczem krzemienia - przypomniała kobieta.

Tak, i to najlepszym, ale ostatnio ma coraz mniej czasu na pracę. Jedynym rzemieślnikiem, który mógłby się z nim mierzyć, jest Wymez, ale on został przecież w Obozie Lwa i pewnie robi dla łowców mamutów najpiękniejsze groty do oszczepów... Jaka szkoda, że nigdy się nie spotkają. Na pewno nauczyliby się co nieco jeden od drugiego.

T

- Ty miałeś szczęście spotkać ich obu. Znasz się na kamieniach tak dobrze, jak najlepsi łupacze. Nie mógłbyś pokazać Dalanarowi, czego nauczyłeś się od Wymeza? - spytała Ayla.

- Mógłbym; już nawet zacząłem - odrzekł Jondalar. - Dalanar jest tym równie żywo zainteresowany jak ja. Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że zaczekaliśmy z Zaślubinami do przybycia Lanzadonii. Dobrze, że byli z nami Joplaya i Echozar. To naprawdę szczególna więź. Zawsze lubiłem moją kuzynkę, a teraz jest mi jeszcze bliższa. Zdaje się, że i ona była zadowolona.

- Jestem pewna, że Joplaya była zachwycona, mogąc razem z tobą wziąć udział w Zaślubinach. Sądzę, że zawsze o tym marzyła. - I tylko na tyle zbliżyła się do realizacji swoich marzeń, dodała w myśli uzdrowicielka. Żal jej było beznadziejnie zakochanej w Jondalarze Joplayi, ale w głębi duszy cieszyła się z zakazu zawiązywania węzła między bliskimi kuzynami. - Echozar też wyglądał na szczęśliwego.

- Zdaje się, że nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Zresztą nie tylko on, ale inni nie wierzyli własnym oczom z innego powodu - dodał kwaśno jasnowłosy, obejmując Aylę ramieniem i gładząc łagodnie jej szyję.

- Echozar kocha Joplayę do szaleństwa. Taka miłość może zrekompensować wiele braków - odparła kobieta, z trudem opierając się senności.



- Tak naprawdę on nie wydaje się aż taki paskudny, kiedy się przywyknie - mruknął mężczyzna. - Na pewno wygląda inaczej, ale tylko dlatego, że widać w nim cechy Klanu.

- Moim zdaniem wcale nie jest brzydki. Przypomina mi Rydaga i Durca - szepnęła Ayla. - Dla mnie mężczyźni Klanu są po prostu przystojni.

Wiem. I pewnie masz rację. Są przystojni, wedle gustu swoich partnerek. Zresztą tobie też nic nie brakuje, kobieto - dodał Jondalar, głaszcząc jej miękkie ciało. Czuł, że wzbiera w nim pożądanie, ale zauważył też, że Ayla właściwie już zasypia. Wiedział, że nie odmówiłaby mu, gdyby nalegał - bo nigdy mu nie odmawiała - ale wyczuwał, że to nie jest odpowiednia chwila. Do dzielenia się Przyjemnością potrzeba było dwojga wypoczętych i rozluźnionych ludzi.

- Mam nadzieję, że Matagan wydobrzeje - mruknął, układając się za Ayla, która przewróciła się na bok. Nie był aż tak zmęczony, ale pogodził się już z myślą, że tej nocy poprzestanie na przytuleniu swej partnerki.

Przypomniałeś mi o czymś - odpowiedziała, wracając nagle do poprzedniej pozycji. - Nasza Zelandoni i donier z Piątej prosili mnie, żebym porozmawiała z matką chłopca Byliśmy u niej razem i uprzedziliśmy ją, że mogą być kłopoty. Niewykluczone, że będzie chodził, ale to nic pewnego.

- Szkoda byłoby chłopaka... Jest taki młody.

- Nie wiadomo, jak zrosną się kości. Możliwe, że będzie kulał. Zelandoni pytała jego matkę, czy wykazywał zainteresowanie jakimś rzemiosłem. Odpowiedziała, że między polowaniami lubił własnoręcznie łupać groty do swoich oszczepów. Od razu pomyślałam o chłopcach S'Armunai, których okaleczyła Attaroa. Nauczyłeś jednego z nich łupania krzemieni, żeby mógł jakoś się utrzymać. Powiedziałam matce Matagana, że gdyby jej syn był zainteresowany, poprosiłabym cię, żebyś został jego nauczycielem.

- Należą do Piątej Jaskini, prawda? - spytał Jondalar, zastanawiając się nad pomysłem kobiety.

Tak, ale może dałoby się przyjąć chłopca do Dziewiątej, przynajmniej na jakiś czas. Pamiętasz? Danug mieszkał przez dobry rok w innym obozie Mamutoi, ucząc się łupania krzemieni. Może dałoby się zorganizować coś takiego dla Matagana.

- Może. Danug spędził ów rok w obozie kopaczy krzemienia; można powiedzieć, że uczył się o kamieniach u źródła. Podobnie jak ja nauczyłem się wiele w kopalni Dalanara... Danug nie mógł mieć lepszego nauczyciela niż Wymez, jeśli chodzi o obróbkę, ale prawdziwy łupacz musi też wiedzieć wszystko o samych kamieniach. - Jondalar zmarszczył czoło, zastanawiając się nad pomysłem Ayli. - Sam nie wiem. Chętnie nauczyłbym go tego i owego, ale najpierw trzeba uzyskać od Joharrana zgodę na jego przeprowadzkę do Dziewiątej Jaskini. Musiałby przecież gdzieś

mieszkać. A Joharran powinien porozmawiać o tym z przywódcą Piątej Jaskini - o ile Matagan w ogóle chce się uczyć. Być może robił groty tylko dlatego, że nikt inny nie chciał mu pomóc, a on bardzo chciał polować. Zobaczymy, Aylo. Niczego nie wykluczam. Jeżeli nie powróci do pełni sił, będzie musiał opanować jakieś rzemiosło.

Ułożyli się wygodniej pod futrami, a Ayla, choć zmęczona, nie zasnęła od razu. Długo rozmyślała o przyszłości - swojej i dziecka, które nosiła pod sercem. Co będzie, jeżeli urodzi chłopca, który zechce pewnego dnia polować na nosorożce jak Matagan? A jeśli coś mu się stanie? I gdzie się podział Wilk? Drapieżca był dla niej prawie jak syn, a przecież nie widziała go od kilku dni. Kiedy wreszcie zasnęła, śniła o dzieciach, wilkach i trzęsieniach ziemi. Nienawidziła trzęsień ziemi. Nie tylko budziły w niej przerażenie, ale także były zwiastunami złych wieści.

- Nie do wiary, że niektórzy wciąż jeszcze sprzeciwiają się Zaślubinom Joplayi i Echozara - powiedziała Zelandoni, potrząsając głową. - Rzecz jest dokonana. Zawiazali węzeł. Przeszli okres próbny i potwierdzili związek. Koniec. Mieli nawet biesiadę zaślubinową. Nikt nie powinien mieć już nic do powiedzenia. - Pierwsza dopijała właśnie ostatni kubek herbaty przed powrotem do chaty Zelandoni, po nocy spędzonej w obozie Dziewiątej Jaskini. Siedziała z niewielką grupką przyjaciół nieopodal rowupaleniska, ciesząc się wolną chwilą przed dniem wypełnionym męczącymi obowiązkami.

- Lanzadonii mówią już o wcześniejszym powrocie do domu - wtrąciła Marthona.

- Przebyli kawał drogi, żeby być z nami... szkoda byłoby, gdyby tak szybko odeszli - zmartwił się Jondalar.

- Załatwili to, co chcieli załatwić - zauważył Willamar. - Joplaya i Echozar zawiazali węzeł, Jaskinia zaś dostała swoją Zelandoni, a raczej Lanzadoni.

- Miałem nadzieję, że spędzimy razem więcej czasu. Pewnie znowu długo ich nie zobaczymy - odrzekł Jondalar.

- Ja też miałem taką nadzieję - dorzucił Joharran. - Rozmawiałem ostatnio z Dalanarem o tym, dlaczego zdecydował się stworzyć Lanzadonii, zupełnie osobny lud. Zdaje się, że chodziło o coś więcej niż znaczną odległość. Powiem wam, że przekazał mi kilka interesujących myśli.

- Jak zawsze - mruknęła Marthona.

- Echozar i Joplaya nie lubią już chodzić do centralnego obozowiska. Mówią, że ludzie gapią się na nich, a wielu nawet nie próbuje ukrywać wrogości - wtrąciła Folar.

- Może są trochę przewrażliwieni po tym incydencie w czasie Zaślubin? - zasugerowała Proleva.

- Rozważyłem dokładnie wszystkie zarzuty i moim zdaniem żaden nie jest uzasadniony. To Brukeval wszczął całą tę awanturę, a wszyscy wiedzą, jakie pobudki nim kierują - stwierdziła

Pierwsza. - Marona zaś próbuje macić, bo Lanzadonii są spokrewnieni z Jondalarem. Chce się odegrać na nim i na całej jego rodzinie.

- Czasem mam wrażenie, że ta kobieta stara się zostać mistrzynią w chowaniu urazy - odezwała się Proleva. - Powinna znaleźć sobie jakieś zajęcie. Może gdyby urodziła dziecko, miałyby o czym myśleć?

- Nie życzyłabym żadnemu dziecku, żeby miało taką matkę - mruknęła Salova.

Doni zapewne zgadza się z tobą - przyznała Ramara. - Jak dotąd nikt jeszcze nie widział, żeby Marona została pobłogosławiona - Czy ona nie jest aby twoją krewną, Ramaro? - spytała Folarą. - Macie takie same, bardzo jasne włosy.

- Jest moją kuzynką, ale dość daleką - przyznała kobieta.

- Moim zdaniem Proleva ma rację - odezwała się Marthona. - Marona powinna czymś się zająć, ale niekoniecznie wychowywaniem dziecka. Mogłaby na przykład wyuczyć się jakiegoś rzemiosła, któremu poświęciłaby się bez reszty, a wtedy nie myślałaby tyle o bruźdzeniu innym ludziom tylko dlatego, że jej życie nie ułożyło się tak, jak tego chciała. Sądzę, że każdy powinien posiadać umiejętność, korzystanie z której sprawiałoby mu przyjemność; mieć coś, co chciałby robić i co robiłby dobrze. Jeśli Marona nie znajdzie sobie takiego zajęcia, nie przestanie sprawiać nam problemów, choćby po to, by zwrócić na siebie uwagę.

- To może nie wystarczyć - zauważył Solaban. - Laramar umie robić coś, za co jest ceniony, a nawet podziwiany. Robi dobrą barmę, a mimo to sprawia więcej kłopotów niż ktokolwiek inny. Dogadał się z Brukevalem w sprawie Joplayi i Echozara i całkiem nieźle zamącił ludziom w głowach. Słyszałem, jak mówił komuś z Piątej Jaskini, że ognisko Jondalara nie powinno już być jednym z pierwszych, bo Jondalar związał się z obcą kobietą, a przybysze zawsze mają najniższy status. Podejrzewam, że wciąż ma Ayli za złe to, że nie szła za nim podczas pogrzebu Shevonara. Udaje, że ignoruje tamtą sprawę, ale moim zdaniem nie jest zadowolony, że wciąż jest ostatni.

Więc może czas najwyższy, żeby coś z tym zrobił? - rzuciła rozdrażniona Proleva. - Może na przykład zająłby się dziećmi własnego ogniska!

- Ognisko Jondalara ma dokładnie taki status, jaki powinno mieć - orzekła Marthona, z lekkim uśmiechem satysfakcji. - Sytuacja była wyjątkowa, a o takim obrocie spraw zadecydowali przywódcy i Zelandoni. Laramar nie ma tu nic do gadania.

- A może właśnie rozmowa rozwiązałaby te problemy? - zasugerowała Pierwsza. - Myślę, że warto pomówić z Dalanarem o wielkim spotkaniu przywódców i Zelandoni. Moglibyśmy otwarcie przedyskutować sprawę Joplayi i Echozara, dając wszystkim krzykaczom okazję do wygadania się.

- Może byłby to najlepszy moment, by Jondalar i Ayla opowiedzieli o swoich doświadczeniach z płaskogłowymi... to jest z ludźmi Klanu - poprawił się Joharran. - I tak zamierzałem porozmawiać z innymi przywódcami na ten temat.

- Byłoby dobrze, gdybyśmy rozmówili się z Dalanarem już teraz - odrzekła Zelandoni. - Muszę wracać do głównego obozowiska, do naszej chaty. Mam pewien problem. Ktoś z Zelandoni przekazuje na zewnątrz informacje, które powinny być tajne. Niektóre dotyczą prywatnych spraw różnych ludzi, a inne są częścią wiedzy, o której nie powinno się mówić poza wąskim gronem przywódców duchowych. Muszę się dowiedzieć, kto to robi, i skończyć wreszcie z tymi przeciekami.

Ayla przysłuchiwała się temu wszystkiemu z wielką uwagą i zamyśliła się głęboko, gdy goście rozeszli się do swoich zajęć. W duszy porównywała cały lud Zelandonii do wielkiej rzeki. Powierzchnia wody mogła wydawać się gładka i spokojna, ale pod nią, na różnych głębokościach, czaiło się wiele przeciwstawnych, niebezpiecznych prądów. Znachorka pomyślała, że Marthona i Zelandoni prawdopodobnie wiedziały więcej niż inni ludzie o owych nurtach w głębinie, ale podejrzewała, że i one nie wiedzą wszystkiego - może nawet o sobie nawzajem. Z tonu głosów, postaw i gestów wnioskowała o wielu sprawach nie wyrażanych słowami, lecz nawet jeśli trafnie odgadywała istotę niektórych z nich, to następne zagadki mnożyły się jak grzyby po deszczu. Podwodne prądy wciąż zmieniały kierunek, wywołując na powierzchni tylko niewielkie zmarszczki i fale - i zupełnie tak samo jak w prawdziwej Rzece nigdy nie miały ustać.

- Zajrzę do koni - oznajmiła Ayla Jondalarowi. - Idziesz ze mną czy masz coś innego do roboty?

- Pójdę, ale za chwilę - odparł mężczyzna. - Chcę zabrać miotacz i oszczepy, które robię dla Lanidara. Już prawie skończyłem i chciałbym je wypróbować, ale jestem na to za duży. Miałem nadzieję, że mi pomożesz. Wiem, że i dla ciebie będą za małe, ale może uda ci się wyczuć, czy są w sam raz dla Lanidara.

- Jestem pewna, że są, ale spróbuję, jeśli chcesz - odpowiedziała. - Najlepiej będzie, jeśli Lanidar sam powie, czy się nadają, ale trudno mu będzie to rozstrzygnąć, póki nie nabierze wprawy. Tak czy inaczej, będzie miał czym ćwiczyć i na pewno sprawisz mu niespodziankę tym prezentem. Mam przeczucie, że będzie szczęśliwy jak nigdy dotąd.

Słońce stało niemal w zenicie, kiedy zaczęli zbierać swoje rzeczy. Wyczesali już konie, a Ayla zbadała je pieczołowicie. W cieplejszych porach roku owady mnożyły się bez umiaru i próbowały składać jaja w wilgotnych i ciepłych kąciach oczu roślinożerców - zwłaszcza koni i jeleni. Wiele lat wcześniej Iza nauczyła swą przybraną córkę stosowania przezroczystego płynu z pewnej białoniebieskawe rośliny, która wyglądała na martwą i rosła tylko w cienistych lasach.

Pożywką dla owej rośliny, która nie miała w sobie życiodajnego chlorofilu, było rozkładające się drewno. Jej woskowa powierzchnia czerniała pod wpływem dotyku. Ayla nie знаła jednak lepszego lekarstwa na infekcje oka niż chłodny płyn, który sączył się ze złamanej łodygi.

Wypróbowałszy mały miotacz, stwierdziła, że będzie idealny dla Lanidara. Jondalar kończył właśnie szlifować oszczepy, które przyniósł ze sobą, ale postanowił, że zrobi jeszcze kilka, gdy wypatrzył kępę młodziutkich olch, których smukłe pnie idealnie nadawały się na drzewce. Wyciął kilka z nich i zabrał się do pracy. Ayla tymczasem nabrała ochoty na spacer do lasu, który rozpoczynał się nad strumieniem, zaraz za zagrodą dla koni.

- Aylo, dokąd idziesz? - spytał Jondalar. - Niedługo powinniśmy wracać. Po południu mamy być w głównym obozowisku.

To nie potrwa długo - odpowiedziała. Mężczyzna widział, jak zniknęła za pierwszymi rzędami drzew, i zastanawiał się, co tam wypatrzyła. Może coś, co mogło być niebezpieczne dla koni? Właśnie rozważał, czy nie powinien pójść za nią, gdy usłyszał jej przeraźliwy krzyk.

- Nie! O nie!!

Jondalar zerwał się z ziemi i pognął do lasu tak szybko, jak pozwalały mu na to jego długie nogi. W pędzie przedarł się przez krzaki i boleśnie potłukł się o drzewo, którego nie zauważył, ale nie zwrócił na to uwagi. Kiedy znalazł się przy Ayli, jęknął bezsilnie i opadł na kolana.

## ROZDZIAŁ 35

Kłęcząc w mule na brzegu małego strumienia, Jondalar pochylił się nad Ayla. Kobieta leżała obok ciała wielkiego wilka, spoczywającego bezwładnie na boku, i ścisnęła w ramionach kosmaty łeb. Rozszarpane ucho drapieńczy znaczyło dłonie znachorki świeżą krwią. Zwierz zebrał siły i spróbował polizać ją po twarzy.

To Wilk! Jest ranny! - zaszlochała Ayla.

Łzy spływające po jej policzkach przetarły jasne szlaki w ciemnej smudze błota rozmazanego na jej twarzy.

- Jak sądzisz, co mu się przytrafiło? - spytał Jondalar.

- Nie wiem, ale musimy mu pomóc - odpowiedziała, siadając. - Trzeba zrobić nosze i zanieść go do obozu. - Słyszając jej stanowcze słowa, Wilk spróbował wstać, ale nie starczyło mu sił.

- Zostań przy nim, Aylo. Zrobię nosze z tych drzewc, które przed chwilą wyciąłem - rzekł mężczyzna.

Kiedy wnosili osłabionego Wilka do obozu, natychmiast otoczyła ich grupka ludzi dopytujących się, czy mogą jakoś pomóc. Ayla z otuchą pomyślała, że drapiezca w stosunkowo krótkim czasie zdążył znaleźć wielu przyjaciół w Dziewiątej Jaskini Zelandonii.

- Przygotuję dla niego miejsce w chacie - powiedziała Marthona i w pośpiechu ruszyła przodem.

- Mogę coś dla was zrobić? - spytał zatroskany Joharran, który niedawno powrócił z centralnego obozowiska.

- Dowiedz się, czy Zelandoni ma jeszcze żywokost, którym leczylimy Matagana, i płatki nagietka. Podejrzewam, że Wilk wdał się w walkę z innymi wilkami, a rany od zębów bywają zdradliwe. Potrzebujemy mocnego lekarstwa, ale najpierw musimy dobrze oczyścić rany - wyjaśniła Ayla.

Domyślam się, że przyda wam się gorąca woda? - wtrącił Willamar. Znachorka skinęła głową. - Rozpalę ogień. Dobrze się składa, że akurat nzebieraliśmy chrustu.

Wracając z chaty Zelandoni, Joharran przyprowadził ze sobą Folarę i Prolevę. Zelandoni miała zjawić się lada chwila. W krótkim czasie bodaj wszyscy uczestnicy Letniego Spotkania wiedzieli już o tym, że Wilk Ayli jest ranny, i większość zareagowała autentyczną troską.

Jondalar obserwował pracującą w milczeniu uzdrowicielkę i po jej twarzy widział, że obrażenia czworonoga są dość poważne. Ayla była pewna, że w ataku wzięła udział cała sfera, i dziwiła się w duchu, że Wilk w ogóle przeżył tę walkę. Poprosiła Prolevę o kawałek żubrego

mięsa. Zeskrobała odrobinę dokładnie tak, jak czyniła to, przyrządzając pokarm dla niemowlęcia, i zmieszała strzępki z odrobiną bielunia. Wsunęła mieszankę do pyska Wilka, by rozluźnić go nieco i uśpić.

- Jondalarze, przynieś mi kawałki tej skórki z nienarodzonego cielęcia żubra, którego ubiłam. Potrzebne mi miękkie, dobrze wchłaniające wilgoć skrawki do oczyszczenia ran - powiedziała, spoglądając na partnera.

Marthona jeszcze przez moment przyglądała się, jak znachorka w kilku miseczkach miesza starte na proszek, suszone korzenie z gorącą wodą, a potem podała jej kawałek materiału.

- Zelandoni używa tego.

Ayla spojrzała na szmatkę i natychmiast stwierdziła, że nie jest to skóra, ale drobno tkany materiał, podobny do tego, z którego matka Jondalara wykonała tuniki na prezenty dla młodej pary. Zmoczyła płótno w wodzie i z zadowoleniem zauważyła, że świetnie wchłonęło wilgoć. Doskonale. Dziękuję - powiedziała.

Zelandoni zjawiała się w chwili, gdy Jondalar i Joharran ostrożnie przekładali wilka na drugi bok. Pierwsza pracowała ramię w ramię z Ayla, oczyszczając jedną z wyjątkowo niebezpiecznych ran. Kiedy skończyły, uzdrowicielka zaskoczyła wielu spośród obecnych, wyciągając przeciągacz nici i używając cieniutkiego ścięgna do zszycia poszarpanych mięśni i skóry. Kilka osób widziało już ów przyrząd, ale nikt z Zelandonii nie miał okazji podziwiać go w akcji, i to w kontakcie z żywym ciałem. Ayla zeszyła też rozerwane ucho, choć nie była w stanie doprowadzić do poprzedniego stanu jego wystrzępionej krawędzi.

Dokładnie to samo zrobiłaś ze mną - zauważył Jondalar i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Mam wrażenie, że to dobry sposób na zamknięcie rany na tyle, żeby goiła się prawidłowo - oceniła Zelandoni - Czy tego także nauczyłaś się od znachorki Klanu? Mani na myśli zszywanie skóry.

- Nie. Iza nigdy tego nie robiła. Ludzie Klanu właściwie nie szyją, tylko wiążą ze sobą różne rzeczy. Często używają tej małej, ostrej kostki z dolnej części przedniej nogi jelenia jako szydła, którym dziurawią skóry. Przetykają przez otwory podsuszone, sztywne na końcu ścięgna i wiążą je w supły. W ten sam sposób wykonują pojemniki z kory brzozonej. Kiedy przekonałam się, że rany Jondalara wciąż się otwierają, chociaż owijałam je najlepiej, jak umiałam, pomyślałam o węzłach, które mogłyby podtrzymać mięśnie i skórę na właściwym miejscu. No i spróbowałam. Wydawało się, że to dobry pomysł, lecz nie byłam pewna, w którym momencie powinnam zdjąć szwy. Nie chciałam, żeby ciało znowu się rozeszło, ale i wrośnięcie w nie ścięgien, których użyłam, wydawało mi się niebezpieczne. Możliwe, że zbyt długo zwlekałam z ich wyjęciem, dlatego ból przy tym zabiegu był pewnie silniejszy niż powinien - wyjaśniła Ayla.

- Chcesz powiedzieć, że wtedy po raz pierwszy zszywałaś ranę? - zdumiał się Jondalar. - Nie wiedziałaś, czy to poskutkuje, ale postanowiłaś spróbować na mnie? - Mężczyzna zaśmiał się gardłowo. - I dobrze zrobiłaś! Gdyby nie te blizny, nikt by się nie domyślił, że przeżyłem spotkanie z lwem jaskiniowym.

- Sama wynalazłaś technikę zszywania ran... - zadumała się Zelandoni. - Tylko ktoś o wielkich umiejętnościach i z naturalnym talentem do uzdrawiania mógł pomyśleć o czymś takim. Aylo, ty po prostu należysz do Zelandoni.

Znachorka wyglądała na nieszczęśliwą.

- Ale ja nie chcę być Zelandoni - jęknęła. - Ja... doceniam, oczywiście, ale... to znaczy... Proszę, nie zrozum mnie źle, czuję się zaszczycona, ale chcę być tylko partnerką Jondalara, rodzić mu dzieci i być dobrą kobietą Zelandonii - odpowiedziała, nie patrząc w oczy donier.

To ty nie zrozum mnie źle - odrzekła Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą. - To, co usłyszałaś, nie jest zdawkowym zaproszeniem, wypowiedzianym bez przemyślenia, jak zaproszenie do wspólnego posiłku. Stwierdziłam, że należysz do Zelandoni. Myślałam nad tym od dłuższego czasu. Ktoś obdarzony takim talentem i umiejętnościami powinien przyłączyć się do ludzi o podobnych zainteresowaniach i podobną wiedzę. Lubisz przecież uzdrawiać, prawda?

- Jestem znachorką i nie zmienię tego - przyznała Ayla.

- Oczywiście, że jesteś, ale nie w tym rzecz - odrzekła Pierwsza. - Wśród Zelandonii tylko ci, którzy należą do Zelandoni, są uzdrowicielami. Ludzie nie czuliby się pewnie, gdyby leczył ich ktoś, kto nie jest jednym z nas. Nie będą wzywać cię do chorych, póki nie będziesz należeć do Zelandoni. Nie będziesz mogła pełnić funkcji - jak ty to nazywasz - znachorki. Dlaczego nie chcesz być jedną z nas?

- Mówiłaś, że trzeba nauczyć się tylu rzeczy i że potrzeba na to tak wiele czasu. Jak miałabym być dobrą partnerką dla Jondalara i dobrą matką dla moich dzieci, jeżeli musiałabym spędzać lata na uczeniu się, jak być Zelandoni? - spytała Ayla.

- Wśród Tych Którzy Służą Wielkiej Matce Ziemi są i tacy, którzy mają partnerów i potomstwo. Sama wspominałaś nam o mężczyźnie służącym Matce, który ma kobietę i kilkoro dzieci. Poznałaś też Zelandoni z Drugiej Jaskini. Zresztą są i inni - dodała otyła donier.

- Ale niewielu - odparła znachorką.

Pierwsza spojrzała na nią uważnie, pewna, że za buntowniczymi słowami młodej kobiety kryje się coś głębszego. Powody, które wymieniała, nie były do końca zgodne z jej charakterem. Była doskonałą uzdrowicielką, a przy tym nie brakowało jej ciekawości i zdolności uczenia się, nie mówiąc już o radości, którą czerpała z niesienia innym pomocy. Z pewnością nie zaniedbywałaby



partnera i dzieci; zresztą zawsze znalazłby się ktoś, kto pomógłby jej udźwignąć odpowiedzialność. Jej problemem była raczej nadmierna opiekuńczość, manifestująca się chociażby poprzez troskę o zwierzęta. Ayla zawsze była gotowa spieszyć z pomocą potrzebującym i brała na siebie więcej obowiązków, niż od niej oczekiwano.

Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą była na przykład pod wrażeniem skuteczności akcji, którą młoda znachorką zorganizowała na rzecz pomocy Lanodze, dzielnie opiekującej się młodszą siostrą i resztą rodzeństwa. Sposób, w jaki Ayla starała się pokierować życiem chłopca ze zdeformowanym ramieniem, także świadczył o tym, że byłaby z niej dobra Zelandoni. Zupełnie naturalnie, bez zachęty z zewnątrz, przyjęła na siebie tę rolę i wykonywała ją znakomicie. Doświadczona donier postanowiła, że odkryje prawdziwy problem Ayli, gdyż nie miała już wątpliwości, iż prędzej czy później jasnowłosa kobieta Jondalara musi wstąpić w szeregi Tych Którzy Służą Wielkiej Matce Ziemi. Doprowadzenie do tego leżało w interesie Zelandoni, ponieważ samodzielne, nie poddane żadnej kontroli działanie osoby obdarzonej taką wiedzą i talentem mogło zagrozić stabilności ich organizacji.

Ludzie uśmiechali się na widok wilka - okutanego bandażami z kawałków skór i płótna utkanego przez Marthonę - który potulnie wędrował przez obóz u nogi Ayli. Zwierz wyglądał prawie tak, jakby miał na sobie ubranie, a przez to sprawiał wrażenie karykatury dzikiego mięsożercy, którym był w istocie. Niektórzy zatrzymywali się, by zapytać o jego zdrowie, a inni od razu stwierdzali, że wygląda coraz lepiej. Wilk nie odstępował Ayli na krok. Za pierwszym razem, gdy próbowała zostawić go na uwięzi, wył z tęsknoty i wreszcie zerwał się z postronka, by ją odnaleźć. Wędrowni Opowiadacze już zaczęli układać pieśni i opowieści o wilku, który pokochał kobietę.

Znachorką musiała zaś od nowa uczyć go, że ma zostawać tam, gdzie mu każe. Po pewnym czasie przyzwyczał się na powrót do pozostawiania pod opieką Jondalara, Marthony czy Folary, ale instynkt obronny kazał mu strzec własnego terytorium - obozu Dziewiętej Jaskini. Ayla poświęciła więc sporo wysiłku na oduczenie Wilka rzucania się na gości. Ludzie, którzy na co dzień przebywali w jej towarzystwie, nie mogli wyjść z podziwu nad - zdawać się mogło nieskończoną - cierpliwością, którą okazywała zwierzęciu. Widzieli jednak, że systematyczna nauka przynosi wyniki. Wielu zastanawiało się nawet nad tym, że przyjemnie byłoby mieć zwierzę posłuszne rozkazom, ale praca nad kształtowaniem jego charakteru wydawała im się zbyt czasochłonna i męcząca. Obserwowanie poczynań Ayli pomogło im za to zrozumieć, że jej władza nad dzikimi stworzeniami nie miała nic wspólnego z magią.

Znachorką zdążyła już się przyzwycząć do pocieszającej myśli, że Wilk odzyskał dawną równowagę ducha i przestał traktować gości jak intruzów, gdy nagle zdarzyło się coś dziwnego.

Pewien młodzieniec - słyszała, jak nazywano go Lenadarem z Jedenastej Jaskini - przyszedł z wizytą do Tivonana, ucznia szkolonego przez Willamara w sztuce handlu. Wilk zbliżył się do Lenadara i począł warczeć groźnie, szczerząc kły w napadzie nagłej furii. Ayla musiała objąć drapieżcę i przytrzymać z całych sił, lecz nawet wtedy nie przestał wrywać się do ataku. Przerażony młodzian wycofał się, Ayla zaś przeprosiła go gorąco. Willamar, Tivonan i inni, którzy byli świadkami tej sceny, byli zdumieni reakcją Wilka.

- Nie wiem, co mu się stało. Wydawało mi się, że skończył już z tą swoją przesadną troską o własne terytorium. Zwykle tak się nie zachowuje, ale ostatnio miał pewne problemy i od tamtej pory zdarzają mu się takie napady - wyjaśniła Ayla.

- Słyszałem, że był ranny - odrzekł młodzieniec.

I wtedy znachorka zauważyła, że miał na szyi wisior z wilczych zębów, a na grzbiecie plecak ozdobionym wilczym futrem.

- Czy mogę spytać, skąd wzięłeś te ozdoby?

- No cóż... Większość ludzi sądzi, że upolowałem wilka, ale prawda jest taka, że znalazłem martwe zwierzę, a ściślej mówiąc dwa. Musiały stoczyć ciężką walkę, bo były solidnie pokaleczone. Jednym z nich była czarna samica, a drugim zwyczajny, szary samiec. Najpierw zabrałem kły, a potem postanowiłem odzyskać choćby strzępy futer.

- Domyślam się, że na plecak naszyłeś kawałek skóry tego szarego wilka - powiedziała Ayla. - Chyba rozumiem już, co się stało. Mój przyjaciel musiał brać udział w tej samej walce; pewnie właśnie wtedy tak ucierpiał. Wiem, że znalazł sobie przyjaciółkę, była nią ta czarna wilczyca. Jest jeszcze dość młody, więc nie sądzę, żeby została jego partnerką. Nie ma jeszcze dwóch lat; podejrzewam, że dopiero się poznawali. Ona zaś była albo samicą o najniższym statusie w tutejszej sforze, albo samotnicą, wykluczoną z innego stada.

- Skąd możesz to wiedzieć? - zdziwił się Tivonan. Wokół rozmawiających zebrała się już spora grupka ciekawskich.

- Wilki lubią, kiedy wilk wygląda jak wilk. Chcę przez to powiedzieć, że łatwiej im odczytać oblicze innego wilka, kiedy jego umaszczenie jest normalne. Te, które się wyróżniają - na przykład czarne, białe czy cętkowane - nie są akceptowane. Mamutoi mówili mi, że tylko tam, gdzie śnieg leży przez cały rok, białe okazy są traktowane jako normalne. Te nietypowe mają zawsze najniższy status w sforze; prawdopodobnie dlatego właśnie czarna samica opuściła stado i wiodła samotne życie. Zwykle w takiej sytuacji samotnicy lokują się gdzieś na obrzeżach dwóch sąsiednich terytoriów i próbują wykroić z nich coś dla siebie. Jeśli uda im się spotkać innego samotnika, starają się założyć nową sforę. Domyślam się, że wilki z całej okolicy postanowiły bronić ziemi przed parą nowych - wyjaśniła Ayla. - Mój Wilk, choć jest bardzo duży, nie ma

wielkich szans w starciu ze swoimi pobratymcami. Tak naprawdę zna tylko ludzi. Nie wychowywał się wśród wilków. Może instynktownie wie o nich co nieco, ale nigdy nie miał braci, sióstr, ciotek, wujów - słowem pobratymców, którzy mogliby go nauczyć normalnego, wilczego zachowania.

- Nadal nie rozumiem, skąd tyle wiesz - stwierdził Lenadar.

- Obserwowałam wilki przez wiele lat. Kiedy uczyłam się myślistwa, polowałam wyłącznie na drapieżniki. Chciałabym prosić cię o przysługę, Lenadarze: może przyjąłbyś coś ode mnie w zamian za ten kawałek wilczego futra? Sądzę, że mój przyjaciel groził ci tylko dlatego, że wyczuwał zapach wroga, z którym walczył; i to tego, którego zdołał zabić. Pamiętaj, że pozostali przeciwnicy pozbawili życia jego towarzyszkę, a sam ledwie uszedł przed nimi. Dopóki będziesz nosił przy sobie ten skrawek, będziesz w niebezpieczeństwie. Nie powinienes przychodzić do naszego obozu, bo nie umiem przewidzieć reakcji Wilka.

- Najlepiej będzie, jeśli po prostu dam ci ten drobiazg - odrzekł młodzieniec. - W końcu to tylko kawałek futra przyszyty do plecaka. Jakoś nie mam ochoty zostać bohaterem pieśni i legend o tym, jak pewien mężczyzna zginął od kłów wilka, który kochał kobietę. Czy mogę zatrzymać chociaż zęby? Mają pewną wartość.

Tak, możesz nosić ten naszyjnik, ale proponuję, żebyś najpierw przez kilka dni moczył go w jasnej, bardzo mocnej herbacie. Pokażesz mi, gdzie znalazłeś te martwe wilki?

Młodzieniec oddał Ayli sporny kawałek futra. Kiedy rzuciła trofeum Wilkowi, ten natychmiast skoczył na nie i zaczął szarpać wściekle, próbując rezerwacje na strzępy. Dla obserwujących tę scenę ludzi byłoby to zapewne pocieszne widowisko, gdyby nie fakt, że wiedzieli, jak bardzo drapieżca ucierpiał w nierównej walce - tej samej, w której zginęła jego ewentualna partnerka. Sympatyzowali z Wilkiem, podświadomie przypisując mu uczucia, których sami doświadczaliby na jego miejscu.

- Cieszę się, że ten skrawek futra już nie wisi na moich plecach - mruknął Lenadar.

Ayla umówiła się z nim na wyprawę do miejsca, w którym znalazł martwe wilki, teraz jednak oboje mieli inne plany. Nie była nawet pewna, co właściwie spodziewała się zobaczyć na miejscu walki - padlinożercy zapewne zajęli się szczątkami zwierząt - ale ciekawiło ją, jak daleką drogę przebył ciężko ranny Wilk. Obserwując odchodzącego Lenadara, rozmyślała o pieśniach i opowieściach, o których wspominał - o wilku, który pokochał kobietę.

Wspomniała też swą wizytę w obozie Opowiadaczy i Muzyków. Było to miejsce barwne i pełne życia; nawet stroje artystów sprawiały wrażenie bardziej kolorowych niż inne. Ludzie ci podróżowali z miejsca na miejsce; nie mieli własnej siedziby, a jedynie lekkie namioty i chaty. Zatrzymywali się na jakiś czas w kolejnych Jaskiniach, ale nie czuli się związani z żadną z nich.

Podobnie jak przez cały rok, także i podczas Letniego Spotkania pojawiali się na terenie poszczególnych Jaskiń, tyle że nie w kamiennych sadybach, ale w obozach. Występowali też na głównym placu centralnego obozowiska, tam, gdzie odbyły się Zaślubiny i gdzie publiczność mogła ich podziwiać, siedząc wygodnie na trawiastym stoku wzgórza.

Ayla wiedziała już wcześniej, że Opowiadacze wzięli na warsztat historię o zwierzętach z Dziewiątej Jaskini. Niektóre z pieśni opowiadały o przydatności nowych sprzymierzeńców człowieka - o tym, jak konie pomagały przenosić ciężkie ładunki, lub o tym, jak Wilk brał udział w polowaniu, wypłaszając z ukrycia ptaki, tak jak uczynił to podczas pokazu miotaczy oszczepów. Powstała też opowieść o tym, jak pomógł Ayli odkryć nową jaskinię. Generalnie jednak utwory Wędrownych Opowiadaczy były przesycone elementami fantastycznymi i magicznymi. Wilk jawił się w nich jako stworzenie nie tyle wyćwiczone ręką człowieka, ile złączone ze swą panią nadnaturalną więzią. W kolejnych wersjach opowieści stał się już mężczyzną, który przybrał postać wilka na czas podróży do świata duchów i ponownie znalazłszy się na Ziemi, zapomniał wrócić do ludzkich kształtów.

Opowieści powtarzano wielokrotnie, wciąż w inny sposób, aż z czasem włączono je na stałe do skarbnicy legend. Niektórzy z Opowiadaczy wymyślali też własne historyjki o zwierzętach hodowanych przez ludzi, a niekiedy odwracali role i bawili publiczność utworami o ludziach wychowywanych przez zwierzęta. Nie brakowało opowieści o duchach zwierząt, które skrycie pomagały człowiekowi. Wiele wskazywało na to, że miały być przekazywane z pokolenia na pokolenie, propagując ideę oswojania zwierząt, a nie tylko traktowania ich jako cel łowów.

- Z Folarą będzie mu bardzo dobrze - rzekł Jondalar. - Przyzwyczał się już do gości, a oni stali się ostrożniejsi i zawsze dbają o to, by gospodarze z Dziewiątej Jaskini wiedzieli o ich wizytach i wychodzili im naprzeciw. Nikogo już nie zaatakują; przecież wiemy, dlaczego chciał rzucić się na Lenadara. Ma za sobą trudne chwile, ale wciąż jest tym samym Wilkiem, którego kochałaś i szkoliłaś od małego. Sądzę jednak, że zabranie go na spotkanie byłoby błędem. Wiesz, jacy są ludzie - kiedy się podniecą, robią się agresywni. Wilk nie byłby zachwycony widokiem wrzeszczących rozmówców. Gdybyś tam była, mógłbyś pomyśleć, że coś ci grozi.

- Kto jeszcze tam będzie? - spytała zrezygnowana Ayla.

- Przede wszystkim przywódcy Jaskiń i Zelandoni, a także ci, którzy sprzeciwiali się Zaślubinom Echozara z Joplayą - odparł Jondalar.

- Czyli Brukeval, Laramar i Marona. Nikogo z nich nie nazwałabym przyjacielem - stwierdziła znachorka.

- Jest nawet gorzej - dodał łupacz krzemieni. - Zelandoni z Piątej Jaskini i jego akolita, Madroman, który z pewnością nie jest moim wielbicielem, także tam będą. No i Denanna z

Dwudziestej Dziewiątej Jaskini, choć nie jestem pewien, przeciwko czemu zamierza się wypowiadać.

- Pewnie nie podoba jej się to, że zwierzęta mieszkają razem z ludźmi. Pamiętasz? Kiedy zatrzymaliśmy się u niej po drodze, nie chciała, żeby konie wchodziły pod skalny nawis, nie mówiąc już o wilku. Na szczęście ja i tak miałam ochotę na nocleg w szczerym polu - dodała z uśmiechem Ayla.

Kiedy dotarli do chaty Zelandoni, kotara została odsłonięta i wprowadzono ich do wnętrza, nim zdążyli zapowiedzieć swoje przybycie. Ayla pomyślała przelotnie o tym, w jaki sposób Zelandoni wyczuwają jej obecność, bez względu na to, czy uprzedzała o wizycie, czy też nie.

- Czy miałaś już okazję poznać nową członkinię Dziewiątej Jaskini? - spytała Zelandoni, zwracając się do sympatycznie wyglądającej kobiety o łagodnym uśmiechu, w której znachorka wyczuwała niebagatelną, wewnętrzną siłę.

Byłam na ceremonii powitania, rzecz jasna, a potem na Zaślubinach, ale osobiście jeszcze się nie znamy - odpowiedziała kobieta.

- Oto jest Ayla z Dziewiątej Jaskini Zelandoni, zaślubiona Jondalarowi z Dziewiątej Jaskini Zelandonii, synowi Marthony, byłej przywódczyni Dziewiątej Jaskini, znana dawniej jako Ayla z Obozu Lwa Mamutoi, córka Ogniska Mamuta, wybrana przez Ducha Lwa Jaskiniowego i chroniona przez Niedźwiedzia Jaskiniowego - wyrecytowała donier formułkę oficjalnego powitania.

- Aylo, oto jest Zelandoni z Dwudziestej Dziewiątej Jaskini.

Znachorka była nieco zaskoczona tak lapidarnym powitaniem. W gruncie rzeczy jednak nie potrzeba było wielu słów, by przedstawić jedną z Tych Którzy Służą. Wstępując do Zelandoni kobieta wyzbyła się indywidualnej tożsamości i stała się duchowym reprezentantem Dwudziestej Dziewiątej Jaskini. Nie zmieniało to faktu, że na specjalne życzenie wszystkie tytuły z dawnego jej życia mogły zostać wymienione. Tyle że zazwyczaj nie było to konieczne, bo tak naprawdę była już zupełnie inną osobą.

Ayla pomyślała o własnych tytułach, które nabyła poprzez Zaślubiny. Podobał jej się sposób, w jaki przedstawiała ją Zelandoni. Znachorka stała się Ayla z Dziewiątej Jaskini Zelandonii, partnerką Jondalara, ale jednocześnie nie przestała być Ayla z Mamutoi - nie straciła związku z przeszłością, który tak bardzo ceniła. Nadal była też wybraną przez Ducha Lwa Jaskiniowego i chroniona przez Niedźwiedzia Jaskiniowego. Cieszyła się, że nawet jej totem i ślady przynależności do Klanu zostały włączone do oficjalnego imienia.

Wkrótce po przybyciu na ziemię Zelandonii, kiedy pierwszy raz wysłuchiwała oficjalnych powitań, zastanawiała się w głębi duszy, czemu mają służyć tak rozbudowane, nie kończące się

recytacje i dlatego nikt nie próbował upraszczać procedury, używając chociażby pojedynczych imion: Jondalar, Marthona, Proleva... Teraz jednak czuła przyjemność, słuchając, jak wyliczano jej koneksje. Zwyczajnie Zelandonii nie wydawały jej się już tak dziwaczne. Dawniej nazywała siebie w myślach Ayla bez Ludzi; była samotna, skazana na towarzystwo klaczy i młodego lwa. Obecnie zaś była związana z wieloma osobami, miała partnera i spodziewała się dziecka.

Jeszcze jedna myśl przebiegła jej przez głowę, kiedy przyglądała się uczestnikom spotkania: żałowała, że nie może dołączyć do swego imienia słów "matka Durca z Klanu", Biorąc pod uwagę przyczynę zebrania, niedawne wydarzenia z dnia Zaślubin i nieprzychylnie opinie na temat dziedzictwa Echozara, nie była pewna, czy kiedykolwiek będzie mogła opowiedzieć Zelandonii o swoim synu.

Kiedy Pierwsza stanęła pośrodku pomieszczenia, zapadła cisza.

- Zacznę od zapewnienia was, że dzisiejsze spotkanie niczego nie zmieni. Joplaya i Echozar zostali sobie Zaślubieni i tylko oni mogą zmienić ten stan rzeczy. Doniesiono mi jednak, że w naszych obozach krążą podłe plotki i wiele osób żywi niechęć do tej młodej pary, co jest moim zdaniem sprawą haniebną. Nie napawa mnie dumą fakt, że jestem Zelandoni wśród ludzi, którzy potrafią być tak bezlitośni dla dwojga młodych rozpoczynających wspólne życie. Postanowiliśmy z Dalanarem, mężczyzną ogniska Joplayi, porozmawiać o tej sytuacji otwarcie. Jeżeli ktoś ma coś przeciwko temu związkowi, niech przemówi teraz - rozkazała donier.

Zgromadzeni poruszyli się niespokojnie, nie patrząc sobie wzajemnie w oczy. Nerwowość i zakłopotanie zdradzali zwłaszcza ci, którzy w zasadzie bez powodu przekazywali plotki i niepocholebne opinie o młodej parze. Nawet niektórzy przywódcy Jaskiń i Zelandoni poczuli się niepewnie. Nikt nie chciał przemówić głośno w obronie swoich poglądów, jakby sprawa była zbyt głupia, by w ogóle o niej dyskutować. Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą była już gotowa przejść do omawiania następnej kwestii.

Laramar dostrzegł jednak w porę, że wysiłki, które podejmował w ostatnich dniach, spełzają na niczym. Poczul, że jako sprawca całego zamieszania powinien zachęcić swych stronników do wyrażenia niezadowolenia.

- Chyba nie zaprzeczysz, że matka Echozara była płaskogłową? - spytał buńczucznie.

Pierwsza spojrzała na niego z mieszaniną pogardy i irytacji.

- On sam nigdy temu nie przeczył - odpowiedziała.

- To oznacza, że jest dzieckiem mieszanych duchów, czyli potworem. Błuznierstwem przeciwko prawom natury - stwierdził twardo Laramar.

Kto ci powiedział, że dziecko mieszanych duchów jest błuznierstwem? - spytała rzeczowo Pierwsza.

Laramar zmarszczył brwi i rozejrzał się niepewnie. Wszyscy o tym wiedzą.

- Ale skąd? - drażyła Zelandoni.

- Stąd, że ludzie tak twierdzą.

- Którzy ludzie?

Wszyscy - odparł coraz bardziej zdenerwowany mężczyzna.

- A czy gdyby wszyscy powiedzieli, że jutro rano nie wstanie słońce, to tak by się stało? - spytała donier.

- No... nie. Ale w tej sprawie ludzie zawsze tak twierdzili - upierał się Laramar.

- Zdaje się, że słyszałam coś takiego z ust Zelandoni - rozległ się nagle kobiecy głos.

Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą rozejrzała się uważnie, pewna, że rozpoznała mówczynię.

Twierdzisz, że tego ucząją was Zelandoni, Marono? Że dziecko mieszanych duchów jest bluźnierstwem?

Tak - odparła buntowniczo młoda kobieta. - Jestem pewna, że tak właśnie mówiło któreś z was.

- Marono, czy nikt ci nigdy nie powiedział, że nawet piękna kobieta wygląda okropnie, kiedy kłamie? - spytała niewinnie Pierwsza.

Marona oblała się rumieńcem i popatrzyła na nią z nienawiścią. Wiele par oczu zwróciło się ku dziewczynie i niejednen z patrzących musiał przyznać rację donier: twarz Marony nie wyglądała w tym momencie równie atrakcyjnie jak zwykle.

- Skąd miałybyś o tym wiedzieć, stara, tłusta kobieto!

- wymamrotała upokorzona, odwracając wzrok. Znajdujący się najbliżej jęknęli z cicha, zszokowani bezczelnością młodej kobiety wobec Pierwszej Wśród Tych Którzy Służą Wielkiej Matce Ziemi. Ayla, siedząca w przeciwległym krańcu pomieszczenia, zareagowała podobnie za sprawą nieomalże nadprzyrodzonej ostrości słuchu. Wśród tych, którzy posłyszeli słowa Marony, znalazła się też sama Zelandoni.

- Spójrz uważnie na tę starą, tłustą kobietę, Marono, i zapamiętaj sobie jedno: ja także byłam kiedyś najpiękniejszą dziewczyną Letniego Spotkania. Uroda jest jednak najbardziej ulotnym z Darów. Używaj go mądrze, póki możesz, młoda kobieto, bo kiedy cię opuści, będziesz bardzo nieszczęśliwa - chyba że masz coś jeszcze prócz niego. Ja nigdy nie żałowałam utraconej piękności, a to dlatego, że zyskałam wiedzę i doświadczenie, które dają mi znacznie większą satysfakcję - odpowiedziała spokojnie Pierwsza.

A potem, jakby nigdy nic, zwróciła się do pozostałych:

- Marona twierdzi, a Laramar sugeruje, że Zelandoni nauczają, jakoby dzieci zrodzone wskutek zmieszania duchów ludzi i tych, których nazywamy płaskogłowymi, były bluźnierstwem. W ostatnich dniach pogrążyłam się w głębokiej medytacji, wspominając Historie i Legendy Starszych, a także wiedzę dostępną wyłącznie Zelandoni. Próbowałam ustalić, skąd mógł się wziąć ten niedorzeczny pomysł, bo trzeba wam wiedzieć, że Laramar w jednym tylko ma rację: "ludzie zawsze tak twierdzili". - Donier umilkła i rozejrzała się po sali. - Otóż pomysł ten nigdy nie pojawił się w naukach przekazywanych wam przez Zelandoni.

Kiedy nie tak dawno Pierwsza medytowała w samotności, odwróciwszy gładką stroną na zewnątrz białą płytkę spoczywającą na jej piersiach, jej towarzysze i uczniowie nie ośmielali się przeszkadzać. Wiedzieli, że potrzebuje spokoju - teraz zaś zrozumieli dlaczego.

W sali rozbrzmiewały coraz głośniejsze rozmowy.

- Przecież to zwierzęta!

- Na pewno nie ludzie.

- Bliżej im do niedźwiedzi...

Głos Zelandoni z Czternastej Jaskini przebił się przez narastający zgiełk:

Wielka Matka brzydzi się takimi mieszancami.

- Z całą pewnością są bluźnierstwem - dorzuciła Denanna, przywódczyni Dwudziestej Dziewiątej Jaskini. - Zawsze o tym wiedzieliśmy.

- Denanna ma rację - szepnął Madroman do ucha Zelandoni z Piątej Jaskini. - To pół ludzie, pół zwierzęta.

Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą odczekała, aż zgromadzeni uspokoili się nieco.

Pomyślcie lepiej, od kogo słyszeliście takie twierdzenia. Spróbujcie przypomnieć sobie choćby jeden przykład we wszystkich naukach Zelandoni, kiedy jest mowa o dzieciach mieszanych duchów jako bluźnierstwach lub płaskogłowych jako zwierzętach. Nie mówię tu o aluzjach czy sugestiach, ale o konkretnych wskazaniach.

Wielka Zelandoni dała słuchaczom chwilę do namysłu, nim podjęła wątek:

- Jeżeli zastanowicie się nad tym nieco głębiej, przekonacie się, że Matka wcale nie czułaby obrzydzenia i nie chciałaby, abyśmy traktowali mieszanców jak potwory. Oni także są Jej dziećmi, nie tylko my. Czyż to nie Doni wybiera duchy kobiety i mężczyzny, które pragnie połączyć? Jako że nie utrzymujemy kontaktów z płaskogłowymi, takie przypadki nie zdarzają się często, ale jednak bywa tak, z woli Matki, że elan płaskogłowy połączy się z elanem Zelandonii. Taki jest Jej wybór. I nie jest naszą rzeczą dyskryminowanie Jej potomstwa. Skoro Wielka Matka Ziemia stworzyła płaskogłowych, to widocznie miała po temu powody. Echozar nie jest bluźnierstwem przeciwko Jej prawu. Jest człowiekiem zrodzonym z kobiety, jak my wszyscy. Fakt,



że jego matka była kobietą Klanu, nie czyni go dzieckiem Wielkiej Matki pośledniejszego gatunku. A skoro Echozar i Joplaya postanowili, że będą razem, to Doni może się z tego tylko cieszyć. I my też powinniśmy.

Znowu rozległy się przyciszone rozmowy, lecz nikt już nie protestował i Pierwsza postanowiła zająć się następną sprawą.

- Drugim powodem dzisiejszego spotkania jest to, że Joharran pragnie porozmawiać z wami właśnie na temat tych, których nazywamy płaskogłowymi. Sądzę jednak, że będzie lepiej, jeśli najpierw wysłuchacie opowieści kogoś, kto ma doświadczenie w obcowaniu z nimi. Ayla została wychowana przez tych, których znamy jako płaskogłowych, i nazywa ich ludźmi Klanu. Aylo, zbliż się, proszę, i opowiedz nam o nich.

Znachorka wstała i podeszła do Pierwszej. Czuła lekkie mdłości i suchość w ustach, nie przywykła bowiem do przemawiania przed tak licznym zgromadzeniem. Nie wiedziała też, od czego zacząć - wreszcie zdecydowała, że rozpocznie opowieść od swych najwcześniejszych wspomnień.

Wydaje mi się, że miałam mniej więcej pięć lat, kiedy straciłam rodzinę. Nie pamiętam zbyt dobrze, jak to się stało, ale sądzę, że zabrało mi ją trzęsienie ziemi. Czasem śni mi się tamta chwila. Włóczyłam się samotnie przez pewien czas, nie wiedząc, dokąd iść i co robić. Nie wiem, jak długo to trwało, ale w końcu spotkałam lwa jaskiniowego. Ukryłam się chyba w szczelinie skalnej, tak płytkiej, że drapieżnik dosięgnął! mnie łapą. Do dzisiaj mam na nodze blizny - cztery długie ślady po lwich pazurach. Moim pierwszym naprawdę żywym wspomnieniem jest widok twarzy Izy, kobiety z ludu, który wy nazywacie płaskogłowymi. Krzyknęłam ze strachu, kiedy otworzyłam oczy, a ona wzięła mnie w ramiona i tuliła tak długo, aż się uspokoiłam.

Opowieść o pięcioletniej osieroconej dziewczynce szybko wciągnęła słuchaczy. Ayla wyjaśniła, że jaskinia klanu Bruna uległa zniszczeniu podczas tego samego trzęsienia ziemi, które odebrało jej rodzinę. Pozbawieni schronienia ludzie właśnie poszukiwali nowej siedziby, gdy natknęli się na ranną, nieprzytomną dziewczynkę. Mówiła i o tym, że jej wybawcy od razu wiedzieli, iż nie jest jedną z nich, nie należy do Klanu, lecz do Innych - tak właśnie nazywali rośłych ludzi o wysokich czołach. Opowiedziała też o Izie, znachorce klanu Bruna, która ją adoptowała, oraz o jej bracie, Crebie, który był wielkim mogurem, odpowiednikiem Zelandoni. Z każdym słowem była coraz mniej spięta - mówiła już naturalnie, starając się oddać jak najwierniej uczucia, które targały nią, kiedy żyła pośród ludzi nazywających samych siebie Klanem Niedźwiedzia Jaskiniowego.

Nie ukrywała niczego - ani trudności, które na każdym kroku piętrzył przed nią zawistny Broud, syn Bruna, ani radości, którą dawało jej uczenie się od Izy sztuki uzdrawiania. Bez wahania

opowiadała o swej miłości do Creba i Izy, a także przybranej siostry, Uby, i o ciekawości, która kazała jej po raz pierwszy sięgnąć po procę. Mówiła o mozolnych próbach i pierwszych polowaniach oraz o skutkach swej samodzielności, których doświadczyła na własnej skórze kilka lat później. Zawahała się tylko, gdy nadszedł moment opowiedzenia o narodzinach syna. Mimo logicznych i z gruntu słusznych wywodów Pierwszej, z których wynikało niezbicie, że ludzie Klanu także są dziećmi Matki, Ayla bez trudu odczytywała z wyrazów twarzy i języka ciała niektórych ludzi, że ich uczucia względem Zaślubin Echozara i Joplayi nie zmieniły się. Większość z nich uznała po prostu, że zachowa swe poglądy dla siebie, przynajmniej na jakiś czas. Znachorka doszła więc do wniosku, że najlepiej będzie nie wspominać o Durcu.

Opowiedziała za to dość dokładnie o tym, jak zmuszono ją do opuszczenia Klanu, gdy tylko Broud został przywódcą. Choć bardzo się starała wytłumaczyć zebranim, czym właściwie jest klątwa śmierci, podejrzewała, że nie zrozumieli do końca, jaka była jej prawdziwa, niszczycielska moc. Klątwa bowiem prowadziła do fizycznej zagłady tego, kto został nią obłożony - nieszczęśnik ów nie miał dokąd pójść i skazany na samotność prędzej czy później umierał, bo nikt, nawet ukochani członkowie najbliższej rodziny, nie zauważał już jego obecności. Ayla opowiedziała pokrótce o sezonach spędzonych w dolinie, a bardziej szczegółowo o Rydagu, dziecku mieszanych duchów, adoptowanym przez Nezzie, partnerkę przywódcy Obozu Lwa.

W przeciwieństwie do Echozara chłopiec ten nie miał w sobie siły i żywotności ludzi Klanu. Był słaby i jak większość jego przodków nie był w stanie wyartykułować wielu dźwięków. Nauczyła więc jego i Nezzie, a potem resztę Obozu Lwa i Jondalara, prostej mowy znaków. Nezzie była bardzo szczęśliwa, kiedy Rydag po raz pierwszy nazwał ją matką - zakończyła znachorka.

Zaraz po niej wystąpił na środek Jondalar i opowiedział historię spotkania z ludźmi Klanu, do którego doszło wkrótce po tym, jak w drodze na wschód wraz z Thonolanem przedostał się na drugą stronę wielkiego lodowca. Wspominał też o zabawnych łowach na jesiotra, którym musiał podzielić się pół na pół z młodym mężczyzną Klanu. Wyjaśnił zgromadzonym okoliczności, które doprowadziły do wspólnego obozowania z parą z Klanu - Gubanem i Yorgą. Opowiedział, jak "rozmawiał" z nimi za pomocą gestów, które poznał dzięki Ayli.

- Jeżeli czegoś się dowiedziałem podczas tej długiej Podróży - dodał na zakończenie - to tego, że ci, których zawsze nazywaliśmy pogardliwie płaskogłowymi, są ludźmi, inteligentnymi ludźmi. Nie przypominają zwierząt bardziej niż wy czyja. Być może ich sposób życia jest inny, może ich inteligencja działa odmiennie, ale w niczym nam nie ustępują. Po prostu są inni. Istnieją umiejętności, które my opanowaliśmy, a oni nie. Są jednak i takie sprawy, o których my, w przeciwieństwie do nich, w ogóle nie mamy pojęcia.

Joharran zajął miejsce brata i długo mówił o swych obawach dotyczących stosunków między Zelandonią a ludźmi Klanu i o propozycjach rozwiązań. Na koniec Willamar przedstawił pomysł rozwinięcia handlu z tymi, których do niedawna jeszcze większość zebranych uważała za zwierzęta. Dyskusja, która rozgorzała po jego wystąpieniu, trwała wiele godzin. To, co zostało powiedziane o ludziach Klanu, było dla przywódców Jaskiń i dla Zelandoni zupełną nowością. Niektórym trudno było uwierzyć w relacje Ayli i pozostałych, inni zaś przyjmowali je z otwartym umysłem. Nikt jednak nie poddawał w wątpliwość prawdziwości tych niezwykłych historii; nawet najlepszy Opowiadacz nie wymyśliłby tak przekonujących opowieści. Istoty tworzące Klan stały się dla przedstawicieli Zelandonii znacznie bardziej ludzkie - i choć spotkanie nie zakończyło się podjęciem konkretnych decyzji, to z całą pewnością dało uczestnikom wiele do myślenia.

Na koniec Pierwsza przemówiła raz jeszcze:

- Sądzę, że dowiedzieliśmy się dzisiaj wielu ważnych rzeczy - powiedziała. - Doceniam dobrą wolę Ayli, która zechciała podzielić się z nami choć częścią swych niezwykłych doświadczeń. Dzięki niej zyskaliśmy wgląd w życie ludzi, którzy wydają nam się dziwni, obcy, ale którzy potrafili zaopiekować się osieroconym dzieckiem istot innej rasy i wychować je jak własne. Niektórzy z nas czuli strach na widok płaskogłowych, których spotykaliśmy podczas łowów czy zbierania owoców. Dziś wydaje mi się, że był to strach nieuzasadniony, skoro są to ludzie zdolni do współczucia i skorzy do pomocy.

- Sądzisz więc, że mogli zaopiekować się tą kobietą z Dziewiętej Jaskini, która zaginęła przed laty? - spytała białowłosa Zelandoni z Dziewiętnastej Jaskini. - O ile pamiętam, kiedy wróciła, była już w ciąży. Być może Matka postanowiła pobłogosławić ją w czasie, gdy przebywała z płaskogłowymi i użyła w tym celu ducha jednego z nich, żeby...

- Nie! To nieprawda! Moja matka nie była potworem! - wykrzyknął Brukeval.

- Zgadza się. Twoja matka nie była potworem - powtórzyła spokojnie Ayli. - To właśnie próbujemy powiedzieć od samego początku. Żaden człowiek zrodzony z mieszanych duchów nie jest potworem.

- Ona nie była dzieckiem mieszanych duchów - warknął Brukeval. - Dlatego nie była potworem - dodał i odszedł, posyłając znachorce spojrzenie tak pełne nienawiści, że odruchowo odwróciła głowę.

Dyskusje dobiegły końca. Ludzie zaczęli wstawać i rozchodzić się każdy w swoją stronę. Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą spokojnie przypatrywała się Maronie, która na odchodnym posłała jej jeszcze jedno wyzywające spojrzenie. Usłyszała też tubalny głos Laramara, pogrążonego w rozmowie z Zelandoni z Piątej Jaskini i jego akolitą, Madromanem:

- Jakim cudem ognisko Jondalara może być tak wysoko sytuowane? Jego kobieta podobno była taka ważna wśród swoich ludzi, Mamutoi, a teraz okazuje się, że tak naprawdę nie wie nawet, gdzie przyszła na świat. Skoro wychowali ją płaskogłowi, bardziej jest jedną z nich niż Mamutoi. Powiedzcie mi, jaki status może mieć płaskogłowy? Mówię wam, ona powinna być ostatnia, a znalazła się wśród pierwszych. To niesprawiedliwe.

Po długim i męczącym zgromadzeniu, zakończonym tak gwałtowną wymianą zdań, Ayla była psychicznie wyczerpana. Domyślała się, że wieść o tym, iż istoty uważane powszechnie za zwierzęta są w rzeczywistości czującymi i myślącymi ludźmi, musiała być prawdziwym szokiem dla wielu Zelandonii. Ujawniona prawda oznaczała radykalną zmianę, a zmiany nigdy nie przychodziły łatwo. Tak czy inaczej, rozmyślała znachorka, reakcja Brukewała była nieracjonalna, a to nienawistne spojrzenie - przerażające.

Jondalar zaproponował partnerce wspólną przejażdżkę konną, domyślając się słusznie, że kontakt ze zwierzętami przywróci jej spokój, którego pozbawiło ją denerwujące zakończenie spotkania. I rzeczywiście, Ayla z radością spoglądała na Wilka, który biegł wraz z nimi jak dawniej, już bez bandaży, ale wciąż jeszcze nie w pełni sił.

- Próbowałam tego nie okazywać, ale w głębi serca byłam wściekła na tych, którzy sprzeciwiali się Zaślubinom tylko dlatego, że matka Echozara należała do Klanu - odezwała się po długiej chwili. - Zelandoni i Dalanar zwołali to spotkanie w ściśle określonym celu, ale wydaje mi się, że w końcu nic nie ustalono. Nadal uważam, że krzykacze nie przegrali Zaślubin jedynie dlatego, że Joplaya i Echozar nie są Zelandonii... A przy okazji powiem ci, że nie widzę różnicy między Zelandonii a Lanzadonii. To tylko nazwy. O co tu chodzi, Jondalarze?

- Generalnie Zelandonii to my, ludzie, Dzieci Wielkiej Matki Ziemi. Lanzadonii oznacza mniej więcej to samo. Jeśli jednak przyjrzeć się dokładnie źródłu tych nazw, okaże się, że Zelandonii to Dzieci Ziemi z Południowego Zachodu, Lanzadonii zaś to Dzieci Ziemi z Północnego Wschodu - wyjaśnił Jondalar.

- Ale dlaczego Dalanar nie pozostał przy nazwie Zelandonii i nie założył kolejnej Jaskini, nazwanej jeszcze większym słowem do liczenia? - dopytywała się Ayla.

Nie wiem Nigdy go o to nie pytałem. Może dlatego, że zamieszkali tak daleko/ Nie można do nich dotrzeć w dzień czy dwa. Podejrzewam, że Dalanar ma świadomość, iż tam, gdzie dzisiaj istnieją rodzinne więzy, z czasem pojawi się obojętność następnych pokoleń. Teraz, kiedy sprowadzili do siebie Zelandoni, a raczej Lanzadoni, będą mieli jeszcze mniej powodów, żeby odbywać długi marsz na Letnie Spotkania. Ich nowa donier zacznie pewnie po jakimś czasie szkolić sobie uczniów, a oni przekażą wiedzę dalej.

- Będą tacy jak Losadunai - zauważyła Ayla. - Ich język i zwyczaje są tak podobne do Zelandonii, że musi nas łączyć wspólna przeszłość.

- Pewnie masz rację. Możliwe, że właśnie dlatego tak bardzo przyjaźnimy się z nimi - dodał Jondalar.

- Jeżeli Zelandonii i Lanzadonii są tymi samymi ludźmi, to dlaczego ci, którzy sprzeciwiali się Zaślubinom Joplayi i Echozara, w końcu pogodzili się z faktami? Tylko dlatego, że nazwa Lanzadonii oznacza ludzi żyjących na północnym wschodzie? Przecież to bez sensu. No, ale też ich sprzeciw od początku był bezsensowny.

- Zwróć uwagę na to, kto się za tym wszystkim krył - rzekł Jondalar. - Laramar! Dlaczego znowu stwarza problemy? Przecież pomagasz jego rodzinie. Lanoga cię uwielbia, a Loralą pewnie by już nie żyła, gdybyś o nią nie zadbała. Zastanawiam się, czy on naprawdę broni swoich poglądów, czy tylko lubi być w centrum uwagi. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek zapraszano go na spotkania, w których biorą udział wyłącznie ludzie o wysokiej pozycji. A wszystko po to, żeby Pierwsza i sprzyjające jej osoby dały sposobność wykrzyczenia się takim kreaturom jak Laramar. Obawiam się, że teraz, kiedy spróbował otwartej dyskusji z lepszymi od siebie, będzie nam bruździł jeszcze bardziej, byle tylko zwrócić na siebie uwagę. Przyznam jednak, że w ogóle nie rozumiem postawy Brukewała. Przecież zna Dalanara i Joplayę, jest nawet z nimi spokrewniony.

- Nie mówiłam ci jeszcze o tym, ale matka Matagana wyjawiała mi, że Brukewał przyszedł przed Zaślubinami do obozu Piątej Jaskini, żeby przekonywać ludzi do sprzeciwu wobec związku Echozara z Joplayą. Jest tak wrogo nastawiony do Klanu... a przecież od razu widać podobieństwo, kiedy staje obok Echozara. W jego rysach jest wiele z mężczyzny Klanu, choć może nie tyle, ile u partnera Joplayi. Zdaje się, że nienawidzi mnie teraz, bo powiedziałam, iż jego matka narodziła się z mieszanych duchów. A ja przecież chciałam tylko uświadomić wszystkim, że tacy ludzie nie są źli, nie są potworami.

Widać on jest innego zdania. To dlatego tak gorliwie zaprzecza swoim związkom z Klanem. To musi być straszne: nienawidzić samego siebie - dodał w zamyśleniu Jondalar. - Ale tego już nie zmienisz. Wiesz, co jest naprawdę dziwne? Że Echozar też nienawidzi Klanu. Dlaczego obaj nie mogą znieść tego, kim są?

- Może dlatego, że ludzie nieraz ich ranili właśnie przez wzgląd na to, kim są. Brukewał i Echozar nie mogą ukryć swego dziedzictwa; po prostu wyglądają inaczej - odrzekła Ayla. - Przerażają mnie te wrogie spojrzenia Brukewała. Zaraz przypomina mi się Attaroa i zaczynam podejrzewać, że i z twoim krewniakiem jest coś nie w porządku. Tak jakby był zdeformowany... ale nie na zewnątrz, jak Lanidar, tylko... w środku.

- Możliwe, że wstąpił w niego zły duch albo że jego elan jest skrzywiony - przyznał Jondalar. - Sam nie wiem... ale wydaje mi się, że powinnaś na niego uważać. Całkiem możliwe, że będzie jeszcze próbował przysporzyć ci problemów.

## ROZDZIAŁ 36

Z biegiem lata dni stawały się coraz bardziej upalne. Trawy na okolicznych równinach rosły wciąż wyżej i wyżej, mieniając się żywym złotem i chyląc z wolna pod ciężarem nasion - obietnic nowego życia. Ciało Ayli również stawało się coraz cięższe, bo i w nim dokonywał się cud nowego życia. Znachorka pracowała właśnie z Jondalarem, oddzielając od łodyg ziarna dzikiego owsa, kiedy poczuła pierwszy ruch w swoim łonie. Zamarła natychmiast i przycisnęła dłoń do wydatnego brzucha. Jondalar zaraz zauważył, że coś się dzieje.

- Aylo, co się stało? - spytał, z niepokojem marszcząc brwi.

Właśnie poczułam ruch dziecka. Pierwszy raz poczułam, że żyje! - zawołała, promieniejąc z radości. - Tutaj - dodała, wyjmując z jego wielkiej dłoni kamień do rozgniatacia ziaren i układając ją na swoim brzuchu. - Może jeszcze się poruszy...

Jondalar czekał cierpliwie, ale nic się nie wydarzyło.

- Nic nie czuję - powiedział wreszcie. I właśnie wtedy coś drgnęło pod jego palcami, jakby pod skórą jego kobiety przebiegła drobniotka fala. - Teraz! Poczułem dziecko! - krzyknął.

- Z czasem ruchy będą coraz wyraźniejsze - zapewniła go Ayła. - Czy to nie cudowne? Kogo wolałbyś widzieć przy swoim ognisku? Dziewczynkę czy chłopca?

- Wszystko mi jedno. Chcę tylko, żeby dziecko było zdrowe i żebyś nie miała zbyt ciężkiego porodu. A ty kogo byś wolała? - spytał.

- Chyba dziewczynkę, ale jeśli urodzę chłopca, też będę szczęśliwa. Nie to jest najważniejsze. Po prostu chcę mieć dziecko, twoje dziecko. Ono jest także twoje, wiesz?

- Hej, wy tam! Piąta Jaskinia na pewno zwycięży, jeżeli dalej będziecie się tak objąć. - Ayła i Jondalar odwrócili się do młodzieńca zmierzającego w ich stronę. Był średniego wzrostu i żyłastej budowy. Szedł, podpierając się kulą, a w wolnej ręce dźwigał skórzany pojemnik z wodą. - Chcecie się napić? - zapytał.

Witaj, Mataganie. W taki upał nie sposób odmówić - odrzekł Jondalar, chwytając pojemnik. Uniósł go nad głowę i pozwolił, by chłodna struga spłynęła wprost do jego gardła. - Jak tam noga? - zapytał, oddając torbę Ayli.

- Coraz lepiej. Pewnie wkrótce będę mógł wyrzucić ten kij - odparł z uśmiechem Matagan. - Miałem nosić wodę jedynie do ludzi z Piątej Jaskini, ale zauważyłem moją ulubioną uzdrowicielkę i postanowiłem trochę nagiąć zasady. Jak się czujesz, Aylo?

- Świetnie. Właśnie przed chwilą wyczułam pierwszy ruch dziecka. Rośnie - stwierdziła zwięźle. - Jak sądzisz, kto prowadzi?

- Trudno powiedzieć. Czternasta ma już parę koszy, ale Trzecia właśnie ustawiła nowe stanowisko do pracy.

- A jak tam Dziewiąta? - zainteresował się Jondalar.

- Moim zdaniem macie szansę, ale postawię raczej na Piątą - odrzekł młodzieniec.

- Jesteś uprzedzony. Myślisz tylko o nagrodzie - zaśmiał się łupacz krzemieni. - Co włożyła do puli Piąta Jaskinia?

- Suszone mięso dwóch żubrów zabitych na pierwszym polowaniu, tuzin oszczepów i wielką drewnianą misę wyrzeźbioną przez naszego najlepszego rzemieślnika. A Dziewiąta?

- Spory pojemnik wina Marthony, pięć brzoźowych, ozdobnych miotaczy oszczepów i dwa duże kosze uplecione przez Salowę - jeden pełen orzechów laskowych, a drugi jabłek.

- Jeśli Piąta wygra, spróbuję powalczyć o wino Marthony. Mam nadzieję, że kości będą dla mnie łaskawe. Kiedy pozbędę się tego badyla - powiedział, unosząc ku górze kulę - wrócę do namiotu mężczyzn. W zasadzie już mógłbym wrócić, z kulą czy bez, ale matka nie chce mnie puścić. Jest cudowna, dba o mnie jak nikt inny, ale zaczynam mieć dość jej troskliwości. Od czasu wypadku traktuje mnie tak, jakbym miał pięć lat - poskarżył się Matagan.

- Nie możesz jej winić - wtrąciła Ayla.

- I nie winię. Rozumiem ją, ale i tak chcę wracać do mężczyzn. Zaprosiłbym cię nawet na biesiadę, kiedy wygram to wino, ale ty już masz partnerkę, Jondalarze.

- Dzięki, ale odmówiłbym tak czy inaczej. Mam dość męskiego towarzystwa. Pewnego dnia, kiedy sam będziesz miał partnerkę, przekonasz się, że nie jest to takie straszne, jak ci się dzisiaj wydaje.

- Niestety, zabrałeś mi sprzed nosa kobietę, którą chciałbym mieć - odparł młodzieniec, spoglądając prowokacyjnie na Aylę. - A gdybym ją miał, do głowy by mi nie przyszło, żeby mieszkać w namiocie mężczyzn. Kiedy patrzyłem na Aylę podczas Zaślubin, myślałem sobie, że jest najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałem. Nie wierzyłem własnym oczom. Sądzę, że wszyscy mężczyźni chcieli wtedy być na twoim miejscu, Jondalarze.

Matagan, który z początku odnosił się do znachorki z wielką nieśmiałością, nabrał odwagi po wielu dniach wizyt, które Ayla składała w chacie Zelandoni, by pielęgnować jego ranę. Z czasem ujawnił się w pełni jego wrodzony urok.

- Posłuchaj go tylko - zaśmiała się uzdrowicielka, klepiąc się po pękatym brzuchu. - Też mi "piękność". Stara kobieta z wielkim bębniem.

- Dzięki niemu jesteś jeszcze piękniejsza. A ja zawsze lubiłem starsze kobiety. I pewnie wybiorę właśnie taką, jeżeli tylko będzie podobna do ciebie - odparł Matagan.



Jondalar uśmiechnął się do młodzieńca, który żywo przypominał mu Thonolana. Fakt, że Matagan durzył się w Ayli, był dość oczywisty. Widać było także, że wyrośnie na zdobywcę niewieścich serc, co mogło okazać się ważne, gdyby do końca życia miał pozostać chromy.

- Naprawdę jesteś moją ulubioną uzdrowicielką. - Matagan spojrzał na Aylę z powagą. - Kiedy towarzysze dźwigali mnie na noszach, ocknąłem się kilka razy i gdy widziałem twoją twarz, myślałem, że śnię. Wydawało mi się, że Wielka Matka zesłała po mnie najpiękniejszą donii. Jestem pewien, że ocaliłaś mi życie, Aylo. Gdyby nie twój kunszt, pewnie nigdy nie chodziłbym o własnych siłach.

- Po prostu byłam w pobliżu i zrobiłam, co do mnie należało - odrzekła skromnie znachorka.

- Możliwe, ale jeśli kiedykolwiek będziesz czegoś potrzebować... - Młodzian zarumienił się i spuścił głowę. Trudno mu było powiedzieć to, co naprawdę miał na myśli. Po chwili jednak spojrzał jej w oczy. - Jeżeli kiedykolwiek będziesz czegoś potrzebować, wystarczy, że poprosisz.

- Pamiętam czasy, kiedy sam myślałem, że Ayla jest donii - wtrącił Jondalar, by rozładować niezręczną sytuację. - Pewnie nie wiesz, ale to ona pozszywała mnie po walce z lwem. Pamiętam, że cały Obóz S'Armunai uważał Aylę za wcielenie samej Matki, za żywą Donii, która zstąpiła na ziemię, żeby pomagać swoim dzieciom. Zresztą moim zdaniem to może być prawda - sądząc po tym, jak zakochują się w niej kolejno wszyscy mężczyźni...

- Jondalarze! Przestań wciskać Mataganowi takie bzdury - skarciła go Ayla. - Lepiej zabierzmy się do roboty, bo Dziewiąta Jaskinia rzeczywiście przegra. Poza tym chciałabym zatrzymać trochę ziarna dla naszych koni, a może i dla żrebaka. Cieszę się, że zebraliśmy sporo żyta, kiedy dojrzało, ale one mimo wszystko wolą owies.

Znachorka zajrzała do koszyka, który zawiesiła sobie na szyi, by mieć wolne ręce, a potem chwyciła mocno kamień i wzięła się do pracy. Wolną ręką złapała pęczek łądyg, a drugą ścisnęła je między kamieniem a dłonią, tuż pod pierwszymi ziarnami. Płynnym ruchem przeciągnęła wiązkę pod ostrym i twardym kamieniem, który gładko oddzielił nasiona. Zsypała je do koszyka i sięgnęła po kolejny pęczek dzikiego owsa.

Była to praca powolna i żmudna, ale niezbyt trudna, kiedy już nabrało się wprawy. Użycie kamienia znacznie ułatwiało i przyspieszało oddzielanie ziaren. Ayla pytała wiele osób o ten wynalazek, ale każda odpowiadała jej tylko, że „jest w użyciu”, odkąd pamięta.

Gdy Matagan pokuśtykał w swoją stronę, Jondalar i jego partnerka skupili się na zbieraniu do koszy złocistych ziaren.

- Masz oddanego wielbiciela w Piątej Jaskini, Aylo - zauważył mężczyzna. - Zresztą wielu jest takich. To twoje pierwsze Letnie Spotkanie, a już masz wielu przyjaciół. Niejeden uważa cię za

Zelandoni, choć nikt tutaj nie przywykł do tego, by uzdrowicielem był ktoś, kto nie jest jednocześnie donier.

- Miły młodzieniec z tego Matagana - odpowiedziała Ayla. - Obszyta futrem kurtka z kapturem, którą wcisnęła mi jego matka, jest po prostu śliczna, a przy tym na tyle obszerna, że będę mogła nosić ją jeszcze w zimie. Dostałam też zaproszenie do odwiedzenia Piątej Jaskini na jesieni. O ile się nie mylę, mijaliśmy ją w drodze na Letnie Spotkanie, prawda?

Rzeczywiście; leży nad jednym z dopływów Rzeki. Możemy tam zajrzeć w drodze powrotnej. A przy okazji: w najbliższych dniach wybieram się na polowanie z Joharranem i paroma przyjaciółmi. Możliwe, że nie będzie nas jakiś czas - dodał Jondalar, starając się, by zabrzmiało to jak najbardziej naturalnie.

Domyślam się, że nie mogę iść z wami - mruknęła smutno znachorka.

- Obawiam się, że musisz na dłużej zapomnieć o łowach. Myślę, że wypadek Matagana przypomniał nam wszystkim o jednym: polowanie bywa niebezpieczne, zwłaszcza dla tych, którzy nie są tak szybcy i zwinni jak dawniej. A kiedy już urodzisz, będziesz pewnie przez dłuższy czas zajęta dzieckiem - dorzucił mężczyzna, uśmiechając się współczująco.

Polowałam, gdy Durc przyszedł na świat. Jedna z kobiet karmiła go za mnie, jeżeli nie mogłam zdążyć na czas.

- Ale nie zdarzało ci się zniknąć na kilka dni.

- Nie. Polowałam z procą, na drobną zwierzynę przyznała.

I pewnie znowu będziesz mogła to robić, ale chyba nie powinnaś ryzykować dłuższych wypraw. Zresztą teraz ja jestem twoim partnerem; utrzymywanie ciebie i twoich dzieci jest moim obowiązkiem. Przecież to ci przyrzekłem na Zaślubinach. Jaki byłby pożytek z mężczyzny, który nie umiałby czy nie chciał wyżywić kobiety i jej potomstwa? Po co mielibyśmy żyć, gdyby matka sama utrzymywała swoje dzieci? - spytał Jondalar.

Ayla nigdy jeszcze nie słyszała go mówiącego w taki sposób. Zastanawiała się, czy wszyscy mężczyźni zadają sobie podobne pytania. Czy próbowali dopatrzeć się sensu swojej egzystencji, skoro nie mogli mieć dzieci? Usiłowała wyobrazić sobie, jak czułaby się w ich roli, gdyby pozbawiona była daru dawania życia i trwała w przekonaniu, że jedynym celem istnienia jest dostarczanie rodzinie pożywienia i odzieży. Po chwili spojrzała głęboko w oczy partnera.

To dziecko nie znalazłoby się w moim łonie, gdyby nie ty, Jondalarze - powiedziała z naciskiem, układając dłonie na wydatnym brzuchu. - Jest w równym stopniu moje, jak i twoje. Tyle że rośnie sobie akurat we mnie. Nie powstałoby bez twojej esencji.

- Nie masz pewności, że tak właśnie jest - zauważył. - Możesz tak uważać, ale nikt nie podziela twoich poglądów, nawet Zelandoni.

Dwoje ludzi stało pośrodku pola wybujałych traw, spoglądając na siebie bez wrogości, ale ze świadomością, że różnią się w poglądach na tę jedną sprawę. Jondalar zauważył niesforny kosmyk spłowiejących od słońca włosów, który wysunął się spod skórzanej opaski na jej czole i targany wiatrem łaskotał policzki Ayli. Kobieta była bosa, a ponad prostym, sięgającym kolan, skórzanym okryciem zasłaniającym brzuch i chroniącym przed ostrymi źdźbłami traw, lśniły w słońcu jej opalone piersi i ramiona. Oczy Ayli płonęły spokojnym, pewnym blaskiem z odrobiną buntu. Mimo to wyglądała rozbijająco delikatnie i Jondalar nie umiał oprzeć się jej urokowi.

To nie ma znaczenia. Kocham cię, Aylo, i chcę tylko dbać o ciebie i twoje dziecko - powiedział, łagodnie biorąc ją w ramiona.

- Nasze dziecko, Jondalarze. Nasze dziecko - poprawiła, obejmując go i przytulając się do szerokiego nagiego torsu. Mężczyzna poczuł przyjemne ciepło jej piersi i brzucha.

- Zgoda, Aylo. Nasze dziecko - szepnął. Bardzo chciał w to wierzyć.

Kiedy stanęli przed chatą, przeniknął ich poranny chłód. Umierające liście na drzewach w pobliskim lasu mieniły się odcieniami żółci i czerwieni, a trawy i zioła na polanie Wokół obozu, które miejscami jakimś cudem uniknęły stratowania, były suche i brązowawe. Każdy krzak i kawałek drewna, który udało się znaleźć w pobliżu, został już dawno spalony, a i sam zagajnik został mocno przetrzebiony.

Jondalar podniósł wypchane plecaki leżące na ziemi obok wejścia.

- Jak dobrze, że mamy konie i włóki. Łatwiej będzie zwieźć do Jaskini zapasy na zimę. To był naprawdę dobry sezon.

Wilk podbiegł do nich z wywieszonym ozorem, wesoło merdając ogonem. Ucho o wystrzępionym brzegu obwisło mu nieco, przez co wyglądał trochę bardziej zawadiacko niż dawniej.

- On chyba wie, że opuszczamy to miejsce - stwierdziła Ayła. - Tak się cieszę, że wrócił i został z nami. Brakowałoby mi go, gdyby wybrał życie na wolności. Wiesz, bardzo tęsknię za Dziewiątą Jaskinią, ale zawsze będę pamiętać to Letnie Spotkanie, na którym zostaliśmy partnerami.

- Mnie też się podobało, zwłaszcza że nie było mnie tu przez kilka lat, ale... pora wracać. Już nie mogę się doczekać, kiedy będziemy na miejscu - odrzekł Jondalar i uśmiechnął się.

Myślał o niespodziance, którą przygotował dla swojej kobiety. Ayła zauważyła zmianę w jego zachowaniu; odbierała ją jako radosne oczekiwanie. Przeczuciwała więc, że jest coś, o czym nie chciał jej powiedzieć, ale nie miała pojęcia, co to mogło być.

- Dobrze, że Lanzadonii zjawili się na Spotkaniu. Odbyli nie lada wędrówkę, ale Dalanar osiągnął cel: mają wreszcie swoją donier - dodał po chwili. - A Joplaya i Echozar zostali sobie

zaślubieni, jak należy. Na razie Lanzadonii nie są zbyt liczni, ale moim zdaniem nie minie wiele czasu, nim założą drugą Jaskinię. Mają mnóstwo małych dzieci; rzadko które umiera. To wyjątkowe szczęście.

- Cieszę się, że Joplaya jest w ciąży - powiedziała Ayla. - Została pobłogosławiona jeszcze przed Zaślubinami, ale w całym tym tumulcie nikt chyba nawet tego nie zauważył.

- Niektórzy mieli w głowach całkiem inne sprawy, ale ja też rad jestem, że Doni sprzyja mojej kuzynce... Jednak miałem wrażenie, że była ostatnio jakby inna, bardziej smutna. Może dziecko pomoże jej wrócić do siebie - rzekł Jondalar.

- Pospieszmy się. Joharran mówił, że chce wcześniej wyruszyć.

Ayla nie zamierzała wdawać się w dyskusję o smutku Joplayi, doskonale bowiem знаła jego przyczynę. Nie wspomniała też partnerowi o rozmowie, którą odbyła niedawno z Jeriką. Matka Joplayi prosiła ją mianowicie o bardzo konkretne informacje - opowiedziała o własnych komplikacjach porodowych i, spodziewając się podobnych w przypadku swej córki, szukała fachowej porady. Chciała także wiedzieć wszystko o lekach, które mogły zapobiec poczęciu nowego życia lub wywołać poronienie. Obawiała się o swe jedyne dziecko i zdecydowanie wołała nie mieć wnuków, niż stracić Joplayę. Jednakże dziewczyna już była w ciąży i upierała się, że urodzi dziecko, toteż Jeriką mogła jedynie uczynić wszystko, by w przyszłości nie dopuścić do kolejnego poczęcia.

Ludzie z Jedenastej Jaskini przeciągnęli w górę Rzeki wszystkie swoje tratwy i Joharran postanowił skorzystać z ich uczynności, by spławić część zapasów w stronę Spadającej Skały. Liczba tratw była jednak ograniczona, a chętnych zbyt wielu. Dziewięta Jaskinia wykorzystwała więc do maksimum inny środek transportu: suszone mięso i kosze ze zbiorami umocowano do włóków ciągniętych przez konie i juków niesionych przez nie na grzbietach. Rozebrano chaty, a materiały, które udało się odzyskać, zabrano. Każdy z mieszkańców Jaskini niósł spory plecak, a wielu sporządziło z tyczek i skór włóki na bagaż, które - wzorem koni Ayli i Jondalara - ciągnęli za sobą po ziemi. Znachorka zastanawiała się, czy nie objuczyć Wilka, ale doszła do wniosku, że bez odpowiedniego przeszkolenia czworonożny łowca nie zechce jej pomóc. Postanowiła, że zachowa ten pomysł w pamięci na przyszłe lato.

Joharran krzątał się po obozie, poganiając opiesziałych, doradzając niezdecydowanym i sposobiąc wszystkich do rychłego wymarszu. Kiedy upewnił się, że wszyscy są gotowi, stanął na czele pochodu i ruszył przed siebie, bardziej dla tradycji niż ze względów praktycznych dzierżąc w dłoni 1 oszczep. Wędrując za dnia tak liczną grupą, Zelandonii nie musieli obawiać się drapieżników - żadne zwierzę nie ośmieliłoby się zaatakować. Mimo to Joharran gotów był użyć miotacza, gdyby tylko pojawiło się niebezpieczeństwo. Przez całe lato ćwiczył pilnie posługiwanie

się wynalazkiem brata i doszedł do sporej wprawy. Sześciu łowców strzegło kolumny z boków, Solaban z Rushemarem stanowił zaś tylną straż. Zmiennicy wartowników pomagali tymczasem -; w niesieniu zgromadzonych przez lato zapasów.

Ayla omiotła wielkie obozowisko Letniego Spotkania ostatnim, pożegnalnym spojrzeniem. Mała dolina była pełna stert kości i innych odpadów. Kilka Jaskiń odeszło wcześniej, pozostawiając między obozami łyse przestrzenie usiane resztkami sterczących z ziemi tyczek i belek tworzących do niedawna szkielety chat. Szaroczarne kręgi i prostokąty popiołu znaczyły miejsca po ogniskach. Jeden z namiotów, zbyt zniszczony, by opłacało się go zabierać, zerwał się z drewnianego szkieletu i powiewał na silnym wietrze. Stary dziurawy kosz przetoczył się środkiem obozowiska w jego chłodnych podmuchach. Na oczach znachorki mieszkańcy innych Jaskiń zwijali swoje chaty, szykując się do wymarszu. Pustoszejący obóz Letniego Spotkania stanowił zaiste smutny widok.

Resztki, które ludzie pozostawili po sobie, były jednak wyłącznie organiczne. Do następnej wiosny zapewne nie zostanie po nich nic. Ziemia umiała szybko goić rany po ludzkiej inwazji.

Droga powrotna nie była łatwa. Obładowani ludzie przez cały dzień garbili się pod ciężarem żywności i ekwipunku, a wieczorem, rozbiwszy namioty, padali bez sił na posłania. Joharran narzucił z początku szybkie tempo marszu, ale wkrótce musiał nieco zwolnić, dostosowując się do możliwości najsłabszych, choć i oni, stęsknieni za domem, starali się, jak mogli. Nikt nie narzekał na ciężar plecaków - wszak niesiono zapasy, które miały zapewnić osadzie byt przez długie miesiące srogiej zimy.

Kiedy Zelandonii zbliżali się do abri Dziewiętej Jaskini, znajome widoki zachęciły ich do jeszcze szybszego marszu. Chcieli jak najprędzej znaleźć się pod gościnnym, kamiennym nawisem, by nie spędzać kolejnej nocy na otwartym powietrzu. Na niebie błyszcząły już pierwsze wieczorne gwiazdy, kiedy oczom wędrowców ukazał się tak dobrze znany zarys Spadającej Skały. Z mozołem przeprawili się przez Leśną Rzekę - mimo zmęczenia i obciążenia stąpając po śliskich kamieniach - i już byli na ścieżce wiodącej w górę, ku skalnemu tarasowi. Zapadły niemal zupełne ciemności, gdy kolumna powracających z Letniego Spotkania stanęła pod gigantycznym nawisem Dziewiętej Jaskini.

Obowiązkiem Joharrana było rozpalenie ognia i wniesienie do osady pierwszej pochodni - przywódca cieszył się, że może posłużyć się ognistymi kamieniami. Szybko uniósł płonące polano, by niecierpliwący się mieszkańcy Jaskini mogli popatrzeć, jak Zelandoni wyciąga z ziemi małą figurkę kobiety, która chroniła domostwa pod nieobecność gospodarzy. Po złożeniu podziękowań Wielkiej Matce za opiekę nad osadą zapalono kolejne pochodnie. Mieszkańcy Dziewiętej Jaskini ruszyli kolumną za wielką donier, która poprowadziła ich w głąb niszy, do głównego paleniska, by

zatknąć donii z powrotem na jej stałe miejsce. Dopiero wtedy wszyscy rozeszli się, by w domowym zaciszu z ulgą pozbyć się wreszcie ciężkiego ładunku.

Pierwszym nieuniknionym obowiązkiem wracających było sprawdzenie ewentualnych szkód, które mogły wyrządzić dzikie zwierzęta. W całej osadzie znaleziono jednak tylko nieliczne odchody, parę zrytych mocnymi łapami palenisk i kilka przewróconych koszy; zniszczenia były doprawdy symboliczne. Wkrótce pośród kamiennych ścian rozjarzyły się światła pierwszych ognisk, do domów wniesiono zapasy i ekwipunek, a na tak dobrze znanych ławach i łóżach rozścielono miękkie futra. Zelandonii z Dziewiątej Jaskini znowu byli u siebie.

Ayla ruszyła w stronę domu Marthony, ale Jondalar poprowadził ją w całkiem innym kierunku. Zaciekawiony Wilk poszedł za nimi. Trzymając pochodnię w jednej ręce, a dłoń partnerki w drugiej, jasnowłose olbrzym kierował się w głąb niszy, w stronę budowli, której kobieta nie pamiętała. Zatrzymał się przed wejściem, odsunął kotarę zasłaniającą otwór i gestem zaprosił znachorkę do środka.

- Aylo, dziś w nocy będziesz spać we własnym domostwie - oznajmił.

- We własnym domostwie? - powtórzyła oszołomiona tym, co usłyszała.

Zniknęła w ciemnym wnętrzu domu, a Wilk skoczył w ślad za nią. Jondalar wszedł za obojgiem i wysoko uniósł pochodnię, by kobieta mogła się rozejrzeć.

- Podoba ci się? - spytał po chwili.

Ayla powiodła wzrokiem po rozjaśnionej ciepłym blaskiem izbie. Wnętrze było prawie puste, jeśli nie liczyć półek zawieszonych na ścianie przy wejściu i stojącej w kącie drewnianej platformy, która czekała tylko na futra i poduszki, by stać się łóżem. Podłogę wyłożono płaskimi, gładkimi bryłami piaskowca wyłupanymi z pobliskiego zbocza, a szczeliny między nimi wypełniono stwardniałym już mułem rzeczonym. Palenisko wytyczono kamieniami, a na817 przeciwko wejścia, w małej niszy, ustawiono figurkę otyłej kobiety.

- Mój dom - szepnęła Ayla z błyszczącymi oczami i okręciła się na palcach pośrodku pustej izby. - Cały dom... tylko dla nas dwojga? - spytała z niedowierzaniem.

Wilk przysiadł obok i spojrzał jej w oczy. Miejsce było dla niego nowe, ale wiedział, że dom jest tam, gdzie jego pani. Mężczyzna uśmiechnął się od ucha do ucha.

- A może raczej dla trojga - odrzekł, klepiąc delikatnie brzuch partnerki. - Trochę tu jeszcze pusto...

- Cudownie. Jest po prostu cudownie, Jondalarze. Był tak rozczulony jej radością, że musiał szybko czymś się zająć, by powstrzymać łzy cisnące mu się do oczu.

W takim razie musisz zapalić kaganek, Aylo - stwierdził, oddając jej pochodnię. - Mam tu trochę wytopionego tłuszczu. Niosę go od samego obozu.

Sięgnął pod tunikę i wyciągnął mały woreczek, rozgrzany od kontaktu z ciałem. Wykonano go ze specjalnie spreparowanego pęcherza jeleniego, zamkniętego w nieco większej torebce ze skóry zwróconej włosiem do wewnątrz. Pęcherz był niemal całkowicie szczelny, a minimalne ilości tłuszczu, które przesączały się z czasem przez jego ścianki - zwłaszcza wtedy, gdy był ciepły - zatrzymywały się na drugiej warstwie, wsiąkając w sierść. Górną część woreczka nałożono na kręgi jelenia, pozbawiony ostrych wyrostków i oszlifowany, a całość mocno owiązano ścięgnem. Naturalny otwór w kości, którym niegdyś przebiegał rdzeń kręgowy, służył jako szyjka naczynia. Zatkany był rzemieniem zawiązanym w kilka supełów, tak by szczelnie wypełniał prześwit.

Jondalar pociągnął za koniec rzemienia i nalał trochę płynnego tłuszczu do nowej, nie używanej jeszcze, kamiennej lampki. Umoczył w gęstej cieczy knot upleciony z nadrzewnych porostów i położył go na brzegu kaganka, a następnie przypalił pochodnią. Płomyk pojawił się natychmiast. Kiedy tłuszcz się rozgrzał, mężczyzna wyjął liść, którym owinał pęczek knotów z pociętego w paski, wyjątkowo porowatego, suszonego grzyba. Lubił ich używać, bo wchłaniały sporo paliwa, dzięki czemu paliły się dłużej i dawały więcej światła. Wysunął pierwszy knot nieco dalej poza krawędź kamiennej miseczki, obok zaś dołożył drugi i trzeci, tak by jeden kaganek dawał tyle światła, ile zazwyczaj dawały trzy.

Potem napełnił drugą lampkę i oddał Ayli pochodnię, by mogła przypalić knot. Płomyk zamigotał, zaskwierczał, po czym rozświetlił wnętrze ciepłym blaskiem. Mężczyzna postawił kaganek w niszy donii, tuż przed niepozorną figurką. Ayła poszła za nim, a kiedy się odwrócił, spojrzała mu w oczy.

- Aylo, ten dom jest teraz twój - rzekł Jondalar. - Jeżeli pozwolisz mi rozpalić w nim ognisko, wszystkie dzieci, które się tu urodzą, będą dziećmi mojego ogniska. Pozwolisz?

Tak. Oczywiście - odpowiedziała.

Jondalar wziął pochodnię i podszedł do paleniska otoczonego równiutkim kręgiem kamieni. Drewno, które zawczasu przygotował, zajęło się dość łatwo. Mężczyzna przykucnął i obserwował uważnie, jak języki ognia liżą najpierw najmniejsze gałązki, a potem coraz grubsze szczapy. Nie chciał ryzykować, że płomień zgaśnie przedwcześnie. Kiedy podniósł głowę, zobaczył Aylę, która spoglądała na niego z miłością. Wstał i wziął ją w ramiona.

- Jondalarze, jestem taka szczęśliwa - powiedziała łamiącym się głosem, nie próbując hamować łez.

Więc dlaczego płaczesz?

Właśnie dlatego. Ze szczęścia - chlipnęła, wtulając się w niego jeszcze mocniej. - Nigdy nie marzyłam, że kiedykolwiek będę tak szczęśliwa, że będę mieszkać w pięknym domu, należeć do

ludu Zelandonii, mieć dziecko, a ty będziesz moim partnerem. Kocham cię, Jondalarze. Tak bardzo cię kocham.

- A ja ciebie, Aylo. To dlatego zbudowałem to domostwo - odparł, pochylając głowę, by sięgnąć jej ust. Poczuł słony smak łez.

- Ale kiedy zdążyłaś tego dokonać? - spytała, gdy się rozłączyli. - I jak? Przecież całe lato spędziliśmy na Spotkaniu.

- Pamiętasz tę wyprawę łowiecką, którą urządziliśmy z Joharranem i kompanią? Otóż byliśmy nie tylko na polowaniu. Wróciliśmy tu, żeby dokończyć budowę.

- Szedłeś taki kawał drogi, żeby dokończyć dom? Dlaczego o niczym mi nie powiedziałeś? - spytała Aylo.

- Chciałem ci zrobić niespodziankę. Jak widzisz, nie tylko ty potrafisz zaskakiwać najbliższych - odrzekł Jondalar, ciesząc się w duchu jej zdumieniem i radością.

To najpiękniejsza niespodzianka, jaką kiedykolwiek mi zrobiono - zapewniła go kobieta. Jej oczy znowu zasły łzami.

- Musisz o czymś wiedzieć, Aylo - powiedział mężczyzna, poważniejąc nagle. - Jeżeli kiedykolwiek wyrzucisz kamienie z mojego ogniska, będę musiał powrócić do domu matki albo znaleźć sobie nowe miejsce do życia. Oznaczałoby to, że zrywasz łączący nas węzeł.

- Jak możesz w ogóle o tym myśleć? Nigdy tego nie zrobię! - zawołała z oburzeniem.

- Gdybyś urodziła się wśród Zelandonii, nie musiałbym o tym mówić. Wiedziałaabyś. Chcę tylko, żebyś rozumiała, jakie są zasady. Domostwo należy do ciebie i twoich dzieci, Aylo. Moje jest tylko ognisko - wyjaśnił Jondalar.

Przecież sam wszystko zbudowałeś... Jak może być moje?

- Skoro chcę, żebyś rodziła dzieci przy moim ognisku, muszę zapewnić wam warunki do życia. Miejsce, w którym będziecie mogli mieszkać bez względu na to, co się stanie.

- Czy to znaczy, że miałeś obowiązek zbudować dla mnie dom? - zdziwiła się Aylo.

- Niezupełnie. Muszę zapewnić ci miejsce do życia, ale chciałem, żeby to był nowy dom, specjalnie dla ciebie. Mogliśmy na przykład zamieszkać u mojej matki. To nic nadzwyczajnego, zwłaszcza gdy młody mężczyzna pierwszy raz wiąże się z partnerką. Gdybyś od urodzenia była Zelandonii, moglibyśmy też pozostać u twojej matki albo u kogoś z dalszej rodziny, zanim byłbym w stanie zaoferować ci coś innego. W takim przypadku stałbym się, rzecz jasna, dłużnikiem twojego rodu.

- Nie wiedziałam, że łącząc się ze mną, wzięłaś na siebie tak wielkie zobowiązanie.

To zobowiązanie nie tylko wobec kobiety, ale przede wszystkim wobec dzieci. One nie potrafią o siebie zadbać; ktoś musi je utrzymać. Niektórzy mężczyźni żyją kątem u rodziny przez



całe życie, najczęściej u matki swej kobiety. Dom matki należy do wszystkich jej dzieci, ale to, które w nim mieszka, ma prawo pierwszeństwa. Gdy domostwo staje się własnością córki, partner nie musi już budować nowego, za to jest dłużnikiem rodzeństwa swojej kobiety. Kiedy dziedziczy po własnej matce, ma zobowiązanie wobec własnych braci i sióstr.

- Zdaje się, że wciąż jeszcze niewiele wiem o Zelandonii - mruknęła Ayla, marszcząc brwi.

- A ja muszę jeszcze wiele nauczyć się o tobie - odparł Jondalar, rozkładając ramiona. Przywarła do niego ochoczo. Czowała, że mężczyzna jej pragnie, i dała mu znak, że jest gotowa.

- Zaczekaj - szepnął.

Wyszedł i wrócił po chwili, niosąc zwinięte futra. Rozsupłał rzemienie i rozścielił miękkie skóry na łożu. Wilk przyglądał się jego poczynaniom, siedząc na środku pustej izby. Wreszcie uniósł łeb i zawył cicho.

- Zdaje się, że jest zagubiony. Chciałby wiedzieć, gdzie będzie spał - odezwała się Ayla.

W takim razie lepiej będzie, jeśli od razu pójde do matki i przyniosę jego legowisko. Nie ruszaj się stąd - przykazał z uśmiechem.

Po chwili był już z powrotem, niosąc naręcze starych ubrań Ayli służących Wilkowi za posłanie oraz jego miskę. Ułożył je na podłodze, tuż obok wejścia. Zwierz obwąchał swoją własność, zaskomlał i ułożył się wygodnie.

Jondalar zbliżył się do swej kobiety, która czekała na niego przy ognisku. Uniósł ją lekko i podszedł do drewnianego podwyższenia, by ostrożnie ułożyć Aylę na stercie miękkich futer. Przysiadł obok i zaczął ją wolno rozbierać. Znachorka także zabrała się do rozwiązywania rzemieni spinających jej odzież.

- Nie. Sam to zrobię, Aylo. Sprawia mi to przyjemność - powiedział cicho.

Opuściła ręce i rozluźniła się. Jondalar rozbierał ją metodycznie, a kiedy skończył, zsunął z siebie ubranie i położył się przy niej. A potem, z nadzwyczajną łagodnością, kochał się z nią przez pół nocy.

Życie w Dziewiątej Jaskini Zelandonii szybko wracało do normy po beztraskich tygodniach Letniego Spotkania. Nastąpiła przepiękna jesień. Ocean złocistych traw na okolicznych równinach falował od podmuchów coraz chłodniejszego wiatru, a drzewa rosnące wzdłuż Rzeki lśniły w słońcu wszystkimi odcieniami żółci i czerwieni. Na krzewach nie brakowało dojrzałych jagód, z drzew spadały orzechy, a dzikie jabłka różowiły się zachęcająco, choć były jeszcze kwaśne - słodycz pojawiała się w nich wraz z pierwszymi mrozami. Póki dopisywała pogoda, mieszkańcy osady mogli robić zapasy na zimę, wzbogacając je jadalnymi bulwami i ziołami. Nawet gdy temperatura spadała w nocy poniżej zera, myśliwi nie wahali się wyruszać na polowania, by

dostawa821 mi świeżego mięsa uzupełniać dietę złożoną teraz głównie z suszonego mięsiwa, zdobytego podczas letnich łowów.

Kiedy powracali, szukano miejsca w starych dołach chłodniczych i kopano nowe w miękkiej jeszcze ziemi. Mięso składowano poniżej granicy wiecznej zmarzliny, przykry, wając je starannie kamieniami. Część zdobyczy pozostawiano na noc na wysokich platformach - poza zasięgiem drapieżnych zwierząt - by zamarzała. Rankiem wkładano ją w najgłębsze doły, aby nie odtajała na słońcu. Sporo takich spiżarni wykopano wokół Dziewiątej Jaskini, lecz nie brakowało też dołów płytszych, służących do przechowywania owoców i warzyw w chłodzie - przynajmniej na początku sezonu. Wraz z nastaniem zimy ich zawartość musiała być przeniesiona w głąb nisy, gdzie mrozy nie były zbyt dokuczliwe.

Łapano w sieci łososie wędrujące w górę rzeki i mrożono je bądź wędzono. Inne ryby łowiono nowym dla Ayli sposobem: w wymyślone przez Czternastą Jaskinię pułapki. Znachorka odwiedziła Małą Dolinę i dowiedziała się od Bramevala, w jaki sposób należy wyplatać i obciążać specjalne kosze, do których ryby wpływały bez trudu, ale nie umiały już wydostać się na zewnątrz. Przywódca darzył ją wielką przyjaźnią, podobnie jak Tishona i Marsheval. Choć Ayla nie zdążyła poznać młodych zbyt dobrze od czasu Zaślubin, fakt udziału w tej samej ceremonii bardzo zbliżył ją do nich.

Niektórzy łowili ryby na kolec. Brameval podarował znachorce małe kawałki kości, zaostrome na obu końcach i przywiązane pośrodku do cienkiego, ale mocnego sznurka. Tishona i Marsheval dołączyli do Ayli nad brzegiem Rzeki - między innymi po to, by pomóc jej w razie potrzeby, ale przede wszystkim dla towarzystwa. Ich asysta nie była jednak potrzebna: uzdrowicielka umiała już posługiwać się kolcem; nauczył ją tego Jondalar. Miała nawet własny zapas robaków i kawałków ryby. Stanąwszy nad wodą, cisnęła przynętę daleko od siebie. Gdy poczuła lekkie pociągnięcie, świadczące o tym, że ryba połknęła kolec, szarpnęła gwałtownie linką, mając nadzieję, że ostre końce wbiją się poprzecznie w ciało ofiary. Uśmiechnęła się szeroko, wydobywając z zimnej wody trzepoczącą zdobycz.

W drodze powrotnej Ayla zatrzymała się w Jedenastej Jaskini. Nie zastała Karei, za to dostrzegła z daleka miejscowego donier z Marolanem - wysokim, przystojnym mężczyzną - i podeszła do nich, by zamienić kilka słów. Widywała tę parę kilkakrotnie podczas Letniego Spotkania i zrozumiała, że nie są to przyjaciele, ale raczej partnerzy, choć nie udzielono im nigdy Zaślubin. Oficjalna ceremonia połączenia była zastrzeżona raczej dla tych, którzy pragnęli mieć dzieci. Wielu ludzi tworzyło pary, nie przejmując się Zaślubinami - nie tylko ci, którzy byli tej samej płci, ale także osoby w starszym wieku, nie mające już nadziei na potomstwo, oraz samotne kobiety z dziećmi, po latach znajdujące przyjaciela lub dwóch.

Ayla często towarzyszyła Jondalarowi, gdy wraz z innymi myśliwymi wyruszał na łowy na grubego zwierza, lecz odłączała się w pobliżu Jaskini, by na mniejszych stworzeniach ćwiczyć posługiwanie się procą i bumerangiem. Równiny wzdłuż brzegów Rzeki były schronieniem licznych pardw i jarząbków. Kobieta wiedziała, że może polować na nie bez większego trudu za pomocą procy, ale wolała wprawiać się w używaniu nowej broni. Chciała też nauczyć się wyrabiać bumerangi. Nie było to łatwe - płaski kawałek drewna trzeba było oddzielić klinowatym ostrzem od większego pnia, a potem poświęcić sporo czasu na nadanie mu pożądanego kształtu i oszlifowanie. Jeszcze trudniejsze było samo rzucanie - należało skrócić nadgarstek w taki sposób, by nadać bumerangowi poziomą rotację. Ayla widziała kiedyś, jak umiejętnie posługiwała się tą bronią pewna kobieta Mamutoi. Umiała rzucić bumerangiem w taki sposób, że strącał on trzy do czterech ptaków z przelatującego opodal stada. Znachorka zawsze uważała, że najprzyjemniejsze jest polowanie, które wymaga wykazania się nieprzeciętną sprawnością.

Ćwicząc użycie nowej broni myśliwskiej, Ayla nie czuła się taka samotna, a przy okazji z każdym dniem nabierała większej wprawy. Rzadko powracała do Jaskini bez upolowanego ptaka czy dwóch. Zawsze miała też w zanadrzu procę, więc mogła urozmaicić sobie dietę mięsem królika czy chomika. Prywatne wycieczki łowieckie dawały jej też swoistą niezależność. Choć jej nowy dom wyglądał coraz ładniej - w dużym stopniu za sprawą darów, które otrzymali z Jondalarem zaraz po Zaślubinach - Ayla nauczyła się handlować, by za ptasie pióra, a czasem za mięso, nabyć przedmioty, których potrzebowała do wyposażenia rodzinnego gniazda. Nawet puste ptasie kości miały swoją wartość - nadawały się na instrumenty muzyczne, a podzielone na pierścienie mogły pełnić funkcję ozdobnych koralików.

823

Wykorzystywano je także w rozmaitych narzędziach i sprzętach codziennego użytku.

Futerka zajęcy i królików, na które polowała z procą, a także cieniutkie i miękkie skórki ptaków, zostawiała jednak najczęściej dla siebie. Planowała uszyć z nich ubranka dla dziecka, kiedy pogoda pogorszy się na tyle, że niebezpiecznie będzie oddalać się poza skalną niszę.

Pewnego chłodnego dnia, pod koniec jesieni, Ayla robiła w izbie porządkę, wydzielając miejsce na pośłanie dla dziecka. Znalazła chłopięcą bieliznę zimową, którą Marona "podaowała" jej parę miesięcy wcześniej, i przyłożyła do siebie miękką bluzę. Jej ciało dawno już stało się stanowczo zbyt krągłe, by mogła wcisnąć się w tak wąski strój, ale mimo to zamierzała jeszcze go použíwać. Był naprawdę wygodny. Może zrobię sobie nowy na wzór tego, z obszerniejszą bluzą, pomyślała. Miała jeszcze w zapasie kilka jelenich skór. Z namysłem złożyła i schowała komplet.

Obiecała Lanodze, że odwiedzi ją po południu. Postanowiła, że weźmie ze sobą trochę jedzenia. Zdążyła naprawdę polubić i dziewczynkę, i dziecko, którym Lanoga się opiekowała.

Dlatego odwiedzała często domostwo Laramara i Tremedy, choć oznaczało to, niestety, także znacznie mniej pożądane spotkania z gospodarzami. Przy okazji poznała lepiej pozostałe dzieci, w tym Bologana, choć była to jeszcze znajomość niezbyt bliska.

Zbliżając się tego popołudnia do domu Tremedy, dostrzegła najpierw właśnie Bologana. Chłopak zaczął już uczyć się od mężczyzny swego ogniska sztuki warzenia barmy. Ayla miała w tej materii mieszane uczucia. Fakt, iż mężczyzna przekazywał doświadczenia dzieciom swojego ogniska, był zupełnie normalny, ale ci, którzy zazwyczaj kręcili się blisko Laramara, licząc na poczęstunek, nie byli, zdaniem znachorki, najlepszym towarzystwem dla dorastającego chłopca. Opinię tę musiała jednak, rzecz jasna, zachować dla siebie.

Witaj, Bologanie - odezwała się z przyjaznym uśmiechem. - Zastałam Lanogę?

Choć pozdrawiała go już kilkakrotnie od powrotu z Letniego Spotkania, za każdym razem sprawiał wrażenie zaskoczonego i zawsze przez moment brakowało mu słów.

Witaj, Ayło. Jest w środku - odparł i odwrócił się, by odejść.

Być może dlatego, że przeglądała własne stroje, znachorka przypomniała sobie nagle o obietnicy, którą niegdyś złożyła.

Dopisywało ci szczęście w tym sezonie? - spytała.

- Szczęście? Co masz na myśli? - spytał zaskoczony, obracając się wolno w jej stronę.

Tego lata kilku młodzieńców w twoim wieku po raz pierwszy wzięło udział w polowaniach. Zastanawiałam się więc, czy dopisywało ci szczęście na łowieckiej ścieżce - wyjaśniła.

Trochę. Zabiłem dwa żubry na pierwszym polowaniu - odparł chłopak, wzruszając ramionami.

- Masz jeszcze ich skóry? Wymieniłem na składniki barmy. A bo co?

- Obiecałam kiedyś, że zrobię dla ciebie ciepłą bieliznę na zimę, jeśli mi pomożesz. Najlepsza do tego byłaby jelenia skóra. Mógłbyś spróbować wymienić się z kimś.

- Miałem zamiar dokonać wymiany, ale na owoce do barmy. Sądziłem zresztą, że zapomniałaś o tej obietnicy - przyznał Bologan. - Złożyłaś ją bardzo dawno temu, zaraz po tym, jak się tu zjawiałaś.

- Rzeczywiście, dawno temu, ale ostatnio rozmyślałam o innych strojach, które muszę uszyć, i doszłam do wniosku, że dobrze byłoby przy okazji zrobić to, co przyrzekłam - odparła Ayla. - Mam trochę jelenich skór, ale musiałbyś przyjść i dać się zmierzyć.

Chłopak przyglądał się jej przez chwilę z dość dziwną miną.

- Bardzo pomogłaś Loralii i Lanodze... Dlaczego to robisz? Kobieta zastanawiała się przez moment nad odpowiedzią.

- Z początku przejęłam się tym, że Loralą była malutka i bardzo potrzebowała ratunku. Jakoś tak jest, że ludzie lubią pomagać dzieciom. To dlatego wiele kobiet bez oporu podjęło się wykarmienia jej, gdy wyszło na jaw, że wasza matka nie ma już mleka. Z czasem jednak po prostu polubiłam tę małą, podobnie jak Lanogę.

Bologan pomilczał chwilę, po czym spojrzał jej w oczy.

W porządku - rzekł. - Jeżeli naprawdę chciałabyś coś dla mnie zrobić, przyniosę jelenią skórę.

Jondalar wyruszył tym razem na wyjątkowo długą wyprawę wraz z Joharranem, Solabanem, Rushemarem i Jacsomanem, który nie tak dawno wraz ze swą młodą partnerką, Dynodą, przeniósł się z Siódmej do Dziewiątej Jaskini. Wybrali się na poszukiwanie reniferów - nie po to jednak, by na nie polować, ale po to, by zlokalizować jedno z większych stad i ustalić, czy przemieszcza się ono w pobliże Jaskini i czy w związku z tym możliwe będzie w najbliższym czasie urządzenie wielkich łowów. Ayla była niespokojna. Wyruszyła z myśliwymi wczesnym rankiem, ale dość szybko odłączyła się od nich. Wilk wypłoszył dla niej kilka pardw, jeszcze nie całkiem białych, które strąciła błyskawicznymi rzutami z procy.

Willamar także opuścił osadę i wyruszył na bodaj ostatnią w tym sezonie wyprawę handlową. Skierował się na zachód z zamiarem zdobycia soli u ludzi, którzy mieszkali nad Wielkimi Wodami. Ayla zaprosiła Marthone, Folarę i Zelandoni na wspólny posiłek - sama na pewno nie spożytkowałaby wszystkich upolowanych pardw. Zapowiedziała, że przyrządzi je tak, jak lubił Creb. Wykopała niezbyt głęboki dół w Leśnej Dolinie, u podnóża ścieżki wiodącej na stok, otoczyła go kamieniami i rozpałała na dnie ogień. Kiedy drewno się dopalało, oskubała ptaki - nawet ich nogi były już pokryte zimowym, jasnym puchem - i owinęła je garścią siana.

Gdyby miała do dyspozycji jajka, zapewne nadziałyby nimi pardwy, ale o tej porze roku nie było na to szans. Ptaki nie składały przecież jaj, kiedy zbliżała się zima. Znachorka musiała więc znaleźć zastępcze nadzienie: aromatyczne zioła. Była też wdzięczna Marthonie, która podzieliła się z nią resztką soli. Kiedy pardwy piekły się w dole z orzeszkami ziemnymi i przyprawami, zajęła się pielęgnacją koni, a gdy skończyła, zaczęła zastanawiać się, co jeszcze mogłaby zrobić w wolnym czasie.

Doszła do wniosku, że zajrzy do Zelandoni i zapyta, czy może w czymś pomóc. Donier przyznała, że kończy się jej zapas czerwonej ochry. Ayla odpowiedziała, że uzupełni go z przyjemnością, i po chwili była już na trakcie wiodącym do Leśnej Doliny. Gwizdnęła na Wilka, który myszkował beztrąsko po okolicznych wykrotach, i razem skierowali się ku Rzece. Szybko napełniła kosz gliną bogatą w tlenek żelaza i znalazła obły kamień, który znakomicie nadawał się

do rozcierania brył. Znowu przywołała czworonoga charakterystycznym świstem i ruszyła pod górę, nie upewniwszy się nawet, czy nikt nie idzie z przeciwka.

Przestraszyła się więc bardzo, gdy omal nie zderzyła się z Brukevałem. Mężczyzna unikał jej świadomie od czasu pamiętnego spotkania w chacie Zelandoni, na którym rozmawiano o Echozarze i ludziach Klanu, ale nieustannie obserwował jasnawłosą znachorkę z ukrycia. Z przyjemnością przypatrywał się jej coraz bardziej zaawansowanej ciąży, wyobrażając sobie, że dziecko, które wkrótce miało przyjść na świat, poczęło się z jego ducha. Każdy mężczyzna marzył od czasu do czasu, że jakaś kobieta pewnego dnia będzie nosić w sobie nowe życie powstałe przy udziale jego ducha, a niekiedy kierował swe myśli ku konkretnej niewieście, lecz rojenia Brukewała miały znamiona obsesji. Czasem leżał w nocy, nie mogąc zasnąć, i wyobrażał sobie życie z Ayla oraz siebie na miejscu Jondalara, gdy wspominał podpatrzone sytuacje z ich pożycia. Teraz jednak, gdy spotkali się na ścieżce, nie miał pojęcia, co powiedzieć.

- Brukevalu - odezwała się Ayla, siląc się na uśmiech. - Od dawna już chciałam z tobą porozmawiać.

- No to rozmawiajmy - odparł opryskliwie.

- Musisz wiedzieć, że wcale nie zamierzałam obrazić cię wtedy, na spotkaniu. Jondalar powiedział mi, że kiedyś dręczono cię, nazywając płaskogłowym, aż wreszcie zmusiłeś prześmiewców, żeby znaleźli sobie inne zajęcie. Podziwiam cię za to, że potrafiłeś przeciwstawić się ludziom, którzy cię przezywali. Nie jesteś płaskogłowym... mężczyzną Klanu. Nikt nie powinien cię tak nazywać. Nie mógłbyś przecież żyć z ludźmi Klanu. Należysz do Innych, tak jak wszyscy Zelandonii. W taki sposób byłbyś postrzegany przez Klan.

Rysy mężczyzny złagodniały nieco.

- Cieszę się, że tak uważasz - powiedział.

- Powinieneś jednak zrozumieć, że dla mnie oni także są ludźmi - dodała pospiesznie. - Na pewno nie zwierzętami. Nigdy nie myślałam o nich w inny sposób. Znaleźli mnie samotną i ranną, ocalili, zaakceptowali i wychowali. Nie byłoby mnie tutaj, gdyby nie oni. Moim zdaniem są ludźmi, i to godnymi podziwu. Nie miałam pojęcia, że odbierzesz jako zniewagę sugestię, że twoja babka mogła znaleźć się wśród nich, kiedy zaginęła, i że być może otoczyli ją taką samą opieką jak mnie.

- Zapewne nie mogłaś mieć pojęcia - przyznał z uśmiechem.

Ayla odpowiedziała uśmiechem ulgi i spróbowała jeszcze precyzyjniej wyjaśnić Brukewałowi, co czuje.

Rzecz w tym, że przypominasz mi ludzi, których tak bardzo cenię. To dlatego coś pchało mnie ku tobie. Kochałam kiedyś pewnego chłopca, a ty jesteś do niego podobny i...

- Czeka! Nadal twierdzisz, że mam z nimi coś wspólnego? Przecież przed chwilą powiedziałaś, że nie jestem płaskogłowym - wtrącił podejrzliwie mężczyzna.

- Nie jesteś. Echozar też nie jest. To, że jego matka należała do Klanu, nie czyni go jednym z nich. Nie wychowali go, podobnie zresztą jak ciebie...

- Ale ty nadal uważasz, że moja matka była potworem! Przecież mówiłem ci, że nie była! Nie miała nic wspólnego z płaskogłowymi; ani ona, ani moja babka! Żaden z tych parszywych zwierzaków nie ma nic wspólnego z moją rodziną, słyszysz!?! - Brukeval krzyczał, a jego twarz nabiegła krwią. - Nie jestem płaskogłowym! Nie myśl sobie, że skoro zostałaś przez nich wychowana, możesz wygadywać o mnie takie rzeczy!

Wilk zaczął warczeć na rozjuszonego mężczyznę, gotów skoczyć na pomoc swej pani. Brukeval istotnie wyglądał tak, jakby zamierzał zrobić Ayli krzywdę.

Wilk! Nie! - rozkazała. Znowu powiedziałam coś nie tak, pomyślała. Czy nie mogłam zamilknąć, kiedy się uśmiechał? Z drugiej strony, nie musiał nazywać ludzi Klanu "parszywymi zwierzakami".

- Pewnie wyobrażasz sobie, że ten wilk też jest człowiekiem, co? - Brukeval parsknął pogardliwym śmiechem. - Ty w ogóle nie odróżniasz ludzi od zwierząt. To nienormalne, żeby wilk zachowywał się tak w obecności człowieka. - Mężczyzna nie miał pojęcia, jak blisko wilczych kłów doprowadziła go jego agresja, choć możliwe, że nawet gdyby wiedział, nie miałyby to dla niego wielkiego znaczenia. Nie był sobą. - Coś ci powiem. Gdyby te bestie nie zaatakowały mojej babki, być może nie byłaby tak przerażona i nie urodziłaby słabego dziecka. A gdyby moja matka miała w sobie więcej siły, opiekowałaby się mną, jak należy, kochałaby mnie. To parszywi płaskogłowi zabili moją matkę i babkę. Jeśli chcesz znać moje zdanie - oni nie są nikomu potrzebni. Mogliby wyzdychać co do jednego. Więc nie waz się twierdzić, że mam z nimi coś wspólnego. Gdyby to ode mnie zależało, zatłukłbym ich wszystkich gołymi rękami!

Wrzeszcząc dziko na Aylę, Brukeval zbliżał się coraz bardziej, spychając ją w dół ścieżki. Znachorka trzymała Wilka za futro na karku, by nie skoczył do gardła rozwścieczonemu mężczyźnie. Wreszcie Brukeval odepchnął ją na bok i popędził przed siebie. Jeszcze nigdy nie był tak wzburzony - nie tylko dlatego, że Ayla uparcie wmawiała mu płaskogłowych przodków, ale także - a może przede wszystkim - dlatego, że w gniewie wyjawiał jej swe najskrytsze pragnienia. Nie pragnął w życiu niczego więcej niż czułości i miłości matki, u której mógłby szukać schronienia przed dręczycielami. Lecz kobieta, która odziedziczyła Brukevala wraz z resztą dobytku jego matki, nie była czuła i kochająca. Z niechęcią karmiła dziecko, które uważała za odrażające. Miała mało czasu, by zajmować się własnymi dziećmi, w tym Maroną, toteż łatwo jej

było ignorować cudze. Jednak nawet dla swoich nie była zbyt dobrą matką. Maroną właśnie po niej odziedziczyła cyniczne podejście do życia.

Ayla trzęsa się ze zdenerwowania. Doigrałam się, myślała. Wreszcie zebrała się w sobie i pobiegła na górę, a potem prosto do domostwa Zelandoni. Otyła kobieta spojrzała na nią uważnie i natychmiast domyśliła się, że coś się wydarzyło.

- Co się stało, Aylo? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła złego ducha - powiedziała.

- Och, Zelandoni, chyba zobaczyłam... Spotkałam Brukevala - jęknęła. - Próbowałam mu powiedzieć, że wtedy, na spotkaniu, wcale nie zamierzałam go obrazić, ale zdaje się, że cokolwiek mówię, zawsze go rozwściecza.

- Usiądź i opowiedz mi o tym - zaproponowała donier. Znachorka opowiedziała jej o spotkaniu na ścieżce. Zelandoni siedziała w milczeniu przez dłuższą chwilę, a potem podała Ayli kubek z herbatą. Młoda kobieta wyraźnie się uspokoiła; opowiadanie pomogło jej zapanować nad nerwami.

- Obserwuję Brukevala od długiego czasu - odezwała się wreszcie donier. - Istotnie, ma w sobie dziką furję. Najchętniej zniszczyłby świat, który zadał mu tak wiele bólu. Chciałby zwalić całą winę za swe nieszczęścia na płaskogłowych, na ludzi Klanu. To w nich dopatruje się źródeł swojego cierpienia. Nienawidzi wszystkiego, co ma z nimi jakikolwiek związek. Najgorsze, co mogłaś zrobić, to zasugerować mu, że jest spokrewniony z Klanem. Źle się stało, Aylo, i obawiam się, że masz teraz zacieklego wroga. Nic już nie można na to poradzić.

- Wiem. Domyślałam się, że tak będzie. Dlaczego ludzie tak bardzo nienawidzą Klanu? Co jest w nim takiego strasznego? - spytała gorzko Ayla.

Kobieta popatrzyła na nią przenikliwie i odezwała się:

Kiedy powiedziałam na spotkaniu, że pogrążyłam się w głębokiej medytacji, by przypomnieć sobie Historie i Legendy Starszych, nie kłamałam. Użyłam każdej znanej mi sztuczki, by dojść do wszystkich poziomów wiedzy, które poznałam i zapamiętałam. Powinnam robić to częściej; to wyjątkowo pouczające doświadczenie. Moim zdaniem, Aylo, problem leży w tym, że zajęliśmy ich ziemie. Na początku nie było między nami tak źle. Miejsca starczyło dla wszystkich, nie brakowało nowych schronień w skałach. Nietrudno było dzielić się ziemią z ludźmi Klanu. Wówczas jeszcze nie nazywaliśmy ich zwierzętami; byli po prostu płaskogłowymi i więcej było w tym mianie trafnego opisu niż obelżywości - wyjaśniła Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą Matce.

- Czas jednak płynął, rodziły się dzieci i potrzebowaliśmy dla siebie coraz więcej przestrzeni. Niektórzy z nas zaczęli siłą zajmować jaskinie Klanu. Czasem ginęli oni, czasem my. Byliśmy już zadomowieni na tych ziemiach, czuliśmy się jak u siebie. Być może płaskogłowi zamieszkali tu pierwsi, ale my potrzebowaliśmy miejsca, więc odbieraliśmy im najlepsze schronienia.



Kiedy jedni ludzie traktują innych podle, zwykle próbują usprawiedliwić swoje działanie, by móc jakoś żyć bez wyrzutów sumienia. My także znaleźliśmy sobie wymówkę: wiarę, że Wielka Matka oddała nam całą Ziemię we władanie - "wody i lądy, stworzenie wszelkie". Uznaliśmy, że wszystkie rośliny i zwierzęta należą do nas. Potem wmówiliśmy sobie, że płaskogłowi są zwierzętami, a skoro tak, to mogliśmy odebrać im domy.

- Ależ to nieprawda, przecież są ludźmi - zaproponowała Ayla.

Tak. Masz rację, ale nam wygodniej było o tym nie pamiętać. Matka powiedziała przecież także, że wolno nam używać jej darów, ale nie nadużywać. Płaskogłowi są Dziećmi Ziemi - co do tego także upewniłam się podczas medytacji. Jeżeli Ona miesza ich duchy z naszymi, to muszą być ludźmi. Tak naprawdę jednak myślę, że nasze przekonania co do ich prawdziwej natury nie miały znaczenia. Zapewne i tak walczylibyśmy z nimi. Niestety, Doni uczyniła zabijanie łatwiejsze jedynie dla tych zwierząt, które muszą to robić, by przeżyć. Nie wydaje mi się, żeby twój Wilk przejmował się losem królików, na które poluje, lub by jego pobratymcy w sforze mieli opory przed pożeraniem jeleni. Urodził się po to, żeby je zabijać. Gdyby nie one, byłby martwy, a wszystkie istoty stworzone przez Doni mają w sobie pragnienie życia.

Ludzie jednak zostali obdarzeni zdolnością myślenia. To dzięki niej możemy uczyć się i rozwijać. To ona umożliwia nam współpracę i porozumienie, a te czynniki zapewniają nam przetrwanie; to dzięki niej umiemy wczuć się w położenie innych oraz... współczuć. Jednak każdy kij ma dwa końce. Czasem rozciągamy owe ciepłe uczucia na wszystkie żyjące istoty, które dzielą z nami ten świat, lecz gdybyśmy pozwolili, by litość powstrzymała nas przed zabiciem jelenia czy innego stworzenia, nie pożylibyśmy długo. Pragnienie przetrwania jest silniejsze, więc uczymy się wybiórczego współczucia. Znajdujemy sposoby, by jakoś zamknąć umysł na cierpienie innych. Ograniczamy swą zdolność współodczuwania. - Zafascynowana Ayla chłoneła każde słowo donier. - Problem w tym, by wiedzieć, jak panować nad uczuciami, nie przekraczając pewnej granicy. Moim zdaniem właśnie to jest głównym zmartwieniem Joharrana od czasu, gdy zaprezentowałaś nam swą wiedzę o Klanie, Aylo. Tak długo, jak wierzyliśmy, że płaskogłowi są zwierzętami, mogliśmy zabijać ich bez wahania. Mordowanie ludzi nie jest już takie proste. Nasze umysły muszą wynaleźć nowe wymówki. Jeśli jednak uda nam się jakąś pokrętną logiką odkryć zależność między naszym przetrwaniem a tępieniem ludzi Klanu, zaczniemy działać. Jesteśmy w tym świetni. Niestety, takie myślenie zmienia ludzi. Uczą się nienawidzić. Twój wilk na przykład nie potrzebuje nienawiści, by zabijać. I nam byłoby łatwiej zabijać bez wyrzutów sumienia, jak czyni to twój przyjaciel, ale wtedy nie bylibyśmy ludźmi.

Uzdrowicielka zastanawiała się przez chwilę nad tym, co usłyszała.

Teraz już wiem, dlaczego jesteś Pierwszą Wśród Tych Którzy Służą Matce. Trudno jest zabijać. Wiem, jak trudno. Pamiętam pierwsze zwierzę, które pozbawiłam życia rzutem z procy. To był jeżozwierz. Czułam się tak podle, że przez dłuższy czas nie byłam w stanie polować i musiałam znaleźć sobie ważny powód, żeby zmienić zdanie. Postanowiłam atakować wyłącznie drapieżniki, bo często kradły mięso naszym łowcom i zabijały te same zwierzęta, których Klan potrzebował, by przetrwać.

To właśnie jest prawdziwą utratą niewinności, Aylo; moment, w którym zdajemy sobie sprawę z tego, co musimy robić, aby przeżyć. Dlatego tak ważna jest pierwsza zdobycie? młodego łowcy. Nie tylko zmiany cielesne czynią człowieka dojrzałym. Pierwsze polowanie jest najtrudniejsze i polega na czymś więcej niż przewyciężeniu strachu. Oto mężczyzna i kobieta muszą dowieść, że potrafią przetrwać, że zrobią to, co konieczne, by żyć. Nie bez powodu odprawiamy tak wiele ceremonii, by uczcić duchy zabijanych przez nas zwierząt. To jeden ze sposobów składania hołdu Doni. Musimy pamiętać i doceniać fakt, że inne istoty giną po to, abyśmy mogli żyć. Jeżeli o tym zapomnimy, staniemy się zbyt twardzi, a to może zwrócić się przeciwko nam.

Zawsze musimy dziękować za to, co bierzemy. Musimy czcić duchy drzew, traw, owoców, wszystkiego, co żyje i rośnie. Musimy darzyć szacunkiem Jej Dary. Zignorowana Matka okaże nam swój gniew, a wtedy możemy stracić nawet Dar Życia, który od niej dostaliśmy. Jeżeli kiedykolwiek zapomnimy o Wielkiej Matce Ziemi, Ona przestanie o nas dbać. Stracimy wszystko, nawet nasz dom.

- Zelandoni, pod wieloma względami przypominasz mi Creba. Był łagodny i kochałam go bardzo, ale przede wszystkim rozumiał ludzi. Zawsze mogłam zwrócić się do niego... Mam nadzieję, że to cię nie obraża. Nie chciałabym cię rozgniewać - dodała szybko znachorka.

Zelandoni uśmiechnęła się ciepło.

- Ależ nie; oczywiście, że mnie nie obrażasz. Szkoda, że nigdy go nie spotkałam. Wiesz, Aylo, mam nadzieję, że i do mnie zechcesz się zwrócić zawsze, kiedy będziesz potrzebowała wsparcia.

Szykując się do rozcierania brył czerwonej ochry, znachorka rozmyślała jeszcze nad tym, co powiedziała jej donier. Wykonując pierwsze ruchy zaokrąglonym kamieniem na powierzchni lekko wklęsłego kawałka skały, starała się jednak zapomnieć o niepokojącym incydencie z Brukevalem. Wysięk pomógł jej rozładować napięcie, lecz gdy ręce przyzwyczyły się do miarowych ruchów, Ayła powróciła myślą do słów Zelandoni. Ona ma rację, pomyślała. Teraz Brukeval jest moim wrogiem. Ale czy mogę jakoś temu zaradzić? Stało się. Bez względu na to, co mówię czy robię, on i tak myśli o mnie w taki sposób, w jaki chce.

Ayla nie wpadła na pomysł oszukania Brukewała, wmówienia mu, że tak naprawdę wcale nie uważa go za dziedzica cech Klanu. Nie zwykła kłamać... A Brukewał z pewnością był mieszańcem. Ayla pomyślała o jego babce, kobiecie, która zaginęła. Kiedy ją odnaleziono, mówiła, że napadły na nią zwierzęta, ale z pewnością miała na myśli tych, których nazywano płaskogłowymi. Zapewne znaleźli ją i zabrali ze sobą, inaczej nie przetrwałyby wśród głuszy. A skoro tak, skoro zaopiekowali się nią i nakarmili, to musieli oczekiwać, że będzie zachowywała się tak, jak inne kobiety, dumiała Ayla. To oznaczało, że każdy mężczyzna Klanu mógł używać jej, by ulżyć swoim potrzebom. Gdyby się opierała, zostałaby przymuszona - dokładnie tak samo, jak Broud przymuszał mnie. Opór był dla kobiety Klanu czymś nie do pomyślenia. Mężczyźni pokazaliby jej, jak należy się zachowywać...

Ayla próbowała wyobrazić sobie, jak zachowałyby się w takiej sytuacji kobieta z ludu Zelandonii, nauczona, że fizyczny kontakt jest Darem Przyjemności od Wielkiej Matki Ziemi, darem, którego w żadnym wypadku nie należało ofiarowywać komuś siłą. Przyjemnością wolno było dzielić się z drugim człowiekiem, ale tylko za obopólną zgodą. Babka Brukewała z pewnością uznała więc żądania mężczyzn Klanu za atak. Jak mógł poczuć się ktoś zaatakowany przez "zwierzęta"? Jak mógł dzielić się Darem Przyjemności z "bestią"? Czy gwałt zadany kobiecie nienawykłej do posłuszeństwa mógł pozostawić ślady w jej umyśle? Być może. Niewiasty Zelandonii były niezależne, niemal tak niezależne jak mężczyźni.

Ayla przestała rozcierać czerwoną glinę. Mężczyzna Klanu prawdopodobnie przymusił zaginioną kobietę, skoro była w ciąży. Przyniosła w sobie nowe życie; tak urodziła się matka Brukewała. Jondalar mówił, że była słaba. Rydag także był słaby, zastanawiała się znachorka. Może zawsze tak jest, że gdy mieszają się duchy dwóch ras, potomstwo nie jest tak silne, jak powinno być.

Jednakże Durc nie był słaby, podobnie jak Echozar i ludzie S'Armunai. Nie brakowało im siły, choć wielu żywo przypominało ludzi Klanu. Być może słabi umierali wcześniej, jak Rydag, a przeżywali tylko najsilniejsi. Czy S'Armunai mogli być owocem pomieszania duchów, do którego doszło dawno, dawno temu? Nie byli zbyt uprzedzeni do mieszańców; być może dlatego, że spotykali ich na co dzień. Niby byli zwyczajnymi ludźmi, a jednak cechy Klanu były u nich widoczne.

Czy to dlatego partner Attaroi próbował przymuszać ją,

833 nim wreszcie go zabiła? Czy typowy dla mężczyzn Klanu sposób traktowania kobiet mógł być dziedziczny, jak wygląd zewnętrzny? A może był tylko zwyczajem przejętym od płaskogłowych? S'Armunai byli z gruntu porządnymi ludźmi i nie musieli wstydzić się swoich osiągnięć. Bodoa, czyli S'Armuna, wynalazła na przykład sposób wypalania gliny wykopywanej z

dna rzeki w taki sposób, że zamieniała się w kamień. Jej akolitka była zaś świetną rzeźbiarką. Echozar także jest niezwykłym człowiekiem. Lanzadonii, podobnie jak Zelandonii, wierzą, że to pomieszanie duchów nadało jego ciału cechy obu ras, ale nie wolno zapominać, że jego matkę napadli Inni.

Ayla znowu zaczęła rozcierać bryłę czerwonej ochry. Jaka to ironia losu, pomyślała. Brukeval nienawidzi ludzi, którzy sprawili, że narodziła się ta, która dała mu życie. Teraz jestem już pewna, że to mężczyźni są przyczyną, dla której dzieci pojawiają się w łonie kobiet. Nic dziwnego, że Jaskinia S'Armunai z wolna wymierała, odkąd Attaroa została przywódczynią. Nie sposób przecież zmusić duchy kobiet, by łączyły się ze sobą. W ciążę zachodziły tylko te niewiasty S'Armunai, które ukradkiem odwiedzały nocą swoich mężczyzn.

Znachorka pomyślała o nowym życiu, które pęczniało z wolna w jej ciele. Była pewna, że dziecko było w równym stopniu jej i Jondalara. Nie wątpiła, że zostało poczęte, kiedy zeszli z lodowca. Nie piła wtedy specjalnej herbaty, która przez całą Podróż chroniła ją przed powstaniem nowego życia. Po raz ostatni krwawiła na krótko przed wspinaczką na wielki jezior lodowca. Cieszyła się w duchu, że tym razem ciąży nie towarzyszyły tak uporczywe nudności. Z Burkiem było inaczej... Dzieci mieszanej krwi zdawały się sprawiać więcej kłopotu matkom. Tym razem Ayla czuła się cudownie. Zastanawiała się tylko, czy urodzi dziewczynkę czy chłopca. I kogo nosi w sobie Whinney?

## ROZDZIAŁ 37

Dziewiąta Jaskinia wzniosła schronienie dla koni pod osłoną wielkiego abri, w mało używanej, południowej części niszy, opodal mostu prowadzącego do Dolnorzecza. Ayla osobiście pytała Joharrana, czy ktokolwiek sprzeciwiłby się, gdyby wraz z Jondalarem zbudowała konstrukcję chroniącą zwierzęta choćby przed wichrem i deszczem. Sądziła, że wystarczy lekka zagroda w cieniu skalnego nawisu. Kiedy przywódca zorganizował spotkanie z mieszkańcami przy Kamieniu Mówcy, wywiązała się dyskusja i ostatecznie zdecydowano, że należy wznieść prawdziwe domostwo z niskimi kamiennymi ścianami, przedłużonymi skórzanymi panelami. Nie zamontowano jednak ani kotary u wejścia, ani bramy, która nie pozwalałaby zwierzętom wychodzić na zewnątrz.

Konie nawykły do swobody - zawsze mogły chodzić tam, gdzie miały ochotę. Whinney dzieliła niegdyś jaskinię z Ayla, a z Zawodnikiem chętnie korzystała z pomieszczenia, które przy swej ziemiance przygotowali dla nich gościnni mieszkańcy Obozu Lwa Mamutoi. Kiedy więc znachorka zaprowadziła wierzchowce do ich nowej budowli, dała im suchej trawy, owsa i wody, zdawały się rozumieć, że to jest ich dom. W każdym razie wracały do niego chętnie, korzystając najczęściej z krótszej drogi znad pobliskiego brzegu Rzeki. Rzadko używały ścieżki wiodącej z Doliny Leśnej Rzeki; nie lubiły przechodzić tarasem przed domostwami ludzi - chyba że prowadziła je znachorka lub jej mężczyzna. Kiedy schronienie dla koni było gotowe, Ayla i Jondalar postanowili sporządzić dla nich drewniane koryto - kanciaste pudło z desek łączonych na wręby, wierną kopię pojemników wytwarzanych przez Sharamudoi. Praca ta wzbudziła wielkie zainteresowanie mieszkańców osady, lecz mimo ich pomocy potrwała dobre kilka dni. Zaczęli od wybrania odpowiedniego drzewa - wysokiej sosny rosnącej w sporej, gęstej kępie. Bliskość innych drzew sprawiła, że roślina musiała pięć się do światła w dobrym tempie, toteż jej korona umieszczona była wysoko, a dolna część pnia niepomalże pozbawiona sęków.

Ścięcie sosny krzemiennymi siekierami nie było łatwym zadaniem. Nawet najlepsze ostrza nie wgrzały się zbyt głęboko. Ścinanie rozpoczęto więc dość wysoko, pod małym kątem, mozolnie zestrugując drobne wióry drewna. Pniak, który pozostał w ziemi, wyglądał tak, jakby obrabiał go zęby bobra. Powalone drzewo trzeba było przeciąć ponownie, nieco poniżej korony. Konary i górna część pnia nie zostały zmarnowane: rzeźbiarze i rzemieślnicy od razu zaczęli rozglądać się za przydatnymi kawałkami drewna, resztę zaś - cenne paliwo - zebrano i porąbano na szczapy.

Ayla i Jondalar postanowili, że zrobią dla koni nie tylko koryta na wodę, ale i na paszę. Naśladując tradycję ludu Sharamudoi, w pobliżu ściętego drzewa zasadzili w ziemi nasiona wydobyte z szyszek, by w ten sposób podziękować Wielkiej Matce. Zelandoni była pod wrażeniem tej prostej ceremonii.

Następnie pokazali licznie zebranych pomocnikom, w jaki sposób można oddzielić od pnia względnie równe deski za pomocą klinów i drewnianych młotków. Uzyskany tą metodą materiał nadawał się na przykład na półki, ale znacznie ciekawszym zastosowaniem dla niego były konstruowane przez Jondalara i Aylę koryta. Za pomocą krzemiennych ryłców i narzędzi przypominających dłuta trzeba było naciąć rowki, wzdłuż których dało się nad parą zgiąć drewno, nadając mu pożądaną kształt. Dopasowanie dna i zamknięcie ścian na wręby było dość pracochłonne, ale skuteczne. W wywiercone kamiennymi wiertłami otwory na końcach desek wbijano kołki, które zapewniały konstrukcji sztywność. Świeżo sklecone koryta przeciekały, ale kiedy drewno nasiąkło wodą, puchło na tyle, że wąskie szczeliny zamykały się, a całość stawała się szczelna. Powstałe w ten sposób naczynie mogło służyć nie tylko do przechowywania i gotowania wody, ale także do tłuszczu i innych substancji. Dzieła Ayli i Jondalara, choć przeznaczone dla koni, wzbudziły tak żywe zainteresowanie, że wielu Zelandonii przymierzało się do skopiowania praktycznych pojemników.

Marthona z przyjemnością obserwowała Aylę, która wspinała się ścieżką pod górę, z zaróżowionymi od chłodu policzkami i obłoczkami pary, które otaczały ją przy każdym oddechu. Ciężarna miała na nogach delikatne buty ze skóry o grubych podeszwach, do których dowiązała wysokie cholewy, zakrywające niemal całe łydki. Jej nogi chroniły futrzane nogawice, a tułów i ramiona spowijała ciepła kurtka - dar od matki Matagana. Strój ten nie maskował, rzecz jasna, zaawansowanej ciąży, zwłaszcza że znachorka nosiła teraz pas wyjątkowo wysoko. Zatknięty za niego nóż i dyndające na rzemykach torebki i mieszki stanowiły dość zabawny widok. Kobieta odrzuciła na plecy obszerny kaptur, odsłaniając jasne włosy, spięte w praktyczny kok, jeśli nie liczyć paru kosmyków targanych wiatrem.

Ayla wciąż jeszcze chętniej używała torby uszytej w stylu Mamutoi niż Zelandonii. Ta, którą niosła teraz, była mocno wypchana. Znachorka przywykła do noszonej na jednym ramieniu torby, żeby w drugiej ręce mogła wygodnie nieść zdobycz. Nie rozstawiała się z nią, kiedy ruszała na swe krótkie wyprawy łowieckie. Tym razem niosła trzy białe pardwy, związane razem za opierzone nogi. Przewieszona przez ramię ptaki równoważyły na drugim końcu rzemienia dwa spore, białe zające.

Wilk szedł o kilka kroków za swą panią. Jak zwykle towarzyszył jej na polowaniu, nie tylko wypłaszając ptactwo i drobną zwierzynę, ale także nieomylnie wskazując miejsca, w których trafiona zdobycz upadła w śnieg.

- Nie mam pojęcia, jak ty to robisz, Aylo - odezwała się Marthona, dołączając do młodej kobiety, gdy tylko dotarła na skalny taras. - Kiedy ja byłam w zaawansowanej ciąży, czułam się tak wielka i niezgrabna, że nawet nie marzyłam o polowaniu. A ty nie tylko chodzisz na łowy, ale jeszcze przynosisz coś prawie za każdym razem.

Znachorka uśmiechnęła się do niej.

- Ja też czuję się wielka i niezgrabna, ale posługiwanie się bumerangiem czy procą nie wymaga wielkiego wysiłku. Wilk pomaga mi bardziej, niż myślisz. Ale nie martw się, już wkrótce będę musiała zostać w domu na dłużej.

Marthona spojrzała przyjaźnie na czworonoga krocącego spokojnie między nimi. Choć martwiła się o jego zdrowie po pamiętnym ataku wilczej sfory podczas Letniego Spotkania, to podobało jej się wystrzępione, lekko opadające ucho Wilka. Przede wszystkim sprawiało, że łatwiej go było rozpoznać. Matka Jondalara zatrzymała się, czekając, aż Ayła pozostawi zdobycz na wapiennym bloku leżącym przed domostwem, służącym czasem jako stół, a czasem jako ławka.

- Ja nigdy nie doszłam do wprawy w polowaniu na drobną zwierzynę - przyznała Marthona. - Chyba że za pomocą wnyków. Był jednak czas, kiedy z przyjemnością brałam udział w wielkich łowach. Dziś pewnie nie pamiętałabym, jak to się robi, ale wiem, że swego czasu byłam niezłą w tropieniu. Niestety, wzrok już mi nie dopisuje.

- Spójrz, co jeszcze przyniosłam - powiedziała Ayła, zdejmując z ramienia wypchaną torbę i pokazując starszej kobiecie zawartość. - Jabłka!

Udało jej się znaleźć dziką jabłoń, pozbawioną już liści, lecz wciąż jeszcze obsypaną małymi, błyszczącymi, czerwonymi owocami, zmiękczoneymi i pozbawionymi cierpkiego posmaku przez pierwsze mrozy. Nie zastanawiając się długo, zerwała wszystkie.

Kobiety ruszyły w stronę schronienia dla koni. Ayła nie spodziewała się, że o tej porze dnia zastanie tam wierzchowce, ale i tak chciała sprawdzić zawartość koryta z wodą. Kiedy temperatura spadała poniżej zera, znachorka wytapiała zwierzętom wodę ze śniegu czy lodu, choć miała świadomość, że dziko żyjące konie radzą sobie i bez tego. Do koryta z paszą wrzuciła kilka jabłek.

A potem podeszła do krawędzi kamiennego tarasu i spojrzała w dół, na Rzekę okoloną szpalerem nagich krzewów i drzew. Nie dostrzegła nigdzie swych koni, ale na wszelki wypadek świsnęła głośno w taki sposób, w jaki zwykle przywoływała je do siebie. Miała nadzieję, że nie odeszły zbyt daleko i usłyszą. Wkrótce na ścieżce pojawiła się Whinney, a tuż za nią Zawodnik.

Wilk powitał wierzchowce w niemal oficjalny sposób, trącając się z nimi nosami. Zawodnik zarżał radośnie na widok oswojonego drapieźnika.

Choć znały się już dość długo, każdy przejaw niezwyklej władzy Ayli nad zwierzętami wprawiał Marthonę w oszołomienie i podziw. Przyzwyczaiała się do Wilka, który zawsze kręcił się między ludźmi i odpowiadał nawet na jej wołanie. Ale konie, bardziej płochliwe, nie tak przyjacielskie i chyba mniej oswojone niż czworonożny łowca, słuchały jedynie rozkazów Ayli i Jondalara, zachowaniem przypominając raczej swych dzikich pobratymców, na których ludzie często polowali.

Młoda kobieta wydawała z siebie dźwięki, które Marthona słyszała już niejednokrotnie. Głaszcząc, drapiąc i poklepując konie, Ayla prowadziła je w stronę ich schronienia, nie przestając przemawiać do nich w specjalnym języku, który matka Jondalara nazywała w myślach "końskim". Wierzchowce bez wahania przyjęły z rąk znachorki dorodne jabłka i strzygąc uszami, nasłuchiwały dziwnej mowy. Marthona starała się odróżnić jakieś słowa i doszła do wniosku, że tak naprawdę nie jest to język. Wyczuwała w nim coś, co kojarzyło jej się z mową płaskogłowych, pokazywaną niegdyś przez Aylę.

- Masz coraz większy brzuch, Whinney - mówiła uzdrowicielka, poklepując czule klacz. - Podobnie jak ja. Pewnie urodzisz na wiosnę, może nawet pod koniec, a wtedy ja będę już miała moje dziecko. Bardzo chciałabym zabrać was na przejażdżkę, ale obawiam się, że w moim stanie to niewskazane. Zelandoni mówiła, że w ten sposób mogłabym zaszkodzić dziecku. Chociaż dobrze się czuję, wolę nie ryzykować. Jondalar przejedzie się z tobą, Zawodniku, kiedy wróci.

To w każdym razie chciała przekazać koniom i o tym myślała, wygłaszając przemowę złożoną z dziwnych dźwięków, obcych słów i gestów Klanu. Język ten jednak nie był zbyt precyzyjny, ale to nie miało znaczenia. Dla Whinney i Zawodnika liczył się przyjazny ton, serdeczny dotyk i te kilka prostych, zrozumiałych sygnałów.

Zima jak zwykle nadeszła niespodziewanie. Późnym popołudniem z nieba posypały się drobniutkie białe płatki, które wkrótce ustąpiły miejsca wielkim i ciężkim, a wieczorem znienacka zawirowały w najprawdziwszej burzy śnieżnej. Cała Jaskinia odetchnęła z ulgą, gdy po zmroku w osadzie zjawili się myśliwi, którzy rankiem wyruszyli na łowy. Wrócili z pustymi rękami, ale przynajmniej bezpiecznie.

- Joharran postanowił zawrócić, kiedy zobaczyliśmy stado mamutów zmierzających w pośpiechu na północ - rzekł Jondalar, przywitawszy się z Aylą. - Znasz przecież to powiedzenie: mądrzy w domu zostają, gdy mamuty na północ gnają. Zwykle ich pośpiech oznacza rychłą śnieżycę. Uciekają na północ, w zimniejsze rejony, gdzie powietrze jest bardziej suche, a śnieg nie zasypuje ziemi tak grubą warstwą jak u nas. Naprawdę głębokie i mokre zasy są niebezpieczne



nawet dla nich. Wiatr zmienił się nagle na północny i zanim się obejrzelśmy, dmuchało śniegiem tak mocno, że ledwie mogliśmy coś dostrzec. Dochodząc do Jaskini, grzęźliśmy już po kolana. Musieliśmy skorzystać z rakiet.

Burza śnieżna trwała przez całą noc, następny dzień i kolejną noc. Poza białą kurtyną pędzących z wichrem płatków nie było widać dosłownie nic, nawet drzew po drugiej stronie Rzeki. Chwilami śnieg wirował wściekle, gdy mocniejsze podmuchy wiatru odbijały się od pionowej ściany skalnej i zawracały, nie znajdując innej drogi. Bywały i takie momenty ciszy, gdy padał pionowo jednostajnym, usypiającym rytmem.

Ayla cieszyła się, że ochronny parasol wielkiego abri rozciąga się także nad domem dla koni, choć pierwszej nocy nie mogła spać spokojnie - nie była pewna, czy zwierzęta zdążyły wrócić przed burzą. Gdyby znalazły sobie inne, tymczasowe schronienie, mogłyby utknąć w nim na dłużej, odcięte zwałami mokrego śniegu.

Poczuła wielką ulgę, gdy rano, zbliżając się do kamiennej zagrody, usłyszała radosne rżenie. Witając się z końmi, wyczuwała jednak ich nerwowość. Dla nich wysokie śniegi także były nowością. Postanowiła spędzić z nimi trochę czasu. Czesła je cierpliwie, sprawiając im wielką przyjemność, a przy okazji sama się odprężyła.

Kiedy jednak zastała bezpiecznie osłonięte przed burzą kamiennoskórzanymi ścianami, zaczęła zastanawiać się, w jaki sposób radzą sobie tutejsze dzikie konie. Czy przeniosły się na chłodniejsze, bardziej suche tereny na północy i wschodzie? Śnieg nie był tam aż tak głęboki i z pewnością nie zakrył wysokich, zeschniętych traw, które teraz stanowiły podstawę ich pożywienia.

Znachorka radowała się w myśli, że jesienią zebrała całe sterty trawy, by uzupełnić ogierowi i kłaczy jadłospis złożony głównie z ziarna. To Jondalar wpadł na ten genialny pomysł. W przeciwieństwie do swej partnerki wiedział bowiem, jak głębokie śniegi pokrywają niekiedy kraj Zelandonii. Jednak Ayla zastanawiała się, czy zebrali wystarczającą ilość karmy. Konie były przyzwyczajone do zimna; o to nie musiała się martwić. Ich sierść stała się ostatnio gęsta i gruba. Dwie warstwy ciepłego włosia skutecznie chroniły ich krępe ciała przed wychłodzeniem, ale czy miały pod dostatkiem podsuszanej trawy?

Zimy w rodzinnych stronach Jondalara były mroźne, lecz nie suche. Ich najbardziej charakterystyczną cechą były częste opady ciężkiego, mokrego śniegu. Ayla nie widziała takich ilości białego puchu od czasu, gdy opuściła Klan. Przez ostatnie kilka lat bardziej przyzwyczała się do widoku suchych, zmrożonych stepów wysysających wilgoć z atmosfery - takie właśnie tereny otaczały jej dolinę i terytoria należące do łowców mamutów. Tymczasem tutaj aura ulegała wpływom klimatu morskiego, związanego z Wielkimi Wodami na zachodzie. Mokre i śnieżne

zimy przypominały znachorce rodzinne strony - górzysty półwysep gdzieś daleko na wschodzie, wcinający się głęboko w morze wewnętrzne.

Zwały śniegu piętrzyły się na tarasie przed niszą, zasłaniając niemal połowę prześwitu między kamienną płytą a skrajem nawisu, połyskując w słońcu oślepiającą bielą, a po zmroku złotym odbłaskiem ognisk. Teraz dopiero Ayla zrozumiała, dlaczego przejście do ustronnego miejsca, którego używano zimą zamiast rowów z nieczystościami, zostało obudowane potężnymi pniami i mocnymi skórami zwierząt.

Obudziwszy się drugiego ranka po rozpoczęciu śnieżyicy, znachorka zobaczyła nad sobą uśmiechniętą twarz Jondalara, który stał obok łoża i potrząsał nią lekko. Jego policzki były czerwone od mrozu, a na ciepłym ubraniu wciąż jeszcze widać było ślady śniegu. Mężczyzna ścisnął w dłoni kubek / gorącą herbatą.

Wstawaj, śpiochu. Pamiętam jeszcze te czasy, kiedy zrywałaś się wcześniej ode mnie. Zostało trochę jedzenia na śniadanie... Śnieg przestał padać. Ubierz się ciepło i wyjdź na zewnątrz. Może włożysz tę ciepłą bieliznę, którą dostałaś od Marony i "przyjaciółek"? - zaproponował Jondalar.

- Już byłeś na dworze? - spytała zdziwiona, siadając i pociągając łyk gorącego napoju. - Ostatnio potrzeba mi wyjątkowo dużo snu - przyznała.

Mężczyzna zaczekał, aż się odświeżyła, pożywiła nieco i zaczęła ubierać. Dzielnie znosił jej żółwie tempo, powstrzymując się od niecierpliwych ponagleń.

- Niestety, nie dopnę tych portek na brzuchu. Góra też nie pasuje. Na pewno chcesz, żebym ubrała się w coś takiego? Nie chciałabym rozciągnąć...

- Spodnie są najważniejsze. Nie szkodzi, że nie możesz ich zasznuować. Zepnij na tyle, na ile możesz. I tak będziesz miała na wierzchu obszerniejszy strój. Proszę, to twoje buty. Gdzie zostawiłaś kurtkę? - spytał Jondalar.

Kiedy wyszli z przytulnej niszy Dziewiętej Jaskini, Ayla zobaczyła olśniewająco błękitne niebo i imponującą tarczę słońca, zalewającą taras jaskrawym światłem. Widać było, że wielu mieszkańców osady wstało tego dnia wcześniej: ścieżka w stronę Leśnej Rzeki była już przetarta i udeptana, a ktoś pomysłowy rozsypał na niej drobne, wapienne okruchy zebrane w głębi niszy. Zejście nie było więc zbyt śliskie, choć po obu stronach dróżki śnieg piętrzył się aż po piersi. Ayla przyglądała się w niemym zachwycie zimowej panoramie okolicy.

Krajobraz zmienił się nie do poznania. Lśniący, biały kobierzec wygładził kontury i ukrył niektóre formacje terenu, intensywnie niebieskie niebo przepięknie zaś kontrastowało z oślepiającą bielą mokrego puchu. Było zimno - śnieg skrzypiał pod butami, a każdy oddech przyjmował postać kłębow pary. Na równinie po drugiej stronie Rzeki widać było kilka ludzkich sylwetek.

Tylko ostrożnie na ścieżce. Może być niebezpieczna. Lepiej daj mi rękę - powiedział Jondalar.

Wkrótce dotarli na dół i przekroczyli wąską, skutą lodem rzekę. Ludzie, którzy zobaczyli ich z daleka, pomachali wesoło i ruszyli w ich stronę.

- Już myślałam, że nigdy nie wstaniesz - odezwała się Folar. - Jest takie miejsce, które odwiedzamy co roku, ale musielibyśmy iść przez pół ranka. Pytałam Jondalara, czy mogłabyś wybrać się z nami, ale powiedział, że dla ciebie to za daleko. Kiedy śnieg trochę się uleży, ułożymy siedzisko na saniach i zaciągniemy cię tam. Zwykle wozimy na nich drewno, mięso i inne rzeczy, ale kiedy nie są potrzebne, możemy z nich korzystać - paplała podniecona dziewczyna.

- Folaro, zwolnij trochę - przerwał jej Jondalar. Śnieg był tak głęboki, że kiedy Ayla spróbowała przebrnąć przez zaspę, zachwiała się, straciła równowagę i upadła, w locie chwytając partnera i pociągając go za sobą. Oblepieni śniegiem śmiali się do rozpuku, daremnie próbując wstać. Folar zawtórowała im radosnym chichotem.

- Nie stój tak! - zawołał Jondalar. - Chodź, pomóż mi podnieść Aylę. - Zebrawszy siły, postawili ciężarną na nogi.

Okrągły biały pocisk przeciął powietrze i rozprysnął się na ramieniu Jondalara. Mężczyzna rozejrzał się, a dostrzegłszy roześmianego Matagana chwycił garść śniegu i począł lepić solidną kulę. Cisnął ją w stronę młodzieńca, który miał spore szansę, by już niedługo zostać jego uczniem. Matagan umknął jednak, kuśtykając, i śnieżka minęła cel.

- Chyba wystarczy na dziś - sapnął jasnowłosy łupacz krzemieni.

Kiedy zbliżał się do Ayli, wyjęła ukrytą za plecami kulę i rzuciła w niego. Śnieg rozprysnął się na jego piersi, obsypując mu twarz mokrym puchem.

- Ach, więc nabrałaś ochoty na zabawę - mruknął, zbierając garść śniegu, a potem podbiegł do swej kobiety, z zamiarem wsunięcia jej zimnego ładunku za kołnierz kurtki. Ayla rzuciła się w bok i po chwili oboje tarzali się w śniegu, śmiejąc się i usiłując wzajemnie natrzeć sobie szyje śniegiem. Kiedy wreszcie usiedli, dysząc ciężko, oboje byli biali i mokrzy od stóp do głów.

Wrócili na brzeg zamrzniętej rzeki, przeszli po lodzie i wspięli się na zasypany śniegiem taras przed Jaskinią.

W drodze powrotnej mijali domostwo Marthony, która z daleka usłyszała ich głosy.

- Jondalarze, naprawdę sądzisz, że dobrze zrobiłeś, wychodząc z Ayla w taki śnieg i doprowadzając do tego, że jest cała mokra? - spytała spokojnie matka. - A co by się stało, gdyby upadła na brzuch i zaczęła przedwcześnie rodzić?

Jondalar zmartwił. Nie przyszło mu do głowy, że niewinna zabawa może mieć takie konsekwencje.

- Nic się nie stało, Marthono - wtrąciła Ayla. - Śnieg był miękki, a ja mimo wszystko uważałam na siebie. Nie miałam pojęcia, że zimą można się tak świetnie bawić! - dodała. Jej oczy błyszczały radosnym podnieceniem. - Jondalar sprowadził mnie ścieżką w dół i wprowadził z powrotem. Naprawdę nic mi nie jest.

- Co nie zmienia faktu, że moja matka ma rację, Aylo - przyznał ze skruchą mężczyzna. - Mogłaś sobie zrobić krzywdę. Nie pomyślałam. Powinienem być ostrożniejszy.

Od tej pory Jondalar był tak opiekuńczy, że Ayla czuła się niemal przytłoczona jego troską. Nie chciał, by wychodziła poza niszę czy samodzielnie wędrowała ścieżką w dół. Z początku zdarzało jej się stawać na krawędzi tarasu i tęsknie spoglądać w dół, na rzekę i śnieżne połacie. Wkrótce jednak, gdy brzuch urósł jej tak bardzo, że nie widziała własnych stóp, a jego ciężar musiała kompensować wychyleniem ciała do tyłu, jakoś przestało jej zależeć na oddalaniu się od bezpiecznego ciepła kamiennej sadyby Dziewiątej Jaskini i grzęźnięciu w hałdach śniegu.

Była szczęśliwa, siedząc przy ogniu, często w towarzystwie przyjaciół - w ich lub własnym domostwie. Poświęcała też mnóstwo czasu na przygotowanie wszystkiego, czego mogło potrzebować dziecko.

Codziennie składała wizytę koniom - czesała je, pieściła i pilnowała, by nie zabrakło im pożywienia i wody. Ich aktywność wyraźnie spadała; tylko od czasu do czasu zbiegały nad Rzekę, przepływały się po lodzie na drugi brzeg i biegały swobodnie po zasypanych łąkach. Radziły sobie całkiem nieźle ze znajdowaniem pożywienia pod śniegiem, choć nie tak dobrze jak renifery. Układ pokarmowy konia był świetnie przystosowany do skąpej zimowej paszy: zamrożone źdźbła traw, kora z brzoź i podobnych drzew czy nagie gałązki krzewów - wszystko nadawało się do jedzenia. Lecz głęboko pod warstwą śniegu, pośród z pozoru martwych łodyg, zwierzęta potrafiły odnaleźć pędy, w których tkwiły już zalążki nowych odrostów, czekające tylko na cieplejsze dni, by wystrzelić w górę. Konie umiały się wyżywić, ale trawa i ziarno dostarczane im przez Aylę stanowiły cenne uzupełnienie diety i utrzymywały je w dobrym zdrowiu.

Wilk wypuszczał się na samotne wyprawy znacznie częściej niż konie. Sezon, który dla roślinożerców bywał niezwykle trudny, dla wielu drapieżców był porą łatwych łowów. Wilk wędrował więc daleko - znikał niekiedy na cały dzień - ale na noc zawsze powracał, by spać w legowisku ze starych ubrań Ayli. Kobieta przesunęła je bliżej własnego posłania i każdego wieczora, czasem do bardzo późnej pory, z niepokojem czekała na powrót czworonoga. Bywały jednak i takie dni, kiedy Wilk nie opuszczał niszy. Trzymał się wtedy blisko Ayli i odpoczywał lub też z wielką ochotą bawił się z dziećmi z sąsiednich domostw.

Podczas długich, zimowych miesięcy mieszkańcy Dziewiątej Jaskini zajmowali się głównie doskonaleniem ulubionych rzemiosł. Byli i tacy, którzy od czasu do czasu wyprawiali się na

polowanie - zazwyczaj na renifery, ze względu na bogate zapasy tłuszczu, który odkładał się nawet w kościach tych odpornych na mrozy zwierząt - ale tak naprawdę ich wysiłki nie były podyktowane koniecznością, gdyż w osadzie zgromadzono wystarczający zapas żywności i ogromną ilość opału. Surowce, które teraz przydawały się najbardziej, zbierano przez cały rok. Wyprawiano więc skóry, miękczano je i barwiono, nadawano im połysk i wodoodporność, by wreszcie szyc z nich stroje i ozdabiać je w tradycyjny sposób. Wyrabiano także pasy i buty, doszywano do nich zapięcia i dekorowano rysunkami.

Ayla była zafascynowana procesem tkania. Przyglądała się z wielką uwagą poczynaniom Marthony i chłonęła każde jej słowo. Sierść zwierząt, które liniały na wiosnę, zbierano z kolczastych krzewów i wprost z ziemi, by przechować ją aż do zimy i wykorzystać w nowy sposób. Materiału nie brakowało - dobrą wełnę gubiły muflony, dzikie owce o wielkich rogach oraz koziorożce, zamieszkujące wysokie góry. Ceniony ze względu na swą miękkość był włos, który z nastaniem jesieni pojawiał się przy samej skórze, pod długim futrem wielu zwierząt, w tym mamutów, nosorożców i wołów piżmowych. Długie, bardziej szorstkie włosie - jak choćby z końskich ogonów - także miało swoje zastosowanie, choć T zdobywano je dopiero po uśmierceniu zwierzęcia. Używano również włókien niektórych roślin. Wyplatano z nich sznury lub stosowano w charakterze nici. Czasem pozostawiano je w naturalnym stanie, częściej jednak barwiono tak, by ozdobiły stroje, maty, kotary i inne produkty, z których wiele służyło ozdabianiu zimnych, kamiennych wnętrz.

Z większych kawałków drewna wycinano misy, które polerowano i dekorowano malowidłami lub rytami. Wyplatano też kosze wszelkich kształtów i rozmiarów. Z fragmentów ciosów mamuta, a także z zębów, muszelek i kamieni o oryginalnych kształtach wyrabiano biżuterię. Rogom i kościom zwierzęcym nadawano pożądane kształty, znajdując dla nich niezliczone zastosowania: stawały się talerzami, tacami, rękojeściami noży, grotami oszczepów, narzędziami rzemieślniczymi, a nawet dziełami sztuki. Z wielką dbałością o detale rzeźbiono podobizny zwierząt, używając w tym celu różnorodnych materiałów - drewna, kości, ciosów mamucich lub kamienia. Wycinano też tradycyjne figurki donii. Zdobiono rytami i malowano nawet pochyłą ścianę abri.

Zima była porą doskonalenia talentów muzycznych. Grano na wielu instrumentach o interesujących brzmieniach, począwszy od całych zestawów perkusyjnych, a na fletach skończywszy. Zapaleńcy oddawali się tańcom, śpiewaniu pieśni i opowiadaniu niezwykłych historii. Młodzi mężczyźni z ochotą ćwiczyli się w zapasach i rzutach do celu, nie mówiąc już o uczestnictwie w grach hazardowych i wymyślnych zakładach.

Najmłodszych zachęcano do zdobywania pożytecznych umiejętności - nigdy nie brakowało chętnych do przekazywania im wiedzy; wielu Zelandonii wykazywało wręcz talent w tym kierunku. Wielce uczęszczanym szlakiem stała się ścieżka do Dolnorzecza, codziennie przemierzana przez rzemieślników - także i tych z innych Jaskiń, którzy zatrzymywali się w Dziewiątej na kilka dni.

Zelandoni uczyła chętnych posługiwania się słowami do liczenia i cierpliwie powtarzała Historie i Legendy Starszych, choć tak naprawdę nie miała zbyt wiele czasu. Leczyła przeziębienia, bóle głowy, uszu, brzucha i zębów, artretyzm i reumatyzm - szczególnie dokuczliwe o tej porze roku - a także szereg znacznie poważniejszych schorzeń. Ludzie umierali jak co roku, a ich ciała wynoszono do wydzielonych jaskiń, w których leżały aż do wiosny, gdy grunt rozmarzał, umożliwiając prawidłowy pochówek. W wyjątkowych przypadkach zwłoki pozostawiano w owych jaskiniach na zawsze.

Miejsce tych, którzy odeszli, zajmowały rodzące się dzieci. Minęło już przesilenie zimowe. Zelandoni wyjaśniła Ayli, że punkt zachodu słońca na horyzoncie znajdował się teraz w najdalej na lewo wysuniętej pozycji, aby po kilku dniach ledwie zauważalnie przesunąć się w prawo. Była to dobra okazja do świętowania - punkt zwrotny, który dodał radosnej barwy cichym dniom białej zimy.

Od tej pory słońce miało - z perspektywy obserwatora na Ziemi - co dnia przesuwać się w prawo nad zachodnim widnokrzem, aż do momentu przesilenia letniego, kiedy po osiągnięciu maksymalnego wychylenia miało zatrzymać się na kilka dni i podjąć wędrówkę w przeciwnym kierunku. Miejsce znaczące połowę tej drogi wyznaczało datę wiosennego i jesiennego zrównania dnia z nocą. Zelandoni wskazała znachorce charakterystyczne punkty na zachodnich wzgórzach, w których słońce pojawiało się o zmierzchu w tych właśnie, najważniejszych dniach roku. Celowo używała słów do liczenia, zaznaczając je kreskami na płaskim kawałku rogu. Ayła, która uwielbiała przyswajać sobie tego typu wiedzę, słuchała jej z zapartym tchem.

W samym środku zimy, najtrudniejszej do zniesienia pory roku, śnieg przestał być atrakcją. Nawet najkrótsze wyjścia po zamrożone w dołach mięso czy drewno na opał stały się z czasem przykrym obowiązkiem. Kopce kamieni nad podziemnymi spiżarniami przymarzały często i trzeba było rozbijać je siłą. Na szczęście ukryte pod nimi warzywa i owoce w okresie najsilniejszych mrozów zostały przeniesione do dołów w głębi niszy, wyłożonych odłamkami skał. Czuwało nad nimi wiele par oczu, lecz nawet ustawiane dokoła pułapki nie chroniły ich w stu procentach przed małymi żarłocznymi gryzoniami. Zwierzęta żyły całkiem nieźle dzięki ciężkiej pracy ludzi i dzieliły z nimi przytulne, ogrzewane domostwa.

Jedną z ulubionych zabaw dziecięcych było rzucanie kamieniami w małe, zwinne szkodniki. Dorośli zachęcali swe pociechy do takich polowań. Celnie ciśnięty pocisk mógł nawet zabić nazbyt zuchwałego gryzonia. Ćwiczenie to było wartościowe nie tylko dlatego, że pomagało w chronieniu wspólnych zapasów żywności, ale także dlatego, że rozwijało w małych łowcach pewność ręki, która procentowała później podczas "dorosłych" polowań. Ayla tępiła gryzonia przy użyciu procy i zanim się obejrzała, uczyła już gromadę dzieci posługiwania się swą ulubioną bronią. Wilk także miał swój udział w gnębieniu niepozornych szkodników.

Spizarnie, które wykopano poza niszą, nie były tak bardzo narażone na inwazję gryzoni, toteż przechowywano w nich dobra tak długo, jak było to możliwe. Kiedy jednak mrozy stały się zbyt srogie, przeniesiono je pod abri. Warzywa, które raz zamarły, spożywane były w zasadzie jedynie po ugotowaniu, podobnie jak te, które wcześniej ususzono.

Przez kilka kolejnych dni Ayla czuła niezwykle przypływ energii. Rosnący z każdym tygodniem brzuch irytował ją coraz bardziej, toteż nieraz zdarzało jej się wybuchać płaczem lub gniewem właściwie bez powodu, ku rozczarowaniu Jondalara. Dziecko było z dnia na dzień coraz aktywniejsze i często budziło ją swymi harcami w środku nocy. Coraz trudniej było jej podnieść się z wdziękiem z ziemi czy choćby zmienić pozycję. W miarę zbliżania się terminu rozwiązania czuła rosnący niepokój, który w ciągu ostatnich dni zmienił się wręcz w potrzebę rychłego porodu.

Zelandoni nie miała kłopotów z interpretacją tych objawów.

- Wielka Matka Ziemia sprawiła w swej Mądrości, że ostatnie dni ciąży u kobiet objawiają się uczuciem niewygody, które pomaga im stawić czoło strachowi. Poród staje się upragnionym celem, wyzwoleniem od niepokoju i złego samopoczucia.

Ayla właśnie skończyła po raz kolejny przekładać z miejsca na miejsce i porządkować wyprawkę dla dziecka. Kiedy Jondalar zajrzał do domu, postanowiła, że ugotuje mu na obiad coś specjalnego. Podała mu długą listę warzyw i mięsa, które miał przynieść ze spizarni na tyłach niszy. Kiedy wrócił, siedziała w bezruchu dokładnie tam, gdzie ją zostawił, z bardzo dziwną miną: mieszaniną radości i strachu.

- Co się stało? - spytał, wypuszczając z rąk kosz z warzywami.

- Zdaje się, że dziecko szykuje się do wyjścia na świat - odpowiedziała.

W tej chwili? Aylo, lepiej się połóż. Już pędzę po Zelandoni. Lepiej zawołam też matkę. Tylko nic nie rób, póki nie wrócę z donier...

- Nie w tej chwili - uspokoiła Ayla nagle rozdygotanego Jondalara. - Opanuj się. To jeszcze trochę potrwa. Z całą pewnością nie musisz jeszcze sprowadzać tu Zelandoni dodała, podnosząc z ziemi kosz z warzywami. Bez pośpiechu poczłapała do izby kuchennej i zaczęła wykładać produkty na kamienną ławę.

Pozwól, że ja to zrobię. Czy nie powinnaś odpocząć? I czy na pewno nie przydałaby się nam Zelandoni?

- Jondalarze, przecież widziałeś już, jak się rodzą dzieci, prawda? Nie musisz tak bardzo się zamartwiać.

Kto mówi, że się zamartwiam? - odrzekł urażony, próbując zachować spokój. Ayla znieruchomiała i przycisnęła dłoń do brzucha. - Jesteś pewna, że nie byłoby lepiej, gdybym sprowadził Zelandoni? - powtórzył, marszcząc brwi.

- Dobrze, Jondalarze. Idź, ale musisz mi obiecać, że powiesz jej, iż to dopiero początek. Nie ma pośpiechu.

Jondalar wypadł z domostwa jak burza. Wrócił po chwili, nieomalże ciągnąc za sobą Zelandoni.

- Miałaś powiedzieć, że nie ma pośpiechu, Jondalarze - odezwała się Ayla z łagodnym wyrzutem, po czym spojrzała na donier. - Przepraszam, że ściągnął cię tu tak wcześnie. Dopiero się zaczęło.

- Najlepiej będzie, jeśli Jondalar pójdzie teraz z wizytą do Joharrana, a przy okazji powie Prolevie, że mogę jej wkrótce potrzebować. Nie mam dziś nic do roboty. Chętnie dotrzymam ci towarzystwa, Aylo. Masz może trochę herbaty? - spytała Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą Matce.

- Zaraz będę miała - odrzekła pogodnie znachorka. - Jondalarze, moim zdaniem Zelandoni ma rację. Idź, odwiedź brata.

- A po drodze zajrzyj do Marthony i uprzedź ją, ale nie waż się ciągnąć jej tu tak jak mnie - dodała Zelandoni. Jondalar wyszedł bez słowa. - Kiedy rodziła się Folar, stał przy nas cichy i spokojny. No, ale kiedy to jego partnerka rodzi, żaden mężczyzna nie zachowuje się obojętnie.

Ayla znowu zastygła w bezruchu, czekając, aż skurcz minie, po czym powróciła do parzenia herbaty. Zelandoni obserwowała ją uważnie, w myśli szacując długość skurczu. Potem spoczęła na szerokim stołku, który Ayla kazała zrobić specjalnie dla niej, wiedząc, że otyła donier nie lubi siadać na ziemi czy niskich poduszkach. Ostatnio jednak ciężarna znachorka sama używała go z przyjemnością.

Gawędząc o tym i o owym kobiety przez dłuższą chwilę popijały gorący napój. Po kilku kolejnych skurczach Zelandoni zaproponowała Ayli, by położyła się i pozwoliła zbadać. Podczas następnego skurczu przyłożyła dłoń do brzucha brzemiennej znachorki.

- Może jednak nie będziemy musiały zbyt długo czekać - mruknęła cicho.

Ayla wstała z zamiarem usadowienia się na miękkich poduszkach, ale zmieniła zdanie. Przeszła do kuchennej części domostwa, pociągnęła łyk herbaty i znowu poczuła skurcz. Przeszło



jej przez myśl, że być może lepiej byłoby, gdyby się położyła. Poród rozpoczął się znacznie szybciej, niż się spodziewała.

Zelandoni zbadała ją jeszcze raz, tym razem dokładniej, po czym spojrzała przenikliwie w oczy młodej kobiety.

- To nie będzie twoje pierwsze dziecko, prawda? Ayla odczekała, aż skurcz minie, i dopiero wtedy odpowiedziała:

- Nie. Urodziłam syna.

Zelandoni zadała sobie w myśli pytanie, co mogło stać się z dzieckiem. Czyżby nie żyło? Jeżeli urodziło się martwe lub zmarło wkrótce po urodzeniu, powinna o tym wiedzieć.

- Co się z nim stało? - spytała po chwili.

- Musiałam go zostawić. Oddałam go siostrze, Ubie. Nadal żyje w Klanie... taką przynajmniej mam nadzieję.

- Poród był bardzo trudny, prawda?

- Tak. Niewiele brakowało, a bym umarła - odparła Ayla obojętnym tonem, ze wszystkich sił starając się nie ujawniać targających nią emocji. Donier dostrzegła jednak strach w jej oczach.

- Ile on ma lat, Aylo? A raczej: ile ty miałaś lat, kiedy go urodziłaś?

- Nie więcej niż dwanaście - odrzekła znachorka, czując kolejny atak bólu porodowego. Przerwy między skurczami były coraz krótsze.

- A ile masz teraz? - spytała Zelandoni, gdy ból minął.

- Teraz mam dziewiętnaście, po zimie będę miała dwadzieścia. Stara jestem, jak na rodzenie dzieci.

- Wcale nie. Po prostu byłaś bardzo młoda, kiedy wydawałaś na świat syna. Zbyt młoda. Nic dziwnego, że było ci tak ciężko. Powiedziałaś, że został w Klanie... - Kobieta urwała, zastanawiając się, w jaki sposób powinna zadać kolejne pytanie. - Twój syn jest z mieszanych duchów? - spytała wreszcie.

Ayla nie odpowiedziała od razu. Przez chwilę dwie kobiety spoglądały sobie głęboko w oczy, lecz milczący kontakt urwał się, gdy potężny skurcz niemal zgiął znachorkę w pół.

- Tak - jęknęła z obawą, gdy ból zelżał.

- Podejrzewam, że i to utrudniło twój pierwszy poród. o ile mi wiadomo, dzieci mieszanych duchów przychodzą na świat z wielkimi kłopotami. Podobno chodzi o kształt i wielkość ich główek

- wyjaśniła spokojnie Zelandoni. - Tym razem nie będzie tak ciężko, Aylo. Poradzisz sobie doskonale.

Donier zauważyła, że po ostatnim ataku bólu jasnowłosa kobieta była znacznie bardziej spięta niż przedtem. Takie usztywnienie tylko utrudni sprawę, pomyślała. Obawiam się, że zaczęła

wspominać ten straszny pierwszy poród. Jaka szkoda, że nie powiedziała mi wcześniej... Może mogłabym jej pomóc. Że też Marthona jeszcze nie przysłała. Ktoś powinien siedzieć przy niej bez przerwy, a ja chciałabym zaparzyć jej coś na odprężenie. Może rozmowa sprawi, że przestanie myśleć o lęku?

- Opowiesz mi o swoim synu?

- Z początku wszyscy myśleli, że jest zdeformowany i będzie ciężarem dla Klanu - zaczęła Ayla. - Nie potrafił nawet unieść główki, ale szybko nabrał sił. Wszyscy go pokochali. Gród zrobił dla niego malutki oszczep. Mój mały biegał z nim tak prędko...

Ayla uśmiechała się ze łzami w oczach, wspominając Durca. Donier obserwowała ją uważnie i nagle pojęła, jak bardzo znachorka kochała swoje dziecko, w ogóle nie zważając na to, że narodziło się z mieszanych duchów. Pewnie poczuła wielką ulgę, kiedy jej "siostra" zgodziła się wziąć chłopca w opiekę, pomyślała Zelandoni.

Niektórzy Zelandoni wciąż jeszcze dyskutowali o babce Brukewała. Choć nigdy nie mówiono głośno o tej sprawie, większość z nich była niemal pewna, że córka, którą urodziła owa kobieta, była dzieckiem mieszanych duchów. Nikt nie chciał jej wziąć do swego ogniska, kiedy została sama, a Brukewał, którego wkrótce wydała na świat, podzielił jej los. Miał oczy matki; tego Zelandoni była pewna, choć oczywiście nigdy nie zdradziłaby swych poglądów w rozmowie z nim. Być może cechy Klanu nie były w nim tak silne, ale jednak widoczne.

Czy istniała możliwość, że Ayla przyciągała ku sobie duchy mężczyzn Klanu, skoro wychowała się między płaskogłowymi? Czy jej drugie dziecko mogło być mieszańcem? A jeśli tak, co wtedy? Najrozsądniej byłoby zakończyć jego żywot, nim rozpocząłby się na dobre. Nie było to trudne; nikt nigdy nie dowiedziałby się, że dziecko nie urodziło się martwe. Wszystkim byłoby wtedy lżej; nawet temu maleństwu. Zelandoni nie chciała, by w Dziewiątej Jaskini pojawiło się kolejne niechciane i niekochane dziecko; zbyt dobrze pamiętała losy Brukewała i jego matki.

Jednakże, dumiała donier, skoro Ayla kochała pierwsze dziecko, to czy podobnie silnym uczuciem nie darzyłaby drugiego? To niesamowite, jak dobrze czuje się w towarzystwie Echozara. Zdaje się, że naprawdę go lubi, a i on nie kryje sympatii do niej. Może dałoby się coś zrobić, gdyby Jondalar...

- Jondalar powiedział mi, że poród już się zaczął - rzekła Marthona, odchylając kotarę i wchodząc do izby. - Robił, co mógł, żeby wydusić z siebie, że to dopiero początek i że nie powinnam się spieszyć, ale jednocześnie prawie wypchnął mnie z domu, tak bardzo chciał, żebym tu przysłała.

I dobrze, że jesteś, Marthono - przyznała Zelandoni.

- Chciałabym przygotować napój.

- Na przyspieszenie porodu? - spytała domyślnie Marthona. - Za pierwszym razem trwa to zwykle dość długo - dodała, uśmiechając się do Ayli.

- Nie - odparła Zelandoni i w porę ugryzła się w język.

- To będzie coś na uspokojenie i rozluźnienie. Skurcze są coraz częstsze, poród przebiega znacznie szybciej, niż można było się spodziewać. Rzecz w tym, że Ayła bardzo się denerwuje - narodzinami dziecka, jak sędzę.

Znachorka zauważyła, że Pierwsza nie skorygowała przypuszczeń Marthony, jakoby rodzące się dziecko miało być pierwszym. Od początku czuła, że Zelandoni jest osobą, której śmiało można powierzać najgłębsze sekrety. Być może byłoby najlepiej, myślała, gdybym rewelacje o Durcu zatrzymała tylko dla siebie i dla niej. Z nią zawsze mogłabym rozmawiać szczerze.

Na dworze rozległo się pukanie w skórzany panel, ale Proleva nie zamierzała czekać na odzew ze środka.

- Jondalar powiedział, że Ayła rodzi. Mogę w czymś pomóc? - spytała, wchodząc do izby z malutkim dzieckiem zawiniętym w płachtę i śpiącym smacznie na jej plecach.

- Możesz - odrzekła Zelandoni.

Ayła była jej wdzięczna za to, że wzięła na siebie ciężar decydowania o tym, kto może wejść, a kto nie. Czując kolejny skurcz, nie miała najmniejszej ochoty zastanawiać się nad takimi sprawami. Donier zauważyła, że znachorka znowu zмага się z bólem i stara się nie krzyknąć.

- Posiedź z Aylą, Prolevo. Marthona zagotuje wodę, a ja pójdę szybko po lekarstwo.

Zelandoni wyszła, wbrew swej imponującej tuszy poruszając się nadzwyczaj żwawo. Ledwie opadła kotara nad wejściem, a już odchylała ją zaciekawiona Folarą.

- Mogę wejść, Zelandoni? - spytała, oglądając się za odchodzącą kobietą. - Chciałabym jakoś pomóc.

Donier zatrzymała się tylko na moment.

Wejdz. Pomóż Prolewie uspokoić Aylę - zakomenderowała i szybkim krokiem odeszła w stronę swego domostwa.

Kiedy wróciła, ciężarna rzucała się dość gwałtownie po posłaniu, ale wciąż próbowała nie krzyknąć. Marthona i Proleva siedziały przy niej, trzymając ją za ręce i przyglądając się jej cierpieniu z wyraźnym niepokojem. Folarą wrzucała właśnie kolejny rozżarzony kamień do gotującej się wody. Na jej twarzy również malowała się głęboka troska. W zaleknionych oczach Ayli pojawiła się ulga, gdy Zelandoni znowu zjawiała się w izbie.

- Wszystko będzie dobrze, Aylo - powiedziała donier, zbliżając się do łoża. - Wołałabym tylko, żebyś się rozluźniła. Zaraz przygotuję coś, po czym poczujesz się znacznie lepiej.

- Co to będzie? - spytała znachorka w krótkiej przerwie między bólami.

Zelandoni popatrzyła na nią z uwagą. Pytanie nie było przejawem strachu, ale zainteresowania. Pierwsza miała wrażenie, że ciekawość pomogła kobiecie na moment zapomnieć o obawach.

- Przede wszystkim kora wierzbowa i liść maliny - odrzekła, podchodząc energicznym krokiem do naczynia z wrzątkiem. - Poza tym kwiat lipy i odrobina bielunia.

Ayla kiwała głową, słuchając odpowiedzi.

- Kora wierzbowa łagodzi ból, liść maliny rozluźnia podczas porodu, kwiat lipy daje słodki smak, a bielun nie tylko usmierza ból, ale także usypia i może powstrzymać skurcze. W małych ilościach bywa pomocny - wyrecytowała.

Tak właśnie myślałam - stwierdziła rozbawiona donier i szybko wsypała mieszankę suszonych roślin do gorącej wody, której pilnowała Folarą.

Rozumiała, że sam udział Ayli w "kuracji" może uspokoić ją równie skutecznie jak składniki leku. Zresztą biorąc pod uwagę jej wiedzę uzdrowicielską, utrzymywanie przed nią w tajemnicy składu mieszanki byłoby głupotą. Nim lecznicza herbata była gotowa, Ayla doświadczyła jeszcze kilku bolesnych skurczów. Z ulgą przyjęła więc kubek z rąk Zelandoni, lecz nim wychyliła jego zawartość, usiadła, umoczyła usta i zamknawszy oczy w skupieniu analizowała smak. Wreszcie skinęła głową i wypła do dna.

- Więcej liścia maliny niż kory wierzbowej i akurat tyle lipy, by zamaskować gorzki smak bielunia - stwierdziła, układając się wygodnie w oczekiwaniu na kolejny paroksyzm bólu.

Przez krótką chwilę Zelandoni miała na końcu języka uszczypliwą ripostę, ale powstrzymała się i w tej samej sekundzie ze zdziwieniem pomyślała, że to niedorzeczna reakcja. Była doświadczona w uzdrawianiu i przyjmowaniu porodów, ale nie przywykła do tego, by ktokolwiek oceniał jej pracę - lecz czy na miejscu Ayli nie zachowałyby się tak samo? Młoda kobieta nie krytykowała jej, a jedynie testowała lek na sobie, dotarło nagle do donier. Uśmiechnęła się w duchu, pewna, że właściwie odczytała intencje ciężarnej znachorki, sama bowiem postąpiłaby identycznie. Ayla sprawdzała przydatność mikstury - szybkość, skuteczność i trwałość oddziaływania. Zelandoni domyślała się, że i ta forma aktywności pomaga jasnowłosej dziewczynie oderwać myśli od porodu.

Kobiety pogrążone w cichej rozmowie czekały na dalszy rozwój wydarzeń. Wydawało się, że Ayla nieco lepiej znosi kolejne, nasilające się bóle. Zelandoni nie była pewna, czy to skutek działania leczniczej herbaty, czy opanowania strachu - być może i jednego, i drugiego - ważne było to, że rodząca przestała rzucać się po posłaniu. Ayla tymczasem, skoncentrowana na tym, co odczuwała, porównywała drugi poród z pierwszym i doskonale rozumiała, że tym razem naprawdę

czuje się znacznie lepiej. Wszystko przebiegało tak jak u kobiet, którym często asystowała w wydawaniu na świat potomstwa. Nie tak dawno uczestniczyła przecież w narodzinach córeczki Prolevy. Uśmiechnęła się do partnerki Joharrana, która przesiadła się nieco dalej i spokojnie karmiła dziecko.

- Marthono, nie wiesz, gdzie znajdziemy kocyk porodowy? Zdaje się, że za chwilę będzie potrzebny - powiedziała Zelandoni.

Tak szybko? Nie sądziłam, że tak gładko to pójdzie, zwłaszcza po tych kłopotach na początku - zdziwiła się Proleva i odłożyła na poduszkę uśpione już dziecko.

Wydaje się, że Ayla panuje nad sytuacją - zauważyła Marthona. - Przyniosę ten kocyk. Jest tam, gdzie mi pokazywałaś?

Tak - odpowiedziała szybko znachorka, czując zbliżającą się potężną falę bólu.

Kiedy skurcz minął, Zelandoni poleciła Prolevie i Folarze rozłożyć na posadzce skórzany kocyk porodowy, pokryty symbolami i rysunkami, po czym skinęła dłonią na Marthone.

- Poraja podnieść - powiedziała cicho, po czym zwróciła się do rodzącej. - Już czas, żebyś wstała i pozwoliła Wielkiej Matce Ziemi wyciągnąć dziecko. Możesz to zrobić?

- Tak - jęknęła, oddychając płytko i szybko. Każdy paroksyzm bólu niemal zginał jąna dwoje i czuła gwałtowną potrzebę parcia, ale starała się nad nią zapanować. - Chyba tak.

Kobiety pomogły jej stanąć na nogi i podejść do kocyka. Proleva ustawiła ją w pozycji kucznej, po czym wraz z Folarą chwyciły rodzącą pod ramiona. Marthona stanęła przed nią, uśmiechając się z otuchą, a Zelandoni z tyłu. Wyciągnąwszy przed siebie pulchne ramiona, donier objęła tułów Ayli tuż ponad brzuchem i przycisnęła do swych ogromnych piersi.

Jasnowłosa poczuła, że otaczają ciepło i miękkość ciała wielkiej kobiety, a wrażenie to przyniosło jej wielką ulgę. Wydawało jej się, że wtula się w samą Matkę, pierwowzór wszystkich matek świata, miękkie łono Ziemi. W uścisku Zelandoni było jednak coś jeszcze: ogromna siła ukryta pod zwałami tłuszczu. Ayla czuła, że ta kobieta potrafiła uzewnętrznić każdy nastrój samej Matki Ziemi, od łagodności letniego poranka po furię śnieżnej burzy. Gdyby zaistniała potrzeba, mogłaby stać się niszczycielskim sztormem lub ożywczym chłodem mgły.

- Chciałabym, żebyś przy następnym ataku bólu zaczęła przec - odezwała się Zelandoni. Kobiety stojące po bokach chwyciły Aylę za ręce, by miała co ścisnąć.

- Już się zbliża... - stęknęła brzemienna. Więc przyj! - przykazała donier.

Ayla wzięła głęboki wdech i wyteżyła wszystkie siły. Czuła, że Pierwsza pomaga jej, uciskając brzuch ku dołowi. Struga ciepłego płynu bryznęła na barwny kocyk.

- Doskonale. Na to czekałam - stwierdziła Zelandoni.

Właśnie się zastanawiałam, kiedy w końcu odeida wody - wtrąciła Proleva. - Moje popłynęły tak wcześnie że kiedy dziecko zaczęło wychodzić, byłam już prawie sucha' Tak jest lepiej. Oho, znowu będzie parcie.

Ayla napięła mięśnie i poczuła w sobie ruch.

- Widzę główkę - zameldowała Marthona. - Jestem gotowa do złapania dziecka - dodała, przyklękając przed Ayla w chwili, gdy rozpoczął się kolejny mocny skurcz. Młoda kobieta zaczerpnęła powietrza i zaczęła przec.

- Idzie! - zawołała matka Jondalara.

Ayla dokładnie czuła wychodzącą główkę. Reszta małego ciała precyzyjnie się znacznie łatwiej i już po chwili Marthona pewnie złapała noworodka.

Postaraj się jeszcze raz, Aylo. Musisz wydalić łożysko - poinstruowała ją Zelandoni, ponownie naciskając brzuch. Masa okrwawionych tkanek opadła na mokry skórzany kocyk.

Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą puściła Aylę, wspartą na ramionach Prolevy i Folarę, by obejść ją dookoła i przyjąć dziecko z rąk Marthony. Odwróciwszy je, klepnęła lekko w plecki. Noworodek zakrztusił się. Zelandoni uderzyła w małe stopki, a wtedy dziecko kaszlnęło i wzięło pierwszy haust życiodajnego powietrza. Zapłakało cicho, najpierw głosem podobnym do miauczenia, a potem - w miarę jak płuca przyzwyczajały się do oddychania - coraz głośniej.

Marthona przytuliła dziecko, a donier pochyliła się, by obmyć nieco Aylę z krwi i wód płodowych. Po chwili Proleva i Folarę odprowadziły młodą matkę na posłanie. Zelandoni przewiązała pepowinę kawałkiem ścięgna - zafarbowanego, zgodnie z życzeniem matki, czerwoną ochrą - by powstrzymać krwawienie. Następnie sięgnęła po ostry krzemienisty nóż i przecięła elastyczną rurkę, oddzielając noworodka od łożyska, które przez ostatnie miesiące zapewniało mu dopływ odżywczych składników. Dziecko Ayli stało się oddzielną, choć niesamodzielną istotą ludzką.

Marthona i Zelandoni wytarły je aksamitną skórą króliczą, którą znachorka przygotowała specjalnie na tę okazję. Matka Jondalara trzymała już w zanadrzu mały kocyk ze skóry tak delikatnie wyprawionej, że miękkością dorównującej ciału noworodka. Ayla zdjęła ją z prawie dojrzałego płodu jelenia. Zelandoni już dawno uprzedziła Jondalara, że dziecko urodzone przy jego ognisku czekałoby wyjątkowo szczęśliwe życie, gdyby udało się zdobyć taką właśnie skórę. Mężczyzna bez wahania wybrał się z bratem na łowy i po długich poszukiwaniach zdołał ubić łanię noszącą w sobie ciele.

Wspólnie z partnerką wyprawili skórę tak, by otrzymać pierwszy nadzwyczaj miękki kocyk dla dziecka. Jondalar zawsze podziwiał subtelność, z jaką Ayla zmieniała skórę w dzieło

sztuki, i wiedział, że czyni to na sposób Klanu. Jednak dopiero gdy pomagał jej w pracy nad kocykiem dla dziecka, zrozumiał, jak wielkiego wysiłku wymaga to zajęcie.

Zelandoni ułożyła noworodka na miękkiej skórcie, a Marthona zawinęła go starannie i podała wyczerpanej Ayli.

## ROZDZIAŁ 38

- Możesz być z siebie dumna. Urodziłaś cudowną dziewczynkę - powiedziała Marthona, wręczając młodej matce niepozorne zawiniątko.

Ayla spojrzała z miłością na miniaturowe odbicie siebie.

- Jaka śliczna! - odwinęła ostrożnie miękki kocyk i uważnie obejrzała ciało noworodka, wbrew krępującym słowom matki Jondalara obawiając się, że znajdzie ślad deformacji. - I doskonała. Powiedz no, Marthono, czy widziałaś kiedy tak piękne dziecko?

Starsza kobieta tylko się uśmiechnęła. Naturalnie, że widziała - własne. Jednakże córka ogniska jej syna w niczym im nie ustępowała.

- Poród wcale nie był taki ciężki, Zelandoni - stwierdziła Ayla, gdy donier stanęła przy niej. - Bardzo mi pomogłaś, ale było naprawdę niezłe. Tak się cieszę, że to dziewczynka... Spójrzcie na nią, już szuka piersi. - Ayla pomogła małej znaleźć sutek. - Czy Jondalar może już ją zobaczyć? Moim zdaniem jest bardzo do niego podobna. Jak sądzisz, Marthono?

- Niedługo będzie mógł przyjść - odpowiedziała Zelandoni. Zbadawszy znachorkę, zmieniła na świeży podkład z chłonnej skóry, leżący między jej nogami. - Nie było pęknięcia, Aylo. Nic się nie stało. Wystarczyło wytrzeć krew. To był naprawdę dobry poród. Wymyśliłaś już imię dla córeczki?

- O, tak. Myślałam o tym od chwili, kiedy powiedziałaś mi, że będę musiała sama wybrać imię dla dziecka - odrzekła uzdrowicielka.

To dobrze. Powiedz mi, jakie to imię, a ja naniosę odpowiedni symbol na kamień, który wymienię na to - wyjaśniła, podnosząc z kamiennej podłogi kocyk porodowy, w który zawinęła łożysko. - Potem wezmę zawiniątko i zakopię je w ziemi, zanim duch pozostający w łożysku spróbuje znaleźć sobie nowego gospodarza. Zajmę się tym szybko, a kiedy wrócę, powiem Jondalarowi, że może już wejść.

Postanowiłam, że nazwę ją... - zaczęła Ayla.

- Nie! Nie wymawiaj głośno imienia. Szepnij mi do ucha - rozkazała Zelandoni.

Donier pochyliła się nad posłaniem, a znachorka zdradziła jej wybrane imię. Wielka kobieta wyszła czym prędzej, Marthona zaś, Folar i Proleva zbliżyły się do młodej matki, by porozmawiać z nią i podziwiać noworodka. Ayla była zmęczona, ale szczęśliwa i odprężona - słowem, czuła się zupełnie inaczej niż wtedy, gdy urodziła Durca. Z tamtych chwil pamiętała tylko wyczerpanie i ból. Trzymając w ramionach dziecko, usnęła na chwilę, ale obudziły ją kroki Zelandoni, która



powróciła, dzierżąc w dłoni nieduży kamień, ozdobiony tajemniczymi symbolami wykonanymi czerwoną i czarną farbą.

- Schowasz go w bezpiecznym miejscu; na przykład w niszy, za figurką donii - poleciła Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą.

Ayla skinęła głową i w tej samej chwili zobaczyła głowę wynurzającą się zza kotary.

- Jondalarze! - zawołała cicho.

Mężczyzna przyklęknął przy drewnianym podeście pełniącym funkcję łoża.

- Aylo... jak się czujesz?

Dobrze. To nie był trudny poród. O wiele łatwiejszy, niż się spodziewałam. Popatrz lepiej na tę małą - dodała, odsłaniając kocyk. - Jest doskonała!

- A więc masz dziewczynkę, jak chciałaś - mruknął Jondalar, z podziwem przyglądając się maleństwu. - Jest taka drobnutka... Spójrz, ma nawet małe paznokcie. - Myśl o tym, że jego kobieta właśnie wydała na świat ludzką istotę oszołomiła go nagle. - Jak jej dałaś na imię, Aylo?

Kobieta spojrzała na Zelandoni.

- Mogę już powiedzieć?

Tak, niebezpieczeństwo minęło.

- Dałam jej na imię Jonayla, po tobie i po mnie. Bo ona jest nasza, Jondalarze. Jest także twoją córką.

- Jonayla... To mi się podoba. Jonayla - powtórzył wzruszony.

Marthona, która też uważała, że imię jest ładne, wymieniła pobłażliwe spojrzenia z Prolevą. Młode matki często zapewniały swych partnerów, że dziecko poczęło się z ich ducha. Wprawdzie Ayla nie użyła słowa "duch", ale obie kobiety były pewne, że właściwie zrozumiały jej intencje. Zelandoni jednak wcale nie miała tej pewności, wiedziała bowiem, że Ayla zwykła wyrażać się precyzyjnie. Jondalar zaś nie musiał zdawać się na domysły: doskonale rozumiał, co Ayla chciała mu zakomunikować.

Byłoby miło, gdyby miała rację, pomyślał, spoglądając na maleńką dziewczynkę, która właśnie zaczynała się budzić, wystawiona na działanie chłodnego powietrza.

- Jest taka cudna... Będzie taka sama jak ty, Aylo. Już to widzę - powiedział.

- A według mnie jest podobna do ciebie, Jondalarze. Chciałbyś ją potrzymać?

- Sam nie wiem - odrzekł szybko, cofając się nieznacznie. - Jest taka mała...

- Nie aż tak mała, żebyś nie mógł jej potrzymać - zbeształa go Zelandoni. - Pomogę ci.

Usiądź wygodnie. - Otyła kobieta zawinęła dziecko w kocyk, podniosła je i złożyła w ramionach mężczyzny, pokazując mu jednocześnie, w jaki sposób ma trzymać ręce.

Jonayla otworzyła oczy i wydawało się, że spogląda wprost na niego. Czy naprawdę jesteś moją córeczką?, zastanawiał się jasnowłosy olbrzym. Jesteś taka drobniutka; ktoś będzie musiał cię pilnować i dbać o ciebie, zanim dorośniesz... Mężczyzna przytulił mocniej noworodka, czując potrzebę chronienia go za wszelką cenę. I nagle zdał sobie sprawę, że ogarnia go niepojęta i nieodparta fala ciepła i miłości do małej dziewczynki. Jonayla, pomyślał. Moja córka Jonayla.

Zelandoni odwiedziła Aylę następnego dnia. Specjalnie wybrała taki moment, w którym młoda kobieta została sam na sam ze swoją pociechą. Karmiąc Jonaylę, Ayla siedziała na poduszce pośrodku izby, a donier postanowiła spocząć obok.

- Możesz przecież wziąć stołek, Zelandoni - zaproponowała Ayla.

Tak będzie dobrze. Przecież nie jest tak, że nie mogę już siadać na ziemi - po prostu od czasu do czasu nie mam na to ochoty. Co słyhać u Jonayli?

Wszystko w porządku. Grzeczne z niej dziecko. Budziła mnie w nocy, ale tak w ogóle śpi całkiem nieźle - odparła znachorka.

Przysłałam ci powiedzieć, że ceremonia przyjęcia małej do Zelandonii i do ogniska Jondalara odbędzie się pojutrze. Wtedy też cała Jaskinia pozna imię Jonayla.

To dobrze. Cieszę się, że wkrótce moja córka będzie Zelandonii z ogniska Jondalara. Dopełni się ostatnia formalność.

- Słyszałaś już o Relonie, partnerce Shevonara, mężczyzny, którego stratował bizon? - spytała Zelandoni, pragnąc przekonać Aylę, że rozmowa, którą toczą, jest zwyczajną, towarzyską pogawędką.

- Nie. Czy coś się stało?

- Następnego lata zawiąże węzeł z Ranokolem, bratem Shevonara. Mężczyzna pomagał jej i pocieszał ją, kiedy została sama. Z czasem przekonali się, że pasują do siebie... Moim zdaniem będzie z nich dobra para - stwierdziła starsza kobieta.

- Miło mi to słyszeć. Ranokol bardzo przeżywał odejście Shevonara, wydawało mi się nawet, że wini za to siebie. Żałował, że to nie jego dopadła śmierć - przypomniała sobie Ayla.

W ciszy, która nastąpiła po jej słowach, wyczuwała oczekiwanie. Zastanawiała się, czy Pierwsza nie przyszła do niej z powodu, którego jeszcze nie chciała zdradzić.

- Jest coś, o czym chciałabym z tobą porozmawiać - odezwała się po chwili Zelandoni, jakby na potwierdzenie podejrzeń znachorki. - Chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej o twoim synu. Rozumiem, dlaczego nigdy o nim nie wspominałaś, zwłaszcza po kłopotach z Zaślubinami Echozara i Joplayi, ale jeżeli nie miałabyś nic przeciwko... Naprawdę zależy mi na paru informacjach.

Pewnie, że nie mam nic przeciwko. Czasem tylko boli mnie serce, kiedy o nim wspominam - westchnęła Ayla.

A potem długo opowiadała donier o swoim synu - o dziecku mieszanych duchów, które powiła, żyjąc w klanie Bruna, o mdłościach trwających niemal przez całą ciążę i o porodzie, który omal jej nie zabił. Już prawie zapomniała o bólu, który towarzyszył narodzinom Jonayli, za to męki, przez które przeszła, wydając na świat Durca, pamiętała w najdrobniejszych szczegółach. Opowiedziała Zelandoni i o tym, jak ludzie Klanu uznali chłopca za kalekę, i o tym, jak uciekła do małej jaskini, by ocalić mu życie, a potem wróciła między ludzi, choć była pewna, że straci dziecko. Mówiła też o radości, która przepełniła ją, gdy malec został zaakceptowany, i o legendzie, z której Creb zapożyczył imię dla niego. Opowiadała o radosnych chwilach, które dzielili w Klanie, i o zachwycie nad faktem, że chłopiec - podobnie jak ona sama - potrafił wydawać dźwięki, z których z czasem ułożyli wspólny język. Gdy doszła do chwili, w której zmuszono ją do opuszczenia Klanu i pozostawienia w nim Durca, była bliska łez.

- Zelandoni - dodała po chwili Ayla, spoglądając z powagą na wielką kobietę. - Kiedy ukrywałam się z moim synem w małej jaskini, przyszła mi do głowy pewna myśl, a później, im dłużej ją rozważałam, tym większej nabierałam pewności, że jest słuszna. Chodzi o sposób, w jaki rozpoczyna się życie. Nie wydaje mi się, żeby jego przyczyną było mieszanie się duchów. Moim zdaniem dziecko poczyna się wtedy, gdy partner i partnerka sypiają ze sobą. To mężczyźni zasiewają w kobietach ziarno nowego życia.

W ustach tak młodej kobiety te odważne słowa brzmiały zatrważająco. Jeszcze nikt nie dzielił się z Zelandoni podobnymi przemyśleniami, ale idea nie była jej zupełnie obca - Pierwsza Wśród Tych, Którzy Służą Matce sama doszła swego czasu do podobnych wniosków.

- Zastanawiałam się nad tą sprawą przez długi, długi czas i jestem przekonana, że nowe życie zaczyna się w chwili, kiedy mężczyzna wkłada swój członek w kobietę - w ten otwór, którym później wydostaje się dziecko - i pozostawia w środku swoją esencję. To właśnie jest decydujący moment, a nie mieszanie się duchów - zakończyła Ayla.

- Chcesz powiedzieć, że dziecko poczyna się wtedy, gdy partnerzy dzielą się Darem Przyjemności od Wielkiej Matki Ziemi? - podsumowała Zelandoni.

- Tak.

- Pozwól więc, że zadam ci kilka pytań. Mężczyzna i kobieta dzielą się Darem Doni wielokrotnie, ale nie rodzi się aż tyle dzieci. Gdyby życie poczynało się za każdym razem, mielibyśmy niezliczone potomstwo - zauważyła donier.

- Myślałam i o tym. To jasne, że kobieta nie zostaje pobłogosławiona za każdym razem, gdy dzieli Przyjemność z mężczyzną. Musi tu działać jeszcze inna siła. Być może trzeba robić to wiele

razy, może o szczególnej porze, a może po prostu to Wielka Matka decyduje, kiedy ma się zacząć nowe życie. Ale źródłem poczęcia nie jest mieszanie duchów, tylko męska esencja i - być może - jakaś esencja kobiety. Jestem pewna, że Jonayla zaistniała w moim łonie tuż po tym, jak zesliśmy z Jondalarem z lodowca. Pierwszego ranka po tej przeprawie, gdy tylko się ocknęliśmy, dzieliliśmy się Przyjemnością.

Powiedziałaś przed chwilą, że od dawna rozważasz tę kwestię, ale skąd właściwie wzięły się u ciebie takie myśli?

- zainteresowała się Zelandoni.

Zaczęło się w małej jaskini, w której schroniłam się z Durkiem - powtórzyła Ayla i lzy pojawiły się w jej oczach.

- Powiedzieli mi, że mam wynieść dziecko i zostawić własnemu losowi, bo jest zdeformowane. Rzeczywiście, mój chłopczyk nie wyglądał ani tak jak oni, ani tak jak ja. Wyglądał jak dziecko Klanu i moje zarazem. Miał wydłużoną głowę, rozszerzającą się ku tyłowi i wielkie wały nad oczami, zupełnie tak jak oni, ale jednocześnie miał po mnie wysokie czoło. Był trochę podobny do Echozara, tylko że budową ciała bardziej przypominał nas niż mężczyzn Klanu. Nie był taki krępy jak inni chłopcy, miał długie i proste nogi, nie takie pałkowate jak Echozar. Był mieszańcem, ale z pewnością silnym i zdrowym.

- Echozar także jest mieszańcem, ale to jego matka należała do Klanu. Kiedy miałyby zażyć Przyjemności z mężczyzną Innych? I dlaczego jeden z nas miałby dzielić się Darem z płaskogłową? - spytała rzeczowo Pierwsza.

Echozar powiedział mi, że na jego matkę nałożono klątwę śmierci, bo jej partner zginął, próbując obronić ją przed atakiem mężczyzny Innych. Kiedy okazało się, że jest brzemienna, pozwolono jej zostać do chwili narodzin Echozara - wyjaśniła Ayla.

Jonayla puściła sutek i zakwiliła cicho. Ayla przełożyła ją przez ramię i delikatnie poklepała po plecach.

- Chcesz powiedzieć, że człowiek taki jak my przymusił jego matkę? No cóż, być może takie rzeczy się zdarzają, ale ja nie potrafię zrozumieć dlaczego - powiedziała Zelandoni, potrząsając głową.

Przydarzyło się to też jednej z kobiet, które poznałam na Zgromadzeniu Klanu. Miała córeczkę mieszanej krwi. Opowiadała mi, że przymusili ją mężczyźni Innych, którzy wyglądali tak jak ja. Zginęła wtedy jej pierwsza córka, którą wypuściła z rąk, gdy rzucili ją na ziemię. Kiedy znowu zaszła w ciążę, marzyła o drugiej córeczce, co bardzo rozwścieczyło jej partnera. Kobiety Klanu powinny życzyć sobie synów, ale niektóre i tak wolą rodzić dziewczynki. Kiedy okazało się,

że na świat przyszło zdeformowane dziecko, mężczyzna kazał kobiecie utrzymać je przy życiu, żeby nauczyć ją posłuszeństwa.

To bardzo smutna historia. Partner potraktował tę kobietę wyjątkowo podle, choć była ofiarą ataku i poniosła taką stratę - zauważyła donier.

- Prosiła mnie później, żebym porozmawiała z Brunem, przywódcą mojego klanu, by zaaranżować zaślubiny jej córeczki, Ury, z moim Burkiem. Bała się, że dziewczynka nie ma szans na znalezienie innego partnera. Uznałam, że to dobry pomysł. W oczach ludzi Klanu Durc także uchodził za zdeformowanego i na pewno równie ciężko byłoby mu znaleźć kobietę. Brun się zgodził. Ura została obiecana Durcowi. Po następnym Zgromadzeniu Klanu miała się przenieść do klanu Bruna... choć właściwie powinnam powiedzieć: do klanu Brouda. Pewnie już tam jest, ale Broud raczej nie jest jej specjalnie życzliwy... - Ayla urwała, rozmyślając o młodej Urze, która musiała przeprowadzić się do nowego, nieznanego Klanu. - Pewnie niełatwo jest odejść, zamienić rodzinny klan i kochającą matkę na gromadę obcych ludzi i nieprzychylnego przywódcę. Mam tylko nadzieję, że Durc wyrósł na dobrego mężczyznę i będzie jej pomagał. - Znachorka potrząsnęła głową i uśmiechnęła się, gdy Jonayla czknęła donośnie. Jeszcze przez chwilętrzymała ją na ramieniu, poklepując po grzbiecie. - W trakcie Podróży słyszeliśmy z Jondalarem niejedną historię o młodych Innych przymuszających kobiety Klanu. Wydaje mi się, że byli dumni z tych wyczynów, ale mężczyźni Klanu z pewnością nie patrzyli przychylnym okiem na te ataki.

- Obawiam się, że masz rację, Aylo. Nie jest to krzepiąca myśl, ale zdaje się, że młodzieńcy czują wyjątkowy pociąg do spraw, którymi nie powinni się interesować. Lecz to, że przymuszają kobiety - nawet płaskogłowe - martwi mnie najbardziej - przyznała Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą Matce.

Wcale nie jestem przekonana, że wszystkie dzieci mieszanej krwi są wynikiem gwałtów, których Inni dopuszczają się na kobietach Klanu czy też płaskogłowi na naszych niewiastach - zauważyła znachorka. - Rydag także był mieszańcem.

- Mówisz o tym dziecku, które adoptowała partnerka przywódcy Obozu Mamutoi? - upewniła się Zelandoni.

Tak. Jego matka należała do Klanu i chłopiec podobnie jak ona nie potrafił mówić, jeśli nie liczyć paru gardłowych dźwięków, których i tak nikt nie rozumiał. Był bardzo słabowitym dzieckiem; nie pożył długo. Nezzie mówiła mi, że jego matka była samotna i że świadomie podążała za Obozem Lwa. Kobiety Klanu tak się nie zachowują. Musiała z jakiegoś powodu zostać wyklęta, inaczej nie byłaby sama, zwłaszcza w tak zaawansowanej ciąży. Poza tym musiała znać kogoś z Innych; kogoś, kto dobrze ją traktował - w przeciwnym razie unikałaby Mamutoi, a nie szła za nimi. Domyślam się, że musiał to być mężczyzna, z którego esencji narodził się Rydag.

- Zapewne - zgodziła się Zelandoni i umilkła na dłuższą chwilę. Rozmyślając o dzieciach mieszanej krwi, zastanawiała się, czy Ayla nie wie czegoś więcej na temat Echozara. Interesowała się tym mężczyzną znacznie bardziej, odkąd został zaakceptowany przez lud Dalanara, a sam przywódca oddał mu córkę Jeriki. - A jak to było z matką Echozara? Mówiłaś, że nałożono na nią klątwę. Nie jestem pewna, czy wiem, co to znaczy.

- Została skazana na wygnanie, odrzucona. Uznano, że przynosi nieszczęście, bo jej mężczyzna zginął, stając w jej obronie, a potem, na domiar złego, urodziła "zdeformowane" dziecko. Ludzie Klanu także nie lubią mieszaińców. Mężczyzna imieniem Andovan spotkał samotną matkę z dzieckiem, gotową umrzeć na wygnaniu. Echozar powiedział mi, że był to starszy człowiek, z jakiegoś powodu żyjący w pojedynkę - a jednak zaopiekował się kobietą i chłopcem. Sądzę, że był S'Armunai, ale mieszkał na skraju terytorium Zelandonii i znał naszą mowę. Niewykluczone, że uciekł przed Attarą. Wychował Echozara, nauczył języka Zelandonii i trochę S'Armunai. Matka przekazała mu znaki Klanu. Andovan też musiał opanować ten kod, bo kobieta nie umiała mówić. Echozar umie, podobnie jak Durc.

Uzdrowicielka umilkła, a jej oczy znowu zaszyły mgłą smutku.

- Durc mógłby poznać język słów, gdyby tylko ktoś chciał go nauczyć. Zaczynał mówić, kiedy odchodziłam, i potrafił się śmiać. Jak oni mogli myśleć, że będzie wyglądał jak dziecko Klanu, skoro to ja go urodziłam? Nie wyglądał też dokładnie tak jak ja, w przeciwieństwie do Jonayli, ale to dlatego, że począł się z esencji Brouda.

- Kim właściwie jest ten Broud?

- Synem Ebry, partnerki Bruna, a Brun był przywódcą Klanu. Dobrym przywódcą. To Broud zmusił mnie do odejścia, kiedy zajął jego miejsce na czele Klanu. Dorastaliśmy razem, a on cały czas mnie nienawidził - wyjaśniła Ayla.

- Jak to, przecież powiedziałaś, że to on począł w tobie nowe życie? Skoro uważasz, że ciąża jest wynikiem dzielenia Przyjemności... Po co Broud miałby łączyć się z tobą, skoro tak cię nienawidził? - spytała skonsternowana Zelandoni.

Tego, co ze mną robił, nie nazwałabym dzieleniem Przyjemności. Broud po prostu mnie przymuszał. Sama nie wiem, dlaczego zrobił to po raz pierwszy, ale... to było straszne. Skrzywdził mnie. Nienawidziłam tego i nienawidziłam jego za to, że to robił. A on wiedział, co czułam, i dlatego znowu mnie przymuszał. Możliwe, że wiedział od początku, jak zareaguję, i działał celowo.

- A wasz Klan na to pozwalał! - oburzyła się Zelandoni.

- Kobiety Klanu muszą oddawać się mężczyznom na każde żądanie, reagują na specjalny sygnał. Uczy się tego od dziecka.

- Nie pojmuję tego - przyznała donier. - Dlaczego mężczyzna miałby pragnąć niewiasty, która go nie chce?

- Zdaje się, że kobiety Klanu nie mają nic przeciwko temu. Wymyśliły nawet dyskretne sposoby skłaniania mężczyzn, by dawali im sygnał. Iza nauczyła mnie tego, ale nigdy nie próbowałam nikogo zachęcać. A już na pewno nie Brouda. Tak bardzo nienawidziłam tego, co mi robił, że nie mogłam jeść, nie chciałam rano wstawać ani oddalać się w ciągu dnia od ogniska Creba. A jednak, gdy przekonałam się, że będę miała dziecko, nie posiadałam się z radości. Byłam tak szczęśliwa, że nawet Broud stał mi się obojętny. Pogodziłam się z jego zachciankami i zaczęłam go ignorować. Wtedy się uspokoił - brak oporu z mojej strony sprawił, że przymuszanie przestało być dla niego przyjemne.

- Mówiłaś, że miałaś ledwie dwanaście lat, kiedy urodziłaś syna? Byłaś bardzo, bardzo młoda, Aylo. W tym wieku większość dziewcząt nie staje się jeszcze kobietami, to naprawdę rzadki przypadek.

Wedle zwyczajów Klanu byłam już dość stara. Niektóre dziewczęta stają się kobietami w wieku siedmiu lat, po dziesiątym roku życia zdecydowana większość już krwawi. Wielu ludzi z klanu Bruna podejrzewało, że nigdy nie będę dojrzała. Myśleli, że nie doczekam się potomstwa, bo mój totem był zdecydowanie zbyt silny - wyjaśniła Ayła.

- A jednak się doczekałaś.

Ayła nie odpowiedziała, myśląc nad czymś intensywnie. Tylko kobiety potrafią rodzić dzieci. Gdyby zachodziły w ciążę przez mieszanie się duchów, to po co Doni stworzyła mężczyzn? Tylko dla towarzystwa? Dla dzielenia się Przyjemnością? Moim zdaniem musi być jakiś powód. Kobiety same mogłyby zapewnić sobie towarzystwo, utrzymać się przy życiu, kochać się, a nawet dzielić Darem Przyjemności.

Attaroa z ludu S'Armunai nienawidziła mężczyzn. Zamknęła wszystkich ze swojej osady w zagrodzie. Nie pozwalała im dzielić się Przyjemnością z kobietami. Rolę partnerów przejęły niewiasty. Attaroa sądziła, że jeśli pozbędzie się mężczyzn, duchy kobiet będą zmuszone mieszać się między sobą i na świat będą przychodzić wyłącznie dziewczynki, ale nic z tego nie wyszło. Niektóre kobiety dzieliły się Przyjemnością, ale nie mogły zrobić tego tak, jak z mężczyznami - ich esencje nie mogły się wymieszać. Rodziło się bardzo mało dzieci.

- Bardzo mało? Więc jednak się rodziły - wtrąciła Zelandoni.

- Nieliczne. Jednak wcale nie były to wyłącznie dziewczynki - Attaroa okaleczyła dwóch chłopców, którzy przyszli na świat pod jej rządami. Większość kobiet nie podzielała poglądów przywódczyni. Niektóre wymykały się nocą, by spotykać się z mężczyznami. Nawiasem mówiąc, z pomocą "lojalnych" strażniczek wyznaczonych przez Attaroę. Te, które urodziły dzieci lub były w

ciąży, miały przy sobie towarzyszy już pierwszego dnia po uwolnieniu mężczyzn. Moim zdaniem życie pojawiło się w ich łonach tylko dlatego, że spotykały się ze swoimi partnerami lub kandydatami na partnerów. Nie dzieliły z nimi ognisk wystarczająco długo, by Doni zdążyła ocenić wartość mężczyzn i użyć ich duchów. Pary widywały się z rzadka i tylko przez chwilę; ledwie miały czas podzielić się Przyjemnością. Kobiety wiele ryzykowały - Attaroa kazałaby je zabić, gdyby się dowiedziała. Jestem przekonana, że to bezpośredni kontakt z mężczyznami sprawił, że zaszły w ciążę.

Zelandoni skinęła głową.

Interesujące rozumowanie, Aylo. Zawsze uczono nas, że to Doni zajmuje się mieszaniem ludzkich duchów, i to nam wystarczało jako odpowiedź na pytanie o początek życia. Większość ludzi nie kwestionuje tej idei; akceptuje ją i tyle. Twoje dzieciństwo było inne; nie dziwię się, że podajesz w wątpliwość nasze wierzenia. Sądzę jednak, że powinnaś uważać, z kim o tym rozmawiasz. Na pewno spotkasz i takich Zelandonii, których bardzo oburzają twoje przekonania. Sama zastanawiałam się nieraz, po co Doni stworzyła mężczyzn. To prawda, że kobiety potrafiłyby zadbać o siebie nawzajem, gdyby musiały. Rozmyślałam i o tym, po co Wielka Matka dała życie samcom zwierząt. Matki zazwyczaj opiekują się młodymi samodzielnie i tylko w określonej porze roku spotykają się z samcami, by dzielić się z nimi Przyjemnością.

Ayla czuła, że może drażnić problem jeszcze głębiej.

- Kiedy mieszkałam wśród Mamutoi, w Obozie Lwa poznałam pewnego mężczyznę. Miał na imię Ranec i żył przy ognisku Wymeza, łupacza krzemieni.

Tego mistrza, o którym wspominał Jondalar?

Tego samego. Wymez odbył w młodości bardzo daleką Podróż; minęło dziesięć lat, nim wrócił w rodzinne strony. Poszedł na południe, wokół wschodniego krańca wielkiego morza, a potem na zachód. Zaślubił kobietę, którą tam spotkał. Próbował sprowadzić ją do Mamutoi wraz z synem, którego urodziła, ale zmarła w podróży. Mówił mi, że ta kobieta miała skórę tak czarną jak noc, podobnie jak wszyscy jej pobratymcy. Urodziła Raneca długo po tym, jak poznała Wymeza. Chłopiec wyróżniał się spośród rówieśników w rodzinnych stronach, bo miał znacznie jaśniejszą skórę, ale mnie wydawał się bardzo, bardzo ciemny. Jego cera była brązowa, niemal tak mocno jak sierść Zawodnika. Miał gęste, kręcone, czarne włosy.

- Sądziś, że Ranec był brązowy, bo jego matka miała czarną skórę, a jej partner białą? Równie dobrze mogło to być spowodowane mieszaniem duchów przez Wielką Matkę - odparła Zelandoni.

- Mogło - przyznała Ayla. - I tak właśnie uważali Mamutoi, ale czy w krainie, w której wszyscy prócz Wymeza byli czarni, Doni nie wybrałaby ducha czarnoskórego, by zmieszać go z



duchem matki Raneca? Pomyśl: byli partnerami, na pewno dzielili się Przyjemnością - przekonywała Ayla. Spojrzała na Jonayłę, a potem utkwiała wzrok w okrągłej twarzy Zelandoni. - Ciekawe, jak wyglądałoby moje dziecko, gdybym połączyła się z Ranekiem.

- Czy to on miał zostać twoim partnerem w Obozie Lwa?

Ayla uśmiechnęła się lekko.

- Miał śmiejące się oczy i śnieżnobiałe zęby. Był mądry i zabawny, zawsze potrafił mnie rozweselić. Poza tym był najlepszym rzeźbiarzem, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Zrobił dla mnie specjalną figurkę donii i podobiznę Whinney. Kochał mnie. Powiedział, że niczego jeszcze nie pragnął w życiu bardziej niż Zaślubin ze mną. A przecież wyglądał inaczej niż pozostali mężczyźni, nawet rysy jego twarzy były odmienne. Fascynował mnie. Gdybym nie kochała Jondalara, pewnie pokochałabym Raneca.

- Jeżeli rzeczywiście taki był, nie winiłabym cię - odrzekła jej z uśmiechem Zelandoni. - To ciekawe, bo i do nas docierają plotki o ciemnoskórych ludziach - młodzieńcu i jego matce - żyjących w jednej z Jaskiń na południu, za górami, na wybrzeżu Wielkiego Morza. Do tej pory nie wierzyłam w te opowieści; nigdy nie wiadomo, ile prawdy jest w pogłoskach. Ale teraz... nie jestem już taka pewna.

- Mimo różnicy w kolorze skóry i niektórych szczegółach, Ranec był podobny do Wymeza. Byli podobnego wzrostu, mieli takie same sylwetki i identyczny krok - argumentowała znachorka.

Podobieństw nie trzeba szukać aż tak daleko - odparła Zelandoni, wzruszając ramionami. - I w naszej Jaskini nie brakuje dzieci, które pod wieloma względami przypominają partnerów swych matek. Są jednak i takie, w których widać podobieństwo do innych mężczyzn. Co ciekawe, niektórzy nawet nie znają matek tych dzieci.

- Być może do połączenia między nimi doszło podczas obrzędów ku czci Matki. Wiele kobiet dzieli się wtedy Przyjemnością z mężczyznami, którzy nie są ich partnerami, nieprawdaż? - spytała uzdrowicielka.

Zelandoni zastanawiała się nad czymś w skupieniu.

- Aylo, twoje przemyślenia wymagają głębokiego rozważenia. Nie wiem, czy pojmujesz skutki tego, o czym mi mówiłaś. Jeżeli racja jest po twojej stronie, może dojść do zmian tak ogromnych, że nikt z nas nie jest dziś w stanie przewidzieć ich konsekwencji. Takie rewelacje powinny wychodzić od Zelandoni, Aylo. Nikt nie potraktuje ich poważnie, jeżeli nie obwieści ich ktoś, kto przemawia w imieniu samej Wielkiej Matki Ziemi. Z kim jeszcze podzieliłaś się swoimi poglądami?

Tylko z Jondalarem - odparła cicho Ayla.

- Proponuję, żebyś na razie nie rozmawiała o tym z nikim więcej. Spróbuję przekonać Jondalara, żeby także zachował twoje przemyślenia dla siebie.

Na jakiś czas kobiety pograżyły się we własnych myślach.

- Zelandoni - odezwała się wreszcie znachorka. - Czy zastanawiałaś się kiedyś nad tym, jak to jest być mężczyzną?

To zaiste dziwne pytanie.

- Sporo rozmyślałam o tym, co powiedział mi Jondalar, kiedy szedł na polowanie i nie chciał, żebym mu towarzyszyła. Teraz wiem, że chodziło mu między innymi o to, żeby wrócić do Jaskini i dokończyć budowę domu, ale nie tylko. Mówił mi wtedy o celu życia... "Po co mielibyśmy żyć, gdyby matka sama utrzymywała swoje dzieci?" Dokładnie tak to powiedział. Nigdy przedtem nie zastanawiałam się nad celem życia. Jak by to było, gdybym uważała, że moje istnienie nie ma sensu?

- Możesz posunąć się jeszcze o krok dalej i powiedzieć, że sensem twojego życia jest rodzenie dzieci, tworzenie następnych pokoleń, ale wtedy trzeba zapytać, jaki jest sens istnienia następnych pokoleń? Jaki jest cel wszelkiego życia?

- Nie wiem. Może ty mi powiesz? - spytała z nadzieją Ayla.

Zelandoni roześmiała się serdecznie.

- Gdybym znała odpowiedź, dorównałabym mądrością samej Wielkiej Matce. Tylko ona mogłaby rozwiązać twoje wątpliwości. Wielu ludzi uważa, że celem życia jest oddawanie czci Doni. Być może celem jest samo życie i dbanie o to, by następne pokolenie też mogło żyć. Możliwe, że to najlepszy sposób uhonorowania Wielkiej Matki. W Pieśni Matki jest mowa o tym, że zostaliśmy stworzeni, bo Ona czuła się samotna, chciała zostać zapamiętana i uczczona. Są jednak i tacy, którzy twierdzą, że tak naprawdę życie nie ma celu. Szczerze wątpię, czy istnieje na tym świecie jedna prawdziwa odpowiedź na to pytanie, Aylo. Nie jestem nawet pewna, czy poznamy ją na następnym.

Kobiety wiedzą przynajmniej, że są niezbędne, jeśli następne pokolenie w ogóle ma się narodzić. A jak to jest czuć, że nie ma się przed sobą tego wspaniałego celu? drażyla Ayla. - Co byś sobie myślała, gdyby nieustannie prześladowała cię świadomość, że życie toczyłoby się niezmiennym rytmem i bez ciebie, bez całej twojej płci?

- Aylo, ja nigdy nie miałam dzieci. Czy z tego powodu powinnam uważać, że moje życie nie ma sensu? - odpowiedziała jej pytaniem Zelandoni.

- To nie to samo. Bez względu na to, czy mogłaś mieć dzieci czy nie, i tak pozostajesz kobietą. Należysz do tej płci, która ma dar przekazywania życia - odrzekła znachorka.

- Przecież wszyscy jesteśmy ludźmi. Także mężczyźni. I oni, i my znajdziemy swoje odbicie w następnych pokoleniach. Kobiety równie często rodzą chłopców jak dziewczynki.

- Właśnie: równie często rodzą chłopców jak dziewczynki - podchwyciła Ayla. - Ale jaka jest w tym rola mężczyzny? Czy gdybyś czuła, że ty i tobie podobne istoty nie macie udziału w tworzeniu następnych pokoleń, w ogóle uważałabyś się za człowieka? A może uważałabyś, że jesteś mniej warta? Ze jesteś zbędnym dodatkiem, wymyślonym w ostatniej chwili? - Uzdrowicielka z każdym słowem coraz mocniej pochylała się w stronę donier, wspierając swe argumenty mocą uczuć.

Zelandoni zastanawiała się nad pytaniem, przyglądając się poważnej twarzy młodej kobiety ze śpiącym dzieckiem na rękach,

- Należysz do Zelandoni, Aylo. Potrafisz bronić swoich racji równie dobrze jak każde z nas.

Znachorka cofnęła się natychmiast.

- Nie chcę być Zelandoni - odparła buntowniczo. Otyła kobieta spojrzała na nią badawczo spod uniesionych brwi.

- Dlaczego?

- Chcę być matką i partnerką Jondalara.

- I nie chcesz już być uzdrowicielką? Jesteś do tego świetnie przygotowana, co najmniej tak samo dobrze jak ja.

Ayla zmarszczyła czoło.

- Tak... Tak, chciałabym być uzdrowicielką.

- Wspominałaś, że asystowałaś Mamutowi podczas pewnych obrzędów. Nie uważasz, że było to interesujące doświadczenie? - indagowała Pierwsza Wśród Tych Który Służą.

- Owszem, było interesujące - zgodziła się znachorka. - Zwłaszcza wtedy, kiedy dowiadywałam się czegoś nowego. Ale bywało też przerażające.

- A czy pomyślałaś o tym, o ile bardziej przerażające byłoby to doświadczenie, gdybyś była samotna i nie przygotowana? Aylo, jesteś córką Ogniska Mamuta. Mamut nie adoptował cię bez powodu. Na pewno to rozumiesz, skoro ja to pojęłam. Wejrzyj w siebie. Czy zdarzyło ci się kiedyś poczuć strach, gdy musiałaś stawić czoło czemuś dziwnemu i nieznanemu?

Ayla nie odważyła się spojrzeć w oczy Zelandoni; poprzestała na ledwie zauważalnym skinieniu głową.

Wiesz przecież, że jest w tobie coś niepowtarzalnego, dar, którym dysponuje bardzo niewielu ludzi, prawda? Próbujesz ignorować ten fakt, usunąć go z pamięci, ale czasem jest to bardzo trudne. Mam rację?

Ayla uniosła głowę. Zelandoni wpatrywała się w nią przenikliwie, dokładnie tak samo jak wtedy, gdy spotkały się po raz pierwszy. Znachorka próbowała odwrócić wzrok, ale nie bardzo mogła.

Tak - szepnęła. - To bardzo trudne. - Spojrzenie donier złagodniało. Ayla spuściła głowę.

- Nikt nie zostaje Zelandoni, póki nie poczuje powołania - wyjaśniła Pierwsza. - Ale co będzie, jeśli je poczujesz, a nie będziesz przygotowana? Nie sądzisz, że na wszelki wypadek lepiej byłoby mieć za sobą szkolenie? Istnieje możliwość, że zechcesz kiedyś zostać Zelandoni; nie możesz zaprzeczyć.

- Ale czy szkolenie nie sprawi, że ta możliwość stanie się... bardziej prawdopodobna? - spytała znachorka.

- Sprawii. Ale to może być interesujące. Będę z tobą szczerą. Potrzebuję akolity. Nie zostało mi wiele lat życia. Chcę, żeby ten, kto mnie zastąpi, był moim uczniem. Pragnę tego, co najlepsze dla mojej Jaskini. Jestem Pierwszą Wśród Tych Którzy Służą Wielkiej Matce Ziemi. Nie mówię tego zbyt często, ale... nie zostałam Pierwszą bez powodu. Jeżeli ktoś ma dar, nikt nie oszlifuje go lepiej niż ja. A ty masz dar, Aylo. Jesteś być może bardziej utalentowana ode mnie. Mogłabyś być Pierwszą - kusiała Zelandoni.

- A co z Jonokolem? - spytała Ayla.

- Przecież znasz odpowiedź. Jonokol jest wybitnym artystą. Z radością pozostanie tylko akolitą, nikim więcej. Nigdy nie chciał być Zelandoni, a teraz ma jeszcze tę jaskinię, którą odkryłaś. Myślę, że przed latem nie będzie go już między nami. Przeniesie się do Dziewiętnastej, gdy tylko przekona tamtejszą Zelandoni, by go przyjęła, i znajdzie wymówkę, żeby stąd odejść. On pragnie tej nowej jaskini i moim zdaniem powinien ją dostać. Nie tylko uczyni ją piękną, ale przy okazji ożywi w niej świat duchów - dodała donier.

- Aylo, spójrz na to! - zawołał podniecony Jondalar, ściskając w dłoni krzemienny grot. - Ogrzałem materiał tak mocno, jak robił to Wymez. Kiedy ostygł, wiedziałem już, że jestem na dobrej drodze, bo powierzchnia zaczęła błyszczeć, jakby była natarta olejem. Obrobiłem bułę dwustronnie, używając tej samej techniki, której nauczyłem się od Mamutoi. Może nie udało mi się to tak doskonale jak Wymezowi, ale myślę, że z czasem dojdę do podobnej wprawy. Widzę niesamowite możliwości. Mogę oddzielać teraz bardzo długie i wąskie kawałki krzemienia. To oznacza, że da się zrobić ostrza do noży właściwie dowolnej grubości i zupełnie proste, długie groty do oszczepów. Nie będą miały tej krzywizny, którą uzyskuje się zawsze, oddzielając kawałki od rdzenia. Mało tego, mogę wyprostować te, które już zrobiłem, poprawiając wewnętrzne strony łukowatych ostrzy, a w nowych pozostawiać trzpień, do którego łatwiej będzie umocować rękojeść.

Nie masz pojęcia, jak bardzo panuję nad materiałem! Mogę zrobić, co chcę, jakbym nagiął kamień do swojej woli! Wymez jest geniuszem!

Ayla słuchała go z uśmiechem.

- Może i jest, ale ty jesteś równie dobry jak on - powiedziała z przekonaniem.

- Chciałbym, żeby tak było. Pamiętaj, że to on wymyślił ten proces, ja tylko staram się naśladować jego wyczyn. Jaka szkoda, że mieszkamy tak daleko od siebie... Ale i tak jestem wdzięczny, że mogłem spędzić z nim choć trochę czasu. Żałuję, że nie ma tu Dalanara. Mówił mi, że przez zimę będzie eksperymentował. Bardzo chciałbym z nim porozmawiać o tym, co osiągnąłem.

Jondalar raz jeszcze spojrzął na ostrze krytycznym okiem, a potem popatrzył na Aylę i uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Mało brakowało, a zapomniałbym ci powiedzieć. Postanowiłem, że wezmę Matagana na ucznia nie tylko na tę zimę. Popracowałem z nim trochę i uważam, że ma talent do obrabiania kamieni. Odbyłem też długą rozmowę z jego matką i jej partnerem. Joharran także nie ma nic przeciwko.

- Lubię Matagana - przyznała Ayla. - Cieszę się, że nauczysz go rzemiosła. Nie tylko masz wiele cierpliwości, ale też jesteś najlepszym łupaczem krzemieni w Dziewiątej Jaskini, a może i wśród wszystkich Zelandonii.

Jondalar uśmiechnął się, słysząc komplementy. Partnerki często chwalały swych mężczyzn, pomyślał, ale gdzieś w głębi duszy czuł, że słowa Ayli mogą być prawdziwe.

- Czy zgodzisz się, żeby zamieszkał u nas na stałe?

- Nie widzę przeszkód. Mamy tyle miejsca w głównej izbie, że bez trudu możemy wydzielić z niej sypialnię dla Matagana. Mam tylko nadzieję, że dziecko nie będzie mu przeszkadzało. Jonayla często budzi się w nocy.

- Młodzi ludzie mają mocny sen. Podejrzewam, że nawet jej nie usłyszysz.

- Ja też muszę ci o czymś powiedzieć... O rozmowie z Zelandoni - odezwała się Ayla po chwili milczenia.

Jondalar odniósł wrażenie, że jest zmartwiona, ale nie był pewien.

- Donier zaproponowała mi, żebym została jej akolitką. Chce mnie uczyć - wyrzuciła z siebie Ayla jednym tchem.

Jondalar zeszywniał.

- Nie wiedziałem, że zamierzasz zostać Zelandoni.

- Ja też nie wiedziałam i nadal nie wiem. Kiedyś już powiedziała mi, że jej zdaniem należę do Zelandoni, ale dopiero po narodzinach Jonayli zaproponowała, żebym została jej akolitką.

Twierdziła, że bardzo potrzebuje kandydata, a ja wiem sporo o uzdrawianiu. To, że przesłabym szkolenie, nie oznacza podobno, że muszę z czasem stać się Zelandoni. Jonokol na przykład jest jej uczniem od bardzo długiego czasu - wyjaśniła Ayla, wbijając wzrok w warzywa, które obierała.

Jondalar zbliżył się, podniósł dłonią jej podbródek i spojrzał głęboko w oczy. Dostrzegł w nich rozterkę.

- Aylo, wszyscy dobrze wiedzą, że Jonokol został akolitą Zelandoni tylko dlatego, że jest świetnym artystą. Umie uwieczniać duchy zwierząt, a donier potrzebuje pomocnika przy różnych ceremoniach, ale... on nigdy nie będzie Zelandoni.

- A może jednak będzie? Pierwsza mówiła mi, że Jonokol przeniesie się do Dziewiętnastej Jaskini - odparła Ayla.

- Z powodu tej pieczary, którą odkryłaś, prawda? - domyślił się Jondalar. - Możliwe, że to najlepsze rozwiązanie. Ale gdybyś ty została akolitką, chciałabyś kiedyś być Zelandoni. Mam rację?

Ayla nie mogła uniknąć odpowiedzi na tak bezpośrednie pytanie. Nie umiała też kłamać.

Tak, Jondalarze - przyznała. - Podejrzewam, że gdybym przeszła szkolenie, pewnego dnia stałabym się Zelandoni... ale nie od razu.

- Czy naprawdę to właśnie chcesz robić? A może Zelandoni namówiła cię dlatego, że jesteś uzdrowicielką? - dopytywał się Jondalar.

- Powiedziała, że w pewnym sensie już jestem Zelandoni. Może ma rację? Sama nie wiem. Mówiła, że powinnam się uczyć dla własnego dobra. Byłoby niebezpiecznie, gdybym kiedyś poczuła powołanie, a nie miała odpowiedniego przygotowania - odrzekła Ayla.

Nigdy dotąd nie mówiła swemu mężczyźnie o dziwnych stanach, w które popadała od czasu do czasu. Czowała, że milcząc, okłamuje go. Nawet kobieta Klanu miała prawo nie wspominać o czymś, co było dla niej niewygodne, ale znachorka mimo wszystko czuła się niezręcznie.

Jondalar spojrzał na nią z niepokojem.

- Obawiam się, że niewiele mam do powiedzenia w tej sprawie. Wybór należy do ciebie. Zapewne najlepiej by było, gdybyś przygotowała się do tej roli. Nie masz pojęcia, jaki byłem przerażony, gdy razem z Mamutem odbyłaś tę dziwną Podróż. Myślałem, że nie żyjesz, i w duchu błagałem Wielką Matkę, żeby mi ciebie zwróciła. Chyba jeszcze nigdy nie prosiłem o nic tak żarliwie jak wtedy, Aylo. I mam nadzieję, że nie poważysz się więcej na coś takiego.

Podejrzewałam, że to ty. Mamut mówił, że ktoś wzywał nas do powrotu z taką siłą, iż nie mógł się oprzeć. Wydawało mi się, że kiedy się obudzę, zobaczę twoją twarz, ale stało się inaczej.

- Byłaś obiecana Ranecowi. Nie chciałem wchodzić wam w drogę - odparł Jondalar, niechętnie wspominając ową straszną noc.

- A przecież kochałeś mnie. Gdyby nie to, mój duch rozplątałby się pewnie gdzieś w tej wielkiej pustce. Mamut powiedział, że już nigdy nie zdecyduje się na taką wyprawę. Ostrzegł, że jeśli kiedykolwiek zaryzykuję coś podobnego, będę potrzebowała mocnej ochrony, żeby wrócić. - Ayla wyciągnęła ręce ku partnerowi. - Jondalarze, dlaczego ja? - jęknęła. - Dlaczego właśnie ja mam być Zelandoni?

Mężczyzna objął ją mocno. Właśnie, dlaczego ona? Przypomniawszy sobie opowieść donier o obowiązkach i niebezpieczeństwach związanych z tym, czym się zajmowała. Teraz rozumiał, skąd wzięła się jej otwartość. Próbowała ich przygotować. Musiała wiedzieć od początku, od pierwszego dnia po ich powrocie do Dziewiętej Jaskini; zupełnie tak samo jak Mamut, który adoptował Aylę do swojego ogniska - właśnie z tej przyczyny. Czy mogę być partnerem Zelandoni?, myślał Jondalar. Przypomniawszy sobie matkę i Dalanara, a ściślej jej oświadczenie, że rozstali się, bo była przywódczynią, a jej partner nie umiał tego znieść. Wymagania stawiane Zelandoni były jeszcze większe.

Wszyscy mówili Jondalarowi, że jest podobny do Dalanara, nikt nie wątpił, że narodził się z jego ducha. Ayla zaś twierdzi, że nie chodziło tylko o duchy, myślał mężczyzna. Powiada, że Jonayla jest moją córką. Jeżeli się nie myli, to ja muszę być synem Dalanara! Ta myśl oszołomiła Jondalara. Czy to możliwe, żebym był w takim samym stopniu synem Marthony i Dalanara? A jeżeli tak, to czy jestem do niego na tyle podobny, żeby nie akceptować życia z kobietą obarczoną zbyt wieloma obowiązkami? Jasnowłosy łupacz krzemieni był z każdą chwilą bardziej niespokojny.

Spojrzał na partnerkę, która drżała w jego ramionach.

- Aylo, co się dzieje?

- Boję się, Jondalarze. I dlatego nie chcę tego robić. Boję się być Zelandoni - zaszlochała. Po chwili opanowała się i cofnęła o krok. - A boję się dlatego, że przytrafiły mi się rzeczy, o których nigdy ci nie mówiłam.

- Jakie znowu rzeczy? - spytał, marszcząc brwi.

- Nie wspominałam ci o nich, bo nie wiedziałam, jak je wyjaśnić. I wciąż jeszcze nie wiem, ale muszę spróbować. Byłam kiedyś z klanem Bruna na wielkim Zgromadzeniu. Iza była wtedy bardzo chora, nie mogła iść z nami. Zmarła wkrótce po naszym powrocie - zaczęła Ayla, przywołując z pamięci dramatyczne wydarzenia. - Jak wiesz, była najlepszą znachorką; to jej zadaniem było przyrządzanie specjalnego napoju dla mogurów. Nikt inny nie znał receptury. Uba była zbyt młoda, nie osiągnęła nawet dojrzałości, a jedynie kobieta mogła przygotować tę miksturę. Iza wyjaśniła mi, jak to zrobić. Nie sądziłam, że pozostali mogurowie pozwolą mi działać, bo ich zdaniem w ogóle nie należałam do Klanu, ale w końcu Creb przyszedł do mnie i powiedział, że

mam przyrządzić im ten napój. Tej samej mieszanki użyłam potem, wyruszając na tę straszną wyprawę z Mamutem.

Nie wiedziałam, czy dobrze wymieszałam składniki, więc spróbowałam odrobinę. Nie byłam chyba w pełni świadoma, kiedy szłam do jaskini, w której zebrali się mogurowie. Napój był tak mocny, że o mało nie skończyłam w świecie duchów. Kiedy zobaczyłam siedzących przy ognisku mog - urów, schowałam się i zerkiałam na nich ukradkiem. Tylko Creb wyczuł, że tam jestem. Mówiłam ci już, że był potężnym czarownikiem, kimś takim jak Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą Matce. Był Wielkim Mogurem. Pokierował wszystkim tak, że mój umysł złączył się z umysłami pozostałych i razem z nimi poszybował wstecz, do początków wszystkiego. Nie potrafię ci tego wyjaśnić, ale naprawdę tam byłam. Wracając do teraźniejszości, trafiliśmy tu, w to miejsce. Creb zablokował zmysły pozostałych tak, że nie wyczuwali mojej obecności, a potem zostawił ich i poleciał ze mną. Wiem, że byliśmy właśnie tu, bo rozpoznałam Spadającą Skałę. Ludzie Klanu mieszkali pod nią przez wiele pokoleń; nie masz pojęcia, jak długo.

Jondalar wbrew sobie słuchał opowieści z narastającą fascynacją.

Dawno, dawno temu poczęliśmy się z jednego ludu - ciągnęła Ayla. - Potem jednak zaczęliśmy się zmieniać. Klan pozostał w tyle, a my rozwijaliśmy się coraz szybciej. Kiedy lecieliśmy, Creb, choć tak potężny, nie mógł za mną nadążyć, ale coś dostrzegł albo wyczuł. Kazał mi odejść, wynieść się z jaskini. Czułam się tak, jakbym słyszała jego głos w sobie, w mojej głowie. Inni mogurowie nie mieli pojęcia, że byłam z nimi, a on nigdy nie zdradził im prawdy. Gdyby to zrobił, zabiliby mnie. Kobietom nie wolno uczestniczyć w takich ceremoniach.

Od tamtej pory Creb bardzo się zmienił i nigdy już nie był sobą. Zaczął tracić moc i chyba nie lubił już wpływać na umysły innych ludzi. Nie wiem, jak to się stało, ale musiałam go jakoś zranić. Żałuję, że tak się stało, ale... on też coś mi zrobił. Stałam się inna, zaczęłam miewać dziwne sny i od czasu do czasu czuję się bardzo nieswojo, jakbym nagle przenosiła się w inne miejsce i... nie wiem, jak ci to opisać... jakbym potrafiła czytać w myślach innych ludzi. No, może nie całkiem tak, ale wiem, co czują... Wiem, jacy są... Nie potrafię wyrazić tego słowami, Jondalarze. Zwykle bronię się przed tymi myślami, ale czasem przedostają się do mojej głowy, zwłaszcza wtedy, gdy są odbiciem bardzo silnych uczuć - na przykład takich, jakimi emanuje Brukeval.

Jondalar spoglądał na swą kobietę bardzo dziwnie. Wiesz, co myślę? Widzisz, co się dzieje w mojej głowie?

- Nie, nigdy nie wiem tego dokładnie. Wiem tylko, że mnie kochasz. - Na jej oczach wyraz twarzy mężczyzny całkowicie się zmienił. - Zmartwiłam cię tym, co powiedziałam? Może nie powinnam była poruszać tego tematu - mruknęła, czując ciężar uczuć Jondalara. Jego emocje odbierała zawsze z wyjątkową wyrazistością. Opuściła głowę, a jej ramiona opadły nieznacznie.



Mężczyzna doskonale widział jej zniechęcenie - i nagle uczucie zakłopotania i niepokoju opuściło go. Położył dłonie na ramionach kobiety i popatrzył prosto w jej piękne oczy. Nie po raz pierwszy odnalazł w nich ślad czegoś prastarego i niepojętego, a także głęboki smutek.

- Aylo, nie mam przed tobą nic do ukrycia. Nie dbam o to, czy wiesz, co myślę lub czuję. Kocham cię i nigdy nie przestanę.

Po policzkach znachorki popłynęły łzy ulgi i miłości. Jondalar pochylił się, by pocałować rozchylone wargi. Przycisnął Aylę do siebie, jakby własnymi ramionami chciał ochronić ją przed wszystkim, co mogłoby sprawić jej ból, a ona wtuliła się w niego. Póki miała swojego mężczyznę, nic więcej się nie liczyło. Nagle Jonayla obudziła się i zapłakała głośno.

- Chcę tylko być matką i twoją partnerką, Jondalarze. Naprawdę nie chcę zostać Zelandoni - powiedziała Ayla, podnosząc córeczkę z posłania.

Ona naprawdę się boi, pomyślał mężczyzna. Ale któż by się nie bał? Ja sam nie lubię nawet przechodzić w pobliżu cmentarza, nie mówiąc już o odwiedzinach w świecie duchów. Obserwując wciąż jeszcze szlochającą kobietę, która szła ku niemu z dzieckiem na ręku, poczuł przyływ ciepłych uczuć. Cóż z tego, że jego partnerka stałaby się Zelandoni? Nadal potrzebowałaby go i nadal byłaby sobą - Aylą, którą kochał.

Będzie dobrze - stwierdził, biorąc od niej niemowlę i tuląc je w ramionach.

Zanim zawiązał węzeł z Aylą, a zwłaszcza przed narodzinami Jonayli, nigdy nie był tak szczęśliwy jak teraz. Nie umiał patrzeć na dziecko bez uśmiechu. Wierzę, że naprawdę jesteś moją córeczką, pomyślał.

Wszystko zależy od ciebie, Aylo - rzekł po chwili. - Masz rację: nawet jeśli dołączysz do Zelandoni, to jeszcze nie oznacza, że staniesz się donier. Ale jeśli tak by się stało, to też nie będę protestował. Od początku wiedziałem, że wybrałem sobie niezwykłą kobietę: nie tylko piękną, ale i obdarzoną szczególnym talentem. Zostałaś naznaczona przez Matkę. To wielki zaszczyt, który objawił się między innymi tym, że byłaś pobłogosławiona już podczas Zaślubin. A teraz masz jeszcze cudowną córeczkę... Nie, my mamy cudowną córeczkę. Mówiłaś, że jest również moja, prawda? - spytał, próbując ukoić jej lęk.

Na policzkach znachorki znowu pojawiły się łzy, lecz tym razem spłynęły obok uśmiechniętych ust.

- Tak. Jonayla jest twoją i moją córką - odpowiedziała, pociągając nosem. Jondalar przytulił obie. - Nie wiem, co bym zrobiła, gdybyś kiedykolwiek przestał mnie kochać. Proszę, nigdy nie przestawaj.

- Oczywiście, że nigdy nie przestanę. Nikt i nic mnie nie powstrzyma; zawsze będę cię kochał - odparł Jondalar, wierząc we własne słowa całym sercem i mając nadzieję, że nigdy nie przestaną być prawdziwe.

Zima wreszcie dobiegła końca. Przez ostatnie, topniejące już plamy brudnego śniegu przebijały się purpurowe i białe kielichy krokusów. Sople zwieszające się z krawędzi skał zniknęły, a pośród zeszłorocznych traw pojawiły się pierwsze pędy świeżej zieleni. Ayla spędzała z Whinney coraz więcej czasu. Trzymając dziecko blisko ciała, pod ciepłą kurtką, prowadziła klacz na krótkie spacerunki lub dosiadała jej ostrożnie. Zawodnika zaś rozpieszczała energia i nawet Jondalar miał problemy z zapanowaniem nad jego temperamentem, ale zmagania z nim traktował jako przyjemne wyzwanie.

Whinney zarżała cicho na widok swej pani i z wdzięcznością przyjęła czułe drapanie i poklepywanie. Ayla zamierzała spotkać się z Jondalarem i jeszcze kilkoma osobami pod sąsiednim abri, znajdującym się nieco dalej w dół rzeki. Zelandonii zamierzali naciąć kilka brzoź, a ze spuszczonego soku wygotować odżywczy syrop. Część soku chcieli pozostawić do sfermentowania, by uzyskać niezbyt mocny napój alkoholowy. Droga nie była daleka, lecz znachorka postanowiła pojechać na Whinney przede wszystkim dlatego, że brakowało jej bliskości klaczy. Była niemal na miejscu, gdy zaczęło padać. Kobieta popędziła zwierzę do lekkiego kłusa i po chwili zauważyła, że oddech klaczy stał się płytki.

Zaokrąglone boki zeszywniały na moment, gdy rozpoczął się kolejny skurcz.

Whinney! - zawołała uzdrowicielka. - Nadszedł twój czas, prawda? Ciekawe, jak szybko urodzisz. Jesteśmy niedaleko od abri, pod którym mam się z kimś spotkać. Chyba nie przeszkodzi ci obecność paru osób?

Gdy tylko dotarła na miejsce, zapytała Joharrana, czy może wprowadzić klacz pod skalny nawis. Przywódca zgodził się szybko i już po chwili wśród zebranych dało się odczuć podniecenie. Mieli okazję zobaczyć coś naprawdę niezwykłego - nikt z obecnych nie widział jeszcze narodzin konia. Kobieta wprowadziła Whinney w cień skalnej niszy.

Jondalar zbliżył się natychmiast, by zapytać, czy będzie potrzebna jego pomoc.

- Nie wydaje mi się, żeby Whinney w ogóle potrzebowała pomocy. Po prostu chcę być blisko niej - odparła Ayla. - Ale byłabym wdzięczna, gdybyś pottrzymał Jonaylę. Niedawno ją karmiłam; powinna być grzeczna. - Mężczyzna wziął na ręce dziewczynkę, jak zwykle uśmiechającą się na jego widok. Mała Jonayla niedawno opanowała tę trudną sztukę i od tej pory zawsze witała uśmiechem mężczyznę swego ogniska.

Uśmiech na pewno masz po matce, Jonaylo - rzekł Jondalar, spoglądając w błyszczące, radosne oczy córeczki.

Dziecko nie odrywało wzroku od jego twarzy. Kwiląc cicho, uśmiechało się bez przerwy. Mężczyzna poczuł, że jego serce topnieje. Ułożywszy małą na zgiętym ramieniu, cofnął się i dołączył do ludzi, którzy przystanęli ciekawie w przeciwległym kącie niedużej niszy.

Whinney wyglądała na zadowoloną, że wreszcie znalazła się w suchym miejscu. Głaszcząc ją uspokajająco, Ayla poprowadziła klacz tam, gdzie skała usiana była drobnym piaskiem - i jak najdalej od gapiów. Utrzymanie odpowiedniej odległości miało sens, ale schronienie było na tyle ciasne, że i tak Zelandonii widzieli doskonale każdy ruch Whinney. Jondalar, który był już świadkiem narodzin konia, przyglądał się scenie z nie mniejszym zainteresowaniem. Bez względu na to, czy na świat przychodziło zwierzę czy człowiek, był to największy z Darów zesłanych przez Doni, toteż wszyscy czekali cierpliwie.

Po pewnym czasie, gdy Whinney nie była jeszcze gotowa, ale znalazła już miejsce, w którym zamierzała pozostać,

Ayla podeszła do ogniska, by zaczerpnąć wody. Zaproponowano jej gorącą herbatę, którą przyjęła, gdy tylko powróciła, napoiwszy klacz.

- Aylo, nie opowiadałaś mi jeszcze, skąd wzięły się twoje konie - odezwała się Dynoda. - Powiedz, dlaczego nie boją się ludzi?

Ayla uśmiechnęła się lekko. Przyzwyczajała się już do mówienia o swoim życiu i nie miała nic przeciwko powtórzeniu niezwyklej historii koni. Opowiedziała więc o tym, jak zastawiła pułapkę i zabiła matkę Whinney, a potem ocalała źrebicę przed hienami, zabrała do swojej jaskini i nakarmiła. Z każdą chwilą coraz bardziej wczuwała się w rolę Opowiadacza - choć nie zdawała sobie z tego sprawy, nabyła w tym sporego doświadczenia. Przydały jej się nawyki wyniesione z Klanu: świadome posługiwanie się mimiką twarzy, ruchem ciała i gestem.

Niemal zapomniawszy o źrebącej się Whinney, Ayla zaprezentowała garstce widzów - z których kilku przybyło z sąsiednich Jaskiń - elektryzujące przedstawienie. Egzotyczny akcent i niewiarygodna umiejętność naśladowania zwierzęcych głosów uczyniły jej występ jeszcze bardziej przekonującym. Nawet Jondalar wpatrywał się w swą kobietę jak urzeczony, bo nigdy jeszcze nie słyszał historii koni opowiedanej w taki sposób. Widzowie zadawali pytania, Ayla zaś chętnie opisywała im życie w dolinie. Gdy doszła do chwili, w której znalazła i wychowała lwa jaskiniowego, rozległy się okrzyki niedowierzania. Jondalar bez wahania potwierdził autentyczność niezwyklej wydarzeń. Nawet jeśli nie wszyscy uwierzyli w opowieść o kobiecie hodującej samotnie konie i lwa, nie było wśród słuchaczy nikogo, komu nie podobałaby się ta historia. Dobrą zabawę przerwało im dopiero rzenie klaczy.

Ayla obróciła się na pięcie i pobiegła do Whinney, która leżała na boku. Z jej ciała zaczęła się wyłaniać spowita błoną głowa źrebica. Gdy młode zwierzę wynurzyło się całkowicie z łona

matki, już próbowało stawać na własnych nogach. Whinney spojrzała na swoje dzieło i parsknęła cicho. Leżąc bezradnie, młode zwróciło łebek ku matce w poszukiwaniu sutka. Klacz pochyliła się nad nim i zaczęła intensywnie lizać mokrą sierść. Po chwili źrebię ponowiło próbę poderwania się z ziemi. Upadło na nos, ale za drugim razem stanęło już pewniej. Silne maleństwo, pomyślała Ayla.

Gdy tylko jej dziecko złapało równowagę, Whinney wstała. Młode natychmiast wyciągnęło szyję, szukając źródła pokarmu. Nie bardzo wiedziało, gdzie znajdzie sutek, ale po drugim przejściu między tylnymi nogami matki zostało naprowadzone na cel. Wystarczyło lekkie trącenie łbem. I tak oto Whinney bez niczyjej pomocy wydała na świat swe drugie źrebię o szczudłowatych nóżkach.

Ludzie przypatrywali się temu w milczeniu, podziwiając wiedzę i siłę, które Wielka Matka Ziemia wszczepiła dzikim stworzeniom, by mogły się rozmnażać. Młode nie przetrwałoby na wolności, żyjąc w wielkim stadzie przemierzającym niezmiernie stopy, gdyby nie było w stanie chodzić, a nawet biegać niemal natychmiast po przyjściu na świat. Nieporadność oznaczałaby śmierć od kłów drapieżników i szybki koniec gatunku.

Whinney z zadowoleniem przyglądała się ssącemu źrebięciu.

Narodziny konia były wyjątkowym widowiskiem. Wszyscy, którzy byli jego świadkami, zamierzali opowiadać o nim niejedną raz. Kiedy konie zajęły się sobą, a Ayla dołączyła do widzów, posypały się pytania.

- Nie miałam pojęcia, że źrebak potrafi chodzić zaraz po przyjściu na świat. Ludzkie dzieci potrzebują zazwyczaj roku, żeby się tego nauczyć. Czy konie dorastają szybciej niż my?

- Tak - odrzekła Ayla. - Zawodnik urodził się dzień po tym, jak znalazłam Jondalara. Teraz jest w pełni dojrzałym ogierem, a przecież ma dopiero trzy lata.

- Będziesz musiała wymyślić imię dla tego maleństwa - zauważył Jondalar.

- Muszę się dobrze zastanowić - odparła znachorka. Jondalar domyślał się, że nie chodzi jej tylko o imię.

Poprzednim razem klacz o sierści koloru siana wydała na świat źrebię zupełnie innej maści. Konie takie jak Zawodnik - kasztanowe i ciemnobrązowe - zamieszkiwały stopy dalekiego wschodu, ziemie Mamutoi. Mężczyzna nie był pewien, jakiej barwy będzie sierść źrebięcia, ale nic nie wskazywało na to, że odziedziczyło umaszczenie po matce. Wkrótce pod niewielkie abri dotarł Wilk. Instykt podpowiedział mu, że powinien zbliżyć się powoli i przede wszystkim przywitać się z Whinney. Klacz wiedziała, że drapieżca, który pojawił się przed nią, nie jest niebezpieczny dla jej potomstwa. Kiedy obok niego stanęła Ayla, Whinney pozwoliła mu obwąchać źrebię. Młode odwzajemniło ciekawość wilka i uważnie zapoznało się z jego zapachem.

Whinney powiła siwą źrebicę.

- Myślę, że dam jej na imię Siwa - powiedziała Ayla. - To będzie koń dla Jonayli. Trzeba będzie nauczyć oboje współpracy - dodała, uśmiechając się do Jondalara na samą myśl o czekającym ją zadaniu.

Następnego dnia, kiedy powrócili do schronienia dla koni w niszy Dziewiątej Jaskini, Zawodnik powitał siostrę z ożywieniem i ciekawością, a Whinney nie spuszczała go z oka. Ayla spoglądała właśnie w stronę domostw, gdy dojrzała zbliżającą się z boku Zelandoni. Zaskoczyło ją to, że donier przybywała specjalnie po to, by zobaczyć źrebię, rzadko bowiem zdarzało jej się trwonić siły z powodu zwierząt. Większość ciekawskich, którzy zaglądali do domu koni, Ayla prosiła o utrzymywanie sporego dystansu, ale dla Zelandoni zrobiła wyjątek.

- Jonokol oznajmił mi właśnie, że opuści Dziewiątą Jaskinię podczas najbliższego Letniego Spotkania - oświadczyła Pierwsza, obejrzawszy z bliska Siwę.

- Spodziewałaś się tego - zauważyła ostrożnie znachorka.

- Podjęłaś już decyzję, czy chcesz zostać moją akolitką? - spytała bez ogródek donier.

Ayla spuściła głowę, lecz po chwili spojrzała w oczy otyłej kobiety.

Zelandoni czekała, odwzajemniając spojrzenie.

- Myślę, że nie masz wyboru. Wiesz przecież, że kiedyś poczujesz powołanie; może nawet wcześniej niż się spodziewasz. Naprawdę nie chciałabym patrzeć, jak marnujesz swój talent, nawet gdyby udało ci się przetrwać bez wsparcia i szkolenia.

Ayla na próżno starała się uciec przed władcym wzrokiem donier. I wreszcie, gdzieś w głębi swego jestestwa, w zakamarkach umysłu, znalazła siłę. Czowała, jak moc wzbiera w niej i wymyka się spod kontroli Zelandoni, a potem przyćmiewa mentalną potęgę Pierwszej Wśród Tych Którzy Służą Wielkiej Matce Ziemi. Znachorka doświadczyła niezwykłego uczucia siły, mistrzostwa i władzy, jakiego nie doznała nigdy dotąd.

Kiedy uwolniła Zelandoni z mocy swego spojrzenia, otyła kobieta na moment odwróciła wzrok. Gdy donier podniosła głowę, wrażenie przytłaczającej potęgi jasnowłosej znachorki minęło, a Ayla spoglądała na nią z domyślnym uśmiechem. Dziecko w jej ramionach poruszyło się niespokojnie i uzdrowicielka pochyliła się nad nim.

Donier była wstrząśnięta, ale szybko zapanowała nad emocjami. Odwróciła się, by odejść, ale po chwili przystanęła i raz jeszcze popatrzyła z ukosa na Aylę. Tym razem nie był to pojedynek osobowości, ale zwykłe, przenikliwe spojrzenie.

- Nadal twierdzisz, że nie jesteś Zelandoni? - odezwała się cicho.

Ayla zarumieniła się i rozejrzała niepewnie, jakby szukała drogi ucieczki. Kiedy jej wzrok znowu spoczął na Pierwszej, zobaczyła w niej tę samą spokojną siłę, którą tak dobrze знаła.

- Powiem Jondalarowi - odparła i szybko opuściła głowę, by spojrzeć na dziecko.

Pieśń Matki Z jądra ciemności, z chaosu czyśćca, Z wiru zrodzona Matka najwyższa.  
Wiedziała zrazu, jak życie cenić - Świat był zbyt pusty dla Matki Ziemi.

Matka, wciąż w samotności. Jedyna zrodzona z Ciemności.

Z prochu narodzin stworzyła Jego: Druha, kompana białosrebrnego. Razem wzrastali z miłością, wiarą, A gdy czas nadszedł, stali się parą.

Od zmroku po białe rano, Jej srebrnobiały kochanek.

Z początku wielka była ich miłość, Lecz serce Matki inaczej biło: Kochała druha, brata jasnego, Lecz czegoś brakło; pragnęła czegoś.

Chciała pełniej żyć. Matką chciała być.

Sięgnęła w pustkę, w ciemność chaosu, By iskrę życia wykraść z rąk losu. Wir wszechmocny, ciemność nieskończona, Chciały ciepło wydrzeć z Matki łona.

Walka to śmiertelna. Matka była dzielna.

Życiowej siły w końcu sięgnęła, Zawarła ją w sobie i - umknęła. Z nowym życiem zniknęła w ciemności, Poczętym z dumy, odwagi, miłości.

Brzemienną była. Życiem się dzieliła.

Mroczne pustkowia i naga Ziemia Czekwały wraz na cud narodzenia. Krew z krwi Wielkiej Matki i kość z kości - Dla niej pęknać miały skalne wnętrza.

Uwiercie, jeśli nie wierzycie: Matka dała nowe życie.

Odeszły wody do rzek, jezior, mórz, Zalewając Ziemię i wszcz, i wzdłuż.

Jej oblicze wkrótce zmieniło się: Spowiły je kokon traw i gąszcz drzew.

Odeszły wody, wszystko się zmieni. Czas skąpać Ziemię w zieleni.

Pluły ogniem szczyty gór rodzających, Wstrząsał nimi ból życie dający. W ochrę krew się zmieniała, gdy krzepła - Warta krwi chwila ta, warta piekła!

Matka patrzy nań już w zachwycie; promiennej istocie dała życie.

Góry ogniem płuc nie przestawały, Gdy potomek jej ssał ziemskie skały. Mocno ssał; w niebo z iskrą szła iskra, Z iskier mlecznych oto droga gwiazdzista. Życie się zaczyna. Matka karmi syna.

Śmiał się, igrał, rósł i jaśniał co dnia; Jasności zaś ciemność unikała zła. Czerpał siłę z matczynej miłości Wreszcie wyrósł z dziecięcej słabości.

Kończy się dorastanie. Syn już ma własne zdanie.

Matka wie, skąd się życie zaczyna; Teraz pustka pociąga Jej syna. Matka ofiarowała miłość - za mało. On chce iść, gdzie przygoda, gdzie chaos.

Ciemność była Matki wrogiem. Teraz syn wyrusza w drogę.

Wymknął się chyłkiem, gdy Matka spała, Ciemność zaś na to tylko czekała: Kusi i mami widać przygody - W sidłach chaosu jest już syn młody.

W pustce i ciemności - kres Jego jasności.

W zachwycie trwało promienne dziecko, Lecz prawdę wkrótce pojęło przecie: W żalu niewczesnym na próżno walczy; By z pustki uciec, sił mu nie starczy.

W chaosu próżni okropnej tkwi dziecko tak nieroztropne.

Lecz gdy mrok wciągał go w otchłań zimną, Matka zbudziła się i dłoń zwinną Ku synowi na czas wyciągnęła - Lecz na pomoc już czas przyjaciela.

Matka trzyma Promiennego. Na odsiecz woła Srebrzystego.

Srebrzystemu sprzed lat kochankowi Los swój streszcza bolesnymi słowy, On zaś zgadza się walczyć z ciemnością Matki syna zbawić przed nicością.

Nie wstydziła się swojej słabości. Rzekła mu o podstępnej ciemności.

Matka była znużona, bez siły, Stał do boju kochanek miły. Spała - zmagął się z pustką dla niej; Na czas jakiś wir zdusił w otchłani.

Mocarny duch jego był. Czy na długo wystarczy mu sił?

Bładosrebrzysty druh mężnie stawał W boju, co nie kończącym się zdawał. Lecz znużony wreszcie przymknął oko - Mrok spowił cały świat swą powłoką.

Srebrnemu sił brakło. Słabło jego światło.

Wielka Matka z krzykiem się ocknęła, Gdy czasza nieba w mroku zniknęła. I walczyła jak lwica zraniona, By przyjaciel w ciemności nie skonał.

Zbawiła tego, co lśnił srebrno i biało, lecz dla syna sił jej nie stało.

Uwięzło w wirze promienne dziecko, Mróz zapanował na całym świecie. Śniegi i lody zieleń zakryły, Północne wiatry dzień i noc wyły.

Zagłada dla Ziemi nastała. I trawa nie ocalała!

Matka, znużona, zdjęta rozpaczą, Raz jeszcze bój jest gotowa zacząć. Nic dla niej rany na duszy, ciele - Światłość jej syna znaczy zbyt wiele.

Matka go nie porzuci. Jasność musi wrócić!

I srebrny partner gotów był rzucić Na szalę wszystko, aby ukrócić Potęgę mroku. Razem ruszyli, Parli, ciągnęli, aż... zwyciężyli!

Niech pochwalona będzie ich siła! Jasność na świat powróciła!

Ciemność raz po raz atakowała; Matka ustąpić ani myślała. Darmo szarżuje mrok nieugięty, Albowiem bój to nierozstrzygnięty.

Matka go chroni przed wirem wrogim. Cóż z tego - syn został w pół drogi.

Gdy pierzchał chaos przed Matki siłą, Ciepło słoneczne ku Ziemi biło. Lecz kiedy moc jej słabła, omdlała, O zmroku znowu ciemność wracała.

Matka czuła już ciepło syna, lecz pełni szczęścia nie była to godzina.

Z bólem w sercu Wielka Matka żyła: Ciemność od syna ją oddzieliła. Chciała mieć dziecko we dnie i w nocy; Sięgnęła znów do życiowej mocy.

Na poły straciła pierwszego syna. Nadeszła pora nowe życie wszczynać.

Puściła znowu życia nasienie Na lodem skutą i martwą Ziemię. A łyzy ronione nad synem Słońcem W rosy zmieniły się krople drżące.

Życiodajne wody zieleń wróciły, lecz łez Matki Ziemi nie zmyły.

Z łoskotem wielkim już pęka skała, A z groty wielkiej, co pod nią stała, Na świat wychodzi, aby się pienieć, Nowe potomstwo: to Dzieci Ziemi.

Z łona Matki wprost na Ziemię zstępuje już nowe plemię.

A każde inne: małe i wielkie, Chodzi i łąta, płynie i pełźnie.

A każde piękne: esencja czysta, Forma skończona, trafna, wieczysta.

Wola Matki, cud prawdziwy: świat jest znowu żywy.

I wszystkie ptaki, ryby, stworzenia, Życ odąd miały w miejscu zrodzenia, By Matki nigdy więcej w rozterce Nie pozostawić, i z rannym sercem.

Na zawsze miały pozostać blisko Tej, co materię stworzyła wszystką.

Były Jej dziełem, były Jej dumą, Lecz wyczerpana dokonań sumą Dodała to, na co sił jej stało: Dziecię, co będzie ją pamiętało.

Dziecię pełne pokory. Nie skusi go fantazji poryw.

Pierwsza Kobieta, w pełni dojrzała, Przyszła na świat i zaraz musiała Szukać schronienia, jadła i picia, Ucząc się czcić dar pierwszy: Dar Życia.

Pierwsza Kobieta w dziewiczym kraju. Pierwsza z ludzkiego rodzaju.

Prezenterem drugim był Dar Uczenia, Po nim zaś Dar Rozwagi, Myślenia. By zaś potomstwo chować umiała, Matka jej mądrość życia nadała.

Pierwsza Kobieta wiedziała, jak żyć, jak wychowywać, jak trwać i być.

Niewiele mocy w Matce zostało; Esencji Życia dała niemało. Wszystkim swym dzieciom rodzić kazała - I Pierwszej błogosławieństwo dała.

Teraz Kobieta mogła mieć dzieci, ale samotna była na świecie.

Więc Matka, pomna swej samotności, I srebrzystego druha czułości, Ostatkiem siły w łonie jej żyznym, Poczęła byt Pierwszego Mężczyzny.

Raz jeszcze dawała sownicie. Raz jeszcze dawała życie.



/ Ją, i Jego poczęła z siebie, Im we władanie oddała Ziemię, Wody i lądy, stworzenie wszelkie, By im służyły w hojności wielkiej.

Mogli się cieszyć świata majątkiem - byle z umiarem, byle z rozsądkiem.

Dzieciom swym Matka Dary oddała, By ich nie zmogła życia nawała. Na koniec jednak Dar Przyjemności Dała im, by Ją czcili w miłości.

Najpiękniej modły do Matki wznoszą ci, co ją chwałą, dzieląc się rozkoszą.

Spojrzała Matka z zadowoleniem Na tych, co ziemskim są dziś plemieniem. Jeszcze kazała im pary tworzyć, By Przyjemność z miłością pomnożyć... Nim spoczęła Matka wśród chwały - one już bez pamięci kochały.

Teraz Dzieci Ziemi są błogosławione. Niech spłynie spokój na Jej ciało znużone.

Lista postaci Ayla Jondalar Zelandoni/Zolena Thonolan Folara Marthona Willamar Tivonan Joconan Joharran Proleva Jaradal Levela Jondecam kobieta z Dziewiątej Jaskini Zelandonii, dawniej znana jako Ayla z Obozu Lwa Mamutoi, córka Ogniska Mamuta, wybrana przez Ducha Lwa Jaskiniowego, chroniona przez Niedźwiedzia Jaskiniowego, przyjaciółka koni, Whinney i Zawodnika, oraz czworonożnego łowcy, Wilka mężczyzna z Dziewiątej Jaskini Zelandonii, partner Ayli, syn byłej przywódczyni, brat przywódcy (nazywany Jonde przez siostrę, Folare) obecnie Zelandoni z Dziewiątej Jaskini, Pierwsza Wśród Tych Którzy Służą Wielkiej Matce Ziemi, dawniej kochanka Jondalara młodszy brat Jondalara, zginął w czasie Podróży młodsza siostra Jondalara matka Jondalara, była przywódczyni Dziewiątej Jaskini, matka Joharrana i Folary partner Marthony, Mistrz Handlu, Podróżnik uczeń Willamara pierwszy, nieżyjący już partner Marthony, mężczyzna ogniska Joharrana starszy brat Jondalara, Przywódca Dziewiątej Jaskini Zelandonii partnerka Joharrana syn Prolevy, dziecko zrodzone przy ognisku Joharrana młodsza siostra Prolevy, partnerka Jondecama partner Prolevy, siostrzeniec Kimerana, syna Zelandoni z Drugiej Jaskini Yelima Solaban Ramara Robenan Rushemar Salova Marsola Marona Wylopa Portula Lorava Ramila Galeya Charezal Shevonar Relona Ranokol Brukeval Madroman Laramar Tremeda Bologan Lanoga Loralą Stelona Thefona Thevola Lanidar Mardena Denoda Janida Peridal Matagan Tishona Marsheval Palidar matka Prolewy i Leveli łowca, doradca i przyjaciel Joharrana partnerka Solabana syn Ramary łowca, doradca i przyjaciel Joharrana partnerka Rushemara córka Salovy była narzeczona Jondalara kuzynka Marony przyjaciółka Marony młodsza siostra Portuli przyjaciółka Folary przyjaciółka Folary nowy członek Dziewiątej Jaskini, nieznanymi Jondalarowi łowca, który ginie podczas polowania partnerka Shevonara brat Shevonara daleki kuzyn Jondalara (ma domieszkę krwi Klanu) dawniej zwany Ladromanem, akolita z Piątej Jaskini niezrównany wytwórca barwy partnerka Laramara najstarszy syn Tremedy, lat dwanaście córka Tremedy, lat dziesięć córka Tremedy, sześć miesięcy starsza kobieta, która dokarmia Loralę najlepsza

obserwatorka z Trzeciej Jaskini, o sokolim wzroku wytwórczym skórzanych paneli chłopiec z Dziewiętnastej Jaskini, ma zdeformowane prawe ramię, lat dwanaście matka Lanidara matka Mardeny partnerka Peridala partner Janidy młodzieniec zraniony przez nosorożca włochatego partnerka Marshevala partner Tishony przyjaciel Tivonana Whinney Zawodnik Wilk klacz Ayli, żółtawobrzędy koń Przewalskiego ogier Jondalara, kasztanowy koń Czerskiego oswojony wilk Ayli PRZYWÓDCY JASKIŃ ZELANDONII

Manvelar Morizan Kar ej a Dorova Brameval Kimeran Denanna Tormaden ZELANDONI przywódca Trzeciej Jaskini, Skały Dwóch Rzek syn partnerki Manvelara, syn jego ogniska przywódczyni Jedenastej Jaskini, Rzeczej Osady matka Karei przywódca Czternastej Jaskini, Małej Doliny przywódca Drugiej Jaskini, Ogniska Starszych, brat Zelandoni z Drugiej Jaskini, wuj Jondecama przywódczyni trzech posiadłości Dwudziestej Dziewiętej Jaskini, Trzech Skał, na co dzień zaś Południowej Posiadłości, Skały Odbicia przywódca Dziewiętnastej Jaskini Zelandoni z Jedenastej Jaskini, Rzeczej Osady, homoseksualista Marolan przyjaciel i partner Jedenastego Zelandoni z Trzeciej Jaskini, Skały Dwóch Rzek, starszy mężczyzna Zelandoni z Czternastej Jaskini, Małej Doliny, kobieta w średnim wieku Zelandoni z Drugiej Jaskini, Ogniska Starszych, siostra Kimerana, matka Jondecama Zelandoni z Siódmej Jaskini, Skały Końskiego Łba, siwy, dziadek Drugiej i Kimerana Zelandoni z Dziewiętnastej Jaskini, białowłosa, starsza kobieta Zelandoni z Piątej Jaskini, Starej Doliny, mężczyzna w średnim wieku Zelandoni z Dwudziestej Dziewiętej Jaskini, Trzech Skał, mediatorka między trzema pomocnikami Zelandoni i trzema przywódcami posiadłości Pomocnik Zelandoni z Dwudziestej Dziewiętej Jaskini, Zelandoni Skały Odbicia (Południowej Posiadłości), mężczyzna w średnim wieku Pomocnik Zelandoni z Dwudziestej Dziewiętej Jaskini, Zelandoni Południowego Stoku (Północnej Posiadłości), młody mężczyzna Pomocnik Zelandoni z Dwudziestej Dziewiętej Jaskini, Zelandoni Letniego Obozu (Zachodniej Posiadłości), kobieta w średnim wieku.

Pierwsza Akolitka z Drugiej Jaskini (prawie Zelandoni), młoda kobieta Jonokol Pierwszy Akolita z Dziewiętej Jaskini, artysta, młody mężczyzna Mikolan Drugi Akolita z Czternastej Jaskini, bardzo młody mężczyzna Mejera Akolitka z Trzeciej Jaskini, dawniej z Czternastej Jaskini, bardzo młoda kobieta Madroman Akolita z Piątej Jaskini, dawniej znany jako Ladroman z Dziewiętej Jaskini, młody mężczyzna PIERWSZA JASKINIA LANZADONII (Jaskinia Dalanara)

Dalanar Jerika Ahnlay Hochaman Joplaya Echozar Andovan Yoma mężczyzna ogniska Jondalara, były partner Marthony, założyciel Lanzadonii partnerka Dalanara, współzałożycielka Lanzadonii matka Jeriki, nie żyje mężczyzna ogniska Jeriki, Wielki Podróżnik córka Jeriki, córka ogniska Dalanara partner Joplayi, człowiek mieszanych duchów mężczyzna, który wychowywał Echozara, nie żyje matka Echozara, kobieta Klanu, nie żyje